9186

IV

Nr. 8.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

Warszawa, Krak. Przedm. Nr. 17. Telefon 413.
Lwów, Pasaż Hausmana 9. Telefon 452.

Prenumerata Tygodnika Illustrowanego z 12 tomami Sienkiewicza: w Warszawie: rocznie rb. 8, półrocznie rb. 4, kwartalnie rb. 2. Z przesyłką pocztową: kwartalnie rb. 3, półrocznie rb. 6, rocznie rb. 12.

Odnoszenie do domu kwartalnie 5 kop. Zmiana adresu 20 kop.
Oprawa 12 tomów Sienkiewicza rocznie rb. 2 (4 k. 80 hal.)
Ozd. okładka na półrocz. 1 rb., z przes. 1 rb. 35 kop. (3 k 20 hal., z przes. 3 k. 60 hal).

CENA OGŁOSZEŃ: wiersz petitowy na 1-ej stronie 30 kop., na innych po 20 kop.
Cena reklam w rubryce „Nadesłane" wiersz petitowy 50 kop.

Nr. 8 — Ogólnego zbioru Nr. 2209. — 9 (22) lutego 1902 roku.

Rozwiązanie logogryfu,

umieszczonego w n-rze 7.

Piwo
Alep
Dynie
Eter
Ruta
Enim
Waza
Selen
Krater
Ilu

Paderewski. Opera Manru.

Kryptogryf literacki,

ułożył ALFONS de PICKLETON.

Orzeszkowa	
Bolesław Prus	
Sienkiewicz	
Tetmajer	
Mickiewicz	
Gliński Kazimierz	

W podanym prostokącie, obok nazwisk wymienionych autorów, napisać po jednym tytule ich utworów, aby początkowe litery tych utworów, czytane z góry na dół, utworzyły nazwę dramatu Słowackiego.

Dział gospodarczy.

Jaja w majonezie.

Z powodu lekkiej zimy mamy obfitość jaj świeżych, a że post trwa kilka tygodni, mogą nasze gosposie przyrządzać z nich rozmaite potrawy.

Jaja w majonezie, jako zimne podanie do postnej kolacyi, zwłaszcza dla osób, lubiących jaja gotowane, jest niezwyczajną i smaczną potrawą. Potrzebną liczbę jaj ugotować na twardo w skorupkach, oddzielnie zaś wybić 7 surowych jaj, dodać 6 łyżek dobrej oliwy, $2^1/_2$ łyżki octu dobrego, soli, nieco miałkiego pieprzu i łyżkę mocnego bulionu, lub 2 listki rozpuszczonej żelatyny. Wszystko razem mocno rozbić trzepaczką w garnku, wstawić następnie w rondel z wodą gorącą i ubijać dopóty, dopóki woda nie wystygnie; wtedy dodać łyżkę kaparów, lub nieco musztardy, a nawet, gdy kto lubi, szczypiorku. Jaja, obrane ze skorupek, położyć najpierw jedno na środku salaterki, niezbyt głębokiej, wokoło tego jajka ułożyć inne, w rodzaju gwiazdy i polać je wszystkie przygotowanym majonezem, pozostawiwszy tak w chłodzie, aby majonez zastygł

Legumina z jabłek.

8 sztuk kwaskowatych jabłek obrać, przeciąć na połówki, środki wydrążyć i w płaskim rondlu nawpół ugotować, dodawszy do wody sporo cukru i skórki cytrynowej, poczem wyjąć z sosu, ostudzić, środki wydrążone napełnić konfiturami i ułożyć na głębszym półmisku. W rondlu rozpuścić łyżkę niesolonego masła, dodać 6 łyżek mąki, kwaterkę cukru, 8 żółtek, trochę obtartej na tarce skórki cytrynowej i półkwarty śmietanki, a, mieszając ciągle, trzymać póty na ogniu, dopóki na gęstą masę nie zgęstnieje. Wówczas wystudzić nieco, do dobrze jeszcze ciepłego, dodać pianę z 8 białek. Masę tę wyłożyć na jabłka, dać zupełnie ostygnąć, a wydając na stół, ubrać konfiturami.

Podając na ciepło, nie trzeba studzić, lecz z wierzchu posmarować pianą z 4 białek, ubitą z ćwiercąi funta cukru (pudru) i wsunąć w piec do zrumienienia.

P. S.



OFIARY.

Z Grafologii na kasę Literacką.

938. Nad Niemnem kop. 50. 939. Zgoryczona kop. 50. 940. Nitro gliceryna z Uład... k. 80. 941. Opiekunka kop. 60. 942. Z Nałęczowskiego parku i 943. E. rb. 1. 944 Syn ziemi rb. 1. 945. Vanitas vanitatum kop. 50. 946. W. Mod.. k. 50. 947. Hej, ramię do ramienia! k. 45. 948. Dawna Pacunelka kop. 50. 949. Matylda Zofia k. 50. 950. Halszka (kw. of. nr. 1920) kop. 50. 951. Swinks (kw. of. nr. 1921) k 50. 952. Śmierć czy życie? kop 56. 953. Przedobra kop. 50. 954 Samotna Podolanka k. 52. 955. X. Y. z Ks. Poznańskiego k. 66. 956. Fenıks I i 957. Jad rb. $1.58^1/_2$. 958. Leri k. 50. 959. Jad kop. $59^1/_2$. 960. Zwolenniczka Rodziewiczówny i 961. Marzyciel (kw. of. nr 1940) rb. 1. 962. Nr. III Ziółko kop. 30. 963. Pielesz—Nadółki kop. 52. 964. Karmazyn Mała Wieś k. 50. 965. Grzymała k. $37^1/_2$. 966. Gaud k. 52. 967. Odludek kop. 50. Depozyt z nr. 436 (535) k. 21. Depozyt z nr. 840 k. 50 Depozyt z nr. 920 k. 51.



OD REDAKCYI.

Stosując się do ogólnego życzenia naszych czytelników, przygotowaliśmy wytworną okładkę dla półroczników „Tygodnika.“ Wzór okładki z pięknego płótna angielskiego, ze złotymi wyciskami, podaje załączona rycina. Okładki za pierwsze półrocze zamawiać można w kantorze redakcyi naszego pisma. Cena okładki 1 rubel z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 35, przesyłka 2 okładek kop. 50. W Galicyi 3 k. 20 hal., z przesyłką pocztową 3 k. 60 hal

Zadanie krzyżowe.

		o	o	o		
		o	o	o		
a	a	d	ł	t	t	t
a	a	m	n	z	k	k
g	g	m	n	z	k	k
		e	p	i		
		e	p	i		

W załączonej figurze przestawić litery w ten sposób, aby otrzymać trzy wyrazy jednakowo czytane w kierunku poziomym i pionowym

Znaczenie wyrazów: 1. Miara czasu. 2. Powlekanie przedmiotu metalicznego innym metalem. 3. Dawna nazwa włościanina.



Głos Czytelniczki.

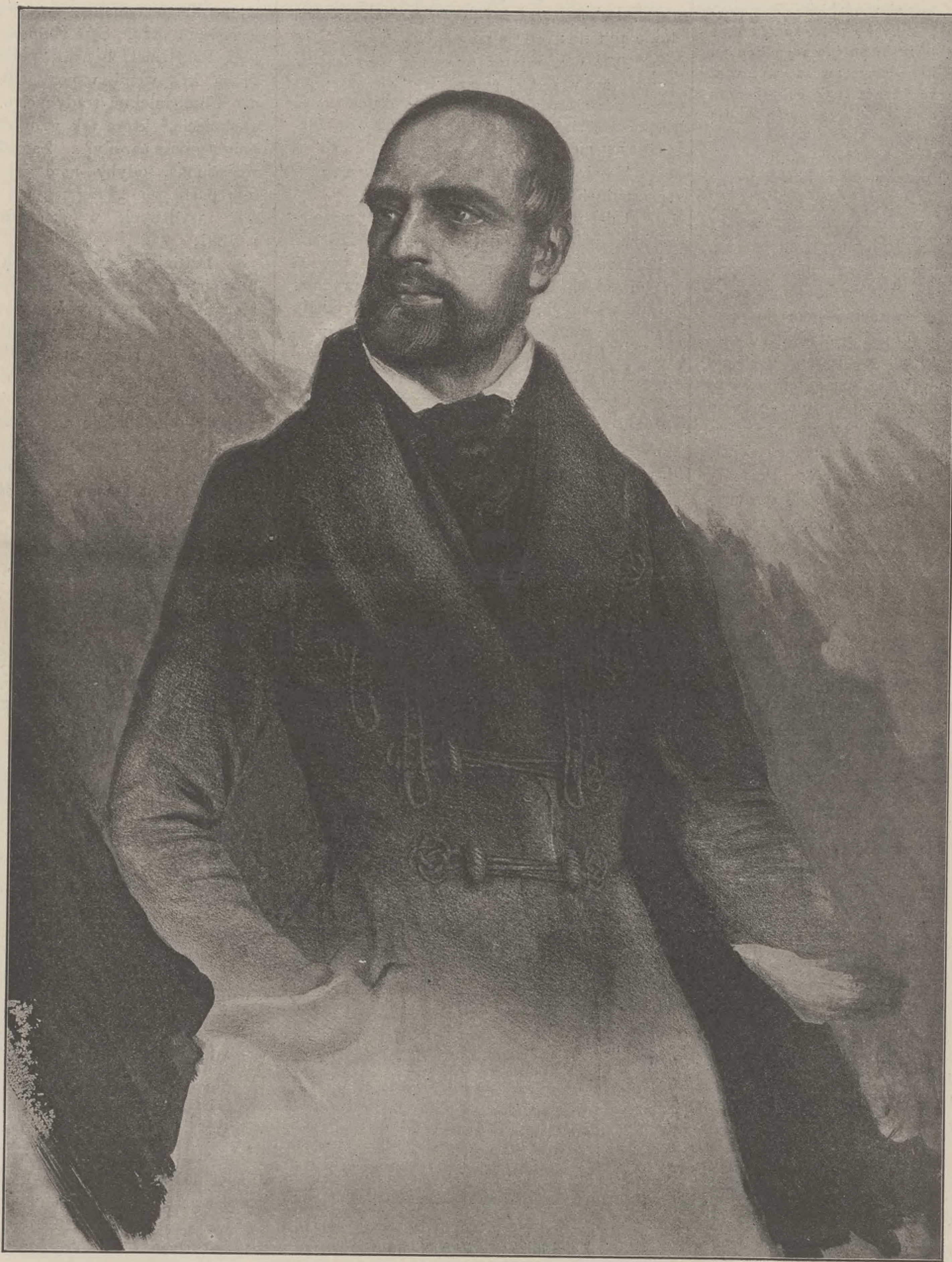
Pisząc przed kilku miesiącami na miejscu tem o Anti-Gorsecie, pragnę o nim dziś, w imię sprawiedliwości—parę słów pochlebnych wygłosić. Tak zw. „Platinum-gorset,“ jako nowy wynalazek angielski, u nas już zdobywa prawo obywatelstwa, a z powodu rzetelnych swych zalet, zaznacza swoją wartość. Sama go nosząc od pewnego czasu, dopiero zrozumiałam, jaka zachodzi różnica pomiędzy zwykłym, ciężkim gorsetem, a tym lekkim, zasługującym pod każdym względem na swoją nazwę „hygieniczny.“ Bo też rzeczywiście stanowi sobą najnowszą zdobycz w dziedzinie hygieny i niemało przyczynia się do rozwoju stopnia zdrowotności. Anti-gorset nie uciska, gdyż nie ma twardych brykli, ale zapina się na płaskie guziki: nie ma bocznych stalek, a zamiast fiszbinu, jest wykończony na cienkich, elastycznych platinkach. Platinki te są tak w gorsecie urządzone, że się dają wyjąć bez prucia i napowrót włożyć bez szycia. Tym sposobem można Anti-gorset często prać w domu, jest więc i bardzo praktyczny, a że wzorowy jego krój uwydatnia zręczność talii—nic dziwnego, że się cieszy powodzeniem. Wynagradzany na różnych wystawach hygienicznych i przez hygienistów uznany, składa rękojmię, że z biegiem czasu dobije się pierwszeństwa nad innemi tego rodzaju gorsetami. Dlatego zalecając go paniom, nadmieniam jeszcze, iż nosić go można wygodnie przez dzień cały tak przy pracy, jak i do strojnej toalety.

Zadanie konikowe.

i	oj	bem	gna	na	ry	no	gam
strza	nych	zną	zu	wy	ra	tęsk	rzu
czy	gro	chów	mio	wy	co	cią	próż
du	ska	w la	de	glo	rej	jes	nię
z do	łym	ko	ną	ty	mnie	na	któ
ną	chmur	gwia	już	o	bem	da	łeś
gas	cham	sty	ną	że	nie	de	zda
nią	ur	za	cię	pu	la	mo	rem

Nr 8 Ogólnego zbioru № 2,209 22 (9) lutego 1902

TYGODNIK ILLUSTROWANY



BOHDAN ZALESKI

WEDŁUG PORTRETU TONNY TOULLION'A Z R. 1844

KAZIMIERZ GLINSKI.

Józef Bohdan Zaleski.

W setną rocznicę urodzin.

Zaleski niewątpliwie jest największym ze wszystkich poetów słowiańskich. Rzucił on pęk kwiatów na zakończenie igrzyska poetycznego Słowian i będzie zawsze wprawiał w rozpacz tych, coby jeszcze chcieli miłować sztukę dla sztuki samej, wyczerpał bowiem wszystkie sposoby, wszystkie rytmy, wszystko, co jest najświetniejszego w kolorycie, najdelikatniejszego w odcieniach."

Takie słowa padły w d. 28 czerwca 1842 r. z katedry w Kolegium francuskiem, a wypowiedziane były przez największego z wieszczów naszych, Adama Mickiewicza.

Niejeden może ze zdziwieniem je przeczyta. Mistrzowstwo form poetyckich doszło do takiej doskonałości w czasach naszych; bogactwo rymów tak się wzmogło, koloryt taką jaskrawością barw świeci, że nadaremno może szukalibyśmy dzisiaj owego mistrzowstwa w poezyi Bohdanowej, pokrywającej się coraz bardziej pyłem zapomnienia. Przyszły nowe pokolenia pieśniarzy i równie dźwięczne, jeżeli nie dźwięczniejsze nawiązały struny; stepowa nuta dum ukraińskich rozwiała się i znikła, a to, o czem śpiewał, co kochał i w co wierzył piewca „Rusałek" — nie wszystkich już dziś poruszy i zachwyci, nie dla wszystkich zrozumiałem, nie przez wszystkich odczutem będzie. Znawca formy zwróci uwagę na piękno szumek i dumek, ale przedmiot ich obojętny zostanie: Przez Limany ku morzu Czarnemu nie płyną czajki zaporoskie, ognie Synopy i Trebizondy nie rzucają postrachu na wschód muzułmański; sułtan spokojnie używać może rozkoszy haremowych, Konaszewicze w grobach, przez stepy przeciągnął i znikł w nierozwianych tumanach, złożony na marach „Lach-Serdeczny"—wóz dziejów inną potoczył się koleją, i pieśń Bohdanowa pozostała tylko, jako wyraz danej epoki, a może lepiej powiedzieć, danego człowieka, który bądź co bądź, tę epokę sobą napełnił.

W Panteonie wieszczów naszych Bohdan Zaleski dziwnie odosobnione miejsce zajmuje. Jak mak polny wśród traw stepowych zakwitnął, jak meteor promienny przez niebo przeleciał, trwał chwilę, olśnił urokiem światła—i zgasł. I dziś, zaledwie wrażliwa dusza poety, i to urodzonego tam, gdzie „pod młodzik miesiąca zbierają jeszcze sen-ziele"—zatonie w mroku tych wspomnień dawnych, odtworzy obszary zielenią traw kołyszącego się stepu, niezrównaną pieśń fal Dnieprowych, ów okrzyk kozaczy, który że się powtórzy, było wiarą ostatniego piewcy Ukrainy. Jak dziś można rzucić pytanie: kto zna całość pieśni Zaleskiego? tak dawniej można byłoby powiedzieć: któż ich nie znał? Napełniały one dwory i dworki szlacheckie, wchodziły do siedzib pańskich, były prawdziwą arką przymierza „między dawnemi a młodszemi laty." Mickiewicz w jednym z listów z Lozanny do Zaleskiego, pisanych w r. 1840 stawia takie pytanie:

„Kto wie, czy ty teraz nas nie okradasz przez sen z wszelkiej poezyi? Kto wie, czy mocą teraz silniejszą nie ciągniesz do siebie całego ciepła i światła poetycznego? I widzisz, dlaczego my nie piszem..."

Te słowa mówią najlepiej o ówczesnem znaczeniu Zaleskiego.

Odrębność stanowiska, o jakiem wspomniałem, polega na tem, że Bohdan Zaleski, ukochawszy przeszłość kozaczą, nie patrzał na nią okiem historyka, lecz przez pryzmat uczuć własnych, które w nim się wyrodziły pod wpływem otoczenia, w jakiem najważniejsze, bo najwrażliwsze lata dziecięce przeszły. „Połknąłem pieśń" powiada—a pieśń owa urodziła się na stepie, owiana urokiem podań, nie tych jednak, które tchnęły nienawiścią do dawnego porządku rzeczy, lecz tych, które owiewała tęsknota po rozwianej marze przeszłości, po przeminionej swobodzie życia kozaczego.

Skąd to braterstwo się wzięło? dlaczego ani razu pieśni Bohdanowej nie skaził morderczy okrzyk takiego Szwaczki? Skąd ta miłość dla buntowniczych kup zaporoskich, które—bądź co bądź—wstrząsnęły podwalinami gmachu Rzeczypospolitej za czasów Chmielniczeńki, a tak świeżymi jeszcze śladami rzezi humańskiej świeciły? Poeta zapominał, że w ostatniej nawet chwili ocknięcia się Rzeczypospolitej, strach wielkooki z owych równin stepowych szedł ku stolicy państwa i ruch szerokoramienny krępował. Wypadki, które historya na kartach swoich zapisała, i te, które w świeżych jeszcze podaniach błądziły—nie ubóstwieniem powinnyby przejąć pieśniarza polskiego, a jeżeli serce wielkie wolne jest od *nienawiści*, nie mniej silną być musi i *pamięć* krzywd, a już *bezstronność* o ich wzajemności coś wspomnieć była powinna. W Zaleskim tego nie widzimy: on stworzył Ukrainę dziwnie bohaterską. Chciał nawet po śmierci swojej mieć „Ukrainę w niebie," awyolbrzymił ją tak w pieśni swojej, że całość malała, nikła, rozpływała się niemal w bujnych stepach ziemi naddnieprzańskiej. Wspominając nieraz o Polsce wnet dodawał, jakby się lękał przeniewierstwa dla dawnej miłości:

Tęsknię odkupić w pieśniach dawne winy,
Ale w głos zawżdy *Matki* Ukrainy.

Podkreśliliśmy ten wyraz *matki*, jako znamienny bardzo.

Oddalenie ma tę perspektywiczną własność, że wiele rysów ostrych zaciera, barwy zbyt jaskrawe łagodzi, pozostawiając tylko ogólny kontur przedmiotu, zatopiony we mgle tajemniczej. Mniej może dziwilibyśmy się obecnie, gdyby który z pieśniarzy chciał dawną kozaczyznę na wzór Bohdanowego obrazu odtworzyć i pewną miłością otoczyć. Ale takiego oddalenia, gdy żył i pisał Zaleski—nie było. Sam Humań, gdzie w szkołach Bazyliańskich nauki pobierał, mógł już grozę krwawemi wspomnieniami wzbudzać; a o Chmielnickim tradycye, o owych czasach „licholecia," które tak wrogo rozdzieliło dwa pobratymcze narody?... Zagadka byłaby nierozjaśnioną, gdyby nam jej nie rozwiązał sam poeta we „Fragmentach większej całości," wydanych w dziełach pośmiertnych r. 1891.

Dzisiaj, w setną rocznicę urodzin poety, pragniemy odtworzyć duchową postać pieśniarza. Nie kreślimy jego życiorysu, znanego tak dobrze tym wszystkim, którym nieobojętne jest piśmiennictwo ojczyste; nie poddajemy ocenie dzieł poety, przedstawiając je w świetle krytyki dzisiejszej, bo niesiemy tylko wyraz hołdu i czci pieśniarzowi, który dwa pokolenia wykołysał, nie obniżył nigdy górnego nastroju swej gęśli, dał ludziom swojego czasu tchnienie szerokie i, choć fantastyczny, ale piękny obraz przeszłości, nie takiej może, jaką była, lecz jaką mieć pragnął. Zadaniem naszem jest przedstawienie pewnej strony duszy poety, to, co na takie, nie inne ukształtowanie się uczuć jego wpłynęło i niezatarte znamię położyło.

Wypadek mały, a wielkie skutki za sobą pociągnął. Kilkoletni Bohdanek, jeden z trzynaściorga u Wawrzyńcostwa Zaleskich, bawiąc się z psem, dokuczliwym jakimś liszajem się zaraził. Wątły od urodzenia, cierpiał bardzo z powodu tego wypadku. Choroba niszczyła słaby organizm dziecka, a w czasach onych trudno było o lekarza, szczególnie na Ukrainie stepowej, a zresztą od czego znachory i znachorki, czar-ziele, cudo-twórcze szeptania i księżyc na młodziku stojący? Chory dzieciak—„paniątko" oddany był pod opiekę starego znachora Zuja, który zajął się „paniątkiem," na dziś, a może na lata długie opiece jego powierzonem, tem bardziej, że po śmierci pani Wawrzyńcowej Zaleskiej, ojciec, obarczony kłopotami życia, codziennego, porozdawał, gdzie mógł, swój drobiazg, a sam na Litwę się przeniósł. Stary więc znachor nie tylko opiekunem był, lecz matkę i ojca musiał osierociałemu pacholęciu zastąpić. To też stosunek dziwnej miłości i rodzinnego przywiązania pomiędzy dzieckiem lackiem a oną kozaczą rodziną zawiązał się. Zuj bezdomnego dziecka, jak oka w głowie, pilnował, a Zujówny skakały koło niego, pieściły i obsypywały pocałunkami.

Pomimo postępu niby i różnych teoryi o braterstwie i równości, nie wiem, czy dziśby taki stosunek serdeczny połączył dziecię pańskie z chłopem. Syn szlachecki nie wahał się w kolana starego chutornika całować, a że dobrze mu było w onej chałupię stepo-

wej, wśród traw zieleni, w siostrzanem objęciu Zujówien, pod osłoną błękitów lub przy ognisku wieczornic, podczas których skazka niejedna z przeszłości kozaczej w duszę chłopięcia zapadła, niejedna duma zaporoska senne oczy do snu ukołysała: to pamięć o tem w owych „Fragmentach“ zostawił, w owych ułamkach zatytułowanych: „Lasze-ptasze“ i „Kwiat paproci.“

Zuj, bywało, lubystek sen-ziele,
Różne kwiecia pod młodzik miesiąca,
Zbiera w polu na wonne kąpiele,
Sam je swemu laszkowi przyrządza.
Syn i córki na laszka posłudze- -
Tak miłował pacholę to cudze.

Cudze to było i swoje zarazem.

Lasze-ptaszę, jak w chacie go zwano,
Lasze-ptaszę rączkami za szyje
Pieści Zuja, całuje w kolana...
To Zujównom od oczął blask bije—
Jak z siostrami, potulne, ochocze,
Gładzi kosy i piosnki szczebiocze.

Czy może być piękniejszy obrazek życia rodzinnego?

W takiem otoczeniu, które umiłowało, „jak swoje, pacholę to cudze,“ nie mogło być mowy o rozbudzaniu nienawiści, o jakichś krzywdach ze strony Lachów, o pogromach pod Żółtemi Wodami. Zuj sam może wierzył w sielankę przeszłości i jeżeli pacholęciu o Konaszewiczach czy Kosińskich prawił, to jako o pełnych rycerskiego animuszu, o bohaterach z pod Synopy i Trebizondy. W opowieściach onych nie było miejsca na krwawe pochody Chmielnickiego, ni na nieludzkie mordy Żeleśniaków: Rycerski świat baśni Zuj roztaczał przed wrażliwą duszą lackiego pacholęcia, a Zujówny o rusałkach i zaczarowanem polu paproci mówiły. Baśni i skazki, zabobony i wierzenia wsiąkały, jak napój ożywczy, w serce dziecka, a dokoła step szumiał tajemniczą pieśń swoją i niósł z daleka, z daleka bojowe okrzyki drużyn kozackich, zaklęte w echach, zaklęte w pieśni, zaklęte w bryzgu każdym fali Dnieprowej. Ten step, ten Zuj, to czar-ziele wróciło zdrowie lackiemu pacholęciu; ten step, ten Zuj, to „ura-ho!“ z za mogił i kurhanów omglonych płynące, przemówili najpierwsi do wyobraźni dziecka; najpierwszem ukochaniem jego ten step był, ten Zuj, ten okrzyk, który rozbrzmiewał w głębiach duszy do marzeń skłonnej. Nim dojrzałym umysłem zdolen był w szerszy świat wybiedz, czarodziejską krainą był mu ów chutor Zujowy; nim mógł ukochać ludzi żywych, umiłował dziadów z lirami, rusałczane postaci Zujówien, tajemnicze echa z dalekich pól płynące, legendowych bohaterów przeszłości kozaczej. „Pieśń połknął“ —a z nią całą Ukrainę przez bajarzy wieczornic utworzoną, i później, śpiewał zawsze „w głos matki Ukrainy.“ A potrzeba znać ją, jej przewonnem powietrzem odetchnąć, w bezkreśne równiny wzrok rzucić, by doznać jej czarów przemożnych. Rozbudzona wyobraźnia nie łatwo do snu się ukołysze, głosy jakieś po nocach budzić cię będą i gnać naprzód do bajecznych, zaczarowanych krain.

Lasze ptasze poznało step i nieraz jeden samotnie z gwiazdami rozmawiało. Nie bardzo się troszczono, gdy Bohdanek od chutoru się oddalił i godzin parę w stepowej pustce zabawił. Znała wieś cała to lackie pacholę, a nikt mu nic złego nie zrobi. Spotkany ślepiec na lirze zagra, dziewka wyściska, wycałuje i puści, koniucha bat da do ręki i klaskać nauczy, albo pokaże jak to palcami na *supiłce* przebiera się. Czasami Zujówny, dla żartu, w pogoń za laszkiem pognają, to on umyka przed niemi, w burzany się kryje, lub w proso, jak zając, zapadnie. Aż oto razu pewnego zniknął z chutoru starego znachora i nie powrócił. W chacie Zujowej powstała trwoga, Zajówny *zawiodły*, a on „rucianym wybrzeżem Sieniuchu, ponad Rosią, wśród białych konwalii wzdłuż Taśminy“ w step poszedł i zabłąkał się w pustkowiu dzikiem. Ale się nie uląkł... Szedł dniami i nocami, aż się znalazł na polu paprociowem, strzeżonem przez żórawia starego. Zobaczywszy go, żóraw mrugnął, i gdy lasze ptaszę podeszło, ptak dał mu kwiat tajemniczy. Z podarunkiem tym moc dziwna w dziecko wstąpiła, uczuło coś w rodzaju objawienia, otworzyły się przed nim tajniki przyrody, a rusałki pląs zawiodły i poprowadziły go do gaju zielonego. Siła zaklęć spoczęła na dziecku, odtąd nie wyjdzie już z zaczarowanego kręgu pieśni.

Taką opowieść nam dał poeta o tem zniknięciu swojem, o przygodach w wędrówce napotkanych, o duszy swojej oczarowaniu.

Baśń czarodziejska!

Łatwo tu jednak odróżnić rzeczywistość od zmyślenia; ale, napewno, umysł dziecka, obdarzonego od natury siłą twórczą, przyzwyczajonego już w chacie znachora do patrzenia na świat przez pryzmat cudowności, oswojony z duchami i upiorami: przy spotkaniu się ze stadem żórawianem na polu porosłem paprocią, doznał widzenia i w to widzenie uwierzył. Zresztą cudownością to nawet nie było: step rozbudzał wyobraźnię, samotność wycieczki podniecała nerwy, a pytanie: czy zjawiska fantazyi są mniej od rzeczywistości prawdziwe?

Gdy po dwóch latach opuszczał chutor znachora, wiemy już jakiemi zgłoskami była zapisana biała karta duszy dziecka. Step mu zdrowie powrócił, Zuj wychował, Zujówny oczarowały, sercem zaś całem zwrócił się do przeszłości kozaczej, gdzie „czarnym szlachem, za swym lachem Ukraina wzdłuż“ ciągnęła, idąc za marami, na których spoczywał druh serdeczny, ów pan Lanckoroński w pieśniach dawnych sławiony. Ojczyzna szlachecka dla Bohdana zawarła się w ramach ukraińskich, dopiero później, w czasach nauk uniwersyteckich w Warszawie, że się tak wyrazimy, spolonizował się. Rozszerzenie światopoglądu tego zawdzięcza pieśniom Jana z Czarnolasu.

Wpłynął, ale nie utonął w niem. Tak dalece pociągał go ku sobie czar wspomnień, tak patrzał na wszystko przez pryzmat miłości do Ukrainy swojej, że gdy w Warszawie zakochał się w pannie Róży Żukowskiej, która za piękność uchodziła, tę ukochaną swoją „Zoryną“ musiał nazwać, i nie mógł inaczej przedstawić bogdanki, tylko na tle pól ukraińskich, w fantastycznem otoczeniu świata rusałczanego. I oto, z chabra polskiego stepowy kwiat wykwitł; syrena warszawska przemieniła się w boginkę fal dnieprowych. W miłosnych więc nawet zachwytach poety czuć wpływ Zuja, wieczornic, skazek i dum, to wszystko, czem oddychał chutor i jego mieszkańce. Takiego „Zamku Kaniowskiego“ Zaleski nie mógłby napisać; nie dlatego, by brakło mu sił do nakreślenia obrazów pełnych mordu i gwałtu, lecz wprost dlatego, że wypadki podobne uważał za wyjątki z ogólnego prawidła, że w kalejdoskopie barw, mieniących się w duszy jego, brak było koloru czarnego, tak go pokryły złoto baśni i szkarłat szat rycerskich; a choć późniejsza znajomość dziejów zdzierała mu z oczu przepaskę ułudną: on własnemi oczyma widział ludzi innych; a dzieje—to step, to Zuj, to pieśni wieczornicowe, to najpiękniejsze chwile jego młodości, to cały tej przeszłości urok, którą on z mlekiem wypił, z chlebem spożył w ocienionym białemi kwiatami wisień chutorze Zujowym, i dlatego to, w „Synowskim żalu“ nawet, gdy żadne z górnych jego marzeń nie spełniło się, gdy czas wyrywał pióra natchnień, a pod palcami poety struny gęśli twardniały—błagał Ukrainę o przysłanie mu czarnobrewy, a za to obiecywał *sto dum dać rocznie*. Ale rydwan dziejów szybko pomykał naprzód w barwach coraz czarniejszych rzeczywistość stawała przed oczyma poety, a klęski kraju, rok rzezi humańskiej, rzucają go do stóp krzyża. Lud zawiódł—bratnia polała się krew... i oto wieszcz stary pieśń swoją przeklął, a tylko rozpacz straszna przekleństwo takie wywołać mogła, bo w pieśni tej zawarło się życie całe, najdroższe skarby młodości i wiara przeogromna.

Za zło, com widział *bezdusznie* oczyma,
Za zło, com usty *świergotał nikczemnie*,
Za zło, com *nie kląt*—odpuszczenia niema,
Po wieki wieków niema!... Zły duch we mnie!

Nie złamał się jednak duch poety, bo silne oparcie znalazł w *wierze*. W niej szukał zapomnienia trosk, ukojenia i pociechy po zerwaniu się wszystkich pięciu strun gęśli. Ale w pieśniach tych, o nastroju religijnym, niema siły dawnej, porywającej żywiołową potęgą natchnienia. Rezygnacya nie mogła zastąpić zapału, a cicha, spokojna religijna wiara—potęgi wiary dawnej.

Wpływy, jakie w latach dziecinnych oddziałały na duszę poety—promieniem sławy otoczyły czoło jego, ale zarazem długotrwałej nie zapewniły mu pamięci. Ukraina, taka, jaką on ukochał, jaką mu przyniosły baśni ludowe, opowieści Zujowe, jaką wreszcie sam w duszy swojej wyśpiewał, była widmem nie mającem w przeszłości życia rzeczywistego, ani mogąca w przyszłości podobnem tchnąć życiem. Wiarę swoją, w cudownie pięknych rytmach wypowiedzianą, mógł przelać w płomienne dusze słuchaczów epoki ówczesnej, ale gdy logika wypadków całkiem inne ukazała oblicze: powstał tylko dźwięk pusty, życiowej nie posiadający wartości. Stąd ból poety, zapomnienie, niezrozumienie nawet... przez pokolenia w innych warunkach wychowane. Być może, że gdyby nie wchłonięcie owych czarów stepowych, rozszerzyłyby się ramy pieśni Bohdanowej i nieby nie straciły na sile swojej, ni na świeżo-

ści w czasach dzisiejszych; lecz być może także, że gdyby nie Zuj, nie wieczornice, nie zaklęty a czarodziejski świat podań, tak przemożny wpływ na duszę dziecka wywierający: nie rozbudziłaby się w niej iskra natchnienia, nie rozwinęłyby się skrzydła do lotu górnego. Są chwile pewne, w tych chwilach tchnienia pewne, rozbudzające siłę twórczą w piersiach ludzkich; gdy chwile te miną, już się nic później w tej piersi nie zbudzi. Pomimo wszystko jednak, Zaleski, w czasach rozkwitu romantycznej literatury naszej, jest zjawiskiem niezwykłem, i pozostanie na zawsze twórcą formy, wyrazem danej epoki, w której uwierzyć było łatwo nawet w zamki na lodzie. Nie Malczewskiemu też przypada zaszczyt (jak chcą niektórzy) utworzenie tak nazwanej „szkoły ukraińskiej.“ W *Maryi*, prócz tytułu, że jest powieścią *ukraińską*, ukraińskiego nic niema: ani ludu, ani zabobonów, zwyczajów i wierzeń jego; ani przyrody nawet ukraińskiej, tego tchnienia przestrzeni nie czujemy w tym poemie pięknym, owianym mgłą sentymentalizmu. Pieśń Bohdanowa i dzisiaj, jak marzenie, ukołysać nas może, jeno duchem przenieść się potrzeba w owe czasy minione.

Z tygodnia na tydzień.

Popielec.

Uczyń krzyżyk nad czołem,
Posyp głowę popiołem,
Płacz w skrusze,
Iżeś, k'woli uciechom,
Przedał troskom i grzechom
Swą duszę!

Owo przyszła godzina,
Owo dzień się poczyna
Pokutny!
Rozpamiętuj swe winy,
Duchem w górne krainy
Leć smutny!

Żeś zaniedbał dla ciała
Jutrznię, która-ć czekała,
Zbawienia,
Bij dziś głową o głazy,
Pij kruż, większą dwa razy,
Cierpienia!

Z myślą skruchą przejętą
Mów pokornie: „Memento!“
Zniż skroni!
Owo żywot człowieka:
Czas, jak strzała, ucieka,
Śmierć goni!

Na cóż twoje zachody?
Czyliś stary, czy młody,
Myśl w sobie:
Każdy w ludzkich narodach
Jest, by żeglarz na wodach:
Port—w grobie!

Drogie szaty, szkarłaty,
Niezwalczone bułaty
Zetleją!
Li rab cnoty i prawdy,
Ten się brata nazawdy
Z nadzieją!

Uczyń krzyżyk nad czołem,
Posyp głowę popiołem,
Płacz w skrusze,
Iżeś, k'woli uciechom,
Przedał troskom i grzechom
Swą duszę! *ao*

***

Wystawa Józefa Pankiewicza.

Przyjęta przez Taine'a dla sztuki teorya środowiska sprawdza się rzeczywiście, ale najczęściej w sensie wręcz odwrotnym: ludne, ruchliwe miasta handlowe hodują w murach swych, wśród zgiełku, wrzawy, huku kół fabrycznych, gorączkowej zabiegliwości mas, natężonej pracy dla grosza i najszaleńszych orgii użycia samotnych marzycieli, obojętnych zupełnie na mrówcze wysiłki otoczenia; przejęte sceptycyzmem do szpiku kości, najbardziej racyonalistycznie usposobione społeczeństwa wydają z łona swego rozemglonych w tajemniczości mistyków.

Jest to jakoby bezwiedna a konieczna u pewnych organizacyi reakcya przeciw naciskowi zzewnątrz, rewolucyjny protest dusz wyjątkowych, które za wszelką cenę opierają się prądom porywającym je do zszarzenia się w tłumie.

Ruskin urodził się wśród praktycznych, wyrachowanych kupców, przedsiębierczych kolonizatorów, aż nazbyt pozbawionych wszelkiego sentymentalizmu w swej bezwzględności zdobywczej, a stał się fanatykiem piękna, jakiejś chimery nieuchwytnej, dla której przeklął wszystkie najdonioślejsze zdobycze techniki współczesnej. Wychował się on między trzeźwymi protestantami chłodnego Albionu, a ukochał przedewszystkiem sztukę religijną płomiennych Włoch, ową najbardziej katolicką, przepełnioną, szczerą, naiwną wiarą sztukę prymitywów z epoki przedrenesansowej. W bezwyznaniowym Paryżu znowu taki Huysmans, jeden z najbardziej przerafinowanych poetów i myślicieli wstępuje do klasztoru.

Jednym z takich zjawisk zaprzeczenia prostej proporcyonalności artysty do otoczenia, zjawiskiem niepowszednim, choć trzeba przyznać, nie zupełnie odosobnionem wśród naszych malarzy i rzeźbiarzy, jest Józef Pankiewicz, którego wystawę zbiorową urządziło obecnie Towarzystwo Zachęty. Artysta ten zostaje wierny ideałom sztuki bezinteresowej, dziś, w epoce ohydnego rozuzdania się merkantylizmu, kiedy kult złotego cielca przechodzi jakieś epileptyczne drgawki, kontorsye i sięga najwstrętniejszych form wynaturzenia istoty ludzkiej.

Zbiór prac wystawionych, jakkolwiek obejmuje okres przeszło dziesięcioletniej pracy, nie jest zbyt obfity liczebnie, ani też nie imponuje wielkością płócien. Nic natomiast nie zdradza tego, że artysta pracował w wieku telegrafii bez drutu i szybkiego wzbogacania się na giełdzie, owszem zda się, jakoby obrazy te powstały gdzieś w zaciszu ustronia klasztornego, za owych dobrych, odległych czasów, kiedy się nie trzeba było śpieszyć.

Wszystko tam przemyślane, wystudyowane poważnie, wyczute głęboko, pewne, dojrzałe i artystyczne zarazem, że rzeczywiście odrzyna się jaskrawo od ogółu twórczości dzisiejszej, nacechowanej pewną dorywczością i pośpiechem.

Zbiór rozpoczynają obrazy, które Pankiewicz malował między rokiem 1889 a 1892 metodą impresyonistów francuskich. Pierwsza próba w tym kierunku: „Portret p. L.,“ przez niedość harmonijne zestawienie surowych kolorów, jest mniej udatna, za to przepyszny jest „Targ na kwiaty,“ pełen światła i barwy.

Doskonały jest również traktowany w tym duchu „ogród“ z dziewczyną zrywającą kwiaty. Odznacza się on dziwną jasnością i powietrznością tonu. Następnie artysta, porzuciwszy jaskrawe, migocące żywością barw jasnych obrazy słoneczne, zwraca się do efektów zupełnie przeciwnych, do tonów szarych, przyćmionych, wśród mroków nocnych, gdzie przedmioty majaczeją jak widma niepewnymi konturami. Tak powstaje szereg nokturnów („Nokturn,“ „Łabędzie,“ „Stare miasto,“ „Wązki Dunaj“) o szczerze poetycznym nastroju i przedziwnej subtelności w przeprowadzeniu niezmiernie trudnego, bo pozbawionego silniejszych kontrastów światłocienia. Szczególniej uderza „Przedświt“ istotną potęgą budzącego się wśród szarych mgieł porannego brzasku.

Jest tam jeszcze cała serya portretów, oświetlanych zawsze ciekawie i oryginalnie, z których portret damy z dzieckiem zwracał niegdyś uwagę na wystawie „Sztuki“ krakowskiej.

Następnie idą krajobrazy najnowsze, akwarele i szereg przepysznych akwafort, o których chciałbym kiedyś obszerniej pomówić.

T. Jaroszyński.



Vaclav Driml G. Platenik J. Kostiál J. Hurban Vaclav Żima
Jan Fuda A. Dobry Józef Bartan Ferd. Pribyl Antoni Rauch

Delegacya czeska w Warszawie.

(Ob. art. w „Kronice pow.“).



„ŚPIEWAJĄCE JEZIORO“
BOHDANA ZALESKIEGO

KONSTANTY GORSKI

4

WŁADYSŁAW REYMONT.

CHŁOPI.

POWIEŚĆ 6)



Ulisia tego Wojtka, co to za kościołem siedzi?...

— I... to la kawalera... z przychówkiem, chłopak, mógłby już być do pasionki, ale Maciejowi tego nie potrza, ma już swojego pastuchę.

— Jeści jeszcze, jest tego nasienia pannowego, ale ino wybieram takie, coby pasowały la Macieja.

— A zabaczyłaś o jednej, coby była la nich w sam raz.

— Którna?...

— A Jagna Dominikowa?

— Prawda, całkiem o niej przepomniałam.

— Sielna dziewucha, a rosła, że bez płot nie przejdzie, bo żerdki pod nią pękają, a piękna, biała na gembie, a urodna kiej jaka jałowica.

— Jagna—powtórzył Boryna, słuchający w milczeniu wyliczania: — a to powiedają o niej, że łasa na chłopaków.

— Ale! był to kto przy tem, to wie! Pleciuchy pletą byle pleść, a wszystko ino przez zazdrość—broniła mocno wójtowa.

— Ja też nie powiadam sam z siebie, ino tak pogadują. Ale, trza mi iść—poprawił pasa, wraził węgielek w fajkę i pyknął parę razy.

— Na którą to w sądzie?—zapytał spokojnie.

— Na dziewiątą napisane w powiestce. Musicie do dnia wstać, jeśli na piechty.

— I... źróbką se wolno pojadę. Ostańcie z Bogiem, dziękuję wama za pożywienie i somsiedzką radę.

— Idźcie z Bogiem, a pomyślcie cośwa wama raili. Powiecie, to z wódką pójdę do pani matki, i jeszcze przed godami sprawim wesele.

Boryna nie odrzekł nic, łypnął ino oczyma i wyszedł.

— Jak stary młódkę bierze, dyabel się cieszy, bo profit z tego miał będzie — rzekł dziad poważnie, skrobiąc głośno po dnie miski.

Boryna wolno wracał i żuł w sobie rozważnie, co mu raili. Nie dał poznać po sobie, tam u wójtów, że mu się ta myśl strasznie udała, bo jakże, gospodarz był a nie żaden chłopak, co to ma jeszcze mleko pod nosem, a na wspominek o żeniaczce aże kwiczy!

Noc już ogarnęła ziemię, gwiazdy srebrną rosą połyskiwały z ciemnych głuchych głębin, cicho było we wsi, psy tylko niekiedy poszczekiwały, a tu i owdzie, z poza drzew, mżyły się słabe światełka... Czasem wilgotny podmuch zawiał z łąk, że drzewa poczęły się lekko chybotać i z cicha poszemrywać listkami.

Boryna nie wrócił drogą, jaką był przyszedł, tylko puścił się w dół, przeszedł most, pod którym woda z bełkotem przelewała się do rzeki i waliła głucho na młyn, i nawrócił na drugą stronę stawu. Wody leżały cicho i lśniły się czarniawo, pobrzeżne drzewa rzucały na taflę czarną cienie i jakoby ramą obejmowały brzegi, a w pośrodku stawu, gdzie jaśniej było, odbijały się gwiazdy, niby w zwierciadle stalowem.

Maciej sam nie wiedział, dlaczego nie poszedł prosto do domu, a wybrał dłuższą drogę, może aby przejść koło domu Jagny, a może aby zebrać nieco myśli i pomedytować.

— Jušci, że byłoby niezgorzej! jušci! A co tam o niej mówią, to taka prawda!...—splunął:—sielna kobieta!

Dreszcz nim wstrząsnął, bo i chłód wilgotny szedł od stawów, a u wójtów gorąc był silny.

— A bez kobiety trza zmarnieć, abo dzieciom gospodarkę odpisać...—myślał.—A duża jucha i kiej malowana. A krowa najlepsza padła, a kto wie jutra?... Może to i trza poszukać żony? Tyle obleczenia po nieboszce jest, przygodziłoby się. Ale stara Dominikowa to pies... a cóż, mają chałupę i gront, toby na swojem ostała. Troje ich, a mają piętnaście morgów, to niby na Jagnę pięć i spłata za chałupę i lewentarz! Pięć morgów, to rychtyk te pola za mojem kartofliskiem... żyto widzi mi się posiały latoś, tak... pięć morgów do moich to.. trzydzieści i pięć bez mała! Karwas pola!...

Zatarł ręce i poprawił pasa.

— To ino młynarz ma więcej... złodziej, krzywdą ludzką a procentami, a oszukaństwem tyla nabrał... A na bezrok, podwiózłbym gnoju a uprawił i pszenicy posiał na całym kawale; koniaby trzeba przykupić, a i po granuli krowinę jaką... Prawda, krowęby dostać dostała...

I tak rozmyślał, liczył, rozmarzał się gospodarsko, aż czasem i przystawał z głębokiej deliberacyi. A że mądry chłop był, to wszystko zasie zbierał w sobie i głęboko w głowę patrzał, coby czego nie prześlepić i nie przepomnieć.

— Wrzeszczałyby juchy, wrzeszczały!—pomyślał o dzieciach, ale wnet fala mocy i pewności zalała mu serce i skrzepiła głuche jeszcze, wahające postanowienia. — Gront mój, wara komu drugiemu do niego! A nie chceta, to...

Nie skończył, bo stanął przed chałupą Jagny.

Świeciło się u nich jeszcze, i przez otwarte okno padała szeroka smuga światła i szła przez kierz georginiowy i nizkie drzewa śliwkowe aż na płot i drogę.

Boryna stanął w cieniu i zapuścił wzrok w izbę.

Lampka tliła się nad okapem, ale w kominie musiał się buzować tęgi ogień, bo słychać było trzask świerczyny i czerwonawe światło zapełniało ogromną, mroczną po kątach izbę; stara skulona przed kominem czytała cosik głośno, a Jagna przeciw niej, twarzą do okna siedziała; w koszuli była tylko i z podwiniętemi do ramion rękawami, podskubywała gęś.

— Urodna jucha, to urodna!—myślał.

Podnosiła czasem głowę, nasłuchiwała matki, wzdychała ciężko, to znowu brała się skubać pióra, aż gęś zagęgała boleśnie i rwać się poczęła z krzykiem z jej rąk, i bić skrzydłami, że puch się rozwiał po izbie białym tumanem.

Uspokoiła ją rychło i mocno ściskała kolanami, że gęś jeno pogęgiwała z cicha a boleśnie, i odpowiadały jej inne gdzieś z sieni czy podwórza.

— Piękna kobieta!—pomyślał i odszedł śpiesznie, bo mu uderzyło do głowy, aż się podrapał, zapiął pętlę i pasa przyciągnął.

Już był w swoich wrotach i wchodził w opłotki, gdy się obejrzał na jej dom, bo rychtyk stał naprzeciw, tylo że po tamtej stronie wody. Ktoś akuratnie wychodził, bo przez drzwi uchylone lunęła struga światła i jak błyskawica zamigotała i padła aż na staw, potem czyjeś mocne stąpania zadudniły, i rozległ się chlupot wody nabieranej, a w końcu, wskroś ciemni, i tych mgieł co się były zwlekały z łąk, śpiew się ozwał przyciszony:

— Ja za wodą, ty za wodą
Jakże ja ci buzi podam?...
Podam ja ci na listeczku,
A naści-że, kochaneczku!...

Słuchał długo, ale głos rychło przepadł, i światła wkrótce pogasły. A na niebo wtaczał się z za lasów księżyc w pełni i rozsrebrzał czuby drzew i siał przez gałęzie światło na staw, i zaglądał w okna chat, co mu były naprzeciw.

Psi nawet pomilkli, cichość niezgłębiona objęła wieś całą i stworzenie wszelkie.

Boryna obszedł podwórze, zajrzał do koni: parskały ano i gryzły obroki; wsadził głowę do obory, bo drzwi dla gorąca stały otworem: krowy leżały przeżuwając a postękując, jako to jest zwyczajnie u bydlątek. Przywarł wrota do stodoły, i zdjąwszy kapelusz, szedł do izby i mówił półgłosem pacierz.

A że spali już wszyscy, rozzuł się po cichu i zaraz legł spać. Ale zasnąć nie mógł, to pierzyna go parzyła, że nogi z pod niej wysadzał, to mu po głowie chodziły sprawy różne, a turbacye, a pomyślenia... to mu brzuch ano ciężył srodze, że postękiwał i mruczał.

(DCN)

Włodzimierz Zagórski.

Wspomnienie pozgonne.



Śpiewak „Króla Salomona” rozstał się z tym światem dnia 13 lutego 1902 roku, u Św. Ducha w Warszawie.

Umarł w szpitalu — wprawdzie w oddzielnej, obszernej i widnej celi, otoczony wszelkiemi wygodami—nie mniej jednak wprost przerażająco brzmią te dwa wyrazy. Nie tak mógł i powinien był dokonać zasłużonego na polskiej niwie piśmienniczej swego żywota jeden z największych liryków po-Mickiewiczowskich, nietyle podeszły wiekiem, ile zmęczony ciężkiemi przejściami materyalnemi w latach ostatnich i—powiedzmy drugą prawdę: zniechęcony w końcu brakiem należytego uznania u... swoich.

Dlaczego się tak stało, nie czas i nie tu miejsce nad tem się zastanawiać. Uszanujmy ostatnią wolę zgasłego poety:

„A kiedy mnie już pośród was nie będzie,
Niech nikt nie bada tajni mego życia:
Jaki duch stroił mych pieśni narzędzie
I z jakich włókien jam prządł moje śnicia,
Bo gdybym to wam otwarcie wynurzył—
Duch wasz-by pobladł...“

Ś. p. Włodzimierz Ostoja-Zagórski urodził się dnia 7 listopada 1834 roku, we wsi Czechy w powiecie Brodzkim w Galicyi wschodniej, z rodziców, należących do bogatej szlachty tamtejszej. Wychowanie otrzymał nadzwyczaj staranne w domu rodzicielskim, gdzie też pobierał nauki początkowe od Jana Zacharyasiewicza i cenionego pedagoga, Szyndlarskiego. Ukończywszy gimnazyum św. Anny w Krakowie, kształcił się w szkole wojennej inżynierów w Krems, poczem w stopniu podoficera wszedł do wojska austryackiego i brał udział w kampanii francusko-włosko-austryackiej Napoleona III—między innemi w bitwie pod Solferino (24 czerwca 1859 roku) W początkach 1860 roku, uniesiony powszechnym zapałem dla sprawy włoskiej 25-letni Zagórski zaciągnął się do legii węgierskiej Garibaldiego i jako ochotnik walczył pod sztandarem wielkiego patryoty włoskiego za niepodległość i zjednoczenie Italii.



Włodzimierz Zagórski.

Pobyt na półwyspie Apenińskim, w warunkach jakby wymarzonych dla przejętego rycerskim duchem przodków młodzieńca — płynął niewątpliwie na pierwsze poruszenie milczących dotychczas strun jego duszy, gdyż oto w 1861 r. młody Zagórski, bawiąc w Sorrento, pisze prześliczną „Barkarolę,” (drukowaną niegdyś w *Tygodniku Illustrowanym*), a w roku następnym, przebywając w Neapolu, tworzy: „Evoe,” „Fata Morgana” (z legend włoskich) i „Na głębinach.” Pierwszy ton jego pieśni był czysto liryczny i pozostał w niej aż do końca jako *semitonium modi*, chociaż Zagórski w 1865 roku zaczął pisywać kroniki tygodniowe do *Hasła*, a następnie, redagując i wydając kolejno *Różowe Domino*, *Szczutka* i *Chochlika* — pod pseudonimem identycznym z nagłówkiem tego ostatniego czasopisma, przez lat kilkanaście wyśpiewywał humorystyczno-satyryczne piosenki, w których wytykał ujemne strony budzącego się wówczas w Galicyi życia autonomicznego — z wielkim dla społeczeństwa swego pożytkiem.

Piosenki i przekłady poetyczne *Chochlika* zjednały Zagórskiemu w całej Galicyi ogromną popularność: taka „Historya Patryarchy Noego,” „Historya Proroka Jonasza” i inne stały się niemal własnością powszechną, ale powstrzymywały go długo od należytego rozwinięcia szerokich skrzydeł poety. Na szczęście, jakeśmy powiedzieli, pierwsza liryczna nuta jego pieśni nie przestała być w niej ani na chwilę nutą prowadzącą.

Zagórski, utożsamiając siebie z przesiąkłym filozoficznym pesymizmem i oddającym się upajającej zmysłowości Ekklezyastą—napisał i wydał w 1878 roku wspaniały poemat liryczny w trzech częściach p. t. „Król Salomon,” będący perłą w koronie jego twórczości, a przez który dowiódł niezbicie, że jest lirykiem *di primo cartello*, i odtąd przeważnie jako liryk występował na niwie poetyckiej (przeniósłszy się bowiem do Warszawy, pisywał również powieści, nowele i krytyki literackie). Ale „Król Salomon” był właściwie dziełem chorego na duszy człowieka: Zagórski w poemacie tym wybucha wprost ateistycznie.

„Wiara sprawia zawsze wrażenie zdrowia, ateizm—choroby” (mówi Gomulicki)—a właśnie zdarzyło się, że i ciało poety podlegało chorobie. Cierpiąc podwójnie: moralnie i fizycznie—Zagórski zaczął pragnąć, tęsknić i szukać Boga—i w ten sposób powstał piękny i podniosły „Psalm Tęsknoty,” stanowiący „konieczną dośpiewkę” do „Króla Salomona,” gdyż dopiero „obydwa te utwory stanowią pod względem przewodniej myśli jedną całość i zaznaczają dwa główne momenty owej ewolucyi pojęć, jaką pod wpływem doktryn nowożytnej filozofii przechodzić musi każdy umysł trzeźwy i nieuprzedzony”—według własnych słów nawróconego do starej wiary ojców poety.

Odzyskał tedy ś. p. Zagórski wiarę w Boga, ale przestał, niestety, wierzyć po dawnemu w ludzi i zniechęcony, jakeśmy już powiedzieli, brakiem należytego uznania u swoich, oceniał ich podobnie, jak niegdyś Alfred de Vigny oceniał społeczeństwo francuskie. Mimo to nie przestał dla nich pracować i od lat piętnastu pisał między innemi rzecz prawdziwie pomnikową p. t. „Teorya rytmicznych Dominant, jako prawo rządzące akcentacyę wielozgłoskowych wyrazów i budową polskiego wiersza.” Zasłynąwszy jako mistrz formy, ś. p. Zagórski, uważając poezyę za muzykę słowa, *stworzył w teoryi poezyi—kontrapunkt*, i to *podwójny*, w którym dwa głosy są tak prowadzone, że niższy może zająć miejsce wyższego. Odrzucając zupełnie t. zw. średniówkę jako niczem nieusprawidliwione przerywanie myśli i toku wiersza, przyjął za jego podstawę wiersz 11-sylabowy z dwiema zasadniczemi dominantami, na 4-ej i 10 sylabie, np.:

„I-ty-le-*tęcz*-za | pa-lisz-na-twem-*nie*-bie,
I-leś-za-*mło*-du | słoń-ca-wchło-nął-*w sie*-bie.“

Dawna średniówka nie pozwoliłaby na ten dwuwiersz, gdyż jak widzimy przedziela wyraz *zapalisz* po pierwszej sylabie, Zagórski zaś poszedł jeszcze dalej w swojej czysto muzycznej punktacyi wiersza, przerzucił w nim bowiem dominantę nawet po za t. zw. średniówkę, np.:

„Dla-cie-bie-*świ*-ty | **zórz**-i-ptasz-ków-*gra*-nie,
Dla-cie-bie-*ust*-ró | **ża**-nych-słod-ki-*miód*. *“

W ten sposób postępując, rozwiązał niezrozumiałe dotychczas u Słowackiego dysonanse i odkrył wspania-



Włodzimierz Zagórski na łożu śmierci.
Szkic z natury Ant. Kamieńskiego.

łe efekty przy podobnem przerzucaniu dominant w „Beniowskim,“ np.

„Sta-li-śmy-*jak*-dwa | **sny**-o-bo-je-*my*-śląc.
Niech-się-ko-*me*-dya | **gra**...“

Niepodobna nam tu rozpisywać się ani nawet dać przybliżonego pojęcia o całokształcie tej wielkiej pracy ś. p. Zagórskiego. Chociaż znana tylko ze słyszenia—obudziła ona wielkie zaciekawienie w kołach naukowo-literackich. Profesor Baudoin de Courtenay zachęcał osobiście autora do ukończenia jej i złożenia krakowskiej Akademii Umiejętności. Warszawska Kasa Mianowskiego nie odmówiła mu nawet swego poparcia w tym względzie.

Niestety! inne prace literackie z niezależnych od niego powodów odrywały go często od tego dzieła. W 1898 r. dokonał mistrzowskiego przekładu 1-go i 2-go aktu Rostandowskiego „Cyrana de Bergerac“ (3-ci i 4-ty akt tłómaczyła Marya Konopnicka, 5-ty akt przełożył Witold Łaszczyński), stając jako tłómacz na wyżynie Mickiewiczowskiego przekładu „Romea i Julii“ Szekspira. Ale praca nad „Teoryą rytmicznych dominant“ wprawdzie zwolna—postępowała, lecz śmierć nieubłana nie pozwoliła mu dokończyć najukochańszego tego jego dzieła.

Chociażby jednak ś. p. Zagórski nic więcej nie był napisał prócz „Króla Salomona“—jużby imię jego przeszło do potomności, uwieczniając się złotemi zgłoskami na kartach naszego piśmiennictwa. „Poeta Zagórski“ będzie zawsze pomiędzy nami, „bo jego miejsce jest w żyjących kole,“ jak to sam o sobie powiedział.

Dziś—na wieczne pożegnanie—spełniając ostatnią wolę zmarłego, rzućmy mu przyjazną dłonią snop róży

„Na czoło niegdyś pogodą tak dumne,
By nikt nie dojrzał, że się w śmierci chmurzy,
I że tu leży—zwalczony, ponury,
Odarty z śmiechu tak, jak król z purpury.“

WITOLD ŁASZCZYŃSKI.

IGNACY MATUSZEWSKI.

STANOWISKO MICKIEWICZA
W LITERATURZE WSZECHŚWIATOWEJ.

8)



Taki Hamlet np. będący uosobieniem odwiecznych walk pomiędzy myślą a wolą, dotyka z jednej strony staroindyjskiego Ardżuny w „Bagawad Gicie,“ *) z drugiej zaś współczesnych „mózgowców,“ kreślonych przez Bourget'a, d'Annunzia, Sienkiewicza („Bez dogmatu“) i Arne Garborga.

Każdy z wielkich symbolicznych typów dlatego właśnie jest wielki, że skupił w sobie niepożytą treść idejową, albo życiową: w każdej literaturze odnajdujemy Hamletów, Faustów, Prometeuszów, Manfredów, Zygfrydów, Wertherów, Edypów, oraz Achillesów, Hektorów, Odyseuszów, Makbetów, Otellów, Romeów, Jagonów, Falstafów, Harpagonów, Andromaki, Imogeny, Kordelie, Gonerylle i Klitemnestry, gdyż każdego wielkiego poetę pociągały podobne zbiorniki złych albo dobrych uczuć, potężnych myśli i energii życiowej. Jeżeli go zaś nie pociągały, albo jeżeli nie umiał sobie z nimi poradzić pod względem artystycznym, to był widocznie poetą średniej miary i nie zasłużył na piedestał w panteonie poezyi wszechświatowej.

Niewątpliwie, że stopniowa zmiana warunków społecznych rodzi nowe typy, które poeci odtwarzać mogą, a nawet muszą, ale w zbadanym przez nas okresie dziejów cywilizowanej ludzkości typów *bezwzględnie* nowych powstało niesłychanie mało.

Czyż Cezar np. nie przedstawia analogii duchowej z Napoleonem? Aspazya z Ninon de L'Enclos, Demostenes z Gambettą? W każdem większem państwie, czy mieście spotkamy Alcybiadesów, Koryolanów, Katyliny, Antoniuszów, Lukullusów, a nawet Katonów i Brutusów etc. Niema wśród znanej nam ludzkości charakteru, zarówno dobrego, jak i złego, który byłby unikatem w swoim rodzaju. Bohaterowie i nikczemni tchórze, męczennicy i egoiści, rozpustnicy i asceci, mędrcy i zaślepieńcy, kurtyzany i czyste dziewice, rajfurki i zacne matrony, okrutnicy, rozpustnicy i leniwcy, oraz zdolni do najwyższych poświęceń ludzie czynu i pracy, wszystko to istniało wszędzie i zawsze, skoro tylko cywilizacya dobiegła pewnego stopnia rozwoju.

Historya Egiptu nie różni się pod tym względem zasadniczo od dziejów Babilonu, Rzymu, Grecyi i państw nowo-europejskich.

Drugorzędne cechy psychologiczne zmieniają się z każdym wiekiem, z każdą generacyą, z każdą jednostką niemal, ale sama istota uczuć, myśli i woli ulega modyfikacyom tak powolnym, jak cały wszechświat, którego cząstkę integralną stanowi, a którego etapy ewolucyjne trzeba mierzyć nie tysiącami, lecz milionami lat.

Otóż ponieważ sztuka zniewolona jest obracać się w niezbyt szerokim względnie okresie dziejów, zawsze prawie sięgając głębiej, natrafia na te same stałe, skrystalizowane pokłady duchowe, i wtedy tylko, jeżeli z nich, a nie z ruchliwej i lotnej, jak piasek, powierzchni jedynie, czerpie materyał treściowy, zdoła stworzyć dzieła trwałe, mogące przemawiać z równą siłą nie do jednego, lecz do całego szeregu pokoleń i wieków.

Nie idzie za tem, żeby sztuka miała się wyrzekać indywidualizacyi; przeciwnie, indywidualizacya uczuć, akcentowanie subtelnych odcieni myślowych, uwydatnianie rysów charakterystycznych, a nawet wyjątkowych, to wszystko nadaje dziełom sztuki cechę życia, które jest na pozór podobne do wartkiego potoku: ale pod szumiącemi i pędzącemi naprzód falami spoczywa zawsze granitowe, spokojne i nieruchome dno psychologiczne, którego spadek i kształty normują bieg i siłę życiowego prądu. Pienisty potok może wyschnąć w przeciągu kilku godzin: dno pozostaje jednakiem przez długi przeciąg czasu, o tem zawsze pamiętać należy.

Obawa monotonności i szablonu jest płonną z tego względu, że najstarszy nawet temat, rozpatrywany bywa zawsze, nb. jeśli się do niego bierze poeta *prawdziwy*, przez pryzmat podmiotowej wrażliwości i przedstawiany pod kątem osobistego punktu widzenia, wskutek tego, przy stałych konturach zasadniczych przedmiotu, koloryt zmienia się ciągle, nadając rzeczom odwiecznym urok świeżości i piękna; subjektywizm autora odmładza i ozdabia za każdym razem nanowo niezmienne "objektywne" czynniki psychiczne, czyniąc je przez to godnymi przebywania w królestwie poezyi i sztuki.

VII.

Zw[illegible]ćmy się teraz znowu do dzieł Mickiewicza rozpatrzmy je z tego stanowiska.

W szczegóły wchodzić nie będziemy, gdyż, zarówno ze względu na wielką popularność tych utworów, jak i na znaczną liczbę studyów im poświęconych, byłaby to praca w danej chwili zbyteczna. Próbę analizy estetycznej wytrzymał Mickiewicz już dawno: przyznano mu wszędzie, u nas i u cudzoziemców, i przyznano słusznie: doskonałość formy, głębokość, siłę i szczerość uczucia, jędrność stylu, wyrazistość i plastykę charakterystyki, podniosłość etycznego nastroju, słowem: wszystkie zalety, jakie wielki poeta posiadać powinien, żeby być naprawdę wielkim.

(DN)

*) Ardżuna, odważny żołnierz, bohater wsławiony, wpada przed walną bitwą w smutek i zwątpienie i nie wie, czy ma prawo godzić na życie wodzów strony przeciwnej, którzy budzą w nim cześć i szacunek, a nawet, dodaje: „gdybym zabijał rycerzy nikczemnych, żyłbym bądźcobądź pokarmem skalanym krwią.“ Zwracając się więc do Kryszny, powiada: „Z duszą zranioną przez *litość* i *obawę grzechu*, pytam cię, gdyż nie wiem już, gdzie jest sprawiedliwość? Co robić? Powiedz, jestem twym uczniem, wskaż, jak mam postępować, gdyż nie widzę sposobu wypędzenia smutku, który mnie pożera, a który nie ustąpi, choćbym posiadł olbrzymie królestwo ziemi, pozbawione nieprzyjaciół, a nawet władzę i państwo bogów. Widząc tych krewnych zdecydowanych na bój, członki moje martwieją i twarz okrywa się bladością, ciało moje drży i włosy podnoszą się do góry, łuk mi wypada z ręki, skóra się rozgrzewa, nie mogę utrzymać się na nogach, a myśl moja się mąci... Nie pożądam ani zwycięstwa, ani korony, ani rozkoszy. Cóż nam daje królewskość, co dają rozkosze? co daje życie?... Jeżeli synowie Dritarasztry uzbrojeni zabiją mnie rozbrojonego i nie stawiającego oporu—to będzie najwyższem szczęściem dla mnie... Nie będę walczył...“ (Według przekładu Emila Burnouf'a). Czyż te łkania wrażliwej duszy, zgnębionej zwątpieniem, nie brzmią tak samo, jak melancholijne monologi Hamleta lub sceptyczne wyrzekania nowoczesnych neurasteników; u których sprężyna woli przestała działać, a mechanizm refleksyi pędzi w szalonem tempie? A przecież postacie te zrodziły się w mózgach oddzielonych od siebie nie latami, lecz wiekami, i wychowanych w najrozmaitszych warunkach naturalnego i społecznego otoczenia.

NA WOKANDZIE.

Anarchia obyczajowa i projekt ustalenia dnia normalnego.

Przyjaciel mój, o którym niegdyś wspominałem w tem miejscu, pozwolił mi znowu zużytkować część pamiętnika. Myśl jego, jak widzę z notatek, w ostatnich czasach krążyła uporczywie około jednego przedmiotu: naszego marnotrawstwa sił i czasu. Wybrałem umyślnie odpowiednie ustępy i zestawiam je. Jednego dnia pisze:

„Fakt znamienny: od tygodnia praca moja nie poruszyła się ani na krok naprzód, chociaż codzień, powróciwszy z biura, do niej się zabieram. Niepodobna w Warszawie wyodrębnić się z koła filistrów; niema w niej miejsca dla ludzi pracy umysłowej. Gdzieindziej człowiek powiada sobie: będę pracował naukowo—i odgradza się od świata. Znajduje dla siebie świat odrębny, cichy, pachnący drukowaną bibułą, żyje jak student, zadowalając się niewielkimi dochodami, i nikt mu tego za złe nie weźmie. Malarz znowu, czy rzeźbiarz, ma swoją atmosferę, od rana do nocy żyje sztuką, trzyma się ludzi, którzy go w zamiarach utrwalają, podniecają do pracy i t. d.

U nas niema tej wielości światów; wytworzył się jeden t. zw. „inteligencyi," świat popularny i dbający o popularność, a kodeks obyczajowy jest dla wszystkich jednaki, na modłę burżuazyjną, z dodatkiem pewnej fantazyi warszawskiej. Wszystko, co jest w tym świecie, tworzy jeden salon, jedną „paczkę," obyczajowo zrównaną strychulcem „światowym." Każdy jest do wszystkiego, istna *Mädchen für alles:* I wiedzieć musisz dużo (o wszystkiem), pracować wiele i należeć do każdego towarzystwa zakładanego, w rodzinie być wzorem filistra, a po za rodziną wzorem bursza, ascetą być i rozpustnikiem, uczęszczać na posiedzenia naukowe i balu nie przepuścić, nadewszystko utrzymywać stosunki towarzyskie; musisz być z jednej strony działaczem publicznym, uczonym, literatem, a z drugiej strony—frantem towarzyskim.

Na to trzeba mieć przedewszystkiem wiele czasu. A pod względem ekonomii czasu stoimy tak źle, że nieraz wpadamy w rozpacz, jak bankruci, nie mający wyjścia. Od tygodnia — jak rzekłem—nie posunąłem ani na krok swojej pracy, i nietylko dlatego, że nie umiem rozłożyć sobie czasu, jak należy, ale że mi przeszkadzają. O każdej porze dnia mam „wizyty," z których większość jest bezcelowych. Ot, przychodzą znajomi na papierosa, albo mając drobny interes, który można załatwić w pięć minut, przesiadują po pół, nieraz po dwie godziny. Tak mi się sprzykrzyło stereotypowe pytanie c[illegible] powitanie: „Co słychać?"—że dusza moja zamiast odpowiedzi, wydaje jęk cichy istoty zmożonej, bezradnej, zrozpaczonej.

Przerywam, bo właśnie dzwoni ktoś i pyta się o mnie."

Następnego dnia przyjaciel mój pisał:

„Oczywiście siedziałem do godz. 4 i pół w nocy; nie byłbym inaczej skończył roboty. Mieliśmy gości na herbatce, rozeszli się o godz. 2-ej po północy.

Jakie my życie wiedziemy! Europejczyk w tych warunkach wyemigrowałby do Ameryki. Przecież to samobójstwo powolne taki żywot! O ósmej rano powinienem wstać do roboty, ale wtedy cały dom śpi jeszcze; zwlekam się z łóżka zmęczony zaledwie o godz. 10-ej. Chodzimy spać o godz. 3—4-ej, i w dodatku nic się nie robi.

Cała Warszawa, jak widzę, żyje tak samo. O godzinie drugiej w nocy ruch na ulicy jest nie wiele mniejszy, niż za dnia. Restauracye przepełnione, na wszystkich piętrach kamienicy tańczą, a wszędzie rej wodzi inteligencya: uczeni, literaci, inżynierowie, malarze, adwokaci, urzędnicy. Kiedy oni pracują, raczej kiedy śpią?

Kilka lat temu byłem w Peszcie. Zgubiłem bilet kolejowy powrotny i z tego powodu wypadło mi udać się do zarządu kolejowego. Wskazano mi godz. 8-ą rano, bo wtedy można się widzieć z naczelnikiem wydziału ruchu. Wziąłem to za żart: skądże naczelnik może być w biurze o godz. 8-ej! Ja sam, biedny pasażer, wstaję najwcześniej o godz. 9-ej! Ale że tak powiedziano, więc kazałem się obudzić w oznaczonej godzinie i z pewną przykrością, „skoro świt," ruszyłem do biura. Pan naczelnik siedział przy biurku, zawalony robotą... Oczom wierzyć nie chciałem.

Jest u nas coś nienormalnego w rozkładzie czasu; coraz częściej o tem myślę i jestem teraz głęboko przekonany, że połowa naszej nieprodukcyjności ma źródło w złej ekonomii dnia powszedniego.

U nas życie biegnie tak, jakbyśmy je likwidowali, jakbyśmy jutro już żyć nie mieli. Jutro—choćby potop! Zapewne gra tu pewną rolę charakter narodowy—„lekkomyślność polska." Ale z drugiej strony kultura obyczaju jest od tego, aby stworzyć pewne formy, które słaby charakter ujmą w kleszcze i wprowadzą postępowanie codzienne w żelazny tryb obyczaju, z którego wyłamać się byłoby trudno. Ludzie częstokroć żyją zgodnie z prawem (pisanem czy zwyczajowem) tylko dlatego, że wyłamanie się z pod niego kosztowałoby więcej wysiłku, niż postępowanie według prawa. Człowiek każdej rasy jest, mojem zdaniem, leniwy. Rozum, oparty na doświadczeniu, idzie mu w pomoc i stwarza nałogi zwyczajowe, które, jak gorset, trzymają człowieka prosto, nie pozwalając mu padać. Polacy nie są mniej pracowici od Niemców, czy Francuzów, ale obyczaje mają anarchiczne, źle idą w stadzie. „W Polszcze, jak kto chce."

To też kiedy ja jem obiad, to mój sąsiad składa wizyty i przeszkadza w jedzeniu; wtedy, kiedybym chciał jeść obiad, mój syn jest w szkole. Proszę spytać, jak trudno jest wybrać godzinę na posiedzenie jakiegokolwiek kolegium, choćby z ośmiu osób złożonego! Każdy z tych ludzi o pewnej godzinie robić zwykł co innego, więc dopiero koło godz. 9-ej wieczorem w pewne dni udaje się zwołać posiedzenie. I wtedy połowa jest niezadowolona.

Przypominam sobie, jak to było, kiedy za pierwszej bytności w Zurychu nie wpuszczono mnie w południe do sklepu. Zdziwiony byłem i rozgniewany. W drugim sklepie spotkało mnie to samo—drzwi na klucz zamknięte. Okazało się, że w Szwajcaryi od 12 do 1-ej właściciele sklepów i subjekci jedzą obiad. Dla Warszawiaka zdziwienie było podwójne: 1) że kupczyki śmieją mieć swoje zwyczaje i 2) że jadają o jednej godzinie. Wkrótce przekonałem się, że ten zwyczaj nikomu nie wadzi. Cudzoziemcy, dowiedziawszy się, że drzwi sklepów są zamknięte, idą do restauracyi na obiad. Właśnie jest wtedy obiad (śniadanie); wszyscy siedzą za wspólnymi stołami, obsługiwani z półmisków, jak w domu prywatnym. W Warszawie każdy gość musi mieć swój stolik, choćby dlatego, że jeden je obiad o 12-ej, drugi o 3-ej, a inny o 5-ej."

W kilka dni potem, w pamiętniku znalazłem ustęp taki:

„W naszem Towarzystwie hygienicznem jest wiele wydziałów: hygieny ludowej, zdrojowisk, miast, biologiczny, wychowawczy i t. p. Jabym doradził utworzyć jeszcze jeden: „wydział dnia normalnego." W Europie zachodniej, gdzie, jak przywykliśmy myśleć, wszystko się robi za sprawą szczególnie dzielnych charakterów narodowych (my jedni mamy zły charakter), nie wstydzono się podobno zakładać towarzystw dnia normalnego w celu uregulowania pory pracy, odpoczynku, posiłku, snu, zabawy i t. d.

Nam tembardziej takie towarzystwo jest potrzebne. W Europie zachodniej życie miejskie, jakie istnieje dzisiaj, w miastach i miejscowościach fabrycznych rozwijało się powoli i wytwarzało potrosze pewien kodeks obyczajowy. My żyliśmy do niedawna po wsiach i miastach obyczajem sielskim, a teraz, kiedy stosunki społeczne, zarobkowe i towarzyskie przeobraziły się, nie umiemy tem życiem nowoczesnem zawładnąć.

Byliśmy mocni obyczajowo, póki wystarczał kodeks dworku szlacheckiego i chaty; obecnie nie mamy w miastach żadnego obyczaju. Próżno powoływać się na Smilesa, Emmersona, Franklina; każdy z nas widzi własnemi oczyma, że połowa pracy polega na dobrem jej rozłożeniu. Pewną część funkcyi i czynności codziennych, rytualnych trzeba zautomatyzować, bo inaczej nie starczy energii ducha na tworzenie sobie codzień nowego porządku dnia. W człowieku i w społeczeństwie prawdziwie kulturalnem musi być wiele zegara. Sprawy funkcyonalne (odpoczynek, zabawa, posiłek) muszą być uregulowane, jak zegar, aby nie odbywały się kosztem tego, co jest na pracę przeznaczone.

Gdybym miał stosunki w Towarzystwie hygienicznem, zaklinałbym lekarzy, aby wzięli tę myśl pod rozwagę. Stwórzcie kodeks obyczajowy dnia normalnego i wprowadźcie go jakąś siłą w życie, bo za wiele się tego życia w bezładzie marnuje! A za podstawę weźcie obyczaj ludu, wiekami wypróbowany i umocniony."

Tutaj muszę porzucić ciekawy pamiętnik, bo przyszedł ktoś nie w porę z wizytą, i trzeba go zabawić... Właśnie sam autor pamiętnika...

Z. WASILEWSKI.

WIERSZYKI W. GOMULICKIEGO.

NIE TRYUMFUJ.

Jeśli kiedy ciężarów losy ci umniejszą,
Nie tryumfuj zbyt głośno w tej przelotnej dobie:
Im wyżej chwilę ocenisz dzisiejszą,
Tem cięższe jutro przysposobisz sobie.

STOPNIE BOLEŚCI.

Dante powiedział, że najsrożej nęka
Pamięć o szczęściu minionem w niedoli;
Ale podobno bardziej jeszcze boli,
Gdy życie—niczem nieprzerwana męka.



„RUSAŁKI"
BOHDANA ZALESKIEGO

KONSTANTY GORSKI



„WZGÓREK POŻEGNANIA“
BOHDANA ZALESKIEGO

STANISŁAW KACZOR-BATOWSKI

ELIZA ORZESZKOWA.

ANASTAZYA.

POWIEŚĆ. 8)



wka mówiła prawdę. P. Apolinary nic pewnego Naści nie powiedział, bez pożegnania się z nią odjechał, a ona to obojętności jego dla niej przypisała. W tygodni parę potem ją zobaczywszy, aż dziwiłam się—tak była zmienioną. Trudno byłoby uwierzyć, że to ta sama wesoła Naścia, która z p. Apolinarym lubaszki z drzewa otrząsała i przy muzyce dziaduniowej tabakierki walczyka tańczyła. Zmizerniała, pożółkła, w oczach przygasła, na ustach pobladła, przez czoło szła jej znowu pręga cieniutkiej zmarszczki. Znać było, że ból w nią ugodził i że tając się z nim, jak z grzechem, serce własne jak skryty sztylet w sobie nosiła.

Jesień już była nadeszła późna i posępna; ciemne chmury nakształt tucznych zwierząt pełzały po obłokach białawych i mętnych, które kiedy niekiedy otwierały się nieco na błękit niebieski, jakby dla obudzania tem większej tęsknoty do słońca i do pogody. Pole oddychało chłodnym i zwolna szumiącym wiaterkiem, który resztę uschłych liści strącał ze starych grusz na grzędy, sterczące wysokiemi łodygami malw i georginii, a ostatnie kwiaty z łodyg tych opadłe, od przymrozków poczerniałe, tarzały się po wilgotnej ziemi. Osypywały też chwilami liście uschłe, jak rzadki, bujny deszcz, deski do budowy jakiejś przysposobione, na których, niby na zboczu pagórka z żółtych drewien ułożonego, siedziała Anastazya. Skurczona, przygarbiona, plecy i głowę okrywała dużą chustka tak szczelnie, że widać było tylko oczy jej zapatrzone w daleką przestrzeń z zadumą, od której źrenice nabierały wielkiej głębokości i smutnych świateł na dnie.

Kiedy usiadłam przy niej, uprzejmie ale w milczeniu mię powitała i po chwili dopiero rzekła, że o dziadunia bardzo jest niespokojna, ponieważ słabym czuł się wczoraj, a i dziś, przeciw zwyczajowi swemu, coraz sobie potrosze przylegiwa. Już też i biegała dziś do niego razy ze trzy, a gdy ściemnieje, pobiegnie znowu, aby wieczór z nim przepędzić, albo i na noc, dla usłużenia mu w razie potrzeby, przy nim pozostać. Gdy mówiła to, łzy do oczu jej nabiegały i staczały się na szarą chustkę, którą sobie część twarzy zasłaniała.

— Już tak modlę się, tak z całej siły modlę się, aby Ociec niebieski dziadunka mi zachował. Strach aż do kości mię przemraża, gdy pomyślę, że z nim to samo stać się może, co się stało z babuńką. Sama jedna jestem na świecie, jak ten kłos na zżętej niwie, i on tylko jeden ma dla mnie serce miłujące. Ja go też nad życie, nad wszystko miłuję, i gdybym go utraciła, to już i nie wiem, jakbym żyć zdołała na tym zimnym, wrogim i takim zmiennym, zmiennym, niczego niepewnym świecie!

Strach i smutek istotnie przemrażać ją musiał aż do kości, bo w dużej chuście swej drżeć zaczęła i otulać się nią, jakby przed mrozem, chociaż pomimo chmur i wilgotności w powietrzu rozlanej zimno nie było cale.

— Dlaczego w domu nie siedzisz? tam cieplej...

— Tam ciemniej jeszcze niż tutaj. A roboty nijakiej dziś jąć nie mogę, bo ręce mam jak z drewna i serce jak nieżywe...

— Smętno dziś tobie słońce świeci?

— Słońca dziś cale niema. Sama tylko pochmurność jest na niebie i na ziemi.

Potem, z za chustki, którą się otulała, z cicha mówić i skarżyć się zaczęła.

— Dzień dniu nierówny... tygodnie i godziny niejednakie... słońce różnie świeci, to wesoło, to smętnie, a podczas to i cale przed oczyma się ukrywa i—serce tak samo, to ku szczęśliwości rajskiej podlatuje, to w ciemność smętków okropnych upada... Czemu to Pan Bóg tak świat stworzył, że wszystko na nim jest jako mgła rozwiewająca się, jako wiatr przelatujący?...

Oczy jej nabrały wyrazu osłupiałości, i zakołysała się w strony obie. Niby wiew otchłani niezgłębionej, pochwiała nią w ten sposób myśl o wiekuistej nietrwałości i zmienności rzeczy tego świata.

— Słusznie dziadunio mówi, że wczoraj palcem nie zatrzymasz, że dzięcioł jest pstry, ale życie ludzkie pstrzejsze...

— A przypomnij sobie, Naściu, te wiersze, które pewnie na pamięć umiesz, tyleś razy dziaduniowi je czytała:

„Morze nie stoi nigdy, zawżdy płynie,
Teraz kędzierze ustrzępi, w godzinie
Dnem wzgórę stanie, a ogromne wały
Wysokich będą obłoków sięgały..."

Co tam potem następuje? nie pamiętasz?

Gdy to mówiłam, lekki wiatr szemrał w gruszy i strząsnął z niej garść liści, które rozproszyły się po deskach i u samych stóp naszych szły czas jakiś, z suchym szelestem drżąc i podskakując. Razem z szeleszczącymi u stóp jej liśćmi, Naścia zaszeptała:

„Nic wiecznego na świecie,
Radość się z troską plecie,
A kiedy jedna weźmie moc najwiętszą,
Wtenczas masz ujrzeć odmianę najprędszą..."

— A widzisz! Odmianę! W tem smętek, ale też w tem i pocieszenie się ukrywa. I tobie, po dniu pochmurnym, nie jeden raz jeszcze słońce wesoło zaświeci...

Z jej oczu bujne krople padały przy tych słowach na szarą chustkę.

— Żeby tylko dziadunko wyzdrowiał!—szepnęła—żeby tylko on wyzdrowiał! jużbym wszystko insze na samym spodzie serca pogrzebała i mogiłkę tę z pokorą nosiła przez całe życie...

Ostatnie słowa wymawiając, wyprostowała się tak nagle, że aż chustka z głowy jej opadła, i z uwagą nadzwyczajną przypatrywać się jęła drodze polnej, która z za opadłych z liścia berberysów wyraźnie stąd widzieć się dawała. Aż wyprężyła się cała nakształt struny, wzrok do ostatka wytężony w drogę tę wlepiając. Z pozoru wszakoż nic się osobliwego na drodze tej nie działo. Wytoczył tylko się na nią z za lasku wóz w jednego konia zaprzężony, a na nim oprócz woźnicy w chłopskich sukniach, siedziała kobieta po miejsku ubrana, w czerni cała, w czarnej chusteczce pod brodę związanej na czepku, który białem obrzeżeniem twarz jej otaczał.

Kiedy wóz tak blizko berberysów się nalazł, że wyraźnie dostrzedz było można czarną chusteczkę na głowie jadącej kobiety i dobywający się z pod niej rąbek białego czepka, Anastazya rękoma splasnęła i z nadzwyczajnym wybuchem głosu zawołała:

— Józefa! Józefa jedzie!

Porwała się z desek i jak strzała ku ku bramie podwórka, a za nią, ku drodze, którą się wóz toczył, pobiegła, szarą chustę na deskach ostawiając i w czerwonej bluzce swej tak szybko biegnąc, że się aż włosy jej, jak złote skrzydła za nią rozwiewały, gdy zaś tak biegła, niedaleko za bramą spotkała się z idącym ku jej domostwu panem Cyryakiem. W ciepłą kapotę ubrał się pan Cyryak i dużą czapę baranią na głowie miał, ale choć na twarzy zmieniony był nieco, szedł i plecy wyprosowywał krzepko.

— Dziadunko zdrów!—z radością krzyknęła i do rąk mu przypadła.

— Jako rydz w lesie, abo szczupak w Niemnie—śmiejąc się, odpowiedział.—Tylkom sobie dziś jeszcze poleżał trochę i wnet na siłach się poczułem, aby do ciebie pójść...

— Chwała Bogu! Chwała Bogu!

Miłośnie patrząc mu w twarz, śpiesznie mówiła:

— Niechże dziadunko będzie łaskaw co prędzej do domu wejdzie, aby się nie zaziębić, a ja polecę Józefę do nas zaprosić, aby jej przypadkiem kto inny nie porwał.

W starym na dźwięk imienia przez wnuczkę wymówionego, zmiana zaszła. Ucieszył się widocznie, krzakami brwi zakołysał, i w kierunek przez Naścię ukazywany spoglądając, zawołał:

— Jedzie! Słusznie mówisz! To ona! leć-że co żywo! Zaproś, a przyprowadź!

Naścia też daleko już była, ku toczącemu się zwolna wozowi co tchu biegnąc i wołając:

— Poczekajcie! stańcie na minutkę! poczekajcie!

A pan Cyryak obrócił ku mnie twarz, którą zaduma dziwna, bo jasna bardzo, przyoblekła, i głos drżał mu trochę, gdy mówić począł:

— Znowuż tedy błogosławieństwo Boskie razem z nią na okolicę naszą spływa! Bo jako Magdalena, na puszczy pokutująca, tak ona świętą jest, i jako celnikowi temu, który ze skruchą w piersi bił się, grzech popełniony, chociaż i ciężki, dawno już pewnie Bóg miłosierny odpuścić jej raczył...

— Grzech?—powtórzyłam.—Ona wygląda tak niewinnie i słodko, żem nigdy w to gadanie ludzkie o jej grzechu uwierzyć nie mogła.

Pan Cyryak na to uśmiechnął się tylko pod krzaczystemi wąsami, głową wstrząsnął i zcicha wymówił:

— Bóg jeden ludzkich serc i losów świadom! Bóg jeden wie wszystko! A tego, co ja o tej świętej wiem, mówić mi się nie godzi!

Tymczasem, pośród drogi, rozegrywać się poczęła scena tłumna, a z pod bramy obejścia Anastazyi we wszystkich szczegółach swych widzialna. Nie sama tylko Anastazya wóz z siedzącą na nim kobietą dostrzegła, lecz dostrzegło go również zdaleka wielu wsi tej mieszkańców, którzy też, z podwórek i ogrodów, z za stodół i płotów wyskoczywszy, tak samo jak ona, tylko z przeciwnej strony biedz zaczęli.

Kobiety i mężczyźni, podrostki i drobne dzieci, sporym tłumikiem wóz otoczyli, i rozległ się tam pogwar głosów, które wszakoż jakie słowa wymawiały, nie słychać tu było, a tylko ze wszystkiego miarkować się dawało, że kobieta przybywająca gościem tu była pożądanym i czczonym niezmiernie, że też ją każda ze zbiegowiska tego osoba, z naleganiem i prośbami, do siebie zapraszać i ciągnąć usiłowała. Już nawet z tej przyczyny powstawać zaczynały współzawodnictwa zazdrosne i sprzeczki; głosy, kobiece zwłaszcza, na sile wzmagały się i zaostrzały; mężczyzna jakiś, rozgniewaną snadź pięścią popchnięty, z tłumu jak z procy wypadł i tak się zatoczył, że mu aż czapka z głowy na świeżo zorany zagon upadła.

Trwało tak minut z kilka, gdy nagle zbiegowisko zachwiało się, nieco rozpierzchło, z pstrego zaś wnętrza jego dobył się najpierw łeb koński, a potem cała postać kasztanowatego konika z grzywą konopiastą, którego Anastazya, za uzdę trzymając, z szerokiej drogi polnej na dróżkę ku domostwu jej wiodącą skierowała. Teraz posępności, ani chłodu, ani strachu snadź nie czuła. Od walki, którą we wnętrzu zbiegowiska stoczyć musiała, rumieńce ogniste na policzkach jej osiadły, oczy błyszczały jak brylanty, a kibić wyprostowana, głowa podniesiona i ruch ręki, z jakim konika prowadziła za sobą, objawiały niezwyczajną energię i tryumf.

Ona i konik dość daleko jeszcze od domostwa się znajdowali, kiedy pan Cyryak czapkę baranią z głowy zdjął i z siwymi tylko włosami na odkrytej głowie, a z czapką w ręku, w postawie uszanowanie głębokie objawiającej, u bramy na gościa oczekiwał. Po chwili gość ten wjeżdżał już w bramę. Za dziewczyną w czerwonej bluzce i złotych włosach, rozpromienioną i tryumfującą, za kasztankiem z konopiastą grzywą, za woźnicą w szarą siermięgę ubranym, przez bramę i podwórko, po tle zmroku, którego pierwszy woal na świat zapadać poczynał, przesunął się profil kobiety jeszcze dość młodej, białym obrąbkiem czepka otoczony, przywiędły, blady i tak delikatny, jakby go ktoś piórkiem z anielskiego skrzydła wyjętem narysował. Oczy miała duże, ciemne, nalane ogniem i miodem, a na pobladłym koralu ust jej spoczywał uśmiech, który do myśli przywodził rany głęboko we wnętrzu człowieka bolące i zarazem te maście cudowne, co do gojenia ran wszelkich służą. (DCN)

WŁODZIMIERZ ZAGORSKI.

Ballada chrabąszczów.

Wolny przekład z Reinickego.

Chrabąszcze paniczyki trzy,
Dandysich pełne fum:
Fum=fum!

Łyknęły kroplę rosy,
I spiły się, młokosy,
Jak gdyby to był rum!
—Fum=fum! Zum=zum! Bzum=bzum!

Fruwając, patrzą: róży krzew!
Więc czyniąc wielki szum:
Zum=zum!

Nuż dalej siaki=taki
Do róży w koperczaki:
Nie było końca gzów!
—Fum=fum! Zum=zum! Bzum=bzum!

Lecz róża była „skromny kwiat,”
A sprytny miała um,
Um=hum!

Mrugnęła na pająka,
Co grzał się w blaskach słonka:
„—Nuż w sieć mnie zasnuj kum!”
— Fum=fum! Zum=zum! Bzum=bzum.

Kum pająk począł siatkę snuć;
W mig cały osnuł dóm:
Dum=dum!

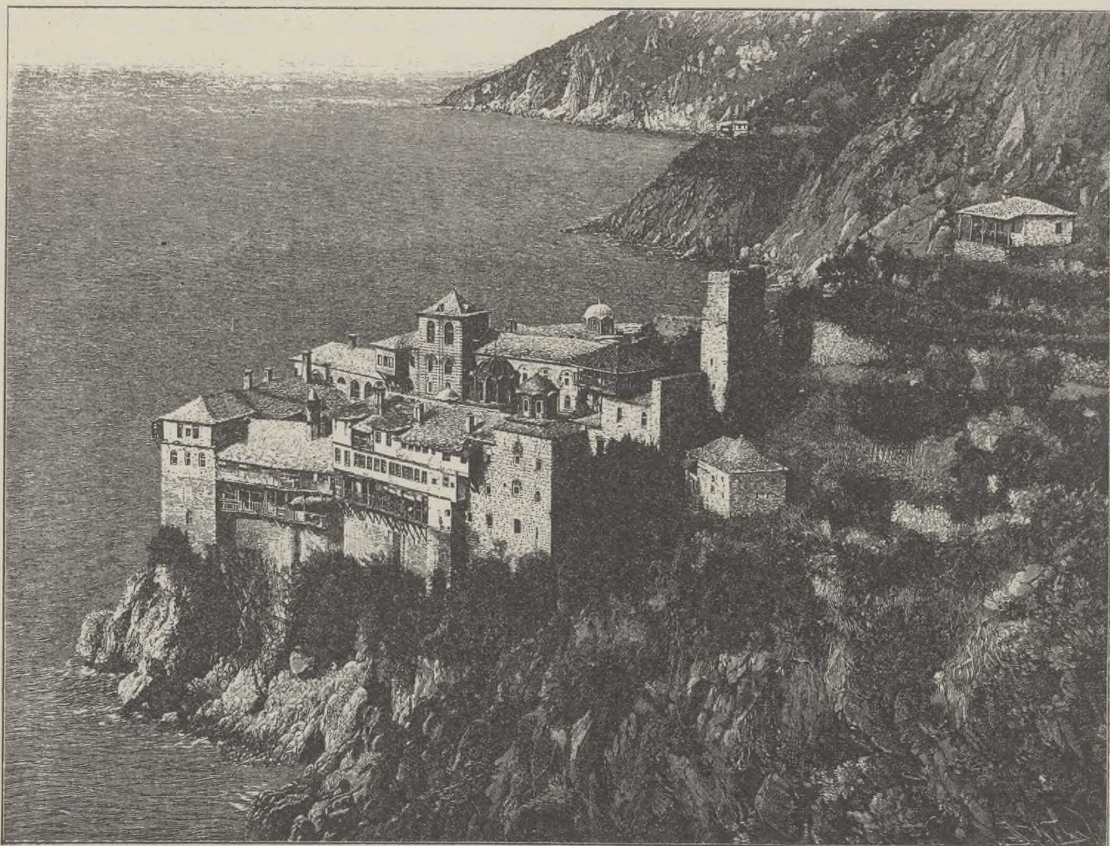
A potem przysiadł z cicha,
Pod wąsem się uśmiécha;
Wąs zasie miał jak sum.
—Fum=fum! Zum=zum! Bzum=bzum!

A gdy wróciły chrząszcze znów,
Piekielny czyniąc szum:
Bzum=bzum!

Popadły wszystkie w siatki,
A pająk cap gagatki!
I zjadł je: chrum=chrum=chrum!
—Fum=fum! Zum=zum! Bzum=bzum!

Różyczka wtedy rzekła tak:
„—Oj, dobrześ zrobił kum:
Um=hum!

Niech zna raz ta hołota,
Co znaczy róży cnota;
Nauczka będzie kpóm!”
—Fum=fum! Zum=zum! Chrum=chrum!



Klasztor na górze Athos, przed pożarem. (Ob. „Nasze ryciny.”)

Matka trzech Burbonów.

I.



Mgła minionych stuleci, a nawet ubiegłych lat dziesiątków, przesłania nam nieraz postacie, które na pozór nie odegrały żadnej wybitnej roli w dziejach, a jednak zmartwychwstając na kartach sumiennych studyów, rzucają często nowe i ciekawe światło na szereg ważnych i, jakby się zdawało, oddawna dokładnie zbadanych wydarzeń.

Coraz częstsze wyprowadzanie tego rodzaju jednostek z mroków dziejowej otchłani i właściwe ich oświetlanie zawdzięczać należy duchowi, w jakim rozwija się historya nowoczesna, która, odrzucając podmiotowo-tendencyjne poglądy dziejopisarza i spychając na ostatni plan źródła drugorzędne w postaci kronik, pamiętników i opowiadań, staje się nauką coraz bardziej przedmiotową, a zatem, zgodnie z teoryą Ranke'go, opartą przedewszystkiem na zabytkach historycznych, t. j. na dokumentach oryginalnych, sporządzonych bez żadnych celów ubocznych, na bezpośrednich objawach ruchu dziejowego.

Na takich oto zabytkach, a mianowicie na obszernej i nieznanej dotychczas korespondencyi, odnalezionej w Bibliotece Polskiej w Paryżu (w arch. Karola Sienkiewicza) i w archiwach: francuskiego ministeryum spraw zagranicznych i drezdeńskiem, oparł p. Kazimierz Stryjeński najnowsze a obszerne studyum swoje, p. t.: „La mère des trois derniers Bourbons," opisujące nam dzieje smutnego żywota delfinowej francuskiej, Maryi Józefy, córki Augusta III-go, króla polskiego i elektora saskiego, a matki Ludwika XVI, Karola X i Ludwika XVIII.

Przez tę monografię przysporzył autor księdze dziejów monarchii francuskiej XVIII wieku paręset nowych i ciekawych kart, skreślonych barwnie i źródłowo, a jednocześnie oświetlił w niem wspaniale postać nieszczęśliwej polsko-saskiej królewny, która po to jedynie miała opuścić progi ojcowskiej rezydencyi, aby wstąpiwszy w lśniące komnaty wersalskiego dworu i przeżywszy długi szereg lat w smutku i starannie ukrywanej trosce, uśmiechnąć się szczerze dopiero na wieść o zbliżającej się godzinie zgonu.

Otrzymawszy palmę zwycięstwa w bezwiednem współzawodnictwie swem o rękę następcy Ludwika XV z księżniczkami domów hiszpańskiego i sabaudzkiego, opuszczała Marya Józefa dom ojcowski może w nadziei przywdziania z czasem purpury królewskiej, nie wiedząc, że ani progów rodzinnych już nie ujrzy, ani nie uwieńczy swej skroni koroną, która, spadłszy w dziedzictwie na głowę jej dziecka, razem z nią kiedyś upadnie pod morderczym nożem gilotyny.

Są to zalety, stawiające bez wątpienia dzieło p. Stryjeńskiego w pierwszym szeregu najnowszych utworów historycznych francuskich, ale obchodzące nas jedynie pośrednio, t. j. tylko z punktu widzenia historyi powszechnej; bezpośrednio natomiast zajmuje nas wspomniane studyum dla dwóch ciekawie oświetlonych kwestyi historycznych, mianowicie: dla uwydatnionego tam stanowiska, zajętego przez Maryę Józefę wobec sprawy następstwa tronu w Polsce, i wobec wojny Siedmioletniej.

Oto jak opisuje nam autor wspomniane powyżej sprawy:

Na jesieni roku 1748 w czasie ratyfikacyi



Marya Józefa, córka Augusta III.

pokoju akwizgrańskiego przybył do Paryża poseł nadzwyczajny króla polskiego, generał de Fontenay, w celu uzyskania poparcia dworu wersalskiego, a zarazem zbadania zapatrywań monarchy francuskiego na projektowane przez dwór warszawski małżeństwo księcia Ksawerego Saskiego, brata delfinowej, z jedną z córek Ludwika XV. Projekt ten zdawał zarysowywać się zupełnie pomyślnie. Z jednej strony liczył August III na poparcie córki, której wpływ na opinię Jego Arcychrześcijańskiej Mości zwiększał się z dnia na dzień, z drugiej zaś strony spodziewał się król polski współdziałania Maurycego Saskiego.

Co się tycze następczyni tronu, to kochała ona brata swego gorąco, a przytem była szczerą przyjaciółką sióstr Delfina, w szczególności zaś księżniczki Henryki, wobec czego poparcie z jej strony było zupełnie zapewnione.

Korzyści, jakie August III pragnął był osiągnąć z owego związku, oparte były na gruncie czysto politycznym, a mianowicie szło mu o to, aby po opróżnieniu tronu w Polsce, Ludwik XV poparł kandydaturę swego zięcia, a tem samem wypełnił najgoretsze życzenie rodziny saskiej, marzącej o następstwie dziedzicznem.

Od czasu kilkumiesięcznych rządów Henryka Walezyusza, Francya brała stale udział w elekcyach, ofiarowując kandydatów swoich na tron polski. Usiłowania te nie odnosiły wprawdzie nigdy skutku, ale nadziei nie tracono.

W epoce panowania Ludwika XV, wzajemny stosunek pomiędzy Francyą a Rzecząpospolitą wzmocnił się znacznie, monarcha francuski zajmował się gorączkowo sprawą polską, a chwila ustanowienia przezeń specyalnego poselstwa w Warszawie, w celu kaptowania sobie z góry magnateryi polskiej początkowo na korzyść księcia Conti, a później po wynikłych z nim nieporozumieniach, na rzecz jakiegokolwiekbądź innego kandydata Francuza, była już niedaleką.

Intrygi te, skomplikowane i częstokroć sprzeczne, prowadzone później przez hrabiego de Broglie, bez wiedzy ministrów, a jedynie z rozkazu monarchy, otrzymały miano „tajemnicy króla." Świadczyły one, że Ludwik XV zajmował się również i sprawami poważnemi, t. j. polityką, ale że uprawiał ją, jak zresztą i zarząd wewnętrzny własnego swego kraju, przeważnie dla rozrywki.

Co się tycze osoby ks. Ksawerego Saskiego, to pretensye jego nie były oparte na prawie pierworodztwa. Takie same prawa do korony mógł sobie rościć brat jego, książę Fryderyk, jak i każdy inny szlachcic polski. Rzecz prosta, iż jako zięć króla francuskiego, miałby był ks. Ksawery prawdopodobnie więcej danych do otrzymania tronu, niż każdy inny, ale, pomimo usilnych zabiegów Maryi Józefy, projekt dworu polsko-saskiego spełznął na niczem, albowiem Ludwik XV nie życzył sobie mieć zięciem tego, który czynił tak otwarte i usilne zabiegi o koronę, przeznaczoną przez króla ks. Contiemu.

Pertraktacye te jednakże pozostawiły po sobie szereg dokumentów, z których na szczególną uwagę zasługuje jedna z opinii, dostarczona o pretendencie przez margrabiego des Issarts.

„Książę—pisze ambasador—połączony jest węzłem najściślejszej przyjaźni z panią delfinową, i zdaje mi się nawet, że liczy na pomoc księżny w przyszłości. Osoby podwładne mu, które miały przystęp do księcia, zapewniały go, że będzie z czasem panował w Polsce, i że król zrzecze się korony na jego korzyść. Dziś jestem pewien, że to tylko pochlebstwo przemawiało przez nich." W końcu zaś, jak gdyby przeczył sam sobie, dodaje margrabia: „Książę ten często uskarżał się przede mną na kierunek, jaki starają się nadać jego życiu,"—przyczem okiem bystrego dyplomaty dostrzega w księciu coraz bardziej rozwijające się uczucia dumy i skłonność do łatwych miłostek.

I oto w kilka lat później nie obawiała się Marya Józefa rozżarzać owej iskry dumy w piersiach swego brata, a wzamian przytłumiać rozwijającego się u księcia gwałtownie erotyzmu.

J. O.

WSCHÓD SŁOŃCA.

Brzasków świt zamilkł w chmur czarnych
natłoku,
Które nad ziemią ciągną jako sępy...
Wicher z topoli zrywa liści strzępy
I zaprzepaszcza w gęstniejącym mroku.

Noc jako tygrys zbiera się do skoku
Na wrogie mrokom słoneczne zastępy;
Cienie, jak żmije, pełzną przez ostępy,
Bez drgnień i ruchów, dostrzegalnych oku.

Lecz w dali płoną strasznej walki łuny,
Wciąż olbrzymiejąc. Wreszcie jedno morze
Ognia zalewa chmur czarnych tabuny,
Skuwając mroki w płomienną obrożę
I hymn zwycięstwa dzwonią złote struny!...

. . . .

Mrok zwyciężyło!—smutków mych nie może!..

DANIEL ŚLIWICKI.

Wolne głosy.

W sprawie kaplicy ś. Jana w Zakopanem.

Niemiłym trafem teraz dopiero wpada mi w ręce artykuł p. Jakimowicza w *Tygodniku* o tej kaplicy. Jakkolwiek ogółem wziąwszy, z poglądami autora się zgadzam, a ciepłe odczucie przezeń niepospolitych piękności i zasobów ludowego stylu na Podhalu, niemniej jak i genialnej twórczości Witkiewicza, może tylko wzbudzić sympatyę, czuję się jednak w obowiązku zrobić dwie uwagi: jedną w imieniu rodziny ciężko chorego obecnie fundatora kaplicy św. Jana, drugą zupełnie osobistą.

Kaplicę św. Jana przy zakopiańskiej farze niewłaściwie nazywa p. Jakimowicz kaplicą Witkiewicza. Jest ona kaplicą rodziny Gnatowskich. Niema i nie było nigdy obyczaju nazywania kościołów i kaplic imieniem artysty, który je wykonał. Czyni się to ze szczegółami budowy, czasem z *niekościelną* nazwą gmachu, nigdy z nazwą świątyni. Mówimy więc: „fasada kościoła Michała Anioła Berniniego," albo: „tempietto Bramanta" (w Rimini), ale nie nazywamy np. kaplicy Brancaccich we florenckiem *Carmine*—kaplicą Masaccia, ani kaplicy *dell' Arena* w Padwie—kaplicą Giotta. Nikomu oczywiście na myśl przytem nie przychodzi stawiać nazwiska Brancaccich lub też Servegnich nietylko ponad wielkiemi imionami Masaccia i Giotta, lecz nawet obok nich. Ale skoro powstanie tych klejnotów włoskiego skarbca sztuki zawdzięczamy z jednej strony ich pobożnej ofiarności, z drugiej ich poczuciu piękna i roztropnemu wyborowi mistrza, słusznie na wieczną rzeczy pamiątkę imiona ich pozostają związane z ich rodzinnemi oratoryami.

I dlatego nietyle nawet w imieniu skromnej i nieroszczącej sobie najmniejszego prawa do szerszego rozgłosu lub zasług, rodziny, jak raczej w imię ogólnie przyjętej i uznanej zasady pozwalam sobie zastrzedz się przeciw jakiejkolwiek zmianie nazwy kaplicy rodzinnej Gnatowskich. Ludziom tej miary nietylko artystycznego natchnienia, lecz i charakteru, jak Stanisław Witkiewicz, nie przynosi się hołdu, wiążąc w ten sposób ich imię z pomnikami, które i bez tego imię ich, ducha ich i sławę poniosą daleko w przyszłość.

Nie znajdzie też z pewnością u Stanisława Witkiewicza uznania powtarzające się coraz częściej zapominanie i zamilczanie prac i zasług tych, którzy mu utorowali drogę i przygotowali długiemi laty niezmordowanej pracy i ofiarności materyał do jego późniejszej twórczości. Zapewne, że gdyby nie Witkiewicz, mielibyśmy dziś motywy ornamentacyjne i stylowe z Zakopanego, nie mielibyśmy *stylu*; ale z drugiej strony bez tych skromnych i cichych pracowników możeby sztuka ludowa na Podhalu nie była znalazła Witkiewicza. A w każdym razie tym pionierom zwycięskiej dziś idei w czasach, gdy jej nikt prócz nich samych nie rozumiał i nie odczuwał, należy się wspomnienie i trochę wdzięczności od ogółu.

Pracowali oni w najtrudniejszych warunkach, intuicyą przeczuwali i chwytali drobne, rozpierzchłe iskierki, które z czasem zajaśnieć miały potężnem ogniskiem. Inni już odeszli; pozostał jeszcze jeden—Zygmunt Gnatowski. Z jego ducha i pracy, nie, jak dziś sądzi wielu, z fantazyi nieliczącej się z wydatkiem, powstała *Koleba*, pierwowzór podhalańskiego budownictwa, jak powstały długoletnie zbiory, będące jej bogactwem. Włożył on w to dużo pracy, dużo storycznych pewnych podaje nam: „Wołyń zazdolności, dużo znajomości i miłości górskiego ludu, a duszę włożył całą. *Koleba* stała się punktem wyjścia dla całego stylowego ruchu, istną jego kolebką. I jest on też Koleby tej nietylko właścicielem, lecz w bardzo znacznej części—duchowym twórcą.

A i dla kaplicy św. Jana, w której geniusz Witkiewicza rozwinął się bezpodzielnie, był przecież Zygmunt Gnatowski więcej niż samym tylko mecenasem i fundatorem. Jest to dzieło wielkiej myśli twórczej jednego człowieka, ale wielkiego ukochania—dwóch.

I dlatego, skoro o oddalonym od świata i złamanym od lat kilku nieuleczalną chorobą zapominają ludzie, skoro własna jego godność nie pozwoliłaby mu przypomnieć się i upomnieć o swe prawa samemu, godzi się to uczynić krewnemu i przyjacielowi, któremu może tych słów kilka czytelnicy *Tygodnika* nie wezmą za złe.

Lwów, 30 stycznia 1902 r.

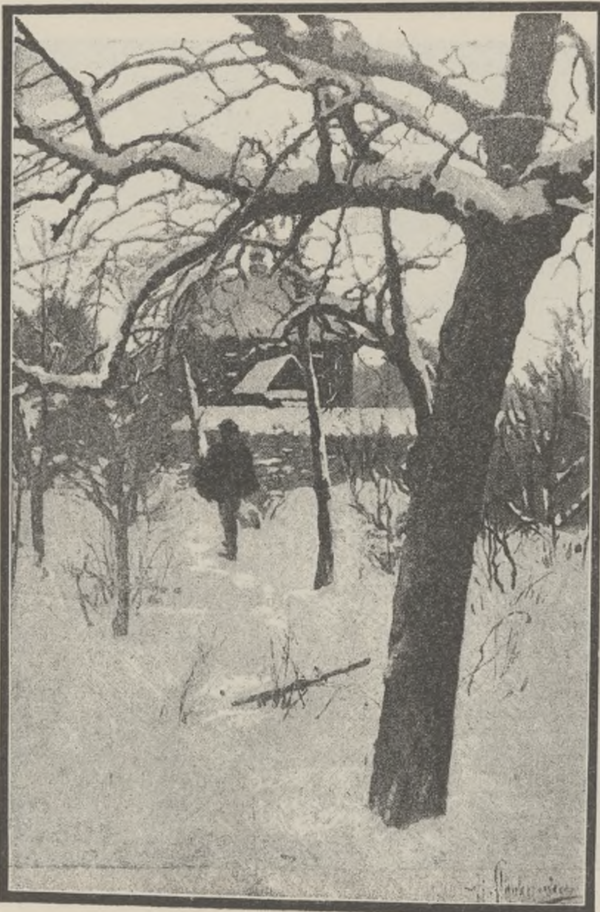
JAN ŁADA.

Jeszcze słów kilka o Wołyniu.

Odczytałem przed chwilą artykuł p. J. Dunin-Karwickiego: „Ceny ziemi na Wołyniu" (*Tyg. illustr.* z r. b. № 4). O głównej myśli nic nie mam do powiedzenia. Szanowny autor zna stosunki miejscowe i zdaje z nich sprawę zupełnie realnie. W szczegółach ubocznych nie mogę jednak na wszystko się zgodzić i właśnie o nich mam zamiar słów kilka powiedzieć.

P. K. twierdzi: „Gubernia Wołyńska składa się z dwóch etnograficznie zupełnie od siebie odmiennych części, t. j. właściwego Wołynia i Polesia." W innem znów miejscu powiada: „Wszystko, co na południe od tej linii etnograficznej, to właściwy Wołyń; wszystko zaś, co na północ od niej, to szczere Polesie." Wołyń i Polesie etnograficznie są jednakie: lud ruski na całej powierzchni, mieszana własność większa tu i tam, domieszka Żydów wszędzie. Różnica chyba jest w układzie geologicznym i w kulturze tych dwóch części.

Kronika z przed X wieku od czasów hi-mieszkiwało ongi słowiańskie plemię Dulebów, zwyciężonych przez Awarów; miejsce zanikających Dulebów zajmują następnie Wołynianie, pokrewni Dulebom. Wołynianie osiedli nad Styrem i Horyniem, więc w środku późniejszego Wołynia" (z obu stron mniej więcej linii, którą p. K. uważa za graniczną pomiędzy Wołyniem a Polesiem). „Obok Wołynian ku wschodowi mieszkali Drewlanie (stolica ich Iskorość, dawniej Korosten), ku zachodowi Bużanie, na północy Łuczanie i t. d. Wszyscy pochodzili od Wołynian. W końcu wieku X Waregowie po zabraniu grodów Czerwieńskich Mieczysławowi polskiemu, zwyciężyli Wołynian. Książę Włodzimierz założył miasto Włodzimierz, a ziemię Wołyńską podzielił pomiędzy trzech synów; z nich Świętopełk, zięć Bolesława Chrobrego, utorował drogę wpływowi polskiemu. Po śmierci Jarosława Mądrego Wołyń był w posiadaniu rodu Iziasława i Igora; dalej potomkowie Włodzimierza Monomacha owładnęli Wołyniem. Następnie znaczniejszy książę wołyński Roman, przy pomocy Leszka Białego zabrał Ruś Czerwoną i utworzył potężne państwo od Kijowa do Karpat. Po śmierci Daniela, syna Romana, królestwo to nie utrzymało się, i Wołyń odłączono od Rusi Czerwonej. W pierwszej połowie XIV w. Gedymin podbija Wołyń i osadza tam Lubarta, syna swego. W tym czasie właśnie wygasła dynastya halicka, i Polska zajęła Ruś Czerwoną. Odtąd trwają długie spory pomiędzy Polską a Litwą o granice Halicza i Wołynia. Na sejmie unifikacyjnym lubelskim (1569 r.) Wołyń został prowincyą Małopolski."



Rozmaite więc szczepy słowiańskie następują po sobie; zwyciężeni zanikają, silniejsi powstają, domieszani do zwyciężonych, ulegają przeróżnym wpływom, w końcu są, jakimi dziś widzimy: Rusini około 76%, Polacy 12% i Żydzi 12%. Oczywiście, gdzie ludność jest mieszana w całym kraju, linii etnograficznej ściśle oznaczyć niepodobna. Wołyniem właściwym nazywamy zwykle południowo-zachodni brzeg gubernii Lubelskiej, zapełniony gromadami wzgórz Karpackich; północno-wschodnia równina, sąsiadująca z gub. Grodzieńską, Mińską i Kijowską, znana jest jako Polesie.

Co do układu warstw, jakości ziemi, różnią się zupełnie Wołyń i Polesie. Ogromna rozmaitość jednak nie pozwala dokładnie przeprowadzić pasa demarkacyjnego. Mówiąc wogóle, Polesie piaszczyste i zalesione, a Wołyń gliniasty, czarnoziemny i mało zadrzewiony.

Znaczną jest także różnica kulturalna: bogaty Wołyń prowadzi *par excellence* gospodarstwo intensywne, ma duży przemysł, większe środki komunikacyjne, a szare Polesie zaledwie się budzi i porywa się do pracy.

Do twierdzenia szanownego autora, że kapitaliści rzucili się masami do ulokowania zasobów swoich w ziemi, uważając taką lokacyę za „najpewniejszą pod słońcem," dodam, że wartość ziemi olbrzymio urosła, co prawda, ale reszta nie w takim szyku urasta; posiadacz nowy majątku jeżeli prowadzi gospodarstwo osobiście, odbiera bardzo małe odsetki. W każdej sprawie potrzebny jest nietylko warsztat, lecz i wiedza, kapitał obrotowy, zbyt wyrobów bez straty zapewniony, środki komunikacyjne; jeżeli który z tych czynników jest niezupełny, równowaga zachwiana. Jabym powiedział, że owym kapitalistom nie tyle idzie o spokojną lokacyę zasobów, ile o szybki i duży zarobek przy następnej sprzedaży majątku.

LUCYAN NIEWIAROWSKI.

NASZE RYCINY.

W dniu 14 b. m. upłynęło lat 100 od chwili przyjścia na świat Bohdana Zaleskiego, jednego z wybitniejszych mistrzów polskiej lutni, znanego autora melancholijnych ukraińskich dumek. Niezależnie tedy od obszernej sylwetki literackiej, tudzież wizerunków zgasłego pieśniarza, zamieszczamy jednocześnie illustracye do trzech znanych, a zarazem wysoce charakterystycznych jego utworów. Reprodukcya pięknego kartonu *K. Gorskiego*, p. t. *Śpiewające jezioro*, wyobraża nam bohaterkę utworu Zaleskiego, piękną dziewicę czerkieską Majumę, w chwili, gdy w powiewnej i białej jak puch szacie idzie nocą po skalistym brzegu tajemniczego jeziora, wsłuchana w dziwne poszumy i szmery uśpionej toni. Tam błądził z nią nieraz jej luby Muradyn, ale poszedł na boje i już nie powrócił. I oto właśnie nuci jej ciemna głębina cudną i rzewną pieśń niepowrotnych a drogich sercu wspomnień. Dziewczę przysłuchuje się tej pieśni, pochyla głowę, a:

„Siedm arf na jasnem zwierciadle wód,
Siedm arf na niebie wdzięcznie się mącą,
Niby chcą zwabić duszę tęskniącą."

I zwabiły! gdyż za chwilę piękna Majuma pójdzie oto szukać ukojenia w nurtach ciemnej, rozśpiewanej topieli. W drugiej rycinie uplastycznia nam *Gorski* doskonale trzecią część fantazyi Zaleskiego p. t.: *Rusałki*. Jest to chwila gdy bohater pieśni, Cisław Zorza, widzi swą bohdankę Zorynę otoczoną gronem rusałek, tańczących przed nią ukraińską „przepióreczkę:"

„Grono bogiń przy Zorynie
Wietrzny taniec zaciągało,
Dłonie w dłoniach, chyżo społem,
Jak motyle w letnim ranku,
Ponad kwiatkiem bez ustanku
Krążą, krążą nad nią kołem,
A Zoryna w środku koła
W tę i ową bieży stronę:
Wszędy wyjście zagrodzone
Wszędy piosnka brzmi wesoła.
. . . .
. . . .
Darmo drżąca, darmo blada
Mruży oczy, rączki składa
Darmo prosi, darmo woła..."

A gdy wreszcie lekki orszak, przeganiając się i kołując „z niw na niwy," porywa wylękłą Zorynę, leci Cisław ratować panią swego serca, osłonioną obłokiem lecących liści, kwiatów i rojem skrzydlatych motyli. Ale wysiłek młodzieńczy próżny!... Piękna postać Zoryny rozpływa się w owym obłoku i... znika. „Klaska" tedy Cisław z rozpaczą w dłonie i upada, jak bez życia, aby za chwilę uczuć bicie serca Zoryny przy swojem łonie.

Trzecia wreszcie rycina, będąca reprodukcyą utworu znanego czytelnikom naszym artysty malarza *St. Kaczor-Batowskiego*, illustruje nam jeden z fragmentów pięknej dumki ukraińskiej Zaleskiego, p. t. *Wzgórek pożegnania*.

„Oto chaty dymią w dole,
Górą kalinowe gaje,
Przy gościńcu dalej w pole
Kilka krzaków bzu wystaje,
Za krzakami bzu wonnemi
Miga wzgórek śród gałęzi..."

I tam

„Przy świtaniu dnia rumianem
Wyszła matka bolejąca
Z swą Zoryną i Ruślanem"

Wyszła właśnie, aby pożegnać odjeżdżającego syna swego, który w celu uniknięcia prześladowań ojczyma, idzie szukać przytułku dla swej głowy, a zarazem „szczerszych, cichszych ścian i lepszych ludzi." Ciężko nad tem boleje serce matczyne, gdyż przeczuwa w tej chwili, iż:

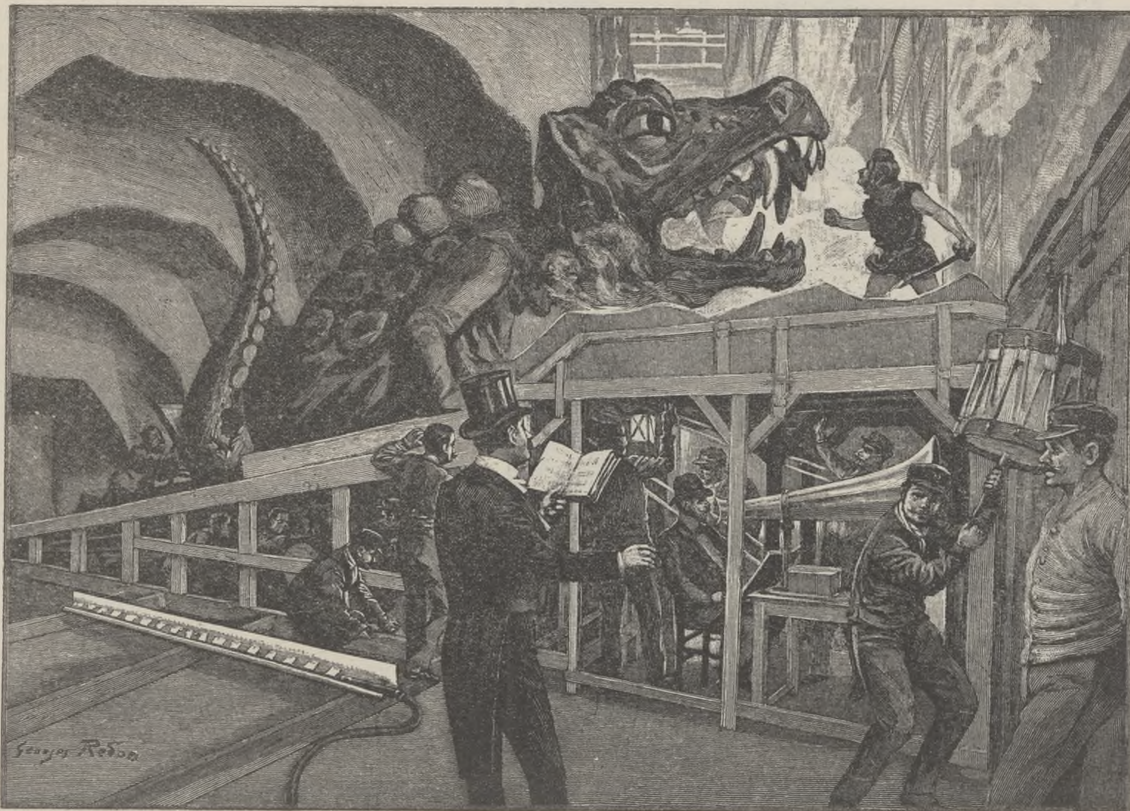
„Prędzej wyschnie w źródle woda,
Góra się z mogiły wzbije,
Niż go ujrzy siostra młoda,
Niż go oczy ujrzą czyje."

Spalony klasztor. Jest to wizerunek olbrzymiego klasztoru greckiego na górze Atos, spalonego prawie doszczętnie w dniu 22 z. m. Miejscowość ta, w której życie klasztorne poczęło kwitnąć już około drugiej połowy IX wieku, tworzy dziś coś w rodzaju rzeczypospolitej duchownej podległej Turcyi i opłacającej padyszachowi pewien dość wysoki haracz roczny. W obecnym czasie zajęcia świeckie mnichów ograniczają się do wyrobu rozmaitych aparatów kościelnych, jak oto: krzyżów, obrazów świętych i t. p. W wiekach średnich natomiast góra Atos tworzyła wybitne środowisko wiedzy greckiej, tudzież sztuki kościelno-bizantyjskiej. Każdy też prawie klasztor tamtejszy posiada wspaniałą bibliotekę. Klasztory te obfitują nietylko w dzieła drukowane, lecz są jednocześnie skarbnicami rzadkich rękopisów, z których pewną część wydobył na jaw w ostatnich czasach Minas Minoides i kilku innych uczonych.

Wagner w Paryżu.—Geniusz muzyczno-poetycki Wagnera, który przez długi szereg lat nie cieszył się wcale uznaniem Francuzów, począł w ostatnich czasach zwalczać z powodzeniem ową chłodną, przeważnie na szowiniźmie opartą obojętność i, jak obecnie, święci nad Sekwaną tryumf nadzwyczajny. Mówimy tu o olbrzymiem powodzeniu, jakiego doznała w Paryżu świeżo wystawiona tam opera Wagnera p. t.: „Zygfryd." Rolę tytułową odtworzył Jan Reszke, jak wiadomo, świetny znawca muzy wagnerowskiej, która od wykonawców najdrobniejszych nawet ról wymaga niezwykle subtelnego zrozumienia tak części muzycznej, jako też i dramatycznej danego utworu. Jedna z zamieszczonych przez nas rycin wyobraża właśnie genialnego artystę w stroju scenicznym bohatera staro-germańskiej baśni, druga zaś illustracya rzuca nam pewne światło na trudności techniczne, przezwyciężane obecnie przez reżyseryę teatru paryskiego przy odtwarzaniu jednej ze scen wspomnianego dramatu muzycznego Wagnera p. t.: „Zygfryd," stanowiącego, jak wiadomo, trzecią część wspaniałej tetralogii słynnego mistrza tonów. Przypatrujemy się tu akcyi scenicznej od strony kulis teatralnych. Na przygotowanem *ad hoc* wzniesieniu spoczywa sztuczne cielsko smoka (Fafnera), poruszane za pomocą odpowiedniej maszynery, funkcyonującej przy współdziałaniu kilkunastu osób. Pod pomostem, t. j. pod cielskiem smoka, siedzi wykonawca roli Fafnera i śpiewa przez tubę, która potęguje głos artysty. Na pomoście zaś, tuż przed paszczą smoka, widzimy Jana Reszkego w roli Zygfryda, nacierającego z mieczem w dłoni na zbliżającego się ku niemu potwora. Nad prawidłowem wykonaniem powyżej opisanej sceny czuwa specyalny reżyser techniczny, wyobrażony na pierwszym planie ryciny.



Jan Reszke w roli Zygfryda.



Scena ze smokiem w Zygfrydzie (z za kulis).



KRONIKA POWSZECHNA.

SPRAWY KOŚCIELNE.

Z okazyi 25-ej rocznicy pontyfikatu Ojca św. Leona XIII, ks. kardynał Puzyna wydał list pasterski do duchowieństwa zakonnego, świeckiego i do wiernych dyecezyi krakowskiej. *o*

Jubileusz Leona XIII-go we Lwowie. Lwów zamierza obchodzić jubileusz 25-letnich rządów papieskich Leona XIII także w sposób uroczysty. W d. 23 b. m. odbędzie się w katedrze łacińskiej uroczyste pontyfikalne nabożeństwo; w d. 20 b. m., jako we właściwym dniu jubileuszu, szkoły będą zwolnione od nauk, a dla młodzieży urządzone odpowiednie nabożeństwa. Wreszcie staraniem Towarzystw „Czytelni katolickiej," oraz „Kupców i młodzieży handlowej" odbędzie się na uczczenie jubileuszu papieskiego serya odczytów pod zbiorowym tytułem: „Jedno stulecie" (wiek XIX); w odczytach tych prelegenci przedstawią obraz rozwoju idei katolickiej na gównych polach wiedzy ludzkiej. W dniu 16 lutego odbyła się inauguracya tych odczytów, przyczem przemawiał ks. arcyb. Józef Teodorowicz, a dr. W. Czerkawski miał wykład na temat: „Podział świata i narody." Następne odczyty, w tygodniowych odstępach, wygłoszą: ks. dr. Al. Pechnik:

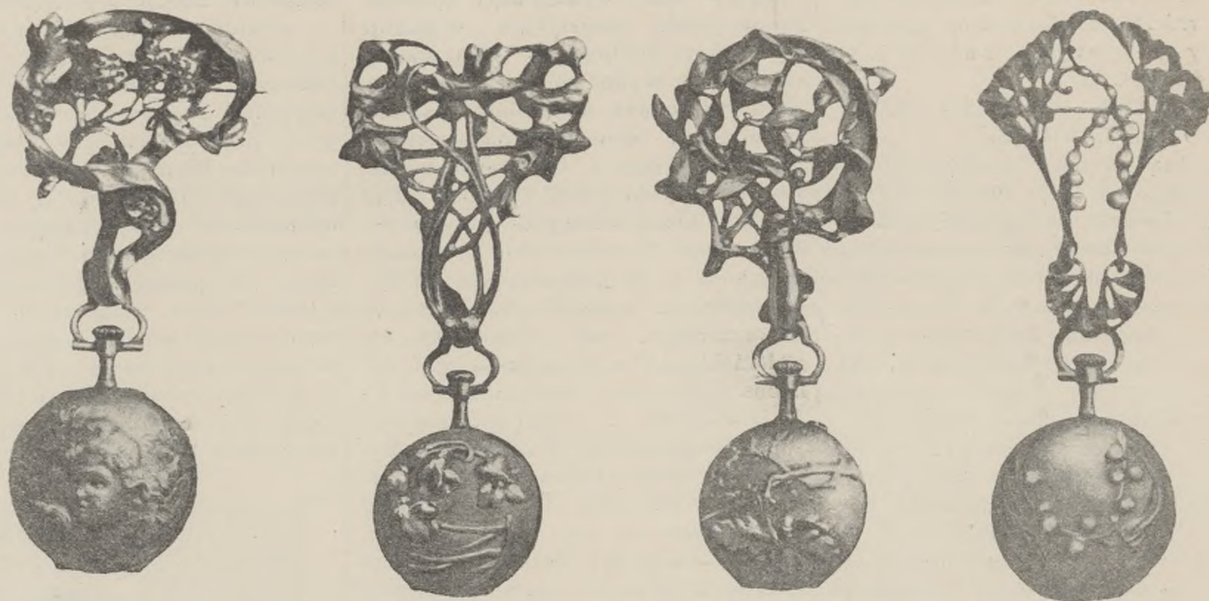
„Prądy polityczne a Kościół;“ dr. J. Przygodzki: „Kwestya socyalna;“ St. Zdziarski: „Literatura polska;“ ks. dr. J. Suszyński: „Muzyka;“ W. Łoziński: „Geologia i geografia;“ prof. M. Thullie: „Walki i rozszerzenie Kościoła;“ dr. W. Śmiałek: „Archeologia;“ O. St. Kobyłecki T. J.: „Filozofia chrześcijańska;“ St. Kaczor-Batowski: „Sztuki piękne;“ ks. dr. A. Gerstmann: „Życie wewnętrzne Kościoła;“ dr. A. Danysz: „Wychowanie;“ będą także wykłady o „Filozofii“ i „Dziejach Polski,“ a cykl zakończy w d. 11 maja przemówieniem ks. arcybiskup dr. Józef Bilczewski. *a*

URZĘDOWE.

W złożonym w roku zeszłym przez ministra sprawiedliwości do ostatecznej decyzyi rady państwa projekcie reformy sądowej, zaproponowano wprowadzenie w guberniach Królestwa Polskiego sądów przysięgłych, ale według przepisów odmiennych niż w gub. Cesarstwa. Specyalna komisya, pracująca nad powyżej wspomnianą reformą, opierając się na przychylnym referacie starszego prezesa i prokuratora izby sądowej warszawskiej, uznała za możliwe zastąpić funkcyonujące obecnie sądy okręgowe w gub. Królestwa Polskiego sądami z trzech sędziów koronnych i trzech przysięgłych specyalnego składu. Według zdania komisyi, wprowadzenie takiej instytucyi sądowej w Król. Polskiem sprzyjać ma zarówno przyśpieszeniu procedury w najważniejszych sprawach karnych i uszczupleniu wydatków skarbu, jako też, dzięki specyalnej swej organizacyi usunie wszelkie obawy, jakieby mogły powstać z okazyi zdecydowania się na dopuszczenie miejscowego społeczeństwa do udziału w wymierzaniu sprawiedliwości. Udział policyi w sprawach sądowych ma być ograniczony do minimum. *o*

PRASA POLSKA.

Poradnik językowy: „Język literacki a mowa żywa“ napisał Jan Rozwadowski. (Żywo napisany artykuł o tem, co uważać za szkodliwe, a co za normalne w języku, oraz o sposobie obrony polszczyzny przed rozpadnięciem się na narzecza); „Zapytania;“ „Odpowiedzi;“ „Roztrząsania“ przez Aleksandra Brücknera; „Pokłosie,“ „Nowe książki.— *Kuryer Warszawski:* „Polemika“ Wład. Rabskiego z p. Wotowskim o totalizatora; „Nieznane listy Bohdana Zaleskiego do Teofila Lenartowicza“ podał Leopold Méyet. — *Gazeta Polska:* „Bohdan Zaleski“ przez Wiktora Gomulickiego; „Włodzimierz Zagórski“ przez Józefata Nowińskiego; „Felieton“ przez Bolesława Koskowskiego. W dodatku „Historya sztuki“ Springera, zeszyt IV. —*Wędrowiec* ogłasza turniej poetycki na balladę i na sielankę miłosną; nagrodami będą róże i lilie złote i srebrne. W temże piśmie Józefat Nowiński rozpoczął druk studyum o Przybyszewskim. — *Kuryer Codzienny:* „Co można powiedzieć o naszych feministkach“ przez J. Moszczeńską; „Dramat Kazimierza Tetmajera“ przez Chmielowskiego. — *Prawda:* „Uczta miłosna“ (korespondencya z Berlina przez H. F.); „Publiczność kulturalna na dramacie“ przez Maryę Zagórską; „Historya“ przez H. Gallego; „Etnografia“ przez Stanisława Zdziarskiego. — *Niwa Polska:* Ostry artykuł ks. d-ra Teofila Kowalskiego, w którym autor polemizuje z *Rolą* w kwestyi swobody krytyki.



Sztuka stosowana: Zegarki damskie.

W ubiegłym tygodniu przybył do Warszawy dziennikarz francuski, p. Maurycy Tessier, w celu otwarcia tu biura dla zasilania korespondencyami pism paryskich, jak oto: *Femina, l'Echo de Paris, La Vie au Grand Air, Le Vélo* i *Armée et Marine.* Biuro to zaznajamiać będzie tym sposobem publiczność francuską z objawami naszego życia umysłowego, artystycznego i przemysłowego. *o*

MALARSTWO.

Na dorocznem ogólnem posiedzeniu krakowskiego Koła artystek polskich, liczącego 40 członków, obrano do zarządu stowarzyszenia na r. 1902: p. Tolę Certowiczównę na przewodniczącą, pp.: Józefę Geppert i Leonę Bierkowską na wiceprzewodniczące, na sekretarkę p. Maryę Wolińską, na skarbniczkę p. Hannę Jasińską. Koło artystek polskich zamierza wziąć udział w tegorocznej wystawie sztuki w Paryżu. *i*

POMNIK CHOPINA.

Prezydent m. Warszawy zawiadomił prezesa komitetu budowy pomnika dla Chopina, hr. Dienheim-Brochockiego, iż nie zachodzą żadne przeszkody co do postawienia rzeczonej pamiątki w dwóch punktach miasta, mianowicie na placu Wareckim i w ogrodzie Saskim przy wejściu z ulicy Marszałkowskiej. *o*

Ogół rzeźbiarzów, architektów i malarzów polskich zamieścił w jednym z ostatnich numerów *Kuryera Warszawskiego* odezwę, wzywającą komitet budowy pomnika Chopina, oraz tych wszystkich, którym sprawa wykonania tak ważnego dzieła leży na sercu: 1) aby wszelkie sprawy z organizacyą, zakresem konkursu i sposobem jego rozstrzygania związane, jako też dotyczące strony artystycznej zamierzonego dzieła, decydowali wyłącznie artyści plastycy, tudzież 2) aby skład owej wyrokującej komisyi artystycznej był wybrany przez ogół artystów. *o*

SZTUKA STOSOWANA.

Zegarki damskie. Tym razem staraliśmy się zapoznać ogół czytelników naszych z artystycznem złotnictwem, którego okazy załączamy w bieżącym numerze. Cztery zegareczki damskie zreprodukowane obok, a raczej ich koperty, są właśnie wytworem sztuki złotniczej wyodrębniającej się stanowczo od dotychczasowych wyrobów. Jak widzimy, każdy z zegarków zawieszony na pięknej agrafce rzeźbionej w nadzwyczaj gustowne ornamenta, wzięte z motywów świata roślinnego, również koperty zegarków pokryte płaskorzeźbą lekką, rzuconą na płaszczyźnie. Pierwszy z zegarków ozdobiony główką amorka z rozwianymi włoskami, reszta pokryta motywami roślinnemi. Styl, jak to czytelnicy łatwo zauważą: „modern,“ jak inni chcą: „secesya.“ *s*

LITERATURA.

Kazimierz Tetmajer zyskuje coraz więcej uznania w literaturze zagranicznej. „Anioła śmierci“ przekład francuski ukaże się niebawem, a Niemcy tłómaczą wybór poezyi, oraz cykl wrażeń literackich naszego poety. *i*

„Ziemię obiecaną,“ znakomitą powieść autora „Chłopów,“ Wł. Reymonta, skończyło drukować w przekładzie p. A. Szapiro czasopismo *Hamburger Echo;* obecnie rzecz ta wyjdzie w odbitce książkowej. *i*

ODCZYTY.

Krakowskie Towarzystwo przyrodników im. Kopernika urządzą w tym roku w sezonie postnym cykl odczytów „O życiu,“ w którym najwybitniejsi uczeni i specyaliści zabiorą głos w roztrząsaniu pewnych kwestyi z nauk biologicznych. Odczyty te stanowić będą pewną całość ukażą się razem w osobnej książce, podobnie jak przed 2 laty książkę taką utworzył cykl odczytów „O powietrzu.“ Oto spis tematów i prelegentów: dr. M. Siedlecki „Życie jako zjawisko,“ dr. Rostafiński „O pierwotnych formach życia,“ dr. Cybulski „Przemiana energii u jestestw żyjących,“ dr. Beck (ze Lwowa) „Wrażliwość jestestw żyjących,“ dr. Kostanecki „Ciągłość życia,“ dr. Kryński „Dziedziczność,“ dr. Bochenek „Walka o byt“ dr. Raciborski (z Dublan) „Życie w krajach podzwrotnikowych,“ dr. Nusbaum (ze Lwowa) „Życie w głębinach morza,“ dr. T. Garbowski „Geneza życia.“ Dochód z odczytów przeznaczony jest na fundusz założenia muzeum przyrodniczego przy Tow. im. Kopernika. *p*

Towarzystwo prawnicze we Lwowie urządziło cykl wykładów „O nowoczesnej socyologii.“ Cykl rozpoczął w d. 6 lutego prof. Władysław Pilat odczytem „O początkach socyologii,“ w którym przedstawił dawniejszą filozofię społeczną, tudzież prądy społeczne i poglądy w świecie starożytnym w wiekach średnich i nowożytnych, aż do przełomu, jaki wywołali w filozoficznem myśleniu Hume i Kant, oraz wyłonienie się kwestyi społecznej w znaczeniu współczesnem. W kole lit.-art. we Lwowie odczytał w dniu 14 b. m. znakomity deklamator, artysta Tarasiewicz, natchniony utwór Wyspiańskiego: „Kazimierz Wielki.“ Wrażenie świetnie deklamowanego utworu było wśród niezwykle licznego audytoryum bardzo silne. *a*

KONKURS.

Lutnia warszawska ogłosiła konkurs dla chórów kościelnych, powołując do wzięcia w nim udziału chóry mieszane, uprawiające stale muzykę kościelną, bez ograniczenia osób uczestniczących, ale pod warunkiem śpiewania na cztery głosy „a capella.“ Termin rozstrzygnięcia konkursu oznaczono na dzień 20-ty kwietnia r. b., przyczem na sędziów zaproszono kilku wybitnych przedstawicieli warszawskiego świata muzycznego. Konkurs ten dojdzie do skutku w razie stawienia się co najmniej trzech chórów, które będą obowiązane zaśpiewać jeden utwór zadany, oraz drugi wybrany dowolnie z dzieł muzyki klasycznej lub nowszej, z zastrzeżeniem charakteru kościelnego, oraz wartości artystycznej tego ostatniego utworu. Nagród wyznaczono dwie: 120-rublową i 80-rublową. Bliższych informacyi udziela kancelarya „Lutni“ w gmachu Filharmonii warszawskiej, ul. Moniuszki № 5. *o*

TEATR.

Gabryela Zapolska-Janowska, niestrudzona pracowniczka na polu literatury i teatru, wystawia obecnie w Krakowie nową sztukę p. t.: „Tresowane dusze,“ ze świata dziennikarskiego. Teatr Rozmaitości wystawi niebawem „Ahasvera“ tejże autorki. *i*

Teatr lwowski wystawił w zeszłym tygodniu sztukę w 4-ch aktach z epilogiem: „Skapany świat“ przez Władysława Orkana. Sztuka wywołała silne zainteresowanie i miała wielki sukces. W głównych rolach wystąpiły panie: Stachowiczowa, Węgrzynowa, Rotterowa, Rybicka, Połęcka; pp.: Solski, Roman, Hierowski, Feldman, Jaworski, Wysocki, Węgrzyn, Antoniewski, Kliszewski i Kwiatkiewicz. W teatrze lwowskim występuje obecnie gościnnie

pani Adela Żelazowska. Panna Bel Sorel powróciła do Lwowa na gościnne występy i wystąpiła w d. 20 b. m. w „Cyganeryi.“ *a*

JUBILEUSZ BOHDANA ZALESKIEGO WE LWOWIE.

W setną rocznicę urodzin „lirnika ukraińskiego,“ w dniu 14 b. m., odbyło się we Lwowie w rz.-katol. kościele katedralnym uroczyste nabożeństwo, urządzone staraniem Towarzystwa dziennikarzy polskich. Mszę św. odprawił ks. prałat dr. Zygmunt Lenkiewicz w otoczeniu licznego duchowieństwa. Ks. prałat Gnatowski, znany zaszczytnie pod pseudonimem Jana Łady pisarz, wygłosił następnie zastosowane do okoliczności kazanie, ujęte w piękną formę literacką, a pełne głębokich myśli. Wymowny kaznodzieja przypomniał, że niegdyś utwory Zaleskiego cieszyły się niezmierną popularnością i były nawet swego czasu więcej znane aniżeli utwory najpierwszych mistrzów naszej poezyi, największych naszych wieszczów. Mówca zakończył pięknym zwrotem o zapomnianej prawie na obczyźnie mogile, którą kiedyś uratuje od niepamięci potęga miłości, jaką był dla wszystkich przejęty Zaleski. Po kazaniu ks. Lenkiewicza, duchowieństwo odśpiewało przed rzęsiście oświetlonym katafalkiem uroczyste pienia żałobne i odprawiło żałobne nabożeństwo. Kościół był zapełniony publicznością. Koło literacko-artystyczne we Lwowie urządzi na cześć Bohdana Zaleskiego publiczny odczyt. *a*

JUBILEUSZ ADAMA BEŁCIKOWSKIEGO.

Koło artystyczno-literackie w Krakowie postanowiło podjąć inicyatywę w urządzeniu uroczystego obchodu ku uczczeniu czterdziestolecia pracy literackiej i naukowej ora Adama Bełcikowskiego, b. profesora Szkoły Głównej w Warszawie, obecnie urzędnika Biblioki Jagiellońskiej w Krakowie. W tym celu z łona „Koła“ wybrano komitet, który powoła do udziału w obchodzie sfery literackie i obywatelskie. Zamierzony obchód odbędzie się w pierwszych dniach kwietnia, a program obejmuje przedstawienie galowe w teatrze, na którem odegranym będzie ostatni utwór sceniczny Bełcikowskiego „Pan Pasek,“ oraz ucztę zbiorową ku uczczeniu jubilata. *p*

NAGRODA SULLY - PRUDHOMME'A. Odznaczony nagrodą Nobla poeta francuski wyznaczył 1,500 fr. rocznie jako nagrodę dla początkujących poetów, którzy nie mają środków na wydanie pierwszego tomu swoich utworów. Przyznawanie nagrody powierzył stowarzyszeniu literackiemu („Société des gens de lettres“) i przedstawił mu swój projekt ustawy fundacyi. Sully-Prudhomme pozostawia do woli laureatów ogłoszenie lub zachowanie w tajemnicy własnego nazwiska; tom, który ma być nagrodzony, musi zawierać najmniej 1,200 wierszy. Jeśli w ciągu roku nie znajdzie się poeta godny nagrody, wówczas suma będzie dołączona do nagrody roku następnego, lub obrócona na inny cel. *n*

TOWARZ. MUZYCZNE W KRAKOWIE.

W dniu 10 b. m. odbyło się w Krakowie doroczne ogólne zgromadzenie członków Tow. muzycznego. Ogólny obrót kasowy Towarzystwa i konserwatoryum wykazuje w dochodach 21,070 złr., w rozchodach 18,893 złr., podczas gdy zamknięcia kasowe lat ubiegłych stale wykazywały niedobór. Sprawozdanie artystyczne wykazuje 9 produkcyi publicznych Towarzystwa, na których wykonano między innemi: „Gallis“ Gounoda, dwie wielkie kantaty Żeleńskiego, koncert kompozytorski Z. Noskowskiego i dwa wieczory kameralne. Towarzystwo liczyło członków 300, konserwatoryum uczniów 180. Na prezesa Towarzystwa, z powodu ustąpienia z tej godności prof. B. Wicherkiewicza, wybrano dra Edmunda Krzymuskiego, prof. uniwersytu Jagiellońskiego, na wiceprezesa prof. dra Leona Cyfrowicza, skarbnikiem jest dr. E. Grabowski, a członkami zakładu pp. dr. Gunkiewicz i Kalinowski. Dyrektorem Towarzystwa od lat 20 jest p. Wiktor Barabasz, dyrektorem konserwatoryum od jego założenia w r. 1888 dr. Władysław Żeleński. Nowemu zarządowi poruczyło zgromadzenie podjąć energiczne starania celem jak najszybszego przyprowadzenia do skutku budowy własnego domu Towarzystwa, oraz konserwatoryum i wybrało do tej sprawy osobną komisyę. *p*

KONSEKRACYA ARCYBISKUPA.

W niedzielę dnia 2 lutego r. b. odbyła się we Lwowie uroczystość konsekracyi i intronizacyi nowego arcybiskupa ormiańsko - katolickiego we Lwowie, ks. Józefa Teodorowicza. Portret i sylwetkę nowego księcia Kościoła zamieścił *Tygodnik* w r. z., po elekcyi arcybiskupa, dokonanej przez duchowieństwo orm.-katolickie Galicyi. Uroczystego aktu konsekracyi dopełnił kardynał książę biskup krakowski Puzyna z arcybiskupem lwowskim ks. Bilczewskim i gr.-kat. metropolitą ks. Szeptyckim, w asystencyi wszystkich biskupów galicyjskich. Na uroczystości obecni byli: namiestnik hr. Piniński, marszałek kraj. A. hr. Potocki, reprezentanci władz i tłumy pobożnych. Następca ś. p. ks. Issakowicza miał po konsekracyi piękne kazanie do ludu, wygłoszone z kazalnicy. Wieczorem tegoż dnia odbył się u ks. arcybiskupa Teodorowicza obiad na 130 nakryć. *a*

HANDEL I PRZEMYSŁ.

Agitacya przeciwko handlowi z Niemcami zaczyna przechodzić ze sfery projektów w dziedzinę czynu. W ubiegłym tygodniu przybyła do Warszawy czeska delegacya handlowa, złożona z reprezentantów fabryk czeskich i słowackich, dążących do nawiązania stosunków handlowych z naszymi kupcami, a tem samem do zbliżenia ekonomicznego Czech z Królestwem. W „Kronice tygodniowej“ (str. 144) znajdą czytelnicy portrety delegatów, których Warszawa przyjmowała bardzo gorąco.

Dziewiętnaście firm warszawskich, trudniących się handlem papieru, galanteryi, wyrobów skórzanych i t. p., powzięło postanowienie zerwania stosunków handlowych ze swymi dostawcami niemieckimi i w tym celu wystosowało o tem zawiadomienie do konsulatów: angielskiego, austryacko-węgierskiego, francuskiego, holenderskiego, Stanów Zjednoczonych i włoskiego, z prośbą o pomoc w nawiązaniu stosunków z ich producentami. *o*

KONSULAT FRANCUSKI WE LWOWIE. Sprawa utworzenia konsulatu francuskiego we Lwowie była przedmiotem paroletnich układów między rządem austryackim a francuskim. Wypadki wrzesińskie i w ich następstwie stałe postanowienie kupców galicyjskich zerwania stosunków handlowych z Niemcami przyśpieszyły utworzenie konsulatu Rzeczypospolitej Francuskiej w administracyjnej stolicy Galicyi. Z pośród kilku kandydatów, przedstawianych lub ubiegających się o zaszczytne i doniosłe stanowisko, wybrano p. Erazma Świerczewskiego, byłego urzędnika Wydziału krajowego, zaznajomionego dokładnie ze stosunkami miejscowymi i posiadającego szerokie relacye handlowe we Francyi. Nominacyę tę przyjął ogół mieszkańców Lwowa bardzo sympatycznie, p. Erazm Świerczewski bowiem posiada dar szczęśliwego oryentowania się w interesach, a przytem niezaprzeczoną łatwość jednania sobie życzliwych i przyjaciół we wszystkich klasach społecznych. Sądzić można, że nie zawiedzie położonego w nim zaufania i stanie się pożytecznym łącznikiem ubogiej Galicyi z bogatą Francyą w handlu ogólnym, a szczególnie w naszym przemyśle nafciarnym. *zs*



Erazm Świerczewski.

POLITYKA.

O pośrednictwie pokojowem holenderskiem zupełnie ucichło; natomiast świat polityczny miał w zeszłym tygodniu nową sensacyę w postaci traktatu przymierza pomiędzy Anglią a Japonią. Dokument ten, ogłoszony całkiem niespodziewanie, tak się przedstawia w streszczeniu: Rządy angielski i japoński, kierowane chęcią utrzymania pokoju w Azyi wschodniej na podstawie *status quo*, oraz pragnąc zabezpieczyć całość i nietykalność Chin i Korei, postanowiły: Przedsięwziąć środki zabezpieczenia swoich interesów, jeśli te będą zagrożone przez zaczepne postępowanie któregoś z mocarstw, lub przez zaburzenia w Chinach i Korei, przyczem jedna z układających się stron znalazłaby się w konieczności interwencyi. Gdyby jedno ze sprzymierzonych państw było uwikłane w wojnę z jakiem państwem, drugi sprzymierzeniec zachowa ścisłą neutralność; dopiero gdyby nieprzyjaciela wzmocniło inne państwo, wtedy sprzymierzeniec wystąpi z pomocą. W tych okolicznościach sprzymierzeńcy będą razem prowadzili wojnę i razem zawierali pokój. Żadna ze stron traktatowych nie może bez wiadomości i zgody drugiej wchodzić w układy z innymi państwami. Układ ten otrzymuje moc obowiązującą natychmiast po podpisaniu traktatu (co nastąpiło d. 31 stycznia r. b.), a trwać ma bezterminowo, z prawem wypowiedzenia na rok. Zastrzeżono jednak, iż gdyby w ciągu tego roku wynikła wojna, to traktat pozostaje w swej sile aż do zawarcia pokoju. Układ ten sprawił pewne wrażenie w świecie politycznym.—Na porządek dzienny wchodzi teraz demonstracyjne zbliżenie Niemiec do Ameryki, t. j. do Stanów Zjednoczonych. Wysłany został z wizytą do Ameryki brat cesarza, książę Henryk pruski, przy której to okazji odbywać się będą festyny, psujące krew Anglikom.

ZMARLI.

Kardynał Agostino Ciasca, zmarł w Rzymie skutkiem choroby sercowej. Urodzony d. 7-go maja r. 1835 w Poligna a Mare, należał do św. kolegium kardynalskiego od dnia 19-go czerwca r. 1899. *n*

Emil Hünten, malarz-batalista, zmarł w Düsseldorfie, przeżywszy lat 75. *n*

Tomasz Sidney Cooper, senior malarzy angielskich, zmarł w 99-tym roku życia. Cooper urodził się w Canterbury w r. 1803; mając lat 24 pojechał do Belgii, gdzie studyował malarstwo pejzażowe, a w r. 1833 wystawił pierwsze obrazy, które odrazu zyskały uznanie siłą charakterystyki i harmonią kolorytu. W r. 1867 został Cooper członkiem „Royal Academy,“ a w 1872-gim założył w mieście rodzinnem galeryę sztuki, gdzie udzielał ubogim studentom bezpłatnych lekcyi malarstwa. *n*

Hr. Alfons de Calonne, jeden z najstarszych pisarzów francuskich, zmarł w Paryżu, przeżywszy lat 84. Ostatni jego artykuł o przesileniu w Operze komicznej, ukazał się w *Soleil* jednocześnie z wiadomością o zgonie autora. Karyerę literacką rozpoczął Calonne od krytyki artystycznej i rozpraw archeologicznych, a w ciągu półwiekowej działalności swojej założył kilka czasopism, z których jedno p. t.: *Le Henri IV*, powstałe w r. 1850, miało na celu popieranie przywrócenia monarchii; następnie był Calonne wydawcą *Revue contemporaine*. Między r. 1852-gim a 1885-tym wydał szereg romansów, które jakkolwiek dobrze napisane zyskały tylko t. zw. *succès d'estime*. Z prac politycznych zmarłego na wzmiankę zasługują: „Rattazzi i przesilenie włoskie,“ „Polityka Francyi w sprawach niemieckich i włoskich,“ „Rola Prus i Niemiec północnych w równowadze europejskiej.“ *n*

HUMOR I SATYRA.

Cudzoziemiec:

— Ile ludności ma wasze miasto?

Dorożkarz:

— Oddawna już brak nam niewiele do pół miliona; ale cóż, kiedy „elektryka“ coraz kogoś na śmierć przejedzie. *n*

* * *

Najwyższy realizm.

Pan w teatrze:

— Co się tam stało na galeryi?

Lożmajster:

— Ach, nic, tylko jak aktor Iks umarł na scenie, jego praczka na galeryi zemdlała... Nieboraczka: winien jej jeszcze 4 ruble! *n*

* * *

W sądzie.

Sędzia:

— Niedawno wyszliście po 12-tu latach z więzienia i już znów siedzicie na ławie obwinionych?

Podsądny:

— Już znów? Panie sędzio, mnie się zdaje, że dwanaście lat przerwy to ładny kawałek czasu! *n*

* * *

Dziecko nie pragnie kochać, lecz być kochanem. *n*

NOWE KSIĄŻKI.

A. Brückner: Geschichte der polnischen Litteratur. Leipzig, 1901 (8-vo, str. 628).—Jest to tom pierwszy przedsięwziętego przez księgarnię C. F. Amelanga w Lipsku wydawnictwa, na które złożą się opracowania dziejów literatury wszystkich wogóle „narodów wschodnich," zarówno europejskich, jak azyatyckich. To, że najwcześniej ukazała się w tem wydawnictwie historya literatury polskiej, jest poprostu dziełem przypadku zapewne, nie rozmyślnego zamiaru wydawcy; jakkolwiekbądź, ukazanie się dzieła prof. Brücknera w chwili obecnej, w chwili, kiedy wzmogły się i wciąż jeszcze wzmagają oszczerstwa przeciwko nam hakatystów, którzy radziby odsądzić nas od własnej kultury i cywilizacyi, jest bardzo na czasie. Dowiedzą się Niemcy od profesora uniwersytetu w Berlinie, że Sienkiewicz, który w kąt zapędził i Freytaga i Ebersa i Ecksteina i Konrada Meyera, jest dzieckiem kultury bardzo starej i literatury bardzo świetnej; przekonają się, że—mimo wszystko—*e pur si muove*, że Bismarck skłamał bezczelnie, mówiąc: *Die Polen haben keine Litteratur*. Wykład historyi literatury polskiej osnuł prof. Brückner na bardzo szerokiem tle dziejowo-kulturalnem, które z charakterystyką poszczególnych zjawisk i prądów literackich łączy się w tak spójną całość, że pod tym względem dzieło może służyć za wzór syntezy naukowej. Układ materyału jest przejrzysty, a zupełnie oryginalny; nowość polega na tem, że, zwłaszcza w historyi literatury przedmickiewiczowskiej, na pierwszy plan występują nie postaci i nie dzieła, lecz prądy i grupy; tak np. literaturę wieku XVI rozpatruje autor w dwu głównych grupach: reformacya i humanizm. Pomimo że początek humanizmu wyprzedził chronologicznie pierwsze brzaski reformacyi, o niej jednak mówi nasamprzód autor z uwagi, że nie humanizm, lecz właśnie reformacya stworzyła literaturę *narodową;* podawszy więc doskonałą charakterystykę reformacyi w Polsce, zastanawia się nad jej odbiciem w literaturze—w pismach nietylko tych autorów, którzy bezpośrednio reformacyi służyli, lecz i tych, którzy z ruchu reformacyjnego wyszli (choćby nawet nie wyrzekli się katolicyzmu), przyczem po raz pierwszy uwydatniła się pierwszorzędna rola, którą w naszem życiu umysłowem odegrał aryanizm. W rozdziale o humanizmie zgrupował autor podobnież nietylko humanistów w ścisłem tego słowa znaczeniu, lecz i tych wszystkich, którzy w mniejszym lub większym stopniu za dzieci odrodzenia poczytani być powinni. Metodę taką, niezmiernie ułatwiającą jasne zdanie sobie sprawy z głównych prądów umysłowych, które literaturę stworzyły, musimy poczytać za ważny krok naprzód w nauce. Jeżeli zaś ta metoda do literatury wieku XIX została zastosowana w części tylko, jeżeli charakterystyka dzieł i osobistości przeważa nad charakterystyką prądów, tłómaczy to się coraz to większym rozwojem w XIX wieku indywidualności twórczej, która często jest tak silna, że tworzy prąd literacki swój własny, wciągając weń indywidualności słabsze. Zresztą zaznaczyć należy, że trzymając się konsekwentnie *ogólnego* podziału na wieki, w *szczegółowym* układzie materyału zerwał prof. Brückner z rutyną, nie trzymał się uparcie żadnego schematu, któryby za niewzruszony poczytywał, usiłując skreślić historyę literatury tak, aby ona była możliwie wiernem odbiciem rzeczywistego życia, którego rozwój i bieg nie da się ująć w ściśle określone formuły, ani w ściśle zakreślone szranki. Jeżeli pod względem układu dzieło prof. Brücknera jest znacznym krokiem naprzód w nauce, to pod względem jego wyboru—jest krokiem olbrzymim. Objął autor całość literatury polskiej, jak świadczy już o tem spis rozdziałów: 1) Początki. 2) Reformacya. 3) Humanizm. 4) Dyletanci wieku XVII. 5) Upadek. 1700—1760. 6) Odrodzenie. 7) Pseudoklasycyzm. 8) Początki romantyzmu, 1820—1830. 9) Romantyzm w literaturze emigracyjnej. Mickiewicz. 10) Słowacki. 11) Krasiński. 12) Romantyzm w kraju. 13) Od roku 1864. Poezya i dramat. 14) Powieść. Sienkiewicz. W porównaniu z prof. Chmielowskim uwzględnił prof. Brückner o wiele mniej autorów XIX wieku, i ta redukcya musi być poczytana za wielką zaletę książki, nadaje jej bowiem większą przejrzystość. Natomiast wieki dawne uzupełnił autor nietylko całym szeregiem nowych nazwisk, lecz i całymi działami literatury, o których dotychczas głucho było w nauce. A więc przedewszystkiem wspomina autor o dwu największych naszych uczonych wieków średnich, głośnych na Zachodzie: o Mateuszu z Krakowa i Jakóbie z Paradyża. Do literatury wieku XVI wprowadził charakterystykę pamfletów politycznych i religijnych, dyalogów dramatycznych, paszkwilów i inwektyw, polemiki religijnej, bajek i powieści ludowych; naszkicował działalność Turnowskiego, Bernarda z Lublina, Ostafiego Trepki, Murzynowskiego, Łukasza ze Lwowa, Marcina Krowickiego, Jana Łaskiego i in.; nie pominął ani mów sejmowych, ani listów, ani opisów podróży—słowem, zgromadził wszystko, co było potrzebne dla wytworzenia sobie pełnego pojęcia o literaturze „wieku złotego." Wiek XVIII-ty dopiero pod piórem prof. Brücknera doczekał się rehabilitacyi na wielką skalę, nie tyle zresztą pod względem estetycznym, ile pod względem bogactwa literatury, na które, obok działów i rodzajów dawniej znanych, złożyły się: mesyady, legendy, apokryfy, pisma antysemickie, beletrystyka i satyra o charakterze wybitnie mieszczańskim, romanse, podróże, literatura o kobietach, różne „vademecum" i „silvae rerum," „Księga chamów" i t. d. Do stereotypowych postaci dodał nowe, jak oto: K. Piekarskiego, kasztelana Krasińskiego, K. Twardowskiego, K. Siemiątkowską, A. Stanisławską i in. Słowem, wzbogacił naukę całym szeregiem nowych, nieznanych a niezbędnych przyczynków. A i czasy saskie doczekały się wprawdzie nie rehabilitacyi, lecz znacznego uzupełnienia: charakteryzuje autor pisma fanatyków religijnych, literaturę magnacką i kobiecą, romanse i bajki, pisma S. Cedrowskiego, J. A. i J. K. Jabłonowskich, M. Załuskiej i in. W historyi literatury Stanisławowskiej pierwszy obszerniej omówił satyry ks. G. Piotrowskiego. Dodajmy do tej pełności obrazu i do krytycyzmu, popartego intuicyjną niemal przenikliwością: jasną, dobitną, jędrną charakterystykę; szczerość poglądów, płynącą nietylko z fenomenalnej erudycyi, lecz i z umiejętności oceniania ludzi i wypadków; brak wszelkich uprzedzeń politycznych, społecznych i religijnych, które tak zeszpeciły dzieło prof. Tarnowskiego; bezstronność, wprost imponującą, zarówno względem nas, jak Niemców; szczęśliwe połączenie talentu analitycznego i syntetycznego; zupełne opanowanie metody badań historycznych,—a wówczas dopiero będziemy mieli pojęcie o pierwszorzędnej wartości tej książki. Ogółowi czytelników daje zarys krótki, ale pełny, dziejów literatury polskiej, badaczom zaś otwiera nowe drogi do badań, zwracając ich uwagę na nieznane skarby naszego piśmiennictwa. Nieprędko jeszcze zapewne to wszystko, co naszkicował prof. Brückner, będzie wszechstronnie opracowane! Na zakończenie niniejszego sprawozdania śpieszymy podzielić się z czytelnikami wiadomością, że obecnie opracowuje prof. Brückner polskie wydanie swej książki, znacznie uzupełnione i rozszerzone. Dzieło to ukaże się jeszcze w roku bieżącym. *Ign. Ch.*



Profesor A. Brückner.

Dr. Teofil ks. Kowalski: Nauka śpiewu, podręcznik do użytku domowego w szkołach i seminaryach. Nakładem redakcyi *Śpiewu Kościelnego.* 1902.—Zadaniem tego podręcznika jast—według słów autora—doprowadzić ucznia do tego, aby: „śpiewał czysto, pięknie i prawidłowo wymawiał, by nadał dźwiękowi należytą mu siłę i mógł głosem wyśpiewać nuty, wybrać wszystkie interwale." Ksiądz Kowalski, uzdolniony w tym kierunku amator, traktuje przedmiot z upodobaniem i zapałem, a książka jego dla amatorów organistów okazać się może przystępniejszą od fachowych prac specyalistów.

Ks. dr. Kazimierz Wais, prof. filozofii i teologii w seminaryum duchownem w Przemyślu: Psychologia. — Jest to tom I szerzej zakrojonego dzieła, wydanego nakładem *Biblioteki dzieł chrześcijańskich.* Zawiera rozdziały: o czynnościach i władzach duszy; o czynnościach i władzach życia wegetatywnego; o czynnościach i władzach życia umysłowego; o zmysłach zewnętrznych i zmysłach wewnętrznych. Autor uwzględnia związek psychologii z fizyologią, ale uważa, że przedmiotem psychologii przedewszystkiem są zjawiska świadome. „Psychologia zajmuje się naturą człowieka: tak w całości pojmujemy jej przedmiot — powiada autor. — Lecz są jeszcze przedmioty inne, podporządkowane, specyalne. Posiadamy dzisiaj psychologię poszczególnych zmysłów, jak: smaku, zapachu, słuchu; psychologię tłumu, sekt, narodów, etc. Czy mają racyę te podziały? Niezawodnie, albowiem traktują o rzeczach, które bezpośrednio lub ubocznie należą do psychologii. O jednem tylko pamiętać należy: o tem, by te szczegółowe kwestye, te psychologie dyferencyalne, opierały się na ogól-

nym psychologicznym poglądzie, inaczej stracą wartość, wywołają chaos pojęć, będą podobne do kilku kart, wydartych z jakiejś obszernej a nieznanej w całości księgi." A dalej: „Psychologia winna przedewszystkiem zająć się duszą, inaczej sprzeciwia się sama sobie. Jeżeli badanie duszy ma być wszechstronne, prawdziwie naukowe i głębokie, musi dążyć do wskazania przyczyn najwyższych i ostatecznych, by odpowiedzieć na pytania: Czem jest dusza? Jaki jej początek i koniec? Czem my jesteśmy? Skąd przychodzimy i dokąd idziemy?" Te cytaty charakteryzują dokładnie stanowisko autora, o którego zajmującej pracy pomówimy obszerniej po ukazaniu się całości. *y*

Stanisław Bełza: W Tunisie i na Malcie. Warszawa, 1902. *Pod niebem Dalmacyi.* Warszawa, 1901.—W pierwszem z powyżej wymienionych a świeżo wydanych dziełek kreśli autor wrażenia swe z niedawno odbytej podróży do Tunisu i na Maltę, przyczem, jak w tylu poprzednich tego rodzaju utworach, tak i w niniejszym opisie daje nam p. Bełza oprócz całego szeregu barwnie a często poetycznie skreślonych wrażeń poszczególnych, również i ogólną charakterystykę rzeczonych krain, tudzież krótki zarys ich ongi świetnej dziejowej przeszłości. W drugiem dziełku przeprowadza nas autor w ten sam sposób wzdłuż pięknej, choć ubogiej Dalmacyi, dziwnej przez ustrój swej przyrody, a ciekawej przez swoją historyczną przeszłość i wspaniały rozkwit swej literatury narodowej. Ten ostatni utwór, wygłoszony swego czasu na odczycie publicznym, dopełnił autor szeregiem rycin, wyobrażających typy ludowe, oraz piękniejsze fragmenty pejzażowe nadadryatyckiej krainy. *o*

Kazimierz Stryjeński: La Mère des trois derniers Bourbons. Paryż u Plona.—Marya Józefa Saska była dotychczas zbyt mało znaną postacią historyczną. Pisano o niej i sądzono na podstawie mylnych informacyi pamiętnikarzy ze schyłku wieku XVIII. P. Stryjeński, rodak nasz, pracowity szperacz i wydawca cennych monografii historyczno - obyczajowych, wypowiedział pierwszy słowo prawdy o tej, która była matką Ludwika XVI, Karola X i Ludwika XVIII. Odnalazłszy szczęśliwie różne listy i notaty nieznane w Bibliotece Polskiej, w Archiwum ministeryum spraw zagranicznych w Paryżu, w Archiwum Drezdeńskiem, odtworzył na ich podstawie zajmującą postać Maryi Józefy w otoczeniu Ludwika XV, Maryi Leszczyńskiej i Delfina. Książka jego, wydana starannie i ozdobiona portretem heroiny opowiadania, rzuca snop światła na dzieje familii królewskiej Burbonów w XVIII stuleciu. *A*

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: Panna Mery. Powieść. 1902.—Kazimierz Tetmajer, nie zaniedbując mowy wiązanej, odzywa się w ostatnich czasach coraz częściej prozą, a powieści jego cieszą się równem powodzeniem i poczytnością, jak i poezye. Wydana obecnie „Panna Mery" znana jest naszym czytelnikom, gdyż drukowaliśmy ją w r. z. w *Tygodniku*; dlatego, nie wdając się w ocenę krytyczną, poprzestajemy na wzmiance o ukazaniu się wydania książkowego. *ut*

K. Krynicki: Rys geografii Królestwa Polskiego. Wydanie drugie, poprawione i pomnożone, ozdobione 215 rycinami, 6 mapami i 5 planami.—Jest to praca popularna, ale oparta na źródłach i bogata w informacye. Autor uwzględnia przyrodzone właściwości kraju, następnie opisuje szeroko lud różnych okolic, jego zwyczaje, obrzędy, etc.; dalej daje podział Królestwa pod względem administracyjnym, przemysł, handel, etc., kończąc szczegółowym przeglądem 10 gubernii. Książka, wydana bardzo starannie, illustrowana bogato, zaopatrzona jest w skorowidz alfabetyczny, ułatwiający korzystanie z książki. Prócz tego dołączono mapkę Wisły i jej dopływów, mapkę dróg żelaznych, oraz starannie wykonaną kolorami mapę Królestwa Polskiego. Wszystko to razem składa się na całość bardzo pożyteczną i potrzebną, gdyż nie można, niestety, twierdzić, by znajomość własnego kraju była u nas rozpowszechniona. *ut*

Adam Darowski: Szkice historyczne. Serya pierwsza. Wydanie II. Warszawa, 1901. O poczytności Szkiców Darowskiego, niestety zbyt rzadko udzielającego się ogółowi, świadczy ponowne ich w stosunkowo niedługim przeciągu czasu wydanie. Przeważnie poświęca autor swoje studya wiekowi XVII, wyjaśnieniu stosunków b. Rzplitej polskiej z sąsiadami. Krytyka życzliwie przyjęła pierwsze wydanie książki. O drugiem powiedzieć można, że usunęło niektóre braki dostrzeżone przez sprawozdawców w faktycznem przedstawieniu wypadków. Autor zna dokładnie opisywaną epokę. Do poczytności jego pracy przyczynia się styl jasny i potoczysty. Niemałą zaletą Szkiców jest umiejętne zużytkowanie odpowiednich źródeł. *X*

Kalendarze. Z pomiędzy kalendarzy na r. b., nadesłanych nam, a nie wzmiankowanych jeszcze na tem miejscu, wymieniamy: *Kalendarz Maryański*, drukowany nakładem Karola Miarki w Mikołowie, obficie i udatnie illustrowany, ułożony starannie i zajmująco w duchu religijnym.—*Kaliszanin*, ułożony przez W. Szatkowskiego, uwzględniający przeważnie w dziale informacyjnym gub. Kaliską, pod względem treści nader staranny, ale zewnętrznie pozostawiający nieco do życzenia, szczególnie w odbiciu rysunków.—*Ognisko Domowe*, kalendarz popularny, nakładem A. G. Dubowskiego, z kilku utworami poetycznymi Or-ota, obrazkiem A. Dygasińskiego i t. d.

Słownika języka polskiego, ułożonego pod redakcyą Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego i Wł. Niedźwiedzkiego, wyszedł zeszyt 11-ty. Jest to zeszyt przedostatni tomu II-go i zawiera objaśnienia wyrazów od gwarowego „Kurdiuk" do „Łatwowierność."

OD REDAKCYI.

Każdy prenumerator „Tygodnika illustrowanego" w roku 1902 otrzyma

bez żadnej dopłaty co miesiąc tom

dzieł H. Sienkiewicza

czyli rocznie 12 tomów.

NADESŁANE.

Wydawcy: SPADKOBIERCY GEBETHNERA I R. WOLFF
Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego
Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Redaktor przyjmuje codziennie, z wyjątkiem świąt, w biurze redakcyi, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadesłanych do redakcyi, nie zwraca się.

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Февраля 1902 года.

GRAFOLOGIA.

OD REDAKCYI.

Ze względu na licznie napływające do oceny listy nie jesteśmy w możności odpowiadać na wszystkie zapytania i poddamy ocenie tylko te, do których będzie dodana kwota co najmniej kop. 50 w markach lub gotówce. Ofiary te, ogłaszane w Tygodniku, przeznaczamy na rzecz *Warszaw. Kasy przezorności i pomocy dla literatów i dziennikarzy.*

919. **Mak polny.** Otwartość, odcień łagodności, uporczywość, nieco zarozumiałości i pewności siebie, mały odcień osobowości, żywość, zmienność wrażeń i postanowień, przerzucanie się do coraz innych pomysłów i zamiarów, nigdy niemal w czyn się nie zamieniających. Umysł inteligentny, chłodny, przezorny, z odcieniem podejrzliwości; mało ożywiona wyobraźnia nie unosi w podniebne sfery, a chwilowe zachwyty to jakby ogień słomiany, który prędko wybucha, ale i prędko gaśnie. Wola dość słaba, wytrwałości brakuje. Uczuciowość umiarkowana, serce nierozbudzone słabo się ujawnia, ale oznaki miłości bliźniego dozwalają wnosić, że dałoby się ocucić, tylko nie byłoby zdolne do gorętszych uczuć i uniesień.—920. **Chmura.** Umysł inteligentny, serce żywo czujące, wyobraźnia dawniej może więcej ożywiona, dziś spokojna. Wola dość słaba, stałość, odcień wytrwałości, wrażliwość i usposobienie mało podlegają zmianom. Pismo mało wypisane, próba za mała, nie obejmująca ani jednej z charakterystycznych dużych liter, nie dopuszcza ściślejszej oceny. — Chwilowy rozstrój nerwów lub krótkich walk stoczonych z sobą, silnie odczute, mogą ujawniać się w piśmie, jeśli silne ślady pozostawiły w duszy. Na drugą próbę załączoną w liście, jako w nieznanym sobie języku, Grafolog nie umie odpowiedzieć; może tylko wykazać ogólne, silnie ujawnione cechy: wiele serca i dość gorący temperament. — Kopiejek 51 do zwrotu.—921. **Furya z nad Prutu.** Nietrafny pseudonim: nie *Furya*, lecz figlarka i psotnica, pragnąca w błąd wprowadzić Grafologa. A gdyby też był „jaszczurką i indykiem“ i w chęci zemsty potwierdził wszystkie przezwiska i wady, jakie podobało się szanownej Pani sobie przypisać?... Z jednej strony dworowałaby, że się Jej podstęp udał, ale uciecha ta nie dorównywałaby nieprzyjemności, sprawionej drukowanem potwierdzeniem własnej oceny,—Ale Grafolog, rządząc się zasadą: „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem“—oto jaką trafną i ścisłą podaje ocenę: Umysł jasny, ukształcony, zdobny pewnym powabem, dowcip—który choć może czasem ukole, to jak igiełka, która, przekłówając, przyciąga. Spokojna wyobraźnia, poczucie estetyczne; silnie ujawniona dobroć i słodycz charakteru, zacność, szczerość. Wola umiarkowana, wytrwałość, stałość, nieco uporczywości, odcień prostoty. Uczuciowość bez czułostkowości, serce umiejące być wdzięcznem, miłość bliźniego. Charakter harmonijny, sympatyczny, strona duchowa przeważa. — 922. **Mimoza.** Sz. Pani przysłała próbę dość obszerną, ale pisaną nader starannie białym atramentem na papierze fijołkowym, który pochłania białe litery, zakrawające więcej na litografię niż na pismo ręczne, i dlatego nie ujawnia cech grafologicznych. Niech Sz. pani nie stosuje się do tej mody, przez wzgląd na własne i czytających oczy. Pierwsza znów strona dodanej kartki, podająca duże litery, pisane rozmyślnie. nic nie objaśnia, nie dopuszczając swobodnego odtworzenia cech grafologicznych. Oto co wykazuje druga stronica, napisana pismem pewnem, swobodnem i naturalnem: Umysł jasny, ukształcony, z odcieniem dedukcyjności, zdobny pewnym powabem, poczucie estetyczne, upodobania, a może i zdolności literackie. Ożywiona wyobraźnia. Dość gorący temperament, serce żywo czujące, miłość bliźniego. Odcień dumy porównawczej, a może tylko poczucie swej wartości. Dość silna wola, stałość, wytrwałość, uporczywość, stałe dążenie do zamierzonego celu; prawość, szczerość. Charakter dość wyrobiony, harmonijny.—923. **Zwolenniczka białej kamelii.** Pismo ładne, ale za staranne i za mało wypisane Sz. Korespondentka zdaje się bardzo młoda, więc charakter jeszcze nie wyrobiony, i dlatego mało cech grafologicznych ujawnia. Umysł inteligentny, spokojna wyobraźnia, serce, uczuciowość. Delikatność, poczucie estetyczne, odcień miłości bliźniego, strona duchowa przeważa; zdaje się, że Sz. Pani, choć przebywa na ziemi, nie dotyka jej stopami. Wola dość słaba, wytrwałości odcień zaledwie. Podatny grunt do wyrobienia sympatycznego charakteru.—924 **Heloiza.** Wola umiarkowana, odcień wytrwałości i uporczywości. Jeśli pismo *jest naturalne*, nader gorący temperament, serce w zgodzie z rozumem, łagodność, odcień dobroci, nieco osobowości, łagodzonej miłością bliźniego. Umysł jasny, ukształcony, dość ożywiona wyobraźnia.—925. **Antinus z R.** Skromne upodobania, nie za wygórowane dążenia Oszczędność bez skąpstwa, a taka nie jest wadą lecz zaletą. Spokój, zadowolenie ze swego stanowiska, usposobienie mało podlegające zmianom, posiada więc Sz. Pan główne podstawy szczęścia. Utrzymujący, że innego szczęścia niema na ziemi, mają po części słuszność, dowodem, że nikt jeszcze nie zdołał go tak określić, aby ogół przyznał mu słuszność. Ile osób, tyle zdań, każdy zapatruje się się ze swego stanowiska i pożądań. Wola umiarkowana, stałość, szczerość; serce uznaje powagę rozumu, nie podlega mu jednak niewolniczo. Umysł inteligentny. Pismo za staranne nie uwydatnia dostatecznie cech grafologicznych.—926. **Bandarlog (???)** *Odwrotne* pismo Sz. Pana nie dopuszcza trafnej oceny grafologicznej, gdyż jako nienaturalne, *właściwych* cech Jego charakteru nie ujawnia. Pismo takie, jeśli nie jest sztuczne i rozmyślnie przyswojone, przedstawia nader odstręczające cechy charakteru, niewątpliwie niezgodne z rzeczywistem Jego usposobieniem, czego dowodzą niektóre litery, które się tu z naturalnego pisma przedostały.—927. **Nicpoń z Petersburga.** Sz. Pan odebrał na pierwszy list odpowiedź dość szczegółową, mało więc do niej dodać można. W obecnym liście pismo jest mniej pośpieszne, więc podane już cechy charakteru więcej uwydatnia. Niesłusznie wybrał Sz. Pan tak ubliżający pseudonim; pismo go bynajmniej nie potwierdza. Główną wadą jest brak wytrwałości, za słaba wola i nad ich wyrobieniem pracować trzeba. Pogląd Sz Pana na *naukę* grafologii jest dość trafny; w wymienionym „Przewodniku“ podane są szczegółowo jej zasady. Samemi tylko własnemi obserwacyami, nie popartemi nauką grafologii, nie podobnaby dojść do możności zbadania najróżnorodniejszych charakterów.



REBUS



Znaczenie rebusa, umieszcz. w n-rze 7.

Z wiekiem zmieniają się ludzie do niepoznania

TREŚĆ:

ODPOWIEDZI.

Ukraince. „Gazeta Toruńska“ jest czasopismem popularnem, przeznaczonem dla inteligentniejszych warstw ludu. Listy do Prus wschodnich i zachodnich, oraz do W. Ks. Poznańskiego można adresować po polsku, ale biura pocztowe niemieckie odsyłają listy do t. zw. urzędu tłómaczeń, co opóźnia często doręczenie korespondencyi.

Wielbicielce Sienkiewicza. Prenumeratorowie Tygodnika illustrowanego mają prawo nabywać pierwsze 24 tomy dzieł Sienkiewicza za rub. 10 w broszurze i za rub. 14 w oprawie (w razie życzenia w ratach kwartalnych).

Kutnowiance. Wspomniane przez Sz. Panią, zużyte marki pocztowe są zbierane w celu zasilania funduszów misyi katolickich w krajach pogańskich. Czy stemple z kopert i kart pocztowych mogą również należeć do zbiorów—nie wiemy. Bliższych wyjaśnień w tej sprawie udzieli Sz. Pani ks. Ignacy Lojola Dubowski w Żytomierzu.

P. Karli. W dodatkach r. bież. nie ukończymy wszystkich pism Sienkiewicza, wobec tego, że prócz trylogii i Krzyżaków pójdzie w nich cały szereg pierwszych prac literackich autora Quo vadis, nieznanych wcale szerszemu ogółowi. Druk tych rzeczy rozpoczniemy w drugiej połowie r. b., po ukończeniu „Ogniem i mieczem,“ w porządku chronologicznym.

P. Wł. Sw. Polecić możemy „Naukę stenografii“ Polińskiego w cenie 80 kop.

P. Z. K., wielbicielce „Króla Ducha.“ Książkę Ignacego Matuszewskiego „Słowacki i nowa sztuka“ znajdzie Sz. Pani obecnie w księgarniach wileńskich. Chwilowo brakowało egzemplarzy, ale obecnie sprowadzono już z Krakowa.

P. H. T. Powieść „Bez Dogmatu“ mieści się w pięciu tomach. Cena w oprawie, z przesyłką pocztową, rb. 4 kop. 15.

P. M. Dokładnego adresu, wspomnianego przez Sz. Pana milionera nie posiadamy.

P. „Dan Co.“ Adres Griega: Bergen, Norwegia.

P. Z. M. R. w Łodzi. List Sz. Pana nadaje się zupełnie do oceny grafologicznej, należy tylko przysłać conajmniej kop. 50 ofiary na Kasę Literacką.

Wielbicielowi Sienkiewicza. Ależ naturalnie, może Sz. Pan nabyć pierwsze 24 tomy dzieł Sienkiewicza (z r. 1899 i 1900) za cenę (w oprawie)—rb. 14, płatnych—o ile Panu będzie dogodniej—ratami.

P. K. O. Herbu „Korab“ używają Orzeszkowie i Ostrowscy.

Prenumeratorowi P. D....wicz. Jako prenumerator Tygodnika ill., może Sz. Pan nabyć 36 tomów dodatków pism Sienkiewicza za 15 rb. broszur. i za 21 rb. w oprawie. Opłatę można przysyłać w ratach kwartalnych, t. j. kolejno za 3 książki po rb. 1 k. 25 za broszurę, lub po rb. 1 k, 75 za oprawę; za przesyłkę pocztową należy dopłacać. Na żądanie możemy wysyłać książki za zaliczeniem pocztowem.

Malutka. Adres Tetmajera: Kraków, Sebastyana 10. Wierszyka nie umieścimy. Jest zgrabny, ale monotonny.

P. Zdzisław Piernikowski. Było kilka rzeczy Saszy Schneidra, ale „Uczucia zależności“ nie było.

P. K. Kr. w Krakowie. Talentu odmówić nie można, są ładne pomysły i wykonanie nienajgorsze. Gdzieniegdzie jednak jakiś wyraz niewłaściwie użyty psuje nastrój całości.

P. Wanda Ch. Ustawa Szkoły Sztuk Pięknych była ogłoszona w całości w „Kuryerze Warszawskim“ Chwili otwarcia nie można jeszcze oznaczyć. Przedtem musi zorganizować się komitet i dyrekcya. Listy do oceny grafologicznej adresować do redakcyi.

P. Jan Pawłenga. Nie.

„8“. Ładne w pomyśle, ale dość pospolite pod względem formy.

Janka. Oda do karnawału—nie.

P. Ludgard Gr. „Listopad“ i „Jedno uczucie“ drukowane nie będą.

Prenumerator z prowincyi. Przedewszystkiem trzeba uzyskać pozwolenie z cenzury, a potem można odbić w pierwszym lepszym zakładzie typograficznym.

Vester. Gładkie, ale bezbarwne.

P. H. Krocz. Lud w okolicy Zakopanego używa przymiotnika „zakopiański“ nie „zakopański;“ działa tu zapewne analogia do takich przymiotników, jak: „nadwiślański,“ chociaż jest „Wisła,“ nadelbiański od Elba, zaodrzański od Odra, grodzieński od Grodno i t. d., gdzie *śl, bi, rz, dzi* jest zmiękczone ze *sł, b, r, d.*

Prenumeratorowi Nadrowst. w Chrostk. Za ostatnie 3 lata może Sz. Pan otrzymać dodatki Sienkiewicza: 36 tomów za rb. 15, w opr. rb. 21, albo każde 12 tomów oddzielnie po rb. 5, w opr. rb. 7.

P. Halinie K. Premium „Nad grobem Robaka“ Alchimowicza będzie rozesłane naszym prenumeratorom w II lub III kwartale. r. b.

Spirydion w C. Księgarni z sortymentem polskim niema obecnie ani w Paryżu, ani w Wiedniu. Zamawiać książki polskie najlepiej w Paryżu przez *H. Le Soudier* (Boul St. Germain 174), w Wiedniu przez *Gerolda i Co.* (Stephansplatz 8).

P. Zygmuntowi W. Nie możemy przyznać słuszności uwagom Pańskim, prosimy wszakże o odsłonienie przyłbicy. Przyzna Sz. Pan, że list, podpisany imieniem i nazwiskiem, inne robi wrażenie, niż pismo anonimowe.

P. Jan Rudzyński we Lwowie. Niestety, nie możemy Sz Panu służyć żądaną informacyą. Zawoalowane biusty robiło i robi wielu rzeźbiarzy, gdyż są to rzeczy bardzo efektowne, a względnie dość łatwe do wykonania. Jeżeli Sz. Pan posiada u siebie oryginał, to powinien na nim być wyryty podpis artysty.

P. S. K. Biuro techniczne Włodarkiewicz i Sieklucki Warszawa.

P. X. Y. Z., stałej prenumeratorce. Wystarczy zaadresować wprost i zarekomendować list, który będzie odesłany do specyalnego biura i doręczony. Adres w języku francuskim z odpowiednią intytulacyą.

Ciekawemu A. Z. Przybyszewski przebywa w Warszawie, Kasprowicz we Lwowie. O malarstwie angielskiem wyszło w przekładzie polskim dzieło Sizeranne'a. Nietzschego przełożono „Tak mówił Zarathustra“ i studyum o Wagnerze. O nowych prądach w poezyi i w sztuce znajdzie Sz. Pan informacye w książce Ignacego Matuszewskiego p. t. „Słowacki i Nowa sztuka (modernizm).“ Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 400. Cena rb. 1.50.

Prenumerata Tyg. illustr. rocznie: we Lwowie 27 k. 20 h., w Galicyi z przes. poczt. 28 k. 80h., w Krakowie 24 k, w Poznaniu 24 M, z przes. poczt. 30 M. Za granicą rocz. rs. 13, półr. rs. 6 k. 50, kwart. rs. 3 k. 25.

Agentury Tygodnika illustrowanego: Ekspedycya główna we Lwowie, Pasaż Hausmana 9. Kraków, Księgarnia Gebethnera i Sp., Paryż, A. Lelong, Boul. des Capucines, wprost Grand Café. W Łodzi: Księgarnia p. f. Rychliński i Wegner, Piotrkowska 51. W Warszawie, Kantor redakcyi Tygodnika illustrowanego, oraz Biuro Dzienników Ungra, Wierzbowa 8 i wszystkie księgarnie w kraju i za granicą.

Wydawcy: Spadkobiercy Gebethnera i R. Wolff. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 17. Telefon 413. Redaktor Dr. Józef Wolff.

Ekspedycya dla Galicyi: Lwów, Pasaż Hausmana 9. S. Sokołowski. Odpowiedzialny za redakcyę we Lwowie: Dr. Bieńkowski Adam, Czarnieckiego 12.

Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Февраля 1902 года. Druk Warsz. Tow. Akc. Artyst.-Wydawn.

Nr 44 WARSZAWA, dnia 1/14 lutego 1902 r. Nr 44

GAZETA POLSKA

Cena „Gazety Polskiej“ wraz z Bezpłatnym Dodatkiem tygodniowym (52 książki rocznie): w Warszawie rocznie rb. 9.60, półrocznie rb. 4.80, kwartalnie rb. 2.40, mies. kop. 80, z odnoszeniem do domu.—Z przesyłką pocztową: rocznie rb. 12, półrocz. rb. 6, kwart. rb. 3. Zagranicą kwart. rb. 5.02. Za zmianę adresu kop. 20. Numer pojedynczy w kioskach kop. 5 w sprzedaży ulicznej kop. 3.

Prenumeratę najlepiej jest nadsyłać wprost do Redakcyi Gazety Polskiej w Warszawie ul. Warecka № 14. Prenumerować można też przez kantory pism, kioski i księgarnie.

CORocznie 52 DODATKI BEZPŁATNE z dziedziny: Powieści i poezyi, Historyi, Literatury i krytyki, Nauk przyrodniczych, Podróży, Życiorysów i t. p.

Ogłoszenia przyjmuje Redakcya Gazety za opłatą od wiersza petitem lub jego miejsce za pierwszy raz po kop. 10, za następne po kop. 8.—Wiersz reklamy petit. kop. 15—Wiersz petitowy ogłoszenia na pierwszej stronie po kop. 30.—Drobne ogłoszenia za wyraz kop. 1½.—Nekrologi za wiersz petit. kop. 15.—Za tłómaczenie dolicza się po kop. 2 od wiersza. — *Ogłoszenia do Gazety Polskiej z Niemiec, Austryi i Szwajcaryi przyjmuje Rudolf Mosse w Berlinie i w agenturach. — Ogłoszenia z Francyi i Anglii: Société Mutuelle de publicité, Agencya Havas'a i C. Adam w Paryżu.* Za dołączanie prospektów do Gazety płaci się rb. 10 od tysiąca egz. oprócz przesyłki pocztowej.

Piątek, 14 lutego. | Biuro i kantor Redakcyi przy ul. Wareckiej № 14—telefonu 88. Agentura „Gazety Polskiej“ w Łodzi, w księgarni R. Schatke'go przy ulicy Piotrkowskiej Nr 71. | Redaktor i Wydawca Jan Gadomski.

Rok wydawnictwa 71-szy.

Artykułów, nadsyłanych do umieszczenia w Gazecie, nie zwraca się nadsyłającym.

Notatnik i kalendarzyk terminowy.

Dziś św. Walentego Kapł., *jutro* św. Faustyna M.—Imiona słowiańskie: *dziś* Niemiry, *jutro* Szczęsława.

Dnia 14-go lutego.

Wsch. sł.	Zach. sł.	Dł. dn.	Przybyło.	Wsch. ks.	Zach. ks
g. m.	g. m.	g. m.	g. m.	g. m.	g. m.
7.22	5.07	9.45	2.11	9.35 r.	12.51 pn.

Dziś o godz. 4 rano — 1°, o godz. 7 rano —1°, o godz. 12 w południe +2° R.

Wysokość wody na rzece Wiśle pod Warszawą d. 14-go lutego, o godz. 9-ej rano stóp 9 cali —.

Kościelny. *Jutro* w kościele ś. Jacka, o godz. 7 rano, wotywa z odśpiewaniem litanii i procesyą na intencyę członków bractwa Różańca Świętego. — W kościele św. Franciszka Serafickiego, o godz. 10-ej rano, wotywa ku czci Najświętszej Maryi Panny Nieustającej Pomocy.— W kościele ś. Anny, o godz. 9-ej rano, wotywa z wystawieniem Najświętszego Sakramentu w puszce i procesyą na intencyę członków arcybractwa czci Niepokalanego Serca N. M. P., o godz. zaś 11 ku czci Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.—W kościele Opieki św. Józefa, o godz. 4 popołudniu, nabożeństwo pasyjne.

Posiedzenia. *Jutro*, w Muzeum przemysłu i rolnictwa, o godz. 11¾ rano, posiedzenie członków hygieny ludowej Tow. hygienicznego.—W magistracie, o godz. 6 wieczorem, sesya półroczna członków zgromadzenia piwowarów.—W Muzeum przemysłu i rolnictwa, o godz. 8 wieczorem, posiedzenie członków wydziału hygieny wychowawczej Tow. hygienicznego.— W gmachu przy ul. Krakowskie-Przedmieście № 66, o godz. 8 wieczorem, posiedzenie członków sekcyi II (chemicznej) Tow. przemysłu i handlu.—W lokalu przy ul. Foksal № 19, o godz. 9 wieczorem, doroczne zebranie członków Tow. wioślarskiego.

Wystawy czasowe. W budynku przy ulicy Karowej panorama „Bitwa pod piramidami“.— W gmachu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych przy ul. Królewskiej wystawa obrazów F. Żmurki.— Salon Krywulta: Wystawa obrazu Rochegrossa „Legenda o królu Salomonie i królowej Sabie“. — Salon artystyczny: Wystawa gwiazdkowa.—Na Dynasach wystawa tryptyku J. Styki „Trzy dni Zbawiciela“ —Panorama żup solnych w Wieliczce (Nowy-Świat № 30—od godz. 10 zrana do 10 wieczorem).

Teatry, koncerty i zabawy. Wielki: *dziś* „Zbójcy“ (tragedya Schillera); *jutro* „Mazepa“ (opera Münchheimera).—**Rozmaitości:** *dziś* „Jarmark małżeński“ (krotochwila J. Okonkowskiego); *jutro* „Odrodzenie“ (komedya Schönthana, w przekładzie Z. Wójcickiej). — **Nowości:** *dziś* „Sztygar“ (operetka Ziehrera), oraz „Divertissement“ tancerskie); *jutro* „Niewolnik grecki“ (operetka Jonesa).—**Letni:** (w ogrodzie Saskim): *dziś* i *jutro* przedstawienie trupy małorosyjskiej—(8 wieczorem).

Teatr Ludowy (na rogu ulic Grzybowskiej i Ciepłej): *jutro* „Wieczna bajka“ (obrazek A. Marka), „Czuła struna“ (operetka), oraz „Flet zaczarowany“ (balet)—(8 wieczorem).

Filharmonia. *Dziś*, o godz. 8 wieczorem, koncert na rodzinę po ś. p. J. Stattlerze. — *Jutro*, o godz. 8 wieczorem, koncert popularny.

Teatr maryonetek: *Jutro*, w lokalu przy ul. Chmielnej № 9, przedstawienie o godz. 4-ej popołudniu.

O przyjaźń Ameryki.

Stosunki pomiędzy Anglią a Niemcami przybierają charakter coraz nieprzyjaźniejszy, i rozdrażnienie obustronne dochodzi już do tego stopnia, że nawet po usunięciu przyczyny nieporozumień trudnoby zapewne było powrócić do dawnej zażyłości. Echa mów chamberlainowskich i bülowowych przebrzmiały, ale za to wysunęła się naprzód inna sprawa, niebezpieczniejsza jeszcze, bo dotycząca wypadków, których wyjaśnienie może oddziałać bardzo silnie na usposobienie Amerykanów względem Anglii i Niemiec.

Powaśniwszy się z Anglią rząd niemiecki zdecydował się na próbę nawiązania stosunków serdecznych ze Stanami Zjednoczonymi i w tym celu ks. Henryk pruski ma udać się na drugą stronę Atlantyku. Dla Anglii porozumienie się niemiecko-amerykańskie byłoby ze względu na wojnę z Boerami jeżeli nie bardzo niebezpieczne, to w każdym razie wcale niepożądane. Aby zapobiedz niemiłemu zwrotowi w polityce amerykańskiej, angielski sekretarz stanu dla spraw zagranicznych, najstarszy syn Salisburyego, Cranborne, zrobił w izbie gmin uwagę, z której zdawało się wynikać, że Stanom Zjednoczonym groziła przed rozpoczęciem wojny o Kubę, za staraniem Austryi i Niemiec, interwencya ze strony mocarstw europejskich, i głównie Anglia zapobiegła wmieszaniu się Europy do tej sprawy.

Uwaga ta zrobiła wielkie wrażenie po tamtej stronie Atlantyku; pisma zaczęły komentować ją w sposób wcale nieprzychylny dla Niemiec, a wobec tego uznano w Berlinie potrzebę wystąpienia ze stanowczem zaprzeczeniem. Prasa niemiecka zapewniła, że było wręcz przeciwnie, niż twierdzi Cranborne, a mianowicie, że poseł angielski w Waszyngtonie, Pauncefote, przedstawił reprezentantom mocarstw projekt interwencyi, a Niemcy projekt ten odrzuciły. Nowojorska *Evening Post* nazwała twierdzenie to „niemądrem“, dodała, że Pauncefote działał tylko jako *doyen* ciała dyplomatycznego, przedstawiając mocarstwom projekt podany z innej strony. Wtedy półurzędowa *Nord. Allg. Ztg* odpowiedziała w tonie rozdrażnionym, że niemądry jest chyba tylko ten, kto stara się przekręcić fakty znane nie dwom tylko osobom, lecz reprezentantom wszystkich [illegible].

Odpowiedź ta ukazała się dn. 10-go b. m., a dn. 11-go Cranborne złożył w izbie gmin oświadczenie, że Anglia nietylko nie podała wniosku o interwencyę, lecz przeciwnie odrzuciła propozycyę, którą jej zrobiono. Teraz rząd niemiecki, zagrożony w swym stosunku ze Stanami Zjednoczonemi, zdobył się na krok wychodzący już po za ramy zwykłej dyskusyi politycznej: ogłosił w organie urzędowym *Reich-anzeiger*'ze, notę, przesłaną d. 15 kwietnia 1898 r. do Berlina przez posła niemieckiego w Waszyngtonie, Hollebena, oraz notę posła angielskiego, Pauncefotea, zawierającą wezwanie do interwencyi. Pauncefote oświadcza w swej propozycyi, że ze słów orędzia prezydenta do kongresu amerykańskiego zdaje się wynikać, iż wmieszanie się Stanów Zjednoczonych do wojny na Kubie zgadza się z zamiarami mocarstw i nastąpi skutkiem zachęty z ich strony. Na ten szczegół zwrócił uwagę poseł hiszpański, i Pauncefote, pragnąc wyjaśnić tę sprawę, przedstawia w porozumieniu z innemi państwami *memorandum* hiszpańskie mocarstwom do przychylnego rozważenia. Holleben w swoim telegramie do ówczesnego sekretarza stanu Bülowa, powtarza tę notę, ale niezupełnie dokładnie; nie wspomina o tem, że chodzi o wyjaśnienie wątpliwości, a natomiast oświadcza, że działa na wyraźne życzenie posła angielskiego, i że mocarstwa powinny natychmiast ogłosić swoją uchwałę, aby wywrzeć nacisk na Stany Zjednoczone. Na zakończenie Holleben dodał: „Ja osobiście zapatruję się dosyć zimno na taką manifestacyę“, a cesarz Wilhelm, jak twierdzi *Reichsanzeiger*, dopisał na marginesie telegramu: „Uważam ją za całkiem chybioną, bezcelową i dlatego szkodliwą. Jestem przeciwny temu krokowi“. Dodać należy, że według samego *Reichsanzeiger*'a, Holleben przesłał do Berlina oryginalny tekst noty angielskiej dopiero później, gdy cała ta sprawa była załatwiona.

Nie będziemy oczywiście zajmowali się tu pytaniem, po czyjej stronie jest słuszność, angielskiej czy niemieckiej. Brak nam do tego szczegółowej znajomości tego, co mówiono na kongresie posłów w Waszyngtonie, na którym Pauncefote zredagował swą notę. Możemy stwierdzić tylko fakt, że depesza Hollebena nie zgadza się dosłownie z propozycyą angielską, i że w dyplomacyi różnice w formie i zestawieniu słów, nawet daleko mniej jaskrawe, niż te, które zachodzą w tym wypadku, odgrywają niekiedy bardzo ważną rolę. Przypominamy tu znany telegram bismarkowski, który wywołał wojnę francusko-niemiecką.

W każdym razie ogłoszenie tych dokumentów, jeżeli nie jest krokiem nieprzyjaznym, to zdradza zamiary nieprzyjazne dla Anglii i zapewne nie pozostanie bez dobitnej odpowiedzi. W Niemczech bowiem uznano te dokumenty za dowód oczywisty, że minister angielski dopuścił się „niebywałego w dyplomacyi kłamstwa“. Dalsza dyskusya może stać się bardzo zajmującą,—ale i niebezpieczną.

Cz.

Bohdan Zaleski.

Bohdan Zaleski

1802—1902.

Przyszło dziecię na świat boży,
Kłaniał mu się step *mołoczny*,
Na wschodzącej strunach zorzy
Wiatr mu śpiewał podobłoczny;

Kłaniał mu się step rozległy
Chwiejnym morzem swych burzanów,
A od mogił, od kurhanów
Jakieś dziwne echa biegły — —

O Bohdanie Zaleskim

w setną rocznicę narodzin.

Pozytywizm był potrzebny. Dla pola i ogrodu bywają niekiedy potrzebne: mróz i śnieg. Ale trzeba żeby panowanie mrozu i śniegu nie trwało zbyt długo.

Skorupę lodową najtrudniej przebijać kwiatom. Podczas naszej zimy pozytywistycznej wiele kwiatów padło ofiarą tego wysiłku. Najdzielniejsze wyszły z pod lodu, lecz dużo mocy w bezpotrzebnej walce utraciły. Brak rumieńca w pieśniach Asnyka kto wie, czy nie ztąd właśnie pochodzi.

Pozytywizm był potrzebny — nie dla poezyi wszakże. Poezya musi wierzyć, choćby w siebie samą — on był podszyty zimnym sceptycyzmem; poezya wykwita z marzeń — on marzenia wydrwił; poezyi trzeba swobodnej, niczem niezamkniętej przestrzeni — on wszystkiemu wyraźne granice zaznaczał.

Pozytywizm przypominał Grabca z „Balladyny“: róż nie lubił. Pewnego razu jego młodzi przedstawiciele rozbierali z powagą pytanie: czy poezya jest wogóle potrzebna? Było to jakby echo średniowiecznych koncyliów, na których rozpoznawano: czy kobieta ma duszę?

Tchnienie pozytywizmu mroziło nietylko współczesną sobie poezyę — sięgało także wstecz, do epoki romantycznej, oraz tej, co po niej bezpośrednio przyszła. Pozytywiści rozpatrywali w „nowem świetle“ poetów doby minionej, co nigdy nie obywało się bez szkody dla ostatnich. Nowe światło miało to do siebie, że patrzący widział w niem to tylko, co chciał widzieć.

Mickiewicza z piedestału nie usunięto — bo on ma w sobie coś z sosny polskiej, zielonej nawet pod śniegiem, i z modrzewia, którego się żaden robak nie imie. Słowacki był zagrożony. Ocaliły go dwa pomyślne zdarzenia: wydanie klasycznej monografii Małeckiego i kaprys, czy też przeczucie znakomitej aktorki, która wprowadziła na scenę „Maryę Stuart“ i „Mazepę“.

Innym nikt nie przybył z obroną, więc jak kwiaty nagłym mrozem chwycone, oszkliły się lodem, i — na czas pewien — zmartwiały. Należał do ostatnich Bohdan Zaleski.

Na śpiewaku, co był cały z puchu, z płatków róży, z piórek pawich, z kwietnego pyłku, położyła ciężką rękę krytyka pozytywistyczna, i brutalnie go przygniotła.

Przez lat kilkanaście uroczych pieśni „słowika ukraińskiego“ wcale słychać nie było. Może ten i ów rozkoszował się w cichości ich przedziwną melodyą i harmonią — głośno nie przyznawał się do tego. Nawet panny krzywiły się, gdy im zanucono: „O! widać i słychać: w ogródku skowronek“...

Śmierć poety — co u nas jest prawie zasadą — przypomniała go rodakom. Na rok, może na półtora roku, stała się modną... długa, siwa broda, którą śpiewak „wiośnianek“ ku końcowi życia zapuścił. Tę brodę wielokrotnie rysowano, malowano, rzeźbiono nawet, najczęściej z dodatkiem symbolicznego torbanu. Ale torban po dawnemu milczał, a zaklęte w nim dumki i szumki w świat nie wylatywały.

Zmrożona przez krytykę pieśń Bohdana długo odtajać nie mogła...

Pamiętam, z jaką poufałością, graniczącą z lekceważeniem, pewien, młodziutki wówczas pisarz (zdolny później gramatyk), krytykował muzyczność formy Zaleskiego. Były to podług niego *nugae canores*, puste dźwięki, któremi mogą się zachwycać tylko niewybredni i naiwni. Po za dźwiękami, ów pisarz nic zgoła w Zaleskim nie widział.

Inny krytyk, poważniej zadanie swe pojmujący, pozostawił w spokoju ową muzyczność — nawet wyraził się o niej łaskawie, z pobłażliwym uśmiechem, z jakim starsi patrzą na igraszki dzieci. Natomiast poezyi Zaleskiego zarzuca „rażącą jednostajność... brak żywiołu myślowego... powierzchowne tylko zarysy uczuć, wrażeń, obyczajów“. O bohaterach jego dumek pisał: „zrabować, spalić, upić się i baraszkować lub też tęsknić — oto wszystko, co myślą, czują i robią“. Fantazye Bohdana są „lekkie, tęczowe i mimowoli ku sobie pociągają“, ale... „nie znamionuje ich ani wielka potęga wyobraźni, ani polot wysoki, ani namiętny koloryt“. O „Złotej dumie“ tak mówił: „tu i owdzie napotyka się zwrot śliczny, ale rozwlekłość i brak plastyki nie pozwalają uznać tego utworu za piękny“. Nie przebaczył i „Przenajświętszej Rodzinie“; do jej postaci, według krytyka, „ani umysł, ani serce, ani fantazya przywiązać się nie mogą, nie widząc w nich ani boskiego uniesienia, ani ludzkiego ciepła i blasku“. „Duch od stepu“ nieprzychylniej jeszcze osądzony. Ostatecznie krytyk sądził, że Zaleski nie mógł zostać wielkim poetą, gdyż mu brakło rozległych pomysłów i talentu plastycznego“. Jego fantazya „polotna i rozwiewna zdolna była tylko do tworzenia lekkich mar“. „Z wiekiem uczucie zamieniało się to w tęsknotę, to w gderliwość, fantazya mgłą zachodziła, zasób myśli nie zwiększał się — musiało nastąpić bankructwo poetyckie“...

Krytyk trzeci obszedł się z poetą jeszcze bezwzględniej. Chwali „formy zewnętrzne“, lecz o treści mówi, że „nie odznacza się ani rozmaitością, ani głębokością myśli i założeń“. Ta treść znika niekiedy zupełnie „wśród tęcz, fioritur, trelów, pod naleciałościami uczuć najsubjektywniejszych“. W „Duchu od stepu“ (wysoko cenionym przez Mickiewicza) widzi „ubóstwo treści“ i „wstecznictwo“. Ten poemat jest dla niego „kazaniem pierwszego lepszego średniowiecznego mnicha ascety“. Kozacy Zaleskiego „nie są to kozacy prawdziwi, lecz z baletu, gładko przyczesani, trącą perfumami nie dziegciem, z pod ich bułatów tryska krew w pięknych strumieniach malinowych“. Wreszcie, według krytyka, Zaleski nie stworzył i nie mógł był stworzyć żadnego dzieła wielkiego, gdyż do tego jest potrzebna myśl filozoficzna, jako cement, on zaś tej myśli nie posiadał.

Mam wiele szacunku dla wiedzy, pracy i literackich zasług tych wszystkich pisarzów— jednak, ile razy widzę ich sądzących w duchu pozytywizmu poezyę i poetów, przychodzi mi na pamięć pewna historya o słowiku i dwóch uczonych niemieckich.

Jednemu z tych Niemców (oni tylko do tego są zdolni) po długich i mozolnych studyach, udało się odtworzyć śpiew słowika nietylko znakami muzycznemi, lecz i dźwiękami mowy ludzkiej. Szczęśliwym wynikiem swych trudów podzielił się z kolegą, mieszkającym na wsi. Zdarzyło się, że wkrótce potem w ogrodzie ostatniego zaczął śpiewać słowik. Uczony, który do owego czasu mało zważał na takie błahostki, wziął latarkę, rękopis przyjaciela, ołówek i udał się do altanki, aby ztamtąd pieśń słowiczą — recenzować. Zajęło mu to kilka godzin ciężkiej pracy. Po ukończeniu jej, wrócił do siebie — pełen gniewu i oburzenia. Stukał ołówkiem w papier i wołał:

— Cóż to za lichy, niedołężny śpiewak! Forma jego pieśni jeszcze-by uszła, ale w treści... ileż karygodnych odstępstw od prawideł!

I krytycy ze szkoły pozywistycznej przystępowali do sądzenia poetów z gotową w ręce „partyturą“. Ale zatwierdzone przez nich prawidła śpiewu tem się różniły od tamtych, że było w nich jaknajmniej o śpiewie, bardzo wiele zaś o rzeczach zgoła do śpiewu niena-

Czy to ostry chrzęst zbroicy
Hen od lackiej płynął strony,
Czy płakała pieśń tęsknicy,
Czy cerkiewne grały dzwony?

Jakieś dziwne echa biegły,
Jakiś odgłos tajemniczy
Wkrąg wypełniał step rozległy
Gwarną wrzawą wolnej siczy.

I kołysał do snu dziecię
Bujnem życiem Ukrainy...
Czarodziejskie baśni kwiecie
W usta starej kładł Zoryny,

Rozpowiadał cuda, dziwy
Ukraińskiej odgłos niwy...

*
* *

Rosło dziecię... Nad niem stary
Czuwał Bojan z lirą złotą
I słowiańską je tęsknotą
Z łzawnic poił, jako z czary

I słowiańskiej pieśni miody
Sączył zwolna w pierś młodzieńczą,
Aż rozbłysła sama tęczą
Nad Dnieprowej lustrem wody...

„Sizym“ orlem, czajką lotną —
Pieśń zerwała się w obłoki,
Popłynęła w świat szeroki,
W ślad za duszą mknąc samotną...

Niosła z sobą łzy gorące,
Słowa rzewne, miodopłynne,
Szumki—dumki ukrainne,
Ukraińskie jasne słońce...

Popłynęła w dal od Siczy,
Jak „ho! hurra!“ Zaporoża
Popłynęła piosnka boża
Pełna mocy tajemniczej,

Co świat spina łukiem tęczy— —
Jeszcze słychać ją, jak dźwięczy...

Z. D.

Z Paryża.

(*Korespondencya „Gazety Polskiej“*).

Dnia 10-go lutego.

Zmarła tu niedawno w domu schronienia Klemencya Royer. Była to jedna z niewielu kobiet prawdziwie i głęboko uczonych. Od najmłodszych lat studyowała filozofię i nauki społeczne, oraz przyrodę. W r. 1860, mając wówczas lat 30, otrzymuje Klemencya Royer nagrodę za dzieło konkursowe „O teoryi podatku“. Potem pisze wiele dzieł treści społecznej, tłómaczy pierwsza Darwina „O pochodzeniu gatunków“ na język francuski. Znakomitem jej dziełem jest praca „O budowie świata“, w której wyłożyła wiele nowych i świetnych poglądów kosmogonicznych. Przypomnę wreszcie, że ostatnio, po przyznaniu nagrody Nobla Van T'Hoffowi, Klemencya Royer upominała się, z dowodami na poparcie, o pierwszeństwo w streszczeniu teoryi stereochemicznych, za które tylko nagrodzono Van T'Hoffa. Od r. 1900 Klemencya Royer była kawalerem legii honorowej.

Nad grobem jej przemówili przedstawiciele nauki, a między nimi redaktorka *Frondy*, oraz sekretarka „Ligi kobiecej“. Ostatnie posiedzenie tej „ligi“ było bardzo ciekawe i zakończyło się uchwaleniem postawienia kandydatur kobiecych na przyszłych wyborach do izby. Rzecz prosta, że kobiet nie wybiorą, jakkolwiek niema takiego paragrafu prawa, któryby zabraniał wyborcom-mężczyznom oddawać głosy na kobiety, ale będzie to w każdym razie sensacyjnym początkiem szerokiej akcyi, jaką sobie „liga“ obiecuje przeprowadzić w niedalekiej przyszłości.

Grano nakoniec w Komedyi Francuskiej „Margrabiego de Priola“ Henryka Lavedana, sztukę, przypominającą nieco typem bohatera starego „Don Juana“. De Priola jest cynikiem, który uwodzi na prawo i na lewo, czasami nawet nie chce doprowadzać uwodzenia do końca; uczy swego wychowańca, który jest jego synem, wszelkiego cynizmu, pokazuje mu listy swych kochanek, a młody człowiek w tym stosie znajduje listy swej matki. De Priola rozwiódł się, ale chce znowu ściągnąć żonę do siebie, tylko w ostatniej chwili nieudaje się ten zamiar, a i wychowaniec rzuca mu w twarz słowa goryczy, na które on odpowiada mu wyznaniem, że jest jego ojcem, poczem zostaje ukarany za swe zbrodnie, już nie kamienną dłonią komandora Don Juanowego, lecz nowożytniej—atakiem paralitycznym.

Artyści deklamowali i przesadzali charaktery, jak to tylko w Komedyi Francuskiej potrafią, gdzie nikt naturalnie i po ludzku nie mówi, ale mówi tak pięknie, jak żaden Francuz mówić nie potrafi. Ale oklaskom końca nie było.

Śnieg spadł dzisiaj; aż strach, co to będzie, jeszcze się walka *confetti*'ami nie uda na bulwarach w tłusty wtorek, a przecież to jeden z najweselszych dni w Paryżu.

K. D. S.

S. p. Włodzimierz Zagórski.

Zwłoki ś. p. Włodzimierza Zagórskiego przeniesione zostały wczoraj do kaplicy przy szpitalu św. Ducha z numeru, w którym zakończył życie. Spoczęły one tutaj wśród zieleni i światła.

Dzisiaj wyprowadzone zostały zwłoki do kościoła św. Karola Boromeusza przy ulicy Chłodnej.

Pogrzeb poety odbędzie się w niedzielę o godz. 3 po południu. Nad grobem przemówi jeden z literatów. Urządzeniem pogrzebu zajęła się Kasa literatów i dziennikarzy, zmarły bowiem nie miał w Warszawie bliższej rodziny, która mieszka stale we Lwowie i Wiedniu.

mierć miał ś. p. Włodzimierz Zagórski lekką, wieczorem zaś w środę czuł się nawet znacznie lepiej. Zgon nastąpił prawdopodobnie około godz. 4 rano, a spowodował go paraliż serca.



Ś. p. Włodzimierz Zagórski.

Oprócz służby szpitalnej i siostry miłosierdzia, sędziwego poetę z całą troskliwością doglądali w chorobie lekarze: d-rzy Kwietniewski i Sinołęcki.

W ostatnich czasach ś. p. Włodzimierz Zagórski zajęty był dwiema pracami większemi.

Jedną z nich, z wielką erudycyą przedsięwziętą, rozprawę o „Rytmie poezyi polskiej“ ukończył prawie w całości i zamierzał ją opublikować w wydawnictwach krakowskiej Akademii Umiejętności. Drugiej pracy, powieści biblijnej p. t. „Królowa Saba“, której druk rozpoczął od Nowego Roku *Wędrowiec*, nie zdążył schorowany autor wykończyć. Pozostawił jednakże ś. p. Zagórski plan szeroko zakreślony, z którym zwierzył się p. Kazimierzowi Laskowskiemu.

Teatr i sztuka.

✕ Artyści opery odbywają codziennie próby „Dalibora“ Smetany. Główne role śpiewać będą panie: Chotkowska i Kamińska, oraz panowie: Florjański (rola tytułowa), Chodakowski, Didur, Sienkiewicz, Dyliński i Kawalski.

✕ Niedzielne przedstawienie „Jasia i Małgosi“ w teatrze Wielkim rozpocznie się o godz. 2 popołudniu.

✕ Na niedzielnem popołudniowem widowisku w teatrze Nowości ukaże się od dłuższego czasu niegrana krotochwila „Koralia i Spółka“. Wieczorem odśpiewana będzie operetka „Trzy życzenia“.

✕ Pierwsze przedstawienie farsy „Raz się tylko żyje“ zapowiedziano w teatrze Nowości na przyszłą niedzielę.

✕ Całkowity program środowego wieczoru Tow. Muzycznego wypełni pianista Ernest Consolo.

✕ Kwartet polski, złożony z pp.: Jakowskiego, Kleina, Melcera i Paschalskiego wystąpi w d. 18 b. m. z koncertem w Kielcach, gdzie już w w r. z. zdobyli niemałe powodzenie. Artyści, przygotowali program złożony z dzieł, w których wykonaniu celują.

✕ Dyrektor teatru łódzkiego, p. Henryk Grubiński, zawarł umowę o wydzierżawienie na sezon letni teatrzyku w Bagateli.

✕ Wystawa krajobrazów Michała Wywiórskiego w pałacu sztuki zamknięta zostanie w niedzielę wieczorem.

Kuryer miejski.

— *Warsz. Dniewnikowi* komunikują z Petersburga, że zgodnie z Najwyżej zatwierdzoną w d. 18 stycznia r. b. uchwałą komitetu ministrów, zakładanie w guberniach Królestwa Polskiego biur porad prawnych jest wzbronione, osobom zaś prywatnym pozostawia się prawo wybierania sobie, w miarę potrzeby, obrońców według swego uznania, na zasadach obowiązujących.

— Warszawski okręg naukowy otrzymał okólnikowe zawiadomienie ministeryum oświaty, iż obcy poddani nie mogą otrzymywać pozwolenia na prowadzenie jakichkolwiek zakładów naukowych prywatnych, chociażby posiadali świadectwa z ukończenia miejscowych zakładów naukowych średnich lub wyższych.

— Dyrektor instytutu weterynaryjnego war. w liście do *Warsz. Dniew.* prostuje podaną przez to pismo, a powtórzoną przez inne dzienniki, wiadomość, jakoby zwierzchność instytutu wydawała każdemu ze studentów po egzemplarzu „przepisów czasowych“ wydanych przez ministeryum oświaty o organizacyi studenckiej, za własnoręcznem pokwitowaniem, i że, zgodnie z uchwałą zebrania ogólnego studentów, postanowiono przystąpić wkrótce do założenia czytelni studenckiej, biblioteki i kasy pomocy wzajemnej, istniejącą zaś tanią kuchnię studencką podciągnąć pod obowiązujące przepisy. Mianowicie, egzemplarze przepisów czasowych były istotnie rozdawane studentom, lecz nie za pokwitowaniem; żadnego zebrania ogólnego studentów instytutu nie było; co się zaś tyczy czytelni to ta istnieje razem z profesorską. Kuchnia funkcyonuje zgodnie z pozwoleniem zarządzającego okręgiem naukowym, udzielonem w d. 12 grudnia 1901 r. za № 27824.

— W sprawie obowiązkowego dostarczania podwód na potrzeby wojska pomieścił dziś *Warsz. Dniew.* nowy artykuł, którego autor twierdzi, że jeżeli ludność w gub. Królestwa obowiązana jest dostarczać znacznie więcej podwód, niż ludność któregokolwiek innego okręgu, za to też ciągnie różne korzyści z pobytu w kraju wielkiej liczby wojska, co uwidocznia się z budżetów ministeryum wojny. Ztego względu autor artykułu wnosi, że powinność podwodowa powinna być tylko miejscowa i jeżeli pożądane jest wogóle jej unormowanie, to tylko w obrębie okręgu, mianowicie przez pociągnięcie do udziału pieniężnego w niej ludności żydowskiej, oraz kupców, drogą opodatkowania tych klas, według pewnej normy proporcyonalnej.

— **Do dzisiejszego numeru** *Gazety Polskiej* dołączamy dla prenumeratorów warszawskich czwarty zeszyt „Historyi Sztuki“ z ilustracyami. Prenumeratorom prowincyonalnym posłaliśmy ten zeszyt wczoraj wieczorem.

— **W setną rocznicę.** Za spokój duszy znakomitego poety, ś. p. Józefa Bohdana Zaleskiego, jako w setną rocznicę urodzin, odbyło się dzisiaj o godz. 11½ nabożeństwo żałobne w kościele archikatedralnym ś-go Jana. Mszę uroczystą odprawił ks. Furmanik, wikaryusz miejscowy. Podczas nabożeństwa chór archikatedry, pod dyrekcyą p. Franciszka Cieślewskiego, wykonał mszę Milterera. Na *Benedictus* odśpiewała p. Marszałkowska „Pieśń pokutną“ Moniuszki. Kościół zapełnili przedstawiciele inteligencyi.

— **Napływ komiwojażerów.** Na wieść o zachwianiu się stosunków między odbiorcami a producentami niemieckimi, do Warszawy zaczęli zjeżdżać liczni komisanci z rozmaitych krajów europejskich. Przedstawicieli sklepów z wyrobami ze stali, hurtowników sprzedających uprzęże, wyroby rymarskie, ostrogarskie i inne odwiedzają komisyonerzy z Alzacyi, Tyrolu, Austryi dolnej, Szwajcaryi i t. d., a wszyscy opuszczają Warszawę z zamówieniami na poważne sumy. W niektórych hotelach pokoje zapełnili swojemi próbami agenci francuscy, a nawet włoscy. Odbiorcy nasi są wogóle z tego napływu gości z nieznanemi na rynku naszym przedmiotami zadowoleni, albowiem towary wprowadzą do handlu nowe urozmaicenie. Dla składników maszyn rolniczych rozpoczyna się właśnie sezon doroczny, gdyż ziemianie zwykle na schyłku zimy zaopatrują się w rozmaite narzędzia. Sezon dla fabrykantów niemieckich wypadnie o wiele mniej pomyślnie, niż corocznie. Jedna z firm bardziej znanych zmniejszyła zamówienia o 40 tysięcy rub., inne przypuszczalnie w stosunku zbliżonym. Jedynie siewniki i pługi są jeszcze sprowadzane z Niemiec, ponieważ typy tych narzędzi wyrabiane w innych krajach nie odpowiadają potrzebom ziemian naszych. Natomiast wszelkie inne narzędzia, oraz lokomobile firmy tutejsze sprowadzają wyłącznie z Ameryki i Anglii, zkąd na pierwszą przypada ¾ i na drugą ¼ zamówień.

— **Ruch towarów zagranicznych.** Jeden z dobrze poinformowanych w sprawach kolejowych czytelników naszych, donosi nam, że ruch towarów niemieckich sprowadzanych przez komorę aleksandrowską osłabł znacznie. Natomiast zwiększył się wwóz towarów z państwa austryackiego przez komorę w Granicy, zkąd nadchodzą duże partye próbek różnych towarów, zapotrzebowanych przez firmy tutejsze.

— **Agencya fracusko-polska.** Pp.: Wacław Gizbert-Studnicki i Mieczysław Kozakiewicz otworzyli w Paryżu, jak już donosił nam korespondent paryski, agencyę francusko-polską dla handlu i przemysłu. Obecnie otrzymujemy zawiadomienie, że biuro agencyi rozpoczęło już swe czynności i wszelkie zgłoszenia przyjmuje. Adres: Paryż, rue de Rome 123.

— **O dobroć mleka.** Mleko dostawiane na targi warszawskie posiada bardzo rozmaitą zawartość procentową tłuszczu, którą to zawartością mierzy się jego dobroć. Jeszcze w r. z., z inicyatywy sekcyi rolnej, powstał projekt ustalenia pewnej normy najniższej procentowości tłuszczu w mleku sprzedawanem w Warszawie. Miało to na celu zabezpieczanie konsumentów przeciw wyzyskowi, jaki praktykują handlujący mlekiem, rozwadniając je nadmiernie. Wniosek sekcyi rolnej przekazano wydziałowi biologicznemu Tow-a hygienicznego, który wydelegował specyalną w tym celu komisyę, z udziałem przedstawicieli większych gospodarstw mlecznych. Komisya wczoraj zdała swe sprawozdanie. Według jej opinii mleko z zawartością tłuszczu 2,5% należy uważać za odpowiadające najniższej normie; ponieważ jednak niektórzy producenci, przez odpowiednie żywienie i podniesienie hodowli, osiągają procent znacznie wyższy (3,8—4%), pożądane więc jest, aby w przyszłości norma wskazana mogła być jeszcze podwyższona. W jaki sposób norma ta ma się stać obowiązującą dla dostawców mleka na rynki warszawskie, i jak prowadzona ma być kontrola zabezpieczająca interesy spożywców?—co do tego nie nastąpiło żadne wyjaśnienie ze strony wydziału.

— **Jeszcze o kradzieżach.** Donosiliśmy wczoraj o niesłychanie śmiałych kradzieżach, jakich się dopuszcza nie wykryta dotąd szajka rabusiów, operująca w pobliżu Warszawy wzdłuż linii kolei Wiedeńskiej. Nielepiej dzieje się na innych kolejach. Wczoraj np. na stacyi Warszawa-Obwodowa, po przybyciu z Siedlec pociągu № 621/645, o godz. 7 m. 37, stwierdzono, iż jeden z wagonów, z ładunkiem nasion traw pastewnych, wyprawiony z Siedlec do Aleksandrowa, ma plomby bardzo misternie podrobione. Przystąpiono do sprawdzenia zawartości wagonu, w którym zgodnie z wykazem trachtowym, mieścić się miało 205 worków nasion, i okazał się brak 11-u worków, ogólnej wagi 40 p. 12 f. Kiedy i jak złodzieje zdołali unieść tak znaczny ładunek? — dotąd jest to ich tajemnicą. Onegdajszej znów nocy stacya Brześć, oświetlona elektrycznością, znalazła się nagle pogrążoną w ciemnościach. Światła pozbawili ją złodzieje, którzy zrabowali w pobliżu szpitala kolejowego 280 sążni przewodnika, złakomiwszy się na drut miedziany, przedstawiający wartość około 150 rubli. Rozwijająca się w tym kierunku przedsiebierczość złodziejska może się odbić szkodliwie na bezpieczeństwie ruchu i należałoby corychlej tamę jej położyć.

— **Odczyty.** Wczoraj w sali wielkiej Muzeum dr Jerzy Brunner rozpoczął cykl odczytów zorganizowanych przez Tow. kolonii letnich na rzecz tej sympatycznej instytucyi, odczytem „O chorobach zakaźnych“. Pojawienie się ich szerzy jeszcze panikę śród ludności, nieświadomej przyczyny chorób, co tak utrudnia walkę z tym wrogiem. Prelegent wyjaśnił licznie zebranym słuchaczom istotę chorób zakaźnych, zmiany pojęć, jakie co do niej istniały w szeregu wieków, począwszy od czasów, kiedy były one uznawane za „gniew Boży“, przeciw któremu walczyć nie godzi się, aż do czasu ostatnich wyników badań bakteryologicznych. Przytoczeniem tryumfów nauki, stwierdzonych przez statystykę śmiertelności, dr Brunner zakończył swój interesujący odczyt.

— **Z Pogotowia ratunkowego.** Wczoraj odbyło się posiedzenie zarządu, na którem oznaczono termin dorocznego zebrania ogólnego i ułożono jego porządek dzienny. Pierwszy termin tego zebrania oznaczono na d. 4 marca, drugi — na d. 21 t. m. Z uwagi na trudność odebrania należności za żądaną przez telefon karetkę do przewozu chorych z kolei, co się przytrafia dość często, uchwalono wysyłać karetkę tylko w takim razie, jeżeli należność uiszczona będzie z góry w kancelaryi Towarzystwa, lub też na ręce zwierzchności kolejowej.

— **Tow. pomocy artystom.** Komitet Tow-a wzajem. pomocy artystów muzyki, ich wdów i sierot na ostatniem posiedzeniu postanowił: zwołać ogólne zebranie członków na d. 2-gi marca r. b., lub w drugim terminie na d. 16-ty marca; wykreślić z listy członków 3 osoby z powodu śmierci i 2 za niepłacenie należnych składek; przyjąć na członków honorowych 2, a na rzeczywistych 9 osób.

— **Teatr maryonetek** daje w niedzielę najbliższą premierę, mianowicie jednoaktową baśń znananego na niwie literatury dziecięcej autora, p. St. Gębarskiego, p. t. „Flet zaczarowany“. Widowisko uzupełnią: na początku przedstawienia—sztuki ekwilibrystyczne, a w zakończeniu—latarnia magiczna i obrazy kinematografu.

— **Z Tow. fotograficznego.** W poniedziałek, d. 17 b. m., w sali Muzeum odbędzie się zwyczajne zebranie członków, na którem p. Brandel będzie miał interesującą pogadankę „Wycieczki po kraju demonstrowane widokami“. Na temże zebraniu rozpatrzone być mają oferty w sprawie wynajmu lokalu dla Tow. Początek zebrania punktualnie o godz. 8-ej wieczorem.

— **Nieletni podróżnik.** Syn urzędnika jednej z instytucyi rządowych K. jest oryginalnym podróżnikiem. Przed kilku laty opuścił klasę pierwszą gimnazyalną i pod wpływem przeczytanych powieści Mayne Reida, Coopera i t. d. puścił się na wędrówkę. Początkowo jako malec 12-letni, K. podróżował tylko po kraju, znikając na czas dłuższy z domu rodzicielskiego. Później dotarł kiedyś do Odesy, a ztamtąd do Konstantynopola. W r. z., jako młodzieniec siedemnastoletni, bez grosza w kieszeni, przedsięwziął wycieczkę do Grecyi, zkąd w tych dniach powrócił do Warszawy. Podczas włóczęgi K. wyuczył się kilku języków wschodnich. W podróży utrzymuje się z pracy: posługuje na okrętach, pasie trzody, wyrabia koszyki, a nawet pracuje u mechaników, ślusarzy i t. p. Chłopiec nie znosi dłuższego pobytu na jednem miejscu, a mania „wiecznego tułactwa“ pochłania go całkowicie.

Osobiste.

— Bawi w Warszawie Jan Szczepanik.

— Profesorem klasy fortepianu w instytucie muzycznym warszawskim, na opróżnione

---

leżących: o filozofii naprzykład, naukach społecznych, systemach historyozoficznych i t. p.

Wszyscy dopytywali poetę przedewszystkiem o „myśli“—rozumiejąc pod tem słowem nie myśl poetyczną, lecz mniej lub więcej poważne prawdy naukowe. Zwłaszcza tak zwane „cele społeczne“ były przez nich na pierwszem miejscu kładzione. Poeta był ciągniony do egzaminu z filozofii, nauk socyalnych i historyi (pojmowanej zwykle jednostronnie, w duchu panujących chwilowo prądów).

Na tym egzaminie właściwa poezya nazywała się „formą“ i była uważana za rzecz dodatkową.

Biedny ukraiński słowiku! Nie śpiewałeś według warszawsko-pozytywistycznej partytury—nie dziw, żeś dostał zły stopień i w ostatnich rzędach miejsce ci wyznaczono. Byłeś *tylko* poetą—czemuż nie stałeś się rymującym filozofem i socyologiem!

Uniknęłoby się wielu nieporozumień, gdyby ludzie z potrzebami swemi zwracali się zawsze pod właściwym adresem—gdyby po kwiaty szli do ogrodu, a po warzywa do sadu, gdyby „myśli“ szukali w filozofii, w poezyi zaś: uczucia (nie bezmyślnego naturalnie).

Poezya na filozofii szczepiona rodzi zawsze owoce cierpkie. Ostrzegał już o tem August Cieszkowski—może mając na myśli swego przyjaciela, Zygmunta Krasińskiego, który w pewnych poematach grzeszył nadmiarem myśli filozoficznej.

Niema podobno w poezyi wszechświatowej dzieła bardziej filozoficznego, niż „Boska Komedya“. Cóż się jednak z tą filozofią, na swój czas genialną, stało przez sześć wieków, które nas od niej oddzielają? Do szczętu zwietrzała! Mimo to arcytwór Danta nie przestaje nas zachwycać. To dowód, że jego piękność, jeśli nie nieśmiertelna, to przynajmniej wielowieczna, nie na filozofii się opiera.

Posłuchajmy Bohdana Zaleskiego z tem uczuciem, z jakiem słucha słowika nie uczony pedant, lecz człowiek szczerze, gorąco czujący—a wówczas dopiero jego urok w pełni nam zabłyśnie. Temu urokowi niech dusza nasza podda się z tą bierną ufnością, z jaką twarz poddaje się pieszczotom wiosennych wietrzyków; niech ucho oczarowane melodyą i harmonią tych wierszów, które nie mają ani równych sobie, ani podobnych, prześle wrażenia swe, świeże i niezmącone sercu naszemu — wówczas śpiewak „wiośnianek“ stanie przed nami świetlany, a potężny, jak sama Wiosna.

Nakształt nieba, przyrody, oblicza ludzkiego, nakształt wszelkiej rzeczy materyalnej i nie materyalnej, przedstawia się rozmaicie, zależnie od punktu widzenia, i poetyczna Ukraina. Mówicie, że Zaleski nie odmalował jej wiernie? To fałsz. On tylko nie odmalował jej wszystkich, najlepiej nam znanych, najbardziej popularnych rysów.

Ale tego nie dokonał również nikt inny.

Taki pełny, wszechstronny obraz stworzyć może tylko geniusz, Ukraina zaś, mniej szczęśliwa w tem od Litwy, dotąd geniusza swego nie wydała. Trzech wielkich poetów ją odtwarzało — każdy w innem świetle, w innym nastroju. Malczewski odmalował jej melancholię; Goszczyński tragizm; Zaleski—bujną, słoneczną, wiośnianą piękność.

Malował Ukrainę i Słowacki, lecz epizodycznie.

Gdy się otwiera książkę z pieśniami Zaleskiego, to jakby się weszło do gaju, pełnego ptaków śpiewających. Wszystko tam dzwoni, świszcze, grucha, zawodzi. Prawdziwe święto przyrody, życia, młodości. Trzeba mieć pierś nie w lód, lecz w kamień zakrzepłą, żeby przy tych głosach nie odtajała.

Postacie, napół cielesne, napół widmowe, niby ukraińskie mołodyce, niby lotne rusałki, tańczą, chichocą, rzucają w siebie kwiatami. Wielka, choć nie krzykliwa wesołość wszystko przenika. Drżą liście i trawy, wietrzyk swawoli po krzakach, skacze strumyk po żwirze — pląsają nawet promienie słoneczne. A poeta śpiewa: „Swięć się, święć się wieku młody! śnie na kwiatach, śnie mój złoty! ideale wiary, cnoty i miłości i swobody!“...

W chórze weselnym jeden tylko głos brzmi minorowo: to słowik w rozgłośnych pasażach objawia światu swe namiętne, nigdy nie uciszone tęsknoty. W śpiewie tego słowika brzmi skarga: „Nigdy-ż serce stęsknione mar minionych nie prześni? wiecznie-ż jedną gdzieś stronę zaczaruje me pieśni“.

Słowik-że to śpiewa, czy poeta? Głosy ich tak się zespoliły, że już rozróżnić je trudno.

Czarowny „Sen poranku wiosennego“ minął. Nadchodzi skwarne lato, słotna jesień. Ptactwa, kwiatów, rusałek, żal człowiekowi. Nadrabia miną — stara się wmówić w siebie, że „sen mara“, że owoc dojrzały więcej wart, niż kwiaty. Naprożno! Głos wewnętrzny, nieuciszony, głos serca powtarza mu: „Jednak cały szczęścia wątek składa jakaś cudów chwilka, jakiś obraz, uczuć kilka, kilka z młodszych lat pamiątek...“

Ale śpiewem i tańcem trudno życie wypełnić... więc oto: „Trzema szlachy idą Lachy, a kozaki czterma walą; w trawach pławią się po pachy, z rusznic palą, świecą stalą...“

Balet, mówisz krytyku? Ech, nie! Prawdziwy „taniec wojenny“, taki właśnie, jakim przedstawiał się mołojcom i junakom. Historyk i filozof inaczej go pojmą — ale historyk i filozof niezawsze są poetami.

Poecie—zwłaszcza poecie młodości, którym do lat sędziwych nie przestał być Zaleski — wolno niekiedy bywać tylko malarzem. Wolno mu też wyrażać jedno tylko uczucie, choćby o wartości tego uczucia wiek dojrzały odzywał się z powątpiewaniem.

Niech sobie historycy krytykują stosunek Polski do Kozaczyzny, niech etycy i socyologowie potępiają wszelki gwałt, choćby w najponętniejszą przybrany szatę—mimo wszystko w każdem sercu wrażliwem, w każdej czułej wyobraźni, cudowne światła rozpali okrzyk: „Ura-ho! ura-ho! ura! Limany nasze, limany! W ogniach goreją kurhany — i Czartomelik i Dura!“

Nikt dotąd piękniej, trafniej i głębiej nie osądził Zaleskiego, jak Mochnacki.

„Poeta, czasem ekscentryczny, po za krańcami prawdziwego świata, w idealnej krainie; to znowu wewnątrz natury w społeczeństwie i w historyi, jak tamta naiwny i szczery, jak ta prawdziwy i realny. Żartkiego dowcipu, bystry, przenikliwy: myśl ma prędką, jak widzenie i pochmurną i wesołą. Oko jego, niezawżdy łzą smutku zroszone, żywiej promieni, raźniej, jaśniej, dalej widzi. I śmieje się, i płacze naprzemiany.“

Sąd o wyobraźni Bohdana równie piękny, jak ona sama. „Imaginacya Zaleskiego szklanna, czysta, jak błękitna wód powierzchnia, a fantazya różnobarwna, różnolica, mieniona, jak gra kolorów i ziemskie na obłokach malowipła ku schyłkowi dnia jasnego — albo jak farby tęczy na tle ruchomem powietrzokręgu, szerokim ługiem zbiegającej, gdy deszczowe rzedną chmury. Przecinają się tu dwa wielkie koła jednakiej średnicy, dwie sfery: realna i idealna.“

Poeta w drugiej połowie życia oddał serce i talent Bogu — nie odbierając ich zresztą na chwilę krajowi. O jego ostatnich, przebóstwionych pieśniach cóż powiemy? Czy powtórzymy za jednym z krytyków lekceważąco: „cała filozofia Zaleskiego z tego czasu zamyka się w powtarzanych ustawicznie wyrazach: łaska, pokora, mądrość świata bałamutna, tajnie ducha?“ Czy oburzać się będziemy wraz z nim na to, że poeta „wyśmiewał lichotę wszystkich ulepszeń materyalnych w społeczeństwie?“ Czy wreszcie powiemy z przekąsem, że religijno-mistyczne utwory Bohdana przypominają kazania średniowiecznego ascety?

Nie, nie uczynimy nic z tego wszystkiego — dziś już bowiem ani wzgarda ascetyzmu, ani hymny na cześć materyalnego, a choćby i intelektualnego (wyłącznie) postępu, nikogo nie obowiązują.

Natomiast zamkniemy tę krótką rzecz życzeniem, aby razem ze stuleciem narodzin wielkiego poety społeczeństwo nasze święciło jego — pamięci i serca—*odrodzenie*.

Wiktor Gomulicki

miejsce po ś.p. Juliuszu Stattlerze mianowany został p. Stanisław Judycki.

Wypadki.

Wczoraj Pogotowie ratunkowe było wzywane do wypadków 26 razy.

Z kroniki żałobnej.

— Nader liczny orszak, złożony z przedstawicieli arystokracyi, przemysłu, handlu, palestry, prasy i t. p. odprowadził wczoraj o godz. 5 po poł. na dworzec kolei Nadwiślańskich zwłoki ś. p. Lucyana Wrotnowskiego. Trumnę wynieśli na barkach swoich przyjaciele zmarłego mecenasa, poczem złożono ją na karawanie i pokryto wieńcami od rodziny i krewnych. Na platformie ułożono resztę wieńców, nadesłanych przez Tow. Zach. Szt. pięknych, warsz. Tow. artystyczne, komitet Muzeum rolnictwa i przemysłu i wiele innych. Kondukt pogrzebowy prowadził ks. rektor Zygmunt Chełmicki. Zwłoki przewiezione zostały do majątku zmarłego, Dłutowa, dokąd pośpieszyło również sporo osób, ażeby oddać ostatnią posługę zmarłemu.

— We Lwowie zmarła ś. p. Justyna z hr. Lanckorońskich bar. Niemyska, przeżywszy lat 83.

Ś. p. **Karolina z Rostkowskich 1-o Szyszkowska 2-o Joebne**, wdowa po oficyal. teatr. rząd. warsz., lat 54.

Ś. p. **Ewa Chodorowicz**, wdowa, zmarła w Mszczonowie

Ś. p. **Józef Pobóg-Dłużewski**, radca Tow. Kred. Ziem., właśc. dóbr Pobyłków, lat 59. Nabożeństwo żałobne odbędzie się w sobotę w kościele św. Krzyża o godz. 11, wyprowadzenie zwłok z tegoż kościoła do rogatek petersburskich nastąpi zaraz po nabożeństwie, a złożenie zwłok do grobów rodzinnych w Dzierżeninie w poniedziałek, dnia 17 b. m. o godz. 1. przed południem.

Ś. p. **Marya Boniczkowska.** Nabożeństwo żałobne odbędzie się w sobotę w kościele św. Jana o godz. 11, oraz wyprowadzenie zwłok w tymże dniu i z tegoż kościoła o godz. 3 na cm. powązkowski.

Ś. p. **Małgorzata Dickstein**, wdowa, lat 81.

Nabożeństwa żałobne.

W sobotę, dnia 15 b. m. o godz. 10 w kościele św. Karola Boromeusza przy ul. Chłodnej za duszę ś. p. Juli z Brandtów i Stanisława Hildebrandt; o godz. 10½ w kościele św. Antoniego za duszę ś. p. Aleksandra Czarnowskiego; o godz. 10½ w kościele WW. Świętych za duszę ś. p. Julii z Reineków Roesler; o godz. 9½ w kościele św. Piotra i Pawła za duszę ś. p. Michaliny z Leśniowskich Kawieckiej; o godz. 9 w kościele św. Józefa Oblubieńca (po-karmelickim) za duszę ś. p. Masi Ciołkowskiej; o godz. 10½ w kościele św. Krzyża za duszę ś. p. Stanisława Niedźwiedzkiego; o godz. 9 w kościele św. Piotra i Pawła za duszę ś. p. Juliana i Julianny Zarembów.

Z życia prowincyi.

△ **Z Płocka** donoszą nam pod dniem 9-ym b. m.:

W poprzedniej korespondencyi, pisząc o warsztatach zjednoczonych rzemieślników tutejszych p. n. „Samopomoc", nadmieniłem, że z grona wspólników wystąpili niektórzy rzemieślnicy z powodu jakoby powstałych w gronie spółki roztarek i niesnasek. Ponieważ po bliższem rozpatrzeniu tej kwestyi okazuje się, iż z liczby 9 pierwszych wspólników ze spółki wystąpiło tylko 3, reszta zaś pozostała i pracuje w warsztatach, dobrawszy sobie innych wspólników na tych samych zasadach, na jakich została zawiązana „samopomoc", przyczem warsztaty te cieszą się uznaniem okolicy, pracują w dalszym ciągu i mają widocznie dużo roboty, przeto pospieszam ze sprostowaniem wiadomości, podanych przezemnie w d. 26 z. m.

Zbliża się dla grodu naszego czas rozpoczęcia robót około uporządkowania miasta. Od kilku dni polecone zostało wszystkim właścicielom domów, ażeby ze względu na bezpieczeństwo publiczne z nastaniem zmroku wieczornego aż do świtu oświetlali bramy i wjazdy w podwórza, i oprócz tego, od zmroku do g. 12 w nocy mają się palić lampy na schodach, prowadzących do kilku lokalów oddzielnych, przyczem winni niezachowania przepisów właściwych podlegać będą odpowiedzialności na mocy § 29 ustawy o karach. Następnie z początkiem wiosny ma być rozpoczęta gruntowna naprawa bulwaru nadbrzeżnego, oraz bruków na niektórych ulicach. W końcu podobno i sprawa oświetlenia elektrycznego została przychylnie rozstrzygnięta przez ministeryum. Jest więc nadzieja, że z początkiem wiosny rozpoczną się roboty, które doprowadzą wreszcie miasto nasze do pożądanego stanu. A przytem dobrze, że właśnie w tym ciężkim roku sporo ludzi znajdzie pracę i sposób do życia.

W d. 2 b. m. odbyło się nadzwyczajne ogólne zebranie członków tutejszego Tow. wioślarskiego zwołane w celu zmiany § 29 ustawy, dotyczącego lokalu Towarzystwa. Ogólne zebranie tym razem było bardzo liczne, gdyż na 119 członków, jakich liczy nasze Tow. zebrało się 52, którzy jednogłośnie upoważnili komitet do przedstawienia władzom zmiany pomienionego artykułu, gdyż brak stałego lokalu zimowego, zamkniętego na początku 1894 r., na skutek polecenia b. gub. płockiego, wstrzymywał normalny rozwój Towarzystwa.

Od pewnego czasu występuje w grodzie naszym drużyna dramatyczna pod wodzą p. Wiśniewskiego, która zjechała do nas z Łomży z zamiarem przebywania tu przez czas dłuższy. Towarzystwo p. Wiśn. w zupełności zasługuje na uznanie i poparcie. A jednak tego ostatniego dotąd brak. Na każdem prawie przedstawieniu świecą pustki. Widocznie karnawał stoi na przeszkodzie. *n.*

△ **Z Pyzdr** (gub. kal.) donoszą nam pod dniem 7-ym b. m.:

Wczoraj, około g. 2 pp., licznie zebrani, z powodu odbywającego się tu jarmarku, mieszkańcy osady i okolicznych wiosek z niezwykłem zaciekawieniem przyglądali się balonowi, który dość wolno przeleciał nad naszą osadą na wysokości nie więcej jak 300 metrów, dążąc w stronę Słupcy. Balon ten, puszczony widocznie w Prusach, stale trzymał się kierunku rzeki Warty.

W połowie stycznia r. b. miejscowy urząd gminny zrobił przedstawienie do władzy powiatowej w Słupcy o założenie w Pyzdrach wielce pożytecznej instytucyi—herbaciarni ludowej. Miasteczko tutejsze, liczące około 4½ tysięcy mieszkańców, zazwyczaj ciche, znacznie się ożywia w dni jarmarczne i targowe (jarmarków jest w roku 6, targi zaś odbywają się po 2 razy w tygodniu, to jest we wtorki i czwartki). W dni te ludność, przybywająca do miasta i lubiąca napoje wyskokowe, chętnie zagląda do istniejących tu: sklepu monopolowego, restauracyi i dwóch sklepów z piwem; dla osób zaś nie lubiących trunków jedna restauracya, gdzie można dostać herbaty i przekąsek, stanowczo niewystarcza.

Władza dyecezyalna przychyliła się do życzenia mieszkańców tutejszych, proszących o odosobnienie kościoła po-klasztornego od parafii, jak o tem donosiliśmy w swoim czasie. Odtąd (od d. 19 z. m.) nabożeństwa w niedziele i święta odprawiane są w następującym porządku: o g. 10 rano w kościele po-klasztornym, a o g. 11½ przed poł. u Fary.

Obie świątynie w niedziele przepełnione są pobożnymi co najwymowniej świadczy o potrzebie uczęszczania do obu świątyń na nabożeństwa, wobec licznego zgromadzania się parafian, których Pyzdry mają około 6 tysięcy. *Fr. P.*

Zblizka i zdaleka.

Z Krakowa donoszą, że okręgowa rada szkolna, uwzględniając rozwój i potrzeby wykształcenia kobiecego, postanowiła zamienić szkołę Ś-tej Scholastyki na liceum żeńskie, na podstawie planów, ustanowionych przez austryackiego ministra oświaty, p. Hartla. Uczennice, kończące takie liceum 6-cioklasowe, będą miały prawo przejścia do wyższych zakładów naukowych i obejmowania stanowisk zawodowych. Szkoła Ś-tej Scholastyki była dotąd szkołą wydziałową, taką, jakie istnieją we Lwowie i w Rzeszowie, a kończące ją uczennice praw powyższych nie posiadały.

Konkurs naukowy im. Hipolita Wawelberga. Wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego ogłasza konkurs fundacyi Hipolita Wawelberga na dwie najlepsze prace naukowe w zakresie „dziejów ludności żydowskiej w Polsce". Oceny prac i wyznaczenia nagród dokona według własnego i wyłącznego uznania tenże wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego, do którego uczestnicy konkursu winni nadsyłać prace swoje bądź w rękopisie, bądź w jednym drukowanym egzemplarzu. Skład komisyi konkursowej stanowią profesorowie: Władysław Abraham, Szymon Askenazy, Oskar Balzer, Bronisław Dembiński, Ludwik Finkel, Tadeusz Wojciechowski. Nagród jest dwie,—pierwsza w wysokości 600 koron, druga — 400 kor. Ostateczny termin nadsyłania prac upływa w d. 31 grudnia 1903 r.

Nowe dzieło o Chopinie wyszło w Londynie, napisane przez Jakóba Hunekera, gorącego wielbiciela i niepospolitego znawcy muzyki nieśmiertelnego mistrza. Książka podzielona jest na dwie części; pierwsza ma tytuł: „Chopin jako człowiek", druga—„Muzyka Chopina" i zawiera ciekawe uwagi i wskazówki, dotyczące utworów Chopina, oraz sposobu ich wykonywania.

Operowane bliźnięta syamskie mają się stosunkowo dobrze, według ostatnich wiadomości dzienników paryskich. Profesor Doyen oświadczył, że małe są bardzo osłabione i że za kilka dni dopiero będzie mógł postawić stanowczą dyagnozę; nadto dodał, że wielki to tryumf dla nauki, iż dziewczynki żyją jeszcze. Doyen stwierdził, że siostra, u której gruźlica jest mocniej rozwinięta, ma daleko więcej siły, niż dziewczynka zdrowsza, o której uratowanie chodziło właśnie przy operacyi. Pacyentki odżywiane są dotąd wyłącznie szampanem i herbatą z domieszką araku.

Juliusz Claretie i Figaro. W paryskich sferach artystyczno-literackich powtarza się coraz uporczywiej pogłoska, że Juliusz Claretie ustąpi ze stanowiska dyrektora Komedyi Francuskiej i zostanie jednym z redaktorów *Figara*; obejmie podobno dział krytyki teatralnej, dziennik ten bowiem od śmierci Fouquiera nie ma stałego sprawozdawcy teatralnego. Jako następcę Claretiego w Komedyi Francuskiej wymieniają, między innymi, Gustawa Larroumeta.

Lord Dufferin, o którego śmierci doniosły depesze, prowadził typowe koczujące życie dyplomaty. Zacząwszy karyerę od urzędu podsekretarza stanu dla Indyi, a następnie ministeryum wojny, był kolejno gubernatorem generalnym Kanady, ambasadorem w Petersburgu, w Konstantynopolu, wicekrólem Indyi, ambasadorem w Rzymie i w końcu w Paryżu. W r. 1896 podał się do dymisyi. Kształcił się lord Dufferin w Etonie i w Oksfordzie. Pozostawił też kilka prac literackich, z których większy rozgłos zyskały: opis głodu w Irlandyi w r. 1846, i „Listy z wysokich szerokości", napisane po wyprawie odbytej na własnym jachcie do Islandyi.

Telegramy „Gazety Polskiej".

Petersburg, 13 lutego. (T. A. R.) Komisya do spraw budowy nowych kolei większością głosów oświadczyła się za budową kolei z Astrachania do Carycyna na prawym brzegu Wołgi.

Żytomierz, 13 lutego. (T. A. R.) Zarząd miasta wnosi do rady miejskiej memoryał w sprawie potrzeby podania prośby o pozwolenie na budowę kolei z Korestenu.

Kalisz, 14 lutego. (T. A. R.) Miejscowe towarzystwo rosyjskie z inicyatywy gubernatora obchodzi tu uroczystość Gogola poświęconą jego pamięci nabożeństwem żałobnem i wieczorem literacko-dramatycznym.

WYNALAZEK.

Petersburg, 14 lutego. (T. wł.) Znany okulista, dr. Noiszewski, dnia 25 b. m. odczyta w tutejszem Towarzystwie fizycznem referat o znaczeniu pochłaniania i łamania się światła promieni słonecznych o zmierzchu, oraz wyjaśni zjawiska Pourquignego i oddziaływanie ich na siatkówkę.

KONGRES AMERYKANÓW.

Petersburg, 14 lutego. (T. A. R.) Ministeryum oświaty podaje do publicznej wiadomości, że od dnia 20 do 25 października n. st. w Nowym Jorku zebrać się ma kongres narodowy Amerykanów. Po szczegóły, dotyczące kongresu, zwracać się należy do generalnego sekretarza tegoż, M. H. Saville (*Musee Americain et Histoire Naturelle New-York*).

TRZĘSIENIE ZIEMI.

Tyflis, 14 lutego. (T. A. R.) Wczoraj w Szemasze było trzęsienie ziemi. Większa część domów w gruzach. Wiele ofiar w ludziach. Lekkie kołysanie się gruntu zauważono też w Tyflisie.

Tyflis, 14 lutego. (T. A. R.) Z Szemachy donoszą: Koszary i inne budynki rządowe mocno uszkodzone. W mieście ocalało zaledwie kilkadziesiąt domów.

Baku, 14 lutego. (T. A. R.) Wczoraj, o godz. 1-ej po południu dało się tu uczuć silne kołysanie gruntu w kierunku południowo-zachodnim i północno-wschodnim. W niektórych domach pospadały lustra i popękały szyby. Kołysanie to trwało 50 sekund.

Baku, 14 lutego. (T. A. R.) Skutkiem wczorajszego trzęsienia ziemi runęło prawie pół miasta. Innych szczegółów brak. O trzęsieniu ziemi donoszą też telegraficznie z Astary. W Baku silne i długie kołysanie się gruntu zauważono także wczoraj wieczorem.

Baku, 14 lutego. (T. A. R.). Gubernator otrzymał urzędowy telegram, że wczoraj, o g. pół do pierwszej, nawiedziło Szemachę silne trzęsienie ziemi, które zwaliło w gruzy pół miasta. Nie obyło się bez ofiar w ludziach. Pali się dom targowy. Gubernator wyjechał na miejsce katastrofy.

Elizawetpol, 14 lutego. (T. A. R.) Wczoraj dało się uczuć, trwające kilka sekund, trzęsienie ziemi. W niektórych domach zarysowały się ściany, kołysały się wiszące lampy i stawały zegary. Przerażeni mieszkańcy wybiegali na ulice. Drugie, słabsze wstrząśnienie zauważono w 5 minut po pierwszem. Trwało ono pół sekundy. Kierunek wstrząśnień był północno-południowy.

KONFERENCYA.

Berlin, 14 lutego. (T. wł.) Cesarz Wilhelm udał się do ambasady angielskiej i odbył konferencyę z ambasadorem angielskim Lassellesem.

SOJUSZ ANGIELSKO-JAPOŃSKI.

Tokio, 14 lutego. (T. A. R.) Prezes ministrów, zawiadamiając o zawarciu umowy z Anglią, powiedział: Umowę tę zawarto bezwarunkowo w zamiarze pokojowym. Zawiadomienie to izba deputowanych przyjęła rzęsistemi oklaskami.

Pekin, 13 lutego. (T. A. R.) Traktat, zawarty pomiędzy Anglią a Japonią, zakomunikowano niektórym dyplomatom zagranicznym, oraz księciu Czingowi.

Berlin, 14 lutego. (T. A. R.) Według doniesień prywatnych z Londynu, Niemcy uczestniczyły w obradach nad traktatem angielsko-japońskim i zabezpieczyły swoje interesy zapomocą umowy prywatnej. Przeciwnie *Berliner Neueste Nachrichten* pisze:

Doniesienie to jest bezwarunkowo błędne. Niemcy z żadnej strony przed podpisaniem umowy nie były o niej zawiadomione i zakomunikowano im umowę tę dopiero po podpisaniu. Nie może być też mowy o umowie prywatnej.

Nowy-Jork, 13 lutego. (T. wł.) Pisma obu stronnictw wyrażają się bardzo przychylnie o sojuszu angielsko-japońskim. Większość z nich oświadcza, że interesy Stanów Zjednoczonych w Chinach zgadzają się najzupełniej z interesami Anglii i Japonii.

Londyn, 14 lutego. (T. wł.) Prasa opozycyjna wyraża obawę, że sojusz angielsko-japoński zrobi złe wrażenie zagranicą, a zwłaszcza w państwach dwuprzymierza i wyda skutki niepożądane w polityce europejskiej.

Paryż, 14 lutego. (T. wł.) *Figaro* zapewnia, że Niemcy podczas rokowań Anglii z Japonią o każdem stadyum sprawy były informowane.

OŚWIADCZENIE CHAMBERLAINA.

Londyn, 14 lutego. (T. wł.) Chamberlain oświadczył, że Anglia wykonywa tylko prawo samoobrony, nie pozwalając swoim najzaciętszym przeciwnikom, którzy opuścili Afrykę, na powrót na pole walki.

ST.-ZJED. I NOWE PRZYMIERZE.

Nowy-Jork, 14 lutego. (T. wł.) **Sekretarz stanu dla spraw zagranicznych, Hay, zawiadomił posła amerykańskiego w Londynie na drodze telegraficznej, że Stany Zjednoczone przystępują do polityki angielskiej, której cele określono w traktacie z Japonią. Poseł amerykański ma zawiadomić o tem postanowieniu ministeryum londyńskie.**

(Oświadczenie to podnosi bardzo doniosłość nowego przymierza, a równocześnie dowodzi, że Niemcom nie udało się wywołać nieporozumień pomiędzy Stanami Zjednoczonemi a Anglią. *Red.*).

ANGLIA A NIEMCY.

Londyn, 14 lutego. (T. wł.) *Daily Telegraph* grozi Niemcom, że jeżeli nadal siać będą nieufność między Ameryką a Anglią, i to na podstawie zajść podczas wojny amerykańsko-hiszpańskiej, nastąpi ogłoszenie akt dyplomatycznych w tej sprawie, w wysokim stopniu kompromitujących Niemcy. Mówią także, że ogłoszenie tych akt ma nastąpić w przeddzień przybycia ks. Henryka pruskiego do Nowego Jorku.

SCENY W PARLAMENCIE.

Bruksela, 13 lutego. (T. wł.) Podczas obrad nad wnioskiem demokratów społecznych o zaprowadzenie powszechnego głosowania przyszło w parlamencie do scen tak burzliwych, że marszałek musiał zamknąć posiedzenie. Na ulicach tłum urządził owacyę posłom demokratyczno-społecznym. Zaburzeń nie było.

SYN ROOSEVELTA.

Nowy-Jork, 14 lutego. (T. wł.) Stan zdrowia syna Roosevelta polepszył się cokolwiek.

PODRÓŻ KS. HENRYKA.

Nowy-Jork, 14 lutego. (T. wł.) Do portu tutejszego zawinął niemiecki jacht cesarski „*Hohenzollern*". Amerykanie przyjęli Niemców uprzejmie, ale bez szczególnych objawów radości. W mieście prawie wcale nie zauważono przybycia gości. Manifestacyi żadnych nie było. Książę Henryk przybędzie do Ameryki dopiero później.

PROTEST.

Nowy-Jork, 13 lutego. (T. wł.) Ludność przesmyku Panamskiego przesłała na ręce posła kolumbijskiego protest przeciw objęciu przez Stany Zjednoczone protektoratu nad przesmykiem.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. J. Pl. w Skarżysku. Pisaliśmy już na tem miejscu niejednokrotnie, że z wiadomości niepodpisanych nigdy nie korzystamy.

P. Alfie. Nie skorzystamy. Mamy tam już korespondenta.

Mieszkańcowi Połonnego. Z nadesłanej łaskawie korespondencyi skorzystać nie możemy. Na przyszłość polecamy się pamięci, prosimy jednak o więcej faktów a mniej słów. Radzibyśmy również dowiedzieć się, z kim mamy do czynienia, bo w liście nazwiska nie znajdujemy.

P. T. P. w Sokolnikach. Obszerniejsze życiorysy drukujemy tylko w razie śmierci ludzi zasłużonych lub wybitnych w społeczeństwie. Z nadesłanego nam wspomnienia pozgonnego nie skorzystamy.

P. G. St. w Wilnie. Zechce się szan. pan zwrócić do składu p. Kaz. Koperskiego—Senatorska № 22.

P. H. Sz. Strzemiesz. Z nadesłanej łaskawie korespondencyi tym razem nie możemy skorzystać.

P. J. W. w Hrubieszowie. Kasa rolników i ogrodników—Złota № 26.

Panu M. D. Nie wiemy, ile kosztował teleskop na ostatniej wystawie paryskiej.

Szlachcicowi z Gródka. Nie wystarcza, szan. panie, żeby Siedlczanie rozumieli aluzye korespondenta. Musi je rozumieć przedewszystkiem redakcya. Otóż tego o sobie powiedzieć nie możemy i dlatego listu szan. pana nie wydrukujemy.

Prenumeratorowi z pod Kaniowa. Wiersza p. t. „Bagatela" nie wydrukujemy. Niema wartości literackiej.

Prenum. z Wołkowyska. Wiersz p. t. „Przebudzenie" jest bardzo słaby pod względem formy. Nie ratuje go nawet myśl zacna. Szkoda czasu, szan. panie, na uprawę tej trudnej i wymagającej dużego talentu niwy.

Panu S. B. w Błach. Kwestyi tej, pomimo najszczerszych chęci, poruszyć nie możemy.

Prenumeratorowi ze Słuckiego. Możeby szan. pan zwrócił się do Towarzystwa rolniczego łomżyńskiego, które ma wydział stręczenia służby wiejskiej, albo do Tow. roln. mińskiego? Innego pośrednictwa, po za prywatnem, które jest bardzo rozpowszechnione np. w Galicyi, ale niepewne, nie znamy.

Pani Annie O. Wystarczy adres: Curitiba (Brésil), Leon Bielecki, red. *Gazety Polskiej.*

Prenumeratorowi z Berlina. Pan Władysław R. Kozłowski—Kobenhavn, V, Vodrofsvej 51.

Panu I. Szcz. Z łaskawie nam nadesłanego artykułu p. t. „Jeszcze o hakatyzmie" skorzystać nie możemy. Pisaliśmy już o tym przedmiocie dużo, a jeszcze mamy kilka prac zapowiedzianych.

Panu St. Znam. w Kib. Oburzenie szan. pana jest zupełnie słuszne. Zareklamowaliśmy we właściwej księgarni.

Dr. M. w hot. Bristol. Niejednokrotnie zaznaczaliśmy już na tem miejscu, że korespondencyi niepodpisanych nie drukujemy z zasady.

P. St. R. Z nadesłanej łaskawie korespondencyi skorzystać nie możemy.

P. Mieszk. w Golinie. Nie skorzystamy.

P. A. M. w Żyt. Dziękujemy, ale już mamy korespondenta w tem mieście.

P. Zofii G. w Więck. Nie możemy skorzystać z łaskawej propozycyi. Mamy na miejscu stałych tłómaczów.

Panu J. Rodz. w Kuczb. Nadesłaną kwotę przesłaliśmy dla „nędzy wyjątkowej". List szan. pana nie kwalifikuje się do druku; to sprawa prywatna.

Panu R. Stań. w Przed. Za wyrazy życzliwości uprzejmie dziękujemy. Spełniliśmy co do nas należało.

Stał mu prenumeratorowi. Rodzin L. i J. nie znajdujemy w spisach szlachty polskiej, być jednak może, iż L. noszą tytuł szlachecki w Niemczech. Rodzina M. używa herbu Łabędź. Potomstwo dziedziczy szlachectwo jedynie po ojcu. Herb Łabędź ma w polu czerwonem na tarczy łabędzia białego lub srebrnego; na hełmie takiż sam łabędź.

Panu Edmundowi J. Podróż z Warszawy do M. drugą klasą kosztować będzie około 13 rb. Stacya kolejowa i pocztowa znajduje się na miejscu.

Panu P. Cz. w Wł. Nervi pod Genuą. Pokoje w hotelach od 2.50 lirów, całodzienne utrzymanie w pensyonatach od 8 lirów. Obiady od 3 lirów. Cena biletu w jedną stronę wynosi za kl. I rb. 69 kop. 85, za kl. II rb. 48 kop. 95, za kl. III rb. 25 kop. 40. Dopłata za miejsce sypialne w pociągu „Süd Express" z Warszawy do Genui wynosi rb. 20 kop. 65. Wyjazd z Warszawy z dworca Warsz.-Wied. o godz. 11 m. 55 w nocy, przyjazd do Nervi na trzeci dzień o godz. 12 m. 41 w nocy, albo wyjazd z Warszawy o godz. 1 m. 50 popołudniu, przyjazd do Nervi na trzeci dzień o godz. 1 m. 5 pop. Cena biletu okólnego ważnego na 60 dni według szlaku: Warszawa, Granica, Wiedeń, Semmering, Pontabba, Wenecya, Padwa, Verona, Medyolan, Genua, Nervi, Genua, Medyolan, Como, Chiasso, Bellinzona, Lucerna, Zurych, Stuttgart, Würcburg, Berlin, Aleksandrów, Warszawa wynosi za kl. I rb. 130.65, za kl. II rb. 89.95, za kl. III rb. 54.60.

P. L. M. w Petersburgu. W sprawie warunków przyjęcia do instytutu leśnego w Petersburgu chętnie prostujemy omyłkę, jaka się zakradła do № 23 naszego pisma. W r. 1898 zniesiono egzaminy konkursowe, wprowadzono natomiast konkurs patentów (dla szkół realnych konkurs świadectw z ukończenia 7-ej klasy). Przyjmowani są kandydaci, mający najlepsze stopnie z matematyki, rosyjskiego i fizyki. Pierwszeństwo mają: 1) wychowańcy wyższych zakładów naukowych, 2) synowie urzędników korpusu leśnego, 3) synowie urzędników leśnych, pozostających na służbie rządowej (czynnych i emerytów), 4) synowie leśniczych prywatnych. Pozostające wolne miejsca zajmowane są podług stopni z matematyki, rosyjskiego i fizyki.

Panu H. S. C. S. w Zagórzu. 1) Cena biletu z Warszawy do Królewca (Königsberg) wynosi w kl. III rb. 7.20, używając u nas do Iłowa kl. III przez Prusy kl. IV zaś cena biletu wyniesie rb. 4 50. Pokoje w hotelach od 1.50 m. wliczając światło i usługę. Mieszkając prywatnie można mieć pokój od 12 m., całodzienne zaś utrzymanie od 35 m. miesięcznie. 2) Jedna z lepszych w Berlinie. Najlepiej szan. pana poinformuje stowarzyszenie techników w Warszawie, ul. Mazowiecka № 22.

ODPOWIEDZI ADMINISTRACYI.

X. X. Krzeczkowo-Gromadzyn. Dziś otrzymaliśmy pocztą ogłoszenie „Do sprzedania folwark Krzeczkowo-Gromadzyn". Ponieważ ogłoszenie to jest już podpisane, i niema przy niem żadnego wyjaśnienia przeto uprzejmie prosimy o bliższe informacye.

Panu Arctowi w Petersburgu. Żądane zeszyty może szan. pan nabyć po kop. 35 z przesyłką pocztową.

Panu Sikorskiemu w Druskienikach. Prenumerata *Gazety* opłacona jest do dnia 1 kwietnia 1902 r.

Panu Lewanowiczowi w Krasnopolu. 26 zeszytów *Historyi XIX stulecia* z 1901 r. kosztuje rb. 3 wraz z przesyłką pocztową; mamy też gotowe okładki do obu tomów po rb. 1 kop. 40 z przesyłką.

Panu W. Bogusławskiemu przez Częstochowę w Zaciszu. Za zeszyty za miesiąc styczeń należy się nam rb. 1.

Panu Frąckiewiczowi w Miropolu. Takiej zamiany robić nie możemy; III tom *Historyi XIX stulecia* skończy się przy końcu 1902 r.; cena jego będzie oznaczona dopiero po wyjściu.

Tow. Pań Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo.

Przeszło półwiekowa działalność Towarzystwa, może dla tego, że spełniana bez rozgłosu, mało jest znana szerszemu ogółowi, pomimo, że rok rocznie zapobiega najcięższej nędzy, niejednej rodziny ubogiej. Wyszukiwaniem biednych zajmują się siostry miłosierdzia, a stan ubóstwa sprawdzają i opiekę nad ubogimi roztaczają panie, będące członkami Towarzystwa. Za przykładem lat poprzednich, zarząd Tow. ogłosił rachunek ze swych czynności za rok ubiegły. W ciągu roku sprawozdawczego panie nawiedziły 30,576 ubogich, przyczem Tow. rozdało ubogim: a) chleba ff. 162,672, b) kaszy czetwieryków 840, c) mąki pudów 725, d) mięsa ff. 9,153, e) węgla kamiennego 4 wagony i f) z apteki, utrzymywanej kosztem Tow., lekarstw 16,900; wogóle, wsparć w produktach udzielono 1,274 ubogim rodzinom, zapomogi pieniężne udzielając jedynie w razach wyjątkowych. Odzieży rozdano: z daru pani Łuszczewskiej sztuk 1,600, z daru br. Weyssenhoff sztuk 1,167, z daru pani Chomętowskiej sztuk 54 i z daru panien Kanoniczek sztuk 66. Nadto, Tow. posiada przytułek dla ubogich dzieci, pozbawionych wszelkiej opieki z powodu choroby rodziców. W roku ubiegłym znajdowało się w przytułku 45 dzieci, z których: a) 6 umieszczono w zakładach dobroczynnych, b) 6 zwrócono rodzicom, c) 3 oddano pod opiekę osobom prywatnym i d) 30 pozostaje w tej chwili w przytułku. Dochodu Tow. miało w r. z. 16,096 rb. 30 kop. (w sumie tej remanent z r. 1900 65 rb. 94 kop., a dochód z rautu 4,563 rb. 8 kop.); wydatki wyniosły 15,977 rb. 24 kop. Na r. b. pozostało w remanencie 119 rb. 6 kop. Cyfry powyższe świadczą, że dochody Tow. są b. szczupłe: główny dochód Tow. pochodzi z corocznie urządzanego na rzecz Tow. rautu, od żywego przeto udziału publiczności w zabawie owej zależy los bardzo licznych biedaków, wspieranych przez Tow., a nawet samoistnienie Tow. Sprawami Tow. w r. z. zarządzały następujące osoby: prezesowa hr. Helena ze Stadnickich Krasińska, wiceprezesowa Pelagia z Iżyckich hr. Wielhorska i z Mielęckich Tadeuszowa Hantkowa.

Wiadomości ekonomiczne.

Giełda.

Dnia 13 lutego w Berlinie notowano rb. 216.25 na dostawę 216.00, wczoraj w Petersbur. na Londyn 9.39½.

Dnia 14 lutego obroty walut małe.

Płacono za czeki na Berlin —.— do —.— , na Londyn - — , —— , na Paryż —.— —.— na Brukselę —.— —.—, na Wiedeń —.— ——, za weksle 3 m. na Londyn .—, na Berlin —.— , na Amsterdam .—, franki w gotówce —.— . Usposobienie spokojne.

Urzędowe kursa żądane za czeki i weksle są na Berlin 46.30, 46.07½, na Lond. 9.4' 9,39½ , na Paryż, 37,67 37,4½ , na Wiedeń 39,50, na Amsterdam 78.95 77.60 . Monety w gotówce marki 46½ franki 38⁷/₈ korony 39³/ —.—.

Papierami publicznemi obroty małe., usposob. mocn. Listy likwidacyjne duże robiono 99.70 —.—, w żądaniu 100.00 —.—. Listy likwidacyjne małe robiono —.— w żądaniu 99.50, płacić chciano —.-.

Renta rob. 96.35 96.40, w żądaniu 96.65.

Pożyczka prem. rob. I —.—. —, II — — — szlach. 294 297½ , w żądaniu 478½. 388, 299. Listy zastawne ziemskie 4½% rob. p —.— —.—, w żądaniu —.—, 98.35 4% rob. po 88.60 88.70 rb., w żądaniu 89.00. Listy m. Warszawy 5% IV —.— V VI VII —.— -. w żąd. 100.00 —.—, 4½% 93.10 92,95 — — w żąd. 93.3'. Listy m. Łodz. 5% rob. .— —.—, V —. - —. - w żąd. 95.60, 4½% 83.85, w żądaniu 89.00. Listy wileńskie po —.— rb. Listy m. Suwałk po —. -. Oblig. kanal. 5% robione po — — ——. Oblig. kolei Warsz.-Wied. X i XI em. —.—%.

Akcyami ruch mocn. Bank Handlowy 377½ — — Bank Dyskontowy 397½ Hermanów - , Lilpop Rau — — ——, Rudzki 715 680½, Starachowice 241 — — Putiłowskie 71½ —.

Bank Państwa oblicza tratty i przekazy przemysłowcom i handlującym a w godzinach giełdowych i bankierom po kursach następujących: na Berlin za 100 m. czeki i wpłaty 46.30, weksle 3-ma 46.07½; na Lond. za f st. 9.47 —9.39½; na Paryż za 100 f. 37,67½ —37.42½ na Wiedeń za 100 koron 39.55 , na Amsterdam za 100 guld. holen. 78.05 77.65, za 100 koron duńskich 52.10.

Wartość kuponów bieżących

po potrąceniu 5-procentowego podatku skarbowego, w dniu 14 lutego:

Od list. zastawn. ziemskich 4½% 61.8 4% 54.9, m. Warszawy 5% 175.5, 4½% 157.9, m. Łodzi 5% 135.9. 4½% 123.5, m. Kalisza 5% 215.1, m. Lublina 58.7, m. Łomży - .—, Piotrkowa 17.1; m. Radomia 56.5, oblig kanaliz. 5% 159.7, 4½% 143.7; listy likwi. 77-1; poż. prem. 1864 r. 5% 40.9, 1866 r. 5% 194.2; obl. prem. szlach. 120.1; renty państwa 4% 64.4.

CENY ZBOŻA płacone w dniu 14 b. m. na st. Praga kolei Terespolskiej na całe wagony, a sprawdzone przez dom zbożowo-produktowy: **„E. Wojewódzki“**, Nowo-Wielka № 28.

Pszenica krajowa wyborowa.	104	107
„ „ średnia	97	103
„ „ ordynarna.	92	95
„ podolska i wołyńska biała	101	105
„ „ żółta i czerwona	95	101
Żyto krajowe i litewskie wyborowe	78	80
„ „ średnie.	70	77
„ „ ordynaryjne	74	75
„ podolskie i wołyńskie.	75	79
Jęczmień na paszę i kaszę	—	—
Owies wyborowy ruski	100	106
„ średni	85	88
„ ordynaryjny	80	83
Groch polny warzelny	—	—
„ na paszę	—	—
Gryka	89	92
Kasza jaglana	—	—
Kasza gryczana	—	—

Usposobienie targu spok., dowozy małe.

Targ na placu Witkowskiego
i zebranie produktowe na giełdzie dnia 13 lutego.
Z dostawą do składu kupującego:

	f.	Cena za korzec		Cena za 1 pud	
Pszenica sm. i ord.	240	—	—	—	—
„ pstra	„	—	—	—	—
„ biała	„	610	630	101½	105
„ wyborowa	„	640	660	106	110
Żyto średnie	230	—	—	—	—
„ średnie krajowe	„	—	—	77⅓	78
„ wyborowe	„	—	—	—	—
„ „ litewskie	„	460	470	80	82
Jęczmień 2-rzędowy	200	—	—	—	—
„ 4-rzędowy	„	—	—	—	—
Owies	160	—	—	80	82
„ wyborowy	„	360	380	90	95
Siano	130	—	—	—	—
Słoma	„	—	—	—	—

Dowozy: pszenicy —— żyta 650, owsa 400, jęczmienia ——, koniczyny ——.

Zbiór praw i postanowień rządowych Nr. 12 ogłasza pomiędzy innemi: Upoważnienie ministra sprawiedliwości do zatwierdzenia ustaw wszelkiego rodzaju Towarzystw opieki nad wychodzącymi z więzień i skoncentrowanie pod zarządem ministeryum sprawiedliwości wszystkich spraw, dotyczących tychże Towarzystw i instytucyj.

Targi miejskie **artykułami żywności**, jak zwykle w piątek, tak i dziś ożywione, a piękna pogoda sprzyjała tak dostawom podmiejskim, jako też i ruchowi targowemu. Ceny wahały się w porównaniu z zeszłotygodniowemi w dosyć ciasnych granicach. MIĘSO wołowe 13, bez dokładki 14, polędwica 25 do 27½ kop. za funt; flaki tańsze — z całego wołu 60 do 90, wiązka 7 do 10 kop. — Ozór 20 kop. za funt. Łój 12 kop. za funt. Cielęcina 12 do 13 za funt; móżdżek 15, wątróbka 25 do 30, główka 40 do 50 kop. Baraniny bardzo mało; niewielkie ilości wyborowej angielskiej po 20 kop. za funt. Wieprzowina od szynki 13—schab 15 do 18 kop. Słonina świeża 15, solona 20 kop. za funt. Kiełbasa 18 do 20 kop. za funt. Szynka w całości 20 do 22½ kop. — częściowo 50 kop. W ogólności mięso cokolwiek słabiej z powodu postu wielkiego. Drób w mniejszym dowozie, kurczęta 40 do 59, kury, koguty i pulardy zależnie od utuczenia, 60 do 90, kapłony 100 do 135; gęsi bardzo mało, 180 do 200, kaczki 60 do 90, perliczki 75 do 100, indyczki 180 do 225, indory 250 do 400 sztuka. ZWIERZYNY dowóz średni. Sarny 8 do 10 rb. w całości, comber 4.50 do 5.00, udziec 4.00 do 4.50, na funty po 20 kop. Zające 75 do 120, przy większym dowozie. Ptactwa niewiele: kuropatwy 60, jarząbki 35, cietrzewie 60, kaczki dzikie 90 kop. sztuka. Bażanty 5 rb. za parę. RYBY z powodu postu droższe nieco. Żywe szczupaki i liny 40 kop., karasie drobne 35, duże 45, karpie i leszcze 25 do 30 kop. za funt. Śnięte również droższe: łosoś petersburski 80 do 100 kop., szczupaki lidzkie 17 do 25, sandacze 20 do 25, karpie i liny 15 do 17 za funt. Ryby wędzone: sielawy od 7 do 15 kop., skumbry 7 do 10, szproty 20 do 40 kop. za funt, łosoś wędzony 120 kop. Minogi marynowane 100 do 120 kop. Śledzie pocztowe 5 rb., uliki 3 rb., zwyczajne 180 do 240 za kopę. Wędzone 2.40 za kopę. Kawior 250 do 500 za funt. NABIAŁ cokolwiek droższy, — a przynajmniej dostawy trzymają się w cenie, korzystając z większego pokupu postnego. Masło bez soli 38 do 65, śmietankowe 50 do 60, solone litewskie 35 do 40 kop. za funt. Śmietana 35 do 40, śmietanka 15 do 20, kremowa do 80 kop. Mleko świeże na targu do 9 kop., zbierane 7 kop. kwarta. Sery bez zmiany. JAJA 120 do 135 kop. za kopę, na sztuki zaś 4½ kop. za parę. WARZYWA i JARZYNY dostawiane w dosyć dużych ilościach utrzymały się na niskim poziomie, pomimo dużego pokupu. Stare warzywa—kartofle do 200 za korzec, na garnce 5 do 7 kop., kapusta 6 do 8 kop. główka, włoska 5—8, czerwona do 12, kapusta kwaszona 6—8 k. za funt, kalafiory drogie, 18—30 k. sztuku, karczochy 40 k. Jarmuż 3 k. za krzaczek. Marchew, brukiew, buraki i włoszczyzna utrzymują się bez zmiany przy zwykłej cenie jesiennej dosyć niskiej. Zieleniny młodsze droższe. Szpinaku funt 15 k., szczawiu do 25 k., sałaty rozmaite w różnych cenach bardzo przystępnych. Rzodkiewki 8 k. pęczek, szczypiorku doniczka 8—10, ogórki świeże 50—60 k. sztuka. Pieczarki 60 k. za funt. Grzyby suszone 50 do 100 kop. OWOCÓW bardzo mało na targach. W owocarniach nieco więcej i to przeważnie zagraniczne lub z południowych prowincyi Cesarstwa. Ceny bardzo różne, stosownie do gatunku i wyboru. Jabłka krajowe 8—12 k., z wyboru do 20 k. za funt. Główną obecnie rolę odgrywają pomarańcze, których dowóz jest bardzo duży. Na skrzynki od 6.50—8.50 za skrzynkę — na sztuki 5—10 k. Mandarynki na skrzynki 3.00 do 4.00 za 100 sztuk, na sztuki 3—6 k. Cytryny 2½—4 k. Ananasów dużo, 50 k. za funt. Resztki winogron 20—35 k. za funt. Owoce suszone: śliwki krajowe drobne 7—12 k., francuskie 15—20. Gruszki 15—25, wyborny susz amerykański 40 do 50 k. za funt.

Do dzisiejszego numeru „Gazety Polskiej“ dla prenumeratorów prowincyonalnych dołączamy cennik Narzędzi Rolniczych, fabryki Jana Zawadzkiego w Klimontowie.

† Ś. P.

WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI

LITERAT,

po długich i ciężkich cierpieniach, zmarł d. 13 b. m., przeżywszy lat 68.

Nabożeństwo żałobne odbędzie się w niedzielę, o godz. 10 rano, w kościele św. Karola Boromeusza. Wyprowadzenie zwłok nastąpi tegoż dnia i z tegoż kościoła o godz. 3 po poł. Na ten smutny obrzęd zaprasza krewnych, przyjaciół i znajomych zmarłego

Komitet Kasy Literackiej.

W drukarni Józefa Sikorskiego, Warecka 14. Дозволено Цензурою, Варшава 1 Февраля 1902 г.

Nr 12

Ogólnego zbioru Nr 2,680
Wydawnictwa rok 52

25 marca 1911 roku

TYGODNIK ILLUSTROWANY



U ZDROJU — A. FORBES

Z SALONU ROYAL ACADEMY W LONDYNIE.

JASNA KARTA.

Z POWODU PIĘĆDZIESIĘCIOLECIA UCHWAŁ TOW. ROLNICZEGO.

I.

Statut Organiczny, nadany Królestwu Polskiemu 26 lutego 1834 r., ukrywał w swych artykułach przynajmniej wspomnienie autonomii. W Królestwie istnieć miała Rada Stanu, na której spoczywał obowiązek przeglądania i układania projektów nowych praw i ustaw, zmierzających do ogólnego zarządu krajem, oraz zgromadzenia stanów prowincyonalnych, którym poruczano naradzanie się w interesach, dotyczących dobra całego ogółu.

Ale wiadomo, że Statut nigdy nie wszedł w życie, wskutek czego mieszkańcy Królestwa usunięci zostali nie tylko od stanowienia praw, ale nawet pozbawieni głosu doradczego w sprawach, tyczących się własnego ich kraju.

Chcąc wyrokować o życiu społeczeństwa z tych czasów, nie możemy na chwilę zapomnieć o wyjątkowych prawach państwowo-społecznych, ciążących nad Królestwem. Natomiast, mając na uwadze nad wyraz trudne warunki, w jakich się Królestwo znalazło, ocenić będziem mogli należycie zasługę ludzi organizujących prace, sprawujących rządy moralne w kraju, a z drugiej strony wartość ogółu, który, nie posiadając żadnej reprezentacyi, umiał się jednak wznieść ponad ofiarność i rozum wielu ciał prawodawczych.

Reakcya, jaka zapanowała, nie pozwalała na żadną organizacyę społeczną, zawodową, a cóż dopiero mówić o organizacyi politycznej. Tymczasem cały szereg zagadnień, złączonych z bytem i przyszłością kraju, czekał rozwiązania. Wśród spraw pilnych, poruszających umysły, kwestya włościańska górowała nad innemi. Towarzystwo Demokratyczne, zawiązane na Emigracyi, wydało 4 grudnia 1836 r. manifest w sprawie „usamowolnienia ludu" i „oddania wydartej mu ziemi". Pod hasłami bardzo radykalnemi prowadziło ruchliwą propagandę na rzecz uwłaszczenia włościan. Lecz i żywioły posiadające, konserwatywne, aczkolwiek majątkiem własnym płacące za urzeczywistnianie wygłaszanych postulatów, rozumiały doniosłość zagadnienia; historya życia naszego społeczeństwa przez trzydziestolecie, jakie upłynęło od rewolucyi z r. 1831 do wypadków z r. 1861, stwierdza zaszczytną rolę, jaką odegrało nasze ziemiaństwo w usiłowaniach przeprowadzenia reformy włościańskiej.

Myśl o usamowolnieniu włościan w Królestwie, zrazu nie mogąc się oprzeć na prowodawstwie, nie mogąc się skupić w żadnej organizacyi, przejawia się w formie sporadycznych, nieskoordynowanych działań. Daje hasło do znoszenia pańszczyzny w tej epoce ordynat Konstanty hrabia Zamoyski w roku 1833. W roku 1833-4 w 808 osadach ordynacyi zamienia pańszczyznę na czynsze, w roku 1834-5 w 2,052 osadach, w 1835-6 w 4,401 osadach, tak, że do 1844-5 już było 11,839 osad na 14,000 urządzonych na zasadach czynszowych.

Przykład ordynata wywołuje szlachetne naśladownictwo. Bracia Konstantego: Jan — w Kozłowie, August — we Włodawie i Stanisław — w Maciejowicach, zamieniają pańszczyznę na okup. Okup pańszczyzny—według określenia Ludwika Górskiego — jest prostą jej zamianą na pieniądze na przeciąg czasu ściśle umówiony, z zachowaniem wszelkich praw i obowiązków, wzajemnie stronom dotychczas służących, jak oto np. prawa propinacyi — dla dziedzica, prawa zbiórki, pastwiska, utrzymywania budowli, zapomóg—dla włościan.

Powstaje jednocześnie z akcyą czynną literatura, traktująca o sprawie włościańskiej. Henryk Nakwaski w r. 1835 w Paryżu drukuje: „O nadaniu własności włościanom polskim", a po nim w w czwartym dziesiątku ubiegłego stulecia zabierają głos celem zwalczania ustroju pańszczyźnianego tacy wybitni obywatele i pisarze, jak: Paweł Łubieński, Józef Gołuchowski, Antoni Michalski, Antoni Cyprysiński, Kapliński, Kajetan Grabiński, Malczewski, Andrzej hrabia Zamoyski, Ludwik Górski, Seweryn Biernacki. W piątem i szóstem dziesięcioleciu liczba piszących pomnaża się coraz bardziej, zwłaszcza, że dyskusya w sprawie włościańskiej przenosi się na szpalty dzienników.



MAPKA OCZYNSZOWANIA WŁOŚCIAN KRÓLESTWA POLSKIEGO W ROKU 1860.
Powiaty, w których na 100 osad włościańskich przypadało osad czynszowych: I) 80—84, II) 60—80, III) 40—60, IV) 20—40, V) 10—20, VI) mniej niż 10.

W umysłach współczesnych w sprawie włościańskiej jedna była idea przewodnia i wszystkich skupiała, mianowicie: myśl zniesienia pańszczyzny; natomiast społeczeństwo ziemiańskie podzieliło się na dwa obozy przy omawianiu sposobów przeprowadzenia reformy.

Andrzej Zamoyski, Kajetan Grabiński, Ludwik Górski, Kurtz wypowiadali się za oczynszowaniem, jako za formą chwilową, torującą drogę do uwłaszczenia, Gołuchowski zaś, Paweł Łubieński, Tomasz Potocki, następnie Uruski głosowali za uwłaszczeniem natychmiastowem.

„Czynsz dzierżawny błogim jest bodźcem do pracy dla włościan — pisał Zamoyski w Rocznikach Gospodarstwa Krajowego w r. 1848 — skłonnych inaczej do lenistwa. Sama chęć zasłużenia na pierwszeństwo przy odnowieniu ugody zbawiennie wpływa na prowadzenie ich. Nadanie własności, szczególnie ułatwienie przyjścia do niej komukolwiek, jako nie mogące zarazem koniecznego sprowadzić *usposobienia* do korzystania z niej, mylnem jest dążeniem, utopią; szkodliwem jest i dla włościan właśnie, a stąd i dla kraju. Włościanie bowiem, ogólnie biorąc, nie potrafią zrazu z niej korzystać, jak doświadczenie przekonywa, opuszczają się na niej i nie utrzymają, zadłużą ją, podzielą, zbędą za bezcen przybyszom, dadzą ją sobie, jak zbiory swoje i inwentarz, zgubnym lichwiarzom wyłudzić".

Ludwik Górski w tymże samym Roczniku stał na stanowisku, które określał „od pańszczyzny przez okup do czynszu". „Nie wszyscy właściciele —rozumował — nie wszyscy też włościanie przejście to (od pańszczyzny do czynszu) jednym skokiem bez strat znacznych i z prawdziwą korzyścią wykonać są zdolni. Okup dla nich jest kładką z jednego brzegu na drugi; znosi on niedogodności pańszczyzny, lecz zmniejsza trudności, oczynszowaniu towarzyszące, a zarazem usposabia i prowadzi do stałego czynszowego stosunku". Zamoyski był niezachwianym zwolennikiem oczynszowania i sprzeciwiał się uwłaszczeniu. Posiadam dotąd nigdzie nie cytowany jego list do Fryderyka hr. Skarbka z 1 stycznia 1860 r., w którym pisze: „Mam również nadzieję, że kwestya *uwłaszczenia* upadła. Zrobiłem uwagę kolegom, że nawet *tego wyrazu* w żadnym innym języku niema".

W przeciwnym obozie zwalczano zasadę oczynszowania. Józef Gołuchowski obawiał się, „że lichy czynsz jeszcze będzie dla chłopów rozjątrzonych dotychczasowymi pańszczyźnianemi nieznośnym ciężarem". Tomasz Potocki (Adam Krzyżtopor) twierdził, że „zarówno w interesie dziedzica jak włościanina nie o to starać się trzeba, aby czynsz był nizki, ale o to, aby żadnego czynszu nie było, aby spłaceniem kapitału istniejące pęta stanowczo i bez powrotu były zerwane". Seweryn Uruski przekonywał, że „tam nawet, gdzie się najlepiej przyjęło oczynszowanie, najbardziej wzdychają ci zamożni czynszownicy za spłatą i zupełnem uwłaszczeniem, bo u nas czynsz nigdy nie jest pewny ani podwyższalny, a nikt nie wierzy, aby on był wieczysty".

Niepodobna pomnażać cytat dla zobrazowania pełni wszystkich argumentów; trudno znów opowiedzieć się bez wyczerpujących dowodzeń za jednym lub drugim obozem. Komu życie miało przyznać słuszność — stało się rzeczą rozstrzygniętą, włościaństwo bowiem tylko w swej połowie przeżyło okres przejściowych czynszów, reforma zaś z r. 1864 zmieniła od razu ewolucyjny charakter usamowalniania się ludu polskiego.

Jednocześnie z pogłębianiem sprawy włościańskiej w dyskusyach i piśmiennictwie niespodziewanie okoliczności zewnętrzne, mianowicie prawodawstwo rządowe i rozporządzenia władzy, zdawały się sprzyjać rozwiązaniu kwestyi przez samo społeczeństwo; kraj nabierał otuchy, że własnemi siłami bez obcej ingerencyi potrafi dokonać dzieła reformy.

W kierunku oczynszowania włościan w dobrach narodowych władze autonomiczne Królestwa zrobiły przed rewolucyą owocne usiłowania. Już w r. 1830 połowa włościan osiadłych w majątkach rządowych była oczynszowana. Do r. 1831 działalność władz nie zeszła z wytkniętej w poprzednim okresie drogi. W r. 1835 ustawa o majoratach w 30 skonfiskowanych dobrach nakazywała donataryuszom oczynszowanie włościan. W r. 1841 wyszła ustawa o urządzeniu włościan w dobrach rządowych; w r. 1846 oczynszowane zostało ostatecznie zakończone.

W tymże 1846 roku wyszedł ukaz, przyznający włościanom używalność gruntów wzamian za pańszczyznę w dobrach prywatnych, a odejmujący dziedzicom prawo samowolnego rugowania chłopów.

ANTONI MARYLSKI.

Z TEKI POŚMIERTNEJ

Ś. p. ANTONIEGO SZANDLEROWSKIEGO.

RAJ.

Z PIEŚNI II.

Cichych, jesiennych drzew złociste liście
Płyną w czerwieni lub toną w korali
Żarze, to stygną w płomienne okiście.
Rzeczesz, iż złoty pancerz w krwawej fali
Grąży się, lub ktoś pochodnią we wnijście
Groty wszedł złotej. Spojrzy—wkrąg się pali!
Tak się świat cały rozsłonecznił, spłonął...
Anioł nań, czy też szatan skrzydłem wionął.

Jabłoń, przez którą szły gromowe dreszcze,
Błyskań i jaśnień znała tylko mowę.
W nocy roiła jakieś sny złowieszcze
I rosła w groty mąk stalaktytowe,
Gdzie się zrdzawione rozwierają kleszcze
I przędą zgniłą, spleśniałą osnowę
Z oparzeliska wstającej kądzieli—
Raz w raz w nie krwawy piorun znagła strzeli.

Bywało, jabłoń, jak gradowa chmura,
Zadyszy ciężko, napełni się grzmotem
I stanie w ogniach—wszystka tęczopióra!
Nagle zagaśnie. Mrok, cisza. A potem
Z pod miedzianego wybłyska kaptura
Twarz osmalona piorunowym grotem,
Bucha płomienie, ostrym zębem zgrzyta
I z jękiem pada, jak grobowa płyta.

A czasem, czasem liście tej jabłoni,
Jak strzały złote w kołczanie, migocą,
Owoc się źrzały w pochodnie rozpłoni,
Gałęzie—w skrzydła, a te już łopocą.
Już słychać tentent pędzących w bój koni,
Już tarcza, jako słońce, błyska nocą.
Twarz z pod przyłbicy, jak chmura, wyziera:
Grom, twarz, i skrzydła, i moc—Lucyfera.

Tam w górze krwawa wisi Pańska tarcza,
A za nią piorun obudzony ryczy
I grozą własną w szał się już rozwarcza.
Choć błyskawice wyją, chłypią, smyczy
Sabaoth skróca. Lecz zbyt już obarcza
Gniew jego ramię, więc bełt wraży liczy.
Policzył—dosyć! Tarczę w bok odsunął,
Odsłonił twarzy—błysło, piorun runął.

Lecz rankiem, kiedy świt różany spłonie,
A mgły w błękitach mkną, jak srebrne skrzydła,
Gdy każda róża w perłowej koronie
Słońcu odśmiecha swych tęcz malowidła—
Jabłoń się wtedy wzrusza śpiewnie w łonie,
Nocne odpędza mary i straszydła,
Jakieś kryształne wychodzą z niej tony,
Srebrzą się na niej gwiazdy, kwiecia szrony.

Dziwna melodya u czoła jej wschodzi
I w dreszcz tajemny wstrząsa liście, korę.
Czasem, jak rośny kwiat lilii, tak chłodzi,
Mdleje, jak pąki jesienne, więc chore,
A takie smętne, że je jesień rodzi,
Że umrzeć muszą, choć w nich płomień gore;
A czasem pieśń się słonecznie rozpręża,
Jak wąż i jako złote łuski węża.

Słońce toczyło się w dół. Tarcza złota
Zwisła na chmurze, jak na śnieżnym szczycie.
Słoneczny pył z niej sypie się, migota,
Lśni i złocistą rzęsą drga w błękicie.



„MARCHE FUNÈBRE" Z CYKLU: „CHOPIN" Z. BADOWSKI
Z WYSTAWY JUBILEUSZOWEJ T. Z. S. P.

Klucz ptaków płynie, jak w królewskie wrota,
W słońce, bo kwiaty tam są, blask i życie!
Rój muszek brzęczy i, jak szkliwo, świeci,
Po trawach snują się srebrzyste nici.

W pieśni i w słońcu i w kwiatach szła Ewa.
Tęcza ją jakaś otoczyła szklanna,
A ciało złote, jak kłos, gdy dojrzewa,
Dzwoniło w błękit ziarenne „Hosanna!"
Wiatr jasny obłok włosów w deszcz rozwiewa
I kwietne łono dżdży, jak rosa ranna.
Skrzydła jej ramion rozpięły się w zorze
I przesłoniły lico—słońce Boże.

Nagle pieśń łzawa, drżąca, roztęskniona
W perłowe dźwięczy łkanie, jak kaskady
Zaszumi, srebrnie rozpryśnie się, skona;
Lub w noc błękitną, niby księżyc blady,
Wstaje i czary sączy w tęskne łona,
Albo upaja w sny, jak winogrady—
A sny kryształą się w perły i rubin
I w szafirową godzinę zaślubin.

Wtedy... mgła chłodna wzrok mrący zadmucha,
Usta mdlejące w głąb milczenia strąca...
Myśli rozpierzcha błyskań zawierucha...
Wszystko się nagle w noc bezgłosą zmąca.
Serce uderza tylko—i wraz słucha...
I słyszy, jako dzwonią złote słońca,
A pośród krwawych owoców migota
Coś... To wąż lśnił się! Łuska na nim złota.

Zadrżała Ewa. W zielone płomienie
Gorzał wąż. Oplótł pień drzewa, konary,
Jak wichr ognisty, gdzieś w podniebne sienie
Leciał i huczał, błyskał, grzmiał fanfary
I błyskawicą wśliznął się w pierścienie
Drzewa, zaklęcia jęczał, szumiał czary,
Wkrąg róże czarne, czarne perły prysnął...
Wtem, jako krwawy owoc, z drzewa zwisnął.

Spojrzała Ewa. A wąż lśnił, jak fala,
Co srebrnie gędzi, gdy łona odchyli
Księżyca blaskom lub w płomień się spala,
Gdy ją złocistą pieszczotą opyli
Słońce. A wąż tak spłonął, jak korala
Tajń odgadniona, co ukryć się sili
A tajnią płonie. Wąż rozpiął wkrąg tęcze,
Korale, perły, snów złote obręcze.

. . . .

Z DUSZY KOBIETY POLSKIEJ.*)

Pełną czaru i uroku jest dla nas dusza polska, objawiona nam przez Szymańskiego w ludzie „Polechów", a nadewszystko w dziewczynie tego ludu Aksinii.

W całym przepychu artystycznej prawdy, w przepychu żywego piękna tej prawdy, przedstawia autor tę duszę dziecka „lackiego rodu", prostą a przebogatą artyzmem, utajonym w niej tak głęboko, że na pozór niewidocznym zupełnie. Aksinia — to dziewczę wiejskie, nieskore do pracy, „niemrawy wałkoń", którego, z powodu lenistwa i ciągłego wystawania przed lustrem, trzeba było oddalić ze służby „pokojowej". Dopiero, gdy nadszedł czas żniw, tej roboty, którą dziecko lduu rolniczego spełnia z wrodzonem sobie zamiłowaniem, w którą może włożyć właściwe rodowi swemu uzdolnienie — dopiero wówczas wychodzi na jaw cała wartość jej jako pracownicy.

Dopiero wówczas, jakby ze snu letargicznego, wraz z żywiołowym pędem do pracy, budzi się i ów przedziwny artyzm w duszy dziewczęcia, artyzm, co w niestrudzonej swej pieśni oddaje tragiczny pierwiastek trudu żniwnego, tak ciężkiego, że aż pieśnią podtrzymuje w nim Aksinia współpracowników, żeby mogli wytrwać w nim, żeby nie opadli doszczętnie z sił.

Bajecznie oddał Szymański duszę żniwnego znoju, po mistrzowsku odczuł i uchwycił psychiczny moment jego trudu, przechodzącego częstokroć siły pracy ludzkiej. Drżą przed trudem tym młodziutkie dziewczęta, które pierwszy raz poważyły się wyjść na obcy łan — drżą, czy potrafią dotrzymać kroku starszym, doświadczonym już robotnicom.

Pomilkły świerszcze z upału wróble poodlatywały gdzieś w cień drzew. W skwarnej ciszy słychać suchy chrzęst sierpów, dzwoniący o coraz suchszą słomę zżynanego zboża. Żną dziewczyny, ostrymi sierpami wpijają się w ścianę zbożową, choć słabną już tem więcej, im wyżej słońce podpływa po niebie.

I byłyby dawno ustały siły żniwiarek, byłyby pomdlały im ręce w tej ciszy złowrogo szemrzącej chrzęstem żelaza i słomy, gdyby śpiew nie rozdźwięczał się nad pola, nad żniwo, nad znój ludzki, dochodzący już prawie do cierpienia. Ale pieśń rozdzwoniła się nad ten znój, z jego potem zlała się, orzeźwiła mękę jego swą jasną, czystą melodyą, żywą, jak chłodna woda źródlana— pieśń Aksinii.

Coraz wyżej wznosi się coraz bielsze słońce i pali coraz silniej... Zdaje się, że chwila, a padnie to lub owo dziewczę nieletnie, albo wypuszczą sierp z palców czarne, suche ręce którejś z pomarszczonych starszych bab. Zda się, że chwila, a z ciężkiego, dusznego upału wywiną się złowrogie skrzydła „wampira-południcy", co wśliźnie się pod mokrą koszulę którejś z dziewcząt i krew ssać pocznie z pod serca jej bijącego coraz więcej przyśpieszonem tętnem...

Jednak, ani żadna z dziewczyn nie mdleje, ani żadna ze staruch nie wypuszcza z dłoni sierpa. I co dziwniejsza, na twarzach ich nie widać nawet owego cierpienia, co z potem ludzkim spływa z czół żeńców na ścierń i zda się wysysać ostatki ich sił, aż przedłużają się im twarze, aż zaostrzają się rysy.

Nie widać dziś tego na twarzach żeńców, bo siła dziwna zapanowała nad ich ciałami, które albo nie odczuwają zmęczeni,a albo też znoszą je lepiej, niż zwykle.

*) Adam Szymański. „Aksinia", opowiadanie z życia moskiewskiej Lechii. Kraków, 1911, str. 128 Skład główny u Gebethnera i Wolffa.

Siłą tą—śpiew, głośny, rytmiczny, nieustannie a potężnie dźwięczący śpiew Aksinii.

Przed wszystkiemi robotnicami wcięła się w ścianę zboża przodownica w pracy najcięższej z całego roboczego roku, bohaterka jej dzisiejsza, Aksinia.

W koszuli, przepojonej potem, przylegającej ściśle do bujnie nad miarę lat rozrosłego, jędrnego, dziewiczego jej ciała, jak nieubłagane bóstwo żniw, pokotem ściele przygarść za przygarścią, pomieć za pomiecią, wciąż śpiewając podczas pracy. A praca ta zdaje się nie przychodzić jej z wielkim wysiłkiem, owszem, mogłaby ona jeszcze prędzej żąć, gdyby nie wzgląd na inne, słabsze od niej robotnice, które nie zdołałyby za nią podążyć... Więc Aksinia powściąga siłę swych mięśni, hamuje sprawność zwinnych rąk, a całą zbywającą jej jeszcze siłę wkłada w pieśń. I śpiewa Aksinia, śpiewa, jak z Bożej łaski śpiewaczka melodyi tego muzykalnego ludu lackiego, jak poetka



ADAM SZYMAŃSKI.

pieśni jego niepisanych, a przechodzących tradycyą z matek na córki; wypowiada się śpiewem, jak artystka, nie samej tylko pieśni, ale najściślej z nią zlanego, najistotniejszego Sanctissimum duszy tego ludu: ukochanej przezeń nad wszystkie pracy rolnej.

Śpiewa Aksinia—a śpiew jej budzi zrazu niedowierzanie, czy dziewczę zdoła długo wytrwać w swym śpiewie? Ale gdy coraz wyżej słońce wznosi się, gdy coraz więcej godzin mija, a dziewczyna w nim nie ustaje—wówczas w miejsce wątpliwości, wstępuje wiara w wytrwałość jej, oraz podziw nad mocą i wdzięczność ogromna za to, że błogosławioną władzą swej pieśni podtrzymuje coraz to wątlejsze siły rzeszy roboczej...

Na całe pole dźwięczy jej głos, dla wszystkich, co na niem żną, jak skowronek dzwoni oraczom całej wsi, jak leśna krynica bije dla wszystkiego, co pragnie ochłody. . . . . . .

. . . .

Przedziwnie uchwycony w Aksinii ów artyzm władnący pracą polskiej duszy kobiecej, owo oddanie się jej całem jestestwem prawdziwej, przejętej kapłaństwem swej Sztuki-Pracy, artystki— owo wkładanie w wysiłek jej znoju, całego młodego, bujnego życia swego, całej jego treści.

Pierwiastkiem głównym, znoju żniwnego jest instynktowa potrzeba pracy zbiorowej, owej mrówczej pracy, podporządkującej swemu celowi nawet sprawę płci i zespalającej jednostki w ogólnym wysiłku, którego najbliższem, bezpośredniem zadaniem: pokarm dla ciała, chleb codzienny dla wszystkich.

Ów rdzeń psychiczny kobiet ludów rolniczych, ów instynkt najsilniejszy u nich, potęgą swą głuszący wszelkie inne, owo oddanie się w tak żywiołowy sposób trudowi żniwnemu, polskiej dziewki-przodownicy—wyczuł Szymański jasnowidzeniem artysty i odtworzył wprost genialnie w Aksinii.

Nawet i owej nierówności nie braknie „lackiej duszy" dziewczęcia, owego niedomagania", „arytmii" owej „narodowej", o której znawca na wskroś może duszy polskiej—Paderewski—mówił niedawno na obchodzie Chopinowskim weLwowie.

I owej „arytmii narodowej", którą tak przedziwnie odczuli w duszy polskiej Chopin i Paderewski, nie tylko nie braknie Aksinii, ale jakże potężnie ona w niej się przejawia!

Oto dziewka „niemrawa", „wałkoń", przeobraża nam się nagle w oczach w boginię pracy, której trud nadludzki doprowadza do takiego bohaterskiego natężenia, że po niem, przy wypłacie przedwieczornej słabnie i prawie od zmysłów odchodzi najzdrowsza dziewczyna wiejska. Do tego nagłego zasłabnięcia Aksinii przyczyniło się i artystyczne jej przejęcie się swym śpiewem i—radość prawdziwej artystki z prawdziwej pochwały, jaką uczczono moc dobroczynną jej pieśni.

I jeszcze jedną z najistotniejszych cech psychicznych kobiety polskiej uchwycił i odtworzył Szymański w Aksinii: potrzebę zapłodnienia artystycznem tchnieniem każdej pracy, której się chwyci, konieczność oddania się jej całkowitego, całem sercem, duszą całą, całem swojem jestestwem, aż do zapamiętania się, do upadku z sił— do wyczerpania zupełnego.

Któż z tych, co widzieli żniwo dawne (a i dziś jeszcze utrzymujące się w niektórych okolicach), żniwo sierpem, bez maszyn, na polskim łanie — któż z tych nie zna i owej polskiej dziewki-przodownicy, owego żywego, pełnego mocy i krasy wcielenia sił żywiołowych kobiecości, dla których najcięższy znój żniw jest niejako przygotowaniem, wstępem do znoju macierzyńskiego, co miekiem własnej piersi karmić będzie następne pokolenie?

A tak silnym jest ów rdzeń psychiczny zapamiętania się w robocie polnej, a szczególnie w żniwie u Polek, tak silny, że z łanów zbożowych przeniósł się i na inne pola.

Któż z nas nie zna owych nauczycielek, zapracowujących się do choroby, wychowawczyń, artystek, malarek, pisarek, owych zarządczyń wreszcie, gospodyń nawet wiejskich, wkładających duszę całą w ideę swej pracy?

A czy znój, choć w części podobnie natężony, jak u Aksinii, może być inny, niż arytmiczny?

Nie może nim być, już choćby dlatego, że na dalszą metę, na życie ludzkie, bez tej właśnie arytmii, bez odpoczynków i remisyi — nawet fizycznie tylko byłby niemożliwy.

Może jednak, skoro arytmia narodowa tak rdzenną jest właściwością duszy polskiej, że nie można jej dziś jeszcze od niej odłączyć — może tem natężeniem swojem, do granic bohaterstwa dochodzącem, odkupuje choć w części straty, wynikające ze swego „niedomagania? . . . . . .

. . . .

„Aksinia" jest cudną rzeźbą kobiecości polskiej i jej artyzmu, objawieniem jej „iskry Bożej" we wszystkiem, do czego weźmie się sercem, czego chwyci się całą swą duszą gorącą. To też odczuć i odtworzyć ją mógł tylko taki artysta z Bożej łaski, jakim jest Szymański.

Jego „Aksinia" jest niewątpliwie jednym z najpiękniejszych i najmilszych nam posągów artystycznej w najistotniejszej swej treści duszy polskiej kobiecej.

To też książka ta znaleźć się winna koniecznie w ręku każdej czytającej Polki.

JAN ANDRUSZEWSKI.

17



OTULENI W BURKI SIEDZIMY, CZEKAJĄC NA BURZĘ.

SZYMON TOKARZEWSKI:

PRZEZ TAJGĘ DO MONGOLII.

ZE WSPOMNIEŃ KATORŻNIKA.

3)

Sergiuszek śpi na „tarantasie", zakopany w wojłokach, znużone konie legły w trawie... Noc zwolna roztacza nad ziemią swój welon gwiaździsty, łęgi zioną ciepło, ale od górskich, śnieżnych szczytów chłód wieje.

Otuleni w burki, z pistoletami w ręku, siedzimy, czekając na burzę, która jakoby ku nam pędzi chyżo, niby na lotach jastrzębich.

Panuje głęboka cisza. Nawet wietrzyk, który swawolnie pogwizdywał sobie za dnia, teraz usnął na kwiatach. Rozmyślam, że, jeślibym tutaj zginął, jakżeby moje kości daleko spoczęły od ukochanej ojczyzny...

Tymczasem płowe chmury powoli zasnuwają widnokrąg, ćmią gwiazdy. Robi się coraz ciemniej i ciemniej. Wreszcie gościniec, drzewa, łęgi zlewają się w jedną, gęstą, nieprzejrzaną ciemność. Nad nami chmury wiszą, niby całun żałobny, a tam, het! w tych górach, które pozostawiliśmy za sobą, wściekła wybucha burza. Łuny błyskawic świecą. Kanonada piorunów grzmi bez przerwy, aż ziemia jęczy i drży.

Mandarynko ręce zaciera z radości.

„Sława Bohu"! teraz już niebezpieczeństwo minęło. Te „czorty pohane", chociażby puściły się za nami w pogoń, wrócą do domu, bo wierzą, że podczas burzy rozgniewany Jehowa zawsze ludzi zabiera ze świata. „Aj-da, maładcy!" napijmy się gorzałeczki. A przed obrazem św. Mikołaja Cudotwórcy dwanaście świeczek zapalę.

* * *

Podwórko wyłożone granitowemi płytami, a brama, obwita jakimś różanym pnączem, prowadzi do ogródka, w którym kwitną przedziwne, strzępiaste maki olbrzymie, wonne piwonie, fioletowe irysy i mnóstwo nieznanych mi kwiatów, roślin i krzewów.

W pośrodku ogródka stoi dom, z chińskim, porcelanowym dachem i gankiem, wspartym na smukłych filarkach, pomalowanych czerwoną laką.

To rezydencya Jań-Sania, który tu, w Mongolii, stworzył osadę handlową.

Zawiadamiają nas, że Jań-Sań oczekuje nas u siebie.

Wchodzimy.

Pod ścianami, na rozesłanych żółtych matach siedzi kilku poważnych Chińczyków, w jedwabnych szafirowego koloru ubraniach. Mają włosy sczesane z czoła i długie czarne warkocze. Palą krótkie fajeczki. Wysoki zydel pod oknem zajmuje młoda Chinka. Istna lalka! w kwiecistej sukni jedwabnej, szeroką szarfą w pasie obciśniętej, z twarzą, ubarwioną białym i różowym lśniącym mastyksem, z uczernionemi brwiami, w arcymisternem utrefieniu włosów. Przed nią, na gerydonie rozłożone są przybory malarskie: tabliczki jaskrawych farb, złoto w malutkich porcelanowych miseczkach, drobniutkie pendzelki, którymi bardzo zręcznie manipuluje na białym, przezroczystym płatku ryżowego ciasta.

Obecni zaciśnięte pięści przykładają do czoła, wołając:

— Czy pogoda na dworze? Czy jedliście waszą kaszę?

— Pogoda! Jedliśmy! — odpowiadamy.

Ta wymiana pytań i odpowiedzi stanowi powitanie zobopólne. Poczem Jań-Sań przemawia po rosyjsku:

— Szczęśliwy jestem, widząc w nędznym domku moim tak bardzo starych i dostojnych gości: przyjaciela i syna mego zgrzybiałego i wspaniałomyślnego przyjaciela, Świetyłkina.

Bąkając coś o wzajemnym zaszczycie, wręczam złotem moją ręką pisany list od Świetyłkina i zaczynam mówić o transporcie „żeńczenia", któryśmy przywieźli. Gospodarz przerywa mi pompatycznym gestem i sentencyą chińską:

— Kto prędko je, ten się udławi. Odpocznijcie naprzód, a potem będziemy rozmawiali o naszych sprawach handlowych.

Wskazuje nam miejsca na macie. Chińczycy podają nam z własnych ust wyjęte fajeczki.

— Nastały dni wielkiego gorąca, żar leje się z niebios, jako deszcz rzęsisty — zagaja rozmowę Jań-Sań i w tym sensie ją ciągnie. Tymczasem chłopcy, do gnomów podobni, przed każdym z nas stawiają stoliczki, a wraz potem na tackach z laki wnoszą czerwone i czarne talerzyki z owocami, bronzowe dzbanuszki, pełne „sake" [1]) i spore porcelanowe miseczki. W tych są jakieś kwiaty, wrzątkiem wody zalane. Za przykładem osób miejscowych oburącz ujmujemy owe miseczki i spijamy z nich odwar przewybornej herbaty. Chłopcy w srebrne czarki nalewają nam „sake" i raz po raz przygarść żywicy aromatycznej rzucają na węgle, które się żarzą w bronzowych fajerkach na trójnogach.

Rozchodzi się po pokoju silna woń, która, jak uspokajający trunek, odurza.

Powrotną podróż odbywamy w licznym orszaku. Towarzyszą nam Chińczycy, zdążający na jarmark do Minusińska.

W osadę „sabatników" wjeżdżamy bez trwogi. Jest nas kilkudziesięciu, dobrze uzbrojonych chłopów setnych; przytem to nie piątkowa, przedświąteczna pora, więc napad nam nie grozi. Jedziemy wolno. Koła naszych „powózek" i „arb" Chińczyków na suto wysmarowanych osiach toczą się lekko i cicho. W domach pogasły już światła, z kominów nie snują się dymy. Rzekłbyś: to bezludna pustka.

Nagle na gościńcu zjawia się gromada mężczyzn, białemi płachtami okrytych, i wybucha jęk wielogłosy.

Księżyc świeci tak jasno, że najdrobniejszy szczegół uwydatnia się, jakgdyby kuty ze srebra. Ci ludzie głowy i ramiona podnoszą ku niebu, a potem ręce załamują rozpacznie i wraz z ich piersi wydobywa się łkanie ciche... a potem jakaś pieśń...

Wsłuchuję się i poznaję tren Jeremiasza — po rosyjsku.

W falach powietrza skarga Jeremiaszowa brzmi chórem potężnym... płynie... płynie za nami... a we mnie nieci burzę uczuć i wspomnień nawałę. W szkole szczebrzeszyńskiej nasz prefekt czytywał nam treny Jeremiaszowe... „*Super flumina Babilonis*"... Pamiętam! wysnuwaliśmy analogie i... nadzieje...

Kaptur burki wciągam na głowę i twarz, aby ukryć łzy wygnańca... piołunną gorycz w ustach czuję...

Boże!... „nigdyż serce stęsknione mar minionych nie prześni?"...

———

[1]) Rodzaj araku.



MATKA — Z WYSTAWY JUBILEUSZOWEJ T. Z. S. P. — STANISŁAW MASŁOWSKI

RODZICE MAURYCEGO MOCHNACKIEGO.

Mochnaccy pochodzili z Węgier, gdzie nazwisko ich było *Gerbery*, przemienione później na przydomek *Garbera* przed nazwiskiem polskiem, które najpewniej od majętności Mochnacze wzięło początek. Pierwszy Garbera Mochnacki, o którym wiemy, był Jan, zmarły w r. 1756, pradziad w prostej linii Maurycego. Ojciec Maurycego, Bazyli, urodził się w r. 1778, nauki pobierał w konwikcie pijarów w Podolińcu, skąd pośpieszył do insurekcyi kościuszkowskiej; po ukończeniu powstania wstąpił na wydział prawny do uniwersytetu lwowskiego, poczem zajmował się interesami kilku galicyjskich magnatów, przebywając już to we Lwowie, już to we wsi swojej Bojańcu, koło Żółkwi.

Ożenił się z panną Maryą Pągowską; daty ślubu Mochnackich nie znamy, dość, że najstarszy syn —Maurycy — urodził się jeżeli nie w r. 1803, to 1804. W Galicyi przebywali Mochnaccy do r. 1819, w którym to czasie sprzedali Bojaniec i przenieśli się do Warszawy. Pod Warszawą mieli folwark „na Czersku", gdy jednak Bazyli Mochnacki otrzymał posadę rządową w Warszawie, w tem mieście ich ciągle widzimy. Pan Bazyli z początku piastował urząd asesora w prokuratoryi królewskiej, później radcy prawnego w komisyi oświecenia i, jak się zdaje, miał przed sobą przyszłość urzędniczą nie byle jaką, gdyby nie syn Maurycy, którego postępowanie ściągnęło niezadowolenie W. Księcia.

Stosunki osobiste, związki przyjaźni miał p. Bazyli w sferze urzędniczej; przyjacielem jego domu był osławiony cenzor, Józef Kalasanty Szaniawski, na którego to radę oddali rodzice Maurycego do cenzury, aby tym sposobem oczyścił się w oczach rządu i karyery urzędniczej, o jakiej dla niego marzyli, na szwank nie wystawił. Maurycy wobec rządu się nie oczyścił, wobec narodu się splamił, ale późniejsze życie plamę tę starło i zapomnieć o niej kazało. Sam zresztą do dymisyi się podał, nie mogąc pracować w sposób przeciwny swemu usposobieniu i przekonaniom. Różne związki osobiste, inny gatunek przyjaciół, który otaczał syna a ojca, nie psuł najlepszej między nimi harmonii. Maurycy brał nawet tak bardzo pod uwagę stosunki domu swoich rodziców, że w obawie o życie Szaniawskiego ostrzegł go o wybuchnąć mającej rewolucyi; dzięki temu niechybnie ocalił się Nowosilcow, powziąwszy z kolei od Szaniawskiego ostrzeżenie. Gdy jednak wybuchła rewolucya listopadowa, Bazyli Mochnacki się do niej przyłączył; widzimy go na obradach Towarzystwa Patryotycznego, w delegacyi tegoż Towarzystwa do Rady Administracyjnej, wydaje broszurę o nadużyciach obalonego rządu, p. t. *„Sprawa Birnbauma, jako dowód jednej z wielu uciążliwości, przez Polaków wycierpianych, w krótkości z akt sądowych wyciągnięta"*. Po upadku powstania wyjechał do Galicyi, gdzie wraz z żoną czas długi w biedzie wiódł żywot; później do znaczenia i majątku ponownie pono dochodzić począł, ale było to już pod koniec jego dni: zmarł w r. 1844 w Czartowcu, majątku najmłodszego swego syna — Tymoleona.

Żona przeżyła go znacznie.


Bazyli Mochnacki, ojciec Maurycego.


Marya z Pągowskich Mochnacka, matka Maurycego.

Znowu ani daty, ani miejsca jej śmierci nie znamy. W 1863 r. jednak dostarczyła wydawcom pism Maurycego jego listy i listy Kamila do rodziców z Francyi wydane i—jak świadczy fotografia, robiona w Warszawie w zakładzie Maksymiliana Fajansa przy ulicy Długiej — w póżnym wieku w Warszawie przebywała. W tymże zakładzie zdjęta została fotografia z portretu Bazylego Mochnackiego, które to fotografie czytelnikom podajemy.

Wielką zasługą pani Mochnackiej jest, że zebrała i przechowała starannie korespondencyę swoich synów i przyjaciela ich, Michała Podczaszyńskiego, z czasów emigracyjnych. Zaopatrzyła je notatkami, stanowiącemi cenny materyał dla biografa Maurycego. Niestety, jedyne wydanie Żupańskiego przepełnione błędami drukarskimi, a autografy, jeżeli wogóle jeszcze istnieją — nie odnalezione, listy tylko Podczaszyńskiego dostały się do archiwów Akademii Umiejętności w Krakowie.

STANISŁAW SZPOTAŃSKI.

Kanały galicyjskie.

Austrya buduje potężną flotę. Nie wiadomo, jaki ją los czeka w dalszej przyszłości. Nie wiadomo, czy znajdzie ona drugiego Tegethoffa, któryby ją do nowych zwycięstw poprowadził, ale to pewna, że jeszcze przed pojawieniem się swojem na szafirowych wodach Adryi jedno zwycięstwo walne już odniosła. Oto rozbiła na drzazgi cały wspaniały plan kanałów galicyjskich.

I nie był to bynajmniej jakiś plan fantastyczny, co to lęgnie się w głowach gorących, a niedowarzonych, ale system publicznych robót państwowych i inwestycyi ekonomicznych, rozpatrzony przez najtęższych fachowców, aprobowany przez obcych wszelkiej fantastyczności ekonomistów, uznany przez rząd, uchwalony przez obie izby parlamentu i przez sejmy interesowanych krajów, wreszcie sankcyonowany jako prawomocna ustawa przez cesarza.



MAPA SCHEMATYCZNA PROJEKTOWANYCH KANAŁÓW W GALICYI.

Prof. TADEUSZ SIKORSKI,
najbardziej około sprawy kanałów galicyjskich zasłużony poseł parlamentarny.

Od czasu takiego ostatecznego załatwienia sprawy kanałów galicyjskich i wogóle austryackich upłynęło bez mała lat dziesięć. W tym czasie wydano blizko pięćdziesiąt milionów koron na roboty wstępne. Aż wreszcie w roku zeszłym minister skarbu, Biliński, oświadczył, że kanałów budować nie można, ponieważ niema na nie potrzebnych pieniędzy. W ten sposób najważniejszy postulat ekonomiczny i kulturalny Galicyi, jaki rząd austryacki miał wobec niej do spełnienia od czasów t. zw. „rewindykacyi", został na czas dłuższy wstrzymany. Dokładniejsze przedstawienie przyczyn i motywów, które skłoniły gabinet bar. Bienertha do tego w swoim rodzaju niezwykłego zamachu stanu, jakim było oświadczenie, że prawomocnej już ustawy wykonać nie zamierza, leży poza obrębem niniejszego szkicu. Wystarczy powiedzieć, że z czysto fiskalnego punktu widzenia, a ten w Austryi od wielu dziesięcioleci jest jedynie decydującym, w obecnej sytuacyi finansowej państwa, wytworzonej wskutek przyłączenia Bośnii i wejścia monarchii na drogę wielkiej polityki zagranicznej, wielomilionowe wydatki na budowę kanałów spławnych nie stały się wprawdzie wręcz niemożliwymi, ale nie mniej wymagają pewnego heroizmu, wysiłku nadzwyczajnego i poświęcenia, t. j. tego właśnie, czego trudno domagać się od niemieckich i czeskich członków rządu centralnego, skoro nie zdobył się na nie jego polski członek i czynnik tak poważny, jak minister finansów...

Kanały ustąpiły miejsca dreadnoughtom austryackim i rozmaitym innym machinom morderczym mniejszego kalibru, które powracająca do rozszerzania się Austrya zaczyna z wielkim pośpiechem gromadzić, nie wierząc w trwałość sakramentalnego „status quo" w Europie. Mimo to jednak sprawa kanałów galicyjskich nie przestała być aktualną. Polskie zaś przedstawicielstwo parlamentarne dowiodło w ostatniem przesileniu gabinetowem, że w granicach taktu i rozumu politycznego potrafi bronić tej sprawy jako najważniejszego postulatu wielkiego kraju.

Pozagalicyjski czytelnik polski może jednak nie rozumieć dokładnie, dlaczego sprawa kanałów jest dla tej części Polski tak niezmiernie ważna, że nie brak bynajmniej doświadczonych, głęboko wykształconych i wytrawnych polityków, którzy nie wahają się uważać sprawy budowy tych kanałów za kwestyę poprostu życia i śmierci dla Galicyi.

Tę właśnie sprawę postaram się pokrótce wyjaśnić. Rzut oka na mapę Galicyi wystarczy, aby przekonać się, że ukształtowanie tego kraju pod względem gospodarczym jest wysoce niefortunne. Długi i ku wschodowi rozszerzający się pas przebogatej ziemi pozbawiony jest niejako naturalnego swojego środka ciężkości i jest jakgdyby tylko zawieszony na szczytach pięknych Karpat. Galicya, obfitująca w rzeki, nie ma prawie zupełnie poważniejszych arteryi spławnych, ponieważ wszystkie te rzeki nie wzdłuż, ale na poprzek kraju płyną. Te zaś dwie największe, które do systemu wód galicyjskich w części także należą, więc Wisła i Dniestr, płyną wprawdzie równolegle do podłużnej osi Galicyi, ale za to w taki sposób, że i z nich nie może mieć kraj ten większego pożytku. Wisła bowiem jest rzeką graniczną, co zmniejsza bardzo poważnie jej znaczenie komunikacyjne. Dniestr zaś na długiej przestrzeni swego górnego biegu jest mało spławny. Staje się nim dopiero w biegu średnim, pod Haliczem i Niżniowem, t. j. już nie daleko granicy rosyjskiej, poza którą znika.

A tymczasem ten niefortunny kształt kraju, jak również rozłożenie jego naturalnych bogactw, cały wreszcie system gospodarczy i handlowo-cyrkulacyjny, z natury rzeczy oparty na ciążeniu ku Zachodowi, domagają się nieodzownie stworzenia taniej drogi komunikacyjnej, łączącej przedewszystkiem oba odległe krańce samej Galicyi, jakoteż wiążące ją z resztą państwa austryackiego i wogóle z Zachodem.

Zachodnia Galicya posiada olbrzymie zapasy węgla kamiennego w jakościach najrozmaitszych, od najwyższych do średnich. Wedle obliczeń bezstronnego chyba badacza wiedeńskiego, d-ra Petraschka, zapas węgla w Zagłębiu krakowskiem wynosi olbrzymią wprost ilość *dwudziestu pięciu miliardów ton* i to już po potrąceniu 33% na nie dające się eksploatować załomy, na straty w kopaniu i t. p. Jeżeli się zważy, że cały zapas węgla kamiennego w całej Austryi obliczono na 28 miliardów ton, w czem na samą Zachodnią Galicyę przypada 25 miliardów, to można łatwo zrozumieć, co znaczy, dla Austryi galicyjskie Zagłębie węglowe i jaka oczekuje je przyszłość. Na wschodniej granicy pokładów węglowych leżą olbrzymie gniazda soli kamiennej w Wieliczce i Bochni, dzisiaj coraz korzystniej i umiejętniej eksploatowane. Jeszcze zaś dalej na wschód, u podnóża Karpat środkowych ciągnie się długi pas terenów naftonośnych, których zawartość i bogactwo ropy i wosku ziemnego nawet w przybliżeniu nie da się dzisiaj obliczyć. Wschodnia zaś Galicya z jej płaskowyżem Podolskim, posiadającym najlepszą glebę w Europie środkowej, ze swojem żyznem Pokuciem podkarpackiem i ogromnemi bogactwami leśnemi w górach jest znowu nieprzebraną wprost skarbnicą produktów rolnych, chociaż i jej także nie brak ważnych bogactw mineralnych, jak wody solankowe, kopalnie soli nawozowych, rozmaitego gatunku kamienie i t. d.

Wszystkie te ogromne bogactwa, przez naturę hojnie w ziemię galicyjską włożone, wymagają łatwego i taniego środka komunikacyjnego, aby mogły należycie krążyć w samym kraju i aby mógł odbywać się prawidłowy ich wywóz poza jego granice. Wschodnia i środkowa Galicya potrzebują od zachodniej jej węgla i innych mineralnych produktów. Natomiast zachodnia Galicya zasila się naftą środkowo-galicyjską, zbożem podolskiem i drzewem karpackiem. Ogromne ilości tych produktów wychodzą za granicę kraju. Dość powiedzieć, że Galicya daje połowę w ogólno-austryackim wywozie drzewnym.

Dzisiaj potrzebom komunikacyi handlowej służy wyłącznie kolej żelazna i to tylko trzy jej główne linie: Lwów—Kraków, Lwów—Czerniowce i linia Transwersalna, biegnąca wzdłuż całego podnóża Karpat. Tymczasem te właśnie artykuły, na których jak najszybszem i najobfitszem krążeniu najwięcej zależy, należą do artykułów masowych, które dalekich transportów z jednego końca Galicyi na drugi przeważnie nie wytrzymują. Transport jednego wagonu węgla z kopalni zachodnio-galicyjskich do Zaleszczyk lub gdzieindziej na wschodni kraniec Galicyi kosztuje tyle, ile wynosi cena węgla w kopalni. W tych warunkach nie może być mowy o powstaniu w środkowej i wschodniej części Galicyi przemysłu z tej prostej przyczyny, że transport węgla do tych części kraju jest stanowczo za drogi. I, prowadzony wyłącznie kolejami, nigdy nie będzie on tańszy, lecz przeciwnie wobec stałego deficytu, z którym walczą koleje austryackie, coraz droższy.

Tymczasem cały rozwój ekonomiczny Galicyi zależy przedewszystkiem od taniości jej środków transportowych, które umożliwiłyby uruchomienie i należyte wyzyskanie jej bogactw naturalnych. Takim tanim środkiem komunikacyi mogą być tylko kanały spławne, łączące Galicyę z jednej strony z Zachodem, a więc z Wiedniem i siecią dróg wodnych niemieckich, z drugiej zaś strony zbliżające do siebie oba jej krańce, wschodni i zachodni, odległe od siebie o jakie 400 do 700 kilometrów. Transport wodny jest tańszy od lądowego kolejowego, bardzo ostrożnie licząc, o 50%, na dłuższych zaś przestrzeniach, terenowo korzystnych dla komunikacyi kanałowej, co właśnie ma w wysokiem stopniu miejsce w Galicyi (300 kilometrów projektowanego kanału z Krakowa aż do Jarosławia nie ma wcale szluz kosztownych), różnica ta na korzyść kanałów wzrasta aż do 70%. Jeśli transport kolejowy kosztuje 3 halerze za tonokilometr, to transport kanałowy kosztowały tylko 0,8 do 1 halerza.

Posiadając taką tanią komunikacyę, Galicya mogłaby nie tylko wywozić swoje surowce, ale także wytworzyć u siebie te gałęzie przemysłu wielkiego, do jakich warunków naturalnych w tej chwili nie posiada. Należy tu przedewszystkiem owa zasadnicza gałąź wielkiego przemysłu, jaką jest produkcya żelaza surowego. Galicya posiada wprawdzie tylko nizkoprocentowe rudy żelazne. Ale za to ma ogromne zapasy węgla kamiennego. Wiadomo zaś, że wysokie piece powstają przedewszystkiem w pobliżu zapasów węglowych, a nie rudy. Największe ogniska żelaznego przemysłu niemieckiego leżą zazwyczaj zdala od okolic, obfitujących w rudy, natomiast w terenach węglowych. Hutnictwo śląskie przerabia głównie rudę południowo-rosyjską lub szwedzką. O ileż łatwiej możnaby to samo uczynić w Galicyi przy jej niewyczerpanem bogactwie węglowem, gdyby tania komunikacya kanałowa przez Dniestr zbliżyła ją do południowo-rosyjskich kopalń pierwszorzędnej rudy żelaznej.

Tak więc już z tego jak najpobieżniejszego szkicu przekonać się można, że owi politycy, którzy ze sprawy kanałów czynią kwestyę życia i śmierci ekonomicznej Galicyi, zbytnio nie przesadzają. Kwestya tanich komunikacyi jest istotnie najważniejszem zagadnieniem polityki galicyjskiej, ponieważ tylko te komunikacye otwierają przed tym krajem perspektywę rozwoju ekonomicznego, do jakiego jest on zdolny, zarówno dzięki swemu naturalnemu bogactwu, jako też dzięki położeniu w samem niemal centrum Europy.

Dlatego też politycy polscy w Galicyi muszą wytężyć wszystkie siły, aby sprawy tak ważnej nie zaprzepaścić i aby krajowi swemu stworzyć warunki takiej przyszłości ekonomicznej, kulturalnej i politycznej, na jakie zasługuje.

K. SROKOWSKI.



POD WIATR — Z WYSTAWY JUBILEUSZOWEJ T. Z. S. P. — M. BORUCIŃSKI

Za króla Stasia.

Drugi koncert kostyumowy „Tygodnika Illustrowanego".

Kostyumowy koncert „Tygodnika" wypełnił salę Filharmonii po brzegi. Najdobrańsza, wyborowa publiczność Warszawy, ta, dla której przeszłość narodowa jest drogą i kochaną, pośpieszyła na wezwanie nasze, aby sutym zasiłkiem wesprzeć ubogich uczniów szkół polskich.

I zarówno, jak w roku ubiegłym, możemy być dumni z powodzenia kasowego, a przedewszystkiem z zaufania, jakiem stylowe wieczory nasze darzy Warszawa.

Co do nas, wyznajemy szczerze, że, aczkolwiek cała bez wyjątku prasa stołeczna z niezwykłemi wprost pochwałami pisała o koncercie „Tygodnika", my—nie jesteśmy zadowoleni!

To, cośmy wymarzyli, to, co tak wyraźnie, barwnie i plastycznie ukształtowało się w wyobraźni naszej, nie zostało osiągnięte. Rzeczywistość zbladła przy ideale. I trzeba się też przecie liczyć z istniejącymi warunkami, a te umieją podcinać skrzydła...

A oto głosy pism codziennych w najtreściwszych wyjątkach:

„Kuryer Warszawski" pisze:

I znów kilka miłych godzin w nastroju nie tylko artystycznym, ale, co cenniejsza, narodowym, przepędziliśmy wczorajszego wieczora w Filharmonii naszej. Stało się to przedwszystkiem dzięki inicyatywie ruchliwej i obywatelskiej *Tygodnika Illustrowanego*, gromadzącego corocznie tą drogą fundusz zapomogowy na wpisy dla ubogich uczniów szkół polskich, a potem dzięki odczuciu tej dobrej sprawy przez naszą publiczność, tę lepszą, wrażliwszą, jakiej nie widuje się już dzisiaj na wszystkich byle wieczorach, czy koncertach w Warszawie.

I dalej:

Po szeregu piosenek stylowych, zakończonych mozartowskim, słynnym swego czasu „fijołkiem" w odpowiedniej interpretacyi p. Niekraszowej — najpotężniejsze wrażenie wieczoru. Mieczysław Frenkiel wskrzesił Mohorta nie tylko w wierszu Pola, oddanym ze wspaniałą plastyką i przejmującą prostotą, jednoczącemi smutek i tragizm dwu drogich ojczyźnie zgonów, —ale także w samej postaci, żywcem sportretowanej, w swojej marsowości — szanownej, w swoim uniformie rotmistrza gwardyi narodowej — pięknej, owianej poezyą szczerą wspomnień niezapomnianych.

Frenkla zasypano oklaskami, zniewalając do wypowiedzenia „Ody do wąsów" Kniaźnina.

A gdy przeminęła uroczysta chwila rzewnej przerwy po zniknięciu dziwnie za serce chwytającej postaci, p. Karszowa odczytała „List wojewodziny", monolog niezwykle oryginalnie pomyślany i w przepiękną formę ujęty przez takich mistrów myśli, języka, jak Weyssenhoff i Or-Ot.

Nie dziw więc, że „miłościwa Starościna Dobrodziejka, Marysieńka miła", gorąco wypowiedziawszy ostatnie rymy „Listu", zyskała grzmot oklasków dla siebie i—autorów, skromnie śród publiczności ukrytych.

„Gazeta Warszawska" mówi:

„Za króla Stasia"—kiedy kraj stał nad brzegiem przepaści niechybnej, do której zstępowano przy dźwiękach menueta, wśród szeptów zalotnych i uśmiechów beztroskich, gdy z drugiej strony czyniono tytaniczne, a wiekopomne i nie mające równych sobie w historyi świata wysiłki ku podźwignięciu ginącej Ojczyzny... Dziwne, dziwne czasy... Oto, jak za dotknięciem różdżki czarodzieja, przesuwały się przed nami wdzięczne wizye margrabinek i zalotów królewskich czy książęcych, przy dźwiękach menuetów, polonezów i piosenek ówczesnych, a za chwilę ściskały się serca opowieścią o śmierci Gruszczyńskiego czy pogrzebie Mohorta.

Organizatorzy koncenrtu bohatersko walczyli z trudnościami ewokacyi stylowej dawnej epoki i przyznać trzeba, że wysiłki ich w znacznej mierze uwieńczyło powodzenie artystyczne, bo o powodzeniu materyalnem, wobec przepełnionej sali, chyba wątpić nie można. Do tego sukcesu przyczynili się przedewszystkiem artyści scen naszych w kostyumach stylowych, następnie zaś balet i orkiestra. Między pierwszymi rej wiodła pani Karszo, wdzięczna i stylowa postać, zbierając długie i serdeczne oklaski, zwłaszcza za wypowiedzenie monologu Weyssenhoffa i Or-Ota, p. t. „List wojewodziny"; obok niej przemiła p. Lubicz-Sarnowska wyszczebiotała parę stylowych drobiazgów.

„Nowa Gazeta" między innemi tak pisze:

Staraniem redakcyi „Tygodnika Illustrowanego" odbył się wczoraj w Filharmonii na wpisy dla niezamożnych uczniów szkół polskich oryginalny, stylowy koncert, w którym barwne i żywe odbicie znalazła epoka Stanisława Augusta.

Gawoty, menuety, znane polonezy, dźwięki piosenek polskich, arye włoskie i francuskie wskrzesiły ówczesne czasy, gdy na dworze króla Stanisława gro-



MIECZYSŁAW FRENKIEL.



JANINA NIEKRASZOWA.
MARYA KARSZO.
STANISŁAWA LUBICZ-SARNOWSKA.



JÓZEF ŚLIWICKI.

madzili się szambelanowie i piękne w pudrowanych perukach damy.

Sala była wypełniona do ostatniego miejsca, dzięki czemu koncert zasilił fundusze, przeznaczone na wpisy dla niezamożnej dziatwy szkół polskich.

„Słowo" w nastrojowym artykuliku tak nasz koncert określa:

Zaleciał jakby zapach lawendy i laryndogry, wionął szelest skrzydeł „ptaka z pod pancernego znaku", zaszeleściały wachlarzami margrabiny. Bawi się król Staś, książe Pepi szepce słodkie zaklęcia do ucha pięknej rybaczki, płynie piosnka o Filonie i o Zosi, „której zachciało się jagódek". Rozjarzone światła nie przćmiewają starych, bardzo starych wspomnień, a choć najstarsi ludzie na sali nie pamiętają tych czasów, każdy je odczuwa, słuchając o śnie księcia Józefa, wchłaniając powiew od „szlaku".

Po raz wtóry „Tygodnik Illustrowany" zasłużył się Warszawie, wskrzeszając przeszłość w słowie, pieśni, stroju i tańcu. I ci, co są przeszłością, i ci, co ją ukochali: Mozart i Słowacki, Pol i Kniaźnin, Weyssenhoff, Or-Ot i Czesław Jankowski — talentem swym przed oczyma naszemi wywołali jej obrazy. A nie tylko twórcy, lecz i odtwórcy przyczynili się do złudzenia: więc p-ni Niekraszowa i p. Trzeciecki pięknym śpiewem, p. Karszo i Lubicz-Sarnowska deklamacyą, p. Śliwicki słowami Pafnucego ze „Srebrnego snu Salomei", a Frenkiel natchnionem wprost oddaniem wyjątków z Mohorta.

Każdy, opuszczając salę Filharmonii, mógł sobie powiedzieć: „czas do domu, czas, zabawili nas"— nie w tem znaczeniu, jak Mohort,—w literalnem.

A „Kuryer Poranny" wyraża się o wieczorze „Tygodnika" w słowach następujących:

Pomimo, że w dojściu do skutku całości zamierzonego programu różne okoliczności podobno przeszkodziły, było to jednak widowisko nie pozbawione wdzięku, dystynkcyi i—wedle możności—stylu. Stylowość była z racyi powyższych nieco jednostronna, przeważały bowiem peruki, żaboty, fraki i pończochy. Tylko Frenkiel ukazał się w pięknym, malowniczym, a tak każdemu z nas drogim mundurze, jakiego używał Mohort, a był przytem tak wiernie na tego bohatera, przez Wincentego Pola uwiecznionego, ucharakteryzowany i z takiem uczuciem i przejęciem wypowiedział trudny zresztą, bo nieco gawędziarski, ustęp z „Mohorta", że był jednak moment, w którym najoporniejszy nawet sceptyk odczuć musiał coś —coś, co było już niedalekie serdecznego rozrzewnienia, bliskie łzy...

I kończy:

Słowem—powiało przeszłością z estrady na kostyumowem widowisku wczorajszem. A wśród tych tonów zanikłych mieszała się wesołość ze smutkiem, tryl gawota z żałobnym tonem przeczucia blizkiego końca tej biesiady, sztuczna, zapożyczena dystynkcya z niedalekiem już miserere.

Sala była przepełniona i trzeba przyznać, że tym razem nawet „tout Varsovie" nie była całkiem nieobecna. Cel więc widowiska osiągnięty został pod każdym względem.

Dziennik Powszechny tak mówi:

Często się zaprasza publiczność na różne koncerty i rauty, częściej się różne nadzwyczajności obiecuje, ale nie zawsze się obietnicy dotrzymuje. Tymczasem redakcya *Tygodnika Illustrowanego* co przyobiecała, to dała.

Solidna firma. Niema to, jak mieć do czynienia z solidnemi firmami. Był więc ten koncert kostyumowy naprawdę kostyumowym — w dodatku stylowym.

I kończy:

Słowem, był zapowiedziany w muzyce, pieśni i słowie wiek XVIII i kto się poznał na jego subtelnościach, ten je na koncercie *Tygodnika Illustrowanego* z pewnością wyczuł.



ALEKSANDER TRZECIECKI.



SCENA BALETOWA. MENUET.

NA NUTĘ BOHDANOWĄ.

Święć się, nuto Bohdanowa!
Zapomniana och! niewdzięcznie.
Odleciałyż od ust słowa,
Bo ich słuchać nieporęcznie
W czas zgiełkliwy inszych dni?

Wiatr stepowy—tchnienie Boże—
Pieśni, dumo Bohdanowa,
Zwiana precz i bezechowa,
Jak kurhanne Zaporoże...
Któż dziś, kto na jawie śni?

Cyt—cyt—pieśni! Nikt nie woła.
Kwiaty? Zstąp—ach! zstąp z kobierca:
Pogubione ludzkie serca
Tak usłały świat dokoła...
Serc tych próchnem ziemia lśni.

Oglądały go jeszcze—przez krótką chwilę—oczy moje, co już oto przez pół wieku w świat patrzą, coraz wrażliwsze na czasów dziwną przemianę... Wówczas jednak, kiedym w paryskim saloniku Wł. Mickiewicza obcował z Bohdanem Zaleskim, zdawało mi się, że czas na miejscu stoi, a ściślej, że porusza się wespół ze mną, powolny własnej mojej fantazyi posuwania się naprzód lub trwania w najwygodniejszej — dla mnie — pozycyi widza i słuchacza. Zdawało mi się rzeczą zupełnie naturalną, że Bohdana Zaleskiego oglądam; że z Villepreux przyjechał, jak zazwyczaj, do Paryża dla odwiedzenia starych przyjaciół i spędzenia z nimi godzin kilku i że na któremś śniadaniu przy ulicy Guénegaud musiałem matematycznie spotkać się z Bohdanem Zaleskim, tak zupełnie, jak się dziś w danem środowisku spotyka np. z Sienkiewiczem.

Jakżeby miał Bohdan Zaleski — nie być? Wówczas, za moich młodych lat, nie wyobrażałem sobie np. Warszawy bez — Odyńca! Potem... potem nauczyłem się przywiązywać więcej wagi do widoku oglądanych ludzi. Gdy zaczęli coraz gęściej przemijać—przemijać... i nie wracać.

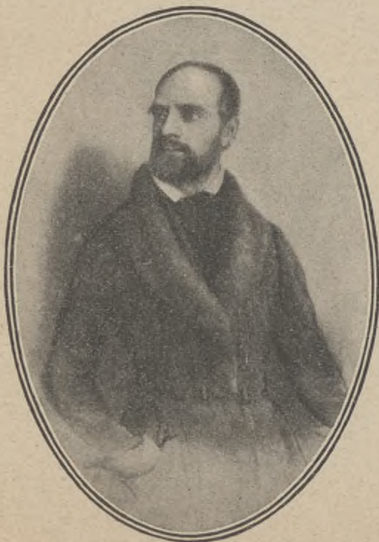
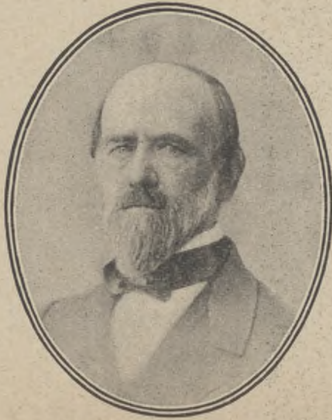
Zaś—pamiętam, jakby to wczoraj było—jak Bohdan Zaleski podniósł się z kanapy, kiedy mnie Mickiewicz do niego przyprowadził i zaprezentował, jak wziął mię za ręce obie i ku sobie pociągnął. Wzrok miał już osłabły bardzo i przyglądał się zblizka tym, co go specyalnie zainteresować potrafili. Przytrafiło mi się zaś szczęśliwie zainteresować mistrza naszej „szkoły ukraińskiej" poetów bynajmniej nie własną osobą, jeno tem, że o pochodzeniu mojem z Litwy był uprzedzony i że mu wiersz mój jakiś przemknął był gdzieś przed oczyma.

Tedy nie zapomnę nigdy serdeczności, z jaką mię witał, a której źródło nie tajne było nikomu. Z Litwy!..Wiersze pisze!... I święci się w nim wiek tak młody!... I czuło się, zda się, ogarniające przyjaciela Adama kojarzenie się z sobą dalekich obrazów z wizyą przyszłości. Dla wizyonera-patryoty z epoki „Ksiąg Pielgrzymstwa" przybywałem z pod jednego ze skrzydeł ongi Orła Białego, z pod północnego skrzydła Litwy, stanowiącego organiczną całość z południowem skrzydłem—Ukrainy.

I widział we mnie odradzające się jakieś pierwiosnki Adamowe hen, tam, na ziemi pagórków leśnych i łąk zielonych...

Tak na głowę moją nikczemną padały jeszcze promienie „Pana Tadeusza"; tak nie na mnie, ale na tę moją niezasłużoną aureolę patrzyły z dziwną, świetlaną jakąś rzewnością oczy, co się bezpośrednio we wzroku Adamowym, Juliuszowym i Zygmuntowym nurzały... I głos słyszałem jeszcze ten sam, co odpowiadał na wezwanie: „Stał się cud! Rozradowan będzie świat!"

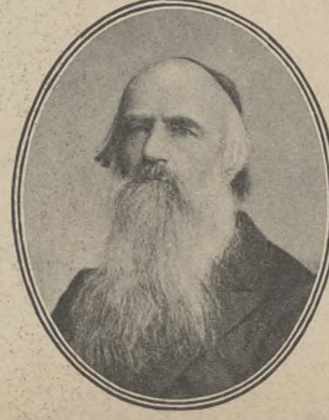
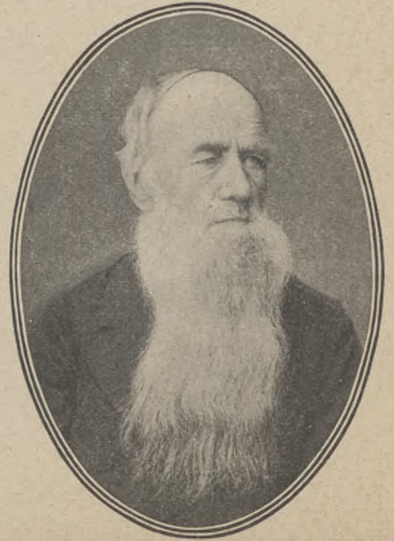
Zaleski, aczkolwiek liczył już wówczas lat ośmdziesiąt dwa, wydał mi się bardziej wątłym, niż starym. Nie był to bynajmniej „dąb zgruchotany, chwiejący czołem w step ponad burzany". Bynajmniej! Nizkiego wzrostu był, szczupły, jakiś filigranowy cały, nikły, jakby kruchy. Rzadka, wązkawa a długa broda spływała mu na piersi. Mniej, znacznie mniej, zarówno w ubraniu, wcale starannem, jak w obejściu, było w nim staroświeckości, niż np. w Odyńcu z owej epoki. Mówił cicho, ale żwawo, oczy chwilami błyskały; umysł oryentował się bystro w najnowocześniejszych ideach; prawie dziwne sprawiała wrażenie nadzwyczajna prostota przy niepochwytnym wdzięku, rzadko u sędziwych starców spotykanym. O ile sobie przypomnieć mogę, zdawała się przejmować Zaleskiego najgoręcej ze wszystkich spraw, w ogólnej rozmowie poruszanych, twórczość malarska Matejki, stojąca wówczas w pełnym już blasku.

1844 BOHDAN ZALESKI 1863.



JÓZEF ZALESKI, dozgonny przyjaciel poety.

1870 BOHDAN ZALESKI 1880.

Lecz, podobnie jak przed laty, tak dziś jeszcze nie pociąga mię w Zaleskim żaden—wizerunek: bądź muzealny, bądź psychologiczny. Inni niech patrzą nań, jako na przedstawiciela epoki lub ideowego wizyonera, łączącego w pieśni to, co rozdzieliły wieki. Zaleski—słowianofil z pod lechickiego naczelnego proporca... Zaleski — barwiący hajdamacką Ukrainę odblaskami amarantów polskich... Zaleski—słowik polskiego romantycznego mesyanizmu... Zaleski—kuszący się o zaćmienie epopei litewskiej epopeją ukraińską!...

Co mi tam!

Pamiętam, doskonale pamiętam, że, kiedym Bohdana Zaleskiego ujrzał i kiedym—może minutę to trwało—zbliżał się ku niemu, nic innego nie przemknęło błyskawicznie przez nastrój mój wówczas duchowy, tylko—m e l o d y a... Ta jego, jedyna w całego świata poezyi — melodya. Istny L e i t m o t i v:

Miga w dali dwór mój biały,
Grają trąbki, grzmią wystrzały,
Widna moja
Złota zbroja,
Sokół, chart i
koń.

I cały Zaleski dla mnie—ninie i dziś i zawsze—to tylko: melodya. Nuta—dźwięk—kanon jakiejś przedziwnej harmonii. Nuta, co poszła szeroko po poezyi polskiej, co stała się jednym z organicznych jej dźwięków, odrzuciwszy precz brutalne a wymuszone, marne naśladownictwa.

Poezya Zaleskiego przewiała po poezyi naszej, jak wiatr stepowy. Odleciała, jak ów wiatr—lecz przedziwną świeżość na wieki wieczne zostawiła po sobie. Jeżeli dziś w wierszu polskim mignie gdzieś czar rytmiki, co, bez względu na treść, rzuci zamierzony nastrój w duszę, jeżeli nie obce dziś poezyi polskiej: wdzięk barw, pieszczotliwość, miękkość rysów, styl rozwiewny a urywany; jeżeli byle dziś poeta polski potrafi nagle wziąć na najprostszych słowach serdecznie tkliwą nutę lub spleść ze słów najzwyklejszych wiersz zawodzący przenajszlachetniejszą tęsknotą,—to... to—wszystko to z tych Bohdanowych:

Nigdyż serce stęsknione
Mar minionych nie prześni?
Wiecznież w jedną gdzieś stronę
Zaczaruje me pieśni...

I z jego:

Ku niej tęsknię z wieczora,
Z jutrznią tęsknię i płaczę...
Bom pożegnał nie wczora,
I nie jutro obaczę!

I z tych jego brylantowych:

Święć się, święć się, wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,
Ideale wiary, cnoty,
I miłości i swobody!

Lub:

Świat omamień mych pomału
Niknie z lekką mar drużyną;



OGÓLNY WIDOK FONTAINEBLEAU, GDZIE DŁUGIE LATA PRZEBYWAŁ ZALESKI.

Coraz rzadsze dni zapału,
I łzy czucia rzadziej płyną!

Posłuchajmy jeszcze! Zrywa się wiatr stepowy.

Szumią trawy i burzany.
O! zielono skroś, o! sino,
Jako fale, wciąż kurnany,
Step—a step—a rozbujany,
Morze twoje, Ukraino!
Kędy wzdłuż i wszerz za Turkiem
Koń i Kozak chodził nurkiem!

Przewiał wiatr po stepie i, przetkany wonią kwiatów, smugami słonecznemi i szumem burzanów, uderza w okienko Zuzuli:

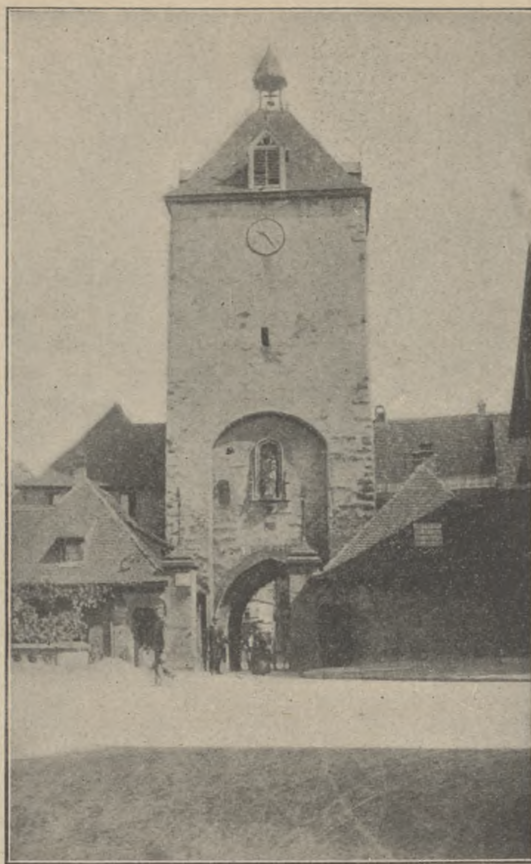
O! Hanko, ślicznie zrana!
Co blasku, woni, krasy!...
Lśni łączka wyzłacana,
Barwista, w kwietne pasy.

I jak to gra, mój Boże, jak to gra! Słyszane-ż to gdzie i kiedy w całutkiej poezyi świata, aby grały tak dźwięki ludzkiej mowy!

A largo Bohdanowe? Nie Ujejskiego to sieczenie mieczem po strunach syczących; nie śpiże to wielkiej missae pro defunctis Wyspiańskiego. Blask jakiś i świetność polonezów Chopina płyną po wizyach Zaleskiego:

Stąd i zowąd roznośnie hałasuje dzwon—
Rozhuk po wodach, po siołach brodzi;
Ho-ho, chmury z dalekich odgrzmiewają stron;
Ćma się wysuwa świecących łodzi:
To Michał Archanioł, ziemi naszej stróż!
Na lewo, na prawo,
Spoziera jaskrawo,
I czarty na wichrach mkną jarami już.

Posłuchajmy jeszcze. Co za tempo! Co za marcia funebre!



WEJŚCIE DO MIASTECZKA MOLSHEIM W ALZACYI.

nego artyzmu poetyckiego, tę tajemnicę Bohdan Zaleski—zabrał z sobą.

Takie pióra, jak te, co „ku niebu go wznosiły", nie odrosły w następstwie ani na żadnym słowiku z naszego Parnasu, ani rajskim ptaku, ani tembardziej na żadnym pawiu i żadnej papudze.

Potem z dekadentyzmu i symbolizmu zachodnio-europejskiego urodził się poetycki polski modernizm. Im bardziej niezrozumiały, tem bezkrytyczniejsze budzący zachwyty.

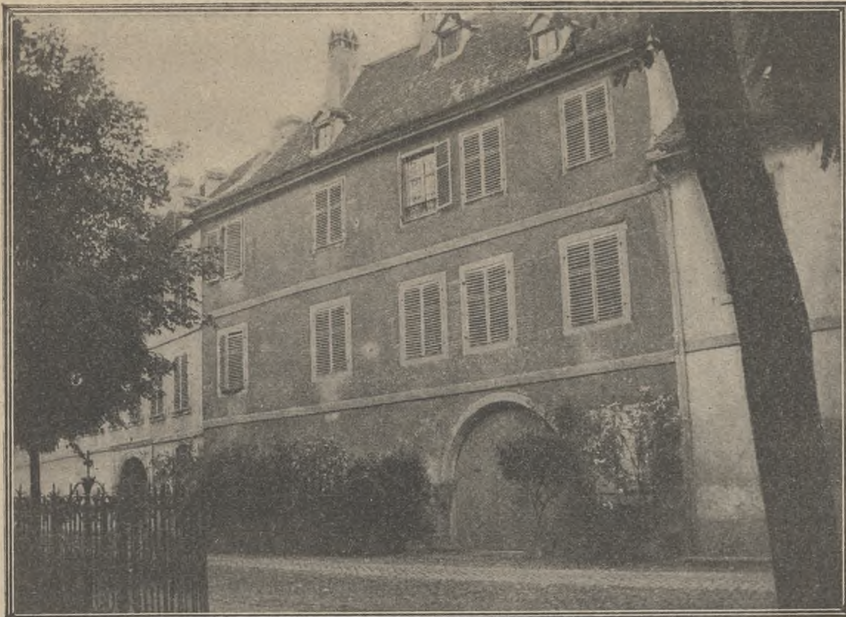
Zaleski? Co? Krosienka u okienka? La-la-lapiosenka? Boże, ratuj! A któżby tam nawet dziatwę współczesną usypiał temi przenajprostszemi prostotami!

A jednak...

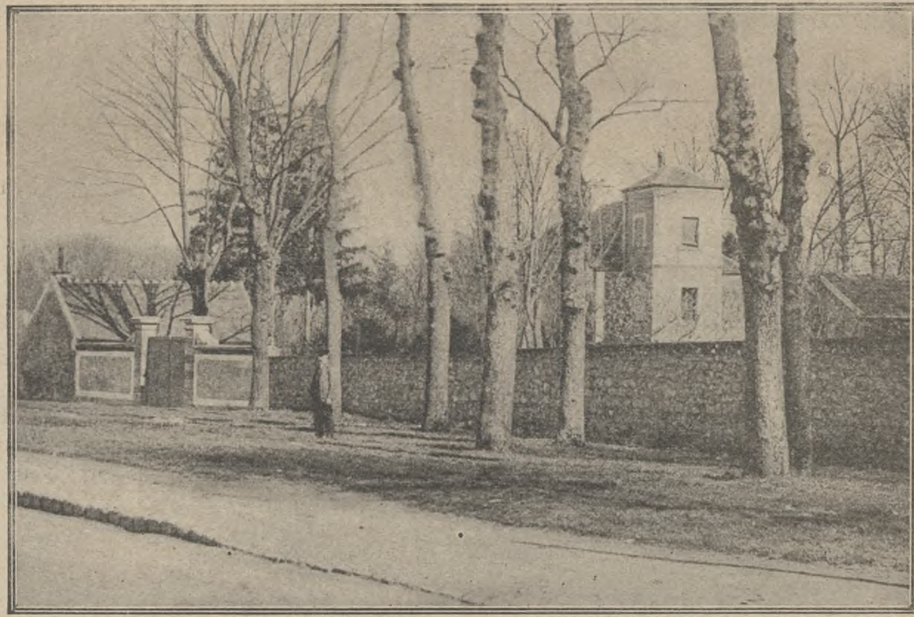
„Duch od stepu"... — „Kalinowy most"... Nie znam bardziej modernistycznego przeprowadzenia motywu ideowego przez wspaniałą polifonię wiersza, niż w owych dwu poematach—starego romantyka. Jeżeliby dziś który z koryfeuszów poetyckiej „młodej Polski" powiódł tak hordy Attyli ze stepów scytyjskich ku Romie cezarów, jeżeliby z nich który stanął, jak ongi Zaleski, na kalinowym moście życia i puścił tak, jak on, przed siebie uchodzące bezpowrotnie omamienia lat młodocianych... o! — jakżeby zakipiało po warsztatach sławy od kucia i zwijania wieńców dla nowego-króla ducha.

Lecz Zaleskiego „duch stepowy — tchnienie Boże" wpłynęło tylko, jak zdrój kryształowy, do wielkiego potoku poezyi polskiej. Potok, pędzący naprzód, niesie w nurtach swych, roztopione w nich, pierwiastki i żywioły poezyi Zaleskiego...

Pisał o sobie Zaleski: „Z teorbanem wyrósł ja..." I zdawało mu się, że, jak Homer przedhistoryczny Grecyę, tak wskrzesza w rapsodach swoich Ukrainę historyczną. Nie wskrzeszał Ukrainy, ale—tworzył ją sam na obraz i podobieństwo wizyi własnych. I przeto nie żadną „Ukrainą" obdarzył nas wielki poeta. Poezyę polską obdarzył nutą,



DOM W MOLSHEIMIE, W KTÓRYM MIESZKAŁ BOHDAN ZALESKI W LATACH 1835—1837.



DOM W VILLEPREUX, W KTÓRYM MIESZKAŁ I UMARŁ BOHDAN ZALESKI 31 MARCA 1886.

Czarnym szlachem, za swym Lachem Ukraina wzdłuż,
Jako umie, w tęsknej dumie, krok za krokiem tuż.
Wielki żal podaje w Niebo wszystkimi och! dzwony;
Wraca Lach jej, Lach serdeczny, do swej Lanckorony.
Wóz się toczy, zrywa oczy, a nie widno w łzach,
Wóz bogaty—hej! makaty, na marach bo Lach!
. . . .
Wóz się toczy, zrywa oczy, prześwietla się wzwyż:
Hej buława! szabla rdzawa! hej czerwony krzyż!
Hej hetmańska zbroja sławna po świecie szerokim!
Hej hetmański koń sierota! rży smutnie, wie po kim.

Sprawiedliwie rzekł Mickiewicz o Zaleskim z katedry uczelni paryskiej: „Rzucił pęk kwiatów na zakończenie igrzyska poetycznego Słowian; będzie zawsze wprawiał w rozpacz tych, coby jeszcze chcieli miłować sztukę dla sztuki samej". I dodaćby wolno jeszcze: wielu miał Zaleski naśladowców, ale tajemnicę utrzymania takiego stylu, jak styl twórcy „szumek" i „wiośnianek", na wyżynach nieposzlakowanego, a często niezrównatembardziej...

Różnem pierzem pokryło się ptactwo nasze parnasowe—aż do sokolego i orlego włącznie—ale tak mieniących się pastelowymi tonami kolorów niczyje skrzydła nie wykażą, ani też w locie nie zadźwięczą Bohdanowej gęśli graniem, gęśli jakby o strunach szklanych, po których słońce, migotając, gra, po których nawet łza spływająca śpiewa ciche, tęskne andante—melodyi, bez której poezya wszystkiem jest i być może, tylko nie — Poezyą.

Zagłuszono pieśni Zaleskiego. Z Syrokomlą, Polem, Lenartowiczem nie poszedł w zawody samotnik z Villepreux, schodzący potrosze w niepamięć śpiewak „Rusałek". Zaświergotała rychło potem plejada popowstaniowa z Asnykiem na czele. Lekce sobie ważono w dobie pozytywizmu i „pracy u podstaw" owo „świergotanie", ale miało ono urok aktualności. Potem wzeszła na Parnas polski gwiazda nadzwyczajna: Konopnicka.

co dźwięczeć będzie w poezyi naszej, dopóki na Parnasie brzmieć będzie mowa polska.

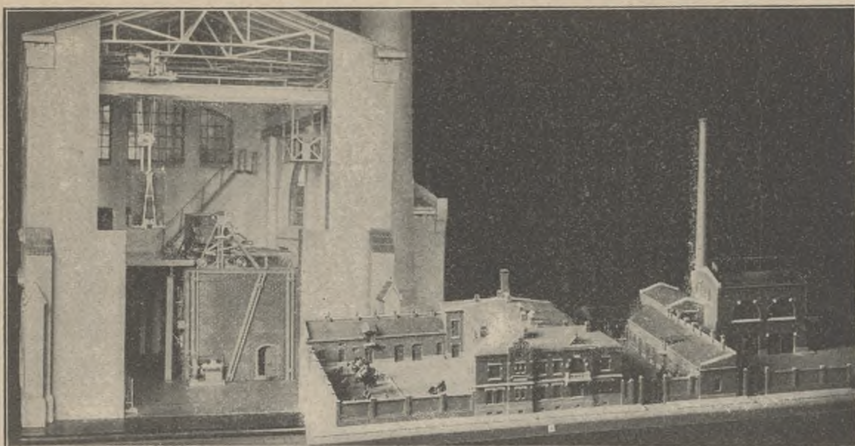
Wielkim chórem, unisono i a cappella i a tutte corde śpiewają lasy wiosennymi, słonecznymi porankami... Kto idzie wówczas lasem, rozkoszując się chórem ptaszęcym, a uważnie słuchający, rozróżni snadnie melodyę i nutę wilgi, ziemby, słowika, wszystkich poszczególnie przenajmilszych ptaszląt Bożych.

A w rozśpiewaną poezyę polską kto uważnie się wsłucha, snadnie rozróżni, czyje tam grają melodye i poszczególne nuty.

I często, bardzo często poderwie go w uważnem zasłuchaniu gest wyrazisty, podkreślający mimowoli wykrzyknik:

— O!—o! to Bohdanowa zadźwięczała struna!... To gra nuta jego—nieśmiertelna!

CZESŁAW JANKOWSKI.



Z WYSTAWY W RATUSZU WARSZAWSKIM. MODEL ZAKŁADU DO PALENIA ŚMIECI.

NA DOBIE.

CIEKAWA WYSTAWA.

W ratuszu warszawskim, w wielkiej sali, zwanej Aleksandryjską, otwarto ciekawą wystawę. Jest to bardzo pokaźny zbiór eksponatów, wykonanych z polecenia magistratu i przeznaczonych na wystawę hygieniczną do Drezna. Wystawa ta hygieniczna ma być otwarta w Dreznie w pierwszych dniach maja.

Przeważną część przedmiotów, wystawionych przez zarząd miejski, stanowią: plany, modele, rysunki i fotografie budowli i urządzeń miejskich warszawskich, mających związek z hygieną, tedy wzory naszych tutejszych szpitali, szkół, przytułków, hal targowych, plantacyi, ogrodów dla dzieci imienia Raua, urządzeń kanalizacyjnych, filtrów etc. etc. Na wyróżnienie pod względem artystycznego wykonania zasługują przedewszystkiem widoki naszych ogrodów i parków, sporządzone pod kierunkiem starszego ogrodnika m. Warszawy, p. Szaniora.

Najciekawszy jednak jest szczegółowy, bardzo ścisły model niedawno ukończonego gmachu — zakładu do palenia śmieci domowych. Model ten, w $^1/_{20}$ naturalnej wielkości wykonany pod kierunkiem twórcy projektu budowniczego miejskiego, p. J. Dzierżanowskiego, daje dokładne pojęcie o działalności zakładu — w ruchu. Motorki posuwają wózek ze śmieciami do paleniska, inne wprowadzają w ruch wentylatory elektryczne, słowem nawet miniaturowe lampki elektryczne oświetlają wewnątrz znakomicie wykonany model, a tak skomplikowany! Dlaczegoż jednak zakład tak doniosłej użyteczności publicznej nie funkcyonuje jeszcze w mieście naszem pomimo, iż gmach zakładu i wewnętrzne urządzenie całkiem gotowe? Dla tej prostej przyczyny, że od długiego już czasu czekamy na zatwierdzenie.. w Petersburgu palenia śmieci domowych—w Warszawie.



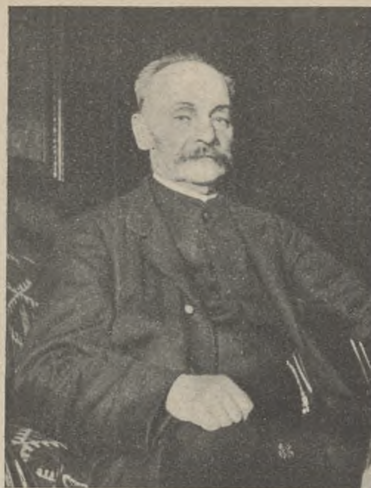
JAN GALASIEWICZ.



ROMAN FRANKOWSKI.

D. O. M.

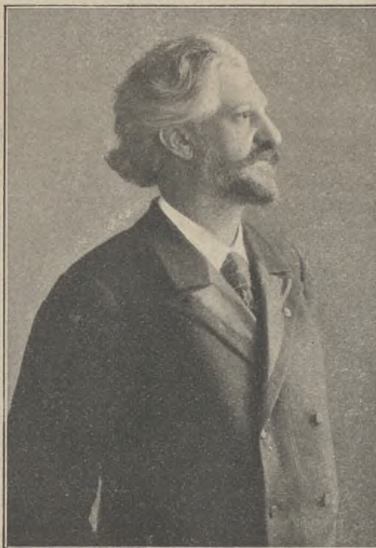
Kosi śmierć dokoła. Chyba jak nigdy tak obficie. Co chwila odrywamy w prasie pióra od spraw aktualnych dla kreślenia—nekrologu. Jakby pod jakim nagłym gradem kul, pada szermierz przy szermierzu w naszych szeregach...



MARYAN GORZKOWSKI.

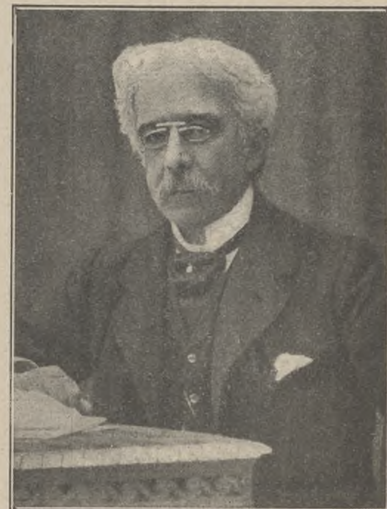
Ciężkie, długoletnie cierpienie przecięło życie utalentowanego pisarza **Jana Galasiewicza.** Z Krakowa był rodem, aktorem był najpierw w Poznaniu, potem w Krakowie, wreszcie w r. 1880 wstąpił na scenę warszawską i, licząc lat 61, tu, wpośród nas, w Warszawie życia dokonał. Sztuki ludowe, pisane przez Galasiewicza, jako to: „Czartowska ława", „Ciarachy", „Wspólne winy", „Chata za wsią", „Dziewczyna z chaty za wsią" i inne, cieszyły się znacznem powodzeniem, dzięki nerwowi scenicznemu autora oraz dokładnej znajomości ludu. Zacny i serdeczny a dotknięty niedolą, znoszoną pogodnie, miał Galasiewicz samych tylko przyjaciół.

W Petersburgu zmarł przebywający tam stale od lat wielu, znakomity wiolonczelista **Aleksander Wierzbiłłowicz.** Z Białej Rusi był rodem, wybitne zajmował stanowisko w muzykalnym świecie Petersburga, jako doskonały profesor tamtejszego konserwatoryum, jako niezrównany wykonawca dzieł muzycznych o energicznym charakterze oraz pełnych męskiego uczucia. Nie zasłynął za granicą tylko dzięki własnej niechęci do wszelkich wycieczek artystycznych. Umarł w sile wieku, licząc lat zaledwie sześćdziesiąt parę.



ALEKSANDER WIERZBIŁŁOWICZ.

W Krakowie zmarł **Maryan Gorzkowski,** b. sekretarz Akademii Sztuk pięknych, licząc lat 80. Ś. p. Gorzkowski był właścicielem znanej kolekcyi utworów Matejki, który też upamiętnił jego postać na obrazach „Wernyhora" i „Hołd pruski". Przed laty ogłosił drukiem kilka prac z dziedziny archeologii, oraz parę utworów scenicznych („Kasztelan Zakroczymski", „Uczone poszukiwania"). Ś. p. Gorzkowskiego łączyły stosunki zażyłej przyjaźni z Matejką.

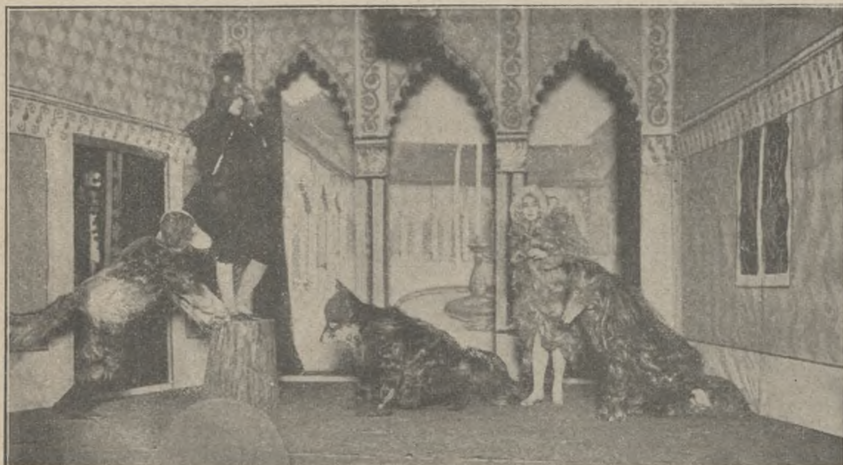


ANTONIO FOGAZZARO.

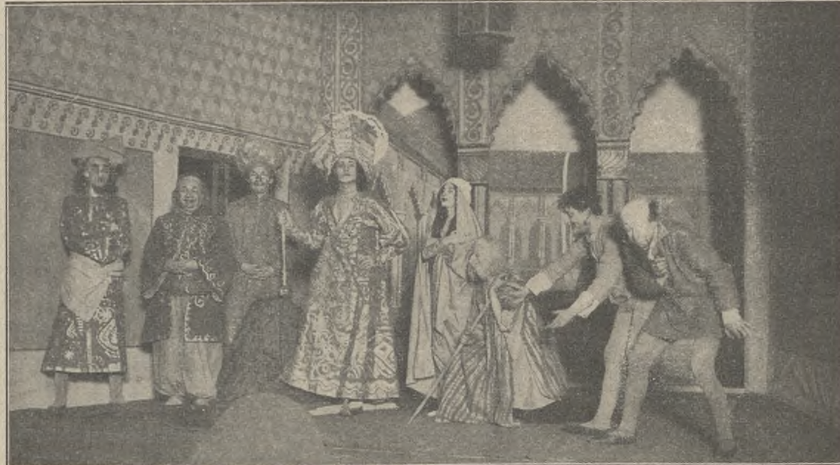
Na wsi, w Kobylanach, życie zakończył powszechnym otaczany szacunkiem ziemianin, **Roman Frankowski,** towarzysz wygnania ś. p. Aleksandra Oskierki za udział w ostatniem powstaniu. Zaszczytne o nim wspomnienie czytać można w wydanych świeżo w Wilnie „Wspomnieniach wygnańca".

FOGAZZARO.

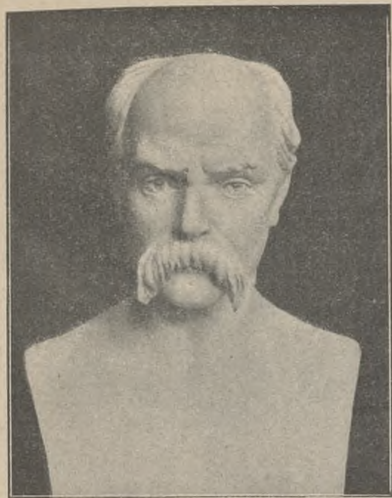
Głośny na świat cały powieściopisarz włoski, Antonio Fogazzaro, umarł w Vicenzy, w rodzinnem swem mieście. Dusza to była pełna—niepokojów. W czasy nasze, ubogie w idee górne, rzucił problemat godzenia wiary i rozumu, Kościoła z Państwem. Trzy jego najkapitalniejsze dzieła powieściowe: „Małe światy czasów przeminionych", „Święty" i „Leila", poruszają właśnie te szerokie zagadnienia i tematy zawile. Powieść „Święty" nie zadowoliła cenzury kościelnej, pomimo notorycznej religijności autora. Fogazzaro ukorzył się i odwołał głoszone modernistyczne poglądy. W ostatniej pow. „Leila" usiłował zdefiniować istotę modernizmu religijnego. Pisarzem był wielkiego talentu i szerokiego tchnienia.



Z PRZEDSTAWIEŃ POPOŁUDNIOWYCH DLA DZIECI W TEATRZE MAŁYM. Uscenizowanie jednej z bajek La Fontaine'a.



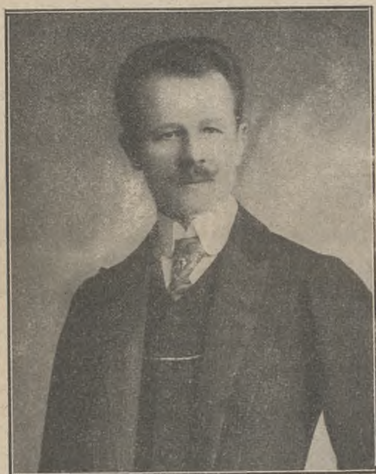
Z PRZEDSTAWIEŃ POPOŁUDNIOWYCH DLA DZIECI W TEATRZE MAŁYM. Uscenizowana opowiastka Andersena o nowej szacie Padyszacha.



TARAS SZEWCZENKO. Rzeźba St. Lewandowskiego.

TARAS SZEWCZENKO.

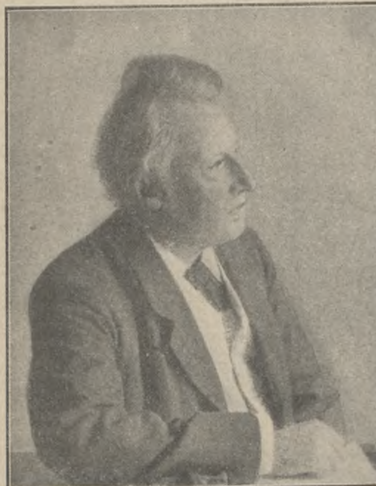
Uroczyście święcono w bieżącym miesiącu pięćdziesiątą rocznicę zgonu jednego, a najgłówniejszego, z twórców literatury małoruskiej, Tarasa Szewczenki. Urodzony na Ukrainie, syn chłopa, wykupiony z poddaństwa, kształcił się na malarza i rysownika w Petersburgu. Za należenie do tajnego stowarzyszenia narodowego małoruskiego zesłany w „sołdaty" do kraju Orenburskiego, lat kilka przebył na wygnaniu. Wrócił do Petersburga i tam życia dokonał, a pogrzebion nad Dnieprem. Rozsławił go zbiór pieśni „Kobzarz".



WIKTOR GRĄBCZEWSKI.

ZNAKOMITY CHEMIK.

W rodzinnem mieście swojem, w holenderskim Rotterdamie, życie zakończył zaledwie 59-letni znakomity uczony van't Hoff, profesor kolejno uniwersytecki w Amsterdamie i Berlinie. W nauce chemii dokonał głęboko sięgającego przełomu. W r. 1901 przyznano mu wielką nagrodę Nobla. Kilka dzieł pozostanie w piśmiennictwie naukowem skarbnicą wyników ogromnej pracy, połączonej z niepospolitą przenikliwością myśli. Kształcąca się młodzież przepełniała audytorya znakomitego chemika.



J. H. VAN'T HOFF.

JUBILEUSZ GRĄBCZEWSKIEGO.

Obchodzić go będzie w poniedziałek przyszłego tygodnia koncertem w Filharmonii artysta-śpiewak, co zdołał sobie w dość krótkim stosunkowo czasie zjednać nie tylko uznanie, ale i szczerą sympatyę Warszawy. Piętnastoletni jubileusz zawodowy wybitnego barytona, Wiktora Grąbczewskiego, przywodzi przedewszystkiem na pamięć, że wychowańcem jest b. dyrektora opery warszawskiej, Quatriniego. Dalsze studya odbywał w Paryżu u Jana Reszkego. W Medyolanie debiutował w r. 1892 jako Germont w „Trawiacie"—z wielkiem powodzeniem. Śpiewał następnie w New-Yorku i Bolonii, poczem w Paryżu i przez dwa lata w Stanach Zjednoczonych. W r. 1906 wrócił do Warszawy, zaangażowany do stałego składu opery. Grąbczewski ma w repertuarze swoim 52 opery, wśród których i „Halkę" (Janusz) i „Verbum nobile" i „Mazepę".

NOWY PREZES TOW. ROLNICZEGO KOWIEŃSKIEGO.

Na prezesa z wyboru Towarzystwa ros. kowieńskiego powołany został p. Józef Kibortt, syn Ottona i Anny z Billewiczów, urodzony w r. 1868, w majętności Nowa Myśl w powiecie rzeczyckim. Po ukończeniu wydziału prawnego w Moskwie



JÓZEF KIBORTT.

ze stopniem kandydata praw, objął gospodarstwo rolne w Stefaniszkach, w pow. szawelskim na Żmudzi, prowadząc je z niepospolitą znajomością rzeczy, rzutkością oraz żelazną pracowitością. P. Józef Kibortt był od lat już kilku członkiem rady Towarzystwa rolniczego kowieńskiego, a w r. 1906 nowozałożone Tow. rolnicze w Szawlach powołało go na swego prezesa. P. Kibortt wznowił, po latach, wystawy rolnicze szawelskie, organizując je z wielką sprężystością oraz zmysłem praktycznym, liczącym się skrupulatnie z miejscowymi warunkami.

WŁADYSŁAW SZYMANOWSKI.

Premiera „Kupca weneckiego" na scenie Teatru Wielkiego uświetniła w niepospolity sposób jubileusz 45 lat pracy zawodowej wybitnego artysty dramatycznego, Władysława Szymanowskiego.

Lat sześćdziesiąt ośm liczy. Fatalne złamanie nogi uniemożliwiło mu, lat temu sześć, występowanie na scenie. Pozostał na stanowisku wysoce cenionego profesora szkoły aplikacyjnej, a i rady i wskazówki długoletniego reżysera dramatu i komedyi do dziś dnia zażywają w teatrze naszym ustalonej powagi. Szymanowski należy do przerzedzającego się zastępu artystów, którzy w dobie Modrzejewskiej, Królikowskiego, Popiel-Święckiej, Wisnowskiej scenę naszą uświetniali. W zakresie ról charakterystycznych: rezonerów, czarnych charakterów oraz komicznych kochanków, nie miał przez czas długi równego sobie. Pamięć do dziś dnia słynie jego Poloniusza w „Hamlecie", Papkina, Rodina w „Żydzie wiecznym tułaczu", Plasia w „Piosence wujaszka", jego kreacyi w „Safandułach", w „Wicku i Wacku" etc. Wyborny monologista, znany też był dobrze jako utalentowany rysownik-humorysta.



JEDEN Z OBRAZÓW „ŻYWEJ SZARADY", która uświetniła raut-koncert, zorganizowany w warszawskiej Resursie Obywatelskiej na rzecz seminaryum nauczycielek ludowych p. Walickiej. Szaradę układał artysta-malarz, p. H. Piątkowski.



WŁADYSŁAW SZYMANOWSKI.

WYSTAWA „SZTUKI".

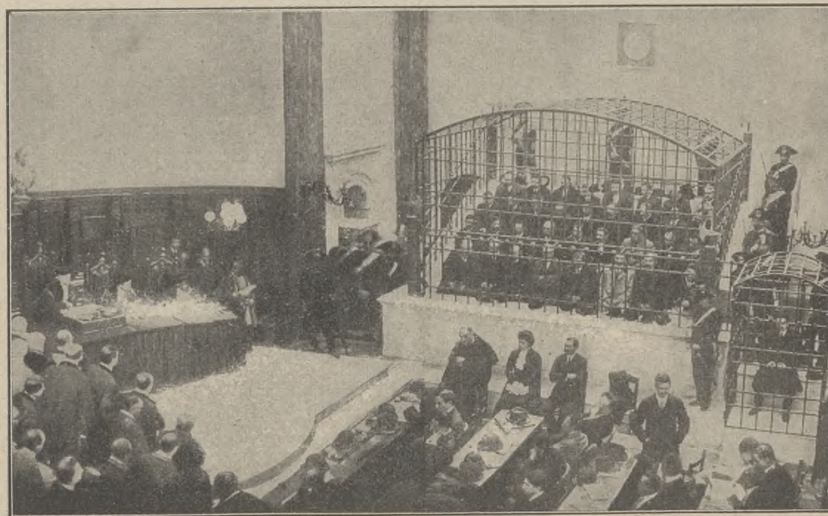
W dniu 18 b. m. otwarta została w Krakowie pięćdziesiąta pierwsza z rzędu wystawa Towarzystwa „Sztuka". Prezesem stowarzyszenia, liczącego obecnie 42 członków, jest Józef Mehoffer. Oprócz członków biorą w wystawach udział zaproszeni artyści, nie należący do Towarzystwa. Na obecnej wystawie krakowskiej znajdują się, między innemi, obrazy i rzeźby: Axentowicza, Boznańskiej, Fałata, Glicensteina, Vlastimila Hoffmana, Laszczki, Malczewskiego, Mehoffera, Sichulskiego, Weissa.



W KRAINIE DŻUMY. W takim stroju ochronnym pielęgnują i grzebią zadżumionych w Mandżuryi lekarze i sanitaryusze. Środki zaś dezynfekcyjne stosowane są w tak znacznej ilości, że niektóre miast dzielnice są literalnie zalewane roztworem sublimatu za pomocą ręcznych sikawek. Stosowane też jest na wielką skalę palenie zwłok i ruchomości wszelkiej w domach, dotkniętych epidemią. Epidemia, jak z gazet wiadomo, słabnie i niebezpieczeństwo sięgnięcia jej aż w granice Europy minęło. Obecnie wyniszczane są skrupulatnie ogniska zarazy.



KOŚCIÓŁ w VITERBO, czasowo zamieniony na salę trybunału, w której rozgrywa się głośny proces włoskiej Camorry.



WIDOK POSIEDZENIA SĄDOWEGO W VITERBO. Oskarżeni członkowie stowarzyszenia „Camorra" znajdują się w klatce, której wizerunek podaliśmy w „Tygodniku" z dnia 8 marca.

MIESZANINY LITERACKO-ARTYSTYCZNE



Kazimierz Gliński.

Z niwy powieści historycznej.

Nienawiść i miłość, krwawe rozboje i uniesienia najczystsze, walka sprzecznych uczuć i namiętności, sceny niezwykłe i niespodziane zwroty akcyi o przebiegu już to ponuro-groźnym, to znów niebiańsko-romantycznym—oto treść najnowszej powieści Kazimierza Glińskiego, p. t. „Kniahini Anna" *).

Odwieczna nienawiść dwóch różnych rodów, Rożyńskich i Rudnickich, krzywda, jaką pierwsi wyrządzili drugim, przywłaszczając sobie ich rodowy majątek, Plewiszcza, i wysiekłszy w zdradzieckim napadzie wielu członków rodziny, miłość ostatniego z Rudnickich, Michała, do pięknej kniaziówny Anny, dziedziczki obecnej Plewiszcz, szlachetne poświęcenie się lutnisty Marcina Zięby, prócz wielu jeszcze innych epizodów, to tło utworu, któremu dodają grozy dalekie echa buntu Chmielnickiego.

Powieści Glińskiego należą do tych dzieł wyobraźni poetyckiej, które barwną tkanką zdarzeń zmyślonych, żywą opowieścią, nastrojem romantycznym scen miłosnych szczerze zaciekawiają czytelnika, który przecie wie, że historyi nie z romansów uczyć się należy.

*) *Kazimierz Gliński.* „Kniahini Anna“, powieść ukraińska z pierwszej połowy XVII wieku, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G Gebethner i Spółka 1911, 8-ka, str. 430. Cena rb. 1.60.

PIERWSZE AKORDY

CZAPLE.

Na nadmorskiej szarej, nagiej skale
siwych czapli usiadła gromada;
o brzeg biją spienione wód fale,
głębia słońcu promienie wykrada

i w tysiączne się iskrzy opale.
Na pobrzeżach cień kładzie mgła blada.
Widząc morza bezkresne oddale,
czaplom skrzydło znużone opada.

Zwolna na świat nachodzi noc cicha,
sierp księżyca przegląda się w wodzie,
jeno morze miarowo oddycha,

jeno chylą się barki i łodzie...
I śpi morze w swej wiecznej tęsknocie,
śniąc o górnym siwych czapli locie.

Konrad Libicki.

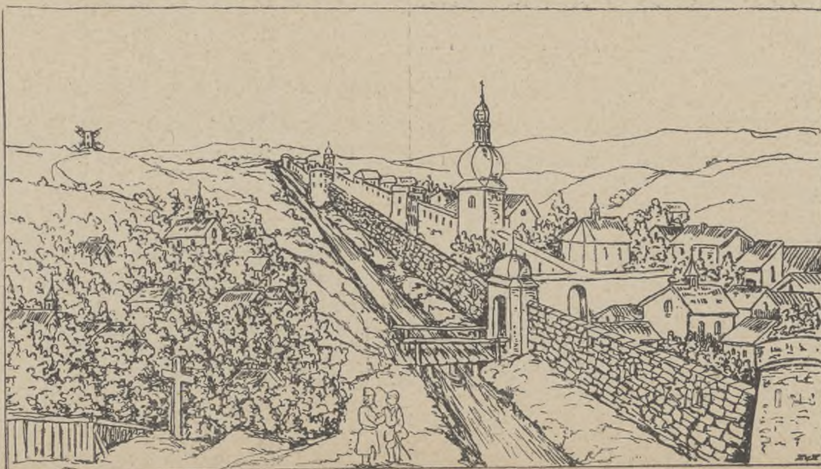


Lwów stary i wczorajszy.

Chociaż historya nasza pozornie „robiła się" na dworze królewskim i w dworku szlacheckim, nie należy jednak zapominać, że i przeszłość, mniej lub więcej odległa, miast naszych to karty niezmiernie ciekawe, dodające tyle rysów charakterystycznych do obrazu naszej kultury w wiekach minionych.

Zaczynamy rozumieć to coraz lepiej — i mnożą się wydawnictwa specyalne, przedmiotowi temu poświęcone, zarówno czasopisma (*Rocznik Krakowski, Biblioteka Lwowska, Kwartalnik Wileński, Stara Warszawa*), jak i druki osobne (np. podjęte ostatnio przez Towarzystwo Miłośników Historyi wydawnictwo monografii z przeszłości Warszawy).

W szeregu tych studyów niepoślednie zajmuje miejsce zbiór szkiców i opowiadań p. Franciszka Jaworskiego, ukazujący się obecnie w ponownem, znacznie rozszerzonem i poprawionem wydaniu *).



DAWNE WAŁY HETMAŃSKIE WE LWOWIE.

Zamki i dworki, ulice i place, „wały" i ogrody lwowskie, a potem cechy i rzemieślnicy, teatry i kawiarnie, drukarze i księgarze, groteskowe postacie z bruku nadpełtwiańskiego grodu, wreszcie — znamienne epizody z przeszłości Lwowa (np. wjazd Stefana Czarnieckiego, pobyt ks. Józefa Poniatowskiego)—oto treść różnorodna a bogata tej książki, której liczne ilustracye dodają patyny starożytnej, czyniąc ją jeszcze ponętniejszą dla każdego, interesującego się naszą puścizną dziejową czytelnika.



Dawna pracownia zegarmistrzowska we Lwowie.

*) *Franciszek Jaworski.* „Lwów stary i wczorajszy“ szkice i opowiadania, z ilustracyami, wydanie drugie poprawione, Lwów, 1911, nakładem Towarzystwa Wydawniczego, 8-ka, str. 362. Cena rb. 2.60.

Biblioteka „Sfinksa".

Ruchliwej przedsiębiorczości redaktora *Sfinksa*, p. Władysława Bukowińskiego, nie wystarcza wydawanie miesięcznika, którego zeszyty, wypełnione treścią doborową, są dowodem wielkiej staranności redaktorskiej poety.

Obecnie rozpoczął pan Bukowiński nowe wydawnictwo, miesięczne i książkowe, p. n. *Biblioteka Sfinksa.*

A rozpoczął je pod dobrą wróżbą, bo od znakomitego dzieła ojca naszej literatury krytycznej, słynnej rozprawy Maurycego Mochnackiego, p. t. „O literaturze polskiej w wieku XIX“ (z przedmową A. Drogoszewskiego).

Nie potrzebujemy zaś przypominać naszym czytelnikom, jakie to dzieło niezapomniane zajmuje stanowisko w dziejach naszego piśmiennictwa w ubiegłem stuleciu, jak umiejętnym i artystycznym rozbiorem utworów naszej młodej poezyi romantycznej z przed roku 1830 utorowało ostatecznie drogę nowemu kierunkowi.

W drugim tomie *Biblioteki Sfinksa* czytamy pierwszą część (p. t. „Świt") pięknej powieści p. Romain Rolland: „Jan Krzysztof". Dzieło to, z czterech części, niby z czterech pór życia ludzkiego uwiązane, można nazwać monografią duszy artystycznej, duszącej się w stęchłej atmosferze nędznej prozy życiowej. Część pierwsza przedstawia bohatera dzieckiem jeszcze, dzieckiem genialnem, czułem i wrażliwem, a smutnem i nieszczęśliwem wskutek smutnych warunków otoczenia domowego.

Dalszych części oczekujemy z niecierpliwością.

Przekład tego dzieła wysokiej wartości artystycznej jest pod każdym względem świetny: wyszedł on z pod pióra p. Jadwigi Sienkiewiczówny, córki autora „Trylogii“.

KURYER LITERACKI.

Jadwiga Marcinowska. „Z głosów lądu i morza".

Warszawa, 1911, druk i nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. 8-ka, str. 377. Cena rb. 1.80.

Utalentowana autorka kilku dramatów historycznych („Kościuszko", „Zwycięstwo", „Twórca", „Sejm Wielki") zebrała w tomie niniejszym garść wrażeń i nastrojów z „lądu i morza". Klasyczna kraina starożytnej Hellady podniosłe momenty z podróży po Ziemi Świętej, owiane świętością wspomnień Boskich ewangelicznych, oto główna treść tego tomu, w którym forma jest najzupełniej dostrojona do treści: uroczysta powaga i dostojność, właściwa przedmiotem wielkim i świątobliwym, bija od tych obrazów, w których majestat krajobrazów jednoczy się i zespala z czcigodnością wspomnień dziejowych.



Jadwiga Marcinowska.

Stanisława Korczak,, Cud knehini".

Warszawa 1911, Gebethner i Wolff, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 8-ka str. 48. Cena kop. 30.

Za wątek niniejszego poematu posłużyło autorce podanie o Wandzie i Rytygi rze. Urocza postać tej pierwszej w dziejach naszych dziewiczej ofiary za ojczyznę wystąpiła raz jeszcze na scenie w całym blasku swych cnót męskich i niewieścich zarazem. Styl szlachetny, tak bohaterski, w innych zaś scenach miękki liryzm (np. w scenie śmierci Wandy)—oto cechy charakterystyczne tego utworu który wskrzesza w pamięci naszej jeden z piękniejszych epizodów naszej ubogiej mytologii. Dodać należy, że „Cud knehinią" przenika duch szczerze i gorąco obywatelski.

Podstawy wychowania współczesnego.

W pożytecznem tem dla każdego inteligentnego czytelnika, a zwłaszcza dla samouka, wydawnictwie ukazał się już cały szereg dziełek naukowych, niewielkich rozmiarów, popularnych, doskonale streszczających pewien odłam umiejętności ludzkiej. Ostatnie dwa tomiki wypełnił znany popularyzator wiedzy filozoficznej, przyrodniczej i historycznej, p. W. M. Kozłowski: w tomie XII podał swą pracę oryginalną p. t. „Historya filozofii w w. XIX, od początku tego stulecia do chwil bieżącej", zwięzły, przystępny nawet dla mniej przygotowanych czytelników skrót dziejów „królowej nauk" w ciągu stu lat ostatnich, od idealizmu niemieckiego do dzisiejszych prądów filozoficznych, nie zapominający przytem i o Polsce (cena rb. 1); tom XIII „Podstaw wykształcenia współczesnego“ zawiera „Historyę rewolucyi francuskiej" umiejętną kompilacyę, według monografii francuskich Aularda, Carnota, Bax'a i in. przez tegoż autura dokonaną (cena kop. 75).

Tadeusz Sinko. „Hellenizm Juliusza Słowackiego".

Kraków, nakładem Akademii umiejętności, r. 1910, str. 192. Cena rb. 1.80.

Mówimy powszechnie, że Słowacki jest wyłącznie romantykiem, z duchem helleńskim nie ma nic wspólnego. Tak jest — ale tylko pozornie, jak to wykazał w swej pracowitej analizie, staraniem Akademii krakowskiej wydanej, p. Sinko: przecież pierwszą książką, na której uczył się czytać „Julek", była „Iliada" w przekładzie Dmochowskiego, a wiele upodobań humanistycznych wziął on w spadku po ojcu, a wreszcie kształcił się w okresie rozkwitu pseudo-klasycyzmu. Stąd też w pismach jego reminiscencye z mitologii, historyi i literatury starożytnych Greków. Z autorów starożytnych głównie umiłował sobie: Homera i Platona, a także Ajschylosa, Sofoklesa, Eurypidesa, po części Wergiliusza i Owidyusza. Studyum p. Sinki odkryło nam tę nową stronę bogatej organizacyi duchowej pieśniarza „Anhellego".

Polacy u obcych.

W miesięczniku sztokholmskim **Illustrerad Militärrevy** p. Rudolf Cederström zamieścił notatkę, z kolorowemi ilustracyami, o dwóch chorągwiach polskich, przechowujących się w muzeach tamtejszych, a zdobytych zapewne za czasów wojen szwedzkich w w. XVII-ym.



PIOTR CHOYNOWSKI:

BAROWSKA.

Nowela, odznaczona na konkursie „Tygodnika Illustrowanego". 3)

Co ty sobie, dziewucho, myślisz?! Nie wiesz to, na jakąś drogę weszła? Od rzemyczka do koniczka, aniołku! Tak! Z początku jemu, później koledze, a dalej z rąk do rąk, aż do rynsztoka. Nie pamiętasz, jak z Heńką było!? Jeśli cię przyparło do niewytrzymania, czemu zamąż nie idziesz, co? Wąsików ci ładnych potrzeba, studencików, lalusiów, co?! Ty, ścierko studencka! I na kogoś wreszcie poleciała, na kogo? Obszarpaniec, całych butów to nie ma!... Tyle co mundurzyną poświeci, dziewkom głowy zawraca... Szelma! Nie jedną on cię ma, jakbym widziała, kochaneczko!...

Wanda zrywa się gwałtownie. Rozjuszone, sieką się oczyma poprzez stół.

— Aby mi jego nie tykaj! Wara! Nie wam, hołocie, równy—rozumiesz!! Ty, jędzo, ty! Zazdrość ci cudzego szczęścia, szponamibyś każdy promyk wydarła! Siotrunia ukochana! Nie wiem, myślisz, o co ci chodzi? Póki tu byłam, orałaś we mnie, jak w siwego konia, zabierałaś całą pensyę, wszystko, do ostatniego łachmanka z resztek! Mówiłam co? Skarżyłam się? Nie, ani słowa, ani pary z ust! Ale tobie mało, oho! Chciałoby się moim kosztem życie sobie poprawić, żeby mój stary mąż protegował, pieniążki sypał... Tak, tak, siostruniu! Sprzedałabyś... Ale to się nie uda! I ja chcę trochę dla siebie! Właśnie! Nie przywiązano mnie do waszej nędzy... To trudno... Urwałam się i już! Ciągnijcie sobie dalej sami... Ja, ja...

Wybucha głośnym płaczem. Dzieci za nią. Babka, oddawna już dająca Wandzie rozpaczliwe znaki, wyprowadza ją szybko do sionki:

— Chodź, dziecinko, chodź... Kociak mój najmilszy, królewna mała...

Barowska wodzi przez chwilę osłupiałemi oczyma, niby szukając sprawiedliwości. Co to znaczy? Kto tu winien? ona czy Wanda? Jedyną odpowiedzią ogólny płacz. „Zwaryować chyba przyjdzie!"

— Czego się drzecie, smarkacze! Cicho mi zaraz!

Dzieci w bek jeszcze głośniejszy, aż ojciec ujął się za niemi.

— Samabyś mniej się darła, o!

Tego jej tylko było potrzeba.

— Patrzcie-no, obrońca! Ojcostwo mu się przypomniało, widział to kto?! A że w domu głód, nędza, nie wiesz?! Nie wiesz, że żona i dzieci nie mają w czem chodzić, że wpis nie zapłacony, a gospodarza wstyd spotkać? Nie wiesz?! Że babka nocami obce brudy pierze, aby wam brzuchy napchać! Obrońca! Przepija, szubrawczyna, wszystko, a ojciec niby!

Barowski zatyka uszy z wściekłością.

— A psiakrew! Szczeka jędza od rana do nocy, aż bębenki puchną! Zwieję ci kiedy do Ameryki, jak Bóg na niebie—dopiero będziesz wyła!

— A jedź, jedź! niech się to raz skończy! Niech się wali, niech się pali, niech dzieci z głodu konają, niech idą na żebry, pod kościół, byle raz koniec! Jedź do Ameryki, do Australii nawet! Ja ręce rozkładam... Sił już nie mam dłużej! Matka zabija się w pracy, dzieci głodne, ten pije, Wanda się puszcza... Nie, to już koniec, nie mogę dalej, nie mogę...

Przyłożywszy obie ręce do skroni ruchem, pełnym ogromnej męki, zawodzi zapamiętana:

— Jezu, Jezu! Co ja, nieszczęśliwa kobieta, będę z nimi robić?... Haruję dzień cały, jak ta ostatnia... ręce sobie urabiam, krzyż nadźwiguję, wnętrzności nadrywam z pracy, a oni nic, nic, jakby z kamienia wszyscy! Żeby litości trochę Nie, nikt nie pomoże, słowa dobrego nie da, bo to wszystko pany, każdemu gotowe przynieś, źrób, naszykuj... Jezu, Jezu! I za co to na mnie?... Inne, bieda aż piszczy, a po kominkach się tłuką, kawy spijają, teatry dla nich, przyjęcia dla nich, spacery dla nich—a nic, jak ta baba z pod kościoła, co rok w jednej sukienczynie, że Panie się pożal, ani ludziom pokazać, ani Bogu się pomodlić... Rwij włosy z głowy, o ścianę wal... Jezu, Jezu!

Czołem na stole oparta, zanosi się od gwałtownego płaczu. Wązkie plecy o wystających łopatkach wstrząsają się konwulsyjnie przy każdym szlochu, jakby je mięła nielitosna ręka; ramiona opuszczone gestem beznadziejnej rozpaczy.

Barowski stchórzył na dobre. Przez chwilę strzepuje palcami z wyrazem szczerego żalu, kłopotliwie biega po pokoju, szukając nieistniejącej karafki, bezradnie kręci się koło żony, wreszcie gładzi ją nieśmiało po włosach.

— Helka, nie becz... Uważasz... nie becz, poczekaj-no...

Przez długą chwilę płacz nie ustaje. Barowski miesza się coraz bardziej.

— Helka, no, Helka... czego ci... Zobaczysz, wszystko będzie dobrze...

Jest już zupełnie nieszczęśliwy.

Raptem Barowska, jakby zawstydzona własną słabością, odtrąca męża niechętnie.

— Odejdź, ty!... Co ci tam znowu będzie dobrze?... Rura z barszczu, niedojda!...

Poprzez głuche szlochy wydzierają się z jej piersi zdania, niby wyrzut, niby skarga, niby bolesny jęk.

— Ty się najwięcej... martfisz... Nie rozumiesz... co Wanda... nam... w twarz rzuciła?... Żeśmy... z niej... żyli. . A jeśli prawda. . to stosuje się... i do ciebie... i do babki... do tych małych nawet. Dlaczego... ja jedna... mam za wszystko... odpowiadać?... Że skapielibyście... beze mnie?... Ech... co tam!...

Barowski zgadza się na wszelkie zarzuty, gotów jest potwierdzić najcięższe oskarżenia. Byle nie te łzy! Dość już, dość! Śledząc żonę z pod oka, przemyśliwa o obiedzie. Za chwilę słychać jego basowy szept:

— Mania! idź-no, przynieś zupę... Jeśli zimna, to niech babka odgrzeje. A nie poparz się tam!

Wszystko wraca do codziennego nastroju. Dramat ginie za suchym szczękiem talerzy, łoskotem łyżek, smacznem mlaskaniem dziecięcych warg. Młodsza dziewczynka ryzykuje już niepewne uśmiechy w stronę ojca. Tylko Barowska ani myśli o jedzeniu. Nagły gniew wyrwał w jej duszy olbrzymią czarną jamę, w którą sączy się teraz ze wszystkich szczelin żal beznadziejny. Szemrzą cichutko spływające po drżących nerwach strumyki, a dno pokrywa wstyd, jak osad gorzki. Za każdem otwarciem drzwi wdziera się z sionki fala żałosnego płaczu, za każdym razem mąci się jezioro. „I po co było krzyczeć?... Ani zaradzi, ani pomoże... Zwymyślałam, a ona ode mnie biedniejsza"... Nasłuchuje przez chwilę. „Cichnie już, Bogu dzięki"... Niespokojnemi oczyma bada uroczystą powagę na twarzy starszej córki, jakby strwożona przed milczącym wyrokiem. Gdy po obiedzie dziewczynki chylą się do jej ręki, Barowska zatrzymuje Manię w długiem objęciu.

— Dziecko ty moje.. dobre... kochane...

— Co, mamusiu?

— Nic, nic...

Zapada wczesny zmrok jesienny. W cichem teraz mieszkaniu ciemność rozkłada się stopniowo, powoli, jakby wchodziły doń długiemi pasmami podwórzowe dymy. Snują się pasma, cicho po kątach się kladą, każdą rzecz owijają lotnymi kirami... Już i głowy szepcących dzieci znikły, Barowskiego na otomanie nie widać. Przed świętym obrazem coraz wyraźniej odcina się czerwone migocące światełko lampki, niby bezdźwięczne krwawych łez kapanie.

Wśród tego mroku postać Barowskiej, jak czarny włóczący się cień.

— Życie, życie... Jestem, jakby ten pies łańcuchowy... Waruj koło cudzego dobra, strzeż, pilnuj... A że czasem polano nogę przetrąci, że ci się boki zapadły, nic to, nic to... Psia dola, psi los! Mój Ty najsłodszy Jezu...

Żal za straconem życiem, za miłością wygasłą, za szczęściem żal... W umęczonej duszy wzbiera potężnemi falami litość dla wszystkich: dla siebie, dla matki, dla dzieci, dla męża nawet. A najwięcej dla tej niedobrej Wandy, co ją tak dzisiaj skrzywdziła.

Na palcach zbliża się do przymkniętych drzwi. Przyciszona rozmowa.

— ...Nie jak dawniej, bez ślubu... co ty, Wanda? Tak ci wieczorami tłómaczy? A, gałgan!

— Kiedy bo mama...

— Nic, już nic, dziecko! Tylko jakże tak można?

— Zwyczajnie. Małżeństwo, ale bez kościoła—rozumie mama?

— Oj, rozumiem, rozumiem, dziecko... Sprzykrzysz mu się i weźmie ślub... z inną... Mój Boże...

Barowska załamuje ręce, aż w stawach trzeszczą. „Niedobra, niemądra dziewczyna! Żeby się była spytała, o radę poprosiła—ale nie. Dumne to, uparte to, a głupie! Każdemu wierzy na słowo, byle nie siostrze rodzonej. Ech, Wanda, Wanda!

W sionce długi wykład, przerywany pocałunkami trzęsącej się siwej głowy. Barowska znowu słucha.

— . .A Helka wyszła zamąż z księdzem, i co? Od octu kwaśniejsza.

— Nie mów tak o Heli, dziecinko... Ona, widzisz, chciałaby najlepiej, tylko życie, jak ten kamień dla niej: ani go ugryźć, bo twardy, ani się przytulić, bo zimny...

Drzwi uchylają się nieśmiało. Barowska siada przy siostrze, obejmując ją lękliwem ramieniem.

— No, Wanda, nie bądź zła na mnie... Jeśli my jeszcze będziemy się żarły, to lepiej odrazu na hak! No, Wanda...

Niepewne milczenie.

— No, pocałuj... o tak!... Dziecina moja kochana! Widzisz... Och, Boże!... Żeby nie owa wieczna nędza, troski, co serce rwą z człowieka...

Na podwórzu zapalają latarnię. Ostry blask długimi pasami biega po suficie i ścianach, zaglądając w oczy trzem, pochlipującym z cicha w objęciu, kobietom.

KONIEC.

HELENA MNISZEK:

NENUFAR.

NOWELA.

2)

Krzyk unosił się nad wodami. Kwiliły czajki i białe zwinne mewy. Piszczały kuliki; gęg kaczek wpadał hałaśliwie w cichy, jednostajny bełkot fal, bijących w groble. Woń szła odurzająca, ale zdrowa jakaś, pełna rzeźwości, woń tataraku i głębin wodnych.

Czerwone refleksy zachodzącego słońca kładły na fale złotolite makaty, dziergały je w drogocenne rzuty klejnotów. Niebo kąpało się w spokojnej toni, krasząc ją sobą, a ona odbijała w swej tafli niebieskie ciała i wysmukłe pasma promieni, idących na nią z świetlistego majestatu króla niebios i przestworzy — słońca.

Schodziłem powoli z pagórka chmielowego, mając oczy utkwione w stawach. Po pierwszym zachwycie, duszę moją opanowała bezmierna tęsknota. Szelest wody, monotonny a rzewny, potęgował ją. Śmiganie białych skrzydeł mew nanosiło do serca roje pragnień niepojętych. Tyle melodyi grało w mej duszy, tyle pieśni duch mój wznosił, jakbym zbliżał się do ołtarza, gdzie ofiarę odprawia sam Bóg. Uniesiony byłem w zaświaty i wstąpiłem na pierwszą groblę, z pocniosłem uczuciem wdzięczności dla natury, że daje ludziom takie oto chwile błogosławione, brzemienne w słodkie upojenia.

Szedłem, jak lunatyk, po wązkim przesmyku wśród wód. Szemrało, bełkotało, gwarzyło coś dokoła. Fale szeptały z sobą, może odmawiały wieczorne psalmy?...

Błyszczące łątki, krwawe przy zachodzie słońca, tańczyły nad wodą, bzykając z cicha, razem z komarami, do wtóru rozgwarzonej toni. Często rzuciły się ryby, mącąc na chwilę pogodę wodną, koła tęczowe rozchodziły się szeroko i plusk wzrastał. Otaczały mnie różowe głębiny stawów, pod stopami miałem wieńce poplątanych traw i niezapominajek, które teraz były różowe, rubinami rosy świecące. Nizka, siwa wierzbina sięgała mi do pasa, nie tamując widoku.

Zatrzymałem się i posłałem oczy w dal, śladem lśniących nurtów. I nagle... zdumiałem się.

Z prawej strony, na grobli, przedzielającej dwa stawy-jeziora, w otoczeniu trzcin i kwiatów, szła wolno biała, smukła postać niewieścia. Cicho sunęła i równo, z rękoma zwieszonemi i głową jakby sennie pochyloną na piersi. Szła powiewnie, cała przeróżowiona zachodem, dziwnie tęskna w ruchach, dziwnie harmonijna.

Sama melodya.

Szła, jak muzyka, cudna, jak pieśń.

Tuż obok, jej śladem, przy grobli płynęło małe stadko perkozów. Białe, jak perła, żaboty ptaków, dumne głowy z nastrzępionymi czubami odbijały się wypukło na tle różowej fali i były niby orszakiem paziów zaczarowanej królewny.

Zdawało mi się, że śnię. Że wrażenia, jakie odczuwałem pod wpływem przyrody, skrystalizowały się oto w obraz fantastyczny, nie mający nic wspólnego z realnością. Że to nie żywa istota idzie tam, przeprowadzana przez ptaki wodne, tylko jakaś fantasmagorya, wizya, wywołana nerwami.

Byłem najpewniejszy, że to złuda, ale oczu nie przecierałem, bo złuda była piękna, obraz pełen kolorytu i niesłychanej plastyki. Zadziwiał mię tylko ruch tej białej postaci, ciągle idącej naprzód, a także kwilenie perkozów. „O ile to tylko fatamorgana wzrokowa, to postać powinna stać w miejscu"—myślałem.

Ale prędko przestałem analizować i, pochłonięty widokiem, oddałem się cały urokowi widziadła.

Chciałbym w owej godzinie przeżyć całe życie, tak było mi błogo i tak nieziemsko.



Szła wolno biała, smukła postać niewieścia. JAN HOLEWIŃSKI

Aż oto słońce zgasło. Siwy mrok padł na wody, omaszczając je ołowiem.

Wizya znikła.

Na załamie grobli, gdzie rosły gęste wierzby, rozpłynął się mój sen.

Taki żal zdusił mi serce, taka głusza zapanowała w niem, że stałem, jak omdlały, z poczuciem dotkliwej krzywdy. Znikła! Może to była goplana wodna, może syrena, czy wieszczka fal. Roztopiła się jednocześnie z ostatnią zorzą słońca. Więc to może boginka dnia, czy zwiastunka wieczoru dla wodnych roztoczy?...

Już tęskniłem za nią.

Ciężkimi krokami ruszyłem naprzód, z myślą pójścia na ową groblę, w ten gąszcz wierzbowy, gdzie ona znikła.

Ona... ta biała.

Ten mój N e n u f a r tajemniczy.

Mój! Tak, bo jeśli jest żywą istotą, to jest już moją; mam ją w swej duszy; jeśli była wizyą, to jest również moją, bo duch mój ją wywołał.

Egzaltacya mię unosiła.

Nagły chrzest piór ptasich zbudził mię do rzeczywistości. Ujrzałem tuż przed sobą wysmukłe perkozy. Wyszły z wody, otrzepując się z niej skrzydłami, i na swych płetwach, kołysząc się, wstępowały prędko na groblę.

Ach! otóż i ona! Mój Nenufar!...

Wysunęła się z za srebrnej wierzby i... ujrzałem ją tuż przed sobą.

Więc nie wizya, ale... bajeczna rzeczywistość.

Stanęła trochę przerażona.

Oczy jej tęskne, przezrocze, w wszechświat jakby patrzące, a śliczne, pełne wyrazu, spoczęły na mnie zdumione. W białej, długiej, lnianej sukni, luźnej i bez żadnej ozdoby, wyglądała posągowo. Ciemne, miękkie włosy, rozsypane swobodnie, związywała na karku długa łodyga lilii wodnej, zakończona stulonym kwiatem. W opuszczonych rękach, delikatnych, jak piersi perkozów, trzymała dużą więź tych samych lilii, ciągnąc łodygi po trawie.

Drobny, bardzo szczupły owal twarzy, niby z płatka nenufaru wycięty, okalały luźne pasma włosów, które, spływając po bokach czoła, nie mąciły wytwornego rysunku cienkich brwi, jakby pendzlem artystycznym nakreślonych. Rysy wykwintne, subtelne, zakończały soczyste usta, koralem lśniące.

Była n e chwytna jakaś, czy z mgły utkana, czy stworzona z odłamku obłoków.

Otaczały ją siwe stawy i otaczał blask. Towarzyszyły jej perkozy i towarzyszką jej była harmonia przedziwna. Stała tak, bez słów, w melodyjnym rytmie zawarta. Stała prześliczna, jak jedna nuta pieśni z epopei, jak jedna strofa poezyi anielskich.

Stała czysta, jasna, boska i niepokalana.

Moja... Victoria regia.

Nie wiem już, co do niej mówiłem. Tylko pamiętam, że, gdym sięgnął do jej ręki, cofnęła się z przestrachem, zaś perkozy z wrzaskiem rzuciły się na mnie.

Ona przemówiła do ptaków łagodnie, dotykała dłonią dumnych głów, a uśmiech dobrotliwy rozchylił jej wargi delikatne, jak stokrocie.

Czułem, że wdzięk, bijący od niej, otumania mnie, że mózg mi rozsadza natchnienie tak szczytne, jakbym był wieszczem i chłonął do swej duszy twórczość genialną.

Krótka chwila, ale upoista.

Moja wieszczka skinęła mi głową i wolno odeszła, błyszcząc na ciemnej grobli, wśród masowych wód, bielą swej szlachetnej postaci.

Nie śmiałem iść za nią.

Tylko znowu ją podziwiałem.

Księżyc wypłynął z poza chmielarni i cisnął na stawy roztopione opale i perły. Rosa na groblach świeciła brylantami, wody w poświacie miesiąca stężały; były nieruchome, niby tafle lodu. Na szybach ich ślizgały się białe pasma mgieł.

O n a szła prosta, klasyczna, niezmącona w liniach. Widok stał się nieco borealny, przetkany srebrzystością, pełen cieni i białych motów mgieł, jak zaspy śnieżne.

(DCN)

EUGENIA ŻMIJEWSKA:

MŁODZI.

POWIEŚĆ. 12)

— Co wolisz? — powtórzył głos cichy, a ciepły. I wtedy, po raz pierwszy w swem krótkiem życiu, Nisia odważyła się powiedzieć nie to, co chcieli z ust jej słyszeć, lecz to, co sama powiedzieć chciała:

— Czy ja mogę coś w o l e ć?

Był to okrzyk zdziwienia i radości.

Panna Aniela wzięła chudą rączkę i, tuląc ją mocno, rzekła:

— Możesz! Powinnaś!

— A mama?—wyrwał się z ust dziecka szept zlękniony. Oczy uciekły znowu pod powieki.

— I z mamą trzeba być szczerą.

W dłoni panny Anieli zadrgała chuda rączka.

— To pani mamy nie zna—rzekła Nisia, obejrzawszy się wpierw dokoła.

Na pannę Anielę słowa te padły, jak kropla krwi z rany.

Trzymając się za ręce, wróciły do domu w milczeniu.

Owej nocy Nisia zasnąć nie mogła.

Oczy jej, oślepione nowem pojęciem, wpatrywały się w nie z radością, jak na przedmiot, niezdatny wprawdzie do użytku, lecz najdroższy na świecie.

Nazajutrz jednak była znowu chłodna, posłuszna i unikała panny Anieli.

Bała się do niej przywiązać.

A nuż i ona wyjedzie którego dnia, ukradkiem, jak tamte.

Ale panna Aniela pozostała i cierpliwie dzień po dniu zdobywała zaufanie i serce uczennicy przez lat dwa.

A po latach siedmiu Nisia nie rozumiała już bez niej życia.

VIII.

Nazajutrz po serdecznych wynurzeniach matki ze starszą córką, Mania spotkała panią Lulę w ogrodzie.

Podbiegła do niej z uradowaniem.

— Czy pojedziemy dziś konno? — spytała.

— J a pojadę—odrzekła pani Rojewska, kładąc nacisk na tę liczbę pojedyńczą.

— Pan Stefan mówił wczoraj...—zaczęła znowu Mania.

— Co mówi mój brat pannie Maryi, tego nie jestem ciekawa.

Mania spojrzała na panią Lulę, i nie poznała jej twarzy, zwłaszcza ust, zaciętych wzgardliwie. W słowach było gorsze od wzgardy —lekceważenie.

Chciała się łudzić, więc wzięła te słowa nie na własny rachunek, lecz na karb złego humoru. Doświadczała go po raz pierwszy, wiedząc jednak od służby, że pani Rojewska dość często podlega różnym „chandrom".

Podczas obiadu chłodny nastrój przerywały niezwykłe objawy troskliwości.

— Jakże się mateczka teraz czuje?—pytała pani Lula.

— Dziękuję ci, jestem jeszcze osłabiona.

— Na takie zawroty głowy niema jak Wiesbaden—ordynowała starsza córka.

— Wiesz przecie, że o własne zdrowie nie dbam. Jeślibym się zdecydowała na wyjazd, to chyba dla Nisi.

— I Nisi dobrzeby zrobił Wiesbaden.

— Niewątpliwie, ale czasy ciężkie. Turzański nie zapłacił mi tenuty z Milanowic. Kobietę bezbronną każdy wyzyska.

— O tak—potwierdziła z westchnieniem pani Lula.— A gorzej jeszcze mieć obrońcę, który bronić nie umie. I ja powinnabym wyjechać. Ale czy można z Zygmuntem? Daje się okradać na każdym kroku.

Panie, siedząc obok siebie, mówiły jakby tylko do siebie, głosami przyciszonymi, ale że poza tem nikt się przy stole nie odzywał, więc słowa ich, padające w milczenie, odbijały się głośniej, niż należało, od ścian, zawieszonych portretami.

Po tej wymianie skarg i życzeń, pani Lula utopiła wzrok w młodziutkim chłopaczku, siedzącym obok panny Anieli.

— Nie mogę patrzeć na Rysia! — zawołała nagle, odwracając głowę w przeciwnym kierunku.

Młodzieniec uśmiechnął się drwiąco, a pani Lula, nachylona w stronę pani Pohoreckiej wezwała patetycznie jej świadectwa.

— Niech mama spojrzy, jak on wygląda.

— Istotnie, mizerny—stwierdziła babka, prześliznąwszy się oczyma po twarzy wnuka.

— Doktór zaleca mu koniecznie kąpiele w Abazyi.

Było to wypowiedziane z takim patosem, jakgdyby pani Lula obwieszczała nie przepis lekarza, lecz wyrok sądu wojennego.

Stefan, milczący dotychczas, odezwał się.

— Kiedy rozpoczynają się szkoły?—spytał siostrę.

— Nawet nie wiem.

— Ryś już do nauki nie wraca?

— Gdyby ode mnie zależało, byłby w innej szkole, zagranicznej. Ale Zygmunt się uparł.

— A to mu się tak rzadko zdarza — wtrącił pan Stefan—że bodaj *pour la rareté, du fait.*

— Nie jest on taki łatwy w pożyciu, jak ci się zdaje.

— Więc szkoła poczeka, aż Ryś wróci z Abazyi?

— Naturalnie. Dosyć ponieśliśmy ofiar dla tej szkoły...

— Żeby się nie liczyć z jej terminami— kończył pan Stefan.

— Naturalnie. Jeżeli ma być lepiej, niż było...

— Niechże będzie wolno wracać do nauki, albo wcale nie wracać.

— Zapewne. Nie na to zwalczaliśmy srogość przepisów, żeby sobie narzucać nowe. Inaczej nie warto było robić...

Lula nie dokończyła. Spojrzenie matki, w ostrym błysku, wyrwało jej z ust słowo, nie przeznaczone dla uszu Nisi.

— Zresztą Ryś uczyć się teraz nie może, jest zanadto wyczerpany—oznajmiła Lula bratu.

On zaś odpowiedział jej pytaniem, skierowanem do pana Talki:

— Czy za pańskich czasów chłopcy wracali do szkół, kiedy im się podobało?

Pan Talko nie miał możności objaśnić w tym względzie towarzystwa. Odebrała mu słowo pani Lula.

— Za czasów pana Talki — orzekła — uczniowie nie byli tak zdenerwowani, jak dzisiaj.

— Choć przeżywali gorsze czasy.

— Bardzo wątpię, czy gorsze od obecnych.

— Zwłaszcza, że Ryś tak się tymi „czasami" przejmuje—szydził pan Stefan.

— Ryś nie objawia swych wzruszeń. To natura skryta.

W tem miejscu młody Rojewski uznał za potrzebne wyrównać różnicę zdań o sobie.

— Nic do ukrycia nie mam, ani tego nawet, że mnie te „czasy" nic nie obchodzą —oznajmił z uśmiechem szyderczym.

Pani Pohorecka chrząknęła i znowu próbowała pohamować oczyma starszą córkę, a osłonić młodszą od niewłaściwej rozmowy.

— Czasy są zawsze jednakowe — rzekła sentencyonalnie.

— O tak, świat drepce truchcikiem — rzucił pan Stefan niecierpliwie i spojrzał na Manię, bo nie chciał patrzeć na swą najbliższą rodzinę. A Ryś, który już od dłuższej chwili przypatrywał się odbiciu tej sprzeczki na twarzy panienki, mrugnął lewem okiem w jej stronę i bardzo poważnie zapytał:

— Co pani myśli o tym truchciku?

Pragnąc się popisać odwagą, której nie wyplenił jeszcze pobyt w Pohorcach, wydobyła z pamięci zdanie, zasłyszane na jakimś wiecu, i przewietrzyła je:

— Świat galopuje teraz po trupach i zgliszczach—orzekła.

— Panna Łopacka może śledzić t e m p o czasu na swój wyłączny użytek—zaleciła jej pani Pohorecka.

— Istotnie—poparła ją Lula — nikt nie jest ciekaw tych badań.

Poczem zwróciła się znowu do brata i zakończyła, pomijając nawias, który przebił jej słowa:

— ...A Ryś był nerwowy od urodzenia, kiedy jeszcze czasy były zupełnie normalne.

— Są normalne—zadecydowała pani Pohorecka tonem, przecinającym dyskusyę.

Młody Rojewski wciąż się uśmiechał i, choć patrzył przed siebie, widział Manię, siedzącą po tej samej stronie o dwa krzesła dalej. Usta jego, wykrojone w łuk, szpeciła smuga, zarysowująca nudę. Twarz była prawdziwie gładka urodą i młodzieńczą delikatnością cery, lecz zbróżdżona piętnem, które zazwyczaj kładą lata, lub doświadczenie. W szafirowych źrenicach, pod długą rzęsą, czaiła się złośliwość, ale jednocześnie... przyćmiony nią smutek.

Za każdem odezwaniem matki lub babki, Ryś, nie podnosząc powiek, patrzył na wuja i wtedy leciutka smuga szyderstwa, idąca od kątów jego ust, rzucała cień dłuższy.

(DCN)

Rozrywki umysłowe.

SZACHY.

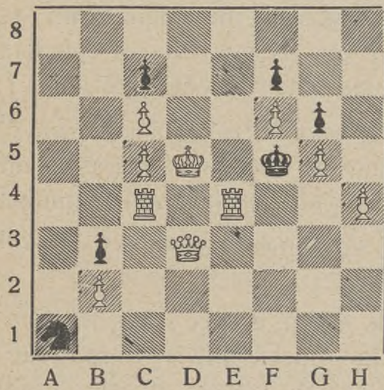
Sekcya I-a Turnieju (A) Korespondencyjnego skompletowana:

Pp. 1. T. Grabowski—Gutanów.
2. B. Janiszewski—Nowosiółki.
3. W. Jasieński — Lubimowski posterunek.
4. Dr. A. Harasowski—Delatyn.
5. J. Górka—Lwów.

Gra rozpoczęta 16-go marca.

Są wolne miejsca w sekcyach wszystkich 3-ch turniejów, do których zajęcia zapraszamy.

Nr. 1. K. A. L. Kubbel w Petersburgu.



Samomat w 2-óch posunięciach.

(Białe zaczynają i zmuszają Czarne dać mata w drugiem posunięciu).

Nr. 26. Ruska.

Z rozgrywanego w San Sebastian międzynarodowego turnieju.

G. Maroczy. F. Marschall.

1. e2—e4 e7—e5 2. Sg1—f3 Sg8—f6
3. Sf3×e5 d7—d6 4. Se5—f3 Sf6×e4
5. c2—c4 Lf8 - e7

Zasługiwało na uwagę 5. .. d6—d5, ażeby na 6. c4×d5 Dd8×d5 7. Sb1—c3 Se4×c3 8. b2×c3 zagrać 8. ... c7—c5, rozwijając całą grę. Posunięcie 6. d2—d4 jest wątpliwej wartości wobec 6. ... Lf8—b4†.

6. Sb1—c3

Na 6. d2—d4 mogło nastąpić d6—d5.

6. ... Se4×c3
7. d2×c3 Sb8—c6
8. Gf1—d3

Należało dać pierwszeństwo 8. Gf1—e2 wobec grożącego Sc6—e5.

8. ... Sc6 - c5!
9. Sf3×e5 d6×e5 10. Dd1—c2 Ge7—g5;

Posunięcie właściwe, zrobione w celu osiągnięcia długiej roszady.

11. 0—0 Gc8—e6 12. Wf1—e1 Gg5×c1
13. Wa1—c1 Dd8—g5 14 We1—e3 0—0—0
15. Wc1—e1 f7—f6 16. b2—b4 Wd8—d7
17. c4—c5 Wh8—d8

Nie można grać c7—c6 wobec 18. b4—b5.

18. c5—c6 Wd7—d6
19. c6—b7† Kc8—b8 20. a2—a4 Ge6—d5
21. We3—g3 Dg5—f4 22. Gd3×h7 Gd5×b7
23. h2—h3 Wd6—d2 24. Dc2—f5 Df4×g3!

Ciekawa kombinacya z zaofiarowaniem D, prawdziwie w stylu Marschalla.

25. f2×g3 Wd2×g2† 26. Kg1—f1 Wd8—d2
27. We1—e4

Grozi 27. ... Wg2 — h2! Białe do tej ofiary zmuszone.

27. ... Gb7×e4 28. Df5×e4 Wd2—f2†
29. Kf1—e1 Wf2—a2 30. Ke1—f1 Wa2 - f2†
31. Kf1—e1 Wf2—a2 32. Ke1—f1 Wg2—f2†
33. Kf1—g1 Wf2—e2.

Próba, prowadząca również do remis

34. De4—b1 We2—g2†
35. Kg1—h1 Wg2—h2† 36. Kh1—g1 Wa2—g2†
37. Kg1—f1 Wg2—b2 38. Db1—e4 remis.

Uwagi C. v. Bardeleben w *Deutsches Wochenschach.*

3 Zadania z *Deutsches Wochenschach.*
Mat w 2 óch posunięciach w każdem.

Nr. 62. C. Borgatti w Ferrarze.
Białe: Kg2, Db8, Wh5, Ga1 i b1, Sf5 i f8, p. p. c2, c7, g3. (*10*)
Czarne: Ke4, Wg7, Ga6, p. p. c5, c4, g5. (*6*)

Nr. 63. P. Weyl w Lipsku.
Białe: Kb7, Da8, Wc8 i d2, p. p. b2, d4. (*6*)
Czarne: Kb3, p. p. b4, b5. (*3*)

Nr. 64. Otto Fleckner w Würzburgu.
Białe: Kh5, Dh4, We5, Ga5 i c4, Sb7 i h7, p. eb. (*8*)
Czarne: Ke8, We7, Gg7, p. p. a6, c7, h6. (*6*)

2 Zadania z *Deutsche Schachzeitung.*
Mat w 3-ch posunięciach.

Nr. 65. Dr. J. Frankenstein w Lipsku.
Białe: Kb8, Dg1, Gg5, Sf8. (*4*)
Czarne: Kd6. (*1*)

Nr. 66. W. Pauly w Bukareszcie.
Białe: Ke3, Wd3 i f3, p. p. c4, d5, e2, f5, g4. (*8*)
Czarne: Ke1, Ge4. (*2*)

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z N-ru 10.

Z Niwy myśli polskiej.

Nr. 6. 1. Dg1—c1
1. ... Wf2—f4 2. Dc1—c6† i t. d.
1. ... Kd5—e6. 2. Dc1×e3† i t. d.
1. ... Kd5—e4 2. Gc8—b7† i mat.
1. ... f5—f4 2. Dc1—c4† i mat.

Nr. 54. 1 Db8—h8.
Nr. 55. 1. Sa6—c7.
Nr. 56. 1. Sb3—c1.
Nr. 57. 1. Gf1—c4.
1. ... Kg4×h4 2. De3—f4† i t. d.
1. ... Kg4—f5 2 De3—g3 i t. d.

Odpowiedź p. J. Schr... Do druku się nie nadaje.

DROBIAZGI NAUKOWE.

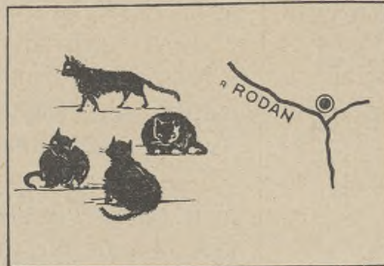
UŁATWIONE KRAJANIE SZKŁA.

Jak wiadomo, do krajania szkła służy dyament, który, rysując powierzchnię, nie wywołuje drżeń i tem samem zapobiega kruszeniu się szkła w miejscach niewłaściwych. Tym, którzy dyamentu nie posiadają, możemy doradzić inny sposób, aczkolwiek stosuje się to tylko do przedmiotów, które możemy całkowicie zatopić w wodzie. Tak więc przedmiot szklany zanurzamy w wodzie i krajemy zwyczajnemi nożyczkami. Linię przekroju możemy naznaczyć mydłem lub tłustą kredą. Szkło krajane w wodzie nigdy nie pęknie, ponieważ płyn, w jakim jest zatopione, nie dopuści do drżenia.

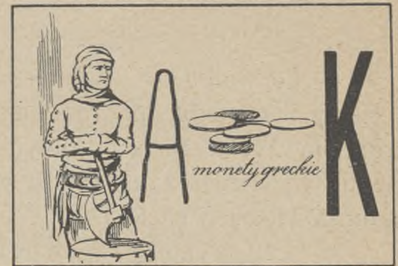


CZARODZIEJ.

REBUS № 20.



REBUS № 21.



ROZWIĄZANIE REBUSA Nr 18. Dobry śmiech, ale jak jest okazya. Bez przyczyny i nie wypada i dziko wygląda.

ZADANIA I ZAGADKI
KONKURSOWE.

LOGOGRYF TRÓJKĄTNY.

Ułożyć 8 szeregów wyrazów w takim porządku, aby te utworzyły według punktów oznaczonych w poniższym trójkącie: przez środek od góry do dołu nazwisko znanego poety polskiego współczesnego, w wierszu zaś najniższym poziomo, jego również nazwisko oraz imię jego ulubionego bohatera.

```
       0
      .0.
     ..0..
    ...0...
   ....0....
  .....0.....
 ......0......
000000000000000
```

Znaczenie wyrazów:

1) Głoska. 2) Przetwór z mleka. 3) Góry. 4) Błysk światła. 5) Materya jedwabna. 6) Forma rządzenia. 7) Nazwisko najstarszego malarza polskiego, na końcu dwie pierwsze litery jego imienia. 8) ...

ZAGADKA SZARADOWA.

Blaski wschodzącego słońca zalały obejście gospodarskie.

Pierwsze drugie trzecie czwarte!—słychać od strony stodół: **pierwsze pierwsze trzecie drugie! Drugie czwarte trzecie pierwsze! Czwarte czwarte trzecie czwarte!**—**Wszystko!** i tak do nieskończoności.

Wśród **trzeciego czwartego,** dochodzącego od obór i również **trzeciego czwartego** od drogi, podnosi się pył złocisty.

Zaś w poblizkim lesie rozbrzmiewa:

Pierwsze pierwsze, drugie pierwsze, pierwsze czwarte, czwarte, czwarte!

Pasterz trzasnął z batoga i stado popędził na pastwisko.



LIST STAROHOLENDERSKI.

Min Son!

Tol iterkizele Mentar Zalen Juchtenste Van der Katz! Mijnoher Bataviam Brykuwis Tygaa on Taler Zwili Zeauc zyc to an id ud Ujut Roterdam Ciedo pas an Jatr Zody Jusi

Dein Famis

(Przypisek).

Jazas Jeng Nera dygd z Jejak A ob oranajbl Izy.

Tabestian Jemraw stitylę.



ROZWIĄZANIA ZADAŃ z N-ru 10.

ZAGADKI: Mikołaj Kopernik. SZARADY: Karakuły.

HUMOR I SATYRA.

Z TEKI HUMORYSTYCZNEJ
FRANCISZKA KOSTRZEWSKIEGO



MĄŻ ŚLEDZIENNIK.

— Nie gramol się tak długo, moja duszko. Pojutrze premiera, na którą kupiłem bilety. Jeżeli nie wysiądziesz na czas, to możemy się spóźnić.



KUZYNECZKA i KUZYNEK.

Porzuć książki! Czyż w nich wszystko
Już zawiera się dla ludzi?
Chodźże do mnie porozmawiać,
Bo, kuzynku, mnie się nudzi.
Mówisz, że Homera czytasz,
To być musi wielce trudne...
Ja wiem z niego, że boginie
Greckie miały kształty cudne.
Co to? Płomień cię oblewa,
Cały drżysz, dzieciuchu młody,
Ech!... wróć lepiej do Homera
Lub się napij zimnej wody.

Wiś.



W MENAŻERYI W MIASTECZKU.

Cicerone. Oto jest prawdziwa afrykańska zebra.

— Człowieku, zebry mają boki na czarno poliniowane, a zwierzę, które przedstawiasz za zebrę, jest zupełnie białe.

Cicerone. Ba, w Afryce rosną też drzewa gumowe. Zebra, niepokojona przez muchy, ocierała boki o drzewo gumowe, to sobie linie wytarła.



ODPOWIEDZI
OD REDAKCYI.

P. Janinie Antoniowej P. w Białymstoku. Przedmiot banalny, forma literacka słaba. Nie dla nas!

P. K. O. „Sfinks" — Hortensya 4, „Myśl Niepodległa" — Marszałkowska 48.

P. Chełm. w Konotopie. Okólnik 1; kancelarya udzieli wszelkich żądanych informacyi.

P. A. Strz. w Opocznie. Nie wydrukujemy.

T. R. Temat nie nowy (ob. „Róże" Katerli), opracowanie słabe. Nie wydrukujemy.

a. Wierszy Pańskich nie wydrukujemy wobec tego, że forma ich nie stoi na wysokości naszych wymagań artystycznych.

Sławenty. Słabiutkie! Nie wydrukujemy.

Heraldykowi ze Lwowa. Towarzystw ani też instytutów heraldycznych w miastach, przez Sz. Pana wymienionych, niema zupełnie. Heraldyką zarówno teoretyczną jak i praktyczną w państwie Rosyjskiem zajmują się jedynie bardzo nieliczni miłośnicy tej gałęzi nauk historycznych, pracujący na własną rękę. Z pomiędzy nich znamy jedynie: pp. Downara-Zapolskiego, prof. uniwersytetu w Kijowie, Michała Brensteina (Telsze, gub. Kowieńska) i Stanisława Dziadulewicza (Warszawa, ul. Nowogrodzka № 20).

Stałej prenumeratorce T. Żądanych adresów nie posiadamy.

P. Stan. Woln. To nie poezya! Do kosza!

Dr. Ludwikowi Löwenfeldowi. Rodzina J... należy do szlacheckiej. Posiadała majątki w wojew. trockiem w XVII stuleciu, zkąd członkowie jej rozproszyli się z czasem po całej Litwie i Białej Rusi. Używa herbu Łabędź (na tarczy w polu czerwonem łabędź biały kroczy w prawo po murawie, na hełmem w koronie szlacheckiej takiż łabędź). Stary ród bojarski litewsko-ruski, wzmiankowany w Metryce Litewskiej już w roku 1528.

L. L. V. Wiersze wcale zręczne (zwłaszcza „Wawel"), ale nie sięgają jeszcze wymaganego przez nas cenzusu artystycznego.

Via. „Krwawego śmiechu" nie możemy wydrukować z powodu przepełnienia teki redakcyjnej utworami konkursowymi.

Marry. Uczucie i myśl—szlachetne, forma—bardzo słaba.

Jot-en-esowi. Rodzina Sal... należy do szlacheckich, wylegitymowanie się jej atoli ze szlachectwa byłoby bardzo trudne ze względu na to, iż używa obecnie nazwiska zmienionego przez złą pisownię właściwego. Właściwe nazwisko brzmieć powinno „Sałomuński" (od wsi Sałomuńce w ziemi przemyskiej, gdzie dziedziczyli już w początkach XVI-go stulecia). Z biegiem czasu nazwisko to zaczęto pisać: Sołomuński, Solomoński, Salomoński (obacz spisy szlachty Kuropatnickiego i Małachowskiego — koniec wieku XVIII-go), wreszcie Salmoński. Sałomuńscy pieczętowali się herbem *Korczak* (na tarczy w polu czerwonem trzy wręby lub pasy, jeden nad drugim, równolegle i stopniowo krótsze ku dołowi; nad hełmem w koronie szlacheckiej czasza złota, z której wystaje wyżła głowa w prawo).

P. Świstunowi we Władywostoku. Ród należy do szlacheckich i pieczętuje się herbem *Sas.* Bliższe szczegóły listownie.

Ciekawej. Cléo de Mérode—do niedawna jedna z najpiękniejszych kobiet współczesnych, słynna tancerka paryska, kochanka niedawno zmarłego króla belgijskiego, Leopolda.

W. P. Sokołowskiej. Na Litwie w okresie 1804—1858 wylegitymowało się pięć rodzin, noszących nazwisko D..., z herbami: Akszak, Doręgowski, Przyjaciel, Mogiła i Rudnica. Czy jest między niemi jaki związek--nie wiemy, przypuszczamy atoli, że kilka z nich przynajmniej, mianowicie herbownicy: Przyjaciela, Mogiły i Rudnicy są stanowczo pochodzenia różnego. D. Akszakowie są prawdopodobnie jedni z D. h. Przyjaciel, a podali jeno przy legitymacyi mylną nazwę herbu z powodu podobieństwa godeł herbowych (w Akszaku serce przeszyte strzałą, w Przyjacielu—serce przebite mieczem). Rodzina S... używa herbu Leliwa i nic wspólnego nie ma z pisarzem tego nazwiska, pochodzącym ze zgoła innego rodu.

Panu H. S. w Łomży. Sądząc z bardzo zatartej odbitki, moneta, posiadana przez Sz. Pana, jest pochodzenia ormiańskiego lub gruzińskiego. Nie zajmując się numizmatyką ludów kaukaskich, nie możemy dać odpowiedzi wyczerpującej; w każdym razie nie przypuszczamy, aby miała ona jakąś wartość numizmatyczną. Sam wyrób wskazuje na pochodzenie względnie niedawne.

Miłośnikowi heraldyki i rolnictwa. Rodzina Kącz... wylegitymowała się przed b. Heroldyą Kr. Polskiego z herbem Prus I. Podług nas, jest ona jedną z gałęzi rodziny Kacz..., pieczętującej się tym samym herbem, zmiana zaś pisowni nazwiska powstała wskutek jakiejś omyłki w aktach ziemskich. Takie omyłki były bardzo częste wskutek niedbałości pod tym względem przodków naszych (takie niedbałości w dziedzinie imion i nazwisk spotykają się, niestety, i dziś na każdym kroku) i często powodowały zupełne nawet przeinaczenie nazwisk. (Np. Kospot i Rozput, Szafraniec i Szafrański, Czyżyk i Ceyzik i t. p.).

P. Władysławowi Kołtunowskiemu w Jaworowie (Galicya). Rodzina Kołt... na Litwie istnieje. W r. 1869 kilku jej członków wylegitymowało się ze szlachectwa przed Deputacyą wywodową gubernii Mińskiej z herbem Kampenhauzen (na tarczy mur z trzema basztami), wywodząc się od wspomnianego w liście pańskim Hilarego, dziedzica w roku 1775-ym jednej z wiosek w Mińszczyźnie, danej mu zapewne przez Radziwiłłów za wierne służby. Od tego to Hilarego datuje się niewątpliwie szlachectwo rodziny, gdyż do końca XVIII wieku o niej głucho zupełnie, legitymacya zaś szlachecka nastąpiła jedynie z tytułu posiadania w epoce rozbiorowej przez Hilarego „wioski z poddanymi". Sam herb zresztą, jak to widać z jego nazwy, został przybrany przez Kołt... dorywczo, co najlepiej świadczy o świeżem stosunkowo jej pochodzeniu.

Prenumeratorowi nr. 13. Katalogi heraldyczne znają siedem rodzin tego nazwiska, różnego pochodzenia i pieczętujących się herbami: Okmiński, Ostrzew, Półkozic, Syrokomla, Topór, Trzaska i Widły.

Ciekawemu. Rodzina tego nazwiska istniała i należała nawet w połowie XVI stulecia do senatorskich. Pieczętowała się herbem Grabie (na tarczy w polu żółtem grabie o siedmiu zębach, wetknięte w kopczyk siana; nad hełmem w koronie szlacheckiej pięć piór strusich), gniazdem zaś jej była wieś Grabice w pow. rawskim. Czy ród ten istnieje jeszcze w czasach obecnych—nie wiemy.

Prenumeratorowi w Łodzi. Katalogi heraldyczne znają aż trzy rodziny Reszk..., różnego pochodzenia i używające herbów: Nowina, Prus I i Jastrzębiec. Ród, znany w ziemi łęczyckiej, pieczętował się Nowiną. (Wzmiankuje o nim obszerny herbarz Bonieckiego w dodatku, dotyczącym rodziny Bielanowskich, której stanowił gałąź). Co się tyczy rodzin Kal... i Bys..., to pierwsza jest pochodzenia miejskiego, druga zaś szlacheckiego. Członkowie tej ostatniej wylegitymowali się ze szlachectwa w gubernii grodzieńskiej, z herbem Tarnawa. W interesującej Sz. Pana kwestyi szkół wyższych rzeczy pozostają bez zmiany.

Pani Annie T. w Krakowie. Jedna z gałęzi rodziny Sad... na podstawie rzekomego pochodzenia od możnego rodu wielkopolskiego Ostrorogów uzyskała w pierwszej połowie XIX-go stulecia przyznanie tytułu hrabiowskiego przez Deputacyę Wywodową gubernii kijowskiej. Przyznanie to nie uzyskało zatwierdzenia Heroldyi petersburskiej, wobec czego używanie przez członków tej gałęzi tytułu nie ma żadnej racyi bytu. O tych Sad... wspominają obszernie słynne pamiętniki Bobrowskiego.

P. Edwardowi Wrockiemu w Wilnie. Rzeczywiście, ani jeden z heraldyków naszych o rodzinie tego nazwiska nie wspomina. Jedynie Kapica-Milewski (str. 464) zna drobną szlachtę, dziedziców wsi Wrocze w ziemi bielskiej, w latach 1537 — 1568, miesza ich atoli bezzasadnie z rodziną Wroczeńskich v. Wroczyńskich, pochodzącą ze wsi Wrocienic w tejże ziemi. W źródłach dziejowych o Wrockich również głucho, jak zresztą o wielu rodzinach szlachty podlaskiej, wskutek zupełnego prawie zniszczenia archiwów podlaskich w epoce klęsk dziejowych.

Prenumeratorowi 100X. Rodzina Mik... należy do starej szlachty litewskiej. Wzmiankuje o niej Metryka Litewska już pod rokiem 1528. Herbu Mik... źródła heraldyczne nie znają.

P. Fortunatowi St. w Nędzerzewie. W wierszyku swoim nazywa Sz. P. suche liście, opadłe z drzew „zgrają rozczochraną, chychotliwą". Za wiele nastroju, a za mało poezyi.

„Śmierć" Tarnów. Nic nie możemy powiedzieć, nie zobaczywszy wprzód rękopisu.

Janowi Kaliszaninowi. Wiersz nieszczególny, a i ortografia chroma.

Róży herbatnicy. Zaiste, kamieniem, nie człowiekiem musiałby być ten, komu Sz. Pani chce ofiarować „życie swoje, zaklęte w płomień, jako znak symbolu", gdyby nie wysłuchał zaklęć tak czułych. Że jednak nam dane sądzić wiersz Pani tylko z estetycznego punktu widzenia, więc—będziemy nieubłagani. A wniosek ten: wiersz w koszu.

Polakowi, zamieszkałemu w Rosyi. Nieszporów, szlachet, klusek=klusków (równorzędnie, od: ten klusek, lub ta kluska).

P. E. K. w Jasionowie. Utwór, o który Sz. P. pyta, znajduje się w tomie p. t. „Cztery nowele" (Warszawa, 1888).

P. L. N. Możemy polecić podręcznik Hugo Bergera p. t. „Metoda języka niemieckiego", kurs wyższy, (cena rub. 1.60, w opr. rub. 2).

Prenumeratorce. Według powszechnie przyjętej normy piszemy: *Polak, Niemka* (od dużej litery). Rozwiązanie niezupełnie trafne: wyraz czwarty *Anna*, nie *Ala.*

P. Maryi Koreckiej. „Noweli" nie wydrukujemy z powodu przepełnienia teki redakcyjnej.

P. Kazimierzowi B. „Wiosna czyli odrodzenie" to rzecz bardzo słaba pod każdym względem, nie wyłączając i ortografii.

P. Feliksyi F. Nadesłane wierszyki—banalne w treści i w formie.

P. Mieczysławowi Opałkowi we Lwowie. Z rękopisu Pańskiego nie skorzystamy.

Ina. „Fatalnej siły" nie wydrukujemy z powodu przepełnienia teki redakcyjnej.

Wanda S. Wierszyki słabe, nie do druku; adres p. J. S. zakomunikuje zarząd Filharmonii lub Towarzystwa Muzycznego (gmach Filharmonii, Sienna 2).

P. Maryi Skrz. w Bart. Nie dla nas: forma nie stoi na wysokości naszych wymagań artystycznych.

P. Teofilowi L. w Krakowie. Nadesłane nam wiersze nie są bez zalet, ale są i usterki, wobec czego nie możemy ich wydrukować.

A. R. P. w Ł. Względy uprzejmości koleżeńskiej nakazują prosić autora o pozwolenie.

Elka. Wierszyk słaby, nie daje podstawy do sądzenia o zdolnościach autorki. Co do grafologii, to działu tego nie zaniechaliśmy: dajemy oceny na okładce, o ile jest wolne miejsce.

Zawilec. Nie zamieścimy.

P. L. O. Nadesłane nam łaskawie przekłady z Balmonta są dość zręczne, ale nie stoją na wysokości naszych wymagań, które, względnie do przekładów poetyckich właśnie, są bardzo wysokie.

P. A. R. Nie wydrukujemy; za słabe dla nas!

P. Stefanowi K. Chociaż to „nowy rodzaj wiersza", jak Sz. P. twierdzi, ale styl, po staremu, nie wytrzymuje krytyki. Nie wydrukujemy.

P. S. K. Krawcz. „Skarbnika" nie wydrukujemy z powodu przepełnienia teki redakcyjnej.

Wandeja. Nie wydrukujemy z powodu usterek wersyfikacyjnych, stylowych i gramatycznych.

P. Maryuszowi P. w Krakowie. Nadesłanych łaskawie wierszy drukować nie możemy z powodu znacznych zapasów wierszy w tece redakcyjnej.

Ciekawemu. Rodzin tatarskich na Litwie pozostało po dziś dzień kilkaset. Wszystkie one należą do stanu szlacheckiego. Rodzina K... używa przydomku „Kan-Bajan" i pieczętuje się herbem *Radwan.* Rodzina Dż... używa przydomku „Mirza" i herbu *Topór.*

P. K. Kaweckiemu w Węgrzynowicach. Rodzina tego nazwiska znana jest heraldykom naszym, jako używająca herbu Łodzia. Wzmiankują o niej obszerniej herbarze Bonieckiego i hr. Uruskiego w artykułach: „Kawiecki".

P. St. Olx... ze Lwowa. Katalogi heraldyczne rodziny tego nazwiska nie podają; żaden również z autorów heraldycznych jej nie zna, widocznie z powodu nader drobnego znaczenia społecznego tego rodu. Że był zaściankowym i drobnym, świadczą o tem Źródła Dziejowe (wydawnictwo Pawińskiego i Jabłonowskiego, tom XVI, str. 225), wzmiankując pod rokiem 1575 o drobnych właścicielach wsi Oleksina w powiecie czerskim. Herbu rodziny wzmiankowanej nie znamy, jak również nie słyszeliśmy, aby egzystowała w Rosyi z jakimkolwiek tytułem. W Królestwie, jak się zdaje, członków jej niema zupełnie.

Redaktor: Dr. JÓZEF WOLFF. Zastępca redaktora ARTUR OPPMAN (OR-OT). Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.



WIDOK DRUSKIENIK Z ZA JEZIORA DRUSKONIE.

DRUSKIENIKI.

Któż nie zna dzisiaj tego uroczego zakątka nad brzegiem Niemna, wracającego rok rocznie zdrowie setkom i tysiącom kuracyuszów, szukającym ulgi w swych cierpieniach u jego radyoczynnych źródeł.

Zakład zdrojowy Druskienicki to dziś już siła pierwszorzędna, mogąca śmiało konkurować swemi wzorowemi urządzeniami kąpielowemi nie tylko ze zdrojowiskami krajowemi, lecz i—tak przez nas ulubionymi ,,badami".

Nad błękitnym Niemnem położone, w krainie łąk i pagórków leśnych, na wyżynie przepuszczalnej, kilkutysiącmorgowym lasem pokrytej, posiadają Druskieniki pierwszorzędny zakład kąpielowy, z wykwintnem urządzeniem wanien solankowych, borowinowych, kwasowęglowych, tlenowych, elektrycznych i doskonałą hydropatyą, pod kierunkiem d-ra Konwerskiego pozostającą. Oprócz hydropatyi sztucznej posiadają Druskieniki znakomite kąpiele zimne na Niemnie, a zwłaszcza w Rotniczance, mogące najzupełniej naturalnym natryskiem potężnych fal zastąpić kąpiel morską. Zaś głęboko w lesie, w przepięknem uroczysku, nęcą spragnionych słońca kąpiele słoneczno-powietrzno-piaskowe.

Zwiększająca się z każdym rokiem ilość will, w malowniczem położeniu wśród ogrodów rozrzuconych, oczekuje na kuracyuszów: prócz pokaźnej liczby wzorowo urządzonych hoteli i pensyonatów z całodziennem utrzymaniem i, według ostatnich wymagań nauki i komfortu urządzonych, sanatoryów.

Pomoc lekarska pierwszorzędna: lekarze zdrojowi dr. Bujakowski, dr. Margolin, dr. Markiewicz to stali hygieniści Druskienik. Oprócz tego pryw.-docent kijowskiego uniwersytetu dr. Żebrowski, długoletni kierownik zakładu ,,Pohulanka", (choroby wewnętrzne), ordynator ginekologicznej kliniki w Warszawie dr. J. Laskowski (akuszerya i choroby kobiece), profesor wojenno-medycznej akademii dr. Szkaryn (choroby dziecinne), prywatny docent uniwersytetu moskiewskiego dr. Prokunin (chirurgia) i wielu innych.



KĄPIELE KASKADOWE W ROTNICZANCE.

Obfity dowóz produktów spożywczych ze wsi okolicznych sprawia, że odżywianie się bawiących tutaj jest posilne, zdrowe, smaczne i—tanie, tak że dobre obiady można mieć już od kop. 50-ciu.

Wyborna orkiestra, bogata czytelnia, koncerty, przedstawienia teatralne, wycieczki łodzią lub statkiem po Niemnie; brzegiem jego pieszo w urocze i bogate w pamiątki historyczne okolice uprzyjemniają pobyt. A jakież zajmujące i obfite w rezultaty są siesty amatorów wędki nad brzegiem Niemna lub Rotniczanki, kryjącej w swych zimnych, bystrych wodach tak pożądaną zdobycz—jak pstrągi. Tennisy druskienickie wyrobiły już sobie markę. Co rok odbywają się na nich konkursy, które ściągają ze wszystkich krańców kraju amatorów tej tak zdrowej i przyjemnej rozrywki, i stale stanowią żywą atrakcyę dla całej tutejszej publiczności. Komu za mało było karnawału zimą, ten może to sobie tutaj setnie powetować na tygodniowych ,,reunionach" i balach, których długi szereg szczelnie wypełnia wieczory ,,haute saison'u".

Śmiało więc można twierdzić, że kultura, zabiegliwość i znajomość rzeczy dopomogły przecudnej naturze, wytwarzając zespół, jakiego nam zagranica nawet pozazdrościć może.

J. M.



Z HYGIENY.

Serce i płuca.

Dla chorych na serce, płuca i wogóle narządy oddychania, polecamy nader skuteczny środek, jakim jest *Sanatogen Bauera*. Ważnych wyjaśnień udzieli na zapytania listowne główny przedstawiciel, Fabian Klingsland, ul. Marszałkowska 129 w Warszawie.

Pani S. Wzmacnia i odtłuszcza włosy balsam d-ra Hoyera. Doskonały to środek i dla dzieci. Trwale (na 10 dni) przyciemnia brwi nieszkodliwa La henette. Wybiela i wydelikatnia cerę subtelny krem Neige Milleza. Dostanie Pani u Paszkowskiego.

Stroskanej Jadzi w Kutnie. Przez miesiąc wcierać w twarz na noc (po umyciu) *Krem Boroxyl*, zaś w ciągu dnia 2 razy tejże nazwy *płyn*. Statystyka lekarska notuje na 100 stosowań Boroxylu 85 procent zupełnego wyleczenia (pryszcze, wągry i liszaiki) i do 15 proc. warunkowego (z recydywami).

ODPOWIEDZI I RADY

Z KOSMETYKI I HYGIENY.

Irenie K. Skoro Pani jeszcze nie ma trzydziestki, a już takie bankructwo cery i włosów, i jeżeli już powstają zmarszczki, ostre linie przy ustach, na nosie, policzkach i pod oczyma masa dziurek,—skóra sucha i żółta, nos i czoło tłuste, policzki zapadłe, włosy się łamią i wypadają i t. p.—to jest źle. Wszystkie te dolegliwości mogą być na tle złej przemiany materyi, choroby cukrowej, żołądka lub innej. Obecnie jedyna moja rada, aby Sz. Pani przysłała małą flaszeczkę moczu, nieco włosów wraz z łupieżem do Kalotechniki, Marszałkowska 116 do analizy i na koszty analizy rb. 6—wówczas, po zbadaniu odpowiednie leczenie będzie można przeprowadzić.

Strapionej. Nie rozumiem pytania. Wskazać adres, to odpowiem listownie i zapytam o różne szczegóły.

Pretensyi. Pompa dra Zabłudowskiego do rozwinięcia biustu kosztować może wraz z instalacyą elektryczną około 2-ch tysięcy rubli, zatem o wysłaniu mowy być nie może. Radzę osobiście zwrócić się do Kalotechniki warszawskiej i omówić warunki.

Akacyi. Magazyn kosmetyczny Klimeckiego i S-ki, Marszałkowska 116, posiada bogaty wybór perfum angielskich i francuskich. Niech Pani napisze, a wyślą, jakich tylko zażąda.

Piegowatej. Jednym z najlepszych środków, usuwających piegi, jest bezsprzecznie Krem d-ra Orgley'a, zaś od wągrów płyn Vesta.

Stroskanej. Tak w medycynie, chirurgii, jak i w kosmetyce, wszystko udoskonala się i idzie z postępem. Najnowsze badania naukowe i moje osobiste doświadczenia stwierdziły, że ze wszystkich form otrąbek, past i kremów — Otrąbki Silvia z wodą różaną radyoaktywną są najwięcej odżywcze, najlepiej konserwują cerę, wygładzają zmarszczki i dlatego ja obecnie polecam te a nie inne. Proszę więc stale myć się otrąbkami Silvia, wyraźnie otrąbkami Silvia z wodą różaną radyoaktywną, a cera się wyrówna, nabie-

rze życia, elastyczności i tej miłej, tak zwanej pięknej karnacyi.

Kalinie. Proszę przysłać włosy do Kalotechniki, Marszałkowska 116, do analizy, a po zbadaniu odpowiem listem zamkniętym. Na koszty analizy rb. 3 nadesłać.

Alicyi. Otłuszczenie zejdzie, trzeba użyć ze 3 porcye herbaty d-ra Daloffa. Doza rb. 3.

Do wszystkich. Kalotechnika, Marszałkowska 116, wszystkie środki, w tem piśmie wspomniane, naszym zamiejscowym czytelniczkom i czytelnikom wysyła za zaliczeniem.

H. H. Słońce rzeczywiście operuje coraz silniej. Ustrzedz cerę od opalenizny i piegów można, myjąc się *Mydłem Ogórkowem Karpińskiego.* *M-me Vesta.*



Prenumeratorzy „Tygodnika Illustrowanego" mogą nabywać reprodukcye kolorowe następujących obrazów:

W. Tetmajer „Procesya", T. Axentowicz „Zaczytana", B. Gembarzewski „W tyralierkę", „Na stanowisku" i „Na zwiadach", Henryk Weyssenhoff „Tęsknota", S. Wolski „Spowiedź przed bitwą", Wyczółkowski „Morskie Oko".

Każda reprodukcya po 30 kop., z przesyłką 40 kop. Serya, złożona z 7 powyższych obrazów rb. 1.80, z przesyłką rub. 2.15.

Oprócz wymienionych nabywać można:
J. Matejko „Grunwald" rub. 1, z przesyłką rub. 1.40.
J. Chełmoński „Racławice" kop. 60, z przesyłką kop. 75.
P. Stachiewicz „Boży Rok" (album z 12 rycin) rub. 2, w opr. rb. 4, przesyłka 60 kop.
A. Kamieński „Duch Rewolucyonista" (album z 10 rycin) rub. 2, w oprawie rub. 4, przesyłka 60 kop.

K. H. Perły sztuczne, do złudzenia naśladujące prawdziwe, tylko u G. Bargoin, Nowy Świat 45.

Giocondzie. Prenumerata *Szczutka* na prowincyę wynosi 1 rb. 25 kop. Biuro Ungra w Warszawie.

Willy Z. Tylko gorsety parysko-brukselskiej fabryki *P. Dutoict* i *S-ka* (marka P. D.), skład Wierzbowa 8.

Druk Piotra Laskauera w Warszawie

„Gazeta Lwowska". R. 91, nr 57 – 10. III. 1901.

26

BOHDAN ZALESKI[1]

O sobie i współczesnych.

(Na podstawie korespondencyj).

I.

Jeżeli do zrozumienia ducha utworów poety, potrzeba poznania jego kraju rodzinnego, odetchnięcia tem powietrzem, jakiem on żył, — to o ileż bardziej do takiego zrozumienia służą jego własne listy, jego notatki, pisane dorywczo, pod wrażeniem chwili, jego poufne zwierzania się przed przyjaciółmi. — Jeżeli nadto listy te mają cechę zupełnej szczerości, jeżeli przy pisaniu ich, nigdy tej szczerości nie mąciła myśl, że kiedykolwiek mogą być ogłoszone drukiem, — stają się one nieocenionym dokumentem, niewyczerpanem źródłem dla historyka literatury, — są jasnym promieniem, rozświetlającym niedostępne zkądinąd głębie ducha, myśli i twórczości poety.

Taki charakter bezwzględnej szczerości mają listy Bohdana Zaleskiego, których pierwszy tom wyszedł już z druku, a ciąg dalszy, dotąd nieogłoszony, zajmie jeszcze trzy albo cztery spore tomy. — Całość olbrzymia, zebrana z niemałym mozołem przez syna poety, który lat wiele w miłości synowskiej poświęcił na to, aby zebrać rozproszone po świecie listy ojca i oddać je Ojczyźnie, do której należą, — bo każde w nich słowo i myśl każda drgają wielką ku niej miłością, tchną nieprzemożoną do niej tęsknotą. — Gdy wydawnictwo to ukończone będzie, gdy przed nami stanie cały wizerunek poety, jego myśli i uczuć, jego walk, marzeń i tęsknot, to słusznie powiedzieć będzie można, że Bohdan, którego śmiertelne szczątki spoczywają na dalekim paryskim cmentarzu Montmartre, powrócił także na Ojczyzny łono, a powrócił duchem czystym, promiennym, wyższym może w natchnieniu, niż go dotąd wyobrażaliśmy sobie.

Ogromnego materyału, zawartego w tej korespondencyi w jednym odczycie spożytkować oczywiście niepodobna, choćby w tym tylko kierunku, jaki zaznaczyłem sobie. Na to potrzebaby całego szeregu wykładów, aby wykazać jak Zaleski pojmował zadanie poety, jak się do jego spełnienia gotował, jakie zajmował stanowisko wobec prądów i walk emigracyjnych i wobec Towiańszczyzny, co sądził sam o sobie i swoich współczesnych. A była to epoka, obfitująca w wielkie lub niepospolite talenty i niepospolite charaktery. Oprócz Mickiewicza, który nad wszystkiem i nad wszystkimi góruje, który geniuszem swym i wpływem całą tę epokę wypełnia, są tam Krasiński i Słowacki, Garczyński i Malczewski i Goszczyński i Pol, Rzewuski, Korzeniowski, Michał Grabowski i Kraszewski, Trentowski, Cieszkowski i Libelt, Lenartowicz, Deotyma i Norwid — i wielu, wielu innych, większych i mniejszych, takich, którzy już podówczas działali i byli znani i takich, którzy dopiero pierwsze stawiali kroki. O każdym z nich jest w tej korespondencyi wzmianka, jest sąd, są uwagi. A wszystko to na tle bardzo nieraz bolesnych, ale i bardzo barwnych i ciekawych wypadków dziejowych, oraz wewnętrznych walk, swarów i dążeń emigracyjnych; wszystko żywo i głęboko odczute, a przeniknione tą „poojczystą i porodzinną tęsknotą", o której Bohdan nieustannie mówi. Wśród tych wypadków osobne a wybitne miejsce zajmuje Towiańszczyzna, owa — jak się w jednej ze swych notatek Bohdan wyraża — „najniebezpieczniejsza herezya", pleniąca się bujnie na gruncie owej „poojczystej tęsknoty", na gruncie usposobienia religijno-mistycznego, wyglądającego cudu i przyjścia Męża Przeznaczenia, który tę całą gromadę roztęsknionych tułaczów miał powrócić cudem na Ojczyzny łono.

Z najwcześniejszej młodości Zaleskiego nie wiele w ogóle posiadamy listów. Zbiór nasz rozpoczyna się listem do Michała Grabowskiego, pisanym z Płocka 30 marca 1825 r. Poeta liczy wtedy lat 23. Jest nauczycielem w domu hr. Szembeka, podówczas pułkownika, z którym też czyni wycieczki do Warszawy, na Szląsk, a mieszka w Rawie lub Sochaczewie. W epoce tej gorączkowo rzuca się do czytania; myśli skupia w abstrakcyjnej sferze, od ideałów oderwać się nie może i nie może pozbyć się „trapiącego" wieszczego ducha. Przekonywa się przytem, że talent jego jest całkiem historyczny, szczerosłowiański i do rozwoju potrzebuje ogromnego zapasu wiadomości. Pisał on wówczas powieść historyczną, której bohaterem miał być Kosiński; pracę tę jednak odłożył, chcąc się przedtem więcej nauczyć. „Mój dzisiejszy systemat poetycki — pisze do Grabowskiego — szuka prawdy, prawdy sumiennej i nie wystarczają już dlań ani ballady, ani wiersze o niczem". Tylko aby kształcić smak, czucie i wzbogacić wyobraźnię, poeta wrócił jeszcze do Rapsodów; kończy dość długi rapsod o Damianie Wiśniowieckim i zaczął drugi p. t. „Siryk" czyli wyprawa na czajkach przeciw Stambułowi; prócz tego pisze wiele poezyj lirycznych.

Ów „systemat poetycki", szukający prawdy a na studyach oparty, nie był snadź tylko chwilowym, bo oto w trzy lata później pisze Zaleski do Witwickiego Stefana, że czyta i uczy się, czyta dzieła ważne i uczy się rzeczy pożytecznych. Historycznej swojej powieści od trzech miesięcy nie tknął, bo nie ma pod ręką książek źródłowych. A w rok później (1828) donosi także Witwickiemu, że na urodziny swoje (2 lutego) spalił Kosińskiego, bo go zaczął już nudzić. Natomiast i w miarę jak sobie przypomina niektóre miejscowości ukraińskie, pisze Rapsody o Kosińskim. Ztąd, jak wiadomo, powstała „Duma Hetmana Kosińskiego", niezawodnie jedna z najpiękniejszych, pod względem artystycznym doskonała.

Zajęcie jednak nauczycielskie nie musiało zbyt dogadzać poecie, bo życie swoje nazywa „antypeotyckiem" i mieni się być szczęśliwym, gdy może wykraść jaką godzinę dla marzeń milszych i wznioślejszych — Stefan Witwicki, który nad przyjaciółmi swymi rozciągał rodzaj moralnej kontroli i do pracy twórczej napędzał, musiał snadź wówczas mocno nalegać na Bohdana i domagać się nowych wierszy, gdyż poeta tłómaczy się przed nim, dlaczego tworzyć teraz nie może i określa warunki, wśród których mógłby pisać: Potrzeba mu swobodnego stanu duszy, nieprzerywanej samotności, długiego zapoznania się i niejako zamieszkania w przeszłości.,.. Tego wszystkiego mieć nie może, więc musiał pożegnać się z „kochanką młodości, z Poezyą".... — Usposobienie to „antypoetyckie", z pewną domieszką goryczy, trwa dłużej, bo w rok niemal potem, na ponowne nalegania Witwickiego, odpowiada: „Co prawisz o autorstwie, o druku? Koniecznymże warunkiem dla twoich przyjaciół ma być fabrykowanie książek? Nie mógłbyś kochać przynajmniej jednego tylko dla pięknych oczu i czułego serca? Nie darmo zapewne tyle czytam, uczę się i myślę; może być, iż kiedyś wykieruję się na jakiegokolwiek prozaika, lecz daj mi pokój z poezyą!"

Bardzo być może, iż oprócz innych powodów, wpłynęła na to usposobienie także, przeczytana przypadkiem, ostra krytyka jego pierwszych poezyj. Wprawdzie w liście do Witwickiego z 1827 r. Bohdan zapewnia, że oprócz cnoty narodowej, zwanej lenistwem, odznacza się także najzupełniejszą obojętnością na pociski krytyczne, ale cały ton tego listu zaprzecza tym zapewnieniom. Zdarzyło się bowiem, że w roku 1827, jadąc na Szląsk, przebywszy piaski Piotrkowskie i Sieradzkie lasy, stanął Bohdan na nocleg na poczcie w pewnej wsi, położonej na weselszych wieluńskich błoniach. Wieczorem, dla zabicia czasu, przerzuca kilkadziesiąt numerów „Gazety korespondenta Warsz. i Zagr." i znajduje tam ze starej daty recenzyę, którą „bardzo nierozsądną" nazywa, — krytykę wiersza Witwickiego, a przytem dla siebie „smaczny upominek". Krytykę tę podpisał jakiś 70-letni starzec z Lubelskiego. — I cóż na to poeta? — „Ja" — odpowiada — „nic, niech piszą!" Za lat pacholęcych sądził, że mu będzie gorzko, gdy go jaki krytyk wyburczy.... A tymczasem, teraz, surowo naganionemu, nie jest ani gorzko, ani słodko, — zupełnie dobrze jadł, pił i śmiał się, dopóki nie zasnął.... „Mój Stefanie — zapewnia Witwickiego, — wszystkie recenzye, to głupstwa!" —

A jednak strzał nie chybił i gorycz mimowoli przejawia się w tymże samym liście. O tym 70-letnim krytyku swoim powiada ironicznie: „Winszuję mu!", a na widok kwitnącego Szląska dziękuje Bogu, że już nie jest w kraju „barbarzyńskim", że tu przecież ludzie czytają i wiedzą co jest Ukraina. — Bo ambicya poety, jakkolwiek dotknięta, cierpi tu jednak mniej, niż miłość dla Ukrainy, dla tych sześciu milionów ludzi, którzy mieli długo swój byt, prawa, obyczaje, pieśni, swoich bohaterów i dziejopisów, — których przeto Hajdamakami zwać nie można!... I chociaż chwali się raz jeszcze swoją obojętnością, to wszakże czuje obowiązek obrony tej ziemi, na której urodził się i którą ukochał, — i zapowiada odpowiedź, gdyby „stary Lublinianin" raz jeszcze „gromniał" o hajdamakach. Gotuje już nawet rys historyczny, tudzież o obyczajach, zwyczajach i pieśniach ludu ukraińskiego, — tam znajdzie sposobność do wyłajania — „nikczemników".

Ten ostatni wyraz najlepiej charakteryzuje mniemaną obojętność młodego poety na pociski krytyków i wyjaśnia, dlaczego i w następnych latach wyrzekał się „autorstwa i druku", dlaczego wołał do Witwickiego: „daj mi spokój z poezyą" i myślał zostać „jakimkolwiek prozaikiem". Nie chce też wyciągać rąk do sławy, która mu obrzydła, pragnie ustąpić wszystko ludziom, byle mu dali pokój i wyznaje, że jest niekontent ze swoich „wierszydeł" [1]). Jednemu też Witwickiemu spowiada się z tego, jak pojmuje i odczuwa poezyę. Inaczej niż wszyscy. Ona dla niego nie jest namiętnością chwały, ale jakiemś wrodzonem, bezinteresownem uczuciem, jak u kogo pobożność lub dobroczynność; z tego uczucia nie potrzebuje robić parady. — Określając usposobienie swoje powiada, że od kiedy siebie zapamięta był fantastycznem i romansowem dziecięciem, potem romansowym i fantastycznym młodzieńcem i teraz — mając już lat 27 — mimo doświadczenia i tylu pogrzebanych nadziei, pozostaje zawsze jednakowym. Szamocącemu się w prochu, poezya sokolich skrzydeł użycza, „jak czarnoksięskie pryzma na pochmurne, nagie i bezcelne dni sieje blask świetny idealnych omamień i promieni się wszystkiemi barwami tęczy. Błogo mu w śnie oczarowania, nie chce się cucić; pragnie owszem żyć jak żył dotąd, bez troski o sławę i bez obawy o sąd potomnych. [2])

Na to usposobienie, pełne melancholii, wpływała niewątpliwie już także podówczas tęsknota do rodzinnej Ukrainy. Miała ona inną jeszcze barwę, niż później, w dniach tułactwa, ale istniała i nie była bez pewnej goryczy, którą rodziło wspomnienie opuszczonego dzieciństwa. W liście do siostry, p. Antoniny Linowskiej (r. 1826), użala się Bohdan, że bliskiej rodziny swej nie zna i przez nią nie jest znany, że rodzina ta ma inny sposób myślenia, że zatem on więcej udziela się obcym niż swoim. Ma przybraną matkę i siostry, które go najserdeczniej kochają. Charakter swój nazywa melancholijnym i smutnym, co sprawia, że chociaż mu pod względem materyalnym na niczem nie zbywa, to wszakże moralnie cierpi i cierpi więcej, niż kto inny; winna zaś temu matka - natura, która synkowi swojemu dała więcej potrzeb i — kaprysów.

W tem badaniu powodów ówczesnego usposobienia poety, nie można pominąć i nieszczęśliwej miłości. — Kochał się podówczas Bohdan, tak namiętnie, że byłby — jak wyznaje — skończył może samobójstwem, gdyby nie wiara i nie mądrość, która mu szepnęła: „porzuć niewierną!" Porzucił, ale jest jeszcze w rozstroju i obawia się, że się znów w tej samej rozkocha, bo ona jest bardzo niebezpieczna: „ma sto przymiotów przy pięknych oczach i pocałunkach". Była to zapewne owa panna Róża, o której wspomina Nehring w swojej rozprawce o młodych latach Bohdana [3]) owa czarodziejka, która wedle opowiadania Odyńca śpiewała jak słowik, zwana w pierwszych pieśniach przejrzyście Rozyną, a w późniejszych wydaniach, dyskretnie Zoryną.

Najtrwalszem wszakże uczuciem, pochłaniającem wszystkie inne, jest miłość stron rodzinnych. Z usposobienia bezsilnego, bezwładnego, gdy w ponurem milczeniu jest mu i ciężko i nudno, gdy nie może napisać ani jednego wiersza, gdy dusza jego potrzebuje gwałtem jakiegoś niemożebnego w życiu spokoju, — gdy blask, woń, barwa, wszystkie dziwy ponikły i zamierzchły przed oczyma poetyckiej jego duszy, — z usposobienia tego wyrywają go nagle listy od rodzeństwa. — W jednej chwili cały świat młodości otacza go czarnoksięskiem kołem, wszystkie myśli i uczucia poczynają promienieć; po nad sobą widzi poeta jasne, błękitne niebo Ukrainy, pod sobą zielone, szumiące jej stepy i upaja się wirem tych najrozkoszniejszych i najsmutniejszych obrazów. Nawet w błękitnym świecie fantazyi nie było mu nigdy tak błogo, jak po otrzymaniu wieści z Ukrainy [1]).

Adam Krechowiecki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Odczyt wygłoszony d. 27 lutego w Krakowie w auli uniwersyteckiej, na dochód Towarzystwa oświaty ludowej.

[1]) Do Stef. Witw. z Sochaczewa 1 grudnia 1828.

[2]) Do Stef. Witw. z Sochaczewa 8 kwietnia 1829.

[3]) „Z młodych lat B. Z." „Bibl. Warsz." sierpień 1887 str. 178 i n.

Prezydent Loubet przybędzie dnia 8 kwietnia do Nizzy, gdzie już teraz czynią się przygotowania na przyjęcie zwierzchnika państwa. Towarzyszyć mu będą, prezes gabinetu Waldeck-Rousseau oraz ministrowie: spraw zagranicznych Delcassé, wojny André i rolnictwa Dupuy. W Nizzy powita prezydenta specyalny reprezentant króla włoskiego, oraz eskadra włoska, pod dowództwem jednego z admirałów. Z Nizzy uda się prezydent do Tulonu, gdzie odbędzie przegląd wojennej eskadry.

Według doniesień z Paryża, rząd francuski jest mocno zaniepokojony wypadkami

Zygmunt Wasilewski, sekretarz *Kuryera Warszawskiego* opuścił swe stanowisko, na jego miejsce powołany sekretarz *Kuryera Porannego* Gutowski.

Monachium, 9 marca. Dziś rozpoczynają się oficyalne uroczystości z okazyi 80 rocznicy urodzin księcia-regenta Luitpolda. Miasto udekorowane, wszędzie powiewają chorągwie. Dziennik urzędowy ogłosił wiele mianowań i odznaczeń, rozdanych przy tej sposobności.

Berlin, 9 marca. Umarł poseł do parlamentu niemieckiego Stumm.

Rzym, 9 marca. W Izbie deputowanych deputowany Gurcis zapytał wczoraj ministra spraw zagranicznych Prinettiego w jaki sposób usprawiedliwi wynurzenia swe, które uczynił w obec posła bawarskiego Truhera w przedmiocie odnowienia trójprzymierza.

W odpowiedzi minister spraw zagranicznych Prinetti oświadczył, że zanim został ministrem, rozmawiał z posłem bawarskim, który jest jego przyjacielem, oraz z innymi przyjaciółmi prywatnie o polityce zagranicznej. Nigdy wszakże w rozmowie z Truherem nie dotykał kwestyi odnowienia trójprzymierza. Przy obradach nad budżetem spraw zagranicznych, minister szczerze poglądy swe na politykę zagraniczną rozwinie. Interpelant może być pewnym, że polityka mowcy zgodną będzie zawsze z interesami kraju.

Marsylia, 8 marca. W kilku młynach parowych z powodu braku węgla i surowca zastanowiono pracę. Także w innych fabrykach ruch ma być w najbliższych dniach wstrzymany. Zachodzi obawa strejku pracodawców.

Paryż, 9 marca. Rada miejska wybrała prezydentem nacyonalistę Dausseta.

Paryż, 9 marca. W Izbie deputowanych zgłosił socyalista Boyer interpelacyę w sprawie strejku w Montceau. Mowca czyni zań odpowiedzialnym dyrekcyę kopalni tamtejszych i skarży się, że wojsko i żandarmerya niepotrzebnie wkroczyły. Dep. Dejeante, żądał, by wojsko cofnięto, a Drake winę strejku przypisał rządowi. Waldeck-Rousseau postawił kwestyę zaufania. Izba przyjęła 306 głosami przeciw 234 porządek dzienny przychylny rządowi.

Senat odrzucił w myśl wywodów ministra skarbu wniosek o zaprowadzenie bonifikacyi za import zboża.

Londyn, 9 marca. Izba gmin przyjęła wniosek Balfoura, orzekający, że członków Izby, którzy gwałtowny stawiają opór wydaleniu ich z sali, można na czas trwania sesyi wykluczyć. Wniosek Dillona, żądający zasuspendowania Irlandczyków na resztę bieżącej sesyi, został odrzucony.

Londyn, 9 marca. W Izbie gmin przedłożył Brodrick budżet wojskowy. Oświadczył on przytem, że Anglia potrzebuje lepszej organizacyi wojska, ale rząd pragnie wpierw wyczerpać wszystkie środki, zanim przystąpi do kwestyi konskrypcyi. Rezultat werbowania w r. 1900 był nadzwyczajny, zaciągnęło się 140.000 ludzi. Anglia musi być przygotowana na to, by wysłać za granicę trzy korpusy armii z dywizyą kawaleryi, a przytem musi zostać w kraju dostateczna ilość wojska. Brodrick proponuje, ażeby armię podzielono na 6 korpusów; trzy z nich mają się składać z wojsk regularnych a reszta z batalionów milicyi i z ochotników. Administracya wojskowa ma być zdecentralizowana milicyę i kawaleryę szlachecką „yeomanry“ należy pomnożyć. Z reformą urzędu wojennego należy poczekać, aż się wojna skończy.

Zamach na cesarza Wilhelma.

Wiedeń, 9 marca. Najj. Pan odwiedził wczoraj o godzinie pół do 3 po południu niemieckiego ambasadora ks. Eulenburga i złożył mu życzenie z powodu szczęśliwego ocalenia cesarza niemieckiego.

Berlin, 9 marca. Wczorajszy biuletyn o stanie zdrowia cesarza Wilhelma opiewa: „Stan zdrowia cesarza w ciągu wczorajszego dnia był zadowalający. Monarcha spał w nocy dobrze. Rana przy zmianie opatrunku okazała się niebolesną. Stwierdzono lekkie opuchnięcie powiek ocznych i prawej wargi. Gorączki nie ma“.

Brema, 9 marca. Akta policyjne o sprawcy zamachu Weilandzie oddano prokuratoryi. Nie ma powodu przypisywać mu motywów politycznych. Weiland oddany będzie do zakładu obłąkanych, celem zbadania jego stanu umysłowego.

Paryż, 9 marca. Prezydent Loubet przesłał cesarzowi niemieckiemu gratulacye swe z powodu unikniętego szczęśliwie zamachu.

Ambasador francuski w Berlinie złożył podobne życzenia rządowi niemieckiemu imieniem rządu francuskiego.

Wypadki w Chinach.

Londyn, 9 marca. *Daily Mail* donosi, że w Masampo na Korei wysiadło na ląd 600 Rossyan z 10 działami.

Pekin, 9 marca. Nadeszły odpowiedzi mocarstw na doniesienie Chin o rossyjsko-chińskiej umowie. Wszystkie mocarstwa radzą Chinom odłożyć podpisanie umowy. Chiny miały postanowić odłożyć na 14 dni danie odpowiedzi Rossyi.

Podbój Transvaalu.

Londyn, 9 marca. Do dzienników wieczornych donoszą z Pretoryi: Wczoraj rano odbyło się spotkanie Bothy z Kitchenerem; rezultat narady niewiadomy.

Londyn, 9 marca. Kitchener telegrafuje: Boerzy zaatakowali Lichtenburg, atak nie udał się. Po stronie angielskiej padło 2 oficerów i 14 żołnierzy, a rannych jest 20. Generał boerski Celliers poległ.

French donosi, że zdobył jeszcze dwie armaty, dużo broni, amunicyi, koni i wołów. Od początku operacyi na wschodzie uczynił on 979 Boerów niezdolnymi do walki.

Pretorya, 9 marca. Kitchener spotkał się d. 27 lutego w Middelburgu z Bothą i innymi dowódcami boerskimi. Przypuszczają, że spotkanie to rokuje pomyślny obrót sprawy.

Z Somerseteast donoszą pod d. 5 marca, że oddział Boerów pod wodzą Kritzingera cofnął się na północ od Pearston, uwożąc sędziego i komendanta tego miasta jako swych jeńców. Oddział Delislea przybył tam 5 b. m.

Laurenzo Marquez, 9 marca. Kitchener udzielił generałowi Botha 7-dniowego zawieszenia broni celem naradzenia się z innymi dowódcami Boerów.

Cradock, 9 marca. Boerzy obsadzili Maraisburg. Poprzednio wywieziono z tego miasta zapasy.

Linia telefoniczna do Wiednia dotychczas ciągle przerwana, w skutek czego depesz telefonicznych nie otrzymaliśmy.

Telegrafowany kurs wiedeński.

Wiedeń, 9 marca 1901. — Giełda poranna *(Vorbörse)*. Godzina 10 minut 30. Marki 117·45, Renta majowa 98·70, Węgierska renta koronowa 93·60, Akcye austryac. Zakładu kredytowego 691·75, Akcye węg. Zakładu kredytowego 703·—, Akcye Anglobanku 277·50, Akcye Unionbanku 564·—, Akcye Bankvereinu 497·—, Akcye Länderbanku 424·50, Akcye Kolei państwowych 682·—, Lombardy 105·—, Akcye Kolei Elbethal 499·—, Akcye Fabryki broni 298·—, Akcye tytoniowe —·—, Akcye Alpiny 464·—, Akcye Rima Muranyi 494·—, Akcye Praskiego Towarzystwa żel. 1660·—, Losy tureckie 112·—, Ruble 253·50, 4-prc. Gal. pożyczka kraj. z r. 1893 92·50, 4 prc. Listy zastawne Banku kraj. 92·—, 56 l. listy Tow. kredytowego ziemskiego 90·60.

Usposobienie: silne.

Wiedeń, 9 marca 1901. — Giełda południowa *(Mittagsbörse)*. Godz. 12 min. 30. Marki 117·46, Renta majowa 98·70, Węgierska renta koronowa 93·65, Akcye austr. Zakładu kredytowego 692·50, Akcye węg. Zakładu kredytowego 703·—, Akcye Anglobanku 277·50, Akcye Unionbanku 564·—,

Wiedeń, 9 marca 1901. — Zamknięcie giełdy *(Schlusscource)*. Godz. 3 min. 15. Akcye austryackiego Zakładu kredyt. 695·75, Akcye węgierskiego Zakładu kredyt. 708·50, Akcye Anglobanku 278·50, Akcye Unionbanku 566·—, Akcye Länderbanku 425·50, Akcye Bankvereinu 497·50, Akcye Bodencredit 910·—, Akcye galicyjsk. Banku hipotecznego 609·—, Akcye Kolei państwowych 684·25, Akcye Kolei Południowej 105·—, Akcye Tramway *A)* 280·50, Akcye Tramway *B)* 277·—, Akcye Kolei Elbethal 507·50, Akcye Kolei Północnej 6348·—, Akcye Kolei Czerniowieckiej —·—, Akcye Alpiny 464·75, Akcye Rima Muranyi 495·—, Akcye Praskiego Towarzystwa żel. 1668·—, Akcye Fabryki broni 301·—, Akcye Tureckie tytoniowe 296·50, Obligacye węgierskiej indemnizacyi 93·10, Renta majowa 98·65, Austryacka Renta koronowa 98·20, Węgierska Renta koron. 93·60, 56 l. Listy Tow. kredytowego ziem. 91·25, 4 prc. Listy Banku krajowego 92·—, 4 i pół prc. Listy Banku krajowego 98·75, 4 prc. Listy Banku hipotecznego 90·—, 4 i pół prc. Listy Banku hipotecznego 98·25, 5 prc. Listy Banku hipotecznego 109·50. 4 prc. Galic. Obligacye propinacyjne 96·—, 4 prc. Galic. pożyczka kraj. z r. 1893 92·75. 4 prc. Pożyczka miasta Lwowa 87·75, Losy tureckie 111·75, Marki 117·42, Ruble 253·25.

Odpowiedzialny redaktor **Adam Krechowiecki**

---

oświaty ludowej, ... rubli na wsparcia dla różnych towarzystw, wreszcie 3.000 rubli przeznaczyło na konkurs na dzieło z zakresu ekonomii politycznej z tematem: „Historya sprawy włościańskiej w Rossyi od czasu uwłaszczenia“.

Znana instytucya agitacyjna rossyjska „Słowiańskie Tow. dobroczynności“ odbyła przed kilkoma dniami swe doroczne uroczyste posiedzenie w Petersburgu. Przewodniczył zebraniu prezes Towarzystwa, hr. Ignatiew, a wśród obecnych znajdował się także Hier... nim, prawosławny arcybiskup warszawski i chełmski, wraz z licznymi przedstawicielami prawosławnego świata duchownego, dalej reprezentanci generalicyi, świata urzędniczego, naukowego i literackiego.

Posiedzenie zagaił hr. Ignatiew dłuższą przemową, poświęconą sprawom i działalności Towarzystwa, którego ustawa została w ostatnich czasach znacznie uzupełnioną i zmienioną. Towarzystwo składa się obecnie: z 33 członków honorowych, 70 dożywotnich i 355 rzeczywistych. W dalszym ciągu poświęcił przewodniczący wspomnienie pamięci archimandryty kijowskiego Joannicyusza i marszałka polnego Hurki, a na zakończenie przypomniał doniosły fakt utworzenia się w Petersburgu „Rossyjskiego klubu“, który ma przyjąć na siebie część zadań słowiańskiego Towarzystwa dobroczynności.

Na to powstał ks. Galicyn, prezes owego klubu, i oświadczył, że „słowiańskie Towarzystwo dobroczynności“ i „Klub rossyjski“, dążąc do jednakowych celów, powołane są do tego, aby sobie nawzajem pomagać. Wspólność ducha tych dwóch Towarzystw ułatwi im przyjacielskie współpracownictwo.

Przemawiało jeszcze kilku mowców, sławiąc pamięć zasłużonych działaczy Towarzystwa, a mianowicie: Chomiakowa i gen. Skobielewa i na tem ukończyła się uroczystość.

Dzienniki stwierdzają, że w stanie zdrowia ministra Bogolepowa nastąpiło pewne polepszenie. Prof. Bergman wyjechał już z powrotem do Berlina. Lekarze wypowiadają nadzieję, że minister zostanie z ran wyleczony, nie tają obawy, iż może utracić zupełnie mowę.

KRONIKA

Lwów, 9 marca

— **Wybór uzupełniający** dwóch członków Rady powiatowej w Borszczowie z grup gmin wiejskich rozpisało Prezydyum Namiestnictwa na dzień 18 kwietnia b. r., a wybór dwóch członków z grupy większych posiadłości ziemskich na dzień 22 kwietnia b. r.

Wybory te odbędą się w mieście powiatowem o godzinie i w lokalnościach, wskazanych w kartach legitymacyjnych, które doręczy wyborcom c. k. starostwo.

„Gazeta Lwowska“ z dnia

„Gazeta Lwowska" R. 91, nr. 58. 12. III. 1901.

BOHDAN ZALESKI

o sobie i współczesnych.

(Na podstawie korespondencyj).

I.

(Ciąg dalszy).

Taki to obraz usposobienia, myśli i uczuć poety dają nam listy jego z epoki przedrewolucyjnej, to jest do r. 1830. A cóż wówczas stworzył? Niewątpliwie najwdzięczniejsze, pełne barwy i uroku pieśni, których typem i koroną są „Rusałki". I oto jesteśmy przy ich narodzinach.

W r. 1828 żąda Odyniec od Bohdana wierszy do swego almanachu „Melitele". Poeta przygotował „Rusałki", lecz zmuszony wyjechać z Sochaczewa — „dyabeł wie — pisze — gdzie i po co" — zostawia rękopis „najzacniejszej osobie" dla odesłania Odyńcowi do Warszawy. Tymczasem owa „najzacniejsza osoba" wyjechała nagle, a rękopis zawieruszył się. Ztąd gwałt, narzekania Odyńca, wymówki Witwickiego, wielkie rozgoryczenie Bohdana. „Niech Odyniec drukuje almanach bezemnie! woła — niech drukuje, ale wyproś mnie z niego Stefanie! Na miłość Boską, uwolnij mnie od almanachu!"

Ale Witwicki, który przyjaciół swoich wcale nie uwalniał od pracy twórczej, owszem, był względem nich prawdziwym „naganiaczem literackim", — pocieszył rozgrymaszonego poetę, a ten podziękował za pocieszenie, siadł i w noc grudniową 1828 r. przepisał z brulionu „Rusałki". Odsyłając je Odyńcowi, powierza tę pracę swoją szczególniejszej opiece Witwickiego, prosząc go, aby napisał do „Rusałek" krótkie objaśnienie i zaznaczył pomiędzy innemi, że fantazya ta i inne w tym rodzaju, mają być arabeskami przy większym historycznym obrazie. Witwicki przesłał Bohdanowi w odpowiedzi szczegółową krytykę pojedyńczych strof i wyrażeń, chwaląc bardzo całość. Poecie krytyka ta podobała się niezmiernie, dziękuje za nią przyjacielowi z wylaniem i wszystkie niemal jego krytyczne uwagi uwzględnia. Odyniec przysłał mu także swoją krytykę, ale ta zgoła inne wywołała wrażenie. Zgadza się wprawdzie Bohdan na zmianę jednego wiersza, ale przed Witwickim nie tai swej do Odyńca niechęci. Drwi z niego i chociaż jest smutny, śmieje się najserdeczniej z jego zarozumiałości. Jako curiosum posyła Witwickiemu bilecik Odyńca, w którym tenże żądał, aby Bohdan przysłał mu „co narodowego", a to dla współzawodniczenia z Mickiewiczem i z nim — Odyńcem! — Te współzawodniczące „narodowe" wiersze miały być wydrukowane w osobnym, uprzywilejowanym oddziale Meliteli. Propozycya ta tak ubawiła Bohdana, że siadł i napisał dumkę Kozaka, naigrawającego się z brata Litwina. „Żałuję — pisze — że jej nie skończyłem, bo ma koloryt prawdziwie narodowy. Ale lepiej może się stało, bo byłby się obraził Odyniec". Jest jednak przekonany i gotów jak Anglik pójść w zakład, że dziesięć balad Odyńca mniej będą narodowe, niż dziesięć jego wierszy. Przypomina Witwickiemu, jak on Odyńcowi radził, aby nie szedł w zawody z Mickiewiczem. „Ja — dodaje — bez dumy powiedzieć mogę, że się go w moim rodzaju nie obawiam, choćby pokradł najpiękniejsze pomysły z Waltera Scotta i Moora". — Siebie zaś nazywa w tym liście Bohdan „dziedzicem obyczajów i dziejów ukraińskich", pieśni ludu są jego naturalną spuścizną i tem się tłómaczy, dlaczego w dumie o „Damianie Wiśniowieckim" nie zaznaczył, że strofka: „U sąsiada ładna żona" wzięta z pieśni ludu.

Oprócz „Rusałek" była podówczas — to jest w końcu 1828 r. — napisana znaczniejsza część innej fantazyi p. t. „Kwiat paproci", a poeta spodziewa się, że tej koloryt i uczucie będą daleko świetniejsze. Wiadomo jednak, że ów „Kwiat Paproci" nigdy nie był ukończony i jako fragment znalazł dopiero pomieszczenie w „Dziełach Pośmiertnych [1]).

Przytem poeta nie ustaje w studyach i pracy. Czyta Reja, Górnickiego, wczytuje się w obcych poetów, zwłaszcza Byrona, którego musi uwielbiać bardzo, gdyż na określenie chwilowego swego smutku, używa raz takiego wyrażenia: „dziś nie byłbym w stanie myśleć nawet o poezyach Byrona [2]). Nie brak mu też planów do przyszłych większych poematów. W początkach 1829 r. zabiera się do pisania utworu, w którym działać mają wielki Konaszewicz, sławny Daniłowicz i sturczony Bohdan Chmielnicki, przytem wiele innych jeszcze historycznych osób, a między nimi trzy ładne siostry w haremie Giraja. „Poema to — pisze Zaleski — ma być okropnie czułe, wojenne i dziwaczne". W liście bez daty, ale z tegoż prawdopodobnie roku, donosi Witwickiemu, że właśnie pisał scenę do dramatu Corregio.

[1]) Tom 1 str. 160.

[2]) Do Stefana Witwickiego z Sochaczewa d. 1 grudnia 1828.

Nawiasem tu wspomnę, a rzecz zaiste godna uwagi, że nawet w starości marzył Zaleski o napisaniu dramatu. W stosach listów jego, dotąd niedrukowanych, znajduje się notatka, bez daty, ale niewątpliwie pochodząca z lat późnych, pod tytułem „Fata Morgana", a w niej jest taki ustęp:

„Roi mi się dramat w głowie. Kilka bodaj dramatów zazębionych jeden o drugi duchem i treścią, z dziejów polskich dawniejszych i nowszych.... Nigdym jeszcze nie próbował się z Muzą tragiczną. Widzi mi się, że duch mój stężał, a więc łacniej mu uchronić się od liryzmu, który go całkiem opanowywał przed laty". Szekspirowskie, Szyllerowskie, Goethowskie pojęcia o sztuce przystępniejsze są dziś dla niego. „Uczucie — powiada — skrysztaliło się, — to można zeń coś wyciosać" [1]).

Ale tytuł dany owej notatce: „Fata Morgana", okazał się właściwym. Do wykonania tych rojeń nigdy nie przyszło i dramat nie został napisany.

Wracając wszakże do czasów pierwszych, przedrewolucyjnych, przedewszystkiem zwrócić wypada uwagę na rys charakterystyczny, że właśnie w epoce, w której odbywa się wielki ruch literacki, kiedy „klasyczne cyklopy kują potężne na romantyków gromy", kiedy nawet spokojny i rozważny Witwicki nie usuwa się od tej walki i pisze rozprawę o Reputacyi autorów za życia, — Zaleski pozostaje i chce pozostać na uboczu, chociaż z ciekawością śledzi ruch. Już w początkach 1827 r. pisze z Rawy do Odyńca, prosząc go, by nie szczędził odludkowi wiadomości o tem, co się dzieje na burzliwym literackim świecie? Czy się co przecież ustala? Nie ma snadź sam zupełnej wiary w zwycięztwo, bo zapytuje dalej: czy zawsze ta sama anarchia? jakie przemagają mniemania? która nareszcie s e k t a panuje? A pytając tak o wszystko, znowu się cieszy, że natura obdarowała go wysokim stopniem obojętności.... Zapewne nie będzie walczył pod sztandarami żadnego stronnictwa, chce jednak znać wszystkie okoliczności, bo kto wie, czy mu nie przyjdzie kiedy być historykiem obecnej reformy literackiej, historykiem tem bezstronniejszym, że sam nie działa czynnie, ale czujnie baczy na wszystko i wszystkich.

Ale oto w początkach 1829 roku padł grom. W petersburskiem wydaniu Poezyj swoich, Mickiewicz umieścił jako Przedmowę, rozprawę „O krytykach i recenzentach warszawskich". Wzmianka w niej o Bohdanie, niezmiernie pochwalna, bo stawiająca go w szeregu z Burnsem, Herderem, Goethem, W. Scottem, pochlebiła mu niezmiernie, ale treść i ton musiały przerazić; nazywa ją bowiem „śmiałą napaścią", a przypuszczając, że to artykuł Witwickiego o Reputacyi i Mrozińskiego odpowiedź na Recencyę, podały myśl Mickiewiczowi do „tego ataku", prosi Witwickiego, aby swoją egidą zasłonił romantyków przed gromami klasycznych cyklopów i doniósł mu, co on o tej Przedmowie sądzi i co o niej myśli Brodziński. Wszakże widocznie i sam poruszony jest do tego stopnia, że nawet przypuszcza, iż kto wie, może i on „po kozacku wpadnie klasykom we flankę", chociaż pewnie nie sam, lecz „w powszechnem zamieszaniu".

W tem usuwaniu się od wiru walki, w tej chęci pozostawania na uboczu, aby być kiedyś „bezstronnym historykiem" jest rys znamienny usposobienia Bohdana, które go rzadko kiedy i w dalszem życiu opuszcza, czy to wówczas, gdy wezwany z Beaune przez Mickiewicza, wierszem „słowiczku mój, a leć a piej", wpada w Paryżu w sam odmęt Towiańszczyzny, czy wtedy, gdy usuwa się od wręczenia Mickiewiczowi pamiątkowego puharu w dzień 1 stycznia 1841 i woli „siedzieć cicho w Fontainebleau".

Wszakże od czasu ukazania się owej rozprawy „O krytykach i recenzentach warszawskich" podziw i zachwyt Bohdana dla Mickiewicza widocznie się wzmagają. „Sonety" odczytuje kilkakrotnie, widzi w nich najjaśniej „wzniosłe, jego własne pojęcie miłości, które mu niegdyś „Dziady" natchnęło". Lecz przedewszystkiem zachwyca się „Krymskimi", które za jedyne w literaturze europejskiej uważa; podziwia piękność myśli „bajroński" charakter pielgrzyma, obrazy o kolorycie prawdziwie wschodnim. „Gdybyś nie wiedział — pisze do Odyńca — ile szacuję i kocham Adama, posłałbym ci świetny panegiryk jego talentu, tyle mnie dzisiaj zachwyca". Co się tyczy owych pierwszych kilku „Sonetów", na które tak utyskiwał Mochnacki, i które też sam Bohdan nazywa chwilowem zapomnieniem się poety, radzi on poświęcić je bez ratunku na pastwę klasykom, bo dla wielbicieli talentu Mickiewicza wystarczą same już „Krymskie". A chociaż ciekawy jest z jakiego stanowiska osądzi je Mochnacki, to wnet dorzuca: „Na nic tu estetyka, to świat wcale nowy!"

W r. 1828 ukazał się „Wallenrod" i już 30 marca t. r. pisze Bohdan, że czytał poemat razy najmniej dziesięć od deski do deski. Nazywa go „arcydziełem", chociaż ubolewa, że Adam brał często za dobrą monetę urojenia autora rozprawy o Prozodyi polskiej, Królikowskiego, mianowicie co do jednozgłoskowych wyrazów, zkąd wynikła czasem chropowatość, czasem wątpliwość a niekiedy i zupełnie fałszywa miara. Akcent i prozodya rzeczy wcale różne. „Ale — dodaje — nasz wielki, kochany poeta nie dosyć zastanowił się nad tą różnicą". W tymże roku, w kwietniu, Zaleski pisząc do Lelewela, powiada, że nie może nasycić się Wallenrodem, nazywa go znowu „arcydziełem" i wyraża ciekawość, jakie o nim mają zdanie Koźmian i Osiński. W miesiąc później z niepokojem zapytuje Witwickiego, dlaczego o Wallenrodzie tak głucho, pisze do Wrocławia w sprawie tłómaczenia poematu i radzi Witwickiemu, aby posłał do Lipska parę z niego wyjątków. Dopiero znacznie później, w końcu r. 1832 pisząc do Nabielaka, przyznać musiał Bohdan, że sam Mickiewicz najmniej Wallenroda ceni i sprzeciwia się tłómaczeniu tego poematu.

[1]) Z niedrukowanej dotąd notatki.

Z rozsianych w tych początkowych listach sądów o współczesnych, znajdujemy jeszcze krytyczne uwagi o „Tobiaszu" Witwickiego, o „Anieli" Korzeniowskiego, oraz wzmianki, zresztą ujemne, o Bernatowiczu i Skarbku. Treść „Tobiasza" wydaje mu się arcywzniosłą i chwali wybór przedmiotu, ale co do wykonania czyni zarzuty, widzi konieczność zmiany wielu wierszy, które albo niejasno malują uczucia, albo są słabe, bez kolorytu i prozaiczne. [1]) Wogóle Witwicki, jako poeta, nie ma u Bohdana uznania. Jakkolwiek bardzo kochany i bardzo wielbiony jako człowiek, jest on, zdaniem jego, w poezyach swoich za mało indywidualnym, jest biernym naśladowcą, a nawet gorzej, bo „drapieżcą" takim samym jak Odyniec, i — trudno to dzisiaj wymówić — Słowacki!

Natomiast krytyczne sądy Witwickiego mają zawsze u Bohdana ogromne znaczenie. Artykuł jego o Reputacyi autorów za ich życia, bardzo mu się podobał; twierdzi, że określa on z wielką prawdą i dowcipem charakter poezyi i pisarzy, i że tego rodzaju ogólne uwagi byłyby wielce pożyteczne dla literatury polskiej, stokroć pożyteczniejsze, od niegrzecznych i stronniczych sarkań, jakich pełno. Spodziewa się, że ten artykuł na głowach Koźmiana, Morawskiego i t. d. wywrze wrażenie, bo to jakby sąd potomności, objawiony im za życia [2]). Również podobała mu się Witwickiego recenzya prób Korzeniowskiego; nazywa ją krytyką wyższą, w duchu nowych pojęć i radzi przyjacielowi szczerze, aby rozszerzał i upowszechniał prawdziwe wyobrażenia o sztuce; widzi w Witwickim wysoki w tym kierunku talent, głęboki i rozległy umysł krytyka. — Co się jednak tyczy szczegółowych zdań o „Anieli" Korzeniowskiego, Bohdan różni się z Witwickim. Chwali bardzo charakterystykę niektórych osób, występujących w tym utworze, a piąty akt, który Witwickiemu wydał się zbytecznym dowodzi, zdaniem Bohdana, wielkiego talentu autora, podnosi bowiem tragiczność czwartej odsłony, — co Korzeniowskiego najwięcej zbliża do Szekspira, a odróżnia „Anielę" od „Kabały" Szyllera.

Na tem wyczerpałem poniekąd w zakreślonym kierunku, materyał zawarty w „Korespondencyi" od r. 1825 do 1830 to jest w epoce przedrewolucyjnej. W połączeniu z tem, co już ogłoszone było, co pisali o młodych latach Bohdana, Nehring, Tretiak, p. N. w *Przeglądzie Polskim* z r. 1887 p. Duchińska, Zawadzki w monografii Nabielaka, Mazanowski i inni, — dają one dość już dokładny obraz usposobienia, poglądów i charakteru piewcy ukraińskiego w latach młodości:

Usposobienie skłonne do smutku, wynikające ze wspomnień opuszczonego dzieciństwa, a potem z „antypoetyckiego sposobu życia", z niemiłych nauczycielskich zajęć a po części może i z zawodu doznanego w miłości; — poglądy bardzo poważne i wysokie na powołanie poety, na konieczność kształcenia umysłu; pragnienie nieuchwytne wielkiej samotności i spokoju, niechęć do brania czynnego udziału w polemikach literackich, wreszcie wielka serdeczność i szczerość w stosunkach przyjacielskich, zwłaszcza z Witwickim, obok skłonności do „kaprysów", o których sam Bohdan powiada, że i najpiękniejsza kobieta więcej ich od niego mieć nie może [3]) — oto wizerunek wewnętrzny naszego poety w tej epoce. Nie ma w nim jeszcze owej „nierozwiewnej" melancholii, owych „smutków i tęsknot poojczystych", na które później Bohdan ciągle się żali. Jest tęsknota do Ukrainy, są marzenia o stepach i kurhanach, ale to tęsknota i marzenia człowieka, który mógłby jeszcze na tę Ukrainę wrócić, który wie, że chociaż pożegnał nie wczora, ale jutro może jeszcze obaczyć ukochane swe stepy. — Wiemy skądinąd, że właśnie w tej epoce Bohdan, na serdeczne i usilne nalegania przyjaciół, miał nawet zamiar wrócić na Ukrainę [1]).

Nie wrócił. — A wkrótce stało się tak, że powrócić nie mógł, że między nim a Ukrainą i Polską rozwarła się nieprzebyta przepaść. Nadszedł krwawy rok 1830, a po nim „wiek męski, wiek klęski", — cały długi szereg dni tułactwa. — I odtąd rozpoczyna się dziwna rachuba czasu. — Tyle a tyle lat — pisze nieraz potem Bohdan — tęsknię do Ukrainy, a tyle — (o lat dwanaście mniej), — do Polski! — I ta liczba lat ciągle się zwiększa, nie przynosząc ulgi, aż urywa się wreszcie u grobu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Adam Krechowiecki.

[1]) Do Stefana Witwickiego z Sochaczewa 4 listopada 1828.

[2]) Do tegoż z Socheczewa 27 maja 1828.

[3]) Do Stef. Witwickiego z Sochaczewa 8 kwietnia 1829.

Przyjechali do Lwowa

dnia 11 marca 1901.

HOTEL GEORGE.

PP. E. hr, Ludolf ż Żółkwi, W. hr. Broel-Plater z Dąbrowicy, M. hr. Tyszkiewicz z Rossyi, K. hr. Roztworowski z Hrehorowa, M. hr. Komorowski z Glinny, M. br. Wasilko z Czerniowiec, W. Płocki z Nowodworca, J. Tworowski z Bojawiec, K. Malczewski z Delatyna.

Wystawy i Muzea.

Nieustająca wystawa zjednoczonego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie, przy placu św. Ducha l. 10, pierwsze piętro, jest otwarta codziennie od godziny 10 przed południem do godziny 5 po południu

otwarte codziennie (z wyjątkiem poniedziałków) od godziny 9 rano do godziny 3 po południu, w niedzielę i święta od godziny 10 rano do godziny 1 z południa. — Biblioteka muzealna otwarta codziennie od godziny 11 przed południem do godziny 3 po południu w niedzielę i święta od godziny 10 do godziny 1). — Wstęp w dnie powszednie 40 hal., w niedzielę wolny.

Nieustająca wystawa wyrobów przemysłu krajowego otwarta codziennie w domu niegdyś Biesiadeckich (przy placu Halickim). Wstęp wolny w poniedziałek, czwartek i piątek, w inne dnie 20 hal. — Wszystkie przedmioty na sprzedaż.

Muzeum im. Dzieduszyckich przy ulicy Teatralnej l. 18. otwarte w święta i niedzielę od godziny 10 rano do godziny 1 w południe — we środę i piątki od godziny 11 przed południem do 2 po południu. Wstęp wolny. Przewodnik kosztuje 60 hal.

	płacą	żądają
Czerw. krzyża węg. tow. 5 zł. . . .	26.50	27.50
Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. .	61.—	64.—
Salma 40 zł. mk.	200.—	205.—
Pożyczka miasta Salzburga 20 zł. .	69.—	72.—
St Genois 40 zł. mk.	230.—	238.—
Pożyczka m. Stanisławowa 20 zł. .	—.—	—.—
„ „ Tryestu 100 zł. mk. 4½ pr.	600.—	—.—
Pożyczka miasta Tryestu 50 zł. 4 pr.	170.—	—.—
K. Akcye banków (za sztukę).		
Banku Anglo-austr. 240 kor. . . .	278.—	280.—
Peszt. banku handl. 500 zł. . . .	2510.—	2520.—
Zakład kred. dla handlu i przem. .	693.75	69.75
Węg. banku kredyt. 200 zł. . . .	708.50	709.50
Dolno austr. tow. esk. 500 zł. . . .	1380.—	1382.—
Galic. banku hipotecz. 200 zł. . . .	609.—	611.—
„ „ dla handlu i przem. 200 zł.	355.—	365.—
Banku dla krajów koronnych 200 zł.	425.—	426.—
„ Austro-węg. 600 zł.	1674.—	1678.—
„ Związkow. (Unionbank) 200 zł.	566 —	568.—
Czesk. banku związk. 100 zł. . . .	268.50	270.—
Zivnosteńska banka 100 zł.	272.—	276.—
L. Akcye Przedsiębiorstw transportowych.		
Buk. kol. lok. akc. pierw. 200 zł. .	400.—	410.—
„ „ „ akcye zakład 200 zł. .	330.—	350.—
Kolei półn. ces. Ferdyn. 1000 zł. mk.	6338.—	6358.—
Kołomyj. kol. lok. (akc. pierw.) 200 zł.	—.—	—.—
Kol. Lwów-Bełzec (akc. pierw.) 200 zł.	—.—	—.—
„ Lwów-Czern.-Jassy 200 zł. . .	551.—	554.—
„ wschodn.-galic.-lokaln. 200 zł.	392.—	400 —
„ państwowych 200 zł.	—.—	—.—
„ południowej 200 zł.	—.—	—.—
„ węg. galicyj. I. 200 zł. . . .	422.—	425.—
Austr. Tow. żegl. na Dunaju 500 zł. mk.	826.—	830.—
M. Akcye Przedsiębiorstw przemysłowych.		
Tow. kopalń węgla w Brüx 100 zł.	836.—	843.—
Galic. karpackie naft. tow. 500 kor.	860.—	870.—
Austr. tow. górnicze Alpine 100 zł.	464.—	465.—
Prazkiego tow. żelazn. przem. 200 zł.	1668.—	1670.—
Schodnicy 500 kor.	1380.—	1400.—
Tureck. zarz. tytoniow. 500 franków	—.—	—.—
Trifail. tow. kop. węgla 70 zł. . .	462.—	466.—
N. WEKSLE.		
Berlin za 100 marek 5 pr.	117.42	117.60
Londyn za 10 funt. szt. 4 pr. . . .	240.30	240.50
Paryż za 100 franków	95.35	95.45
Petersburg za 100 rubli 5½ pr. . .	—.—	—.—
Niemieckie banki	117.52	117.95
Włoskie banki	90.50	90.70
Francuskie banki	95.20	95.3
Szwajcarskie banki	95.20	95.30
O. WALUTY.		
Dukat cesarski	11.33	11.37
Austr. węg. 8 guld. złota moneta .	—.—	—.—
20-frankówka	19.08	19.11
20-markówka	23.48	23.56
Rosyjski półimperiał	—.—	—.—
Niemieckie banknoty za 100 marek	117.42	117.60
Włoskie banknoty za 100 lir. . . .	90.50	90.70
Ruble	2.53	2.54

DWY.

ostatniego edyktu w Gazecie Lwowskiej w sądzie tutejszym okazał, ile że w przeciwnym razie książeczki powyższe na ponowne żądanie Róży hr. Żeleńskiej za umorzone uznaną zostaną.

C. k. Sąd krajowy, Oddział VI.
Kraków, dnia 12. lutego 1901.

L. cz. E. 2064/00 (2) [1807 2—3]

W sprawie egz. Gitli Karpel rzeźniczki w Śniatynie przeciw Wolfowi Karpel i tow. o 200 kor. z pn., ma być doręczona uchwała z dnia 22. października 1900 l. cz. E. 2064/00 (1), którą dozwolono egzekucyę przez zaintabulowanie prawa zastawu 200 kor. na realności objętej lwh. 279/I. gm. Śniatyn.

Ponieważ niewiadomo gdzie Wolf Karpel i Roza Karpel przebywają, ustanawia się w celu strzeżenia ich praw, kuratora w osobie p. dra Wiktora Ziemby, adw. w Śniatynie.

Tenże kurator zastępywać będzie powyższych w rzeczonej sprawie na ich koszt i niebezpieczeństwo, dopóki oni w sądzie się nie zgłoszą lub pełnomocnika nie zamianują.

C. k. Sąd powiatowy, Oddział IV.
Śniatyn, dnia 3. grudnia 1900.

packich, obciążenie kraju w stosunku 40 prc. wynosiłoby rocznie 720.000 koron, a obecne położenie finansowe kraju nie pozwala na tak znaczne obciążenie ludności, przeto Wydział kraj. uprasza Koło o wyjednanie bezprocentowej pożyczki z dotacyi nadzwyczajnej na budowle wodne, na pokrycie 40 prc. dodatku krajowego, t. j. po 720.000 koron rocznie, aż do r. 1910 włącznie, t. j. do czasu, w którym fundusz krajowy zasilony zostanie rezerwowym funduszem propinacyjnym.

III. Podwyższenie rocznej dotacyi państwowego fund. molioracyjnego do 4,000.000 koron. Z powodu małej bowiem dotacyi tego funduszu — powiada memoryał — stawia rząd trudności w zrealizowaniu projektów melioracyjnych, już przez Sejm uchwalonych, w skutek czego Wydział krajowy musi się obecnie wstrzymać z przedłożeniem następujących już gotowych projektów technicznych:

a) projektu osuszenia 18.114 morgów bagien naddniestrzańskich kosztem 1,752.000 koron; b) projektu obwałowania Wisły w powiecie dąbrowskim i odwodnienia 26·827 morgów urodzajnej ziemi nadwiślańskiej kosztem 3,000.000 koron; c) projektu obwałowania Wisły od Raby do Kisieliny, obwałowania prawego brzegu Raby, tudzież regulacyi Uszwicy z dopływami, potoku Grobki w powiatach brzeskim i bocheńskim dla ochrony od zalewu i odwodnienia 34.896 morgów kosztem 4,500.000 koron; wreszcie d) projektu obwałowania Wisły od Niepołomic do Raby i obwałowania lewego brzegu Raby, tudzież regulacyi potoku Dźwinki w powiecie bocheńskim dla ochrony od zalewu i osuszenia 22.377 morgów kosztem 3.481.000 koron.

Dalej uprasza Wydział krajowy Koło polskie o wyjednanie u Rządu:

a) ażeby wstawił do preliminarza państwowego na rok 1901 30 proc. zasiłku na wykończenie regulacyi Nowego Brnia z dopływami, tudzież na uzupełnienie obwałowania prawego brzegu Wisły między Podgórzem a Niepołomicami; b) ażeby rychło zatwierdził projekty techniczne dla regulacyi potoku Pustej, z dopływami i regulacyi potoków Sołotwy i Rokitny, wreszcie c) ażeby rząd zapewnił w zasadzie 60 proc zasiłek na regulacyę rzeki Pełtwi z dopływami, dla której projekt ustawy uchwalił Sejm w r. 1898

Dalej zwraca Wydział krajowy uwagę na subwencyonowanie przedsiębiorstw galicyjskich z państwowego funduszu melioracyjnego. Mianowicie — powiada memoryał — udział Galicyi w tym funduszu, która posiada 34·12 procent gruntów uprawnych, wymagających melioracyj w całem Państwie, wynosił na rok 1900 zaledwie 21·72 proc., a Ministerstwo rolnictwa nie uwzględniło w tym preliminarzu tak nagłych robót i tak dawno przez Sejm uchwalonych, jako wykończenie regulacyi Nowego Brnia i obwałowanie Wisły od Podgórza do Niepołomic.

W końcu uprasza Wydział krajowy o wyjednanie 20-procentowych zasiłków z dotacyi wodnej na obwałowanie granicznej przestrzeni Wisły od Niepołomic w dół, w powiatach: w bocheńskim, brzeskim i dąbrowskim, które to obwałowanie zamierza Wydział krajowy przeprowadzić w drodze specyalnych ustaw krajowych na podstawie ustawy melioracyjnej.

*

Jak donoszą dzienniki, w tych dniach odbędzie się posiedzenie Koła, poświęcone wyłącznie stanowisku kartelu cłowego w obec przemysłu cukrowniczego w Galicyi.

KORESPONDENCYE

Rzym, d. 8 marca.

(Ś. p. Aleksander Gierymski).

Jak już doniosłem telegraficznie zmarł tutaj po krótkiej chorobie ś. p. Aleksander Gierymski, znakomity malarz pejzażysta, brat Maksymiliana Gierymskiego, w 52 roku życia. Artysta, od dłuszego czasu już cierpiał na ostrą neurastenię, stał się odludkiem, unikał Towarzystwa i objawiał nawet w obec tych, ktorzy się doń mogli zbliżyć, początki choroby umysłowej. Dlatego też od trzech lat szukał ulgi dla swoich rozstrojonych nerwów, na południu, spędzał zimy w Rzymie, gdzie miał pracownię na via Margutta, do której jednak mało kto miał dostęp.

Jedynym jego przyjacielem i — opiekunem był zmarły w lecie r. z. elektrotechnik ś. p. Bruno Abakanowicz. U niego to, w Saint-Maur pod Paryżem i na wyspie Plumanach na pobrzeżu Bretanii, Gierymski spędził większą część roku, malując i oddając się samotnym przechadzkom. Kiedy umarł ś. p. Abakanowicz, który zajmował się sprzedażą jego obrazów i dostarczał funduszów, Gierymski odczuł boleśnie tę wielką stratę i stał się jeszcze posępniejszym. Tem usilniej jednak malował teraz i dlatego, w pracowni swojej rzymskiej zostawił piętnaście niedokończonych płócien i widoki z Werony, z willi Borghese, plac del Popolo w Rzymie, rzeczy znakomicie odczute, świetne dowody wielkiego talentu malarskiego, który zwłaszcza we Francyi, w Paryżu, należycie został ocenionym. Jego „Żydzi modlący się nad Wisłą“ są w prywatnych rękach w Warszawie.

Córka ś. p. B Abakanowicza, nie przestała otaczać artysty życzliwością, ale pomimo to, Gierymski w ostatnich czasach, popadł w rozstrój nerwowy. Kilku jego znajomych, młodych malarzy zajęło się nim tutaj i za ich staraniem umieszczony został w domu obłąkanych, na Zatybrzu, gdzie był otoczony należytą opieką.

Zdawało się, iż choroba się przeciągnie; tymczasem Al. Gierymski umarł prawie nagle, wskutek ataku paraliżu, samotny, tak jak żył tutaj.

OO. Zmartwychwstańcy zajęli się pogrzebem i wywiezieniem zwłok na cmentarz Campo verano. Jeden z młodych rzeźbiarzy, p. A. Madejski, zdjął ze zmarłego maskę pośmiertną. W pogrzebie wzięła udział tutejsza artystyczna kolonia. Pokój jego pamięci.

D.

Z Berlina.

(Związek ewangielicki jako sojusznik hakatyzmu. — Sprawa kazań niemieckich w archidyecezyach gnieźnieńskiej i poznańskiej.)

Na zebraniu grupy berlińskiej związku ewangielickiego, który powstał pod hasłem walki przeciw Kościołowi katolickiemu i jego instytucyom, a w ostatnich czasach włączył do swojego programu także walkę przeciw polonizmowi, inspektor szkolny Sackbielsky, rozwodził się długo i szeroko o niebezpieczeństwach grożących Niemcom ze strony Polaków i usiłował przekonać, że zalew słowiański coraz bardziej się zbliża do granicy niemieckiej i że jeśli nie przyjdzie silniejsza pomoc, natenczas „Prusy Wschodnie staną się w najbliższym czasie łupem polonizmu i ultramontanizmu“. Następny mowca wyższy nauczyciel Schmidt, jeszcze dalej posunął się w swych obawach, niż jego preopinant. Oświadczył on, że polonizm zagraża niemczyźnie nawet w czysto niemieckich prowincyach. Toż w samym już Berlinie osiadło mnóstwo Polaków, a w Westfalii i nad Renem mieszka pełno rodzin polskich, które należy uważać za pionierów polonizmu i ultramontanizmu. Mowca proponował jako zaradczy środek wysyłanie sierót niemieckich z wielkich miast do polskich okolic, oraz osiedlanie tam niemieckich chłopów i robotników. Pomysł ten zresztą nie nowy znalazł ogólny poklask, to też zebranie przyjęło „jednomyślnie“ następującą rezolucyę:

„Zebranie uznaje z wdzięcznością energiczniejszą postawę obecnego rządu w obec szerzącego się polonizmu, ale upatruje we wzmocnieniu niemiecko ewangelickiej ludności na pruskich kresach wschodnich najpewniejszy środek obrony i poleca ku temu celowi silne mianowicie popieranie ewangielickich domów sierót w Wielkich Tylicach w Ruchocinie i t. d., jako też osiedlanie niemieckich chłopów i robotników z Rossyi, Galicyi i Węgier“.

W obec wywodów niepowołanych opiekunów katolików niemieckich w Poznańskiem skarżących się na rzekome upośledzanie katolików niemieckich w porównaniu z polskimi, stwierdza *Germania* na podstawie dokładnych dat, że w archidyecezyach poznańskiej i gnieźnieńskiej są kazania niemieckie zaprowadzone w 108 parafiach i to częstokroć z uwzględnieniem drobnej liczby Niemców.

„Jeszcze nie było wypadku — pisze berliński organ katolicki — aby władza duchowna odrzuciła słuszne życzenia; nawet dla 60 dusz odbywają się kazania co najmniej cztery razy w roku. W wielu atoli razach nie z religijnych, lecz z narodowych przyczyn występują różni ludzie z żądaniami kazań niemieckich. Nic dziwnego zatem, że w kołach duchownych słyszy się często skargi, iż kazanie trzeba głosić dla 10 do 20 słuchaczy, co w obec panującego w archidyecezyach braku duchowieństwa odczuwa się szczególnie dotkliwie. Także podania, wręczane władzy duchownej, nie są zawsze wiarygodne. Zdarzało się, że na liście petentów były podpisane nazwiska ewangielickich kobiet, lub też odwrotnie rodzin całkiem polskich — ba, nawet znajdowały się podpisy włościan, którzy później zeznali do protokołu, że bez świadomości podpisali dokument. Piecza duszpasterska dla niemieckich katolików jest zupełnie dostateczną w archidyecezyach gnieźnieńskiej i poznańskiej.“

Synod prawosławny przeciw Tołstojowi.

Od dłuższego już czasu obiegały pogłoski, że petersburski synod prawosławny postanowił przedsięwziąć poważne kroki przeciw literackiej działalności głośnego powieściopisarza i myśliciela rossyjskiego hr. Lwa Toł-

„Gazeta Lwowska“ z dnia 12. marca 1901.

„Gazeta Lwowska“ r. 91, nr. 59. 13. III. 1901.

28

styczniu do Henryka IV na sejm do Moguncyi z prośbą o pomoc, a syn jego Jaropełk równocześnie podążył w tym samym celu do Rzymu do Grzegorza VII, oddając w imieniu ojca Ruś pod opiekę Stolicy Apostolskiej, za co od Papieża otrzymał dla ojca koronę. Znanym był dawniej list Grzegorza VII, dotyczący tej sprawy, miniatury zaś powyższe objaśniają go wymownie i rzucają jasne światło na plany Izasława, który widocznie w związku z Zachodem zamierzał przemienić Ruś w dziedziczne królestwo.

Rękopis ten dostał się do Cividale z daru św. Elżbiety, której matka Gertruda królowa węgierska pochodziła z domu Andechs, lecz stoi on zarazem w związku z rodziną hr. Berg do której należała żona Bolesława Krzywoustego, Salomea.

W dyskusyi nad pierwszym wykładem zabrał głos prof. Kruczkiewicz, nad drugim prof. Kolessa i przewodniczący prof. Balzer, składając zarazem imieniem wydziału podziękowanie prelegentowi za nadzwyczaj zajmujące wykłady, które zgromadzeni członkowie nagrodzili rzęsistymi oklaskami.

Miłą niespodziankę urządza jutro dyrekcya naszej opery szerokim kołom znawców i miłośników opery. W „Łucyi“ wystąpi uproszona o to p. Camillowa, której zbyt długo już nie słyszano u nas ze sceny. Nazwisko tej śpiewaczki, obsypywanej uznaniem zagranicę zanim na stałe osiadła w naszem mieście — nie utraciło nic ze swej atrakcyjności, czego też jutrzejszy wieczór najwymowniej zapewne dowiedzie.

Repertoar teatru miejskiego we Lwowie.

Dziś we wtorek po raz pierwszy „Psyche“, tragedya dziecięca dla dorosłych ludzi w 3 aktach Zofii Wojcickiej.

Jutro we środę „Łucya z Lamermooru“, wielka opera romantyczna w 4 aktach a 6 odsłonach, muzyka Donizettiego. Gościnny występ p. Jadwigi Camillowej i Ignacego Warmutha.

We czwartek po raz czwarty „Wesoła dwójka“, operetka w 3 aktach L. Krenna i K. Lindaua, muzyka C. M. Ziehrera.

BOHDAN ZALESKI

o sobie i współczesnych.

(Na podstawie korespondencyj).

(Ciąg dalszy).

II.

Szereg listów Bohdana już porewolucyjnych, na emigracyi pisanych, rozpoczyna się w zbiorze naszym od r. 1832 i ciągnie się nieprzerwanie aż do lat ostatnich. — Tu muszę postępować większymi jeszcze krokami, aby przebiegając tę długą drogę, choć mimochodem wskazać to, co w tej podróży przez życie poety najpiękniejsze lub najbardziej charakterystyczne.

A listy te, nie tylko na to życie jasne rzucają światło, nie tylko na życie, prace, działanie poetów i pisarzy współczesnych, — są one także nieocenionem źródłem do dziejów Emigracyi, tak trudnych dziś jeszcze do ocenienia, tak zmąconych wewnętrzną nieraz w niej waśnią, a najgorzej obłędem Towianizmu, który dotknął i ogarnął najwyższe umysły. Listy te wyprowadzają na jaw postacie albo wcale nieznane, albo znane mało, albo zapomniane, które jednak dzieje te w sobie streszczają, bo są ich wytworem, są dziećmi owej „poojczystej tęsknoty“, ze wszystkimi z niej wynikającymi błędami i upadkami, ale też z tym niezwykłym, czasem nie do pojęcia wysokim, nastrojem ducha. Do tej spłoszonej i rozproszonej gromady wygnańców woła najprzód Bogdan Jański, ów „łowca dusz dla Chrystusa“, rozpłomieniony na wskróś duchem Bożym, — woła do nich: „Ofiarować się nam a wprzódy uświęcić!“ I oto zbiega się ku niemu gromadka tych, którym ciężył srodze „kostur tułaczki“. Więc przezywają ten kostur „pielgrzymskim“, zawiązują się jakoby w osobny stan i dłoń w dłoni, rozśpiewani w duszy, poczynają z astralnego rąbka wiary „prząść na przepaskę polską, na tęczę nowego przymierza z Bogiem“. Gromadka zrazu nieliczna: obok Jańskiego, Witwicki Stefan, Bohdan Zaleski, O. Floryan Topolski, obecny ciągle wśród nich myślą, duchem, słowem, Kazimierz Brodziński, a wreszcie ułowiony przez Jańskiego kędyś na bruku paryskim, Adam Celiński. Nikt prawie o nim dziś nie wie, mało kto słyszał. A jednak to twórca „Pięciu Hymnów“ — poezyi, jak powiada Bohdan, — najszczerszego i najszerszego natchnienia, pełnej czystości, mocy, sforności w duchu, treści i rytmie? — Kto zna jego „Śpiew Łabędzi“ albo uroczą fantazyę „Sen“, pełny grozy poemat p. t. „Szatan i jego pokusy“, albo rzeczywiste, zdaniem Bohdana „wieszczby“ o „Napoleonie“ i „Rozumie Polskim“, i wiele, wiele innych ?... Losy zaś tego człowieka, krótkie, a tak wymowne są treścią, że w nich odźwierciedlają się całe dzieje tej dziwnej epoki, wszystkie jej ułudy, wszystkie wierzenia i nadzieje, wszystkie zawody i błędy i cała nędza, ale zarazem wielka, niepojęta prawie dziś dla nas moc i nastrój ducha. Urodzony w pierwszych latach XIX. stulecia, kędyś opodal brzegów jeziora Świtezi, wcześnie po ojcu sierota, wychowywany zrazu w klasztorze Augustyanów, potem w Bazyliańskiej szkole, kędy zaprzyjaźnił się z Wysockim, późniejszym generałem, a wreszcie w Krzemieńcu, Celiński, od lat najmłodszych waha się między powołaniem kapłańskiem, a głosem pobudki wojennej. Rozstrzyga o tem Warszawa, dokąd podążył na Uniwersytet, i rok 1830. Pragnie wziąć udział w walce, ale jakieś fatum staje mu ciągle na przeszkodzie; do powstania należy, lecz nie może uczestniczyć w żadnej bitwie. Noc Belwederska zastaje go chorego obłożnie; na wieść jednak o wybuchu, wraz z Wysockim pada na kolana i modli się. Spieszy do Gwardyi honorowej a potem wchodzi do legii Litewsko-Wołyńskiej, lecz w bitwie Grochowskiej walczyć nie może, bo pułk jego jeszcze nie uformowany! Potem chce iść za Dwernickim na Wołyń, — Umiński nie pozwala, — więc wnosi prośbę do Czartoryskiego, aby mu dał misyę na Wołyń i otrzymuje nominacyę na oficera i list do Chrzanowskiego, do Zamościa. Ale Chrzanowski nie ufa młodzikowi, zaledwie 20 lat liczącemu, więc Celiński zaciąga się do strzelców celnych Grotusa. Lecz i tu stać musi bezczynnie pod Tomaszowem, gdy pod Ostrołęką wre bitwa. Spragniony walki, zrzuca oficerskie odznaki i jako prosty żołnierz zaciąga się do czwartego pułku, prosząc tylko o to, aby był postawiony na pierwszą linię bojową. Prośbę z podziwem uwzględnia generał Pawłowski i Celiński zdaje się być bliski celu. Lecz pierwszego dnia, na mustrze, rzuca się na niego pies i kąsa w ramię. Zamiast w ogień bitwy, Celiński iść musi do szpitala i tam leży aż do wzięcia Warszawy. Chory, omdlewający fizycznie, a zbolały i rozgoryczony w duchu, uchodzi z wojskiem do Płocka, a tu na widok rozpraszającego się i zdemoralizowanego żołnierstwa, utraciwszy nadzieję, traci wiarę w miłosierdzie Boże. Poczyna bluźnić myślą, wypiera się wiary młodzieńczej, ale na wieść, że Karol Różycki bije się kędyś w górach Świętokrzyskich, tam spieszy. Oczywiście i tu zawód i rozpoczyna się tułaczka. — Tułaczka pełna błędów i upadków. Już w roku 1831 we Lwowie, [illegible] wactw, plącze się w jakąś romansową historyę, lecz wezwany przez matkę, spieszy ku niej nad granicę, kędy otrzymuje od niej błogosławieństwo, mały krzyżyk i obrazek Matki Boskiej. Wzmożony na duchu, jedzie do Szwajcaryi. Ognista jego, pełna niepokoju natura, pociąga go jednak znowu do szaleństw: rozwija się w nim nałóg karciarski, resztę pieniędzy traci, a wreszcie traci i pobożne od matki pamiątki, — ktoś mu je wykrada. Tu, pod Zurychem przebywa sześć miesięcy w zupełnym upadku moralnym, tu wciągają go do Karbonaryuszów i jako materyalny i moralny nędzarz przybywa wreszcie Celiński w końcu 1833 r. do Paryża. Tam zrazu nic się nie zmienia Otaczają go ludzie źli i złe wpływy; niewiara rozplenia się w duszy a nałóg karciarski pociąga w przepaść. Dopiero w roku następnym zbliża się Celiński do znanego sobie jeszcze z Warszawy Zaleskiego i zawiera przyjaźń z Jańskim, który postanawia ocalić tę zbolałą, zbłąkaną na tułactwie duszę. Rok cały trwa ten proces duchowy i Celiński wychodzi z niego przeobrażonym zupełnie, czystym jak łza, gotowym do najwyższych poświęceń. Rozmiłował się on — powiada Bohdan — w prawdzie Krzyża, która jest oraz bohaterstwem.

I oto pod koniec lata 1835 r. wychodzi on z Paryża pieszo, bez grosza przy duszy, idzie jako wyznawca i apostoł nawracać innych Polaków, rozproszonych po Francyi. A w tych koloniach polskich było podówczas źle, źle bardzo. „Stara waśń — powiada Bohdan — wszczęta ongi nad Wisłą, w boleściach tułackich rozgorzała do zapamiętałości....“ wybuchł tam pożar pogańskiego całopalenia. Celiński idzie tak od miasta do miasta, od jednego polskiego domu do drugiego i nienawidzącym się a rozjątrzonym głosi obowiązek zgody i miłości. Po drodze, nieraz zgłodniały i na śmierć znużony, szuka wytchnienia po kościołach i kaplicach; wspomagają go i zaopatrują czasem Siostry Miłosierdzia. Raz pod Orleanem osłabł tak z głodu, że upadł na gościńcu, w błoto, i byłby zginął, gdyby nie wygrzebana z błota kosturem pięciofrankówka. To cud! — pomyślał — i podążył dalej, przyjmowany przez rodaków rozmaicie, często z niechęcią, zawsze z niedowierzaniem. Nie rozumiano tej jego pielgrzymki, dziwiono się jego żarliwym modlitwom, ciągłym spowiedziom i komuniom. Pytano: co zacz jest? czyim jest wysłańcem? On zaś odpowiadał: „Przychodzę od waszych bogobojnych praojców, których misyę chrześcijańską radzi nieradzi spełnić musimy, albo zginie Polska, zginie tem okropniej, że przez samobójstwo!... Najskuteczniejszy sposób służenia Ojczyźnie to pojednanie się między sobą, a potem z Bogiem i Kościołem“. W ten sposób przez wiele dni i przez wiele miesięcy od rana do wieczora spełniał Celiński w niezwykłem, wyjątkowem podnieceniu ducha, swoją apostolską misyę. Z jakim rezultatem? Nawracał — świadczy Bohdan — nieraz całe gromady, niestety, na krótko, „bo duch czasu pędził gdzieindziej, pędził w ciemnik namiętności politycznych“. — Tak przeszedł, ten szczególny apostoł, całą niemal Francyę, aż znalazł się strudzony już i chory w ustronnem prowanckiem Lunel. Tu postanawia przebyć czas dłuższy w skupieniu, gotując się do stanu duchownego, tu układa i rozsyła w różne strony plan utworzenia „Rycerskiego Zakonu“; plan — powiada Bohdan — natchniony i przeważnego znaczenia dla Polski; tu wśród obcych zjednywa sobie miano „Świętego Polaka“, a taką miłość, że gdy począł coraz bardziej zapadać na zdrowiu. Lunelczycy oblegli go prośbami, aby się ratował i skłoniwszy do wyjazdu do głośnego podówczas Montpellier, z płaczem, gromadnie odprowadzili za miasto i obdarowali tułacza, prosząc o błogosławieństwo. — W Montpellier znajduje Celiński troskliwą opiekę w dr. Hipolicie Terleckim, a jakby wywdzięczając mu się za to, umacnia chwiejnego w wierze i poddaje mu myśl zostania księdzem. Wkrótce jednak potem umarł Celiński, dnia 8 grudnia 1837 r. — Umarł jak święty, improwizując po cichu — mówi Bohdan — do ostatniego tchu, coś o Bogu i o Polsce — łabędzi hymn, górnej, prorockiej treści, w słowach już niesklejnych, rozwiewnych. — Pozostałe po nim poezye, przesłał Bohdan w roku 1850 wraz z obszernym listem, opisującym dzieje Celińskiego, Janowi Koźmianowi, które miał je ogłosić drukiem w *Przeglądzie Poznańskim*. Ale dziwny los! Jak Celiński za życia nie mógł nigdy znaleźć się w ogniu bitwy, chociaż tego tak pragnął, tak i po śmierci, poezye jego nie miały nigdy doczekać się druku i ognia krytyki. Rękopis wraz z owym listem Bohdana, mającym służyć za przedmowę, zaginął. O Celińskim jest dłuższa wzmianka w I. tomie X. Smolikowskiego „Hist. Zgrom. Zmartwychwstania Pańskiego“, lecz najważniejszem źródłem przechowana kopia listu Zaleskiego do Jana Koźmiana, która ogłoszona będzie w II. tomie Korespondencyj.

Celiński, rozpoczynając swą pielgrzymkę apostolską przestał tworzyć poezye. Lękał się snadź szatana pychy, który łatwo wciela się w poetę a o tem wcieleniu on sam tak mówi: Szatan:

Rozbiera serce, aby szło w wyrazy,
Umarza życie, aby szło w obrazy,
Wielbi naturę, a zbija z jej drogi;
Mówiąc o Bogu, błogosławi bogi,
Woła „Wolności!“ — Zna sztylet mirtowy,
Zadaje rany, ale tylko słowy....
Dziś tem straszniejszy, że światło zwodnicze,
W najponętniejsze przystroił oblicze,
On dziś P o e t a !...

To może jedyne słowo Celińskiego — słowo nie bez głębszego znaczenia — jedyne które ocalało w liście Bohdana.

Ciekawe jest, co o poezyach Celińskiego pisze Zaleski. Są one, zdaniem jego, pełne męskiej siły, patryotyczne, to religijne; wysokiego polotu w mniejszych ustępach, słabną w większych, wszędzie jednak noszą piętno „namaszczenia“. Celiński rzucał pełną garścią „słowa co żyją i myśli co goreją“. Pierwszy pochop ku wieszczeniu wziął on z Mickiewicza, ale rychło sam się wzmógł i Zaleski nazywa go przesłańcem „Ery prorockiej“ w piśmiennictwie polskiem. Co jednak najbardziej zdumiewa i jak powiada Bohdan „niepokoi“ w tych wierszach, to dziwne powinowactwo duchowe Celińskiego z Towiańskim i autorem „Przedświtu“, o których za życia „świętego Polaka“ nie było jeszcze wieści. Pojęcia o Napoleonie i o posłannictwie Polski, takież same u niego, co i u tych późniejszych i jakoby żywcem z pism ich wzięte. „Jest to — dodaje Bohdan — prawdziwe jak rachunek i dziwne jak mara“. Podobieństwo to musiało być rzeczywiście uderzającem, gdy i w innym liście do Jana Koźmiana, także z roku 1850, zaznacza Bohdan, że przysłano mu z Rzymu kilka arkuszy mistyczno-fantastycznego poematu, jakoby pióra Celińskiego, lecz on waha się z oddaniem tego poematu do druku, a waha się dla tego, że „wyrażenia i wyrazy są całkiem Zygmuntowe, jak „świetlana“, „anielenie“ i t. p. Bohdan dodaje, że tegoż samego zdania jest i ks. Hieronim Kajsiewicz.

Celiński żył krótko, bo w chwili śmierci nie miał jeszcze lat trzydziestu, a jednak jakże pełne to życie! Pełne smutków i cierpień, pełne nadziei i zawodów, pełne zboczeń, upadków i bohaterskich wysiłków, pełne wreszcie wysokiego poświecenia i niezwykłych uniesień duchowych. Wpatrzywszy się w tę wątłą postać „świętego Polaka“, w tego, jak go Bohdan nazywa „bohatera krzyżowej legendy emigranckiej“, poczynamy lepiej tę legendę rozumieć, poczynamy lepiej pojmować i czasy te i ludzi, mieniących się „rozesłańcami“, a zrozumiawszy, łatwiej nam wiele błędów i obłędów przebaczyć, wiele niezwykłych cnót podziwiać i ukochać! — [1]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Adam Krechowiecki.

GOSPODARSTWO I HANDEL

Przedsiębiorstwo dowozowe we Lwowie. C. k. Dyrekcya kolei państwowych we Lwowie, komunikuje:

„Na podstawie postanowień regulaminu ruchu dla kolei żelaznych królestw i krajów w Radzie państwa reprezentowanych, zaprowadza się z dniem 1 kwietnia 1901 przedsiębiorstwo dowozowe na stacyi c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie. Przedsiębiorstwo dowozowe oddane zostało firmie I. Klimkiewicz i Spka, której biuro znajduje się we Lwowie ul. Akademicka l. 8.

Przedsiębiorstwo to uskuteczniać będzie pod odpowiedzialnością zarządu kolejowego oznaczoną przepisami regulaminu ruchu i za opłatą oznaczonych w taryfie należytości następujące czynności:

a) Dowóz posyłek pospiesznych i zwyczajnych nadchodzących do Lwowa liniami c. k. austryackich kolei państwowych do pomieszkań lub składów adresatów we Lwowie. O nadejściu przesyłek przez przedsiębiorstwo dowozić się mających nie będzie zarząd kolejowy adresatów uwiadamiał, a listy przewozowe na takie przesyłki wraz z przynależnymi dokumentami będą adresatom przy oddaniu samej przesyłki, względnie po odwiezieniu przesyłek do cłowego urzędu we Lwowie, przez przedsiębiorstwo wręczane. Przy tej sposobności mają być należytości na przesyłce ciążące przez adresata przedsiębiorstwu zapłacone i odbiór przesyłki na awizie, które stanowi zarazem recepis odbiorczy, za dopisaniem godziny doręczenia potwierdzony. Przy opłacie należytości kolejowych, obliczonych w obcych walutach, walutą koronową ma się przedsiębiorstwo stosować do kursu pieniężnego ustanawianego każdocześnie dla kasy towarowej we Lwowie;

b) Przewóz przesyłek pospiesznych i zwyczajnych oddanych przedsiębiorstwu dowozowemu do odstawienia tychże na dworzec kolejowy celem dalszej wysyłki.

Od dowozu przez przedsiębiorstwo są wyłączone: 1. Przesyłki pospieszne i zwyczajne nadchodzące do takich adresatów, którzy przedłożą naczelnikowi stacyi we Lwowie piśmienne uwierzytelnionym podpisem opatrzone podanie żądające, by nadchodzące dla nich przesyłki nie były im dostawiane, lecz w dotychczasowy sposób awizowane. 2. Wszelakie przesyłki, za które należytości przewozowe obliczają się na podstawie minimalnej wagi 5000 kg. 3. Ciała nieboszczyków. 4. Żywe zwierzęta nieopakowane. 5. Sztaby ze złota i srebra, platyna, pieniądze, wartościowe monety i papiery, dokumenty, drogie kamienie, prawdziwe perły, klejnoty i inne kosztowności, wreszcie przedmioty sztuki jakoto: obrazy, odlewy z bronzu, starożytności. 6. Towary wybuchające. 7. Towary uszkodzone. 8. Przesyłki, przy których pojedyncze sztuki ważą więcej jak 750 kg. (wyjątek stanowią napełniane beczki o dnach okrągłych) lub mają więcej jak 6·3 metrów długości. 9. Przesyłki w zamkniętych na kłódki pakach, podlegające opłacie akcyzowej lub propinacyjnej.

Taryfa: Z dworca lub do dworca c. k. kolei państwowych we Lwowie, do lub ze sklepu a względnie pomieszkania, za przesyłki pospieszne włącznie z dostawą na piątra i do piwnic od przesyłki do 25 kg. 50 hal. ponad 25 kg. za każde 100 kg. 60 hal. Za zwykłe przesyłki towarowe za 100 kg. 40 hal., najmniejsza należytość za jedną przesyłkę 40 hal. Za towary oznaczone w taryfie część I. jako przestronne, tudzież za fortepiany i żelazne kasy wagi do 750 kg. uiszcza się $1\frac{1}{2}$ razowa należytość dowozowa.

Powyższe należytości liczą się przy zwykłych przesyłkach towarowych za dostawienie przesyłek do mieszkań parterowych, magazynów i t. d., względnie do cłowego urzędu we Lwowie lub za odstawienie z takichże mieszkań, magazynów i t. d. do dworca.

Na żądanie strony mogą być tak dowiezione, jak i odwieść się mające towary wyniesione, względnie zniesione do piwnic lub wyższych piętr i odwrotnie za opłatą 10 halerzy za każdych zaczętych 100 kg. najmniej jednak 20 hal. za jedną posyłkę, bez względu na ilość sztuk dotyczącej przesyłki. Jeżeli przedsiębiorstwo dowozowe na żądanie wysyłającego wystawi (lub wypełni) dokumenty cłowe, lub akcyzowe tudzież statystyczne karty meldunkowe, dalej listy przewozowe i duplikaty, natenczas może ono żądać opłaty 10 halerzy od każdej sztuki. Przedsiębiorstwo dowozowe uważać należy w takim wypadku jako upoważnione przez wysyłającego i odpada wtedy jakakolwiek odpowie-

---

[1]) Trzy listy Bohdana do Jana Keźmiana i notatka Jańskiego o Celińskim. Mss.

Z Warszawy.

(Urlop ks. Arcybiskupa Popiela. — Zaprzeczenie doniesienia o nowem uciążliwem zarządzeniu cenzury warszawskiej. — Teatr ludowy).

Warsz. Gub. Wied. ogłaszają, iż car w skutek raportu ministra spraw wewnętrznych zezwolił na udzielanie arcybiskupowi warszawskiemu ks. Wincentemu Popielowi urlopu zagranicznego na przeciąg sześciu tygodni.

Piszą do *Czasu:* „W kilku gazetach zakordonowych ukazała się wieść jakoby cenzura warszawska, a właściwie „główny cenzor“ Iwanowski, wydał rozkaz przedstawiania rękopisów powieści nie z numeru na numer, ale w całości. Otóż najpierw takiego dygnitarza nie ma wcale, a „prezes komitetu cenzury“ nazywa się Emmauski. Powtóre o rzekomym nakazie przedkładania cenzurze dzieł w całości nic tu niewiadomo.

Piszący te słowa pozostaje w ścisłych stosunkach z kilku dziennikami i innemi peryodycznemi wydawnictwami wychodzącemi w Warszawie i żadnej z tych redakcyj nie zakomunikowano podobnego rozporządzenia. Wiadomość zatem podana przez pisma zakordonowe jest z gruntu nieprawdziwa, albo odnosi się do jakiegoś tu nieznanego pojedynczego wypadku.“

Sprawę reorganizacyi zarządu teatru ludowego załatwiono ostatecznie na onegdajszem posiedzeniu komitetu trzeźwości. Zarząd ten spoczywać będzie w rękach komisyi z czterech członków i dwóch zastępców z głosem doradczym, wybieranych przez komitet na rok. Komisyi tej przysługuje prawo: rozporządzania sumami przeznaczonemi na utrzymanie teatru ludowego w granicach zatwierdzonego przez komitet kuratoryum budżetu, angażowanie i zwalnianie z obowiązków członków trupy teatralnej i orkiestry, nakładanie kar na artystów, w ogóle obsadzanie wszelkich posad w teatrze ludowym. Do komisyi tej wybrano: na prezesa p. W. Czyżewicza, na członków pp.: Maryana Gawalewicza, Bożowskiego i pułk. Marczenkę. Teatr ludowy w roku zeszłym dał niedoboru 31.000 rubli, skutkiem czego uchwalono zredukować wydatki budżetowe na r. b. o 10.000 rubli.

Dyskusya polska w sejmie pruskiem.

(Telegram).

Berlin, 12 marca.

W Izbie deputowanych sejmu pruskiego na wczorajszem posiedzeniu, w dalszym ciągu dyskusyi nad budżetem ministerstwa oświaty zabrał głos poseł Mizerski i żądał zaprowadzenia polskiej nauki religii w poznańskich wyższych szkołach dla dziewcząt. Ponieważ nauka religii udzielana w języku niemieckim, którego dziewczęta nasze nie rozumieją — mówił p. Mizerski — mija się z celem, przeto żądamy, aby język polski dopuszczony był przynajmniej w szkołach prywatnych, skoro rząd nie chce go do szkół publicznych wprowadzić.

Minister oświaty Studt odpowiedział: Co do mnie, zaniechałem już dalszych usiłowań, mających na celu porozumienie się z panami z polskiej frakcyi. Co do legalności naszych zarządzeń nie ma żadnej kwestyi. Nie widzę też żadnego powodu, abym je miał zmieniać. Względy, jakie rząd wobec Polaków okazał w r. 1890, nic nam nie przyniosły. Absolutnie mam słuszność, gdy twierdzę, że chodzi tu o systymatyczne polonizowanie naszej ziemi we wschodnich dzielnicach. Rząd jest uprawniony do tego, aby nie robić żadnych różnic między szkołami publicznemi a prywatnemi, albowiem ich cele naukowe są równe. Rewizya przedsięwzięta w szkołach prywatnych okazała, że szkół tych nadużywano do celów narodowo polskich. Dużo dziewcząt pochodzenia niemieckiego zmuszano poprostu w tych szkołach do nauki w niezrozumiałym dla nich języku polskim. Panowie groziliście nam walką, my spokojnie na nią czekamy i podejmiemy ją. Jeśli jednak walka dalej trwać będzie, jeśli panowie w dalszym ciągu obrażać będziecie w sposób dotychczasowy narodowe nasze i patryotyczne uczucia, w takim razie — mówię to w waszym własnym interesie — nie możecie liczyć na łagodniejsze stosowanie ustaw. Dopóki z waszej strony trwać będzie ostry stan wojenny, dopóty i my żadnej nie okażemy względności.

KRONIKA

Lwów, 12 marca.

— **Wiadomości osobiste.** Dyrektor kolei państwowych p. Horoszkiewicz powrócił do Krakowa z Drezna, gdzie uczestniczył w konferencyi międzynarodowej kolejowej, tyczącej się bezpośredniego kursowania wozów.

— **Powszechne wykłady uniwersyteckie.** Środa, dnia 13 b. m., w Zakładzie chemicznym (ul. Długosza 6) od godziny pół do 8 do pół do 9 dr. St. Opolski „Z chemii życia codziennego: superfosfat, odlewy gipsowe, historya szkła“ (z demonstracyami).

— **Kasyno ziemiańskie.** Walne zebranie członków Kasyna ziemiańskiego odbędzie się w sobotę, dnia 23 b. m., o godzinie 6 wieczorem w lokalu Kasyna w hotelu George'a.

— **Rezerwowi kadeci i jednoroczniacy.** Najnowszy Dziennik rozporządzeń wojskowych ogłasza, że wszyscy rezerwowi kadeci (nie sierżanci), jak również jednoroczni ochotnicy, którzy zdali egzamin oficerski, a których z powodu braku dostatecznych dokumentów co do środków utrzymania, kadetami nie mianowano, mają być od 1 kwietnia począwszy mianowani rzeczywistymi sierżantami i w księgach ewidencyjnych mają być prowadzeni pod osobną rubryką jako „aspiranci na kadetów rezerwowych“.

— **Z gal. Towarzystwa gospodarskiego.** Walne zgromadzenie rady ogólnej gal. Towarzystwa gospodarskiego odbędzie się d. 22 i 23 b. m. we Lwowie.

— **Nadzwyczajne** walne zgromadzenie fabryki wody sodowej „Zdrowie“, Stowarzyszenia zarejestrowanego z ograniczoną poręką, odbędzie się dziś, d. 12 b. m., o godzinie 6 wieczorem w lokalu Banku zaliczkowego (ul. Hetmańska 10, I piętro). Na porządku dziennym zmiana statutu.

— **Z żeńskiego seminaryum nauczycielskiego.** Prywatystki, chcące składać egzamin dojrzałości w c. k. seminaryum nauczycielskiem we Lwowie, mają wnieść podania należycie udokumentowane do dyrekcyi zakładu (ul. Sakramentek 7) po koniec marca b. r. Dyrekcya zwraca uwagę, iż egzamin z języka ruskiego jest obowiązkowy.

— **„Lutnia“** odbyła wczoraj drugie z rzędu walne zgromadzenie, na którem wybrano następujący wydział pp.: Berta Hanińczak, Barańska-Ostaszewska, Anna Weinrebowa, Ananiasz Ardan, Józef Blicharski, dr. Wiktor Legeżyński, Włodzimierz Eliasiewicz, Stanisław Spysz i Napoleon Dorożewski.

— **Z Czytelni katolickiej.** We środę, dnia 13 b. m., odczyta p. J. M. pracę „O syonistach“. Odczyt opracowany jest na bardzo ciekawych dokumentach i faktach. Początek o godzinie 7. Wstęp wolny dla pań i wprowadzonych panów. Lokal w Rynku l. 30.

Przerwane pogadanki p. Tarczałowicza z architektury Odrodzenia w Polsce, odbędą się w dwóch następnych tygodniach.

— **Na zupę rumfordzką** złożyli w handlu p. J. Drexlera i Synów: Hr. Cetner 20 K., przekazem Brusów z Grzymałowa 4 K., p. Sulatycki 10 K.

Rozdano od dnia 24 lutego do 9 b. m. 3603 porcyj zupy i 3654 porcyj chleba.

W tym samym czasie kosztem magistratu wydano 2800 porcyj zupy i 2800 porcyj chleba.

— **Doktorat.** P. Daniel Niewęgłowski. syn inspektora Akademii paryskiej, otrzymał tytuł doktora praw Uniwersytetu paryskiego. Tezą, której p. Niewęgłowski bronił, były: Idee polityczne i duch publiczny w Polsce w końcu XVIII wieku, oraz konstytucya 3 Maja“. Jury profesorskie przyjęło pracę naszego rodaka z wielkiem uznaniem.

— **Zapis dla pryw. oficyalistów.** S. p. Józef Szneyder, długoletni przewodniczący złoczowskiego oddziału Towarzystwa urzędników prywatnych (dawniej oficyalistów prywatnych), przeznaczył testamentem dobra Biały Kamień, Bużek, Czeremosznia, Usznia i Żulice, wartości przeszło milion koron, na utworzenie i utrzymanie zakładów dobroczynnych w Białym Kamieniu. W szczególności zalecił testator utworzenie zakładu wychowawczego dla dziewcząt, sierót po oficyalistach prywatnych ekonomicznych i lasowych, tudzież szpitala dla biednych chorych; oprócz tego mają być co roku wyznaczane z czystych dochodów tych dóbr 4 posagi po 200 K. dla biednych dziewcząt obrz. rz. kat. (analfabetki są wykluczone). Zarząd zakładów i majątku całego powierzony został testamentarnie zgromadzeniu SS. Miłosierdzia w Krakowie na Kleparzu. Spadkobierca (Siostry Miłosierdzia) zobowiązany jest do prowadzenia gospodarstwa w tych dobrach we własnym zarządzie, a w razie konieczności wydzierżawienia części dóbr, wolno powierzyć dzierżawę tylko katolikom polskiej narodowości, którzy obowiązani są do utrzymywania wyłącznie oficyalistów katolików.

Zakład wychowawczy dla sierót w Białym Kamieniu wszedł już w życie i mieści na razie 18 dziewcząt.

Zakład jest urządzony wzorowo, jak to stwierdzili przy zwiedzaniu go pp. R. Makarewicz, dyrektor Towarzystwa urzędników prywatnych i delegat do rady nadzorczej tegoż Towarzystwa T. Dzięciołowski, a na przedstawienie tych panów przełożona Siostra Rzewuska objawiła życzenie, aby zarząd Towarzystwa prywatnych urzędników przedkładał jej corocznie wykazy sierót po członkach Towarzystwa, któreby mogły być do zakładu przyjęte.

Zapis ś. p. J. Szneydra jest może jedynym pod tym względem, że zawiera dobroczynne postanowienia dla licznej i materyalnie podupadłej klasy prywatnych oficyalistów, którzy jak dotąd, ograniczeni są do samopomocy.

— **„Wędrówka milionów“.** Pod tym tytułem pojawiła się broszurka, pióra nauczyciela ludowego p. Mikołaja Budzynowskiego, w której autor, jako jeden z założycieli krajowej wytwórczo-handlowej Spółki we Lwowie, na podstawie dat statystycznych wykazuje, że Galicya wydaje rocznie na same przybory szkolne 6 milionów koron. Celem tej broszurki jest nakłonić społeczeństwo całego kraju do poparcia i podniesienia galicyjskiego przemysłu w zakresie przyborów szkolnych i kancelaryjnych. Czysty dochód ze sprzedaży broszurki przeznaczył autor na bursę dla dzieci nauczycieli ludowych.

— **Zapis.** Z Warszawy donoszą: Ś. p. Lucyna Cwierciakiewiczowa prawo wydawnictwa podręczników gospodarskich i „365 obiadów“, które przynosiły autorce 4000 rubli rocznego dochodu, przekazała na własność pp. J. Fiszerowi (wydawcy powyższych podręczników) i Zygmuntowi Sarneckiemu, zobowiązując ich do wypłacenia z tego źródła corocznie w dniu 17 października 300 rubli zapomóg dla ubogich uczniów i studentów.

— **Zmarła** w ostatnich dniach: w Warszawie, Halina z Troszlów Julianowa Wieniawska, w 50 roku życia.

— **Wielki spadek.** Konsulat austro-węgierski w Warszawie poszukuje miejsca zamieszkania Michaliny Andraszek, która wyemigrowała ze Lwowa do Rossyi przed 24 laty, a obecnie została spadkobierczynią majątku pozostałego po zmarłej ś. p. Zuzannie Kuryłowicz, wynoszącego około 150.000 zł.

— **Wypadek na kolei.** Z Bochni donoszą nam: Na przestrzeni kolejowej Bochnia-Kłaj znaleziono w tych dniach zwłoki mężczyzny, zmiażdżone przez pociąg kolejowy. Dochodzenia co do stwierdzenia identyczności zabitego, który, sądząc z ubioru, był góralem, są w toku.

— **Krwawy deszcz.** Z Rzymu telegrafują nam: W Palermo i innych miejscowościach Sycylii zauważano znany fenomen pod nazwą „deszczu krwawego“. Ciemnoróżowe obłoki pokryły firmament, a po południu spadł deszcz, którego krople miały wygląd skrzepniętej krwi. Tego rodzaju fenomen zauważono także w południowych Włoszech. W Rzymie firmament przybrał barwę żółtawą, przyczem dął gwałtowny *sirocco*. W Neapolu po ulewnym deszczu spadł wieczorem deszcz krwawy.

— **Katastrofy kolejowe.** Z Brukseli telegrafują nam: Wskutek mylnego nastawienia zwrotnicy, najechał przedwczoraj wieczorem pociąg osobowy przychodzący z Roulers, na pociąg towarowy. Kilka wozów osobowych wykoleiło się. Maszynista i dwóch podróżnych utraciło życie, wielu podróżnych jest ciężko rannych.

Na stacyi Woroneż na pociąg mieszany, którym jechało 28 dzieci szkolnych, wpadł onegdaj pociąg towarowy z taką siłą, że 16 wagonów zostało rozbitych. Dwie kobiety i 18 dzieci odniosło rany, a dwojgu zagraża utrata życia. Ze służby zabite 3 osoby, tudzież zwrotniczy, który stał przy pobliskiej zwrotnicy.

— **Długowieczność.** Z Odessy donoszą: Do tutejszego miejskiego szpitala zgłosił się z prośbą o przyjęcie niejaki Łopuszyński, starzec liczący 122 lat. Dotychczas zachował on doskonałą pamięć, mowę, słuch, wzrok i apetyt.

— **Zatrucie masłem.** Z Wrocławia donoszą: W Bojanowo zaszedł smutny i nader rzadki wypadek zatrucia całej rodziny przez spożycie starego masła. Wszyscy członkowie tej rodziny są ciężko chorzy, a najstarsza 21-letnia córka już zmarła.

— **Eksplozya kotła.** Z Chicago telegrafują nam: W tutejszej pralni parowej nastąpiła eksplozya kotła, wskutek której dom został zburzony a około 40 osób padło ofiarą. Z gruzów wydobyto dotychczas 8 zabitych a 25 rannych.

Notatki literacko-artystyczne.

Towarzystwo historyczne. Zapowiedziane przez prof. Wł. Abrahama wykłady o nowych wykopaliskach na Forum i o rękopisie z Cividale zgromadziły w sobotę liczne grono członków Towarzystwa historycznego, wśród których był też obecny JE P. Namiestnik Leon hr. Piniński. Prof. Abraham, który bawił w grudniu roku zeszłego w Rzymie i zapoznał się na miejscu ze stanem rzeczy, skreślił w pierwszym wykładzie plan wyniku rozpoczętych w r. 1897 poszukiwań na Forum Romanum, prowadzonych pod kierunkiem inżyniera Boni. Prace dwóch lat ubiegłych przyniosły plon bardzo poważny, który przyczynił się w znacznej mierze do poznania topografii Forum, zwłaszcza w czasach rzeczypospolitej, a znalazły się przytem rzeczy nowe niemałego historycznego znaczenia. Dotychczasowy poziom Forum niższy o kilka metrów od poziomu obecnego Rzymu, został znacznie pogłębiony, bo okazało się, że poziom ów przed rokiem 1898 pochodzi jużto z późniejszych czasów cesarstwa rzymskiego, jużto z wieków średnich. Pogłębienie odsłoniło wiele kryjących się wśród gruzów nieznanych zabytków, a z pośród nich niektóre osłania jeszcze mgła tajemnicza. Wielkie wrażenie w świecie naukowym wywarło odkrycie części placu brukowanego czarnym marmurem, który położono, zdaje się w początku wieku IV. po Chrystusie dla oznaczenia miejsca, gdzie wedle tradycyi, miał się znajdować grób założyciela miasta, Romulusa. Lecz pod tym kamieniem czarnym na poziomie Forum z dawniejszych czasów rzeczypospolitej spoczywał przez wieki ukryty złom kolumny, opatrzony napisem, który bezsprzecznie jest najstarszym znanym pomnikiem piśmiennym Rzymu. Określenie czasu i znaczenia tego napisu zaprząta dziś żywo świat naukowy i wywołało obszerną już literaturę, która odnosi go albo do czasów królów, albo do początków rzeczypospolitej. Pewnem jest, że napis ten obejmuje przepisy sakralne, tyczące się funkcyi, jakie pełnił Rex Sacrorum. Za tym odkryciem poszły inne. Odsłonięto wiele podstaw kolumn i i posągów z historycznymi napisami, odkryto wielką bazylikę Asmilia, w którą przy jej końcu wschodnim wbudowano w czasach Gotów lub bizantyńskich pałac prywatny z materyałów Forum. Próg tego pałacu stanowi płyta obejmująca Fasti consulares z w. IV. przed Chrystusem. Idąc dalej ku Colosseum, odsłonięto z gruzów i odczyszczono substrukcye świątyni Cezara, mieszkania, w których przebywał Pontifex maximus (Regia) posadzką mieszkania prefekta miasta, a tuż obok Bazyliki Konstantego W. kilka metrów pod dotychczasowym poziomem dokopano się do dawnego bruku „Via Sacra“. To wszystko było następstwem prac dwóch lat ubiegłych. Ale niemniej cenne wyniki przyniosły wykopaliska ubiegłych kilku miesięcy. Między mieszkaniem Westalek a świątynią Kastora i Polluksa odnaleziono wspominaną często u autorów starożytnych fontanę Juturny, dobrej nimfy latyńskiej, której imię związane jest z mitycznemi dziejami Rzymu. Fontanna ta, raczej basen jest wyłożona cała marmurem a w środku basenu na wzniesioniu znaleziono przepyszny, rzeźbiony ołtarz poświęcony bogini. W zabudowaniu obok znalazły się rzeźby marmurowe Eskulapa, tors Apolina, biust Jowisza, niedaleko zaś basenu w stronę ku Palatynowi drugi ołtarz poświęcony Juturnie, marmurowe ocembrowanie źródła i rodzaj kapliczki bóstwa. O krok dalej wchodzi się w świat inny. Dla badań archeologicznych terenu między Forum a pałacami Cezarów na Palatynie zniesiono drogę, która szła tamtędy i zburzono Kościół S. Maria Liberatrice. Opłaciło się to sowicie, pod tym kościołem nowym odkryto wbudowaną w dół Palatynu wielką bazylikę chrześciańską, pochodzącą z pierwszych wieków po uznaniu chrześciaństwa przez państwo. Całą ją zdobią freski przeważnie dobrze zachowane z czasu od wieku V. do VIII., z wizerunkami współczesnych Papieży Zacharyasza i Pawła I. Znaleziono tam nadto marmurową podstawę ambony z napisem Papieża Jana VII. a te dane pozwoliły stwierdzić, że ta bazylika jest starym kościołem poświęconym czci Matki Bożej, który już w wieku VIII nazywano Starym, S. Maria Antiqua. Przy tym kościele zbudował właśnie pałac papieski Jan VII. i tam na pewien przeciąg czasu przenieśli się Papieże z Lateranu. Z pośród fresków oprócz fresku absydy uderzają przedewszystkiem malowidła lewej nawy od wejścia, przedstawiające ukrzyżowanie Chrystusa. Pomiędzy tym kościołem zaś a Fontanną Juturny znaleziono znowu inny mały kościółek, który stanowił zapewne baptisterium bazyliki, również zdobny freskami z napisami z wieku VIgo. Odkrycia te dla archeologii chrześciańskiej i historyi sztuki posiadają pierwszorzędne znaczenie, tembardziej, że dotąd tego rodzaju pomniki z tych czasów i tak dobrze zachowane nie były znane.

Przedmiotem drugiego wykładu był rękopis należący niegdyś do katedry w Cividale, znajdujący się obecnie w tamtejszem muzeum. Rękopis ten, modlitewnik łaciński, pochodzi w głównej swej części z X wieku z Trewiru i jest opatrzony wielką liczbą miniatur współczesnych. Do tego rękopisu jednak dołączono później dwie inne części. Jedną stanowi kalendarz z wieku XII z zapiskami nekrologicznemi, wśród których zamieszczono imiona Bolesława Krzywoustego i jego żony Salomei, część druga na dalszych kartach obejmuje znowu modlitwy łacińskie, ozdobione czterema miniaturami, w zupełnie innym stylu niż reszta miniatur rękopisu, bo noszą one na sobie widoczne piętno sztuki bizantyńskiej. Treść tych miniatur, z których każda całą stronę zajmuje, ilustruje — zdaniem prelegenta — jedną z ważnych chwil dziejowych Rusi kijowskiej w końcu XI w. Na pierwszej z miniatur przedstawiono postać św. Piotra z kluczami w ręku, a obok niego postacie pary książęcej z napisem u góry kirylicą po rusku Jaropołk, postać z podobnym podpisem całuje równocześnie w nogę św. Piotra. Druga i trzecia miniatura przedstawiają narodzenie i ukrzyżowanie Chrystusa, a na ostatniej wyobrażony jest Chrystus na tronie, mający po jednej stronie św. Piotra, po drugiej św. Irenę, gdy kładzie na głowy stojących poniżej księcia i księżnej korony. Prelegent odnosi te miniatury do wypadków z r. 1075. Wygnany z Kijowa w. ks. Izasław udał się w tym roku w

„Gazeta Lwowska" R. 91, nr. 60 29
14. III. 1901

długim szeregu najpiękniejsze jego krajobrazy, oraz kompozycye historyczne i rodzajowe. Na szczególne wyróżnienie zasługują: „Cmentarz w górach", „Gerson na tle przyrody tatrzańskiej", „Królowa Jadwiga przyjmująca dary ślubne od posłów Jagiełły", „Babunia", „Szczelina Kraków w Tatrach" i rama dekoracyjna do pieśni „Bogarodzico", wykonana dla *Tygodnika illustrowanego*. Biografię Wojciecha Gersona napisał Henryk Piątkowski.

Resztę numeru wypełniają powieści Kazimierza Tetmajera i T. T. Jeża, artykuły o Goszczyńskim, o Ksawerym Liskem (z okazyi dziesięcioletniej rocznicy jego śmierci) i i., tudzież bogata „Kronika powszechna".

Repertoar teatru miejskiego we Lwowie.

Dziś we środę „Łucya z Lamermooru", wielka opera romantyczna w 4 aktach a 6 odsłonach, muzyka Donizettiego. Gościnny występ p. Jadwigi Camillowej i Ignacego Warmutha.

We czwartek po raz czwarty „Wesoła dwójka", operetka w 3 aktach L. Krenna i K. Lindaua, muzyka C. M. Ziehrera.

BOHDAN ZALESKI

o sobie i współczesnych.

(Na podstawie korespondencyj).

II.

(Ciąg dalszy).

Pierwsze czasy tułactwa, które Celińskiego popchnęły w przepaść moralnego upadku, opromieniła Bohdanowi Zaleskiemu wielka, osobista z Mickiewiczem przyjaźń. W jesieni 1832 r. w Paryżu spędza z nim sam na sam wieczory. „Kochamy się — woła — jak rodzeni bracia.... Drogi, nieoszacowany nasz Adam! Jak świat wielki, cudowny poeta i człowiek!" Przygotowywało się się wówczas wydanie 4 tomu edycyi paryskiej Poezyj Mickiewicza, przygotowywało się się w wielkiej tajemnicy, do której przypuszczone były tylko trzy osoby, a w tej liczbie Bohdan, z czego on widocznie jest dumny i z radością zaznacza, że w podarunku na pamiątkę dał mu Adam własnoręczny swój rękopis 3-ciej części „Dziadów", które czyta w zachwycie, na klęczkach. — To — woła w liście do Nabielaka, — prawdziwa narodowa epopeja, która w obszernych ramach żywot narodu i wszystkie światy poetyckie obejmie olbrzymie, oryginalne poema, coś na kształt „Divina Comedia" nasza, — genialne szekspirowskie sceny!

Z zachwytów tych budzą go niemile ciągłe swary emigranckie, owa walka wszystkich przeciw wszystkim. Pułaski i demokraci biją na Lelewela, Czartoryski i arystokraci na Lelewela i demokratów, wojskowi na wszystkich, wszyscy na wojskowych, każdy chce swój kształt rządu zaprowadzić w Polsce, której nie ma! W tym rozgwarze namiętnym, znużony „politykowaniem i komitetowaniem", sesyami sejmowemi, na których, jak pisze, „gryziem się i kłócim", przestaje Bohdan szacować nawet tych, których zasługi zkądinąd uznaje i coraz ściślej tuli się do wielkiego Adama. Żyje zresztą jak pustelnik wśród „pojczystych, porodzinnych, pomiłośnych pamiątek" i tworzy pieśni, które — zwierza się Nabielakowi — jak wody strumienia, w miarę swego łożyska, płytkie, to głębokie, mętne to jasne, odbijają atoli coś z blasku i barwy nieba i okolic, przez które płyną i dźwięczą [1]) W owych to rozmowach, sam na sam prowadzonych z Mickiewiczem, musieli obaj poruszać swary i niesnaski wśród emigracyi, która, wedle wyrażenia Bohdana, wydaje się światu „jak piekielna, stujęzyczna żmija"; musieli też szukać lekarstwa na te „najobrzydliwsze głupstwa". Tam to, pod wpływem Adama, zrodziło się w Zaleskim przekonanie o misyi, czy roli, jaką ma odegrać wśród narodów „Polska męczeńska", tam wśród tych rozmów rodziły się myśli, że tułacze polscy powinni utworzyć „zakon orężny", myśli, które potem ujął w plan, nawrócony Adam Celiński; tam prawdopodobnie powstał pomysł „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego", których wyjście oznacza Bohdan na dzień 4 grudnia 1832 r, a które nazywa wyborną nauką dla ogółu tułaczów, co się myślą poprawić; tam wreszcie zakiełkowała myśl utworzenia związku, któryby przykazania Boże słowy i uczynkami wypełniał, — związku Braci Zjednoczonych, który też w rocznicę powstania 1833 r. przyszedł do skutku [2]).

Musiało być jednak Bohdanowi nieraz bardzo duszno w Paryżu, bo już w końcu 1832 r., marzy, aby uciec z Adamem do

[1]) List do Ludwika Nabielaka z Paryża 3 listopada 1832.
[2]) „Odezwa" z 29 listopada 1832.

Szwajcaryi, a gdy to nie przyszło do skutku, wynosi się do Sèvres i tam wśród ciszy ściga „nierozwiewne widma" z lat młodszych. — W tymże czasie dochodzi go wieść, że Stefan Garczyński bardzo chory. Przeczuwa, że Garczyński umrze, i w swej miłości do Mickiewicza, wiedząc o jego przywiązaniu do Garczyńskiego, lęka się, że śmierć ta, to nieubłagane fatum, wywoła wielką „zawieruchę i rozstrojenie" w całej zbytnio czułej i drażliwej organizacyi Adama. Nie zwłócząc tedy, jedzie do Avignon, aby spełnić chrześcijański obowiązek, bo z drużyny Adama jest najmożniejszy, a w swej naturze kozackiej czuje powołanie na pocieszyciela; chce więc czuwać nad Adamem i pielęgnować jak najstaranniej. — Ale w Avignon nie zastał już Garczyńskiego przy życiu; nie zastał też i Adama, z którym rozminął się kędyś w drodze, a ztąd smutek i „nierozwiewna melancholia".

Bohdan Garczyńskiego osobiście nie znał, ale cenił go wysoko. Twierdził o nim, że „sny fantazyi maluje on niekiedy lepiej niż Mickiewicz, mianowicie zaś dziwne metafizyczne zjawiska ducha ludzkiego". On miał duszę i duszę niepospolitą, a są miejsca w jego „Wacławie", którychby się nie powstydził i największy poeta. Wszystko to on jednak — zdaniem Bohdana — zawdzięcza Mickiewiczowi, który swym błogim wpływem uczynił go poetą, a wyhodowanego na poezyi i filozofii niemieckiej panteistę, nawrócił na katolika. Odtąd zbratał się Garczyński z Mickiewiczem tak ściśle, iż stał się do niego podobnym jak brat do brata, jak uczeń do nauczyciela; nie był jednak prostym naśladowcą, owym „pstrym drapieżcą" jak Odyniec, Witwicki, — chociaż — dodaje Bohdan — pozostanie na zawsze pośledniejszym pisarzem, bo nosił na sobie „cudzy kubrak", kusy i nieco wypłowiały [1]).

W tej epoce, — epoce powstania „Pana Tadeusza", aż do 1840 r. znajdujemy w korespondencyi naszej dorywcze tylko wzmianki o Mickiewiczu i jego epopei. I tak z końcem 1833 roku donosi Bohdan Kajsiewiczowi, że „Adam choruje, ale kropi „Pana Tadeusza". W czerwcu następnego roku, pisze do Kajsiewicza, że „Pan Tadeusz" wyszedł nakoniec z druku, ale nie tak prędko pójdzie jeszcze w obieg, bo Jełowicki czeka, aż egzemplarze dojdą do Polski; zapowiada też Nabielakowi, że mu napisze obszernie o „Panu Tadeuszu". Sądu tego wszakże nie znajdujemy i niema ani śladu owych uniesień, jakie towarzyszyły narodzinom „Dziadów". Bohdan, który „Sonetami" a nawet „Wallenrodem" tak się zachwycał, o „Panu Tadeuszu" zachowuje dziwne w tych właśnie latach milczenie. — Przypuszczać by można, że nastrój tego poematu mniej odpowiadał usposobieniu ukraińskiego piewcy i jego nierozwiewnej melancholii. — Natomiast po przyjacielsku troszczy się, że Adam wybrał u Jełowickiego wszystkie za „Tadeusza" pieniądze i że jest „goły". — Żali się też, że trudno z nim się spotkać. — A zgadnijcie, dlaczego? — pisze do Kajsiewicza. — Oto wstyd, zgroza! Zeni się! — Bohdan nie rad jest z tego związku. Celina Szymanowska, powiada, ma być wprawdzie młoda, piękna i miła, ale.... podobno nic nie ma, a znacie Adama; będzie więc żył w okropnych kłopotach.... Dalibóg, że ledwo nie płaczę!

Z końcem roku 1835, opuszcza Bohdan Paryż i Sèvres, wyjeżdża do Strasburga, stamtąd do Molsheim, a wreszcie do ustronnego, prowanckiego Endoume. Wszędzie tam jest „więcej z Bogiem, mniej z ludźmi a zresztą jednaki"; ciągle żyje gdzieś za siedmiu górami, za siedmiu morzami, w kraju „kazki", zwierciadlanym, błękitnym... I pisze poemat, który go upaja, jak dobre wino. Będzie on — powiada — najściślej historyczny i chrześciański. Czasy i miejsca odbiją się tam, jak w zwierciadle... brzmieć w nim będą przeciągłe dźwięki, jak nuta stepowa. [2]) W liście do Mickiewicza pisanym z Molsheim w połowie r. 1836 donosi z radością, że „kropi i kropi" wiersze, jakby mu szpunt ze łba wystrzelił, rymuje okwiciej niż przez wiek cały, okwiciej niż Adam w Dreźnie. Poemat jego przedstawiać ma wesele i smutek narodu; wiara i miłość wsiąkają tam, jak gąbka i zapachną na milę. Tu też wymyka mu się z pod pióra mimowolnie z stawienie z „Panem Tadeuszem" wprawdzie tylko co do objętości. Poemat jego miał być obszerniejszy. I jeszcze raz przychodzi mu na myśl podobne zestawienie, w liście do Karola Wodzińskiego, w którym pisze, że skoro poemat ukończy, pospieszy do Paryża, aby drukować go w 4 tomach; chce bić 4—5 tysięcy egzemplarzy na papierze jak „Tadeusz". — O tym poemacie swoim czyni on ciągłe wzmianki, aż po rok 1840. Poeta cieszy się, że jego Duch-Ptak, dotąd pisklę, teraz już skrzydlaty, rozwija lot daleko, wysoko, widzi coraz jaśniej i szerzej. Coraz też mniej ceni to, co tworzył dawniej, rapsody i drobiazgi wrzucił nawet do pieca, że z nich zaledwie kilka świstków ocalił towarzysz jego,

[1]) Do Ludwika Nabielaka z Sèvres dnia 27 lutego 1834.
[2]) Do Karola Wodzińskiego ze Strasburga 28 stycznia 1836.

brat-przyjaciel, Józef Zaleski. [1]) — Ale nagle poeta poczuł się „nie swój", lot ducha zwichnął w inną stronę i żali się, że poematu swego skończyć nie może. Nie skończył go nigdy. — Owa w sercu wypieszczona „Duma Złota", która miała być już nie pyłkiem, prószącym w oczy publiczności, ale całą „bryłą złota" [2]), ukazała się dopiero w wydaniu „Dzieł Pośmiertnych", jako fragment, a ten w niczem nie ziścił wielkich nadziei poety.

W każdym jednak razie czas przebyty w Alzacyi i w ukochanem przez Bohdana Endoume, okazał się rzeczywiście najpłodniejszym w tym okresie życia. Wśród serdecznych smutków, które go opanowały, w zawieszeniu owej „Dumy Złotej", którą główną pracą nazywa, tworzy w jesieni 1836 „Przygrawkę do Nowej Poezyi" — „Ducha od Stepu". Miała to być uwertura do wielkiej opery, suma jej dźwięków, jakby mapa krain poetyckich *à vol d'oiseau* [3]). W krótkiej notatce wyjaśnia nam też poeta znaczenie „Ducha od Stepu". — Jestto poemat mistyczny, osnuty na poczuciu, czy zapamiętaniu innego gdzieś żywota, czasów skrzydlatych, spędzonych w okolicy nocnej bytu, pełnej cudów i tajemnic.

Oprócz tego wywiązał się tu Bohdan z danej niegdyś Brodzińskiemu obietnicy, z dawnego, jak powiada, długu i przetłómaczył „Pieśni Serbskie", [4]) wreszcie w jesieni r. 1838 wraca do Sèvres, przesiedla się do Fontainebleau i tu w roku następnym kończy „Potrzebę Zbaraską", o której donosi Mickiewiczowi, że jest w niej i prawda poetycka i coś bardzo ukraińskiego. „Będzie to mój majstersztik — powiada dwukrotnie — majstersztik węchu i staroświecczyzny. Jeżeli poemat ten, zupełnie już wtedy skończony i niewątpliwie piękny, który wydany w owym czasie, byłby silne wywarł wrażenie, nie został jednak wówczas wydrukowany i dopiero w „Dziełach Pośmiertnych" pomieszczenie znalazł, — to w znacznej części przypisać należy wstrętowi Bohdana do „autorstwa i druku", o czem kilkakrotnie wspomina. Zachęcany przez wszystkich, a zwłaszcza przez Mickiewicza, który mówi mu, że dumek jego na klęczkach słuchać należy, [5]) waha się ciągle i dopiero w r. 1839, ulegając namowom Adama, odważa się ostatecznie na drukowanie swoich wierszy w Poznaniu albo Wrocławiu, przeznaczając do tej edycyi oprócz poezyj lirycznych, dumek i szumek, także „Przenajświętszą Rodzinę".

Samego siebie nie jest wszakże nigdy pewnym i tylko chwilami nabiera otuchy. gdy słucha pochwał Mickiewicza, lub marzy o szerokim locie Ducha-Ptaka i swoim „majstersztiku". Częściej jednak cieszy się, że się nie kwapił z drukowaniem dawnych swoich, jak je nazywa „bredni", [6]) a młodego i jeszcze podówczas nieznanego sobie Lucyana Siemieńskiego prosi w r. 1840, aby nie wierzył literackim plotkom i nie wiele spodziewał się po jego tece, bo on „tylko ladajakie ptactwo, dumki a szumki z polowania przynosi". [7]) Dla współczesnych jednak pisarzy jest on prawie zawsze pełen wyrozumiałości a nawet zachwytu. I nie tylko unosi się nad Malczewskiego „Maryą", nie tylko powiada, że poemat ten „to prawdziwy, zwierciedlący się obraz jego duszy, serca i charakteru" a gniewa się na Bielowskiego za jego biografię poety, zwąc ją „nędzną, pedancką, a nawet nieprzyzwoitą"; [8]) — nie tylko humańskiego Nerona, Sew. Goszczyńskiego, zwie „genialnym druhem", który w poezyi swej jest jak wiatr ukraiński, syczący stu żądłami i grzechoczący dębami po borze" — a woła do niego po kozacku: „Aleś ty czort! kopnij się z kopyta, to doścignięsz mnie, gdzie tam wyprzedzisz wszystkich!" — [9]) on dla znacznie od siebie młodszych poetów znajduje słowa uznania. Najzdolniejszymi z nich nazywa: Kotoniego, Jezierskiego, Krausego, Grozę, Sakowicza, ciesząc się, że i on „pater familias", bo to sami Ukraińcy! [10]) Lucyanowi Siemieńskiemu pochwał i zachęty nie szczędzi. Jego „Trąby w Dnieprze" zagrały mu w uszach i sercu

[1]) Do Edwarda Odyńca z Molsheim 2 września 1836.
[2]) Do Karola Wodzińskiego z Molsheim 6 września 1836
[3]) Do tegoż z Marsylii 9 stycznia 1837.
[4]) Nie będzie tu może od rzeczy nadmienić, że zmarły niedawno ex-król serbski Milan znał poezye Bohdana, a mianowicie przekład „Pieśni serbskich". Posłał mu je ze Lwowa na życzenie ówczesnego ministra Bogicewicza w r. 1887 p. Władysław Gubrynowicz i otrzymał od tegoż ministra, w imieniu Milana, podziękowanie.
[5]) Do Sew. Goszcz. z Fontainebleau 31 grudnia 1838.
[6]) Do A. Mickiewicza z Molsheim 31 lipca 1836. Korr. T. I., str. 87.
[7]) Do L. Siemieńskiego z Fontainebleau 4 lutego 1840. Kor. T. I., str. 164—165.
[8]) Do L. Nabielaka z Sèvres 27 lutego 1834.
[9]) Listy do Sew. Goszcz. z Molsheim 21 stycznia 1839 i z Sèvres 15 września 1838.
[10]) Do A. Mickiewicza z Endoume 29 czerwca 1838.

prawdziwie po czarnoksięsku. Od razu umiłował i pieśń i piewcę. [1]) I „Trzy Wieszczby" podobały mu się bardzo; czyni wprawdzie pewne zastrzeżenia krytyczne, zarzuca reminiscencye z Malczewskiego i Goszczyńskiego, ale chwali styl świeży, śliczny i łatwy, dykcyę rozmaitą i prostą. „To mąż — powiada o Siemieńskim — (a może dopiero chłopię) niepowszednich zdolności, a co wyśmienitsza, niepowszednia dusza." [2])

Na prace literackie Michała Grabowskiego spogląda z wielkiem zajęciem i uznaniem. „Zuch nasz Michał!" woła niejednokrotnie. Wraz z Mickiewiczem nie może się dość nacieszyć jego rozumem i dyplomatyczną przebiegłością; nazywa go przewybornym pisarzem, który czuje i myśli doskonale, a trapi się tem tylko, że Grabowski pisze zawsze z „moskiewska po francusku...." W lot też i całem sercem chwyta każdą wieść o Grabowskim, każdem powodzeniem się cieszy, a boleje, gdy nadchodzić poczynają o nim wieści smutne i głosy potępienia.... Boleje, często broni, a nigdy nie potępia. Bo on w przyjaźni jest dziwnie stałym i wiernym. O swoich, zwłaszcza humańskich kolegach ciągle w listach wspomina, troszczy się ich losem, dopytuje się troskliwie nawet o tych, których lat kilkadziesiąt nie widział. W jednym liście do Nabielaka z roku 1832 charakteryzuje on siebie i swój stosunek względem przyjaciół. Ma on na sobie podwójną skórę — poety i ukraińca, więc jest żywym, fantastycznym, dziwacznym i często bierze na kieł, jak brat koń tabunowy. Kocha przyjaciół swoich po swojemu, płomiennie, bo przyjaźń jest u niego namiętnością; biada więc i jemu i tym przyjaciołom, jeżeli coś nieczystego spostrzeże! „Mam osobne — pisze — prorockie uczucie prawdy i wszystkie zmysły przez poezyę jak instrument ogrzane, tak, że dźwięk, woń, barwę czuję pod palcami ręki". To też uwagi jego nie ujdzie najdrobniejszy szczegół: słabsze uściśnienie ręki, gra fizyognomii, promień nieco ukośny oczu, wyraz ust, brzmienie głosu. Że ta autocharakterystyka i szczera i wierna, na to wiele możnaby przytoczyć dowodów. To wrażliwe i drażliwe usposobienie poety wyjaśnia nam wiele epizodów, rzuca światło na jego n. p. stosunek z Grabowskim. Wierny w przyjaźni dla niego od lat dziecinnych do grobu, cieszący się serdecznie jego pracą i literacką działalnością, broniący szczerości jego intencyi nawet wówczas, gdy głos powszechny obwiniać go począł, nie dzielił wszakże Bohdan zapatrywań i poglądów Grabowskiego, a przy osobistym z nim zetknięciu się w roku 1828 i później w połowie 1830, musiał snadź poczuć ów obcy sobie „dźwięk, woń i barwę", to coś, co „nieczystem" nazywa, — i bardzo zresztą kochanemu przyjacielowi swemu okazał chłód, a nawet lekceważenie, na które Grabowski w liście się uskarża. W roku 1830 przed wybuchem powstania, przyjaciele nawet bez pożegnania się rozstali [3]). Ale po śmierci Grabowskiego, gdy jeden ze wspólnych przyjaciół i kolegów humańskich wydał w Galicyi wspomnienie o jego życiu i pismach, [4]) czyta je z rozrzewnieniem, nazywa Pamiętnikiem przyjacielskim, uznaniem niezaprzeczonych zdolności i zasług kochanego Michała. On — powiada w liście dotąd niedrukowanym, do tegoż wspólnego przyjaciela, — on inaczej od nas usiłował działać dla sprawy. Chciał w ogniu piórka złocić i nie wrócił. Każdy z nas kochał Boga i Polskę, każdy z nas służył Bogu i Polsce, jak umiał, to miejmy otuchę, że odpuszczone nam będą winy, popełnione w krewkości ludzkiej. Sąd o życiu i pismach Michała wyda kiedyś potomność zwykle bezstronniejsza i sprawiedliwsza niż spółcześni [5]).

(Dokończenie nastąpi).

Adam Krechowiecki.

GOSPODARSTWO I HANDEL

Budapeszt, 13 marca. *(Tel.)* Sprawozdanie węgierskiego banku kredytowego hipotecznego wykazuje czysty zysk w kwocie 4,803.110 koron. Dywidenda wynosi 25 franków.

Wiedeń, 13 marca. Cukier (tend. słaba) 23·45. Nafta niezmieniona. Spirytus (silnie) 40·80 do —·—.

Wiedeń, 13-go marca. Targ zbożowy. *(Kursa w koronach i po 50 klg.)* Pszenica

[1]) Do L. Siem. z Fontainebleau 1 kwietnia 1839.
[2]) Do Sew. Goszcz. z Fontainebleau 1 kwietnia 1839.
[3]) Nehring l. c. i „Wiadomość o życiu i pismach M. Grabowskiego" przez Jana Krechowieckiego. 1868. Kraków.
[4]) Wiadomość o życiu i pismach M. Grabowskiego. Kraków 1868 przez Jana Krechowieckiego.
[5]) List do Jana Krechowieckiego, niedrukowany, z Paryża 19 maja 1869.

świadcza, że jest wolą Najj. Pana, aby panował w armii porządek i karność. Co do przytoczonych wypadków nadużycia broni przez oficerów w Trydencie i Leoben, winni ukarani zostali ciężkiem więzieniem i wykluczeniem z armii. Co do stanowiska swego do socyalistów — P. Minister powiada, że może tylko pragnąć, aby robotnicy byli również dzielnymi żołnierzami i bynajmniej nie chce się zrzekać tych inteligentnych, fizycznie i moralnie dobrze rozwiniętych obywateli. Jeśli tylko socyaliści chcą spełniać obowiązki swe w armii — to nie ma żadnego powodu występowania przeciw nim. Co do stosunków narodowościowych uwzględnia się, o ile służba dozwala, wszelkie usprawiedliwione życzenia. Sprawa rewersów demolacyjnych jest już bliską ostatecznego załatwienia, które zależy jeszcze tylko od porozumienia z Węgrami. P. Minister przyrzeka dalej reformę systemu wynagrodzenia za podwody. Co do kwestyi pojedynków wskazuje na oświadczenie, złożone w komisyi wojskowej, w której sam użył nawet wyrazu „Duellunwesen". Mowca zawsze występował przeciw pojedynkom i gotów jest przyczynić się do ichj usunięcia, ale w tej mierze potrzeba także współdziałania Państwa i społeczeństwa. P. Minister podnosi jeszcze konieczność powiększenia marynarki wojennej i kończy prośbą, aby mówić ludności nietylko o ciężarach, ale także o dobrych stronach armii (Oklaski).

Po przemowie Słoweńca Ploja dyskusyę zamknięto i wybrano mowców generalnych.

Gen. mowca contra Kramarz wywodził, że sprawiedliwa ugoda z Węgrami będzie tylko wtedy możliwą, jeśli nastanie pokój między Czechami a Niemcami, Czesi nie chcą niczego więcej, jak, aby Niemcy zostali Niemcami, a Czesi Czechami.

P. Eisenkolb woła: „aby słowiańszczyć państwo!"

P. Kramarz: Państwo przeciwnie boi się Wszechniemców. W parlamencie austryackim po raz pierwszy proklamowano zasadę, że mniejszość panuje nad większością.

Jeden z szenererowców woła: „Policya!"

P. Kramarz odpowiada, wskazując na Anglię, gdzie świeżo posłów gwałtem wydalono z Izby. Następnie omawia program szenererowców, którzy żądają inkorporacyi sojuszu z Niemcami do konstytucyi austryackiej. Czesi w interesie Monarchii nigdy na to się nie zgodzą, jakkolwiek nie sprzeciwiają się sojuszowi z państwem niemieckiem, o ile on przyczynia się do utrzymania pokoju. Wśród ciągłych protestów i przerywań szenererowców, poseł Kramarz cytuje ustępy z broszury ich „Zusammenbruch Oesterreichs" i oświadcza, że Czesi bronić muszą Austryi od grożącego jej niebezpieczeństwa zalania przez falę niemiecką. Wskazuje w końcu na wynaradawianie Polaków przez rząd pruski w Poznańskiem i dowodzi, że Czesi nigdy w obec Niemców podobnych środków się nie imali.

Po przemówieniu generalnego mowcy *pro* Tollingera i referenta Popowskiego nastąpił szereg faktycznych sprostowań, wśród których radykali czescy ogromną podnieśli wrzawę z powodu, że prezydent po kolei odbierał głos pp. Zaworce, Czernemu i Hrubemu za to, że zamiast sprostowań dłuższe wygłaszali mowy.

Podczas tej wrzawy prezydent zarządza głosowanie. Ustawę o kontyngencie rekrutów w drugiem i trzeciem czytaniu przyjęto wraz z wniesionemi rezolucyami.

Przed przystąpieniem do porządku dziennego odczytano wnioski i interpelacye. Między innymi:

Poseł Szajer przedłożył wniosek o uzyskanie 40 milionów koron na regulacyę rzek w Galicy, i drugi wniosek o uzyskanie 111 milionów koron na budowę dróg w Galicyi.

Poseł Breiter interpelował w sprawie rzekomych naużyć w fabryce tytoniu w Winnikach.

Poseł Bojko w interpelacyi domagał się ścisłego stosowania przyznanych dla ludności rolniczej ulg w służbie wojskowej.

Poseł Biankini podnosił z wielką gwałtownością zarzut, że P. Minister sprawiedliwości wydał rzekomo reskrypt dla Dalmacyi, aby dalmatyńscy posiadacze certyfikatów wojsk. nie byli w tamtejszych sądach zatrudniani, lecz po za obrębem kraju, i żądał, aby hr. Vetter wpłynął na P. Ministra, by na interpelacyę rychło odpowiedział.

Prezydent hr. Vetter przyrzekł to uczynić. — Następnie odpowiadał prezydent na zapytanie posła Ofnera, iż wprawdzie praktyka jest tego rodzaju, że nietykalność poselska rozciąga się i na sprawy dyscyplinarne, że jednakże jest to w rzeczywistości kwestya sporna, której on rozstrzygać nie może.

Poseł Ofner żądał, aby w tym względzie zwołano komisyę dla nietykalności poselskiej.

Prezydent odpowiada, że jeżeli poseł Ofner tego pragnie, musi przedłożyć wniosek do regulaminowego traktowania.

Izba przed zamknięciem wczorajszego posiedzenia przyjęła 143 głosami przeciw 134 wniosek o uznanie obrad komisyi dla nietykalności poselskiej za jawne.

Po godzinie 8 prezydent zamknął posiedzenie. Następne odbędzie się dzisiaj o godzinie 11 min. 30 przed południem.

Budowa nowych dróg wodnych.

(Telegram).

Wiedeń, 13 marca. Subkomitet dla sprawy dróg wodnych, wybrany z łona państwowej Rady przemysłowej, uchwalił przedłożyć tej Radzie następujące wnioski:

Rada przemysłowa, wyrażając żywe zadowolenie z powodu postępu studyów i projektów w sprawie budowy dróg wodnych, uprasza Rząd usilnie, ażeby przedłożył Radzie państwa jeszcze w tej sesyi projekt ustawy o ustawodawczem załatwieniu i finansowem zabezpieczeniu budowy kanałów spławnych i kanalizacyi odpowiednich części rzek, w grę wchodzących. Celem ostatecznego ustalenia tych projektów należy utworzyć w Ministerstwie handlu komisyę techniczną dla przeprowadzenia studyów nad systemem technicznym, który ma być użyty przy budowie owych kanałów.

Głównymi punktami odpowiedniej ustawy mają być postanowienia, co do budowy kanałów Dunaj-Odra, Dunaj-Łaba połączenie kanału Dunaj-Odra z Wisłą a Sanu z Dniestrem oraz kanału Dunaj Odra z Łabą od Przerowa do Pardubic.

Pod względem finansowym miałby Rząd z interesowanymi krajami i gminami pozawierać układy o przyczynienie się ich do pokrycia kosztów.

Dla przeprowadzenia budowy wspomnianej sieci dróg wodnych należy ustanowić osobną komisyę podwładną ministerstwu handlu, a uprawnioną do zaciągnięcia pożyczki publicznej i do wywłaszczania. Po ukończeniu budowy, drogi wodne mają być administrowane przez państwo; oddanie zarządu przedsiębiorstwom prywatnym może nastąpić tylko na mocy osobnej ustawy.

Wnioski te będą obecnie roztrząsane przez komisyę dla komunikacyi i taryf w łonie państwowej Rady przemysłowej.

KRONIKA

Lwów, 12 marca.

— **Na fundacyę** Imienia Najj. Pana, celem podniesienia sadownictwa i pszczelnictwa w powiecie turczańskim, złożono dotychczas na ręce starosty w Turce p. Bilińskiego wraz z poprzednio wykazanymi datkami ogółem 3272 K. 91 h.

— **Z c. k. kolei państwowych.** Pan Minister kolei żelaznych przeniósł ze względów służbowych komisarza budownictwa Antoniego Loeglera z kierownictwa budowy w Tryeście do okręgu kierownictwa budowy Lwów II, z tymczasowem przeznaczeniem do Sambora.

— **Zejście lodów na rzekach.** O ruszaniu lodów na rzekach w naszym kraju, donoszą w dalszym ciągu:

Soła. Lód powyżej Żywca stopniał na miejscu; pochodu kry lodowej nie było wcale.

Dunajec. Zator pod Siedleszowicami spłynął do Wisły w nocy z 9 na 10 b. m.

San. Powyżej Dynowa na zatorze utworzonym w lutym, oparły się lody wiosenne na długości przeszło 5 klm. Zator ten nie grozi żadnem niebezpieczeństwem.

Zator pod Niskiem ruszył w nocy z 10 na 11 b. m., zatem San jest wolny od lodów na przestrzeni od Dynowa do ujścia.

— **Posiedzenie** Rady miejskiej odbędzie się jutro, 14 b. m., o godz. 6 wieczorem w sali ratuszowej.

— **Powszechne wykłady uniwersyteckie.** Czwartek, dnia 14 b. m., w szkole im. Mickiewicza, ul. Teatralna 15, od godziny pół do 8 do pół do 9 prof. dr. J. Pawlikowski „Z ekonomii politycznej: Organizacya pracy, kapitał jako czynnik produkcyi.

Szkoła realna, ul. Kamienna 3, od godziny 5 do 6 prof. dr. E. Porębowicz „Ideały i hasła pierwszych romantyków: Romantyzm niemiecki.

— **Z Tow. wzaj. pomocy urzędników prywatnych.** Posiedzenia rady nadzorczej odbędą się we czwartek, d. 14 b. m., o godzinie 11 przed południem i w sobotę, 16 b. m., o godzinie 10 rano.

— **Nauki rekolekcyjne** w kościele OO. Zmartwychwstańców we Lwowie mieć będzie od dnia 18—22 b. m. O. Adolf Bakanowski. Początek o godzinie 6 wieczorem.

— **Kronika policyjna.** Cztery tomy dzieł Heinego, znaczonych B. N. 39, złożył w policyi antykwarz Menkes, u którego chciał je sprzedać słuszny, około 18 lat liczący młodzieniec, w krótkiem futerku. Zapytywany o pochodzenie książek, młodzieniec ten ulotnił się, nie dając wyjaśnienia.

Skradziono szopy podróżne o popielatym wierzchu i krótkie futerko kangurowe z mieszkania M. Brandstädttera pod l. 1 ul. Balonowa, do którego sprawca dostał się po wyduszeniu szyby.

Tulski remontoir z krótkim grubym łańcuszkiem złotym zgubił porucznik M. B.

Ubiegłej nocy o godzinie 1 zastał stójkowy sklep rzeźnika M. Demetera otwarty. Zawiadomiony o tem właściciel, skonstatował kradzież ręcznej żelaznej kasy z kwotą 400 K. i 5 dukatami.

Na kradzieży piwnicznej w domu pod l. 51 ul. Piekarska przyłapano niespełna 14-letniego wyrostka Jana Lenerta, który z drugim nieco starszym towarzyszem usiłował wynieść kosz ze skradzionem winem. Spólnikowi udało się wymknąć.

Aresztowano Hersza Kronenfelda, lat 26, z Czerniowiec, który pod pozorem zawarcia małżeństwa wyłudził od służącej Berty Neger garnitur, kwotę 60 K., a następnie sprzedawszy jeszcze jej kufer z rzeczami, nagle ostygł w zapale miłośnym.

— **Wyścigi wiosenne** galicyjskiego klubu jazdy panów, odbędą się w Krakowie w poniedziałek, dnia 17 czerwca i we środę, dnia 19 czerwca.

— **Krakowskie Tow. oświaty ludowej** rozwija swą pożyteczną działalność na coraz szersze koła. Istnieje ono 18 lat, a wydane świeżo sprawozdanie za rok ubiegły dostarcza sporo ciekawego materyału, z którego powtarzamy kilka charakterystyczniejszych dat statystycznych. Trzymając się wytrwale raz obranej drogi, starało się Towarzystwo w ubiegłym roku przedewszystkiem o utrzymanie założonych już czytelni, o powiększenie ich biblioteczek zapasami nowych książek, o udoskonalenie ich administracyi, a w drugim rzędzie dopiero o zakładanie nowych czytelni. Ztąd też poszło, że w r. z. Towarzystwo zaopatrzyło zapasami nowych książek 173 czytelni dawniej założonych, a założyło nowych tylko 32. W tym celu rozesłano 15.336 książek wartości 12.300 K. W przeciągu 18 lat założyło Towarzystwo 806 czytelni w 58 powiatach i w m. Krakowie. Obecnie istnieje tychże 735, a to: na Szląsku 2, w Galicyi zachodniej 648, we wschodniej 85. W przeciągu oznaczonego czasu rozszerzyło krakowskie Towarz. 117.410 książek, wartości 116.403 K. Wszystkich czytelni w Galicyi jest 1180. Z tego lwowskie Towarzystwo oświaty ludowej założyło 373, a Towarzystwo Szkoły ludowej 74. Subwencya sejmowa wynosi 3000 K., miasto Kraków płaci 1200 K., dziewiętnaście Rad powiatowych 974 K., subwencye instytucyj finansowych reprezentują kwotę 420 K. Przychód dobiegł w r. z. do 11.767 K., rozchód 11.724 K. Fundusz zapasowy wynosi 17.000 K., fundusz wydawnictwa książek 26.608 K. 51 h. Na czele Towarzystwa, któremu lat szereg przewodniczył obecny biskup przemyski ks. dr. Józef Pelczar, stoi obecnie prof. Uniw. ks. dr. Stanisław Spis.

— **Czyn obłąkanego.** Z Krakowa donoszą nam: Tutejszy malarz pokojowy Władysław Chojdziński, człowiek obłąkany, rzucił wczoraj kamieniem na powóz, w którym jechały hrabiny Konstantowa Branicka i Pelagia Potocka, i przebił obie szyby, przyczem kawałki szkła skaleczyły hr. Potocką w czoło.

— **Z Krakowa** donoszą nam telefonem: Otwarcie kolei elektrycznej nastąpi w piątek. Musiało nastąpić odroczenie, bo jutro dopiero będzie posiedzenie Rady miejskiej, która przyjmie niewątpliwie jednolitą taryfę 16 h. za przejazd I. klasą i 10 za II. klasę. Dyrekcya kolei zgodziła się na ustanowienie biletów abonamentowych i biletów dla studentów.

Chojdziński, który wczoraj rzucił kamieniem w powóz, którym jechała hr. Potocka cierpi od roku na silny obłęd, objawiający się od czasu do czasu gwałtownymi wybuchami. Wczoraj odstawiono go do szpitala dla obłąkanych.

Zebranie profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, w sprawie obsadzenia probostwa św. Floryana, odbędzie się d. 20 b. m.

— **Zmarł** w ostatnich dniach: w Krakowie, Julian Furko, suplent Szkoły realnej, w 27 roku życia.

— **Nagroda cnoty.** Konkurs ogłoszony przez *Gazetę Polską* został rozstrzygnięty. Pierwszą nagrodę w kwocie 200 rubli przyznano p. Helenie Lochmanównie, która pomimo głuchoty, jako szwaczka zdołała nie tylko od lat najmłodszych zapracować na siebie, lecz i wychować i wykształcić młodsze rodzeństwo, a w następstwie była prawdziwą opiekunką sierót i ubogich. Mieszkając w m. Ostrowcu jest ogólnie znaną ze swych cnót. Gazeta ogłasza drugi konkurs.

— **Wynagrodzenie ofiar** katastrofy na drodze żelaznej Warszawa-Wiedeń. Rada zarządzająca drogą żelazną warszawsko-wiedeńską na posiedzeniu z dnia 8 b. m. w skutek dobrowolnego porozumienia się, przyznała ofiarom katastrofy zaszłej dnia 13 lipca 1900 pod Włochami, następujące wynagrodzenia: 1. Inżynierowi zajmującemu się robotami melioracyjno-rolnemi, p. Stanisławowi Janickiemu, liczącemu lat 27, który uległ w następstwie katastrofy amputacyi lewej nogi, 50.000 rubli jako wynagrodzenie i 5000 rubli jako zwrot kosztów kuracyi. 2. P. Władysławowi Dresnerowi, ślusarzowi, lat 55 liczącemu, który złamał nogę, 3000 rubli i 3. Józefowi Majewskiemu, robotnikowi warsztatów kolejowych w Pruszkowie, jako wynagrodzenie za utratę zdrowia przez jego żonę, Antoninę Majewską, matkę 5 dzieci, która wskutek katastrofy uległa rozstrojowi nerwowemu i została pomieszczona w szpitalu w Tworkach, kwotę 3000 rubli.

— **Fałszerze monet.** W Łodzi — jak donosi *Warsz. Dniewn.* — aresztowała tamtejsza policya fałszerzy monety srebrnej 25 i 50 kopiejkowej w osobach Andrzeja Sobańskiego i Maryanny Bielskiej. Podczas rewizyi w ich mieszkaniu, znaleziono mnóstwo narzędzi do wyrobu fałszywej monety.

— **Sensacyjne morderstwo.** Z Bukaresztu donoszą: Wielką sensacyę budzi tu morderstwo, którego dopuścił się w chęci rabunku 19-letni syn generała Audyona Popescula, na młodej krewnej sławnego generała Jarca. Młodociany morderca, który ofiarę swą zakłuł sztyletem, mając wspólników zamierzał wykonać jeszcze szereg morderstw.

— **Ludność cesarstwa niemieckiego** według ostatniego spisu ludności wynosi 56,345.014 osób. W ostatniem dziesięcioleciu zwiększyła się o 4,065.113 osób.

Notatki literacko-artystyczne.

„Psyche", dramat p. Wojcickiej, przedstawiony wczoraj po raz pierwszy na scenie naszej, zgromadził liczną publiczność, a utwierdził miłośników i znawców literatury dramatycznej w tem miłem przekonaniu, że talent autorki „Dyletantów" pięknie się rozwija. „Psyche" jest znacznym na tem polu postępem i autorce należały się w pełni oklaski i kwiaty, którymi ją wczoraj darzono.

O dramacie tym napiszemy w poniedziałek obszerniej; dziś spieszymy stwierdzić sukces sztuki, granej w całości wybornie.

Pamięci Wojciecha Gersona, zmarłego niedawno artysty-malarza, poświęcił ostatni swój numer *Tygodnik illustrowany*. Kartę tytułową zdobi portret zasłużonego artysty, a dalej idą w

---

przywołano ich do porządku. Milczenie nastało, ale gdy kurtyna zapadła, słyszeć się dał szmer niezadowolenia, najlepiej świadczący o niepowodzeniu.

Jacopo upadł bezsilny na krzesło. Artyści go otoczyli pocieszając, ale daremnie się silili. Pozostawał jeszcze jeden akt, ale krótki, bez znaczenia, niepotrzebny wcale. Obecnie opera upadła sromotnie; bitwa, zwycięzka na początku, skończyła się całkowitą porażką!

Lidya była blada, cierpiała strasznie; zdawało się jej, że wszystkie oczy na nią zwrócone, ale zadowolone i wyzywające; zdawało się jej, że znajome z lóż drwią sobie z niej, pysząc się swoimi kochankami wprawdzie nie zwycięzcami, ale nie zwyciężonymi, i usta zagryzała w bezsilnym gniewie. A owe szmery wśród publiczności drażniły jej słuch, jak gdyby to były drwiny, zniewaga jej samej osobiście wyrządzona!

I czemże teraz była owa wielka jej miłość dla Jacopa? na co się przyda oddawać serce człowiekowi, w którego geniusz się wierzyło! To przedstawienie nie było Campidoglio, jak sobie wyobrażała, ale skałą Tarpejską, straszną, ponurą, podlącą!

Próżność jej kobieca zdeptana została! Z płomiennych jej pocałunków zrodziła się bezdenna nicość! Bo obecnie, opera Villafieri taką się jej przedstawiała; wrażenie publiczności przeszło w nią samą, w nią, która dwie godziny temu tyle spodziewała się po tej muzyce, a teraz czuła się tak upokorzona!

A tymczasem Teodoro zrozpaczony, że musiał opuścić swoją partyę w klubie, był skazany na dotrzymywanie towarzystwa żonie, ponieważ nikt do jej loży nie przychodził!

Ostatni akt miał tę zaletę, że był krótki, za co wszyscy wdzięczni być musieli. Niezadowolenie publiczności, powściągane nadzieją dobrego zakończenia, wybuchnęło obecnie bez tamy!

Balet, „Idea" del Borri miał zakończyć operę i teatr wyludniał się powoli, ponieważ było to już szesnaste przedstawienie; pozostali tylko wierni Terpsychory a między nimi Clemente Adorni, w swojej pierwszorzędnej loży.

Lidya przygotowywała się do odejścia; spieszno jej było opuścić teatr i wolała nie widzieć się dziś już z Jacopem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

warzystwa w Cannes, między niemi także w. ks. Michał Michajłowicz, oklaskiwały naszego artystę.

Zbioru ustaw i rozporządzeń administracyjnych, wydawanego we Lwowie z inicyatywy Towarzystwa prawniczego, pod redakcyą radcy Namiestnictwa p. Jerzego Piwockiego, wyszedł zeszyt 46, zawierający arkusze od 3—7 tomu IV. Pomieszczone są tu w dalszym ciągu przepisy, tyczące się związków gospodarczych, jak spółek akcyjnych, zakładów ubezpieczeń, kas oszczędności i t. d.

Nowa operetka Ziehrera p. t.: „Trzy życzenia“ (Die drei Wünsche), została odegraną w tych dniach w Karlteatrze z ogromnem powodzeniem. Muzyka ma być lekką, śpiewną i melodyjną, a libretto zabawne. Ukazała się w niej nowa diva operetkowa panna Günther, podbijając publiczność wdziękiem swej osoby i pięknym głosem.

W Wiedniu w Volksteatrze odbyła się premiera sztuki Engla p. t.: „Ausflug ins Sittliche“. Jest to uscenizowana satyra znanej *lex* Heinze; wykonanie jednak nie zupełnie dopisało zamiarowi, i sztuka uboga w treść i akcyę nie doznała powodzenia. Najlepszy ma być początek nie pozbawiony humoru.

Z za kulis. Personal nasz dramatyczny pracuje obecnie nad przygotowaniami do najbliższej premiery, która odbędzie się w przyszłym tygodniu, a którą będzie „Odrodzenie“ Schönthana.

Opromieniona blaskiem jednej z najbarwniejszych epok nowożytności, czarem przystępnej poezyi i humoru, — sztuka ta miała powodzenie wszędzie, gdziekolwiek ją wystawiono. W Krakowie przez długi czas nie schodziła z repertoaru.

Przekładu „Odrodzenia“ dokonała p. Z. Wójcicka, utalentowana autorka „Dyletantów“ i „Psyche“.

Repertoar teatru miejskiego we Lwowie.

Dziś we czwartek po raz czwarty „Wesoła dwójka“, operetka w 3 aktach L. Krenna i K. Lindaua, muzyka C. M. Ziehrera.

W piątek (po cenach dramatu) „Rycerskość wieśniacza“ (Cavalleria rusticana), opera w 1 akcie Mascagniego i „Romantyczni“, komedya w 3 aktach Edmunda Rostanda.

W sobotę „Lohengrin“, opera w 3 aktach Ryszarda Wagnera, występ p. Ignacego Warmutha i Eugenii Strassern.

BOHDAN ZALESKI

o sobie i współczesnych.

(Na podstawie korespondencyj).

II.

(Dokończenie).

W obec tych dziwnie łagodnych, zawsze wyrozumiałych sądów, jaskrawo odbija bezwzględna surowość dla Słowackiego. Aby tę surowość zrozumieć, trzeba mieć na pamięci wysokie pojęcie, jakże miał Bohdan o zadaniu i obowiązkach poety. W jednej nawet notatce Bohdana, już z lat późniejszych, znajdujemy rodzaj podziału poetów na cztery kategorye, czyli stopnie potęgi ducha: Duch poety przysposobiony jest od początku ku widzeniu i wiedzeniu rzeczy Bożych. Bóg spełnia cud, zdejmuje niejako łuskę z jego oczu i daje mu widzieć w przestrzeni, co ma uiścić się w czasie. Ale teraz potrzeba, aby ów poeta sam począł działać, aby się oczyszczał. Ten, który posiadł pokorę, prostotę i czystość, który wiódł żywot na pustyni, kędy wolę, uczucia i myśl pojednał, zestroił w Bogu, ten stał się niejako naczyniem Bożej nieskończoności, stanął na najwyższym szczeblu poetyckiego natchnienia, — to P r o r o k, to żywy głos Boga i ludu. — Drugi stopień, to w i e s z c z, mąż rozumny, rozmyślacz, pojmujący Boga i lud, pan przedmiotu i formy pieśni swojej, ostrzem lecący w świat duchowy, boski, ale nie tak uduchowiony, nie tak oczyszczony, jak prorok. Trzeci stopień, to p i e w c a - p o e t a, żywy głos narodowości jakiegoś ludu, który miłuje lud ten, bierze zeń myśli żywotne i gorejące słowa. — Taki piewca-poeta, jakkolwiek niższy od proroka, może być pożytecznym a nawet wielkim, jeżeli misyę Bożą swego ludu głosi w pieśniach. Biada mu — woła Bohdan — jeżeli rozbrzmiewa w nich naturę jego ziemską, zwierzęcą; biada mu jeśli rozmiłuje się w sztuce, ubóstwi sztukę, bo wówczas spada na stopień ostatni, — staje się tylko s z t u k m i s t r z e m, a więc mniej niż pospolitym piewcą. [1])

[1]) Notatka ta będzie ogłoszona w tomie II. Korespondencyi.

Mając także stopniowanie na uwadze, zrozumiemy dlaczego sąd Bohdana o Słowackim był tak bardzo surowy. On go mienił tylko mistrzem formy, — sztukmistrzem, który „puszy się jak indyk, lecz ani śpiewać, ani latać nie umie.“ W poezyach jego widzi naśladownictwo; „wszystko cudze i ladaco“. — W pierwszych poezyach aż do Lambra błyszczało jeszcze — powiada Bohdan — jakieś pożyczone bajrońskie światełko, „potem już tylko kopci knotem dymiącym.“ W „Kordyanie“ widzi Zaleski naśladownictwo to „Dziadów“, to „Wacława“ i pokradzione żywcem na wzór Garczyńskiego tyrady z Goethego. „Dajmy mu już czysty pokój!“ woła. [1])

O tych pierwszych czasach, w których Bohdan widział jeszcze w Słowackim „bajrońskie światełko“ wspomina także poeta nasz w małej notatce bez daty. Zaznacza w niej, że poznał się ze Słowackim u Witwickiego w Warszawie około jesieni 1829 r. — Juliusz był wtedy młodziuchny, bardzo ładny i entuzyasta. Czytał im z ogniem swoje poezye i rękopis zostawił dla poczynienia uwag. W r. 1830, widywał się Bohdan ze Słowackim często u znajomych, w ogrodach publicznych, w aleach, gdzie literaci schodzili się gromadnie. — „Juliusz — pisze Bohdan — żył całkiem w świecie poetyckim, śnił jeno o wierszach. My starsi śniliśmy już o czem innem“. — Notatka ta, która będzie zamieszczona w II. tomie Korespondencyi — nie wiem, dlaczego pod rokiem 1844, — zdaje mi się pochodzić z późniejszych czasów; może napisana była pod wrażeniem wieści o śmierci Juliusza, tchnie bowiem niezwykłą łagodnością i odbija tonem od wszystkiego, co kiedykolwiek Bohdan wyrzekł o Słowackim. Jeszcze w r. 1841 powiada on o „Beniowskim“, że chociaż to najlepsze, co Słowacki napisał, że jest tu ogromna fantazya, że oktawy jego lepsze niż samego Ariosta, że wierszowanie i świetne i żwawe, że język giętki i czysty, — ale w całości brak serca i woni poetyckiej. „Słowacki — dodaje — wpadł na swój rodzaj i dlatego został od razu znamienitym pisarzem, wątpię czy poetą... W nic nie wierzy, nikogo nie miłuje, niczego się nie spodziewa. Nienawiść jego Muza, a j a brzydkie — Bogiem“. Nawet w obrazach narodowych obyczajów, widzi Bohdan gorączkowy stan duszy i woła: „Pozorna to narodowość, — gdzie mu do Soplicy!“ [2]) Takich ujemnych, a nawet ostrych wzmianek o Juliuszu znajdujemy wiele w Korespondencyi. I być inaczej nie mogło, bo Zaleski twórcę „Beniowskiego“ zaliczył do kategoryi najniższej: — poetów-sztukmistrzów...

O Krasińskim, którego Bohdan krótko znał w Rzymie, nie wiele znajdujemy wzmianek. Z pewną ironią mówi o nim Zaleski: „to zawsze rewelator“, filozofię jego podejrzywa o nieprawowierność, a osoba poety razi go „pańskością“. Wszakże w dzienniczku swym pod datą 27 lutego 1859, wyczytawszy w *Le Constitutionnel* wiadomość o śmierci Krasińskiego, zapisuje to z rozczuleniem w duszy i modli się. „Był to genialny człowiek — dodaje — dobry Polak i podobno nawrócony do prawowierności. Żal się Boże! — woła ze smutkiem — w niczem nam Polakom się nie szczęści! Wszelka znamienitość krócej niż gdzieindziej świeci u nas [3]).

Kreśląc te słowa, pełne żalu, myślał zapewne Bohdan ze łzami w duszy i o swym ukochanym Adamie Mickiewiczu, którego stawiał na najwyższym szczeblu poetyckiego natchnienia, bo on „napełniał serca miłością [4]). Niegdyś na wieść o słynnej jego Improwizacyi, wygłoszonej u Januszkiewicza w święto Bożego Narodzenia, Bohdan płakał z radości. Improwizacyę tę nazywał wspaniałą, ś w i ę t ą, czuł, że Adamowi zgotował Bóg wielką w Polsce misyę, spodziewał się c u d u, czegoś nowego i wołał do Adama: „Pójdęż, o pójdę za tobą!“ [5]). — I chciał iść; wahał się! Zrazu „podejrzywał“ — jak sam powiada — że Towiański jest prawdziwym prorokiem [6]). Pod wpływem poojczystej tęsknoty, wyglądał c u d u, skłonny był w c u d uwierzyć, choćby narzędziem jego był Towiański; chwytał w lot wieści z Rzymu o nawróceniu się Ratisbonna i mnichu ojcu Bernardzie, który podobnie jak Towiański wieścił wielkie i nagłe przemiany [7]). Chciał iść za Adamem, lecz po za granicą dogmatu nie poszedł; w nowe Objawienie nie chciał i nie mógł uwierzyć.

Odbywa się jednak podówczas w duszy jego wielka, niewysłowiona tragedya; nawołują go przyjaciele przy Proroku Towiańskim, głosząc „nowe czyny i nowe przeznaczenia“, pociąga ku nim serce, kusi usposobienie roztęsknione, religijno-mistyczne, kusi fantazya poetycka. — I w tej rozterce duchowej, ucieka Bohdan w lutym 1843 r. do Endoume, do owego dzikiego i cichego ustronia, kędy ongi, przed laty, było mu tak błogo, gdzie doświadczał najserdeczniejszych natchnień. Tam na pustyni, w obec nieogarnionego, błękitnego morza, które pląsa ku brzegom z dawnym rozgłosem, długo i gorzko płacze, — a potem w dawnej altance swojej, kreśli rzewną modlitwę: „Maryo, Opiekunko sierót! Niech Aniołowie twoi strzegą kroków moich, bo niewiem gdzie głowę już przytulać. Smutno mi, straszno spoglądać w przyszłość. Idzież Chrystus, czy Antychryst? Cudu! cudu! cudu! abym poznał, uszanował Prawdę!“ [1]).

Opiekunka sierót wysłuchała modlitwy. Bohdan nie odstąpił Prawdy i czcił ją do końca. Z Endoume jedzie do Civitâ Vecchia i do Rzymu, a 23 maja 1843 r. (nie w 1842 jak dotąd mniemano) jest już w Smyrnie, jako pielgrzym do Ziemi Świętej. W jesieni tegoż roku wraca z pielgrzymki, odbywa jeszcze rekollekcye w klasztorze Trapistów i już zupełnie rozjaśnia mu się w duszy. Kocha zawsze Adama i nie zrywa z nim zupełnie stosunków, nie zrywa też przyjaźni z Goszczyńskim i Karolem Różyckim, ale w wierze jest już niezachwiany. Na widok obłędu swych najlepszych przyjaciół „serce ściska mu się w płacz“, ale ma siłę potępić błędy, miłując zawsze ludzi. Pozostaje wierny swoim ideałom, miłości Polski i Ukrainy i miłości ludu. Bo on lud kochał całą duszą, — a to właśnie ze względu na cel tego odczytu, z naciskiem podnieść należy, — kochał lud, lecz obawiał się dla niego złych wpływów, fałszywej oświaty. „Sewerynie — wołał do Goszczyńskiego — nie przyjdziecie wy nigdy do ładu z ludem, póki nie uszanujecie jego wiary i nie rozniecicie wielkiej miłości w Chrystusie.“ [2])

Bohdan za młodu pisał o sobie, że nie wyciąga rąk do sławy, a w starości późnej zaznaczył w notatce, że nie przecenia zbytnio swej poetyckiej sławy, która tętni gdzieś za nim, a wydaje mu się jak przelotna kurzawa i wrzawa, co osiadła na drodze wiośnianych ongi wyścigów.... Nie zazdrościł też nigdy tryumfów współzawodnikom, co go prześcignęli, owszem przyklaskiwał im z całego serca, w uczuciu chluby narodowej. [3]) I nie dowierzał zbytnio Mickiewiczowi, który go nazywał „słowikiem“. Upatrywał raczej w sobie podobieństwo do skowronka, który kocha się w poranku wiośnianym. On jak skowronek lubi bujać pod niebiosa i spada rychło na ziemię rodzinną, między rodzinne zboża i trawy; jak skowronek powtarza codzień to samo, ani się zniechęca, ani łaje na [illegible] wiosny i pogody. [4])

Ale przeminęła wiosna. Już w późnej starości, w listach do jednego z najdawniejszych przyjaciół, jeszcze humańskich, kreślonych w zmierzchu życia, w melancholijnym ciemniku marzeń pogrzebanych, przypomina czasem Zaleski to zaranie ich wiosny, bujne jej kwiecie, uczucia i myśli, które nie zawiązały się na owoc. „Żal się Boże — pisze — pięknych zapałów i szałów. Niesprzyjała pogoda w całej Polsce i z siejby Tomasza Zana lichy został się plon! [5]). — Weterani z r. 1831, wykolejeni z nowych prądów, po których pędzą młodsze pokolenia, módlmy się jeno o błogosławieństwo Boże dla nich, o błogosławieństwo na lepszą dolę i na skuteczniejszą służbę św. Kościoła i Ojczyźnie.... Tyle już naszego, bracie, na ziemi!... Smutno kończy się wiek XIX, nie tak zgoła, jak wróżyliśmy między sobą za młodu. Potomkowi atoli nasi ujrzą bodaj uiszczone nadzieje wieszczów narodu [6]).

Z taką niezłomną wiarą i z taką nadzieją zamykał poeta oczy na spoczynek wieczny w obcem, cichem Villepreux, w roku, który wedle jego tułackiej rachuby był 55 rokiem tęsknoty do Ojczyzny-Polski a 67 rokiem tęsknoty do Matczyny-Ukrainy.

W takiej to szacie gorącej wiary a prawdziwie gołębiej prostoty ukazuje się nam Bohdan w swoich szczerych, serdecznych listach. Gdy całość korespondencyi wyjdzie z druku, wówczas w pełni zajaśnieje przed nami ta postać, promienna nietylko poetyckiem natchnieniem, ale wielką niezłomnością zasad i ducha.

U mogiły ukraińskiego piewcy mogłem oto podnieść zaledwie kilka piórek, które go niegdyś ku niebu wznosiły; piórek czystych, nieskalanych, jak czystą i nieskalaną była cała jego dusza, — A za to, że był takim, że wytrwał niezłomnie, należy mu się od tej Ojczyzny do której tak tęsknił, od narodu, który tak kochał, od tej ziemi, która w garść ściśnięta „krwią ciecze i łzami płacze“, — należy mu się od nas wszystkich nie tylko podziw, lecz wielka miłość i ogromna cześć.

W lutym 1901.

Adam Krechowiecki.

[1]) Do L. Nabielaka z Sèvres dnia 27 lutego 1834.

[2]) Do Lucyana Siemieńskiego z 7 maja 1841 z Beaune.

[3]) Wyjątek z dzienniczka dotąd niedrukowany.

[4]) Do S. Goszczyńskiego z Fontainebleau dnia 30 grudnia 1840 r.

[5]) Do Adama Mickiewicza z Fontainebleau dnia 29 grudnia 1840 r.

[6]) Notatka. Kor. T. I. str. 264.

[7]) Do ks. Hubego w Rzymie z Fontainebleau dnia 23 lutego 1842.

[1]) Not. z dnia 10 lutego 1843.

[2]) Z Beaune 12 sierpnia 1841.

[3]) Notatka dotąd nie druk.

[4]) Notatka bez daty, będzie ogłoszona w Tomie II. Koresp.

[5]) Do Jana Krechowieckiego z Paryża 19 maja 1869. — List niedrukowany.

[6]) Do tegoż z Paryża 19 grudnia 1877 i z 17 czerwca 1878 (niedruk.).

Towarzystwo wzajemnej pomocy

urzędników prywatnych.

Lwów, dnia 14 marca.

Dziś o godzinie 11 przed południem rozpoczęły się we Lwowie w wielkiej sali ratuszowej pod przewodnictwem Andrzeja hr. Potockiego, obrady delegatów Rady nadzorczej Towarzystwa wzajemnej pomocy urzędników prywatnych.

Po zagajeniu przez przewodniczącego, w którem tenże poświęcił słowa gorącego wspomnienia zmarłym członkom ś. p. Michałowi Zajączkowskiemi i ś. p. Mikołajowi Koszce i zaznaczył, że Towarzystwo coraz więcej się rozwija, przyjęto do wiadomości sprawozdanie wydziału centralnego za rok ubiegły.

Z przedłożonego walnemu zgromadzeniu sprawozdania dowiadujemy się, że w roku ubiegłym wzrósł majątek Towarzystwa we wszystkich funduszach do sumy 1,478.838 koron 88 hal., a w porównaniu z sumą majątku, wykazaną za rok 1899 zwiększył się o kwotę 18.196 kor. 64 hal.

Z dniem 1 stycznia b. r. liczyło Towarzystwo członków rzeczywistych i uczestników 2.137 z roczną wkładką do funduszu dyspozycyjnego i rezerwowego 165.008 kor.

Na zapomogi stałe, czasowe i datki rozdzielono w r. 1900 ogółem 150.717 kor. 34 hal., a w ciągu istnienia Towarzystwa wydano tylko w dziale stałych zapomóg kwotę 1,836.423 kor, 22 hal,

Na ryczałty pogrzebowe wydano w r. 1900 sumę 4.200 koron.

Stan majątku Towarzystwa z dniem 31 grudnia 1900 r. przedstawiał się jak następuje: fundusz żelazny 871.000 kor.; fundusz dyspozycyjny 37.639 kor. 48 hal.; fundusz rezerwowy 474.784 kor, 5 hal.; fundusz pogrzebowy 4,830 kor. 4 hal.; fundusz posagowy im. ś. p. Stefana hr. Zamoyskiego 13.538 kor. 39 hal.; depozyta w fundacyi posagowej 1.535 kor. 46 hal.; fundusz stypendyjny im. R. Makarewicza 6.760 kor. 68 hal.; fundusz zapomogowy im. JE. Wilhelma hr. Siemieńskiego-Lewickiego 2.423 kor. 38 hal.; fundusz bursy im. Jerzego hr. Dunin-Borkowskiego [illegible] żnych 54.759 kor. 5 hal.

W dalszym ciągu sprawozdania zaznacza wydział centralny, że jak w latach dawniejszych, tak i w roku ubiegłym dokładał usilnych starań o doprowadzenie do skutku upragnionego życzenia tysięcy urzędników prywatnych, to jest o uzyskanie przymusowej ustawy pensyjnej. Sprawa ta jednak nie mogła być pomyślnie załatwioną w skutek wewnętrzno-politycznych i parlamentarnych stosunków i częstych zmian Rządu, które przez ostatnich lat kilka stały na przeszkodzie wszelkim reformom społeczno-państwowym. Z polecenia P. Prezydenta Ministrów dr. Koerbera opracowano w oddziale dla ubezpieczeń Ministerstwa spraw wewnętrznych jeszcze w roku 1899 projekt ustawy, który jednak w jesieni roku ubiegłego musiał być przerobiony i uzupełniony. Obecnie ten nowy a względnie przerobiony projekt ustawy jest już zupełnie gotów. W Ministerstwie pracują tylko jeszcze nad wykończeniem motywowanego uzasadnienia, a skoro prace te zostaną wykończone, projekt ustawy wniesiony zostanie w Radzie państwa.

W roku ubiegłym miało biuro administracyjne Towarzyśtwa do załatwienia 6529 spraw.

W końcu sprawozdania składa wydział centralny podziękowanie Zofii z hr. Potockich hr. Zamoyskiej za ofiarowanie Towarzystwu w darze cennego portretu jej męża, długoletniego prezesa Towarzystwa, ś. p. Stefana hr. Zamoyskiego.

Po odczytaniu sprawozdania komisyi rachunkowej, udzielono wydziałowi centralnemu absolutoryum, poczem dokonano wyboru 4 komisyj: stypendyjnej, petycyjnej, administracyjnej i rachunkowej.

Następnie na wniosek wydziału centralnego odstąpiono wniesione prośby o dary z łaski komisyi petycyjnej; rekursy przeciw uchwałom wydziału centralnego komisyi administracyjnej; prośby o restytucyę praw wykreślonych członków i podania o przyjęcie na członków kandydatów liczących powyżej lat 40 komisyi petycyjnej; uzupełniające wybory do Rady nadzorczej komisyi weryfikacyjnej; przyznanie dwóch posagów z fundacyi imienia ś. p. hr. Stefana Zamoyskiego komisyi stypendyjnej; sprawy administracyjne komisyi administracyjnej; wnioski odnoszące się do

Wiedeń, 14 marca. Z powodu zaszłych v ostatnim czasie pewnych błędów i niewła-ciwości przy wykonywaniu przez tutejszą po-icyę urzędowych jej czynności, wystosował pre-ydent dyrekcyi policyi w Wiedniu do pod-władnych mu urzędników reskrypt, w którym arządza odbywanie co miesiąca konferencyi kierowników policyi, w pojedyńczych okrę-gach. Na tych konferencyach mają być oma-wiane i roztrząsane wszystkie nowe, tyczące się służby policyjnej ustawy i rozporzą-dzenia, oraz omawiane różne wypadki z urzę-dowej praktyki policyjnej. Przełożeni urzę-dów mają obowiązek przekonywać się bez-ustannie, czy dane polecenia są trafnie wyko-nywane. We wszystkich wypadkach świado-mego, lub lekkomyślnego niezastosowania się do obowiązujących przepisów, niemniej lekko-myślnego narażania na szwank powagi urzę-dowej, mają być winni pociągani do surowej odpowiedzialności.

Wiedeń, 14 marca. *(Tel. pryw.)*. Spa-dnięcie krwawego deszczu sygnalizowano także z niektórych miejsc Tyrolu.

Częstochowa, 14 marca. *(Tel. prywo.)* Obiegają pogłoski, że w klasztorze Jasnogór-skim żandarmerya rossyjska dokonała w tych dniach bardzo ścisłej rewizyi. Poszukiwania miały na celu wykrycie materyału stwierdza-jącego istnienie w Królestwie zabronionych stowarzyszeń Serca Jezusowego i Tercyarzy, żadnego jednak rezultatu w tym kierunku rewizya nie wydała. Nie aresztowano nikogo.

Warszawa, 14 marca. *(Tel. pryw.)* Umarł artysta teatru, Lucyan Szreniawa Rzecznik.

Warszawa, 14 marca. *(Tel. pryw.)* Jan Zacharyasiewicz doznał nieszczę-śliwego wypadku: wczoraj najechały nań ró-wnocześnie dwie dorożki. Omdlałego z bolu przywieziono do zakładu dr. Salmana. Sędzi-wy a zasłużony pisarz miał wyjeżdżać do Abbazyi. Stwierdzono u Zacharyasiewicza zła-manie szyjki lewego biodra.

Poznań, 14 marca. *(Tel. pryw.)* W Śro-dzie i w Krotoszynie jako w okręgu wybor-czym posła Jażdżewskiego mają się odbyć — jak słychać — wiece w celu zaprotestowania przeciw mowie posła Jażdżewskiego, w któ-rej się tenże w imieniu ludności polskiej wypierał łączności z agitacyą polską na Gór-nym Szląsku. Zamierzono również spowodo-wać Koło Polskie w Berlinie do oświadczenia, czy stoi na stanowisku twierdzeń posła Jaż-dżewskiego.

Poznań, 14 marca. *(Tel. pr.)* Socyali-ści pod komendą Niemców-socyalistów starają się rozbijać wiece na górnym Szląsku, aby przeszkodzić zamanifestowaniu na tych wie-cach uczuć i stanowiska narodowego. Wiec w Króleskich Hutach zwołano na 17 b. m.

Królewskie Huty, 14 marca. *(Tel. pr.)*. Socyaliści zostali tu mocno poturbowani. Zna-ny socyalista Haase uciekł do sieni przed go-niącymi go. Polaków było 1800, socyalistów z kobietami około 100.

Petersburg, 14 marca. Wielka ks. Olga Aleksandrowa, siostra cara, zaręczyła się z ks. Piotrem Aleksandrowiczem Oldenburskim.

Petersburg, 14 marca. *(Tel. pryw.)*. Generał gubernator finlandzki zamknął wy-dawnictwo dwóch gazet finlandzkich na zawsze, dwóch na dwa miesiące, jednej na 3, jednej na 4 miesiące, a dwom dziennikom zagroził karą.

Bruksela, 14 marca. Poseł dr. Leyds upoważnił współpracownika pisma *Petit Bleu* do oświadczenia, że wiceprezydent Transvaalu Schalk Burger nie otrzymał żadnych instru-kcyj co do rokowań z Bothą, o których zre-sztą także prezydent Krüger nic nie wie.

Marsylia, 14 marca. Delegaci syndy-katu robotniczego postanowili zwrócić się do innych syndykatów z wezwaniem, aby odbyć wspólne posiedzenie, celem ewentualnego u-chwalenia generalnego strejku.

Marsylia, 14 marca. Pomiędzy strej-kującymi robotnikami a tymi, którzy nie przystąpili do bezrobocia zaszła wczoraj bójka. Jeden robotnik jest ciężko ranny. Policya are-sztowała 2 ekscedentów.

Madryt, 14 marca. Tłum zbombardo-wał wczoraj kamieniami budynek cłowy, po-nieważ strażnik cłowy zbił pewnego człowie-ka, który chciał przemycić flaszkę wina. Żan-darmerya rozproszyła zbiegowisko.

Barcelona, 14 marca. Z kilku miast fabrycznych nadchodzą wiadomości o niepo-kojach robotniczych. Wysłano tam wojska. Słychać, że gdyby niepokoje dłużej trwać miały. zostanie proklamowany stan oblężenia.

Konstantynopol, 14 marca. Rozpowsze-chniona w Londynie pogłoska o wybuchu nie-pokojów w Rumelii nie znajduje potwierdzenia.

Londyn, 14 marca. *Times* donosi, że lista cywilna króla angielskiego ma być w po-rozumieniu z rządem oznaczona na 470.000 funtów szterlingów rocznie.

Londyn, 14 marca. Na wczorajszym bankiecie Izby handlowej lord Salisbury, o-mawiając sprawę handlu angielskiego, oświad-czył, że nie może się przyłączyć do zdania tych pesymistów, którzy mówią o upadku handlu angielskiego. Jednem z największych niedomagań Anglików jest brak znajomości obcych języków. Każdy kupiec powinien rozu-mieć przynajmniej język francuski i nie-miecki.

Javianopolis, 14 marca. Zmarł tu były prezydent Stanów Zjednoczonych Harrison.

Wypadki w Chinach.

Londyn, 14 marca. *Standard* donosi z Schanghaju: Japonia zawiadomiła Chiny, że w razie, gdyby przyznano Rossyi jakiegokol-wiek bądź rodzaju koncesye w Mandżuryi, Japonia zażąda dla siebie takich samych kon-cesyj w prowincyi Tokien.

Londyn, 14 marca. *Times* donosi z To-kio, stolicy Japonii: Ponieważ nie doszło do kompromisu pomiędzy Izbą wyższą a mini-sterstwem, w sprawie ustawy podatkowej, za-wezwał Mikado do siebie prezydenta Izby wyższej i zawiadomił, że jest jego życzeniem, aby ustawa była uchwaloną. Członkowie Izby panów usłuchali rozkazu Mikada i oświad-czyli, że na następnem posiedzeniu ustawa zostanie uchwaloną.

Pekin, 14 marca. Hr. Waldersee za-wiadomił generała Chaffée o dyslokacyi wojsk europejskich w miesiącach letnich. Podług tego planu 1000 Anglików pozostać ma w pałacu letnim, mały zaś oddział angielski i 2000 wojsk innych, umieszczonych będzie w okolicy Pekinu. Niemcy udadzą się w kierun-ku na północ, a Japończycy i oddział austro-węgierski zostaną w Pekinie.

W Tientsinie wybuchł między Angli-kami a Rossyanami spór o kawał gruntu, który od szeregu lat należy do Towarzystwa kolejowego, a który obecnie Rossya na pod-stawie nowej koncesyi reklamuje dla siebie.

Shanghaj, 14 marca. Krążą tu pogło-ski, że cesarz chiński zamianował nowych pełnomocników dla podpisania umowy z Ros-syą. Rossya nalega, aby umowa była do 14 dni podpisaną.

Shanghaj, 14 marca. Amerykańskie i angielskie stowarzyszenia chińskie zwróciły się telegraficznie do reprezentacyj swych w Wa-szyngtonie i Londynie z prośbą, aby zapro-testowały przeciw rossyjsko-chińskiej umowie w sprawie Mandżuryi.

Podbój Transvaalu.

Londyn, 14 marca. Jak urzędowo do-noszą z Kapsztadu od 3 do 9 b. m. zdarzyło się tam 50 nowych wypadków zasłabnięcia, a 18 wypadków śmierci na dżumę.

Londyn, 14 marca. Wczoraj rano od-było się bardzo nagle zwołane posiedzenie ra-dy gabinetowej. Jak słychać, omówiono obe-cny stan rokowań Kitchenera z Bothą.

Telegrafowany kurs wiedeński.

Wiedeń, 14 marca 1901. — Giełda południowa *(Mittagsbörse)*. Godz. 12 min. 30. Marki 117·50, Renta majowa 98·55, Węgier-ska renta koronowa 93·30, Akcye austr. Za-kładu kredytowego 703·50, Akcye węg. Za-kładu kredytowego 718·—, Akcye Anglo-banku 285·50, Akcye Unionbanku 567·—, Akcye Bankvereinu 503·—, Akcye Länder-banku 433·—, Akcye Kolei państw. 690·50,

Wiedeń, 14 marca 1901. — Zamknię-cie giełdy *(Schlusscource)*. Godz. 3 min. 15. Akcye austryackiego Zakładu kredyt. 703·—, Akcye węgierskiego Zakładu kredyt. 715·—, Akcye Anglobanku 282·—, Akcye Unionban-ku 566·—, Akcye Länderbanku 431·—, Akcye Bankvereinu 501·—, Akcye Bodencredit 920·—, Akcye galicyjsk. Banku hipotecznego —·—, Akcye Kolei państwowych 690 25, Akcye Ko-lei Południowej 104·—, Akcye Tramway *A)* 301·25, Akcye Tramway *B)* 297·—, Akcye Kolei Elbethal 505·—, Akcye Kolei Pół-nocnej —·—, Akcye Kolei Czerniowieckiej —·—, Akcye Alpiny 467·—, Akcye Rima Muranyi 506·—, Akcye Praskiego Towarzy-stwa żel. 1675·—, Akcye Fabryki broni —·—, Akcye Tureckie tytoniowe 295·—, Obligacye węgierskiej indemnizacyi 92·25, Renta majowa 98·40, Austryacka Renta koro-nowa 98·10, Węgierska Renta koron. 93·20, 56 l. Listy Tow. kredytowego ziem. 91·45, 4 prc. Listy Banku krajowego 92·—, 4 i pół prc. Listy Banku krajowego 99·—, 4 prc. Listy Banku hipotecznego 90·—, 4 i pół prc. Listy Banku hipotecznego 98·25, 5 prc. Li-sty Banku hipotecznego 109·50. 4 prc. Galic. Obligacye propinacyjne 96·25, 4 prc. Galic. pożyczka kraj. z r. 1893 92·75. 4 prc. Poży-czka miasta Lwowa 87·50, Losy tureckie 111·—, Marki 117·50, Ruble 253·50.

Odpowiedzialny redaktor **Adam Krechowiecki**

łania Rady państwa. Dalszą dyskusyę ogólną odroczono do następnego posiedzenia.

Wolne zjednoczenie adwokatów Izby deputowanych wybrało p. Schückera swoim przewodniczącym. Uchwaliło ona po-rozumieć się bliżej z przedstawicielami osta-tniego Zjazdu delegatów austryackich adwo-katów co do tych kwestyj, które mają na celu podniesienie powagi stanu adwokackiego.

Subkomitet socyalno-polity-cznej komisyi Izby deputowanych uchwalił zgodnie z referatem dr. Kolischera zalecić socyalno-politycznej komisyi za podstawę do dyskusyi szczegółowej przedłożenie rządowe, które zmienia obowiązujące dotychczas prze-pisy dla robotników zatrudnionych w kopal-niach węgla. Radca ministeryalny Zechner oświadczył, na skierowane do niego różne za-pytania, że Rząd wielką do tego przywiązuje wagę, aby za podstawę dyskusyi szczegółowej wzięto przedłożenie rządowe. Z drugiej strony Rząd musi oświadczyć, że nie może zgodzić się na 8 godzinny czas pracy.

Subkomitet komisyi dla budowy dróg wodnych załatwił wczoraj w dysku-syi szczegółowej część przedłożonego mu pro-jektu ustawy.

KORESPONDENCYE

Poznań, 12 marca.

(Zwycięztwo kandydata polskiego w wyborze po-sła do parlamentu. — Kandydat zjednoczonych Niemców p. Witting. — Nowy poseł polski p. Chrzanowski. — Przenoszenie do prowincyj nie-mieckich urzędników Polaków. — Walne zebra-nie Kółek rolniczych. — Ustąpienie długoletnie-go patrona Kółek p. Jackowskiego. — Wybór no-wego patrona).

(x) Wczorajsze wybory uzupełniające do parlamentu niemieckiego w mieście Poznaniu, jego okręgu i dwóch powiatach poznańskich w miejsce zmarłego w grudniu r. z. prezesa Koła polskiego ś. p. Stanisława Mottego, zje-dnoczyły po raz pierwszy oba tak wrogie so-bie stronnictwa niemieckie jak konserwaty-stów i wolnomyślnych pod hasłem: walka przeciw polskości. Niemcy i żydzi szli wszę-dzie ławą do urny głosując na wspólnego kandydata, pierwszego burmistrza w Pozna-niu p. Wittinga, ale też i Polacy, którzy przed trzema laty przy ogólnych wyborach podzie-leni byli na dwa obozy i głosowali na dwóch oddzielnych kandydatów (Mottego, kandyda-ta komitetu centralnego, i ludowca Andrze-jewskiego), teraz w zrozumieniu grożącego nie-bezpieczeństwa szli solidarnie i oddawali gło-sy na mecenasa p. Bernarda Chrzanowskiego. Wyjątek stanowili tylko socyaliści, którzy wy-sunęli kandydaturę niejakiego Kasprzaka i ją popierali. Chociaż do tej chwili nie dokona-no jeszcze obliczenia oddanych głosów, to przecież z tego co obecnie wiadomo nie ulega wątpliwości, że odniósł zwycięstwo kandydat polski.

W całym „wielkim“ Poznaniu (włącz-nie z przedmieściami Jeżyce, Wilda i św. Ła-zarz) oddano: na p. Bernarda Chrzanowskie-go 8173 głosów, na p. Wittinga 7276 gł., na socyalistę Kasprzaka 688 gł. A ponieważ powiaty poznańskie rozporządzają ogromną większością polskich wyborców — więc jest zupełnie uzasadniony powód do proklamowa-nia zwycięztwa p. Chrzanowskiego. Niemcy u-ciekali się do rozmaitych forteli, aby wywołać zamęt wśród wyborców polskich, zwłaszcza należących do klas robotniczych. I tak w nie-dzielę porozlepiali na słupach miejskich pol-ską odezwę „do Rodaków“, wzywającą pol-skich robotników, ażeby głosowali na p. Wit-tinga, „który, powiedziano w odezwie, będzie lepszy od p. B. Chrzanowskiego, bo p. Wit-ting jako pierwszy burmistrz bardzo wiele zrobił dla zarobkowania ludu pracującego i jeszcze wiele zrobi. Jeżeli robotnicy polscy po-mogą mu do uzyskania mandatu, to on im się wywdzięczy“. Robotnicy Polacy jednakże odepchnęli od siebie tę pokusę i stwierdzili to licznym udziałem przy głosowaniu na pol-skiego kandydata.

P. Witting był bądź co bądź niebezpie-cznym rywalem i z nim Polacy musieli li-czyć się poważnie. Cechuje go niezwykła in-teligencya i energia, której Poznań zawdzię-cza barozo wiele, a mianowicie większą część dzisiejszych swych ulepszeń i upiększeń. Na polu politycznem p. Witting powodował się w pierwszych czasach swojego urzędowania bezstronnością i zjednał sobie zaufanie i u-znanie nie tylko niemieckiej, ale i polskiej ludności poznańskiej. Powoli jednak i on tak-że począł płynąć z obecnym prądem, chociaż co prawda nie dał się pochwycić zupełnie fa-lom krzykliwego hakatyzmu. Jest on nato-miast jednym z najwybitniejszych i najczyn-niejszych przedstawicieli t. zw. „cywilizacyj-nego“ hakatyzmu, zainicyowanego i krzewio-nego przedewszystkiem przez wiceprezesa pru-skiego gabinetu i ministra skarbu, dr. Mi-quela, który też podobno otacza p. Wittinga szczególniejszą swoją protekcyą.

P. Witting jest jednym z trzech synów krawca poznańskiego Witkowskiego izraelity. Przeszedłszy na protestantyzm zmienił swe nazwisko. Tak samo uczynił brat jego, głośny ze swych procesów o obrazę majestatu reda-ktor berlińskiej *Zukunft*, Harden. Trzeci z braci zachował rodzinne nazwisko Witkow-skich.

Nowy poseł p. B. Chrzanowski jeden z młodszych członków tutejszej palestry, i prze-wódca t. zw. inteligencyi demokratycznej dał się poznać na różnych zebraniach publicznych, a także w radzie miejskiej, w której od nie-dawna zasiada, jako człowiek wybitnych zdol-ności i cięty mowca.

Z powodu demokratycznych aspiracyj p. Chrzanowskiego, kandydatura jego spotkała się w pierwszej chwili w tutejszych kołach zachowawczych z pewną niechęcią; ta jednak umilkła w obec grożącego w razie rozdwo-jenia niebezpieczeństwa. W każdym razie bę-dzie on dobrym nabytkiem dla Koła pol-skiego i niepozostanie w niem niezawodnie w cieniu.

Przesiedlanie urzędników pocztowych Po-laków z Poznania do odległych okolic niemie-ckich rozpoczęło się już na dobre. W osta-tnich tygodniach, mianowicie od czasu roz-poczętej walki przeciw adresom polskim na listach i przesyłkach pocztowych, przenie-siono dziesięciu wyższych asystentów poczto-wych na zachód i to przeważnie do małych miejscowości. Niedługo a nie będzie w Po-znaniu ani jednego urzędnika pocztowego Po-laka; nie dość na tem, mają temu samemu losowi uledz także listonosze, — początek w tych dniach już zrobiono.

Dzisiaj rozpoczęło się tutaj, przy nad-zwyczaj licznym udziale uczestników ze wszyst-kich stron Księstwa, walne zebranie Kółek włościańskich. Zagaił je ustępujący ze swo-jego stanowiska niezmiernie zasłużony około rozwoju Kółek, a zarazem około intelektual-nego i materyalnego podniesienia warstw wło-ściańskich 86-letni Patron p. M. Jackowski. Po odczytaniu pisma ks. arcybiskupa Stablew-skiego, w którym arcypasterz przesyła Patro-nowi „w uroczystej chwili, gdy składa brze-mię swoich obowiązków na młodsze ramiona, z wyrazem głębokiej wdzięczności za tak dłu-goletnią, gorliwą, niestrudzoną pracę około podniesienia duchowego, moralnego i mate-ryalnego ukochanych owieczek stanu wło-ściańskiego, wraz z gorącą podzięką, arcypa-sterskie błogosławieństwo“, wygłosił p. Julian Brzeski odczyt „o cłach zbożowych“ w któ-rym oświadczył się w interesie rolnictwa, szczególniej mniejszych gospodarstw za pod-wyższeniem ceł zbożowych. Sformułowany w tym duchu wniosek, przyjęło zebranie przez aklamacyę.

Wybór nowego patrona nastąpi na ju-trzejszem posiedzeniu. Następcą p. Jackow-skiego będzie p. Józef Chłapowski z Rzego-cina, którego zarówno dotychczasowy Patron jak i ogół uznał za najodpowiedniejszego do prowadzenia dalej dzieła, doprowadzonego do tak kwitnącego stanu.

KRONIKA

Lwów, 14 marca.

— **Z c. k. kolei państwowych.** Pan Minister kolei żelaznych przeniósł ze względów służbowych rewidenta Otokara Hellingera, za-stępcę naczelnika magazynu materyałów w No-wym Sączu, w tymże samym charakterze służbo-wym do Stanisławowa.

— **Z Uniwersytetu.** P. Maksymilian Ignacy Opstein, koncypient kolei państwowej w Stanisławowie, rodem z Krakowa, otrzymał na Uniwersytecie Jagiellońskim stopień doktora praw.

— **Powszechne wykłady uniwersyte-ckie.** Zapowiedziany na piątek, 15 marca, wy-kład p. L. Przysieckiego „Stanowisko Nietzsche-go we współczesnym ruchu filozoficznym“, nie odbędzie się z powodu choroby prelegenta.

— **Powszechne wykłady uniwersyte-ckie na prowincyi.** W niedzielę, dnia 17 marca b. r.:

w Brodach dr. L. Feuerstein „O wzroku“;

w Drohobyczu dr. B. Gubrynowicz „Ro-mantyzm w Polsce“;

w Przemyślu prof. B. Kąsinowski „Zacza-rowane koło, Lucyana Rydla i jego pierwo-wzory“;

w Samborze dr. Fr. Tomaszewski „O te-lefonie“;

w Stanisławowie prof. P. Bryła „Dą-żności do reformy społecznej w okresie Jagiel-lonów“;

w Stryju prof. Uniw. dr. Wł. Sieradzki „O używaniu napojów alkoholowych“;

w Tarnopolu dr. Michalik „O ratowaniu w nagłych wypadkach“;

w Złoczowie M. Barański „O sercu“.

— **Wiec młodzieży prawniczej** odbył się wczoraj wieczorem na Uniwersytecie; przy-było kilku profesorów oraz około 200 słucha-czów praw. Przewodniczył akademik T. Moszyń-ski, zast. akad. Macieliński i Wiechoński.

„Gazeta Lwowska“ z dnia 15. marca 1901.

Słowo o Bohdanie
Zaleskim
przez Teofila Lenartowicza

32

1)

SŁOWO O BOHDANIE ZALESKIM

przez

TEOFILA LENARTOWICZA.

La providence met des poëtes dans les sociétés qui tombent, comme elle met des nids d' oiseaux dans les ruines pour les consoler.

F. OZANAM.

Synowi zmarłego wieszcza

DYONIZEMU ZALESKIEMU.

Zasada despotyzmu zewnętrzych wpływów i nieobecności własnej woli, coraz więcej upowszechniająca się, w logicznem następstwie twórczość poetyczną podciągając pod toż samo prawo, zaleca jak najskrzętniejsze poszukiwania życiorysów autorów, kwoli sprawdzeniu i utwierdzeniu siebie i publiczności w przekonaniu, że na nerwach tworzącego, wypadek taki to czy owaki, odegrać się musiał tak, jak jego utwór w słuchu naszym dzwoni, że więc jest niczem innem, jak pewnym porządkiem drgań nerwowych, ułożonym wedle form przyjętych sztuki.

W każdym fałszu — dawno to powiedziano — jest pewna część prawdy, inaczej nie miałby on tak wielkiej liczby zwolenników. Owóż i w tej dzisiejszej walce przeciwko wolnej woli część ta prawdy się znajduje. Wpływy zewnętrzne działają niewątpliwie, przywiązywać jednak do nich wartość tak wielką, jest to zaprzeczać osobowości charakterów, pod jedną miarę i do jednego kamertonu nastrajać powszechny umysł, równać to, co się z pod miary wydobywa, zaprzeczać wolności wyboru drogi swojej i obcinać skrzydła geniuszom, którzy się podobnej strzyżce nie poddają.

Że wpływy zewnętrzne pobudzają do działalności — to kwestji nie podpada, ale czy jednakowe przyczyny we wszystkich jednakowe wywołują skutki, oto kwestja. To co jednym sprowadza krzyk rozpaczy, oburzenia, zemsty, ironii zniechęcającej do życia — drugich podnosi w najczystsze sfery, z których wysokości zwycięztwo prawdy przez siebie wyznawanej zapowiadając, sybilińskie rzucają wieszczenia. Dośćby tu na dowód przypomnieć dwa imiona dwóch cierpiących wielkich pisarzy: Pascala i Leopardiego.

Indywidualność, rozświecana ową iskrą świętą, którą starożytni genjuszem nazywali, wybija się ponad otoczenie społeczne, roztrąca despotyzm wrażeń i do godności odwiecznej *liberum arbitrium* powraca.

Natury poetyczne upatrują już sobie od dzieciństwa przyszłe światy swojego działania; mały światek zbliża się do wielkiego i jednoczy z kolorem sobie właściwym. Byron dziecięciem wybiegał z domu rodziców w miejsca odludne, a burzliwe niebo, grzmoty i błyskawice były mu najczarowniejszem widowiskiem; Bohdań Zaleski, pacholę, duma po godzinach na wzgórku Iwanhoru i rozrzewnia się mogił i stepów melancholią, powołany wybiera swoje scenarjum — i ten właśnie wybór świadczy za wolnością woli istoty twórczej. Usposobienia wrodzone, spadając z wysoka natchnieniem, kierują poetą w ciągu jego krótkiej pielgrzymki, i te jakbądź modyfikowane wpływami zewnętrznemi objaśniają: równie powstawanie twórczości poetycznych, jak i naturę osobnika w wielkiej ekonomii świata.

Twórczość, na jakiej bądź drodze od owej iskry zależy, którą Sokrates nazywa demonem, Napoleon gwiazdą, Rzymianie genjuszem, a katolik łaską. Iskra, ta siła boskiej atrakcji, pociąga, nawołuje do zestrzelenia się w jedno ognisko, do jednego wieńca duchy, i otrzymuje wrażenie w świecie fenomenów, podobne maleńkiej iskierce ognia, spadającej w składy prochów.

Bo duch twórczości to iskierka mała,
A świat, a ludzie, są to palne ciała.

— Nie, ja żadną miarą podległy być nie mogłem — wyraża się o sobie cesarz w memorjale pozostawionym na Elbie — a gdybym życie przepędzić miał w klasztorze, i tam musiałbym pierwszym być pomiędzy mnichami; taki to książę był we mnie.

Wybrane indywidualności ulegają jedynie wpływom sfer, od których odbierają misję dokonania czegoś w społeczeństwie. Miłość sławy, duma, czy jak chcieć nazwać ich ukryte motory, nie są w rzeczywistości niczem innem, jak energią w przeprowadzeniu zadania, szorstką i rozkazującą w Napoleonie, spokojną w Sokratesie, pełną miłości w św. Teresie i jej podobnych.

Wielka sława, wielkie imię,
Wielkie nic...

Nic — to zamało, jest to coś przedziwnie pięknego jako entuzjazm dla nieskończonej pieśni, w której talenta czy geniusze, to tylko ciągłe przejścia z jednej w drugą frazę muzyczną, przenajcudniejszej arcymistrza kompozycji i obojętnym nań być niepodobna. — Cała rzecz w tem, żeby nie brać do siebie i dla siebie tego, co bez wyższej pomocy miejscaby mieć nie mogło. Bez tej pomocy niczem jest człowiek — *pulvis et nihil* i wyżej drugich nie ma tak dalece prawa zadzierać czoła.

Nie każdemu dano rozbłysnąć się słońcem, ale czyż przez to mniej ma uroku łagodne jutrzenki światło, której widok obudza nadzieję, nadejścia wielkiej gwiazdy prac i trudów dziennych? W zarządzie Bożym ma ona równą wartość, a jak bądź w zastosowaniu do życia dziennego ustępuje miejsca owemu królowi powietrza i staje się niewidzialną, po skończonym dniu słonecznym powraca do umysłów znużonych pracą, jak Boże piastunki z kołyszącą do rajskich snów pieśnią.

Takim Apollinem w poezji polskiej zaświecił geniusz Adama, taką gwiazdą pełną rubinowych iskier porankowego świtu Bohdan Zaleski.

„Zaleski — powiada Mickiewicz — niewątpliwie jest największym ze wszystkich słowiańskich poetów, rzucił on pęk kwiatów na zakończenie igrzyska poetycznego Słowian“.

Jakto, zawołają estetycy, więc cały chór wielkich poetów słowiańskich i sam mistrz słowa, miejsce przed sobą ustępuje pieśniarzowi gminnemu, twórcy *Dumy*, *Potrzeby Zbarazkiej*, *Ducha od stepu*, poematów niewielkiej rozciągłości, autorowi obrazka *Przenajświętsza Rodzina*, *Rusałek*, *Dumek i Szumek*, ? Ależ na to zgodzić się niepodobna, nie można, rozpatrując w starożytnych wzorach i nowej szerokiej pieśni niemiecko-angielskiej. I rzeczywiście nie można, jeżeli poezja słowiańska po utartych od Homera, Danta, Szekspira, Calderona, Miltona, Goethego, Szyllera, Byrona, aż do Musseta i Heinego deptać ma śladach. Ale jeżeli poezja ta ma wyrastać z własnej istoty, jak ów bóg Etrusków Feygetes, cudowna dziecina ze świeżo pooranej roli, jeżeli ten kwiat naturalny z własnej gleby na pięknej duszy poety ma się udoskonalać, nie tracąc pierwotnego swego charakteru, jak kwiaty polne pod pieczą uczonego ogrodnika, malując ducha i przyrodę ludów, śród których powstała — to Adam Mickiewicz słuszność ma po sobie.

Wyrażeniu się jego poświęcimy kilka słów. Z ust tych nie wyszło nic, coby nie było głęboko obmyślanem i prawdziwem.

W słowie, Bohdan Zaleski największym jest poetą słowiańskim; dzwoni tam coś takiego, na co się entuzjaści naśladownictwa nie zgodzą, i cóż to będzie? Oto obok powieści i romansów rymowanych powszechnej literatury poetycznej, równouprawnienie *Dumy Słowiańskiej* w godności poetycznej, prostego opowiadania zdarzeń w podniesieniu ducha, nie gawędy rubasznej; rubaszność i poziomość słowa obcą będzie tej nowej formie, jak obcymi były Iljadzie i Odyssei, albo pieśniom Hesioda. Dziecinna w nich prostota i powaga kapłańska. W taki ton uderzył Bohdan, a mistrz słowa i jeden z najgłębszych myślicieli, nie nazywając go poetą całej Słowiańszczyzny, ale tylko słowiańskim, publicznie to zaznaczył.

Na drugiego Mickiewicza, wieszcza już całej, zjednoczonej i dzieje swoje mającej Słowiańszczyzny, długie wieki bojów i krwi, bogdajby jeszcze nie przyszło oczekiwać.

Na podścielisku dum ukraińskich, na mistycznym jakimś Bojanie, o którym śpiewak Igorowej pieśni wspomina „ne leposzy biaszet bratia naczaty, staremu slowesy naczaty, że sia toje pieśni po bylinam wremeni, a ne po zmysleniu Bojanju“ w epoce przearcypotężnej (od r. 1800 do 1830) na całej przestrzeni europejskiej, od skał Albionu do Renu, Adygi, Wisły, Petersburga, do lasów Litwy i stepów Ukrainy, na kończynach Słowiańszczyzny w blizkości przesławnego pieczarami nestorowych mnichów Kijowa, powstaje jednocześnie pieśniarz, mający posłannictwo szczególne, zamienienia mytu Bojana na rzeczywistość Bohdana (Bogiem danego piewcy), spełnienia marzeń o jakiejś cudownej pieśni i śpiewaku, co puszczał palce na struny jak sokoły na łabędzi stado.

Cześć pieśniarza pułku Igora, oddana Słowianinowi, który

Pieśń tworzył myślą uganiał przez bory,
Wilk ziemią, w wiatrach orzeł chyżopióry,
Lecz nie sokołów na stada łabędzie
Bojan, o bracia, wypuszczał ku walce,
Jeno na struny kładł swe wieszcze palce.

a istnieć miał za czasów Jarosława Starego i Mścisława Chrobrego, obudziła w Ukraińcu Bohdanie miłość słowieńską plemienną i począł rozmyślać nad dumą ruską.

W oczach ćmiło się i lśniło, spadała tak łuska,
Co bo mówić, to nie piewca, bo duma hej ruska,
Czarodziejka stepów, mogił, królewska ta wdowa,
Sama swoje malowania nizała mi w słowa.

a wypadkiem tych rozmyślań a rozglądań się także w poezji słowiańskiej, stała się jego poetyczna Ruś słowiańska bez panów i bez żydów, wolna, patryarchalna pod opieką Zygmuntów, na której obszarach co bądź się znajdowało zwało się wspólnym mianem i chlebem, a większy ten tylko, który większymi odznaczył się zasługami. Hetmanem wódz najsławniejszy w bojach, a sąd nad nim panów gromady.

(C. d. n.)

bm. artykuł: „Czy istnieją jeszcze opusty w razie klęsk gospodarskich“ mo-

Podsądni przesłuchani kolejno, twierdzili, iż do winy się nie poczuwają, i że nie brali udziału w na-

na mieszkanie 150 zł. a to po przemówieniu p. Szczerbickiego i innych. Uchwalono jeszcze kilka innych datków w ogólnej kwocie 267 złr. Na wniosek tejże

szym stroju. Celem powiększenia tego funduszu obecni członkowie wydziału złożyli na tenże sam cel natychmiast kwotę 60 zł. w nadziei, że przykład

Warszawie cechy rosyjskiego miasta, dowodzi następujący ustęp z ostatniego rozkazu oberpolicmajstra: „Przekonawszy się z wiarogodnego źródła, iż pole-

OFICER MARYNARKI.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO

przez

PIOTRA MAËL'A.

(Ciąg dalszy).

Kończyła głosem stanowczym, szorstkim prawie; widocznie nerwy jej były podrażnione. Zamiast tkliwego porozumienia, oboje starali się przekonać wzajemnie za pomocą chłodnego rozumowania. Ztąd wśliznął się między nich jakiś przymus i zakłopotanie. Dopiero okrzyk serca rozerwał otaczające ich lody.

— Pani! — rzekł Frydryk. — Nie mam ani prawa, ani siły odpychać szczęścia, jakie do mnie przychodzi. Kocham i nie potrzebuję ci tego powtarzać, bo wiesz o tem dobrze! Rób więc ze mną, co ci się podoba. Mężczyzna, kochający cię tylko dla ciebie samej, będzie się zawsze czuł godnym twego wyboru.

— To mi wystarcza! Kocham pana także...

Nie było już więcej żadnych omówień i próżnych frazesów. Stojąc naprzeciw siebie, z rękami złączonemi, rozmawiali tylko spojrzeniami. Wyznania z obu stron były wymowne, bo płomień, jaki przenikał ich serca, odbijał się we wzroku, wyrażającym wiarę w przyszłe szczęście. Oboje czuli się równie szlachetni, równie dumni, warci jedno drugiego. Żadna chmura nie zaciemniała tej pogodnej miłości.

Gdy po rozbudzeniu z tego upojenia, Frydryk zrozumiał, że to sam na sam powinno się skończyć, usta jego wyszeptały jeszcze jej dźwięczne imię:

— Blanko!

— Frydryku! — odpowiedziała jak echo.

Poczem dwa głosy wymówiły razem:

— Na zawsze!...

. . . .

W ośm dni później, pani Plemon, ubrana jak zwykle czarno, przybyła z Tulonu do Cannes, aby prosić pani d'Illiers o rękę jej córki, Blanki, dla swego syna, Frydryka.

Oczekiwano tam na jej przybycie. Dwie wdowy uściskały się serdecznie. Nie było żadnej kwestji niewyjaśnionej. Pani Plemon w kilku słowach przedstawiła stan swych interesów:

— Nie mam nic, prócz emerytury po moim mężu.

Pani d'Illiers nie dała jej dokończyć.

— Jeżeli pani o to chodzi — odparła — Blanka może mieć w posagu tylko swoją piękność.

W tej chwili właśnie ukazała się Blanka. Skromna, wdzięczna, poczęła z uśmiechem przedstawiać pani Plemon, że jeżeli ona nie wniesie żadnego majątku, wówczas znów Frydryk będzie za bogaty dla niej, bo pozostaje mu zawsze szpada...

Od pierwszego słowa podbiła przyszłą świekrę; układy zawarto też w wyrazach najczulszej przyjaźni.

IX.

Nadeszła chwila zaręczyn. Odbyły się one bardzo skromnie, w obecności najbliższych tylko przyjaciół. Między nimi znajdował się prefekt marynarki z Tulonu. Kiedyś, w młodości swojej, kochał się on w pani d'Illiers, a dziś z całą serdecznością winszował młodemu porucznikowi wyjątkowego szczęścia, jakie go spotykało.

Brakło tylko „wuja“ Guidal, który napróżno zabiegał o rękę pięknej dziedziczki, nazwanej Blanką d'Illiers, dla swego siostrzeńca Leopolda, sekretarza ministerjum spraw zagranicznych. Nieobecność „wuja“ zwracała uwagę wszystkich. Zazdrośni, a nie brak ich nigdy w godzinach radości tym, których ta radość spotyka, zadawali w tym względzie niezbyt dyskretne pytania przy życzeniach, składanych pani d'Illiers. Wielu przypuszczało, że małżeństwo Leopolda i Blanki było rzeczą stanowczo ułożoną; sposób wychowania, zażyłość rodzinnych stosunków, łączyły tę parę w mniemaniu całego świata.

Wszystkie te próżne gadaniny nie dochodziły wcale do uszów Frydryka, ani jego matki. Kilkodniowy urlop nie przerwał też pracowitego życia młodego porucznika. W godzinach wolnych od zajęcia, jechał do Cannes, aby oddać się cały swemu uczuciu. Blanka nie domyślała się wcale dawniej, jakie to skarby poezji i dobroci kryły się pod surową powierzchownością jej narzeczonego. Teraz charakter jego objawiał jej się w całej wyższości. Panna d'Illiers odebrała wychowanie bardzo światowe, bardzo paryskie nawet. Żyła tem życiem sztucznem, które stopniowo przejmuje sceptycyzmem najszlachetniejsze nawet serca, najpiękniejszy umysł. Jej codzienne otoczenie nie ukazało jej nigdy prawdziwych stron życia. To też komplimenta wkrótce ją zmęczyły, kłamstwa przyprowadzały do gniewu i obrzydzenia. Zaczęła prawie nienawidzieć swój majątek, który nie pozwalał jej widzieć świata takim, jakim on jest, bo chciwość i podstęp usiłowały przedstawić go jej według własnego interesu. Młoda dziewczyna nie umiała się bronić. Zamało zwracała uwagi na hipokryzję i wymagania towarzyskie, a to przy jej wielkiej, niepowszedniej piękności, musiało ściągnąć potwarze i podejrzenia.

Nieraz już szeptano sobie na ucho o jej zalotności. Toalety jej i sposób wycinania sukien balowych, były przedmiotem nieustannych żartów. „Jest nadto piękna, aby się z nią żenić!“ — mówili głupcy, którzy czuli naprzód, że nie byliby przyjęci. Słowem, utworzono o niej jakąś dziwaczną legendę, która odstraszała poważniejszych kandydatów, wyjąwszy uprzywilejowanego Guidala, którego uważano już za przyszłego męża powabnej dziedziczki.

Nowina o małżeństwie jej z porucznikiem okrętowym, Frydrykiem Plemonem, wprawiła świat w osłupienie. Każdy dopytywał o szczegóły jego życia. W ten sposób dowiedziano się, że nie ma żadnego majątku i złe języki puściły się w ruch. Powierzchowność młodego człowieka nakazała jednak milczenie jadowitym pogłoskom. Bądź co bądź, nie był to przedajny, pospolity pyszałek.

Wreszcie, na widok tylu zalet fizycznych, świat wytłómaczył sobie łatwo wybór Blanki. Niepodobna było istotnie wymarzyć piękniejszej pary.

Kiedy ujrzano ich po raz pierwszy, przechodzących ulicą, obojętnych na wszystko, oddanych zupełnie swemu szczęściu, świat przestał szydzić. Rzeczywiście, było to małżeństwo z miłości. Blanka d'Illiers była cudownie piękną, ale równie pięknym był Frydryk Plemon.

Wtedy, dobre dusze, nie odrzucające nigdy złych przypuszczeń, aż dopiero, gdy im się uda wymyślić jeszcze gorsze, zaczęły żałować Frydryka. Wielka to szkoda, że biedak dał się oczarować wdziękom tej syreny. Co za nowy kaprys przyszedł tej milionerce, aby zawierać małżeństwo z miłości? Nie mogłaż zwrócić swoich zachcianek do jakiego bogatego chłopca z jej świata, a pozwolić temu dzielnemu marynarzowi poszukać sobie w jego sferze żony mniej pięknej, mniej bogatej, ale lepszej małżonki i lepszej gospodyni? Jak gdyby te ostatnie przymioty były nazawsze odłączone od wdzięku i piękności! Nakoniec matki, które w każdym innym razie nie zwróciłyby uwagi na Frydryka, zaczęły też żałować go, że wyróżnił Blankę. Ale na to nie było rady. Stało się już, niestety, prawem na świecie, iż nawet na światło ludzie narzekają, że razi oczy.

O tem wszystkiem Frydryk nic nie wiedział. Niestety! było to złą wróżbą. Patrzył na świat cały oczami Blanki, oddychał jej oddechem! Przez ten czas młoda dziewczyna z żalem liczyła dnie, w których mogli jeszcze być razem i zapytywała siebie z zazdrością, wzrastającą z każdą godziną, czy trzeba jej będzie zawsze walczyć z morzem o tego syna i wnuka marynarzy? Plemon zaś po pierwszy raz w życiu czuł się zniecierpliwionym wymaganiami i obowiązkami służbowemi.

„29“ był już spuszczony na fale. Gildas i Klet zajęli napowrót swe stanowiska. I im się zdarzało mówić sobie na ucho:

— Z tem wszystkiem, komendant jeszcze nie po ślubie?

— Jeszcze nie! Ale trzeba wierzyć, że doprowadzi to do skutku! — odpowiadał zapytany.

Doświadczenia rozpoczęto znów z całą gorliwością. Wszystkie prawie próby świadczyły przeciw torpedowcowi. Wszyscy zgadzali się na to, nawet interesowani, a Frydryk należał do ich liczby, że torpedowiec taki, jak istniał obecnie, nie mógł działać podczas nawałnicy. Mówiono o zbudowaniu specjalnego torpedowca, któryby się mógł burzom opierać. Lecz przeciwnicy systemu wykazywali z nieprzepartą logiką, że zmiana typu jest przeciwna celowi założenia, że taki statek nie mógłby mieć takich, głównie odeń wymaganych przymiotów, jak: szybkość i niewidzialność. Cokolwiekbądź, doświadczenia odbywano nieustannie, a wchodziły one teraz w nową fazę. Miano odbyć próbę pozornego ataku torpedowców na pancerniki.

W ministerjum, gdzie zdania były podzielone, oczekiwano rezultatu z wielką niecierpliwością.

Jednego poranku, gdy Plemon liczył, że wieczorem napewno będzie mógł pojechać do Cannes, nieodwołalny rozkaz z biura marynarki powiadomił go, że przeznaczono mu odbyć pierwszą próbę tego jeszcze wieczora.

(C. d. n.)

2)

SŁOWO
O BOHDANIE ZALESKIM

przez

TEOFILA LENARTOWICZA.

(Ciąg dalszy).

Zasłużeni gospodarzyli, żenili się i sprawiali rolę, a burłactwo młode, odosobnione w dzikich stepach w walce nieustającej z niewiernymi, wysługiwało sobie krwawo żonkę i słobodę. (Potrzeba Zbarazka).

Urząd pieśniarza w społeczeństwie takiem otoczony świetną jakąś atmosferą, karność i obyczaj stary, jak o tem pomyślał Zygmunt król świętej pamięci, jako to chociaż Lachy Lachami, miewają oni święte rozeznanie, czego bratu Słowianinowi potrzeba, biją sie, poświęcają, kochają, a po staremu chwalą Pana Boga jako kość z kości, krew z krwi naszej, że chociaż żyj z nimi w jedności na wieki wieków.

Tak wiążąca się budowa po części na tle historycznem poczyna przystrajać się w myśli poety i wykreślać tryumfalnie świat jakiś idealny, nie pojmującej dotąd siebie i swoich praw i swoich darów Słowiańszczyzny.

Kto kiedy uwierzyłby w opowiadaną przez poetę przeszłość, którą on do apoteozy podnosi, gdzie i kiedy była podobna tak harmonijna i tak poetyczna? Są to proste złudzenia, na któreśmy chorowali, zapewniają nas dzisiejsi trzeźwi pisarze, — bajka. Ej! nie bajka. Wiara tworzy cuda, miłość w naturze wszechrzeczy to matka przyszłości. — Słowiańszczyzny Bohdana nie znajdzie o kilka wieków w tył, ale któż zaprzeczy, że jej przyszłe pokolenia o kilka wieków naprzód nie zobaczą?...

O! święta Rusi, o! Polsko, woła umierający poeta, bądź ty pod przywodem Michała archanioła, patrona twego i patrona kościoła chrześcijańskiego, zawiązkiem najprzedniejszej Rzeczypospolitej!

Niemiecka a mongolska wściekłość uderza w boki twoje jak rozhukane morze, Słowianie tracą pamięć Władysława Warneńczyka, Sobieskiego i tylu innych, garnąc się dławieni przez Niemców i Azjatów z pod jednych skrzydeł czarnych pod drugie, równie okrutne, w wieku wyuzdanej rozpusty ducha, anarchii i bezbożności aż do obrzydzenia, we dniach wypędzenia Polaków z ich ziemi rodzinnej tłumami jak za czasów Tytusa żydów z Judei, albo Alfonsa katolickiego z Hiszpanii, w czasie kiedy milionowe armie Francuzów poddają się w niewolę, chorągwi tysiące rzucając pod stopy najezdców — w tym wieku błagania te wieszcza podnoszą się za Polskę, Litwę, Ruś i całą Słowiańszczyznę, w której chrześcijaństwo nie wątpi i rodów swoich o Kaimowe zbrodnie nie oskarza jak niegdyś Rzymian Horacy:

Tacent et albus ora pallor inficit,
Mentesque perculsae stupent,
Sic est: acerba fata Romanos agunt,
Scelusque fraternae necis.
Ut immerentis fluxit in terram, Remi
Sacer nepotibus cruor. —

wiara taka w najuroczystszej chwili to testament wieku, wobec którego do niedojrzanej małości dochodzą i zbrodnie władz i szaleństwa ludów.

Zjawisko to zadziwiające przechodzi przez życie, nie tracąc ani na chwilę swego stepowego charakteru. W młodości dumka, rusałka, szumka, a pieśń wojenna, w późniejszym wysokie natchnienia, wreszcie monasterskie modlitwy wyrabiają tę ze wszechmiar zajmującą postać, rysy jego twarzy odmieniają się w ślad ducha i w starości swojej podobnym staje się do mnichów św. Bernarda, czy św. Bazylego, wzdycha, korzy się za cały swój rodzaj słowiański, po lasach i świątyniach przesiaduje, a jeżeli zbliża się do ludzi, to by uczcić cnotę, a głodnych i pragnących nakarmić i napoić. Plemiona indo-europejskie z tradycjami wyniesionemi z nad brzegów Gangu, z lasów zamieszkałych przez kontemplujących braminów, nie mogły wydać, oświecone światłem chrześcijańskiem, więcej skończonego typu.

Czy Bohdan Zaleski miał jakie wzory w literaturze na swojej drodze? Może miał, może i nie miał, to pewna, że go Wirgiliuszowe georgiki, a nawet przedziwnej piękności Teokrytowe sielanki nie oczarowały, Symonowicza, Gawińskiego i innych poetów pominął, wierny dumie stepowej, wiecznie w ruchu, w wojnie, w podróży, w tańcu, w lotach powietrznych i w szumie wód Dnieprowych, Bohdan to nie Teokryt, nie Wirgiliusz, nie Gesner, nie Uhland, nie Bürger, to Bohdan; to step mówiący za siebie gęślą, sposobną wszystkie głosy ptaków, szumy wód, liści i wichrów powtarzać, jak echo piękniejsze, idealniejsze, wolne od ostrości instrumentu, z którego się tony muzykalne wydobywają, chór po niebiańsku ziemskie opowiadający sprawy.

To co Adam o Bohdanie wygłosił: że wyczerpał wszystkie sposoby i rytmy poetyckiej sztuki, że w rozpacz wprawiać będzie tych, którzyby po nim śpiewać chcieli, powtórzył Zygmunt Krasiński o Słowackim: że nikt po nim wierszy pisać nie powinien. Są to wciąż te same reminiscencje powieści o hyblejskich pszczołach, siadających na ustach wymownych, o ptakach zlatujących się na puhar Anakreonta, o królowej Małgorzacie składającej pocałunek na ustach śpiącego Allana Chartier. Czy wszakże tą droga w przyszłości nie pójdzie już żaden, i do podobnej nuty nie nastroi się dusza kochająca, czy skarby natchnień i strojności słowa Bohdan i Juliusz wyczerpali do dna — nie wiadomo. Utrzymywać, że tak, byłoby to przesądzać wielkości Boga i skarbom jego królestwa. Mogą się znaleźć i drudzy, ale drudzy już tylko równi, nie wyżsi: jest bowiem miara doskonałości nieprześcignionej, a tę pojmuje i ocenia szczęśliwie tylko prawdziwy artysta, któremu tajemnice sztuki równie pod względem techniki, jak i ducha twórczego są znane.

Dzieła liryczne tak doskonałe w pomyśle i wykonaniu, to kilka Teokrytowych sielanek, to kilka sonetów Petrarki, to Goetego Herman i Dorota, to Dzwon Szylera, to Farys Adama, to Bohdana pieśni, to kilka balad Uhlanda i t. p.

Droga do dojścia na te wyżyny nie łatwa — abnegacja, myśl wiecznie ku jednemu przedmiotowi zwrócona, wieczne poszukiwanie owego królestwa doskonałości, w pochodzie ku któremu reszta czyli szata najświętniejsza dostaje się pielgrzymom idącym po coraz wyższych schodach, aż do sfery w której Śty Wincenty z Feraizy o mało nie utracił życia, słuchając jednego z legendowych obłokowych muzykantów, za którego pociągnięciem smyczka, dusza się ku wiecznemu życiu wyrywyła.

Nie wielkiej objętości utwory Bohdanowe następowały w postępie na skałę pięknej Kaljopy, a forma ich im bliższa prawdy, tem się strojniejszą i więcej tęczującą stawała.

Dajcie mi maleńką perłę, ale niech to będzie perła prawdziwa, a nazwę ją siostrą owej, która zdobiła czoło egipskiej Kleopatry, perły cudu morza.

Ale zostawmy kunszt poetyczny artysty. Od Mochnackiego do Siemieńskiego i ostatnich piszących o Bohdanie, powiedziano o tem tak wiele, że powtarzanie tych samych uniesień na parafrazę by zakrawało; formy te wszystkie, rytmiczność ta czarująca znajduje się w pieśniach gminnych ukraińskich i lackich — są to formy dum i dumek uszlachetnione uczuciem artystycznem.

Mazulicz i Kawdzyc, Dalmaci, porównywani byli do Petrarki pod względem śpiewności języka, stanowisko to przecież nie wyniosło ich i nie postawiło na świeczniku wszystkich Słowian, i nie to jest, co najrzeczywiściej entuzjazm obudza nieśmiertelnego profesora we francuskim Collegium, i cóż więc? Oto wierne malowidło uczuć ludowych, i dążność obywatelska do zespolenia się,ześrodkowania Słowian w imię wolności i najczystszej wiary, w jednym zakątku ukraińskim przesławnie podnoszona.

Raguzanie wprawdzie poczuwają się Słowianami, Bohorycz Illiryjczyk prawi o jedności języka, poeci wszakże serbscy jak dalmaccy nie wychodzą poza swoje góry, nie prześcigają błękitnego Dunaju. Nasz Kochanowski pierwszy, a po nim Gundulicz szersze zataczają koła, Kryanicz, którego możnaby nazwać pierwszym apostołem męczeńskim sprawy zjednoczenia politycznego i religijnego Słowian, kapłan Piotrowego kościoła nie był poetą. Poeci czescy: Czelakowski, Hanka, Kollar, rosyjski Chomiaków, nie dają żywego obrazu, któryby możebność zjednoczonego społeczeństwa Słowian przed oczy przedstawił i pieśni tych ludów kochać nauczył, kiedy Bohdan w dumkach swoich i lirykach myśl wszechsłowiańską ożywił i formę jej tak uroczystą nadał, o jakiej dotąd na owem igrzysku poetyckiem nie miano wyobrażenia.

Przejdźmy po kolei wydatniejsze poemata Bohdana i rozpatrzmy się w ich znaczeniu i wyższym rozwoju jego muzy, a może nam się uda złożyć obraz na wzór mozaiki świętego Marka w Wenecji, z drobnych kamyków różnokolorowych, złotem i całą tęczą barw połyskujących.

Zacznijmy od „Rusałek". Poeta pomyślał je, przytaczając szereg swoich dziecinnych wspomnień, wyniesionych z chaty Zuja Znachora w okolicach Humania, przez którego leczony odzyskał zdrowie i nauczył się wielu dumek ukraińskich, zasłyszanych na wieczornicach. Znachora tego Zuja imię znajdujemy pomiędzy bohaterami Potrzeby Zbarazkiej, musiała to więc być niepospolita osobistość.

O tych lekarzach (a jak u nas, znachorach) znanych starożytności, opowiada coś Katon De re Rustica i Plinjusz starszy w księdze XXVIII. historji naturalnej, o wymawianiu słów (zamawiania) *motas*, *raetas*, *daries*, *dardaries*, *austotaries*, *dissanapiter* i tp., których znaczenia trudno odgadnąć. Owóż taki to znachor i podobnie niezrozumiałemi słowami leczył dziecinę i wyleczył siłą nieodgadnioną, niejasną, jak uczucie ludu, z którego wyradza się przyszłość, której poeta jasno nie widzi, ale którą czuje i w nią wierzy, a jak Adam powiada:

Czucie i wiara bardziej mówi do mnie
Jak mędrca szkiełko i oko.

(C. d. n)

× Chyba o kilka wieków!

Gdzie szukać tej Słowiańszczyzny? Kto ją stworzy?

Kroaty – Serby – Bułgary?... może Czechy? – Mazowsze i nic więcej.

...on na temat konieczności zaprowadzenia wojskowego prawa karnego

...stwowe. Wszelkie inne wydawanie losów premiowych jest zakazane.

...już i znowu śnieg napadał. Nie będzie miał żywota z róż i chwyci za oskardy, by rozbić błota ogrom —

...a po wyniesieniu zwłok z domu żałoby i złożeniu na karawanie, pożegnał zmarłego z balkonu imieniem

...udziale członków wczoraj o godzinie 4 po południu w lokalu Towarzystwa (ul. Karola Ludwika l. 3. II.

13

OFICER MARYNARKI.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO

przez

PIOTRA MAËL'A.

(Ciąg dalszy).

Był to wielki zawód dla dzielnego marynarza. Ale obowiązek przedewszystkiem. Nie mógł się wymówić. Pocieszała go tylko myśl, która mu nagle przyszła do głowy. Widowisko obiecywało być bardzo zajmującem. Frydryk miał nadzieję, że może zaciekawi ono Blankę. Pani Plemon wyruszyła do Cannes, ażeby powiadomić o tem wszystkich w Ville d'Erin.

Blanka była zachwycona projektem, pani Plemon również. Otrzymała ona od wice-admirała, prefekta marynarki, bilet wolnego wejścia wraz z córką i panią Plemon na mały statek wojenny, który miał sprawdzać koleje tego sztucznego dramatu.

Było już około dziewiątej wieczór, kiedy Plemon pożegnał na wybrzeżu panie d'Illiers i matkę i udał się na pokład swego statku.

— Życzę powodzenia komendancie! — zawołała Blanka, wyciągając ku niemu swo różowe paluszki, które on w milczeniu do ust przycisnął.

Z kolei panie wsiadły na statek, a prefekt marynarki, zawsze nadskakujący, usadowił je w ten sposób, aby nie straciły nic z widoku pozornej tragedji. Poczem uśmiechnął się, mówiąc do Blanki:

— Kto nosi twoje barwy, moje dziecko, musi zwyciężyć.

Doświadczenia rozpoczęły się.

Była to jedna z tych wspaniałych nocy, jakie trafiają się w jesieni nad spokojnem morzem Śródziemnem. Każda fala zagłębiała w sobie promień księżyca, mieszając go z tysiącem iskier, jakie biegły śladem wojennego statku.

W tym zbiorze różnorodnych świateł, pomalowany na szaro torpedowiec, z wielką trudnością będzie mógł przejść niepostrzeżenie. Przedmiot jego ataku stanowił wspaniały pancernik nazwany „Straszliwy", którego olbrzymi cień rysował się jasno na lśniącej powierzchni wód. Ażeby ochronić się od niespodziewanego podejścia, na pomoście „Straszliwego" palono z dwóch stron ognie elektryczne, przenikające daleką przestrzeń horyzontu swem surowem, białawym światłem.

Trzeba było Frydrykowi mieć niesłychane szczęście, poparte zuchwalstwem i zimną krwią, by udało mu się przebyć ten pas świetlany, zmylić czujny wzrok straży i podsunąć się skrycie pod przeciwnika, aby dosięgnąć go z tyłu, to jest w słabą stronę.

Na pokładzie statku wojennego, przypatrujący się temu admirał-prefekt, rzekł, kręcąc faworyty:

— Hm! Chyba będzie miał djabła w sobie, jeżeli się tam dostanie!

Dwie matki i młoda dziewczyna, pochylone na pomoście, ścigały zaniepokojonym wzrokiem koleje doświadczeń. Teraz Blanka czuła, że drży. Zdawało jej się, że ta próba jest prawdziwą walką, w której idzie o życie i honor jej narzeczonego.

Nagle zrobił się rozruch na pokładzie wojennego statku. Spostrzeżono, że pancernik, jakby pod wpływem trwogi, przestawia swe ognie. Torpedowiec zniknął z oczu ludziom.

Był to prawdziwy cud.

Co się z nim stało? W jakim odłamie fali ukrył swój bieg szalony? Trzeba było przyznać, że jego młody komendant umiał korzystać z każdej okoliczności, bo w tej samej chwili chmura, której niespostrzeżono zupełnie, przykryła księżyc, gasząc odrazu wszystkie blaski.

„Straszliwemu" pozostały tylko jego ognie elektryczne. Rzuciły one na morze obrus jaskrawego światła, przesyconego tym pyłem atomów świetlanych, które zdają się wydzielać z węgli rozpalonych do białości. Naraz na pokładzie pancernika podniosła się wrzawa; jeden okrzyk wydarł się z wszystkich piersi.

Na odległość dwunastu sążni, przedmiot długi, wrzecionowaty, podrzucany krótkiemi wybuchami pary, prześliznął się przez linię świateł „Straszliwego", lecz natychmiast zasunął się w ciemność. Tymczasem pancernik, zmylony tym krętym biegiem, witał snopami świateł i wystrzałami armatek o kalibrze czternastu centymetrów przypuszczalną linię przejścia nieprzyjaciela.

Dwie minuty nie upłynęły, kiedy „Straszliwy" zgasił ognie, których zniknięcie oznaczało ewentualną katastrofę.

Był to wielki tryumf dla Plemona.

W chwili, kiedy komendant pancernika wydawał rozkaz, aby jeszcze raz przestawiono ognie, Plemon zbliżył się ku niemu z czapką w ręku.

— Panie komendancie! — rzekł — mam zaszczyt przywitać pana. Jestem na jego rozkazy.

Nastąpiła chwila osłupienia.

— Jakto? to pan? tu? na pokładzie?

— Tak, komendancie. I muszę oznajmić panu, że przybywam, aby wysadzić go w powietrze.

I z uśmiechem wskazał na swój „29-ty" kołyszący się spokojnie u stóp drabiny pancernika.

Wspaniały księżyc, uwolniony z chmur, oświecał tę scenę. Frydryk dowiódł niepospolitej odwagi i zręczności. Korzystając z chwili, w której na „Straszliwym" zwrócono całą uwagę w jedną stronę, potrafił zmylić czujność olbrzymiego nieprzyjaciela, dotrzeć do niego, schwycić drabinę i wejść niepostrzeżony na pokład

Za powrotem do arsenału, Frydryk Plemon otrzymał w obecności sztabu, oraz swej matki i pani d'Illiers, żywe podziękowanie od admirała.

— Ależ to cudowne, komendancie! — rzekł stary marynarz, zazwyczaj dość skąpy w pochwałach. — Chodziło mi o to, abym ci sam powinszował!

I zmieniając ton, dodał z ojcowskim uśmiechem:

— A teraz urzędowo daję panu urlop na całe dwa dni. Proszono mnie o to...

Kiedy Frydryk odwrócił się do matki, zobaczył łzy w jej oczach. Byłyż to łzy wzruszenia, czy dumy?

X.

Nazajutrz narzeczeni znaleźli się w kiosku, w którym zamienili pierwsze przysięgi.

Mieli sobie tyle rzeczy do powiedzenia.

Blanka mówiła pierwsza, z całem wylaniem duszy. Dotąd kochała ona we Frydryku tylko człowieka, któremu miała się oddać na całe życie. Od wczoraj, od chwili widowiska, przy którem była obecną, widziała w nim bohatera tych strasznych, ponurych tragedyj, które marynarzom otwierają tylko dwie drogi: śmierć lub zwycięstwo.

Frydryk urósł w jej oczach. Wyrzucała sobie teraz każdą myśl ukrytą, najniewinniejszą kokieterję, której się względem niego dopuściła. Czuła się zawstydzoną i wobec niego małą, tak małą, jak kapryśne dziecko.

Nigdy dotąd w życiu szczęśliwem i pełnem pochlebstw nie przyszło jej nawet na myśl, że zdarzają się czasem okoliczności niezwykłe, za sprawą których człowiek podnosi się i przemienia, pod wpływem niepospolitego czynu.

Prawda ta objawiła jej się w przeciągu kilku godzin, lecz zarazem serce jej zatrwożyło się bardzo. Zapytywała samej siebie z drżeniem trwogi, nie śmiejąc dłużej zatrzymać myśli na tym przedmiocie, co może ważyć jej miłość w przeciwstawieniu miłości dla powołania i obowiązku względem ojczyzny? Ten człowiek, którego teraz kochała do szaleństwa, nigdy nie będzie należał do niej zupełnie!

Zawsze odbierać jej go będzie okrutna i kapryśna fala, ta rywalka bez serca, która kołysze lub gubi, według zachcenia. A może i ta boleść zostanie jej udziałem, że dowie się kiedykolwiek, iż mąż ukochany, bohater, wzbudzający uwielbienie, zginął nagle podczas którego z tych spotkań straszliwych, po których zostaje tylko trochę chwały, przywiązanej do imion sławnych zmarłych.

Wszystkie te rozpaczliwe myśli wypowiedziała Frydrykowi; zwierzała mu swe zwątpienia, swe trwogi, wstrząsana łkaniem gwałtownem, z głową opartą na jego ramieniu i rękami, gorączkowo ściskającemi jego dłonie.

— Nie, to niepodobna — mówiła — to zbyt okropne, Frydryku! Umarłabym w takim razie, jestem pewna, żebym umarła. Jeżeli kochasz mię, jak mówisz, to zrobisz wybór między mną a morzem, którego nienawidzę. Gdybyś wiedział wszystko, com wycierpiała, jakie straszne przeszłam wczoraj męki. A przecież to była tylko zabawka, ale jaka zabawka! To wstęp do scen prawdziwych, których rzeczywistość światu nie oszczędza!

I pobudzając swą wyobraźnię, przesadzała, powiększała grozę oczekującej ich nieznanej przyszłości. Możnaby powiedzieć, że uczuwała przyjemność, dodając jak największej goryczy do trosk przeczuwanych.

(C. d. n.)

8)

SŁOWO
O BOHDANIE ZALESKIM

przez

TEOFILA LENARTOWICZA.

(Ciąg dalszy).

O matce własnej sierotka wiedział tylko z powieści, że go niemowlęciem odumarła. Ciotki u których przebywał i brata Eliasza dobroczyńcę i opiekuna kochał, bo jakże nie kochać dobrych ludzi, tkliwych i dbałych o dobro dzieciny. Ojca nie znał do 14 roku życia, ten bowiem po zgonie żony przeniósł się z Bohatyrki do Wilna, zostawiwszy niemowlę na opiece familii. Świat jego domowy zacny, światły, kochany, nie był to jednak świat poetyczny, ku któremu powołanie otrzymał od urodzenia. Wyobraźnia potrzebowała czegoś żywszego, czegoś niezwiązanego formami towarzyskiemi, czegoś, coby miało związek nierozerwany z przyrodą, ze stepem, z szumem wichrów, z głosami ptaków i fantazją obłoków, wieszających się nad mogiłami stepów, na podobieństwo owych ossjanowych duchów, płynących na łodziach z chmur nad polami i lasami celtyckiej Kaledonii; potrzebowała istot młodych, jasnych, pełnych życia, snujących się nad bujnym stepem z sierpem w dłoni, z pękami wstęg i kwiatów nad czołem; potrzebowała słowiańskiego świata, w spółce żywej z duchami ojców, wrodzonej i koniecznej, której żadna materjalna cywilizacja nie zastąpi; potrzebowała słowa nie zdawkowych rozmów towarzyskich, ale żywego, wciąż się tworzącego, wciąż formującego w języku ludu, jedynym malowniczym, pięknym w prostocie swojej, a porywającym nowością wyrażeń; potrzebowała ochoty weselnej i wojennej nuty i wieczornych dzwonów oddalonej cerkiewki — i wszystko to znalazła w jednej chacie ubogiego Znachora, oświeconej lampką przez noc całą palącą się przed obrazem, ożywionej pieśniami jego trzech córek, z których Olena była najpiękniejszą, i za któremi goniąc po stepach a nasłuchując ich śpiewania z pobliskiego majdanu, poczuwa w duszy miłość świętą, czystą, miłość ziemi rodzinnej.

Zoryna (może Olena), dobre, kochające dziewczę, pełne smutnych przeczuć dla poety, to nie kochanka, kiedy ją w poezji zamienia w grę obłoków, w sieć rozbarwionych tumanów, w lekkie mgły unoszące się nad Dnieprem, stepowe, czarujące, tak, że całą jego ogarniają istność,

I zamknięty w tym widoku,
Co się zewnątrz niego działo,
Z dala, z bliska, dbał już mało,
Duszą, sercem cały w oku.

To ziemia rodzinna.

Wątpimy nieco, czy prawdę mówi we zwrotce:

Oh! szalony i namiętny,
Przed kochanki przepowiednią,

i owszem jesteśmy przekonani, że nigdy on namiętnym nie był i że namiętność znał tylko z imienia. Anioł jego płonął nie czerwonym krwi, a niebieskim dyamentu kolorem; namiętny inny ślad w pieśni pozostawiłby po sobie.

Lica jego Rusałek z bieli i czerwieni kwiatów grusz i jabłoni, zasłona z rubinowych iskier jutrzenki, a krzyk przepiórek to ich pieśń, i za przepióreczką detyna Boża pogoni rozmarzona, pada w objęcia Zoryny, tańcującej przepióreczkę w polu (taniec ukraiński). I gdzież odby ało się to całe czarodziejstwo? Jeśli zapytasz czytelniku, poeta odpowie ci skromnie: że na cichem podwórku pod jabłonią,

Gdzie grono dziewcząt w jasnej bieli,
Strojnych, bo to przy niedzieli,

tańcowało do upadłego i śmiało się do rozpuku.

Epilog tej barwnej i pięknej fantazji, to serce wyrywające się do czynu, to duch młodzieży żądny próbowania się ze światem.

Prawda, ludzkość serce tknęły,
I zapaśnik w puste szranki,
Z tkliwych objęć mej kochanki,
Za świetnemi biegłem dzieły.

A te dzieła rysują się w powołaniu na poetę, którego pojąć muszą ludzie, świata współdziedzice.

Małe zawody zachwiewają wiarę poety, i o miłości i Zorynie — już serce nie śni, gdzież więc owa miłość namiętna? Snem ona była snać, jeśli się jak sen rozwiała.

„Poranek myśliwca“, „Śpiewające jezioro“, „Śpiew poety“, „Dumka o Mazepie“, „Janusz Bieniawski“ i inne należą do owej najnaiwniejszej epoki śpiewaka, rozkochanego w pieśniach ludu, kołysanego wrażeniami otaczającej go przyrody i szczęśliwym trafem ludzi najzupełniej zgodnych z jego usposobieniem wewnętrznem, śród których porusza się on jak w swoim własnym elemencie, szerokie dla pieśni zdobywając koło słuchaczy.

W epoce tej jest on Ukraińcem tylko, pieśniarzem stepów, świat odbija jego dusza nie wiedząc jakby jeszcze, że na tym świecie są dwa światy, świat za kratą i bez kraty. Do tego świata za kratą zagląda ponury jego, zadumczywy przyjaciel i kolega szkolny, Seweryn Goszczyński, — kędy on... on może nigdy nie zajrzy, choć będzie i wojował i cierpiał i rozmawiał z duchami ojców. Umysł jego i serce dalekiem zostanie od dramatu życia, a ktoby zarzucał poecie idealnemu brak energii w jego opowiadaniach, żadnego nie ma wyobrażenia o powołaniach poetycznych.

Po „Rusałkach i Dumkach“ przychodzi wielka epoka próby.

Stosunek z Goszczyńskim, Kazimierzem Brodzińskim, z Antonim Malczewskim, z pełnym ognia i artystycznego uczucia Maurycym Mochna-ckim, studja uniwersyteckie, praca i poznania bliższe dziejów rozszerza widzenie poety, a chrzest ognia podnosi go we własnych oczach; znak honorowy za waleczność, wybór na reprezentanta narodowego, wszystko to razem, nie wbijając w pychę, staje się dla niego niezmierną pomocą w poetyckim urzędzie, daje mu pewność siebie, bez której ręka, choćby nie wiem jak wielkiego mistrza, jeżeli go powita chłodny krytyczny tłum, zadrży, a dusza jeśli nie w płaszcz pogardy to w ciszę męczennika się obwinie.

Na wychodźtwie Bohdan zaczyna rozmyślać nad wyższem powołaniem własnem, a w zbliżeniu się z najznakomitszym poetą plemion lackich i litewskich, uczuwa w sobie wynurzającą się z pod chmur wiekowych pogodną gwiazdę, jakiej nikt drugi nie posiada, i z tej epoki mamy przed sobą poemat czarownym wierszem wysnuty „Duch od stepu“*). Duch ów od stepu to opowiadanie własnych przygód, a razem rzut oka na dzieje świata europejskiego. Poeta zaczyna wspominając:

Jak czas wieśniany innym miły
Dla niego był wietrzny luty,
Jak dzieckiem gonił na mogiły,
Wciąż słuchając świetnej nuty,
Lub się tulił do ołtarzy,
I siczowy wzrok przybłędy
Cudzy świat spotykał wszędy,
Ani jednej milszej twarzy.

(czuć tu roztkliwienie może zbyteczne, jeśli tylko owe przechwalone miłości rodzinne nie były rzeczywiście chłodnemi dla ukraińskiej sierotki).

Jak usłyszał głos rówieśników:
Czynów! czynów! cudu! cudu!
Nad ojczystą inną rzeką,
Jak poświęcenia się lub zdrady
Wołało całe pokolenie.

---

*) „Duch od stepu“ napisany został w 1836 w Molsheim już na emigracji.

Jak poczynali coś bez Boga,
A on za nimi się szamoce,
Tknięty kolcem żądła pychy...

Jak nawrócony ze łzami ślubuje nie zagniewać Pana nieba, i tak przechodzi Ren szumiący w gromadce kłótliwej, czując się samotnym, pokąd nie rozświeciła się przed nim wymodlona pomoc i nie objawił ów poetyczny Bojan, prawa mu swoje i lirę przesławną oddający. I odtąd aż do końca utwierdzony uznaniem największego poety, poczyna się nazywać Bojanem, a Ukraina matka zapowiada mu, że będzie późnych jej synów grzał do pieśni i do czynów, on, krew Bojana a więc i krew Welesa, czy Wołosa, boga jakiegoś czy bohatera z prastarych czasów.

Uznanie się w swojem prawie i warunki utrzymania raz w nim przyjęte, niby reguła monasterska, odkrywają nam ową mistyczną stronę wieszcza na wzór starożytnych Derwidów, na czoło pieśni swojej wynoszącego Lechię, jako wielką organizującą księżnę, w sposób nieobrażający ducha plemion, księżna ta jego bowiem nie różni się w niczem od wiejsko-rycerskiej Słowiańszczyzny. Tak ją pojmuje Kazimierz Brodziński i Adam Mickiewicz, który w epoce owej powołany do wypowiedzenia słowa plemion swoich z katedry, na której mógł być słyszanym w całej Europie, składając najpotężniejsze pieśni swojej narzędzie, kiedy ostatni raz w gronie przyjaciół w improwizacji odkrywa swoją szlachetną duszę, do Bohdana w liście opisującym tę uroczystość pisze:

„W tej chwili duch poezji był ze mną. Chciałbym wiedzieć, coś ty wczora robił i co myślał, bo mnie się zawdy widzi, że my we dwóch jednego tylko mamy ducha — i że w jednym czasie nie możemy być poetami na ziemi, bo choć duch jest wieczny, ogranicza się czasem, kiedy się w nas wciela.“

(C. d. n)

Nowela sielska

przez

Alfonsa Daudeta.

Ksiądz Marcin był proboszczem w wiosce Cucugnan.

Poczciwy jak chleb, szlachetny jak złoto, kochał on po ojcowsku swych parafian. Cucugnan dla niego byłoby rajem, gdyby Cucugnańczycy trochę więcej sprawiali mu zadowolenia. Lecz niestety! w jego konfesjonale pająki swobodnie snuły swe sieci, a w uroczysty dzień Wielkiejnocy hostje pozostawały nietknięte w głębi cyborium. Zacny kapłan czuł, że od tego wszystkiego serce mu się krwawi i błagał Boga o łaskę, by wprzód nie umarł, nim rozprószoną trzodę napowrót do owczarni sprowadzi.

Zobaczymy, jak go Bóg wysłuchał.

Pewnej niedzieli, po ewangelii, wszedł ksiądz Marcin na ambonę.

— Moi bracia — rzekł — jeśli zechcecie, uwierzycie temu co wam powiem: Zeszłej nocy, ja, nędzny grzesznik, znalazłem się u wrót raju. Zapukałem — otworzył mi sam Piotr święty.

— Aha, to ty poczciwy księże Marcinie — przemówił do mnie — co za miły przypadek?... czem ci można służyć?

— Cudowny, święty Piotrze, który księgę i klucz piastujesz, czy mógłbyś mię objaśnić, jeśli to nie zbyteczna ciekawość z mojej strony, ilu też masz tu w niebie Cucugnańczyków?

- Nie mógłbym ci nic odmówić, dobry Marcinie; siadaj, a razem poszukamy.

I Piotr święty, wziąwszy ogromną księgę, otworzył ją, założywszy szkła na oczy.

— Patrzmy więc: Cucugnan, powiadasz... Cu... Cu... Cucugnan. Oto jest Cucugnan... Mój zacny księże Marcinie, karta jest całkiem biała, ani jedna dusza nie wpisana. Żadnego tu nie ma Cucugnańczyka, jak w indyku żadnej ości.

Zacząłem bić nogami w ziemię, a załamawszy ręce, boleśnie wyrzekałem. Wtedy święty Piotr rzekł:

— Księże Marcinie, wierzaj mi, nie warto rzeczy tej tak brać do serca, bo mógłbyś dostać szkodliwego uderzenia krwi do głowy. Zresztą nie twoja to wina. Twoi Cucugnańczycy muszą zapewne małą kwarantannę odbywać w czyścu.

— Ah, przez litość, wielki Piotrze święty, spraw, abym przynajmniej mógł ich zobaczyć i pocieszyć!

— Chętnie, przyjacielu... Masz tu sandały, wdziej je na nogi, bo różnemi drogami iść będziesz. Otóż tak, dobrze... Teraz wędruj prosto przed siebie. Tam w końcu, widzisz, zwrócisz się na prawo. Ujrzysz srebrną bramę zasianą czarnymi krzyżami; zapukaj w nią, a otworzą ci... Żegnam cię i życzę zdrowia i dobrej myśli.

Puściłem się w drogę.. Co za podróż straszliwa!... Wstrząsam się na samą myśl o niej. Wąska ścieżka pełna kolców i gadzin syczących, zawiodła mię do owej bramy.

— Puk! Puk!...

— Kto puka? — spytał głos ochrypły i żałosny.

— Proboszcz z Cucugaan...

— Skąd?

— Z Cucugnan...

— Aha... proszę wejść.

Wszedłem. Piękny, wysoki anioł z czarnemi jak noc skrzydłami, a w szacie jak dzień jasnej, z kluczem dyamentowym zawieszonym u pasa, pisał coś w olbrzymiej księdze, większej jeszcze niż księga Piotra...

— Czegóż wreszcie żądasz i o co masz prosić? — zapytał.

— Piękny aniele Boży, chciałbym wiedzieć, choć może zbyt ciekawy jestem, czy są tu Cucugnańczycy?

— Jak, jak?

— Cucugnańczycy, czyli ludzie z Cucugnan, bo ja jestem ich proboszczem.

cać karty.

— Cucugnan — wyrzekł głęboko westchnąwszy — księże Marcinie, nie mamy tu w czyścu nikogo z Cucugnan!

— Jezus! Marja! Józef! Nikogo w czyścu z Cucugnan! O wielki Boże, a gdzież oni są?

— Eh, człeku świątobliwy, muszą być przecie w niebie. Gdzież chcesz, aby byli?

— Ależ ja ztamtąd idę...

— Ztamtąd!... I cóż?

— No, i tam ich nie ma!... Ah! królowo niebieska!...

- A więc, księże dobrodzieju, cóż myślisz? Jeżeli nie są ani w niebie, ani w czyścu, to środka nie ma — muszą być...

— Krzyżu święty! Jezu, Synu Dawidowy! Aj! aj! czy to być może? Czyżby Piotr święty prawdę zataił?... a przecie nie słyszałem piania koguta!.. Ah, biada mi, jakże pójdę do raju, jeżeli moich Cucugnańczyków tam nie ma?

— Słuchajno, mój biedny księże Marcinie, jeżeli bądź co bądź chcesz się upewnić, jak rzeczy stoją, puść się tą ścieżką i biegnij, jak umiesz... a na lewo ujrzysz wielką bramę. Tam się o wszystkiem dowiesz. Niech cię Bóg prowadzi!

I anioł zamknął drzwi.

Przedemną ciągnęła się długa ścieżka, wybrukowana żarzącymi węglami. Chwiałem się jak pijany, co krok się potykając; cały byłem spocony i dyszący z pragnienia... i tylko sandałom, których mi święty Piotr pożyczył, zawdzięczałem, iż nóg nie miałem poparzonych.

Umęczyłem się niemało, zataczając się na dwie strony, nim ujrzałem na lewo ogromną bramę, całkiem rozwartą, podobną do otworu wielkiego pieca. Oh, moi kochani, co za widok! Nie pytano mię tam o imię; żadnego bowiem rejestru tam nie prowadzą. Przez drzwi i bramę idą tam tłumy gromadnie, tak jak wy, moi bracia, gdy w niedzielę idziecie do karczmy.

Pot oblewał mię, a jednak trząsłem się jak w febrze. Uderzała mnie woń spalenizny, czyteż okropne krzyki, jęki, wycia i przekleństwa.

— No, wchodzisz, czy nie wchodzisz ty? — zagadnął mię, ukłuwszy w bok widłami, rogaty szatan.

— Ja? Ja nie wchodzę. Jestem Boga przyjacielem.

— Ty Boga przyjacielem... Oh! ty bydle parszywe! To po coś tu przyszedł?

— Przychodzę... Ah! już ledwie na nogach stoję, nie mogę prawie mówić... Przychodzę... przychodzę z daleka... by spytać was pokornie... czy... czy przypadkiem... nie macie tu... kogo z Cucugnan...

— Ha! do pioruna! Udajesz głupiego, jak gdybyś nie wiedział, że całe Cucugnan jest tutaj. Chodź tu, kruku obrzydły i spojrzyj; zobaczysz, jakeśmy uszykowali twoich sławnych Cucugnańczyków...

I wśród straszliwego kłębu płomieni, ujrzałem: Długiego Coq-Galin'a — znaliście go wszyscy, moi bracia — tego, który tak często się upijał i roztrzęsał kości swojej biednej Klarze.

Ujrzałem Katarzynę, tę małą hultajkę, z zadartym nosem, co sama sypiała w stodole... Wy młokosy pamiętacie ją!... Ale dość o tem, idźmy dalej.

Widziałem tam Paskala Smolaka, który wykradał śliwki z ogrodu pana Julien...

Widziałem i Baśkę złodziejkę, która, wiążąc snopy, chwytała z pokosów cudze zboże...

Był tam i mistrz Gropasi, który tak zręcznie cudzym kosztem smarował swoją taczkę...

I Delfina, która tak drogo sprzedawała wodę ze swej studni...

I łotr Tortillard, który spotkawszy mię niosącego Hostją św., szedł sobie dalej z czapką na głowie, fajką w zębach i nosem do góry... jakby spotkał psa na drodze.

I Coulau ze swą Zettką, i Jakób, i Piotr i Toni..."

— Widzicie sami, moi bracia — ciągnął dalej ksiądz Marcin — i czujecie to dobrze, że tak dalej być nie może. Ja odpowiadam za wasze dusze i chcę, pragnę wybawić was z przepaści, w którą głową na dół staczać się macie. Od jutra zabieram się do roboty, nie dalej niż od jutra. A roboty nie zabraknie! Zobaczycie, jak się do tego wezmę. Aby dobrze poszło, trzeba wszystko zrobić porządnie. Postępować będziemy rzędami, tak jak w Jonquiéres, kiedy tańczą.

Jutro, to jest w poniedziałek, spowiadać będę starców i staruszki. To pójdzie prędko.

We wtorek: dzieci. Z temi także wkrótce skończę.

We środę: chłopców i dziewczęta. To może potrwać dłużej.

We czwartek: żonatych. Nie będę się z nimi zabawiał.

W piątek: niewiasty. Będę musiał powtarzać: Nie gadaj banialuk!

W sobotę: samego młynarza!... Cały dzień na niego zejdzie...

I tak, dobrze będzie, jeśli w niedzielę wszystko zakończymy.

Widzicie, moje dziadki, gdy zboże dojrzałe, żąć je trzeba. Gdy wino ściągnięte, wypić je należy. Otóż, dużo brudnej bielizny się nazbierało; chodzi o to, aby ją wyprać, i dobrze wyprać... Życzę wam do tego łaski Boskiej. Amen!"

Jak ksiądz powiedział, tak się i stało. Zaczęto przygotowywać ług do prania.

Od tej pamiętnej niedzieli, sława cnót Cucugnańczyków rozchodzi się na dwie mile wokoło.

A zacny duszpasterz Marcin, pełen wesela i zadowolenia, miał znów widzenie we śnie ostatniej nocy, iż na czele swej trzódki kroczył w uroczystej procesji, w pośród jarzących świec, dymu kadzidła i hymn *Te Deum* śpiewających malców, po jasnej drodze, wiodącej do niebieskiego królestwa.

---

4)

SŁOWO O BOHDANIE ZALESKIM

przez

TEOFILA LENARTOWICZA.

(Ciąg dalszy).

Jakoż od owych dni i w ciągu kursów literatury, tych improwizacji najszczytniejszych prozą, teorban Bohdana pobrzękuje jak łagodny akompaniament wielkiej mistrza myśli. To co jeden prozą, drugi jednocześnie na jakiejś szklanej harmonice wierszem wydzwania, jako widocznie u jednych i tych samych stojący źródeł. Tak ów duch, o którym Adam wspomina, na dwóch wieszczych umysłach sre rne swoje rozpościerając skrzydła, całą im tajemnicę Słowian wypowiadał.

W wierszu Adama do Lelewela silniej podobno narysowany przebieg dziejów powszechnych; to jego rzecz, ale któryż z poetów czarowniejsze wysnuł zwrotki od Bohdana w jego „Duchu od stepu"? Jest tu wszystko, co na słuch i serce zadziałać może; rytmem, przypominającym Sobótki Kochanowskiego, poeta składa swoją liryczną biesiadę.

Szczodre na nas wielkie Bogi
Sieją co rok pokój błogi,
Matki płodne, dziewki hoże,
Mleczne trzody, bujne zboże.
Nas Dziewanna kocha, żywi,
Żyjem szczęśni, bo poczciwi.
Łado! Łado! o Kupało!
Oby nam się dobrze działo!
. . . .
Czemuś nagle, niespodzianie
Ziemia w zorzach się rozbłysła,
Różni różnych lat Słowianie
Biegą święcić uroczyska,
Puste sioła i grodziska...
Patrzaj, tam od Łysej góry
Z korowojem strojne chóry
Pieśń nad świętą rzeką biją;
Głośniej, szerzej pieśń zabrzmiała,
Czują, głoszą chwałę, czyją?
Perunowi cześć i chwała,
Święty ogień dla Kupała.

I tak cały ten obrazek, jakby wyjęty z ust jakiegoś starożytnych czasów lirnika, snuje się jedwabną przędzą około serca i pamięci. Niech tam Juliusz, rozkochany w sposobach poetyckich skandynawskiej Sagi, śpiewa jak śpiewali Bardowie, swoje Lille Wenedy i Balladyny, niech Zygmunt cienie wielkich Lechów przeprowadza,—

Antenatów blade mnóstwo,
Dawne króle, rodne pany,
I rycerze i hetmany,
Z pod których rdzawych szyszaków,
Senatorska tli wspaniałość...

— on inaczej dotknie struny swojego stepowego teorbanu, a jego czy „Duch od stepu", czy „Potrzeba Zbarazka", będą miały więcej serdeczny, więcej plemienny a domowy charakter. Bohaterowie jego od króla do hetmana i ostatniego watażki będą więcej między sobą braćmi; wszyscy ci przez niego ożywieni będą się do równości bohatersko-rolniczej poczuwać, a fantazja rozwichrzonych bardów, a cała atmosfera błyskawic, równie jak senatorska wspaniałość i sejmowa wrzawa i buta antenatów, ledwie że się przewiną wśród tej z ptakami jakby żyjącej rodziny.

Za którą to pieśń w ciągu życia otoczony on będzie czcią i miłością powszechną, a w przyszłości, kiedy oddalenie wieków mgłą pokryje ostrości dzisiejsze, kto wie czy się nie stanie jak wypowiedział Adam: że Bohdana uznają powszechnie największym z dzisiejszych słowiańskich pieśniarzy, kiedy dzieciom na powiastki pójdą nasze klęski, a umysł wolny od widm przerażających zapragnie muzyki stepowej, wtedy na kartach ksiąg starych spotka się z lirnikiem siwobrodym, Znachorem, pół mnichem, pół żołnierzem, pół Rusinem, pół Lachem, Serbem i Czechem — Bohdanem.

„Pieśń to Znachor stary! przyjdąż po radę potomni." — Z teorbanu wyrósł ja — Dniepr, Iwanhora — Chatę Zuja widzę jakbym ją wczora pożegnał — Śpiewało ptactwo i znów dziewczęta od majdanu, to ile razy wsłucham się w słowika Bojanowego, coś grać jestem w stanie, a w tej pieśni Słowianina plemieńce moi pieśń usłyszą nową, pradziadowską i surową.

Surową czyli poważną a prostą, jak słowo podmogilnych ojców, bo gdzież tu surowości, dzikości dopatrzeć w tych melodyjnych zwrotkach sołowijka:

Sołowejku małeńki,
W tebe hołos toneńki.

Jak lekkie obłoczki na wschodzie, jasne, szybkie, świetlane przesuwają się obrazki „Ducha od stepu", tej poetycznej historji i historjozofii, nie powiązane jak tylko słowem podziwienia.

Któż ogarnie i wypowie
Choćby promyk w Bożem słowie?

Dwa te wiersze są jakby przypomnieniem pieśni, nie zdolnej w zachwycie na widok coraz nowych i nowych cudów nieskończonej głębokości i piękności zdobyć się na większą pochwałę, na ogromniejszy akord, nad słowo wypełniające całą duszę, jak wypełnia ziemię i niebo: Święty, Święty Pan Zastępów, pełne są niebiosa i ziemia chwały Jego!

Celem poematu było wynieść na czoło ludów słowiańskich Magdalenę nawróconą, wolną wśród wolnych pobratymczych Słowian.

Kiedy grzech wiekowy jak w płomieniu
Zgore w ludu uciśnieniu.

Zygmunt Krasiński śpiewa Polskę jako ofiarę na odkupienie ludów:

Jak im niegdyś syna dałem,
Tak im Polsko daję ciebie.

Bohdan tylko jako Magdalenę.

Zygmunt podnosi lud polski do godności ze szlachtą, Bohdan w pogorzeli pychy tego grzechu dziejowego i w uciśnieniu ludu widzi jej przyszłość — u Bohdana jak i Brodzińskiego i Pola pobrzmiewa za ludem polskim szlachcic polski.

„Gdy tej szlachcie znarowionej
Da raz Pan Bóg rozum kmiecy." (Pol)
Pany, panki wasze głupie
Jeśli zechcą brykać sami
Z niedowiarstwem i z żydami,
To ich na czczo djabeł schrupie —
Zgubią Polszcze Ukrainę. (B. Zaleski.)
U Zygmunta winy tej zdaje się nie być.
Co ty wdajesz się w szyderstwo?...
Z naszych błędów, z naszej winy
Wstanie ludów lud jedyny,
Błogosławcie ojców winie...
Z szlachtą polską polski lud.

Bądź cobądź, jedni tu jak drudzy czują, że bez siebie być nie mogą, a jak przyszłość rozporządzi, tak już być musi.

Tytuł „Duch od stepu" zapowiada na coś tajemnego, jakiegoś ducha wojen, ognia, rozpędzania się krwawych po przestrzeni tłumów, w miejsce zaś tego znajdujemy rojenia jasne, i świetlane o historji. Żadna potęga nadziemska ukryta nie pojawia się w pieśni, tchnienie Boże we wszystkiem, duch Boży nie duch od stepu, a zapewne że poeta inaczej tego nie rozumiał, ale czytelnik idąc za tytułem rzeczy w poszukiwaniu „Ducha od stepu" jako osoby w poemacie pozostaje niezadowolonym.

Tchnienie od stepów nie w tym jednym czuć poemacie, o którym mówimy, a w całej gamie strun Bohdana, zbiorowi więc całemu wszystkich jego pieśni przypadałby właściwie ten tytuł. — Rozpatrzcie się, wsłuchajcie, wczujcie w ten duch: on wam przyniesie obraz życia patrjarchalnego, rycerskiego, wolnego, religijnego a razem swobodnego jak wiatr, co się po pustyni przechadza...

Wyżej już powiedziałem, że poeci arkadyjski wiek złoty Polski widzą za sobą przez dziwne złudzenie zakochanego w tradycjach serca, kiedy ten nie za nimi, a raczej przed nimi na złotych liniach horyzontu się rysuje.

Silna tylko wiara utwierdza poetę w przekonaniu: że jego pieśni nie przeminą marnie, i że jest wielkie serjo w tej gorzkiej zabawie, jak ją Salomon król nazywa.

Darmoż Polską pieśń prorocy
Jęczą oto z całej mocy,
Jęk przeciągły, jęk sierocy?
Senże moje łzy żywota?
Senże moja duma złota?
Senże Polszcza, Ukraina?

A zadziwiająca jest ta zgodność instynktu poetów polskich po zejściu do cieniów Polski szlacheckiej z uczuciem wszystkich Słowian, zadziwiający ruch ducha tych plemion. Jestże to system? jestże to szkoła? jestże to coś, co tylko czasowe ma znaczenie?

(C. d. n)

35

OFICER MARYNARKI.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO

przez

PIOTRA MAËL'A.

(Ciąg dalszy).

Frydryk nie pomyślał nawet o tem dotąd, nie przewidywał wcale tych nieuniknionych zawikłań. Chciał ją pocieszyć, odsunąć i zniweczyć te smutne myśli, ukazać przyszłość w jaśniejszych barwach. Stał sie pomysłowym, malując w poetycznych obrazach życie na morzu, które jej przedstawiało się tak groźnie i posępnie. Lecz wkrótce musiał przyznać, że nie osiągnął celu, nie zwrócił w innym kierunku tej niespokojnej wyobraźni, tych zastraszających przewidywań. A z drugiej strony i on sam czuł ciężar na sercu. Blanka ukazała mu się dzisiaj w jakiemś nieznanem świetle. Widział ją niezwykle czułą, szalenie zakochaną, pełną ponętnych uroków. Zamało znał kobiety, ażeby zrozumieć ten nieświadomy egoizm, ukrywający się w każdej ich miłości, tę nieubłaganą tyranię uczucia, która nie pozwala człowiekowi ukochanemu zachować jakiegokolwiek ideału, lub zamiłowania, nie mającego związku z ich miłością.

Kiedy jednak został sam, zadrżał o swoją przyszłość. Czyż Blanka mogła żądać, aby poświęcił jej swoje najszlachetniejsze i najdroższe ambicje? Czyż dla jej miłości nie odstąpił już od swych zasad, zgadzając się zaślubić kobietę bogatą, nieskończenie bogatszą od niego? Lecz teraz chodziło o powołanie, o to szlachetne i swobodne życie marynarza, które kochał zarówno przez instynkta osobiste, jak przez wpływ dziedziczności. [illegible] aby korzystając z majątku Blanki, prowadzić bezczynne i próżne życie bogatych.

Nie, nie, sto razy nie! Wszystkie jego myśli buntowały się, cała istota oburzała na podobne wymagania.

Był to pierwszy cień, padający na ich szczęście. Blanka musiała spostrzedz smutek i wzburzenie narzeczonego i z przebiegłością, właściwą swojej płci, podwoiła zalotne zabiegi, przygotowując się do drugiego ataku.

Tego dnia właśnie oczekiwano przybycia pana Guidal z jego synowcem, Leopoldem. Paryżanin pojawił się w willi d'Erin z całą swobodą światowca, przyzwyczajonego do skrywania swych wrażeń. Nie łudził się, że z takim przeciwnikiem, jak Frydryk Plemon, partja była zupełnie dla niego stracona, że powinien wyrzec się nadziei odzyskania posagu i ręki Blanki. Nie okazał jednak wcale urazy, ukrył dręczące go a istotne cierpienie, po swojemu bowiem kochał pannę d'Illiers i przyzwyczaił się uważać za jej narzeczonego.

Ale pomimo wszystkiego, nadzieja jego nie zamarła jeszcze zupełnie; pobudzało go to uczucie, które doradza zrozpaczonemu człowiekowi chwytać się jeszcze wszelakich środków przed ostatecznem przyznaniem przegranej.

Spotkał więc z uśmiechem swego szczęśliwego rywala i wyciągnął do niego rękę.

— Panie poruczniku! — rzekł — najpierw muszę panu powinszować, że zostałeś przyjęty przez taką osobę, jak panna d'Illiers, którą wielu innych pragnęłoby uszczęśliwić. A potem należy mi złożyć jej samej życzenia i powinszowania, że potrafiła wybrać człowieka, który usprawiedliwia to wyróżnienie.

Frydryk odpowiedział z lekkiem zakłopotaniem.

Czuł jakąś instynktowną odrazę do tego bulwarowca i jego elegancji pyszałkowatej. Rozmowa banalna, co chwila urywana, zawiązała się między dwoma młodymi ludźmi. Leopold wyciągnął wreszcie piękną tytonierkę ze skóry rekina i podawał właśnie cygaro marynarzowi, kiedy ukazała się panna d'Illiers.

Obadwaj przez chwilę byli olśnieni.

Blanka ubrana była w suknię z kaszmiru, zrobioną na sposób kostjumu do *lawntennis*, szeroką, otwartą i dozwalającą widzieć w całym blasku jej atłasową szyję.

Wyciągnęła jednocześnie ręce do obydwóch młodych ludzi.

— Oh! pan Leopold! — wykrzyknęła z nieudaną radością — jak to ładnie z pańskiej strony żeś pan powrócił. Przedstawiam panu mego narzeczonego: pan Frydryk Plemon...

— Pani! — odpowiedział ceremonialnie sekretarz ministerjum — dzięki pani d'Illiers przedstawienie już dopełnione; składam właśnie panu Plemon życzenia, które teraz ośmielam się zwrócić do pani.

Wszystko to było z pewnością bardzo niewinne.

Niestety! lada drobnostka wystarczy do pobudzenia zazdrości w prawdziwie kochającem sercu. Dlaczego porucznik okrętowy uczuł się nagle dotkniętym tą zbyteczną swobodą, tą zażyłością między Blanką i paryżaninem, nie umiałby sam powiedzieć. Może to było tylko odbicie smutnych poprzednich myśli? Zresztą nie miał czasu długo zastanawiać się nad tem, bo młoda dziewczyna rzuciła Guidalowi poufały ukłon rączką ze słowami:

— Pan pozwolisz, nieprawdaż?

I wziąwszy pod ramię Frydryka, pociągnęła go za sobą do ogrodu.

Tu, pochylona ku niemu łagodnie, cudna wdziękiem i prostotą, wznowiła poranną rozmowę.

— A więc — spytała — czy odpowiesz mi pan teraz? Namyśliłeś się?

Czy się namyślił! Zadumany, niepewny, patrzył na śliczną dziewczynę, która badała go niespokojnie swemi wymownemi oczami. Stała przed nim z rękami złożonemi, z uśmiechem na ustach, oczekując widocznie tego słowa, które miało zapewnić ich szczęście.

Frydryk nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Żartował z bezpodstawnych trwóg młodej dziewczyny, starał się ją uspokoić, powtórzył swoje wywody, które jednak nie rozwiązały problematu bo nie wzbudziły przekonania. Kiedy rozłączyli się po kilku chwilach rozmowy, oboje byli z siebie niezadowoleni, obojgu brakło szczerości. Frydryk uchybił jej, cofając się przed stanowczą odpowiedzią i ukrywając swe myśli.

Blanka, trochę zdenerwowana, rzekła też w końcu:

— A więc robisz pan zastrzeżenia, zachowujesz sobie przyszłość? Sądziłam, że małżeństwo jest darem bez zastrzeżeń. Proszę o przebaczenie...

XI.

Urlop Frydryka upłynął i narzeczeni rozstali się z tem uczuciem niezadowolenia i przymusu. Porucznik wrócił do Tulonu, ogarnięty smutnemi myślami. Ze swej strony, Blanka pozwoliła mu odjechać, nie zdradzając wcale goryczy, jaka przepełniała jej duszę. Oboje starannie ukrywali ranę, która sprawiała im cierpienie; oboje nie chcieli odstąpić od tego, co uważali za swe prawo.

Fakt ważny a niespodziewany pogorszył jeszcze to przykre położenie. Jakiś zły wpływ zaciężył widocznie nad umysłem ministra. W ośm dni później, Plemon dowiedział się, że doświadczenia, zaczęte w Tulonie, miały być prowadzone dalej w Cherburgu. Polecony szczególnej uwadze zwierzchników, młody komendant torpedowca nr. 29, wezwany został na scenę nowego teatru, ażeby był obecny przy nowych, ważnych doświadczeniach. Miały polegać tym razem na wypróbowaniu niszczącej siły samego torpedu i warunków oporu atakowanego statku.

Frydryk ugiął się pod ciosem, który rzeczywiście ciężkim był do zniesienia. Pani Plemon starała się podtrzymać odwagę syna, przypominając mu, co winien Francji, której z pewnością nie mógł lepiej służyć, jak przez dokładne i ścisłe wypełnianie obowiązków. Słuchał z roztargnieniem pocieszeń matki.

Nieobecność nie będzie przecież tak długo trwała, co najwięcej trzy tygodnie. Nie przenoszono wraz z nim „29.", który i nadal pozostawał pod jego komendą, a to dowodziło, że wrócą go zaraz do Tulonu. Dlaczegóż więc tak krótkie rozłączenie martwiło go do tego stopnia? Cóżby to był, gdyby odebrał rozkaz dwuletniej kampanii?

Niestety! Pani Plemon nie wiedziała, jakie wątpliwości dręczyły serce Frydryka; nie wiedziała, że wszystkie te pytania zadawał sam sobie nieustannie. A teraz, jak Blanka przyjmie wiadomość o odjeździe do Cherburgu? Czy jego nieobecność nie podsunie jej myśli, że małżeństwo, jakie zawrzeć pragnęła, jest zupełnie dla niej niestosownem? Czy to pierwsze rozłączenie nie da jej przedsmaku większych smutków, oczekujących ją w przyszłości?

Frydryk nie wahał się wcale i natychmiast pojechał do Cannes. Pani d'Illiers przyjęła go, jak zazwyczaj, uśmiechnięta i ożywiona. Gdyby Plemon nie był zbyt zagłębiony w swych myślach, spostrzegłby zaraz zaczerwienione oczy i zbladłe rysy Blanki. Młoda dziewczyna od pierwszego spojrzenia odgadła: z czem przybywał i sama wywoła zwierzenia.

— Pan odjeżdżasz, nieprawdaż? Opuszczasz pan Tulon?

— Oh! — rzekł smutno marynarz — na kilka dni tylko.

— Tylko!.. — odpowiedziała z goryczą. — No, widzę, że trzeba się na to zapatrywać rozsądnie. Staraj się pan tam nie nudzić. (C. d. n.)

5)

SŁOWO O BOHDANIE ZALESKIM

przez

TEOFILA LENARTOWICZA.

(Ciąg dalszy).

We wszystkich kierunek nowy najwidoczniej się zarysowuje, do środkowania się, a w logicznem następstwie do oddzielania się od Niemców, środek zaś, ku któremu w głębi sumienia ciężą, to wielka mogiła, ostatni kurhan usypany ostatniemu z wodzów Polski szlacheckiej, a pierwszemu ze słowiańskiej, Tadeuszowi Kościuszce. Bo i około któregożby drugiego? czy cara Łazarza? Zbyt on daleki i całej Słowiańszczyźnie nie dość znany. Czy Żyżki, walecznego sekciarza i okrutnika, czy Suworowa, krwią polską obluzganego barbarzyńcy? Około grobu tego, który sobie na poczciwą sławę w całym świecie chrześcijańskim krwawo zapracował.

Ferment sprzecznych idei o układzie społecznym, różnica wyznań, siła materjalna Rosji, odgrywającej rolę wrzekomą protektorki Słowiańszczyzny, nie zdołają w sumieniu ludów obalić chorągwi, powiewającej na tym grobowcu, i prędzej czy później przy niej, i tylko przy niej, pod supremacją li tylko moralną, powiążą się bratnie dłonie wiekami prześladowanych plemion.

Kościuszko w sukmanie krakowskiego wieśniaka a poezja polska w formie ludowej, to krok na drogę upragnionej jedności i wspólnej obrony.

Natchnienia poetyczne, pełne goryczy i wyzywów, inną razą miłości przepalającej serca, kiedyindziej pełnych niezwalczonej logiki chrześcijańskiej, prawnych i prawych wywodów, składają starym obyczajem skonfederowanych manifest poetyczny nie do akt grodzkich, ale do akt wiecznych, na który to manifest jedno tylko z pobratymczych plemion (w literaturze) czeskie i kilka wzniosłych męczeńskich dusz w Rosji odpowiedziało. Cebądź i jakbądź, manifest ten nie przejdzie bez następstw, i pomimo piekielnego wrzasku Niemców i petersbursko-moskiewskiej krytyki, pozostanie on niby owe księgi magów średniowiecznych, w których miały się znajdować słowa, za wymówieniem których moce podziemne ukazywały się przed wzrokiem wyzywającego.

W poezji polskiej znajdują się słowa, które odczytane przez usposobionych do ich przyjęcia, mogą oblicze skłóconej a niepojmującej siebie, swoich praw i swoich darów Słowiańszczyzny odmienić. A pismom tym nie stanie się tak, jak sybilińskim ksiegom, pogorzałym w wojnach cywilnych Sylli i Marjusza; zbliżające się przewroty społeczne oszczędzą jeśli co, toć chyba dobrodziejstwo druku.

W wierszu „Przechadzka po Rzymie“ Bohdan śpiewa:

Bystro w konającego twarz Gladjatora
Spojrzałem, aż mi żyła w skroń nabiegła sina,
I w krwi całej zagrało hurra! Słowianina.
Zamierzchłych gdzieś stuleci brat ożył w posągu,
Jęknął co czuł i cierpiał w boleśnych dni ciągu.

I czyliż to podróżujący Child Harold zwrócił uwagę pieśniarza na posąg Gladjatora, i ostatnie słowa angielskiego Barda?

Nie — na widok tego arcydzieła

Wzrok za sercem podążył a serce za krajem,
Rozbłąkane za sinym wędruje Dunajem,
Gdzie chatę widzi swoją, szałas ten chruściany,
Tam jego barbarzyńska młódź zawodzi tany,
Tam ich Dacyjska matka, tam rodzinna strona,
Gdy on tu przed Rzymiany świętujące kona,
Ojczyste otoczyły szermierza widziadła,
Nim kropla krwi ostatnia z rany jego spadła.

Shall he expire
And un venged?

Nie, pamięć krzywd słowiańskich wiekowych jasną się stała w zmartwychwstaniu, że się tak wyrażę, ducha polskiego i plemiennego, i oczy otworzyły się na całość, zapoznawaną w ciągu dziejów pełnych nieszczęść i chwały, za zbliżeniem się do ludu i zespoleniem z sercem cierpiącego Słowianina na tej stepowej i mogilnej przestrzeni.

Ukraina słowiańska Bohdana to niby owe mgławice, w których wytwarzają się globy, a część ta olbrzymiej dziedziny plemion, toć to nie tylko pole dla stadniny panów takich jak Rzewuski albo kniaź Roman Sanguszko, to świat europejskiego Araba, Kozaka czy Centaura Herodotowej baśni — pole, na którem przejścia barbarzyńców a cywili zacja grecka, bizantyjska i katolicka ryły swoje ślady, świadectwo zapasów wiekowych i próby wytrwałości tych ludów w walce przeciwko najeźdźcom wschodnim których charakter oddają najwierniej słowa króla Scytów Ydantyrsa w odpowiedzi perskiemu Darjuszowi:

„Co do mnie, o Persie, nie żadna trwoga zniewala mnie do ustępowania z placu, i w tej chwili nie unikam walki, — jak dziś, w każdym razie postępuję wedle starego obyczaju. Zresztą, chceszli, a pouczę cię, czemu do wielkiej bitwy w otwartem nie staję polu: my nie posiadamy ani miast ani pól uprawnych, w których obronie wartoby narażać życie; jeżeli wszakże chcesz próbować przeznaczenia, jedno co nam jest cennem, to groby ojców naszych. Idź, szukaj tych grobów, spróbuj je znieważać, a ujrzysz czy nie będziemy zdolni walczyć w ich obronie. Czoła nasze zniżają się jedynie przed Bogiem ojców i Westą królową Scytów; w miejsce więc darów, których żądasz, i w zamian za słowa: ja panem waszym, oddajęć słowo ludzi wolnych za zapłaćcie, zapłaczcie“. (Herod. Melpom. XXVII.)

Po prawej stronie Czarnego morza, aryjskiej Synopy i Trebizondy — tam zapędzają się Osmanlisowie, a wiatr od pustyni z ich białemi szatami polatuje; po lewej fantazyjny Kozak niby ptak czujny straż brzegów europejskich dzierży, a z poza tych obozów i z poza grobów scytyjskich królów wyzierają miasta, o których historyk grecki nie słyszał: Nikopolis, Albiopolis, aż do starego Kijowa, jaskrawemi barwami połyskujące, z ich cerkwiami pozłacanemi, z ich dziwactwem kształtów zawędrowanych od metropoli Byzanckiej, imperatorów konającej wielkości Konstantynopola. Zewnętrzna szata starych wielkości przeniosła się nad Dniepr, i stęchła i zadymiła się kadzidłami hojnie palonemi czarnych monachów i ludu zadumczywego a niepodobnego w niczem do owych na wybrzeżach Złotego Rogu kupców, sofistów i sybarytów, wyrodzonych ze zwłok niegdyś pięknej alexandryjskiej Hellady.

Bóg jeden wie, w jaki się sposób duch ten wyrabiał, jakie się nie mięszały żywioły, a jakie upragnienia na przestrzeni Herodotowego tetragonu, pomiędzy morzami Czarnem i Białem, na tej Polanii a Lechii, jawnej, opisującej się samej przez się w rodzinnej mowie, jak daleko sięgają jej granice, i że te idą skrajem (Ukraina), dołem (Podole), pod lasami (Podlasie), do morza (Pomorze), ziemią jawną (Kujawami), siołami, sełami (Sielązkiem) i pod górami (Pogórzem)*), a więc mającej świadomość jeograficzną swoich posiadłości, dochodzących aż do Dunaju, opiewanego we wszystkich pieśniach ludu, i dalej aż do Wendów adrjatyckich — dość, że w miarę oddalania od miejsc krwawych zapasów i od wspomnień rzezi i żałoby, pieśń gminna na ziemiach mniej doświadczonych posuwając się ku białemu morzu razem ze szatą mieszkańców, przybiera i charakter weselny na czerwonej i białej Słowenii, i z bohaterskiej przepada w kmiecą improwizowaną zwrotkę, którą Bojan ukraiński daremnieby poruszał. Odmienne, aczkolwiek na jednym instrumencie naciągnione struny te zadrżą pod ręką Brodzińskiego, Pola i innych, i z idealnego do realnego świata wprowadzą umysł czytelnika.

Na przestrzeni od Pontu do Kijowa i aż ku błotom Pińskim przechadzający się duch pieśni, a przewdziewający z szaty czarnej (melanchlenów) w dalmatyk złotem przerabiany, w świąteczne stroje niewiast, wiążący wieńce z najpiękniejszych kwiatów stepowych — duch fantazyjny na wzór obłoków ciągnących się nad niezmierną rozległością ziemi, a surowo chrześcijański jak ów pierwszy spostoł Andrzej, odprawiający chrzest na Kreszczatyku, i naiwny jak dziecię — duch pomny i pierwotnych wierzeń i jutrzenki chrześcijaństwa, rozpędzającej mroki myśli — duch przypominający sobie wszystkie cacka greckie i wszystkie rzezie tatarskie i Normandów awanturniczych ponure baśni i słowiański mir na dnie rodowem spoczywający — duch ten nawiedził tę czułą, tkliwą, skłonną do zadumań duszę Bohdana, niby nowej muzy, nieznanej na Helikonie greckim, dziesiątej siostry, najmłodszej, ukrytej w lasach i burzanach pokrywających tę część globu, której słońce greckie snać nie dopatrzyło.

Duma Bohdanowa nie obejmuje całości tego czworogranu, nie dochodzi do Winety, Julina i Rugii, do błękitnego Dunaju i Wenetyckiego morza; jej czar w ściślejsze zwiera się koło. Stepowa a monachalna, iskrząca a razem przesiąkła wilgocią starych kolumn cerkiewnych, rytmiczność swoją a nutę zdaje się zawdzięczać dzwonom, których głosy rozemdlone przemieniają się zwolna na długie smutne dumy stepowe, jeśli znowu te dumy nie są pochodzenia z za gór Kaukazkich od owych wschodnich ludów, podległych berłu Wielkiego Cyrusa.

(C. d. n.)

*) Pol Wincenty „Obrazy z życia“.

OFICER MARYNARKI.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO

przez

PIOTRA MAËL'A.

(Ciąg dalszy).

List był przerwany w tem miejscu i zaczynał się dalej pod datą o dwa dni późniejszą:

„Wczoraj wysadziliśmy trzy torpedy; rezultat nie był dostatecznie rozstrzygający, trzeba jeszcze wielu ulepszeń.

„Chcę pani przedstawić tę rzecz, o ile można najjaśniej, obawiam się tylko, czy cię nie znudzę..."

W tem miejscu rozpoczynał się szczegółowy opis, w stylu prostym, barwnym. Młody marynarz przedstawiał fakta, pozwalając niejako im samym mówić za siebie.

Ostateczne próby dowiodły, że torped nie jest dość morderczą bronią; że statek, ugodzony w bok, zachwiał się, pochylił pod gwałtownem kołysaniem, wkońcu nawet począł tonąć, ale z powolnością, która dałaby całej załodze czas do ratunku. Inne doświadczenia dowiodły, że zwierzęta, umieszczone na łodziach przewozowych, nie ginęły od wybuchu, lecz okazywały tylko nadzwyczajną trwogę. Słowem, odbyte próby rozczarowały po części przyjaciół i zwolenników torpedu. Mówiono nawet o zupełnem jego porzuceniu. Minister jednak był innego zdania. Sądził on, że nie wszystko jest jeszcze stracone, ale że trzeba tę broń poddać nowym udoskonaleniom."

List Frydryka opisywał to wszystko młodej dziewczynie z wzruszającą naiwnością, pod którą przebijała chęć uspokojenia trwóg, jakie rozbudziła w jej sercu owa próba, na której była w Tulonie obecną.

łzami, a dzwonek, wzywający na objad, zastał ją płaczącą nad zwiniętym papierem. Teraz ona z kolei, zanurzając spojrzenie w głąb ciemnego horyzontu, wyszeptała:

— Jakże on jest daleko!

Ale miłość nie była dla niej tem, czem dla Frydryka — uczuciem wyłącznem, które miało go nie opuścić przez całe życie.

Wir świata i powrót do dawnych zwyczajów, łagodziły coraz więcej jej smutek i tęsknotę. Gdy nareszcie trzeci tydzień się zaczynał, dziwiła się sama, że nie wzrusza jej myśl, iż wkrótce już zobaczy ukochanego. Wiedziała, że powita z radością godzinę powrotu Frydryka, ale bliską była przyznania, że mógłby bez wielkiej szkody dla uczuć narzeczonej przedłużyć jeszcze swą nieobecność.

W takiem właśnie usposobieniu, odebrała nowy list od Plemona, list rozpaczliwy, w którym donosił, że przysłano mu znów rozkaz, aby przedstawił radzie admiralicji rezultat odbytych doświadczeń, a wskutek tego będzie musiał jeszcze miesiąc cały posiedzieć w Paryżu. Blanka z początku zadąsała się, lecz pocieszyła się dość prędko, przyjmując obłudne współczucie Leopolda.

— Opóźnienie to — mówił on — choć przykre chwilowo, było jednak wypadkiem bardzo szczęśliwym. Widać, jakiem uznaniem cieszy się młody porucznik u swych zwierzchników, kiedy robią mu zaszczyt zasięgania jego rady. Niewątpliwie, w bliskiej przyszłości, posuną go na wyższy stopień...

Młoda dziewczyna uznała słuszność tego tłómaczenia. Z ochotą też oddała się wesołemu życiu światowemu, zwłaszcza, gdy pani Plemon oznajmiła, że wyjeżdża do Paryża, aby przepędzić obok syna cały czas jego pobytu w tem mieście.

Pożegnanie jej było bardzo przyjaźne, ale Blanka czuła się zakłopotaną. Zrozumiała, że w ostatniem „do widzenia", jakie wymówiła matka jej narzeczonego, nie było przekonania. Dzielna

prawdy, przedstawiając się jasno w umyśle panny d'Illiers, zrobiły jej wielką przykrość; była istotą dumną, nie chciała zapierać przed sobą swych własnych błędów, lecz zarazem nie umiała korzystać z wyrzutów sumienia.

Guidal wyzyskał zręcznie jej niezadowolenie z samej siebie, popychając ją do najszaleńszych wybryków przeciw zwyczajom i etykiecie, oraz namawiając do tualet niestosowych, zwracających oczy ogółu. Blanka, czysta w głębi duszy, została nagle skompromitowaną, dawała bowiem światu powód do plotek.

A ponieważ wiadomość o zerwaniu zamierzonego małżeństwa nie doszła jeszcze do uszu świata, więc dobrzy ludzie postanowili ją uprzedzić, zaczynając dowodzić, że potrzeba co prędzej uwiadomić Frydryka o tem, co się działo. Obowiązkiem sumienia było przestrzedz tego zacnego chłopca i donieść mu o wszystkich wybrykach jego przyszłej żony. Najwięcej zwłaszcza oburzały się mamy, mające córki na wydaniu.

W drugiej połowie tego nieszczęsnego miesiąca, Leopold mógł już sobie powinszować, że zyskał grunt pod stopami. Blanka zmęczona, zniechęcona, dozwoliła się popchnąć w ramiona tego łowcy posagowego. Tak przynajmniej rzecz ta przedstawiała się w przekonaniu opinii publicznej, którą, na nieszczęście, młoda dziewczyna zbyt lekceważyła.

Rzeczy tak daleko już zaszły, gdy nareszcie obowiązki zmusiły Leopolda do opuszczenia Cannes.

XIII.

W Paryżu tymczasem Frydryk nudził się śmiertelnie. Nie dosyć, że w Cherburgu przeciążony był pracą, lecz nadto i w Paryżu otrzymał zatrudnienie, które jeszcze więcej zajmowało mu czasu. Chwile wolne natomiast poświęcał marzeniom. Zajęcia całodzienne i gorączkowe życie stolicy nurzyło go niezmiernie. Wolałby był samo-

Opuścił Tulon w okrutnem zwątpieniu, a pierwsze dni rozłączenia podwoiły jeszcze cierpienia i trwogę. Ale czyż człowiek może zupełnie zamknąć serce przed nadzieją? Czyż nie powraca ona pod najbłahszym pozorem, z każdym jaśniejszym promieniem słońca, z echem zasłyszanego śmiechu, z nutą piosenki, uchwyconej przypadkiem?

Plemon przywiązywał się więcej do wspomnień chwil szczęśliwych, niż do smutków minionych. Odtwarzał w wyobraźni swojej owe upajające chwile, przepędzone sam na sam z Blanką. Wszakże powiedziała mu, że go kocha... Nie trzeba nigdy wątpić o słowie kobiety, jeżeli słowo to jest swobodne, dobrowolne, jeźli jest wyrazem woli, wypływającej bezpośrednio z uczucia. Zresztą, z jakiego powodu miał wątpić? Co popychało Blankę do wyznań? Piękna, młoda, bogata, mogła wybierać z zupełną swobodą...

Wybrała też człowieka biednego, który nie ukrywał swej dumy i swego ubóstwa. Cóż więc teraz mogłoby usprawiedliwić nagłą zmianę jej myśli i uczuć? Należałoby chyba uwierzyć, że nie kochała go nigdy. A jednak wymówiła zwodnicze słowo: Na zawsze!

Frydryk nie miał w Paryżu ani chwili swobody. Musiał składać raporty przed radą admiralicji, a nadto przez kilka godzin dziennie siadywać w biurze przy ulicy Royale. Badania, jakie mu powierzono, były po większej części próżne i bezużyteczne. Zasadzały się one na wykazach i przeglądach cyfr, poprawianiu planów i rysunków, oraz szczegółowym rozbiorze niezliczonych wiadomości i doniesień o zadziwiających odkryciach, których „wynalazcy" byli zawsze zapoznanymi „geniuszami".

Miał do czynienia z nagromadzonemi pomieszanemi pospołu wszystkiemi materjałami wybuchowemi: siarka, saletra, nitrogliceryna, jakiś nowy proch, zdolny wzniecać sztucznie burzę na morzu itp. Do tych „agentów zniszczenia" dołą-

dnych radzono zastosowanie wody, przy innych znów użycie jakichś maszyn zegarowych, a wszystko to były pomysły próżne, opłakane, świadczące jasno o nieuleczalnem szaleństwie ich twórców, zasypujących ministerjum marynarki swemi „odkryciami".

W tym zbiorze niedorzeczności, Frydryk odkrył jednak niejeden dobry projekt, podający zupełnie możliwe ulepszenia torpedów, niezbyt wielkim kosztem. Wszystkie takie pomysły numerował, odkładał i odsyłał do komisji szczegółowej, z uwagą: „do zbadania".

Miał przeznaczony do pracy mały, kwadratowy pokoik, na drugiem piętrze, z oknem wychodzącem na ciasny dziedziniec gmachu ministerjum. W izdebce tej odczytywał Frydryk zżółkłe manuskrypta i zmięte karty planów. O iluż to złudzeniach opowiadały te papiery! Niektóre z nich nosiły datę z przed lat kilkunastu. Autorowie ich może już zniknęli z tej ziemi, zabici rozpaczą i nędzą, ustępując miejsca innym marzycielom...

Plemon filozofował bezwiednie przy tym stole, przeładowanym papierami. Mógł się tu przekonać naocznie, że w naszej niespokojnej epoce liczba zwichniętych umysłów wzrasta przerażająco. I gdybyż te wszystkie chimery lęgły się w głowach ludzi fachowych! Gdzietam!... Pomiędzy owymi „wynalazcami" najmniej właśnie było marynarzów, znacznie więcej inżynierów, a znajdowali się nadto: zegarmistrze, mechanicy, aptekarze, chemicy, nawet fotografowie, wszyscy zaś pragnęli za pomocą pierwszej lepszej mięszaniny udarować świat nowym wynalazkiem niszczącym.

W tym czasie odebrał Frydryk od matki list w kilku słowach, z zapowiedzią jej przyjazdu do Paryża. Młody człowiek zdziwił się bardzo. Co to mogło znaczyć? Czyż nie zostawił matki w Tulonie, aby niejako zastępowała Blance jego nieobecność? Zresztą, czyż sam nie miał wkrótce powrócić? Dlaczego więc matka przyjeżdżała do niego i właśnie w tej chwili? (C. d. n.)

6) 37

SŁOWO
O BOHDANIE ZALESKIM

przez

TEOFILA LENARTOWICZA.

(Ciąg dalszy).

Czytelnik, wędrujący za czarodziejem pieśni, oddecha wonią macierzanki, dzikiego czosnku i owego wilgotnego tataraku — i Bohdan, śpiewak mołodecki dziewcząt i zuchów konnych, nastraja ograną swoją lirę na mogile Sawor i roztacza szeroki obraz zuchów polańskich we wspaniałym obrazie Potrzeba Zbarazka, w której śpiewa nam tak, że nam ojcowie nasi, nie sejmowi na podobieństwo Rzymian, purpurą odziani, nie litewscy wodzowie, nie Wazowie szwedzcy, nie lud wesoły od Kujaw i Krakowa, a owi pierwotni Słowianie od Adrjatyku Cyryl i Metody z wielkim krzyżem w ręku, którego blask rozświeca i do widzialnego świata w historii Polanią i wszechsłowiaństwo wprowadza, przypominają.

A jakiejż to siły imaginacji potrzeba było i zebrania myśli, żeby przyzwać i wtajemniczyć się w tę zadumczywość i zamiłowanie natury, a swobody pierwotnej, jakiej miłości plemion, żeby się do tak dawnych dostać ojców!

Bohaterowie tej dumy Daszkowicze, Rożyńscy, Herburty, są to niby Lechy dziejowe, ale jakże one odmienne od owych, które z takiem mistrzostwem maluje genialny dzisiejszy poeta Henryk Sienkiewicz! Obraz poety, prawdziwy w intencji sł wiańskiej, może i nie był takim zupełnie w rzeczywistości; cobądź jest to obraz wieszczy, a co ma życie w pieśni, może mieć życie i w rzeczywistości, przy dobrej woli, której doświadczonym, któż zaprzeczy, że kiedyś zabraknie?

Pierwsze prawa rzymskie pisane wszakci były wierszami *(carmina)*, i pieśń więc może stać się prawem; metamorfoza pieśni w prawo nieznacznie, niespostrzeżenie się odbywa.

Nikt wznioślej i nikt głębiej nad Adama nie rozpatrzył się w dziejach, nikt słowa bezstronniejszego nie wypowiedział, nikt boleśniej nad Zygmunta niesprawiedliwości dziejowej nie podniósł. Wielcy zaprawdę wodzowie ducha Polski, przechodzącej wielkie swoje przeobrażenie! Zobaczmyż, czy Bohdan ludowe gminne intencje bratnie porówno z nimi podniósł.

Każda wielka pieśń narodowa poczyna się od rapsodów, których zbiór po zakończonym pewnym okresie dziejów powiązany w całość harmonijną i około jednego najwydatniejszego uporządkowany faktu, stanowi epopeję narodową. Na taką epopeję składały się wieki, nim utworzyły historję Romy, pieśni Eddy i rycerskie Bardów, nim się złożyła księga Nibelungów, podania poprzedzające czasy Heraklidów — nim wykwitła Iliada. Wergiliusz korzystał ze wszystkich skarbów wiedzy historycznej i podań w czasach Augusta, ciągnąc dalej nić Homerową, rozbłąkaną myślą za Eneaszem, unoszącym rodzica z murów palącej się Troi, Adam Mickiewicz miał przed sobą skończoną także epokę Polski szlacheckiej.

Łatwiej przychodzi Ebersom i Hamerlingom dzisiejszym, Tenysonom i innym malować Egipt, Grecję, Peryklesa czy rycerzy Okrągłego stołu, kiedy to wszystko wykopano, przestudjowano, odmalowano i wytłómaczono tysiąckrotnie. Rapsod gminny pozbawiony jest tych środków; z tego co się poczyna, co jeszcze swego dziejowego nie wypełniło zadania, całkowitego obrazu wymagać niepodobna.

Duma Rycerska, jaką przynosi Zaleski, pokrewna pieśniom serbskim o królewiczu Marku, Janie Czarnojewiczu, Wukaszynie, o zgonie cara Łazarza, Sagom, Bretońskim pieśniom i pieśniom starym o Rolandzie, i także Balladom szkockim, których piękność dał nam poznać Walter Skot — wyższą jest od tych rudymentów epopei przedziwnem artystycznem wykończeniem, tak dalece, że już za materjał uważaną być nie może, że z niej nic przyszły poeta bez świętokradztwa nie użyje. Jak pieśń o Połku Igora, malująca czasy rusińskich normandzkich władzców, jak pieśń czeska o Jarosławie zwycięzcy Tatarów, duma Bohdana pozostanie sama w sobie jako wyraz epoki budzącej się do życia Słowiańszczyzny, jako niby prorockie widzenia nowego społeczeństwa, jakie na chwilę kiedyś ukształtowało się było, jakby na okaz, że podobne egzystować może w przyszłości. Duma, to żywe prawdziwe utęsknienie za czemś, co się stało i co się powtórzyć może, a na finał jej położyć daje się upomnienie autora Wallenroda:

> Niechaj ją anioł muzyki w niebiosach,
> A czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa.

Do takiego uczucia epopeja skończonej społeczności odwoływać się nie potrzebuje.

W literaturze naszej Duma pojawia się po upadku Polski. Nie jestem pewny, ale zdaje mi się, że ją pierwszy Niemcewicz w miejsce Elegii wprowadza (Duma o Stefanie Potockim, Duma o Glińskim, o Żółkiewskim), po Niemcewiczu Tymon Zaborowski pisze swoje, dziś mało znane, Dumy podolskie.

Że pieśni Niemcewicza wpłynęły na młodociany umysł Bohdana, znać to z jego Rapsodu o Januszu Bieniawskim, w którym się czułość elegijna Niemcewicza, a mianowicie Dumy o Żółkiewskim przypomina.

> Nad szumnym Dniestrem na Cecorskiem błoniu,
> Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny.

Duma ta wszakże zwolna zrzuca ze siebie konwencjonalne wyrażenia pogrzebowej elegii, zapomina o egzystencji Towarzystwa przyjaciół nauk, i w prostym, szczerym, a tak błogim dla słuchaczów przyodziewku zasiada zdala od krzeseł uczonych akademików, równie jak i poziomej karczemnej gwary i zaściankowego dowcipkowania, i bez silenia się na ustawienie rusztowania, bez efektów przewidzianych z góry i artystycznie ugrupowanych, ubiegłych lat wielkości opowiada dzieje, nie kwoli głaskania ucha próżniaków, a raczej ku czci minionych plemion, których te tylko podnosi strony, które dla przyszłych pokoleń jako gwiazdy przyświecają, a jej scenarjum najodpowiedniejsze, to Iwanhora, to Mogiła Sawór, i naród inaczej też sobie jej nie wyobraża, jak na tych wzgórzach zawianych tumanami niby obecnością wielkich pożegnanych duchów, na miejscu, na którem burzą skołatane sokoły do dalszych lotów powykręcane prostują pióra.

Niemcewiczowi należy się cześć za wprowadzenie Dumy do przybytku wieszczych pieśni, jakbądź takową nazbyt wymuskaną i z pańska, a jak się lud prosty wyraża, z partesa stąpającą, przedstawił.

Epoka Potrzeby Zbaraskiej, wolna od krwawych zaburzeń, najwłaściwiej nadawała się śpiewakowi, którego celem całego życia było jednać a nie waśnić. Krytycyzm dziejowy, którego tak słusznie obawiał się Zygmunt Krasiński, wstrętny był i ukraińskiemu wieszczowi; gdzieniegdzie pluśnie i on siowem, ale nigdzie się na całą przeszłość nie pogniewa. Wie on tak samo jak Pol i wszyscy poeci, że przesadzona krytyka wyziębia serca współziomków i zniechęca do tej matki, bez której niema bytu; serce Bohdana dalekiem było od przypominania nawet walk bratobójczych, rozmyślanie nad któremi mogłoby zasępić czoła i chwilę zgody opóźnić, jakbądź błędów przeszłości a mianowicie pychy możnowładzców nigdy on nie pochwalał.

Ostafi Daszkiewicz, kniaź Rożyński i inni rycerze wspominani w Dumie występują jako wodzowie ochoczej drużyny — królowie to jacyś z pod Ilium, boscy pasterze trzód; panów oddzielających się przywilejami i obyczajem w pośród tej drużyny nie dopatrzy — Herburty i Bałabany, Zaterkiewicze i Świerczkowscy, szlachta i kniazie waleczni, przebiegli w sposobach wojowania, dobrzy ludzie, że choć do rany przyłóż, nie późniejsza to szlachta pospolitego ruszenia, to jeszcze jednej matki dzieci słowiańskiego szczepu; wszyscy oni spieszą życiem, piersiami własnemi zagrożoną ratować ojczyznę, na miejscu, na którem w innej epoce ten sam lud rusiński z pomocą wrogów przyjdzie pijany krwią rozpierać się o supremacją, czyją? podobno że tych, których staje się pomimowolnem narzędziem, i złudzony obietnicami braterstwa a swobody, w cięższą popada niewolę. — Rusini Bohdana uwalniają Rzeczpospolitą pod Zbarażem od napadów tatarskich, Rusini Chmielnickiego przychodzą ją roztrącać.

(C. d. n.)

stratualnych zdać na wiceprezydenta magistratu. Zyska na tem jak najbardziej sama gmina, która

przedtem rzadziej w naszym kraju się zdarzało.

radną...

wynosi 2645 złr.

17

OFICER MARYNARKI.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO

przez

PIOTRA MAËL'A.

(Ciąg dalszy).

Chłód śmiertelny przejął serce Frydryka, a nowe wątpliwości zbudziły się w jego umyśle. Zaczął znów przypominać sobie poprzednie swoje obawy.

Ten stan pogorszył się jeszcze, gdy pani Plemon przybyła. Frydrykowi zdawało się, że jest smutną, oraz że jakiś przymus i chłód malowały się na jej twarzy. Gdy tylko zostali sami, Frydryk chciał jak najprędzej dowiedzieć się prawdy i odrazu przystąpił do rzeczy:

— Mamo!

To słowo otwierało mu zawsze wszystkie arkana miłości macierzyńskiej. Kiedy mówił „mamo“ — nie „matko“ — był pewnym zwycięztwa.

— Mamo — rzekł — dlaczego opuściłaś Tulon? Tam miałaś błękitne niebo, błękitne morze i łagodny klimat; tu jesteś znów otoczona mgłą i szaremi chmurami.

— Czyż nie takie samo niebo jest w naszej Bretanii, mój synu?

— Tak, przyznaję. Ale ponieważ ja miałem powrócić do Tulonu; dlaczego nie czekałaś?

— Tęskniłam za tobą, potrzebowałam cię zobaczyć.

Pochwycił jej obie ręce i ucałował.

— Nie, mamo! — rzekł. — Nie mówisz mi całej prawdy. Chcesz ukryć coś, co mi zagraża. Mów, widzisz, jestem spokojny... Może Blanka?...

Bladość jego rysów i widoczne wzburzenie zadawały kłam zapewnieniom o spokoju. Pani Plemon zanadto była kobietą, aby nie wyczytać skrytej trwogi, zanadto zaś kochającą matką, aby nie oszczędzić dziecku nieprzebnego cierpienia. A wreszcie, cóż mu mogła powiedzieć? Wszak nie miała żadnych faktów, tylko same przypuszczenia, nie mające żadnej podstawy. Odparła też z uśmiechem.

— Otóż masz! Już kochanek zabiera miejsce syna! Widzisz egoisto, wszystkie twoje pieszczoty mają tylko na celu doprowadzenie mnie do tego, abym śpiewała pochwały *tamtej*. Znamy się na tem! A więc bądź spokojny. Jest zawsze piękna, zawsze miła, zawsze czarująca. Czegóż ci trzeba więcej?

Niezwykłe ożywienie matki i jej sztuczna wesołość sprawiły na Frydryku wrażenie przeciwne temu, jakie pani Plemon chciała wywołać.

Jednakże nie zdradził się z tem i wolał zamknąć się sam w sobie, odkładając do innego dnia dalszy ciąg rozmowy. Zaczął gawędzić poufale, dowiadując się o Cannes i jego mieszkańców, poczem nagle zapytał matki, jakie były jej dalsze plany i czy zamierzała powrócić z nim do Tulonu?

— Oh! — odparła wdowa z obojętnością, która nie była zupełnie wolną od goryczy. — Sądzę, że prosto ztąd powrócę do naszego Vannes. Dawno już nie widziałam domu, a jestem zmęczona życiem hotelowem. Czyż to dziwne w moim wieku? A wiesz przecie, że starzy zawsze lubią swój własny kącik.

Słowa te były dla niego objaśnieniem. Przestał nalegać i siłą woli powstrzymał krzyk serca.

Postanowił poświęcić się zupełnie matce przez te kilka dni, które z nim miała przepędzić.

Najął dla niej pokoik w hotelu, w którym zamieszkiwał — i codzień, po powrocie z ministerjum, jeżeli nie było zbyt późno, prowadził matkę, jak tam w Vannes, na dalekie spacery, do pustych prawie ogrodów.

Drzewa bezlistne wstrząsały staremi ponuremi szkieletami pod przyćmionem sklepieniem nieba; posągi z białego marmuru, jak duchy rozpaczy, czaiły się w zapadającym zmroku, a oni oboje, gwarząc o rozmaitych rzeczach, posuwali się wolnym krokiem przez długie wysadzane drzewami aleje.

Czasami wzrok Frydryka mimowolnie zwracał się ku południowi. Widnokrąg w tej stronie zasłaniały mu wprawdzie wysokie, regularnie zbudowane domy bulwaru św. Michała lub mury obserwatorjum, ale myśl jego usuwała te przeszkody i biegła daleko, daleko, po za tę zmrożoną tchnieniem chłodu ziemię, po za posępne mgliste niebo, ku tym świetlanym stronom, gdzie w tej godzinie zapewne słońce zlewało swoje ciepłe promienie na marmurowe wille i szczyty gajów oliwnych. Nigdy biedny chłopiec nie zwracał rozmowy do tej przeszłości tak bliskiej, a jednak już tak odległej. Zapewne wszystko było skończone, a jednak brakło mu odwagi, aby przekonać się o tem ostatecznie. Zdawało mu się, że wieki już przeszły od pożegnania z Blanką. Zawładnęło nim jakieś chorobliwe odrętwienie. Począł się obawiać, że ciało mogło nie przenieść tych cierpień duszy.

Nareszcie pewnego wieczora dłuższy opór stał się bezskutecznym. Frydryk uczuł nagły zawrót głowy a jednocześnie niesłychane zmęczenie z nóg go zwaliło. Objawiła się silna gorączka, a niebawem przyłączyła się i maligna. Przywołany lekarz zalecił choremu pozostać w łóżku, a młody człowiek, zwyciężony tym wyrokiem więcej nawet, niż samem cierpieniem, nie opierał się już i poddał się chorobie. Była to złośliwa gorączka z rodzaju tyfoidalnych. Zanim jednak marynarz stracił przytomność, rzekł z dziwną stanowczością do przerażonej matki:

— Przedewszystkiem, mamo, ani słowa do Cannes! Niech nie wiedzą, co mię spotyka.

I dodał z rozdzierającym serce uśmiechem:

— Nie trzeba ich niepokoić...

Przesilenie przyszło stosunkowo dość prędko; choroba trwała około trzech tygodni, poczem nastały długie godziny rekonwalescencji. Powrót do zdrowia i poczucie ładu w zmąconej wyobraźni mają zawsze w sobie trochę poezji. Oczy Frydryka, za pierwszem przytomnem spojrzeniem, padły na wychudłą, milczącą postać matki, poczem dopiero wracające stopniowo myśli wywołały inny obraz, obraz ukochanej, niewdzięcznej, która nawet nie zapytała o niego.

Nadszedł nakoniec dzień, w którym chory się podniósł i przeszedł z łóżka na fotel, oparty na ramieniu matki, odurzony temi kilkoma pierwszemi krokami.

Zapytanie, które od kilku dni paliło mu usta, wybuchło teraz mimowolnie:

— Czy odebrałaś jaki list, mamo?

Wzrokiem błagał, aby powiedziała: „tak“.

I usłyszał to upragnione: „tak“, ale matka wymówiła je tonem głuchym, który nie wróżył nic pocieszającego.

— Tak, nadszedł istotnie list, ale byłeś jeszcze nadtą cierpiący, abym mogła z tobą o tem mówić, wolałam więc poczekać. Zresztą, nie dałam jeszcze żadnej odpowiedzi.

— Czy pokażesz mi ten list, mamo?

Pani Plemon zawahała się przez chwilę. W końcu jednak poszła do biurka i wyjęła z szuflady piękny arkusik welinowego papieru. List pisany był charakterem męskim, w następujących słowach:

„Pani!

„Pani i panna d'Illiers, nie mając oddawna wiadomości od pana Frydryka Plemona, upoważniły mnie, abym prosił panią o kilka słów objaśniających.

„Panie d'Illiers bawią obecnie w Nizzy i nie mogły same napisać. *Leopold Guidal.*“

A więc ani Blanka, ani jej matka, nie miały czasu skreślić choć kilku wyrazów! To nie potrzebowało komentarzy... Pani Plemon czuła się jednak w obowiązku wziąć w obronę matkę i córkę. Przytoczyła na ich usprawiedliwienie ze dwadzieścia przyczyn, a w końcu zaczęła mówić o wymaganiach życia światowego i ciężkich obwiązkach, jakie ono nakłada. Mówiła w ten sposób dość długo, unikając wzroku Frydryka i mając oczy utkwione w dogasający na kominku ogień. Nareszcie, odwróciwszy się po chwili, spostrzegła, że syn, oparty o poduszki swego fotelu, nie słuchał jej wcale.

Wtedy zerwała się z krzykiem.

Frydryk leżał omdlały.

(C. d. n.)

SŁOWO O BOHDANIE ZALESKIM

przez

TEOFILA LENARTOWICZA.

(Ciąg dalszy).

Dankiewicz a Wiśniowiecki różnią się co prawda wielce: pierwszego Rzeczpospolita to matka, drugiego już tylko pani, silna rycerstwem w bojach zahartowanem, wiarą i braterstwem pomiędzy sobą szlachty, nieszczęściem w rozstroju z ludem, którego słusznych wymagań nie uznaje i któremu za odpowiedź rzuca dumne słowo:

„Częścią jesteście Rzeczypospolitej, ale taką jak włosy i paznogcie, które kiedy nazbyt podrosną, zwykle się obcina“. (Pamiętniki do panowania Jana Kazimierza.)

Obłąkana zbyt wielkiem o sobie rozumieniem, nie pojmowała, że w tych włosach, w tym ludzie, była niegdyś cała jej siła Samsonowa.

Potrzeba Zbarazka przychodzi nam w sam czas, i żadna krytyka genialnej powieści Sienkiewicza nie wypowie lepiej, o co nam idzie w pojmowaniu sprawy narodowej, nad to przeciwieństwo bynajmniej tendencyjne utworów artystycznych; prawda sama za sobą świadczy jak w jednym tak w drugim. Sienkiewicz nie mógł genialniej przedstawić epoki, podobnie jak Bohdan; *...discite historiam*, a z przykładów bierzcie naukę! — zdają się jednozgodnie obaj powtarzać.

Poemat Bohdana to widzenie żywe i prawdziwe a więcej zadowalniające Rzeczypospolitej; horyzont Sienkiewicza pomimo arcyprzedziwnych typów rycerskich drobnej szlachty, zalega nie czarny punkt a biały, z którego pojawieniem się żeglarze ściągają żagle, na straszliwą przygotowując się burzę. Niefortunny Jan Kazimierz jeden za całe możnowładztwo polskie poczuwa się do winy i przed obliczem Matki Chrystusowej uroczyście przyobiecuje lepszy byt uśmierzonemu krwawą zemstą ludowi, ale w jegoż mocy dotrzymać? Będzie usiłował, kiedy szalona, pieniąca się a pękająca nicością pycha stanie mu na wstręcie, proroctwo straszne rzucając na te zwarjowane karmazyny, na stopniach tronu znieważaną nieposłuszeństwem zostawi koronę, którą wielki hetman uświetni raz jeszcze, a dalej konanie i zgon, ale zgon poprzedzony wyznaniem winy i testamentem, którego imię Konstytucja 3. maja, którym to aktem szlachta polska i ci wszyscy z możnych, którzy do niej przystępowali, zasłużyli sobie na życie wieczne. Jeżeli co było normandzkiego w Polakach, z Konstytucją 3. maja znikło.

Jest to pierwszy istotny zakon i prawda braterska słowiańska, i tylko po jej ogłoszeniu mógł się zjawić wódz taki jakim był Tadeusz Kościuszko.

Bez poematu Potrzeba Zbarazka w poezji polskiej nie pojmowalibyśmy żywiołów, jakie składały Rzeczpospolitę, jednych po drugich występujących na pole historyczne — Polska, jak ją widzi Bohdan, słowiańska może dopominać sie o zmartwychwstanie. Polska poety Ogniem i Mieczem już się nie powtórzy.

To co miało swoją najzupełniejszą realność, ma też i wyraźniejsze kontury, to co przesuwa się jak widzenie w najpiękniejszym śnie nocy majowej, mgłami stepów zawiane, przez tumany przebłyskając zbroją, pociąga za sobą wzrok i znika, mniej wyraźne, ale jakże czarujące, jak zatacza się na widnokręgu kołem złotem niby koroną Zygmuntów i ich wieku nie jedno w literaturze, ale i w życiu tej Polski, ku której zwracają się stęsknione oczy jej najnieszczęśliwszych pogrobowców!

Słońce to Ostrogskich, Daszkiewiczów nie skłóconej, nie rozerwanej ojczyzny jakże przyświeca pięknie bratniej drużynie! W pogoni za niewiernymi Kozacy puszczają z dymem Bender Turecki, przepływają Dunaj, kozakują po Jassach i Gałacu i aż po Czarne morze w bliskości przesławnej mogiły Władysława Warneńczyka, a przewodnikiem tego stada sokołów bielusieńki ojciec Daszko i orzeł stepowy, ochotnik także na rycerską potrzebę, któremu na przeprawie przez Tatarów poległemu drużyna jak bratu szerokich skrzydeł, uroczysty pogrzeb wyprawia, szable ptaku a buńczuki wmiatając do grobu, i oto jak tę śmierć ptasią poeta opowiada:

Winogrady, to znów sady, a sioła, a sioła,
Wszystkie dziwnie przerywane na eszty dokoła.
Indziej popas, indziej nocleg, wczasujem po lichu,
Wrogi zczezły w suchą ziemię, ni śladu, ni słychu...
Powolutku tak dzień po dniu już trupem dzień trzeci,
A wciąż sady, winogrady i orzeł wciąż leci...
Orzeł klaszcze ponad końmi, na zabój nie puszcza,
Znagła Ałła! zaszczekała na lewo w krąg puszcza.
Wyświsnęły gęste strzały i jedna och! strzała
Uceliła i pod serce wszystkim nam dostała...
Siwy orzeł już na ziemi po piasku się tacza. —

Trzy dni sypią mu grobowiec (kurhan), jak daj Boże podobny każdemu z wodzów, na tym kurhanie zasadzą kalinę, na którą ptaki będą siadały, a wieści na Ukrainę o sławnym ptaku, towarzyszu wyprawy roznosiły.

Z nad Czarnego morza napatrzywszy się Bożemu światu drużyna powraca pod rodzinny Zbaraż, na uciechę, na wielką na swobodne, a słobodzkie życie zapewnione jej dokumentem króla Jegomości Zygmunta na zaręczyny wnuczki Daszkewicza z młodym kniaziem Różyńskim, na której to uroczystości wodzom a drużynie i mołodycom na szczęście i długi wiek śpiewak dumę swoją, opowiadającą tylko co odniesione zwycięstwa i przebyte trudy śpiewa, i na tej wyśpiewanej właściwie kończy się poemat, z dodatkiem: że stary wódz bielusieńki niedługo potem i życie i ukochaną pożegnał Ukrainę.

Treść ta niby to dyarjusz przygód wojowniczych, a Daszkiewicz, Różyński, to nie Radziejowscy, nie Radziwiłły, nie Mniszkowie; dumą ich całą służyć ojczyźnie, a nagrodą stepowa przesławna mogiła i dobre imię po chatach i obozowiskach kresowych; to nie normandzkie jarle awanturnicze, przerodzone w przemyślnych, pysznych, rozpasanych możnowładców narażających całość Rzeczypospolitej na niebezpieczeństwa, to bracia poważni i poważani, to ojcowie, nie panowie, wszystko to służy tej idealnej dalekiej a bliskiej sercu wielkiej skonfederowanej słowiańskiej rodziny, którą poeta słowiański księżną nazywa:

pieśń pięknie i czysto
Huczy silniej, wynośniej, głosy w głosach sprzężne:
Niesiemy na stolicę słowiańską swą księżnę.

O wnuczce Daszkiewicza i o miłości dla niej księcia Różyńskiego dowiadujemy się przy końcu, tak jak się stało: że się zobaczyli, pokochali i zaręczyli, a z czasem pobiorą, kiedy pan młody na większą zapracuje sławę, a wszystko wedle zakonu mołodeckiego; domowa historja powszednia, i w czemże cały urok tej dumy? w duchu opowiadania, a w miłości dla owej idealnej Pani.

Wszystkie duchy zapatrzone
W archanielskiej Pani stronę.
Widzę, widzę, wzniosły ręce,
Rwą ze skroni życia kwiaty,
Rwą, ciskają życia wieńce
Pod jej stopy, na jej szaty (*Przedświt*)

i o jej zdrowie czuli drżą wciąż przeświętą chęcią poświęcenia.

Boje te nic tragicznego nie mają w zwykłem znaczeniu tego wyrazu. Życie to walka nieustanna, to konieczność jak odpływ wód, które zatrzymane w biegu z ożywiających w zgniłe, zapowietrzające bagna się zamieniają. Na Ukrainie po każdem wyludnieniu a uprowadzeniu w jasyr tatarski tysięcy bezbronnych osadników, ciągną z Polski niby z ogólnego rozsadnika ludów nowe tysiące, na gruzach spalonych miasteczek a słobód nowe budować osady; spieszą ze świadomością na jaki los się ważą, a przewodniczyć zdaje się im zawsze tenże sam orzeł biały polskiego sztandaru — mięszają się z pozostałemi szczątkami, i o dziwo, poddają dyalektowi miejscowemu, jakoby też przychodzili z pokłonem starym panom ojcom od starej ukochanej matki, by dalej ciągnąć powołanie swoje opatrznościowe, obrony Zachodu od Wschodniego barbarzyństwa, gdy taka jest wyższa snać potrzeba wieczna.

Czarodziejstwo prawdziwe obrazów pochwytanych z przyrody a ludzi, prostota; ale niech kto spróbuje napisać podobną strofę, a stanie mu się jak owemu, o którym Sand opowiada, który niepoświęcony dotknął się jednej z siedmiu strun lutni, nie wiedząc, że rani do krwi niepowołane palce.

Słowianie, wszyscy do burłaczenia czujący skłonność, w opisach tych znajdą świeżość stepów i lasów, a gdy ich piosnka rodzinna poruszy —

Odnajdą może dawne serca bicie,
Odnajdą może dawną wielkość duszy,
I jedną chwilę tak górnie przeżyją,
Jak ich ojcowie niegdyś całe życie.

Odnajdą całowzór przyszłej Sławii, urządzonej na prawach odpowiednich plemionom, ich dziejom i uobyczajeniu, wolnej, swobodnej, a połączonej ku wspólnej szerokich dzierzaw obronie.

W Ramajanie, Iliadzie czy Nibelungach uwagę czytelnika i jego obawę utrzymuje ciekawość: co się stanie z Sitą, Heleną, Brunhildą czy Krymhildą, Ramą, Achilesem czy Hagenem; w poezji polskiej: co się stanie z Polską? Dramat tych poetów nie rozwiązany pomimo ciągłych niepowodzeń nie rodzi zwątpienia, przeciwnie nadzieją nieśmiertelną napełnia duszę czytelnika.

Ze sto razy wrogów złamani potęgą
Skończą zwycięztwem...

(C. d. n.)

38

prawdziwych Niemców, ażeby inne narodowości uciskali. (Oklaski na prawicy). Istotniejszą cnotą Niemców jest sprawiedliwość. Partja, która się zowie „liberalną“, która nam dała prawa zasadnicze, wyszukuje sobie broń do walki zawsze tylko z czasów absolutyzmu. Jej wspomnienia historyczne sięgają tylko po Józefa II. Ależ oprzyjmy się szczerze na zasadach nowożytnej wolności, a wtedy pogodzimy się łatwiej, wtedy także Niemcy i Słowianie najłatwiej się porozumią.

My, katolicy nie możemy dopuścić, ażeby szkoła w młodzieży naszej zabijała ducha i dlatego nie spoczniemy, dopóki tej szkoły nie zreformujemy. Walka nie ustanie — będzie się rozwijała coraz potężniej — i zobaczymy, — kto zwycięży, zapewne nie lewica.

Mowca polemizuje w dalszym ciągu z Suessem. W Belgii była to partja klerykalna, która stworzyła konstytucję, a stronnictwo liberalne burzy tylko wolność. Nieprawdziwem jest twierdzenie Suessa, że jezuiccy misjonarze w Chinach dozwolili Chińczykom zachować dawne bóstwa obok krzyża. Upadku moralności we Francji za Napoleonów nie można przypisywać duchowieństwu — choć żaden duchowny nie jest jako taki zabezpieczonym od grzechu, a nawet sam papież, jako człowiek może grzeszyć. Stronnictwa klerykalnego nie można czynić odpowiedzialnem za grzechy poszczególnych księży. Suess przypominał, że byli i Habsburgowie, którzy przeciw Stolicy apostolskiej się zwracali. Cóż to ma wspólnego ze szkołą? Przecież i my katolicy zwrócilibyśmy się przeciw papieżowi, gdyby mając władzę świecką, wiązał się jako świecki panujący z nieprzyjaciółmi naszej ojczyzny.

Czuję i ja, podobnie jak dr. Suess, że stoimi na przełomie, że zbliżamy się ku czasom świeżych walk duchowych. My, katolicy pójdziemy w bój bez namiętności i goryczy, ale z zapałem i energią, jaką w czas budzi miłość ku Bogu i ku własnym dzieciom. Będziemy walczyli bez wypoczynku i zwycięstwo będzie przy nas — bo ufamy nietylko własnym siłom, ale i Temu, który rzekł: *Confidite, ego vici mundum!* (Żywe oklaski z pra-

W sprawie kraj. szkoły lasowej.

Ciemierzyńce dnia 24. marca 1889.

Dziennik Polski w nr. 78. umieścił artykuł: w sprawie reorganizacji krajowej średniej szkoły lasowej we Lwowie, w którym podaje sprawozdanie z posiedzenia ankiety zwołanej w tym celu przez Wydział krajowy. Według sprawozdania tego zgodzić się miała ankieta między innemi na to: „iż nauki, jakie uczniowie w szkole pobierają, nie są dość gruntowne, a praktyczne wykształcenie abiturjentów tej szkoły, jest zupełnie niedostateczne, w skutek czego nie są oni należycie przygotowani do składania egzaminów na samoistnych gospodarzy leśnych, ani też mogą współzawodniczyć z niższą szkołą w Bolechowie, która niższych organów wykonawczych dostarcza“.

Przekonany jestem, że pan sprawozdawca *Dziennika Polskiego* musiał być bardzo źle poinformowany o uchwałach ankiety i ich motywach, gdyż nie chcę mu przypisywać złej woli; trudno bowiem przypuszczać, aby mężowie światli, wchodzący w skład ankiety, między którymi zasiadali kuratorowie i profesorowie szkoły, mogli wydać byłym uczniom tej szkoły, tak srogie świadectwo ubóstwa. Uczynić to zatem musiał sam sprawozdawca na własną rękę, wydając tak smutne świadectwo stukilkudziesięciu uczniom wyszłym z tej szkoły, z których pewnie połowa złożyła egzamina na samoistnych gospodarzy, a wszyscy chyba tylko z bardzo małym wyjątkiem, pracują szczerze i z poświęceniem dla dobra i powodzenia lasów naszych, lasów, które w szkole tej nauczono nas nietylko hodować i pielęgnować ale także i kochać. Szkoła, która uczniów swych wychowała nie tylko na leśników dobrych, gorliwych i sumiennych, ale także zaszczepiła w nich wszelkie cnoty obywatelskie, wiarę w własne siły i miłość dla kraju, nie zasłużyła zaiste na to, aby dziś napiętnowano ją twierdzeniem, że nauki, które wychowańcy jej pobierali, nie były dość gruntowne; aby nas okrzyczano nieukami, nie mogącymi nawet współzawodniczyć

Łatwo też zrozumieć, że kiedy zaproponowano Biesiadeckiemu stanowisko protomedyka we Lwowie, nie wahał się ani chwili rzucić arcywygodną togę profesora w akademii krakowskiej — a ubrać się w mundur urzędnika. Idąc za głosem instynktu politycznego, pragnął złożyć dowód, że i na administracyjnem stanowisku potrafi Polak prześcignąć Przikrilów i Ressigów, czy jak się tam nazywali dawniejsi opiekunowie oficjalni naszego — nawet fizycznego zdrowia...

Ambicji tej poświęcił Biesiadecki praktykę swoją rozległą. Marzeniem jego w ostatnich czasach było zorganizować silnie i rozumnie służbę lekarską w gminach, a ideał ten jego działalności administracyjno-sanitarnej oby był przewodnią myślą tego, który po nim obejmie trudne stanowisko protomedyka.

Do charakterystyki Biesiadeckiego należy i to, że ktokolwiek był u władzy, mającej coś do rozkazania protomedykowi — a więc urzędnikowi namiestnictwa, wiedział i czuł, że w Biesiadeckim ma przed sobą człowieka nauki i samoistnych poglądów — człowieka, nie ulegającego bezwzględnie urokowi ani wyższej władzy hierarchicznej ani towarzyskiej. Wiedziano też o tem bardzo dobrze, i z tem się liczono, ale bo też mu i ufano. Nie był to tylko urzędnik, ale współrządzący.

Koledzy jego, lekarze, wieczną wdzięczność dla niego żywić będą za gorliwe zajęcie się funduszem dla wdów i sierót po lekarzach. W ostatnich kilku latach sprawą tą zajmował się z zapałem, o niej najchętniej mówił, a każda najdrobniejsza zdobycz dla tego funduszu sprawiała mu prawdziwą radość. Tę serdeczną miłość kolegów zawodowych lekarze nasi odpłacali mu miłością, bo kiedy dwa lata temu obchodził jubileusz 25 letni działalności lekarskiej, stawili się we Lwowie prawie wszyscy lekarze polscy i bez żadnej zawiści składali mu hołdy i życzenia.

Gorąco też zajmował się utworzeniem fakultetu medycznego przy uniwersytecie lwowskim, kołatał o to, gdzie mógł, i dożył przynajmniej tyle, że w Wiedniu obiecano dać nam ten fakultet...

jego stałego zamieszkania jest Rzym.

* **Dr. Wilhelm Rosenhek**, adwokat krajowy, przeniósł swoją kancelarję z Dobromila do Śniatyna.

* **Ślub**. Dnia 28. z. m. pobłogosławiony został w kościele św. Jadwigi w Berlinie związek małżeński pomiędzy p. Tytusem Pileckim, artystą-malarzem, a panią Heleną z Sumińskich Thilenius. Aktu ślubnego dopełnił ks. poseł Radziejewski. Parę nowożeńców otaczało liczne grono znajomych i przyjaciół, między nimi także poseł Windthorst.

* **Stan zdrowia Koszutha** budzi obawy, sił widocznie mu ubywa i nie opuszcza już łóżka. Donosi o tem telegram z Turynu.

* **Zmarli** we Lwowie: Aleksander Szeliga Szeliski, były właściciel dóbr w 48 r. życia.

Marja Chruszczewska zmarła we Lwowie w 66 roku życia.

Władysław Żukowski, właściciel dóbr zmarł w majątku swoim Bogdanówce na Wołyniu, w 67 roku życia.

Karol z Łowiec Jahn właściciel dóbr Tłumacza z przyległościami, zmarł w 82 r. życia.

W Warszawie zmarł w 74 r. życia Jan Ludwik baron Oderfeld Bielski pedagog.

W gub. mińskiej w pow. słuckim zmarła w 83 r. życia Helena Rewieńska.

W Gleinie pod Wyrzyskami, w Poznańskiem, hr. Konstanty Bniński, weteran z r. 1831 ozdobiony krzyżem *Virtuti militari* w 78 r. życia.

W Medjolanie zmarł w 76 r. życia znakomity barytonista Feliks Varesi przyjaciel Rossiniego i Verdiego.

W Londynie zmarł w 66 r. życia ks. Buckingham, należący do stronnictwa konserwatywnego Izby wyższej.

Profesor dr. Ludwik Noiré znany pisarz w dziedzinie filozofii zmarł w Moguncji w 60 r. życia.

B. Cecchetti, dyrektor archiwum państwowego w Wenecji, w którym pracował od lat 33, zmarł tamże.

W majątku swym, w Szkocji sir Tomasz Gladstone, starszy brat wodza whigów, w 85 r. życia. Przed laty był on członkiem Izby gmin, lecz i wówczas i do końca życia należał do przeciwnego bratu młodszemu stronnictwa politycznego, t. j. do torysów.

„Woźnica dorożkarski winien żądać ... ścia należytość cennikiem jazd oznaczoną przed rozpoczęciem jazdy: za jazdy do dworców kolei żelaznych, do teatru, do gmachów, w których odbywają się bale, koncerta lub inne widowiska i za jazdy na wyścigi konne. Niestosowanie się do tego przepisu pociąga za sobą dla woźnicy karę aresztu od 1 do 3 dni, lub karę pieniężną od 1 do 5 złr.“

* **Uroczyste otwarcie** gmachu pocztowego w Krakowie odbyło się wczoraj w obecności delegata minsterstwa p. Kocha i dyrektora poczt i telegrafów p. Schiffnera.

* **Translokacja komendy** korpusu X. z Berna Przemyśla nastąpi zwolna i ukończoną zostanie dopiero 1. października br. Z Berna donoszą, iż dzierżawa budynków miejskich, zajmowanych przez komendę X. korpusu, wypowiedzianą została z powyższym terminem. Wojsk do Galicji nowych z wyjątkiem oddziałów artylerji i nieco kawalerji nie przybędzie, zwłaszcza iż dywizja, stojąca w Przemyślu i Jarosławiu, należąca dziś do korpusu krakowskiego, mającego wyjątkowo trzy dywizje, przydzieloną zostanie do korpusu X.

* **Samobójstwo.** Asystent katedry urządzania lasów w instytucie leśnictwa w Petersburgu Andrzej Zawadzki, lat 23 liczący, otruł się cyankiem potasu. Zawadzki przed niedawnym dopiero czasem ukończył instytut i pozostawionym był przy nim dla dalszego wydoskonalenia się w zawodzie leśniczym, jako jeden z najzdolniejszych i najwięcej obiecujących wychowańców. Zagadkowa śmierć ta wielkie w instytucie wywarła wrażenie, przyczyny bowiem samobójstwa nie są wiadome nawet najbliższej rodzinie, z którą mieszkał zmarły.

* **Dalszy ciąg składek** na pomnik śp. Agatona Gillera (w Stanisławowie): Dr. Ostafiński 1 złr., p. Bronisława z Młockich Ilaska z Krakowa 50 złr. za pośrednictwem profesora Słotwińskiego z Sanoka 23 złr., hr. Gołuchowski z Łosiacza 10 złr., za pośrednictwem p. Edmunda Różyckiego z Krakowa 5 złr.

* **Fundacja im. cesarza Franciszka Józefa.** Sprawozdanie Wydziału krajowego z zarządu fundacji stypendyjnej imienia cesarza Franciszka Józefa

SŁOWO
O BOHDANIE ZALESKIM

przez

TEOFILA LENARTOWICZA.

(Ciąg dalszy).

Poemata jak „Pieśń o ziemi naszej“ jak „Potrzeba Zbarazka“, nie będą miały uroku w tłómaczeniach na obce języki, niepodobna bowiem oddać zapachu róży zapachem konwalii; każdy kwiat i każdy dyalekt ma swój sobie właściwy koloryt, którego czar uczuwają najgłębiej ludzie oddzieleni od stron rodzinnych, w braku tej muzyki popadający w nieuleczalną nostalgię; tacy i im podobni, wsłuchując się w każde słowo poetów, znajdą w nich nie dramat, a pulsujące życie całego narodu, a odnowieni, że się tak wyrażę, i orzeźwieni w tych źródłach, nie poddają się zabijającej rozpaczy i nie powtarzają za pacholęciem:

„O! bo ja wszystkim obcy śród mojej ojczyzny
I pragnę uciec od rozpaczy“.

Tak rozwinęła się pieśń ukraińska, natchniona Dumą ludową i opisem Wyprawy Igorowej. Poeci greccy mieli choćby we fragmentach dochowanych Terpandra, Tyrteusza, Stesichora czy Simonidesa. Bohdan po Bojanie wziął tylko wspomnienie, i to rozkrzewiło się i złotym posypało kwiatem.

„Salus reipublicae suprema lex esto“, słowo to Rzymianina, obowiązujące najsilniej każdego z piszących, tem więcej, że na tem polu jedynie się jeszcze bronić możemy, w chwili obecnej obawę niejako rodzi w umyśle, podnoszącym tę niezmiernie ważną kwestję.

Jakto, więc Polska, jedna i jedyna, organizująca stosownie do powolnego dziejów rozwoju plemiona, nad któremi rozciągała władze, rozpłynąć się ma w mglistej jakiejś poetycznej Słowiańszczyźnie? Stracić siebie, swoją niepodległość, swój wolny i swobodny byt? Są to fantazje poetów, sny, które nigdy sprawdzić się nie mogą. Polityczna wasza Nirwana zagraża idei niepodległości narodowej.

W epoce związku Adama z Andrzejem Towiańskim, zapytywano kółko poetów: gdzie to nas wie dziecie? — kochać wroga i walczyć z nim o śmierć albo życie, jest to coś niezrozumiałego; nad legionami nowego św. Maurycego, barbarzyństwo wiecznie górę mieć będzie, nad szeregami kontemplujących, zdenerwowanych usposobieniem ducha do spokoju doskonałego; droga to niebezpieczna ta narodowo-apostolska.

Jeszcze Polska nasza nie zginęła... tak jest, i nie zginie, miejmy nadzieje, walczyła ona i walczyć będzie... Przeciwko komu? czy przeciw Słowianom wolnym? nigdy!

Znaki nieprzyjaciół naszych, to potwory mongolskie, wylęgłe na błotach zawołżańskich Tatarów w bitwie pod Lignicą, ziejące ogniem i dymem, zatruwające powietrze — to szubienice (nie krzyże) bord krzyżackich, zbiegających się z całego świata ku mordowaniu spokojnych ludów. To czarne orły dwugłowe niemieckich cezarów i carów, to końskie ogony a chorągwie z półksiężycami tureckiemi, to Wołochów rozbójnicze bandy, to Szwedów zamorskich inwazje. Ze Słowianami jako Słowianami nigdyśmy nie mieli do walczenia. Byłże Słowianinem Chmielnicki, sojusznik pijany Tatarów i Niemców a Moskali? byłże nim Gonta, Żeleźniak i popy poświęcające noże na mordowanie Polaków? byłże nim rozbójnik Szela? Możnaż zwać imieniem wolnych S ł o w i a n tłumy tak zwanej czerniawy, oburzone nadużyciami pysznych polskich królików (panów), a podburzane tatarską i niemiecką polityką?

Ze Słowiańszczyzną bratnią, ku wspólnej niepodległości i swobodom dążącą, nie walczyliśmy nigdy. — Znaki nasze, z hasłem: za naszą i waszą wolność, białych orłów przeciwko czarnym moskiewsko-niemieckim, powiewały przed szeregami Słowian pędzonych przeciwko nam, i powiewać będą, pokąd nie spełni się myśl legendy prastarej o założeniu Poznania — o zgodzie i poznaniu się obłąkanych na miejscu dzisiejszego, w ohydne kajdany kurfirsztów brandeburgskich okutego wielkopolskiego miasta.

Odrębność plemion nie zginie ani przeszkodzi związkowi pobratymców w przyszłości, który i rosyjski poeta Chomiaków zapowiada, śpiewając:

„Połączą się, zjednają bracia i będą wielcy i wolni, silni jedną myślą i jedną wiarą, przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi“.

Pisarz, którego pomawiano o służbę carom, Wacław Aleksander Maciejowski, zacnie się też wyraża. *)

„W związku człowieka ze światem, w podobieństwie ludzi do ludzi zachodzi pewna różnica, która, wyosabniając jeden naród od drugiego, innym językiem przemawiającego i inne mającego obyczaje, wskazuje mu oraz, że jest człowiekiem zbiorowym swojego rodu, czyli osobnym jest narodem, i że właśnie to, czem się od drugiego różni, szanować i rozwijać powinien, gdyż nie jest mocen przyjąć inną konstytucję polityczną od tej, od jakiej zaród otrzymał od Boga razem z węzłem towarzyskim, który go zrobił narodem.

„Odrębność tę starają się ohydnym gwałtem zacierać narzuconemi prawami i językiem tylko ci, którym idzie o trzody jednolite ludów, k'woli panowania nad światem, o których zresztą jako potędze zjednoczonej, wolnej, dotąd zaledwie poezja i kilku historyków jak Szafarzyk, Lelewel, Palacki zawieszczają“.

---

*) (Hist. prawodawstwo. słowiańskich.)

Rdzeń prawdy słowiańskiej tkwi w Polsce, powiada Bohdan Zaleski — jarzy się odeń troistą pięknością: wiarą, wolnością i pieśnią, i da Bóg, bez p r z y m u s u i gwałtu, że Słowiańszczyzna się spolszczy, a ludzkość stanie katolicką; że do tego przyjdzie na dobrych drogach, a nie na fałszywych, bo

Niechaj szepcą jezuity,
Niechaj wrzeszczą demagogi,
Ze cel dobry, choć ukryty
Odwszetecznia podłe drogi (Z. Krasiński.)

— podłe zawsze podłemi zostaną, i do dobrego nie doprowadzą celu.

Ostatnia pieśń Bohdana niedokończona, to podobno Gopło, pielgrzymka Słowian do grobu świętych Cyryla i Metodego, napisana w r. 1863, tysiącletniej rocznicy przyjęcia wiary przez Polaków, a przerwana wybuchem powstania.

Poezja ludowa Dumy o pieśni gminnej nie zabawia — z b a w i a.

Z drogi do Jerozolimy Juljusz Słowacki wyniósł „Ojca Zadżumionych“; Bohdan sielankę P r z e n a j ś w i ę t s z a R o d z i n a na kilka lat przed podróżą swoją napisał.

Grób Zawiciela, widok wzgórza, na którym podniosła się w głębokości niebios natura człowieka, widok oliwnego ogrodu, w którym przyjaciele a uczniowie mistrza zasnęli snem głębokim w chwili, gdy ten przyjmował kielich męczarni, nie poruszyły religijnego uczucia w sercu Juljusza; samotny, przebolały do głębi duszy, wątpliwości swoich u grobu Zbawiciela nie zostawił, i wątpiący o wszystkiem zdaje nie mieć innego słowa nad to, jakie się odbiło z wyżyn Golgoty:

„Eloi! Eloi! lama sabachtani“. —

Uczucia jego polskie identyfikują się z uczuciami ojca, któremu wszystkie dzieci morowe pozabijało powietrze, — Jobowy to krzyk, ale Joba, którego Bóg najzupełniej opuścił i bez miłosierdzia patrzy na męczarnie sprawiedliwego:

„O bądźże mi ty pochwalony Alla!
Szumem pożaru, co miasto zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
Zarazą, która dzieci mi wytraca;
I bierze syny z łona rodzicielki;
O Allach! Akbar Allach! jesteś wielki.“

Rozpacz to bez przytułku, bez celu, bez granic, a poeta w nią zapadający znać, że nie za cały naród mówi, w połączeniu bowiem z wielkością milionów, na prawie egzystencji oparty, znalazłby słowo wyjęte z wieszczych zobowiązań.

Są męki i bluźnierstwa, i ryk rozdartego serca, są ciemne przepaści, w które zapada wielkie serce, ale te węże syczące ukrywają się najtajemniej, i choćby rozdarcie szaty, która je pokrywa, sprowadzić miało cierpiącemu wieńce nie tylko współczesnych, ale połowy gwiazd niebieskich, odkrywać ich nie powinien; są to zgrzyty z otchłani, którym w utworach poetycznych sumienie na zewnątrz wydobywać się nie dozwala.

Przepyszny jest poemat Juljusza, najartystyczniej przeprowadzony, ale i grzeszny nieuszanowaniem własności cierpień, których znać nikt nie powinien, i otwartym zerwaniem nici ze stwórcą. Może on błąd swój pragnął naprawić w innych produkcjach, ale jeśli tę właśnie uznają za najznakomitszą w historji jego natchnień, autor z krzykiem szyderstwa.

O Allach! Akbar Allach! jesteś wielki —

do nieśmiertelności przejdzie.

Poeci urągający stwórcy są to marodery życia; gdybyż przynajmniej udało im się porządek wieczny odmienić i przekonać Wodza światów, że ich układ byłby doskonałym — ale nie.

(C. d. n.)

OFICER MARYNARKI.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO

przez

PIOTRA MAËL'A.

(Ciąg dalszy).

Zakrył twarz obiema rękami i tak jak w Cannes, w salonie willi d'Erin, płakał, lecz tym razem łzami boleści.

Powóz jechał zacienioną aleją; przechodnie rzadko snuli się tu w obecnej porze, nikt więc nie widział tej męskiej rozpaczy.

Kergorn tymczasem próbował naprawić swoją niezręczność.

— Masz tobie! A to, widzę, piękna sprawa! Proszę cię, mój Frydryku, więc ty zawsze jesteś takim samym, jak dawniej pesymistą, desperatem? Cóż to znaczy, czy panna d'Illiers tańczy, czy nie? Alboż to przeszkadza uczuciom? Widzisz, mój kochany, popycha ją do tego samo jej stanowisko. Ranga tego wymaga. Gdy się żeni z panną milionową, trzeba ją brać razem z jej wadami i przymiotami. A potem, te jej wady — to tylko gadanina ludzka. Taki brylant, oprawny w złoto, może mieć blask trochę rażący. Podług mnie, jeden to przymiot więcej. Lubię w kobiecie trochę kokieterji.

Wysilał się na tłómaczenie, starał się zatrzeć przykre wrażenie, jakie wywołał swą paplaniną.

Ale Frydryk nie słuchał go wcale.

Kergorn wreszcie kończył z właściwym sobie zapałem:

— Doprawdy, mój kochany, jesteś zanadto drażliwy... Przedewszystkiem panna ta nie jest jeszcze twoją żoną. Będzie dosyć czasu na zazdrość i wymagania, kiedy nią zostanie.

Biedny Kergorn! za każdem słowem plątał się coraz więcej. Starał się naprawić swą niezręczność, a drażnił tylko zabliźnione rany serca przyjaciela.

Plemon gwałtownym wysiłkiem opanował wreszcie swą boleść i ściskając rękę towarzysza, rzekł mu:

— Nie tłómacz się napróżno, Pawle. Co się stało, to się stało. Był to zbyt piękny sen, aby mógł się urzeczywistnić. Moja wina, że przywiązywałem do niego całą wiarę. Teraz jasnem już jest dla mnie milczenie Blanki i jej matki. Musiało się to skończyc, a czy prędzej, czy później, to już wszystko jedno!

— Co się ma skończyć? — wykrzyknął gwałtownie Kergorn. — Twoje małżeństwo? Na honor! Nie darowałbym sobie do końca życia, gdybym ja miał być przyczyną tego wszystkiego. Ależ to do niczego niepodobne! Jesteś prawdziwy gorączka i szaleniec, żeby w ten sposób tłómaczyć sobie moje słowa. Doprawdy, że za wiele do nich wagi przywiązujesz. Panna d'Illiers jest sobie młodą panienką światową, która może cię kochać całem sercem, a swoją drogą nie mieć doświadczenia kobiety dojrzałej. Kiedy się już pobierzecie, gdy uroczyste t a k zostanie wymówione, wtedy porzuci ona z pewnością zabawy i bale tak, jak ty musisz porzucić torpedy i pancerniki. Bo przecież rozumiesz to dobrze, że nie można być dobrym marynarzem, a raczej, chcę powiedzieć, prawdziwie odważnym marynarzem, kiedy się odpływa od żony, którą się ubóstwia, która ciebie ubóstwia... Wrzuć więc te wszystkie czarne myśli w wodę, bo one są prawdziwym trupem, któremu trzeba przywiązać ciężar do nóg, aby poszedł na dno...

Ah! te pociechy poczciwego chłopca były gorącym ołowiem dla zbolałego serca Frydryka. Są bowiem czasem prawdziwi przyjaciele, których dłoń jest tak ciężka, że gniotą palce, ściskając rękę i drażnią do krwi, chcąc opatrzyć gojącą się ranę. Kergorn, pomimo całej swej poczciwości, należał do tego rodzaju przyjaciół.

Frydryk wkrótce pożegnał się z towarzyszem. Pragnął samotności. Łzy, wstrzymywane siłą woli, dławiły go. Za powrotem do domu nic nie jadł i coprędzej zamknął się w swoim pokoju.

Pani Plemon, która, jak w otwartej księdze umiała czytać w twarzy syna, nie drażniła go zapytaniami. Przyszła tylko cichutko, na palcach, przyłożyć ucho do drzwi, przez które dochodziły przytłumione łkania jej dziecka; chciała przyjść mu z pociechą dopiero wtedy, gdy rozpacz stałaby się zbyt ciężką do zniesienia.

Ale Frydryk okazał się silnym. Wychylił do dna kielich goryczy. Powoli przyszło uspokojenie. Zrozumiał, że zbyt wziął do serca gadaninę Kergorna i że sam był przyczyną obecnych swoich tortur, przyoblekając w ciało postrachy wyobraźni.

Zwyciężony trudem i łzami, usnął na kilka godzin, lecz w zbolałym jego umyśle stawał nieustannie obraz Blanki, strojnej balowo, promiennej wdziękiem i młodością, wirującej w takt muzyki w ramionach tancerzy, oszołomionych tym wyborem.

Noc jest dobroczynnem bóstwem, które zlewa balsam na najcięższe rany.

Frydryk spał. Czy sen był litościwszym dla niego od rzeczywistości? Czy marzenia przyniosły go na przylądek Croisette, między agawy i kaktusy, do bogatej sali, przepełnionej gorącemi wyziewami? Czy widział anioła w postaci kobiety? Czy żył choć chwilę upajającym czarem pierwszego wyznania bez słów?

Rano, po przebudzeniu, powrót do rzeczywistości wstrząsnął nim do głębi, czuł się jednak dziś już znacznie silniejszym. A właśnie list z ministerjum powiadamiał go, że powracają mu nakoniec wolność, czyli komendę nad torpedowcem „29“ w przystani Tulonu. Przedtem jednak miał jeszcze przyjść po ostatnie rozkazy na ulicę Royale. List nie mówił nic więcej, a pochodził z głównego sztabu, od kogoś, co był w dobrych stosunkach z ministrem, a widocznie pełen przyjaźni dla Frydryka. Pewne przemilczenia w tym liście zdradzały nawet jakąś szczęśliwą wiadomość. Czego od niego chcieć mogli?

Jeszcze trzy dni temu byłby go uszczęśliwił rozkaz powrotu nad morze Śródziemne, teraz wydawał mu się on czystą ironią. Przyjął go jednak ze stoicyzmem. Godność jego wymagała, aby raz nareszcie położył koniec wszelkim niepewnościom, a ponieważ wracał do Tulonu, więc postanowił pojechać prosto do Cannes i zwrócić Blance zupełną wolność.

Półsłówka w liście z ministerjum zostały jeszcze bardziej podkreślone półsłówkami ustnemi. Niezmiernie zaintrygowany ten młody porucznik, starał się dowiedzieć czegoś bliższego. Zdołał jednak tylko tyle wyciągnąć, że w krótkim czasie otrzyma dowody względów, jakie umiał pozyskać u osób wysoko postawionych.

Nakoniec trzeba się było zrezygnować na pożegnanie z matką, równie przykre, jak niegdyś w Cannes. Pani Plemon wracała do Bretanii. Nie zachęcała, ani też ganiła zamiarów syna; złożyła tylko na jego czole pocałunek, mówiąc:

— Tak ufam ci Frydryku, że cokolwiek postanowisz, z góry na wszystko się zgadzam. Za całe bogactwo mamy tylko naszą godność osobistą, a wiem, że ty w każdej chwili postawisz wyżej honor nad zadowolenie choćby najdroższych uczuć.

XVI.

Plemon był już od tygodnia w Tulonie a jednak nie widział się wcale z paniami d'Illiers. Przez ten czas przecierpiał tysiące bolów. Natychmiast za przyjazdem, bez straty czasu, dano mu do wypicia gorzki kielich rozczarowania. „Życzliwi“ nie oszczędzili mu najmniejszej plotki i żadnego z kłamstw, wymyślonych z piekielną złośliwością; każdy nierozważny krok Blanki był powiększony i przekręcony. Ogólnie posądzano ją o romans z Leopoldem Guidal.

Biedny Frydryk cierpiał bardzo, chciał więc skończyć coprędzej i napisał do pani d'Illiers krótki list, oznajmiający jego przybycie. Oczekiwano go więc w willi d'Erin, a nieodstępny Leopold Guidal znajdował się tam także.

Sekretarz ministerjum wygrywał obecnie ostatnie atuty. Chodziło teraz już tylko o to, aby wywołać scenę zerwania i ostatecznie narzucić się Blance za męża.

Rzeczy te uchodzą z łatwością w owym świecie. Robią się codziennie te małe podłości, z jawnym lub skrytym współudziałem kółka towarzyskiego. Potem, gdy sieć intryg się odkrywa, zwracają się przeciw temu, który przebrał miarę. Mimo to, złe jest już faktem spełnionym.

Frydryk został przyjęty przez panią d'Illiers nadzwyczaj serdecznie. Młody człowiek zrozumiał zaraz, że ta zbyt słaba matka nie była dla niego nieżyczliwą. Uważała go jeszcze ciągle za przyszłego zięcia, za narzeczonego córki.

Blankę zakłopotało na chwilę jego przybycie. Niemniej jednak podeszła ku niemu z uśmiechem na ustach. Ujrzawszy ją w całym blasku wzrastającej z dniem każdym piękności, Frydryk czuł, że serce jego słabnie. Czy będzie miał dosyć siły, aby żądać wyjaśnień, które rozstrzygną o jego losie? Aby to uczynić, musiał przywołać całą godność osobistą i zadać gwałt własnym uczuciom. Jest to zawsze błąd, gdy się ktoś przygotuje do przewidywanych wrażeń, bo to odbiera możność prawdziwego ocenienia chwili obecnej i nie pozwala zachować miary w sądzie i słowach.

To właśnie spotkało Frydryka.

(C. d. n.)

9)

SŁOWO O BOHDANIE ZALESKIM

przez

TEOFILA LENARTOWICZA.

(Ciąg dalszy).

Wielki poeta Juliusz z połamanem sercem, z podartemi skrzydłami, siebie tylko i siebie widzący, łamiący się ze wszystkiemi cieniami zachodzącemi na siebie, rewolucjonista nie uznający żadnej szkoły i uczeń wszystkich, w grobie Chrystusa znalazł to, co niewiasty święte — pustkę, a nie widząc anioła, któryby mu dobrą nowinę zwieścił, zabolał nad nicością, rozkochał się we własnym bólu i do najwyższej godności poetycznej zwątpienie swoje podniósł.

Fakt rzeczywisty, który podaje jako powód rozżalenia, to zwykła maska poetów. Nie — Juliusza podróż do Jerozolimy była to podróż chciwego wrażeń młodzieńca umysłu najszlachetniejszego, patrjotyzmu, czułości niewypowiedzianej, ale artysty przedewszystkiem. I nie odbył jej nadaremnie. Gorąca atmosfera Wschodu, minarety, palmy, wielbłądy, pustynne karawany i namioty, pod które zagląda anioł śmierci, wszystko to zdobył na koloryt swojej powieści, a korzystając z opowiadanego zdarzenia, obleczony w burnus ojca zadżumionych, ranę swoją odkrył i słowo niewypowiedzianej a palącej, jak żadnemu z poetów się nie udało, ironii rzucił o! Ałłach, Akbar, Ałłach, jesteś wielki! i w tem jednem słowie: jesteś wielki! zawarł wszystkie męczarnie i wszystkie przekleństwa... słabych.

Bohdanowi w potopie zbrodni, rozpaczy, szaleństwa rozkładającego się ogólno-europejskiego społeczeństwa, hydrofobii mordujących nas Niemców i carów moskiewskich, snać odpowiedział Krzyż: „Ramiona zarzucaj na mnie, jam jest chorągwią polską, ja wszystkiemi buńczukami wodzów twoich, ja masztem twojego okrętu, ja słupem drożnym i słupem stepowym, około którego rozpoczną się nowe budowania, ja racją bytu, za mną! za mną!...“

Spokój religijny Bohdana, to nie ów Cevy albo księdza Hołowińskiego, których opisy nie robią wrażenia — obrazki Przenajświętszej Rodziny żywsze są, piękniejsze od wszystkich Cevy czy Klopstoka, wędrówka ta Marji a Józefa za dzieciątkiem nauczającem, to wędrówka ludu słowiańskiego za prawdą, cicha, spokojna a pełna miłości, z którą znalezioną do stołu zasiadają. Figury nie dość mają reliewu, zlewają się, schodzą jak światła jednej barwy, pieśń to *unisono*, a poważna jak gregorjańskie kościelne śpiewy.

Do grobu Zbawiciela on nie szedł jako poeta, szedł jako prostaczek słowiański; on tam niósł nie fantazję artysty, a całą przyrodę swoich stepów i całą prostotę chat i futorów ukraińskich — jego obrazki zdają się być malowane przez pryzmat łez rozrzewnienia, on nie wątpi o przyszłości, nie śpiewa grobu, a młodziutkie życie Chrystusa niby epokę poczynania się a nie końca węzłów społecznych, a wiara ta w nim gra i faluje błogą pieśnią łamania się chleba i niewymownej piękności słowa... Nie polityczna to pieśń towarzyszów rycerskich, a rolnych, nie błyskotliwa ani błyskawicowa, nie świetna, a święta.

Poemat to małej objętości, ależ i Hezjoda pozostałość poetyczna cała, to kilkadziesiąt kartek: Prace i dnie, Teogonia — Tarcza Herkulesa, Agon i drobne ułamki, a przecie równej Homerowej sławy używa.

O poematach jak Duma złota — i innych niepokończonych, to samo co i o skończonych daje się powiedzieć, każda bowiem część w tego rodzaju utworach, jak drogi kamień acz nieoprawny, ma swoją realną wartość. Otóż epizody pozostałe Dumy złotej, to skarb prawdziwy opisów, i słowa, które jakbądź w jeden rytm się układa i dramatycznością przedmiotu nie zatrzymuje, monotonnem nie staje się, uweselając serce coraz nowem oryginalnem rodzimem wyrażeniem czy zwrotem; różaniec to wspomnień dziejowych, święty, nie dla kochanków nieba, a tej ziemi ojczystej, w takichże samych błękitnych mgłach ukrytej.

Bohdan śpiewa Ukrainę wieczną, którą spodziewa się w niebie oglądać. „O Boże, daj mi Ukrainę w niebie“.

Tak Swedenborg do dzieciństwa posuwa swoją wymarzoną, wieczną Jerozolimę ze szkołami, pałacami niebieskiemi, wojskiem, urzędami, w której to organizacji przyszłego życia przypominają się instytucje i obyczaje jego ojczyzny z nad Swei.

Pieśni gminne i hymny religijne Bohdana, a mianowicie te ostatnie, wiążą niby wstęgą tęczową cały wieniec Bohdanowej muzy.

Kościelnemi one jak Karpińskiego albo Grochowskiego nie staną się, jako zbyt muzykalne i często nawskróś teologiczne, a więc mniej przystępne umysłowi prostego ludu.

Wiersze do nut błagalnych ludowych te są najodpowiedniejsze, które jak pieśń gminna powstają w jednej chwili, wydane z duszy poruszonej głęboko, której o kunszcie poetycznym ani się marzyło — w modlitwach takich muzyka stanowi główną wartość pieśni, jęk duszy przed Bogiem cały zbiera się w tonach, wyrażających to czego pragniemy, a co tylko bardzo słabo słowo wlokące się za muzyką objaśnia. Łacińskie hymny kościelne, arcydzieła w swoim rodzaju jak „Stabat mater“ Jakopona z Todi, jak „Dies irae“ Innocentego III., jak „Veni Creator“, albo owa św. Bonawentury:

Ave coeleste lilium,
Ave rosa speciosa,
Ave mater humilium,
Superis imperiosa.
Dei latis triclinium,
Hac in vale lacrimarum
Da robur, fit auxilium,
O excusatrix culparum!

śpiewane są jako należące do rytuału. Cobądź Hymny Bohdana pozostaną obok najpiękniejszych w księgach rozmyślań pobożnych.

W melodyjne strofy Bohdana czasami miesza się niedowierzanie, żal niesłuszny, że nie ma komu śpiewać, niema przed kim rozkładać skarbów swojej bogatej imaginacji — to jedno niesłuszne, bo kto miał takiego słuchacza jak Mickiewicz i takiego przyjaciela i brata jak Józef Zaleski, nie mówiąc o całej emigracji, w tego ustach strofa:

Kochać i śpiewać byłoby błogo,
W cudzej tu pastce śniłbym jak w domu,
Kochać, o kochać! i nie ma kogo,
Śpiewać i śpiewać! i nie ma komu.

zakrawa na kaprys narodowego pieszczocha.

Pod względem otoczenia owszem był on najszczęśliwszym z poetów. Żona najprzywiązańsza, koledzy, przyjaciele: Józef Majer, ach ten Józef Zaleski, święty prawdziwie mąż, którego dość przypomnieć, żeby na usta tęskniące za szerszem kołem, palec milczenia położyć, żołnierz napoleoński, raniony w bitwie pod Paryżem, surowy dla siebie, pobłażający dla drugich, rolnik w kraju, na wychodźtwie oddany cały na usługi potrzebujących braci, spokojny, nigdy się nie unoszący, bez najmniejszego cienia pychy, gotowy w każdej chwili do najwyższych poświęceń, rygorysta w wypełnianiu przepisów wiary, poeta sercem i słowem, nieznany, bo nigdy utworów swoich nie drukował — słowiańskim obyczajem pobratymstwo Bohdanowi ofiarował, i w uczuciu tem pozostał do zgonu; prawdziwy pielgrzym ruski do Ziemi świętej, powierzchownością przypominający figury świętych na obrazach Kranacha albo Łukasza z Lejdy — wyraz jego oblicza miał tak coś pociągającego, tak wzbudzającego zaufanie, że się temu oprzeć było niepodobna. Patrząc na Józefa, zdawało się, że się widzi jednego z owych średniowiecznych pustelników, żyjących niewiadomo czem, Bożą manną, a obfitujących we wszystkie dobrodziejstwa Boże, prawdziwy przełożony, za którym nie iść jestto przeciwić się dobrym natchnieniom.

Wychowany w szkole ciężkich doświadczeń, wspomnieniami sięgał do rzezi pragskiej, który to czas dzieciństwa swojego i ów dzień barbarzyńcy Suworowa jako świadek naoczny pięknym opisał wierszem, z którego dowiadujemy się: że razem z mamką z palącego się domu uciekając, przytułek znalazł i opiekę w chacie ubogiego nadwiślańskiego rybaka, że wuj jego zginął na okopach Pragi, a ubodzy ludzie okazywali dziecinie najczulszą troskliwość aż do zgłoszenia się rodziny, która się o nim szczęśliwym trafem dowiedziała.

(Dok. nast.)

OFICER MARYNARKI.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO

przez

PIOTRA MAËL'A.

(Ciąg dalszy).

Chwilowa słabość minęła natychmiast. Zarazem jednak objawiło się gwałtowne pragnienie jakiejś zmiany otoczenia, dalekiej podróży, nowych wrażeń, któreby zatarły obecne zniechęcenie do życia. Ach! gdybyż mu wolno było opuścić Tulon, przyłączyć się do tych szczęśliwych marynarzy, którzy popłynęli na odległe morza — szukać pod gorącem niebem Afryki i Azji śmierci lub chwały!

W tej chwili ktoś zastukał do drzwi. Był to chłopiec hotelowy, który wręczył mu zapieczętowaną kopertę.

Plemon otworzył ją ze wzruszeniem. Co zawierał ten papier z pieczęcią bióra marynarki?

Admirał wzywał go bezzwłocznie, aby mu zakomunikować nowe rozporządzenia.

Było jeszcze dość wcześnie, więc Frydryk natychmiast udał się do arsenału.

Tym razem wzruszenie nie omyliło go. Przeczucie raz jeszcze powiedziało prawdę.

Minister marynarki żądał, aby „29-ty" wraz z swoją załogą przyłączył się do torpedowców, które miały tworzyć eskardę na morzu Chińskiem; wszystko to na żądanie admirała Courbeta, głównego wodza.

Życzenie, natchnione wielką boleścią, zostało wysłuchane! Plemon odjeżdżał daleko, po chwałę... lub śmierć. Młody porucznik uczuł się nagle takim, jakim bywał zawsze, to jest nieustraszonym marynarzem, Francuzem bez fanfaronady, lecz i bez obawy. Przyjął teraz z rezygnacją to, czego przed chwilą pragnął gorąco.

Noc miał już spokojniejszą. Depeszą uwiadomił matkę o bliskim wyjeździe.

Następnego ranka toczył jeszcze sam z sobą gwałtowną walkę. Czy miał także zawiadomić panią i pannę d'Illiers? Zerwanie nie było jeszcze zupełnie formalnem, a oprócz tego pozostała do rozstrzygnięcia kwestja pojedynku z Leopoldem Guidal.

Uprzedził o tem zajściu otwarcie prefekta marynarki i ten dał na spotkanie potrzebne pozwolenie.

Wahanie zakończyło się męskiem postanowieniem. W dwóch osobnych listach młody porucznik zawiadomił o wszystkiem panie d'Illiers. Było to pożegnanie, którego wytworna grzeczność nie mogła pokryć bezmiernej rozpaczy złamanego serca. Do Blanki zwłaszcza napisał Frydryk kilka słów, w których po raz ostatni wyraził całą głębię swej miłości.

Gdy listy były już napisane i zamknięte. Plemon zawahał się raz jeszcze. Czy ma je posłać? W tej niepewności zastał go znów chłopiec hotelowy, przybywający z oznajmieniem, że jakaś pani oczekuje go na dole w sali.

Frydryk nie wypił jeszcze do dna kielicha goryczy.

Czuł, że w oczach mu pociemniało, gdy znalazł się w obecności pani d'Illiers.

Przyszła tu, jak kobieta światowa, ale jeszcze więcej jak matka, odczuwająca cierpienie swego dziecka.

Widziała córkę wybuchającą co chwila łkaniem, a stanowczo odmawiającą wszelkiego tłómaczenia. Guidal jednakże nie potrafił utrzymać tajemnicy. Bardzo zręczna w podobnych okolicznościach pani d'Illiers, umiała wyciągnąć z Paryżanina szczegóły całego zajścia.

Dowiedziawszy się wszystkiego, nie dbając co świat powie o tym kroku, postanowiła wyjaśnić, jeżeli to jeszcze możebnem, to fatalne nieporozumienie. Oto, dlaczego, nie uprzedzając nikogo, udała się prosto do Tulonu.

Najpierw mówiła jako kobieta ciężko obrażona, wyrzucając Frydrykowi, że jego zachowanie krzywdzi opinię jej córki i kładąc szczególniejszy nacisk na to, że Blanka nie ma brata lub ojca, którzyby mogli stanąć w obronie jej honoru.

Frydryk nie mógł dłużej znieść tych wymówek.

— Pani! — wykrzyknął z powściąganą gwałtownością. — A więc wy macie prawo uważać się za obrażone? A mnie, zapomnianemu, opuszczonemu, nie wolno się skarzyć? Co zaś do braku naturalnego obrońcy, mogę powiedzieć, że znalazł się już ktoś, przybierający rolę, która przystoi tylko synowi lub bratu. Czy był do tego upoważniony, nie do mnie o tem sądzić należy.

Pani d'Illiers nie panowała już nad sobą.

— Ach! — zawołała żywo. — Masz więc pan tak złą opinię o mnie i o Blance i przypuszczasz. że prosiłyśmy kogokolwiekbądź o opiekę i protekcje? Byłoby to ubliżeniem dla naszej osobistej godności, do której, panie Frydryku, nietylko ty masz prawo.

Frydryk zrozumiał, że za daleko się posunął.

— Pani — rzekł smutno — Bóg wie, że nie miałem zamiaru jej obrazić... Wierz mi pani, że nie pragnąłem tego zerwania. Krwią z pod serca zapłaciłbym za szczęście pozyskania Blan... panny d'Illiers. Życie moje będzie teraz bez celu. Sama zerwała te więzy, a to dowodzi, że potrafi się pocieszyć, podczas gdy ja...

Nie mógł mówić więcej; łkanie głos mu stłumiło. Wysiłkiem woli powstrzymał łzy w oczach.

— Ach! — rzekła z przykrością pani d'Illiers — to tylko pan uważasz to zerwanie za rzecz konieczną. Ja przyszłam tu, aby powrócić ci utracone szczęście. Nie odpychaj go pan... Powtarzam, że Blanka pana kocha, że jest godną ciebie, jak ty jesteś godzien jej. Odstąp tylko od tego okrutnego pojedynku, a wszystko będzie zapomniane. Błagam cię o to, jako matka, w imieniu Blanki, w imieniu twojej matki, Frydryku. Czyż odmówisz mej prośbie?..

Był wzruszony do głębi duszy. Pani d'Illiers wyciągnęła do niego ręce, pochwycił je skwapliwie.

— A więc niech się stanie według życzenia pani! — wykrzyknął. — Jestem gotów zrzec się tego spotkania, które was przestrasza. Uprzedźcie pana Guidal, że uwalniam go od wszelkich formalności i tłómaczeń. Ale nie przypuszczaj pani, abyś mogła powrócić mi szczęście. Moje serce zbyt jest zakrwawione, aby rana mogła się zabliźnić. A ponieważ pani mówisz do mnie jak matka, więc odpowiem, że jako matka, nie powinnaś tego mówić. Teraz musisz przyjąć zięcia. którego ci na rzuciło nieszczęście. Niech Blanka zostanie żoną pana Guidal. Jeżeli z początku cierpieć będzie, zapomni wkrótce, a ja wiecznie ją będę kochał, wiecznie opłakiwał. Oto moje ostatnie słowo pożegnania! Zresztą już zapóźno.... Pozostaje mi tylko tyle czasu, abym mógł pojechać i uściskać ostatni raz matkę, zanim opuszczę Francję....

— Ah! — wykrzyknęła przestraszona pani d'Illiers. — Pan opuszczasz Francję, gdzie jedziesz? Wielki Boże!

Uśmiechnął się z rozdzierającym serce wyrazem.

— Czytaj pani! — rzekł i podał jej list z zarządu marynarki. — Jadę na Wschód, tam, gdzie okrywa się chwałą, lecz i umiera także.... Żegnaj pani i zanieś moje pożegnanie tej, którą uwielbiam. Powiedz jej, że wraz z ostatniem westchnieniem imię Blanka będzie w mojem sercu i na ustach....

Wdowa nie mogła znieść tego dłużej. Ona z kolei schwyciła ręce marynarza i poruszeniem gwałtownem przyciągnęła jego głowę, składając pocałunek na czole.

— Jak matka, żegnam cię, Frydryku, za siebie, a także i za nią. Ale cokolwiek myślisz, nie jest to jeszcze słowo ostateczne.... Zobaczymy się jeszcze... Och! moje dziecko! moja biedna córka!....

. . . .

Załzawionemi oczyma spoglądał młody marynarz ze swego okna za oddalającą się matką ukochanej.

I on pojedzie daleko, oddali się wkrótce do ziemi wiecznych róż?

Sen cudnych marzeńginął przed nim na zawsze.

Koniec części pierwszej.

(C. d. n.)

SŁOWO
O BOHDANIE ZALESKIM

przez

TEOFILA LENARTOWICZA.

(Dokończenie)

W r. 1809 wstąpił Józef w szeregi wojskowe, a w r. 1814 widzimy go już porucznikiem i kawalerem legii honorowej; z powrotem szczątków armii polskiej, służył w pułku gwardji konnej pod dowództwem jenerała Kurnatowskiego, po niejakim zaś czasie już jako gospodarz poznaje u krewnej swojej Jasieńskiej młodziutkiego Bohdana, zajechawszy tam w towarzystwie siostry swojej, Felicji Zaleskiej, później zamężnej Iwanowskiej, matki śp. Dyonizy Poniatowskiej. A jakąż to radością przepełniło się serce Józefa, słysząc z ust młodzieniaszka pierwszy jego hymn ku czci Tadeusza Kościuszki, dla którego osobliwszą Józef przepełniony był cześcią. Dusza dziecięcia otworzyła się, wypowiedziała z miłością dla kmiecego ludu, którego Tadeusz był wyobrazicielem, jakże więc podobnej nie pokochać? Ludowi ubogiemu obowiązany ocalenie życia, wśród ludu wzrosły, Józef poznaje podobnego sobie sierotkę — szlachcic szlachcica, miłującego rycerstwo ze wszystkiemi cechami równości gromadzkiej, szczerości, wiary prostodusznej i tej rzewności serca, jaką daje natura nieprzepalona niskiemi namiętnościami, pokochał więc całą duszą Józef Józefa, sierota sierotę, poeta poetę, późniejszy raz jeszcze żołnierz żołnierza, i krewny daleki krewniaka.

Praktyczny więcej, im mniej rozrzutny w świecie wyobraźni, Józef, żołnierz, wierny dyscyplinie wojskowej, a niejako wciąż czujący się żołnierzem:

Ojczyzna stanem naszym dozgonnym. Rodacy!
Toć ćwiczym się ustawnie w obowiązkach stanu,
I na chłodzie i głodzie, bez chaty, bez płacy,
Jako umiemy, służym Ojczyźnie i Panu!

jakim był w wojsku i w obywatelstwie — takim i w kościele; do takiego życia wdrożył i pociągnął nie dysputując a kochając najszczerzej Bohdana.

Jednej wiary i jednej pracy, ci bliźnięta duchowi snać dobrze pojmowali myśl poety:

Doch von der grossen Schuld der Zeiten
Minuten, Tage, Jahre streicht...

W epoce zniechęcenia, łamania się duchem wychodźtwa, towarzystwo to dla śpiewaka wypadło opatrznościowo.

Trudno dziś sobie i niepodobna wyobrazić wrzątku partyj emigracyjnych, inwektyw krańcowych, jakich przykład powtórzył się w piśmiennictwie perjodycznem warszawskiem po roku 1863, pojedynków nieustających i nieustającego przeżuwania imion obwinianych o zdradę.

W Avignon Francuzi pokazywali piszącemu groby oficerów byłej armii polskiej, żołnierzy jednej chorągwi, pełnych życia i najpiękniejszych nadziei, poległych w pojedynkach o opinie demokratyczne czy arystokratyczne — pisali wszyscy, a z tego morza broszur i ulotnych pisemek kilka imion wystaje. Słabość, niemoc posługuje się bluźnierstwem; posiadający prawdziwą siłę działania nie bluźnią, zbyt czas im drogi, żeby go na próżne roztrwaniać słowa; była to więc epoka rozstroju, słabości, która wierzące niepokoiła umysły, a w zdrowych, pracujących budziła chęć oddziaływania własnym przykładem.

Stan taki w społeczeństwie, to brak geniuszu — geniusz w owym czasie znajdował się pomiędzy nami, a był nim Adam Mickiewicz, i ten powiedział: zaczynajmy od siebie, organizujmy się w społeczeństwo religijne na wychodźtwie, idźmy na rozmyślania miłościwe, jak służyć ojczyźnie naszej, patrzącej na nas i budującej się czy gorszącej wedle przykładu, jaki jej dajemy — i poszli... ha! któż wie, czy nie rozpłoną ogniem zdolnym nową wywołać krucjatę ku oswobodzeniu nie grobu, jak się ironicznie później Lamartine o Polsce wyraził, a kolebki odradzającego się ducha Polski a przezeń całej Słowiańszczyzny!

Mickiewicz pomówiony został o jezuityzm. Skromna, cicha gwiazda Bohdana, na którą nie zwracano uwagi, ochroniła go również jak i Józefa Jańskiego, Goreckiego i innych od niezmiernej złośliwości współziomków.

Bohdan i Józef pozostali zdaleka od nowej drogi apostolskiej Adama, o której z zadziwieniem dowiedzieli się z wiersza cudnej piękności arcypoety:

Słowiku mój, a leć a piej,
Na pożegnanie piej
Wylanym łzom, prześnionym snom,
Skończonej piosnce mej.

O Towianizmie powiedziano bardzo wiele i bardzo mało; są tam pojęcia Pitagorejskie, są Platońskie, sny piękne, i mistycyzm szwedzki, i Buddystów wyobrażenia o przejściach dusz, jest wszystko, co wedle wyrażenia Zygmunta Krasińskiego, błąkało się po owdowiałych piersiach ludzkości, ale jest i to, czego w dzisiejszych owdowiałych nie ma: miłość najidealniejsza chrześciańska.

Dogmat tej drużyny nie skrystalizowany, nie uświęcony, podległy nieustającej odmianie, odpowiednio do natchnień, często zwodniczych, i ostatecznie nie stawiający nic nowego. Rewelatorowie, rozmaicie oceniani, ale gotowość do poświęcenia (ofiary), ale konieczność egzystencji Polski do ideału podniesiona, ale braterstwo najrzeczywistsze i obyczaj uczciwy niezaprzeczone; niechże ich więc sądzi, kto się czuje powołanym... Może oni i błądzili, ale nigdy nie upadali. Miłość ojczyzny pędziła ich, łzami zalewali kamienie świątyń, znużeni, niewysłuchani, rozprawiali szeroko a najczęściej *dulcis reminiscitur Argos.* Sekciarzami złośliwymi nazywać ich, jest to ich znieważać; byłto związek wolno rozprawiających chrześcian, chrześcian, powtarzam, wszystkie ich bowiem mistyczne wycieczki duchowe a komentarze, sny i widzenia, kończyły się jękiem za Polską i ucałowaniem stopy do Krzyża przybitej, a który z nich najgorętszą gorzał miłością, nazywany był rycerzem gorejącego Krzyża.

Miłość uczniów Adama i Andrzeja Towiańskiego sprawiała, że pomimo różnic w pojęciach, pozostali oni razem katolikami, miłującymi się braćmi do dni ostatnich, a nigdy jeden drugiego o hipokryzję, pokrywającą się płaszczykiem pobożności, nie pomawiał; stosunki przyjaźne pomiędzy nimi a Adamem, Sewerynem, Karolem Różyckim, Nabielakiem i innymi tak zw. Towiańczykami w niczem się nie zmieniły.

W życiu domowem Józef poprowadził pobratymca Bohdana do ołtarza z młodą małżonką — Józef piastował jego dzieci — zasilał w potrzebach, utrzymywał w wierze i wierności lutni; Józef roznoszący chleb ubogim, uprawiający i zasiewający ich zagony własną ręką, rozweselał i utwierdzał — Józef modlitwą niepoetyczną a najczystszej wiary budował, i Józef uczył umierać, konając ze słowami najwyższej radości:

„Panie, nie jestem godzien światłości jaka mnie otacza, nie jestem godzien tej światłości“.

Święty zaprawdę mąż, ubogi, cichy, syn poczęty z rany Chrystusowej, któremu cześć i chwała po wszystkie wieki. Amen.

Bez takiego wyboru pokrewieństwa duchowego i najpiękniejszy kwiat stepowy byłby usechł, jeśli nie zmarniał, gdyby mu przyszło rozbijać się samemu bez rodziny, bez przyjaciół, bez ojczyzny o nieczułą i więcej, najokrutniejszą rzeczywistość, — pomoce go otoczyły, więc wybujał ku chwale matki Ukrainy i wszystkich Słowian.

Wyraz posłannik (Angelus) do wyjątkowych podobnych dusz się odnosi, a posłannik z wyższych, równie prawdziwych jak te niższe, sfer, jestże obowiązany zadawalniać obecność, jeśli wpływ jego w dalekiej dopiero przyszłości skończony, cały pod sąd nasz faktu, i tylko faktu podlega?

Wpływ ten będzie miał swoje zadośćuczynienie; i grób harfy, na której odgrywała się pieśń niezrozumiana przez współczesnych, ujrzą kiedyś w całym blasku, jakto sobie wróżył i wywróżył niegdyś Antoni Malczewski.

Zaleski szczęściem nie potrzebował doczekiwać się długo — za życia i po zgonie wpływ jego wyższy naród uznał i ocenił.

Poeta w wierszu przysłanym piszącemu wyraża się:

„Dwaj rodzeni, dwaj rówieśni,
Bije piorun po piorunie,
Jeszcze raz niech piorun runie,
I ni śladu z nas prócz w pieśni.

Ty ślad mój w pieśni odszukasz... Obym cię nie pokrzywdził szlachetny, czysty duchu!“

Po dniach poświęceń, utęsknień, twórczości poetycznej i rodzimego szczęścia przychodzą burze coraz gwałtowniejsze, coraz częstsze — zgon Adama, zgon Józefa, żony, dwojga małych dziatek, a następują one w krótkich po sobie przerwach, tak, że zaledwie ma czas wynurzyć głowę z pod dachu, już nowy błysk i nowy piorun uderza — po zgonie żony umiera mu ukochana jedyna córka, zaślubiona doktorowi Okińczycowi, pozostają jeszcze synowie i opiekun jego starości Okińczyc, pozostaje wiara a lutnia czechłem żałoby pokryta; z lutnią już on się nie odpozna — i nie pieśń kołysać go będzie nadzieją czarownej jego, zaświatowej rodziny, coś wznioślejszego od wszystkich pieśni: czyny godne śpiewania, i temi on roz-

bije sfery lodów i ognia wznoszących się do owego Dantejskiego primum mobile, i wyżej, tam gdzie rozebrany ze smutnych wspomnień, w Letejskich wodach zapomnienia uczuje drżenie radości, jak je czuł chwilami, w drżeniu pokory i bezmiernej miłości, w obec Najświętszego Sakramentu.

Przyjaciele i najbliżsi świadkowie tej epoki lat ostatnich prezydentury Bohdana w Stowarzyniu Czci i Chleba jedni mogliby o jego działalności niestrudzonej poświadczyć — jedną tą myślą zajęty, poświęcił jej wszystkie swoje chwile, gromadził skąd mógł grosz, zachęcał, krzątał się, o niej najwięcej rozprawiał — wzrok jego gasł, zadługo zapatrzony w słońce, a ślepota uczyniła go podobnym Homerydom starej Hellady, jeśli nie lirnikom, śpiewającym dumy bohaterskie w bramach serbskiego Beogradu.

Sztuka lekarska nie wraca sił żywotnych — nie tworzy nowego życia, podtrzymuje ile w jej mocy; mała rzecz, najmniejsza psuje jej działanie i wtrąca w niebezpieczeństwo organizm zużyty. Operacja oczu szczęśliwa, z powodu małego poruszenia obwiązań zrujnowana, pociągnęła rozstrój nerwowy już i tak innemi cierpieniami systemu, kiedy jakby przyspieszając odlot ptaka ku jego cieplicom, chłód zgonu Okińczyca pada na to drżące serce; zimno od zwłok w trumnie spoczywających, a dym pogrzebowych świateł sprowadza zamęt gorączkowy i chwilę stanowczą, najpoważniejszą przybliża.

Opis tej chwili wiernie oddaje list odebrany przez piszącego od pana Władysława Mickiewicza, przyjaciela najwierniejszego i najczulszego umierającego poety, w którym jak się wyraża umierało ostatnie żywe przypomnienie ojca i ostatni z owych, którym dane było widzieć i walczyć za ukochaną ojczyznę.

„Chory mając język zbolały mówił niewyraźnie, czasem podnosił głos z wielką siłą i albo modlił się za siebie i za Polskę, albo marzył głośno, wymawiając słowa: „Krzyż zagrożony, stójmy przy Krzyżu, formujmy wojsko tajemne, takie wojsko zwycięży, czas mi do szeregu pospieszyć, zgody trzeba, zgody! Kocham was, bardzo kocham, błogosławię... Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci. Amen. — Zlituj się nad Polską, zbaw Litwę, zbaw Ruś ukochaną!“

„Wiara, dobroć i miłość bliźniego i ojczyzny cechowały każdą godzinę tego długiego konania, przez jedenaście dni polecał ciągle siebie, a stokroć częściej ojczyznę łasce Przedwiecznego.

„Przeznaczył był gromnicę z Jerozolimy przyniesioną na chwilę konania, kilka razy kazał sobie podać woreczek ze świętościami: „Dajcie mi świętości moje“ — w woreczku znajdowały się relikwie i obok relikwij pierścionek ślubny i włosy ojca mojego. W bólach przyzywał na pomoc Józefa. Józefie, ratuj! — Raz nie poznał mnie po głosie i myślał, że jestem półkownik Różycki. — Całował krzyż, a w paroksyzmach ściskał tak mocno, że mu trzeba było odbierać, żeby go nie zdruzgotał, a gdy mu odebrano, wyciągał ręce i całował powietrze — ostatniej nocy nic nie mówił, oddechał regularnie, aż przestał oddechać.“

I tak zakończył ów Nataniel, w którym zdrady nie było — tak skończył jego Józef, szczęśliwy snać, kiedy go światłości wieczne otaczały przed skonaniem — tak skończył Kazimierz Brodziński, o którym pisał Odyniec, że miał widzenie przed zgonem, wchodzącego doń w jasnościach Zbawiciela — tak skończył Adam, z wyrazem ostatnim: kochajcie się synowie moi! — tak Karol Różycki, tak kończyli wszyscy, na których barkach przez wieki budowa Polski chrześcijańskiej czystej, pełnej czci, niby owa arka złota, z którą lud wybrany po pustyni chodził, spoczywała.

Pytano się nieraz, na co się zdały emigracje polskie od Stanisława Leszczyńskiego do ostatnich czasów? A choćby już tylko dla świecących światłem wiecznem grobów sprawiedliwych, jak owego księcia Lotaryngii, Kościuszki, Lelewela, Mickiewicza, Kniaziewicza i Niemcewicza, Zaleskich, księcia Adama Czartoryskiego, Brodzińskiego, Garczyńskiego, Wysockiego, Dębińskiego i tylu innych, choćby tylko dla tych pochodni pochodu pogrzebowego, o których przyszłość nie zapomni, choćby dlatego tylko, jeśliż napróżno relikwie te zdala od rodzinnej ziemi w bezbożnych czasach pogrzebano.

Niema dziś w kraju, ktoby złorzeczył pamięci Bohdana, a jeśli jest jaki umysł, lekko albo niechętnie traktujący te niezwykłą osobistość, to tem więcej droższą ona staje się kochającym.

Bo słuchajcie i zważajcie u siebie,
Że wedle Bożego rozkazu,
Kto za życia choć raz był w niebie,
Ten po śmierci nie trafi odrazu.

Czyśćcowe męki przechodził, widział, choć nie był w piekle, cienie zatracenia, niebo nad nim często się otwierało, a ziarno gorzkie spożyła dopiero po zgonie ta śliczna dusza, jak owe dziatki, o których Adam śpiewa, niewinne, przychodzące w noc Dziadów prosić o ziarno gorczyczne.

Znakomity botanik Taylor utrzymuje, iż rośliny kwiatami oddechają — to samo prawo natury zastosować się daje do wielkiego drzewa rodzaju ludzkiego, które dzięki dobrodziejstwu poetycznych natchnień, wciąga w siebie życiodajne ideału niewidzialnego powietrze — od Wedy indyjskiej i prorockich natchnień, od Orfeusza i Homera, aż po dni dzisiejsze ludzkość za pomocą tego organu wchodziła w związek ze sferami idealnemi i wchodzić będzie do końca egzystencji pomimo protestów, przedrwiwań i lekceważenia zwolenników źle zrozumianego utylitaryzmu.

Florencja, d. 24. czerwca 1886 r.

Porządek dzienny: 1) W. Kulczycki, O workach powietrznych u ptaków. 2) E. Wołoszczak. O stosunku flory Pokucia do flory obszarów ościennych. 3) Luźne komunikacje.

* **Towarzystwo „Pracy kobiet“.** Walne zgromadzenie tego Towarzystwa odbyło się w sobotę o godzinie 12 w południe. Wzięło w niem udział 20 pań pod przewodnictwem br. Walerji Heydel.

Sprawozdanie z czynności rady zawiadowczej za r. z., przedstawione przez p. Br. Zbierzchowską, wykazuje następujące daty:

Na naukę szycia białego i haftu uczęszczało w ciągu roku uczennic 165; na naukę kroju bielizny 11, razem 176, a z tych bezpłatnie 32.

W szkole robót ozdobnych na naukę koronek uczęszczało uczenic 6, na naukę frenzli 12, na naukę haftów ozdobnych 5, razem 23, z tych bezpłatnie 15.

Szkoła powtarzająca, zostaje jak przedtem, liczyła w ciągu roku 82 uczenic.

Z biblioteki stowarzyszenia wypożyczono w ciągu roku uczenicom zakładu i członkom stowarzyszenia 440 dzieł rozmaitych.

Nauki udzielają bezpłatnie ks. katecheta Gorazdowski i grono nauczycielek szkół ludowych miejskich.

Wedle zamknięcia rachunków dochody Towarzystwa wynosiły 3112 zł. 72 ct., rozchód zaś 2685 zł. 32 ct, pozostaje więc w kasie 427 zł. 40 ct. W rubryce dochodów znajdą się subwencje ministerstwa 150 zł., Wydziału krajowego 500 zł., Kasy oszczędności 200 zł., dar. br. Heydlowej 110 zł. Wkładki członków wynosiły 213 zł.

Po przyjęciu tego sprawozdania do wiadomości udzielono radzie nadzorczej absolutorjum.

W dalszym ciągu przyjęło zgromadzenie wniosek wydziału, aby założyć szwalnię dla dziewcząt opuszczających szkoły, a nie mogących natychmiast znaleść roboty. Szwalnia ta ma być założoną na małe rozmiary. Wykonywane w niej będą zwykłe roboty.

Przyjęto dalej wniosek p. Wechslerowej, aby Towarzystwo zainicjowało założenie bazaru wyrobów krajowych. Sprawą tą ma się zająć rada zawiadowczą

nia podań 8. maja 1888.

* **Powódź.** Z Poznania donoszą 6 b. m. „Woda ciągle i stosunkowo szybko opada. W ciągu ostatniej nocy woda opadła o 17 centymetrów, tak że stan wody w Warcie wynosił dzisiaj rano o g. 8 już tylko 4,68 metra. Stan wody w Pogorzelicy wynosił wczoraj wieczorem 3,69 m., w Śremie w tym samym czasie 3,24 m.

Z Obornik donoszą, że tegoroczna powódź wskutek wylewu Warty i Wełny dała się znowu ciężko już zeszłoroczną powodzią nawiedzionemu miastu we znaki. Niektóre domy mieszkalne były aż 2 metry pod wodą, wskutek czego na dłuższy czas nie mogą być zamieszkałe, również większa część podwórzów i ogrodów była lub jest jeszcze zalaną. Ponieważ komunikacja już przed 14 dniami dla wysokiego stanu wody prawie zupełnie ustała i miasto odcięte jest prawie od okolicy, przeto najwięcej tę stratę uczuwają trudniący się w mieście przemysłem.

W Toruniu wynosił wczoraj o godzinie 1 z południa stan wody w Wiśle 5,06 metrów. Woda opada, ale stosunkowo zwolna. Tak samo ustępuje woda zwolna w Warszawie, a żegluga na Bugu, Sanie i Narwi już przywrócona.

Według wiadomości zewsząd nas dochodzących, widmo powodzi po zadaniu tak strasznych klęsk coraz więcej ustępuje, pozostawiając po sobie smutną pamiątkę w stratach dotąd nie obliczonych“.

* **Dar cesarski.** Cesarz udzielił z prywatnej swej szkatuły gminie Ochrymowce, w powiecie brodzkim, na budowę cerkwi, zapomogę w kwocie 100 złr.

* **Pożar teatru.** W Montpellier zgorzał 6 bm. doszczętnie teatr, wystawiony tam dopiero w r. 1888.

* **Podejrzana własność.** Dnia 30. marca br. przytrzymała żandarmerja w Bóbrce Kazimierza Lubowiejskiego, który zowie się także Józefem Ziołą, a wydaje się za mechanika lub ekonoma przy sprzedawaniu zegarków. Znaleziono przy nim 284 zł. 84 ct. a mianowicie pięć not po 50 zł., pięć losów Czerwonego Krzyża, dwanaście srebrnych i trzy złote dam.

Początek zawiły i napuszony nieodpowiadający prostocie patryarchalnej życia i pism wieszcza. Szczegółów biograficznych mało — rozbiór literacki szczupły — chociaż trafny — Wspomnienia o Józefie godne uznania — Za to koniec przesadny (?)

№ 317 Środa 30 listopada (13 grudnia) 1911 r. Rok VI

Wychodzi codziennie rano oprócz dni poświątecznych

Adres Redakcyi: Kijów, Kreszczatyk 38. Tel. 2464.
Adm. i Druk. Polskiej: Kijów, Kreszcz. 38. Tel. 1672.

Rękopisów Redakcya nie zwraca.
Redaktor przyjmuje od 12—2. Sekretarz od 6—8
Administracya otwarta od 10—4 po poł i od 6—8 wieczorem.
Ogłoszenia przyjmuje się do godziny 8 wieczorem.

DZIENNIK KIJOWSKI

PISMO POLITYCZNE, SPOŁECZNE I LITERACKIE

	mies.	kwart.	półrocz.	rocz.
Prenumerata: W kraju	1.—	3.—	6.—	12.—
Za granicą	1.50	4.50	9.—	18.—

Za zmianę adresu 30 kop.

OGŁOSZENIA: Za wiersz petitowy lub jego miejsce przed tekstem 40 kop. pierwszy i 20 kop. każdy następny raz, za tekstem 20 k. pierwszy i 10 kop. następny raz, zawiad. żałobne po 40 k. W rubryce „Nadesłane“ wiersz petitowy lub jego miejsce 1 rb.

Numer pojedyńczy 5 kop.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje Administracya.

Bohdan Zaleski.

(Streszczenie odczytu p. Leona Radziejowskiego na obchodzie ku czci Bohdana Zaleskiego w dniu 29 b. m. w Kijowie).

„Przyszedł ze stepów ukrainnych, z nad brzegów umiłowanej Rosi, z kraju mogił i kurhanów i zagrał narodowi niesłyszaną dotąd pieśń stepową, a tak rzewną i melodyjną, że rychło podbił nią serca współziomków i na sławę zasłużył trwałą.

Urodził się w ubogim dworku szlacheckim, pod słomianą strzechą. W dzieciństwie nie zaznał tkliwych pieszczot matki, która go odumarła, i matką była mu bujna przyroda ukraińska, stepowy wiatr całował białe czoło pacholęcia.

W dzieciństwie zetknął się bezpośrednio z ludem, z jego obyczajami, pieśnią, i lud ten ukochał.

Pobyt w chacie starego znachora, który miał go uleczyć z jakiejś choroby, był chwilą ważną dla ukształtowania się duszy poety.

Przylgnął sercem całem do otoczenia—może w chacie wieśniaczej znalazło serce sieroce pieszczotę ową, do której w domu ojcowskim i wychowawczyń ciotek tęskniło naprózno..

Często myśl Zaleskiego w latach młodzieńczych i w dojrzałym wieku wracała do chaty znachora. W wierszu p. t. „Ptasze lasze“ mówi Zaleski:

„Na podnieprzu, kędy Iwanhora,
Żył Zuj znachor w jarowym tam siole —
A u Zuja, starego znachora —
Rosło w domu przybłędne pachole,
Zozu'ątko z lackiego narodu..

Wieczornice, doświtki u Zuja
Lasze nie śpi, do nocy, do rana,
Jak sokolę pod niebem tam buja,
Za kazkami, pieśniami ugania,
Co zasłyszy z nieprawdy i prawdy,
To już jego i jego na zawdy...“

I na schyłku dni swoich, na innem miejscu, składa Zaleski świadectwo, że zawdzięcza dużo wypadkowi, który sprowadził go nad brzeg Dnieprowy.

„Z teorbanem wyrósł ja, Dniepr, Iwanhora,
Chata gdzieś w gaju starego znachora —
Widzę, ach, gdybym pożegnał je wczora.
Śpiewało ptactwo tam—byle dzień biały
I znów dziewczęta z majdanu śpiewały,
To znów głos męski, głos wojennej chwały
W cześć atamanów—mąciły się społem
W pieśń jedną żywą. I tę pieśń połknąłem...“

Pieśni tej, tym wspomnieniom dzieciństwa wczesnego zawdzięcza Zaleski ton swej lutni śpiewaczej, pieśń ta stanowi źródło romantycznego umiłowania bratniego szczepu, które jest jedną z najcharakterystyczniejszych cech twórczości Bohdanowej.

W humańskiej szkole oo. Bazylianów kształci się przyszły poeta ukraiński w otoczeniu kolegów, którzy później w narodzie talentem i wiedzą zajaśnieli. Seweryn Goszczyński i Michał Grabowski — to najbliżsi Zaleskiego przyjaciele...

Do cichego Humania dolatują z dalekiej Warszawy pierwsze głosy, nawołujące poezyę polską na nowe tory — przygrywka do przyszłych bojowań romantyków z klasykami. Zaleski zaczyna tworzyć już na ławie szkolnej, przyczem w „Dumce o Wacławie“ zaznacza przyszły kierunek swej poezyi.

W r. 1819 Zaleski wraz z Goszczyńskim opuszcza Humań i wyjeżdża do Warszawy.

Dla Zaleskiego był to prawdziwy „wyjazd bez powrotu“ — już więcej nigdy nie było mu dane odetchnąć powietrzem Ukrainy, słuchać jak wiatr na kurhanach badylami szumi..

W Warszawie poznaje Zaleski Brodzińskiego, który wywiera znaczny wpływ na Zaleskiego w dążeniu do romantycznego pojmowania poezyi. Zmuszony opuścić Warszawę, poeta nasz trudni się nauczycielstwem i osiada na prowincyi.

W zacisznem ustroniu, zdala od zgiełku miejskiego oddaje się Zaleski ulubionym marzeniom poetyckim, a podnietę do twórczości daje mu poezya Mickiewicza, którego gwiazda zabłysła już na horyzoncie Parnasu polskiego.

W dotychczasowej twórczości Zaleskiego zarysowały się już wyraźnie wpływy romantyzmu i ukrainizm.

Źródła tego ukrainizmu leżały przedewszystkiem we wspomnieniach z czasów dzieciństwa i szkolnych, następnie zaś w pojmowaniu powołania poetyckiego tak, jak to czynili romantycy. Przecie już Brodziński doradzał, że:

„Na jakiej ziemi, z jakim ludem żyjem razem,
Takiego pienia twoje niech będą obrazem“.

A rozmiłowany w rodzinnej Ukrainie Zaleski w twórczości swej musiał zwracać się ku przeszłości, ku tradycyi. Lecz tradycya owa dwojaki posiadała charakter.

Tradycya bratobójczych walk, tradycya mordów, grabieży i pożogi, które wykopały grób Rzeczypospolitej — obcą była zupełnie temperamentowi marzycielskiemu Bohdana.

Tradycya zaś inna — o tych szczęśliwych czasach, gdy krwawa łuna powstań kozackich nie stała jeszcze pomiędzy obu narodami, gdy kozaczyzna była strażą przednią Rzeczypospolitej—bardziej harmonizowała z usposobieniem Zaleskiego, który chciał pogodzić patryotyzm ogólno-polski— z patryotyzmem miejscowym—ukraińskim.

W takiem dążeniu umocniły Zaleskiego ówczesne źródła historyczne, które znał, zwłaszcza poglądy Niemcewicza i Święcickiego na stosunek kozaków do Polski, i poglądy te stały się na zawsze poglądami Bohdana.

I wówczas i później zapatrywał się Zaleski na lud ukraiński, jako na szczep narodu polskiego i dążył w kierunku wciągnięcia ludowej kultury ruskiej w świat poezyi polskiej, opromieniony blaskami kultury zachodu.

Dążność tę trafnie nazywa badacz dzieł Zaleskiego Tretjak—pracą nad zawarciem trzeciej unii, unii poetyckiej.

Nawołując do bratniej zgody z ludem Ukrainy—Zaleski w pieśni swej starannie unikał wszystkiego, co mogłoby starą waśń rozdmuchać, błędy przeszłości stawić przed oczyma.

Dlatego też — na schyłku dni swoich — zwracał się Zaleski ku mogile wieszcza kozackiego z wyrzutem gorzkim, iż ten na inny ton nastrajał swą lutnię. A przecież z poetą kozackim tyle posiadał wspólnego, bo:

„Czem ziemia nasiąkła lat koleją
Rodzinnych powieści woń i krasa,
Zarówno zwierciadlą się i wieją
Wskroś dumy i mojej i Tarasa“.

Lecz ów Taras, kość z kości ludu, jakże inaczej posłannictwo wieszcze pojmował, i woła doń poeta polski:

„Tarasie, współpiewco mój kozaczy,
Twój żywot był krótki, wielce twardy,
Z trójziela nassałeś się rozpaczy,
Używszy sieroctwa ludzkiej wzgardy
Strapiłaż się właśnie dusza twoja
I słowa zgorzkniały w sercu chorem..
. . . .
Nie będzie bo ciszy twemu snowi,
Ni dobra, ni szczęścia naszej ziemi,
Aż znów się Polanie tam dnieprowi
Zbratają z polany wiślanemi“.

Lecz mimo różnicy przekonań i dążeń rozbieżności

„Ku nowej nieznanej mi mogile,
Co świeżo wyrosła u Kaniowa,
Polański wieszcz swą głowę chylę,
Przesławnać mogiło Tarasowa.“

Ten stosunek do ludu ruskiego, to poszanowanie sąsiada i brata stanowi u Zaleskiego akord dominujący.

Mówiąc o dumach historycznych, dumach Bohdanowych, prelegent zaznaczył, że z uwagi na tendencye pojednawcze autora źródła, któremi się on posługiwał nie dopatrywać się wiernego obrazu duszy i charakteru kozaka ukraińca z 16 lub 17 wieku. Przytem typy z dum Zaleskiego, pomimo swej ruchliwości, są zbyt wymuskane i teatralne. Pokrewieństwo tych dum pod względem formy z oryginalnemi dumami historycznemi ludu ukraińskiego — jest również bardzo luźne.

Natomiast daleko bliżej poezyi ludowej i co do ducha i co do formy znajduje się Zaleski w swych dumkach lirycznych, które albo są tylko parafrazą pieśni ludowej, lub też są na modłę tych pieśni wysnute.

W zaraniu swego zawodu poetyckiego Zaleski składa już dowody, że nie jest zdolny do prostego naśladownictwa; czuł może w sobie instynktownie odrębność talentu i szedł za głosem własnych upodobań.

Rozumiał Zaleski ducha naszej poezyi, zachwycał się Mickiewiczem, lecz znajdował w nim tylko pobudkę do dalszego szukania dróg własnych, do samodzielności.

W roku 1825 przybywa Zaleski na dłuższy pobyt do Warszawy i tu doznaje pierwszego zawodu sercowego i zawód ten odbija się echem w później napisanym poemacie „Rusałkach.“

Tymczasem Goszczyński pisze swój „Zamek Kaniowski“, ukazuje się również „Marya“ Malczewskiego. Obydwa te utwory nie wywarły jednak głębszego wrażenia na Zaleskim.

Odmienną była ta Ukraina, którą malował Goszczyński, Ukraina buntu i zgrozy; bliższą już była Zaleskiemu [illegible] Maryi i rycerskość Wacława, lecz wszystko to było przez inny pryzmat widziane, snem duszy innej..

„Sonety“ Mickiewicza i „Konrad Wallenrod“ służą nową pobudką dla wzmożenia twórczości Zaleskiego—powstają „Rusałki“, bodaj najpiękniejszy z utworów Bohdana.

Świat wspomnień, zawód przeżyty serca, zasłyszaną ludu pieśń żywą, wpływy romantyków niemieckich— to wszystko zaklął poeta w brylantową baśń fantastyczną—urokiem dziwnym czarującą słuchacza.

Na sztandarach walczących zwycięsko o nowy kierunek poezyi obok nazwiska Mickiewicza—figuruje nazwisko Zaleskiego, którego i sam Mickiewicz jako poetę ceni i stawia bardzo wysoko.

Ukazują się nowe utwory Zaleskiego: „Co mi tam“, „Czajki“, „Trzeci szturm do Stawiszcz“.

Te dwa ostatnie, oparte na ścisłości historycznej, należą do arcydzieł muzy Bohdanowej. Zaczyna on wywierać wyraźny wpływ na twórczość innych poetów.

„Czajki“ natchnęły Słowackiego do napisania fantastycznego poematu „Żmija“, wpływ „Czajek“ widoczny jest także i u Tarasa Szewczenki w „Iwanie Podkowie“ i w „Hamaliju“.

Ten okres życia Zaleskiego, okres największego rozkwitu jego talentu zostaje przerwany raptownie wypadkami które zaszły w roku burzy, 1831.

Poeta występuje w sporach ówczesnych na gruncie polityki, zamieszcza artykuły, owiane duchem demokratycznym, w „Nowej Polsce“.

Zaleski bierze następnie żywszy udział w wydarzeniach, otrzymuje krzyż „Virtuti militari“ i zostaje posłem tymczasowym z województwa kijowskiego.

Lecz wypadki postępują szybko...

„Wszystko minęło, lecz stoją mogiły“.

Zaczął się dla poety okres tułactwa. Z tłumami emigrantów ukazuje się Zaleski we Francyi i wkrótce zawiera przyjaźń z Mickiewiczem, który serdecznie się do autora „Rusałek“ przywiązuje, czyni go swych myśli powiernikiem.

Zaleski stopniowo przejmuje się poglądami Mickiewicza i przystępuje uroczyście do „Braci Zjednoczonych“.

W roku 1836 wydaje Zaleski ogromny fragment „Złotej dumy“, przekłady pieśni serbskich i „Duch od stepu“, który zjednywa mu tytuł i sławę wieszcza. Jednak Zaleski, będąc lirykiem z bożej łaski, epikiem nie był. „Złotej dumy“, która miała spłacić długi Bogu i Ojczyźnie, nigdy nie skończył. „Duch od stepu“—owa przygrywka do nowej poezyi—to pieśń o posłannictwie poety, to dzieje ludzkości widziane okiem nieciełesnem, myśl mesyanistyczna, nieskażona duchem sekciarstwa.

Powstała na emigracyi „Przenajświętsza Rodzina“ pomimo prześlicznych ustępów i pewnej dozy plastyczności, pomimo staranności w budowie i formie nie jest dziełem pomnikowem. W „Potrzebie Zbaraskiej“, która przesiąknięta jest ideą braterstwa Rusi i Polski, dał poeta nasz raz jeszcze dowód, że posiadał fantazyę malarską.

Różnice w poglądach na zasady i hasła, głoszone przez Towiańskiego—odsuwają Zaleskiego od Mickiewicza. Ostatni raz w „Kalinowym Moście“ sięga Zaleski do skarbnicy poezyi ludowej — potem odzywa się coraz rzadziej i rzadziej.

Tęskni do życia rodzinnego, obiecuje Ukrainie sto dum rocznie posyłać za szczęśliwe światy. Wreszcie ziściły się marzenia: żeni się poeta z warszawianką p. Rozengartówną i ostatecznie osiada w Paryżu. Siódmy dziesiątek lat ubiegłego wieku budzi w nim nowy okres twórczości i powstaje trzecia księga „Dum i dumek“, poświęcona żonie. Jest to skupienie dawniejszych nastrojów i dawniejszych myśli. Nić, łącząca z daleką Ukrainą, rwie się i znika.

Traci Zaleski najbliższych sobie ludzi. Umiera druh serdeczny Józef Zaleski, umiera Mickiewicz. W przeczuciu, że wkrótce zamknąć musi, rzuca Zaleski potomnym „Niewyśpiewaną pieśń“, mówiąc:

„Urodziłem się w narodu niewoli,
Pieśniami chciałem ulżyć jego męce—
[illegible]
Że wśród nadziei kostnieją mnie ręce...“

Wytężał słuch, azali nie tętni „dzień wszechmocy“, błagał o „cud i łaskę“, lecz widział, jak „reszta braci z pola schodzi“. Staje się Zaleski coraz bardziej mistykiem, rozmyśla nad znikomością rzeczy doczesnych i w źródłach wiary znajduje ciszę i ukojenie:

„Wiaro, piastunko moja białoskrzydła,
Wiedź na pokoje mnie swe kryształowe,
Krzyżem odżegnaj dawnych win straszydła,
O twe kolana pozwól oprzeć głowę;
Chwilkę niech jeszcze patrzę w słońce jasne—
Zanim zapadnę za chmury i zgasnę“.

I długim był tułaczy żywot słowika Ukrainy, a żywot ten był nakształt pieśni przed obliczem Boga.

Zgasł w roku 1886 i garść ziemi rodzinnej, z grobu matki ze Stawiszcz, padła mu na trumnę.

Zostawił po sobie klejnoty, które złożył do skarbca literatury narodowej: cały odrębny świat poezyi fantastycznej, na ziemi ruskiej rozkwitłej. Ową śpiewność i giętkość języka, ową świeżość i dźwięczność jego dumki...

Zaleski ze wszystkich poetów polskich, którzy pieśnią szerzyli sławę bujnej Ukrainy—jest nam synem tego kraju najbliższym i najukochańszym. W jego pieśni odezwały się pierwiastki, żywiące w głębi naszego ducha, zagrały melodyę serc naszych tysiące.

Pieśń Zaleskiego—to Duch polski od stepu, echo dźwięczne bohaterskich bojów pod znakiem krzyża, junackich zapasów z wrogami tej ziemi. Pieśń Zaleskiego, to słodki hymn pokoju na mogiłach krwawych przeszłości. Z pieśnią Zaleskiego wpadają do duszy pokoleń ziarna prawdy, której służyli ojcowie nasi.

W cichej tęsknocie swej pieśni złożył Zaleski świadectwo, że „miał serce i patrzył w serce“.

Rewolucya w Chinach.

Jean Rodes nadsyła w dalszym ciągu swe ciekawe korespondencye do „Temps“. W jednej z nich charakteryzuje on sytuacyę obecną w następujący sposób:

„Stolica przybiera normalny wygląd. Panika ustała. Wszyscy ci, którzy uciekali w panicznym przestrachu na wszystkie strony, jak stado wróbli, powracają teraz tłumnie. Przybywa codzień 7—8 tys.

„Podczas długiej przechadzki, jaką odbyłem po Shien-Men, najludniejszej dzielnicy w Pekinie, zauważyłem bardzo mało sklepów pozamykanych. Teatr, który odważył się otworzyć swe podwoje, był przepełniony widzami. Na ulicach, które przed kilku dniami świeciły pustkami, panował ruch ożywiony i przechodnie z trudem przeciskali się pomiędzy palankinami, lektykami i wózkami pekińskimi z pokryciami płóciennemi. Dopiero wówczas można sobie było przypomnieć, że żyjemy w czasach burzliwych, gdy się spotkało najróżnorodniejsze grupy policyantów. Obok agentów rządowych znajdowali się agenci prywatni, których można było odróżnić po ich czarnych turbanach, starych fuzyach pistonowych, które zresztą noszą z dumą. Można nawet było zauważyć dawnych strażaków, uzbrojonych w podobny sposób. Dawały się również zauważyć liczne zbiegowiska dokoła plakatów, rozlepionych na rogach ulic. Na jednym z tych plakatów znajdowało się 19 artykułów nowej konstytucyi. Na innym znów rząd pekiński, po kilku strasznych groźbach pod adresem tych, którzy ośmieliliby się zamącić porządek publiczny, wzywał ludność do uspokojenia się i otworzenia sklepów. Zdaje się, że dygnitarze, a zwłaszcza książęta mandżurscy, nie uspokoją się tak prędko. Większość rodzin, które się schroniły do dzielnicy cudzoziemskiej, pozostaje tam dotychczas. W hotelu, w którym mieszkam obecnie, zajmuje pokój sąsiedni najmłodszy syn księcia Tsinga... Ten młody człowiek, liczący dwadzieścia cztery lata, a wyglądający na piętnaście, w chwili, kiedy mógł wykazać swą odwagę, pośpieszył ukryć się czemprędzej—niemniej jednak ma on stopień generała. I rzecz zabawna: żona jego, która się tam również schroniła, jest córką Shen-Pao-Ki, teraźniejszego prezydenta republiki szantungskiej, gdzie był on poprzednio gubernatorem.

„Wszystko to ma zresztą drugorzędne znaczenie. Co jest natomiast godne zaznaczenia, to to, że stanowisko Juan-Szi-Kaja, wbrew głuchej opozycyi, która zaznaczyła się od początku, wzmacnia się coraz bardziej. B. wice-król i minister nie utracił nic ze swej energii, ani ze swej siły woli.

„Świadomy swej siły, którą nadały mu okoliczności, zajął odrazu stanowisko tego rodzaju, by jego władza stała się niezaprzeczalna. Zrozumiał on doskonale, że, aby ta władza pozostała całkowitą, potrzeba, by otrzymał ją od cesarza, co też natychmiast uskutecznił. Udał się on na posiedzenie senatu prowizorycznego i na tem zgromadzeniu, które przed trzema tygodniami uchwaliło konstytucyę, przemawiał w tak zuchwały sposób: „Któż mnie mianował szefem gabinetu? Wy, czy cesarz? Co do mnie, oświadczam, że uczynił to cesarz“. I nie rozległ się ani jeden głos protestu.

„Należy zresztą stwierdzić, że senat ten, który jest przedsionkiem do przyrzeczonego zgromadzenia narodowego, wobec jałowych rezultatów swej pracy, usprawiedliwia w zupełności cały sceptycyzm co do zbawienności przyszłego parlamentaryzmu państwa niebieskiego. Tak np. na przedostatniem posiedzeniu senat uchwalił najpoważniej w świecie zażądać od Juan-Szi-Kaja, by w celu uspokojenia kraju zaprzestał swych operacyi wojennych. Wczoraj po uchwaleniu za jednym zamachem zniesienia warkocza i przyjęcia kalendarza europejskiego debatowano długo nad wnioskiem, postawionym przez nowe T-wo, utworzone w Tien-Tsin, który żądał zawieszenia akcyi wojennej i zwołania zgromadzenia delegatów obydwóch partyi, którzy naradzaliby się wspólnie nad tem, jaka forma rządów jest lepsza i jaka ma być ostatecznie przyjęta: monarchia konstytucyjna, czy też republika. Nietylko, że długo wałkowano ten wniosek, lecz większość skłaniała się widocznie do tej naiwnej propozycyi.

„To też usprawiedliwia stanowisko wojownicze Juan-Szi-Kaja względem tego niezwykłego zgromadzenia, które trzy tygodnie temu zredagowało i uchwaliło w ciągu 20 minut 19 artykułów konstytucyi. Jest zresztą prawdopodobnem, że dziś lub jutro Juan-Szi-Kaj zaznaczy się jeszcze dobitniej. Zajął on stanowisko obrońcy zasad monarchicznych, są nawet szanse, że utrzyma dynastyę chociażby z obawy przed interwencyą zagraniczną, jakąby mogły wywołać wszelkie zmiany w tym względzie; nie byłoby jednak w tem nic nadzwyczajnego, gdyby się stał regentem małego cesarza Pou-Yi.

„We wszystkich wypadkach jednakże można uważać za rzecz pewną, że tradycyjna polityka dworu cesarskiego przeżyła się. Idyotyczna reguła, na mocy której we wszystkich najważniejszych sprawach państwowych decydowała cesarzowa wdowa, niewykształcona i nieinteligentna, lecz najstarsza w rodzinie, zostanie napewno zniesiona. I nie należy jej żałować, gdyż przestrzeganiu tego zwyczaju należy zawdzięczać większość błędów, popełnionych od śmierci poprzednich monarchów.

„Pomimo jednakże tej modyfikacyi, która ma zresztą duże znaczenie, Chiny pozostaną napewno takie same. Ci, którzy wierzą, że teraźniejsze wstrząśnienie przeobrazi je na sposób zachodni, poniosą ciężkie rozczarowanie. Nie należy się dać olśnić przez wszystkie te nowopowstające republiki, gdzie kilku chińczyków,

którzy studyowali w Ameryce, chcą odegrać rolę Waszyngtonów.

„Mylnem byłoby przedewszystkiem przypuszczenie, że dążą one do europeizacyi. Jak wszystkie zdarzenia w tym kraju, rewolucya ta jest rzeczą skomplikowaną, niejasną, sprzeczną i zawikłaną. Dla stwierdzenia tego wystarczy zacytować jeden fakt. Monarcha mianował gubernatorem Chensi szefa rewolucyonistów tej prowincyi, który najpierwszy do nich przystąpił. Jest to zaś b. wice-król Chansi-Kanson, Shen-Yun, który musiał w r. 1909 podać się do dymisyi za złożenie raportu, w którym się wypowiadał jako przeciwnik praw konstytucyjnych. W ostatnich dniach zaś można było czytać w gazetach następującą wiadomość: „Szantung został proklamowany republiką, Shen-Pao-Ki został mianowany wice-królem".

„Niema zresztą żadnej jedności w poglądach, ani w kierunku różnych republik. Kanton, ani Szanghai, miasta bankierskie i handlowe, nie mają nic wspólnego z doktryną socyalistyczną, wyznawaną przez rządców Hanko-Wu-Chang, uczniów Sun-Yat-Sena. To też Chiny mają obecnie kilka sztandarów: sztandar cesarski—żółty ze smokiem, republikański—biały i rewolucyjny—czerwony. Obchodzi to jednak mało ogół ludności, która przez ostrożność zaopatruje się we wszystkie trzy sztandary. Z czego oni się cieszą w rewolucyi bez względu na doktrynę, to ze zgniecenia mandżurów i mandarynów i usunięcia niektórych dekretów, które ich szczególniej krępowały. To też nieoczekiwanem następstwem rewolucyi będzie w wielu okolicach wznowienie uprawy maku i handlu opium. Taką uchwałę przynajmniej powzięli rolnicy z Amoy. Można się bardzo obawiać, że ludzie, którzy wzbudzali ruch w Chinach, zostaną wysadzeni z siodła przez masy, których uczucia i sposób myślenia różnią się zupełnie".

Debata chełmska.

Mowa posła Dymszy.

Pp. posłowie!

Omawiana dzisiaj kwestya nie jest czemś nowem w historyi prawodawstwa rosyjskiego. Wysłuchaliśmy referatu, złożonego przez posła do Dumy Cichaczewa, a następnie wyjaśnień ministra spraw wewnętrznych. Nie będę się wdawał obecnie w krytykę tych wycieczek ministra w dziedzinę geografii, etnografii i historyi. Sądzę, że kwestya leży daleko głębiej. Zapytam tylko ministra spraw wewnętrznych, dlaczego podoba mu się opierać tę kwestyę pierwszorzędnego znaczenia państwowego na naciągniętych podstawach naukowych—a dodam nawet—na naciąganych.

Wyjaśnię tylko w kilku słowach, do czego doprowadzają takie wywody, jakie nam tutaj dają. Minister spraw wewnętrznych mówił nam: „Ten kraj jest rosyjski, gdyż jest tam wieś Kijewiec". (Głos na prawicy: rosyjski dlatego, że myśmy go zawojowali). Zapytałbym ministra, co on powie, że koło Warszawy jest miasto Mińsk, nazywające się tak, jak miasto gubernialne Mińsk litewski.

Według jego logiki, nazwie on to miasto także rosyjskiem i dojdzie do wniosku, że należy je odebrać. Może to jego logika, a może również i wasza logika, panowie.

Następnie minister dowodził wam, że nie będzie rozpalał namiętności, że będzie spokojnie omawiał tę kwestyę. Lecz, panowie, on czytał nam tutaj, nie wiem z jakich źródeł, wiadomości o tem, że jakoby na Chełmszczyźnie mówiono, „że jest polska", że „tam jest Polska", a kto się na to nie zgadza, „niech się wynosi do Moskwy". I skąd on to wziął? chyba na mityngach mówiono coś podobnego. (Silny hałas na prawicy. Minister spraw wewnętrznych z miejsca: „to jest w memoryale").

W jakim memoryale? (W memoryale komisyi). Ja przeciwko temu protestowałem w komisyi, to tylko stronnicy projektu przynoszą tutaj takie dane, lecz nie przystoi przedstawicielowi rządu powoływać się na podobne dane w izbie prawodawczej. (Silny hałas na prawicy, rozlegają się głosy: „To nieprzyzwoicie, trzeba być grzeczniejszym"). Przedstawiciel rządu kwestyonuje moje dane statystyczne. (Hałas na prawicy). Nie będę natychmiast mu odpowiadał na te wyliczenia, sprawdzę je i odpowiem za dwa lub trzy dni. (Hałas na prawicy i głosy: „Tak, to grzeczniej"). Powiem tylko jeszcze, zwracając się tylko do Dumy. (Silny hałas na prawicy). Proszę pozwolić mi mówić. (Długotrwały hałas na prawicy). Chcę tylko powiedzieć, że operowanie takim materyałem ze strony rządu, wówczas, gdy przedstawiciel rządu powinien nam był wyjaśnić ważniejsze rzeczy znaczenia państwowego, jest w danym wypadku niewłaściwe. (Głos na prawicy: „nam on wyjaśnił, nie udawaj pan wielkiego).

Obecnie przechodzę do istoty kwestyi. Chcę wskazać Dumie Państwowej, że kwestya ta, o której naprędce mówił, na podstawie zdobytych mimochodem informacyi minister spraw wewnętrznych jest kwestyą pierwszorzędnej wagi. Kwestya ta była omawiana osiem razy w Rosyi i osiem razy była odrzucona, a odrzucano ją nie pod wrażeniem chwili, jak tutaj mówiono, lecz po bardzo szczegółowem rozpatrzeniu. Przypomnę wam, panowie, że odrzucili ten projekt wszyscy warszawscy generał-gubernatorowie po wszechstronnem jego rozpatrzeniu, za wyjątkiem jednego hr. Szuwałowa, który przyjechał do Warszawy wprost z Berlina, jako ambasador berliński; wszyscy pozostali namiestnicy poczynając od czasu utworzenia namiestnictwa odrzucili go wszyscy. Następnie, panowie, kwestya ta była omawiana przy udziale takich mężów stanu, działaczy państwowych, których wy, panowie, o stronność względem polaków nie możecie oskarżać, tacy ludzie jak Pobiedonoscew, Tatiszczew, Murawiew, Sipiagin i inni; wszyscy oni zbadawszy tę kwestyę, doszli do przekonania, że ona z państwowego punktu widzenia niema racyi bytu. Wskażę wam na to, że nawet Pobiedonoscew, który był zapalonym stronnikiem tego projektu, wyrzekł się go w r. 1892 i podpisał memoryał, że nie ma on racyi bytu, wówczas, gdy wysłuchał umotywowanego memomoryału o tem, że projekt ten niema nic innego na widoku, jak tylko zadowolenie agitacyi miejscowej i wówczas uczestniczący w tem zebraniu generał Czertkow dowiódł, że projekt ten nie tylko należy wycofać z porządku dziennego, lecz że powinien być nazawsze pogrzebany, jako kwestya nie mająca znaczenia państwowego. Oprócz tego, panowie, stanowczym przeciwnikiem tego projektu prawa jest obecny generał-gubernator, który rządzi 8 lat krajem, stanowczym przeciwnikiem jego jest żyjący dotychczas b. minister spraw wewnętrznych Durnowo, który w roku 1906 przedstawił radzie ministrów oświadczenie episkopa Eulogiusza i zaopiniował, że oświadczenie to w swej ostatniej konkluzyi nie odpowiada interesom państwowym, że dlatego starania miejscowego duchowieństwa prawosławnego nie zostaną urzeczywistnione.

Proszę zwrócić na to uwagę, panowie, że ta ostatnia uchwała zapadła w r. 1906, w tej chwili, gdy prawo wyznaniowe i manifest zostały urzeczywistnione. Wobec tego wszelkie powoływania się na fakty od r. 1905, które przytaczał dopiero co minister, tracą obecnie wszelkie znaczenie. Fakty te były znane rządowi i rząd, rozpatrzywszy wówczas ten projekt prawa, doszedł do tego niezachwianego przekonania, że nie odpowiada on interesom państwowym. Bez względu na to, prozelityzm miejscowy i apetyty nacyonalistyczne domagały się od rządu, by projekt prawa był znowu wniesiony, i w danym wypadku rząd uległ i wniósł ten projekt prawa. Ten projekt prawa, jak to zaraz dowiodę w zasadniczy sposób, stoi w sprzeczności z manifestem z d. 17 kwietnia o tolerancyi i z manifestem z dn. 17 października w sprawie wprowadzenia ustroju reprezentacyjnego w Rosyi i ze związanemi z nim wskazówkami Jego Cesarskiej Mości. Projekt był wniesiony dn. 24 kwietnia 1909 r. Głównym i jedynym motywem, na którym się ten projekt opiera, jest wykazywana konieczność orzeźwienia całej ludności rosyjskiej Chełmszczyzny—i nic więcej. Przytaczając w tym projekcie szereg fałszywych—jak to będzie dowiedzione—danych historycznych, nieścisłych danych statystycznych i etnograficznych, ministerski projekt prawa wskazuje, iż waszem zadaniem państwowem jest zlanie Chełmszczyzny z Rosyą i żąda od Dumy Państwowej w celu zrusyfikowania i wysławienia jej, praw wyjątkowych, skierowanych przeciwko większości katolickiej.

Zrozumiałe jest dla mnie, że duchowieństwo miejscowe i wszelkiego rodzaju przybysze widzą swoją pomyślność w stworzeniu specyalnych przywilejów i uprzywilejowanej przez prawo sytuacyi, by z tą pałką w ręku, w łączności oczywiście z agentami rządu—wobec zajętego przez rząd stanowiska—i na rachunek skarbu zachwiać ustrój prawny i interesy kulturalne życia miejscowego. Mnie to nie dziwi, nic w tem nadzwyczajnego—partyjny punkt widzenia wymaga tego. Lecz, panowie, czyż to rozsądne, czyż to stosowne, by rząd stawał na tem stanowisku, by stawiał sobie takie zadania i żądał sankcyi izb prawodawczych dla ich urzeczywistnienia. Czyż rozumnem jest, by rząd stawiał interesy państwowe i partyjne ponad ogólnopaństwowe? Czyż jest zbawiennem wywieszać w tej miejscowości sztandar waśni zamiast pogodzenia przeciwności i przestrzegania ogólnego dla wszystkich prawa na gruncie religijnym i narodowym. Jednakże zaznaczę raz jeszcze, że co do gustów nie można się sprzeczać. Rząd się zmienia, ci lub inni kierownicy nawy państwowej mogą być stronnikami tego lub innego poglądu w politycznem życiu kraju i mogą uważać środki represyjne za niepotrzebne. W historyi ostatnich stuleci byliśmy częstokroć świadkami tego, lecz, panowie, pomiędzy tem, co jest upodobaniem rządu, a co jest jego obowiązkiem istnieje duża różnica.

Twierdzę, że obowiązkiem rządu było przed wniesieniem projektu prawa zastosować się do manifestu 17 października i sprawdzić, czy rząd ma prawo wnieść taki projekt.

I tutaj dochodzę do przeciwnego wniosku. Rzecz polega na tem, że w r. 1905 państwo na skutek tej przewrotnej polityki, która była prowadzona w ciągu ostatnich 50 lat ubiegłego stulecia, stanęło nad brzegiem przepaścia niepowodzenie zewnętrzne i kryzys wewnętrzny doprowadziły prawodawcę do konieczności zawrócenia z tej drogi i wprowadzenia nowego ustroju w Rosyi. I to zdarzyło się dn. 17 października 1905 r.

(D. n.)

Sytuacya w Trypolisie.

Specyalny korespondent „Temps" charakteryzuje w ten sposób nastrój panujący w Trypolisie po zajęciu oazy Ain-Zara.

„Rozmowy, jakie miałem z licznemi osobami, które były u mnie od czasu wzięcia Ain-Zary, pozwalają mi stwierdzić, że zwycięstwo to wywarło wielkie wrażenie na ludność Trypolisu. Szczególniej ważny jest nastrój tubylców, który mogłem poznać z relacyi znakomitych arabów, którzy pogodzili się już z okupacyą i przybyli osobiście złożyć mi życzenia z powodu mego wyzdrowienia za pomocą tłómacza. Zgadzają się oni wszyscy, że cała ludność, a w tej liczbie arabowie, hebrajczycy i inni tubylcy Trypolisu byli zdumieni szybkością i pewnością akcyi armii włoskiej. Mówiono tyle i powtarzano tylokrotnie, że turcy i arabowie otaczają Trypolis pierścieniem żelaznym i że mogą tam wkroczyć, gdy uznają to za stosowne, powtarzano również tylokrotnie zarówno w prasie wszystkich krajów, jak i tutaj, że włosi nie będą mogli wyjść nigdy ze swoich przekopów i że będą wymordowani, jeśliby to zaryzykowali uczynić, o kilka kilometrów od miasta; wszystkie żywioły wrogie włochom powtarzały tak uporczywie tę piosnkę, że znaczna liczba naiwnych uwierzyła w końcu tym bredniom. Już zwycięstwo odniesione w niedzielę dn. 27 listopada wywarło wrażenie na tubylców, lecz zwykli propagatorowie nowin pesymistycznych odpowiedzieli, że sukces ten nie ma znaczenia, że było to tylko posunięcie się o kilkaset metrów wgłąb oazy i że turcy przez wybieg wojenny pozwolili włochom ulokować się w Henni, w forcie Mesri, dla ściągnięcia ich w zasadzkę. Twierdzili oni, że włosi nie ośmieliliby się posunąć dalej i że na swoich nowych pozycyach będą oni narażeni bardziej, niż gdziekolwiek na ataki muzułmanów, Wreszcie, dodawano, że w razie, gdyby nawet włosi ośmielili się zaatakować Ain-Zarę, to ponieśliby tak znaczne straty, że nigdy już nie ponawialiby ataku. Ludność uwierzyła wreszcie w te prognostyki, tembardziej, że ze względów strategicznych, których niepodobna tłómaczyć w telegramie, włoski szef armii zmuszony był do pozwolenia na to, by przeszło osiem dni od jednej operacyi zaczepnej do drugiej. Można więc sobie przedstawić, jakie było wrażenie w Trypolisie, gdy dowiedziano się w poniedziałek wieczorem, że nietylko włosi pociągnęli na Ain-Zarę lecz, że Ain-Zara została zdobyta i że energiczny opór turków został zniweczony przez impetyczny napad włochów, że siedem armat wpadło w ich ręce, a że natomiast straty włoskie są nieznaczne, liczba bowiem zabitych i rannych nie przenosi stu, gdy tymczasem z relacyi tubylców dowiedziano się, że armaty włoskie poczyniły krwawe spustoszenia w szeregach muzułmańskich. Wrażenie więc jest olbrzymie, a ludność okazuje obecnie daleko przyjaźniejsze uczucia dla włochów, niż poprzednio. Poszanowanie dla zwycięzcy, jest jednem z uczuć podstawowych tych ludów afrykańskich, stwierdzają to liczne dowody. Wszyscy oświadczają obecnie, że są oddanymi przyjaciółmi Włoch, nawet ci, którzy dotychczas najgoręcej występowali przeciwko nim. Ja, który zawsze oddawałem sprawiedliwość odwadze żołnierzy tureckich, mogę im powiedzieć, że ich przyjaciele z Trypolisu i skądinąd wyświadczyli im złą usługę, rozpowszechniając grube wymysły, tę masę fałszywych wiadomości, z których efekt jest dzisiaj wręcz przeciwny temu, jaki zamierzano osiągnąć.

Oprócz zwycięstwa poniedziałkowego wywarł jeszcze wielkie wrażenie na arabów z Trypolisu udział włochów w ich święcie religijnem (bajramie) trwającem trzy dni, który uważam za akt wielce polityczny. Podczas tych trzech dni, gubernator wojskowy polecił rozdawać chleb i barany wszystkim tubylcom, oprócz tego minarety i meczety były uiluminowane i salwy artyleryi rozbrzmiewały od rana do wieczora na cześć tego święta mahometańskiego. Wywarło to również wielkie wrażenie na arabów.

Jako jeden z głównych argumentów turcy przytaczali, że włosi przybywają do Afryki dla prześladowania religii mahometańskiej, narzucając natomiast wiarę chrześcijańską; twierdzili również, że święcenie bajramu zostanie wzbronione pod pozorem, że zagraża bezpieczeństwu publicznemu. Arabowie ślepo w to wszystko wierzyli.

To też w piątek zrana zapanowało ogólne zdumienie, gdy usłyszano salwy z dział i gdy ujrzano, że rozdają barany z rozkazu gubernatora. Wieczorem gdy meczety zostały uiluminowane, zdumienie zamieniło się w radość i najpierwszy tego skutek dał się widzieć już nazajutrz, gdyż wielka ilość arabów, trzymających się dotychczas na uboczu przyszła się przysłuchiwać muzyce wojskowej i oklaskiwała marsza królewskiego.

Niektórzy obawiali się, by ten akt polityczny, nie został zrozumiany jako słabość włochów, wobec buntu arabów. Zdobycie jednak Ain Zary w poniedziałek wykazało, że rzecz się ma inaczej i dowiodło, że jeśli włosi umieją być sprawiedliwymi w stosunku do wiernych tubylców, to nie wahają się zwalczać powstańców i nieprzyjaciół. Trybunały wojskowe rządzą zresztą w dalszym ciągu surowo tych, którzy brali udział w rewolucyi zbrojnej, a przedewszystkiem tych, co do których stwierdzono, że brali udział w okrucieństwach względem włochów. Osądzono już około piętnastu tych powstańców, których schwytano z bronią w ręku.

Zostali oni skazani na śmierć i ulegną haniącej karze stosowanej do zdrajców i buntowników, według zwyczaju krajowego, t. j. zostaną powieszeni, co jest daleko dotkliwszą karą dla arabów, niż rozstrzelanie".

Z ziemstw.

Sesya wołyńskiego ziemstwa gubernialnego.

Sesya wołyńskiego ziemstwa gubernialnego wyznaczona została w Żytomierzu na czas od dn. 10 grudnia. Prawdopodobnie obrady potrwają koło 5 dni.

Dla przygotowania i gruntownego rozpatrzenia wszystkich spraw, które mają wejść pod obrady sesyi, zbiorą się uprzednio poszczególne komisye, a więc: komisya lekarska zbierała się dn. 27 b. m., komisya ogólna — wczoraj, komisya drogowa—dziś, komisya szkolna — 1 grudnia, komisya ubezpieczeniowa — 2-go grudnia, komisya rolna — 3-go i 4-go grudnia, wreszcie komisya budżetowo-rewizyjna pomiędzy 4, a 10 grudnia.

Skład wymienionych wyżej komisyi jest następujący: komisya budżetowo-rewizyjna: pp. Mieczysław Wiszniewski, Wiktor Gutowski i Mieczysław Pruszyński—polacy oraz pp. Andro, Bielajew, Jeńko-Dorowski, Żurawski, Iwanczuk, Mieziencew, Otfinowski Pribylski i Samczuk. Komisya drogowa: pp. Władysław Mazaraki i Szczęsny Poniatowski—polacy oraz pp. Wondrak, Didkowski, Diedincow, Istomin i Flerow Bułhak. Komisya lekarska: pp. Mieczysław Wiszniewski, Stanisław Domaniewski i Zygmunt Jankowski—polacy oraz pp. Maniłowski i Rejn. Komisya szkolna: pp. Burczak-Abramowicz, Wondrak, de-Vollan, Świesznikow, Filuk — oraz Chrulew. Komisya ubezpieczeniowa: pp. Bobko, Bojko, Izooskow, Otfinowski i Szczerbicki. Komisya ogólna: pp. Jan Żukowski i Mieczysław Pruszyński—polacy oraz pp. Jeńko-Dorowski Stepanenko. Komisya rolna: pp. Mieczysław Wiszniewski i Wiktor Gutowski—polacy oraz pp. Andro, Żurawski Iwanow, Kirylenko, Lubiniecki, Chrulew i Jefatow.

Ziemska pomoc lekarska w pow. płoskirowskim.

Płoskirowski powiatowy zarząd ziemski rozpatrywał sprawę uporządkowania niesienia pomocy lekarskiej w powiecie. W tym celu uznano za niezbędne opracowanie regulaminów, któreby normowały zarówno pracę lekarzy ziemskich, jak również działalność punktów ambulatoryjnych felczerskich, akuszeryjnych i t. d. Na stanowisko lekarza-chirurga przy płoskirowskim szpitalu ziemskim przyjęty został ordynator moskiewskiej kliniki szpitalno-chirurgicznej, dr. Mielewski. Wakujące zaś posady lekarza ziemskiego w Kuźminie i lekarza epidemicznego ze stałym pobytem w Felsztynie postanowiono zaofiarować pierwszą lekarzowi moskiewskiego szpit. chirurg. Pokrowskiemu i drugą młodemu lekarzowi Swarskiemu, który specyalnie studyował bakteryologię.

Zgromadzenie ziemskie pow. mohylowskiego.

Na zebraniu ziemstwa powiatowego pow. mohylowskiego, tak samo jak i w innych powiatach postawiony został wniosek wyznaczenia składki na pomnik Stołypina w Kijowie w kwocie 1,000 rb. Wniosek ten został uchwalony.

Radni polacy pp. Hilary Dębicki, Karol Rościszewski, Stanisław Michalewski i Dłuski złożyli deklaracyę, w której zaznaczyli, iż uważają uchwałę powyższą za nieprawną, bowiem przepisy o instytucyach ziemskich powiatowych i gubernialnych pozwalają na wydatkowanie sum ziemskich wyłącznie na potrzeby miejscowe. Przewodniczący obradom p. Jeleniew oświadczył, że o tem czy uchwała prawna jest, czy też nie zaopiniuje komisya do spraw ziemskich, zaś deklaracya będzie dołączona do protokółów.

Z ziemstwa taraszczańskiego.

Na zgromadzeniu powiatowego ziemstwa taraszczańskiego, wskutek zrzeczenia się mandatu członka zarządu ziemskiego przez włościanina Kurbatowa, zarządzono ponowne wybory. Obrany został polak, ziemianin p. Bekierski.

Obrady nad budżetem ziemstwa nacechowane były dążeniem do możliwego obniżenia opodatkowania, a tem samem do obniżenia wydatków. Budżet wydatków zaproponowany przez zarząd obcięty został we wszystkich działach z wyjątkiem wydatków na szkolnictwo ludowe i na pomoc lekarską. Pensye lekarzom podniesione zostały do 2,000 rb. rocznie. Została też powzięta oryginalna conajmniej uchwała, aby na posady lekarzy ziemskich zapraszać lekarzy pochodzących z Zadnieprza.

Z ziemstwa hajsyńskiego.

Budżet ziemstwa powiatowego hajsyńskiego na rok 1912 zbilansowany został cyfrą 568,508 rb. Wartość majątków podlegających opodatkowaniu wynosi 69,164,283 rb., opodatkowanie więc wyniesie koło 45,3 kopiejki od 100 rb. wartości.

Z życia prowincyi.

Z krzemienieckiego powiatu.

Już od wiosny zaczęto w naszym zapadłym kącie coś przebąkiwać, że w Jampolu, miasteczku i majątku hr. Kossakowskiej, ma się zakładać cukrownia. Ponieważ podobne wieści już prawie od trzydziestu lat po ludziach chodziły, nikt więc tego nie brał poważnie, chociaż żydkowie jampolscy twierdzili z zapałem, że już teraz napewno coś będzie, bo „nawet przyjeżdżały z Kijowa inżeniery i chodziły po polach". Nareszcie okazało się, że projekt ten przybrał już kształty wcale realne, złożono bowiem konsorcyum z pp. hr. Józefa Kossakowskiego, męża właścicielki, p. Pawła Górskiego, jednego z dyrektorów warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od ognia i obywatela kieleckiej gub., dalej p. Juliana Tołłoczki obywat. gub. grodzieńskiej i właściciela fabryk cukru Lubna i Szreniawa w kieleckiej gub., w końcu ordynata Jana Bispinga, obywatela grodzieńskiej gub., którzy podpisawszy znaczną część potrzebnego kapitału, wnieśli do odpowiednich władz prośbę o potwierdzenie Towarzystwa akcyjnego fabryki cukru w Jampolu, wołyńskiej gubernii i potwierdzenie to jest już lada dzień oczekiwane. Oprócz powyższych panów, podpisali także niektórzy sąsiedni ziemianie poważną sumę, a reszta ma się zebrać drogą podpisów; kapitał potrzebny do tego przedsięwzięcia ma wynosić 800,000 rubli, budowa ma się zacząć już z wiosną 1912 roku, a fabryka ma rozpocząć kampanię w jesieni 1913 roku. Akcye mają być po 250 rb. każda.

Miasteczko Jampol leży nad rzeką Horyniem na granicy powiatów krzemienieckiego i ostrogskiego i jest centrem bardzo bogatej okolicy; jest to jeden z najlepszych rejonów buraczanych, gleba—bogaty czarnoziem o podłożu marglisto-gliniastym, szczególniej nadający się do uprawy okopowych, a przedewszystkiem buraków, robotnik obfity i niedrogi, a co jest rzeczą bardzo ważną, to że gospodarstwa w tym zakątku kraju przeważnie zamożne i wcale dobrze zagospodarowane. Wszyscy bardzo chętnie wezmą się do uprawy tej rośliny, która przyczyni się do podniesienia kultury miejscowego rolnictwa, obudzi ruch w tym naszym zapadłym kącie, a ostatecznie będzie dla włościaństwa źródłem znacznych zarobków, których teraz niema prawie wcale.

KRONIKA PROWINCYONALNA.

(Z pism i od korespondentów).

— **Stan zasiewów oziminy na Podolu.** Ku początkowi zimy zasiewy oziminy na Podolu prezentowały się wyżej niż średnio. Natychmiast po nastaniu mrozów spadły śniegi, które uchroniły zasiewy od szkodliwego działania mrozów. Jedynie w powiatach południowych, gdzie śniegi były mniejsze, rolnicy mają pewne obawy, iż mrozy zaszkodzą posiewom.

— **Epidemia.** W Maryanówce pow. wasylkowskiego panuje epidemia szkarlatyny i tyfusu. Sytuacya o tyle jest cięższa, iż najbliższy lekarz ziemski jest o 10 wiorst w Prebionkach.

— **Z czerkaskiej rady miejskiej.** Na ostatniem posiedzeniu czerkaskiej rady miejskiej wysłuchano sprawozdania miejskiej komisyi finansowej w sprawie wprowadzenia od roku przyszłego w Czerkasach prawa z dn. 10 czerwca 1910 r. o 6-procentowym podatku państwowym od nieruchomości miejskich. Obliczony według tego prawa podatek wyniesie 35,197 rb. 8 kop., dotychczas zaś Czerkasy płaciły podatku państwowego przeszło o połowę mniej (16,971 rb.). Wziąwszy pod uwagę, że podatki ziemskie wraz z wprowadzeniem nowego ziemstwa również w dwójnasób wzrosły (w roku 1911 podatki ziemskie od m. Czerkas wynosiły 27,500 rb., na rok 1912 podatek obliczony został w kwocie 54,000 rb.), rada miejska postanowiła prosić o obniżenie podatku państwowego dla m. Czerkas z 6% do 3%.

Na tem samem posiedzeniu postanowione zostało wszczęcie starań o wprowadzenie w Czerkasach podatku od ładunków przywożonych i wywożonych koleją Poł. Zach. i Moskiewsko Kursko-Woroneską. Dochód z tego zaprojektowanego podatku ma być użyty na zaprowadzenie wygodnych dróg podjazdowych.

— **Podolskie wyroby przemysłu domowego.** Włościanie wsi Klębówki pow. jampolskiego wysłali wyroby swoje na wystawę do Turynu. Wyroby te cieszyły się tam znacznem powodzeniem. Dużo zostało rozprzedanych.

— **Osuszenie stawu równieńskiego.** W ubiegłą sobotę w Równem na Wołyniu odbyło się posiedzenie lekarzy miejscowych, na którem omawiano kwestyę wpływu, jaki mieć może dla zdrowotności miasta rozpoczęte już osuszenie wielkiego stawu rówieńskiego.

— **Wymuszanie.** W Gołowaniewsku pow. bałckiego rejent miejscowy R. Peske otrzymał list z żądaniem złożenia we wskazanem miejscu na cmentarzu katolickim 250 rubli; za niespełnienie żądania autorowie listu grozili śmiercią. Urządzona została zasadzka, złapano trzech ludzi, którzy przyszli po pieniądze: Jankla Itkisa, Benciona Klinowa i Hersza Sierebrianika.

LIST DO REDAKCYI.

Miesiąc zaledwie dzieli nas od wielkiego święta Narodzenia Pańskiego. Zapowiedź tych uroczystych dni widzimy już w zabawkach i świecidełkach, wystawionych w oknach sklepowych. Czyż wesołość i uradowanie naszych „milusińskich" tańczących w koło ozdobnych choinek, harmonijne tony kolendy i suto zastawione wigilijne stoły dadzą nam prawdziwe zadowolenie, gdy pomyślimy o tych wydziedziczonych, nieszczęśliwych istotkach, które nietylko o choince i sutej wieczerzy w domu, ale zaledwie o ciepłym i czystym przyodziewku marzyć mogą.

Widząc dziś grupę drobnych dziatek, wychodzących gwarnie z przytułku Koła Kobiet Polek (Obserwatorna 16 róg Lwowskiej) pomyślałam, że dzięki jednak ofiarności publicznej nędzy i przygnębienia na nich nie widać; ale może nie wszystkie dzieci są ubrane dostatnio, a głównie dość ciepło.

Możeby to już czas był zakrzątnąć się koło zebrania środków na urządzenie choinki, przy której nasi mali wychowańcy dostają na własność całkowite ubranka i małą świecącą choinkę.

Nasze dzieci dostaną na święta nowe ubranka i zabawki, a stare połamane cacka, lub też znoszona odzież, nie zadawalające ich, ile szczęścia i uciechy wniosą do ciasnych izb w suterenach, lub na wysokich poddaszach.

Korzystając z uprzejmości redakcyi: „Dziennika", dla zapoczątkowania datków, składam dziś na choinkę i ubranka dla dzieci z przytułku Koła Kobiet Polek rb. 2.

A. C.

KRONIKA.

Kalendarzyk.

Dziś 30 (13) Andrzeja Apost.
Jutro 1 (14) Eligiusza B. W.

Wschód słońca o godz. 7 m. 55.
Zachód słońca o godz. 3 m. 54
Długość dnia godz. 7 m. 59.

Kalendarzyk Historyczny.

13 grudnia n. st.

Roku 1463. Bernard von Zinnenberg, wódz wojsk zaciężnych na służbie zakonu krzyżackiego zawiera z królem Kazimierzem Jagiellończykiem traktat neutralności.

— **Teatr polski.** Jutro teatr nasz odegra arcyzabawną farsę Schöntana „Porwanie Sabinek", w której pole szerokiego popisu znajdzie p. Popławski, który rolę tę zalicza do najbardziej ulubionych.

W dalszej obsadzie role komiczne odegrają pp. Maliszewska, Szymańska, Kośnierska, Braunówna, Piotrowski, Przystański, Gierasiński i Rodmud.

Wieczór ten zaliczać należy do najbardziej wesołych w bieżącym sezonie.

— **Z Koła Kobiet.** Przewodnicząca sekcyi miejskiej Koła Kobiet za naszem pośrednictwem zawiadamia członkinie, a także i osoby interesujące się sprawami Koła, że posiedzenie sekcyi odbędzie się dziś, t. j. d. 30 go b. m. o godzinie 7 wieczorem, w lokalu „Taniej kuchni" (Funduklejowska № 26).

— **Obchód.** Wczoraj w przepełnionej sali „Ogniwa" odbył się obchód Bohdana Zaleskiego, urządzony staraniem Koła Literatów i Dziennikarzy Polskich w Kijowie. Sprawozdanie z tego obchodu podamy w numerze następnym.

— **Aresztowanie.** Wczoraj o godzinie 6-ej z rana został aresztowany p. Leon Radziejowski, były redaktor gazety „Kijew. Wiesti" w celu osadzenia go w więzieniu dla odbywania 2 tygodni kary z wyroku izby sądowej za wykroczenie prasowe.

Szczegóły tego aresztowania są nader charakterystyczne:

Ponieważ w sądzie okręgowym są jeszcze sprawy kryminalne prasowe wytoczone p. R., ten ostatni, z chwilą, gdy wyżej wymieniony wyrok izby został prawomocny, złożył podanie do izby o wstrzymanie wykonania wyroku do zakończenia spraw pozostałych zgodnie z art. 152 procedury kryminalnej.

Izba sądowa rozważywszy podanie p. R. w dniu 25 b. m. uchwaliła wykonanie wyroku wstrzymać. Tegoż dnia prokurator izby sądowej zawiadomił prokuratora sądu (zawiad. № 9702) o wstrzymaniu wyroku.

Pomimo tego—cyrkuł pałacowy do dnia wczorajszego nie otrzymał odnośnego zawiadomienia, p. R. został aresztowany i dopiero interwencya prokuratora uwolniła p. R. z aresztu.

— **Fundusze na szkolnictwo.** Wczoraj gubernator kijowski przedłożył generał-gubernatorowi prośbę kijowskiego ziemstwa powiatowego w sprawie udzielenia mu z sum pozostających w rozporządzeniu ministerstwa oświaty 82,130 rub. na szkolnictwo ludowe.

W szczegółach ziemstwo żąda: 29,000 rub. na ukończenie budowy gmachów szkolnych, rozpoczętych w roku bieżącym, 15 000 rub. na urządzenie pięciu budujących się szkół ziemskich, 23,530 rub. na utrzymanie nauczycieli w r. 1912 w 53 szkołach istniejących od 1 stycznia i w 22 nowych szkołach, które zaczną funkcyonować od 1 września 1912 r., 26,000 rub. na budowę szkół w r. 1912 i 2,100 rub. na urządzenie 7 szkół ziemskich, które zostaną zbudowane w r. 1912.

— **Wykłady z dziedziny ogrodnictwa.** Gubernator kijowski zezwolił ziemskim instruktorom ogrodnictwa G. Gierasimowowi i M. Bibikowi urządzać wykłady popularne i pogadanki dla ludności wiejskiej z dziedziny ogrodnictwa i sadownictwa bez uprzedniego zawiadamiania o tem administracyi miejscowej.

— **Z sądu wojennego.** Onegdaj kijowski sąd wojenny, rozpatrujący sprawę o szpiegostwo wojskowe na rzecz Austryi, zakończył badanie świadków. Między innymi zbadano na tem posiedzeniu ks. Janusza Radziwiłła. Posiedzenie wczorajsze, poświęcone było specyalnie badaniu biegłych ze strony oskarżenia i obrony i trwało od godz. 10 z rana do 11 wieczór z dwugodzinną przerwą obiadową.

Dzisiaj rozpoczną się rozprawy stron. Ogłoszenia wyroku należy się spodziewać jutro.

— **Podatek ładunkowy.** Ministerstwo spraw wewnętrznych zawiadomiło naczelnika kolei Południowo-Zachodnich, iż miasto Kijów otrzymało prawo pobierania podatku na swą korzyść od ładunków przywożonych i wywożonych z miasta kolejami żelaznemi.

— **Powiększenie stacyi.** Towarzystwo budowy kolei podjazdowych przedstawiło do uznania zarządu kolei Południowo-Zachodnich projekt powiększenia stacyi Funduklejówka odnogi fastowskiej. Powiększenie tej stacyi stanie się nieodzownem z chwilą przeprowadze-

nia linii podjazdowej z Czehrynia do Fundukiejówki.

— **Bezpośrednia komunikacya towarowa.** Główny zarząd kolei żelaznych zawiadomił naczelnika kolei Południowo-Zachodnich o zezwolenie na bezpośredni przewóz towarów zagranicznych do stacyi kolei Zabajkalskiej, pod warunkiem, iż ładunki takie będą poddawane kontroli celnej w Irkucku.

— **Z powodu zamieci śnieżnych.** Z inicyatywy generał-gubernatora, administracya gubernialna zwróciła się do gubernialnego i powiatowych zarządów ziemskich gubernii kijowskiej z prośbą o niezwłoczne przedsięwzięcie środków w celu usuwania wielkich mas śniegu na drogach publicznych i oznaczenia dróg tych za pomocą wiech.

— **Nowe linie podjazdowe.** Komisya do spraw nowych kolei żelaznych rozpatrzyła i zaaprobowała projekty budowy następujących kolei podjazdowych: babińskiej odnogi kolejowej, według projektu Jaroszewskiego, odnogi Nizowskiej według projektu Suchanowa oraz linii podjazdowej od stacyi Lejpcigskaja, kolei Poł.-Zachodniej do m. Akermanu (projekt Maksimowa i inż. Jaroszewicza).

— ZAGADKOWY ZGON. Wczoraj z rana na stacyi Fastów znaleziono zwłoki jakiegoś niewiadomego mężczyzny, jak się zdaje, podróżnego. Zwłoki umieszczono w kaplicy przy kijowskim szpitalu kolejowym. Żandarmerya kolejowa prowadzi dochodzenie w celu wyjaśnienia osobistości i przyczyn śmierci nieznajomego.

— ARESZTOWANIE MORDERCY. Aresztowany został I. Chaskin, który d. 14 września w pobliżu t. zw. „Bosforu" na Dnieprze zamordował nożem I. Sabasiównę, o czem swego czasu donosiliśmy.

— W SPRAWIE KRADZIEŻY W SKLEPIE MARSZAKA. Wczoraj policya śledcza aresztowała posłańca, za pośrednictwem którego złodziej, który dokonał kradzieży brylantów w sklepie Marszaka, usiłował takowe sprzedać do magazynu Zołotnickiego. Na mocy zeznań tego ostatniego przy szosie kadeckiej aresztowano samego złodzieja K. Janowskiego.

— UJĘCIE RABUSIÓW. W powiecie czehryńskim aresztowani zostali trzej rabusie, którzy niedawno w pobliżu wsi Kamionka zrabowali poborcy monopolowemu I. Kirikeszy dość znaczną sumę pieniędzy. Nazwiska aresztowanych: I. Kostenko, A. Wysockij i I. Bogaczenko.

— KRADZIEŻE. Przy M.-Włodzimierskiej № 84 z mieszkania porucznika Krzyżanowskiego skradziono zegarek i rewolwer.

W domu № 77 przy Bulwarze-Bibikowskim okradziono na 127 rb. mieszkanie studenta Ponomarewa.

W domu № 22 przy ul. Bezakowskiej okradziono strych przy mieszkaniu A. Białobrzeskiej.

— ZGUBA. Pracujący w zarządzie Poł.-Zach. kolei żelaznej Cz. znalazł na ul. Fundukiejowskiej portmonetkę z kilku rublami i biletem słuchaczki wyższych kursów żeńskich Dubiller. Znalezione rzeczy zostały doręczone policyi cyrkułu pałacowego.

— W SPRAWIE DRAMATU NA PECZERSKU. Dramat, jaki miał miejsce na ulicy Milionnej zakończył się tragicznie. P. K. zmarł w szpitalu Aleksandrowskim nie przychodząc do przytomności. H. W. zeznała, iż oboje z K., postanowili razem umrzeć. K. miał ją zastrzelić, a potem sobie odebrać życie.

— TRUP. W podwórzu № 7 przy ul. Żylańskiej znaleziono zwłoki dwumiesięcznego chłopczyka. Trupa odwieziono do prosektoryum.

— POŻAR. W dniu 28-ym listopada z przyczyny niewiadomej wszczął się pożar w sklepie farb olejnych i obić Krasnikowa przy ul. Chorewej. Pożar został stłumiony przez padolski wydział straży ogniowej. Straty K. wynoszą 23,000 rb.

— ZAMACHY SAMOBÓJCZE. Ubiegłej nocy w domu № 34 przy ul. Funduklejowskiej otruła się słuchaczka wyższych kursów żeńskich E. M. Wezwane Pogotowie udzieliło jej pomocy.

Wczoraj w domu № 22 przy W.-Wasylkowskiej otruł się kwasem karbolowym młody subjekt Chalebski. Przybyły lekarz Pogotowia skonstatował śmierć.

— W SPRAWIE UCIECZKI WIĘŹNIÓW. Ucieczka dwóch więźniów z zamkniętej celi cyrk. bulwarowego w dalszym ciągu pozostaje zagadką. Jeden ze zbiegłych więźniów, którego udało się przyłapać, zeznał, iż się nazywa Lewanczukiem i że przed kilku miesiącami zbiegł z więzienia perejasławskiego.

Dyżurujący w nocy, w której dokonano ucieczki w celi zbiegłych więźniów — stójkowy Gamalej oświadczył, że jest winnym, iż podczas jego dyżuru więźniowie zbiegli. Dalszych zeznań, jak powiadają, G. odmówił.

Drugiego więźnia — Dudkę, dotychczas nie zdołano odszukać.

— WYBUCH W FABRYCE. D. 28-go b. m. w fabryce mechanicznej Gretera i Kriwaneka odbywało się stapianie starych pocisków armatnich. Przez nieuwagę wrzucono do pieca jeden pocisk, w którym znajdował się jeszcze proch. Nastąpił wybuch, wskutek którego piec rozleciał się w kawały, znajdujący się podówczas obok pieca robotnik Konowałow został osypany gradem kamieni, skutkiem czego doznał ciężkich uszkodzeń klatki piersiowej. Na odgłos wybuchu zbiegli się robotnicy, którzy z narażeniem życia wydostali Konowałowa z pod szczątków pieca. K. odwieziono do lecznicy prywatnej przy Bibikowskim Bulwarze № 4. Stan zdrowia jest niebezpieczny.

— ZAJŚCIE NA SKATING-RINKU. Onegdaj na skating-rinku przy ul. Mikołajowskiej zjawił się podchmielony O. K., który zaczął zaczepiać jeżdżące po torze osoby, wreszcie wyciągnął z kieszeni rewolwer. Administracya obezwładniła K. i oddała go w ręce policyi. Spisano protokół.

— ARESZT. Policya aresztowała wdowę po duchownym K. K., która przed paru dniami oblała kwasem siarczanym urzędnika zarządu gubernialnego O.

— POŻAR W KINEMATOGRAFIE. W kinematografie Marczenki przy G.-Wale № 6 zapaliła się onegdaj filma. Ogień stłumiono prędko.

Biuletyn Kijowskiej stacyi Meteorologicznej

Dnia 29 listopada (12 grudnia) 1911 r.

	g. 7 r rana	g. 1 po poł.	g. 9 wiecz.
Temp. pow. wedł. Cel.	−3,4	−3,8	−2,9
Barometr przy O w mm.	751,9	751,1	751,4
Stop. wilgotności w proc.	94	94	93
Kier. i szyb. wiat. (w m. sek.)	WPłdW₅	PłdW₂	PłdW₄
Chmur. wedł. 10 st. sys.	10	10	10
Ilość opadów w mm.	—	—	—

od g. 9-ej wieczr. do g. 9-ej wieczr.	
Najw. temp. powietrza w ciągu doby	−0,3
Najniższa	−4,7
Przeciętna tem. pow. w ciągu doby	−3,4
Wielol. przec. temp. pow. w ciągu doby	−3,6

Ogólny stan pogody w Europie z rana na podstawie telegramu głównego Obserwatoryum fizycznego:

Opady notowano w pasie północnym, miejscami na zachodzie i na poł.-zachodzie, sucho w pozostałych rejonach; temperatura niżej normy na wschodzie, na poł. wschodzie i po części w centrum; wyżej normy w pozostałych rejonach.

Spodziewana pogoda: ciepło i miejscami opady w zachodniej Rosyi, niewielkie mrozy i przeważnie sucho we wschodniej Rosyi.

Z SĄDOW.

Z powodu dwójki.

Wczoraj dwunasty wydział kijowskiego sądu okręgowego bez udziału sędziów przysięgłych rozpatrywał sprawę nauczyciela religii mojżeszowej w prywatnem gimnazyum żeńskiem Bratkowej, Januszpolskiego, oskarżonego o obrazę słowną nauczyciela matematyki tegoż gimnazyum Łukjanowa,

Rzecz się zaczęła od tego, iż nauczyciel matematyki postawił dwójkę jednej z uczennic klas wyższych, nauczyciel zaś religii mojżeszowej starał się wyperswadować swemu koledze, że wiadomości matematyczne owej uczennicy zasługują na nieco lepszy stopień.

Matematyk jednak nie zgodził się z dowodzeniami kolegi, oświadczywszy z całą stanowczością, iż stopnia nie zmieni.

W rezultacie pedagogowie nagadali sobie dużo przykrych słów, gdy zaś matematyk miał się już ku wyjściu, Januszpolski rzucił mu wślad słowa: „Ja pana wyrzucę z gimnazyum", do których dodał nadto kilka nader obraźliwych epitetów.

Za epitety te Łukjanow pociągnął krewkiego kolegę do odpowiedzialności sądowej.

Oskarżony p. Januszpolski do winy się nie przyznał, tłómacząc się, iż podczas owej sprzeczki z p. Łukjanowem, był do tego stopnia wzburzony, iż zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi.

Pomimo to sąd skazał go na 2 tygodnie aresztu.

Fałszywe próby.

W czasie jarmarku kontraktowego policya wykryła u kupca Noskina, handlującego w domu kontraktowym, kilka pierścionków, opatrzonych fałszywymi stemplami izby probierczej. Dochodzenie wykazało, że kilka z tych pierścionków wykonano w zakładzie jubilerskim W. Szychela w Berdyczowie.

Wczoraj sprawę tę rozpatrywał kijowski sąd okręgowy przy udziale sędziów przysięgłych, którzy po krótkiej naradzie uniewinnili oskarżonego jubilera.

Śmierć wskutek prądu elektrycznego.

Dnia 28 października roku zeszłego w łaźni K. Lisowa przy ulicy Moskiewskiej, w oddziale maszyn znaleziono bez życia pracującego tam robotnika P. Kanatowa.

Okazało się, iż został on zabity skutkiem dotknięcia źle izolowanego przewodnika elektrycznego. Dalsze dochodzenie wykazało, że w łaźni Lisowa izolacya przewodników elektrycznych nader szwankowała i nie była przez nikogo sprawdzana.

Wobec tego, właściciela łaźni K. Lisowa pociągnięto do odpowiedzialności sądowej za niestaranny dozór nad swem przedsiębiorstwem, co pośrednio spowodowało śmierć Kanatowa. Niezależnie od tego rodzina zabitego wdrożyła przeciwko oskarżonemu powództwo cywilne o 1200 rb.

Wczoraj sprawę powyższą rozpatrywał dwunasty wydział kijowskiego sądu okręgowego bez udziału sędziów przysięgłych.

Przedstawiciel powodów cywilnych adw. przys. Puchtiński oświadczył, iż strony już się pogodziły i rodzina zmarłego zrzeka się powództwa.

Po rozpatrzeniu sprawy sąd skazał właściciela łaźni na naganę i pokutę kościelną.

Z TEATRU I MUZYKI.

Kabaret.

We czwartek nastąpi otwarcie artystycznego kabaretu w ogrodzie zimowym Grand-Hotelu.

Kabaret urządzony będzie na wzór zagranicznych i wyróżniać się ma dobrym smakiem i doborem numerów.

W charakterze conferencier zostali zaangażowani pp. Sokolski i Diry.

Z petersburskiej operetki zaangażowano jednego z lepszych komików-buff Stefanowa oraz barytona Kruczynina, z warszawskiej zaś operetki teatru „Nowości", pannę Domańską.

PRZYJECHALI DO KIJOWA:

Hotel Europejski: pp. Durasow, obywatel; Christiansen, kupiec; Ottino, dyr. cukrowni; Degois Nossowicz, of. mar.; Makferson, dyr. cukrowni; Meller, inż.; J. Gromnicki, obywatel, z gub. wołyńskiej; bar. Taube; K. Chojecki, obywatel, z Humania; Nordheim, inżynier, z Filadelfii.

Hotel Continental: pp. Władysław Rogoziński z pow. berdyczowskiego; Mikołaj Szulgin; Helena Giżycka z gub. podolskiej; Aleksander Dzamnajew; Teodor Mirow; Teodor Metaksa-Papagatow z Warszawy; Włodzimierz Mesaksudi; Ludwik bar. Geyer z Warszawy; Kazimierz Przybysławski z Warszawy; Konstanty Podolski, adw. przys., z Żytomierza; Tadeusz Dunin-Karwicki.

Hotel François: pp. Józef Zaściński z Żytomierza; Emanuel Kruszelnicki; Jerzy Ołtarzewski z Czerkas; Artur Reich; Włodzimierz Ułaszyn z Winnicy; Adolf Kapman; Jan Tomicko; Paulina Tomicko.

Hotel Ermitage: pp. L. Karpiński, pułkownik, z Petersburga; Piotr Brigin; Jerzy Woronin, prof.; Mitr. Latalski; Eug. Latalska; Kazimierz Gabel, dyr. wierchn. cukrowni; Mikołaj Rybakow; Barbara Bierednikowa, artystka; Paweł Baratow, artysta; Aleksander Montanski, inżynier; Mikołaj Kornejczyk-Sewastjanow, adw. prz.; Jan Levittoux, dyr. bobr. cukrowni; B. Trochimowicz.

Hotel Hładyniuka: pp. Włodzimierz Robowski, inżynier; Anna Kostenecka z Konotopu; Anna Kotlarewa, P. Murachowski; Piotr Podwysocki, obywatel; Mikołaj Ławа z Białej Cerkwi; Cyprian Bortnowski z Petersburga; S. Bariewskij, adw. przys., W. Kowszun.

Hotel Francuski: pp. Jan Zorin, obywatel; Włodzimierz Wasilewski, obywatel; Franciszek Brandt, przem., z Fastowa; Tadeusz Młocki, obywatel, ze Steblowa; Sergiusz Saweljew, wojażer; Stefan Kosko, obywatel, z gub. podolskiej; Ryszard Linke, inżynier, z Rygi.

OFIARY.

W Redakcyi „Dzien. Kijowskiego" złożyli:

Na choinkę dla biednych dzieci: p. Bolek Unruh 50 kop.

Do uznania Tow. dobroczynności: p. Piotruś 100 rb.

Na wpisy do uznania Redakcyi: Zamiast telegramu gratulacyjnego w dniu ślubu 26 b. m. p. K. Orzechowskiego z p. H. Czuwasz pp. K. Radłowski 10 rb.; Marya Pieńkiewicz 2 rb.

Na kościół św. Mikołaja: p. M. G. (pamięci F. G. w rocznicę śmierci) 5 rb.

Wpłynęło do kasy Koła Kobiet Polek, za pośrednictwem p. Czachórskiej:

Na przytułek dzienny, zebrane z ofiarowanych fantów 130 rb., od p. Kazimiery Dyakowskiej 10 rb. na ubranka dzieciom p. K. Jakimowska 2 rb. 50 kop., na choinkę J. Z. 30 kop.

Na „salę zajęć": p. Kazimiera Dyakowska 10 rb.

Na instytucye „Koła Kobiet", za pośrednictwem p. Czaplińskiej zarząd fabryk Sitkowieckiej i Czupachowieckiej 50 rb.

Telegramy.

(Od korespondentów własnych i Agencyi Petersburskiej.)

Wojna włosko-turecka.

Rzym (Wł.). Lotnicy włoscy odkryli w pobliżu Trypolisu nowy obóz turecki. Z aeroplanów zaczęto rzucać do obozu pociski, które zniewoliły turków do cofnięcia się.

Rzym (Wł.). Wczoraj w Dernie odbyła się wielka bitwa. Włosi stracili 500 zabitych i rannych.

Konstantynopol (Wł.). Na skutek perswazyi ambasadora niemieckiego, rząd turecki cofnął swe postanowienie wydalenia z granic państwa 8,000 włochów.

Medyolan (Wł.). Do gazety „Avanti" donoszą, że z Rzymu wydalono korespondenta „Rieczi" Rissa, który utrzymywał, że Włochy nie posiadają dostatecznych funduszów dla kolonizacyi Trypolisu.

Rewolucya w Chinach.

Pekin (AP). Onegdaj wieczorem do Czańkou przybyła komisya Tan-Szaoja. Narady rozpoczną się jutro. W razie nalegania ze strony republikanów, komisya otrzymała polecenie wyrażenia swej zgody nawet na proklamowanie republiki, pod warunkiem jednak zabezpieczenia pod względem materyalnym i zagwarantowania bezpieczeństwa rodziny cesarskiej.

Mansi (AP). Wojska rządowe nacierają na Taj-Juań-Fu. Rewolucyoniści cofają się. Wysłany z Taj-Juań-Fu w celu bronienia europejczyków w Tiań-Fu oddział angielski zmuszony został do cofnięcia się.

Szanchaj (AP). Według obiegających pogłosek w Szań-Dunie gromadzi się znaczny oddział wojsk rządowych. Wojska te mają zamiar wspólnie z generałem Czżanem zdobyć Nankin.

Szanchaj (AP). Prowincya Czżeń-Tsian ma zamiar zaciągnąć gwarantowaną przez kolej Szanchaj-Chań-Czżou pożyczkę na cele wojenne w wysokości 7 milionów lanów. Rokowania toczą się z bankiem amerykańskim w Szanchaju. Wynik rokowań jest wątpliwy.

Szanchaj (AP). Aresztowano kilku chińczyków podejrzewanych o szpiegostwo.

Proces.

Warszawa (Wł.). W sądzie wojennym przy drzwiach zamkniętych toczy się proces 67 oskarżonych o należenie do P. P. S., o szereg zamachów i zabójstw, oraz rabunek kas gminnych. Rozprawy potrwają dwa tygodnie.

Ekspropryatorzy.

Warszawa (Wł.). Wczoraj o godz. 3-ej m. 30 po południu pomiędzy stacyami Rogowem a Pływą Warsz.-Wiedeńskiej kolei żelaznej, kilkunastu młodych ludzi, uzbrojonych w mauzery i browningi, steroryzowawszy służbę, zatrzymało hamulcem automatycznym pociąg osobowy, rozbiło młotem 18 kasetek z pieniędzmi kolejowemi, zrabowało znaczną, dotąd nieobliczoną sumę i zbiegło do lasu. Wszyscy bandyci byli bardzo przyzwoicie ubrani. Z kasetek zabrali tylko banknoty i złoto.

Zarządzono energiczny pościg, w którym bierze udział policya i wojsko.

Zwołanie sejmu.

Lwów (Wł.). Sejm galicyjski zwołany będzie d. 11 stycznia n. st. 1912 r.

Siczyński w Kanadzie.

Wiedeń (Wł.). Do gazety „Tageblatt" donoszą z Londynu, że Siczyńskiemu udało się bez przeszkód wylądować w Nowym-Jorku, skąd przez nikogo nie poznany wyjechał on do Kanady.

Konwencya cukrownicza.

Bruksela (Wł.). Na posiedzeniu wtorkowem komisya cukrownicza uzasadniała wniosek, umożliwiający odnowienie układu międzynarodowego po dniu 1 września 1913 r.

Wniosek ten uzyskał uznanie większości obecnych delegowanych, ponieważ jednak niektórzy delegaci nie posiadali upoważnienia do przyjęcia podobnego zobowiązania, uchwalono zwołać nowy zjazd w dniu 29 stycznia 1913 r. w celu ostatecznego uchwalenia postawionych na porządku dziennym kwestyi oraz ewentualnego podpisania nowej konwencyi.

Obchód Lipińskiego.

Wilno (Wł.). W dniu 3-im grudnia odbędzie się obchód 50-letniej rocznicy śmierci skrzypka-kompozytora Karola Lipińskiego.

Z Persyi.

Teheran (AP). W dniu 29-ym b. m. miała się odbyć w medżylisie prezentacya zreformowanego gabinetu Samsam-us-Saltaneha. Prezentacya urzędowa została odłożona wobec tego, iż Chakkim-ul-Mulk waha się przyjąć tekę ministra finansów.

Według pogłosek grupa fidajów zażądała od medżylisu utworzenia w ciągu 30 godzin silnego rządu i udzielenia mu pełnomocnictwa na przywrócenie normalnych stosunków z państwami cudzoziemskiemi, zaciągnięcie pożyczki zewnętrznej, wotowanie budżetu i rozwiązanie medżylisu.

Aschabad (AP). Sytuacya w Chorasanie ostatnimi czasy bardzo się pogorszyła. Rabunki na wszystkich drogach stale się powtarzają. W Meszedzie ujawniono agitacyę licznych wychodźców kaukazkich, którzy wspólnie z rewolucyonistami podburzają ludność przeciwko cudzoziemcom. Zwłaszcza energicznie agituje Musztechid-Aga-Zade; urządził on w głównym meczecie zebranie, na którem otwarcie nawoływano ludność do walki z niewiernymi i rozdawano broń rządową. Utworzono tajny komitet w celu organizowania napadów na instytucye rosyjskie i poddanych rosyjskich.

Z parlamentu angielskiego.

Londyn (AP). Izba gmin. Przedstawiciel rządu, odpowiadając na interpelacyę o osadzeniu na posadach rządowych w Persyi cudzoziemców, oznajmił, iż żądania Rosyi polegają na tem, aby rząd perski nie mianował cudzoziemców, nie otrzymawszy na to zgody misyi angielskiej i rosyjskiej.

Katastrofy.

Oporto (AP). Podczas katastrofy tramwajowej 16 osób zostało zabitych, 30 odniosło rany.

Londyn (Wł.). Sprawca zamachu dynamitowego w kinematografie, z powierzchowności robotnik, przed śmiercią oznajmił, że nikt się nigdy nie dowie jego prawdziwego nazwiska. Dotychczas zaregestrowano 40 ciężko rannych z poszarpanemi kończynami. Przyczyna zamachu nie jest znana.

Choroba Tarnawskiej.

Rzym (Wł.). W więzieniu ciężko zachorowała Tarnawska. Chorą przeniesiono do kliniki, gdzie dokonana zostanie operacya. Ciężkie cierpienia wywierają ujemny wpływ na władze umysłowe chorej.

Zmiany.

Berlin (Wł.). Usuwa się z zajmowanego stanowiska ambasador rosyjski hr. Osten-Sacken. Jego prawdopodobnym następcą jest gen.-major Tatiszczew.

Podróż Sazonowa.

Berlin (AP). Przybył tutaj Sazonow. Wieczorem odjechał on do Petersburga.

Dymisya gabinetu.

Cetynia (AP). Wobec tego, iż prezydentem skupczyny wybrany został kandydat opozycyi, gabinet Tomanowicza podał się do dymisyi.

Rosya a Dardanele.

Konstantynopol (AP). Prasa turecka w dalszym ciągu omawia sprawę pogodzenia interesów rosyjsko-tureckich, a w tej liczbie kwestyę cieśnin. Pisma zaznaczają, że gabinet petersburski nie zechciał podnosić sprawy cieśnin w czasie, kiedy Turcya zaabsorbowana jest wojną z Włochami. Potwierdza się pogłoska, że sprawa cieśnin omawiana była prywatnie przez ambasadora rosyjskiego oraz dygnitarzy tureckich.

Podróż cesarza Wilhelma.

Berlin (Wł.). W styczniu r. p. cesarz Wilhelm uda się w podróż po morzu Śródziemnem.

Pożar.

New-York (Wł.). W Lunaparku na wyspie Loneya wybuchł olbrzymi pożar, który zagraża całej wyspie.

Militaryzm.

Berlin (Wł.). Niemiecki budżet wojskowy preliminuje wielkie, niebywałe dotąd kredyty na wzmocnienie armii.

Odpowiedź Hiszpanii.

Madryt (AP). Minister spraw zagranicznych wręczył ambasadorowi francuskiemu Geofrey'owi odpowiedź Hiszpanii.

Z parlamentu francuskiego.

Paryż (AP). Izba deputowanych. W czasie rozważania preliminarza budżetowego ministerstwa marynarki została poruszona kwestya prochu. Jaures mówił o konieczności zabrania ze statków obecnego prochu. Delcassé oznajmił, iż zapasy pierwszej eskadry są dobre. Mogła tylko powstać wątpliwość co do zapasów eskadry drugiej. Została zorganizowana naściślejsza kontrola. Proch sfabrykowany do r. 1907 został wywieziony ze statków i złożony w laboratoryach.

Po wzajemnej wymianie ostrych słów pomiędzy Jaures'em i Delcassém preliminarz budżetowy ministerstwa marynarki został przyjęty.

Kosztowności Abdul-Hamida.

Paryż (AP). Licytacya kosztowności Abdul-Hamida przyniosła siedem milionów franków.

Na Bałkanach.

Konstantynopol (AP). Zamiast Riffaatabaszy na posła od m. Konstantynopola został wybrany dziennikarz Tachir-Chair-Eddin, kandydat opozycyi, członek partyi jedności liberalnej.

Sofia (AP). Deputacya członków „sobrania" narodowego złożyła Ferdynandowi odpowiedź na mowę tronową.

Wysłuchawszy deputowanych, Ferdynand wskazał na konieczność zlania się pokrewnych sobie grup politycznych.

Ucieczka rządu.

Rio-de-Janeiro (AP.) Członkowie rządu stanu Pernambuco opuścili cichaczem gmach rządowy i zniknęli bez wieści.

Wyrok.

Petersburg (AP). Sąd wojenno-morski skazał Boströma na usunięcie w drodze dyscyplinarnej ze stanowiska, komendantom zaś statków: „Pantelejmon" i „Jewstafij" Tregubowowi i Klupfelowi postanowił udzielić wymówki. Oficerowie Iljin, Wiren i Adamowicz zostali uniewinnieni.

Nowy rektor.

Petersburg (AP). Akademia sztuk pięknych wybrała Benoist rektorem wyższej szkoły sztuk pięknych.

Zjazd związku nar. rosyjskiego.

Moskwa (AP). Zjazd przedstawicieli związku nar. rosyjskiego przyjął szereg rezolucyi, dotyczących subsydyowania przez bank państwa założonych przez związek towarzystw wzajemnego kredytu, oraz ograniczenia inorodców na kolei poł.-zachodniej. Związek zabiega o wprowadzenie do Dumy posłów z nominacyi.

Różne.

Paryż (Wł.). Królowa hiszpańska powiła córkę.

Giełda Petersburska.

Dnia 29 listopada 1911 r.

Weksle terminowe na Londyn 3 m 10 f. st.	94.725
" czeki za 10 f. st.	—.—
" na Berlin 3 m. za 100 m.	46.30
" czeki za 100 mar.	—.—
" na Paryż 3 m. za 100 fr.	37.53
" czeki za 100 fr.	—.—
Dyskonto giełdowe	—.—
4% Państwowa renta	92 3/4
5% Pożyczka 1905 r.	103 3/4
5% Pożyczka 1908 r.	103 1/2 – 104
4 1/2% Pożyczka 1905 r.	100
4% Pożyczka 1906 r.	103 3/8
4 1/2% Pożyczka 1909 r.	100
4% Listy zast. Szlach. Banku.	90 3/4
4 1/2% Listy zast. Szlach. Banku Ziem.	91 1/2—95
5% " " "	99 1/2
4% Świadectwa włościańskie	92—92 1/2
4 1/2% " "	96—96 1/2
5% Świadectwa włościańskie.	100
5% Pożyczka prem. 1864 r	482
" " 1886 r.	370 1/2
5% Obl. prem. Szlach. Banku	324
3 1/2% Listy Zast. Szlach. Banku Ziem.	85 1/4
4 1/2% Oblig. Petersb. M. Kred. T-a	89—89 1/2
5% Oblig. Kijowsk. M. Kred. T-wa.	90—91
4 1/2% " "	85 1/2—86 1/2
5% Oblig. Moskiewsk. Kred. T-a.	100—101
4 1/2% " "	91—92
5 1/2% Oblig. Odesk. Kred. T-a	93 1/2—94 1/2
4 1/2% " Besar.-Taur. B. Ziem.	86 3/4—87 1/2
4 1/2% " Wileńsk. Ban. Ziem.	86 1/2—87 1/2
4 1/2% " Dońsk.	85—85 3/4
4 1/2% Kijowsk. Banku Ziem.	87 1/2—88 1/4
4 1/2% Moskiewsk. "	88 1/4—88 1/2
4 1/2% Niż.-Samar. "	86 3/4—87 1/2
4 1/2% Połtawsk. "	86 3/4—87 1/2
4 1/2% Tulsk. "	88 1/4—89
4 1/2% Charkowsk. "	86 3/4—87 1/2
4 1/2% Listy Zast. Chers. Banku Ziem.	86 3/4—87 1/2
Akcye 1-go T-a Żegl. po Dnieprze.	—
" 2-go " " "	—
Akcye T-a Kaukaz i Merkury.	—
Akcye Rosyjsk. T-a Żegl. Handl. Czarn.	—
" Ros. T-a transport. i asekur.	—
" T-a Ubezpieczeń „Rosya"	—
" Mosk.-Kazańskiej kolei	498—500
" Mosk. K. Worones. kolei	719—720
" Mosk. Wind. Rybińsk.	153—154
" Poł.-Wschod. kolei	226 1/2—227 1/2
" Azowsko-Dońsk.	588—590
" Wołsko-Kamsk. b.	1008—1013
" Rosyjsk. dla Handlu Zewn.	393—391
Akcye Ros. Chińsk.	—
" Ros. Handl. Przemysł.	350—351
Akcye Petersb. Międzynar. Komerc.	532—534
" Petersb. Dyskont. Pożyczk.	524—526
" Petersb. Prywatn.-Kom.	286—287
" Banku Zjednoczonego.	299—301
" Kijowsk. Pryw. banku handl.	—
" Besarabsko-Tauryck.	675—680
" Wileńsk. Ziemsk. Banku	620—625
" Dońsk. Banku Ziemsk.	639—644
Akcye Kij. Banku Ziemskiego	720
" Moskiewsk. "	753—758
" Niżegor.-Samar. "	707—712
" Połtawsk. "	596—600
" Petersb.-Tulsk. "	465
" Charkowsk. "	467—472
" Bakińsk. T-a Naftow.	432—434
" Kaspijsk. T-wa	1520—1530
" Naft. i Handl. T-a Mantasz. i Ko.	285—287
" Naft. T-a Br. Nobel.	11700—11750
Udziały Tow. Naft. Br. Nobel.	—
" Briańsk. Kopalni Węgla	—
" Briańsk. Fabr. szyn	176—177
" Naft. T-wa Hariman	255—257
" Kołomieńsk. Fabryki	245 1/2—247
" Fabr. Malcewsk.	1055—1060
" Petersbursk. Metalurg.	204—206
" Nikopol-Mariupolsk.	185—186
" Putiłowsk.	143—144
Udziały Rosyjsk. Bałt. Fabryki.	—
" Ros. Fabr. lokomot. (Bue).	211—213
" T-a Odlewni stali „Sormowo"	135—135 1/2
Akcye Fabr. Wag. Feniks.	270—272
" T-a „Dwigatiel"	—
" Dońsk-Jurjewsk. Metal. T-a.	280—282
" Ros. kop. złot.	—
" Leńsk. Tow. kop. zł.	—

Usposobienie z walorami państwowymi spokojne, ale stałe; z papierami dywidendowymi słabsze.

GIEŁDA ZBOŻOWA.

(Telegram specyalny)

Czystopol.—Żyto włościańskie w nat. 106/110 zoł. 1 rb. 02 — 1 rb. 03 kop.; owies włościański w nat. 50/60 zoł. 45—60 kop.; mąka żytnia 10 rb. 10 kop.; gryka 75—78 kop.; groch młynkowany 85—95 kop.; siemię lniane 1 rb. 70 kop.

Rewel.—Żyto 1 rb. 09—1 rb. 11 kop.; owies zwyczajny 88—92 kop.

Ryga.—Żyto 1 rb. 05 — 1 rb. 06 kop.; owies zwyczajny 90—91 kop.; siemię lniane 2 rb. 12—2 rb. 13 kop.; makuchy lniane 1 rb. 32 — 1 rb. 33 kop.

Odesa.—Pszenica ulka 1 rb. 15 kop.; żyto 90 kop.; owies zwyczajny 88 kop.; jęczmień pastewny 96 kop.

Z ostatniej chwili.

Wojna włosko-turecka.

Benghasi (AP). D. 29 b. m. w nocy turcy dokonali napadu na przednie pozycye włoskie, lecz po zażartej bitwie zostali odparci bagnetami. Turcy stracili 36 zabitych, włosi zaś—trzech zabitych i 12 rannych.

Konwencya cukrownicza.

Bruksela (Wł.). Stała komisya cukrownicza przerwała w dniu wczorajszym swe posiedzenia do 29 stycznia n. st. 1912 r. Powodem odroczenia posiedzeń było stanowisko delegatów niemieckich, którzy nie chcą się zgodzić na żadne ustępstwa dla Rosyi.

Z izby posłów.

Waszyngton (AP). Komisya izby posłów do spraw zagranicznych przyjęła wniosek Sulczera, żądający natychmiastowego skasowania zawartej z Rosyą w r. 1832 umowy. Przyczyną tego kroku jest odmowa rządu rosyjskiego uznania wydawanych żydom paszportów amerykańskich.

Skutki demonstracyi.

Lwów (Wł.). W związku z onegdajszemi demonstracyami aresztowano pod zarzutem gwałtu kilkunastu studentów.

Z izb prawodawczych.

Petersburg (Wł.). Duma rozpuszczona zostanie na ferye świąteczne d. 10-go grudnia, Rada Państwa zaś 20-go grudnia. Przed rozpuszczeniem Rada uchwali reformę budżetu, prawo o strajkach oraz projekt powiększenia pensyi nauczycieli średnich zakładów naukowych.

Z prawodawstwa.

Petersburg (Wł.). Ministerstwo przemysłu i handlu zaproponowało komisyi rolniczej Rady Państwa rozciągnąć moc prawną projektu asekuracyi robotników na wszystkie kategorye robotników.

Z komisyi interpelacyjnej.

Petersburg (Wł.). Po rozważeniu interpelacyi o fałszowaniu cenzusów wyborczych do Dumy Państwowej, komisya interpelacyjna znaczną większością głosów uznała zarzuty za niesłuszne i odrzuciła interpelacyę.

Wobec niesłuszności zarzutów, komisya postanowiła zwrócić się do prezydenta Dumy z prośbą postawienia interpelacyi na porządku dziennym najbliższego posiedzenia Dumy.

Skutki wybuchu.

Petersburg (Wł.). Stwierdzono, iż podczas wybuchu w mennicy nie ucierpiały żadne papiery wartościowe. Uszkodzone zostały niektóre papiery, nie posiadające większego znaczenia.

Wobec skupu kolei.

Petersburg (AP). Wobec tego, iż akcyonaryusze kolei Warsz.-Wiedeńskiej zwracają się do ministerstwa skarbu z zapytaniami w sprawie skupu kolei, ministerstwo skarbu komunikuje, iż wszelkie nieporozumienia i wątpliwości w tej sprawie powinny być rozstrzygane przez radę zarządu towarzystwa, nie zaś przez rząd.

NADESŁANE.

Podziękowanie.

Zarząd Koła kobiet niniejszem składa najserdeczniejsze podziękowanie wszystkim, co zechcieli przyjąć udział w wykonaniu i zorganizowaniu zabawy dziecinnej, która się odbyła w lokalu polskiego Tow. gimnastycznego d. 21 listopada.

Przedewszystkiem więc p. W. Knothowej za świetne opracowanie i wypowiedzenie pogadanki o Ameryce, p. Ali Knollównie za wygłoszenie bajek, „Kołu literatów" za uprzejme bezinteresowne udzielenie latarni, p. Annie Meyer za zorganizowanie i zajęcie się krakowiakiem, wykonanym przez dzieci, p. M. Piotrowskiemu za prowadzenie tańców, p. Gulbińskiej i p. Kowalskiej za organizowanie gier dla młodszych dzieci, p. H. Graff i p. Kleczyńskiej za sprzedaż biletów.

E. BLAND. 3)

W ciemności.

(Dokończenie).

— Czy to wszystko?—zapytałem.

— Nie—odparł odrazu Haldane.—Jeszcze raz do mnie powrócił. Było to w wagonie. Zasnąłem, a gdy się obudziłem, leżał na przeciwległej ławce, taki sam, zimny, sztywny i twardy. Wyrzuciłem go przez okno w tunelu Red Hill. A jak jeszcze raz go zobaczę, to sam wywędruję na tamten świat. Nie mogę tego znieść. Wolę umrzeć. Tam przynajmniej takich rzeczy niema. Zostawiamy je tu w trumnach i grob ch... Ty myślisz, żem zwaryował, ale nie. Nie możesz mi pomódz, ani ty, ani nikt. On wiedział, widzisz. Powiedział, że nie potrafię pozbyć się ciała, no, i nie mogę. On wiedział. On zawsze wiedział to, czego nie mógł wiedzieć. Ale ja zwyciężę, mam asa atutowego i tego zagram przy pierwszej sposobności. Daję ci słowo honoru, Winston, że nie zwaryowałem.

— Mój drogi chłopcze—rzekłem—wcale nie myślę, że zwaryowałeś, ale za to pewny jestem, że nerwy ci nie dopisują. I moje trochę są w nieporządku. Czy wiesz, dlaczego pojechałem do Indyi? Oto przez nią i przez ciebie. Nie mogłem na to patrzeć, pomimo, iż życzyłem ci jak najlepiej, o czem zresztą dobrze wiesz. A gdy wróciłem, ona—i ty—no, razem musimy z tego wybrnąć. Nie będziesz o tem rozmyślać, mając mnie do rozmowy. A zawsze byłeś przecież dzielnym chłopcem.

— Ona cię lubiła.

— Tak, wiem, że mnie lubiła.

III.

I tak pojechaliśmy razem za granicę. Jak najlepsze miałem dla niego nadzieje — taki zawsze był zdrów i silny. Nie mogłem też uwierzyć, aby zwaryował na dobre i na zawsze. W każdym razie wywiozłem go, aby odzyskał równowagę umysłową, tak, jak byłbym go po tyfusie wywiózł. Jakoż uspokoił się znacznie, a po paru miesiącach nawet humor odzyskał, tak, iż sądziłem, że jest wykurowanym. I cieszyłem się z tego, i z przyjaźni dla niego, i dlatego, że ona go kochała.

Nigdy nie mówiliśmy o Visgerze. Sądziłem, iż zapomniał o nim i że cała straszna historya, którą mi opowiadał, była wynikiem chorej jego wyobraźni, podsuwającej mu okropności, dzięki nienawiści jego do tej obrzydliwej osobistości. Zapanowałem też i nad własnym smutkiem, tak, że dość wesoło spędziliśmy razem tych kilka miesięcy.

Nareszcie przybyliśmy do Bruges, a straszne tam było przepełnienie z powodu wystawy, tak, że tylko jeden pokój o jednem łóżku znaleźliśmy i ciągnęliśmy losy, kto ma dostać łóżko, a kto ma spać na fotelu. Kołdrami i prześcieradłami mieliśmy podzielić się sprawiedliwie.

Wieczór spędziliśmy w café-chantant, a zakończyliśmy go w piwiarni i późno powróciliśmy śpiący i pomęczeni do hotelu. Rozmawialiśmy chwilę jeszcze o weneckim wyglądzie kanałów, poczem Haldane położył się do łóżka, a ja zwinąłem się w kłębek na fotelu. Nie było mi wygodnie, ale dzięki zmęczeniu sen mnie morzył i już prawie zasypiałem, gdy towarzysz mój zaczął mi mówić o swoim testamencie.

— Wszystko tobie zapisałem — rzekł — bo wiem, że zaufać ci mogę i że wolę moją spełnisz.

— Dobrze, ale pomówimy o tem jutro rano, jeśli nic nie masz przeciwko temu, bo dzisiaj okropnie spać mi się chce.

Ale on gadał dalej, unosił się nademną, jakim to ja dobrym byłem mu przyjacielem, aż mu powiedziałem, że dosyć mam tego i kazałem mu spać. Ale nie, niewygodnie mu było i pić mu się chciało, a zauważył, że w karafce nie było wody, ta zaś, którą dzbanek zawierał, podobna była do pomyj.

— No, to zapal świecę — rzekłem — i idź sobie po wodę, a mnie daj spać na miłość Boską.

— Nie, ty zapal — odparł. — Nie mogę wstać po ciemku. Mógłbym potknąć się o coś, albo stąpić na coś, czego przedtem nie było.

— Otóż to, wstąpisz pewnie na swoją prababkę—ale pomimo to zapaliłem świecę.

On siedział na łóżku blady i z iskrzącemi się oczami.

— Tak lepiej—rzekł drżącym głosem.— Patrz no! Co to jest? Aha! widzę — dziwny mają tu sposób znaczenia bielizny. Myślałem, że to krew.

Prześcieradło miało znak nie w rogu, jak u nas, lecz po środku, i wielkimi krzyżykami z czerwonej bawełny.

— Dziwny znak — zauważył Haldane. — G. V.

— Grande Vigne—wyjaśniłem.—Całkiem rzecz naturalna. Cóżbyś innego chciał? No, śpiesz się.

— Nie, chodź ty ze mną. Tak, Grande Vigne, naturalnie.

— Sam pójdę i przyniosę ci wody—rzekłem, wstając.

W jednej chwili wyskoczył z łóżka i stanął przy mnie.

— Nie, ja sam w ciemności nie zostanę.

— No, to chodź ze mną.

Po drodze żartowałem z jego długich włosów i z kroju jego nocnej bielizny, ale nie sporo mi to szło, bo widziałem, że cały mój trud nadaremny był i że wcale go nie wykurowałem.

Zeszliśmy na dół i wzięliśmy karafkę z wodą ze stołu w jadalnej sali. Z początku trzymał mnie za rękę, potem wziął odemnie świecę i szedł bardzo powoli, rozglądając się wkoło, jak gdyby spodziewał się zobaczyć coś, czego za nic w świecie widzieć nie chciał. Ja zaś wiedziałem, czem było to coś i zachowanie jego bardzo mi się nie podobało. Oglądał się co chwila poza siebie, tak, jak owego wieczora po moim powrocie z Indyi.

Tak mnie to zdenerwowało, że zaledwie zdołałem trafić do naszego pokoju, a wszedłszy, sam prawie spodziewałem się ujrzeć to coś, na dywanie przed kominkiem. Ale oczywiście nic nie było. Zgasiłem świecę i owinąłem się kołdrą, którą ciągnąłem za sobą przez cały czas naszej wyprawy. Szukałem na omacki fotelu, gdy Haldane się odezwał.

— Zabrałeś mi moją kołdrę.

— Nie, nie zabrałem, mam tylko swoją.

— Nie mogę jej znaleźć i zimno mi. — Słyszałem jak szczękał zębami. — Zimno mi— na miłość Boską! Zapal świecę! Zapal świecę! Zapal! Coś strasznego.

A ja zapałek znaleźć nie mogłem.

— Zapal świecę! zapal świecę! Jak nie zapalisz, to on do mnie przyjdzie. To tak łatwo przyjść w ciemności. Winston, zlituj się, zapal świecę! O mój Boże, ja nie mogę umierać po ciemku.

— Ależ zapalam ją — rzekłem, szukając zapałek na komodzie, na kominku, wszędzie — tylko nie tam, gdzie je położyłem, na stole pośrodku pokoju.

— Wcale umierać nie będziesz — dodałem — nie bądźże głupim. Zaraz świecę zapalę.

— Zimno mi, zimno mi, zimno mi — trzy razy powtórzył, potem krzyknął przeraźliwie. Raz już krzyk ten słyszałem przedtem.

— Co ci jest? — zawołałem. — Nie hałasuj że tak. Co jest? — Milczenie panowało przez chwilę, potem rzekł powoli:

— To Visger.

— Niewiedzieć co? Gdzie? — zapytałem, trafiając nareszcie na pudełko z zapałkami.

— Tu! — wrzasnął nieludzkim głosem.— Tu, w łóżku, obok mnie.

Zapaliłem świecę i zbliżyłem się do niego.

Leżał nieżywy na samym brzegu łóżka. Poza nim zaś wyciągnięty był trup, blady i zimny już.

Haldane umarł w ciemności.

Wszystko to było bardzo proste.

Trafiliśmy do innego pokoju, a ten, który go zamieszkiwał, skończył był przedtem na udar sercowy. Był to francuski *commis-voyageur*, nazwiskiem Feliks Leblanc.

Powróciwszy do Anglii, ostrożnie przeprowadziłem śledztwo. W tunelu Red Hill znaleziono rzeczywiście ciało jakiegoś kupca, Simmonsa, który z powodu złych interesów struł się kwasem solnym w wagonie.

Postarałem się też, aby inspektor policyi obecnym był przy otwieraniu pak i kufrów, które po moim przyjacielu odziedziczyłem.

Jedna z tych pak, blachą wybita, zawierała futra, które mu z Indyi, jako prezent ślubny posłano. Gdy ją jednak otworzono, znaleziono zamiast skór ciała dwóch mężczyzn. Jednego z nich rozpoznano, jako urzędnika z City, który cierpiał na epilepsyę. Musiał umrzeć podczas ataku swojej choroby. Drugi był George Visger.

Rozkład jazdy pociągów.
Od 15-30 października 1911 r.

Na kol. Połudn.-Zachodnich:

Nr 1. Kuryer I i II kl. Odesa, Elizawetgrad, Kiszyniów — odchodzi o godz. 9 w., przychodzi o godz. 9 m 33 z rana.

Nr 3. Pocztowy I, II i III kl. Odesa, Brześć, Białystok, Warszawa, Grajewo, Humań, Nowosielice — odchodzi o godz. 9 m. 35 z rana, przychodzi o godz. 8 m. 39 wiecz.

Nr 5. Osobowy I, II i III kl. Odesa, Nowosielice, Humań — odchodzi o godzinie 1 w nocy, przychodzi o godz. 6 m. 15 z rana.

Nr 7. Osobowy I, II i III kl. Odesa, Wołoczyska, Wiedeń — odchodzi o g. 9 m. 35 wieczorem, przychodzi o g. 8 m. 48 z rana.

Nr 9. Kuryer I i II kl. Koziatyn, Brześć, Warszawa, Kalisz, Wiedeń— odchodzi o g. 7 m. 35 wieczorem, przychodzi o godz. 10 m. 37 z rana.

Nr 19/6. Osobowy I, II i III kl. Mikołajów, Elizawetgrad, Znamenka, Fastów — odchodzi o g. 4 m. 40 pp., przychodzi o godz. 12 m. 55 z rana.

Nr 17/4. Pocztowy I, II i III kl. Elizawetgrad, Znamenka, Fastów — odchodzi o godz. 11 m. 35 wieczorem, przychodzi o godz. 7 m. 46 z rana.

Nr 29. Osobowy I, II i III kl. Równe, Radziwiłłów, Wiedeń — odchodzi o godz. 7 m. 50 wieczorem, przychodzi o g. 10 m. 22 z rana.

Nr 11. Kuryer I, II i III kl. Sarny, Wilno, Petersburg odch. o g. 9 m. 25 z rana, przychodzi o godz. 9 m. 11 wieczorem.

Nr 13. Osobowy I, II i III kl. Warszawa, Sarny, Kowel, Wilno — odchodzi o godz. 12 m. 35 wieczorem, przychodzi o g. 6 m. 27 z rana.

Nr 3. Pocztowy I, II i III kl. Warszawa, Sarny, Kowel, Iwangród, Granica, Wiedeń — odchodzi o g. 2 m. 35 po poł., przychodzi o godz. 4 m. 37 po poł.

Nr 5. Osobowy I, II i III kl. Kowel, Brześć, Białystok, Grajewo — odchodzi o godz. 11 m. 55 w nocy, przychodzi o g. 7 m. 37 z rana.

Nr 21 2. Osobowy I, II i III kl. Rostów nad Donem, Sewastopol, Mikołajów, Ekaterynosław, Znamenka, Fastów—odchodzi o g. 8 m. 20 z rana, przychodzi o godz. 10 m. 17 w.

Nr 19/6. Osobowy I, II i III kl. do Olszanicy odch. o g. 4 m. 40 po południu, przychodzi o godz. 9 m. 20 z rana.

Nr 15/10. Osobowy I, II i III kl. do Białej Cerkwi odchodzi o godz. 10 m. 30 z rana, przychodzi o godz. 6 m. 10 z rana.

Nr 15. Towarowo-osobowy II i III kl. do Odesy odchodzi o g. 10 m. 30 z rana, przychodzi o godz. 10 m. 17 z rana.

Towarowy pośp. IV kl. Sarny, Kowel — odchodzi o godz. 10 m. 30 wieczorem, przychodzi o godz. 7 m. 18 z rana.

Tow.-osobowy tylko IV kl. Odesa Brześć, odchodzi o g. 9 m. 55 wiecz., przychodzi o g. 12 m. 37 po poł.

Na kolei Moskiewsko-Kijowsko-Woroneskiej.

Pośpieszny I, II i III kl. Moskwa via Konotop, Briańsk odchodzi o g. 12 m. 30 po poł., przych. o godz. 5 m. 10 wieczorem.

Pocztowo-osobowy. I, II i III kl. Moskwa via Konotop, Briańsk — odch. o godzinie 12 m. 10 w nocy przychodzi o g. 5 m. 40 z rana.

Osobowy I, II i III kl. Kursk — Woroneż odchodzi o g. 1 m. 5 po poł., przych. o g. 7 z rana i o g. 4 15 po południu.

Pocztowy I, II i III kl. Kursk, (od Kurska Towarowo-osobowy) odchodzi o g. 10 m. 50 wiecz. przychodzi o g. 9 m. 45 z rana.

Osobowy. I, II i III kl. Kursk, Woroneż, Petersburg via Bachmacz, Żłobin, Witebsk odch. o g. 7 m. 15 wieczorem, przychodzi o godzinie 7 z rana.

Osobowy. Kursk, Woroneż, Petersburg, odchodzi o godz. 10 m. 50 w., przychodzi o g. 4 m. 25 po poł.

Pośpieszny I, II i III kl. Połtawa, Charków, Łozowaja, Rostów n/D, odchodzi o g. 6 m. 45 wiecz., przychodzi 12 m. 25 w poł.

Osobowy. I, II i III kl. Połtawa, Charków, Łozowaja, Rostów n/D, odchodzi o g. 11 m. 20 w., przych. o g. 6 m. 30 z rana.

Tow.-osobowy. II i III kl. Połtawa, Charków, Łozowaja, Rostów n D., odchodzi o g. 7 m. 50 z rana, przychodzi o g. 11 m. 25 wiecz.

Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Zieliński.

Drukarnia Polska w Kijowie, ulica Kreszczatyk № 38.

Wydawcy: Tomasz Michałowski. Antoni Czerwiński.



Bohdan Zaleski w Warszawie.

(1822—1831).

Było to dnia 8 września 1820, kiedy bryczką, ciągnioną przez dwa dziarskie konie ukraińskie, przybyli do stolicy Królestwa polskiego dwaj młodzieńcy, którzy mieli zajaśnieć na kartach literatury, jako przedstawiciele dwóch kierunków poezyi ukraińskiej. Obaj ukończywszy właśnie gimnazyum u Bazylianów w Humaniu, rzucili się w wir życia akademickiego, chłonąc współczesne prądy literackie i rwąc się do czynu w duchu tych ideałów, które im pierś rozpierały.

Nierozłączni po mieczu i lirze bracia, przepojeni tchnieniem stepowem, nosili obaj w sercu Ukrainę, rozkwitającą w ich duszy pamiątkami pełnej chwały przeszłości, obaj czuli się krwią z jej krwi, kością z jej kości, obaj od dzieciństwa pili z jednychże krynic żywą wodę, z łona jednejże ziemi czerpali niewidome siły, wypełniające ich serca, obaj z jednego gniazda porwali się do lotu i jedna gwiazdka świeciła im w napowietrznej żegludze. Wcześnie jednak zarysowały się w charakterze, talencie i przekonaniach przyjaciół znaczne różnice.

Szorstkie, silne tony pieśni Goszczyńskiego ujawić miały przyszłego twórcę Zamku Kaniowskiego, rzewne, łagodne dźwięki gęśli Zaleskiego, zapowiadały śpiewaka Rusałek.

Bardziej, aniżeli wykłady w uniwersytecie, na który się obaj młodzieńcy zapisali, lubo nie odbyli systematycznie żadnego wydziału i nie składali żadnych egzaminów, wywarły na nich stosunki, zawiązane podonczas w Warszawie. Zaprzyjaźnienie się z gronem ludzi młodych, gorącego serca i szlachetnych dążności rozbudzone życie literackie w Warszawie i ożywiona korespondencya z towarzyszami wileńskimi, nadającymi ton piśmiennictwu polskiemu, cała duchowa atmosfera czasu, w rozwoju narodu stanowiąca przełom, wywarły na wrażliwego młodzieńca, jakim był Zaleski, wpływ stanowczy.

Z grona profesorów wszechnicy warszawskiej, pociągał go najsilniej twórca Wiesława, Hrnik, legionista. To, co mu szeptały mogiły stepowe, co zasłyszał w szumie sinych wód Dnieprowych, to odnalazł na szlakach pełnej rodzimej woni tymianków i macierzanek.

Słuchając Brodzińskiego, którego rady były mu drogowskazem, czuł, że na niebie poezyi zaświtał nowy dzień, że na dolinę upadła srebrna rosa. Marząc o śpiewaku Wiesława, rozwijał skrzydła swe do lotu w błękity.

Dwa te przezacne serca, jedną ożywione wiarą, jedną płonące miłością ojczyzny, zbliżone do siebie łagodnością charakteru, musiały się ukochać.

Ze starszych wiekiem, zapisał się głęboko w duszy Bohdana nieszczęśliwy, przez krytykę zdeptany, śpiewak „Maryi". Od zstępującego z pola i dziwnie „zadumczywego" wieszcza otrzymał namaszczenie. W „Pamiętniku warszawskim" ukazała się już była słynna jego duma o hetmanie Kosińskim, wyróżniająca się znamienicie od pierwszych prób młodocianych. Niby przed starszym bratem, odkrywał przed nim Bohdan głębie swej duszy, a słowa uznania z ust tego, który pierwszy jego ukochaną Ukrainę wprowadził do poezyi polskiej (Hej, tyś tu tabun przypędził, kozacze — powtarzał Malczewski na widok młodego ukraińca) napełniały go dumą i ufnością we własne siły. Twórca „Maryi" tkwił w sercu i myśli Bohdana niezmiennie w późne lata, a chwile z nim przeżyte, starczyły za wieki.

W ściślejszy i bardziej zażyły związek wszedł nasz młodzian z Maurycym Mochnackim, przewódcą młodych romantyków. Był to umysł niepospolity. Nowe prądy poezyi i rozbujałe fale ducha narodowego porwały go w swój wir. Namiętną duszą, zapałem, wielostronnością talentu — (improwizował, i grał po mistrzowsku, a był — jak wiadomo — genialnym krytykiem, rzutkim redaktorem, dzielnym konspiratorem i niezwykłej miary pisarzem historycznym) — porywał za sobą całe pokolenie.

Zaprzyjaźniłem się — powiada Zaleski — najściślej z Maurycym. Po żmudach i nudach codziennej chlebowej pracy w biurach *Kuryera polskiego*, rad przybiegał do mnie wieczorem na wytchnienie. „Nuże, wykrzykiwał z przyciskiem, nuże daleko gdzieś na Powiśle, aby zachwycić coś w słuch z harmonii niebieskich sfer". Przedumaliśmy z nim na Powązkach, to na Bielanach wiele, o! wiele nocy miesięcznych... Ile razy zacietrzewiliśmy się w rozmowie aż do poranka, brzęk szyb z naprzeciwka opamiętywał nas. Pan Joachim (Lelewel) z daleka groził palcem".

Z równem uniesieniem wspomniał Mochnacki o Bohdanie w swej znakomitej krytyce literatury polskiej XIX. wieku: „Wyobraźnia Zaleskiego szklana, czysta jak błękitna wód powierzchnia, mieni się różnobarwną grą kolorów, jak farby tęczy na ruchomem powietrzokręgu. Żartkiego dowcipu, bystry i przenikliwy, myśl ma szybką, jak widzenie. Oko jego, nie zawsze łzą smutku zroszone, żywiej promieni, raźniej, jaśniej i dalej widzi".

Do grona młodych zapaleńców a przyjaciół Bohdana, który, wcześnie unikając życia gwarnego, skupiał się w sobie, należał Szopenek, bystry, a czuły młodzieniec, czarujący już wówczas słuchaczy swoją grą. Pod wpływem rzewnej melodyjności jego pieśni, w takt samorodnie bujnego rytmu jego muzyki, wyrabiał się właściwy charakter twórczości Bohdana.

Z grona ówczesnej młodzieży był mu zasadami i wiarą najbliżej spokrewniony Stefan Witwicki, serdeczny druh i rowieśnik, z którym dłoń w dłoni przeżył tyle dobrych i złych lat. — Skromny, cichy, apostolski ten pracownik w winnicy Pańskiej, szczery, prosty a gorącej wiary patryota, był dla Bohdana więcej, niż przyjacielem i bratem, był jego aniołem stróżem i patronem.

Ale ponad wszystkimi mistrzami i duchem spokrewnionymi braćmi góruje wpływ pieśni gminnej, która z archanielskiemi skrzydły stoi u kolebki najczystszych natchnień poety. Sam on z wdzięcznością wyznaje, że piastunką jego — nim „serce rozbrzmiało w swej nucie" — była mu pieśń ludowa, w którą wsłuchiwał się od dzieciństwa. Ona rozdmuchała w nim tchnienie poetyckie, jej harmonijne dźwięki nastrajały jego lutnię.

Poeta czerpie z ust ludu ukraińskiego a gdy nie stanie tej żywej przędzy, sięga do zbiorów pieśni ruskich. Zrazu nie mają te brylanciki poezyi doskonałego szlifu, ani odpowiedniej oprawy. Z czasem jednak umie dodać im niezwykłego blasku i cudownej krasy. Pierwotną, surową przędzę tak gęsto przetka klejnotami własnej, błyskotliwej wyobraźni, ozdobi złotem i emalią, że w tych adamaszkach i atłasach twórczości artystycznej ledwie rozpoznasz lekką i wiotką tkaninę tradycyi ludowej!

Pieśń Zaleskiego, dzięki owej dźwigni, trafiła od razu do serca. Świeża i pełna życia a przytem dźwięczna i łatwa odbijała od sentymentalnej wielkości i napuszonego deklamatorstwa klasyków. Dzwoniła w niej nuta Dnieprowych dum, odzywał się rzewny, przeciągły szum stepów, zasianych mogiłami, piał słodki, czarowny brzęk muszek, śniących na kwiatach. Spiew poety w tej głuszy poetyckiej podobny był do ognia w noc świętojańską, co strumieniem płomienistym strzeliwszy wysoko w górę, na tysiączne rozsypie się i rozwieje gwiazdy, wieńce, wstęgi i smugi świetlne.

Ale już wówczas zarysowały się pierworodne grzeszki muzy Bohdanowej. Gęśl jej czuła, miękka i tkliwa jakby jedną tylko miała strunę, zasklepia się wcześnie w ciasnym zakresie jednostajnych form, natchnień i myśli, zgrabnych, miłych, ale przeważnie drobnych, filigranowych jak owe obrazki widziane przez szkło wypukłe. Łagodne jego usposobienie nie znosiło, nagich, ostrych rysów, dlatego oglądał chropawy rytm poezyi gminnej, dlatego wyraża nieraz jęk boleści lub okrzyk radości, wyrywający się z piersi z żywiołową siłą, gładkim, okrągłym, wytwornym — frazesem.

Kozacy w dumach Zaleskiego są dzielni junacy, mają postawę i ruchy dziarskie, składne, malownicze ale są to postacie wyidealizowane, salonowe, wonie jace perfumami, a z pod ich bułatów pryska krew w pięknych strumieniach — malinowych. W piersiach ich bije serce polskie jakby nie byli ukraińcami i jakby obcemi im były krwawe dzieje Zaporoża i cała hajdamaczyzna. Dzięki temu spolszczeniu Kozaków pod zaklęciem bojanowej lutni stała się nam Ukraina tak poetyczną jak Litwa. Wymowny to przykład endozmozy cywilizacyjnej dwóch sąsiadujących ze sobą narodów, ciekawy okaz aneksyi estetycznej, zatwierdzającej integralność poetyczną stepów i limanów na rzecz Polski historycznej, w granicach dawnej Rzeczypospolitej od morza do morza.

Dumy i dumki Zaleskiego zdobyły sobie od razu poważne w literaturze polskiej stanowisko. Pisane prawie równocześnie z balladami Mickiewicza przechyliły one szalę na stronę romantyków, wstrząsając posadami klasycznego kierunku. Stał bowiem jeszcze obóz silnie ufortyfikowany ciężkiemi działami. Załogę składało kilku szanownych weteranów, którzy uzbrojeni w pistolety wymierzone przeciw naturze, coraz słabiej ostrzeliwali szeregi młodej armii romantyków.

Nasz Bohdan, z natury spokojny, nie mieszał się w wir sporów literackich, lecz wstępnym bojem swych pieśni, wpadał po kozacku klasykom we flanki. Poezya jego, znacząca silnie zwrot od sztuki do natury, od sztywności do prawdy, od wymuszonej reguły do swobody i życia, święciła na całej linii bojowej prawdziwe tryumfy, w puch rozsypując ukute przez klasycznych cyklopów gromy.

Nastroje jego dum, lotne i wiotkie, junackie a rzewne, zdobyły serca romantyków i wywołały całe rzesze naśladowców. „Ukraińcy — wyrażając się słowami Mickiewicza — jak wsiedli na Bohdana, tak też jadą, pokrzykując: hop, hop! — cup, cup! Cóż u dyabła, żeby im też nic nowego do głowy nie przyszło? Warto, żeby ktoś napisał coś o hop, hop! żeby tych pisarków z konia ukraińskiego zsadzić". Wpływ Dumy o Kosińskim na takie niewieście natury, jak Odyniec, był czarodziejski. Zapomniałem — powiada on — o celi więziennej i o klauzurze, i jakbym wskoczył na koń, za siodłem hetmana cwałowałem z nim — zda się — po stepie.

Muza Bohdana wzlatywała w Rusałkach (ogłoszonych w „Meliteli" noworoczniku Odyńca 1829 r.) na szczyty natchnienia. Zamykają one okres górny i chmurny w rozwoju twórczości poety. Był to najpiękniejszy owoc miłości Bohdana, czysty brylant w koronie jego pieśni.

Dziś już nie tajno, kto była ową Rusałką, która go do tej pieśni natchnęła. Występująca pod imieniem Zoryny, Rozyna Żukowska, była córką obywatela z Poznańskiego, bawiącego czasowo w Warszawie. Entuzyastka, czarujących wdzięków, zwabiła swym głosikiem młodzieńca, zajętego, z braku utrzymania w Warszawie, guwernerką na wsi u pułkownika Górskiego, (skąd dostał się na dwór hr. Szembeka). Dusza poety zapłonęła miłością do młodej marzycielki, rozmiłowanej w dumach zaporoża. Nie było to uczucie namiętne, gwałtowne, szarpiące łono zapaleńca, ale uczucie duszy łagodnej, marzącej snem złotym o kwiatach. Minęło ono bez gwałtownych wstrząśnień, jak marzenie senne, a doznany zawód nie wywoływał rozpaczy Gustawa, lecz tylko rzewne rozpamiętywanie chwil minionego szczęścia.

Nie orle to, ale motyle loty, czyż dlatego mniej powabne i czarujące?

Pieśń Zaleskiego, pełna świeżości i kwietnej krasy, gra i płonie zarazem; melodyjną rytmiką wiersza i polotnością wyobraźni, zachwyca i czaruje. Obrazy rozwiewne i nie mające ram, uniesienia, co chwila rwące nić opowiadania, przydają jej osobliwszego uroku. Nie podobna pochwycić tej pajęczej nici twórczości, swawolnej a błyskotliwej, roztapiającej uczucia w przeczystym słów eterze. Muza poety dźwięczy w tych lotnych marzeniach i skarży się słowiczym językiem, a snuje wiośniane rojenia, jakby podsłuchała złotych marzeń dziewczęcia przy krosienkach.

„Poezya — mógł o sobie wówczas powiedzieć — mnie szamocącemu się w prochu, sokolich skrzydeł użycza i jak czarnoksięskie pryzma na pochmurne, nagie, bezcelne dni moje sieje blask świetlny, promieniąc się wszystkiemi barwami tęczy".

Były to najpiękniejsze lata młodości poety, — w których talent jego rósł w potęgę. W tym okresie jego dojrzewania, powstały najpiękniejsze jego dumy, dumki, szumki, fantazye i wiośnianki. Nie biorąc czynnego udziału w walce młodych ze starymi, przechylał tymi utworami szalę zwycięstwa na stronę pierwszych. A spory z klasykami nie były jedynie walką literacką o nowy narodowy kierunek w piśmiennictwie, lecz były zapowiedzią walki z konserwatyzmem politycznem. Wniknięcie żywiołu ludowego do poezyi prowadziło do równouprawnienia ludu w społeczeństwie. Za zrzuceniem więzów pseudo-klasycyzmu francuskiego nastąpiło targanie kajdan, któremi najeźdźcy skrępowali Polskę.

W owych gorących dniach, poprzedzających powstanie listopadowe, należał Bohdan razem z Mochnackim i Goszczyńskim do tajnego Związku patryotycznego, który wyszedł ze Szkoły Podchorążych. Wszyscy też oni stanęli pod sztandarem rewolucyi. Bohdan zaciągnął się do pierwszego pułku strzelców, którym dowodził hr. Szembek. W nim służąc odbył kampanię przeciw Moskwie, pełnił też obowiązki adjutanta przy Chłopickim. Za dowody męstwa otrzymał krzyż „virtuti militari". Powróciwszy z boju do stolicy, zaszczycony zaufaniem rodaków, wybrany został do Sejmu i reprezentował w nim ukochaną Ukrainę, a mianowicie powiat Taraszczański. Nie szczególny mowca, ale gorący patryota, głosował z tymi, którzy chcieli prowadzić wojnę z większą stanowczością i nie w układach, lecz w dzielności polskiego ramienia pokładali nadzieję oswobodzenia Ojczyzny.

Po upadku powstania, dnia 8 września 1831 w jedenastoletnią rocznicę przybycia do Warszawy, opuszcza ją Bohdan na zawsze. Podążył razem z innymi na tułaczkę.

Bolesław R....ski.



„Duch od stepu“.

(*Ustęp z obszernej monografii o Bohdanie Zaleskim*).

Na początek musimy się zapytać, dlaczego to rok 1831, jego wypadki, koleje, następstwa — nie obudziły w poecie tej struny; na której tylu współczesnych mu piewców zagrało — i Mickiewicz, Słowacki, Garczyński i wreszcie, abyśmy nie potrzebowali dalej wyliczać, ów śpiewak dni listopadowych — Maurycy Gosławski? Czy może mniej miał od nich uczucia, czy może nie potrafił dostroić swojej gęśli stepowej do tonu, jaki był teraz potrzebny? Nie. Uczucia miał wiele dla tej sprawy, a że jej śladów nie widać natychmiast w jego poezyi, to tłumaczy się tem, że uczucie wstrząśnięte do głębi samym faktem, długo nie mogło odzyskać równowagi, czego dowodem zupełny niemal na czas niejaki zanik twórczości poetyckiej — i dopiero później wszystkie te bole uwidoczniło wyraźnie w poemacie, który pociągnął nawet za sobą przerwę w pisaniu *Złotej Dumy*.

Już w lecie 1836 r. widzimy ślady nowych pomysłów, rodzących się powoli w umyśle Zaleskiego, co też spowodowało w znacznej części opóźnienie w tworzeniu dalszych planów rozpoczętego poematu, poeta jednakowoż, jakby dziwną jakąś party siłą — nie był zdolny oprzeć się natchnieniu, przybywającemu z innych źródeł, a całkiem różnemu od tego, jakie mu dyktowało słowa *Złotej Dumy*.

Wnet coraz silniej świeżo zrodzony pomysł pociągać poetę począł ku sobie — Zaleski zaniedbuje zupełnie tamten poemat, oddając się z całą uwagą nowym planom i kiedy już po długich namysłach nad brzegiem uroczych fal Renu zasiadł na nowo do pisania, pieśń świeża wypłynęła mu wnet z pod pióra — w Molsheim alzackiem, w listopadzie 1836 roku, powstał *Duch od stepu*, przygrywka do nowej poezyi, który to poemat poświęcony został „przyjacielowi... Adamowi Mickiewiczowi“, jak mówi o tem dopisek, pod tytułem umieszczony. Wydrukował go zaś Zaleski dopiero w 1841 r. w wydanym przez E. Januszkiewicza zbiorku pod ogólnym tytułem *Poezija B. Zaleskiego*.

Dwa czynniki, jakie spowodowały naszego poetę do napisania tego utworu, który miał być „uwerturą, sumą dźwięków jego opery“, czemś „na kształt mapki krain jego poetycznych*) uwydatniły się jak najwyraźniej i na samym-że poemacie. Pierwszy z tych czynników — to tęsknota za ziemią rodzinną, tęsknota za rodziną, żal wreszcie za ideałami młodości, które okazały się złudnymi i niespełnionymi — to ten ból, jaki mu targał wnętrzności, ilokroć Zaleski zatopił się „w przewidywania młodości“ swojej. Wracał ciągle ten ton jękliwy, co wywoływał z piersi rozżalonego poety całe strugi melodyj, powracał od czasu do czasu, zakłócając mu spokój wewnętrzny nawet na dalekiem odludziu. I teraz pod koniec pobytu w Molsheim obudziły się w Bohdanie wspomnienia lat ubiegłych, a obudziły się z taką mocą i siłą, że poeta „topił się w smutku i w myśli, jak na falach“. Stąd też poszedł ten fakt znamienny w genezie *Ducha od stepu*, że mimo tylu scen minionych chwil życia, skreślonych czy to w *Rusałkach* czy w *Kwiecie paproci*, czy wreszcie najobszerniej w niedokończonej *Złotej Dumie* i teraz raz jeszcze wstały one miestrzowsko odmalowane ręką poety, który pod bezpośredniem wrażeniem bolesnych przypomnień zasiadł do pisania utworu. Stąd też wzięły swój początek pierwsze ustępy *Ducha od stepu* (I—VII.), w których dał nam Zaleski odtworzenie całego swojego życia, jego pragnień i usiłowań, nadziei i bolów, błędów i upadków, i tak dopiero nawiązał tę część z tem, co miało stanowić właściwą treść poematu.

Roztoczył tedy poeta przed naszemi oczyma część żywota dziecięcia spowitego już od urodzenia w pieśni ton, kiedy czarodziejską mocą tchnęła Ukraina w jego serce melodyj cudnych zdroje, ażeby niemi grał potem, grał wielką dumę w cześć chrobrych atamanów, zapomnianych bojów i trudów znojnych. Dała na piastowanie ta matka urodziwa swoje dziecię rusałce, by je poiła „mlekiem dum i mlekiem kwiecia“ na lot kiedyś śmiały w błękity ku słońcu, by mu dawała do snu na obrazki tęczową barwą bazki ludu lśniące. I błogo mu było, błogo było temu pacholęciu na łonie piastunki, co je pieściła, jak najczulsza matka, której pocałunki rozpaliły w niem żar płomienny na wiek długi. A kiedy „mrugnęła z niebios gwiazda“, wzięła matka „skrzydlatego swego syna“ z rąk rusałki, w lot go wypuściła, a myśli jego stawały się niby powiew wiatru chyże, tak swobodne — lgnęły do cudów kraju łaknąc pieśniowej wciąż barwy wśród dalekich stepów, błękitnego nieb przeźrocza, ssąc nową barwę, ażeby nią kiedyś olśnić swoje dumy, Bojanowej gęśli córy.

Lecz wnet go opuściła ta dobra matka „odzianego w piór obłaski“ — i z chwilą tą nowe nim uczucie zawładło, bo pierś mu żreć poczęła żądza nowej pieśni. I przyśniły się poecie wypadki, dzieje lat jego minionych i ujrzał „kochany cień niewieści“ matki, co go nigdy nie mogła popieścić, odszedłszy wnet w lepszego życia kraj; — i teraz, choć wiek pacholęcy innym był tak miły — jemu stał się przyćmiony żałobą, — samotny szedł Bohdan na mogiły, by tu słuchać płaczów nuty. Serce pojone od powicia pieśnią — wnet pieśń tę ze siebie wydało, niedługo jednakże brzmieć ona miała, wnet bowiem wszczęły się gdzieś okrzyki: — do broni! — a on poszedł, żegnając rodzinę i Dniepr stary, poszedł, by nigdy nie wrócić w te strony. I zapomniał wiarę ojców, wytężając myśl na jałowe zamachy, łaknąc burzy, krwi. Przyszła jednak chwila, w której rozum w złościach pogrążony opamiętał się, kiedy poeta ujrzał świat — jak grób pusty. Toż padł w proch przed Panem, ślubując poprawę z ciężkej winy. Szedł w świat dalej i znalazł przyjaciół mnogo „spółwędrowców jednej drogi“, drwiących w głos śmiechem z pobożności, a on się za nich modlił, choć byli jego wrogami. Stąd też „rozmiłował się w pustyni, utkwił w ziemię kij“ pielgrzymi i padłszy na kolana za swym ludem Boga modlił. Tutaj, na tym ustępie można niejako położyć koniec części pierwszej „Ducha od stepu“, odtąd co innego będzie jego treścią.

I teraz każdy z pewnością zauważył tę dziwną zgodność toku poematu w tej części z życiem poety, z rzeczywistymi jego wypadkami. Wszak nie inaczej rzeczy się miały: w niemowlęctwie odumarła go matka, nawet na krótko nie zaznał jej pieszczoty, tak samo biedny sierota pozostał bez niczyjej opieki żywiąc się baśnią chłopską albo tęskną dumką w kurnyj chacie ukraińskiej, karmiony przez matkę-przyrodę krajobrazami stepów szerokich, dumając dnie całe samotny na czarnym kurhanie; wszak nie inaczej pierwsza piosnka z ust mu się jeszcze w szkole wymknęła, choć nie wiedział, skąd leci tak chyżo, wszak nie inaczej przeniósł się do Warszawy, a potem rzucił kraj rodzinny, idąc na daleki Zachód, gdzie wśród szyderstw pisanem mu było z dala wieść żywot tułaczy na „pustyni...“. Chciał w tej „przygrawce do nowej poezyi“, tak jak w „Złotej Dumie“ przedtem, Zaleski dać wyraz wszystkim tym uczuciom miłym i bolesnym, tym wszystkim wydarzeniom, jakie go w ciągu mozolnej wędrówki napotykały co krok niemal, ale jak, w jaki sposób to uskutecznił, w jaki sposób plan swój wykonał?

Oto postanowił cały utwór osnuć „na tle nieco mistycznem, niewyraźnem t. j. na pierworodnej, — jak sam powiada w notatce, — wiedzy człowieka, na poczuciu czy zapamiętaniu inszego gdzieś żywota. Pod grą na pozór fantazyi tkwi w tem jednak prawdziwe znaczenie“. Sądził bowiem Zaleski, iż jest „niewątpliwie okolica nocna bytu naszego, pełna cudów i tajemnic, skąd dzieje ludzkie i dzieje człowieka, niby od systemu słonecznego Ducha, jak mnogie koła przecinają się do jednej wielkiej średnicy. To też nadał utworowi swojemu podobną „okolicę *par excellence* poetycką, błękitną, astralną, promieniącą się na wsze[illegible]ny kreacyą Bo[illegible]“, dał mu tło mistyczne, bo „w takiej metafizyce, w takich marzeniach kochali się i kochają najznamienitsi mężowie. Ile dusz czystych i rzewnych, — powiada Zaleski — zaznałem w życiu! Każda ostrzem biegała w te mroczne strony! Każda pamiętała, niby sen na jawie, czasy skrzydlate. I ja przez wiele lat smutnych, to burzliwych miewałem moje sny i widzenia... sny i widzenia, które wystarczają na sto poematów“*).

I rzeczywiście, podziwienia godną jest ta jego zręczność, w jak różny całkowicie w Duchu od stepu, aniżeli w tamtym utworze, sposób podjął też same wspomnienia, jednych i tych samych lat dotyczące niemal, w jak fantastyczną potrafił ubrać je szatę, że zda się, jakoby opowieść była wyjęta z jakiej bajki wschodniej. A co za pyszny koloryt, nie rażący ani trochę nienaturalnością, w jaką w tym wypadku, podjąwszy w ten sposób wątek opowiadania, nader łatwo mógł był popaść.

Nie ma tu nadmiaru owych tęczowych barw, jakiemi kreślił rzecz całą, a jest za to jakaś dziwnie melodyjna harmonia, jaką nasiąkła pieśń, pełna fantastycznych widziadeł, których przecież jeszcze dotąd żaden z poetów naszych, chociaż właściwy mu romantyzm miał się już dawno ku końcowi, choć znikły już były rusałki i widma tajemnicze, nie był w swoje wprowadził utwory. Jest w strofach poematu jakaś jednozgodna harmonia, nie zamącona dotąd żadnym fałszywym akordem ani dźwiękiem, zaprawdę podziwiać należy tę trudną niezmiernie sztukę w wykonaniu, z jaką grał Zaleski teraz na swojej gęśli stepowej, — ubierając wypadki i koleje żywota swojego w cieniuchną tkankę fantastycznej przędzy, przepuszczającą jednak wiele światła przez siebie, że można fakta rzeczywiste mniej lub więcej dokładnie rozeznać.

Teraz dopiero przystępuje nasz poeta do rzeczy właściwej. Dlaczego jednak odtąd zaczyna kreślić w swoim poemacie dzieje całego świata, starożytnych pogan, dlaczego przechodzi kolejno fakta dziejowe, co właściwie było jego zamiarem i celem? Uczucia religijne poety, żywione od lat niemal dziecinnych — nie zatarte nawet niedowiarstwem swojego bliskiego druha ze szkół humańskich — Goszczyńskiego, potęgowały się z dniem każdym od czasu upadku listopadowego powstania, a zwłaszcza od czasu połączenia się „braterstwem ślubnem“ z Józefem Zaleskim.

Żyjąc czas pewien wśród ciągłych rozterek i gwałtownej waśni na emigracyi, musiał Zaleski szukać spokojnego ustronia, gdzieby mógł wytchnąć, nie słysząc więcej tej wrzawy, swarów o zasady. Część też emigracyi, część jej lepsza, poznała, iż nie gdzieindziej należy szukać ukojenia w ciężkim żalu, iż nic nie potrafi tak dobrze uśmierzyć rozpaczy, jaka nią targała, jak tylko krzyż Zbawiciela.

Stąd poszło odrodzenie religijne wśród wygnańców, którzy teraz w modlitwie szukali osłody chwil bolesnych, tęsknoty za rodzinną stroną, a odrodzenie to ogarnąć miało szersze później warstwy.

Jednym z pierwszych twórców tej zbawiennej atmosfery i nader błogiej w skutki był i nasz poeta wraz z Mickiewiczem, otoczony gronem przyjaciół, którzy (n. p. Jański) z łona niedowiarstwa przeszli do wiary ojców swoich. To też nic go nie mogło powstrzymać od krzewienia tych zasad, co jedne umiały wlać balsam pociechy w zbolałe serca — nawet publiczna szykana i drwiny wichrzycieli emigracyjnych — nie odstręczyły Bohdana od raz powziętego zamiaru.

Toż kiedy osiadł zdala od Paryża w Strassburgu i Molsheim, pędząc czas na długich rozmyślaniach nad brzegami Renu, przechodząc w skupieniu myśli wypadki niedawnej przeszłości, doszedł niebawem do przekonania, iż wszystkie nieszczęścia, wszystkie cierpienia narodów nie są czem innem, jak tylko karą za grzechy przodków, którą Bóg na potomne zsyła pokolenie, jako pokutę.

I nie było to przekonanie wyłączną własnością Zaleskiego, wielu tak niebawem zaczęło myśleć, zagłębiwszy się zaś pod wpływem duchowego odrodzenia w religii, w piśmie świętem, nie znało i nie mogło znać innego wytłómaczenia faktu dziejowego. Bezsprzecznie — początek tego, że tak wyrazimy się — systemu, systemu, który długie trwać miał jeszcze lata w umysłach, a i niejednokrotnie miał znaleść żywe odbicie w poezyi emigracyjnej, — wziął się od Mickiewicza, z jego trzeciej części Dziadów — chociaż u niego naród cierpi za grzechy i winy stare, za błędy i występki całej ludzkości, zawsze toczącej nierówną walkę między naturą swoją a myślą i wolą Boga.

System ten wspierany ciągle nowymi dowodami, tak bardzo dobrze odpowiadający ówczesnym uczuciom i wyobrażeniom, rozszerzał się ciągle i znajdował bardzo wielu zwolenników, którzy nawet nie śmieli i nie ważyli się nigdy powątpiewać o jego chwiejności i bezpodstawności.

Nie dziw też, że i Zaleski przejął się początkowo cały nauką taką samą, jaką zawierały „Dziady“, kiedy zaś poglądy na tę sprawę z czasem zmieniły się, wziął je za podstawę do poematu, który był w stanie zwichnąć wszystkie jego dotychczasowe plany i zamiary, że uniemożliwił pisanie „Złotej Dumy“, tak drogiej sercu poety, — nie dziw, że nauka ta owładnęła nim całym i zmusiła go niemal do wylania na papier myśli i poglądów tych — wszak musiały rzeczy tym, nie innym pójść torem, jeśli weźmiemy pod uwagę całe wysoce religijne usposobienie naszego poety w tym czasie, jeśli weźmiemy pod uwagę i tę okoliczność, że i on szukał, a szukał nie mniej gorąco od innych, wytłómaczenia faktu, którego sam był świadkiem, aż znalazłszy wreszcie rozwiązanie zagadki, chciał nadto wpłynąć i na rozbudzenie uczuć religijnych u ziomków na emigracyi, wskazuje im w swoim poemacie, jak Bóg nieodbicie karze grzechy ojców, — myślał, że może w ten sposób zaprzestanie walka, niszcząca siły i umysły, walka bezcelowa, w której tylko poszczególni przywódcy partyj mieli na widoku własne interesa, obałamucając ogół emigrantów.

Zaczął tedy Zaleski kreślić upadki narodów od stworzenia świata: bo kiedy wiatr stepowy uniósł go w górę — ujrzał przed oczyma obrazy z lat, w których ziemia była rajem, gdy anioły Boże w jasnej bieli żyły pospołu z człowiekiem. Nie był jednakże wdzięcznym pierwszy człowiek Stwórcy za tyle dobrodziejstw, dał się uwieść złemu, ażeby potem pójść w świat daleki z troską o dzieci, z brzemieniem trudów i pracy w pocie czoła, która go miała „zepchnąć do mogiły“. Tem nawet nieszczęściem dotknięty nie ukorzył się ród ludzki przed Bogiem, bluźniąc Mu w głos — i o zgrozo! brat podniósł już rękę na brata, by się krwią jego splamić, by rozpłodzić tysiąc zbrodni i w ślad za niemi sprowadzić srogi Pana gniew. A gdy przebrały miarę występki ludzkie, ocknął się Pan w swoim gniewie i wstał straszny, jako burza zalewając całą ziemię huraganem fal rozszalałych, to znowu dopuścił dziki bełkot „na zuchwałe budowniki“ wieży Babel i siarczanym deszczem spalił miasta występne zbrodnią, — w popiołów gruzy runęła Sodoma, w perzynie Gomora osiadła, na znak widomy gniewu, na przestrogę potomnej ludzkości.

W proch skruszył Pan Zastępów pychę — lecz i teraz jeszcze człowiek nie ukorzył się przed Bogiem, mimo ciężkiej niewoli egipskich mocarzy, a choć go Bóg wywiódł z hańby, z mocy Faraona, dając mu wybranego pasterza Mojżesza i prawa zakonu, znowuż te same zbrodnie sprowadziły niebawem upadek potężnego ludu i słychać tylko długą chwilę było „jęk daleki“, co ponad wierzbą porosłymi brzegami babilońskich rzek leciał w pustynię, skarżąc się na straszną niewolę, na ludu zhańbienie, pośród straszliwej nocy brzmiała tylko tęskna pieśń proroków.

Widział poeta upadek Hellady i Romy, widział, jak przyszedł Syn Bogarodzicy, jak wołał naród do pokuty za grzechy, ujrzał też całą mękę Pańską, kiedy ziemia drżąc z bojaźni nawoływała lud do poprawy. Nie poszła jednak w poniewierkę nauka, bo w wielkiem mieście nad Tybrem gromadził się po pieczarach tłum maluczkich, który płakał nad pro-

*) J. B. Zalewski Korespondencya. I. str. 99.

*) *ibidem* str. 98—99.

chami męczenników. Przyszło wreszcie ukaranie, przyszła ciężka na miasto niewola, bo gdzieś z północy rozległ się głuchy okrzyk, z dalekich krajów przyszły tłumy wojowniczej czerni pod dowództwem w stal zakutego olbrzyma, ażeby spaść niszczącą nawałą na stary gród i obrócić go w zwaliska. To Goty, Huny!

Skreśliwszy tedy cały świat starożytny, jego zbrodnie i błędy i karę straszną, jaką Bóg nań spuścił — przechodzi teraz poeta do Słowian. W poetycznym śnie ujrzał przed sobą „piękną, błogą ziemię“, zielone na niej lasy, niwy żyzne i lud szczęśliwy: tam słynęła za Tatrami Krakusowa córa i w sąsiednich Czechach Libusza, a przy nich w „ślad gęślarze“ z pieśnią chrobrą, przed którą lud twarz ku ziemi chylił. Szedł ten lud bratni z różnych stron święcić uroczyska, szedł bogom uderzyć pokłon za ich dobrodziejstwa i pieśnią ich wielbić wyniosłą:

„Łado! Łado! o Kupało!
Oby nam się dobrze działo!
Bohu! Bohu! modlim ciebie —
Módl za nami bogów w niebie!...

Perun daje niech pogodę!
Niech Światowid plemi zgodę!
Niech Marzanna chowa statek,
Ojcom naszym przyda latek!“

A Rzym? Rzym cały tonął w uciechach i zabawie „syt mądrości, sławy“, Rzym krwią ludzką poił dzikie zwierzęta. Tymczasem przyszła wielka burza, a po burzy świat się odmienił — i Rzym powstał inny, a w nim na stolicy zasiadł „boży sługa“, przed którym nawet króle chyliły czoło — wnet wyszli męczennicy, ażeby pójść między lud ciemny wypleniać pogaństwo i sztandary Chrystusowe zatknąć na ruinach świątnic i gontyn. Błogosławił też Bóg, mnożąc dostatek w zapadłych chatach, tysiące nawet ciągnęło na bój z Muzułmanem, by wydrzeć grób Chrystusowy z rąk niewiernych. Nie długo atoli trwały narody w pokorze, wnet wszczęła się bluźniercza waśń w Carogrodzie, a za nią spadły klęski, polała się krew strumieniem pod Warną i na Kosowem polu. Nie ocknęła się jednak ludzkość z swoich błędów, bo w kościele samym nastało rozdwojenie — mnisi zrzucali habity i rozum ludzki chciał się wyzwolić z więzów religii — a za to klęski jedna po drugiej spadały na ziemię.

Teraz dopiero ujrzał poeta brzegi Wisły, Warty — ujrzał wierchy wysokich Tatrów, Żmudź ciemną i bory litewskie, a dalej fale Dniepru, bijące w porohy. A przecież na tej ziemi nie było miejsca „na grób chociaż — dla Proroka“. Usłyszał „głośne modły, ciche jęki“ i ujrzał rząd posępnych kurhanów. Nie długo jednak trwało to widzenie, wnet bowiem wiatr uniósł wyżej poetę, a tam z pieśni słowiańskich apostołów grzmiały okrzyki: Hosanna! Hosanna! I ziemia ta rozpogodziła swoje czoło, a wokół wstał „blask i rozdźwięk“ dziwny, bo szedł piewca Bojan stary „król pieśni“, nucąc hymn, co rozlewał się na całą słowiańską ziemię, jak długa i szeroka. Na tem kończy się widzenie i teraz przypominają się znowu poecie lata jego młode, owe dni rozkoszne, gdy od gęślarza zasłyszał wielką dumę przylegając do grobnych piołunów — i teraz wyrywa się z jego piersi żałosna skarga za tem, o czem śnił całe życie swoje:

„Sen - że łzy moje żywota?
Sen - że moja Duma Złota?
Sen - że Polszcza, Ukraina?
Sen - że jedna — o! jedyna —
Moja — moja — Bezimienna?“

Nie tak dawno było, jak z piersi zrozpaczonego Konrada w trzeciej części „Dziadów“ wydarł się jęk bolu strasznego, kiedy ujrzał i poznał, iż hasła z jego szatańskiej pieśni nie mogły się przyjąć, nie tak dawno było, jak po bluźnierczych wykrzykach, po urągliwem pytaniu, rzuconem przed oblicze Stwórcy: co dalej będzie? — przyszła odpowiedź przez usta księdza Piotra w owej prześlicznej i wieszczym owianej nimbem scenie jasnowidzenia — początek messyanistycznej nauki był już zrobionym. A miała ta nauka rozprzestrzenić się, miała owładnąć sercami poetów i odtąd zajęło umysły szukanie powiedzi, szukanie przyszłych dziejów, losów i wypadków, doli lub niedoli, jak zaś poszukiwania te były gorączkowe, z jakim nadmiernym zapałem i podziwienia godną żarliwością prowadzone nieustannie, osobliwie w sferze poetyckiej — o tem świadczy długi szereg ludzi i dłuższy jeszcze dzieł, które miały dać odpowiedź na to pytanie, rozwiązać kwestyę przyszłości i dać przed oczy emigracyi wytłómaczenie historyi długiej, postawić wreszcie obraz dalszej kolei zdarzeń, wskazać drogę do urzeczywistnienia ich tem prędszego. Całkiem naturalnym było to objawem, że szukano czegoś, coby było w stanie wytłómaczyć upadek nagły i gwałtowny, coby mogło wytłómaczyć przyczyny tego faktu, że tysiące umysłów zajęło pytanie: dlaczego i za co spadło to nieszczęście? Gorączkowo snuto domysły, jeszcze niecierpliwiej oczekiwano odpowiedzi.

Stąd to poszło, że cały okres poezyi naszej po roku 1831 zajęty jest utworami, tę kwestyę rozstrzygającymi, toż nie dziw, że wnet przyjdą „Księgi narodu i pielgrzymstwa“, że po nich cały legion poetów w swoich dziełach zajmie się poruszoną już przez Mickiewicza myślą, że zarówno genialny Krasiński w swoim „Irydyonie“, „Przedświcie“ i głębokim żalem, a rezygnacyą cichą tętniących „Psalmach przyszłości“, jak niemniej Garczyński w „Wacławie“ i tylu innych mniejszego talentu bożych śpiewaków ją na swoje struny pochwyci, by snuć tkankę mglistej i ciemnej messyanistycznej teoryi, tak bardzo wszystkich ku sobie pociągającej. Że myśl ta, rzucona po raz pierwszy przez Brodzińskiego, kiedy on uważał swój naród za wybrany, za Chrystusa narodów, musiała, dostawszy się do poezyi, przybrać obłoczną szatę, przetrawiona w fantazyi poetów, otrzymać i zachować charakter mistyczny, o tem chyba nie trzeba mówić tu z osobna.

Starano się tedy rozwiązać pytanie: co będzie dalej? Nie było tu jednak dróg wielu, wielu przyczyn i czynników, któreby mogły były dać kilka rozwiązań — jeden tylko punkt świecił jasnem światłem: upadki narodów, nawet wielkich i potężnych, zasobnych w zasłużone króle i hetmany, w mężne pomocne radą, w poetów uświetniających ich dzieje — że upadki narodów tych bolesne i krwawe, są ofiarą żądaną przez Boga za grzechy i stare winy przeszłych pokoleń — i dawno zamierzchłych w niepamięci i zapomnień przodków, że upadki wybranych narodów są karą za grzechy całej ludzkości.

Dwie tedy były w tej mierze opinie, dwa zdania na pozór nieznacznie między sobą różne, w gruncie rzeczy jednak wśród nich głęboka przestrzeń leżała, dzieląc je od siebie nieusuwalną przeszkodą, bo gdy jedni chcieli widzieć w upadku narodów karę i ciężką pokutę za winy i błędy, zbrodnie i występki całego świata, a zatem podnosili i znaczenie w dziejach danego narodu nieskończenie wysoko, to drudzy, umiarkowańsi w wymaganiach i surowsi w sądzeniu — uznawali tylko karę za grzechy własne, wskazując równocześnie krzyż męczeński Chrysa jako źródło niewyczerpane pociechy, jako zdrój wiecznie świeży ukojenia w żalu i boleści, jako jedyną wreszcie deskę ratunku — zdaniem pierwszych, sam Bóg miał przyjść z pomocą — zdaniem drugich, na łaskę Stwórcy trzeba było wprzód w latach pokuty zasłużyć, a nie urąganiem drażnić gniew Pana, który miłosiernym jest, lecz srogim w gniewie, nie bluźnierstwy szydzić, a z poddaniem się dźwigać krzyż bez skarg, bez narzekania na los zawistny.

Dwie tedy były zasady w historyozofii emigracyjnej, różne od siebie, choć poniekąd zbliżone, — która z nich była racyonalniejsza — trudno nam dziś o tem sądzić, że jednak ta druga teorya była wiele więcej zbliżona do prawdy, o tem chyba nie potrzebujemy ani na chwilę wątpić. Dlaczego wszelako pierwszej z tych dwu teoryj nie przyjął Zaleski, dlaczego nie przejął się tym poglądem, pisząc swego „Ducha od stepu“? Kiedy nasz poeta w zacisznem Molsheim pisał swój poemat — teorya o wybranym narodzie przyjęła się była powszechnie w emigracyi, która inaczej nie mogłaby była istnieć, nie widząc przed sobą żadnego bliskiego celu — innej — nie było jeszcze lepszej. Toż nie mógł tej zasady przyjąć Zaleski z tej przyczyny, że zasada ta stała w zupełnej sprzeczności z jego ówczesnym głęboko religijnym nastrojem. Bo czyż mógł ten, który jest najsprawiedliwszym sędzią, ten, który jest najlepszym ojcem swoich dzieci, czyż mógłby był ten skazać jeden naród na pokutę za grzechy całej ludzkości — wszak wtedy, gdyby był tak uczynił — przestałby się nazywać Bogiem! Gdzieindziej tedy musiał szukać poeta przyczyny upadku narodów, w inny punkt skupić swoją uwagę — wszak obserwował w dziejach świata upadek Izraela, upadek Hellady i Romy butnej, klęski Serbów i najazd Ottomański — i tu już musiała mu się nasunąć uwaga, za co to nastąpiła kara boska, za co zniszczył Bóg te narody klęską straszną, czy może za grzechy świata? — nie! Adam zgrzeszył — wygnany został z rozkosznego raju na hańbę i tułaczkę, na trudy i znojną pracę w pocie czoła.

Sodoma i Gomora tonęły w bezbożności i sprośnych biesiadach. Bóg spalił je ogniem siarczystym, ludzie pragnęli dosięgnąć do niebios — pomięszał im języki, Grecya, choć miała Maraton i Termopile, Homera i Peryklesa, choć dzierżyła najwyższą cywilizacyę w świecie starożytnym — nierządem, a Rzym, mimo wzniosłości charakterów, mimo Cyceronów i Katonów — butą i rozpustą i tylu wadami upadł, żydzi za grzechy mnogie, choć mieli Samsona i Dawida, Salomona i proroków — dwa razy w ciężką popadli niewolę. Czyż więc wobec tego możliwem jest przypuszczenie, ażeby Bóg wybierał jeden naród na zagładę za winy ludzkości, wszak dzieje świata zupełnie inną dają na to pytanie odpowiedź — każdy naród upadł swoimi błędami, a nie był kozłem ofiarnym innych.

Stworzył tedy sobie Zaleski inny system, inną teoryę i ją to postanowił wlać w poemat, który miał przedstawić w poetyckich widzeniach dzieje całej ludzkości, całego świata w głównych momentach upadku poszczególnych narodów i niejako na przykładach jasno wykazać błędność teoryi tamtej i obalić ją. Toż nie dziw, że wprowadził tyle ludów, ich klęski i zbrodnie, ich poprawę i dobrodziejstwa Boga za dobre uczynki, i znowu z kolei ich błędy, a nakoniec całkowity upadek. Co prawda, teorya ta, rozwinięta równocześnie niemal, chociaż w inny sposób, przez drugiego poetę, nie mogła tak działać na umysły, nie mogła ich tak roznamiętniać i w dumę unosić, jak poglądy tejże natury w „Dziadach“ Mickiewicza, więcej atoli była ugruntowana, więcej od tamtej prawdziwa, to też, kiedy w roku 1841 wyszedł „Duch od stepu“, mało kto chciał go rozumieć, większość go nawet całkiem nie rozumiała.

Bardzo bolesnym musiał być dla Zaleskiego zawód, jaki go spotkał, chciał bowiem tym poematem nawrócić emigracyę na lepszą drogę, na którą też nawoływał tak gorąco Krasiński, że w modlitwie jedynie można znaleźć prawdziwe ukojenie z żalu i pognębienia, że krzyż tylko jest tem słońcem, do którego wszyscy winni dążyć, zaniechawszy swarów i nużących waśni, pochłaniających tylko umysły — wezwanie zaś to do duchowego odrodzenia w wierze wyraźnie odzywa się w „Duchu od stepu“.

Toż wlał Bohdan w swój poemat tę wiarę głęboką, to silne przekonanie, iż w krzyżu nadzieja cała leżeć pewinna, a nie w ułudnych marzeniach utopijnych i niespełniających się nigdy, że w proch winni się rzucić wszyscy i błagać Stwórcę o odwrócenie zagniewanej ręki, przyszłych klęsk i cierpień i o tę łaskę poświęcającą, o którą tak gorąco błagał później Krasiński. A wiara ta, iż duchowe odrodzenie najwięcej pomódz zdoła, iż odrodzenie takie zrobi z karłów — olbrzymów i może rozpaczne łkanie zmienić w płacz nieszkodliwy, zaakcentowała się nader silnie we wszystkich ustępach poematu, jakkolwiek ukryta jest ona w faktach, o których poeta opowiada i odtąd to zaczyna się stopniowe, coraz wyraźniejsze jej występowanie w poszczególnych utworach, ażeby niezadługo stworzyć nawet cały cykl „Hymnów i modlitw“, odtąd zaczyna się stopniowy wzrost przekonań religijnych w poezyi Zaleskiego, ażeby stać się trzecią, donośnie dźwięczącą struną jego gęśli, trzecim pierwiastkiem jego natchnień, choć tkwił on zdawna w jego duszy, jeszcze od lat dziecinnego zarania, od czasu pobytu w Małych Jerczykach u bogobojnej ciotki Jasieńskiej.

Religijny ten jednak zapał, który ogarnął naszego poetę, nie pozwolił mu niekiedy oceniać trzeźwo wypadków dziejowych, nie pozwolił patrzeć z należytego stanowiska na rozwój ludzkości. Przykładów na mylny pogląd Zaleskiego na dzieje świata możnaby wiele przytoczyć, my tutaj jedynie kilka zanotujemy, kilka najciekawszych takich błędnych pojęć. Nie potrzeba chyba nikogo dziś przekonywać, jak wielkie znaczenie dla rozwoju cywilizacyi średniowiecznej miał wynalazek druku, jak doniosłym był w sposobie prowadzenia wojen proch strzelniczy, jakie wreszcie było znaczenie dla podźwignięcia się handlu, przemysłu i nauki — odkrycie Ameryki. Zaleski tymczasem nazywa to wszystko, co sprowadziło przewrót niemal w poszczególnych gałęziach wiedzy ludzkiej czy przemysłu — wyzwoleniem się rozumu z pod praw boskich. Tak samo potępia *a priori* całą filozofię średniowieczną, oburzą się na to, że ludzkość porzuciła miecz, że zajęła się gorliwie handlem itd. itd. Przykładów na takie błędne interpretowanie faktów pierwszorzędnego znaczenia w historyi kultury narodów można długi szereg jeszcze wyliczyć — ta atoli już wiązanka, jaką co dopiero podaliśmy, wystarczy chyba na to, ażeby można sobie wyrobić pojęcie, jak mylnie niekiedy osądzał poeta rozwój ludzkości i jej dzieje. I to już należy policzyć na karb błędów poematu Zaleskiego.

A gdybyćmy chcieli oceniać ten poemat pod względem artystycznej budowy, jaki sąd o nim mieć należy? Co się tyczy najprzód pomysłu samego, co się tyczy jego przeprowadzenia, to bezsprzecznie przyznać trzeba, iż zarówno w jednym jak i w drugim względzie był poeta zupełnie oryginalnym, że zarówno pomysł, jak wykonanie jego, są zupełną własnością poety, o pomyśle zresztą już wyżej szeroko mówiliśmy.

Doskonałem było wprowadzenie owego widzenia i snu poetycznego, owej czarodziejskiej wizyi — tu bowiem, jak w panoramie, przesuwać się mogły przed oczyma czytelnika obrazy, coraz to nowe sceny i wydarzenia. Czy jednakowoż te obrazy, to ciągłe błądzenie i wypadki narodów jednego po drugim, czy te same niemal koleje Żydów, Greków, Rzymian, i innych ludów — nie są zbyt nużące, czy nie popadł poeta w powtarzanie obrazów i sytuacyj? Tu zaprawdę uwydatniła się znakomicie owa bujna i lotna nadzwyczaj fantazya twórcza Zaleskiego z tą siłą, jakiej może nigdzie ani przedtem, ani później nie dał dowodu, że potrafił jednakie niemal sceny w tak różny przedstawić sposób, tak ciągle świeżych barw dodawać, a właściwych zupełnie danej chwili, tak do niej przystosowanych, iż każdy obraz w innem błyszczy świetle, iż nie nuży naszej uwagi powtarzaniem się szczegółów i drobnych akcesoryów nawet, tak, że poemat daje się czytać jednym tchem, od początku do końca. Nie widać tu również wysiłków wyobraźni, jakie tak często można obserwować w analogicznych chwilach; obrazy przychodzą, nie rażąc nigdzie nienaturalnością ani też wyszukanym jakimś kolorytem, ton nie podnosi się, cień nie spada, trzymając się ciągle w jednakim stopniu.

Zdarzało się jednak Zaleskiemu, że niekiedy zaniedbywał się, szkicując pojedyncze obrazy. Każdy to przyzna, jeśli zechce przeczytać taką np. scenę, jak skazanie Chrystusa na śmierć, która w poemacie naszego poety wcale tak nie wypadła,

jakby tego sobie życzyć należało i wcale nie ma w sobie poważnego nastroju.

Piśmiennicy wrzask rozniesli:
Bluźni, bluźni — ów syn cieśli,
Na krzyż hańby, o! Proroku.
Radość wielka w czartów kuźni,
Bluźni, bluźni — o! nie bluźni,
Szmer rozchodzi się na boku.“

Niekiedy też sądząc, że nada właściwy koloryt danemu ustępowi utworu, gromadził Bohdan akcesorya takie, które musiały popsuć efekt sceny. Boć wątpić należy, ażeby strofa, którą niżej przytaczamy, była znośna dla ucha i nie przypominała zupełnie makaronizmów saskiej epoki w dziejach literatury naszej:

„Jeniec jąka drżąc: O królu!
Pater patriae, konsulu!
Pontski pretor — civis natus,
Cajus, Furius, Dentatus,
Wiedzie zastęp niezliczony,
Flos romana, legiony;
Sypią zasiek przez porzecze,
Po kohortach ostrzą miecze...
Sancta verba veritatis!

Jak na puste psa szczekanie,
Wódz w płomieniach nagle stanie,
Biedny jeńcu — satis, satis!
Ścierwo rzymskie, idź do czorta!
Co tam, legion! czy kohorta!
Ostrzą miecze? Toż nieszczęście?“

Weźmy wreszcie, ażeby już więcej nie podawać cytatów, ustęp pochodu na Rzym, który grzeszy zarówno pod względem stylizacyi, jak nie mniej całego obrazowania, w nim zawartego:

„Mir! mir!“ — woła czerń [illegible]okojna,
Zmyka się na lewo, prawo;
Guślarz miota się po środku:
Coś — czy liznął żyłkę krwawą!“

Obrazy tedy chybione, zdarzają się niekiedy, lecz nielicznie. Język wreszcie nie uderza nigdzie patosem ani retorycznością, choć jest miejscami nieco zaniedbany, przeważnie jednak strofy płyną gładko, bo to

„Mowa w sercach wykochana,
Jak anielskich rąk narzędzie,
Taka strojna i ograna:
Toż do szeptów służyć będzie?“

Stanisław Zdziarski.



BOHDAN ZALESKI
a ukraińska pieśń ludowa.

W trzecim i czwartym lat dziesiątku naszego stulecia, występuje na widownię literacką grupa pisarzy polskich przejęta gorącą miłością Ukrainy. Kraj ten malują ci pisarze najpiękniejszemi barwami, na jakie zdobyć się tylko może ludzka wyobraźnia, zachwycają się ukraińską pieśnią ludową, używają jej motywów, starają się wskrzesić w pieśni krwawe czyny kozaczyzny i inne wybitne momenty z dziejów Ukrainy — a później, rozwiani po świecie, na emigracyi, zwracają ku tej krainie swe tęskne, załzawione oczy, żalą się, że „pożegnali ją nie wczora i nie jutro zobaczą“, — i starają się wszystkie jej powaby odtworzyć w swej pieśni.

Wytłómaczenia tego zjawiska należy szukać nietylko w prądach literackich, w części ogólno-europejskich, nie tylko w dążności do indywidualizacyi narodowości, nie tylko w usposobieniu patryotów polskich, którzy nie mogli sobie wyobrazić Ukrainy odrębnej od Polski, lecz źródła tych idei i usposobień szukać trzeba wogóle w cywilizacyjnem i ekonomicznem stanowisku Polaków na Ukrainie.

Począwszy od Unii Lubelskiej (1569) i Brzeskiej (1596) zaczyna się żywszy przypływ fali cywilizacyi polskiej na Ukranie. Wpływ tej cywilizacyi wyciska za pośrednictwem całej sieci szkół polskich lub łacińsko-ruskich kolegiów urządzonych na wzór szkół polskich — i za pomocą literatury polskiej niestarte ślady swego wpływu na społeczeństwie i piśmiennictwie ruskiem XVII i XVIII wieku. Z końcem w. XVIII i początkiem XIX utwierdza wpływ cywilizacyi polskiej na Ukrainie t. zw. komisya edukacyjna. Jej to dziełem były takie ogniska oświaty jak szkoły w Krzemieńcu, Owruczu, Łucku, Żytomierzu i t. p. Wyłom w tych stosunkach sprowadza dopiero r. 1832, w którym zaprowadzono w zakładach naukowych wykładowy język rosyjski, i usunięto duchowieństwo katolickie od zarządu szkół.

Dłużej jeszcze, aniżeli pod względem cywilizacyjnym i obyczajowym miał przewagę element polski na Ukrainie pod względem ekonomicznym. Najlepiej dowodzi tego fakt, że przed r. 1862 należało do Polaków w gubernii kijowskiej 85 proc., podolskiej 90 proc., a w wołyńskiej 92 proc. wszystkiej ziemi. Odpowiednie też takim stosunkom były zapatrywania Polaków na Ukrainę w początkach tego wieku. Opierając się na kilkuwiekowej przynależności tego kraju do Polski i na faktycznem ówczesnem panowaniu w nim szlachty polskiej, uważano ją za organiczną, chociaż oderwaną pod względem politycznym część ojczyzny, za kraj polski. Ludu ukraińskiego, wcale tu nie brano w rachubę. Uważano go także za polski jako własność polskich panów. Tem mniej zwracano uwagi na duchową stronę życia ludowego, na wykwity jego myśli uczuć i wyobrażeń,— na ukraińskie pieśni ludowe. W tym kierunku zwraca się twórczość poetów polskich pod wpływem dążności literackich zachodnio-europejskich — związanych z genezą i rozwojem romantyzmu.

Sprzyjając wszelkim dążnościom twórczego ducha indywidualnego, podniósł romantyzm prawa indywidualności literatur poszczególnych narodów. Zaczęli więc romantycy rozwijać myśli i uczucia właściwe pewnym narodom, dając wyraz ich indywidualności. Oni tworzą kult narodowości. Szukając właściwych indywidualnych cech danego narodu w jego przeszłości i teraźniejszości, znachodzili je romantycy w zwyczajach i obyczajach, w podaniach i pieśniach ludowych, które równocześnie dawały znakomity pokarm dla uczucia i fantazyi, nieodzownych warunków i dominujących rysów poezyi romantycznej. Stąd rozwijały się równolegle z kierunkiem romantycznym studya etnograficzne i historyczne, które w literaturach słowiańskich a szczególnie ukraińsko-ruskiej i rosyjskiej wyprzedziły nieco romantyzm.

Fale tego ruchu umysłowego zaczęły się zwolna obijać o brzegi Polski i Ukrainy i wywoływały tu zjawiska analogiczne do tych, jakie miały miejsce na zachodzie. K. Brodziński, chociaż on nie był romantykiem, przygotował pole dla tego kierunku w Polsce. On i kilku jego współczesnych, jak Chodakowski i Lach Szyrma, każą s z u k a ć r o m a n t y c z n o ś c i w d z i e j a c h k r a j u i jego pamiątkach, w p i e ś n i a c h i p o d a n i a c h swego ludu, gdyż w takim tylko razie poezya może m i e ć c e c h y n a r o d o w e.

Jeżeli więc zważymy, że Ukrainę, na której element polski miał wyżej określoną przewagę, uważano za organiczną idealnie, chociaż oderwaną politycznie część ojczyzny — to będzie dla nas rzeczą zupełnie zrozumiałą dla czego poeci polscy urodzeni na Ukrainie zaczęli w niej szukać materyałów do wyrażenia indywidualności narodowej — dla czego dzieje tego kraju były dla nich ojczystemi dziejami, a pieśni ludu ukraińskiego, pieśniami ludu ojczystego, — dla czego w nich szukano czystego źródła natchnienia.

Przytem prześliczna przyroda Ukrainy i nader burzliwe jej dzieje musiały grać niepośledonią rolę w natchnieniu poetów ukraińsko-polskich.

„Piękna ta ziemia — pisze W. Grochowski — usadzona mogiłami, zryta końskimi kopyty, zlana krwią, zasiana bielejącemi się kośćmi — wydała bujny plon, nieprzejrzane morze zieloności — a nad niem pustkę, smutek i tęsknotę. Tyle tu krwawych odbyło się zapasów, tyle bohaterskich serc zastygło, tyle brzmiało sławy, że jej echo powtarzały długie potem wieki, opiewali bojany, wydzwaniali gęślarze, przygrywali teorbaniści — a gdy i oni ze zmianą czasów umilkli — musieli wystąpić inni pieśniarze, spadkobiercy ich lutni“.

Taka w głównych zarysach geneza t. z. szkoły ukraińskiej w literaturze polskiej, takie ogólne tło ówczesnego ruchu literackiego, na którem zjawia się postać Bohdana Zaleskiego.

W prześlicznej swej „przygrywce do nowej poezyi“ uwydatnia Bohdan Zaleski w formie fantastycznej, odpowiadającej duchowi miejscowej fantazyi ludowej — ów wpływ potężny, jaki nań wywarła twórczość ludu ukraińskiego: „Matka-Ukraina“, upowiła go w pieśń u łona, przeczuwając jego przyszłe napowietrzne ptasie życie, a oddając go na wychowanie Rusałce, wołała w rozczuleniu:

Piastuj dziecię me, Rusałko:
M l e k i e m d u m i mleczem kwiecia
Pój do lotu mdłe to ciałko,
Pięknej sławy mej stulecia
Padaj do snu na obrazki,
Barwą złotą i błękitną,
Tęczą w okręg niech rozkwitną
Wszystkie l u d u m e g o k a z k i.

Rusałka — to muza ukraińska, — to uosobienie pieśni i kazki ukraińskiej ludowej; ona to wypieściła talent poetycki Bohdana.

Najsilniejsze wrażenie wywarł na duszę poety wpływ muzy ukraińskiej — w czasie jego pobytu u starego znachora Zuja — u stóp Iwanhory. Bohhan świadomy był tych wrażeń;

Z torbanem wyrósł ja, Dniepr Iwanhora,
Chata gdzieś w gaju starego znachora,
Widzę, och! jakbym pożegnał je wczora.
Śpiewałoż ptactwo byle dzień biały,
I znów dziewczęta z majdanu śpiewały,
To znowu męski głos wojennej chwały
W cześć atamanów mąciły się społem
W pieśń jedną żywą, i pieśń tę połknąłem.

Z temi wrażeniami zlewały się nierozdzielnie wrażenia przecudnej przyrody ukraińskiej, których doznawał i wówczas, i później w czasie swoich wycieczek z humańskimi kolegami. Wrażliwe ucho poety podsłuchało według słów Mickiewicza — „harmonią wszelkich tworów na stepach Ukrainy, że ujął i przelał w pieśń zaklęty rytm natury“. Wrażenia te kojarzą się w jego pieśni.

Kraina moja zarania
Wciąż jak piastunka w omroczu
W dumkach do uszu podzwania,
W mogiłach miga do oczu.

Z takim zasobem wrażeń młodzieńczych wybiera się Bohdan wraz z przyjaciółmi swoimi Goszczyńskim i Grabowskim do Warszawy, gdzie szczególnie wielkie znaczenie miał dla niego bliższy stosunek z M. Mochnackim i K. Brodzińskim.

Skłonności młodzieńcze Bohdana znalazły tu silne poparcie w teoryi, głoszonej przez Brodzińskiego, a skrystalizowanej w następujących wierszach Kazimierza:

Na jakiej ziemi, z jakiem ludem żyjesz razem,
Takiego twoje pienia niech będą obrazem;
Ty ceniąc wszędzie piękność własną śpiewaj ziemię,
Wspólne, w czuciu, przygodach i zwyczajach plemię;
Zagrodę, gdzie w młodości przekwitły ci lata,
Ruiny, smutne świadki dawnej duchów chwały,
Mogiły, co z ojczyzną synów pogrzebały.
Śledź zgasłych ojców czyny; łańcuchem niezłomnym
Sprząż dawną miłość kraju z plemieniem potomnem,
W ziomkach ucz się znać ludzi, z nich czerpaj na-
[tchnienie,
Ich uczuciem wzbudzone im poświęcaj pienie . . .

W tej wierszowanej teoryi mieści się cały program naszej poezyi narodowej — przyjęty przez romantyków polskich. Teorya ta zadecydowała i kierunek twórczości B. Zaleskiego, każąc mu brać za punkt wyjścia dzieje tej ziemi i tego ludu, wśród którego wyrósł, z którym łączyły go wspomnienia młodości. Wybór tematów ukraińskich był zatem u Bohdana zadecydowany. Tęsknota za ziemią rodzinną, za piękną ukochaną Ukrainą wywoływała w jego duszy szereg wspomnień, a wśród nich podzwaniały w uchu poety i oddźwięki pieśni ukraińskich, wzmacniane później przy pomocy zbiorów Certelewa (1819) Maksymowicza (1827, 1834) i innych.

Tchnienie ludowej mowy ukraińskiej widzimy już w pierwszych utworach Bohdana. Znać je jednak tylko w treści takich młodocianych utworów, jak „Duma o Wacławie“, zapożyczonej z pieśni ludowej „Zbyrały sia komisari“ (Maksymowicz, 1832, 132). Forma tych utworów — to niezgrabna jeszcze szata przycięta na modłę klasyczną. Nie wiele różni się stylem od dumy o Wacławie „Janusz Bieniawski“, osnuty na dumie ukraińskiej o Konowczence; ale tu widzimy już i w formie drobne perełki poezyi ludowej nie dość jeszcze zręcznie wprawione w niezupełnie stosowną formę własnej kompozycyi. Im dalej — tem silniej wkracza pierwiastek ukraiński ludowy do utworów Bohdana. Poezye „Nieszczęśliwa rodzina“ i „Wzgórek pożegnania“ — oparte są na pieśni ludowej „Homin, homin po dóbrowi“ (Maksymowicz 1827, 5—6) i dumie „W nedilu rano — porano — ne wsi dzwony dzwonyły“ (Certelew, 1819, 57—58). „Wyjazd bez powrotu“, — to przeróbka dumki ukraińskiej „Stojit’ jawir nad wodoju“ (Maksymowicz 1827, 3—4). Ażeby uwidocznić na przykładzie, w jak bliskim stosunku pozostaje ta dumka Bohdana do ukraińskiego wzoru ludowego, — zestawiano tu odpowiednie zwrotki obu utworów.

Stojit’ jawir nad wodoju
W wodu pochyływ sia.
Na kozaka newzhodońka
Kozak zażuryw sia.

Stoi jawór wedle wody
A chyla się chyla,
Płacze, nudzi kozak młody,
Bo ciężka nań chwila.

Ne chyły sia jaworeńku —
Szcze ty zełeneńkyj,
Ne żurysia, kozaczeńku,
Szcze ty mołodeńkyj.

Nie chylaj się, jaworze,
Zielonyś, młodziutki,
I tyś chłopcze w rannej porze,
Na co ci tam smutki.

Ne rad jawir chyłyty sia,
Woda koreń myje;
Ne rad kozak żuryty sia,
Ta serdeńko nyje.

Jak się jawór chylić nie ma
Fala śród gałęzi
Jak z suchemi stać oczyma,
Serce na uwięzi.

Oj poichaw w Moskowszczynu
Kozak mołodeńkyj,
Orichowa sidełeczka
A kiń woroneńkyj.

Jedzie, jedzie przez dąbrowę
Na cudze już strony,
Siodło pod nim orzechowe
A koń jego wrony

Oj poïchaw w Moskowszczynu
Ta tam i zahynuw,
Swoju lubu Ukrainu
Na wiky pokynuw.

O za Dunaj jedzie siny
Na chleb gdzieś tułaczy,
Swojej lubej Ukrainy
Nigdy nie obaczy.

Kazaw sobi nasypaty
Wysoku mohyłu,
Kazaw sobi posadyty
W hołowach kałynu.

Idą przecie milsze chwile:
Grób stoi gotowy,
Każe wszczepić na mogile
Kalinę u głowy.

Budut' ptaszky prylitaty
Kałyneńku jisty,
Budut' meni prynosyty
Wid rodeńku wisty.

Będą ptaszki dniem i nocą
Dzióbać po kalinie,
Może kiedy zaszczebiocą
Wieść o Ukrainie.

Mniej więcej w takim samym stosunku do ukraińskich wzorów ludowych, pozostają dalsze wyliczone tu utwory Bohdana. I tak — „Młodo zaswatana“ — jest tłómaczeniem pieśni ukraińskiej: „Czy ja w łuzi ne kałyna“ (Maksymowicz 1827, 70—72); w „Dwojakim końcu“ odtwarza poeta zwrotka za zwrotką pieśń: „Oj lubyło sia dwoje dityj serdeczne“ (Czubinskij, Trudy V. 872 Nr. 727). „Zakochana“ — odpowiada pieśni: „Wijut witry, wijut bujni“ (Maksymowicz 1827, 47—48); temat dumki: „Obeja wiosna“ wzięty z pieśni ukraińskiej: „Ne wsi tati sady rodiat“ (Wacław z Oleska 22, Nr. 14); „Ukaranie“ stanowi nieudolne naśladowanie znanej pieśni: „Ne chody hryciu na weczernyci“ (Maksymowicz 1827. 107); dumka wstawiona do rapsadu o Damianie Wiśniowieckim: „U sąsiada ładna żona“ — osnuta na pieśni: „Szczoż ja budu bidnyj dijaw“ (Czubinskij V. 332). Wdzięcznie tłómaczy Zaleski ukraińskie śpiewki w swych „wiośniankach“ i „szumkach“: „Ladaco“ i „Śliczny chłopiec“. Pierwsza z nich odpowiada pieśni: „Bodaj sia kohut znudyw“ (Czubinskij V. 13. Nr. 32); — druga piosnce: „A ja lublu Petrusia“ (Wacław z Oleska 256).

Niemniej wyraźnie występują ukraińskie motywy ludowe w niektórych fantazyach Bohdana, jak n. p. „Kalinowy most“. Pierwiastek ukraiński, czerpany pełną garścią bądź to bezpośrednio z ust ludu, bądź to ze zbiorów Certelewa, Maksymowicza i innych, przeistacza się pod piórem Zaleskiego, stosownie do właściwości jego talentu poetyckiego. To, co mówi Brandes o T. Moorze, da się powiedzieć o Zaleskim. Posiada on erotyczną fantazyę, jak inni poeci erotyczną namiętność. Kocha on wszystko, co jest piękne, delikatne, wybrane, łagodne i jasne, samo dla siebie, nie potrzebując szału ani przeciwieństwa. Nie podaje on nigdy przepełnionego wypadkami opowiadania, nigdy nie przedstawia silnego kontrastu i nie zagrzebuje nigdy uczucia długiem, głębokiem rozmyślaniem. Lubi on kwiecie drzewa a nie jego korzenie. Przedmioty, które go czarują, czarują go pierwszem wrażeniem, są one piękne i olśniewające, błyszczą przed zmysłami, zachwycają oko i ucho więcej, aniżeli serce. (G. Brandes, „Główne prądy literat. w XIX. stuleciu“, t. IV. str. 219). Każdy przedmiot, każdy dźwięk, każde wrażenie przypuszczone przez pryzmat wyobraźni Bohdana, wychodzi z pod pióra opromienione tęczowymi blaskami. Właściwość tę swego talentu poetyckiego skreślił sam poeta:

Pierwej z sercem dźwięk pogodzę
I czyściejszy *upiększony*
Po samotnej puszczam drodze.

Otóż ten dar upiększania motywów ludowych dodaje jego utworom charakterystycznego blasku, lecz ściera z nich pierwotne zabarwienie ludowe. Wrodzona ta cecha jego talentu i stylu przemieniła się później u poety w teoryę, według której korzystał on z poezyi ludowej:

„Pieśni ludu — jedwabników
Przędza na wiatr lśniąca lekka;
Ktoś jej doda świetnej krasy,
Umaluje, złotem przetka,
I na wieczne, wieczne czasy
Adamaszki i atłasy,
Na królewskie gdzieś pokoje
I na dziewic wszystkich stroje.

Bohdan zazwyczaj tak farbował pierwotną przędzę, i tak gęsto przetykał ją wytworami własnej błyskotliwej fantazyi, że w „adamaszkach“ tych zaledwie tu lub ówdzie wygląda pierwotna ludowa tkanina, chociaż ona często stanowi główny pomysł utworu poetyckiego. Pierwotną tę przędzę starałem się w wspomnianem studyum wydobyć z pod złotych ozdób poety.

W dumach treści historycznej stosunek ten dochodzi do tego stopnia, że Zaleski porzuca zupełnie kanwę poezyi ludowej a nawet historyi, — tylko płód swej świetlanej wyobraźni przetyka tu lub ówdzie przędzą ludowych słów i zwrotów poetyckich. Stąd „rapsody rycerskie“ Zaleskiego z życia Kozaczyzny odmienny mają charakter i zupełnie innym duchem są przejęte, aniżeli historyczne dumy ludowe ukraińskie.

Tego rodzaju utwory Bohdana były wynikiem idei, której hołdował, a mianowicie, idei ponownego ścisłego zbratania się Polan dnieprowych z Polanami z nad Wisły. W tej myśli przedstawia nam poeta w swych „dumach“ historyę nie taką, jaką była, — lecz taką, jaka odpowiadała jego snom i ideałom.

Lachy, Sławianie, jak w moich snach
Jak w mojej nucie, słowach i pieśni
Byliby sobie bracia rówieśni.

Pierwiastek ludowy ukrański odegrał więc o wiele ważniejszą rolę w jego „dumkach“ „wiośniankach“ i „szumkach“ — aniżeli w „dumach“ treści historycznej. Taki był wpływ ukraińskich pieśni ludowych na treść i charakter poezyj Bohdana.

Nie mniej wpłynął ten pierwiastek na ich stronę zewnętrzną, na język i rytmikę.

Już sama treść poezyj Zaleskiego wzięta z życia narodu ukraińskiego lub wprost z pieśni ukraińskich, zmuszała poetę używać — dla wierniejszego kolorytu miejscowego — słów ukraińsko-ruskich, mających swe stereotypowe znaczenie w zwyczajach i obrzędach ludu ukraińskiego, (n. p. zozula, trut ziele, lubystek, bojaryni, prysiudy) w życiu kozaków (kureń, kosz, czajka, łuh, porohy, słobodzki), — obrzędach cerkiewnych (ładan, sołodyka, prystól, ihumen, małebeń) i t. p.

Często używa też Zaleski zamiast dźwięków polskich — analogicznych dźwięków ukraińsko-ruskich (hromada, rozhowor, porohy, hołowa, siudy, korol, wira, czort,) — lub odwrotnie — polszczy pod względem fonetycznym słowa ukraińsko-ruskie (przystól, kraśnolicy, liwady, bylinka, nadbać sobie, bezludzie, bezchlebie).

Wiele ze zwrotów i słów ukraińskich, wprowadzonych przez B. Zaleskiego zdobyło sobie prawo obywatelstwa w poetyckim języku polskim.

Niemniej zawdzięcza B. Zaleski ukraińskim pieśniom ludowym zewnętrzne artystyczne wykończenie swych poezyj, w którym tak ważną rolę gra dźwięczność i melodyjność form rytmicznych. Już Cybulski wszedł na drogę owej tajni, do której, zdaniem Tyszyńskiego, sam tylko Zaleski ma klucze,— mówiąc, że cały język Bohdana jest jakby melodya, towarzysząca ukraińskim pieśniom. Tak! dźwięczny i lekki rytm większej części poezyj Zaleskiego, to rytm ukraińskich pieśni ludowych, który tak ściśle w nich spojony z melodyą. Odczuwał to i sam poeta, to też możemy o nim powiedzieć to, — co Bohdan nie bez względu na swą własną twórczość i ideały powiedział o piewcy, Maryanie Bukacie:

„Syn tej bujnej Ukrainy
Ograł ludu pieśń i czyny,
Aż z pod serca wstało echo;
Dźwięk przeczysty — zwierciadlany!
I na gody narodowe
W dumie złotej lub piosence
Ruską nutę, polską mowę
Jak dwie siostry, dwie królowe
Młody książe wiódł pod ręce“.

Wszystkich typów rytmicznych form wiersza widzimy w całokształcie poezyj B. Zaleskiego — 38. Z tych 15 zaczerpnął Zaleski z ukraińskiego źrodła ludowego. Oprócz tego weszły wiersze ukraińskiego pochodzenia jako część składowa prawie połowy wszystkich form rytmiczych Bohdana.

Z 103 form rytmicznych, tylko 14 zapożyczył Zaleski w całości z ukraińskiej poezyi ludowej; w 51 formach rytmicznych, znajdujemy ukraińskie wierszowe formy, jako część składową.

W obrębie wiersza znajdujemy u Bohdana ten sam podział na główne grupy rytmiczne, jaki napotykamy w analogicznych pieśniach ukraińskich. Na nich wzorował Zaleski także syntaktyczną budowę swych zwrotek, Ponieważ melodya stanowi tu ramki dla skończonej myśli i obrazu, ponieważ myśl zazwyczaj mieści się w jednym wierszu, a części składowe wiersza przed i po średniówce, stanowią także pewną logiczną całość — przeto ową uwarunkowaną przez melodyę przejrzystość i jasność syntaktyczną musimy uważać za jeden z głównych warunków melodyjności; a warunek ten zawdzięcza poeta w znacznej mierze wzorom ukraińskich pieśni ludowych.

Chociaż pieśni te tak wielką odgrywały rolę w rozwoju talentu poetyckiego Bohdana, chociaż tak silnie wpłynęły na charakter jego poezyj — mimo to bardzo mała tylko ich część napisana w duchu prawdziwie ludowym. Wynikało to juś z przyrody jego talentu poetyckiego, który nadzwyczaj silnie wybujał w kierunku abstrakcyjnym.

Tu przychodzą mi na myśl następujące słowa A. E. Odyńca:

„A pamiętasz“ mówi on do Bohdana, zwracając się do niego w swoich „Wspomnieniach“ — między innemi owego skowronka, co to chcąc niby przysiąść na kłosach żyta, które się pod nim uginały, wzbijał się znowu do góry i coraz głośniej szczebiotał? Przyrównują go żartem do ducha poety, coby się chciał opierać na ziemskich podporach“.

Z owym skowronkiem porównać można samego Zaleskiego. Lotna i lekka jego wyobraźnia unosiła go ponad świat ziemski w krainę ideału i marzeń. Kłosy ludowej poezyi, wyrosłe z realnego gruntu, z życia i uczuć ludu, uginały się pod nim, on znów wzbijał się w „krainę ułudy“, ale równocześnie oddalał się od rzeczywistości. Stąd jego poezye w większości wypadków o tyle mają wyraziste kształty i są odzwierciedleniem rzeczywistości — o ile duch poety, jak ów skowronek trzepocący skrzydłami, utrzymał się na kłosach ludowej ukraińskiej pieśni.

Dr. Aleksander Kolessa.



Bohdan Zaleski we Francyi.

(1832—1886.)

Po opuszczeniu Warszawy zatrzymał się Zaleski przez czas pewien w Galicyi. Chwile spędzone we Lwowie nie minęły dlań obojętnie. Cudne dumki śpiewaka „Rusałek“ porwały wyobraźnię hrabianki Borkowskiej, siostry utalentowanego tłómacza pieśni nowogreckich i zbliżyły dwa kochające serca. Ale panna wyszła niebawem za mąż, a Bohdan zniewolony był przez ówczesne władze opuścić kraj na zawsze.

Razem z innymi wygnańcami podążył do Paryża, głównego ogniska emigracyi polskiej. W zgiełku wielkiego miasta czuł się jednak osamotniony i tęsknił ciągle do swej Ukrainy. „Poeta i ukrainiec — powiada o sobie — w podwójnej takiej skórze, z natury żywy, fantastyczny, muszę brać na kieł, jak brat-koń tabunowy... Żyję jak pustelnik sam, śród poojczystych, porodzinnych, pomiłośnych moich pamiątek. A pieśni moje, jak wody strumienia w miarę swego łożyska, płytkie to głębsze, mętne to jasne, odbijają coś z blasku i barwy nieba i okolic, przez które płyną i dźwięczą“...

Na koleje jego życia na emigracyi wywarło najsilniejszy wpływ grono przyjaciół i towarzyszy, zgrupowanych około Adama Mickiewicza, a tworzących duchowe bractwo zjednoczenia, z którego wyłonił się niebawem zakon Ojców Zmartwychwstańców. Nie odrazu pozbył się przyjaciel rewolucyonistów Goszczyńskiego i Mochnackiego gorących porywów młodości. Ale towarzystwo bogomodlców — jak je ironicznie nazwano — zdusiło w nim resztki republikańskich i wolnomyślniejszych wierzeń, tak, że od roku 1834 aż do śmierci należy już do najzagorzalszych szermierzy wiary katolickiej i zasad zachowawczych.

W kole tych braci, szukających w religii mocy do odrodzenia, zajmował najprzedniejsze miejsce twórca „Pana Tadeusza“. „Promieniami jego słońca — pisze o tym stosunku Bohdan Zaleski — rozgrzaliśmy się wszyscy, my wszyscy mali, drobni, w porównaniu z tym olbrzymem poezyi. Nie byłbym nigdy uwierzył w siebie, gdyby nie Mickiewicz, gdyby nie to serdeczne uznanie ze strony potężnego orła dla skromnego słowika, który trwożnie kwilił na gałązce w oddaleniu wielkiem od szlaków napowietrznych“... „Kochamy się jakby rodzeni bracia, którzy się poznali dopiero z sobą na wygnaniu, w nieszczęściu i sieroctwie“. Pod wpływem tego stosunku zmienił Zaleski stopniowo nietylko przekonania republikańskie, ale cały kierunek twórczości. A przyczynili się do tego w niemałej mierze tacy krzewiciele słowa bożego, jak serdeczny druh młodości Stefan Witwicki i taki „łowca dusz dla Chrystusa“, jak Bohdan Jański, znany apostoł pielgrzymstwa polskiego. W tym duchu oddziaływał też stosunek pobratymstwa z okrytym ranami wiarusem napoleońskim, a później pielgrzemem do grobu św. Józefem Zaleskim, którego opieka materyalna i duchowa opromienia niezwykłym urokiem wspólne ich odtąd życie tułacze.

Kiedy zgiełk stolicy świata zaciężył na duszy poety, brat jego ślubny — zawarli bowiem z sobą ślub uroczysty dozgonnego braterstwa — uścielił mu ciche gniazdo w odludnej okolicy u podnóża Wogezów. Tam w skupieniu ducha rozwinął skrzydła do lotu. W Molsheim, tej pustelni górskiej, wyśpiewał swoją uwerturę czyli przygrywkę do nowej poezyi p. t. „Duch od stepu“, utwór uważany za mapkę krain poetyckich *a vue d'oiseau*. Po dłuższej wędrówce we Francyi, Niemczech i Włoszech osiadł znów z bratem Józefem w odludnym zakątku, tym razem w Endoume, pod Marsylią — i tu wśród nagich skał prowanckich, przy huku pobliskich fal morskich rozśpiewał się na nowo. A owocem tego duchowego upojenia była niedokończona „Złota duma“, do której przesadne przywiązywał nadzieje.

„Nie chwaląc się — pisał do Karola Wodzińskiego w 1836 r. — pieśń moja pachnie niepospoli-

cie, a świeci wszystkiemi barwami tęczy. Jeśli dotąd lśniącym pyłkiem prószyłem w oczy publiczności, to teraz walić zacznę całemi bryłami złota“. Równocześnie w rozpamiętywaniu szczęśliwszych lat młodości, po zgonie swego mistrza Brodzińskiego jął się do przekładu pieśni serbskich, które w wydaniu Wuka Karadzicza święciły w literaturze powszechnej pochód tryumfalny. Niebawem jednak bierze rozbrat z dawnym kierunkiem świeckiej poezyi, której ostatnim wyrazem jest „Potrzeba Zbarawska“ i „Kalinowy most“, rzucony niby czarodziejska kładka na wody żywota, aby przychylić się zupełnie na stronę poezyi religijnej. „Przenajświętsza Rodzina“ zapowiada już zachód twórczości ukraińskiego słowika.

Do wielkich kartonów, rozsnuwających nić przeszłości i przepowiednie przyszłości nie stało tchu, a modlitwy i rozmyślania pobożne nie mogły zastąpić wysychających na obczyźnie czystych źródeł natchnienia.

Kiedy wulkanicznie płomienna dusza twórcy „Dziadów“ pod wpływem Towiańskiego wypowiada wojnę urzędowemu kościołowi, przyjaciel jego od serca „skatoliczony kozak“ zasklepia się zupełnie w dogmatyzmie: odbywa rekolekcye w pustelni Trapistow lub korzy się na widok przed grobem Chrystusa.

Z uścieleniem gniazda rodzinnego w spóźnionej nieco porze, bo po przekroczeniu czwartego krzyżyka, rozpoczyna się długi okres upadku i konania poety.

Omdlało serce, ociężała głowa,
Wyszła moc moja ze mnie, moc duchowa,
W której — bywało — jak w słońcach gdzieś płonę —
Dziś to ognisko niby spopielone...

Gęśl jego coraz to ciszej i coraz rzadziej dźwięczy, a jeżeli się odezwie, to na ograną już nutę, wreszcie zgłuchnie zupełnie. Wyschła bowiem krynica, z której czerpał barw na swą paletę. Wybujałe uczucie religijne wygrywa już tylko oratorya, ze strun lutni spłynie chyba cichy szept modlitwy, nawołujący niby dzwonek na nieszpory. Pod wpływem czarodziejskich wspomnień młodości podniesiona złoto - strunna lira upada mu z ręki, rozpryskując się w roje pyłków. Zrywają się nici twórczości, wysycha źródło natchnienia. Poeta z całym przepychem swej czarującej niegdyś fantazyi wygląda jak widmo tajemnicze żywcem zagrzebanego lirnika. Nad muzą jego dźwięczną i lotną rozpiął się spokojny, niemy błękit wierzeń religijnych, a on sam zapatrzony w dal zamgloną, zasłuchany w harmonię sfer niebieskich kierował swą czajkę junacką ku odwiecznym limanom...

Po stracie swoich najbliższych, z których orzeł naszej poezyi, rozpościerający nad słowikiem opiekę, przeniósł swe namioty gdzieindziej, a inni druhowie spoczywali snem nieprzespanych pod mogiłą, osamotniony poeta, jak dąb stary na porębie, zgruchotany piorunem, kostniejącymi już od starości palcami uderzał ciągle o strunę miłosierdzia i łaski Bożej, która wszystkie inne zgłuszyła. Ale i wówczas nawet, kiedy ta białoskrzydła piastunka zarzuciła na oblicze poety swój gęsty welon, miłość stepu bezbrzeżnego i duch od mogił tęsknej, bujnej Ukrainy obejmowały go miłośnie, prusząc w skronie starego lirnika bieluchnym puchem kwiecia.

Ostatni przedstawiciel górnych lotów naszej poezyi, ostatnia gwiazda z onej świetnej plejady, co przez pół wieku porywała ku sobie serca wszystkich, zgasł na obczyźnie z modlitwą na ustach w dzień swego patrona (wedle starego kalendarza, jak zwykł za życia liczyć) 1886 r.

Bohdan Zaleski przejął się na wskróś życiem i pieśnią Ukrainy. Jej uczuciem zapładnia swoją pierś, przy jej kazkach marzy, pod jej tchnieniem zrywa się do życia.

Wiara ludu, serce ludu, tradycya ludu to jego codzienny pokarm. Wyrwany z zielonych ługów Ukrainy, przerzucony nad Wisłę, a stąd nad Sekwanę, między innych ludzi, w inne życie i świat inny — patrzy przez łzawą wspomnień zasłonę tylko w strony rodzinne, żyje tem jeno, co z lat młodości zapamiętał. W tęsknocie za Ukrainą przebolał cały swój żywot na wygnaniu, zestarzał się w czumactwie, w smutkach za bezbrzeżnym stepem, w nierozwiewnej żałobie za mogiłami Ukrainy. „Żywot — powiada dogasający starzec do dawnych towarzyszy — żywot mój zatlony u Dniepru, dogasa u Sekwany. Przy tych żużlach młodości ogrzewam się po dziś dzień“. W czułem sercu i na oczach ma on ciągle przytomne te rodzinne strony, ku którym zwraca bez ustanku i spojrzenia i myśli i pieśni.

Z lutnią swą tułaczą zmienia miejsca i widoki, ale zmienia na próżno. Zawsze i wszędzie stęsknione serce mar minionych prześnić nie może.

Ta głęboka, gorąca do ostatka niewygasła miłość Ukrainy i z niej wynikająca tęsknota wychodźcy stanowi najwybitniejszą cechę wszystkich poezyj Zaleskiego. Ona zaprawia każdy wiersz jego, każdą łzę czy uśmiech poety tą dziwnie uroczą i smętną nostalgią, której nie znajdziesz w tym stopniu u żadnego z naszych wieszczów, opłakujących straconej ojczyzny.

Świat mu pokazuje swoje cuda, roztacza swoje wdzięki, wabi i mami oczy i serce, a on „wiecznie nudzi i tęskni do domu“ nad wodę Rusawy i nad brzegi sinego Dniepru. Jedyną jego pociechą ukraińska nuta rzewna, która płynie za nim wszędzie, i jak zaczarowana, najgłośniej rozbrzmiewa. Czy wielbi świata przestworze z milionami uiskrzonych bryłek, czy sławiańskiej tęczy opiewa siedmiorakie blaski, czy płacze Jeremiaszowym psalmem nad męczennicą narodów, zawsze i zawsze ta rodzima struna „przeciągniona przez serce do duszy“ najdonośniej dźwięczy.

Ta miłość Ukrainy wypieściła w duszy jego te czary i krasy rusałczane, ona złotostrunną jego lirę wystroiła w te przeczyste, zwierciadlane dźwięki, które skrzą się i spiewają zarazem. Muza jego wywyskakuje z serca Ukrainy, jak Minerwa z głowy Jowisza. Jego mistrzynią jest pieśń gminna, która jak jedwabnik cicho, skromnie, w ukryciu snuje lśniącą, lekką przędzę, on ją umalował, złotem przetkał i ukrasił, on z niej wydobył te melodye rytmu i rymu, niesłyszane w poezyi polskiej, garściami rozrzucając ten świetlany puch, te filigrany słowa, w jakie zaczarował wyrazy mowy naszej.

Świat Ukrainy, natura i ludzie, rzeczywistość i marzenia, wszystko to niby w zaklętem, czarodziejskiem lusterku jakieś dobrej wróżki odbiło się w pieśniach i dumach Bohdana. On pierwszy to odsłania przed zdumionemi oczyma całej Polski, w takim uroku pociągającym oczy i serca ten step, to suche morze falujące mogiłami, dla fantazyi polskiej. Jemu należy się zasługa, że „ruska nuta, polska mowa, jak dwie siostry-królowe“ wprowadzone zostały na wielkie gody literatury.

Z bezbrzeżnej miłości do swej matki Ukrainy, wiarusowi poślubionej polskiemu, płyną też i grzechy naszego lirnika. Kiedy się coś bardzo kocha, to chciałoby się je przedstawić w najlepszem świetle, w najświetniejszych kolorach, chciałoby się zalecić i wychwalić pod niebiosy.

Zaleski nic tak po Bogu nie kocha, jak swoje poetyczne Zaporoże, dlatego sławi jego cnoty, dla tego kozacy jego tak odświętni i wystrojeni, jakby w prysiudach mieli się zalecać do czarnobrewych rusałek, dlatego zamilcza o zbrodniach swych atamanów, oskarżonych przed sądem dziejowego areopagu, a widzi w nich tylko ideały szlachetności, odwagi i cnót rycerskich.

Ukraina Zaleskiego to nie dzisiejsze Podnieprze, ani jej przeszłe mordy i pożogi. Łagodnej, wielkiej i prawie ascetycznej naturze poety wstrętna jest hajdamaczyzna, on omija jej dzikie rozdźwięki i namiętności, świat waśni i bratobójczych zapasów. Pogląda na swą Ukrainę oczyma Rusałki pląsającej wśród ostrowów, okrytych brylantową rosą.

Z tej bezludnej pustyni, w której tyle bohaterskich serc zastygło przed czasem, gdzie tradycya nie ma kamienia, na którymby spoczęła, brali nasi poeci różne tony do swej wielkiej pieśni.

Malczeski, urodzony na pograniczu Ukrainy, przeczuł sercem jej ducha. Owiało go powietrze stepowe, ale stopą swą nie dotknął jeszcze jej ziemi. U niego step, kozak, koń — ciemność to jedna dzika dusza. Zaleski dopiero tę uroczą, kwiecistą pustkę zaludnił, ożywił i zbudził do pieśni. Duma jego odbija już w sobie fizyonomię kraju i rozbrzmiewa echem sławy zaporozców. Ale dopiero Goszczyński, opiewający rzeź humańską, maluje Ukrainę ze strony dzikiej i krwawej, bardziej do rzeczywistości zbliżonej.

Między Malczeskim a Goszczyńskim stanowi poezya Bohdana przejściowe ogniwo łańcucha. Pierwszy daje w Maryi ogólny jeno obraz uroczego Naddnieprza. W głąb tej ziemicy zstępuje Bohdan, ale zatrzymuje się u progu krwawego dramatu polsko-ruskich wojen, na to zaś purpurowe pole śmiałą stopą wkracza jego przyjaciel Goszczyński. *M. G.*



Z legend L. Tołstoja.

II.

Dwaj bracia i złoto.

Dawnymi czasy nieopodal Jerozolimy żyło dwóch braci, Atanazy, i młodszy — Joan. Mieszkali na pochyłości górskiej, a karmili się tem, co od ludzi mieli. Dnie całe przepędzali w pracy. Pracowali nie sobie, ale biednym. Gdzie tylko ludzie spracowani, chorzy, gdzie sieroty lub wdowy, — tam chodzili bracia, pracowali i odchodzili, płacy nie przyjmując... Tak mijał braciom tydzień cały, a schodzili się każdej soboty wieczorem w pieczarze swojej. Tylko w niedzielę w domu zostawali, modlili się, gwarzyli. A Anioł Boży schodził do nich i błogosławił im. Następnego dnia rozchodzili się bracia, każdy w swą stronę. Tak przeżyli bracia wiele lat, a każdej niedzieli schodził do nich Anioł by im pobłogosławić.

Aż pewnego poniedziałku, gdy wyszli bracia na robotę i rozeszli się właśnie w różne strony, starszemu bratu, Atanazemu, żal się zrobiło rozstać się z drogim bra tem — zatrzymał się i obejrzał się z utęsknieniem wielkiem za siebie. Joan szedł, głowę zwiesiwszy, nie oglądając się ni razu.

Lecz oto zatrzymał się i Joan, a jakgdyby ujrzawszy coś, przenikliwie, z pod ręki jął patrzeć w to miejsce. Potem przybliżył się do tego, na co patrzał, nagle odskoczył w bok, i nie oglądając się, pędził z wzgórza na wzgórze, jak gdyby zwierz za nim gonił. Dziwił się Atanazy, przystanął, poczem wrócił się, by się dowiedzieć, czego się brat przeraził. Podchodzi. Widzi — coś błyszczy na słońcu. Podszedł bliżej — a na trawie jak z miary wysypana, leży złota grudka... I jeszcze mocniej zadziwił się Atanazy: i złotem i skokiem brata.

— Czego się tak przeraził i poco uciekał? — pomyślał. — W złocie nie masz przecie grzechu. Grzech — w człeku samym. Złota można źle użyć — ale można niem i dobrze czynić. Ileż to sierót i wdów wykarmić można, ile gołych, nagich odziać, a ubogich przytulić, a chorych uleczyć — wszystkiego tego złotem dokonasz! My teraz co prawda ludziom służym, — rozważał dalej — lecz ta służba nasza zbyt małą jest, ledwie co po siłach naszych, a tem złotem zawsze łacniej ludziom służyć.

Chciał brata przekonać, wołał za nim; lecz Joan był już daleko i, jako chrabąszcz mały widniał na górze pobliskiej.

I zdjął Atanazy odzież, nabrał w nią złota, ile się unieść dało, zarzucił na plecy i poniósł w miasto. Przyszedł do oberzy, zdał gospodarzowi do przechowania złoto, poczem wrócił za resztą.

A gdy wszystko złoto przyniósł — poszedł do kupców, nakupił ziemi w mieście, kamieni, drzewa, najął robotników i zaczął stawiać trzy domy: jeden dom przytułek dla wdów i sierot, drugi dom — szpital dla ubogich, trzeci dom — dla wędrowców i żebraków.

I znalazł Atanazy trzech starców uczciwych, a jednego postawił nad przytułkiem, a drugiego — nad szpitalem, a trzeciego — nad domem dla żebraków. A że pozostało mu jeszcze 3.000 złotych gotówki — oddał więc każdemu ze starców po tysiącu, iżby ci biednym na ręce rozdawali.

— I napełniły się ludźmi wszystkie trzy budynki, i chwalili ludzie Anatazego za to dobrodziejstwo. I uradował się Atanazy i nie chciał już więcej miasta opuszczać. Lecz, że miłował brata swego nad wszystko w świecie, więc, pożegnawszy swoich maluczkich, bez monety, w odzieży starej, w której przyszedł, w tej wrócił do swej jaskini.

Podchodzi Atanazy ku górze, gdzie mieszkali, i myśli: „nierozsądnie zrobił brat mój, gdy od złota uciekał. Czyż ja oto nie lepiej się sprawiłem?

I ledwie co pomyślał tak, gdy w tem widzi; stoi mu na drodze cudna postać, Anioł białoskrzydły, ten sam, co ich błogosławił, lecz patrzy na niego tak groźnie. Omdlał Atanazy i ledwie co wyrzec zdołał: „Za co? Panie!“

I otworzył Anioł usta i rzekł:

— Idź stąd, bo nie godzieneś żyć z bratem. Jeden ruch jego więcej wart, niźli te wszystkie uczynki twoje, których dokonałeś tem złotem!“

I począł to Atanazy mówić, ile to on biednych wędrowców nakarmił, ile to sierót przygarnął.

I rzekł doń Anioł:

— Ten szatan, który to złoto położył, by cię tem łatwiej skusił, — on to nauczył cię i słów tych.

I poruszyło się sumienie Atanazego i pojął, że nie Bogu temi czyny służył i zapłakawszy gorżko — pokutował ciężko.

Natenczas ustąpił mu się Anioł z drogi i otwarł przed nim szlak, na którym już stał Joan, oczekując z utęsknieniem na brata . . .

. . . .

I od tego czasu nie poddawał się Atanazy pokusom dyabła, bo poznał, że nie złotem, lecz tylko pracą a trudami służyć Bogu i ludziom można.

I poczęli bracia żyć po dawnemu, a Anioł Boży schodził ku nim i błogosławił im.



Nowiny.

„Ona“. Niezwykle zajmująca ta powieść Maryi Rodziewiczównej, głośnej autorki „Strasznego dziadunia“ i „Dewajtisa“, poczęła obecnie wychodzić nakładem „5-centowej biblioteki sensacyjnych powieści i romansów we Lwowie“. Zaprzeczyć się nie da, że wydawnictwo tej Biblioteki dokłada wszelkich starań, ażeby ją uczynić nie tylko popularną, lecz i użyteczną. Po niezwykle niskiej cenie 5 ct., daje czytającej publiczności w eleganckich tomikach rzeczy naprawdę „literackie“ i zajmujące i to wyłącznie prawie autorów polskich. Wobec tego zrozumiałem jest powodzenie, którem się cieszy ta młoda stosunkowo biblioteka. Z poprzednich powieści, wydanych w tomikach od 1 do 13, nie ma już ani jednego egzemplarza na składzie.

Kraszewski na scenie paryskiej. Z Paryża donoszą: Powodzenie tutejsze Sienkiewicza wywołało, między innemi, dodatniemi dla naszego piśmiennictwa następstwami, jedno dość niespodziane: wskrzeszenie „Chrześcijanki“ Kraszewskiego, w tłómaczeniu, a raczej w przeróbce pp. L. de Brockere i de Fleury. Próba wypadła nie zbyt szczęśliwie. Porównanie z „Quo vadis“ zabija tę chrześcijankę, zresztą „neronizm“ przejadł się już tutejszym czytelnikom



Piosenka.

Wpada chata w jar głęboki,
Górą płynie zboże;
Słońce świeci lśnią potoki,
Myśl błysnąć nie może.

Z serca ludów płyną pieśni...
Kto je czuje — słucha;
Chyżej leci, rzuca cieśni
I rozpala ducha.

Pracą, siłą poniewoli,
Wskrzesza tych, co giną,
Wspólnie cierpi, wspólnie boli
Z bratnich serc drużyną.

Idzie drogą, idzie smętną,
Nim u kresu stanie;
Wrzuca ziarno, myśli kłosek,
Na świt, na zebranie...

M. J. Gruszecka.

Józef Bohdan Zaleski *)

Studjum literackie
W 90 rocznicę urodzin poety — skreśliła
Janina Sedlaczkówna.

Nie potrzebujemy chyba podnosić znaczenia rocznic, i etycznego i historycznego. Jest to jakgdyby rzeźbienie dat drogich narodowi, na duszach jednostek, podnoszenie faktów przeszłości na piedestał, na jakim stawia świat ideały, skąd one sieją te promienie ożywcze, co atrakcyjną siłą pociągają ku sobie, opromieniają, rozgrzewają, wywołują uwielbienie i stają się drogowskazami. Wielcy ludzie, nie są wielcy samym talentem; wielcy oni w równej mierze i charakterem. Pierwszego niepodobna naśladować, jeśli go nam nie dano z wyższej woli — drugi naśladowany być powinien, bo taka już w nim moc dobrego, że nie przymija wraz z życiem, lecz trwa potężnym dla potomnych przykładem.

Talent wielki i charakter piękny, uczyniły Zaleskiego znakomitym. Godzi się więc o nim wspomnieć szczerzej i głębiej dziś, gdy dziewięćdziesiąt lat upływa, jak przyszedł na świat. **)

Dnia drugiego lutego, a jak nowsi biografowie twierdzą dnia 14. lutego 1802 roku urodził się głośny później nietylko w Polsce, syn Marji Anny Burkatówny i Wawrzyńca Zaleskiego. Dano mu imię Józef, a obok tego drugie poetyczne, ukraińskie: Bohdan.

Ponieważ dziecię w parę miesięcy matka zostawiła sierotą, odchodząc w świat lepszy, ciotka Kundzierowa w Mededówce, wzięła sierotkę do siebie. „Pogrzebowe, gromniczne dziecko“ słowa poety o sobie samym, — przebyło u niej cztery lata.

W piątym roku życia zapadł Bohdan na skórną chorobę i wówczas to ciotka oddała go znachorowi Zujowi, który był oraz pasiecznikiem. Wierzyła ona jako i sam znachor, że tam u niego pod czułą opieką córek Zuja, a osobliwie pod wpływem powietrza stepowego, chłopak przyjdzie do zdrowia.

Zresztą renomowany znachor, miał swe niezawodne leki, które dziecięciu pomóc miały w jego chorobie. Z początku dziecko nie mogło się przyzwyczaić i oswoić z pobytem na wsi i z nowem otoczeniem, ale rychło jakoś nawykło, poweselało, całymi dniami biegało po sadku, po ogrodzie i polach, a słońce i balsamiczne powietrze, działało na małego Bohdana widocznie pokrzepiająco.

Z roku na rok „karmiony mleczem kwiecia i mleczem dum“ mężniał fizycznie i zakwitł zdrowiem. Sercem całem przylgnął do stepu, do Ukrainy, do chaty wiejskiej, do futoru, do ludzi, do tęsknych pieśni jego, do osiwiałych teorbanistów, bandurzystów, do lirników, co te pieśni śpiewali przy akompanjamencie niezwykle starych i ochrypłych instrumentów.

Miłość ludu, zastępowała mu nawet często troskliwość macierzyńską i miłość tej, którą w niemowlęctwie stracił. Sam opowiada we wspomnieniach swoich, że zabrał mu ją Pan Bóg, zaledwie pożegnać i pobłogosławić pozwoliwszy. Dlatego to nazywa siebie „pogrzebowem, gromnicznem dziecięciem“.

* * *

Nieraz to się zdarzyło, w czasie owego pobytu u znachora pasiecznika, że godzinę przesiedział całą, nieruchomy jak marmur, a duszą wsłuchany w pieśń bandurysty. Biegł wszędzie za dźwiękami śpiewu. Znali go też wszyscy w okolicy i wszędzie miłym uśmiechem witali. On przylgnął sercem do cichego życia włościan, do ich zwyczajów, do ich mowy, do licznych, bogatych w klejnoty fantazji podań cudownych legend i tych smętnych płaczących, a czasem dziwacznych, pełnych grozy skazek. Mój Boże! czemżebo też są owe bajki ludu a zwłaszcza na Ukrainie! To bujny krzew o kwiecie barw najrozliczniejszych; jakież to fantastyczne kształty, jaka woń różnorodna, jaka bujność pędów nowych! Pleni się on obficie, całą rolę zarasta—znają go wszyscy, choć wszystkim inaczej się przedstawia, inne robi na nich wrażenie!

Zaleski wcześnie poił się wdziękiem i moralnością tych opowieści ludowych. Widział on jak tam prawie nigdy cnota nie jest beznagrodną a grzech bezkarnym! Konsekwencja ta, to najgrubsze, najlepiej spostrzedz się dające, rysy powieści z ludowej płynących krynicę. — Wcześnie oraz przyzwyczajał się dzielić ludową dolę i niedolę.

Najulubieńsze mu były wycieczki na Iwanhorę stojącą w pobliżu Rzyszczowa, nad brzegiem sinego Dniepru. Stamtąd rozciągał się rozległy widok na okolicę, tam widniały na szczycie ponure młodemu umysłowi Bohdana imponujące ruiny zamku książąt Wiśniowieckich (później Szczeniowskich). Nie było kwiatka, nie było prawie trawki, ni kamienia na tej górze, którychby nie znał Bohdanek, gdyż biegał tam niestrudzony, bujał i cieszył się pięknością widoków i bujnością natury, ale podobno ponad te uroki wabiła go pieśń ukraińska, smętna i nieskończona, jak rozłogi stepu, powolna i zadumy pełna, jak fale dnieprowe. Pieśni te często słyszał rozlegające się ze starych, lecz zdrowych piersi gołąbków-lirników, co tam lubili na Iwangórze u stóp zamczyska siadywać — lub nucone przez młode dziewoje, córki Zuja. Zresztą, natura pieściła, natura kształciła, natura wycho-

(*) D. 14. b. m. minęło lat 90, jak „słowik ukraiński“ ujrzał światło dzienne. Biorąc z tego asumpt, nakreśliła autorka studjum o tej tak sympatycznej i dotąd popularnej postaci ukraińskiego poety. Żywimy nadzieję, że czytelnicy z zadowoleniem powitają piękną te i zajmującą pracę.

(**) Druk pracy p. Sedlaczkówny miał się rozpocząć w odcinku naszego pisma z dniem 14. b. m. czemu jednak warunki techniczne stanęły na przeszkodzie.

wywała prawie Bohdanka, lecz rozumie się wychowanie to było pierwiastkowe, zaczątkowe. Zarazem wszakże zgodzić się trzeba, że tu leży też zaczątek poezji w jego duszy, coraz to szersze i właściwsze prawa obywatelstwa zyskującej.

Po czterech latach trzeba było nareszcie porzucić zaciszne, wiejskie ustronie; a iść w gwarny świat, by zaczerpnąć światła innego nad promienie jutrzenki i słońca: nauki. Matka natura wykarmiła go, wypiastowała, nauczyła podziwiać nieprzeliczone cuda, piękności i uroki, słowem wszystkie dzieła Stwórcy, lecz teraz nadeszła pora nauki mozolnej, coby te podziwiane dzieła objaśniła i badać ich głębie ukryte zmuszała. Po tych czterech poetycznych latach wrócił do ciotki swej Jasieńskiej, zamieszkałej w Jerczykach, tutaj to pierwszym Bohdanka nauczycielem był ks. Biernacki, jezuita, który wnioskując ze zdolności chłopca, już wówczas przepowiadał, że sławą kiedyś rozbłyśnie. — Później oddano trzynastoletniego Bohdanka do szkoły gimnazjalnej księży Bazylianów w Humaniu.

Było to w owym pamiętnym 1812 roku.

Wspomniana szkoła wielką wówczas miała sławę.

Bazylianie księża ruscy, byli szlachetnymi rozumnymi Rusinami, którzy nie dali owładnąć się moskiewskim agitacjom, lecz pozostali sobą, mając to rzetelne przekonanie, że muszą żyć koniecznie w braterstwie z Polakami, aby tym sposobem ochronić się od zagłady i grożącej im ze strony barbarzyńskiego najezdcy.

Bazylianie byli wierni Unii Lubelskiej, pomnąc na testamentalne słowa twórcy Unii, że ten naród, który się pierwszy z jedności wyłączyć zechce, który pierwszy naruszy lub złamie przysięgą trójnarodową, sam sobie zgubę gotuje.

Bazylianie wszczepiali miłość i braterstwo w serca powierzonej im polskiej, litewskiej i ruskiej młodzieży,

Dzięki temu wychowywaniu młodzieży, humańska szkoła przygotowywała prawych i znakomitych obywateli krajowi.

W takich szczęśliwych warunkach wychowywał się i uczył w tej szkole Józef Bohdan Zalewski.

Tu spotkał się z gorącą, a szczerą młodzieżą z którą niebawem nawiązał najserdeczniejsze koleżeńskie i przyjazne stosunki. Przed innymi darzył przyjaźnią Seweryna Goszczyńskiego i Michała Grabowskiego. Pierwszy zasłynął później jako autor „Sobótki", — Zamku Kaniowskiego, Posłania do Polski i innych dzieł. Już w szkole zdradzał Goszczyński talent poetycki, osobliwie zaś utwierdził między kolegami swoją sławę napisaniem dumy na gruzach Ojczyzny. Piękną tę dumę przepisał zaraz przyjaciel Bohdan, dalej wszystka młodzież szkolna, potem zaś w lot po dworkach szlacheckich się rozeszła.

* * *

Oprócz wymienionych, uczęszczał równocześnie z Bohdanem, do szkoły humanieckiej Aleksander Groza, który zajął później wybitne stanowisko w literaturze. Nie kolegował jednakże z Zalewskim Tomasz Padura, jak się to z najnowszych badań okazało. Uczęszczał tam natomiast Jan Krechowiecki i wiele innych, później wybitnie znanych. Takato młodzież wychodziła z gimnazjum humańskiego.

Po ukończeniu studjów rozjechali się wszyscy w świat szeroki i daleki, idąc za chlebem lub dla dokończenia wykształcenia.

Bohdanowi ciężko i trudno przyszło żegnać przyjaciół, z którymi spędzał najmilsze chwile i dni rozkwitającej młodości — tę jedyną, najpiękniejszą wiosnę życia ludzkiego. — A jakieto życie wrzało między tą młodzieżą, jaki zapał budził się w ich piersiach do wszystkiego, co piękne, podniosłe — osobliwie wtenczas, gdy Bohdan i Seweryn deklamowali świeżo napisane poezje swoje! Mistrzem w poezji był Zaleskiemu wieszcz, z Czarnolesia.

W najpierwszej już młodości marzył Bohdan o Kochanowskim, a później opowiadał wierszami że mu się przed oczyma duszy zjawił ukochany „książę poetów" — Oto, z jakiem uczuciem maluje te mniemane odwiedziny wieszcza Wieku Złotego:

„Tak żeś ty mnie nawiedzał. Pamiętam pacholę
„Jako ongi przez bujne szalało gdzieś pole
„Sierotką! — o zaledwie święcący się prosze
„Prosił Cię o dźwięk pieśni — u kolan pieszczoszek
„Tyś mnie nauczał miotu po ojcowsku, czule
„Bom sercem dziecka kochał Ciebie i Orszulę.
„Piastunka moja duma płaczka z mogilniku
„Powtarzała za tobą piosnek bez liku.
„Nieutulony, rzewny wychowańca smutek
„Koiliście pieśnią bojów to sobótek;
„I stepowy wasz strumień odbija przestworza,
„Niesie swoje zwierciadła do leckiego morza.

Studjował tedy pilnie Kochanowskiego, a zagłębiał się także w ruskiej kronice Nestora i w dziwnie poetycznej „Wyprawie Igora na Połowców".

Przy tej całej pracy, urocze życie koleżańskie było rzec można uświęceniem się na dalszą drogę życia, drogę dobrą, drogę Bożą.

Odebrawszy ostatnie błogosławieństwo przezacnych ojców Bazylianów opuściła młodzież dotychczasowy przebytek nauki. Było to w r 1820. Zaleski udał się na wieś lecz już nie do p. Jasieńskiej, jeno do swego starego brata, Eliasza w Krzywa. Stąd dnia 8; września wymienionego roku wraz zwym druhem Sewerynem Goszczyńskim wyjechał do Warszawy, aby tam zapisać się do uniwersytetu, świeżo założonego (w r. 1818) Bohdan unosił najmilsze wspomnienia z Ukrainy; wszak modlił się później.

„Boże mój Boże, łzami błagam Ciebie,
„Gdy umrę daj, mi Ukrainę w niebie."

Dokładnie poznał on tę ziemię podczas podróży wakacyjnych. Wtedy był także i w Kijowie. W okolicy Kijowa we wsi Pietruszki mieszkał były porucznik wojsk polskich Józef Zaleski. Zakupił on był ową wieś i tam z żoną swoja się osiedlił Był to człowiek z najszlachetniejszym charakterem, nadzwyczajnie skromny, pomimo swych zasług i prawdziwie świątobliwy.

Piętnastoletni Bohdan pojechał do niego podczas wakacyi, ze znajomymi. Mimo tożsamości nazwiska Józef nie był żadnym nawet nie dalekim krewnym Bohdana. (Są jednak tacy, którzy twierdzą, iż obaj Zalescy byli sobie krewnymi). Zawarłszy znajomość, mimo wieku różnicy, stali się sobie braćmi dozgonnymi. Rozumem, wykształceniem i wiekiem, oraz zasługami wobec Ojczyzny imponował Józef poetycznemu młodzieńcowi. A młodzieniec ten czuł go i przylgnął doń całą duszą. Tak zacny człowiek, jak Józef Zaleski, dotatni tylko wpływ wywrzeć mógł na Bohdana, co dla młodziutkiego i niedoświadczonego, stało się prawdziwem dobrodziejstwem. — O podobnych zapewnie związkach dusz myślał nasz Adam, gdy pisał:

„Świętym jest na ziemi,
„Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętymi".

Jak jasna gwiazda świeciła w życie Bohdanka ta miłość ściśle braterska, co między nimi przetrwała aż do trumiennej deski. — Utworzyli oni prawie jedną rodzinę, dzieląc się wszystkiem, mieniem i szczęściem, smutkiem i tułactwem.

Ciąg dalszy nastąpi.

Sąd ziemi i nieba.

Gdy występek wdziewa na się
Biały cnoty strój,
Gdy fałsz w złudnej wchodzące krasie,
Ślad zaciera swój;
Świat poklaskiem je obdarzy,
Maski im nie zedrze z twarzy;
Niechaj pozór dalej łudzi
— Oto jest sąd ludzi!

Kiedy z łez i krzywd bliźniego
Chciwość zbiera plon
Nie odmówi hołdu swego
Świat ze wszystkich stron.
I wychodzi wina czysta,
I z grabieży swej korzysta,
Gdy niewinność pastwą tłumu
— Oto sąd rozumu!

Gdy nieszczęsnej żałość chwili
Zstąpi w ludzki dom,
Gdy na tych, co się cieszyli
Spadnie nagle grom,
Wówczas czuje duch zbolały
Ciężar winy swojej całej
I z rozpaczą jęczy trwoga:
— Oto jest sąd Boga!

Eliza z ks. Ponińskich
Augustynowiczowa.

Józef Bohdan Zaleski

Studjum literackie
W 90 rocznicę urodzin poety — skreśliła
Janina Sedlaczkówna.
(Ciąg dalszy)

Gdy Bohdan zapisał się na uniwersytet, wykładał tam w owym czasie Kazimierz Brodziński literaturę polską. Szlachetny to był profesor, a przytem bardzo bogatej wiedzy, rozległego poglądu na swój przedmiot, poeta i reformator polskiej poezji. On to pierwszy podniósł sztandar walki z zastarzałym, martwym klasycyzmem, a zachęcał słowem i przykładem, do czerpania wątków ze zdroju narodowego. Poezja na całkiem nowe wstępowała tory; Brodziński z Mickiewiczem chrzestnymi byli ojcami Nowonarodzonej. Nabierała ona żywotności, barwy, czysto narodowego charakteru, stawała się jasnym słuchaczem duszy ludzkiej, wyrazem wolności myśli i formy i treści. Wielkie sprawy i dzieła nie powstają bez bojów i walki. Zerwały się żywioły klasyczne do boju z rodzimym kierunkiem, walka na pióra i słowa — walka o przekonania. — Lecz słowo, to potęga; słusznie powiedziano, że i stal stępi się o nie. Słowo prawdy zwyciężyło, duch czasu przechylił tę szalę zwycięstwa na stronę romantyzmu. O tym przełomie w literaturze, pisze Mochnacki: „Były to początki estetycznej emancypacji z pod przymusowych francuzkich, cudzych pojęć“. Michał Grabowski jeszcze dodaje: „Brodziński zrobił w literaturze polskiej krok sta nowczy, krok olbrzymi, bo od dowcipu do myśli, od sentymentalności do uczucia, od sztuki do natury. On pierwszy przeczuł poezję narodową i we własnem sercu ją wynalazł.“

Zastępy zwolenników Brodzińskiego codziennie się pomnażały, młodzież z zapałem stanęła pod sztandarem. Bohdan, porwany genjalnymi wykładami swego profesora literatury, stał się jego zwolennikiem i to z całą głęboką świadomością, a zarazem z całym entuzjazmem młodzieńczym. Wtedy to po raz pierwszy odważył się na pomieszczenie w *Dzienniku Wileńskim* przetłumaczonej Ody Horacego. Z kolei znowu ukazały się w Pamiętniku warszawskim oryginalne wiersze p. n. „Lubor i Ludmiła“ — „Janusz Bieniawski,“ — „Nieszczęśliwa Rodzina“— Duma o hetmanie Kosińskim“, a niebawem pojawiły się, znakomity talent zdradzające poezje: „Śpiew poety,“ „Dumka mazepy,“ „Śpiewające jezioro“ i wiele innych.

Z zachwytem wołali znawcy poezji: „Nikt w Polsce nie ma takiego stylu i takiego wysłowienia! Sposób pisania, jemu tylko właściwy, świetny, mamiący, artystowsko wykończony, brylantowy.“

Wykołysany pieśniami i gawędami Ukrainy a natchniony nowymi zasadami swego znakomitego profesora, wszedł Zalewski odrazu na drogę poeji narodowej. Ukraina stała mu się zdrojem, z którego czerpał, świeżą, kryniczną poezję. Z pod mistrzowskiego jego pióra, wychodziły pieśni pełne bujnej fantazji, żyjące, poruszające się za wichrami i burzanami stepowymi; śpiewne dumki i dumy posępne, zaludnione wiarusami kresów Lechii, wraz z jej dziejami i przeszłością.

Taka poezja, życia pełna, musiała budzić w czytelnikach życie. Gdy śpiewak woła: „Samem powietrzem po pianemu żyję“ — to zda się uczuwany magiczny wpływ jego natchnienia, upajamy się tą poezją, czasem aż do zwrotu głowy! To też z niemałym ją rozchwytywano podziwem i zachwytem. Przytem, język tej poezji bogaty jak zaczarowany skarbiec w bajce, śpiewny, miękki, fantastyczny: to raz marzący i łzawy, to znowu skoczny i wesoły. Jednem słowem z wiersza jego wpada do ucha duszy najmilsza i najmelodyjniejsza muzyka.

Dziesięć lat przemieszkiwał poeta w Warszawie, z małemi przerwami, gdy wyjeżdżał na prowincję jako marzyciel prywatny, o czem niżej będzie mowa. Napisał w stolicy cały szereg dam, damek, szumek etc. Najpierwszą tego rodzaju pieśnią była: „*Nieszczęśliwa rodzina*“. W Warszawie zaznajomił się z autorem „*Maogi*“ (Ant. Malczewskim). Obaj apostołowie nowej odrodzonej poezji, polubili sie nawzajem i często się z sobą widywali. Obaj uczuwali wysokie posłannictwo tej nowej poezji, wiedzieli, że jej to żądaniem była dźwignia odrodzenia ducha i pojęć. Nosiła ona z sobą błogą jutrzenkę wolności dla ludu, bo lud na jaw wynosiła z zapomnienia i poniżenia, piękne rzucała nań szaty, odkrywała cnoty pod siermięgą i zgrzebną koszulą, ukazywała w nim też samą godność sobie i to częstokroć bywa jedyna deską ratunkowa, po której z przepaści upadku człowiek wybrnie wa.

Widać stąd, jak piękne dążności zawładnęły umysłami zwolenników odrodzonej poezji.

Poeci i młodzież zbierali się u Maurycego Mochnackiego na tak zwanej „kawie literackiej“ albo też u Goszczyńskiego. Tam długie się toczono dysputy, tam upajano się wonią pięknych poezyj, tam żywo poruszały się umysły, bogacąc we wspólnych pogadankach z ludźmi pełnymi wiedzy i talentu. Pojawiał się nierzadko także profesor Brodziński, oraz historyk Joachim Lelewel, których młodzież czciła i kochała jakby ojców.

Zebrania te opromieniały życie młodzieży, pozatem zaś stawała walka codzienna z twardym losem. Sam Bohdan, choć zdobył sobie już sławę i poważanie, chociaż piórem ciągle pracował przecież był zmuszony dawaniem lekcyj zapobiegać niedostatkowi. Mówiliśmy już, że po ukończeniu studjów uniwersyteckich nie mieszkał stale w Warszawie, lecz na przemian to w stolicy, to na wsi a mianowicie: w eszczynku, w Rawie, w Sochaczewie. Był wtedy nauczycielem domowym Górskich a później w domu jenerała Szembeka, lecz o tym pobycie na prowincji, zbyt mało posiadamy wiadomości. Najszczęśliwsze dla Bohdana były chwile, gdy przyjaciel jego Józef Zaleski przyjeżdżał do Warszawy w odwiedziny do młodego poety, za którym zawsze tęsknił. Gawędzili wtedy bez końca, bo przypominali sobie dawniejsze lata: Józef czas swej wojskowej służby pod rozkazami Józefa księcia Poniatowskiego, Bohdan czasy szkolne w Humaniu, wakacje spędzone u Józefa, oraz owe najmilszych wspomnień wycieczki z kolegami na Zofiówkę i do Grekowa. Przypominały mu się one teraz z całą siłą odtwarzania młodzieńczych wrażeń, te wycieczki z potraconemi szumkami z których nawet jedną podał w pamiętniku swoim. Jest to zwrotka rusińska:

„Sojka, sojka, hej letiła
„Taj zwynuła kryła
„Horeż meni hore,
„Ne hoczu za more!

Po tylu, tylu przypomnieniach roztęskniał się poeta, a potem z pod pióra jego, wymykały się takie dumki jak np. „Śpiewak tęskniący“, gdzie poeta przelewa całe może tęsknoty w słowa:

„Nigdyż serce stęsknione,
„Mar minionych nie prześni?
„Wiecznież w jedną gdzieś stronę
„Zaczaruje me pieśni?

„Jak świat długi, — szeroki,
„Z lutnią moją podróżną
„Zmieniam miejsca, widoki,
„Ale zmieniam napróżno.

A potem, myśląc o Ukrainie mówi:

„Ku niej tęsknię z wieczora
„Z jutrznią tęsknię i płaczę,
„Bom pożegnał nie wczora
„I nie jutro obaczę!“

Czasem znowu wracał myślą do miejsca rodzinnego, do bohaterki i do chatki, w której się wychowywał. Wtedy z piersi poety wymyka się żal za nimi:

„Darmo błądzę oczymi
Mokrą mrugam powieką,
Mojej wioski tu nie ma
Ach daleko, daleko!

„Jakże ziemia ta wszystka,
„Jak w zwierciadle odbita
„Od księżyca do listka
W mej pamięci rozkwita.
Widzę tamże też łany
Jak i wonią i kwitną
Jak poranek rumiany,
Roni wodę błękitną.

Jakież cudowne przypomnienia budzą się w sercu poety. W kilku słowach kreśli urok letniego poranku, który rzuca różowe blaski na przejrzyste lica wody. Co za lekkość malowania przyrody, jaka łatwość wysłowienia!

Innym znowu razem porównuje swoje życie w stolicy z życiem stepowem Ukrainy. W stolicy wre ruch i gorączka pośpiechu, a nad Ukrainą płynie tylko jakaś tęskna zaduma, ludzie słuchają głosu natury, co prowadzi wciąż z wichrem rozhowory, „U nas inaczej! woła poeta — tam na naszym rodzinnym zagonie i stepie inaczej, woła ten król lirnik:

„U nas inaczej. Ach Ojczyzna Lasza
To wszechsłowiańska królowa i nasza!
Bracia! zginiemy za to, kiedy skinie
Ale śnić będziem o swej Ukrainie.
U nas inaczej! Wciąż meta żałoby,
Bo namogilna, bo pomiędzy groby
Ku duchom ojców przygrywa wspaniale
O ich minionych bojach i chwale.
Nie ma-bo rady dla duszy kozackiej
U nas inaczej inaczej, inaczej!—

* * *

Na wspomnianych wyżej zebraniach u Mochnackiego lub Goszczyńskiego, wypełniano zwyzwykle czas poezją, muzyką i poważnymi rozmowami, Na sama młodzież brała wprawdzie udział w owych wieczorach, ale zawsze miały one żywy młodzieńczy nastrój. Z prawdziwą lubością wspomina Bohdan zgromadzenia wieczorne u Fryderyka Chopina, tego geniusza polskiej muzyki. Talentem, cudną grą na fortepianie dowcipem i wzniosłym umysłem czarował on wszystkich. Gromadziła się też u niego prawdziwa arystokracja ducha, ludzie pełni inteligencji i charakteru.

Tam zaprzyjaźnił się Zalewski ze Stefanem Witwickim, młodym wówczas „poetą“. Gdy nieraz zbyt długo zagadali się u „Szopenka“, jak go pieszczotliwie, po przyjacielsku zwali — szli na „Powiśle“, na Powązki, na pielawy i tam zachwycali się urokami nocy. Ileż to dum, ile marzeń budziły te przychadzki przy jasnym blasku księżyca, odbijającym się, jak srebrzysty krążek w kryształowej wodzie Wisły. Wtedy też napisał Zaleski „Czajki“, „Damian książę Wiśniowiecki“, a w noworocznika Odyńca noszącym tytuł „Melitele“ mieścił Bohdan w r. 1829 swoje „Rusałki“.

Przyjaźń opromieniła natchnienie uszczęśliwiała młodą duszę, porywała ją w zaświaty, do sfer tajemnych, a skąd zamaszczenie prawdziwe. Bohdan maluje to życie znacznie później w mało przez ogół czytelników znanym wierszu:

„Skróś czyste niebios łonie
Gwiazdy migocą tłumnie
A jedna kraśniej płonie
Jaśniej wymruga ku mnie.

Tyżeś to z chórowodu
W mej duszy rozśpiewanie
Jak ongi — jak zamłodu
Wsłuchajesz się Stefanie!

Wspominam bodaj noce,
Gdy na Powiślu, sami,
Bywało tam w omroce
Polujem za pieśniami

Patrz, cień się tam rozściela
Brodziński duma zbliska;
Patrz, w oknie Lelewela
Lampka wieczyście błyska.

Ku groźnej konstelacji,
Gęśl rzewniej czemuś kwili
Przeczuwam wieszczych braci
Stefanie nasi mili!

Stefanie! serce mdleje —
Warszawscy dwaj muzycy
Tych nocy czarodzieje:
Szopenek i Maurycy

Byłyć to sławne gody!
Mazurycy i wieszczowie
Od zdroju żywej wody
Ku Polsce wiali zdrowie!

Pomimo natchnień i zachwytów, ci wszyscy co się tam schodzili dla podniesienia i pokrzepienia ducha, czuli łańcuch niewoli na szyi narodu. Ciągłe i coraz to nowe pomysły Wks. Konstantego, obrażające i oburzające, wydzierające narodowi jego prawa, nie obce były pracownikom pióra, wszakże im również nie wolno było chwycić za pióro i podnieść głos skargi i oburzenia przeciw tyranii. Zapewniona na kongresie wiedeńskim 1815 wolność druku, została z innymi gwarantowanymi prawami zdeptana przez przemoc. Dlatego trudno było, wyczekiwać czegoś lepszego, pomyślniejszego, bez własnych w tej mierze działań. — Ucichły Muzy — zagrzmiały działa. Piotr Wysocki, instruktor szkoły podchorążych w Warszawie stworzył „Związek patrjotyczny“. Wszyscy najszlachetniejsi Polacy, szczęścia i wolności całego narodu pragnący, należeli do tego związku. Należał doń i Bohdan Zaleski i jego koledzy, jak Seweryn Goszczyński — dalej tacy jak Ludwik Nabielak, Rettel, Karol Paszkiewicz, Józef Dobrowolski, Maurycy Mochnacki, August Bielawski i tylu innych.

Związkowi, zespoleni duchem i jednym celem wyzwolenia Ojczyzny, wykonali następującej treści przysięgę:

„Przed Bogiem i Ojczyzną ujarzmioną naszą odartą z praw i przewilejów konstytucyjnych, przysięgamy:

„Najprzód: nie wydać na przypadek więzienia żadnego członka, zawiązującego się towarzystwa, choćby z tego powodu przyszło ponieść najcięższe męczarnie.

—„Powtóre: połączyć wszystkie usiłowania, poświęcić życie, gdy tego będzie potrzeba, w obronie zgwałconej ustawy konstytucyjnej.

—„Po trzecie: ostrożnie rozszerzać związek nie przyjmując ani pijaków, ani szulerów, ani ludzi skazitelnego charakteru, pod jakimbądz względem“.

Rota Przysięgi świadczy wymownie, jacy ludzie mogli należeć do związku, skoro tak pilnie wzbraniano wstępu osobnikom bez wyszej moralnej wartości. Mówi to dosadnie o prawości związku.

Skoro dnia 29. listopada 1830 w Warszawie wybuchło powstanie, Bohdan stanął w szeregach walczących, zaciągnąwszy się do pierwszego pułku strzelców pieszych. W tym pułku odbył całą kampanią z Bielowskim, Mochnackim i t. d.

Powstanie mimo nieustraszonej waleczności Belwederczyków, którzy w pamiętnej listopadowej nocy wypłoszyli z pałacu belwederskiego, Wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza, brutalnego w pokoju ale tchórza w niebezpieczeństwie (bo to zawsze w parze idzie), mimo tylu chlubnych zwycięstw ze strony Polaków mimo bezlicznych poświęceń, nie skończyło się niestety zwycięstwem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nr. 11.

Dodatek litera...

„Rytmy.“

I.

CANTABILE.

Kiedy dumam w wieczornej godzinie,
I w wspomnieniach całą duszą tonę,
Słyszę echo, co z za mogił płynie
I rozważam czasy już minione,
Wtedy przeszłość wstaje w szarym pyle,
Nucąc tren żałosny — cantabile.

Kiedy widzę ciebie, — twą pięknością
Pragnę oczy nasycać stroskane,
Rozkoszując się teraźniejszością,
W twe się oczy wpatruję kochane,
I powiedzieć ci, ach, miałbym tyle!
Lecz śmiem tylko nucić — cantabile...

Kiedy patrzę w świata smutne męty,
W ten wir kłamstwa, złości, prześladowań
Gdzie duch ludzki dla światła poczęty
Tonie w bezdni ciężkich rozczarowań —
Ja się w własnych uczuć skupiam sile,
O przyszłości marząc — cantabile.

II.

VIVACE!

Niech stoją leniwe wody,
Pełzają tłumy robacze,
Ty wśród wiosennej pogody
Dąż naprzód, genjuszu młody,
Do pięknych celów — vivace!

Niech w życia poziomej pleśni
Bezpłodny pesymizm kracze,
Niech własną niemoc swą prześni,
A ty, na skrzydłach leć pieśni,
Z rozpędem czynu — vivace!

Naczelnik wyciągnął z gabinetu ojca Lejars bladego ze wstydu i złości. Starał się go uspokoić, ale w głębi duszy podzielał całkowicie zdanie prefekta. Tak, ojciec Lejars stracił głowę. Odpowadzając go, zaczął mu perswadować:

— A więc i pan nie wiesz — odpowiedział ojciec Lejars.

— Niestety, ale to wymysł fantazji.

— A więc i dla pana także, dla wszystkich jestem starym niedołęgą!

Z temi słowy ojciec Lejars odszedł.

* * *

We dwa tygodnie później, ministerjum zostało obalone; prefekt policji upadł także, ale w dodatku ośmieszony. Wymawiano mu jego reformy i fiasco w ostatniej sprawie, które stało się przysłowiem.

W dniu swej dymisji prefekt otrzymał list następujący:

Panie!

Jeśli kiedykolwiek, o czem wątpię, zostaniesz pan na nowo prefektem policji, pamiętaj, że tradycje są tradycjami i że stara rutyna jest najlepszą drogą, jaką dotychczas znaleziono. Tak panie, jeden i ten sam człowiek popełnił oba zabójstwa. Ten człowiek znajduje się w tej chwili w mojem ręku, a ponieważ policja, zdezorganizowana przez was, nie jest w stanie chwytać podobnych przestępców, ja sam czuję się w obowiązku uwolnić od niego społeczeństwo. Znajdą u mnie jego dwa kostjumy, dwie peruki i samego trupa zbrodniarza, gdyż za chwilę zastrzelę tego *„starego niedołęgę"*. Lejars.

J. Richepin.

---

3. Józef Bohdan Zaleski

Studjum literackie

W 90 rocznicę urodzin poety — skreśliła

Janina Sedlaczkówna.

(Ciąg dalszy)

Jednak w narodzie nie upadła wiara i nadzieja, naród przez tę krwawę próbę zmężniał więcej, zahartował się przyjmując z rezygnacją zrządzenia losu, pracując nadal w pocie czoła na ojczystej niwie, aby uzyskać w przyszłości to, co mu się sprawiedliwie należy. Po okropnej walce, której przodownicy nasi stanowcza być nie dali, po tej walce, przez którą ogłosiliśmy światu nieśmiertelność Polski, ofiarami i męstwem okupione zwycięstwo, raz jeszcze wydarte nam zostało, ale nie masz siły, któraby nas zniszczyć mogła! — Oto jest głos narodu po powstaniu, wypowiedziany przez jednego z polskich myślicieli żołnierza i polityka.

Zaleski brał udział między innemi w bitwie grochowskiej, gdy zaś do Warszawy wrócił, wybrano go posłem na sejm jako reprezentanta Taraszczańskiego powiatu na Ukrainie. Po upadku powstania d. 8. września 1831 r. opuścił Warszawę i poszedł na tułaczkę. Drogą na Zakroczym udał się do Prus, potem zaś wrócił do Galicji i zagościł wtedy do Lwowa, gdzie mu po bolach i smutkach pierwszy promyk radości zabłysnął. Spotkał bowiem we Lwowie swego druha i najserdeczniejszego „brata" Józefa Zalewskiego. I ten, jako szczery patrjota nie był bezczynnym w czasie walki o niepodległość; brał w niej udział na Ukrainie, a potem przekroczył granicę Galicji z korpusem generała Józefa Dwernickiego. Spotkawszy się we Lwowie, przyjaciele nie długo bawili razem, Bohdan bowiem zwrócił na siebie wkrótce baczność austrjackich władz i aresztowany został za udział w powstaniu. Znalazła się jednak i tu pomoc. Gubernator ówczesny Wacław Zalewski, autor znany pod pseudonizmem, Wacława z Oleska, ojciec dzisiejszego ministra, Filipa, postarał się o rychłe uwolnienie politycznego więźnia. Uzyskawszy wolność, pełen goryczy i bolu, opuszczał stolicę tej części Polski, gdzie spodziewał się znaleźć względną swobodę, a znalazł to samo, co przedtem pod knutem despoty.

Wraz z towarzyszem swym Worcelem pojechał do Krakowa, bawił tu wszakże dzień tylko, poczem opuścił Ojczyznę. Miał nadzieję, że na obczyźnie uzyska spokój i potrafi tam jeszcze dla Polski użytecznie pracować. Udał się więc teraz jako emigrant do Paryża. Józef przyobiecał uczynić to samo. Wierny obietnicy, przybył w r. 1833 do Paryża, tam zamieszkał z Bohdanem i odtąd jako szczerzy przyjaciele żyli razem przez lat 30.

Na emigracji Polacy zabrali się wspólnie do pracy w duchu odrodzenia Ojczyzny. Braterstwo z ludem stało się przedmiotem ich propagandy. Głęboka pobożność, czasem aż do mistyzmu dochodząca, cechowała tą pierwszą emigrację naszą. Nieustannie nosząc w sercu troski o losy Ojczyzny, pragnęli wymodlić błaganiem, wypracować czynem i wyśpiewać pieśnia Jej szczęście. Pod przewodnictwem Adama Mickiewicza i Bohdana Jańskiego zbierali się na wspólne modlitwy i stąd to nazwano ich towarzystwem „Bogomodlców". Należało tu wielu emigrantów z których wymieniamy bardziej znane nazwiska jak: Ignacy Domejko, Stefan Witwicki, Antoni Górski, Cezary Plater, Bohdan i Józef Zalescy. Ostatni dwaj nawet, chcąc ducha oderwać od marności powszedniego życia, a podnieść go i udoskonalić, postanowili prowadzić przez jakiś czas życie pustelnicze i obrali sobie do tego celu z początku Férres. Wkrótce jednak spostrzegł Bohdan, że i tu niema pożądanego spokoju, więc w r. 1835 wyjechał z Józefem do Strassburga gdzie zabawili już dłużej. Samotność i ciszą, jaka otaczała ich na ustronnem Molsheim przyniosły nowe natchnienia poecie. Wtedy to struny lutni poetyckiej wygrały kilka pięknych pieśni, oprócz nich zaś szerszego zakroju poemat: „Duch od stepu". W tym utworze jest Zaleski prawdziwie wieszczym Bojanem, prorokiem narodowym. Rozmodlony o losy Polski, tej krainy, trójnarodowej o niej tylko marzy i pisze. W modlitwie za Polską, błaga Marji, królowej naszej korony tymi słowy:

„Marjo, Matko, Królowo na niebie
W trzech ziemiach Twoich łaskami wsławiona;
Trzy twoje ziemie: Litwa, Ruś, Korona,
Pod święte stopy ścielą się przed Ciebie,
Litwa, Ruś, Polska — trójlistny to bratek
Dziewico czysta — otchnijże swój kwiatek!"

Tu powstały tłumaczenia pieśni serbskich, tu wyśpiewał swą *Złotą Dumę*, którą chciał uczynić królewskim djademem swych natchnień, lecz przerwał ją i niestety nieskończył W r. 1837 przedsięwzięli obaj Zalescy podróż do Włoch. Poeta zapragnął być na tej ziemi artystycznych natchnień, w tej złotej kolebce sztuki i poezji. Zatrzymał się w Rzymie. Stolica chrześcijańskiego świata „Wieczne miasto" wywarło potężne wrażenie na duszy poety. Każdy rys miasta, każdy obrazek, przenosił aż na dno swego serca aby uwieść z Rzymu taką miłą wspomnień wiązkę. Nie pozostały te odwiedziny bez opiewania, wrażenia swoje odmalował poeta w wierszu p. n. „Przechadzka poza Rzymem".

Z Włoch powrócili do Francji, zamieszkując prowansalskie miasteczko Eudome w pobliżu Marsylii, nad morzem Śródziemnem. Tu w tem zacisznem ustroniu rozpoczęli prawdziwe życie pustelników. Mieszkali w miernej rybackiej chacie. W odosobnieniu nie widywali się z nikim utrzymując jedynie z „Bogomodlcami" korespondencją. Tutaj właśnie w Eudomie napisał Zaleski ową wspomnianą „Przechadzką poza Rzymem" — a prócz tego wiersze: „Zakochana", Wyjazd bez powrotu, — „Co mi po tem?" — „U nas ina-

czej“ — „Goniec“ — „Do gęśli“ — „Mara“ — „Ze snu“ — i inne.

To życie pustelnicze nie ugasiło pragnień wolności i niepodległości narodu. Świadczy o tem pieśń Bohdana, skreślona w pustelni:

„Pieśni! bój mi prorokuj!
„Wnet ja, sokół stepowy
„Na ramieniu hetmana
„Pojrzą szerzej, w około,
„Och, z pod serca wesoło!
„Grzmiącą piersią Bojana,
„Jako surma miedziana,
„Huknę — ura! w niebiosy.“

W r. 1839 opuścił pustelnię i zamieszkał w Fontenebleau. Rok pobytu w tem mieście upamiętnił najznakomitszymi swymi poematami: „Przenajświętsza Rodzina“ — i niedrukowaną dotąd (ma wyjść u Żupańskiego w Krakowie) „Potrzebą Zbaraską“. — W r. 1840 podążył do ustronia w Wogezach, zwanego Plombieres. — W owym czasie doszła go wiadomość, że akademia lozańska powstała Mickiewicza na profesora łacińskiej literatury. Pośpieszył więc Bohdan do Szwajcarji w tymczasowym roku, aby być bliskim genialnego wieszcza, Mickiewicz pierwszym zaraz wykładem olśnił, oczarował słuchaczy. Słowa jego olbrzymiała i nie pozwolono mu długo pozostać w niewielkiej akademii lozańskiej. Francja zaprosiła go do swego kolegium w Paryżu na profesora literatur słowiańskich. To stanowisko było dla Mickiewicza odpowiedniejsze. Zaleski nie miał po co dłużej bawić w Szwajcarji, lecz powrócił do swej poprzedniej siedziby niedaleko Paryża, do Fontenebleau, stąd bowiem mógł często odwiedzać Adama. Tryby życia nie zmieniał, a wysoki nastrój religijny powodował go niejednokrotnie do tego, że udawał się do klasztoru Trapistów i tam surowe odbywał rekolekcje. Przewodniczyła mu w tem głównie jedna idea: Chciał sam pokutować za winy swego narodu, byle narodom Bóg przebaczył, byle go wywiódł z „egipskiej i babilońskiej niewoli“.

Gdy w Galicji w r. 1846 wybuchła pełna zgrozy i okropności i ohydy, rzeź tarnowska — Zaleski rzewnemi łzami opłakiwał okropną zbrodnię nieszczęsnego ludu, błagając Boga o przebaczenie. „Odpuść im Panie, bo nie wiedzą, co uczynili“ — rozległy się głębokie i łzawe westchnienia poety wśród zacisznych murów klasztoru francuskiego. — „O, rękę karaj, nie ślepy miecz!“ — wołał na innem miejscu Kornel Ujejski — Po takich rekolekcjach wracał Zaleski znowu do swego domu i Fontenebleau gdzie weselej spływały mu chwile spędzone z ukochanymi przyjaciółmi: Józefem i Adamem.

Nie będziemy opisywać tego życia, niech on sam mówi o niem, swemi młodemi słowy: „W Lozanie i w Fontenebleau przeżyłem z Mickiewiczem, bodaj najmilsze chwile na emigracji. Zestroiliśmy się byli w duszach doskonałą miłością. Obydwaj miewaliśmy widzenia sny, dużo natchnień, które przebrzmiewały bez śladu w improwizjach. Jedno z tych wspólnych z Adamem widzeń, opisuje Zaleski, w dumie, zatytułowanej: „Angelus“. Gdy z Adamem przechadzał się po lasku, zadumali się obaj nad dawno minioną sławą i nowszą walk pełną przeszłością. Wchodzili w mocno cienistą część lasu, gdy nagle obaj zastanowili się. Adam stał z osłupiałym wzrokiem i rękę wyciągnął przed siebie; Bohdan jak skamieniały patrzał w to samo miejsce. Obaj poeci mieli równocześnie widzenie Polski, pomiędzy dwoma morzami, ze stepami z równinami, z puszczami litewskimi, z Tatrami z Dnieprem i jeziorem Gopłem. Na ten widok rozkoszny, który stęsknionym za Ojczyzna tułaczom — wieszczom przedstawił na jawie tę sam Ojczyznę, obydwaj rozbrzmieli pieśnią polską wielkiej i świętej otuchy“.

Rok 1841 wyrobił pewną różnicę w przekonaniach wieszczów, oraz pewien rozłam w uczuciu, dotąd zespolonych druhów. W owymto roku pojawił się w Paryżu Andrzej Towiański z Litwy, który głosząc swe mistyczne wierzenia wiele na emigracji zyskiwał zwolenników, temwięcej że niedwuznacznie czyni nadzieję odbudowania Polski.

Mickiewicz był mocno zdziwiony, oczarowany nawet tą niezwykłą postacią a gdy w dodatku Towiański uzdrowił mu żonę na obłąkanie chorą, Mickiewicz uległ jego upływowi, jego teoryzm skłonił się do jego sposobu myślenia, a porwany jeszcze niezwykłą wymową i niepohamowaną fantazją Towiańskiego, dał się zupełnie temu przybyszowi swojej drogiej Litwy opanować. Wiedział dobrze Towiański, jak wpływową osobistością był Adam, dlategoteż wszystkich dołożył trudów i starań dla pozyskania go sobie, gdyż zanim szły całe masy emigrantów

Mickiewicz wzywał teraz swoich najbliższych i najpokrewniejszych duchem a więc i Bohdana, aby u Towiańskiego „serce swe pocieszył, rozradował, okwiecił, ozielenił“ — (Są to słowa Adama). Zarazem dołączał do listu adresowanego do Baune w Burgundji z datą 11. sierpnia 1841 wiersz powszechnie znany, z tem samem zaproszeniem Bohdana do przyjęcia zasad i wierzeń towiańszczyzny:

„Słowiczku mój a leć a piej,
„Na pożegnanie piej!
„Wylanym łzom, spełnionym snom
„Skończonej piosnce twej,
Słowiczku mój, twe pióra zrzuć
Sokole skrzydła weź.
I w ostrzu szpon, złoto-stron,
Dawidzki hym tu nieś!“

Ale śpiewak ukraiński, choć odpowiedział, pięknym wierszem Adamowi, choć pojechał natychmiast do Paryża, jednak skoro się o wszystkiem dowiedział, odparł stanowczo, odepchnął wszelkie myśli zaciągnienia się w grono Towiańczyków. Z początku jeszcze zaciekawiony pytał:

Kto? z jakich stron
W przeczysty ton
Jak zwierciadlany zdrój
Niewoli słuch? Och, bliźni duch!
Do chóruż głosie mój!
Adamie, ach! po wieszczych snach
Promienny mruga brzask
Toż dłonie w dłoń,
O wespół doń,
Rozdzwoni słońca blask!

Był zatem gotów wespół pójść z Adamem, póki nie wiedział, co się święci. Pragnął nawet zawrócić Mickiewicza z błędnej drogi, na którą nieszczęśliwie zaszedł, ale usiłowania zostały bezowocne. Pomimo tej rozter i Bohdan nie przestał kochać wieszcza i uwielbiać jego geniusz jego miłości dla ludzi, jego charakter. Z największym zapałem mówił zawsze o Adamie. Przed kilku jeszcze laty, wypowiedział cały hymn prozą na cześć Mickiewicza, w rozmowie z jedną z Polek (Seweryną Dzechińską). „Co za geniusz, co za człowiek, co za dusza wulkaniczna płomienna i krystalicznie czysta! Promieniami jego słońca rozgrzeliśmy się wszyscy; my wszyscy mali, drobni, w porównaniu z tym olbrzymem poezji. Jemu to skarby natchnienia zawdzięcza cała plejada polskich wierszów. A jaki on był dobry! Jak pełen wylania dla przyjaciół. Kto go znał, ten się już na ziemi dotknął czary piekielnej rozkoszy, ten już ma przeczucie tego, czem moze być duch niebiański!“

Te są słowa Zaleskiego o Mickiewiczu.

A spytajmyż teraz, jakim sam był ten człowiek, co miał tak serdecznie, tak bezstronnie wielbić talent, ukochać takiem szczerem uczuciem wieszcza — przyjaciela? Jego czyste, niemal świątobliwe życie, wystarczającą jest na to odpowiedzią.

(Dokończenie nastąpi.)

———

50

I poruszył w jednej chwili
Mego serca krwawe rany..

„Mamże z dumy mej koturnów
Spaść, gdzie krążą ludzie marni? — —
Gardzę ludźmi! — gardzę światem! —
I podążam do kawiarni.“

Tadeusz Pepłowski

Józef Bohdan Zaleski 4.

Studjum literackie

W 90 rocznicę urodzin poety — skreśliła

Janina Sedlaczkówna.

(Dokończenie)

W dalszym ciągu pokuty za grzechy swego społeczeństwa, dla uwieńczenia swej modlitwy pokutnej, udaje się w r. 1843 z Józefem do Ziemi świętej. W pielgrzymce tej do grobu Zbawiciela spotykają się z ks. Ignacym Hołwińskim i odtąd już razem z nim pielgrzymują. Powraca, unosząc najcudowniejsze wspomnienia wraz okruszyną ziemi z grobu świętego, wraz z natchnieniem, — ożywiony, podniesiony na duchu. Tak to się opędził pokusom towjanizmu, gdy inni u „Pana Andrzeja“ się gromadzili na jakieś modlitwy i oczekiwania chwil, kiedy duchy z nimi obcować zaczną, Zaleski starym zwyczajem u grobu Zbawcy szukał pokrzepienia.

Pod wpływem tej świeżo rozbudowanej religijności, jego „Przenajświętsza Rodzina“, przypomina mu się z całem swem religijnem tłem i natchnieniem, nabiera wspaniałego kolorytu, głębiej ją teraz, realniej nawet w duszy odczuwa. Zdaje mu się, że miejsca opiewane w poemacie wykroił z obrazu rzeczywistości.

* * *

Zaleski po powrocie do Fontenebleau oddał się na nowo pracy literackiej, w życiu jego zaszła pewna zmiana. Józef namówił go bowiem do utworzenia sobie własnego ogniska dmowego. A właśnie i jemu coś się o tem marzyło, choć już miał lat 44. Serce rozstrzygnęło. Dnia 28. listopada 1846 r. pojął w małżeństwo zacną i utalentowaną w muzyce uczennicę Szopena, a wychowanicę Hofmanowej Zofią Rozengartównę. Po ożenieniu zamieszkał w Paryżu.

Spokojnie i pracowicie płynął mu teraz żywot aż po r. 1848. Rok ten bowiem wywołał obu przyjaciół w pole wojennej służby. Józef, dziarski, ilekroć dźwięki trąbki bojowej zagrały i doszły do jego uszu, poszedł z bronią w Poznańskie, a Bohdan udał się na zjazd słowiański w Paryżu. Celem zjazdu była dążność do zabratania Słowian wolność miłujących; zbratanie to miało być silną obroną przeciw cezaryzmowi społecznemu, przeciw despotyzmowi staremu ciągle wskrzeszanemu pod nowymi tytułami. Bohdan do Pragi nie odjechał, bo go zmuszono do powrotu.

Od r. 1850 przebywał przez lat 10 nie w Paryżu, lecz w Fonteneblau, dojeżdżając często do stolicy, tutaj bowiem rozwijał oczywistą działalność w instytucjach publicznych, jakoto: w towarzystwie literacko-historycznem, w Radzie szkoły polskiej na Batignolu i t. p. Przewodzi oraz jako prezes Stowarzyszeniu Podatkowem instytucji, założonej przez Karola Królikowskiego, a mającej na celu niesieniu pomocy weteranom polskim z 1830/31. Z początku objął Zaleski prezesurę wydziału tymczasowego, później zaś „Instytucji Czci i Chleba“.

Prócz tego chętnie jeździł do Paryża, bo tam spotkał drogich sobie: Adama Mickiewicza i Seweryna Gałęzowskiego. Ci to przyjaciele zaglądali też nierzadko do jego cichego gniazda rodzinnego w Fontenebleau. W ciągu tych lat różne zaszły wypadki. Wybuchła wojna krymska, Mickiewicz z misją rządu francuskiego pojechał do Turcji i nagle zgasł 1855. r. W styczniu 1856 powrócił z misji, ale wrócił w trumnie hetman Ligi polskiej na cmentarz do Montmorency.

Tu naród polski przez usta ukochanego barda, polskich stepów i rozłogów Ukrainy, — żegnał zwłoki swego wieszcza. Zaleski przemówił nad mogiłą, gorącą łzą przyjaciela i rozbolałem sercem narodu.

* * *

W pięć lat później przeniósł się znowu do Paryża, aby dopilnować kształcenia swych synów, w których teraz spoczęły wszystkie jego najmilsze nadzieje. Przeczuwał, że sam nie będzie już świadkiem doby wolności Polski, lecz wiedział, iż dzieci jego ujrzą wschodzące jej słońce, i to im też wyraził w 1860 w wierszu: „Do moich dzieci“. Zabrał się następnie do pisania poematu: „Wigilia godów tysiącletnich“. Miał to być obraz odrodzonej, nowochrzczonej Polski. Przy tej pracy zastał go rok 1863, więc wybuch styczniowego powstania wytrącił z rąk pióro sędziwemu poecie. Nie walczył już teraz, krwi nie przelewał, ale głęboko losy powstania w duszy odczuwał. Razem z walczącymi cieszył się zwycięstwem, razem płakał i bolał nad klęską. W tych to czasach, niejednokrotnie trąca pełen łez krwawych w sercu struny swej lutni i odzywa się do ogółu takimi poezjami, jak. Łzy, Antyfona, Woman żórawi, Feligota, Tarasowa mogiła, Otucha, Jaskółka, wallegro to w penserozo, Zaduma i nokturno, Spiewna zmowa, Im dalej w lata, Ku młodziankom polskim, Kwinta na gęśl, Do młodych Polek, a ostatniem echem z szeregu pieśni jest: Śnieżyca*)

Tutaj miejsce zastanowić się nad pracami Zaleskiego w ogóle; w tym celu przytaczam krótki pogląd na jego literacką działalność, skreślony przez znakomitego krytyka M. Mochnackiego. „W poezji Zaleskiiego, obydwa te poezji atomy: realizm i idealizm duch i materja, muzyka i figury, fantazja i rozmysł artystyczny dumania i res statuaria snycerstwo, śpiew i kształt w większej z sobą zgodzie, większej harmonii zostają toż zdają się być pod równiejszą niejako i miarą i wagą rozdzielone. Częścią w zamyśle samotnym i tęsknocie, częścią jest w rzeczywistości.

To górnymi wzlatuje pojęciami, to wyobraża, kształci. Jego postacie rześkie, szykowne, żywe, żwawe, poskoczne mile w oko wpadają. Zwykle w jasne przyodziewa je szaty. Taki jego stary myśliwiec, takie kozactwo, tacy rycerze dum ukraińskich! Czasem ekscentryczny, pozakrańcami prawdziwego świata w idealnej krainie; to znowu wewnątrz natury w społeczeństwie i w historji, jak tamta naiwny i szczery, jak ta prawdziwy i realny. Żartkiego dowcipu, bystry, przenikliwy: myśl ma prędką jak widocznie i pochmurną i wesołą. Oko tego wieszcza, nie zawsze łzu smutku zroszone, żywiej promieni, raźniej, jaśniej dalej widzi. I śmieje się i płacze na przemiany. Imaginacja Zaleskiego szklana, czysta, jak błękitna wód powierzchnia a fantazja różnobarwna, różnolicowa, mieniona jak gra kolorów i ziemskie na obłokach malowidła ku schyłkowi dnia jasnego — albo jak farby tęczy na tle ruchomem w powietrzu, kręgu, szerokim łukiem zbiegającej, gdy deszczowe rzedną chmury. Taka właściwość, ten charakter poezji autora Rusałek. Przecinają się tu, że tak rzekę dwa wielkie koła jednakiej średnicy, dwie sfery, *realna i idealna*. Jeżeli z miary wychodzi i równego tych mas podziału, to bardziej i częściej ku stronie realizmu. W tem największa sforność i energia ducha tego młodego poety. Nie bez słusznej więc przyczyny zwiemy go wieszczem minionych wieków, poetą *zgasłych plemion*, ponieważ ich postacie i głosy rozciągłymi tonami swojej arfy z zapadłego wywołuje zmierzchu. Sam ten sztukmistrz dla własnego tylko użytku narządził owe muzykalne, dźwięczne naczynie i swojej roboty strunami takowe nawiązał.

Nikt bowiem tak jak on nie zagra na jego instrumencie. Darmoby się kto na to silił i wielkim zdobywał dowcipem, jako niegdyś żaden dworzanin, żaden zalotnik wdowiejącej Penelopy, nie zdołał napiąć starego łuku króla Itaki i w cel strzałą ugodzić, choć i piękna kobieta i udzielna wyspa na morzu były nagrodą tego strzału. Z tej przyczyny tak źle się wydaje, co bądź naśladowcy Zaleskiego, jego miarą, w jego duchu napisać chcieli. Te są cechy ogólne. Zaleski nie ogł sił jeszcze zbioru wszystkich pism swoich, nie małe fragmentami oryginalnych poematów, umieszczanymi w dziennikach wzbudziwszy oczekiwanie. Wyjatek z Rycerskiego Rapsodu, Rusałki, Damian, Mazepa, dumy, fantazje, — otoż ledwo nie wszystko, co mi się czytać zdarzyło. W tem jednak wyraziły się już charakter i właściwość jego poezji a szczególniej poetyckiego stylu. Pod względem nawet zewnętrznego kolorytu, rytmu i mechanizmu, co tylko pisze B. Zaleski, zdaje się być nakształt ochotnego ognia w nocnej dobie, kiedy strumień płomienisty nagle, prędko, wysoko strzeliwszy w górę, na tysiączne się rozsypie, rozwieje i bryznie gwiazdy, wieńce, krzyżyki, wstęgi i smugi świetlne. Albo także jest coś nakształt zasłony Rusałek rubinowych iskr jutrzenki. Takie Czajki, takie śpiewające jezioro! Nikt w Polsce nie ma takiego stylu i takiego wysłowienia. W tem mu najpoprawniejsi klasycy nie zrównali. Sposób pisania świetny jemu tylko właściwy mamiący artystyczny wykończony, brylantowy. Czyż sztuka Zaleskiego nie zdaje się być w porządku idealnym efektów dzisiejszej poetyckiej literatury naszej jakby elementem ruchu, biegu? I tak jest w rzeczy samej. Prędka, wietrzna, powiewna, roznośna, działa mowcą sprężyny i wszystko z sobą w tym systemie siłą lotu porywa.

* * *

Ostatnie niemal dźwięki poetyckie wydała lutnia Zaleskiego po powstaniu r. 1863-64. Potem zamilkł żałobnie ku klęsce narodu na czas długi. W następnych latach kiedyniekiedy — od-

---

*) Przychodzi mi tu na myśl zbieg faktów. Mickiewicz ostatnią swą pieśń naturze poświęcił, napisał bowiem: „Do sosny polskiej“ Zaleski ostatnim swym dźwiękiem naturę opiewa. Podobne wspólności często spotykamy w życiu obu tych wi[illegible]ów. (Przyp. Aut[illegible])

zywa się jeszcze jakimś wierszem okolicznościowym, lecz twórczość jego dorównywa temu napięciu jakie miała przedtem. Odtąd serce poety otwarło się na same bole i żałoby. Los powstania był dla niego bolem nad bolami! Potem osobiste dotykają go straty. W r. 1864 d. 8. lutego stracił najlepszego przyjaciela, majora Józefa Zalewskiego. Czterdzieści sześć lat braterstwa i przyjaźni, to chyba nie nader powszedni przykład. Potwierdzenie to starej myśli: — Umiej być przyjacielem, znajdziesz przyjaciela.

* * *

Następnie w zbolałą jego duszę uderzają ciosy, jeden za drugim. Umierają krewni, żona d. 23 lutego 1868 r. potem córka, wydana za mąż za dr. Aleksandra Okińczyca, nakoniec ostatni przyjaciel Bronisław Zaleski. Umarł on w r. 1880 d. 22. stycznia, był to literat i znakomity znawca sztuki. W ostatnich latach życia mieszkał w Paryżu, gdzie był redaktorem Roczników towarzystwa historyczno-literackiego, oraz bibljotekarzem tegoż towarzystwa.

* * *

Sędziwy wieszcz w Ławej żali się poezji; „Brat i siostry, wszyscy mili. Co kochali, co tulili, Śpią w mogiłach już!“ I jemu samemu już śni się mogiła, doł cmentarny na spoczynek po bojach życiowych.

* * *

Po śmierci żony zamieszkał w Villepreux, wiosce w pobliżu Wersalu. Dworek oceniony bujną latoroślą był siedzibą poety z Ukrainy Chociaż mu to dość powabne mieszkanie przypominało wioski polskie, nie zbyt wesołe było życie jego. Materjalnie także nie najlepsze, bo dochody niedopisywały... życie wiódł najskromniejsze.

* * *

W r. 1870 podczas walki francuskiej z Prusakami napisał Zaleski „Modlitwę za Francją“ dając tym sposobem wyraz swej sympatji dla rzeczypospolitej. Często też jeździł do Paryża na obchody patrjotyczne polskie, bo tego pokrzepienia potrzeba mu było. Rok 1881 przyniósł z sobą myśl pielgrzymki słowiańskiej do Rzymu. Zaleski chcę strudzony i podeszły wiekiem i w dodatku ociemniały, z tem samem co niegdyś bogomódlcem pragnieniem bierze laskę pielgrzymią i z tysiącami staje tam przed obliczem ojca katolickiego świata. Naoczni świadkowie tej pielgrzymki opowiadają fakt następujący. Gdy nieprzeliczone zastępy pielgrzymów stanęły przed papieżem, Bohdan trzymał się jakoś na uboczu ale zdaleka już uwydatniała się jego bujna popoważnie długa mlecznobiała broda. Takiej brody nie znaleźć u nikogo z obecnych pielgrzymów! A przytem ta postawa, choć wiek znać na niej to i jakąś poetyczną dziarskość zdradzały Zwróciło też to uwagę papieża, a któryś z kardynałów, spostrzegłszy to, poszedł ku poecie i prosił, by wystąpił naprzód. Papież zadowolony z tego, przemówił do poety, o godność pytał i najpierw też naszego pobłogosławił lirnika on rad był i mówił wzruszony: Zaniosę to błogosławieństwo memu narodowi.

* * *

Nadszedł rok 1882; a z nim 80 letni jubileusz poety w dniu jego patrona św. Józefa, d. 19. marca. Nie tylko z Polski całej, ale i z wielu innych krajów, jak z Włoch, Szwajcarji i Anglii przysłano adresy i życzenia jubilatowi. Wiele osób, zabrawszy nawet dzieci z sobą i wjechała tego dnia do Villepreux. Z otwartymi ramiony przyjmował poeta wszystkich, trzech dzielnic zabranej Polski ziomków, drogich jego sercu, oraz z obcych krajów tych, co umieli cenić Polskę i jej dążności.

Zdawało się, że przy tej uroczystości zapomniał o swoich ośmiu krzyżach, ożywił się, odmłodniał, przygarniając drogich gości do serca. Z polską delegacją emigracyjną przybyła Seweryna Duchińska (współczesna autorka) i wręczyła adres ozdobiony pięknym rysunkiem wieńca z kłosów, bławatów, oraz stepowego burzanu, adres z przeszło ośmiu tysiącami podpisów, które zebrała, jako wyraz hołdu dla wieszcza z Ukrainy. Nie brakowało tam w podpisach żadnej warstwy społecznej, nawet wieśniacy polscy w liczbie 112 podpisali się na adresie. Gdy obaczył owe podpisy i rysunek wieńca, drżał ze wzruszenia, łzy płynęły mu z serca. Ci, których on tak bardzo ukochał, dla których śpiewał, równą odpłacali mu miłością i wdzięcznością.

W miłem serdecznem gronie zasiadł znowu Bohdan Zaleski. Żywo przed oczyma duszy stanęły mu wspomnienia z lat ubiegłych. Opowiadał zgromadzonym wiele szczegółów z życia i wtedy to wypowiedział owe pamiętne słowa o Mickiewiczu, które już poprzednio przytoczony zostały.

Była to ostatnia jasna, promienna i wysokiego nastroju duchowego chwila, dle wieszcza. Był to blask nadmogilny, ostatni snop promieni jakim go żegnała ziemia, żniwo tego ziarna, jakie siał w swem społeczeństwie, dożynki huczne i piękne, jakie pieśniarz wyprawił dla swych słuchaczy.

* * *

Po przebrzmiałej uroczystości jubileuszowej znowu cisza sprawiła samotny domek wśród bujnej zieleni śwież rozwitej na wiosnę. Wiek poważny poety więcej może zaznaczał się fizycznie, nie duchowo, bo do późnej starości miał pamięć doskonałą, myśl zawsze prawie świeżą a wiarę w przyszłości iście młodzieńczą! Zaczynał wszakże coraz częściej zapadać na zdrowiu przytem nowy cios ugodził w jego serce: śmierć drogiego mu zięcia dr. Aleksandra Okińczyca. Czuł gasnące siły a choroby nie było zaco leczyć. Postanowił przenieść się do szpitala św. Kazimierza, utrzymywanego z funduszu instytucji „Czci i Chleba“. Jednakże d. 31 marca czuł się już tak źle, że o żadnych przenosinach mowy być nie mogło. Blada jego twarz z długą siwą brodą była spokojna, świętość jakaś malowała się na niej. Leżał bezsilny, ale nie złamany, owszem jakieś blaski nadziei biły od pooranego, wyniosłego czoła. Przeczuwał, że zbliża się chwila, kiedy stanie przed Panem. O wpół do 7 rano dnia tego, pożegnał ten świat, na którym żył lat 85 i bojował, pracował i śpiewał, modlił się i uczył czynem, wybierać drogę prostą, jako jedynie do celu wiodącą. Zgasł chrześcijański żywot po chrześcijańsku zamykając, kapłanowi, rodakowi udzielił błogosławieństwa dla całego Narodu.

* * *

Pogrzebano jego zwłoki, po odbytych egzekwiach w kościele de l'Assomption. d. 2. kwietnie 1886 na cmentarzu paryskim Mont-Martre obok żony.

Na mogiłę rzucił naród wieńce z kwiatów rodzinnej ziemi, zroszone tysiącznemi łzami żalu i żałoby; a może powiały tam echa jego własnej lutni dźwięków, (jednego z pierwszych, młodzieńczych utworów).

„ Duch nie zgaśnie przez skonanie
„A dla ziemi u mogiły
„Kilka piórek pozostanie
„Co ku niebu mię wznosiły!“

Nr. 13.

Dodatek lite

„Rytmy.“

V.

DOLCE.

Dolce... o, nie smuć się... takiś już blady.
Musisz chwileczkę choć mieć ukojenia.
Chodźmy do lasu, przy szmerze kaskady
Może ukoją się twoje cierpienia.
Przyroda w swoją cię obejmie ciszę
Dolce... słodko ból twój ukołysze.

I Dolce... Nie gniewaj się. Gniew twój wybucha
Oh, lekkomyślne wyrzucasz wyrazy
I ani czujesz, że temu kto słucha
Może też dusza zrysować się w skazy.
Dolce... Już przestań, opanuj się przecie!
Kędyż jest spokój na tym smętnym świecie?

I Dolce... Patrz, motyl tam leci gęstwiną —
Widzisz — jak śliczny, powietrzny, cudowny?
Dolce... z gęstwiny ciche dźwięki płyną —
Słyszysz? to słowik... prawda, jak wymowny!
Czy wiesz? Ten słowik nigdy się nie gniewa,
A gdy mu smutno, ciężko, to on — śpiewa

Jakiż ten świerk wysoki! Podnieś głowę
I podnieś oczy w górę, aż do szczytu —
Widzisz nad nami tam — chmurki różowe,
A poza niemi ten bezmiar błękitu.
Patrz — jak się w słońcu źdźbła żywicy złocą—
Dolce... nie bądź zły taki — za co? o co?

Nie umiem cię pocieszyć i nie mogę?
A przecież chciałam, łagodnie z pogodą.
Dobrze — pójdę w głąb lasu. Widzisz drogę?
A ty zostaniesz sam na sam z przyrodą.
Ty — ją znasz lepiej niż mnie, dawniej widzisz,
Bo ty ją kochasz, ze mnie tylko szydzisz.

51

Bohdan Zaleski

Szkic literacki

przez

Józefa Tretiaka

(1882)

TYGODNIK POWSZECHNY

№ 26. Warszawa, dnia 25 Czerwca. Rok 1882.

PRZEDPŁATA WYNOSI:

W WARSZAWIE: w Redakcyi oraz we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism peryodycznych — rocznie Rsr. 8, półrocznie Rsr. 4, kwartalnie Rsr 2 miesięcznie kop 67.

w CESARSTWIE i KRÓLESTWIE: z przesyłką pocztową rocznie Rsr. 12, półrocznie Rsr 6, kwartalnie Rsr. 3.

CENA POJEDYŃCZEGO NUMERU KOP 20.

OLEODRUK oryginalny, polskiego artysty, otrzymują wszyscy prenumeratorowie bezpłatnie.

BIURO REDAKCYI I EKSPEDYCYA GŁÓWNA, w Księgarni Maurycego Orgelbranda, w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika

PRZEDPŁATA WYNOSI:

we LWOWIE. kwartalnie flor. 3 cent. 60, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 4 cent. 40. Skład główny w księgarni F. H. Richtera.

w KRAKOWIE: kwartalnie flor 3 cent. 30, na prowincyi flor. 4. Skład główny w księgarni D. E. Friedleina.

w POZNANIU: kwartalnie marek 6. Na prowincyi marek 7. Skład główny w księgarni N. Kamieńskiego i Spółki.



SZACH I MAT! Z obrazu Thuro Cederström.

250,000.

POWIEŚĆ

przez

Michała Bałuckiego.

I.

Pod bombą.

„Pod bombą“ — tak nazywano w pewném galicyjskiém miasteczku knajpeczkę podrzędniejszego gatunku, mieszczącą się w zaułku niedaleko głównego rynku. Bomba nie była wcale wojenném godłem, był to poprostu pękaty, gruby kufel piwa, wymalowany na ścianie nad zieloną okiennicą, z białą pianą, wylewającą się z kufla, jak śniegowa lawina. Pod kuflem na wabika dano napis: „cena sześć centów“ a obok tego wykrzyknik gruby, jak kiełbasa.

Ta mała cena obok wielkiego kufla ciągnęła, jak magnes amatorów piwa do Lajbusia i w niedzielę i święta po sumie, lub w dnie jarmarczne szynkownia i obszerna, brudna izba za nią były tak pełne ludzi, że Lajbuś i jego żona, matka i Dorota służąca i Antek parobek nastarczyć nie mogli ze szynkowaniem.

Kiedyindziéj bywało tu za dnia dość cicho i pusto; czasem jaki robotnik, albo nałogowy pijak zajrzał na półkwaterek *mocnéj*; to przyszła dziewczyna po wódkę z flaszeczką pod chustką, albo chłopak z terminu z dzbankiem po piwo.

Dopiero wieczorem zbierała się liczniejsza kompanja. Schodzili się tutaj dopiero ubożsi rzemieślnicy, jedni pokrzepić się i wytchnąć po całodziennéj pracy, drudzy utopić w kuflu, lub w kieliszku zmartwięnia i kłopoty. Był to proletaryat miejski. Arystokracya, do któréj zaliczali się także zamożni rzemieślnicy, bawiła się w Kasynie. Tu schodzili się tacy, których los i urodzenie zepchnęło na szary koniec, gdzie bieda graniczy już prawie z nędzą, a wytarty surdut zamienić się może lada dzień w łachmany. To też nic dziwnego, że dla tych ludzi dobrobyt drugich był solą w oku, że ten porządek w świecie, który ich postawił tak nisko, nazywali niesprawiedliwością.

Trzeba ich było słyszéć, jak nieraz na takich zebraniach wieczornych, burzyli się przeciw tym, którzy bez pracy używają zbytkowych przyjemności i wygód, podczas gdy oni nawet na niezbędne potrzeby zapracować nie są w stanie, jak ich irrytowała ta nierównowaga bogactw i pracy.

Prym w tym chórze malkontentów trzymał Marek Tarchała—cyrulik z profesyi.

Był to człowiek w gruncie nie zły, ale wiecznie niezadowolony, wiecznie narzekający na los i na ludzi. Prawdą jest, że los obchodził się z nim rzeczywiście po macoszemu, choćbyśmy wzięli tylko to na uwagę, że właśnie wtedy, kiedy on otworzył swoją oficynę, zakazano cyrulikom zajmować się leczeniem chorych, zakazano im pod surową karą puszczać krew chłopom (rzecz najintratniejsza w praktyce cyrulickiéj), a do tego nastała moda noszenia bród — moda istotnie żydowska, jak ją nazwał żółciowy Marek. A oprócz tego i ludzie dogryźli mu nie mało i to najbliżsi krewni, którzy jako zamożniejsi znać go nie chcieli. Brat jego stryjeczny był aptekarzem, dalszy krewny sędzią w tém miasteczku— obaj przezwali się od dawna Tarchalskimi i nieprzyznawali się wcale do pokrewieństwa z ubogim cyrulikiem;— robili nawet starania, żeby go się pozbyć z miasteczka, bo ich ...ował; ale nie było sposobu zrobić tego ...nnéj drodze, bo to, że pod bombą piorunował ...raz na bogaczów, że wygadywał na zły porządek w świecie, nie wystarczało jeszcze do wypędzenia go z rodzinnego miasta. Przesiedział się wprawdzie za to nieraz w kozie, ale też na tém kończyło się wszystko, bo nie można było wyszukać w jego filipikach nic takiego, coby go kwalifikowało na dłuższy czas do kryminału. Socyalistyczne teorye jego obracały się w granicach dozwolonych, a nie zagrażały w niczém spokojowi publicznemu, bo kończyły się zwykle wypiciem kilku bomb piwa, które uspakajały go zupełnie i godziły znowu na kilka godzin z obecnym stanem rzeczy. Potrzebował poprostu wygadać się, wylać w słowach żółć z siebie i dla tego był stałym gościem co wieczór pod bombą—prezydował zgromadzeniu niezadowolonych i najczęściéj bywał generalnym mówcą. Zima czy lato, słota czy pogoda, on równo prawie z zapalaniem lampki zjawiał się w szynkowni i musiało chyba zajść coś bardzo ważnego, żeby się spóźnił, lub opuścił posiedzenie; wypadki takie na palcach by policzyć było można.

To też zdziwienie nie małe ogarnęło wszystkich, gdy Marek Tarchała dwa dni z rzędu nie pokazał się pod bombą.

— Tarchały znowu niéma?— Co się to znaczy? —pytał jeden drugiego.

— Czyby siedział przy chorym? — Ale nie, w miasteczku wiedzianoby o tém, bo tu z kichnięciem trudno się było utaić przed ludźmi, cóż dopiero z chorobą taką, do któréjby aż cyrulika potrzeba.

— Chyba że chory — przypuszczał blacharz, który trudnił się także naprawą zegarków.

Dopiero kościelny, który nadszedł właśnie, gdy tak debatowano nad nieobecnością Tarchały, objaśnił, że tam u niego w domu coś na chrzciny się zanosi, bo widział dziś rano Tarchałę, lecącego po Bulikowę.

— No, to będzie oblewanie—zawołał ucieszony szewc Ślazik, zacierając ręce z radości, że będzie mógł upić się za cudze pieniądze, bo za swoje nie co dzień mógł sobie coś podobnego pozwolić.

— Żeby tylko przyszedł— odezwał się kiełbaśnik Salomonowicz, człowiek wiecznie wątpiący we wszystko, wyjąwszy w dobroć własnego wyrobu.

— To się mu pierwszy raz zdarza — zauważył Twardzicki, właściciel małego sklepiku z mydłem i świecami z przeciwka.

— Będzie mu się to teraz częściéj zdarzać, jak się zaczną sypać dzieci jedno za drugiém — rzekł blacharz.

— E, chyba nie—zaprotestował szewc—bo jego kobieta na to nie wygląda. Chude to, mizerne. Ja nie wiem, co mu się to w niéj podobało, bo to ani z pierza, ani z mięsa.

— Takie było przeznaczenie—odezwał się sentencyonalnie kościelny. — Śmierć i żona od Boga przeznaczona.

— Trzeba żebyście to przypomnieli staréj Tarchałowéj, bo babka do dziś dnia strawić nie może tego małżeństwa. Dmie w swoją familią, choć familia znać jéj nie chce i rada by była syna ożenić inaczéj, bo utrzymuje, że on biały, jak szlachcic i edukowany na doktora, to wart choćby szlacheckiéj córki. A tu raptem dostała jéj się za synowę córka wyrobnika. To jéj dyablo po nosie pójść musiało.

— To też pono żyje, jak pies z kotem, i jeżeli młoda Tarchałowa tak pomizerniała, schudła, to tylko przez tę starą—rzekł Twardzicki.

— Przez biedę—wtrącił kiełbaśnik. — Albo to zjé kiedy porządnie, ma jakie wygody? Tarchała sam dużo potrzebuje, stara także sobie krzywdy nie da zrobić. Niéma dnia, żeby do mnie nie wpadła to po kawałek kiełbasy, to po kiszkę, a synowa za oboje pości.

— Dobrze jéj tak—mruknął powroźnik chudy, zawiędły z kędzierzawemi włosami i czarną brodą, który dotąd milczący siedział pod oknem—zachciewało jéj się familianta, to teraz ma za swoje.

— Idzie ci o to mój Spytku, że za ciebie nie poszła? Wlazłaby z deszczu pod rynnę — z jednéj biedy w drugą.

— Kto to wie? Gdybym miał żonę, jak się patrzy, możeby u mnie inaczéj było. Pracowałoby się, jakby było dla kogo.

— Powiadają, że to brat skojarzył to stadło — odezwał się blacharz.

— A tak— potwierdził kościelny — bo to była wielka przyjaźń z Tarchałą. Przez niego się poznał z dzisiejszą swoją żoną, umiał mu ją zachwalić, że dobra, pracowita— no i namówił go, że się ożenił, choć matka była temu strasznie przeciwna.

— Kto wie, czyby teraz Ignac nie żałował, że dotuszał do tego małżeństwa, gdyby tak wrócił i zobaczył ich pożycie.

— No, Tarchała przecie nie zły mąż, nie można tego powiedziéć.

— Ale z matką na udry iść nie może, bo to zawsze matka. A ona umie dokuczyć synowéj za dziesięcioro.

— Możebyśmy partyjkę? — spytał kościelny, którego zaczęła już nudzić ta rozmowa.

— A nie zaczekamy na Tarchałę?

— Chyba już nie przyjdzie. Dziewiąta minęła.

Kilku obsiadło stół przenosząc ze sobą swoje kufle z piwem; zaklekotały kości domina, które kościelny wysypał i już miał zabierać się do mieszania ich, gdy drzwi prowadzące na ulicę otwarły się prędko i wszedł do szynkowni w pomiętym włoskim kapeluszu mężczyzna chudy, wysoki, z kościstą twarzą, niespokojnym wzrokiem, nerwowemi ruchami.

— Tarchała!—zawołało kilka głosów.

— Brawo! dawajcie go tu — odezwał się szewc uradowany, że go nie ominęła nadzieja libacyi.

— No, cóż tam Pan Bóg dał, syna czy córkę?

— Syna — odrzekł, podając niektórym rękę na powitanie.

— Brawo! Winszujemy.

— Należałoby oblać —wtrącił szewc.

— To się wié, że oblejemy. Lajbuś, po bombie dla każdego.

To powiedziawszy, usiadł na ławie wśród towarzyszów, którzy mu miejsce zrobili między sobą; wyciągnął długie włoskie cygaro „talianem“ nazywane tu powszechnie i wziął się do zapalania.

Ubranie jego, równie jak cała powierzchowność było zaniedbane i biedne. Surdut wytarty i jakby nie na niego robiony, rękawy za krótkie choć wygodne do jego zatrudnienia, odsłaniały brudne i pomięte mankiety od koszuli i żylaste, chude ręce. Tylko głowa była udekorowana z przesadną starannością, może nie tyle przez zamiłowanie elegancyi, jak kultywował ją raczéj w celach reklamy własnych zdolności fryzyersko-golarskich. Ta głowa była niejako szyldem jego i przypominała potrochu owe głowy drewniane, wystawiane w gablotkach fryzyerskich. Najprzód twarz była zawsze starannie wygolona co do włoska i nawet przypudrowana, przez co rzeczywiście wyglądał biały, jak szlachcic, jak to z dumą utrzymywała jego matka. Strzępiaste i rzadkie wąsy

za pomocą czernidła i węgierskiéj pomady łączył w ozdobną całość, któréj końce sterczały po obu stronach twarzy, jak konduktory elektryczne. Ale przedewszystkiém kunszt jego wysadzał się na fryzurę. Czarne jego włosy, wypomadowane bez litości i względu na kołnierz, ułożone były w jakieś fantastyczne czuby, pukle, zakręty, rozdzielone z tyłu i podgolone po oficersku. Aby miéć dokładny obraz tego knajpowego socyalisty dodamy jeszcze, że ruchy jego były nerwowe, niespokojne, przesadne, przypominające aktorów prowincyonalnych, między którymi podobno jakiś czas przebywał.

Nim ukończył manipulacyą z zapalaniem t. j. nim wyjął słomkę, założył ją za ucho, rozpalił dobrze cygaro na końcu i wydobył pierwsze dymy, Lajbuś z pomocą służby swojéj, zaspanéj Doroty i brudnego Antka, przyniósł szesnaście bomb, które wnet szesnaście rąk pochwyciło do góry i wzniesiono zdrowie najprzód Marka Tarchały, jako autora, potem żony jego jako wydawcy a następnie małego Tarchały, jako najświeższego dzieła. Toast ten ułożył i wzniósł, jak się domyśléć nie trudno, zecer z miejscowéj drukarni, która oprócz ogłoszeń sądowych i kartek pogrzebowych dostarczała na okoliczne jarmarki senników egipskich i książek do nabożeństwa.

— Wiwat! niech żyje! — powtórzyli za zecerem wszyscy.

— Dziękuję, dziękuję—rzekł fundator, trącając się z niektórymi, potém wychylił jednym haustem większą połowę kufla i usiadł. Był jednak czegoś zachmurzony i kwaśny.

— Coś nie bardzo kontent Tarchała z syna — odezwał się kiełbaśnik.

Tarchała rzucił najprzód na mówiącego surowe spojrzenie, jak błyskawicę przed burzą, potém skrzywił twarz do przykrego uśmiechu i rzekł:

— Cieszyć się? I z czegoż to mam tak się cieszyć?

— No, że syn, nie córka.

— Syn, czy córka to wszystko jedno, zawsze to będą tylko dzieci biedaka. Gdybym był bogatym, lub przynajmniej zamożnym... ba, ba... wtedy miałbym się z czego cieszyć. A tak, co mi to za rozkosz pomyśléć, że syn mój będzie tak samo klepał biedę, jak ja. Tfu! takie życie. Lepiéj się nie rodzić, niż tak żyć.

— Zawsze to z dzieci pociecha— zauważył kościelny.

— Tak, dla was, bo przybędzie kościołowi jeden więcéj, co zapłaci za chrzest, za metrykę, potém kiedyś za ślub, a w końcu i na wychodném ze świata będzie się wam musiał jeszcze opłacić.

— He, he, figielki, figielki —odrzekł kościelny, maskując uśmiechem niezadowolenie, jakie te słowa mu sprawiły. Uważał je za obrazę stanu duchownego, do którego się sam zaliczał. — Farmazon, bezbożnik — pomyślał sobie w duszy, bo kościelny był socyalistą o tyle, o ile ten socyalizm nienaruszał źródeł jego dochodu t. j. kościoła. Radby był bardzo, żeby kościelnym przyznano dochody proboszczów, a nawet kanoników; ale był zakamieniałym konserwatystą na punkcie samych dochodów kościelnych.

Tarchała tymczasem, skoro raz już wszedł na swój ulubiony temat, nie myślał wcale go puszczać tak lekko i oparłszy oba łokcie na stole, trzymając w jednéj ręce cygaro, w drugiej kufel perorował daléj, jak z katedry.

— Tak panowie — mówił, a tytuł ten łechtał dumę i próżność biedaków—rodzimy się na biédę, żyjemy w niedostatku, niewiedząc, co jutro ze sobą poczniemy, jaki los czeka nasze dzieci; podczas gdy bogacze używają wszystkich przyjemności, wygód, zbytków. Czy to słusznie? czy to sprawiedliwie?

— To się wie, że nie—odezwał się głos z kąta. Był to głos Antka stróża, który służył u Lajbusia za wikt i okrycie a za to czyścił mu konia, omiatał dom cały, rąbał drzewo, palił w piecach, szabasówki objaśniał, obsługiwał gości i Bóg wie jakie spełniał czynności, a wszystko to za ten mizerny wikt, na którym się wcale nie utuczył i za okrycie obtargane i brudne. Wiecznie zasmolony, rozczochrany był takiém popychadłem w domu, na które nikt nie zważał chyba wtedy, gdy się nim chciał posłużyć. Najwięcéj myślała o nim Dorota, bo jadali razem i pies łańcuchowy, któremu on jeść zanosił. Zresztą nikogo nie obchodziło zkąd był, jak się nazywał, czy miał rodzinę, nikt nie dał dobrego słowa— i było mu z tém dobrze. Szedł od roboty do roboty, gdzie go zawołano, posłuszny jak pies, robił nie pytając za co, żył nie wiedząc dla czego, nieskarżył się na zły los, bo nie znał lepszego i byłby tak może szedł daléj do końca życia, jak wół w jarzmie bez myśli i bez oporu, gdyby nie te wieczorne dysputy gości, którym się przysłuchywał z pod pieca, to drzemiąc to naprawiając swój kożuch, który był dla niego kołdrą w zimie, materacem w lecie, a największą paradą w niedzielę, choć był tak połatany miejsce w miejsce, że dziada by nawet tą chadерą nie uraczył.

Otóż Antek zmuszony z obowiązku czuwać przy gościach i być na ich usługi mimowoli przysłuchywał się ich rozmowom. Z początku nie wiele z tego rozumiał i niewiele go to obchodziło, słowa tylko obijały mu się o uszy, ale nie zastanawiał się nad ich znaczeniem i za leniwy był, aby myślał nad tém. Ale powoli, powoli, gdy coraz bardziéj osłuchał się z tém, bo zawsze o jedném i tém samém mówiono, zaczął coraz więcéj rozuméć o co rzecz idzie i interesować się rozmową. Dłuższego czasu potrzebował zanim to, co mówili o sobie, był w stanie zastosować do siebie i mógł wskutek tego zastanawiać się nad swojém położeniem. Bo choć ludzie traktowali go, jak bydlę, on jednak miał pretensyą uważać się za człowieka. Lajbusia, choć służył u niego, nie uważał jeszcze za kompletnego człowieka—i w rozmowie poufnéj z Dorotą nazywał go lekceważąco *żydem* — a mówiąc do niego nie tytułował go panem, tylko mu mówił *wy*. Te pojęcia, które dotąd bezwiednie spały w nim, teraz pod wpływem zasłyszanych rozmów poczęły ruszać się i niepokoić mu głowę, zbudziły się w nim pragnienia, których nie miał, pewne wymagania i najpierwszym objawem tego przebudzenia się było, że kilka razy hardo postawił się Lajbusiowi.

To praktyczne zastosowanie teoryj, których się nasłuchał, miało najgorsze skutki dla niego, bo Lajbuś chłop silny i pasyonat wygrzmocił go za to i wypędził. Antek wałęsał się czas jakiś bez zajęcia, o żebraczym chlebie; ale przyzwyczajenie pociągnęło go napowrót do Lajbusia—żal mu było Doroty, żal Zagraja na podwórzu, co więcéj tęskno mu się zrobiło, że nikt na niego nie łaje, nie poniewiera go — no i wrócił, wpraszając się do służby. Lajbuś nie drożył się wiele dla własnego interesu, bo nie prędko znalazłby drugie takie użyteczne popychadło za tak liche wynagrodzenie.

Wrócił tedy pokorniejszy jeszcze, niż był, ale to, co się tam w umyśle jego poruszać zaczęło, nie wróciło już do dawnego bezmyślnego spokoju. Z konieczności tylko godził się z obecném swojém położeniem, a w rzeczy saméj należał już do kategoryi niezadowolonych; nie drzemał już jak dawniéj wieczorami pod piecem, tylko pochłaniał chciwie każde słowo zasłyszane, a nocą leżąc koło psiej budy na podwórzu, patrząc w gwiazdy, dla których miał jakiś bałwochwalczy respekt, rozmyślał o tém, co słyszał, i nędza jego wydawała mu się coraz więcéj niesprawiedliwością.

To też kiedy z ust Tarchały usłyszał potwierdzenie tego, do czego doszedł drogą powolnego, długiego rozmyślania, mimowoli wyrwał mu się okrzyk, potakujący słowom mówcy; okrzyk, który najprzód wszystkich zdziwił, nie wyjmując Lajbusia, a potém oburzył. Socyaliści z pod bomby uznali się obrażeni, że takie mizerne stworzenie śmiało na równi stawiać się z nimi i zabierać głos. Kazano mu milczéć i niewtrącać się do tego, co do niego nie należy; projekt bowiem Tarchały uszczęśliwienia rodu ludzkiego nie schodził tak nisko, aby obejmował taką hołotę, do jakiéj liczył się głupi Antek. Jemu szło o uszczęśliwienie i wzbogacenie klas średnich a przedewszystkiém siebie—i w téj myśli mówił daléj:

— Ziemia jest własnością wszystkich i nikt nie powinien rościć sobie większego do niéj prawa, niż inny.

— Dajcie pokój panie Tarchała— przerwał mu wystraszony Lajbuś. Nie tyle mu tu szło o Tarchałę, co o siebie, by za to nie był pociągnięty do odpowiedzialności.—Dajcie pokój, na co takie gadanie? Usłyszy kto i przesiedzicie się znowu w areszcie kilka miesięcy. Na co wam tego? Świata nie przerobicie. Zawsze na nim byli i będą bogaci i ubodzy.

— To téż dla tego jest źle na świecie. Bogacze powinni dzielić się z biednymi.

— Dobrze tak gadać; ale gdybyś pan panie Tarchała był bogatym.

— Tobym wam dopiero pokazał, co można zrobić na świecie dobrego... he, he, gdybym ja był bogatym, tobyście dopiero zobaczyli!

I delektując się tą myślą puszczał gęste kłęby dymu przed siebie i począł przed oczyma słuchaczów roztaczać wspaniały obraz téj szczęśliwości, jaką by on stworzył dla biednych. Opowiadał tak pięknie, że formalnie brała ochota zostać choćby na ten czas biednym, gdy on zostanie bogatym, bo w obietnicach zapędził się daleko.

Wszyscy słuchali go z natężoną uwagą a najbardziéj Antek, który lubo odepchnięty przed chwilą przez nich, jak pies, co wlazł w niepotrzebne miejsce, wrócił znowu i łasił się i gdyby był miał, ogon jak Zagraj, byłby nim teraz ruszał z radości. Jeden tylko Lajbuś był obojętnym w téj scenie, a raczéj z rodzajem drwiącego uśmiechu przysłuchywał się temu, co Tarchała mówił. On w duszy rezygnował z téj szczęśliwości, jaką tamten obiecywał; wolał tę, którą sobie sam wyrabiał przez spekulacyjki rozmaite i wyszynk piwa i wódki. Patrzał na gości swoich z pewną wyższością i zadowoleniem, jak patrzy gospodarz na bydło swoje robocze. Bydło było mizerne, wynędzniałe, ale gospodarzowi przynosiło zysk i bogaciło go.

(D. c. n.)

DUSZA MATKI.

W Zaduszek noc, gdy w łunach
Umarłych płoną grody,
Budzą się dusze w trunach,
Raz w rok na ziemskie gody.
Każda doczesne zwłoki,
Jak płaszcz, zarzuca, szary,
I z ciemnéj swéj pieczary
Lotnemi spieszy kroki...
Aby uścisnąć we śnie
Tych, co tęsknią boleśnie...
Tych, co gnębi macocha,
Tych, co nikt tu nie kocha,
Którym serca potrzeba,
Jako trawkom mdłym—nieba.

Wionęła polna grusza
Cmętarną jakby mową...
Wnet staje matki dusza
Nad drogą we śnie głową,
I trwożnemi oczyma
Bada liczko dzieciny;
Czy żyłeczki gdzie sinéj,
Skazy cierpień—czy niéma?
Każde oczko i uszko,
Czołko, buzię, serduszko
I całuje, i pieści...
Podsłuchuje boleści
W każdém tętnie, w oddechu,
To łez pełna, to śmiechu.

„O! stokrotko z pod serca!"
Mówi słowy cichemi,
„Mnie na nowo uśmierca
Każdy płacz twój na ziemi.
Gdy się na cię obruszy,
Gdy kto krzyknie złe słowo,
Ja umieram na nowo...
Jestem duszą bez duszy!
I jak ptaszce w swéj klatce,
Tak jest wtedy twéj matce...
Pragnie wydrzéć się z oków,
Aby wypaść z obłoków,
I od tych ci być tarczą,
Co pięść wznoszą, a warczą."

Tak się żali, tak zwierza...
I ciepłemi wciąż wargi
Ból w serduszku uśmierza...
Uspokaja w niém skargi...
A kiedy jéj—jutrzenka
Czas ukaże powrotu,
Ociężała do lotu
Nie chce unieść się ręka...
Postać cała w niemocy
To prostuje, to gnie się...
Aż gdy w górę się wzniesie,
Świeżéj straty pamiętna
Leci cicha i smętna.

Choć do niebios się zbliża,
Wzrok w kołysce tkwi jeszcze...
Ręką kreśli znak krzyża,
Z ócz spadają gwiazd deszcze,
Oświetlając zmrok siny,
W nim mar smętnych gromady,
Co wracają z biesiady,
Z swéj dorocznéj gościny,
I twarzyczkę w kolebce,
Co tam przez sen coś szepce,
I wyciąga ramionka
Do matuchny, do słonka,
I nóżkami wciąż skacze,
A po chwili—w głos płacze...

Stefan z Opatówka.

BOHDAN ZALESKI. (*)

SZKIC LITERACKI,

skreślony przez **Józefa Tretiaka.**

I.

W jednéj z dum późniejszych p. t. *Kwinta w méj gęśli*, Bohdan Zaleski tak streścił temata swéj poezyi:

„Bóg, świat, Słowiańszczyzna, Polszcza, Ukraina."

W rytmicznem tém streszczeniu jest prawie zupełna dokładność i jasność. Tylko to, co światem nazwał poeta, wymagałoby może bliższego objaśnienia, bo dla Bohdana świat poza obrębem Ukrainy, Polski i Słowiańszczyzny tak, jakby nie istniał. Ale cztery inne przezeń wymienione struny brzmią w jego lirze jasnym, pełnym i potężnym dźwiękiem, a najpełniéj i najgłośniéj—jak sam w tejże dumie powiada — odzywają się dwie skrajne—Bóg i Ukraina... O téj to ostatniéj strunie, na któréj Bohdan grał najwięcéj i najchętniej, i która swój ton charakterystyczny miesza do każdego niemal akordu jego liry, o téj ostatniéj strunie—o Ukrainie w poezyi Bohdana Zaleskiego chcę tu obecnie pomówić z czytelnikiem.

O Ukrainie śpiewało wielu poetów większych i mniejszych, szczególnie od czasu, jak stała się modną w poezyi; śpiewał nawet o niéj jeszcze przed rozkwitem romantyzmu Trembecki w swoich klasycznie nastrojonych wierszach. Ale niczyjéj wyobraźni nie opanowała ona tak silnie, jak wyobraźnię naszego poety; w niczyjém sercu nie przenikła tak wszystkich komórek, jak w sercu Bohdana. Był on przez całe życie oczarowany jéj przyrodą i jéj rycerską przeszłością. Była to jego „wieczna zmora," jak sam ją nazwał w wierszu napisanym przed pięciu laty, p. t. *Postscriptum do moich dum i dumek*.

Na wywołanie tak dziwnego zjawiska złożyło się wiele rzeczy: charakter przyrody i przeszłości ukraińskiéj, charakter samego poety, koleje jego życia i nastrój chwili, w któréj rozpoczął swój zawód poetycki.

Przyroda ukraińska dobrze jest znaną z opisów, ale żaden opis nie odda tego wrażenia, jakie ona wywiera na myślącą i czującą duszę człowieka. Prawdziwa Ukraina, to step, jak wiadomo, a step, to nieskończoność, tak samo, jak morze. Ale człowiek na pełném morzu ma nietylko bezbrzeżny horyzont przed sobą, ma on także głębią, głębią tajemniczą, zdradziecką, niebezpieczną i wrogą, z którą rzadko kiedy święci przymierze, i która czyhając zawsze na jego życie, nie pozwala mu z zupełnym spokojem puszczać wzroku przed siebie w nieskończoną dalekość.

Na stepie grunt twardy, nie ma zaczajonego wroga pod nogami, nic uwagi na dół nie ciągnie—i wzrok leci przed siebie ku sinym krawędziom widnokręgu, niczém niekrępowany, niczém niewstrzymywany, bo to jego kierunek jedyny, naturalny, konieczny... Wzrok tak lekki, tak lotny, tak bystry, w jedném mgnieniu po nieskończonych przemknie się płaszczyznach, a człowiek tak ciężki, tak powolny, a jednostajność, która go otacza, tak tęskna!... Chciałoby się miéć skrzydła i polecieć za wzrokiem; człowiek chce być ptakiem, ale że skrzydeł mu nie dano, więc siada na konia i kopytami końskiemi zgartuje przestrzeń pod siebie, pokonywa ją, zwycięża i upaja się tém zwycięstwem. Jedynym współzawodnikiem człowieka jest wiatr, prawdziwy król stepu; on też jeden urozmaica tę bezbrzeżną jednostajność, czy to uginając trawy, czy poświstując przeciągłe dumy swoje.

Ale nie, ma step jeszcze swoje oazy i swoje piramidy, to jest swoje jary i mogiły. W jarach schroniło się życie zaciszne. Tu szemrzą źródła, tu rosną sady wiśniowe, tu brzęczą złote roje pszczół, a ze słomianéj strzechy płyną sine dymy w górę. Jar to przeciwieństwo stepu; tu zaciszność i rozmaitość, tam nieskończoność i jednostajność.

W mogiłach drzémie przeszłość, osnuta legendami, i przypomina się pamięci potomków. Gdzieindziéj pamiątek przeszłości trzeba szukać; tu one same z daleka ciągną ku sobie wzrok ludzki i przenoszą myśl ludzką w dawne czasy. Ich proste kształty mogilne, ich samotność wśród stepu nastraja poważnie i smutno. Mogiła taka na stepie, to jakby duma w ziemi wyrzeźbiona. Śpiewa ona po swojemu i o tryumfach krzyża i o strasznych napadach pogaństwa; o łupach carogrodzkich i o jassyrach wiedzionych do Krymu; o zgodnie podjętych bohaterskich wyprawach rycerzy Ukrainy, i o krwawych, zaciętych walkach domowych; o swawoli szlacheckiéj, o rozbojach kozackich i o doli ludu. Tyle tragedyi odegrało się na téj płaszczyźnie, a teraz milczenie i tylko mogiła szepce o nich legendy...

Takim jest step ukraiński ze swemi mogiłami i ze swoją przeszłością. Widok jego zdoła rozkołysać duszę każdego człowieka, a cóż dopiero wrażliwą duszę poety! Znam inny step, który nie miał ani tych mogił, ani téj przeszłości, a stworzył poetę. Tym stepem jest step kirgiski, tym poetą jest Gustaw Zieliński. Step go natchnął poezyą i to, co o stepie pisał — jest prześliczne, ale po za to koło zaczarowane nie mógł wyjść. Bohdana Zaleskiego step ukraiński nie stworzył— byłby on wszędzie poetą — ale go wykołysał, i to, co mu śpiewał nad kołyską, utkwiło w sercu i wyobraźni jego na całe życie. Bo jeżeli szlachetna glina, z któréj poeci są ulepieni, w ogóle łatwo się poddaje wrażeniom dzieciństwa i młodości, tak że ślady tych wrażeń dadzą się odszukać w utworach wszystkich poetów, to pod względem téj wrażliwości, téj czułości dziecinnego organizmu na wrażenia otaczającéj sfery, Bohdan Zaleski prześcignął wszystkich poetów. Wrażenia dzieciństwa i pierwszéj młodości tak się głęboko wycisnęły w jego duszy, że nic potem nie zdołało ich zgładzić, przyćmić, choćby tylko nadwątlić.

Co prawda, szczegółów z tego dzieciństwa nie mamy tyle, ilebyśmy miéć pragnęli, zawsze jednak dość, aby uzasadnić to, co powiedziałem wyżéj. Bohdan Zaleski urodził się na Ukrainie, we wsi Bohaterce w domku szlacheckim. Dzień urodzin jego 14 lutego 1802 r., święto gromniczne podług starego stylu, był zarazem dniem śmierci jego matki, dla tego to w jednéj z dum nazywa siebie poeta „pogrzebowém, gromnicznem dzieciątkiem." Słabowite dziecię oddano do chaty wieśniaczéj, aby się tam wykarmiło i zahartowało *). Z chatą tedy wieśniaczą od razu los zbratał szlacheckie dziecko, w chacie wieśniaczéj odbierało ono pierwsze wrażenia i ssąc ustami pierś wieśniaczki ukraińskiéj, ssało zarazem uchem nutę ukraińskiéj dumy. Odzwierciedlenie się pier-

(*) Portret poety podamy w przyszłym numerze.

*) Fakt ten podają, jeden za drugim, wszyscy biografowie poety, sam zaś poeta, który musiał czytać chociażby jedną swoją biografią, nigdzie temu nie zaprzeczył.

wszych wrażeń dzieciństwa znajdujemy w jednym z *Pyłków* poety p. t. *Żywa pieśń*:

Z torbanem wyrósł ja. Dniepr, Iwanhora,
Chata gdzieś w gaju starego znachora,
Widzę—och!—jakbym pożegnał je wczora!
Śpiewałoż ptastwo tam—byle dzień biały;
I znów dziewczęta w majdanie śpiewały;
To znowu męzki głos wojennéj chwały
W cześć atamanów—mąciły się społem
W pieśń jedną, żywą! I pieśń tę połknąłem.

Na wspomnianéj Iwanhorze koło Rżyszczowa nad Dnieprem, zkąd na wszystkie strony rozległe otwierały się widoki, sterczały ruiny zamku, który podług podania należał niegdyś do Wiśniowieckich, a potém do Szczeniowskich. Wspomnienia tych ruin natchnęły później poetę do napisania aż dwóch, nieskończonych zresztą rapsodów: *Damian książę Wiśniowiecki* i *Księżna Hanka*. W przypisach do pierwszego powiada Bohdan, że będąc dzieckiem, lubił przebiegać tę górę w różnych kierunkach i napotykał nieraz sędziwego bandurzystę, który znał nieskończone mnóstwo podań dawniejszych i chętnie je opowiadał. Między innemi było tam smutne podanie o Wiśniowieckim, przeplatane dumami, które jako będące w harmonii z otaczającemi ruinami zamku i z miejscowością, bardziéj niż inne utkwiło w jego pamięci.

Z przypisów poety do innéj dumy p. t. *Teligoła* dowiadujemy się, że znał jeszcze starych Zaporożców.

Tak to legendowa przeszłość Ukrainy wraz z jéj przyrodą czarowały od najmłodszych lat duszę Bohdana. W trzynastym roku życia oddany został do szkół w Humaniu. Tutaj nie widział już modrych wód i zadrzewionych brzegów Dniepru—step nieobjęty otaczał go dokoła i dośpiewywał mu to, co Dniepr i Iwanhora zaczęły. Tutaj zaprzyjaźnił się z rówieśnikami, którzy potém także mieli opiewać i opisywać Ukrainę, z Sewerynem Goszczyńskim i Michałem Grabowskim. „Pomiędzy nami trzema — powiada Bohdan w jednym z *Pyłków* swoich—odgrywa się osobne niejako poema.“ Różnymi szlakami podążyli potém trzej rówiennicy, ale przyjaźni zawiązanéj na ławie szkolnéj nic nie zdołało zerwać aż do śmierci. Łączyła ich przedewszystkiém wspólność upodobania w poezyi, bo już w szkołach Zaleski i Goszczyński pisali wiersze, i jak powiada Aleksander Groza w swojéj *Kontraktowej Mozaice*, uchodzili pomiędzy uczniami za najlepszych poetów. Zaleski lubił nieustannie deklamować i pewnego razu z takim zapałem wygłaszał prośbę Pryama o wydanie ciała Hektora, prawdopodobnie w tłómaczeniu Dmochowskiego, że obecny temu Groza, młodszy o lat kilka, choć nie rozumiał dobrze treści, zalał się jednak łzami.

Z tego przykładu, jak również z pierwszych prób rymotwórczych Bohdana, drukowanych w *Dzienniku Wileńskim* z r. 1819, można odgadnąć, w jakim kierunku poetyczny duch Bohdana, wykarmiony ukraińskiemi dumami, naginał się pod wpływem szkolnéj nauki. W *Dzienniku Wileńskim* znajduje się parę ustępów tłómaczonych przez Bohdana z Horacego, jakiś urywek poetyczny z francuskiego i *Duma o Wacławie*, któréj nie brak motywu ludowego, ale ten motyw dziwnie tam wygląda wśród pseudoklasycznego nastroju całości. Duma tedy ludowa, pierwsza karmicielka Bohdana, oddawała go w ręce poezyi, która prócz Greków, Rzymian i pseudoklasyków francuskich nie uznawała innych wzorów, a o krynicach poezyi ludowéj nic wcale nie wiedziała. Czém była sztuczna poezya względem ludowéj, tém była dla duszy Bohdana sztuczna piękność sąsiedniéj Zofiówki w obec stepu, co się dokoła niéj rozbiegał na wszystkie strony. Zaleski lubił zarówno z innymi kolegami przechadzać się po tym czarodziejskim ogrodzie i podziwiać jego groty, skały, kaskady i rozmaite inne dziwa, wbrew naturze osadzone na stepie, a czyniące z Zofiówki ósmy cud świata nietylko w Humańszczyźnie, ale w całym kraju.

Ale niebawem miało się okazać, że jak szkolna poezya nie zniweczyła w młodzieńcu nasion pieśni ludowéj, tak piękność Zofiówki nie zatarła potężnych wrażeń, jakie step wywierał na jego duszę. W roku 1820, w krótce po ukończeniu szkół bazyliańskich w Humaniu, pojechał Zaleski wraz z przyjaciółmi swemi od serca, Goszczyńskim i Grabowskim, do Warszawy.

Była to, jak wiadomo, zwrotna chwila w dziejach polskiéj poezyi, chwila, w któréj Brodziński pisał *Wiesława*, a Mickiewicz ballady. Młodzi poeci, ledwie skrzydła rozwijający do lotu, słuchali wykładów Brodzińskiego i dowiadywali się od niego zupełnie nowych dla siebie rzeczy: o bogactwach ukrytych w łonie pieśni gminnéj, o nowéj poezyi niemieckiéj, o skarbach poezyi serbskiéj.

Tymczasem z Litwy powiał potężny orzeźwiający prąd nowéj poezyi i elektrycznie wstrząsał te młode poetyczne natury. Wśród tych wpływów Zaleski szybko dojrzewał na poetę i już w *Śpiewie poety*, napisanym w r. 1823, wyleciał prawdziwym skowronkiem nad niwy polskie.

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja śpiewam, jak skowronek,
I ja lecę pod niebiosa.

Lecę, gonię wspomnień marę,
Z kwiatów życia wieniec plotę;
Piękność, miłość, czucie, wiarę,
Na ogniwa spajam złote.

Świat odbija moja dusza,
Jak zielony brzeg krynica;
Wszystko piękne, tkliwie wzrusza,
Wszystko tkliwe ją zachwyca.

Łza na krótko oko ciemi,
Częściéj płoną w niém rozkosze,
Bo co ziemskie rzucam ziemi,
Co niebieskie w niebo wznoszę.

Z niewcielonych gdzieś tam światów
Garnę myśli, uczuć skarby;
Z nowych dolin, z nowych kwiatów
Do obrazów zbieram farby.

Takim jest początek tego wiersza, w którym poezya Bohdana występuje już z całą swoją śpiewnością, lotnością i rafaelicznym wdziękiem. Wiersz ten przytém objawia nam dziwnie harmonijne, pogodne usposobienie wieszcza, nieprzyćmione jeszcze tęsknotą za rodzinnym stepem, która miała się potém stać zasadniczym tonem jego liry. I owszem, widać tu zadowolenie, z jakiém poeta przebiega „nowe doliny,“ zbiera farby, „z nowych kwiatów.“

Ale ta bezwzględna pogoda niedługo trwała. Ukraina, do któréj sięgał myślą, tworząc swoje dumki kozacze, w miarę tego, im dłużéj jéj nie widział, w coraz czarowniejsze przybierała się barwy, coraz bardziéj serce jego ku sobie nęciła i obudzała w niém tęsknotę, a nowe doliny i nowe kwiaty traciły dla niego powab. Można przypuszczać, że obrazy stepu w *Maryi* Malczewskiego, która w ówczas na świat wychodziła, a przedstawiała Ukrainę w poetyczném półświetle, przyczyniły się do rozbudzenia téj tęsknoty. Z Malczewskim znał się Bohdan Zaleski i że już w rozmowach z nim swoich musiał wynurzać tęsknotę widać to z jednego *Pyłku* p. t. *Malczewski w Warszawie*.

Spółukraiński śpiewak ja młodziutki,
Skaczę, bywało, rad, a radziéj płaczę;
„Ej tyś tu tabun przypędził kozacze,
I tęsknisz nazad w step zasumowany.“

Życie marzycielskie, jakie prowadził nasz poeta w Warszawie, mogło tylko podsycać ową tęsknotę. W przypisach do jednéj z dum, pisanych już w podeszłym wieku (*Zaduma i Nokturno*), znajdujemy kilka bardzo ciekawych szczegółów o tém życiu.

(D. c. n.)

LISTY SZWAJCARSKIE

przez

B. Sulitę.

(Ciąg dalszy).

Mosty rzucone nad przepaściami i strumykami należą do przedmiotów godnych obejrzenia. Żelaznéj konstrukcyi, zdają się być, patrząc na nie z dołu, z cienkiéj pajęczyny zrobionemi. Wszystkich mostów na kolei Gotarda jest 34. Najdłuższy, przechodzący przez rzekę *Tessyn* przy Cadenazzo ma 250 metrów długości; najwspanialszy jednak i najpiękniejszy most jest *Maienreussbrücke* mający długości 63 metrów a wysokości 79 metrów.

Do mostów niezaliczyliśmy 24 krótkich przepraw (Uebergänge).

Budowa wiaduktów powszechnych nad dolinami i wodami jezior, odznacza się dokładnością i pięknością. Wszystkich wiaduktów naliczyłem 10 i jedną długą tamę.

Domy na stacyach i przeróżnego przeznaczenia budynki kolejowe, wykonane z gustem, są ozdobą okolicy.

Jedném słowem kolej żelazna Gotarda na każdym niemal kroku przedstawia przedmioty godne podziwienia, — żadna zaś linia w świecie oprócz kolei wybudowanéj przez Ernesta Malinowskiego w Peru, a przechodzącéj przez Kordyliery, nie może pójść z nią w porównanie.

Koszta wyznaczone pierwiastkowo na budowę, okazały się niedostateczne.

Już miano zarzucić dalszą budowę dla braku funduszów, gdy stanął nowy układ z Włochami i Niemcami o dostarczenie dodatkowéj subwencyi. Towarzystwo Gotarda zobowiązało się do subwencyi 12 milionowéj, rząd włoski do 10 milionowéj, rząd niemiecki także do 10 milionowéj, — rząd zaś szwajcarski do 8 milionowéj. Rząd szwajcarski udzielił prócz tego 6 milionów na budowę kolei przez Monte-Cenere. Ponieważ zaś kapitał akcyjny (pierwiastkowy) wynosił 34 miliony, a kapitał w obligacyach pierwszego i drugiego stopnia 85 milionów, — ogólne więc koszta na wybudowanie całéj kolei wyniosły 238 milionów franków.

Uroczystości inauguracyjne odbyły się kosztem rządów: szwajcarskiego, włoskiego i dyrekcyi kolei Gotarda.

Rozpoczęły się d. 21 Maja przyjazdem do Lucerny dwóch pociągów. Pociąg medyolański przywiózł 230 Włochów zaproszonych, — pociąg zaś bazylejski przywiózł 300 niemieckich gości. Jedni i drudzy byli serdecznie witani na granicy Szwajcaryi i na wielu stacyach spotykani przez ludność świątecznie przybraną.

W Lucernie miała miejsce główna uroczystość.

Pomiędzy zaproszonymi dygnitarzami widzieliśmy tutaj: byłego ministra oświaty *Correntiego*, głównego doradcę króla Humberta, prezesa kapituły orderów włoskich i prezesa honorowego Akademii Mickiewicza w Bolonii. Pan Correnti od lat kilkunastu pracuje nad Historyą Polską. Ma to być dzieło znakomite. Wkrótce ukaże się w druku kosztem Rotszylda. Widzieliśmy także ministra *Dominika Berti*. Slynie on we Włoszech, jako pisarz znakomity i filozof gruntownie wykształcony. Pan Berti napisał ważne dzieło o Koperniku. Dzięki jego opiece i staraniu, Dr. Artur Wołyński zdołał przy uniwersytecie w Rzymie urządzić Muzeum Kopernika.

Oprócz tych dwóch dla nas sympatycznych postaci byli ministrowie włoscy *Baccarini* i *Acton*, *Techio*, prezes włoskiego senatu na czele wielu senatorów i deputowanych. Przybyli burmistrze (syndyk) większych miast włoskich, niemało autorów i pań.

Pomiędzy niemieckimi gośćmi zauważyliśmy ministrów *Bittera* i *Böttichera*, oraz generalnego dyrektora poczt w Niemczech *Stephana*, prezesa parlamentu niemieckiego *Lovetzowa*, deputowanego *Laskera*, *Delbrücka*, bankiera *Bleichrödera*, posła niemieckiego przy rządzie szwajcarskim, jenerała *Rödera*, posła niemieckiego przy królu Humbercie p. *Keudella* i wielu reprezentantów małych państw niemieckich.

Korespondentów gazet przybyło na uroczystość ośmdziesięciu. W téj liczbie korespondentów do włoskich gazet było 32, do niemieckich 24, do szwajcarskich 18, do austryackich 4, do francuskich 5, do angielskich 4, do amerykańskich 1 i do polskich 1.

Prezydent Rzeczypospolitéj Szwajcarskiéj, pan *Bavier* był gospodarzem wraz z dyrektorem kolei żelaznéj panem *Zingg*. Kilku członków Rządu Związkowego w Bernie i wielu członków dwudziestu dwóch rządów kantonalnych, jako też deputowani sejmu centralnego i sejmów kantonalnych dopomagali w przyjęciu gości.

Przyjęcie to było cokolwiek patryarchalne, nie bardzo się więc podobało dygnitarzom niemieckim. Brak ceremonii, prostota republikańska raziła ich, zwłaszcza, że dygnitarzom nie zachowano pierwszych, najlepszych miejsc, lecz każdy siedział, gdzie chciał. Zdarzyło się po dwakroć, że niemieccy ministrowie musieli siedzieć przy szarym końcu stołu.

Szwajcarzy, przyzwyczajeni do porządku, nigdy go nie naruszają. Nikt ich nieprowadzi i nierozsadza, żaden przecież nie zajmie miejsca przeznaczonego dla starszyzny. Urządzając uczty dla cudzoziemców, urządzili je po swojemu, bez zbytecznéj służby, bez policyi i kierowników. Zapomnieli, że Włosi, a zwłaszcza Niemcy potrzebują zawsze dyrekcyi i kierunku; porządek zaś wtedy tylko zachowują, gdy na jego straży stoi policya. Włosi, jako żywszego temperamentu, wywoływali często zamięszania i oni to nie troszcząc się o innych, w wagonach i przy stołach pozasiadali miejsca przeznaczone dla niemieckich dygnitarzy.

Pan Bavier miał nie mało kłopotu, ażeby Włochów nieobrazić, a niemieckich dygnitarzy posadzić na honorowych miejscach. Nie zawsze się mu to udawało. Na uczcie w Lucernie dyrektor niemieckich poczt, p. Stephan, nie mogąc usiąść przy ministrach, poszedł do piwiarni słuchać muzyki. W Lugano zaś, gdy prezes parlamentu i deputowani niemieccy, nie mogli wcale znaleźć miejsca i musiano dla nich wnieść osobny stół, obrażeni, chcieli natychmiast odjeżdżać, ledwo ich udobruchano.

Zachowanie się Włochów podczas wnoszenia toastów i prawienia mów, było zanadto zgiełkliwe. Entuzyazmowali się bez miary, w ten sposób, że głuszyli Niemców i często ich do słowa niedopuszczali.

Skargi więc były rozliczne i wyrzekanie na Szwajcarów, że nie umieją uczt i zabaw urządzać często dawały się mi słyszéć.

Ponieważ jednak Szwajcarowie gorącém słowem i serdecznością przyjęcia starali się zatrzéć złe wrażenia, wynikłe z nieporządku i zamięszania, jakie sprawiali cudzoziemcy, w końcu więc zadowolnili wszystkich.

Arystokratyczni Niemcy i Włosi zwalili wszystkie braki na demokratyczne chłopskie zwyczaje Szwajcarów, lecz widząc tych ostatnich dobrą wolę i życzliwość, raczyli im przebaczyć nieumiejętność odznaczania wielkich urzędników monarchii.

Pomimo, że im szwajcarskie uczty i przyjęcie wydało się nie dość ogładzoném, Szwajcarowie przecież nie żałowali grosza na zrobienie gościom przyjemności. Sama dyrekcya kolei wydała 300,000 franków na uczty i zabawy, nie rachując wydatków poniesionych przez miasta, wsie i rządy szwajcarskie.

Lucerna ubrała się w zieleń i chorągwie.

Dnia 22 Maja na dwóch wielkich parowych statkach „*Italia*“ i „*Germania*“ odbyli goście zaproszeni rozkoszną żeglugę po jeziorze *Czteréch kantonów* przy muzyce, śpiewach i witaniu ludności licznie zgromadzonéj na brzegach. Brzegi te pięknością i malowniczością zachwyciły cudzoziemców. Przyznali, że więcéj uroczego i wspaniałego kąta ziemi nie widzieli.

Również zachwyciła gości podróż koleją żelazną na szczyt *Rigi*, wzniesiony o 5000 stóp nad poziom jeziora.

Wieczorem odbyła się w Lucernie uczta dla 700 osób. Nie będę powtarzał mów, jakie przy toastach wypowiedziano. Wspomnę tylko, że Szwajcarowie są wybornymi mówcami. Życie publiczne i samorząd w gminie, w kantonie i w centralnych władzach, jako też liczne towarzystwa, nastręczają sposobność do przemawiania publicznego. Łatwo więc mówią i dobrze mówią, lubo najczęściéj przemawiają swoim prowincyonalnym językiem. W stosunkach domowych i prywatnych w ogóle skąpi są w słowa, przy naradach atoli i bankietach lubią co chwila głos zabierać.

Przy uczcie Lucerneńskiéj przemawiali reprezentanci trzech narodów. Jakikolwiek wnoszono toast, wszyscy mówcy przedstawiali kolej Gotarda, jako węzeł trwałych, braterskich stosunków pomiędzy Szwajcarami, Włochami i Niemcami.

Strategicznego znaczenia linii, tak szkodliwego dla Francyi na wypadek ogólnéj wojny, żaden mówca nie podniósł. Szwajcarowie nie przypuszczają, ażeby kiedykolwiek ich neutralność naruszoną została i kolej Gotarda użytą była do przewożenia wojsk niemiecko-włoskich w razie przymierza Niemiec z Włochami w wojnie przeciwko Francyi. W zapewnieniu ich, iż kolej służyć będzie tylko dla handlu, podróżnych i będzie błogosławionym owocem pokoju, nie było więc ukrytéj myśli. O mówcach niemieckich i włoskich, nie powiedziałbym tego samego, lubo i oni tylko pokojowe, tylko cywilizacyjne widoki i zadania rozwijali.

Uczta się jeszcze nie skończyła, gdy w mieście zapalono illuminacyą. Brzegi były elektryczném światłem oświecone, wśród którego tysiące ludu przechadzało się po moście i bulwarach. Widok był cudowny. Urok jego jeszcze się podniósł, gdy okoliczne góry nad jeziorem zajaśniały stosami i kłębami ognia. Woda błyszczała, jakby morze rozpuszczonych i w płyn zamienionych szmaragdów i turkusów, a szczyty niebotycznych gór lasami świerkowemi pokrytych, odznaczyły swoje kontury w poświacie czerwonéj. Począwszy od wysokiego Pilatusa i Rigi, wszystkie szczyty i turnie, wszystkie pasma aż do góry Bachtel, wznoszącéj się za Raperswylem, gorzały illuminacyą. Takiéj illuminacyi całego kraju, niewidziałem nigdy. Piękność jéj przechodzi możność opisu.

(D. n.)

Jeden ze szczepów zasłużonego rodu.

Opowiadanie z XVIII wieku,

przez

Dr. Antoniego J.

(Ciąg dalszy.)

Na dobranoc, wojewoda całując rączkę hetmanowéj, odezwał się z wielką powagą:

— Uczułem inklinacyą do panny Woronieckiéj, jeżeli pani kasztelanowa nic nie masz przeciwko temu, gotów ją jestem poślubić...

Pani Krakowska nie okazała zdziwienia, ale z lekkim uśmiechem odparła:

— Niespodziewałam się, ażeby tak stateczny człowiek, jak wojewoda, bałamucił mi moje wychowanki.

— Jak to pani rozumie—spytał zaniepokojony dygnitarz.

— Toć przecie musiało nastąpić porozumienie, kiedy się książe oświadczasz, a nastąpiło mimo mojéj wiedzy; nieobserwowałam zbliżenia żadnego.

— Ależ ja nigdy z księżniczką niekonwersowałem jeszcze.

— Więc jakże? popęd serca i postanowienie nagłe bez jéj wiedzy nawet.

— Bez jéj wiedzy,—odpowiedział książe, zdaje się,—dodał z dumą, że nie powinna w tém upatrywać uchybienia dla siebie.

— Naturalnie, naturalnie,—przerwała hetmanowa, i zamyśliła się chwilę, może jéj na pamięć przyszło życie przebyte i zamążpójście bez popędów serca; kobiety ówczesne, do wyższego należące towarzystwa, już się tkliwością bawiły, już ulegały tęsknocie z powodu nieziszczonych snów i rojeń marzonych w młodości. Z drugiéj atoli strony, zważyła wszystkie korzyści, jakie ożenek z bogatym, choć niemłodym panem, dla biednéj przynosił sieroty...

Wojewoda stał przed nią i czekał cierpliwie.

— Dobrze,—ciągnęła daléj Branicka,—będę się starała przekonać księżniczkę, a was proszę, napiszcie przynajmniéj liścik do niéj z oświadczeniem, toć się nam kobietom coś należy także...

55

20 Czerwca (2 Lipca) 1882 roku.



№ 27. Warszawa, dnia 2 Lipca. Rok 1882.

PRZEDPŁATA WYNOSI:
W WARSZAWIE: w Redakcyi oraz we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism peryodycznych — rocznie Rsr 8, półrocznie Rsr. 4, kwartalnie Rsr 2 miesięcznie kop 67.
w CESARSTWIE i KRÓLESTWIE: z przesyłką pocztową rocznie Rsr. 12, półrocznie Rsr 6, kwartalnie Rsr. 3
CENA POJEDYŃCZEGO NUMERU KOP 20.

OLEODRUK oryginalny, polskiego artysty, otrzymują wszyscy prenumeratorowie bezpłatnie.

BIURO REDAKCYI I EKSPEDYCYA GŁÓWNA,
w Księgarni Maurycego Orgelbranda,
w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika

PRZEDPŁATA WYNOSI:
we LWOWIE. kwartalnie flor. 3 cent. 60, na prowincyi z przesyłką pocztową flor 4 cent. 40.
Skład główny w księgarni F H. Richtera
w KRAKOWIE: kwartalnie flor 3 cent. 30, na prowincyi flor. 4
Skład główny w księgarni D. E. Friedleina.
w POZNANIU: kwartalnie marek 6. Na prowincyi marek 7.
Skład główny w księgarni N. Kamieńskiego i Spółki.



ODPOCZYNEK. Rysował S. Masłowski.

966

OD WYDAWCY.

Pan **Stanisław Grudziński**, dotychczasowy kierownik części literackiéj *Tygodnika Powszechnego*, po trzechmiesięcznéj chorobie, zmuszony wyjechać z Warszawy na czas dłuższy, z niewymownym dla nas żalem, usuwa się od téj czynności. Pan Grudziński z wielkim pożytkiem dla pisma przez lat cztéry je piastował, i tylko smutna konieczność, silniejsza od woli ludzkiéj, zmusza nas dzisiaj do rozstania.

Kierownictwo części literackiéj naszego pisma objął znany czytelnikom literat i dziennikarz pan **Maryan Gawalewicz**.

Maurycy Orgelbrand.

DO CZYTELNIKÓW TYGODNIKA POWSZECHNEGO.

Zmuszony z powodu choroby wydalić się z Warszawy, usuwam się od udziału w redakcyi *Tygodnika Powszechnego*, który od lat czteréch zostawał pod moim kierunkiem literackim.

Zawiadamiając o tém szanownych Czytelników, uważam sobie za miły obowiązek podziękować najserdeczniéj tym z pomiędzy nich, którzy mię w tym czasie niejednokrotnie obdarzać raczyli dowodami życzliwości i uznania, oraz zapewnić ich, że te objawy tak pożądanéj spójni między pisarzem a publicznością na zawsze we wdzięcznéj zachowam pamięci.

Stanisław Grudziński.

250,000.

POWIEŚĆ

przez

Michała Bałuckiego.

(Ciąg dalszy).

Gładząc swoję krótko strzyżoną brodę, myślał, czy nie wypadałoby dla ujęcia sobie gości zrobić także traktamenciku z okazyi urodzin małego Tarchały; obliczał, ile mu rocznie przynosił ojciec i z obliczenia wypadło, że może to zrobić. Szepnął więc żonie, aby zebrała wypróżnione kufle ze stołu i niezadługo wrócił z piwnicy ze świeżemi zapasami piwa.

— A to co?—Czyj to traktament?—spytał Tarchała.

— To Lajbuś będzie częstować panów — odezwał się słodko — będzie obląć urodziny małego pana Tarchały.

— Brawo! brawo Lajbuś! — wołali ucieszeni biesiadnicy, klepiąc go po ramieniu.

— Dobry Lajbuś!

— Poczciwy Lajbuś!

— Honetny chłop z Lajbusia — odzywały się głosy.

Lajbuś się uśmiechał życzliwie, kłaniał się na podziękowanie, stawiał przed każdym z gości świeży kufel i prosił bardzo, żeby pili.

— A ty?—spytał Tarchała.

— I Lajbuś będzie pił, to się wié. Małka— zawołał, zwracając się do żony—gib schnell a Krügel.

Wziął przyniesiony kufel w rękę, podniósł do światła, delektując się kolorem i przejrzystością jego, co stanowiło rodzaj reklamy dla jego szynku —a potém zawołał, kłaniając się Tarchale:

— Za zdrowie i szczęście małego pana Tarchały.

— Niech żyje! Vivat!—i siedmnaście kufli, szumiących białą pianą, duszkiem prawie wychylono.

Szczodrobliwość Łajbusia opłaciła mu się wcale nieźle, bo Tarchała na podziękowanie kazał dać jeszcze jednę kolejkę, potém inni goście rozserdecznieni, rozbawieni, ponawiali kolejki i dopiero gdzieś koło północy rozeszli się do domów.

Po ich odejściu gospodarz zgasiwszy lampkę, wiszącą na środku, poszedł z Małką do alkierza i tam wśród bujnych betów zasnął niezadługo zadowolony z dnia dzisiejszego. W szynkowni zostali tylko Antek i Dorota, i przy małéj kuchennéj lampce płukali kufle i ścierali stoły.

Nim się rozeszli spać, Antek opowiedział Dorocie, jak im to będzie dobrze na świecie, gdy Tarchała zostanie bogatym i postanowili oboje na tę intencyą zmówić o trzy pacierze więcéj.

Téj nocy Antkowi, chrapiącemu na swojém zwyczajném legowisku, przyśniło się niebo. Przedstawiło mu się ono w postaci dużéj, czystéj izby z wymytą do białości podłogą, posypaną zielem tatarakowém, jak to widywał w dzień Zielonych Świątek. On sam miał na sobie czystą koszulę i surdut czarny, jaki dotąd tylko na urzędnikach w miasteczku mógł widywać. Na stołach, nakrytych białemi obrusami, leżały na półmiskach największe specyały: kiełbasa z jajecznicą, wieprzowina ze śliwkami i pierogi z kapustą, potrawy, które dotąd znał tylko z widzenia, lub opowiadania. Aniołowie w białych fartuszkach chodzili koło tych stołów i usługiwali — i dziwna rzecz, aniołowie wszyscy prawie mieli twarze podobne do Doroty, tylko wymyte, jak to jéj się zdarzało dwa razy do roku, na Wielkanoc i Boże Narodzenie.

Antek we śnie podziwiał te wszystkie cudowności i czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy.

Ten sen i tę szczęśliwość zawdzięczał biedak opowiadaniom Marka Tarchały.

II.

Matka mężowa.

Tarchała mieszkał w uliczce, prowadzącéj do kościoła. Miał tam sklepik, nad którym wisiały trzy mosiężne talerzyki, jako szyld—i małą izdebkę od podwórza. Było to nie złe miejsce dla niego, bo jaki taki mieszczanin idąc do kościoła, wstąpił pierwiéj do niego ogolić się, lub ostrzydz, aby się Panu Bogu i ludziom lepiéj zaprezentować na summie.— Lud wiejski w odpust, lub jarmark także dał coś utargować to za bańki, to za pijawki, a byli tacy, co i krew mimo zakazu puszczali, rozumie się w sekrecie i w izdebce od podwórza. Zarobek więc był nie taki, żeby się zbogacić, ale przynajmniéj wyżyć by można było, gdyby nie to, że „pod bombą" zostawała większa część tych zarobionych pieniędzy i że Tarchała, oprócz żony, miał jeszcze matkę na utrzymaniu.

Była to baba głośna w mieście ze swego języka i hardości. Zadzierała nosa do góry, bo nie mogła zapomnieć, że jéj matka była za pannę służącą w hrabskim domu, a mąż jéj woźnym przy sądzie powiatowym i miał zamożnych krewnych. Lubiła się tém popisywać, gdzie mogła, i dlatego nie z byle kim się wdawała, a kto jéj na honor nastąpił, to umiała go z błotem zmięszać, bo nosiła język nie od parady, i miała niewyczerpany zapas przezwisk, jakich by jéj najordynarniejsza przekupka pozazdrościć mogła. Przy tém wszystkiém uważała się za istotę bardzo delikatną i dobrze wychowaną, lubiła mówić wiele o swojém dobrém sercu i przedstawiać się, jako ofiarę prześladowaną od ludzi i od losu. Na poczekaniu umiała się rozczulić, rozpłakać i nie wiele jéj było potrzeba, aby łzy zamieniła na grubiańskie przekleństwa.

Przyzwyczajona za życia męża, który miał na swojém urzędzie dobre obrywki, do wygód i dobrego życia, nie mogła darować synowi, że się ożenił z biedną i przez to nie dogadzał jéj tak, jak sobie życzyła. Małą emeryturkę, jaką miała po mężu, coś parę reńskich miesięcznie, obracała wyłącznie na własne przyjemności, nie troszcząc się wcale o to, że czasem u syna w domu nie było na obiad. Téj nocy, w któréj syn jéj sprawiał towarzyszom libacyą „pod bombą," ona także z okazyi nowonarodzonego traktowała się wraz z Bulikową, akuszerką, herbatką z arakiem, a raczéj prawdę mówiąc, arakiem rozczynionym nieco herbatką. Siedziały obie w sklepiku przy oknie. Na perkalikowéj firance odbijały się ich cienie, widać było jak poruszały ustami, gestykulowały rękoma i nachylały co chwila głowy ku sobie, jakby szeptały coś tajemniczego ze sobą; podczas gdy chora w drugiéj izbie, gdzie lampka była przyćmiona, leżała sama, bledsza od pościeli, na któréj spoczywała, i wynędzniała bardzo.

Bulikowa z obowiązku od czasu do czasu zaglądała do niéj, a przekonawszy się, że ma powieki zamknięte, wracała znowu prędko do herbatki i gawędki.

— Cóż, śpi? — pytała stara powracającéj na palcach.

— A śpi. Moja pani, tyle czasy!

— A niech tam śpi. Siadaj pani, bo herbata wystygnie.

— Wie pani, pod sekretem przyznam się pani, że mi się to niepodoba. To pokazuje wielki brak sił, ogromne wyniszczenie.

— A czy to ona była kiedy inna? Zdrowie, jak u kurczęcia. Ja niewiem, co się tam u niéj memu Markowi spodobać mogło—chude to, piegowate— Boże!—i ruszyła pogardliwie ramionami.

— Ona nie będzie mogła karmić, bo wpadnie w suchoty, jak amen w pacierzu.

— Nie wielka by szkoda była. Moja pani, nikomu źle nie życzę— znasz mnie pani przecież z tego, ale żeby tę gęś Pan Bóg zabrał z tego świata, tobym się wcale nie zmartwiła, bo to przez nią mój syn cierpi taką biedę. Chłopak, pani, jak malowanie; zgrabny, że choć na linie tańczyć i wziąść sobie taką chardyngę, taką wywłokę; on, co mógł był się z jaką szlachcianką ożenić!... Com ja mu się pani naperswadowała, naprosiła. „Mareczku drogi, mówiłam, Markusiu złoty, nie rób tego, zgubisz siebie, zgubisz mnie, ale jego wyraźnie coś opętało. Zaczął mi wychwalać: jaka to dobra, jaka uczciwa, jaka pracowita, jak przywiązana do niego! I cóż mi z tego przywiązania, z téj pracowitości? Żeby ona sobie ręce po łokcie obrobiła, to nie poradzi nic na naszę biedę. I chłopiec mi zmarniał przy niéj, i ja się zniszczyłam; albo to ja byłam przyzwyczajona do takiego życia? — Pani najlepiéj wié, jak to u nas było za życia nieboszczyka — gęsina co Niedzielę, codzień rosół, mięso, a herbata to ze stołu nie schodziła. A dziś? I oni chcą, żebym ja to cicho zniosła. Ja nie mogę tego strawić obojętnie, bo ja nie ta matka, co żyje bez czucia i wszystko jéj jedno, jak tam jéj dziecko żyje. Ja jestem kobieta z sercem, to mnie wszystko boli.

Łzy zaczęły już dobywać się jéj z oczów.

— Bodaj ją Bóg skarał, za mego syna, co mu zawiązała świat, co go wpędziła w takie błoto!

— Ależ pani Jakóbowa, dajcież pokój, takie rzeczy gadać—reflektowała ją Bulikowa.

— Pani nie jesteś matką—mówiła Tarchałowa, wycierając rękawem łzy, które znowu ciurkiem poczęły spływać po twarzy — to pani nie wiesz, co to za ból dla matki, jak widzi jedyne dziecko w takiém położeniu. On sobie, moja pani, nie może pozwolić w Niedzielę głupich flaków przez tę klempę, tę suchotnicę — zmizerował się przy pracy—i chce pani, żebym ją to spokojnie zniosła. Nic nie mówię, bo mi idzie o niego, ale co czuję, to Bogu jednemu wiadomo.

Tu dla wzmocnienia się w swéj boleści łyknęła spory haust herbaty; za słabą się jéj wydawała w porównaniu z jéj boleścią, więc ja wzmocniła znowu arakiem.

— A może i pani kilka kropel?— spytała Bulikowéj.

Ta rozczulona opowiadaniem Tarchałowéj nie miała siły odmówić i ostatnie krople araku z półkwartowéj flaszki zniknęły w jéj szklance.

— Bodaj ten Ignac jasności boskiéj nie ogladał, bodaj jego w dziesięcioro pokręciło; bo to przez niego wszystko.

— Cóż to za Ignac?—spytała Bulikowa omdlałym głosem; bo się jéj już oczy przymykały ze znużenia, a więcéj z herbaty.

— Ignac!.... to pani nie znała Ignaca? Tego pokrakę, garbuska, z krzywą główką?

— A... a... co go to klerykiem nazywali, że zawsze chodził w długim surducie, jak w sutannie?

— Ten sam. Ta to rodzoniuteńki brat mojéj pani synowéj— rzekła baba z przekąsem i drwiąco.—Ojciec sługiwał u żydów, a on sam wykierował się na szewca. Straszne familianty, prawda?

— I że syn pani chciał się zadawać z taką hołotą? Jakże to do tego przyszło?

— Ano nieszczęście i tyle. Mój Marek wrócił właśnie ze szpitala i nie miał się gdzie podzieć, a że się z Ignacym znali dziećmi jeszcze, więc go wziął do siebie, bo ja wtedy także nie miałam własnego kącika i musiałam iść w służbę po śmierci mojego.

Mówiła o tém niechętnie, bo ją upokarzało przyznawać się w obec Bulikowéj, że syn jéj potrzebował kiedykolwiek łaski tych ludzi. I tak nie powiedziała wszystkiego, bo nie tylko syn, ale i ona znalazła u nich przytułek, gdy ją dla jéj kłótliwości wypędzono ze służby.

— Krótko mówiąc, moja pani Bulikowa — ciągnęła daléj—i on, i siostra, tak mi opętali mojego Markusia, że już matka u niego nic nie znaczyła, i w nich tylko widział wszystko najlepsze. Co Ignac zrobił, co Ignac doradził—to święte. O, pani, co ja wtedy przeszłam, to niech ręka boska broni, niech Bóg zachowa każdą matkę od tego.—Oni to namówili go, że mój Markuś zamiast iść w świat, osiadł w téj dziurze i zmarniał. A ja wiem, że gdzieindziéj byłby los zrobił, bo chłopak miał zdatność do wszystkiego. Chciałam go edukować na adwokata, albo doktora; ale jak ojciec umarł, musiałam go wziąć ze szkół, bo nie było za co posełać go daléj— i oddałam do kupca; — nie był tam długo, bo u kupca, jak to pani wié, od rana do nocy na nogach, a on był od saméj małości delikatnie chowany; więc poszedł do cyrulika. To mu się nie bardzo podobało i przystał do aktorów. Byłby tam szczęście zrobił, bo podobno jakaś wielka dama zakochała się w nim, kto wie na co by był wyszedł, gdyby nie choroba, co go trzymała w szpitalu przeszło pół roku. Zniszczył się tedy z kretesem. Ale cóż to znaczy dla młodego, co ma edukacyą. Byłby się znowu wygrzebał, bo chłopak ambitny — nie trzeba pani mówić, że zemnie ma tę ambicyą— i poszedłby coraz wyżéj; ale ten słodziutki Ignac, jak mu zaczął przekładać: a co to będziesz się włóczył po świecie, a to siedź na miejscu i weź się już raz do czego; majątek szczęścia nie daje, tylko uczciwa praca i spokojne sumienie; jak mu tak zaczął kłaść w uszy, a do tego ta trąba zaczęła do niego słodkie miny stroić, zawracać temi siwemi ślepiami, tak mi chłopca do krzty zbałamucili — i został, i na domiar wszystkiego jeszcze się ożenił z tą lafiryndą.

Na wspomnienie synowéj Bulikowa przypomniała sobie, że wypadało zajrzéć do choréj, i ruszyła się z miejsca.

— Trzebaby iść zajrzéć na nią.

— Co pani będzie chodziła; nic się jéj nie stanie, bo choć wiecznie kwęka, ale jéj pałką nie dobije. Ona będzie żyć wieki na moje utrapienie, zobaczy pani.

Zaspokojona tém zapewnieniem Bulikowa usiadła znowu i chcąc rozmową wybić się ze snu, któ- ry ją ogarniał co chwila, zapytała po chwili:

— A gdzież brat się podział?

— A poszedł sobie, jak tylko się pozbył siostry, którą opiekować się musiał. On tylko na to czekał. Nie za długo po weselu spakował swoje *kleinigkeity* i poszedł na wędrówkę.

Zapewne przez zapomnienie nie dodała Tarchałowa, że sprawił wesele swoim kosztem, że nowożeńcom zostawił całe gospodarstwo i mieszkanie zapłacone z góry za pół roku, i że w każdym liście, co pisał z zagranicy, przysełał po kilka reńskich zaoszczędzonych przez siebie. Nie miałaby nawet czasu powiedzieć tego wszystkiego, bo w téj chwili ktoś zapukał w okno.

Bulikowę aż rzuciło na stołku, tak się tém niespodziewaném stuknięciem przestraszyła.

— Czy to ty?—spytała Tarchałowa.

— Ja... otwórzcie.

— To Marek wraca — rzekła Tarchałowa dla uspokojenia wystraszonéj Bulikowéj, i poszła drzwi otworzyć.

Wszedł Tarchała—nie pijany, ale podchmielony nieco, bo jeszcze dużo było potrzeba, aby stracił przytomność; miał pod tym względem mocną i wytrzymałą głowę. I w tém też wdał się swoję matkę.

— Cóż Teklusia? — spytał, rzucając na łóżko swój włoski kapelusz.

— Śpi, jak zabita—rzekła matka.

Bulikową ruszyły znowu te słowa z miejsca. Dla upewnienia się, czy chora rzeczywiście śpi, czy przypadkiem tymczasem nie przebudziła się, czy nie potrzebuje czego, poszła na palcach do drugiéj izby. Było tam cicho zupełnie, tylko szybkie, chrapliwe trochę oddychanie dzieciny nowonarodzonéj słychać było pod chustką w nogach łóżka. Bulikowa zajrzała na dziecko, przykryła je znowu i usiadła opodal, a że w izbie było ciepło, pół ciemno, a ona trochę niewyspana i rozmarzona herbatką, więc niezadługo zaczęła jéj głowa wybijać Morfeuszowi pokłony na wszystkie strony i w końcu na dobre zasnęła.

Matka z synem siedzieli jeszcze długo w nocy przy stoliku. Była narada nad tém, kogo jutro prosić w kumy. Matka radziła aptekarza na chrzestnego ojca, a sędzinę na matkę. Tarchała oburzył się na to i odpowiedział matce opryskliwie, że nie pójdzie do nich.

— Wié matka przecie, że oni nas znać nie chcą. Mało to nachodziłem się do nich i ja, i matka.

— Ale to co innego, a to co innego. Wtedyśmy potrzebowali ich pomocy, a nie każdy chętnie daje. A teraz idzie poprostu o grzeczność. Toć obcym się tego nie odmawia, nie dopiero swoim.

— E, głupie gadanie!.. niby to oni nas uważają za swoich. Pójdę, i znowu mi drzwi pokażą, jak dawniéj. Nie chcę, nie chcę.

— Korona ci przecie z głowy nie spadnie. Co ci szkodzi iść, spróbować? Kto wie, czy oni teraz nie będą patrzéć na nas innemi oczami? Aptekarz nie ma dzieci, u sędziego same córki—będzie ich może cieszyć, że się doczekali małego Tarchały.

— Co Tarchała, to nie Tarchalski.

— Tarchała, Tarchalski, to jedno znaczy;—nic łatwiejszego, jak zmienić nazwisko. Przecież i oni nie od dawna piszą się Tarchalskimi. Będzie im szło może o to, żeby nazwisko nie zginęło z nimi. Aptekarz może nawet weźmie go za swego.

— No, a jak nie zechcą?

— To się wtedy poszuka kogo innego, ale rodzina pierwsza.

Jak zaczęła mu przekładać, dowodzić, a na argumentach jéj nie zbywało, bo była wygadana,— tak przekonała go w końcu i Tarchała postanowił jutro wybrać się do swoich krewniaków.

Już piątą odbił zegar na kościele, kiedy ukończyli rozmowę. W klasztorze Bernardynów dzwonek odezwał się na jutrznią. Czas wielki było położyć się spać.

Tarchała sypiał razem z żoną; teraz jednak z powodu słabości jéj, matka urządziła mu tymczasowo posłanie w sklepiku na stołkach. Nie było mu tam bardzo wygodnie i krzywił się na to zaimprowizowane łóżko. Matka na pocieszenie go nie omieszkała powiedzieć:

— Sameś sobie winien. Gdybyś się był chciał żenić z córką młynarza, jak ci radziłam...

— E, daj mi matka już raz pokój z tą młynarką—odezwał się z gniewem — wiecznie przy lada okazyi wyjeżdża matka z tą młynarką. Ślicznie bym się był ubrał, wziąć niemowę za żonę i do tego taką ropuchę.

— Ale ojciec dawał za nią trzy tysiące w gotówce i grunt. — Byłbyś dziś panem, mógłbyś się rozpierać w eleganckich pokojach.

— Przestanie już matka raz tego głupiego gadania?

— No, już nic nie mówię. Ja wiem, że matce tu pary z ust puścić nie wolno. Doczekałam się— tu głos nabrzmiał łzami — doczekałam, niéma co mówić za to, żem cię wychowała prostego, jak sosnę, zdrowego, nie kulawego, nie ślepego—to taka teraz odpłata!—Zaczęła szlochać na dobre.

Tarchała, przyzwyczajony do podobnych scen, nie wiele sobie robił z tego żalu matki; odwrócił się twarzą do ściany i niezadługo zasnął. Matka zakończywszy płacz cichém przekleństwem na synowę, którą uważała za przyczynę wszystkiego złego, wzięła się do rozbierania swego łóżka wysłanego wysoko poduszkami, pierzyną, piernatem i klepiąc rękoma poduszki odmawiała równocześnie pacierze wieczorne. Dokończyła je klęczący, poziewając mocno — i niezadługo zagrzebana w bety usnęła snem sprawiedliwego.

W mieszkaniu Tarchały zrobiła się cisza, wśród któréj słychać było głośne chrapanie śpiących i jednostajny ruch zegara na ścianie.

Na ulicy odzywały się coraz częściéj kroki przechodzących. Przekupki dobijały się na przeciwko do piekarza, kilkoro ludzi szło już na ranną mszę do kościoła — i na dworze przerzedniały ciemności, a u Tarchałów żywa dusza jeszcze się

nie poruszyła. Herbatka i piwo tak błogo wszystkim się przysłużyły.

Już biały dzień zaglądał do izdebki przez geranie i fuksyjki, któremi okno było ubrane, kanarek w klatce oddawna trzepotał się i świergotał, dopominając się o codzienną porcyą, posługaczka, która nosiła węgle i wodę, parę razy pukała i zaglądała do okna, a nikt nie myślał wstać, tak mocnym był ich sen.

(D. c. n.)

BOHDAN ZALESKI.

SZKIC LITERACKI,

skreślony przez **Józefa Tretiaka.**

(Ciąg dalszy).

Wśród nocy przemarzonych na brzegu wiślanym musiała być upolowaną *Duma z pieśni ludu ukraińskiego*, drukowana po raz pierwszy w roku 1826. W téj dumie po raz pierwszy odzywa się ton tęsknoty za Ukrainą i pożegnaną tam przeszłością, i odtąd snuje się przez całe życie. Są tam strofy, zwrócone do ukraińskiéj nuty, które pozwalają poniekąd wniknąć w proces rozwijania się owéj tęsknoty.

Ukraińska nuto dzika!
Zapomnianéj dumy echo!
Pociesz serce samotnika,
Błogą, rajską tchnij pociechą!

Dźwięk po dźwięku z gęśli znika,
Jedna chwila drugą wini;
Pociesz nuto smutna, dzika!
Wszakżem dziécię twéj pustyni.

Ukraińska nuta tęskna, echo dum zapomnianych, a śpiewanych niegdyś nad kołyską Bohdana, teraz, rozlegając się nad brzegiem wiślanym w noc miesięczną, sprawiała zapewne rozkosz śpiewnéj duszy Bohdana, ale zarazem budziła wszystkie echa dzieciństwa, wszystkie wspomnienia, oblekała je urokiem poetycznym i zamiast koić tęsknotę, jeszcze ją bardziéj rozbudzała.

Odwrotną stroną tych marzycielskich wycieczek była praca na utrzymanie. Bohdan dawał lekcye prywatne w domu hr. Szembeków i Górskich. O tych pedagogicznych zajęciach nic więcéj nie wiemy; łatwo się jednak domyśléć, że nawskroś liryczna, marzycielska natura Bohdana nie znajdowała w nich zadowolenia i uspokojenia.

Wkrótce potém rozpoczęło się czumackie, jak je nazywał Adam Mickiewicz, życie Bohdana Zaleskiego. Wraz ze swoim bratem Józefem, z którym połączywszy się, nie rozstawał się aż do śmierci jego przez lat przeszło trzydzieści, wędrował Bohdan przez lat parę po Francyi, Szwajcaryi i Włoszech, aż nareszcie osiadł na dłuższy czas w Endoume, cichéj wiosce pod Marsylią nad samém morzem. Była to chwila najobfitszéj twórczości Bohdana. Tu z rozspiewanego serca jego wywijały się najwspanialsze fantazye i dumki, które w taki zachwyt wprawiały Mickiewicza.

Cóż było treścią tych fantazyj i dumek? Ukraina. Stawała ona przed nim, jak wizya czarodziejska, jak senny raj młodości, a najpyszniejsze widoki bogatéj przyrody południowéj nietylko nie rozpraszały téj wizyi, téj tęsknoty ukraińskiéj, ale prawem kontrastu jeszcze ją bardziéj potęgowały. Zdawało się wprawdzie czasem, że jakaś okolica górska silniéj wabiła oczy poety:

Między górami gdzieś oto jestem;
I okolica—co chwila
Szmerem strumieni, świerków szelestem,
W pieśniach się niby przymila;
Co chwila stroi inaczéj lica:
Wpaść w oczy—skochać—chce zalotnica.

Nié ma co mówić— w oczy mi wpadła:
Z gór słońce miecie oblaski;
W dole jeziora—jasne zwierciadła
Chwytają w okrąg obrazki;
I jakoś wszędzie cicho, zielono:
Niéma co mówić, lubuje łono.

Ale ta pokusa trwa przelotną chwilę; nie nęcą go też i góry podniebne, na które wspiąwszy się, mógłby zagrzmiéć piersią na świat szeroko:

Och! jak świat duży ten—niż po świecie
Wzdłuż i wszerz pustą grzmiéć sławą:
Wolałbym cicho żyć w mym powiecie
Kędyś nad Rosią—Rasawą.
Z drużyną moją w dłoniach tam dłonie,
Kochać i śpiewać—póki tchu w łonie.

Przypomina to podobne westchnienie tylko nieco humorem zabarwione w *Panu Tadeuszu*:

Kiedyż nam Pan Bóg wrócić z wędrówki dozwoli,
I znowu dom zamieszkać na ojczystéj roli,
I służyć w jeździe, która wojuje szaraki,
Albo w piechocie, która nosi broń na ptaki,
Nie znać innych, prócz kosy i sierpa rynsztunków
I innych gazet, oprócz domowych rachunków.

Stosunki Bohdana i Mickiewicza sięgają dawnych czasów. „Na dziesiątek lat wprzódy, nimeśmy się poznali osobiście i zaprzyjaźnili, pisze Bohdan w liście do p. Władysława Mickiewicza, kochałem już Adama i wielbiłem, nawzajem od niego ceniony i miłowany. Z Wilna, Odessy, Moskwy i Rzymu, za pośrednictwem spólnych znajomych i przyjaciół—jako to Józefa Jeżowskiego, Bonawenturowéj Zaleskiéj, Joachima Lelewela, Waleryana Krasińskiego, A. E. Odyńca, Stefana Witwickiego i innych, wywiadywaliśmy się ciekawie o sobie i znosili się w rzeczach parnaskich. Pierwszą wileńską edycyą poezyi, a potém *Sonety krymskie*, *Wallenroda* i wydanie pism petersburskie, przysełał mi Adam zaraz po wyjściu z druku z pochlebnemi własnoręcznemi dopiskami. Za przybyciem do Paryża w roku 1832 prosto z dyliżansu przyszedł do mnie z Joachimem Lelewelem... Odrazu stanęliśmy na stopie przyjacielskiéj. W dniu zaznajomienia się czytał mi do późna w nocy świeżo napisaną w Dreźnie, przecudowną swoję trzecią część *Dziadów*. Odtąd żyliśmy można powiedziéć nierozłączni, w spółce duchowéj z kilkoma jeszcze duchami.“ Dwie te tak różne natury poetyczne: nawskroś muzykalna Bohdana, nawskroś plastyczna Adama — uzupełniały się niejako, a przytém kojarzyły się w gorącém uczuciu religijném, jakie obu ich cechowało. Adam przebrnął był już wówczas fale bajronicznego usposobienia, którego ślad ognisty pozostał w *Improwizacyi Konrada*, Bohdan ustalił był wówczas w sobie tę wiarę słodką, dziecinną, pogodną, która przez całe życie promieniła nad nim, i dotąd promieni. Powiadam u s t a l i ł, bo i Bohdan miał w młodości swojéj, w warszawskich czasach chwile, w których duch jego szamotał się z wątpliwościami wieku. Świadczy o tém *Duch od Stepu*:

O pijany!
Młodzian—w zgiełku, zawierusze,
Za innymi się szamoce;
Mąci—mąci—do dna duszę
I owoce – och! owoce
Cierpkie, gorzkie, wskróś przepsute,
Ssie, jak balsam za pokutę!

W téj rozterce wewnętrznéj pieśń nawet jego zamierała; ale nie trwało to długo. Niebawem nadeszła chwila pokory i uspokojenia, a wiara — matka niewyrodna

Roztkliwiona w płacz pokorą,
Oto czule, coraz czuléj
Do swych piersi dziécię tuli.

Między religijnością Adama Mickiewicza a Bohdana Zaleskiego była znaczna różnica: u pierwszego była daleko samodzielniejsza, ale też i o wiele skłonniejszą do mistycyzmu, który tak fatalnie potém tę słoneczną fantazyą grubemi przysłonił chmurami. Ta skłonność do mistycyzmu, już w ówczas widoczna w Adamie, między innemi i tém się w nim objawiała, że przypuszczał on prawie na seryo, iż w nim i w Bohdanie jeden duch poetyczny działa i że dla tego nie mogą oni nic tworzyć jednocześnie; tak się bowiem w istocie złożyło że kiedy Mickiewicza wśród kłopotów, trosk i zabiegów życia rodzinnego odbiegło natchnienie, wówczas muza Bohdana najbardziéj się rozśpiewała.

Jak wysoko cenił Mickiewicz poezye Bohdana, na to mamy liczne dowody tak w prelekcyach paryzkich, jak i w korespondencyi, gdzie np. w liście do Ignacego Domejki powiada: „Zaleski Bohdan przyjechał tu z okropnym plikiem poezyi, które popisał, a które są zdaniem mojém najcudniejsze i stawią go na czele naszych poetów.“ W innym liście do samegoż Bohdana cieszy się, że Poznańczycy zasmakowali w poezyi ukraińskiego wieszcza, „bo nic nie masz, powiada, bardziéj anti-berlińskiego, jak twoja muza.“ Nazwa „anti-berlińskiéj“ dla muzy Bohdana jest nadzwyczaj trafną, a w ustach Adama oznaczała największą pochwałę. Zachęcał on nieustannie Bohdana do wydania pism swoich i był pośrednikiem pomiędzy nim, a szlachetnym mecenasem literatury polskiéj—hrabią Raczyńskim.

W r. 1838 powrócili bracia Zalescy pod Paryż i najchętniéj przemieszkiwali w Fontainebleau, którego zaciszna, leśna i skalista okolica, najbardziéj jeszcze ze wszystkich obcych okolic przypadała do serca Bohdana. Tu go odwiedzał często Mickiewicz i tu dwaj wieszcze nieraz

Nucąc ojczystą dumę po cichu,
Brnęli pomiędzy wrzosy, paprocie,

i biegli myślą, sercem w swoje strony, a wyobraźnia ich tak czasem niosła, że zapominali, gdzie są, i zdawało się im, że widzą swoje rodzinne okolice.

Pojrzym—przed nami wzdłuż przetwór siny—
Step—i na stepie Dniepr w skały pluszcze—
Dwa morza—Tatry—znowu równiny—
Piastowe Gopło—litewskie puszcze.

Latem 1840 r. odwiedzali Zalescy Mickiewicza w Lozannie i razem z nim odbyli wycieczkę w gó-

ry—na Montblanc. Kiedy Mickiewicz przeniósł się z Lozanny do Paryża, stosunki między poetami były jeszcze żywsze.

Dalsze koleje życia Bohdana w kilku zawrę słowach. Ożenił się i stale zamieszkał w Paryżu, gdzie przez dłuższy czas był członkiem zarządu polskiéj szkoły Batignolles. Wypadki 1863 roku żywo go poruszyły i wywołały cały szereg pieśni, pełnych młodzieńczéj wiary w przyszłość. Ufność jego niczém się nie zachwiewała nawet w najsmutniejszych chwilach, a dla niego były to chwile podwójnie bolesne: stracił bowiem w owych czasach naprzód brata, potém żonę, potém dorosłą i zamężną już córkę. Po tylu stratach wzrok jego coraz częściéj podnosił się w niebo, i tam szukał ukojenia. Oto w 1864 roku tak jeszcze cudownie przygrywał na swoim teorbanie w poezyi *Oman żurawi!...*

II.

Zwróćmy się teraz od osoby poety do jego utworów i to tych mianowicie, w których drga struna Ukrainy. Mamy przed sobą roje dum, dumek, fantazyi, wiośnianek, szumek, czajek. Znalazłszy się w tym świecie lotnym, śpiewającym, rozigranym, nie możemy się z początku zoryentować. Jedne rodzaje zlewają się z drugiemi, jedne przedzierzgają się w drugie, i dopiero po dłuższém wsłuchaniu się i wpatrzeniu w nie, spostrzegamy pomiędzy niemi wyraźniejsze różnice.

Duma jest córką stepu. Uczucie tęsknoty, jakie budzi widok stepu, żyje w niéj zaklęte, stanowi jéj duszę. Tęsknemi oczyma spogląda ona na wszystko, tęskne wszędzie łowi kolory, i tęsknie goni za przeszłością, niknącą w dalekiéj perspektywie. Pomiędzy dumą a dumką różnica nie w rodzaju przewodniego uczucia, ale w tém, ku czemu jest zwrócone: w dumach tęsknota zwraca się ku przeszłości zbiorowéj, w dumkach ku indywidualnéj.

Ale nie zawsze tęskni Ukrainiec, ma on czasami chwile hulaszczéj wesołości i żartobliwego usposobienia, i wówczas nuta brzmi raźnie i skocznie, świat różowo płonie, tęskna przeszłość znika z przed oczu. Z takiego usposobienia wypłynęły szumki i pokrewne im wiośnianki.

Fantazye to są, jakby dumki rozwinięte do większych rozmiarów. Czerpią one treść z osobistych stosunków i wspomnień poety, tak samo, jak niektóre dumki, ale czynią to na większą skalę i z niesłychaną swobodą cudownie rozigranéj wyobraźni.

Któż nie zna *Rusałek?* Jestem pewny, że niéma nikogo pomiędzy czytelnikami, ktoby nie pamiętał przynajmniéj pierwszych strof téj kryształowéj sielanki:

Święć się, święć się wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,
Ideale wiary, cnoty
I miłości i swobody!

Dźwięk, blask, woń, słodycz, lotność, jak chorowód rusałek Zorynę, porywają naszę duszę, unoszą ją w powietrze i wprawiają w jakiś rozkoszny kołowrót, że nie wiemy, gdzie jesteśmy, co się z nami dzieje, ale wiemy, że nam dziwnie błogo, lekko i skrzydlato. Nie wszystkie tu strofy są jednakowo doskonałe, ale całość sprawia wrażenie jakiéjś Mozartowskiéj melodyi, która zdaje się nie być stworzoną, ale tylko sprowadzoną gdzieś z górnych sfer powietrznych na ziemię. Takiéj lotności i kryształowéj przeźroczystości nie posiadają trzy inne fantazye tego poety: *Kalinowy most, Sam z pieśnią* i *Duch od stepu*, ale przewiewa w nich również żywe i samorodne tchnienie poezyi. We wszystkich tych trzech fantazyach wywołuje poeta fantastyczne obrazy swéj przeszłości i przyszłości, które się mienią, kojarzą i bujają w powietrzu, jakby jakieś twory z mgły i słońca, kołysane lekkim wietrzykiem. W téj mgle zabłąkać się może, kto nie posiada nadzwyczaj delikatnego czucia na wszystkie zwroty poezyi Bohdana, która rządzi się assocyacyą wyobrażeń trudną czasem do odgadnienia, i prawdziwie, jak wietrzyk letni, z niedoścignioną lotnością przerzuca się z przedmiotu na przedmiot, z obrazu na obraz. Takiéj mgły słońcem tkanéj, takiego rozbujania nie mało jest w *Kalinowym moście*, który zresztą ma prześliczne ustępy. Kalinowy most, to jest ów most na wodach żywota, po którym zbiegają niepowrotnie młode latka. Dopędzić ich niepodobna; dopędzi ich chyba tylko kwiatek puszczony z mostu na wodę owym latkom na pożegnanie. Ten kwiatek, to jedno ze złudzeń, odrywających się od człowieka w miarę tego, jak młode latka przebiegają po moście...

Woda duża i burzliwa,
Kalinowy most mój stoi;
Spodem ku mnie przyhukiwa;
Walą, walą goście moi!

W ślad za niemi tu na moście,
W ślad za niemi puszczam kwiatek,
Bądźcie zdrowi mili goście!
Nie zawrócę młodych latek.

Sam z pieśnią jest czémś pośredniém pomiędzy dumą a fantazyą. Struna téż Ukrainy dorywczo się tu odzywa, a myśl poety leci ostrzem ku niebu „z kadzielnicą od ziemi.“ Ale i tu ciągłe zwroty téj myśli, niespodziewane a pełne wdzięku. Cudownie téż scharakteryzował poeta tę lotność swéj poezyi w tych wierszach fantazyi:

Bracia moi—co chcecie?
Dumam sobie po świecie;
Bujam po tym obszarze,
Jak wiatr więzień gdzieś w jarze;
Skróś obecny szelestem,
Poświstuję i marzę,
Niewidomy — a jestem!

Duch od stepu, największych rozmiarów fantazya Bohdana, ma tylko w pierwszéj części przeciągniętą strunę Ukrainy; w drugiéj, jak wiadomo, chciał poeta wygrać na teorbanie filozofią dziejów, druga więc tu nie należy. W pierwszéj opowiada poeta właściwym sobie sposobem, w zmiennych, obłocznych obrazach, dzieje własnego życia, poczynając od rajskich chwil przedwcielenia.

Błogo temu, kto pamięta
Luby, dziwny, gdzieś przed laty,
Żywot czysty i skrzydlaty,
Pierworodny swój początek!
Kto w cielesnych więzów męce,
W niebo codzień wznosząc ręce,
Do tych dusznych drży pamiątek!...

Poeta jest takim szczęśliwym, pamięta swój przedwcielony żywot. Matka Ukraina, stworzywszy ducha poety, wezwała rusałkę na piastunkę do swego dziecięcia.

Piastuj dziecię me rusałko!...
Mlekiem dum i mleczem kwiecia,
Pój do lotu mdłe to ciałko!
Pięknéj sławy méj stulecia
Podaj do snu na obrazki!

(D. n.)

POGADANKA.

On revient toujours à ses premiers amours....

Według przysłowia powracam i ja po trzech latach wiarołomstwa do redakcyi „Tygodnika Powszechnego,“ w któréj kiedyś powierzono mi trudną rolę *d'un beau parleur* i pozwolono w zacisznym kąciku tego pisma rozmawiać z Czytelnikami, jak z przyjaciółmi.

Nie przeczę, że mi tu było bardzo wygodnie i przyjemnie, że co do mnie byłem zadowolony i starałem się wmówić w mojego wydawcę, iż moi słuchacze także byli zadowoleni; więc mieliśmy tak ze sobą rozmawiać do śmierci o samych rzeczach zajmujących, w sposób o ile możności miły i wdzięczny, poważny naprzemian i dowcipny.

Ale „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi;“ nie pamiętam już, co mi strzeliło nagle do głowy, dość na tém, iż dałem się wynieść z *Tygodnika* i z etatowego gawędziarza zmienić na biblijną Rut z Noemi, która zbierać poczęła kłosy na cudzém polu i wiązać je w feljetonowe snopki. Byłem tedy jednym z siewaczy *Kłosów*, co sobie uważam za zasługę przed potomnością, a za wielki pożytek dla siebie samego, bo nauczyłem się wybierać dobre ziarna i chodzić przy doświadczonym, poczciwym Pługu po społecznéj roli z tą nieznużoną gorliwością służenia dobréj sprawie i dbałością o przyszły plon.

I znowu miałem do śmierci zbierać Pokłosia, gdyby nie chłop, który strzela i Pan Bóg, który kule nosi; otóż przysłowiowy chłop przez wymowne usta Wydawcy *Tygodnika* strzelił mi do serca takim argumentem:

— Przed trzema laty panie *Quis* — (mógłbyś się téż przezwać jakoś po ludzku!...) daliśmy ci dymissyą na własne żądanie, choć z prawdziwym bólem serca, ale zarazem zastrzegliśmy wyraźnie, że na wypadek, gdyby losy zrobiły nam jaką niespodziankę, przyjdziesz nam znowu z pomocą i nie odmówisz swéj poczciwéj ręki, zacnego pióra, światłéj rady, zacnych i t. d.

Rumieniłem się wówczas, jak pensyonarka, któréj wręczają patent na egzaminie i prawią pochwały; spuszczałem oczy w ziemię z taką skromnością, iż dziwię się dzisiaj, że na tém miejscu nie wyrosły fijołki.

— Pod tym warunkiem,—ciągnął daléj właściciel *Tygodnika* — rozwiązaliśmy różanne więzy, które cię przy nas przytrzymywały, wierząc twemu zapewnieniu, iż w chwili ważnéj, gdy twéj pomocy zapotrzebujemy, wrócisz z bezterminowego urlopu i wziąwszy pióro na ramię, staniesz znów w naszych szeregach na flanku. Czy prawda?...

Musiałem skłonić głowę na potwierdzenie i westchnąć na wspomnienie téj chwili rozstania, którą starano się mi wówczas osłodzić w redakcyi całym kieliszkiem węgierskiego wina.

— Cztery lata minęły; — mówił daléj mój były Wydawca, a raczéj mój Wydawca w drugiéj edycyi — przyznaj, iż mężnie i wyrozumiale znosiliśmy tę rozłąkę, ale nadeszła chwila, w któréj *Tygodnik* zbyt ciężkim poddany został próbom, bo

zabrakło mu dzielnéj ręki kierownika, zabrakło mu poczciwéj ręki kronikarza z usunięciem się Kazimierza Grzymały a wreszcie jego gorliwego zastępcy Stanisława Kostki... Placówka została opróżnioną, miejsce niezajęte czeka na ciebie; wracaj, jeżeliś słowny i synu marnotrawny—pójdź w nasze objęcia!...

On revient toujours à ses premiers amours, czyli jak—(szkaradny nałóg Jowialskiego!...) przysłowie polskie zapewnia: „Stara miłość nie rdzewieje;“ że nie zardzewiała miłość, najlepszym dowodem dzisiejsza moja Pogadanka, którą rozpoczynam miłe obowiązki kronikarza, ale czy nie zardzewiało pióro, o tém sądzić mi nie wolno.

Radbym „piórkiem pawia“ na kalinowych listkach pisywać moje gawędy, a obawiam się, czy nie wyjdą one, jak kwaczem po bibule pisane.... No, zobaczymy; — wstydu Grzymale gryzmołami memi nie zrobię, a co zacne uczcić, co dobre pochwalić, co wielkie uszanować, a co pożyteczne ocenić potrafię.

Szczęśliwy los pozwala mi kwiatami rozpocząć tę pisaną rozmowę i obdarzyć Czytelników bukietem na wstępie, tak wielkim prawie... jak stara Pomarańczarnia przy Ogrodzie botanicznym, w któréj przez trzy dni odbywała się Wystawa róż, urządzona staraniem Redakcyi „Ogrodnika Polskiego“ na korzyść szkoły ogrodniczéj i Towarzystwa ogrodniczego. Szkoła już jest, — Towarzystwo dopiéro będzie, ale zapobiegliwość każe starać się wcześniéj o materyalną podstawę dla niego, a wnioskując z dochodu, fundamencik ten będzie dość szeroki, bo Wystawa około 3500 rs. brutto przyniosła. Zwiedziło ją 16,618 osób w ciągu trzydziestu godzin, co daje miarę o zainteresowaniu się nią naszéj publiczności, a wyobrażenie o tłoku, jaki panował tam w pewnych porach dnia, zwłaszcza w ostatnią niedzielę.

O saméj wystawie powiedziéć mogę, że gdybym był motylem, to byłbym... umarł z miłości i rozpaczy w dniu jéj zamknięcia; gdybym był pszczołą, zakłułbym się własném żądłem, jak sztyletem na tarasie Pomarańczarni — ze złości, że nie mogłem wycałować słodyczy z tych wszystkich różanych buziaków; — jako słowik ochrypłbym na całe życie od śpiewania serenady pod oknami uwięzionych księżniczek z dynastyi Flory, ale jako redaktor „Ogrodnika Polskiego“ kazałbym się uściskać najpiękniejszéj warszawiance za pomysł tak piękny i poetyczny, jak urządzenie wystawy.

Że zaś nie jestem ani motylem, ani pszczołą, ani słowikiem, ani redaktorem „Ogrodnika,“ tylko pospolitym kronikarzem, notuję sam fakt (z wykrzyknikiem zachwytu i uznania), a sprawozdanie szczegółowe pozostawiam kolledze... od róż i bratków w Rozmaitościach.

Ubiegły tydzień same poetyczne nagromadził mi tematy, — mógłbym był z wierszy upleść niniejszą Pogadankę, gdybym już dawno nie wyszedł z wprawy dobierania rymów i szukania średniówek, bo śmiem się przyznać, że kiedyś „bywało przed laty, sypałem wiersze i kwiaty wszystkim dziewczątkom...“ ale dzisiaj, gdy natrafię przypadkiem na jaką zabłąkaną piosnkę, to się rumienię i wstyd mi powiedziéć do niéj: „tyś moja!....“ Zestarzeliśmy się oboje, i ja, i piosnka, i dziewczątka, co kiedyś stroiły mi lirenkę do śpiewu. „W rzeczywistość się pomału świat przemienia ideału,“ — a ta rzeczywistość tak rzadko bywa poetyczną!... Et, — wracajmy do... porządku dziennego.

Otóż najpiękniejszą nowalją zeszłego tygodnia był obchód Wianków na Wiśle, urządzony przez Towarzystwo wioślarskie. Stary zwyczaj ludowy chylił się już ku upadkowi w ostatnich latach, wigilja św. Jana traciła swój urok, sobótki coraz rzadziéj błyskały ogniem, tradycyonalne wianki przestały zakwitać na falach wiślanych. Pisano o tém z ubolowaniem w prassie, mówiono z żalem w towarzystwach, ale jak to najczęściéj bywa — z inicyatywą czynną do ożywienia pamiątkowego obchodu nikt jakoś nie występował. Dzieje się z niektóremi rzeczami w świecie, jak na scenie w operze; chór przez dziesięć minut biada nad nieszczęsną bohaterką, co się rzuciła do wody po ostatniéj aryi, powtarza w nieskończoność efektowny wykrzyknik: „utonęła, utonęła!“ ale nie rusza się z miejsca na ratunek, tylko śpiewa i śpiewa, zawodzi i zawodzi, przestępując z jednéj nogi na drugą, dopóki kurtyna na dany znak nie zapadnie. Tak było i z wiankami w świętojańską wigilją. Zawodziły pisma, że ludkowi warszawskiemu ubywa jedna z pamiątkowych rozrywek, że ginie stary zwyczaj pełen poezyi, że trzebaby coś zrobić, ale do roboty nikt się nie brał. Dopiéro Towarzystwo wioślarskie, które przed niedawném rozgospodarowało się na Wiśle od strony Solca, jako równoważnik Yacht-Klubu, wzięło sobie do serca sprawę Wianków i zamieniło je od razu w prawdziwą uroczystość ludową.

Zeszłego Piątku kilkudziesięciotysięczne mrowie ludu obsiadło brzegi „rzek naszych macierzy,“ po któréj szybowały łodzie, rozlegały się dźwięki muzyki, śpiewy, a o zmroku zabłysnęły beczki smolne, tysiące świateł kolorowych, ogni sztucznych i lampionów. Widok był czarujący, uroczy, pociągający serca, ożywione przyspieszoném biciem, jak gdyby w każdém zakwitła nagle paproć, jeszcze przed tajemniczą północą.

Za tych kilka godzin uciechy i radości, pięknych wrażeń, co rozjaśniły życie tysiącznym tłumom—należy się podzięka inicyatorom obchodu. Towarzystwo wioślarskie, takiém rozpoczęciem swéj egzystencyi, zasłużyło się dobrze Warszawie i od razu pozyskało jéj sympatyą; odtąd co roku Wianki nasze i sobótki będą w noc świętojańską stroiły starą Wisłę krasą i blaskiem, i przypominały jéj zapomniane czasy.

Z ostatnim mundurkiem studenta, co z bruku miejskiego na rozkoszne wakacye umknie za rogatki, i z ostatnią parą sumiastych wąsów obywatela, który po jarmarku wełnianym i wystawie inwentarza pospieszy przygotować się do żniw, zniknie też większy ruch w syrenim grodzie, — wejdziemy w sezon kwaśnych ogórków i kanikuły, rozpoczniemy drzémkę kilkumiesięczną. Tylko waszemu słudze nie będzie wolno zasnąć wraz z całą Warszawą, więc, jak ów żóraw na czatach, co aby sennych oczu nie zmrużył, w szponach kamień trzyma, — czujny kronikarz *Tygodnika*— pióra z rąk nie wypuści.

A teraz gdyśmy się poznali, pozwólcie mi zakończyć tę Pogadankę nadzieją, że się i pokochamy w przyszłości.

Quis.

Jeden ze szczepów zasłużonego rodu.

Opowiadanie z XVIII wieku,

przez

Dr. Antoniego J.

(Ciąg dalszy.)

Był to już nie senator, ale prywatny obywatel, uczony badacz, porządkujący zbiory i zaprzątnięty dysputami z niemieckimi historykami. W Lipsku, założył towarzystwo naukowe swego imienia—*Societas Jablonoviana*, egzystujące do dzisiaj; że niewiele korzyści przyniosło ono ojczyźnie, wiemy o tém wszyscy, ale nie wina to już założyciela; wreszcie, próbował on w początku szczęścia w Warszawie; próbował go i Załuski: „miałem dawniéj, powiada, ten projekt. Uprzedził mnie ks. Józef Jabłonowski, ale jego fundusz w Gdańsku, a mój w Warszawie.“ Istotnie, wojewoda w 1760 r. ofiarował „cztery numizmatów czyli medali“ za najlepsze rozprawy—ale szermierzy zabrakło; obojętném milczeniem zbyli miejscowi uczeni propozycye księcia; więc w pięć lat potém zakołatał do Gdańska; egzystowało tam towarzystwo badaczy natury, od 1720 roku (chociaż projekt jego utworzenia, podał Konrad, fizyk miejski o pół wieku wcześniéj). Książę heraldyk, może ulegając namowom Miclera, wysłał 90 czerwonych złotych, na wybicie trzech medali, które miały uwieńczyć rozprawy na temat historyczny —mianowicie o Lechu, nadto z matematyki i ekonomii. Wojewoda zostawił współubiegającym się swobodę co do języka, zawarował jedno—by objętość rozprawy nie była zbyt wielką, by ją w przeciągu godziny przeczytać było można; termin rozdania nagród 19 Marca 1768 roku. A jednak dopiéro po przybyciu księcia do Lipska, Szlosser wystąpił z dwoma opracowaniami o Lechu, za które professorowie miejscowego uniwersytetu, na dniu 25 Maja 1770 r. przyznali mu nagrodę. Uczony niemiecki, w jednéj z nich dowodził, że Lech, istotnie przybył do Polski między 550 a 560 r., w drugiéj zaś utrzymywał, że jest postacią zmyśloną. Książę Jabłonowski, jako szczególny Lecha i Czecha wielbiciel, stanął w ich obronie, w pracy wydrukowanéj w 1771 r., w ten sposób oryginalny, że cztery piątych książki, wypełniają dowody przez niego złożone (str. 238), a po nich dopiéro idzie rozprawa (stron. 68) uwieńczona nagrodą. Tu już sobie po polsku postąpił; *szołdry* na pierwszém miejscu, choć mu się z urzędu ten zaszczyt należał, nie wypadało drukować. Ostatnia ta praca księcia, ukazała się w powtórném wydaniu, w 1775 roku... był to już śpiew łabędzi, uosobiony w trzcionkach zszeregowanych na bibule drukarskiéj...

Życie chyliło się ku zachodowi — ferwor pisarski słabł z laty, dziwak chciał pisać dla Polski— a ta Polska daleko, dał więc pokój. W Lipsku jednak, został wiernym dawnym przyzwyczajeniom, trudno mu bowiem było nałamać się do nowego porządku. Więc etykieta przedewszystkiém: na wasalach wprawdzie zbywało, ale za to znaleźli się uczeni, tych przyjmowano w pewnych tylko dniach tygodnia i to w lektoryi, tuż obok biblioteki. Dwór zawsze liczny, ale oszczędność zaprowadzona wielka, pod tym względem, niemiecki obyczaj nie miał potrzeby brać góry nad polską hulaszczą rozrzutnością — książę żył zaw-

— Tak, cóż nas to obchodzi?—powtórzyła matka za ukochaną Bibcią.

— Chciałem tego... na pogrzeb prosić...

— Na pogrzeb się nie prosi, bo to nie wesele. Czyja wola to pójdzie... niepotrzebnie się pan fatygowałeś.

— Ale bo ja chciałem... miałem zamiar... to jest właściwie ośmieliłem się przyjść także prosić pani sędziny dobrodziejki dla mego malca na... niby na ten przykład, na matkę chrzestną.

— Co znowu?—spytała sędzina oburzona śmiałością podobnéj propozycyi—słyszysz Józiu?

— Przecież to religijna usługa — odważył się powiedzieć Tarchała — tego się obcym nie odmawia... a nie...—niedokończył, co chciał powiedzieć z obawy, by nie urazić ambicyi sędziego; niewiele mu to jednak pomogło. Sędzia nadąwszy się sporą porcyą powagi, począł sypać mu morały.

— Tak—mówił — nie odmawia, ale nie takim jak pan, który szkalujesz mnie tylko po mieście i kompromitujesz przed ludźmi. Nie tłumacz się, wiem ja o wszystkiém. A to, czy także nie twoja sprawka?—rzekł, wskazując na gromadę ludzi, stojącą przed oknami.

— Ja ich nie wołałem, sami przyszli.

— Nie sami, bo za tobą się tu przywlekli. Chciałeś pan tém niejako wywrzéć nacisk na mnie, przymusić mnie; ale to ci się nie uda, bo to zemną sprawa.

Gromadka ludzi za oknem poczęła się niecierpliwić, kilku śmielszych przyszło aż pod sam dom i przytuliwszy twarze do szyb, zaglądali ciekawie do wnętrza pokoju, inni śmieli się, wykrzykiwali, gwizdali, tworząc coś w rodzaju kociéj muzyki.

— O! słyszycie—mówił daléj sędzia, zwracając się do córek—z jaką muzyką przyszedł nas prosić. Czy ty wiesz, czém to pachnie? Osobę urzędową wystawiać na pośmiewisko? To kryminał, rozumiesz!

— Ależ panie sędzio.... ja nie miałem pomyślenia nawet.

— Co tam tatko będzie się wdawał w długie rozmowy z byle kim—odezwała się znowu Bibcia, zasobna w dobre rady, jak Minerwa.

— Słusznie, szkoda czasu. Nie mam z panem nic do gadania i kwita. Ergebenster Diener.

A gdy Tarchała chciał jeszcze coś mówić na swoje usprawiedliwienie, sędzia odwrócił się od niego, a Bibcia z rozgrymaszoną miną wielkiéj damy odezwała się:

— Ależ proszę nas uwolnić od siebie.

Tarchała wyszedł, ani wiedział kiedy.—W głowie mu szumiało, w oczach się ćmiło i paliło coś. On taki wymowny „pod bombą“, tu zapomniał całkiem języka w gębie. Dopiero kiedy znalazł się za drzwiami, odzyskał odwagę; zacisnął zęby, że mu aż kości szczękowe przez skórę się przebijały i zaklął na cały głos. Zły i rozgoryczony wyszedł na ulicę, ale więcéj go jeszcze rozgniewała ciekawość ludzi, którzy podbiegając do niego, dopytywali się chciwie, co sędzia powiedział, jak go przyjął. W pytaniach tych widział, jakby natrząsanie się z siebie, wściekły był, że miał tylu świadków swego upokorzenia—to téż odprawił ich nie bardzo grzecznie, odsełając do wszystkich dyabłów i obiecując kamieniem rozbić łeb tym, co będą włóczyć się za nim i nie dadzą mu spokoju. — Głośny śmiech był odpowiedzią na te groźby.

— He, he, musieli mu tam dogodzić, kiedy się na nas mści teraz—wołano za nim.

Tarchała uciekał przed tym szyderczym śmiechem, co jak tępy nóż rzezał mu serce.

Wpadł do apteki.

Aptekarz jeszcze krócéj się z nim załatwił, niż sędzia, bo poprostu nie przyjął go. Kazał chłopcu w sklepie powiedzieć, że chory, że nikogo widzieć nie chce, a na odczepne zostawił mu dwa guldeny.

Tarchała zgniótł papierki w ręce i wyleciał cały drżący z żalu i wściekłości. W pędzie lecąc na oślep, potknął się o blacharza, idącego powoli środkiem rynku.

— Przez Boga, co robicie?—zawołał staruszek, łapiąc równowagę, którą stracił był przez to uderzenie; a przyjrzawszy się uważniéj twarzy Tarchały wzburzonéj, nabiegłym krwią oczom, zapytał przestraszony:

— Co wam takiego? Byliście podobno u krewnych. I cóż?

— Niech ich choroba... takich krewnych — zamruczał gniewnie. — O! na co się to zdobyli — rzekł z szyderczym uśmiechem, pokazując dwa pomięte reńskowe papierki. — Żeby ich pioruny z taką łaską.

— I cóż zrobicie?

— A czy ja wiem? Chyba utopić się, powiesić. Los, niech go piorun trzaśnie! — Machnął ręką i nie oglądając się na blacharza, poszedł w uliczkę ku kościołowi. Zobaczył zdala wieko od trumny oparte o drzwi sklepiku, a przed niém gromadkę dzieci. Widok ten rozmiękczył go, serce zcierpnięte, zmrożone złém obejściem krewnych roztajało, uczuł wilgoć w oczach. Zrobiło mu się żal za Teklusią. Nie spojrzy już na niego temi swojemi poczciwemi ślépiętami, nie przemówi do niego. Ta myśl dławiła go w gardle. Otarł rękawem oczy i wszedł do sklepiku.

(D. c. n.)

BOHDAN ZALESKI.

SZKIC LITERACKI,

skreślony przez **Józefa Tretiaka**.

(Dokończenie).

Tak wykarmione dziecię, które jest jeszcze niewcielonym duchem, śle matka Ukraina w świat „na igrzysko zamieci“, z któréj wola Najwyższego powołuje go przed swój tron, aby ztamtąd zesłać „tę iskierkę“ tego ducha do otchłani, na ziemię, gdzie wcielony ma odbyć czas próby. Odtąd poczyna się autobiografia wcielonego ducha poety, tkana również z mgieł i promieni, a doprowadzona aż do chwili, w któréj objawia się poecie mityczny Bojan, słowiański gęślarz złoto-struny, i namaszcza go niejako na wyśpiewanie dziejów świata.

We wszystkich fantazyach Ukraina jest tłem tylko, i to tłem zamgloném idealnych obrazów, uzmysławiających różne stany wewnętrzne, różne uczucia i wrażenia poety. W dumkach występuje przeważnie jako raj utracony, ku któremu tęskni dusza poety, i przyobleka się w najżywsze barwy. Jeden i ten sam ton tęsknoty powtarza się do nieskończoności, a zawsze szczery i prawdziwy i zawsze poeta potrafi jakimś nowym osłonić go urokiem. Najdoskonalszym, najpełniejszym wyrazem téj tęsknoty jest dumka: *U nas inaczéj*, tak dobrze wszystkim znana, a tak zrosła z melodyą, że niepodobna jéj deklamować, lecz koniecznie śpiewać potrzeba.

W dumkach odróżnić można kilka odcieni: czasami poeta wciela się w postać idealnego kozaka i niejako z konia dumkę swoję na wiatr puszcza, czasami parafrazuje tylko, z zachowaniem prawie wszędzie doskonałéj prostoty, ludową pieśń ukraińską; najczęściéj przemawia od siebie, jako gęślarz ukraiński, zapatrzony zdaleka w swój step rodzinny. Wszystkie dumki późniejszéj doby, po większéj części okolicznościowe, należą do tego trzeciego odcienia. Barwy w nich mniéj może żywe, mniéj lotności, tęsknota smutniejsza, ale wdzięk nieraz nieopisany.

W szumkach i wiośniankach igra wesołość, jak wiosenny strumień, śmiejący się do słońca. Znane są dobrze wszystkim i powszechnie wielbione *Rojenia wiośniane przy krosienkach*, a przecież daleko ładniejsze są od nich takie szumki, czy wiośnianki, jak *Po rosie*, albo *Ladaco*. Niewiadomo, co tu więcéj podziwiać, czy idealną prostotę wyrażenia, czy wdzięk naiwny, w którym ani odrobiny nie ma sztuczności, czy owo bogactwo języka, którém jaśnieją wszystkie utwory Bohdana, a ze wszystkich najbardziéj wiośnianki, dumki i fantazye. Polszczyzna Bohdana jest jakaś szczególna, gdzieindziéj niewidziana, ani słyszana;.... i świeci szczerém złotem. Słowo przestaje być symbolem, abstrakcyą, a staje się żywém wcieleniem wrażenia. Oto dziewczyna tańczy rano po rosie, bo jéj matka powiedziała, że tym sposobem może się stać jeszcze piękniejszą.

Słuchając śpiewu dziewczyny, nietylko widzimy jéj taniec i bujną trawę osypaną kroplami rosy, ale słyszymy nawet chrzęst trawy, smagającéj bose nogi dziewczyny.

Roso moja, biała roso,
Posrebrzana bujna trawo,
Na urodęż hasam boso,
Za mną czyżyk drobi żwawo.

A oto znowu dumka, w któréj matka Ukraina mówi dzieciom o swoim ptaszku, co od niéj odleciał. Widzimy lot i miganie skrzydeł tego ptaszka w powietrzu, słyszymy szczebiot i smutne kwilenie jego.

Tędy, tędy leciał ptaszek,
Och, świecący, kraśnopióry,
Stąd od gniazdka śród igraszek,
Wiał się—wiał—i wiał do góry.

Było wtedy jasne rano,
Gaj pobrzmiewał nam w rozgłosie;
Ptaszek słodko, tak wiośniano,
Puścił pierwszą pieśń po rosie.

Och pieściwyż to szczebiotek!
W łzawéj pieśni mego syna,
W strumieniących blasku wrotek
Zwierciedliłam, Ukraina.

Tędy, tędy leciał ptaszek.
Napowietrzny, kraśny nurek.
Chyżo bujał śród igraszek
Zronił, zronił kilka piórek.

Krótko śpiewał w swojéj wiośnie,
Na mogiłach po cichutku,
Jako gil mi coś żałośnie
Poświstywał w niemym smutku.

I wybłysnął w obszar siny:
Tędy, tędy leciał ptaszek! i t. d.

W dumach historycznych występuje przeszłość Ukrainy. Tę przeszłość opiewali, jak wiadomo, oprócz Bohdana dwaj polscy poeci: Malczewski, Goszczyński, i ruski wieszcz Ukrainy Szewczen-

ko. I każdy spoglądał na nią inaczéj, wybierał z niéj to, co przypadało do jego usposobienia. Malczewski wybrał szlachecko-pańską przeszłość Ukrainy i powlókł swoje obrazy posępnym, bajronicznym kolorytem. Wprawdzie tragiczna walka domowa usunięta z tych obrazów, wprawdzie oręż polski zwycięzko połyskuje nad karkami pierzchających Tatarów, ale ten blask złowrogo świeci przy czarnych zbrodniach, jakie się lęgną w gnieździe zwycięzców. A jak przeszłość, tak i natura, i step ukraiński odmalowany posępnemi barwami.

Goszczyński wybrał z przeszłości Ukrainy to, co w niéj było najbardziéj tragicznego; bratobójczą walkę dwóch plemion, dwóch stanów na Ukrainie. Przeszłość Ukrainy występuje w *Zamku Kaniowskim* w daleko groźniejszych i dzikszych obrazach, niż w *Maryi*; jęk mordu, szum i trzask pożaru przerażającym słupem bije w niebo łuną oświecone, a przecież — rzecz dziwna— niemal swobodniéj się oddycha w *Zamku Kaniowskim*, niż w *Maryi*. Wyziewy, niewidzialne dla oka, a gromadzące się w ciszy przed burzą, czynią atmosferę w *Maryi* Malczewskiego tak duszną; w poemacie Goszczyńskiego wyziewy te już ryczą w gromach i biją piorunami. Goszczyński przytém nie powlekał obrazów swoich lirycznym kolorytem: podniósł się on do wysokości tragicznéj i ztamtąd przedmiotowo kreślił obraz walki.

O Szewczence sam Zaleski tak śpiewa:

Tarasie, współpiewco mój kozaczy!
Twój żywot był krótki, wielce twardy,
Z trujziela nassałeś się rozpaczy,
Używszy sieroctwa, ludzkiéj wzgardy.

Bohdan ze wspomnień Ukrainy słodycz tylko wyssał i miłością swoją oba plemiona zarówno obdzielił. Bo też natura jego harmonijna ze wszystkiego tylko słodycz ssać umiała, a nieprzystępną była dla tragicznych dyssonansów, których w swéj przedmiotowości rozwiązać nie mogła. Potrzebował on ciągłéj, skończonéj harmonii, jak ptak powietrza, a ryba wody. Żaden z naszych poetów romantycznych, z wyjątkiem chyba Brodzińskiego, nie był tak dalekim od bajronizmu, jak Bohdan. Ztąd to w jego wierze panował i panuje taki niezachwiany, błogi, anielski niemal spokój. Wiara jego, to czysta kopuła letniego błękitu, oblana potokami słońca i ozdobiona złoconemi obłokami, niby chórami modlących się aniołów. Miłość i tęsknota, to prawdziwie dwie prządki jego żywota i jego poezyi, a jak miłość nigdy nie wybucha żrącą lawą, tak tęsknota nigdy nie przybiera barw ponurych, zawsze jest słodką i łagodną.

Zarzucano Bohdanowi, że idealizował swoich kozaków tak, iż są niepodobni do tych, jacy byli w rzeczywistości. Bez wątpienia przedstawiał on ich bardziéj idealnymi, niż byli w istocie i niż ich przedstawia ludowa duma ruska, ale idealizacya ta nie zacierała głównych rysów kozactwa, naturalnie kozactwa pierwotnego, i w niektórych utworach nie przeszkadzała wcale duchowi kozaczemu objawić się w całéj pełni i sile. Dość przypomnieć sobie jego *Czajki*, utwór świetny pod względem formy, który od początku do końca jest jakby jednym grzmiącym okrzykiem awanturniczego rycerstwa kozackiego.

Powiedziałem, że ludowa duma historyczna realniéj przedstawia kozaków, niż duma Bohdana. Otóż różnica ta wypływa z charakteru jednéj i drugiéj dumy. W pierwszéj ludowéj, charakter epiczny, charakter skazki przeważa nad lirycznym: sam wypadek opiewany, jego szczegóły więcéj interesują piewcę, niż uczucia bohaterów, i trzymają uwagę jego na uwięzi. Dumy historyczne Bohdana są nawskróś liryczne. Jedna tylko duma, nazwana przez poetę *Wyjątkiem z rapsodu rycerskiego* wolną jest od pochłaniającéj przewagi liryzmu i pod tym względem zbliża się bardzo do dumy ludowéj. Jest to *Janusz Bieniawski*, utwór napisany jeszcze w 1822 r., w dwa lata po rozstaniu się Bohdana z Ukrainą, kiedy ludowa dumu ukraińska tak żywém echem tętniła mu jeszcze w uchu, że niektóre strofy mógł niemal żywcem zgarnąć z niéj do swego poematu. W innych, późniejszych, wypadek jakiś historyczny, czy z tradycyi ludowéj wzięty, służy tylko poecie za punkt wyjścia dla wylewów lirycznych. Ukochawszy jakąś postać, przejąwszy się jéj położeniem, wlewa on w nią swoje uczucia. Uczucia te, jak wiemy, są zawsze harmonijne, czasem junackie, najczęściéj tęskne, pogodnie smętne. Dlatego też Bohdan z danego wypadku, z życia danéj postaci historycznéj wybiera taką sytuacyą, któraby szła w zgodzie z temi uczuciami i otwierała przed niemi jak najszersze pole.

Najlepiéj się to da zrozumiéć na przykładzie. Oto jest historya dowódcy Zaporozkiego Iwana Podkowy. Ten Podkowa wydawał się, czy też był w istocie, bratem przyrodnim hospodara mołdawskiego Iwoni, któremu kozacy pod Swierczowskim dzielnie pomagali w walce z Turkami, ale ocalić go nie mogli. Podkowa również przy pomocy kozaków postanowił upomniéć się o swoje prawdziwe, czy mniemane prawa, napadł na Mołdawią, wygnał wojewodę Petryłę i zasiadł na tronie mołdawskim. Ale niedługo się nim cieszył bo Stefan Batory nie chcąc zrywać z Turkami, wystąpił przeciwko niemu i Podkowa głową musiał przypłacić swoję awanturniczą wyprawę. Jakiż moment z téj historyi wybrał sobie poeta dla swéj dumy?

W kronice Bielskiego znalazł obszerny ustęp o kozakach, którzy pomagali Iwoni pod Swierczowskim, a których bohaterskość i wierność dla nieszczęśliwego wojewody kronikarz odmalował w tak żywych barwach, że Bohdan nigdy nie mógł czytać tego ustępu bez najwyższego wzruszenia. Ukochawszy tych kozaków, poeta wyobraził sobie, że Podkowa był nie już bratem przyrodnim, ale synem Iwoni, że ci kozacy uprowadzili go niemowlęciem z pogromu i wychowywali pośród siebie, aby mu kiedyś pomódz do odzyskania Mołdawii. Dlatego to biorąc za bohatera dla swéj dumy Podkowę, wybrał z jego historyi nie tragiczny koniec jego życia, nawet nie jego zwycięzką wyprawę do Mołdawii, ale to, co odpowiadało najbardziéj łagodnym uczuciom Bohdana, a mianowicie chwile niemowlęctwa, kiedy starzy kozacy kołysząc na kolanach małego Iwonię, śpiewają mu piosnki, pełne żołnierskiéj czułości i żalu nad losem dziecięcia. Tym sposobem utworzyła się prześliczna duma p. t. *Luli niemowlęciu Iwoni*.

Luli synu wojewody!
Tyleż dzisiaj twego, tyle!
Dzień-no po dniu w zdrowiu, w sile,
Ze snu rośnij kniaziu młody!
Wzięlić macierz, ojca skłuli!
Luli dziecko nasze luli!

Na stolicy, na Soczawie,
Hukał dziecku lud na zdrowie;
W głowy słali bojarowie
Pióra strusie, pióra pawie;
Nad kołyską dwór matczyny
W pieśń zawodził dla dzieciny.
Na kulbace dziś—kołyska;
Dworzec—dymna w stepie chata;
W głowy—burka oj! kosmata!
I ot stare kozaczyska
Niańczym jemu—i brodacze
Do snu piejem, aż step płacze!

Pokrewne uczucia znajdujemy w *Lachu Serdecznym*, gdzie z historyi Przecława Lanckorońskiego wybrana pośmiertna chwila, kiedy cała Ukraina płaczem zawodzi za odwożoném do Lanckorony ciałem bohatera; pokrewne w *Księżnéj Hance*, w *Mogile Sawor* i w innych dumach.

Ta potężna przewaga żywiołu lirycznego w duszy Bohdana nad przedmiotowością, była przyczyną, że nie mógł on stworzyć nic epickiego; pierwiastek epicki wiecznie się roztapiał w liryzmie. Dlatego to dumy jego o zakroju epickim, jak *Damian Wiśniowiecki*, *Księżna Hanka*, nie zostały dokończone, dlatego to zapewne nie ogłosił Bohdan drukiem swoich większych poematów, jak ten, o którym sam pisze do Adama, że ma być większych rozmiarów, niż *Pan Tadeusz*, lub jak *Potrzeba Zbarazka*, o któréj Witwicki wspomina w listach swoich do Mickiewicza, a o któréj Mickiewicz pisze do Bohdana: „Podobno twój ostatni poemat jest ten, gdzie wprowadzasz kozaka. opowiadającego wojnę zbarazką? Czy to ten? Myśl bardzo szczęśliwa, bo ci da ramy i ograniczy twoje obrazy i zatamuje wybryki liryczne, które twoje opowiadania zawsze rwą.“ Wyjątek stanowi *Przenajświętsza Rodzina*, prześliczna opowieść biblijna, w któréj się epicki pierwiastek nie rozpłynął w liryzmie, a to jak się zdaje dzięki temu, że cześć religijna, jaką miał poeta dla świętych osób powieści, nie pozwalała mu wcielać się w te postaci i była tamą dla wylewów lirycznych.

Ale jeżeli silna uczuciowość była taką przeszkodą dla Bohdana w zakresie twórczości epickiéj, to za to w dumach, dumkach i fantazyach czyni go ona piewcą nad piewcami. Żadne słowo nie wychodzi mu na usta, nie przeszedłszy przez serce. Każde słowo jego padając, dźwięczy tak szczerozłotym dźwiękiem uczucia, jak u żadnego z naszych liryków. Ta szczerozłotość uczucia w poezyi, druga szczerozłotość jego słowa, ten tęskny, czysto słowiański pogląd na świat, ta miłość rodzinnéj ziemi, tląca wiecznie w jego sercu, niby lampa przed cudownym obrazem, ta równie niczém nieprzygaszona chęć zbratania powaśnionych plemion słowiańskich, wreszcie ta wiara jego tak harmonijna, tak słodka, tak pogodna—wszystko to czyni z Bohdana jakąś wyjątkową, legendową niemal postać w naszéj poezyi, czyni to zeń prawdziwego Bojana. A jeśli uprzytomnimy sobie, że już odbiegli go dawno wszyscy towarzysze, z którymi on śpiewał za młodu, że prawie sam jeden pozostał z téj świetnéj, kwiecistéj wiosny naszéj poezyi, to wyda się nam on w istocie starym gęślarzem ukraińskim, stojącym na mogile i zapatrzonym w zachód słońca, co niegdyś oświecało dzień jego młodości. Nam dzieciom i wnukom jego poezyi ileż miłości i czci zbiera się w sercu na widok téj sędziwéj, szlachetnéj i miłościwéj postaci, po któréj taki skarb uczucia i słowa dziedziczymy!

Z WYCIECZKI NA UKRAINĘ

Wer den Dichter will verstehen, Muss in Dichters Lande gehen, stary, tysiąc razy powtórzony dwuwiersz Goethego, pomimo swego oklepania nie stracił nic na zawartej w sobie prawdzie, a jeżeli do każdego poety zastosować go można, to chyba do nikogo lepiej, jak do Bohdana Zaleskiego. Skoro niemal cała jego poezya jest jednem westchnieniem za Ukrainą, jednem marzeniem o niej, jednym hymnem na jej cześć, to czyż można dobrze zrozumieć tę poezyę, nie poznawszy własnemi oczami tej kolebki dzieciństwa i młodości autora *Rusałek?*

Taką miałem pobudkę, wybierając się w czerwcu roku bieżącego na Ukrainę. Widziałem ją wprawdzie kiedyś, ale było to bardzo dawno i w przelocie, i w czasach, kiedy się nie myślało o poezyi i jej stosunku do rodzinnej ziemi poety, i w porze roku, która nie uwydatnia wszystkich wdzięków stepowej przyrody. Teraz jechałem z jedyną myślą szukania w rzeczywistości śladów tego, co się odźwierciedliło i barwami tęczy zapłonęło w poezyi; i jechałem w miesiącu, który obiecywał pogodę (a dotrzymał obietnicy o wiele rzetelniej, niż tego pragnęli gospodarze ukraińscy), w miesiącu, w którym stepowa krasawica wdziewa na siebie najpiękniejszy strój roślinny, opasuje skronie swoje najbarwniejszemi wstęgami wschodów i zachodów słońca.

I.

W pogodny wieczór czerwcowy dojeżdżałem do granicy rosyjskiej w Wołoczyskach. Taki przejazd przez granicę ma swoją osobną sferę wrażeń, o sile większej lub mniejszej, zależnie od tego, jakie państwa i społeczeństwa oddziela granica. Stacya graniczna to jakby drzwi do nowego świata politycznego i kulturalnego, drzwi, za których otwarciem główne rysy typowe owego świata odrazu się ukazują. Jeżeli różnica między graniczącemi kulturami i ustrojami politycznemi niezbyt wielka, to typowe rysy nowego świata, do którego nagle wchodzimy, mniej nas, naturalnie, uderzają; tak jest, np. przy przejeździe z Austryi do Niemiec lub Szwajcaryi; ale gdy dostajemy się do państwa, gdzie, według dowcipnego określenia, człowiek składa się nie tak, jak wszędzie indziej, z duszy i ciała tylko, ale z duszy, ciała i paszportu, i gdzie ta trzecia część składowa człowieka uznana jest za nierównie potrzebniejszą do używania praw człowieczeństwa od dwu pierwszych, wtedy typowe rysy nowego świata, którego próg przekraczamy, daleko silniejsze sprawiają wrażenie na przybyszu.

Ale czy te wrażenia zostają w jakimś ściślejszym związku z głównym celem mojej wycieczki? W takim tylko, że Ukraina, do której dążę, wydaje mi się krajem jeszcze dalej leżącym, niż w istocie, gdzieś za siedmiu górami i dziewięciu rzekami, krajem, do którego ażeby się dostać, trzeba pokonywać różne przeszkody i walczyć z różnymi smokami. Żeby w niczem nie ubliżać prawdzie, potrzeba dodać, że smoki graniczne — naturalnie mówię o jednej komorze granicznej i o jednym dniu w roku — przedstawiają się oczom moim dość łagodnie, a nawet uprzejmie, w porównaniu z tradycyjną swoją srogością. Wszystko odbywa się prędko i łatwo, a nawet *gratis* zostaję ostrzeżony, że zegarek mój, jeżeli tylko dobrze idzie, za przekroczeniem granicy musiał się spóźnić o całą godzinę.

Gdyby do smoków zaliczyć i konduktorów kolejowych, to ten gatunek spełnia rolę wprost dobroczynną, szczególnie w porównaniu z konduktorami francuskimi, którym ani przez myśl nie przejdzie zatroszczyć się o podróżnego i przekonać się, czy nie jedzie on w kierunku odmiennym od zamierzonego. Tutaj, kiedy noc nadchodzi, mogę spać spokojnie: jestem zanumerowany, zaproszony do spania, niemal zapieczętowany w wagonie i wiem, że opieka smoków kolejowych, przesuwających się nieustannie korytarzami, nie pozwoli mi jechać dalej, niż zamierzyłem. Nie wiem, czy tak jest wszędzie w państwie, w którem się człowiek składa z ciała, duszy i paszportu, ale tak było na kolei, którą jechałem. *Suum cuique.*

Noc niezgorzej przespana, biały dzień zagląda do okien wagonu, wysiadam w Fastowie, skąd mam zwrócić się w stronę Białej Cerkwi. Jestem już na Ukrainie, ale jeszcze nie Bohdanowej, jeszcze nie tej, którą oświetla promienisty krąg jego wspomnień. W Fastowie na dworcu mam przesiedzieć ze trzy godziny, czy więcej, czekając na pociąg do Białej Cerkwi, mam czas wypić kawę z bułeczką, która rozmiarami swemi zbliżonemi do bochenka chleba, świadczy o bujności gleby, wielbionej niegdyś przez Trembeckiego, a jak widać, do dzisiaj jeszcze nie wyczerpanej i wprawia mię w podziw; mam czas zauważyć, że mowa polska jest monetą w obiegu dość zwyczajną i wreszcie przypatrzeć się sali restauracyjnej, której głównem zadaniem jest, jak wogóle wszystkich dworców na głównych kolejach rosyjskich: przejezdnych cudzoziemców, którzyby mieli jakiekolwiek powątpiewania, przekonywać, że Rosya leży w Europie.

Już jestem nawpół przekonany, kiedy się drzwi otwierają, ktoś wchodzi i idzie ku mnie z powitaniem. Ponieważ nikogo ze znajomych nie spodziewałem się tu znaleźć, więc jestem zdziwiony, ale patrzę: to pan L., serdeczny, zacny pan L., młody Ukrainiec z rodu i wychowania, który podjął się być moim przewodnikiem po Ukrainie i miał na mnie czekać w Białej Cerkwi, ale wolał wyprzedzić ten termin i wyjechać naprzeciwko mnie koleją aż do Fastowa. Witam go z radością i niebawem jedziemy obaj razem koleją do Białocerkwi.

Jazda ta nie trwa długo, ale wygodną nie jest. Ścisk tak wielki, że o siedzeniu niema mowy. Wagony jakieś tu inne i publiczność inna; coś półazyatyckiego jest w koczowniczym nieładzie panującym w wagonach. Dowiaduję się, że ta kolej w dalszem przedłużeniu swojem prowadzi do Rostowa nad Donem i na Kaukaz, więc ten potok ludzki, który przepływa przez Ukrainę, ma daleko osadzić różnorodne żywioły, które [illegible] z sobą, a które z Ukrainą, do jakiej dążę, nie mają prawie nic wspólnego. To też z przyjemnością opuszczam pociąg w Białocerkwi, aby stąd już końmi puścić się w dalszą drogę i oko w oko spotkać się ze stepową przyrodą ukraińską.

Mamy jechać naprzód do Lubczy, sąsiadującej z Bohatyrką, miejscem urodzenia Bohdana Zaleskiego. Obie nazwy brzmią mile, ale o pierwszej z tych wsi dotychczas nic nie słyszałem. Teraz dowiaduję się, że mieszkają tam dobrzy znajomi, więcej nawet, przyjaciele mojego przewodnika i że uprzedzeni przez niego o mojej podróży i jej celu, zapraszają mnie wraz z nim do siebie, ażeby mi ułatwić spełnienie moich zadań. Uczuwam wdzięczność dla nich, zanim ich jeszcze poznałem, i cieszę się, że poznam żywioł ziemiański, dzisiejszy, tych okolic, które przed stu laty wydały naszego polsko-ukraińskiego poetę. I pytam siebie w duszy: Czy znajdzie się, jaki węzeł tajemniczy między tym żywiołem a poezyą Bohdana?

Wychodzimy na ganek dojazdowy na dworcu białocerkiewskim, p. L. zaprasza mię do pojazdu sześciokonnego, który czeka przed gankiem, a na którego kożle piętrzy się dorodna postać z kozacka ubranego woźnicy. Skąd te konie? i po co ich tyle? Czyżby mój podróżny kuferek był tak ciężki, że aż sześciu koni potrzeba na jego przewiezienie? Nie, mój kuferek jest tak lekki, że ja sam bym od biedy mógł go, wziąwszy na plecy, przenieść kawał drogi. Ale gościnność ukraińska ma swoje prawa i zwyczaje, nieznane w innych stronach. „U nas inaczej, inaczej, inaczej!“ Gdzie kogo zapraszają, tam posyłają po niego o kilka mil konie i posyłają ich tyle, ażeby „rozigrawszy myśli, mógł użyć swobody — i z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody“ Jeżeli tej poetycznej gościnności w lot nie odgadłem, to bardzo prędko przeniknąłem ją na wskroś, poznawszy gospodarzy z Lubczy.

Nim się spotkam z wiatrem ukraińskim, chciałbym odwiedzić dawnego znajomego, który tu osiadł, w Białocerkwi, a którego ostatni raz widziałem — coś trochę więcej jak czterdzieści lat temu. Zastaję go w miłem, zacienionem ustroniu i godzina mija jak minuta na tysiącznem krzyżowaniu się pytań, odpowiedzi, wspomnień. Przeszłość i teraźniejszość tak się mieszają z sobą, pierwsza występuje w tak żywych barwach wobec drugiej, że właściwie nie wiem, co jest bliższe, co dalsze, co żywe, co umarłe. Dla przedłużenia tej rozmowy chcemy zabrać z sobą interlokutora. Ale on ma ważne powody, dla których musi nam odmówić tej przyjemności, więc siadamy sami znów do powozu i ruszamy w drogę.

II.

Z początku jedziemy jeszcze miastem, z którem się wiąże tyle tradycyi historycznych. Ale o tych tradycyach, nic nie mówi do oczu; natomiast, zdaje mi się, że szerokość ulic, po których przejeżdzamy, a nad któremi nie domy piętrzą się, ale tumany kurzu, świadczy już o bliskości stepu. Wreszcie wyjeżdżamy na równe pole: szeroki horyzont roztacza się dokoła, konie parskają wiatr poczuwszy i z lekka zachęcone przez woźnicę puszczają się raźnym kłusem przed siebie. A z pod kół i z pod dwudziestu czterech kopyt końskich podnoszą się obłoki kurzu, które wiatr porywa na swoje skrzydła i igra niemi, to rozpędzając je po polach, to obsypując niemi podróżnych, stosownie do tego, jak się droga obraca.

Odtąd wiatr i kurz, to moi stali, nierozłączni, niestrudzeni, nieodstępni towarzysze przez całą drogę. Kurz, złocąc się w słońcu, tworzy jakby obłoczną kawalkadę nad naszą szóstką rumaków, a ta kawalkada, rozpływając się, osiada na naszych płaszczach, kapeluszach i twarzach, kiedy tymczasem nowe obłoki podnoszą się z ziemi. Z początku chciałoby się uwolnić od tego nieproszonego towarzysza, potem uznaje się go za piąty żywioł stepowej przyrody, tak samo uprawniony, jak ziemia, woda, ogień, powietrze, w końcu odkrywa się utajoną wnim poezyę: to ziemia pod złocistymi pocałunkami dalekiego słońca, wyciąga ku niemu ramiona, ażeby pochwycić i przyciągnąć ku sobie jego płomienistą głowę.

Drugi towarzysz, niewidzialny, to wiatr, który stale, ciągle, z równem natężeniem przewiewa ze wschodu, podnieca nerwy i coś zdaje się ciągle szeptać do ucha. Nie, ten wiatr ukraiński to nie jest wymysł poetów, to nie jest taki sam wiatr, jaki gdzieindziej wieje, on ma swoją własną duszę, swój osobny charakter. Odczuć to łatwo, określić trudno. Ten jeździec powietrzny, który zdaje się raczej płynąć, niż pędzić, ma w piersi swojej szerokość stepu i jakąś rzeźwość rycerską, zażegającą krew do ruchu, przygód i walki. Któż wie, jaką ten niewidzialny rycerz odegrał rolę w tysiącznych bojach, jakie się po tych polach przetoczyły?

Zapytuję mojego towarzysza, czy to już step jest, to co nas otacza, czy dopiero przedstepie? i otrzymuję odpowiedź, że prawdziwego stepu, jaki się w poezyi odźwierciedlił, stepu, gdzie „bujno rośnie, odludnie kwiat stepowy ginie“, trudno dziś znaleźć, czyto na bliższej czy dalszej Ukrainie. Tam gdzie mieczem tylko orano, gdzie koń z jeźdźcem tonął w dzikich trawach, wszędzie tam dzisiaj pług pokrajał ziemię, a rolnik „pomalował zbożem rozmaitem“, nie zostawiając miejsca dla kwiatów, eo odludnie kwitną i giną. A nie tylko step dawny inaczej się przystroił, ale i jedyne jego pomniki, jedyne świadki jego rycerskiej przeszłości — mogiły stepowe — uległy pod działaniem pługa przemianie, zniżyły się, zdają się rozpływać powoli. Pług i ich nie oszczędził, wlazł im na karki, porył im grzbiety i one także już szumią nie trawą, lecz zbożowym kłosem.

Czy wszystkie uległy temu losowi? Zapewne są takie, które dzięki swojej strukturze oparły się jeszcze najazdowi pługa, ale czy to, co się dziś nie stało, nie stanie się jutro? Odwieczny antagonizm, jaki się rozgrywał na tych stepach, między życiem osiadłem a koczowniczem, między fantazyą kozacką a spokojnem życiem rolnika, między mieczem a plugiem, antagonizm, który się tak pięknie wyraził w Dumie o Iwasiu Konowczence, do niedawna, a może i dziś jeszcze śpiewanej między ludem, został stanowczo rozstrzygnięty na korzyść pługa. — Tak być musiało, step przybrał odmienną szatę; tem większe historyczne znaczenie tej poezyi polsko-ukraińskiej, która nam jego dawniejszy obraz i dawniejsze jego życie rycerskie przechowała.

Ale bądźmy dobrej myśli, step chociaż się przestroił, to jednak nie zginął, nie zniknął. Tak samo, jak przed wiekami, biegną jego nieskończone obszary w dal siną, ażeby zlać się z krawędzią nieba, tak samo, jak wtedy, przelatuje przez nie szerokoskrzydły ów goniec powietrzny i niesie jakieś wieści podniecające z dalekich światów; tak samo słońce stepowe świeci i przypieka i gorącemi pocałunkami obsypuje ziemię. Nie, co jest wiecznego w poezyi stepu, wpływ natury na człowieka, to żyje i nigdy nie umrze. Jak przed wiekami, tak i teraz przyroda stepowa podaje człowiekowi upajającą czarę swojej poezyi.

Józef Tretiak.

Z WYCIECZKI NA UKRAINĘ.

III.

Oto już Lubcza, przez gałęzie klombu przegląda dwór lubczański, przed którego ganek zajeżdżamy od stóp do głów pokryci grubą warstwą kurzu. Pierwsza rzecz naturalnie otrząsnąć się, umyć się, przebrać. Gospodarz po serdecznem uściśnieniu dłoni wskazuje nam pokoje gościnne dla nas przeznaczone. Dwór nie stary, ale swojskiej struktury, pokoje miłe, zaciszne, jakaś swojka uprzejmość patrzy ze ścian, okien i mebli. Do okien zaglądają gałęzie młodych drzew i krzewów ogrodowych, jak gdyby ciekawe nowego gościa, jak gdyby witając i uśmiechając się do niego. Jeszcze nie poznałem towarzystwa domowego, a już jest mi tak dobrze, jak gdybym był u siebie.

Poznanie następuje zaraz przy obiedzie, umyślnie dla nas tylko zastawionym, bo to już godzina późna. Młody gospodarz przedstawia mię młodej swojej żonie i oboje zapraszają nas do stołu. Kiedyśmy pierwszy głód zaspokoili, zjawia się kolejno reszta towarzystwa domowego przy stole. Poznaję matkę młodej pani i młodą jej przyjaciółkę, pannę z dalszej Ukrainy, która przybyła ją na jakiś czas odwiedzić, i młodego krewnego pana domu, technika z Petersburga, który przyjechał tu na wakacye, i kogoś jeszcze starszego, który wygląda, jak gdyby należał do rodziny. Od razu można poznać, że towarzystwo dzieli się na rozmownych i milczących z natury, ale i ci, czy to krótkiem słowem, czy milczącą uwagą swoją, przyczyniają się do ożywienia rozmowy, która łatwo zapala się, podnosi się do kwestyi ogólnych, ogarnia politykę i poezyę, aby spaść z obłoków na jakiś drobny szczegół i wywołać huczną wesołość.

Po obiedzie wypraszam się od odpoczynku, który jakoby mi się należał po nocnej i dziennej podróży i udajemy się — znaczna część towarzystwa — na przechadzkę. Idziemy ścieżkami polnemi, omijając gościńce, pełne kurzu, rozpatruję się w dalekich horyzontach, pokazują mi w oddali mogiły stepowe, które pod wpływem pługa już tracą wyrazistość swoich konturów, otrzymuję informacye o ludzie miejscowym, o jego wyobrażeniach, usposobieniu, o tem jak łatwo, szczególnie w męskiej połowie, pozbywa się swego dawnego, malowniczego stroju, ażeby go zamienić na tanie a liche fabrykaty o kroju kosmopolitycznym, jak wreszcie, co jeszcze smutniejsza, i melodya ludowa, pod wpływem szkoły i wojska, zaczyna się przestrajać na ton obcy.

Przechodzimy niedaleko pola, na którem sto (równo sto) najętych dziewcząt piele buraki i kończy swoją robotę, bo już zachód słońca. Gościnność gospodarzy chciałaby mi dać sposobność posłyszenia ich śpiewu. Użyty do pośrednictwa młody technik wywiązuje się pomyślnie z dyplomatycznej misyi: podnosi się śpiew choralny, smutny i przeciągły. Dziewczęta o ostrych rysach, smagłe, czarnookie, słońcem przepalone, wiatrem uwędzone, już wracają z pola, a końcowa nuta pieśni, którą wtedy śpiewają, przedłużona bez końca, niby jakaś wstęga powietrzna, żałobnie przeciąga za niemi. Dowiadujemy się od nich potem, że to pieśń weselna.

We wszystkiem, co słyszę od moich gospodarzy o ludzie miejscowym, brzmi nuta szczerej sympatyi dla tego ludu. Nie, węzeł uczuciowy, wiążący dwór ze wsią, pomimo tysiącznych podmuchów z różnych stron, przeciwnych tej harmonii, nie jest ostatecznie zerwany na Ukrainie; nie jest zerwany przynajmniej tam, gdzie po stronie dworu jest poczucie odpowiedzialności swego stanowiska. Zresztą matka natura, śpiewająca jednakową pieśń dla wszystkich, co się na tej ziemi porodzili i w niej spocząć mają, czy nie zdolna jest wyrównywać głębokich różnic kulturalnych, łagodzić tradycyjnych niechęci, czyż nie nastraja, nie zaprasza do miłości i zgody sąsiedzkiej?

Jeden rys oryginalny, właściwy tym stronom, uderzył mię odrazu pierwszego dnia podróży po Ukrainie: to wyraz s e r c e, jako epitet zwyczajny w rozmowie towarzyskiej z ludem. Mój młody przewodnik i towarzysz, zwracając się do woźnicy z jakąś wskazówką, mówi do niego: „serce, Tarase“; jakaś stara wieśniaczka, spotkawszy młodą panią, u której jesteśmy w gościnie, podczas naszej przechadzki zwraca się do niej ze słowami: „pani, serce“. Wiem, że na słowach samych nic budować nie można, ale to słowo zdaje się świadczyć o dziwnie uczuciowym nastroju, jakim przyroda ukraińska obdarza tych, dla których jest piastunką

Dla mnie ten szczegół nabiera osobnego znaczenia, gdy sobie przypominam, żeśmy o kilka wiorst tylko od kolebki Bohdana Zaleskiego.

IV.

Właśnie nazajutrz przed obiadem siadamy z p. L. do powozu i jedziemy do Bohatyrki, dla zobaczenia miejsca urodzenia poety i poznania dalszej rodziny jego, pozostałej w Bohatyrce. Cudowny ranek czerwcowy, stepowe słońce świeci, stepowy wiatr dmucha, mija nie wiele więcej, jak półgodziny, kiedy już jesteśmy w Bohatyrce. Nie pamiętam do kogo dawniej należała, teraz należy do Branickich, wchodzi w skład rozległej ich fortuny, która, jak miałem niejednokrotnie sposobność przekonać się, ma ważne dodatnie znaczenie pod względem narodowym na Ukrainie.

Bohatyrka, to typowa wieś ukraińska, nad szerokim jarem rozłożona, ma więc doliny i wzgórza. Z głównej drogi, idącej w dół, podjeżdżamy trochę pod górę na prawo i zatrzymujemy się przed zagrodą wiejską, w której mieszka pani kapitanowa Zaleska. Jest to wdowa po Ksawerym Zaleskim, byłym oficerze wojsk rosyjskich, a synu Tomasza, który był rodzonym (starszym) bratem Bohdana.

Trafiamy bardzo szczęśliwie. Nie wiem, czy dlatego, że to niedziela, czy z jakich innych powodów, zastajemy nietylko panią kapitanową w domu, ale i troje innych Zaleskich z dwóch młodszych pokoleń. Jest tu córka pani kapitanowej, starsza już panna, i dwoje wnucząt, podlotek dziewczyna, i dwunastoletni może chłopak, uczeń gimnazyum białocerkiewskiego. Ten ostatni zwraca na siebie szczególną moją uwagę i sympatyę. Jasnowłosy, błękitnooki, z wyrazem słodyczy i bystrości w twarzy, wydaje mi się żywym obrazem Bohdana Zzleskiego w latach dziecinnych. Bardzo się cieszę, gdy mi powiadają starsi, że uczy się dobrze i nie mogę powstrzymać się przy rozstaniu od uściskania go i ucałowania w głowę.

Pani kapitanowa jest osobą w wieku podeszłym, ale trzyma się krzepko. Wyraz pewnej dystynkcyi i uroczystej powagi w ruchach i wyrazie twarzy tworzy zajmujący kontrast z bardzo skromnem otoczeniem. Mieszkanie z zewnątrz wygląda jak zwykła obszerna chata wiejska; wewnątrz zbliża się więcej do dworku. Niewielka sionka przedziela je na dwie nierówne części; po prawej, mniejszej, spostrzegam kuchnię, po lewej są dwie izby, z których pierwsza obszerna, ciemniejsza, druga mniejsza, ale jasna. Do tej drugiej nas proszą; tu zasiadamy na drewnianych krzesełkach i prowadzimy rozmowę.

Pani kapitanowa nie jest zdziwiona naszem przybyciem, ponieważ poczciwy p. L. już na kilka dni przedtem uprzedził ją o tem i wyjaśnił cel przybycia. Rozpytujemy się naprzód o domek i ziemię, która do niego należy i otrzymujemy odpowiedzi jasne i bardzo cenne. Domek obecny zbudowany został przed 28 laty na tem samem miejscu, gdzie stał dawny, w którym się urodził i częściowo lata dziecinne spędził Bohdan Zaleski; i zbudowany zupełnie na wzór dawnego. A więc oprócz materyału drzewnego, oprócz umeblowania może, które zapewne było dostatniejsze, nic się tu od stu lat nie zmieniło. Pod taką zupełnie, jak ta, niską strzechą słomianą w tem samem miejscu, przyszedł na świat słowik ukraiński.

Grunt przytykający do chaty ma trzy dziesięciny przestrzeni i otoczony jest głębokim i szerokim rowem, który nosi zazwę Zakopanego. Taką tylko, jak się zdaje, była własność ziemska pana Wawrzyńca, ojca Bohdanowego, na Ukrainie, w chwili, gdy mu się najmłodszy syn urodził. Należała mu się wprawdzie, jak dowiedziałem się o tem później skądinąd, jakaś część wioski Wawy, leżącej bardzo daleko, aż za Niemnem, ale tę daleką posiadłość trzeba było dopiero wyprocesować.

Od pani kapitanowej radzibyśmy także dowiedzieć się, czy nie zostały tu jakie pamiątki po Bohdanie, a wreszcie chcielibyśmy coś usłyszeć o reszcie rodziny poety, pozostałej na Ukrainie. Pani kapitanowa wydobywa z jakiejś kryjówki i pokazuje nam fotografię Bohdana w czamarze, z siwą brodą. Na fotografii czytamy napis:

„Stryj zestarzały *na czużyni* Synowcowi Ksaweremu w Bohatyrce, szle pozdrowienie z błogosławieństwem dla niego, dla żony i dziatek.

Villeprenx, d. 15 listopada 1873“.

Dowiadujemy się potem, że jest także jakiś list od Bohdana, ale pani kapitanowa mówi o nim, jako o czemś trudnem do wyczytania. Prosimy o pokazanie i jako wprawniejsi do czytania rękopisów, znajdujemy, że list jest doskonale czytelny. Pisany także do synowca Ksawerego w roku 1874, jest serdeczną i obszerną odpowiedzią na jego zgłoszenie się do stryja poety. Wreszcie rzecz najciekawsza: otrzymujemy z rąk pani kapitanowej portrecik Bohdana z lat młodzieńczych, malowany wodnemi farbami na papierze, a przedstawiający młodego poetę w czamarce z wysokim kołnierzem siedzącego na krześle. Portret ten dostał był mąż pani kapitanowej, p. Ksawery, od stryja Eliasza, najstarszego z braci poety.

Z wiadomości genealogicznych, podawanych przez panią kapitanową i jej córkę, mniej możemy korzystać, bo są niepełne i trochę splątane. Zresztą między matką a córką wywiązują się pewne dyferencye w podawaniu szczegółów. My, jako niepowołani do rozstrzygania tych sporów, żegnamy uprzejmie panią domu, dziękując jej najmocniej za wszystko, czegośmy się od niej dowiedzieli i przed odjazdem obiegamy jeszcze ten kawał ziemi, który za domkiem rozciąga się ku górze aż do Zakopanego, a po którym pierwsze kroki stawiał przyszły poeta polsko-ukraiński.

Zadowoleni z rezultatów wycieczki, wracamy na obiad do Lubczy. Misya moja już tutaj skończona i moglibyśmy zaraz po obiedzie puścić się w dalszą drogę, ale gościnni gospodarze zatrzymują nas do jutra, a my nadzwyczaj łatwo i z ogromną przyjemnością poddajemy się lubczańskiej gościnności. Jest tu bowiem szczególne źródło uroku, który nas czyni tak łatwymi do ustępstw. Źródło to na pozór nie zostaje w żadnym związku z głównym celem mojej podróży, ale po bliższem wniknięciu w rzecz, okazuje się ku wielkiemu memu zadowoleniu, że i owszem, że wiąże się ono jak najściślej z poezyą Bohdana i że ja, poddając się temu urokowi, nie sprzeniewierzam się bynajmniej mojej misyi.

Tem źródłem są dwie młode i piękne Ukrainki, o których już przedtem była wzmianka, dwie natury poetyczne kobiece, na różny ton może nastrojone (allegro i pensieroso), ale które obie „duch od stepu“ wychował, „mlekiem dum i mleczem kwiecia“ wykarmił i napoił. Jedna z nich posiada nawet dar wypowiadania swoich myśli i uczuć w pełnem blasku rytmicznem i rymownem słowie, jest autorką drukowanej fantazyi dramatycznej i różnych „Wrażeń“. Ale tę poezyę drukowaną miałem sposobność dopiero później poznać, teraz zostawałem wraz z moim towarzyszem pod urokiem tej poezyi niewyśpiewanej, jaka przeświecała z postaci dwu młodych i pięknych Ukrainek.

Był to dla mnie żywy pierwiastek rusałczany, ten sam, który zaczerpnięty z wrażeń życia i oplątany przędzą podaniową, tak cudownie zakwitnął w poezyi Bohdana Zaleskiego. To też kiedy po obiedzie zaproponowano nam przejażdżkę do niedalekiej dąbrowy, nie bez ukrytej tendencyi w tym kierunku zapytałem, czy nie grozi nam niebezpieczeństwo ze strony rusałek, które właśnie w tym czasie, około Zielonych Świąt, według dawnych wierzeń ludowych pojawiają się u wód i w lasach i czyhają na zgubę ludzką. Pytanie przyjęte było z należną wesołością i wywołało różne komentarze i przestrogi, co wszystko jednak nie odstraszyło nas od przejażdżki do lasu.

Zmrok już zaczynał padać, gdyśmy wjeżdżali do dużego lasu dębowego. Młody technik, cienki w pasie a atletyczny w ramionach, towarzyszył konno powozowi na ognistym, prawie nieujeżdżonym rumaku, który długo zrywał się i walczył z jeźdźcem, póki się nie uczuł pokonanym. W symfonii wrażeń, jakie ta przejażdżka wywoływała we mnie, ten młodzieniec na dzikim koniu reprezentował ton rycerski, bez którego symfonia ukraińska byłaby niepełną. W lesie, wysiadłszy z powozu, skierowaliśmy się do obszernej polany wśród z rzadka rozstawionych dębów i tu rozłożywszy się na trawie, przypatrywaliśmy się pogodnemu niebu wieczornemu i czekaliśmy pojawienia się leśnych rusałek. Nie zjawiły się — niewiadomo dlaczego; nie zjawiły się, pomimo, że księżyc wyszedł nad dęby i zachęcał je do wynurzenia się z leśnych cieni na posrebrzoną jego blaskiem polanę.

Ta przejażdżka do lasu, to polowanie z rusałkami na rusałki stanowiło *finale* pierwszego etapu mojej wycieczki na Ukrainę. Nazajutrz rano rozjeżdżaliśmy się z Lubczy: pani domu jechała na egzamin publiczny czy też na akt zamknięcia roku szkolnego do jakiejś szkółki rzemieślniczej, której była patronką — (bo w kraju rusałek jest głębokie poczucie potrzeb społecznych i narodowych i w miarę możności czyni się im zadość); my jechaliśmy w dalszą drogę śladami wspomnień młodzieńczych Bohdana Zaleskiego, sami unosząc bardzo miłe wspomnienia z dwóch dni przeżytych w Lubczy.

Józef Tretiak.

Z WYCIECZKI NA UKRAINĘ.

V.

Jechaliśmy do Stawiszcz, upamiętnionych w pierwszych dumkach i rapsodach poety. I znowu wiatr stepowy, słońce i kurz towarzyszy nam stale, a ja witam już tych towarzyszy, jako dobrych znajomych.

Dwa dni, które tutaj spędzam, mają nieco odmienny koloryt od dwu poprzednich, już choćby dla tego, że Stawiszcze nie wieś, ale miasteczko i to takie, w którem się znajduje centralny zarząd dóbr hr. Branickiego. Jest inna jeszcze tego przyczyna: otoczony jestem samem towarzystwem męskiem, ponieważ tak się złożyło, że te panie, które mogłem poznać, są obecnie daleko zagranicą. Tylko z jedną z nich pomimo jej nieobecności, mam możność zaznajomić się, t. j. mam możność poznać jej talent artystyczny i wyrobienie techniczne w licznych studyach i szkicach malarskich rozwieszonych w domu, w którym mieszkam, w domu mojego przewodnika po Ukrainie, i żałuję, że niektóre z tych studyów, n. p. portret dziewczyny ukraińskiej, nie mogą się ukazać na wystawie krakowskiej.

Ale choć pierwiastku kobiecego brak tutaj w mojem otoczeniu, taka sama, jak przedtem otacza mię serdeczna gościnność, taka sama gotowość do pokazania mi wszystkiego, co zostaje w bliższym lub dalszym związku z celem mojej podróży. W tym względzie obok mego stałego przewodnika najwięcej zawdzięczam miejscowemu doktorowi H., który nietylko swój powóz i konie, ale i swój czas, wolny od zajęć swego fachu, oddaje na moje usługi, aby mi pokazać, co jest godniejszego widzenia w miasteczku (np. piękny i duży ogród koło pałacu, spuszczający się ku zwierciadlanym stawom) albo obwozić do koła Stawiszcz, abym mógł z różnych punktów przypatrzeć się pięknemu w istocie położeniu miasteczka, rozłożonemu na pochyłościach olbrzymiego jaru, na którego dnie świecą wielkie stawy, związane z sobą cieniutką strugą Tykicza. — Z panem L. zwiedzamy nowy cmentarz i stary, na którym wznosi się wspólny grobowiec kamienny rodziców Bohdana, Wawrzyńca i Maryi Zaleskich, skromny i oryginalnie pomyślony; szkoda tylko, że przez kamieniarza nazwisko Zaleskich przekręcone na Zalewskich.

Dalszy plan podróży, obmyślany jeszcze w Lubczy, prowadzi nas do Sieniawy, wielkiej wsi, odległej o kilka mil na południe od Stawiszcz, a należącej do tego samego właściciela. Jedziemy do Sieniawy nie dlatego, żeby się z nią wiązały jakieś wspomnienia młodzieńczych lat Bohdana Zaleskiego, ale dla tego, że w nowej gościnności ukraińskiej, która tutaj nas czeka, znajdujemy doskonały punkt oparcia dla dalszych wypraw, jakie leżą w moim planie. Jedziemy tak samo, jak przedtem, wygodnym, otwartym powozem, który pozwala nam ogarniać okiem szerokie widnokręgi, roztaczające się dokoła, pozwala rozglądać się tem swobodniej, że z trzech dotychczasowych towarzyszy, stale konwojujących nasz powóz, słońca, wiatru i kurzu, ostatni nie stawił się, poprzedniej bowiem nocy rzęsisty deszcz spadł na ziemię i przygwoździł kurzawę. Powietrze więc mamy dziwnie przeźroczyste, wiatr oddycha wilgocią, i słońce nawet zdaje się zalotniej uśmiechać.

W Sieniawie witają nas zdaleka kominy wielkiej, zamczysto zbudowanej cukrowni. Kierujemy się w tę stronę do obok stojącego domu dyrektora cukrowni, którego końmi jedziemy i który nas zaprosił do siebie. Dom obszerny, otoczony ogrodem, uderza odrazu swoim komfortem, a to pierwsze wrażenie przy bliższem rozpatrzeniu się, jeszcze się potęguje. Prawdziwą zaś niespodziankę stanowi widok z dużego balkonu od strony ogrodu. Ogród po lewej stronie odsuwa firankę drzew swoich, aby nam pokazać długą szmaragdową łąkę, po której Roś, w pełnych wdzięku zakrętach, toczy swoje wody, i odbijając błękit nieba, migoce złocistymi pocałunkami słońca. Teraz dobrze rozumiem zachwyt Bohdana Zaleskiego dla Rosi, tyle razy wspominanej w jego poezyi i listach.

Dobrze nam tu na tym balkonie, na którym w czas pogodny letni skupia się całe towarzyskie życie często przez gości nawiedzanego domu; dobrze nam tu, wesoło i wygodnie, przy uprzedzającej gościnności obojga gospodarstwa; ale główny cel podróży, przy ograniczonej przestrzeni czasu na jego osiągnięcie, nie pozwala zbyt długo oddawać się przyjemnemu *far niente.* Więc z panem L., przy pomocy mapy, obmyślamy najlepsze sposoby dostania się w jednym kierunku do Rzyszczowa, w drugim do Humania, bo te dwa miejsca muszę zwiedzić koniecznie przed opuszczeniem Ukrainy. Okazuje się, że do Humania można się łatwo stąd dostać, ale do Rzyszczowa sama kolej nie wystarczy, trzeba jeszcze dorabiać parostatkiem, a jedno z drugiem dużo czasu zabierze.

Wątpliwości nasze rozstrzyga gościnny gospodarz, który zastawszy nas nad mapą i dowiedziawszy się dokładnie, o co nam chodzi, ofiarowuje nam swój powóz i konie, abyśmy mogli wprost, bez pomocy kolei i parostatków, dotrzeć do Rzyszczowa i powrócić stamtąd do Sieniawy, co będzie sposobem najlepszym, najwygodniejszym i najmniej zabierającym czasu. Mam wprawdzie obawę, czy nawet na gościnnej Ukrainie przyjęcie tej ofiary nie będzie nadużyciem gościnności, ale nie przyjąć jej trudno wobec niepewności innych sposobów odbycia tej drogi.

Przyjmuję więc naturalnie z głęboką wdzięcznością i wielką radością, ponieważ od chwili powzięcia zamiaru podróży na Ukrainę, zwiedzenie Rzyszczowa wydawało mi się nietylko najważniejszym, ale i najtrudniejszym epizodem wyprawy. Po dwudniowem tedy *far niente*, podczas którego jednak zwiedziliśmy jakieś ciekawe okopy z dawnych czasów w pobliskim lesie, wyjeżdżamy do Rzyszczowa, niebardzo świadomi drogi, jakiej trzymać się mamy, za to zaopatrzeni w prowiant tak, jak gdyby to miała być wyprawa podbiegunowa.

Ale łaskawy czytelnik radby może wiedzieć, co nas tak pędzi do zapomnianego od ludzi i świata małego miasteczka nad Dnieprem, to jest, jaki ono ma związek z głównym celem mojej wycieczki? Ażeby uczynić zadość tej słusznej ciekawości, najlepiej będzie, sądzę, przytoczyć własne słowa Bohdana Zaleskiego. W przypisie jego do fragmentu p. t. *Damian książę Wiśniowiecki*, czytamy:

„Niedaleko Rzyszczowa, nad samym Dnieprem jest wyniosla góra, otwierająca na wsze strony piękne i rozległe widoki, przezwana od pospólstwa Iwan, czyli jednym wyrazem Iwanhora. U wierzchołka zalegają rozwaliny zamku, wedle powieści niegdyś Wiśniowieckich, a potem Szczeniowskich. Przed kilkunastu laty, kiedy swobodne dziecię lubiłem przebiegać tę górę w rozmaitych kierunkach, napotykałem nieraz sędziwego bandurzystę... Starzec ten znał nieskończone mnóstwo podań dawniejszych i chętnie je opowiadał. Między innemi jedno smutne o Wiśniowieckim, przeplatane dumami, jako będące w harmonii z otaczającemi ruinami zamku i tąż samą miejscowością, bardziej niż inne utkwiło w mojej pamięci“...

Tak pisał poeta w r. 1826, jako dwudziestoczteroletni młodzieniec. Ale tego nie dosyć. O wiele lat później w jednym ze swoich „Pyłków“ p. t. *Żywa pieśń* daleko silniej uwydatnił znaczenie tej miejscowości dla swojej poezyi.

Z torbanem wyrósł ja. Dniepr, Iwanhora,
Chata gdzieś w gaju starego znachora,
Widzę — och! — jakbym pożegnał je wczora:
Śpiewałoż ptactwo tam — byle dzień biały;
I znów dziewczęta z majdanu śpiewały;
To znowu męski głos wojennej chwały
W cześć atamanów — mąciły się społem
W pieśń jednę żywą! I pieśń tę połknąłem.

Żeby to dobrze zrozumieć, trzeba wiedzieć, że poeta w dzieciństwie mając lat ośm, dostał był jakiejś skórnej choroby, z którą wychowująca go ciotka nie mogąc dać sobie rady, a bojąc się o własne dzieci, oddała Bohdana na kuracyę mieszkającemu w pobliżu wiejskiemu znachorowi Zujowi. Oryginalna ta kuracya przeciągnęła się, jak wiemy od samego poety, bardzo długo, aż do półtora roku, i przez cały ten czas chłopak zostawiony sam sobie, używał najpełniejszej swobody i w bezustannem, bezpośredniem obcowaniu z przyrodą i pieśnią ukraińską wchłaniał wrażenia, które miały się stać przędzą i miały nadawać ton jego późniejszej poezyi.

Sądzę, że to wystarczy do wytłumaczenia interesu, jaki w nas obudza Rzyszczów, a raczej jego okolica. Wyjeżdżamy w ranek chłodny i posępny; słońce tym razem nie stawiło się do konwoju, bo po niebie przeciągają chmury. Stąd i step dzisiaj wygląda inaczej, spochmurniał, jego przestwór ginie w mętno-sinej dalekości. I wiatr dziś nierówno wieje, ale od czasu do czasu zadyma z większą siłą. I mój towarzysz w powozie przymilkł i sposępniał, bo jak później wybadałem, już od poprzedniego dnia czuł się niezdrów. Pod złemi tedy wróżbami zaczyna się nasza podróż, a w dodatku przygniata nas myśl, że ani w Rzyszczowie, ani w okolicy nie mamy nikogo, do kogo by się można zwrócić po wskazówki i objaśnienia.

VI.

Ale ten nastrój nie trwa długo, zwłaszcza, że i słońce od czasu do czasu z za chmur wygląda i przyświecając nam, dodaje otuchy, i wioski przez które przejeżdżamy, jak zwykle w jarach rozłożone, mile ku nam spoglądają swojemi wielkiemi i czystemi stawami, w których się wyniosły a zielony brzeg przegląda. W miarę, jak konie nasze raźnym kłusem unoszą nas na Wschód, coraz częściej razi nasze oko pewna zmiana w obyczaju ludowym: coraz częściej pokazują się zaprzęgi chłopskie na sposób wielkoruski, z *duhą* to jest kabłąkiem nad koniem. Mój towarzysz przypuszcza, że oddziaływa na to sąsiedztwo Kahorlika, wielkiego majątku, nabytego przez hr. Czertkowa, byłego jenerał-gubernatora warszawskiego, a który dotychczas pozostaje w ręku jego rodziny.

Przejeżdżamy i przez tę stepową mieścinę, której samo dziwne brzmienie przywołuje mętne reminiscencye z czasów walk tatarsko-kozackich. Tu krótki odpoczynek dla koni, które już kilkadziesiąt wiorst przebiegły i rozpytywanie się o drogę do Rzyszczowa. Jednocześnie podziwiamy szczególną architekturę murowanej cerkwi, szeroko rozłożonej na placu prawdziwie stepowym. Jestto jakby skupiona przy sobie rodzina grzybów zielonych z białymi korzeniami, taka tu mnogość kopułek zielonych, osadzonych na białych murach i tak mała ich wysokość w stosunku do rozłożystości cerkwi.

Jeszcze parę godzin drogi do Rzyszczowa, ale drogi niełatwej, bo step tu poryty tak głębokimi jarami, że okolica niekiedy robi wrażenie górskiej. Wreszcie zjeżdżamy do miasteczka, leżącego w niewielkiej dolinie, po której przepływa strumień Lechlicz, wpadający tutaj do Dniepru, po obu zaś stronach doliny wznoszą się wysokie brzegowiska.

Tutaj trzeba szukać Iwanhory. Ale do kogo się udać po wskazówki, gdzie jej szukać, jak się do niej dostać, jakie tradycye o niej dziś istnieją? Powiedziałem już, że nie mamy żywej duszy znajomej w miasteczku, którego pokost rosyjsko-żydowski odrazu rzuca się w oczy, ale wiemy, że jest kościół parafialny, więc jedyna nadzieja w proboszczu, jeżeli przypadkiem nie wyjechał z Rzyszczowa. Zajeżdżamy więc pod bramę, stanowiącą wjazd do wielkiego dziedzińca, który podnosi się w górę ku kościołowi stojącemu na wzgórzu i otoczonemu drzewami. W staroświeckim budynku, który wznosi się naprzeciw kościoła na lewo, domyślamy się probostwa, więc tam kierujemy nasze kroki.

Szczęściem, proboszcz jest w domu. Człowiek niestary, o twarzy przyjemnej, łagodnej i jakby melancholią przesłoniętej, przyjmuje nas grzecznie, ale z pewnem wewnętrznem zdziwieniem i niepokojem, co się mimowoli odbija w jego oczach. Nie bardzo się temu dziwimy. O tradycye po Bohdanie Zaleskim nikt i nigdy się tu nie dopytywał, a natomiast iluż to nieproszonych i niebezpiecznych gości przewijało się po Dnieprze w ostatnich czasach. Zresztą ksiądz naprawdę niewiele, albo raczej nic nam nie może powiedzieć z tego, o co go pytamy: na parafii w Rzyszczowie jest dopiero od lat trzech, na Iwanhorze nigdy nie był, o tem, żeby Bohdan Zaleski miał tu jakiś czas w dzieciństwie przebywać, nigdy nie słyszał. Za to gotów nam jest pokazać kościół, którego fasada bardzo mile wśród drzew bieleje i ogród przy probostwie tarasami schodzący ku Lechliczowi.

Ale to zostawiamy sobie na później, teraz trzeba korzystać z czasu, póki słońce jeszcze nie nisko, dla oglądania tego, co jest głównym celem naszej wyprawy. Dowiedziawszy się od proboszcza, że najlepszy zajazd w miasteczku nazywa się „Italia“, jedziemy do tej Italii, ażeby tam ulokować powóz i konie i zamówić nocleg dla siebie. Nazwisko zajazdu obiecujące, pozwala nam spodziewać się, że znajdziemy tam choć odrobinę europejskiej wygody. Złudzenie prędko pierzcha. Najlepszy zajazd w Rzyszczowie okazuje się lepianką tak mizerną i ciasną, że nasze dawne typowe zajazdy żydowskie po miasteczkach wydałyby się wspaniałymi przy niej. Ale odważnem sercem przyjmujemy to, czego odmienić nie potrafimy i przekonawszy się, że powóz i konie dadzą się pomieścić w jakiejś stajni czy szopie, bierzemy pierwszy lepszy wózek żydowski i każemy się wieźć do Iwanhory.

Józef Tretiak.

Z WYCIECZKI NA UKRAINĘ.

VII.

Jedziemy niespełna pół godziny i zatrzymujemy się nad Dnieprem, u stóp Iwanhory, która wysoką, białą, prostopadłą ścianą, zwężającą się u góry, wystrzela tuż nad rzeką i przypomina mi swoim kształtem Sokolicę nad Dunajcem. Żeby się na jej szczyt dostać, trzeba ją obejść. W tym celu zapuszczamy się w głęboki i wązki jar, który bezpośrednio przed Iwanhorą spuszcza się ku Dnieprowi i wydrapawszy się niebawem z tego jaru na lewo, znajdujemy się już z drugiej strony pod górą. Wejście stąd nie trudne, ale wprost do szczytu iść nie można, bo cała pochyłość góry pokryta zielonym płaszczem żyta. I tutaj pług, wdzierając się tak wysoko, swój tryumf ogłasza; tylko sam czub góry, nad przepaścią sterczący, pozostał nietknięty i stepową trawą porasta.

Okrążamy żyto i bocznemi ścieżkami, z których już ukradkiem rozległe ukazują się widoki, wychodzimy nareszcie na szczyt Iwanhory. Tu jakby ktoś nagle zasłonę zerwał z przed naszych oczu: mimowolnym okrzykiem zachwytu witamy wspaniały widok, jaki się przed nami roztacza. Wprost u stóp naszych, głęboko, Dniepr, podzielony na pasma o różnych barwach, oblewa mniejsze i większe wyspy, pokryte wikliną i wierzbami; za Dnieprem biegnie w nieskończoność równina, której szczegóły roztapiają się w oddaleniu; ale najwspanialej przedstawia się nam krajobraz z lewej strony. Tutaj Dniepr, jeszcze nie podzielony na pasma, przypierając o wysoki mur swego prawego brzegu, płynie jednolitą szeroką i potężną wstęgą, odbijającą błękit nieba i złociste połyski słońca.

Nakrążywszy długo wzrokiem po rozległej przestrzeni, oddzielonej od nas przepaścią i morzem powietrza, odwracamy się w stronę przeciwną, aby zobaczyć, co jest za nami. Tu widok zupełnie inny: zacieśniony, ale miły, łagodny, zaciszny. Są to jary zarosłe gęsto drzewami i wzgórza, blisko zamykające horyzont, z rozrzuconemi niedbale i bielejącemi wśród sadów zielonych chatami. Jest to wiejskie przedmieście Rzyszczowa, nazywa się, jak się później dowiadujemy, Chomyne, nazwa która odpowiada polskiemu „Tomaszów".

Takie widoki miał przed sobą Bohdan Zaleski, kiedy w dzieciństwie jak wiatr bujał po Iwanhorze. Ale gdzież są „rozwaliny zamku" które podług własnych wspomnień poety, zalegały wierzchołek tej góry? Gdzie jest „zamczysko ośmiokątne", o którem mówi Rulikowski w swoim artykule o Rzyszczowie, umieszczonym w słowniku geograficznym w r. 1888? Wprawdzie ten ostatni dodaje, że niedawno część góry runęła w rzekę, ale nie mówi, żeby z tą częścią i zamczysko runęło.

Oglądamy się dokoła, ale ani śladu żadnego zamku nie widzimy. Wdrapujemy się na sąsiednią, bliżnią górę, tak samo prostopadle sterczącą nad Dnieprem, ale i tam ani śladu ruin nie znajdujemy. Niestety! nie mamy nikogo, ani w Rzyszczowie, ani w okolicy, ktoby nam do rozwiązania tej zagadki dopomógł.

Schodzimy w dół ku ścieżce, która nad jarem się ciągnie, tylko w przeciwnym kierunku, nieco w górę ku chatom, które stoją nad jarem głębokim, zarosłym wielkiemi drzewami. Domyślamy się, że w tym kierunku, nieco dalej, musi leżeć owa wieś Szczuczynka zwana także Czuczynką, z której pochodził Zuj, znachor i opiekun Bohdana. Ale uszedłszy niewiele, minąwszy kilka chat, a nie spotkawszy nikogo na samotnej drożynie, spostrzegamy, że słońce już nisko, że trzeba wracać, zwłaszcza, że obiecaliśmy zajść do proboszcza.

Wracamy tedy, pilnie patrząc ku chatom, czy z nich jaka żywa dusza nie wyjrzy, aby z nią pogadać można było o Iwanhorze. Już mijamy ostatnią, kiedy mój towarzysz dostrzega kogoś w sionce tej chaty i pod pretekstem napicia się wody rusza do ciemnej sionki. Podążam za nim, ciekawy, jak mu się uda wywiad historyczno-geograficzny.

VIII.

Tą żywą duszą w sieni jest sam gospodarz, właściciel chaty. Chętnie udziela wody, a jeszcze chętniej wdaje się w rozmowę. Dowiadujemy się od niego zaraz, ku naszemu niemałemu zadowoleniu, że to do niego właśnie należy Iwanhora i sąsiadująca z nią druga góra, że to on zasiewa jedną zbożem, a z drugiej wykopuje glinę. Nazywa się Pyłyp Horbenko, ale dodaje zaraz, że to jest jego nazwisko urzędowe, po ułycznomu zaś zwie się Tryhubeć, dwoistość nazwisk, która przypomina imioniska zaścianka dobrzyńskiego i zwyczaje naszych górali tatrzańskich.

Dowiadujemy się następnie od niego, że ziemia ta od pół wieku przeszło należy do jego rodziny, przedtem zaś, przed rokiem 1850, właścicielem jej był jakiś Skorobohatko. Rozmowa rozpoczęta w sieni przenosi się przed chatę, możemy więc lepiej przypatrzyć się postaci naszego informatora.

Twarz zmięta, chuda, zarosła kosmykami rzadkiej płowej brody, włosy czarne, pasmami spadające na czoło i szyję, powieki zaczerwienione i zaropiałe, ale z pod tych powiek wyglądają ożywione oczy, w których się gadatliwość i żywa wyobraźnia ich posiadacza maluje.

Nie mogąc sami dokładniej określić wieku jego, pytamy go, ile ma lat i z jego wyliczeń okazuje się, że ma ich już ze siedemdziesiąt. Więc może dużo rzeczy pamiętać, więc musi pamiętać i oberwanie się góry i zwaliska zamku, których dziś już nie widać! Urwanie się góry, i owszem, pamięta, ale o zwaliskach zamku na Iwanhorze nic nie wie, nie widział ich nigdy i nie słyszał o nich. Och! gdyby słyszał, jesteśmy pewni, że przy swojej gadatliwości nie omieszkałby wypowiedzieć wszystkiego, co wie o tem.

Wskutek tej odpowiedzi, zagadka dotycząca ruin, staje się jeszcze ciemniejszą dla nas. Widzimy, że jej nie rozwiążemy tutaj, więc pytania nasze zwracają się w inną stronę. Chodzi nam o to, czy nie została tu w okolicy jaka tradycya o Zuju, jako znachorze. Ten ostatni wyraz Tryhubiec bierze w innem, niż my, znaczeniu i powiada, że o Zuju nie słyszał, ale słyszał o jakimś innym znachorze, który skarby znajdował. Ale ponieważ nie o takich znachorów nam chodzi, więc pytamy, czy nie słyszał o znachorach, którzy leczą.

To ostatnie pytanie wywołuje z ust Tryhubca potok opowiadań, naprzód o znachorze-lekarzu (Boriwśkij czy jakoś), który wyprowadzał gady z człowieka, potem o sławnym już w czasach późniejszych Potapence. Widzimy jednak, że z tych opowiadań nic się dla tradycyi o Zuju nie da wydobyć, więc pytania nasze zwracamy w inną stronę: dlaczego się ta góra nazywa Iwanhorą? co o tem ludzie mówią?

W odpowiedzi otrzymujemy legendę krótką, w szczegółach niejasną, ale w idei swojej bardzo zajmującą. Oto mniej więcej treść legendy. Było osiemdziesięciu hajdamaków na tej górze — i przyszła druga walka i bili się i jedni drugich pobili i zabrali skarb i zakopali tutaj. Któż ma skarbu pilnować? Ataman Jan. I stąd Iwanhora.

Właściciel Iwanhory opowiada legendę naturalnie w swoim języku, po małorusku, ale atamana nazywa Janem, nie Iwanem. Przyjmujemy legendę tak, jak nam ją podaje, nie żądając wyjaśnienia szczegółów z obawy, aby nie był zmuszony dokomponować czegoś dla naszego użytku. Legenda widocznie osnutą jest na tle wspomnień hajdamaczyzny, która w r. 1768 krwawo się zapisała w dziejach Rzyszczowa, ale jej jądrem, jej „ideą", jest skarb zakopany, prawdziwy symbol tego szczęścia, którego ludzie szukają wszędzie po całym świecie, wszędzie — tylko nie w sobie samych.

Ponieważ według legendy skarb zakopany został na Iwanhorze, zapytujemy jej właściciela, jak mu się zdaje, czy ten skarb dotychczas tam istnieje? Z tego zaś, co nam odpowiada, wnosimy, że wierzy w jego istnienie, tylko mało ma nadziei, aby się dał odkopać. Rad on jest, że ma się przed kim wygadać, i kiedy mu przestajemy zadawać pytania, sam nie przestaje mówić, wtajemniczając nas w swoje sprawy, w swoje zatargi z władzami z powodu kopania gliny i t. p. Przez grzeczność słuchamy dość długo tych rzeczy, ale korzystamy z pierwszej przerwy, aby pożegnać uprzejmego, ale zbyt gadatliwego informatora i wracamy spiesznie do Rzyszczowa.

Stosownie do obietnicy zachodzimy raz jeszcze do X. proboszcza i tu odczuwamy odrazu zmianę w przyjęciu: wszelka nieufność i niepokój ulotniły się. Na tę zmianę wpłynęła, jak się zdaje, okoliczność, że X. proboszcz był przed kilku laty na kongresie maryańskim, gdzie czytano mój referat, i że przypomniał sobie teraz to moje autorstwo. Częstuje nas herbatą, oprowadza mimo spóźnionej pory po probostwie, ogrodzie, cmentarzu i kościele, zatrzymuje koniecznie na skromną, postną wieczerzę, chciałby nawet zatrzymać na noc, a gdy na to się nie godzimy, odprowadza nas aż do naszej Italii.

Z tego, co nam pokazuje, najwięcej nas interesuje probostwo, przerobione z dawnego klasztoru Trynitarzy, z pozostałemi jeszcze niektóremi celami zakonnemi i bardzo piękny kościół, którego wnętrze jednak trudno nam dokładnie obejrzeć z powodu zmroku, choć mamy do pomocy świece. To, co nam opowiada o swojej parafii, o swojem położeniu, nastraja nas bardzo elegijnie. Parafia bardzo rozległa, ale liczba parafian od jakich lat trzydziestu zmniejszyła się w niej o połowę i to o połowę przeważnie ziemiańską, zamożną, na której głównie spoczywała materyalna opieka nad kościołem. Od swego poprzednika wie X. proboszcz, że dawniej w niedziele i święta wielki dziedziniec przed kościołem cały był zapełniony powozami i bryczkami sąsiednich ziemian i oficyalistów; dziś pustki i na dziedzińcu i w kościele. Raz tak się zdarzyło, że w kościele był tylko ksiądz przy ołtarzu, a w ławkach urzędnik policyjny, który przyszedł pilnować, czy nabożeństwo odprawia się z uwzględnieniem wymagań rządowych. *Sunt lachrymae rerum.*

Nazajutrz bardzo rano, szczęśliwi, że nam koni w zajeździe nie ukradziono, opuszczamy Rzyszczów i wracamy do Sieniawy. O kilka wiorst przed nią leży miasteczko Rokitna, przez które przejeżdżamy. Elegijne usposobienie, z jakiem wyjeżdżaliśmy z Rzyszczowa, zaciera się trochę na widok nie wielkiego, ale pięknego, nowego, nawet jeszcze — jak się dowiaduję — wewnątrz niewykończonego kościoła w Rokitnej. Świadczy on, że żywioł katolicki na Ukrainie nie wszędzie jest tak słaby, jak w Rzyszczowie, skoro własną ofiarnością może wznosić świątynie. Wiem, że w tej ofiarności mieszkańcy Sieniawy nie mały biorą udział.

Józef Tretiak.

Z WYCIECZKI NA UKRAINĘ.

Po powrocie z Rzyszczowa, następnego dnia, który jest pierwszym dniem Zielonych Świątek, wybieram się w dalszą drogę, do Humania, a raczej Zofiówki, tak mile wspominanej przez Bohdana Zaleskiego w poezyi jego z lat późniejszych. Jadę z Rokitny koleją, z przesiadaniami na całą noc. Pan L., nieodstępny dotychczas mój towarzysz, pomimo, iż widzę, że jest niedomagający, chce mi koniecznie i tam towarzyszyć. Opieram się temu stanowczo i pozwalam się tylko odprowadzić do kolei. Więc serdeczne pożegnanie, naprzód w gościnnym domu w Sieniawie, potem u wejścia do wagonu. Pociąg rusza, zostaję sam.

Słońce, które już dobrze na zachód się przechyliło, świeci z ukosa na step, po którym błądzę oczyma, patrząc przez okno wagonu. Mijamy jary korsuńskie, z których tragiczna przeszłość zdaje się przypominać westchnieniem, tam znów zdaleka bieleją wysokie kominy fabryczne, dziwnie na tym stepie wyglądające. Pod noc zajeżdżam do Cwietkowa, gdzie muszę wysiąść i czekać na odejście pociągu w stronę Humania.

Stacya nie należy do tych, których zadaniem jest przekonywać, że Rosya leży w Europie; więc też wolę przechadzać się po perronie, niż iść do wnętrza. Z peronu mam perspektywę w jednę i drugą stroną na step, oblany światłem księżycowem. Jest pełnia. Wielki i biały księżyc wypłynął na step niebieski, aby stamtąd przyświecać ziemskiemu i srebrzystą zasłoną przykryć nędzę życia kolejowego. Przypomina mi się cudny wiersz Słowackiego:

I mam ten miesiąc biały, hostyę światów.

Noc spędzona w wagonie, w którym zapomniano dać poduszek pod głowę (bo tą drogą cudzoziemcy nie jeżdżą) nie zostawia miłych wspomnień po sobie. Ale nareszcie skończyła się. Chwała Bogu! Między 7 a 8 rano staję na dworcu humańskim.

VIII.

Na niebie cudowna pogoda, słońce olśniewa swoim przepychem. Ponieważ to jest drugi dzień Zielonych Świąt podług starego stylu, więc popołudniu mają być w Zofiówce puszczone fontanny, ma być muzyka i naturalnie wiele gości. Wszystkiego tego nie pożądam; chcę widzieć Zofiówkę cichą i spokojną. Dlatego wypiwszy kawą i zostawiwszy rzeczy na dworcu, każę się wieść fiakrowi wprost do Zofiówki, przyczem przekonywam się, że nazwa urzędowa tego ogrodu „Carycyn sad“, nie jest wcale w obiegu. Tem lepiej.

Naprzód wita mię miasto Humań, na górze szeroko rozłożone, o wielu domach dużych, murowanych, i wspaniale rannem słońcem oświecone. Jest że to refleks murów, czy refleks tradycyi, że to wspaniałe oświetlenie ma w sobie jakiś krwawy połysk? Niewiem, ale z ciekawością przyglądam się miastu, gdzie Bohdan Zaleski spędził lata szkolne, gdzie się zawiązały na całe życie jego serdeczne stosunki koleżeńskie z Goszczyńskim, Grabowskim, Janem Krechowieckim i innymi, gdzie muza jego pierwsze nieśmiałe zaczęła stawiać kroki, gdzie nareszcie pierwsze pączki uczuć miłosnych zaczęły się w nim budzić. Ale najlepiej niech on sam powie, jakie znaczenie dla niego miał Humań i Zofiówka, jakie wrażenie w nim zostawiły te miejsca na całe życie. Oto jest ustęp z wiersza p. t.: *Nieszpor* (Dzieła pośmiertne T. I. str. 18—19).

Na schyłku życia mego, w szarej dobie,
Co nieprzespaną nocą ku mnie grozi,
W omdleniu myśli i uczuć zamrozi
Śnię, Ukraino, wiecznie śnię o tobie!
Gdzieś w Zofiówce twojej i w Humaniu
Goduję wesół, jak na dnia zaraniu.

I pożegnałem cię, Matko, nie wczora...
Byłać to wiosna cudna, różnowzora,
Rąbek mgły bujał nad polami cienki,
Twoje Rusałki pląsały na fali,
Piały słowiki w zapachu konwalii,
Zewsząd się do mnie zbiegały piosenki —
Ja cię wciąż widzę w obrzasku jutrzenki.

. . . .

Rozkoszny sadzie mój, o rajska strono,
Po dziś dzień gonisz mnie ciągle jak zmora;
Widzę cię, jakby pożegnaną wczora.
Wokoło bujnie, powonnie, zielono,
Fontanna tęczą skrzy się wśród jeziora,
I kaskadami zwierciedli na strugi...

. . . .

Znam zofijowskie pochyłości wzgórzy,
Cieniste gaje, zaciszne świątyńki,
Gdzie raz w skwar wielki przed nadejściem burzy,
Zajrzałem kibić cudowną boginki,
I przez kaskady przejrzysty obłoczek,
Uczułem w sercu pożar od jej oczek,
I poraz pierwszy poczułem w zachwycie
Oczarowanie na pieśniane życie.

Przejechawszy kilka długich i szerokich ulic Humania spuszczam się drogą wysadzaną drzewami ku Zofiówce. Droga ta jest o wiele krótszą, niż myślałem, bardzo prędko mój fiakier żydowski dowozi mię do wspaniałego w stylu klasycznym portyku, który stanowi wejście do ogrodu. Odprawiam fiakra i wchodzę do portyku, naprzeciw którego rozlewa się długi, a wąski kryształowej czystości staw; po obu jego stronach, na dość spadzistych pochyłościach wzgórzy, które stanowią ramę stawu, piętrzą się jedne nad drugimi wysokie, bujną zielonością pokryte drzewa i przeglądają się w nim jak w zwierciedle. Odrazu czuję, że tu jest pięknie, że warto było tu przyjechać.

Ale ażeby widzieć wszystko, co jest godnego widzenia, a przedewszystkiem, co chcę zobaczyć, potrzebny mi jest przewodnik. Znajduję go łatwo; pierwszy spotkany sługa ogrodowy podejmuje się chętnie oprowadzić mię po Zofiówce. Więc naprzód obchodzimy aleją dokoła stawu, o ile się on da obejść. Tu zaraz wita nas stojący w alei nad stawem kamienny posąg Belizaryusza. Jest to jedyny posąg w ogrodzie, przedstawiający historyczną postać. Dziwna rzecz! Co on tu robi? Dlaczego tę jedyną postać historyczną chciał uczcić posągiem założyciel Zofiówki i naczelnik Targowicy? Czy nie upatrywał jakiegoś podobieństwa między nim a sobą? Odpowiedzi na to niema; to tylko pewna, że zagadkowo wygląda ten Belizaryusz w ogrodzie poświęconym miłości i piękności.

Ten posąg skądinąd jeszcze mnie interesuje. Aleksander Groza, także uczeń szkoły humańskiej z czasów szkolnych Bohdana, tylko młodszy od niego, opowiada w swoich wspomnieniach (Mozaika kontraktowa) o sporze, jaki się toczył pewnego razu między Goszczyńskim a Zaleskim, gdy jako uczniowie odwiedzali Zofiówkę. Przedmiotem sporu było: skąd widok jest piękniejszy? czy od strony Belizaryusza, czy od wielkiego kamiennego wazonu, umieszczonego po przeciwnej stronie stawu? Goszczyński był za pierwszym, Zaleski za drugim, co, jak dodaje Groza, odpowiadało ich naturom. Sprawdzam trafność spostrzeżenia Grozy: w istocie naprzeciw posągu Belizaryusza widać wielkie złomy czarnych granitów, które do łagodnej symfonii wrażeń, jakie daje szklanny staw ze swemi białemi łabędziami i z piętrzącą się nad nim zielonością, wprowadzają jakiś ton ponury; patrząc się od strony wazonu tych czarnych skał nie widać, jak nie widać w poezyi Bohdana Zaleskiego tych dzikich i krwawych obrazów, jakie Goszczyński w *Zamku Kaniowskim* roztoczył.

Pośrodku między Belizaryuszem a wazonem u zgięcia stawu bieleje i przegląda się w fali marmurowy posążek Apollina, jednego z patronów tego ogrodu, który jest przecież w swoim rodzaju poematem. Główna patronka jego, klasyczna bogini piękności i miłości, uczczona jest gdzieindziej, w miejscu bardziej ustronnem. Biały jej posąg ustawiony jest w grocie, po której ścianach spływa woda, a która ma wejście z kolumnadą i schodami, jak grecka świątynia. Obok wznosi się wysoka (teraz pusta) klatka na ptaki. Przewodnik prowadzi mię kolejno do różnych innych grot, między któremi poznaję znajome mi z Zofiówki Trembeckiego: grotę króla Łokietka, („Młodszy świat jej używa, Patagon nie wchodzi“) i drugą, gdzie

słodki wiersz, którego żaden wiek nie zmaże,
W tę grotę wchodzącemu szczęśliwym być każe.
Smutnem nieposłuszeństwem ciężko jest przewinić,
Ten kazał, co szczęśliwych chce i może czynić.

Grota w istocie ciekawa. Głęboka i szeroka, ma w zagłębieniu swojem na lewo od wejścia, jakiś stół z płyty kamiennej, przy którym, jak mi powiada mój przewodnik, „graf Potocki“ grywał w karty. Po prawej stronie groty, wyryty jest na ścianie ów „słodki wiersz, którego żaden wiek nie zmaże“, ale niestety! przepowiednia Trembeckiego nie ziściła się; z dwuwiersza który brzmiał:

Strać tutaj pamięć nieszczęść, a przyjm szczęścia wieszcze,
A jeśliś jest szczęśliwy, bądź szczęśliwszym jeszcze.

zachowały się tylko początkowe słowa obu wierszy; reszta zatarta, zamazana.

Posuwamy się ku wyższym częściom wielkiego ogrodu. Przewodnik pokazuje mi wejście do podziemnego kanału, który prowadzi do drugiego, wyższego i większego stawu. Kanał ów, jeden z większych dziwów Zofiówki, długi jest na 125 sążni i ma okienka z góry w pewnych odstępach. Ale to dziwo nie przedstawia żadnego ładnego widoku, natomiast ów staw wyższy, do którego inną drogą podążamy, rozległy, okrągły, z wyspą przybrzeżną, którą most wiąże z brzegiem, jest w istocie prześliczny. Na wyspie, którą Trembecki ochrzcił mianem „Anti Circe“, wśród wysokich, bujnych topoli, wznosi się biały, zgrabny belweder i przegląda się w czystem zwierciedle jeziora.

Z pomiędzy innych rzeczy, które mi pokazuje, oprowadzając po ogrodzie, przewodnik, warto wymienić trzy długie, cienkie, wysokie drzewa, rosnące obok siebie i w jakiś dziwny sposób zrośnięte, czy zlepione z sobą u góry, w połowie może wysokości. Są to owe drzewa, które Szczęsny Potocki zasadził na pamiątkę trojga zmarłych dzieci swoich, a którym Trembecki poświęcił jeden z najudatniejszych ustępów Zofiówki. Wogóle trzeba przyznać, że ogród ten, który w r. 1836 skonfiskowany, przeszedł na własność rządu, jest nieźle utrzymany. Wprawdzie tu i owdzie sterczą podstawy kamienne, ogołocone z posągów (zapewne jakichś bóstw klasycznych), które ręka czasu czy trafu poniszczyła, ale przyznaję, że wolę to zaniedbanie, niż zbyteczną troskliwość rządową o upiększenie Zofiówki, według własnych pomysłów.

Otóż pod tym względem spostrzegam godną uznania wstrzemięźliwość. Jest jedno tylko takie upiększenie, taki pomysł oficyalny: obelisk na cześć Mikołaja I, który zwiedzał Zofiówkę w roku 1847. Pomnik ten, wystawiony już po śmierci cesarza w r. 1856, ma u szczytu złotego orzełka rosyjskiego, a ten orzełek, nalepiony u góry, nadaje obeliskowi charakter munduru.

Doprowadziwszy mię, po całogodzinnej wędrówce po ogrodzie, do tego pomnika, przewodnik oświadcza mi, że już pokazał wszystko, co jest godniejszego widzenia w Zofiówce. Żegnam go, wynagradzam za trudy i ochoczość, i teraz dopiero, zostawszy sam, mogę się swobodnie oddawać wrażeniom, to przysiadając na ławkach nad dolnym stawem pod drzewami i obejmując wzrokiem wodę, niebo i piętrzącą się między niemi bujną zieloność, oblaną obfitemi strugami słońca, to tułając się między grotami, które jeszcze raz chciałbym obejrzeć. Ogród jest prawie pusty; paru uczniów humańskich przyszło tu używać rannego wczasu świątecznego; jakaś młoda para zakochanych (lat dwadzieścia cztery i ośmnaście), siedząca na kamieniu, u brzegu ustronnej groty z widokiem na morze zieloności, napawa się słodką świadomością oddalenia od świata a wzajemnego zbliżenia, ale spłoszona przezemnie ulatnia się w jednej chwili. Przykro mi, że zerwałem mimowoli sieć miłosnych spojrzeń i może wzajemnych wynurzeń, snutą w samotności, ale z drugiej strony cieszę się, żem tę parę spotkał: bez niej symfonia wrażeń, jakich doznaję w Zofiówce, byłaby niepełną, nie dostawałoby jej górującego, charakterystycznego tonu. Wzgórza, skały, woda, niebo, zieloność, słońce, balsamiczne powietrze i radosny śpiew ptactwa, z którego się najsilniej wybijają trele słowicze, to wszystko pozostałoby tłem tylko bez tej pary, Edenem bez Adama i Ewy.

Ten Eden stworzył nieszczęsny kochanek Gertrudy Komorowskiej i nieszczęsny twórca Targowicy w nadziei zapewne, że „straci tutaj pamięć nieszczęść“. Czy stracił? Należy o tem wątpić. Ale z Edenu tego szczęśliwiej mogła korzystać potomność, przedewszystkiem szczęśliwie korzystać mógł twórca *Rusałek*. Poznawszy Zofiówkę w jej wiosennym, świątecznym stroju, rozumiem teraz, jakim sposobem mogła mu dać „oczarowanie na pieśniane życie“.

Zofiówka jest ostatnim kresem mojej wycieczki na Ukrainę. Zwiedziwszy po krótce Humań, gdzie nie spodziewam się znaleść wspomnień po Bohdanie Zaleskim, tegoż dnia jeszcze wybieram się w powrotną podróż do Krakowa.

Józef Tretiak.

Zakopane we wrześniu 1908.

Tom LIII. № 8—1,363. 21 (8) lutego 1902

BIESIADA LITERACKA



ORLA PERĆ W TATRACH

Ganek z doliny Białej Wody.
Po śniegu w turniach Buczynowych. Granaty ku Żółtej turni.
Z Krzyżnego. Polana pod Wołoszynem. Dolina Roztoki.
Mały Lodowy od stawów węgierskich. Lodowy z północnej strony. Orla Baszta z północy.

Z WARSZAWY

CZEGOŚMY SIĘ POWINNI NAUCZYĆ OD CZECHÓW? — Nadzieje niemieckie. — Zamiast całej Europy, tylko Czechy.— Czesi zauważyli, że nie umiemy urządzać wentylacyi.— Dr. Polak o palaczach tytuniu.—Skutki nadużycia tytuniu.—Palacz w prawodawstwie amerykańskiem.—Pamiętnik jubileuszowy „Kuryera Porannego“—Skutki bezsenności.—Ośm dni w powrozach.—Za mało piszemy dla nieszczęśliwych, a za dużo dla zabawnickich.

Jeszcze się taki nie urodził, któryby wszystkim dogodził; jeszcze nie poznałem takiego człowieka, któremuby nikt nie przypiął większej lub mniejszej łatki, nie wyszperał w nim słabej strony, pomimo powagi jego i zasług. A jak to łatwo przychodzi lekceważenie, jeśli istnieje do niego powód, byle najmniejszy! Niestety, powód z którego korzystają Niemcy, aby nam dopiec satyrą, nie należy do drobiazgów, nie jest przemijającym, jaką bywa zaraza, którą wiatr dalej niesie i pozwala znowu oddychać powietrzem zdrowem.

Na rękę niemieckim zoilom jest nasz przysłowiowy słomiany zapał, który w różnych czasach i różnych okolicznościach wiele nam szkód, ale zarazem i wiele tryumfów przysporzył. Słomianym zapałem nazywają Niemcy teraz nasze hasła ekonomiczne, dążące do zastąpienia stosunków handlowych i przemysłowych z nimi przez stosunki inne. Wyćwiczeni w przewrotności, którą wyprowadzili nas tyle razy w pole, polegają i teraz na niej, powtarzając sobie w duchu: cierpliwy wygrywa.

Pragniemy oczywiście z całej duszy, aby Niemcy najsromotniej się zawiedli, ale w zapale naszym, buchającym jak wulkan przed kilku tygodniami, już się pokazuje dymek. Uwierzyliśmy ślepo, że wszystko, co nasi panowie kupcy mówili, drukowali w dziennikach i na drzwiach swych sklepów, jest świętą prawdą, że po upływie miesiąca nie znajdzie się w kramach warszawskich za żadne pieniądze towaru niemieckiego, że obywatel, odziany w kaftanik jegerowski lub jedzący śledzie z niemieckiego Baltyku, należeć będzie do osobliwości. Myśmy wierzyli a panowie kupcy śmieli się po cichu, bo łatwiej im było przylepić na szybie sklepowej zobowiązanie honorowe do spólnej krucyaty przeciw przemysłowi niemieckiemu, niż wrzucić do Wisły lub oddać na dobroczynność towary ze znakami fabrycznemi, robiącemi nam wrażenie jeża, wpuszczonego za koszulę. Myśleliśmy, że zleci się do nas cała Europa, objuczona towarami i odda je na kredyt bezterminowy; podobno księgarnie warszawskie w tych kilku tygodniach gorączki sprzedały mnóstwo rozmówek angielskich i francuskich, były żądane także hiszpańskie, czeskie, nawet greckie, mające służyć do porozumienia się z ajentami, stręczącymi nam bezpośrednio swoją czekoladę, machiny i rodzynki. Z wielkiej chmury, mały deszcz—zamiast całej Europy zgłosili się do nas osobiście tylko Czesi; inne narody jeszcze się namyślają a tymczasem każą sobie po dawnemu płacić z góry za każdą rzecz, nie wyrywając się z kredytem, jakim Niemcy chętnie służą. A jednak cały przebieg rozdmuchanej sprawy jest zupełnie prawidłowym,— inaczej być nie mogło; niepodobna żądać, aby Europa przemysłowa, dla której nasze potrzeby, gusta, nasza zamożność są wilkiem żelaznym, rzuciła się nam odrazu na szyję i pomogła do bojkotowania przemysłu niemieckiego; aby nie zbadała naszej własnej siły przemysłowej przed przystąpieniem z nami do związku. Jest to warunek prosty, naturalny i zrozumiały dla każdego kupca, ale ogół chce odrazu ślepego zaufania, chce odrazu z Europą, o tyle wyższą pod względem przemysłu od nas, ile wyższy jest Giewont od wzgórzy sandomierskich, żyć za pan brat. Nie doczekawszy się zaś wędrówki narodów i sprawdziwszy na liście hotelowej, że tylko kilku przemysłowców z nad Wełtawy zjechało nad Wisłę, zasępiliśmy się, pytając zdziwieni: „Tylko oni?“

Wizytę przemysłowców czeskich wyżej cenię, niż wizytę innych cudzoziemców, oddalonych od nas o setki mil. Przedewszystkiem nauczymy się od Czechów znać swoje, aby wiedzieć, co brać od obcych. Czech inteligentny wyliczy wszystko, co jego przemysł krajowy posiada; zna jak pacierz wszystkie fabryki, choćby położone na przeciwnym krańcu kraju, i daje zarabiać cudzoziemcom dopiero po gruntownem zbadaniu własnej wytwórczości, po obliczeniu wszystkich zysków i strat. A my znamy lepiej zagranicę, niż kraj własny, więc teraz szeroko roztwieramy oczy dowiedziawszy się, że posiadamy liczne fabryki, o jakich nigdy nie słyszeliśmy, że posiadamy nawet fabrykę, i to chrześcijańską, lalek, chociaż zdawało się nam, że tylko Norymberga je wyrabia i że na ten interes potrzeba koniecznie milionów.

Kolega nasz w „Gazecie Warszawskiej“, życzliwie witający gości czeskich, broni przemysłu krajowego przed ich usłużnością kupiecką, która z czasem może się stać dla nas pijawką, tak samo nienasyconą, jak pijawka niemiecka. Nawołuje przedewszystkiem do pamiętania o sobie, jak to Czesi czynią, więc nie radzi sprowadzać narzędzi rolniczych z zagranicy, jeśli pługi, brony, drapacze, walce, młynki, młockarnie i t. p., doskonałego gatunku, możemy nabyć w fabrykach własnych: w Białogonie, u Wolskiego w Lublinie, u Kochanowicza w Włocławku, u Lilpopa w Warszawie, u Sucheniego w Gidlach, u Ostrowskiego w Kole i t. d. Tak postąpiło Towarzystwo rolnicze w Mińsku litewskim: zerwawszy z przemysłem niemieckim, nie rzuciło się w objęcia innych cudzoziemców lecz najprzód zwróciło się do swoich; tak samo postąpił dzielny przemysłowiec, p. K. Skirmunt, i kilku innych. Czesi takich rozważnych patryotów więcej szanują, niż filoczechów, upieczonych na słomianym ogniu, chociaż od tych ostatnich mogą zarobić znacznie więcej.

Goście nasi, podług zapewnień korespondentów, należą do znanych firm w wielkim przemyśle czeskim, słuszną więc czyni uwagę kolega w „Kuryerze Codziennym“, że należało sekcyi handlowej przyjąć w swych progach gości, którzy przyjechali do nas nie na karnawał w lakierkach ale do spólnej roboty z zakasanemi rękawami. Dziwnie wygląda nieobecność ciała zbiorowego na posterunku i powierzenie wszystkiego do załatwienia kilku przemysłowcom naszym, którzy dobrowolnie przyjętą misyę spełnili jak mogli najlepiej. Co sobie przemysłowcy czescy pomyśleli, dowiedziawszy się, że w Warszawie obraduje grono kupieckie nad interesami miejscowemi, a jednak nie mieli szczęścia go poznać i zawiązać z nim gruntowniejszej narady o wzajemnej pomocy?

Na to odpowiadać nie chcę; niech mię wyręczy ten sam kolega, który, przyprowadzony do ostateczności obroną totalizatora przez warszawskie Towarzystwo wyścigów konnych, tupnął nogą, aż podłoga w redakcyi jęknęła, i rzucił komitetowi Towarzystwa w oczy: Ej! mości panowie; nie udawajcie głuchych, bo wiecie, co się dokoła was dzieje, wiecie, że protegujecie niegodziwość: wysyłacie członków swoich na zwiady za granicę, jak tam godzą szulerkę z moralnością społeczną! Piękna, czcigodna misya! Co znaczą perkaliki, płótno, machiny—cały przemysł miejscowy wobec

65

waszego zadania!" — Totalizator, zaatakowany ze wszystkich stron, chyba nareszcie kark skręci; po obosiecznej rozprawie z „Kaprysem", już się ledwie na nogach trzyma.

Czescy delegaci wszystkie spostrzeżenia swoje notują, pomimo, że posiadają pamięć doskonałą. Wróciwszy do hotelu po przedstawieniu nie rozprawiają o „Robercie dyable" operze, którą wysłuchali z przyjemnością w teatrze Wielkim, ani o kolacyi, tylko zabierają się do odczytywania notatek całodziennych i czynią nad niemi uwagi, chociaż na zegarze już dwunasta.

Po zwiedzeniu naszych restauracyj, cukierni, biur i innych miejsc, gdzie się gromadzi dużo ludzi, zanotowali, że inżynierowie czescy mogą dużo zarobić w Warszawie na urządzaniu wentylacyi, bo widocznie nie posiadamy specyalistów w tej gałęzi technicznej, skoro wszędzie jest zaduch a dym tytuniowy gryzie w oczy i drapie w gardle.

I nasi pobratymcy palą dużo, oszczędni nadzwyczaj, nie mogą sobie odmówić tej przyjemności, ale w domach ich, w lokalach publicznych, w biurach nie czuć tej wstrętnej woni, jaką tworzy dym tytuniowy, zmieszany z wyziewami kuchennemi i piwnicznemi. Ich budowniczowie pamiętają o wentylacyi tak samo, jak o oknach i schodach; u nas zaś wentylacyę zaprowadza się tylko na żądanie właściciela domu, ale budowniczego ona nie obowiązuje. O tej właśnie sprawie mówił dr. Polak na jednem z ostatnich posiedzeń Towarzystwa hygienicznego.

Szkodliwy nałóg palenia spopularyzował się u nas do tego stopnia, że ćmią papierosy i cygara kapuściane pod strzechą słomianą, w czeladniach, dworach i dworkach szlacheckich, w miastach u rzemieślników, urzędników i w wszelkiej innej sferze. Papieros, skręcony z bibuły i napchany suchą trawą, pali z zacięciem nawet pastuch, pilnujący trzody, chociaż to pędrak zaledwie odrosły od ziemi; pali otwarcie lub skrycie, w tym ostatnim razie idą z dymem stogi w polu, płoną chaty i wsie całe.

Podobno zawiązuje się towarzystwo przeciwtytuniowe, ale chyba niewiele ono wskóra, jeśli mu nie pomoże wychowanie dzieci i młodzieży; jeśli ojciec będzie podsuwał swoją cygarnicę synkowi, któremu jeszcze się wąsy nie sypią, naprzód żartami, a potem jakby swemu rówieśnikowi; jeśli palenie i zaciąganie się dymem tytuniowym uważanem będzie za akt dojrzałości, za upoważnienie do rozumowania o emancypacyi, polityce, literaturze, o wszystkiem, do czego potrzeba rozumu wytrawnego i doświadczenia. Na lud oddziaływa najlepiej przykład z góry; uwagi, zachęcania słowne, wykłady o marnotrawstwie i wstrzemięźliwości, jako cnocie, przebrzmią bez żadnego wpływu, jeśli człowiek inteligentny, przed którym wieśniak odkrywa głowę, proteguje w jego oczach ten nałóg; jeśli dzieciak i młodzieniec w mundurku szkolnym, na wakacyach, wstępuje do chaty po ogień do papierosa lub za fatygę wynagradza wieśniaka także papierosem. Nad tym przedmiotem toczyły się rozprawy w Towarzystwie hygienicznem, ale pomimo kanwy szeroko rozpiętej, nie wyhaftowano na niej ostatecznej konkluzyi: czy palenie tytuniu da się zupełnie wykorzenić, czy jest szkodliwe jak wódka i inne narkotyki? Potwierdzono tylko znane już z doświadczenia wyniki, że palenie nadużyte może doprowadzić człowieka do stanu niepoczytalności umysłowej, do neurastenii.

Zdaje się, że skutki palenia, jak we wszystkiem, zależą głównie od organizmu człowieka; czasem organizm wątły, jakim był naprzykład tytan roboczy i umysłowy naszej literatury, J. I. Kraszewski, może znieść bez odurzania umysłu ogromną dozę narkotyku tytuniowego. Palił on ciągle, fajki nie wypuszczał z ust, nie umiał trzech wierszy napisać bez tej przyjaciółki, dymu tytuniowego nie zamieniłby na zapach kwiatów, chociaż i kwiaty lubił mieć przed oczyma. Być może, że gdyby był wolnym od tego nałogu, zniósłby łatwiej katusze więzienne, na jakie go skazał Bismark; może nie poddałby się tak łatwo obawie, że jest ciągle przez władze pruskie ścigany, i nie skończyłby swej pielgrzymki doczesnej tak tragicznie, w ucieczce z San Remo do Szwajcaryi; może, ale któż to dziś sprawdzi? I szanowny prelegent, dr. Polak, zdrowiem, tryskającem z twarzy i całej postaci energicznej, zaprzecza teoryi o szkodliwości tytuniu, bo jest, o ile wiemy od jego kolegów, namiętnym palaczem, ale wyjątki nie stanowią reguły. Jak w atletyce są niezwyciężeni, tak samo we wszystkich czynnościach naszych; jednego dziesięć dzbanów wina nie pozbawi przytomności a drugiego kusztyczek miodu z nóg zwali; to samo i z nałogiem palenia. Jeśli nie można się go wyrzec zupełnie, jeśli nie przeszkadza do jasnego myślenia, nie denerwuje, nie rozleniwia, tylko miłem wrażeniem podnieca, to baczyć tylko na umiarkowanie i gatunek paliwa. Wyrostkom stanowczo zakazać tytuniu, młodzieży zaś nie wciągać, ani namawiać, ani się wyśmiewać z tych, których narkotyk przyprawia o ból głowy, drgawki i chorobę morską. Pożar z powodu papierosa lub fajki powinien być uważany za czyn karygodny, jeśli palacz, wiedząc, jaką szkodę wyrządzić może sąsiadom, chowa ogień w stercie zboża, między snopy w stodole i t. p., aby uniknąć skarcenia.

W prawodawstwie amerykańskiem istnieją paragrafy, stosowane do przestępców niepoczytalnych z powodu przenarkotyzowania organizmu; jeśli lekarze dowiodą, że zbrodniarz jest palaczem nałogowym, prawodawstwo dopuszcza okoliczności łagodzące. Na tej zasadzie uwolniony został niejaki Henryk Topping, który spełnił szereg kradzieży z włamaniem i morderstwem; lekarze zaświadczyli, że jest to osobnik ogłupiały z powodu nałogowego palenia papierosów. Palenie nadmierne może doprowadzić człowieka do szaleństwa najstraszniejszego: ofiarą nadużycia tego padł obywatel amerykański, Beniamin Davis, właściciel składu cygar w Rugby: dostał obłąkania, w którem zabił swą żonę i sobie odebrał życie.

Rozprawy w Towarzystwie hygienicznem przynajmniej doprowadziły do tego, że prawo powinno żądać od właścicieli zakładów publicznych, jadłodajni, piwiarni, biur, warsztatów, ogródków teatralnych i t. d. doskonałej wentylacyi, dla odpływu wyziewów tytuniowych ponad dachy, w obłoki, gdzie się wszystko filtruje. Jak sobie z tem Towarzystwo poradzi, to już jego rzecz, my dziękujemy mu za dobre chęci, brak zaś statystyki lekarskiej zastępujemy tymczasowo życzeniem kolegi Fryzego, który niegdyś w gawędce powiedział, że gdyby otrzymał monopol na robienie koszulek dla papierosów tylko z „Kuryera Porannego", stałby się wkrótce miliarderem. Życzę szanownemu koledze, aby mu się udało uzyskać ten przywilej przed upływem dwudziestopięciolecia jego pisma, bo wówczas karty pamiętnika jubileuszowego, który ma być zwierciadłem najdoskonalszem ćwierćwiecza i skarbnicą literacko-artystyczną, będą ze szczerego złota, a litery brylantowe. Ale i pamiętnik, wydany na zwykłej bibule, jeśli monopol nie dopisze, przyjmiemy życzliwie i dziś zapowiadamy go, zgodnie z wolą redaktora, chociaż o „Herbarzu jubileuszowym Biesiady Literackiej", wydanym w dwudziestopięciolecie jej żywota, nie wspomniał wcale „Kuryer Poranny", ostrowidz, przed którym nie

ukryje się nietylko wielkie dzieło ale nawet tak drobne jak guziczek u rękawiczki lub jeszcze mniejsze: źdźbło w oku bliźniego. Przyznaję, że ostrowidz ździeboł i w swojem oku nie oszczędza, a ma tyle odwagi, że, znalazłszy w niem nawet belkę, nie udaje, że jest bez winy. Monopolem moim jest nieupominanie się o wzmianki pochlebne, więc i teraz nie wymawiam zapomnienia, tylko składam dowód swej bezstronności.

Niech się szanowny kolega nie gniewa, że mu zabieram wiadomość, która należy właściwie do jego pisma, wszystkowiedzącego, ale usilnie mię proszono, abym ją umieścił w Biesiadzie, bo tą drogą dojdzie do winowajców.

Przed kilku tygodniami zachorował nagle służący w sklepie „Stowarzyszenia spożywczego służby przy drodze żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej", Adam Kurczewski, mieszkaniec ulicy Chmielnej nr. 108, mający żonę i dwoje drobnych dzieci. Pierwsze objawy hydrofobii wystąpiły d. 18 stycznia a jeszcze w d. 26 trzymany był w domu. Chory stał się niebezpiecznym dla otoczenia, więc żona wynajmowała do pilnowania go trzech stróżów, którym płaciła po dwa ruble dziennie, pożyczone i wyżebrane od biednych sąsiadów i zamożniejszych dobrodziejów. Stróże owi, gdy jednego z nich Kurczewski ugryzł w palec, skrępowali chorego i w tym stanie przeleżał dni ośm.

Podobno chory, gdy był młodym chłopcem, został pokąsany przez psa wściekłego, ale lekarz kolejowy zaopiniował, że to wskutek bezsenności dostał obłędu umysłowego. Opinia lekarza zasługuje na zupełną wiarę, ponieważ Kurczewski, używany do robót najcięższych, opuszczał sklep o północy a o czwartej rano już musiał być na stanowisku.

„Są to fakta przeze mnie sprawdzone—kończy swój list sz. korespondent, który był jednym z dobroczyńców biednej rodziny.—Człowiek, dotknięty straszną chorobą, śród społeczeństwa, które się uważa za cywilizowane, przez ośm dni nie może znaleźć innej pomocy nad tę, iż go powrozami po barbarzyńsku krępują!"

Nie rozwodząc się nad tym wypadkiem bolesnym, odstępujemy kuryerom, posiadającym niezmordowanych wywiadowców, dalszy ciąg sprawy, a mianowicie zbadanie, co się stało z nieszczęśliwym? Dodajemy od siebie konkluzyę, że wyzysk istnieje i to w takiej zamożnej i wielkiej instytucyi jak kolej Warszawsko-Wiedeńska, skoro bezsenność na służbie doprowadza do szaleństwa, i że za mało piszemy o miłosierdziu, za dużo zaś o zabawach.

Przecież posiadamy „Pogotowie ratunkowe", „Towarzystwo opiekujące się nerwowymi", „Instytut szczepienia wścieklizny", a biedna kobieta ani jej sąsiedzi nie wiedzieli, dokąd się udać. Wędrowała od szpitala do szpitala i wszędzie dawano stereotypową odmowę: waryatów, ani wściekłych nie przyjmujemy. Tak jest—za mało piszemy o tem, co obchodzi nieszczęśliwych, a za dużo o balach, rautach i strojach.

. . . .
Sęp.

MARYAN GAWALEWICZ

DZIWOLĄGI

POWIEŚĆ

8)

Wielkosz nie zwracał uwagi na słowa malarza; zajęty był swojemi myślami, które daleko odbiegły od chwili obecnej i od jego otoczenia, pomknąwszy aż w tę zamierzchłą przeszłość, w której na beczkach miodu i małmazyi wypalano jeszcze marszałkowskie herby jego praszczurów i do starych piwnic sprowadzano wina z pamięcią o przyszłych pokoleniach.

A dziś, on, prawnuk tych prochów pradziadowskich, dawno zbutwiałych w familijnych grobach pod kościołem w Trzymaju i na cmentarzu zastawskim, zamiast złotym płynem w szklanicach ucieszyć oko i spełnić toast na cześć swoich przodków, schodził do lochów przez nich zapełnionych, przeliczać gąsiory i beczki, aby je sprzedać żydom i resztką dawnej świetności łatać poszarpaną fortunę.

Na to oni zbierali, aby on rozpraszał... Do tego doszło po całych wiekach, aby ostatni potomek zacnego rodu szukał ratunku od zupełnej ruiny w piwnicy ojcowskiej, w której sycono dla niego miody na wesele, odstawiano flasze „na vivat" w nadziei, że huczne biesiady w gronie przyjaciół, sąsiadów i krewnych Wielkoszów zapełniać będą, jak ongi, gościnny pałac, błyszczący w całej okolicy nie tylko splendorem magnackiego domu, ale powagą, wpływem i wziętością śród braci szlachty...

A dzisiaj wszystko to rzeczywistość przeinaczyła; dziś dziedzic ich nazwiska, majątków, tradycyi, jak bankrut nad przepaścią, zobaczył się otoczony błyszczącą nędzą i zadawał sobie pytanie:

— Dlaczego aż do tego dojść musiało?...

Z głębi duszy odpowiadał mu głos:

— Dlatego, żeś ty doprowadził!... przez swoją lekkomyślność, nieprzezorność, marnotrawstwo, przez życie nad stan, przez młodość, zmarnowaną zagranicą, przez głupią ambicyę imponowania na obczyźnie, przez uciekanie z domu i kraju od obowiązków, które na tobie ciężyć były powinny!... Pasożytem byłeś i trutniem, który pustoszył ul rodowy i zjadał miody, przez przodków zbierane,—dobrze ci tak! Wstyd i upokorzenie znalazłeś na dnie, dobrze ci tak!... Jeśli cię jaki cud nie uratuje, pójdziesz z torbami i własną ziemię będziesz musiał w obce oddać ręce,—dobrze ci tak!

I wydawało mu się, że te pękate, marszałkowskie beczki garbią się, jak nasrożone bestye, że te flaszki i gąsiory wydłużają zielone, opleśniałe szyje i jak gady zaczynają syczeć, chwiać się w powietrzu, sięgać ku niemu i żądła wystawiać, aby go pokłuć za karę; że te sklepienia piwniczne zniżają się i marszczą, jak olbrzymie skrzydła nietoperzy, chcąc go przykryć i przytłoczyć sobą.

Przez chwilę zrobiło mu się duszno w piersiach i w oczach ciemno; jakaś niemoc go opadła, jakiś dreszcz przechodził po nim.

Przymknął powieki i oparł się o beczkę pradziadowską, wypuszczając z ręki latarkę, która z brzękiem upadła na ziemię.

Trojdanowicz, który, pomimo odgrażania się, że wyjdzie, pozostał jeszcze w piwnicy, upatrując sobie jaką buteleczynę, aby jednak z próżnemi rękoma nie wracać na

66

górę, spojrzał na Romualda i, zauważywszy tak wielką zmianę w jego twarzy, podszedł do niego, wziął go za ramię i spytał:

— Co to, dziedzicu?... słabo się panu zrobiło?...

Wielkosz otworzył oczy, oprzytomniał szybko i, nie chcąc się zdradzić wobec obcego człowieka, przemógł chwilową niemoc, spróbował nawet uśmiechnąć się i rzekł:

— Cóż znowu!...

— Boś pan pobladł, jak kreda; może dziedzicowi do głowy uderzyły te aromaty?...

— Nie... wcale nie... tylko...

Antoni, podnosząc latarkę, z pod oka spoglądał na panicza i odezwał się mrukliwym głosem:

— Bo to nie trzeba po nocy wędrować; tu powietrze niedobre, a jaśnie pan to jak panienka słabiutki... O tej porze w łóżku trzeba leżeć i spać!... Kto zdrowia nie szanuje, ten na starość pomstuje. No, niema tu co więcej robić!... Widział panicz, że wszystko stoi na swojem miejscu i stać będzie, da Pan Bóg, póki Zastawy nasze. A żydy, psiawiary, niech się obliżą!... Żeby tak na mnie, tobym wolał wszystko szkło tutaj potłuc, beczki powypuszczać na ziemię, błoto z tego zrobić a nie dałbym, nie dał handełesom!... nie dałbym, jak mnie panicz żywego widzi.

Mrugał powiekami, dreptał po lochu, markotny, zły, stary zrzęda, korzystając z praw wiernego sługi, który od trzeciego pokolenia dzielił losy jaśnie państwa i uważał się za należącego do rodziny.

Poszedł w kąt pomiędzy butelki węgrzyna, wybrał z nich najmniejszą i najmłodszą z wyglądu śród posiwiałych staruchów i, pokazując ją Trojdanowiczowi, rzekł:

— No, to dla pana, do poduszki, ale teraz to już pora spać!...

I, nie czekając rozkazów, wyszedł pierwszy, brzękając kluczami a za nim podążył artysta i Romuald z głową spuszczoną, chmurny i milczący.

Malarz przekomarzał się jeszcze z Antonim, domagając się większej butelki i zapowiadając mu, że klucze od piwnicy zabierze teraz do siebie, bo przy takim piwniczym wina się w ocet jeszcze gotowe zamienić.



Ze zbiorów Adama Pługa.

JÓZEF BOHDAN ZALESKI
SŁOWIK UKRAIŃSKI

„Święć się, chwilo, gdy wcielona
Fantastycznych krain córa,
Czarodziejka lekkopióra,
Sama zbiegła w me ramiona.“

Gdy wyszli na górę i wrócili do pokoju stołowego, Wielkosz podał rękę Trojdanowiczowi na pożegnanie.

— Pan pewnie już do siebie?... Antoni panu przyniesie wino i kieliszek. Dobranoc!...

— A dziedzic na pogawędkę nie zajdzie?

— Chyba nie; mam jeszcze listy pisać.

Malarz się skrzywił; nie uśmiechała mu się nocna uczta w samotności, chociażby nawet przy omszałej buteleczce tajemniczego nektaru, po którym obiecywał sobie niezwykłych rozkoszy.

Po poobiedniej drzemce czuł się wywczasowanym i gotów był całą noc przesiedzieć teraz swoim zwyczajem, pykać krótką fajeczką bretońską, cykać smaczne wino i gadać, co mu ślina na język przyniesie.

— Ha, to dobranoc!—mówił z rezygnacyą—uważam, że dziedzicowi jakoś mina zrzedła. Żal się panu zrobiło piwniczki, prawda?... Przyznaj-no się pan!... Ja bo się zakochałem w tych antałkach i gąsiorach; jeżeli jeszcze pocałuję się z tą prawnuczką — dodał, wskazując butelkę, stojącą na kredensie—i wycmoktam ją do poduszki, to wiesz pan?... położę się na progu i Feigusa pańskiego nie dopuszczę do lochów, chyba po moim trupie. A Antoni położy się ze mną!... prawda Antoni?...

Śmiał się, lecz dobry jego humor nie udzielał się Wielkoszowi.

Rozeszli się każdy w swoją stronę; służba pogasiła lampy i tylko do późnej nocy w trzech oknach pałacu świeciło się jeszcze, u Antoniego w izdebce przy kredensie, w pokoju gościnnym u Trojdanowicza i w sypialni Romualda.

Stary sługa z różańcem w ręku siedział, do połowy rozebrany, na łóżku i, odmawiając pacierze, smutnemi oczyma patrzał w przestrzeń zadumany i sposępniały; artysta leżał na otomanie z fajeczką w zębach i marzył, sięgając co pewien czas po kieliszek z złotawym węgrzynem, rozkoszując się wytwornym jego smakiem i bukietem,—Wielkosz chodził po pokoju, paląc jednego papierosa po drugim i opędzając się rojom myśli i wspomnień, które go opadały i spokoju mu nie dawały.

Ani się spodziewał, że te nocne odwiedziny w piwnicach pałacowych wzburzą go tak głęboko i wykoleją do

reszty z równowagi moralnej; nadczuły organizm nerwowca uległ wrażeniu, które potrąciło najczulszą strunę w jego sercu, strunę ambicyi rodowej.

— Wielkosze giną!—powtarzał sobie—Wielkosze marnieją, dymu i popiołu po nich nie zostanie, i to tylko przez ciebie!... Nadrabiasz miną, podnosisz głowę, udajesz, że się trzymasz jeszcze a świecisz tylko próchnem. Co będzie?... no, co będzie jutro, pojutrze, gdy się już wszystko wyczerpie i runie?... Sentymentalnym się robisz po niewczasie na widok starej beczki po pradziadku i resztek wina z wesela rodziców a wtedy, gdy należało, nie umiałeś czuć i myśleć jak uczciwy człowiek, jak obywatel, jak ostatni z Wielkoszów. Bydlę jesteś!...

Wymyślał sobie i robił spóźniony rachunek z przeszłości, której ani cofnąć, ani naprawić już nie było sposobu.

Na drugi dzień o południu jeszcze story w jego sypialni były spuszczone.

Trojdanowicz obudził się z głową ciężką, z niesmakiem w ustach, skrzywiony, jak półtora nieszczęścia po nocnej libacyi sam-na-sam; nie chciało mu się wstawać i ubierać, przestraszała go myśl, że po południu trzeba będzie z wizytą jechać do Tarnowic, jeżeli Romuald w ostatniej chwili zamiaru swego nie cofnie.

Na stoliku stała wypróżniona butelka po starem winie, które wysączył do ostatniej kropli, zawierzając zanadto swej mocnej głowie i doświadczeniu w „spuszczaniu wszelakich alkoholów“.

Patrzał na omszałą butelczynę opuchniętemi oczyma i myślał:

— Głupia sprawa!... taka karlica a z nóg mnie ścięła. Ani rączką, ani nóżką!... Widział to kto?... Ale dobra była bo dobra!... Co to musi być dopiero za kordyał w tych innych czubajkach!...

Mlasnął językiem i uśmiechnął się na wspomnienie lochów zastawskich.

— Z tym Wielkoszem to jednak musi być krucho:— mówił sobie, założywszy ręce pod głowę i wyciągając się na łóżku, że aż mu stawy trzeszczały—niby to pan, niby magnat a piwnice sprzedaje. Hm!... Taki handel robi się chyba na samym ostatku, jeśli już nic do facyendy nie zostało. Hm, hm!... dziwna historya. W stajni ma jeszcze konie wyścigowe, ale, co prawda, kulawe; w pałacu służby się kręci hurma, jak na jakim książęcym dworze, ale liberya na nich już wyszarzana i guzików herbowych brak u kamizelek. Po jakiego licha tylu fagasów i darmozjadów?... Salony, że po nich karetami jeździć, nie otwierane całemi miesiącami. Psiarnia, że od szczekania ogłuchnąć można, a tylko pchły na niej używają!... Piwnica, jak muzeum starożytności, a on sobie mleczko pije. No, dalibóg, nic nie rozumiem! Feigusy z nim na konszachty się zamykają a kamerdyner mu morały prawi; ja mu nie wiem po co na karku siedzę i psy jego portretuję. Dziwoląg, jak Boga kocham!...

Zamknął oczy i ziewnął szeroko, długo, przeciągle, wykrzywiając twarz w pocieszny sposób i wykręcając się na łóżku, jak paragraf; to klasyczne ziewnięcie przerwało mu w połowie pukanie do drzwi.

— A tam kto?...—spytał ochrypłym jeszcze głosem.

Z zewnątrz dało się słyszeć jakby sapanie dzika i astmatyczny oddech, przerywany krupiastym kaszlem.

— Można?... nie przeszkodzę?... Pan Trojdanowicz pozwala?—odezwał się fistułowy głos z jakąś pokorną uprzejmością i pod ciężką widocznie ręką zaskrzypiała naciśnięta klamka.

— A, książę?... ależ proszę!...

Drzwi otworzyły się na całą szerokość i w progu ukazała się postać oryginalna, wypełniająca sobą niemal całą przestrzeń futryny; niezwyczajnie otyły, zaokrąglony ze wszystkich stron, ogromnej tuszy mężczyzna wtoczył się do pokoju i ciężkim krokiem, na grubych nogach, uginających się jakby pod ciężarem olbrzymiego tułowiu, podszedł do leżącego artysty.

— Witam księcia pana!—zawołał Trojdanowicz, wyciągając ku przybyłemu swą białą, chudą rękę, wobec której prawica gościa wydawała się bezkształtną bryłą, czemś w rodzaju dużego, różowego żółwia, o pięciu krótkich, grubych nieruchomych ogonkach, mających przedstawiać palce.

— Pan wybaczy,—rozpoczął książę głosem miękkim, wysokim, tworzącym krańcową sprzeczność z tą imponującą masą cielska i baniastą figurą, z której jak z kościelnego dzwonu spodziewać się można było spiżowych, nizkich tonów—pan wybaczy, że zachodzę tak bez wszelkiej ceremonii, ale... przyjechałem już od dwóch godzin blizko... i nikogo... nikogo w całym domu... oprócz służby nie zastałem na nogach. Bez przymówki... to już południe!...—mówił, przerywając sobie krótkim oddechem i łapiąc wyrazy, które mu jakby przez zatłuściałe gardło przecisnąć się nie mogły.—W Zastawach, co prawda, słoneczne... słoneczne zegary nie obowiązują!—dodał z uśmiechem na okrągłej, szerokiej twarzy o trzech podbródkach i dziwnie skąpym zaroście, którego rzadkie kępki dobrze już posiwiałe, zaledwie znać było nad ustami i nad oczyma w miejscu, gdzie kiedyś może zakreślała się brew foremniejszą zapewne linią.

Sapiąc i oddychając ciężko, rozglądał się po pokoju, jak gdyby upatrywał dla siebie dość mocnego i należycie szerokiego sprzętu, na którym mógłby bezpiecznie złożyć centnary swojego ciała.

(D. c. n.)

SŁOWIK UKRAIŃSKI

W setną rocznicę urodzin Józefa Bohdana Zaleskiego

„Duch mój w Tobie spocznie, Panie!
A dla ziemi u mogiły
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mnie wznosiły.“

Tylko „kilka piórek“ pragnął po sobie zostawić na ziemi poeta z Bożej łaski, niedościgniony w wirtuozostwie, w muzyce słowa liryk, nazwany przez Mickiewicza „słowiczkiem“ — Józef Bohdan Zaleski. Wieszcz, który przez całe swoje, nigdy i niczem nieskalane życie pragnął tylko „patrzeć w słońce jasne“, któremu „wiara piastunką była białoskrzydłą“, który w miłości gorącej ku ziemi rodzinnej „uwięził serce swe za młodu“ i niósł pieśń swoją „od rodu do rodu, póki świata, i słońca, i jego narodu“—ten wieszcz już w pierwszych chwilach natchnienia marzył zaledwie o takim drobnym śladzie swej tułaczki doczesnej.

I pozostały „piórka“, ale uronione przez orła, który wzbijał się w przestworza i szczyty górskie obierał sobie jako siedlisko. Wiatr ich nie rozwiał po wszem świecie, czas nie starł z nich puchu, lśniącego przepięknemi barwy, a chociaż wrogie, mroźne wiatry dęły w stronę mogiły poety, nie zdołały one zetrzeć tego puchu, ani też zbrukać barw promienniejszych. Puściznę po Bohdanie Zaleskim złożyliśmy w skarbcu tak silnie obwarowanym i tak niedostępnym dla serc zimnych i obojętnych na czar słowa poetyckiego, że ostrze pocisków kruszyć się musi wobec siły chroniących całości wrzeciądzów. Był czas, na szczęście przejściowy, że „słowiczka“ pozbawić chciano tego miana, że chciano tego śpiewaka Matki Boskiej zapędzić, jeżeli nie pomiędzy wróble ćwierkające, to, co najwyżej, pomiędzy wilgi i kosy. Dowodzono, że sposób pisania Józefa

Bohdana Zaleskiego trąci manierą, że tęsknota poety za Ukrainą wydaje się nieszczerą, że w całej twórczości autora „Przenajświętszej Rodziny“ i „Ducha od stepu“ jest tylko ta śpiewność, ten rytm, który olśnił nawet tak wytrawnego znawcę, jakim był twórca „Pana Tadeusza“. Odpowiedź na te zarzuty znajdziemy w „Kalinowym moście“ Bohdana:

„Ho! panowie moi młodzi!
A przy czyjej to mogile
Zawodzicie pląsy miłe?
Czyja pieśń wam gody słodzi?
Dla was wszystko to niczyje!...“

Bohdan Zaleski śpiewał jak ptaszę, snuł nić złotą pieśni nie dla oklasku tłumów lub dla sławy potomnej; przeciwnie, sam siebie oceniając bardzo surowo, wołał, jak psalmista pokutujący:

„Jam pasożyta, Panie mój, o Panie,
Wysuszam zboże. Cóż się ze mną stanie?
Panie, uklękam, kalam w proch oblicze
Dziedzic grzeszników i występnik stary.
Jam twoją łaskę zmarnował—i dary,
Nie miałem zasług, zasług też nie liczę.“

Wolno było poecie mieć o sobie mniemanie tak bardzo skromne, tak przepojone głęboką wiarą i pokorą, które zawsze cechowały tego piewcę na wskroś chrześcijańskiego; ale nie wolno nam potomnym ani na chwilę wahać się w uznaniu i hołdzie, jaki przynależy Bohdanowi Zaleskiemu. W dniu 14 lutego upłynęło sto lat od owej chwili, gdy we wsi ukraińskiej, Bohaterce, w pobliżu Białocerkwi ujrzał światło dzienne poeta. Słusznie skorzystano z tej pamiętnej rocznicy, ażeby przypomnieć piękną postać starca, który przedstawiał najdłużej na świecie świetne chwile blasku poezyi polskiej. Józef Bohdan Zaleski przeżył wszystkich rówieśników swoich, przebolał straty najmilszych sercu druhów: Mickiewicza, Goszczyńskiego, Witwickiego, Odyńca, ks.ks. Kajsiewicza i Koźmiana. Kiedy, jako starzec 84-letni, pozbawiony wzroku i słuchu, schodził w r. 1886 do mogiły, był ostatnim z tego świetnego szeregu gwiazd, które tak długo i tak pełnym blaskiem świeciły na niebie piśmiennictwa naszego.

„Z tysiąców, co tu huczały,
Kilku się starców zostało
Ku straży czci ich i chwały.“

Tak wołał poeta na kilkanaście lat przed śmiercią, w końcu życia pozostał jednakże tylko sam jeden, ale do ostatniego tchnienia czuł się owym wartownikiem, trzymającym straż na placówce czci i chwały tych, którzy go uprzedzili w drodze do wieczności. Rwał się do pieśni Zaleski, on, który mówi o sobie „z teorbanem wyrósł ja i pieśń żywą połknąłem“ i który „lutnię swą najświętszej oddając opiece“ błagał: „niech śpiewam, śpiewam aż z ciała wylecę“. Ale pieśń ta nie przychodziła na zawołanie, przejścia ciężkie, nieszczęścia, dotykające innych, zbyt silnie oddziaływały na wrażliwy umysł, a zwłaszcza serce poety, który rzadko już przypominał się spółbraciom.

Spółbracia nie zapomnieli jednak o słowiku ukraińskim i uroczyście święcili dzień, w którym sędziwy, białą jak mleko brodą ozdobiony, lirnik ukraiński wkraczał w dziewiąty krzyżyk swego życia. „Nie moja w tem zasługa,—rzekł wówczas Bohdan Zaleski do składających mu hołd powinny—że Bóg pozwolił mi urodzić się w czasach, kiedy prąd poezyi powiał nad krajem naszym i potrącił także o mnie.“ Kto zna żywot cały poety, kto wie, że Bohdan Zaleski miał zawsze w sobie, jak mówi biograf jego, prof. Mazanowski, gołębią szczerość i prostotę, ten w słowach starca nie doszuka się ani cienia obłudy. W głębi duszy miał Bohdan Zaleski złożone skarby melodyj tęsknych, rzewnych, dźwięcznych i „jakichś, dziwnie uroczystych i świeżych“ obrazów, pełnych powabu, ujmującej krasy, naturalnego wdzięku, który „tchnie wiosną, zachwyca, jak słowik u zapłonionej jabłoni, jak rozmarzający poranek“. Poeta nie zdawał sobie jednakże sprawy z tego bogactwa, śpiewał, tworzył, bo to było potrzebą jego duszy. Ot! „prąd powiał“, nic więcej, i ten prąd sprawił, że Zaleski jak Chopin władał melodyjnemi dźwiękami wyrazów, że „rozlewał je w kaskady, rozwijał w coraz nowe zwoje i wstęgi, czarując delikatnością smaku i dziewiczą prostotą“.

Mylą się też ci, którzy w tych „dumkach“, „szumkach“, „pyłkach“, jakie hojną dłonią rozsiewał poeta, doszukują się maniery i sztuczności. Przeciwnie, Zaleski szukał zawsze tylko zdroju szczerych i czystych natchnień. I dlatego właśnie pieśń jego „nie przekwitnie, jak nie przekwita niebo, serce, wiosna“.

U nikogo też może utwór poetycki nie jest tak wiernem odbiciem duszy i życia, jak u Zaleskiego. Powołanie swoje jako poety słowik ukraiński pojął najidealniej i „w czynach, i w mowie był zawsze najdoskonalej w zgodzie z tem, co śpiewał, cudze nieszczęścia brał żywiej do serca, niż swoje, Boga i ludzi kochał więcej, niż siebie, zachował nieugiętą stałość w poczciwych zasadach i wiarę“. Przyglądając się też bliżej pięknej postaci poety, musimy przyznać słuszność autorowi źródłowej pracy o Józefie Bohdanie Zaleskim, gdy mówi, że nie wiadomo, co w nim jest sympatyczniejszego i milszego: czy ta poezya szlachetna, czy też życie, pozbawione wprawdzie nadzwyczajnych i efektownych przygód i heroizmów, lecz zawsze bez skazy i poetyczne, jakby samo w sobie było poezyą.

W zaraniu życia pozbawiony był Bohdan czułej opieki macierzyńskiej. Ojciec, podobno poeta w duszy, ubogi szlachcic, nie umiał uporać się z kłopotami i wychowywać liczne, aż z 13-tu głów złożone potomstwo. Małego Bohdana oddał też ciotce, w której domu niewesoło bynajmniej biegły dni i lata przyszłemu poecie. Wrażliwy, czuły chłopiec płakał często na widok matek, pieszczących swoje dzieci, bolał nad sieroctwem swojem. Za „rozrywkę“ poczytał też sobie, gdy go oddano do szkółki elementarnej w Kaniowie. Bawił tu jednak niedługo. Nabawiwszy się jakiejś ciężkiej choroby skórnej, musiał Bohdan opuścić szkołę i pojechać do sławnego znachora, Zuja, włościanina zamożnego w Czuczynce nad Dnieprem. Tutaj, u stóp Iwanhory, żył pospołu z kmiecą rodziną przez 18 miesięcy, a niewątpliwie ten pobyt wywarł niezatarty niczem ślad w umyśle poety. Wiatr stepowy, bujna roślinność Ukrainy, pieśni lirników, opowiadania starców — wszystko to napoiło duszę Bohdana Zaleskiego owym czarem poezyi, który odtąd owładnął nim zupełnie. Jeszcze w r. 1845 marzył poeta o powrocie nad Dniepr, do Czuczynki. „Jeśli Bóg da wrócić—pisał w liście do przyjaciela—osiądę tam najchętniej. Cuda się tam ongi działy z ośmioletnim dzieckiem. Tam zasłyszałem i chór aniołów Bożych, i Hetmańską Dumę prosto z ust ostatniego może teorbanisty. Tam poczułem się piewcą ukraińskim i po dziś dzień żyję tem jeno, com stamtąd zapamiętał.“

Czuczynki nie zapomniał poeta nigdy, „leżała mu w sercu pod pieczęcią i wciąż wracał tam pamięcią“.

(D. n.)

ORLA PERĆ W TATRACH

Wiele już pisano o możliwości perci graniami Tatr polskich. Czy przyjdzie ona kiedy do skutku? Towarzystwo tatrzańskie odroczyło tę sprawę niestety *ad calendas graecas* w przeświadczeniu, że to rzecz niemożliwa, względnie zbyt kosztowna.

Za mało zna się poprostu szlak ten orli, a przecież jest on niewątpliwie najpiękniejszy na całym obszarze ziem polskich a do tego w pięciu szóstych częściach wcale przystępny. Dziś nawet przewodnicy słabe zaledwie mają o nim wyobrażenie, a jednak, im więcej wprawnych „taterników” zwiedzać go będzie, zamiast tracić czas i pieniądze w Tatrach węgierskich, im częściej opowiadać się będzie o rzeczywistym stanie tej drogi czterodniowej, im szerzej rozstawi się widoki, jakie nastręcza, nie ustępujące najwspanialszym widokom z Tatr węgierskich, tem więcej będzie nadziei, że założenie orlej perci przejdzie z zakresu rojeń w sferę czynu.

Niech mi przeto wolno będzie opisać ten szlak pokrótce.

Początek perci jest u stóp Wołoszyna. Praktyczny wędrowiec przenocuje w Roztoce i stąd rychło świt podąży na polanę „pód Wołoszynem”, przekraczając nowy gościniec niedaleko przed wiaduktem. Tu pożegna się ze znaną percią, wiodącą przez polanę waksmundzką do Jaszczurówki, a zwróci się około szałasu (zamieszkanego przez juhasów) ku Wołoszynowi. Istnieje tam dobrze wydeptany wygon, którym pędzą bydło na pastwiska halne. Korzystając zeń, przebędzie turysta zasiąg lasu i kosodrzewiny, natknie się na kilka limb wspaniałych, a turnie drogę zagradzające ominie po prawej stronie. Tu ze żleba na prawo posłyszy szmer wody i dobrze zrobi, jeśli góralowi poleci jej zaczerpnąć, bo poźniej nieprędko dobije się do źródła. Wygon zwęża się coraz bardziej, staje się percią, a wreszcie gubi się na hali. Stąd jednak widać już grań wyraźnie i w niedługim czasie po trawiastem lubo nieco stromem zboczu wychodzi się na nią (w 2 godziny co najwięcej po wyruszeniu z Roztoki).

Widok, jaki się z grani wędrowcowi przedstawia, opłaca sowicie niewielkie trudy dotychczasowe. Stając plecami ku grzbietowi Wołoszyna, ma się na prawo dolinę Roztoki z huczącemi gdzieś w dole wodospadami Mickiewicza i z przepyszną panoramą Tatr środkowych i wschodnich. Wprost siebie zagłębia się oko w zielonym puchu lasów smerekowych, pokrywających dolinę Białej Wody i stoki Holicy, a dalej w tyle podziwia charakterystyczną piramidę Hawrania, zgarbionego staruszka Płaczliwego i łańcuch Tatr spiskich. Na lewo ma się pod stopami stok Wołoszyna ku dolinie waksmundzkiej, za nią Kosistą, zakończoną Gęsią Szyją, a w dali lasy i wioski Podhala.

Warto usiąść i nacieszyć się takim widokiem, tem bardziej, że trudno ręczyć, czy duchy gór zazdrosne o swe tajniki nie zjawią się w tumanach mgły i nie ukryją szczytów przed okiem profana.

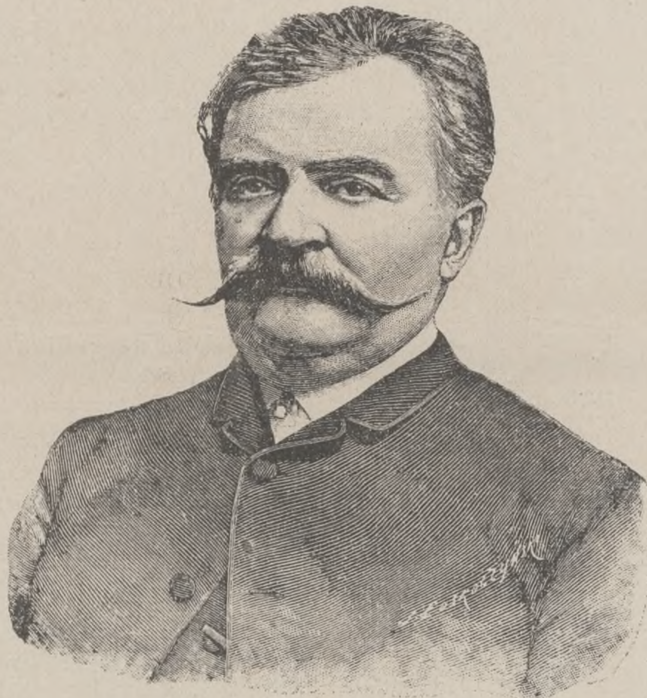
Sześć godzin mniej więcej potrzeba, aby stąd granią Wołoszyna dojść do Krzyżnego, ale są to godziny ciągłego zachwytu, bo grań, opisując olbrzymie półkole i wyginając się w różne strony, pozwala oglądać wszystkie wirchy tatrzańskie i to pod coraz innym kątem. W kilku miejscach grań staje się niewygodną do przebycia, ale obejść ją można łatwo po stronie doliny waksmundzkiej, a raz jeden po stronie Roztoki. Na dolinie waksmundzkiej zrobiłem spostrzeżenie, co znaczy brak ludzi w górach. Jeszcze w r. 1900 był tam szałas, a przy nim mnóstwo bydła i owiec, ale za to ani jednej kozicy; w r. 1901 szałas zwinięto i—znalazło się zaraz stado, w którem naliczyliśmy 9 kozic! Nie krępowały się tem wcale, że zostawiono na paszy parę koni i gromadkę owiec pod komendą ciekawego barana-prowodyra; nie było ludzi, więc się nie bały. Czyżbym zachętą do zwiedzania Wołoszyna miał ponownie wypędzić na Węgry te wdzięczne i zwinne stworzenia? Nigdybym sobie tego nie darował, dlatego proszę, aby ci wszyscy, którzy nie mogą powstrzymać się od krzyków i hopkowania, poprzestali na reglach lub Czerwonych Wierzchach, a milczące turnie pozostawili „oniemiałym” z podziwu wielbicielom Tatr, orłów, kozic i świstaków. Jakto? czyż nawet w Tatrach niema być zupełnej swobody? Owszem, jest w całej pełni, ale—powinna się kierować rozsądkiem i miłością Tatr. Wszak zgoda?!

Dwie głębokie przełęcze tworzy grań Wołoszyna, czyniąc z grzbietu góry coś w rodzaju olbrzymiego wielbłąda dwugarbnego. Od drugiej przełęczy wchodzi się na główne szczyty Wołoszyna i niemi w krótkim czasie dochodzi się do Krzyżnego. Ktoby chciał skrócić sobie drogę i obejść grań od północy, natknie się na żleb głęboki i nieprzystępny ze szczątkami śniegu i będzie musiał rad nie rad wznieść się ku grani, bo tam tylko ów żleb jest łatwy do przebycia. Zresztą cała droga, lubo tak długa i po turniach, nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa, chybaby go kto szukał umyślnie w straszliwych przepaściach od strony Roztoki.

I otóż Krzyżne!

Zbyt często opisywano przecudny widok z Krzyżnego, więc się nad nim rozwodzić nie będę, lecz zapraszam do posuwania się dalej orlą percią przez Buczynowe Turnie. Groźnie wyglądają one z północy, od strony południowej jednak łatwo je przebyć po upłazach trawiastych dochodzących aż do grani. Kto idzie bez hałasu, może tu podejść zblizka pasące się kozice. Za godzinę dochodzi się z Krzyżnego do punktu, od którego grań wychyla się ku północy, aby się złączyć z Granatami i opisać szerokie półkole nad Buczynową doliną. Jest tu żleb stromy, w grań się wrzynający o tyle, iż możnaby go przebyć łatwo tylko przy pomocy kilku klamer wbitych, obecnie zaś dałby się może z biedą sforsować przy pomocy lin i zręcznych przewodników. Przestrzegam, by żlebem tym nie spuszczać się ku północy, bo sięga aż do doliny Pańszczycy i jest coraz dzikszy. Na lewo natomiast jest żleb poboczny w stronę zachodnią, którym łatwo się spuścić, aż się złączy ze żlebem głównym. Stąd w dwojaki sposób można zejść na dół: albo ramieniem turni na prawo od żlebu w kierunku południowo-zachodnim, albo też wprost żlebem głównym, jeśli ma dość śniegu.

Wybraliśmy to ostatnie, bo o większej praktyczności szlaku pierwszego przekonaliśmy się dopiero po przebyciu śniegu. Zbita piarga drobna w żlebie okazała się tak śliską, iż zsunąłem się po niej kilka metrów; wystarczyło jednak rozkrzyżować ręce i nogi, by się zatrzymać i dopomódz towarzyszom. Olbrzymi a stromy płat śniegu, zalegający żleb pod nami, nie dał się przebyć bez rąbania „stupai”, ale swoją drogą „progi”, jakie są pod śniegiem, każą przypuszczać, że bez śniegu żlebem tym zejśćby nie można. Śnieg dochodzi do piargi zwyczajnej, a ta sprowadza bezpiecznie aż do Buczynowej doliny. Widać tu ślady stawu zasypanego różnego rodzaju „maliniakiem” t. j. głazami nieraz znacznej wielkości, bezładnie rozrzuconemi.



Ś. p. Włodzimierz Zagórski.

Głucha tu pustynia. Europa została za tobą gdzieś, w niedościgłej, zda się, oddali, a otacza cię natura pierwotna, wspaniała i majestatyczna, ale tak dzika i groźna, że czujesz się wobec niej marnym, nikłym prochem. Od północy widzisz przed sobą grań przepaścistą, łączącą Buczynowe Turnie z Granatami, a śród niej niedostępną Orlą Basztę, zagradzającą drogę śmiałkowi. Od zachodu masz niebotyczne Granaty i ramię Kozich Wierzchów, ale napróżno wypatrujesz żlebu, którym mógłbyś się na grań wydostać. Pusto i głucho dookoła, a przecież jakże blizko jesteś rozległej doliny Pięciu Stawów, ożywionej rykiem bydła, nawoływaniem juhasów i okrzykami gości, podążających z Zawratu do Morskiego Oka.

Zwróciwszy się ku południowi, natrafisz wnet na perć, wiodącą z Krzyżnego do Pięciu Stawów, i, idąc za nią znajdziesz się niebawem w schronisku Zajsznera, by tam przenocować i raz jeszcze prześnić obfite wrażenia dnia ubiegłego.

X. W. Gadowski.

68

EDMUND CHOJECKI

EXCELSIOR

IV 5)

Tymczasem sanki, wiozące gości pani Gyldenlöw, sunęły bez żadnej przeszkody po zamarzniętej powierzchni śniegu. Przezrocza mgła, poprzedzająca zawsze zorzę północną, rozproszyła się pod wpływem światła, skupionego w stronie północy.

Całe sklepienie niebios, porysowane w smugi, podobne jest do olbrzymiej drogi mlecznej. Obłoki srebrzą się jak gdyby odbłyskiem księżycowych promieni, powietrze drga ogniem błyskawic, długiemi rzutami światła, za chwilę zerwie się burza.

Oto i hasło w postaci świetlanej strzały, przerzynającej kryształowe przestwory niebios. Wnet wybucha olśniewający wulkan podbiegunowy, chłodny i milczący, zieje snopami ognia, wyrzuca miecze płomieniste i gorejące języki, za któremi gonią race migotliwe i obłoki iskier szkarłatnych.

Coraz wspanialsze obrazy następują po sobie. Na wschodzie i zachodzie wyrastają dwie olbrzymie kolumny ogniste i coraz szybciej mkną ku zenitowi, mienią się barwami tęczy, bledną naprzemian i rozjaśniają się, roztaczając na wszystkie strony przejrzyste wstęgi, migocące odblaskiem drogich kamieni. W około nich owija się jakaś dziwaczna roślinność, jak gdyby odlana z kruszcu, rozpalonego do białości; płomienne powoje, świetlane łodygi, skręcone z sobą, suną ku wierzchołkom kolumn i zdobią je w takie bogactwo wieńców i haftów, że wobec nich blednie najbujniejsza fantazya. Na tem wszystkiem iskrzą się miliony klejnotów: roztopione topazy zlewają się ze szkarłatem rubinów, łączą się z kaskadami szmaragdów i opali.

Nakoniec dwa słupy dosięgły szczytu, chwilę stoją nieruchome, a potem zwolna nachylają się ku sobie, tworząc łuk, który ogarnia połowę niebios. Z pod tego sklepienia tryska istny potop ognia.

Świetlane zjawiska tak szybko następują po sobie, takim ulegają przemianom, że ani myśl ludzka, ani wzrok oczarowany nie może sobie zdać z nich sprawy. Oślepiające bogactwo barw, kształtów i blasków dochodzi do najwyższego stopnia natężenia, to znów przygasa, żeby za chwilę wybuchnąć ze zdwojoną siłą.

Już koniec.

Nie, urocze widowisko odmienną tylko przybiera postać; pomysły wróżki północy jeszcze się nie wyczerpały, zachciewa się jej nowego układu kształtów, innego połączenia barw i promieni. Taka łuna rozlewa się teraz na niebie, jak gdyby pod biegunem straszne szalały pożary.

Całemi godzinami goreją przestwory widnokręgu, na mrocznem tle nadpowietrznego portyku drgają różowe wężyki, utkane szafirami. Główne ognisko wciąż wieje żarem; tryskają z niego wstęgi złotych iskier, mkną ku górze i, skupiwszy się tam, tworzą wielkie, podłużne koło.

To się nazywa „koroną“ zorzy północnej; z tą chwilą zjawisko dosięga najwyższego stopnia przepychu, najcenniejsze roztacza skarby, ale już nie gotuje niespodzianek.

Harald nie spuszczał oka z tego cudnego widowiska i nie mógł się nasycić jego pięknością. Admirał cieszył się jego zachwytem i korzystał z jasności, żeby kierować końmi.

Kłęby pary, dobywające się z nozdrzy Absalonów, iskrzyły się odbłyskami jutrzenki, szpakowata sierć mieniła się barwami tęczy. Raz wydawały się złote, to szkarłatne, to zielone, ku wielkiemu zdumieniu Nielsa. Śnieżna przestrzeń także zapalała się płomieniem, migotała ogniem drogich kamieni. Na tem tle promienistem każdy szczegół odcinał się wyraźnie. Zdawało się, że niebo kołysze ziemię baśnią czarodziejską i zsyła jej cudowne sny, których nie zdoła rozproszyć nawet światło dzienne.

Kiedy wjechano w olbrzymi bór, sięgający granic Bannersborga, jodły obsypane śniegiem rzucały dziwaczne cienie na szklistą powierzchnię śniegu. Jaskrawe blaski przedzierały się przez gałęzie, lśniły w gąszczach, rysowały złote arabeski na ciemnem tle lasu. Śród niebotycznych drzew wije się droga, podobna do purpurowego węża o łuskach wysadzanych brylantami.

Mróz się zwiększa, ale skutkiem szybkiego biegu, Absalony są spocone.

Naraz, bez żadnego powodu, bez żadnej zachęty, chyżo wyrywają się naprzód. Nie mogły poczuć stajni, gdyż dom jeszcze daleko. Co się im stało? Strzygą uszami ze strachu i dreszcz nerwowy niemi wstrząsa.

Admirał uspokaja głosem swoje ukochane rumaki, Niels stara się zbadać powód tego wybryku i zapuszcza wzrok w głębiny lasu.

Nic. Tylko śród gąszczu błyskają jakieś fosforyczne światełka. Robaczki świętojańskie śród zimy? Szalone przypuszczenie! Rzecz dziwna, te światełka ukazują się zawsze parami. A więc to oczy? Ależ nie widać głów; cóżby to być mogło?

Naraz rozlega się okropne wycie i z obu stron lasu wypada na drogę gromada zwierząt.

— Wilki! wilki!— krzyknął Niels — panie admirale, puść cugle i zatnij batem konie!

Admirał popuścił cugli, ale nie tyka bata.

Absalony zrozumiały, jakie im grozi niebezpieczeństwo. Mało ich obchodzą trzy istoty ludzkie, chciałyby się uwolnić od nich, ale uprząż jest mocna, sanki dobrze zbudowane. Walka będzie ciężka.

Niema żadnej broni, jedynym sposobem ocalenia jest ucieczka.

Admirał drży po raz pierwszy w życiu, krew z przerażenia zastyga mu w żyłach. Harald jest przy nim. On sam, starzec u schyłku życia, nie ma wiele do stracenia, ale dziecko, dziedzic imienia, ostatni potomek rodu!...

Absalony wyprzedzają przeciwników; dobywają wszystkich sił, będą ocaleni...

Ale na zakręcie drogi zajadła gromada bieży na przełaj i dobiega niemal do sanek.

Absalonom jakby skrzydła wyrosły, tumany śniegu pryskają z pod kopyt, sanki mkną jak widmo śród obłoków pary.

Złowrogie wycie rozlega się w borze. Krwiożercze zwierzęta są głodne. Słychać, jak kłapią zębami, potrącają się, pędzą jeden przez drugiego, żeby prędzej zatopić kły w swoich ofiarach.



E. CHRENIER. DZIK WYTROPIONY.



J. BENCZUR. ZWYCIĘSTWO NAD TURKAMI.

Gdyby można zyskać kwadrans!... dziesięć minut!... Las rzednieje i w oddali, śród blasków zorzy północnej, widać już zamek.

Czyżby i wilki rozumiały wartość każdej chwili? Ścigają sanki ze zdwojoną energią, otaczają konie i do łbów im skaczą.

Nowa myśl zaświtała w głowie Nielsa: jednym zamachem zdejmuje z siebie kożuch i rzuca go pośród wilków. Podstęp godny sprytnego marynarza. Zawsze zyska się na czasie.

Oszukana gromada ciska się na kudłatą opończę i rozdziera ją zębami.

Zawód doprowadza potwory do wściekłości. Żartowniś drogo za swoją psotę zapłaci. Naprzód! Naprzód!

Z przerażającem wyciem, które mrozi krew w żyłach, cała banda ściga sanki i już je dopędza.

Las się skończył, widnokrąg błyszczy jeszcze promieniami zorzy północnej, na rozgorzałem niebie rysują się ciemne mury zamku. Ptak mógłby się tam dostać za chwilę, ale zrozpaczonym podróżnym zdaje się, że nieskończona przestrzeń oddziela ich jeszcze od celu.

Czy Absalony słabną, czy też wilki ze zdwojonym gonią zapałem? Admirał stara się zachęcić konie do szybszego biegu, ale głos jego, zazwyczaj donośny i spokojny w chwili niebezpieczeństwa, więźnie mu teraz w gardle.

Jeden z napastników skoczył do lewego konia i wyrwał mu kawałek ciała. Krew bryznęła na śnieg. Zapach świeżego mięsa podniecił żarłoczność wilków. Wszystkie rzuciły się jedną ławą. Najśmielszy łapą drasnął twarz Haralda, ale chybił i wywrócił koziołka. Inne szczerbią sobie zęby na żelaznych okuciach sanek.

— Jesteśmy zgubieni!—krzyknął starzec zdławionym głosem—mniejsza o mnie, ale Harald! Harald!

— Harald na śmierć za młody!—głucho odezwał się Niels.

Coraz więcej zbliżają się do zamku; jeszcze kilka staj, a służba usłyszy ich krzyki. Zapóźno! zapóźno! Wszystko stracone!

Admirał wypuszcza z rąk cugle, chwyta za szyję Haralda, przyciska go do piersi, własnem ciałem zasłania. Umrze pierwszy, to jedyna jego troska.

Krwiożercze zwierzęta ostatni szturm przypuszczają. Jeden z Absalonów kopytem roztrzaskał łeb najbliższemu napastnikowi. Trup później zostanie pożarty, przedtem trzeba ludzkiem uraczyć się ciałem. Wycie dochodzi do szału, oczy potworów iskrzą się, jak karbunkuły, skoki następują po sobie z szybkością błyskawicy.

Nagle wszystko ucichło. Czyżby to był koniec? Piekielny hałas oddala się, Absalony dobywają ostatka sił, kopytami ledwie dotykają ziemi; poczuły już dom, stajnię, zbawienie. Wyciągnąwszy szyje, skręcają w aleję.

Brama na oścież otwarta. Czekano na pana. Sanki stają przed gankiem. Jeden z Absalonów, wyczerpany utratą krwi, pada na ziemię.

Admirał wyskakuje z sanek, jak młodzieniec, Harald powraca do życia. Przez cały czas ucieczki był zupełnie oszołomiony, patrzył, nie widząc, i nie mógł pojąć, że grozi mu śmierć pod zębami wilków.

Ale gdzie jest Niels?

Niema go!

Admirał stara się zebrać myśli i powiązać wspomnienia.

Naraz pamięć mu wraca, drżący i przerażony opiera ręce na ramionach wnuka.

— Teraz przypominam sobię tę straszną chwilę, kiedy nie było już nadziei—mówi—pamiętam, z jaką rozpaczą zawołałem, żeś ty zgubiony, Haraldzie. Niels odpowiedział mi na to: „Harald na śmierć za młody.” Doniosłości tych słów nie zrozumiałem wtedy, nie mogłem odgadnąć, co się działo za mną; widziałem tylko gromadę wilków, rzucającą się na nas, słyszałem złowrogie ich wycie. Wtem Absalony pomknęły chyżej, jak gdyby ubyło im ciężaru i wkrótce zostawiliśmy za sobą potwory. Niels skoczył między nie i życiem opłacił kilka minut, stanowiących o naszem ocaleniu. Haraldzie, Niels poświęcił się dla ciebie, kosztem mąk najstraszniejszych ocalił cię od śmierci. Cześć jego pamięci! Oby ziemia była lekką temu męczennikowi!

Głuchem milczeniem przyjęto te słowa, przerywane łkaniem. Służba spuściła głowy i rozeszła się. Admirał mocniej uścisnął Haralda, szczęśliwy, że widzi wnuka żywego.

Światła pogasły w zamku.

Zorza północna blednie stopniowo, już jest na schyłku; blaski, tworzące koronę, rozpływają się w mroku, światełka drżą, mdleją i nikną. Noc rozpościera znowu swoje panowanie nad światem.

W narożnym pokoju, na pierwszem piętrze, lampa pali się jeszcze. Harald nie rozebrał się wcale; siedzi w fotelu z rękoma zaciśniętemi kurczowo i, wlepiwszy wzrok w ziemię, nie ma siły zebrać rozpierzchłych myśli. Wstaje, zwolna przechadza się po pokoju, wygląda przez okno i słyszy śród ciszy gwałtowne bicie swego serca. Bezładne wspomnienia dzisiejszej nocy cisną mu się do głowy. Czy istotnie to się stało? Rzeczywistość przewyższa sny najbujniejszej wyobraźni. I ten nieszczęśliwy poniósł taką śmierć! Jak okropnie musiała znęcać się nad nim gromada dzikich bestyj! Ileż on musiał wycierpieć! Od pierwszego draśnięcia zębem do ostatecznego rozszarpania upłynęła wieczność pełna katuszy.

I to był ten człowiek, którego wciąż wyszydzano i nienawidzono, nie szczędząc mu przykrości i upokorzeń! Dlaczego? Nikomu nic złego nie wyrządził. Tak mu zatruwano życie, że przestał dbać o nie. Żył tylko dla swoich panów, cieszył się ich szczęściem, podzielał zmartwienia, troszczył o nich więcej, niż o siebie; a za to musiał znosić ciągłe prześladowanie od tego, który od kolebki był przedmiotem jego najtkliwszych starań i opieki.

Niewdzięcznik, w nagrodę za tyle poświęcenia i miłości, okazywał mu zawsze niechęć, dokuczał nielitościwie, upokarzał go przy każdej sposobności. Tego samego dnia zastrzelił mu jedynego przyjaciela, starego kruka Egilla.

W kilka godzin później, omal nie wypalił mu oczu. Ofiara tych niegodziwości zemściła się na nim, kosztem swego życia ratując go od śmierci. O hańbo! o zgrozo! Harald zakrywa oczy, żeby nie widzieć tych strasznych obrazów, z pośród których ulatuje ku niebiosom poświęcenie.

Sumienie, dotychczas odrętwiałe, nagle ocknęło się w duszy Haralda i zatopiło w niej szpony. Niema sposobu odpędzić natrętnych myśli i wspomnień; daremnie chciałby zamknąć powieki, sen ucieka od nich.

Świt rozjaśnia niebo. W zamku panuje ruch niezwykły, wszyscy jednak stąpają na palcach i mówią półgłosem, żeby nie rozbudzić admirała, albo jeżeli nie śpi, co jest bardzo prawdopodobne, nie zwrócić jego uwagi. Ludzie ukradkiem opuszczają Bannersborg i łączą się z uzbrojonymi wieśniakami. Szereg sanek stoi na drodze do Elsener.

Harald widzi te przygotowania i domyśla się celu wyprawy. Zarzuciwszy futro na siebie, bierze strzelbę, po cichu zbiega ze schodów i siada w pierwsze sanki. Twarz ma bladą, oczy zaczerwienione, usta spieczone gorączką. W milczeniu daje ręką znak do wyjazdu.

Nikt nie śmie wymówić słowa, chyba szeptem; słychać tylko jednostajny brzęk dzwonków.

Przy wjeździe do lasu zwalniają biegu; idzie o wynalezienie miejsca wypadku.

Oto jest!

Orszak staje, ludzie wyskakują z sanek.

Ziemia dokoła jest zdeptana, białe kiście śniegu zmieniły się w grudki wstrętnego błota, krople krwi przymarzły do kryształów lodowatych. Obok szczątków odzieży leżą pogruchotane kości, zbryzgane posoką.

Tłum zwartem kołem otacza to miejsce i w milczeniu wpatruje się w szczątki osłupiałym wzrokiem.

Harald nie może utrzymać się na nogach, pada na kolana i, ukrywszy twarz w dłonie, czołem dotyka ziemi, splamionej krwawemi piętnami. Ofiara! w tem słowie mieści się wszystko. Naśladować ten przykład, odpokutować winę—oto hasło jego przyszłości.

Harald długo pozostał w tej kornej postawie. Nagle pierś jego drgnęła głośnem łkaniem; podniósł twarz, zalaną łzami, pierwszemi łzami w życiu.

Dusza jego odtajała.

(D. c. n.)

KWIATY I ZAWIEJE ŚNIEŻNE

WE WŁOSZECH

2)

Nie doczekawszy się powrotu urzędników, udałyśmy się o zmroku do hotelu, brodząc śród pstrych papierków i cukierków, które różnokolorowym śniegiem zaścielały ulicę.

Nazajutrz znowu na niebie wiosenne świeciło słońce. wybraliśmy się więc do Abazyi parowcem. Od strony morza wybrzeże zatacza powabne półkole, mnóstwo will i hoteli bieleje śród zieleni drzew i krzewów; wyżej podnoszą się strome góry, które, niby ekran, chronią Abazyę od zimnych wiatru podmuchów. Ciepło tu, zacisznie i milutko, jak w gniazdeczku, w końcu lutego wiosna w całej pełni, palmy ogromnej wielkości, wawrzyny kwitnące, słowem, można było mieć złudzenie maja. Nasyciwszy się słońcem, ciepłem i pięknemi widokami, wróciłyśmy przed wieczorem do Fiume.

W samem mieście znalazła się niejedna ciekawa rzecz do widzenia: kilka kościołów, rzymski łuk tryumfalny, ładny ogród publiczny, port pełen statków różnego kształtu. Najwięcej jednak przyjemności sprawiła nam wycieczka do zamku Tersato; trzeba wprawdzie przebyć 400 schodów wykutych w skale, ale wspaniała panorama, roztaczająca się ze szczytu, hojnie wynagradza poniesione trudy.

Z jednej strony nagi, posępny Karst, przecięty głęboką szczeliną, którą toczy się spieniona rzeka Fiumara; szczelina rozszerza się stopniowo i tworzy dolinę, w której rozłożyło się miasto nad zatoką Quarnero. Z drugiej strony morze, ale — zamiast bezbrzeżnych widnokręgów, będących właściwością krajobrazów morskich, wzrok napotyka górzyste wybrzeża wysp Jeglia i Cherso.

Zruinowany zamek, niegdyś własność możnego rodu Frangipanich, dziś należący do hrabiów Nugent, sterczy nad samą krawędzią przepaści. Wodospad, wytryskujący ze skały ponad łożyskiem Fiumary, podobny jest stąd do srebrzystej wstęgi, gmachy wyglądają jak domki z kart, okręty jak cacka dziecinne.



Ś. p. Lucyan Wrotnowski.

Jakaż to przyjemność mieszkać na wyżynach i mieć cały świat pod nogami, a nad sobą tylko niebo! Sądzę jednak, że średniowieczny magnat, który budował te baszty i mury, więcej zapewne miał na względzie obronne położenie miejsca, niż uroki natury.

Zwiedziwszy więzienie zamkowe, dziś zamienione na mauzoleum rodziny Nugent, oraz muzeum w kształcie greckiej świątyni, dokąd przeniesiono pamiątki z pola bitwy pod—Marengo, wstąpiliśmy do kościoła, gdzie cudowny obraz Matki Boskiej ściąga tłumy pielgrzymów. Pełno tu wotów i obrazków, złożonych przez ocalonych marynarzy.

Rozejrzawszy się po widnokręgu, uczułam pełen niepokój, dzień był wprawdzie ciepły i cichy, ale nad ziemią i morzem zawisły ciężkie chmury, podobne do opony z ołowiu. Było coś złowrogiego w ich barwie i nieruchomości. Pocieszałam się nadzieją, że pogoda jeszcze dziś dotrzyma i pozwoli nam odpłynąć szczęśliwie do Ankony, tymczasem katastrofa była bliższą, niż przypuszczałam.

Wieczorem, kiedy siedziałyśmy w hotelu, czekając na omnibus, który miał nas zawieźć do portu, dziwny łoskot zwrócił naszą uwagę. Pokój był od dziedzińca, nie mogłyśmy więc zmiarkować, co się dzieje. To chyba ulewa tak bije o szyby—myślałam, schodząc na dół do przedsionka, ale tam usłyszałam taki ryk, świst i wycie, że stanęłam jak wryta.

— *Bora*—lakonicznie objaśnił szwajcar.

— Statek nie wypłynie chyba na taką burzę!—zapytałam, przysłuchując się piekielnemu koncertowi.

— Owszem, musi wypłynąć, ale czy dojedzie do Ankony, to pytanie.

Co począć? miałyśmy trzy rzeczy do wyboru: albo wsiąść na parowiec i narazić się na rozbicie, a w najlepszym razie na długą i niebezpieczną przeprawę, którą można zdrowiem przypłacić; albo czekać na drugi statek, co nam się bynajmniej nie uśmiechało; albo objeżdżać na około koleją z wielkim uszczerbkiem dla kieszeni, gdyż bilety do Rzymu przez Ankonę były już kupione. Z trojga złego wolę nic—można było powiedzieć.

Postanowiłam wyjrzeć na ulicę, żeby się przekonać naocznie, jak jest na świecie, lecz zaledwie otworzyłam drzwi, gwałtowny pęd wichru rzucił mi w twarz płatami śniegu, a jednocześnie bysnęło i piorun uderzył w pobliżu. Oślepiona śniegiem i błyskawicą, cofnęłam się śpiesznie.

— Poczekajmy jeszcze pół godziny,—rzekłam—może bora ustanie.

Gospodyni roześmiała się i zaprowadziła mię na drugie piętro do okna, skąd widać było morze. Wyglądało tak strasznie, że dreszcz przechodził na myśl puszczenia się na nie w tej chwili. Olbrzymie bałwany toczyły się z szybkością ku wybrzeżu, bijąc jak taranem o kamienne bulwary. W świetle błyskawic ukazywały się niekiedy czarne, bezdenne otchłanie, otoczone spiętrzonemi górami wody, które przewalały się, szamotały z sobą, wzbijały ku chmurom, albo z szumem zapadały w przepaść. Powierzchnia morza od śniegu i piany jaśniała złowrogą, trupią białością, niebo natomiast miało barwę kiru, rozświetloną od czasu do czasu ognistemi wężykami. Łoskot panował taki, że nie można było rozmawiać.

Ten przerażający obraz odrazu położył kres mojemu wahaniu; byłoby szaleństwem puszczać się na Adryatyk podczas takiego uraganu, pojedziemy więc lądem przez Nabresinę i Mestre.

Pociąg wychodził przed świtem, a przez noc temperatura tak się obniżyła, że śnieg chrzęścił pod nogami. Spadło go dużo w nocy, ale zawieja wciąż się srożyła, a kiedy dostaliśmy się na wyżyny, *bora* dął z taką siłą, jak gdyby chciał strącić nas do morza. Przewraca on nieraz ciężkie wozy frachtowe, zrzuca dachy z domów i wyrywa z korzeniami drzewa. Przypomniały mi się słowa poety:

„Jak gwiżdże wiatr i huczy,
Jak huczą złomy stromych skał!
Zda się, że szatan tu się włóczy,
I w róg uderza pustyń pan."

Wsłuchując się w piekielną muzykę wichru, zdawałoby się, że to cała gromada biesów zbiegła się tu i ryczy, gwiżdże, jęczy, wyje, kwili, korzysta z orgii żywiołów, żeby zawodzić okropnemi głosami. Jałowy kamienisty Karst, poprzecinany głębokiemi wąwozami, stanowiłby istotnie

godne mieszkanie dla lucypera i jego orszaku, chociaż w tej chwili w srebrzystej szacie śniegu nie przedstawia się tak ponuro, jak zwykle.

Czasami przez zamarznięte szyby błyśnie w przepaścistej głębi zielonawy smug rozszalałego morza. Szafirowy Adryatyk, opiewany przez poetów, zazwyczaj promienny, cichy, uśmiechnięty, wyglądał teraz bardzo groźnie, niby rozjątrzony ocean. Biada wątłej łodzi, któraby dziś dostała się w jego odmęty! Fale poszarpałyby ją w strzępy.

Gdyby była pogoda, widok z tych wyżyn mógłby być przepiękny, ale dziś śnieżny tuman przesłania krajobrazy, a przenikliwe zimno nie usposabia do zachwytu, wywołując natomiast filozoficzne uwagi na temat zmienności rzeczy ludzkich w ogólności, aury zaś w szczególności. Dwa dni temu *bataille de fleurs*, wiosna, ciepło, muślinowe suknie, parasolki, wachlarze; dziś, zawieja, mróz, futra i berlacze. Na domiar złego, pociągi wciąż się spóźniały z powodu wichru i zasp śnieżnych, dosyć, że dopiero nazajutrz rano dobiłyśmy się do Ankony, głodne, złe i zziębnięte, straciwszy dużo czasu i pieniędzy.

Dowiadywałam się o losy parowca, którym miałyśmy płynąć: zawinął do portu bardzo skołatany, zamiast 10, był w drodze 36 godzin, a nieliczni podróżni tyle wycierpieli od choroby morskiej, mrozu i strachu, że musiano odwieźć ich do szpitala.

Zofia Sokołowska.

Ś. P.

WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI

...„Marność jest klątwą ziemi syna,
A działem jego nieświadomość,
A losem jego dzieł znikomość,
A imię jego—proch i glina!"

(„Król Salomon" Wł. Zagórskiego).

Zmienności losów ludzkich zaznał obficie złożony przed kilku dniami do grobu wybitny poeta, satyryk i powieściopisarz, ś. p. Włodzimierz Zagórski, lecz imię jego nie będzie „prochem i gliną"...

Urodzony w r. 1834, wychowywał się w zamożnym domu rodzicielskim pod opieką Jana Zacharyasiewicza i pedagoga Szynglarskiego, poczem uczęszczał do gimnazyum św. Anny w Krakowie i do szkoły wojskowej inżenierów w Krems.

W r. 1860 młodzieniec zaciąga się pod sztandary Garibaldego. Życie obozowe, śród czarów przyrody włoskiej i przygód wojennych, zasiewa w duszę jego poezyę, wespół z ogniem męskim, swoistą rubasznością i niefrasobliwym humorem. Z tych czasów zebrała się w pamięci autora moc wspomnień i wrażeń. Z bohaterem swego poematu mógł o sobie powiedzieć:

„Widziałem szał wojennej sławy
I stratowane końmi rżyska,
I pełne trupów bojowiska,
I strop niebiosów, łuną krwawy...
Widziałem mordów okrucieństwa
I bojujących srogą mściwość,
I straszną wojen zapalczywość,
I wszystkie dzikich walk przekleństwa..."

Sceny te krwawe nie zabiły jednak w nim czci dla życia.

Bo czas, idąc „pustkowia szlakiem", byt nowy budził:

„Mogiły, w darni upowicia,
Stroiły kwieciem swoje czoła,
I grała ptaszków pieśń wesoła,
Psalm zwycięskiemu dzwoniąc życiu..."

Oddawszy się na służbę lwowskim pismom humorystycznym, satyryk nie przestał nigdy być, w głębi ducha utworów, poetą, co też zapewniło wierszom tym istnienie długie, niepożyte niemal. Będąc duszą pisma humorystycznego „Chochlik", pseudonimem tym podpisywał wszystkie lżejsze płody swej muzy. Piosnki te, starannie wybrane i ułożone, utworzyły zbiorek „Z teki Chochlika".

Dziełem, które przekaże imię zmarłego potomności, jest poemat liryczny w 3-ch pieśniach „Król Salomon".

W natchnionym tym utworze głębia myśli filozoficznych łączy się harmonijnie ze scenami upojeń i zwątpień miłosnych. Osnuty na tle królewskiej „Pieśni nad pieśniami", „Król Salomon" w cudnie dobranym języku, w oddaniu kolorytu epoki i nastroju duchowego bohaterów nie ustępuje pierwowzorowi. Zbyt bujnie, co prawda, wystrzela tu zmysłowość, to też nie jest to książka dla dzieci, ani młodzieży. Dopełnieniem tej wspaniałej pieśni miała być „Królowa Saby", nad którą pracował do końca dni swych. Materyał, nagromadzony do poematu, zużytkował w pięknej noweli, pod tym samym tytułem.

Sam prześlicznie władając wierszem, *) obdarzony niezwykłem poczuciem muzykalności w używaniu rytmu i rymów, zżymał się na parodyowanie poezyi przez niepowołanych.

W ciągu lat kilkunastu opracowywał zmudne studyum o rytmiczności języka polskiego, przeznaczając je do wydawnictw Akademii umiejętności. Znaczną część tego dzieła, przekazaną w rękopisie, ujrzymy zapewne w druku.

Nie licząc zbioru zręcznych nowel, niwę powieściową wzbogacił większemi pracami: „O własnych skrzydłach", „Szalone głowy", „Wilcze plemię".

Jak widzimy—dorobek znaczny, ale gdyby w nim był tylko „Salomon", już ten klejnot królewski wystarczyłby do przyznania Zagórskiemu miana poety niepospolitego.

Od r. 1883 Zagórski zamieszkał w Warszawie, od dwóch zaś lat, trawiony chorobą, osiadł w szpitalu św. Ducha, w zacisznej „separatce", gdzie, pod troskliwą opieką siostry miłosierdzia i lekarza, przyjaciela, nie sarkając na los, procował piórem, aby nie być nikomu nic winnym. Z cichej celki szpitalnej wybiegały w świat kartki, pełne świeżości młodzieńczej, bez śladu mozołu i troski.

Nazywano „Chochlika"—ateńczykiem, wymawiano mu sybarytyzm. Koniec dni jego jednak pokazał, że w „ateńczyku"—sybarycie dawniejszym, biło serce prawdziwego chrześcijanina, zdającego się na wolę Opatrzności i ufnego, że poza rogatką ziemską jest świat lepszy, do którego wejście warto okupić znojem, trudami i cierpieniem.

Gdyby zwątpił o Bogu, gdyby w duszy był poganinem, poszedłby za przykładem niektórych swych kolegów, lub wzorem—dawnych rzymian—przeciął sobie żyły, czy też wychylił kubek z cykutą...

Wytrwał na posterunku w przeciwnościach i za to—cześć mu!

Hołd tej jego pracowitości i rezygnacyi oddał w mowie nadgrobnej, prowadzący liczny kondukt żałobny, redaktor „Kroniki rodzinnej", ks. H. Skimborowicz.

W myśl życzeniu, wyrażonego niegdyś przez zmarłego poetę, w wierszu „Non dolet":

„A kiedy przyjdzie złożyć mnie w trumnie,
Niech ręka życzliwa rzuci mi pęk róży"...

wiązanka róż wonnych, spowita w krepę, spoczęła na mogile, w ustroni cmentarza powązkowskiego...

Zdala od swego domu rodzinnego, w odmiennych warunkach, niż w dniach młodości, spoczął twórca „Króla Salomona". Za igraszki losu, za cierpienia przeżyte i zawody, zyskał uznanie bratnie i sławę, która nas wszystkich przeżyje.

Nie cały więc umarłeś, pieśniarzu!

POGADANKA

2,807) W którym kraju jest sekta głodomorków?
2,808) Gdzie jest najbogatsze archiwum?

*) „Poezye" Zagórskiego wyszły w Warszawie, r. 1894, nakładem księgarni Paprockiego. Jest w nich już „Król Salomon", jest nowa serya wierszy „Z teki chochlika", są „przekłady i naśladowania".

Ś. P.

LUCYAN WROTNOWSKI

Są ludzie, których w przedwczesną mogiłę ściąga gorączka czynu: nie szczędzą sił na użytek publiczny, dopoki ich zanik nie powali wytrwałego pracownika. Do takich należał ś. p. Lucyan Wrotnowski, zdolny i sumienny prawnik, energiczny działacz na różnorodnych polach społecznych.

Urodzony w Warszawie w r. 1847, uniwersytet skończył w Paryżu, magistrował się zaś w Szkole Głównej w r. 1868, poczem wziął się do pracy.

Obdarzony darem organizacyjnym, dawał podnietę do zakładania rozmaitych stowarzyszeń i spółek, stał na czele kilku przedsiębierstw przemysłowych, wszędzie wkładając do udziałów pieniężnych energię, pracę, zapał, słowem— duszę. Należał także do założycieli Muzeum przemysłu i rolnictwa; z jego to inicyatywy i pod jego kierunkiem odbyła się świetna wystawa wyrobów metalowych.

Jako wielbiciel sztuk pięknych stał się mecenasem artystów-malarzy i rzeźbiarzy, organizował liczne wystawy, brał żywy udział w rozwoju warszawskiego Towarzystwa sztuk pięknych, którego był wiceprezesem.

Był jednym z założycieli „Słowa“, a w ostatnim roku wydawcą i redaktorem tego dziennika.

Nawet ci, którzy nie zupełnie podzielali zapatrywanie się na sprawy społeczne zmarłego, oddają hołd jego niestrudzonej pracy, szczerości przekonań i dobremu sercu.

Zwłoki ś. p. Wrotnowskiego spoczęły w Dłutowie, w grobach rodziny Tabęckich, z której pochodzi żona zmarłego, zasłużona wielce na polu dobroczynności Warszawy.

NOWA OAZA MIŁOSIERDZIA

Nareszcie po ulicach Warszawy przestaną błąkać się nieszczęśliwi, których widok zniechęcała jednych na niedolę ludzką, innych przejmuje strachem, a nielicznych tylko litością. Obłąkani znajdą przytułek, społeczeństwo przestanie doznawać strat z ich powodu. Stanie się to za sprawą Towarzystwa opiekującego się nerwowymi i umysłowo chorymi.

Zamierzyło ono przedewszystkiem posiąść własne schronisko dla spokojnych chorych umysłowo. Zarząd uzyskał w Drewnicy, na używalność wieczystą, 4 morgi ziemi ornej oraz budynki ze spłatą ich wartości—15,000 rbl.—w ciągu lat 15-tu. Z posiadanym na ten cel zasobem 7,500 rbl. Towarzystwo zamierza otworzyć schronisko z początku dla 20-tu chorych. Zabudowania jednak w Drewnicy, po dokonaniu przeróbek potrzebnych, będą mogły pomieścić conajmniej 100 chorych.

Zdala od hałasu wielkomiejskiego, w ustroni zadrzewionej, zacisznej, pensyonarze schroniska odzyskiwać będą samopoczucie, zbierać siły umysłowe i moralne do służby nowej dla dobra rodzin swych i społeczeństwa. Towarzystwo podjęło także sprawę t. zw. „opieki domowej“; lekarz Bucelski już opracował stosowne przepisy. Zaniedbana u nas sprawa pielęgniarstwa znalazła w Towarzystwie gorliwego opiekuna i wymownego rzecznika. Słusznie zarząd utrzymuje, że nietylko względy miłosierdzia lecz i ekonomiczne powinny skłaniać ludzi dobrze myślących do zapisywania się w poczet członków. Dotychczas Towarzystwo liczyło tylko: 15 członków wieczystych (z wnioskiem po 100 rbl., p. Szlenkerowa wniosła 1,000 rbl.), 234 rzeczywistych, z opłatą po rbl. 5 rocznie i 11-tu zwyczajnych (z opłatą po 1—3 rbl.). Razem 260 ludzi, którym sprawy doniosłe T-wa leżą na sercu. Brakiem wiadomości o sprawach i celach Towarzystwa można usprawiedliwić niepopieranie przez ogół tak pożytecznej instytucyi. Od wzmożenia się zastępu członków zależy urzeczywistnienie dalszych projektów zarządu: utworzenia kolonii dla epileptyków, sanatoryum dla ubogich nerwowo chorych i t. p.

W roku ubiegłym zarząd wydał zapomóg 85 osobom; umieścił bezpłatnie 8 chorych, utrzymywał swoim kosztem w szpitalach specyalnych 54 chorych.

Pierwsze swe sprawozdanie zarząd Towarzystwa kończy słowami: „Garstka ludzi dobrej woli, która się skupiła w naszem T-wie, powiedzmy z dumą: zdziałała, co mogła. Niewiele to wobec potrzeb, miejmy jednak nadzieję, że w przyszłym roku sprawozdawczym będzie nas więcej i że daleko więcej zrobimy“.

Podzielamy tę nadzieję i polecamy sercom naszych czytelników nową, nader ważną, oazę miłosierdzia.

KARTKI ILLUSTROWANE

ZWYCIĘSTWO NAD TURKAMI

W początkach czerwca 1686 r. przednie straże wojsk chrześcijańskich stanęły nad Dunajem, pod Ostrzykoniem. Cała armia sprzymierzona, która miała wydrzeć z rąk Osmanów najcenniejszą perłę korony węgierskiej, Budę, liczyła w danym razie 92,600 żołnierza. Węgrów było 20,000, a oprócz nich i wojsk Rzeszy niemieckiej, znajdowali się w niej ochotnicy ze wszystkich krajów chrześcijańskich.

Niedołężny sułtan Mahomet kazał sobie odczytywać opisy zwycięstw wielkich swoich przodków, a gdy, na wspomnienie tych świetnych czynów, krew mu w żyłach zawrzała, kazał trąbić *larum*, uzbrajał 60,000 piechoty i 10,000 jazdy, z tą armią wyruszał na polowanie. Polowanie stanowiło jego największą namiętność. Kronikarz, którego wszędy ze sobą włóczył, musiał zapisywać wszystkie jego czyny myśliwskie, a poeci nadworni opiewali rymami każdy celny strzał padyszacha na odległość 80 kroków. Chwytano zaś nietylko niedźwiedzi i wilki, ale także opryszków i wszelkich łotrów, których następnie w oczach sułtana na pal wbijano. Koszt takiej zabawki wynosił 600 tysięcy dukatów. Wojsko od pół roku żołdu, ani chleba nie otrzymywało, lecz sułtan polował...

Siedmdziesięcioletni gubernator Budy, Abdurraman-basza, przestrzegał Wielkiego wezyra, żeby się mieć na baczności, lecz nikt go słuchać nie chciał; więc sam postanowił bronić miasta, chociaż wiedział, że zadaniu temu nie sprosta. Złe przeczucia go udręczały. Jako znak pogotowia bojowego, kazał na wszystkich czterech rogach zamku wywiesić chorągwie i czekał, co Ałłah sprawi.

Wojska chrześcijańskie rozłożyły się na górach, na stokach górskich zatoczono armaty, w dolinach i ubocznych manowcach rozłożyła się jazda, wszędy z pomiędzy drzew leśnych przezierały namioty i sztandary.

Węgry, z hufcami Karola Lotaryńskiego, zajęły miejscowość przed bramą Wiedeńską, zastępy Maksymiliana bawarskiego—przestrzeń do góry zamkowej, pułki Rzeszy— dzielnicę wodną.

Śród wojska raźnie się zwijał Ojciec Marek d'Aviano, kapucyn, z krzyżem w ręku, którego Papież Inocenty XI wyprawił na prośbę cesarza do wojska, żeby godził zatargi wodzów i podnosił ducha w rycerstwie.

Dnia 19 czerwca zaczęto ostrzeliwać z dział mury miasta, w początkach sierpnia zrobiono wielki wyłom i zburzono dwa szańce kamienne; 14 sierpnia przypuszczono pierwszy szturm do wyłomów, ale podpalona przez cesarskich mina tak fatalnie wybuchła, że rozszarpała 250 własnych żołnierzy. Nazajutrz, za pomocą bomby ognistej, wysadzono w powietrze wielki rondel. W chwili katastrofy zupełnie ciemno się zrobiło; syczące granaty, gorejące belki, ciała rozszarpane na milę dokoła padały, gwałtowne ciśnienie powietrza wypchnęło wodę z Dunaju, że cały Peszt zalała. Sądzono, że się ziemia zawaliła. Dopiero w kilka minut ludzie oprzytomnieli, a wtedy przekonali się, jak srodze jeden moment rondele zburzył. Mury boczne były o 20 sążni wyrzucone, pale zmiażdżone, fosy zasypane. Pięciuset Turków w jednej chwili śmierć znalazło.

Dnia 20 nadciągnął wezyr z odsieczą, chrześcijanie jednak ustąpić ani myśleli. Mimo, że byli srodze niepokojeni przez wezyra, zdołali zdobyć zamek, skąd mogli ostrzeliwać całą fortecę.

Dnia 29 sierpnia wezyr usiłował przedrzeć się do miasta. Nacisk straszliwy odparto—wezyr cofnął się ze wstydem. Wreszcie 2 września, o 3 po południu, 6 strzałów z góry Gerleothegi dało znak do ostatecznego szturmu. Na zamku zaintonowano chorał, jak to zwykle czynią bohaterowie na śmierć idący. Abdurraman-basza wiedział, że dla jego sędziwej głowy i dla półksiężyca w Budzie nadszedł dzień ostatni...

Bateryę z góry Szwabiej zaczęły burzyć częstokół, którym Turcy wyłom zatarasowali, a podczas tego 3,000 wojska, pod dowództwem Spinoli, niepostrzeżenie skradało się pod mury fortecy. Blizko wyłomu żołnierze ci podnieśli się nagle, skoczyli na Turków, którzy cudów waleczności dokazywali, nie ustępując ani na cal; gdy jedni piersią wyłom zasłaniali, inni ciskali na oblegających granaty, wory prochu, z których lonty zapalone świeciły.

Podobny opór spotkali Bawarczycy, a nawet już się cofać zaczęli, gdy nagle potężniej od wrzawy bojowej rozległ się okrzyk tryumfu i walczący ujrzeli nad ruinami środkowego rondelu sztandar chrześcijański z wizerunkiem Patronki Węgier. Zatknął go tam Petnehazy, wódz hajduków węgierskich, przy którym stał O. Marek z krzyżem.

Abdurraman brodę z rozpaczy szarpał—Ałłah nie ześle zmiłowania.

Sztandar powiewa, zbliża się, Petnahazy skacze na barki towarzysza, potem na szaniec, gdzie przytwierdza sztandar.

Turcy rzucają się na Petnahazego, ten jednak broni się, jak lew. Naraz, z drzewa, na murze bastyonu rosnącego, Kurd jakiś zarzuca arkan tak zręcznie, że się o szyję wodza węgierskiego okręca—Petnahazy w jednej chwili został porwany w powietrze, wisi na gałęziach drzewa. Lecz przytomności nie stracił—lewą ręką chwycił za sznur na szyi, prawą go rozciął, jest wolny.

Abdurraman rozdziera płaszcz swój, bodzie konia ostrogą.

— Ałłah nas opuścił!... — woła zrozpaczony do podskarbiego.—Policzone dni moje i naszego panowania! Każ podpalić miasto i lonty w minach... Do widzenia, pod drzewem kubańskiem, w raju Proroka!

Popędził ku bramie Wiedeńskiej i tam padł, walcząc z kirasyerami.

Zegar słoneczny na kościele króla Macieja wskazywał godzinę 5-tą po południu, kiedy zdobywcy dostali się do miasta. Wdzierali się przez buchające płomienie podpalonych domów, śród huku min, poukładanych przez Turków na ulicach. Ostatni akt straszliwego dramatu trwał dwie godziny; półksiężyc ustąpił z Budy, po 145 leciech panowania, lecz miasto zmienione zostało z gruzy.

Jakób II, który z żywem zajęciem śledził postępy oblężenia, rzekł do nuncyusza, który mu zwiastował zwycięstwo:

„Właściwie Budę zdobył Ojciec Święty, boć On wskazał obowiązek rycerstwu chrześcijańskiemu...“

DEWET

Wódz Boerów, bohater jak i inni wodzowie oddziałów ochotniczych, przewyższył wszystkich genialnością strategii, której używa w walce partyzanckiej z Anglikami. Dewet znika od czasu do czasu z pola walki, zaszywa się w tajemnicze ustronia orańskie, znane mu jak dom własny, przebywa w nich bezczynnie przez kilka tygodni, a potem nagle wypada na nieprzyjaciela i zadaje mu klęskę. Bezczynność jego jest tylko pozorną, której nie dopatrzyłby wzrok najbystrzejszy, przyzwyczajony do szperania śród labiryntu skał, spiętrzonych pod chmury, splątanych z sobą w uścisku konwulsyjnym; Dewet układa w niej plany nowego napadu, przyjmuje wiadomości o ruchach nieprzyjaciela, wydaje rozporządzenia. Nic się nie dzieje bez jego wiedzy i bez jego rozkazu.

Urok tego partyzanta genialnego jest tak wielki, że inni wodzowie, już wsławieni, ulegają zdaniu kolegi w razie jakiego sporu o plan nowej wycieczki. Gdyby Dewet mógł mieć pod swemi rozkazami nie dwa tysiące żołnierzy ale przynajmniej dziesięć razy tyle, armia angielska dwukroćstotysięczna jużby dawno nie istniała. De Wet jest w tej chwili Napoleonem gór i Hannibalem; historya



R. REINICKE. MELANCHOLIA ZIMY.

wojen da mu miejsce obok tych największych, legenda zaś dziś mówi, że jeszcze nie została odlana kula, któraby go zadrasnąć mogła. Ostatnie wydobycie się z matni wojsk angielskich powiększyło jeszcze urok jego, już i przedtem prawie bajeczny; i rzeczywiście, nie wiadomo, co więcej podziwiać w Dewecie: czy nieustraszoność jego, kiedy rzuca się z garstką ochotników na szeregi wyćwiczone armii angielskiej, czy jego przytomność, której nie traci, kiedy jemu i jego walecznym towarzyszom śmierć siedzi na karku.

Właśnie tak było w ostatniej bitwie na terytoryum rzeczypospolitej orańskiej, gdzie wódz naczelny Kitchener otoczył Deweta ze wszystkich stron, zagrodziwszy mu punkt zborny po wydostaniu się na wolność, i kazał im zaatakować nocną porą odrazu szeregi angielskie we wszystkich kierunkach. Sam równocześnie ruszył z kilkudziesięciu towarzyszami po za stadem bydła, rozszalałego uderzeniami rzemiennych batów, krzykami i strzelaniną nad jego głowami.

Atak, w ten sposób urządzony, rzucił popłoch między wojsko oblężnicze, nie wiedziało ono w którą biedz stronę, stado zaś bydła skłębione na płocie drucianym przerwało go i ułatwiło Dewetowi ucieczkę. Zanim Anglicy spostrzegli się, wódz boerski już był daleko od matni, pościg wysłany przez Kitchenera powrócił z pustemi rękami.



DEWET

wszelki odwrót pierścieniem oblężniczym z 40-tu tysięcy doskonale uzbrojonego żołnierza i linią blokhauzów, połączonych z sobą płotem z drutu kolczastego. Anglicy, którymi sam Kitchener dowodził, zająwszy wielki trójkąt ziemi najeżonej skałami, tak ściśle zamknięty, że nawet zwierz nie zdołałby przemknąć się niepostrzeżenie, dążąc ze wszystkich stron ku środkowi, obręcz oblężniczą czynili coraz węższą a tem samem pochwycenie Deweta z jego dwutysięczną garstką towarzyszy nie ulegało już wątpliwości.

Wódz Boerów niebezpieczeństwo należycie ocenił i, nie licząc na samą odwagę, użył fortelu strategicznego. Rozdzielił swój oddział na grup kilkanaście, naznaczywszy

Podobnego fortelu użył Hannibal w walce z legionami rzymskiemi; on także pozapalał snopy słomy, pozasadzane na rogach wołów, i wpędził całe stado płonące na nieprzyjaciela, który umknął przerażony. Dewet nie zapożyczył zapewne fortelu od wielkiego kartagińczyka; poprzedniemi zwycięstwami dowiódł swej genialnej samodzielności.

Podziwiając jego waleczność i zdolność, trzeba zarazem podziwiać jego zdrowie żelazne; wszelkie niewygody, między niemi bywa i głód, znosi z dzielnością młodzieńczą. Nietylko Boerowie, ale cała ludzkość spółczująca z nimi wielbi niezwyciężonego i życzy mu, aby takim pozostał do końca okrutnych zapasów Goliata z Dawidem.

Z. z.

MIECZ I DYPLOMACYA

Ważna niespodzianka

Anglikom udało się w tych dniach sprawić istną niespodziankę światu politycznemu ogłoszeniem traktatu anglo-japońskiego. Traktat ten podpisany został w Londynie przez lorda Lansdowne, angielskiego ministra spraw zagranicznych i barona Hayasi, ambasadora japońskiego przy dworze angielskim. W dniu 3 lutego Anglia i Japonia jednobrzmiącemi notami zawiadomiły mocarstwa o jego zawarciu, a w dziesięć dni później podano go do wiadomości publicznej przez urzędowe oświadczenie w parlamencie angielskim. Ten pośpiech w ujawnieniu nowego przymierza przedstawia uderzającą sprzeczność z okrywaniem tajemniczością umowy angielsko-niemieckiej, która istnieje już trzy lata. Stąd wniosek, że tą umową chwalić się żadna ze stron nie miała powodu, że zatem nie posiada ona realnej wartości, gdy pochwalenie się z traktatem nowym leżało w interesie stron obudwóch.

Anglia i Japonia oświadczają, że powodowane chęcią utrzymania *status quo* i powszechnego pokoju na dalekim Wschodzie, oraz niepodległości i całości Chin i Korei, porozumiały się co do następujących punktów:

1. Co do obmyślenia środków obrony swoich interesów, w razie gdyby te przez jakiebądź inne mocarstwo albo przez niepokoje w Chinach lub na Korei zostały zagrożone.

2. Co do zachowania ścisłej neutralności przez jedną ze stron traktatowych, w razie gdyby druga strona została uwikłana w wojnę z jakiembądź mocarstwem, oraz co do obowiązku przeszkadzania w takim razie, aby inne mocarstwa nie wzięły udziału w krokach nieprzyjacielskich przeciw sprzymierzeńcowi.

3. Co do pośpieszenia sprzymierzeńcowi z pomocą, w razie, gdyby jakieś inne mocarstwo przyłączyło się do kroków nieprzyjacielskich przeciwko niemu.

4. Co do zobowiązania się obu stron, iż żadna z nich, bez porozumienia się z drugą nie wda się w żadne oddzielne umowy, mogące przynieść szkodę spólnym interesom.

5. Co do wzajemnego, dokładnego i bezwzględnego zawiadamiania się o wszystkiem, coby tym spólnym interesom zagrażało.

6-ty punkt wreszcie stanowi, że umowa natychmiast wchodzi w życie i obowiązuje na lat pięć. W razie, gdyby w terminie wygaśnięcia umowy jedna ze stron była uwikłana w wojnę, umowa trwa w swej mocy aż do zawarcia pokoju.

Lord Lansdowne w depeszy do posła angielskiego w Tokio objaśnił, że traktat anglo-japoński jest wynikiem wypadków ostatnich dwóch lat na dalekim Wschodzie, podczas których Anglia i Japonia szły zawsze ręka w rękę a następnie się przekonały, iż ta spólność ich polityki powinna się utrwalić w traktacie międzynarodowym z mocą obowiązującą.

Anglia chętnie przystąpiła do umowy, która nie ma charakteru zaczepnego i zawartą została jedynie jako środek ostrożności na wypadek zagrożenia ważnych interesów angielskich. Nabiera ona mocy dopiero wtedy, gdy jeden ze sprzymierzeńców ujrzy się zmuszonym do rozpoczęcia wojny w obronie spólnych interesów; gdy nie będzie ulegało wątpliwości, że sprzymierzeniec został rzeczywiście zmuszony do rozpoczęcia wojny, a sam nie szukał zatargu; wreszcie gdy sprzymierzeniec zostanie zagrożony nie przez jedno mocarstwo ale przez koalicyę.

W Anglii panuje powszechna radość z traktatu; po za Anglią zdania są podzielone. Jedni winszują lordowi Lansdowne i margrabiemu Ito, głównemu orędownikowi tego przymierza, iż wynaleźli tak trafny sposób wzmocnienia stanowiska zarówno Anglii jak Japonii; inni widzą w tem przymierzu, może poniekąd słusznie, upokorzenie Anglii, która utrzymywała dotychczas, że ustrój jej państwowy nie pozwala na zawieranie jakichbądź stałych przymierzy; prowadziła politykę odosobnienia, dumnie nazwanego *splendid isolation*; za żadną cenę nie chciała wchodzić w związki z rasą białą, a dziś podała rękę żółtemu dorobkiewiczowi japońskiemu.

Nie wdając się w obecnej chwili w przedwczesne roztrząsanie, po której stronie jest słuszność, przyznać należy, że traktat anglo-japoński, bądź co bądź, jest najważniejszym faktem politycznym ostatnich czasów.

Jubileusz Ojca Ś-go. 25-letni jubileusz panowania Ojca Ś-go przypada właściwie 3 marca 1903 r., Leon XIII bowiem wstąpił na Stolicę Apostolską 3 marca 1878 r. Z powodu jednak podeszłego wieku Jubilata przyśpieszono obchód jubileuszowy, który się rozpocznie 20 b. m. a skończy 3 marca roku przyszłego. W ubiegłą niedzielę Ojciec Św. z powodu osłabienia nie mógł odprawiać Mszy św. ani udzielić zapowiedzianych posłuchań; dr. Lapponi zapewnia atoli, że osłabienie to nie ma cech zatrważających.

List pasterski kardynała Langénieux. Kardynał Langénieux, arcybiskup reimski, wydał list pasterski, w którym wykazuje, że katolicy we Francyi są poprostu wyjęci z pod prawa, gdy wolnomularze znajdują wszędzie drzwi otwarte. I to się dzieje we Francyi, której król niedawno jeszcze nosił tytuł: „najbardziej chrześcijański”, *christianissimus*.

Sejm galicyjski. Sejm galicyjski w drugiej połowie kwietnia ma być zwołany na dłuższą sesyę.

Życzliwe ostrzeżenie. Katolicki dziennik wiedeński „Vaterland” wzywa prasę galicyjską, żeby ostrzegła ludność tamtejszą przed wędrówką do Niemiec na zarobek. Przedewszystkiem Niemcy obecnie radziby każdego Polaka w łyżce wody utopić, a następnie w skutku przesilenia fabrycznego, pozbawieni pracy robotnicy rozchodzą się po wsiach, którym dlatego rąk do pracy nie brakuje.

Zgon przyjaciela Polaków. W Jasach zmarł metropolita grecko-wschodni Mołdawii i Suczawy, ks. Józef Naniesen. Był to gorący patryota rumuński i wielki przyjaciel Polaków. Znał język polski i opiekował się troskliwie Polakami osiedlonymi w Rumunii.

Zjazd w Wiedniu. Ze Lwowa donoszą, że marszałek hr. Potocki i metropolita ks. Szeptycki wyjechali do Wiednia, gdzie ich poprzedził już namiestnik hr. Piniński. Zjazd ten wywołała sprawa uniwersytetu rusińskiego we Lwowie.

Uparta pogłoska. Mimo zaprzeczeń półurzędowych utrzymuje się wciąż pogłoska o blizkiem ustąpieniu hr. Gołuchowskiego ze stanowiska austryackiego ministra spraw zagranicznych. Rozszerzają tę wieść głównie Węgrzy, którzy hrabiemu przypisują winę, że nie przeszkodził zaproszeniu przez Arcyksięcia Franciszka Ferdynada na towarzysza swej podróży do Petersburga hr. Zichyego, przywódcy węgierskiej opozycyi katolicko-ludowej. Rzecz ciekawa, iż cesarz Franciszek Józef, podczas swego pobytu w Peszcie, tegoż samego hr. Zichyego zaprosił na obiad i łaskawie z nim rozmawiał.

Podróż księcia Henryka. Stan zdrowia syna prezydenta Rosevelta poprawił się, wskutek czego książę Henryk pruski puścił się w drogę do Ameryki. Charakterystycznym jest fakt, że w chwili gdy książę wsiadał w Bremershaven na parowiec Lloyda „Kronprinz Wilhelm”, w Waszyngtonie, w izbie reprezentantów zabrał głos szanowany powszechnie dep. Wheeler, protestując przeciwko przesadnym przygotowaniom na przyjęcie księcia. „Wielka rzeczpospolita amerykańska—mówił—nie może się poniżać do lokajskiej służby przy lada książątku niemieckiem!” Po stronie Wheelera stoi całe stronnictwo demokratyczne a więc prawie połowa ludności Stanów Zjednoczonych.

Ugodzeni w czułą strunę. Najlepszym dowodem, że handel stanowi najczulszą strunę w sercu niemieckiem, jest cały szereg artykułów w dziennikach berlińskich, pieniących się ze złości na Warszawę i Galicyę za to, że nie chcą towarów niemieckich kupować. Dostaje się też i Czechom za to, że swojemi towarami częstują Polaków. Niemcy twierdzą, że Czesi dadzą się niebawem polskim swoim „kundmanom” daleko gorzej we znaki, aniżeli Niemcy. Zobaczymy!

Demonstracya ambasadorska. Ambasador angielski w Paryżu, sir Edmund J. Monson, urządził demonstracyę anti-boerską, nie przybywszy na obiad dyplomatyczny, wydany przez Waldecka Roussseau, dlatego, że był na nim dr. Leyds.

Naganka na studentów. W Berlinie odbywa się od pewnego czasu ciągła naganka na studentów Polaków. W ubiegłą sobotę aresztowano ich 20, zebranych na tak zwaną „knajpę”, jaką studenci niemieccy codziennie urządzają. Rewizya nie wykazała nic podejrzanego, mimo tego pociągnięto studentów do odpowiedzialności. Tejże nocy aresztowano 14 studentów w Charlotenburgu. Obecnie aresztowanych wypuszczono na wolność.

Zaburzenia w Tryeście. Tryest jest widownią krwawych zaburzeń. Zaczęło się od zmowy robotników portowych, za którymi poszli inni. Bezrobocia były atoli na ukończeniu w drodze polubownej, gdy wtem między robotników wmieszali się anarchiści i inne żywioły przewrotowe. Obrzucono kamieniami policyę i przybywające jej na pomoc wojsko. Żołnierze kilkakrotnie dali ognia. Jest kilkunastu zabitych i mnóstwo rannych, po większej części ludzi zupełnie niewinnych. Ogłoszono stan oblężenia; rozruchy przycichły, ale rozjątrzenie trwa.

CHWILA BIEŻĄCA

Ku czci ś. p. Bohdana Zaleskiego. W ubiegły piątek, d. 14-go b. m., jako w setną rocznicę urodzin znakomitego poety, Bohdana Zaleskiego, w kościele archikatedralnym św. Jana, staraniem literatów warszawskich, odprawiono nabożeństwo żałobne za spokój duszy „słowika ukraińskiego". Mszę śpiewaną przed wielkim ołtarzem odprawił ks. Furmanik w asystencyi dwóch dyakonów. Chór katedralny wykonał mszę żałobną Miterera, a p. Marszałkowska odśpiewała „Pieśń pokutną" Moniuszki. Na nabożeństwie zgromadziło się liczne grono literatów i dziennikarzy, z komitetem kasy literackiej na czele, oraz wielu pobożnych.

Rocznicę tę upamiętni w piękny sposób redakcya „Gońca łódzkiego". Ogłasza ona konkurs poetyczny, imienia Bohdana Zaleskiego. O nagrodę ubiegać się mogą poematy rymowane, treści dowolnej, objętości od 800 do 1,000 wierszy. Nagrody: rbl. 350 i 150. Autor może umieścić swą pracę, gdzie zechce. Termin—do 1-go stycznia 1903 r. Rękopisy należy wysyłać do redacyi „Gońca łódzkiego".

Pomnik Chopina w Warszawie stanie albo w ogrodzie Saskim, przy wejściu z ulicy Marszałkowskiej, albo na placu Wareckim. Władza miejska udzieliła już na to zezwolenia.—Liczne grono rzeźbiarzy, architektów i malarzy polskich zwróciło się do komitetu budowy pomnika z odezwą, prosząc, aby wszystkie sprawy, tyczące strony artystycznej zamierzonego dzieła, rozstrzygali wyłącznie artyści polscy i aby skład wyrokującej komisyi artystycznej wybrany był przez ogół artystów.

Dochód z 1-go balu literackiego, na rzecz funduszu wsparć i zapomóg, wyniósł rbl. 2,040. Powiększy go jeszcze dochód ze sprzedaży „Jednodniówki".

Dochód z wystawy obrazów galeryi nieborowskiej na rzecz sierot z „Nazaretu" wyniósł 117 rbl. 83 kop. Zwiedziło ją 2,017 osób.

W Warszawie zmarł ś. p. Aleksander Rakowski, asesor farmacyi i chemik z Radomia, pracownik dzielny i młody. Zwłoki spoczęły na cmentarzu powązkowskim; wieść o zgonie odbiła się echem żałobnem w sercach radomian.

Ruchome oddziały okulistyczne, zapoczątkowane przez czcigodnego Jana Tadeusza ks. Lubomirskiego, mają już za sobą 3-letnią działalność. W tym czasie opatrzono 17,051 osób, którym udzielono 36,43 porady. Ogólny koszt utrzymania oddziałów wyniósł 14,500 rbl., niedobór, w sumie 7,440 rbl., pokryli członkowie komitetu, złożonego z p.p.: J. T. ks. Lubomirskiego, ks. Łobanowa-Rostowskiego, ordynata hr. Zamoyskiego, bar. Heintzla i d-ra B. Gepnera (ojca). Po trzech latach próby, oddziały prawdopodobnie rozpoczną stałą działalność.

Czytelnia bezpłatna w Radomiu kończy 13-ty rok swego istnienia. Dzięki energii opiekunów, rozwijałaby się ona stale, gdyby nie zła wola, czy też lekkomyślność osobników, które rabują książnicę publiczną, nie zwracając wypożyczonych dzieł przez całe lata, a więc przywłaszczając je sobie. Tym sposobem zubożono czytelnię blizko *o 300 dzieł, wartości 650 rbl.!* Lekceważenie cudzej własności posuwa się do tego stopnia, że uczestnik czytelni zatrzymuje u siebie jeden tom z całości kilkotomowej. Z tomu tego oddzielnego sam nie ma żadnej korzyści, a dzieło, wartości kilku rubli, czyni bezużytecznem. Obecny zarząd czytelni, wobec tego systemu rabunkowego, przyjętego przez pewien odłam czytelników, obostrzył formalności: przyjmuje tylko poręczenia, wydane przez osoby sobie znane, wiarogodne i odpowiedzialne. Warto zaznaczyć, że przeważna ilość książek ginie w sferze t. zw. „inteligentnej": rzemieślnik, wyrobnik, robotnik szanuje własność cudzą, a gdy książkę zgubi przypadkiem—prosi o spowadzenie nowej na jego koszt. Czytelnicy „inteligentni" nie odpowiadają na listy zarządzającego, a nawet oburzają się na jego niedelikatność. Smutne to!

Bezinteresowną, zmudną pracą swą służą sprawom czytelni p.p.: M. Szafrański, zarządzający, z córkami swemi; A. Adamski, M. Czajkowski, J. Horoszewicz i H. Sipowicz. Kuratorem czytelni, z ramienia Towarzystwa dobroczynności, jest adw. przys. p. Zygmunt Zalewski.

Poświęcenie ochrony w Kole, założonej przez tameczne Towarzystwo dobroczynności, odbyło się przy licznym udziale gości zaproszonych. Do ochrony uczęszcza 50 dzieci, otrzymują one obiad i podwieczorek; 25 pań—opiekunek spełnia, kolejno, dyżury. Dziećmi zajmuje się ochroniarka z Warszawy. Główną opiekunką i dostarczycielką środków pieniężnych jest p. W. Ostrowska, właścicielka fabryki machin w Kole.

W Łęczycy zmarł ś. p. August Padyga, nauczyciel muzyki i śpiewu w tamecznem seminaryum nauczycielskiem, kompozytor muzyki do obrazu ludowego „Wnuk Tumrego" W. Gutowskiego i do wielu utworów scenicznych i pieśni popularnych, b. dyrektor orkiestry.

Zamek w Pieskowej Skale, z lasem, gruntem ornym, folwarkiem willami, hotelem, stawami i t. d., jest do nabycia. Właściciel obecny, adwokat krakowski, p. Chmurski, chciałby ten zabytek odstąpić w ręce, któreby go uszanowały. Dzierżawca hotelów i will w Pieskowej Skale udziela potrzebnych objaśnień.

Gubernia piotrkowska utraciła dwóch kapłanów: oddali Bogu ducha ś. p. ks.ks.: **Piotr Wojciech Neuman,** proboszcz par. Regnów w wieku lat 52, kapłaństwa 49, od lat 42 ojciec parafii osieroconej; **Wojciech Fatrasiewicz,** misyonarz, administrator par. Sierzchowy, w wieku lat 64, kapłaństwa 41.

Nowe towarzystwo akcyjne w Petersburgu rozpoczyna swoją działalność: ma ono wywozić za granicę rosyjskie wyroby przemysłu drobnego. Kapitał zakładowy 500,000 rbl.

Zniesienie totalizatora. Do podania szlachty moskiewskiej o zniesienie totalizatora zamierza przyłączyć się, wskutek wniosku p. Ilina, szlachta gubernii petersburskiej.

Trzęsienie ziemi dało się odczuć, przed tygodniem, w okolicach Tyflisu. Dość słabe w Tyflisie, silniejsze było w Baku i Elizawetpolu, najwięcej jednak ucierpiała Szemacha. Większa część miasta legła w gruzach, które ogarnął pożar. Ocalało zaledwie kilkadziesiąt domów. Katastrofę przypłaciło życiem kilkuset mieszkańców. Niejednokrotnie już Szemacha padała ofiarą trzęsienia ziemi, należałoby więc odbudowywać miasto w innej okolicy.

Dom pracy kobiet w Krakowie, jako oddział domu brata Alberta, uchwaliła utworzyć sekcya dobroczynna rady miejskiej. W domu tym znajdą zajęcie kobiety, oddające się włóczęgostwu, aresztowane przez policyę.

„Towarzystwo artystów polskich" w Krakowie, zawiązane w ostatnich czasach, ma na celu: urządzanie wystaw malarskich i rzeźbiarskich w Krakowie, Lwowie i Warszawie i wielkich miastach za granicą i podniesienie sztuki polskiej. Prezesem jest Jacek Malczewski, skarbnikiem Piotr Stachiewicz, członkami wydziału: Tichy, Błotnicki, Dąbrowski i Toulié.

We Lwowie skonfiskowano „Legendy" A. Niemojewskiego; wycofano z księgarń tamecznych wszystkie egzemplarze. Sprawę rozstrzygnie sąd, obronę dzieła wnosić będzie sam autor.

Nowy miesięcznik we Lwowie— „Przewodnik literacki"—rozpoczęło wydawać Towarzystwo im. Adama Mickiewicza. Znajdą się w nim: rozprawy z wszystkich epok literatury polskiej, rozbiory i sprawozdania krytyczne, materyały nieznane i nie wydane, oraz przegląd bibliograficzny bieżącego piśmiennictwa naukowego, polskiego i obcego. Komitet redakcyjny składają p.p.: W. Bruchnalski, B. Gubrynowicz i E. Porębowicz.

POGADANKA

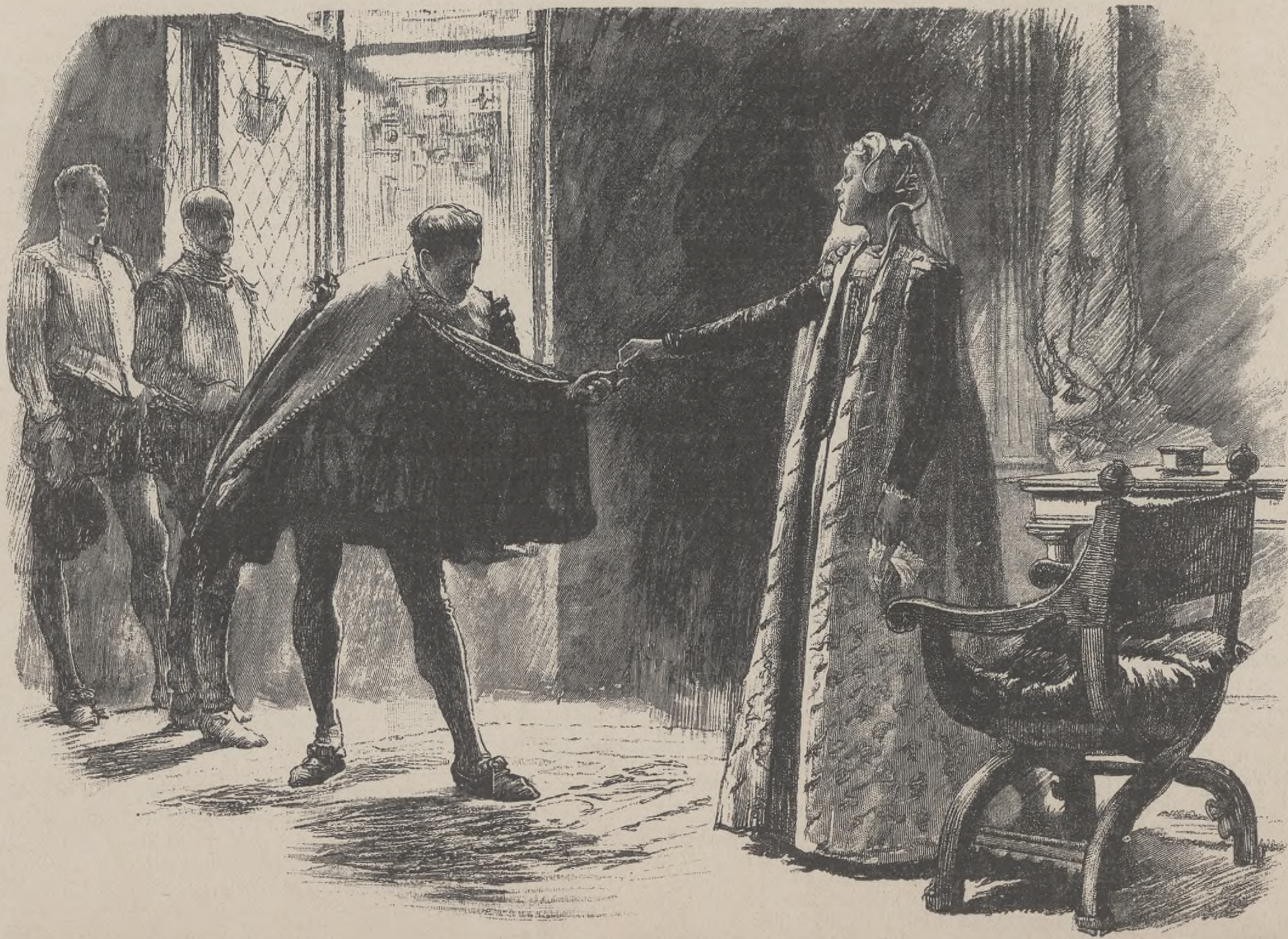
2,807) W Indyach istnieje sekta głodomorków, zwanych Dżenami, którzy uważają posty za najważniejszą część religii. Poszczą nieraz po pięćdziesiąt dni z rzędu, jedzą tylko pokarmy roślinne i zachowują milczenie. Główne ich siedlisko jest w niższym Bengalu. Liczba Dżenów wynosi blizko półtora miliona.

2,808) Każde państwo troszczy się o przechowanie dokumentów piśmiennych, odnoszących się do jego historyi; ślady tej troskliwości spotykamy nawet w czasach bardzo odległych, gdyż Egipcyanie, Chaldejczycy, Hebrajczycy, Assyryjczycy i Persowie mieli już archiwa. W Rzymie czuwali nad niemi sędziowie. W średnich wiekach stanowiły część inwentarza domu królewskiego i wszędzie wożone były przez monarchę. W ten sposób Filip-August, król francuski, zwyciężony przez Ryszarda Lwie Serce, stracił wszystkie dokumenta i pieczęcie. Najbogatsze archiwum państwowe znajduje się w Londynie, gdzie zbudowano osobny pałac *Public Record Office* dla ich pomieszczenia. W tych dokumentach zawiera się historya Anglii od 800 lat, nietylko polityczna, ale konstytucyjna, społeczna i ekonomiczna. Jest to kopalnia, z której długo jeszcze będą czerpali historycy i uczeni. Do najciekawszych przedmiotów zalicza się Karta swobód, udzielona przez Wilhelma Zdobywcę, akta pierwszej Izby gmin, list Henryka IV. Archiwa szkockie są w Edymburgu, irlandzkie w Dublinie.

REBUS



Rebus w n-rze 7: Nigdy cnota nie chodzi samopas ale z innemi za ręce.



WIECZORY POWIEŚCIOWE Nr. 7.
„Bez czci i wiary.“

„Oto sygnet królewski“—rzekła Marya Stuart.

PLON LITERACKI

— Cenną książkę, uwieńczoną przez Akademię francuską, wydano w języku polskim p. t. **Młodzież.** (Nakład Gebethnera i Wolfa). Autor, C. Wagner, pragnął, aby młodzieniec znalazł w książce jego choć słówko, które warto zapamiętać w 20-tym roku życia i zabrać je z sobą na dalszą drogę życia. Przewodnią myśl książki wyraża autor w zdaniu: „oddaliliśmy się od źródeł, wrócić do nich należy“. Woła do młodzieży: „Bądźcie młodymi i bądźcie ludźmi!“ Obszerniej rozwija tę myśl w rozdziale: „Czy świat jest stary?“. „Pierwszym obowiązkiem młodego i pierwszem jego dobrem jest być młodym. Prawdziwie młodemu wszystko wyda się młodem. Świeżość jego życia i duszy daje mu moc odczuwania nowości i świeżości w świecie“. Cel życia widzi autor w tem, aby żyć wszystkiemi władzami naszej istoty, zużytkować moc, którą posiadamy. *Fac tua, sua Deus faciet.* Wyłącznym i upragnionym celem młodzieży „powinno stać się kształcenie energii osobistej, czynu, siły fizycznej i moralnej“. Wiarę nazywa autor „szczytem życia całego“. „Pobożność to szacunek, sięgający niebios“. „Bezbożność jest występkiem złożonym, w którym streszcza się wszystko zło, w szczegółach popełnione“. „Wiara jest siostrą wolności, uwięziona umiera. Nie zaprzedawajcie swej wolności dla żadnej korzyści na świecie“. Wzmiankę o „Młodzieży“ zamykamy cytatą z rozdziału „Ideał“: „Ludzkość żyje boleścią, ofiarą, śmiercią najlepszych swych dzieci. Nikt nie może pojąć, jak głęboką jest prawdą, że najwięcej zespolonymi z życiem są właśnie ci—umarli“...

— Spóźniony, ale wsparty 10-letnią tradycyą, ukazał się **Rocznik dla organistów** na r. b., redagowany i wydawany w Płocku przez ks. Bronisława Maryańskiego. Oprócz życiorysu J. E. Biskupa Jerzego hr. Szembeka i opisu ingresu do Płocka, z tekstem prześlicznej mowy do duchowieństwa, rocznik mieści szereg artykułów specyalnych, jak: „Organista“, „Krótka pogawędka pod adresem pp. organistów“, „Muzyka kościelna“, „Słowo o reformie muzyki kościelnej“, „W sprawie śpiewu po kościołach parafialnych“; wykaz najnowszych wydawnictw muzycznych ludowych i liturgicznych. Wyciąg z akt dawnych odezwy Komisyi Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego świadczy, że nie od dziś datuje się troska o naprawę u nas muzyki kościelnej. Do ożywienia rocznika w przyszłości przyczynić się może podanie dokładnego spisu organistów przy kościołach Królestwa i Cesarstwa, szczegółów o kasie pomocy i t. p.

— W Tarnowie wychodzi pismo popularne, illustrowane, poświęcone wszystkim gałęziom gospodarstwa wiejskiego, p. t. **Głos rolniczy.** Dwutygodnik ten, mający u nas debit, kosztuje 2 rb. 50 kop. rocznie. Redaktorem jest prof. gospodarstwa przy seminaryum naucz. w Tarnowie, T. Czaykowski. W n rze 1-ym wyróżniają się artykuły: „Jubileusz ziemniaka“, „Gospodarstwo mleczne“, „Królik angielski“ („Baran“), „Pieczarki i ich hodowla“, „Wartość i użytek drewna drzew owocowych.“ Redakcya stara się z dobrym skutkiem o różnorodność, pożyteczną dla większych i mniejszych gospodarstw.

Redaktor i Wydawca WŁADYSŁAW MALESZEWSKI.

Дозволено Цензурою Варшава, 7 Февраля 1902. Fotografie, klisze i druk „Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.“

№ 9 1902.

Biesiada Literacka

OGŁOSZENIA.

PYTANIA I ODPOWIEDZI,

MIĘDZY REDAKCYĄ A CZYTELNIKAMI.

P. **K. D. w Kamieńcu Podolskim.** Portrety: Stefana Batorego i Kraszewskiego po 50 kop., Sienkiewicza 1 rbl. 50 kop., bez przesyłki.—P. **Witold Grzymałło w Merefie** Podpis „Grzymałłowa“ jest prawidłowy; znajomi mylą się, utrzymując inaczej. Za życzliwość bardzo dziękujemy. „Wawel“ i „Dzieje Polski“ zyskały ogólne uznanie—P. **Marya Szewell w Petersburgu.** „Wawel“ i „Dzieje Polski“ staną się drogą pamiątką dla każdej rodziny polskiej i będą przechodziły z pokolenia w pokolenie...“ najmilsza to ocena wartości naszych premiów. Okładka kolorowa, wykwintna, do albumu „Wawel“ kosztuje 90 kop., bez przesyłki. I my podzielamy zdanie: tam jest prawdziwa przyjaźń, gdzie niema obłudy. Numer żądany wysłano.—P. **Zofia K. w Piotrkowie.** „Klęska“ rbl. 1, „Szpilka,“ „Podbój“ i „W niewoli u Chińczyków“ po 15 kop., „Tragedya korony“ 20 kop., „Ligia“ 30 kop., bez przesyłki pocztowej.—P. **S. Czer. w W.** Szkoły geometrów: w Kursku, Ufie, Penzie, Pskowie i Tyflisie, przyjmują uczniów, którzy ukończyli 5 klas średnich zakładów naukowych (rządowych), w wieku od 15 do 19 lat; kurs 3-letni; opłata 20 rbl. rocznie.—P. **W Kar. w Nadolinie.** Z języka łacińskiego, odznacza „odstępstwo.“—„**Prenumerator Biesiady w B.**“ „Janka sieroty“ nie umieścimy.—P. **Juljan Kulwiec w Krasnojarsku.** Wspomnienie dawnych czasów przyjął „Sęp“ z radością i dziękuje za nie serdecznie. Radosną jest także wieść o budowie nowego kościoła. Wielka to potrzeba, skoro stary kościołek $1/_{10}$ parafian nie mieści (katolików w samym Krasnojarsku 3,000, a w gubernii przeszło 30,000). Za pamięć i przyjacielskie słowa — szczęść Boże!—P. **Z. M. w Tyflisie.** O listy prosimy. Premium tegoroczne—„Modlitwę o natchnienie“—obraz Jacka Malczewskiego, wyślemy, gdy będzie gotowe. Za słowa uznania wdzięczniśmy bardzo.—P. **S. Wojnowski w Zawiszynie.** Jeszcze się nie zaczęła.—P. **S. C. Bojarska w W.** Rękopisu nie otrzymaliśmy.—P. **Józef I. w Klinczach.** Odesłaliśmy pod właściwym adresem.—P. **L. Ł. Ozorków.** Udogodnienie, o którem sz. pan wspomina, dotychczas zostało zaprowadzone tylko w Prusach, na kolejach państwowych. Zniesiono długie i uciążliwe formalności przy wysyłaniu kufrów i paczek koleją żelazną i zastąpiono je markami, które nabywa się na dworcu i przylepia na wysyłanych rzeczach. Są trzy taksy: 40 fenigów za paczki ważące mniej, niż 7 kilogramów; 80 fenigów za rzeczy od 7 do 17 kil.; marka 160 f. za rzeczy od 17 do 30 kil. Inaczej się płaci za przestrzeń, nie wynoszącą 100 kilometrów, inaczej za większe odległości. Przewóz takich paczek odbywa się pociągami pośpiesznemi; za dopłatą 40 fenigów, zarząd kolei dostarcza je do mieszkania adresanta w godzinę po przyjściu pociągu.—P. **K. L. Kalisz.** Nie dziwimy się oburzeniu sz. pana na apoteozę rozbójnictwa, drukowaną w pewnem piśmie warszawskiem; można istotnie osłupieć, czytając, że raubritterów całego świata odznaczała ogromna godność, powaga (!?) poczucie honoru i dostojeństwo. A myśmy w prostocie ducha sądzili, że zarówno średniowieczny baron niemiecki, jak dzisiejszy bandyta włoski, albo opryszek karpacki, są zbrodniarzami; nie przypuszczaliśmy, żeby napadanie na bezbronnych, grabież cudzego mienia i morderstwo mogły się godzić z „poczuciem honoru, powagą i dostojeństwem“. Autor się zagalopował.

SZARADA.

Druga i *pierwsza*—to rzeka,
Płynąca bystro, daleka.
Trzecia, wspak z *pierwszą* złączona,
To opera ulubiona.
Wszystek jest smaczną potrawą
I słuszną cieszy się sławą.

Rozwiązanie szarady, umieszczonej w numerze 4: *Karmelek.*

MODA.



Suknia z materyału w kratę przybrana suknem i aksamitem.

Materyał angielski w kratę szafirową, zieloną i białą, przybrany szafirowem suknem z kamizelkę i pliski, takimże aksamitem i czarnym sutaszem. Szwy bryta przedniego zasłania $2\frac{1}{2}$ cent. szeroka wypustka aksamitna i równie szeroka pliska, u dołu wycięta w zęby, dana i na szwie falbany. Na staniku podszewkowym najpierw przyczepiony plastron biały atłasowy, naszyty czarnym sutaszem i zapięty na złote guziczki, następnie dana kamizelka sukienna, również na guziczki zapięta. Brzegi przodów, zachodzące na kamizelkę, zakończą aksamitna wypustka i pliska en forme.

Rodzina, bez żadnego utrzymania, prosi litościwych ofiarodawców o składkę na maszynę, by mogła zapewnić sobie jaki taki byt. Łaskawe ofiary przyjmuje redakcya Biesiady Lit. pod adresem ***„Rodzina."***

Jak sobie radzić?

Cytryny i pomarańcze konserwują się długo, jeśli rozpuści się szelak w occie winnym i owoce w tym płynie zanurzy się na kilka sekund. Po wyjęciu utworzy się skorupa, która sok i aromat zatrzymuje w owocu. Skorupę łatwo nożem usunąć.

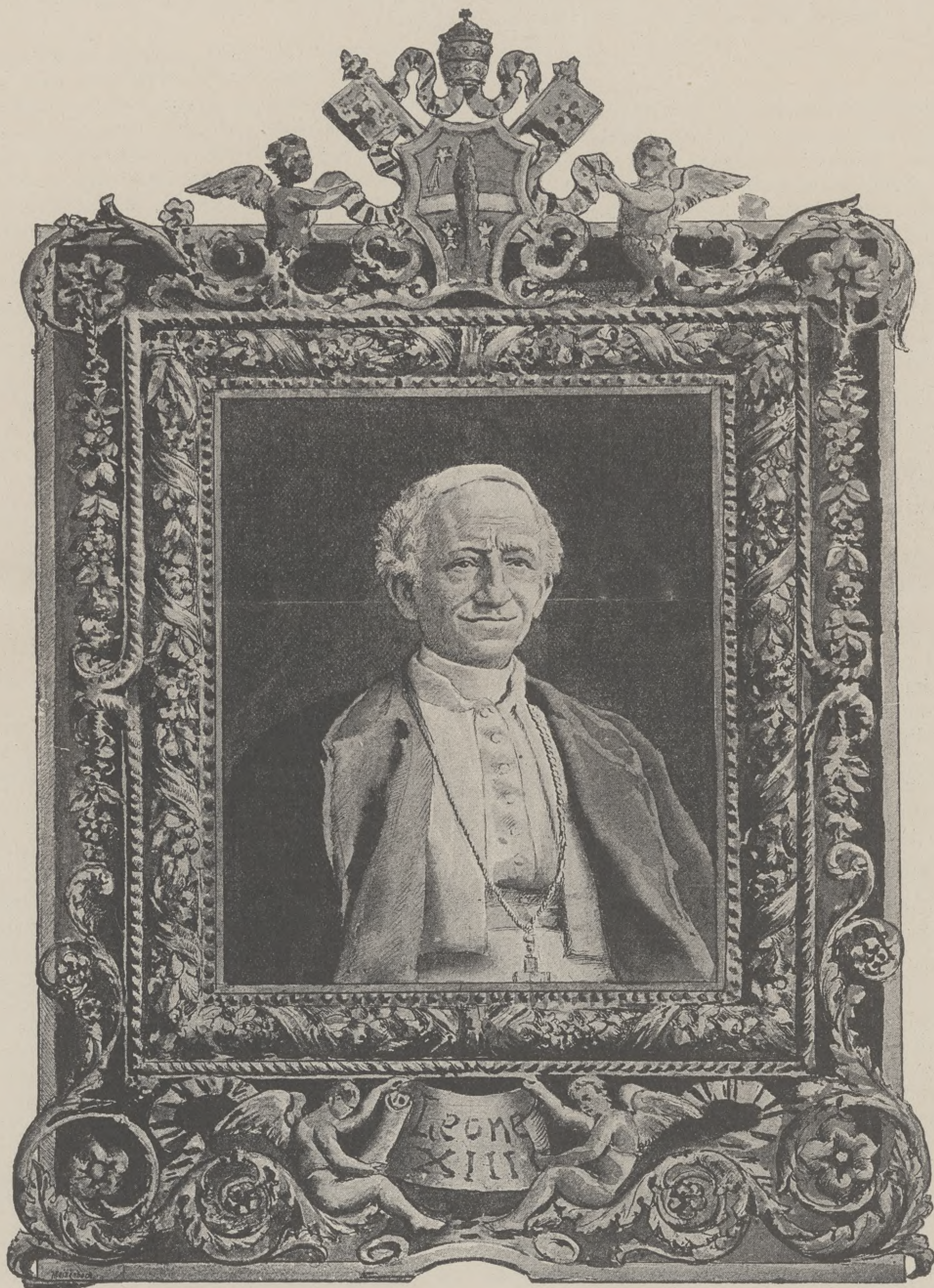
OD REDAKCYI
„PRZYJACIELA DZIECI"

Dążąc stale do udoskonalenia naszego pisma, które ma za sobą prawie półwiekową chlubną tradycyę, redakcya zgodnie z zapowiedzią noworoczną, powierzyła *dział porad wychowawczo-dydaktycznych* zaszczytnie znanej na niwie działalności pedagogicznej i piśmiennictwa dla młodzieży p. Jadwidze Chrząszczewskiej, która, jako członek redakcyi, oprócz udziału w kierownictwie pisma, przyjęła i ten obowiązek, aby, jak głosiliśmy w prospekcie, każdy, ojciec i matka, mogli się zgłaszać do nas po poradę w sprawach wychowawczych. Porad tych p. Jadwiga Chrząszczowska udzielać będzie co piątek od godziny 5-ej do 6-ej w lokalu redakcyjnym, Hoża Nr. 41.

Tom LIII. № 9—1,364. 28 (15) lutego 1902

75

BIESIADA LITERACKA



OJCIEC ŚWIĘTY LEON XIII.

Z WARSZAWY

WZAJEMNA ZNAJOMOŚĆ JĘZYKÓW.—Co mówili Czesi o naszych ruinach poszpitalnych.— Wzajemna znajomość języków. — „Słownik polski"—„Encyklopedya wychowawcza".— Kropla czarodziejska.—Wykłady w „Pogotowiu" o ratownictwie.—Arystokratki-samarytanki.—Prezes „Pogotowia". — Komedya „Odrodzenie".

Podobno jeden z gości praskich, przemysłowiec i zarazem starożytnik, zachwycony był naszą czcią dla ruin, pielęgnującą tak troskliwie budynki po szpitalu „Dzieciątka Jezus".—„Rzym może zazdrościć Warszawie"—mówił Czech, patrząc na mury bez dachu i okien, zajmujące więcej miejsca niż Coloseum; objaśniony zaś, że to jest fundacya ks. Baudouina, unosił się nad naszą wdzięcznością, która pamięć dobroczyńcy uwiecznia szczątkami jego wielkiego dzieła.— „Jesteście bogaci, stokroć bogatsi od nas—chwalił w dalszym ciągu—my oczyścilibyśmy plac w okamgnieniu, aby na nim zbudować nową dzielnicę, ale my chłopi, handlarze, gonimy za groszem, a wy artyści, karmazyni, magnaci!" Szanowny gość wyjechał z tem mniemaniem o naszem zamiłowaniu ruin i czci dla Ojca sierot, bo nikt nie śmiał mu powiedzieć, że ruiny niby rzymskie, przepojone miazmatami szpitalnemi, mogą na wiosnę narobić całej dzielnicy bigosu. Nie dowiedział się, że posiadamy Towarzystwo hygieniczne, które, radząc nad zdrowotnością miasta, nie podniosło gwałtu na wiosenną rozbiórkę szpitala, kiedy pył z zarazkami wciskać się będzie do mieszkań sąsiednich.

Nie dziwiłbym się Towarzystwu muzycznemu, gdyby od niego zależało zburzenie murów podejrzanych, że nie skorzystano z pory zimowej i zostawiono robotę na wiosnę lub lato, kiedy powietrze miejskie staje się zabójcem, nawet bez nadzwyczajnych okoliczności; Towarzystwo miałoby w tem własny interes: wszak jego konkurentka, Filharmonia, sąsiaduje z najokropniejszym z budynków poszpitalnych — z prosektoryum! Dreszcz nami wstrząsa na wspomnienie spólnego grobu tysiąca biedaków, których na stoły kliniczne kładł los pod nóż medyczny. Niech się po Europie rozniesie, że pod bokiem Filharmonii groby rozkopują, żaden muzyk a tem bardziej śpiewak nie przyjmie zaproszenia—i będziemy musieli słuchać artystów niemieckich, bo ci, byle tylko zarobić, nie ulękną się polskich mikrobów.

W praktyce nasza zdrowotność dziwnie wygląda; jeżeli tak samo leniwie zawiązywać będziemy nowe stosunki handlowe, jak leniwie wprowadzamy w życie rady i przestrogi Towarzystwa hygienicznego, to przemysłowcy i kupcy niemieccy mogą spać spokojnie.

Czesi zauważyli, bo oni w ciągu czterech dni pobytu w Warszawie zmyszkowali więcej, niż my potrafilibyśmy w ciągu miesiąca, że mogą liczyć na wielki odbyt metalowych i porcelanowych spluwaczek, których widocznie przemysł miejscowy nie wyrabia, więc publiczność musi się bez nich obywać i pluć, gdzie się zdarzy. Nie przypuszczali szanowni goście, przyzwyczajeni do idealnej czystości w domu własnym, w obejściu jego i na ulicy, abyśmy byli do tego stopnia leniwi, że nie chce się nam wstać do spluwaczki, stojącej od nas o kilka kroków, ale w takim kącie, że trzeba dobrze się jej naszukać z pomocą kelnera, który wymyśla różne przysługi, aby za każdą otrzymywać napiwek. Niektórzy nasi lekarze umieścili na schodach, wiodących do ich mieszkania, napisy ścienne „Nie pluć na podłogę"; zwyczaj to chwalebny, bo chory wynosi od lekarza nietylko receptę ale i przyzwyczajenie dla zdrowia pożyteczne. Podobne napisy w cukierniach, restauracyach kompromitowałyby gospodarzy i jego gości; nie zająłbym miejsca w towarzystwie, któremu trzeba przypominać, że plucie na podłogę to nieobyczajność chłopska.

Na rachunek gości czeskich mógłbym wytykać inne jeszcze wady naszemu społeczeństwu, ale sposób ten jest specyalnością zacnego Prusa, który w rozmowie z rzekomymi obywatelami Albionu wymierza cięgi Warszawie. Mógłbym opowiadać, że się wykręcałem Czechom z odpowiedzią na pytanie: ilu prenumeratorów ma u nas słownik polsko-czeski i czesko-polski, wydawany w Pradze, przez ludzi rozumiejących doskonale, że zbliżenie przemysłowe dwóch narodów bez wzajemnej znajomości swych języków gruntownem być nie może? Goście z nad Wełtawy, przyjmowani przez nas owacyjnie, jako wybawcy ze szponów niemieckich, dziwili się, że nikt z tych, którzy proponują im interesa wartości milionowej, nie umie ani słowa po czesku, oprócz wiwatowego „Na zdar!"—i porozumiewa się z nimi w języku niemieckim. Ale i Czesi nie znają języka naszego, więc wet za wet? Tak jest, lecz oni, jak tylko spostrzegą, że nasze stosunki handlowe z nimi mogą być trwałe, natychmiast wezmą się do słowników, rozmówek a nawet gramatyki, my zaś nie okażemy tej ruchliwości. Czescy przemysłowcy i kupcy, którzy język polski sobie przyswoją, będą górą nad nami, bo poznają nas lepiej, niż my ich. W języku macierzystym jest charakter narodu, jego zdolności, siła umysłu, skłonności serca i historya dróg, po których szła jego cywilizacya; o tem wszystkiem mówi język, wyraźniej i pewniej, niż portret malowany lub rzeźbiony o podobieństwie zewnętrznem człowieka.

Nic łatwiejszego jak pisanie o żelaznym wilku, a nad duszą języka bardzo mało ludzi się zastanawia, zwłaszcza u nas; mamy wielki pociąg do cudzoziemskiej konwersacyi, ale bez żadnej ciekawości, na czem polega typowa odrębność języka. Najlepszym dowodem, że mówię prawdę, są nasze wydawnictwa poświęcone sprawie językowej. „Słownik polski", o którym ktoś powiedział, że wczytuje się w niego z taką rozkoszą, jak gdyby miał przed oczyma najciekawszy romans, najwytworniejsze dzieło sztuki, musi kołatać ciągle do publiczności o pomoc materyalną za pomocą prenumeraty, dostępnej nawet dla bywalców na koncertach popularnych w Filharmonii, bajecznie tanich. Tak samo prosić musi o poparcie drugie wydawnictwo, także z rodu dostojników naukowych— „Encyklopedya wychowawcza", mająca na swej okładce wizerunki Kołłątaja, Konarskiego, Czackiego i Sniadeckiego, wydawana kosztem miłośników wiedzy, należącej do najszlachetniejszych i niezbędnych.

Siadając do pisania kroniki, byłem pod silnem wrażeniem wiadomości z dziedziny wynalazków, którą wyczytałem w biuletynach biur wyrabiających patenty; wrażenie było nadzwyczaj przyjemne, bo jeśli biuletyn się sprawdzi—znikną ciemności fizyczne i w izbie najuboższego człowieka będzie jasno jak w pałacu. Stanie się to za pomocą świeżo wynalezionego płynu, którego kilka kropel, wpuszczonych do wody, przemienia ją w naftę, dającą światło jasne jak elektryczne. Płyn ten nosić będziemy w flaszeczce, niby perfumy, i z każdej szklanki

napełnionej wodą zrobimy sobie lampę lub—żagiew podpalacza. Wynalazek nadzwyczajny, o którym dowiemy się więcej z „Chemika polskiego“, a jednak, wziąwszy do ręki ostatni zeszyt „Encyklopedyi wychowawczej“, zapomniałem o kroplach czarodziejskich. Szczególniej pochłonęły moją uwagę artykuły: „Języki aryjskie“, Stanisława Drzażdżyńskiego, i „Język ojczysty“, prof. Romana Plenkiewicza.

Muszę poświęcić im część kroniki ale nie dzisiejszej, bo mi pilno zawiadomić szanowne czytelniczki, że „Pogotowie“ urządziło wykłady o ratownictwie.

Wówczas, kiedy Warszawa używała całą piersią karnawału, w lokalu Pogotowia rozpoczęły się posiedzenia samarytańskie, na które przybyła taka liczba osób, że szczupły lokal nie mógł pomieścić wszystkich. Miasto szalało a w Pogotowiu wsłuchiwano się w słowa lekarzy, nauczających o ratownictwie na przykładach; słuchaczy, nie przygotowanych nawet elementarnie do głębszych studyów anatomicznych, prelegent wtajemniczał w ustrój organizmu człowieka i zmian w nim powstałych skutkiem wypadków, jak zaczadzenie, utonięcia, złamanie nogi lub ręki, ciężkie obrażenia ciała, zemdlenie, apopleksya i t. p. Nauczyciele nie wyczerpują przedmiotu, nie obciążają umysłu słuchaczek nomenklaturami, wczas kładą granicę między wiedzą wyczerpującą a dostępną dla laików, przysposabiają społeczeństwu naszemu pielęgnarki cywilne, chcące albo mieć utrzymanie z tego zajęcia, albo też w imię miłości bliźniego idące śladem aniołów ziemskich—Sióstr miłosierdzia.

Pociechą wielką dla wątpiących o zdrowiu moralnem naszego miasta, głoszących, że już wygasły w niem wszelkie dążności idealne, zostały zaś tylko pożądania poziome, jest widok tego grona dobrowolnych słuchaczek, którym lekarz odsłania najsmutniejsze strony życia naszego. Nie wzywając: ratujcie! budzi w sercach młodych żarliwość, co się nie lęka poświęcenia, nie brzydzi krwią cieknącą z rany, nie zatyka uszu przed jękiem, nie porzuca chorego dziecięcia, chociaż wie, że od niego zarazić się można.

Niemal dumny z tego natłoku w sali wykładowej, ciekawie badałem, jaka też sfera społeczna dostarcza słuchaczek: znaczna ich część należy do rodzin zamożnych, do tak zwanej arystokracyi — nie owej, zajmującej pierwsze miejsca na balach, koncertach, w teatrze, wszędzie, gdzie się gotówką wkupić można, ale arystokracyi w której pomimo ewolucyi pojęć odzywa się od czasu do czasu siłą atawizmu duch pradziadowski, zdolny do poświęceń idealnych. Nie poprzestając na zapewnieniu lekarzy, udałem się za nimi do szpitali i przytułków. Sam opis istot dotkniętych chorobą nieuleczalną wzbudziłby w czytelnikach wrażliwych odrazę, a cóżby się z nimi stało, gdybym ich zmusił do oddychania wyziewami szpitalnemi, które, mimo najlepszej wentylacyi, wydzielają się bezustannie. W tych gniazdach nieszczęścia widziałem istoty młode, piękne, owe gwiazdy i gwiazdeczki balowe, na które w przedpokoju czeka lokaj uherbowany, z puchowem okryciem na ręku, a przed bramą—kareta. Za przewodem Sióstr miłosierdzia, nigdy jakimś cudem niezmęczonych, obsługują chorych młode arystokratki, obmywając i bandażując rany najwstrętniejsze; unoszą głowy bezwładne, aby chory łatwiej mógł przyjąć pokarm; odmawiają z dziećmi paciorek; słuchają cierpliwie długich opowiadań chorych o swej rodzinie i przeszłości. Czynią to wszystko z dziwnym spokojem ducha, ręką pewną, z delikatnością dobrego wychowania, z tym wdziękiem, jakim czarują w salonie swych wielbicieli.

Nieraz dopiekłem tej klasie, jeśli swem postępowaniem zasłużyła na złą cenzurę, ale nigdy się do sfery, ani do rasy nie uprzedzam, więc i teraz staję przeciwko tym, którzy chodzą z kamieniem w zanadrzu, szukając żeru z żarłocznością jastrzębia. Nie potępiajmy wszystkich za jednostki, u nas niestety liczne; arystokratki oddane próżniactwu i swawoli wyłączajmy z towarzystwa, w którem toczy się rozmowa o obowiązkach dobrych żon, matek i obywatelek. Te panie nudziłyby się i niecierpliwiły na wykładach w „Pogotowiu“, mając na myśli jakąś wizytę, plotkę najnowszą lub magazynierkę.

Prezes „Pogotowia“ żyje śród sfery, o której mówię, a jednak zdobył sobie życzliwość i wdzięczność Warszawy, nie zaszkodziło mu marnotrawstwo innych, awantury klubowe, szermierka o totalizatora i t. d.; jest szanowany i wyróżniany za swą służbę tak gorliwą, jak gdyby był oficyalistą płatnym, lękającym się stracić posady. Gustaw hr. Przeździecki nie zadowala się tytułem prezesa, lecz pracuje na równi z całem gronem ratunkowem; każdy sygnał, odzywający się w strażnicy, ma echo w jego sercu, czujnością swoją daje przykład, a ileż to razy siada do karetki wraz z lekarzem i posługaczami, aby jak najprędzej zanieść pomoc choremu, jeśli wypadek jest groźny.

Ludzi poświęconych filantropii wyobrażamy sobie zwykle w postaci smutnej, ciężko zamyślonej, z głową zwieszoną na piersi, z oczami wiecznie załzawionemi, wzdychających i nieprzystępnych dla szczerego śmiechu. Błędne pojęcie! Siostry miłosierdzia, Bogu i nieszczęściu ludzkiemu poświęcone, nie gardzą myślą pogodną, żartem i rozmową o tem, co się na świecie dzieje; nie odgradzają się one od ludzi kratą smutku, lubią towarzystwo wesołe, jeśli wesołość płynie z czystego serca.

Samarytanie i samarytanki naszej dobroczynności spotykaliśmy nieraz w wirze ochoczej zabawy; pamiętamy prezesa „Pogotowia“ na balu kostyumowym jako dorodnego wieśniaka polskiego, a jednak umie on być teraz dzielnym kierownikiem instytucyi, która na swój różaniec niże łzy same.

Kto chce poznać zblizka postać, nieskalaną grzechem śmiertelnym, miłującą wszystko, co po Bożemu piękne, pobłażającą zasadzie: *natura trahit ad sua jura*, niema jednak w swem otoczeniu ku temu sposobności, niech zobaczy i posłucha aktora, występującego w roli zakonnika reguły świętego Franciszka, w komedyi Schönthana „Odrodzenie“. Dziwnie to wygląda a nawet śmiesznie odsyłanie do aktora tych, którzy chcą poznać kapłana, dla którego świat powinien być tylko cieniem przemijającym, który ma przed oczyma ciągle ołtarz święty, z rąk swoich nie wypuszcza różańca bukszpanowego, w uszach słyszy ciągle „memento mori“; ale jak się wpatrujemy w dzieła mistrzów, aby pomódz swej wyobraźni do wyprowadzenia z mroków przeszłości postaci wielkich ludzi, których z kronik nie można wyłuskać, tak samo wpatrujemy się w aktora, aby wyobrazić sobie, jak wyglądał zakonnik w epoce Odrodzenia.

Mniejsza o to, że taki znawca sztuki włoskiej, jak Klaczko, mógłby pewną niedokładność zarzucić autorowi komedyi; mniejsza o to, czy zakonnik z owej epoki tak wyglądał co do joty, jak go przedstawia p. Frenkiel, ale widz musi uszanować w tym artyście suknię zakonną, rozpogodzić się jego filozofią, powierzyć starcowi swoje najskrytsze tajemnice i zaprosić go na chrzciny, gdzie wypada pobłogosławić, mówkę zaimprowizować i wychylić lampkę wina za zdrowie noworodka.

Po każdem wystąpieniu p. Frenkla w jakiej nowej sztuce sprawozdawcy powtarzają stereotypowe: „do repertuaru jego przybył nowy klejnot“; gdyby te klejnoty dały się spieniężyć, artysta byłby już spokojny o przyszłość swego syna, a za klejnot z „Odrodzenia“ miałby dla niego pałac i cugi.

Postać zakonnika ma kanwę komiczną, lecz jakże artysta nasz ten komizm wyszlachetnił! Począwszy od całej powierzchowności, od czerstwej twarzy przy siwiutkiej głowie, aż do głosu, uśmiechu i ruchów rubasznych, zakonnik jest sympatycznym, lgnącym do serca spojrzeniem, głosem, pokorą przy zginaniu kolan dla odmówienia modlitwy na Anioł Pański. W filozofii życiowej jest pogodnym, serdecznym, mądrym, a potem wznosi się do szczytów wiary, do szczytów ideałów świętych. Kiedy opowiada o uroczystości w bazylice św. Piotra, o Papieżu, niesionym na tronie, taki w nim goreje zapał katolicki, takiego głos nabiera brzmienia, jakby to mówił rycerz Kościoła, gotowy ponieść ciche męczeństwo w obronie jego. Zakonnik ten widział Ojca Świętego!

Nadzwyczajność aktorską p. Frenkla, połączenie komizmu z dramatem w jednej osobie, starałem się wytłumaczyć w poprzednich pogadankach o teatrze, jako jasnowidzenie artyzmu z jasnowidzeniem serca. Teraz, zamiast powtarzać bezustannie: znakomity, powiem — kochany. Niech artysta wybiera, co woli.

Krytyka, na szerokich krosnach rozpięta, nie zapomniała o nikim z występujących w tej pięknej komedyi, przetłumaczonej wzorowo przez p. Wójcicką, wystawionej przez p. Żelazowskiego z zamożnością wielką. Wszyscy artyści i artystki, pamiętając, że grają na scenie polskiej, posiadającej wielką tradycyę sztuki aktorskiej, wydobyli ze swoich talentów co mogli najlepszego. Role łatwe i powszednie dla takich wirtuozów, jedyna tylko rola p. Trapszo-Chodowieckiej była istotnie nową dla niej; młodzieńca, entuzyastę-rycerza artystka odegrała z ognistą brawurą, bez śladu roboty aktorskiej... Patrząc na jej dzielność chłopięcą, można było pomyślić, że artystka chce sobie wynagrodzić krzywdę losu, który zrobił z niej kobietę.

Panią Lüdową zastąpiłbym kim innym; artystka ta w rolach niewiniątek salonowych, podszytych jak wiadomo dyabelstwem, jest nie porównaną, ale uczucie szczere, proste, miłość tylko dla miłości, udaje bez powodzenia głosem omdlewającym, akcentem przewlekłym, patetycznością zimną. P. Ładnowski ma w swoim pamiętniku aktorskim wiele ról lepszych od artysty w Odrodzeniu; nie powinien wyrządzać sobie krzywdy przez porównanie. P. Rapacki, ów nieśmiertelny kapelan fredrowski, zasuszonego belfra zanadto zoperetkował. Mimo tych wszystkich „ale“, marzę o tem, aby ciż sami artyści i dla mnie popracowali; w tym celu napiszę komedyę. Nie lękaj się, szanowny reżyserze—mam dopiero tytuł, który jeszcze sto razy zmienię.

. . . .

Sęp.

MARYAN GAWALEWICZ

DZIWOLĄGI

POWIEŚĆ

9)

Czekał chwilę na zaproszenie Trojdanowicza, aby spoczął, ale artysta, nie nawykły do tego rodzaju ceremonialnych grzeczności, pozwolił mu stać przed sobą i zaczął ziewać powtórnie.

— A cóż lepszego na takiej wsi robić, jeżeli nie spać od rana do wieczora i od wieczora do rana?—mówił, przeciągając się.—Książę musi także dużo sypiać?... co?...

— Budzę się codzień o szóstej rano... a czasem to i wcześniej, bo... bo długi sen... w sie... w siedzącej pozycyi męczy mnie,—odrzekł Liwski i westchnął.

— To książę sypia siedzący?

— Nie mogę inaczej... duszność mnie męczy. Pan pozwoli, że spocznę?—zwrócił się z uprzejmem zapytaniem do malarza.—Moja tusza—to moje kalectwo,—mówił dalej, zestawiając z sobą dwa krzesła, na których usiadł powoli, z kolanami rozstawionemi tak szeroko, aby na nich mógł się oprzeć kulisty, olbrzymi brzuch, który biedny książę, jak taraban, dźwigać musiał przed sobą.

Oparł ręce na kolanach i w nieruchomej postawie siedział tak przez cały czas, patrząc przed siebie w próżnię z jakimś dziwnie smętnym i martwym wyrazem twarzy, który nie schodził z niej prawie nigdy.

Z pozoru wydawał się zadumanym, nieprzytomnym. obojętnym na wszystko, ale to był pozór tylko: umiał siedzieć tak całemi godzinami nawet w najliczniejszem towarzystwie, nie przemawiając ani słowa, nie odzywając się sam do nikogo, słuchał jednak wszystkiego z wielką uwagą i dawał dowody nawet bardzo bystrej obserwacyi.

Zdarzało się, że zapominano prawie o jego obecności; nieraz w domach, które odwiedzał, pozostawiano go samego w salonie, gdy goście z gospodarstwem przechodzili do ogrodu lub przenosili się do innych pokojów. Książę siedział w tem samem miejscu, w niezmienionej pozycyi i zdawał się nie spostrzegać zmian, jakie dokoła niego zachodziły.

Znany był z tego, że się nie lubił nikomu narzucać swoją osobą i nie był wymagającym, ale mimo to zaliczano go wszędzie do „ciężkich gości“, którzy gospodarstwu i domownikom sprawiali kłopot, gdyż nie wiedziano, co z nim zrobić i w jaki sposób go zabawić.

Przyjmowano go jednak wszędzie z pewną atencyą i zapraszano na większe zebrania, bo należał do możnego niegdyś rodu i nosił nazwisko, uświetnione przez cały szereg pokoleń, zapisanych na kartach historyi; z wielkiej ongi, prawdziwie książęcej, fortuny pozostała mu tylko jedna wioska, puszczona w dzierżawę, z której miał bardzo skromny dochód, starczący zaledwie na jakie takie utrzymanie.

Długi odwieczny proces familijny, bankructwo bankiera, u którego miał ulokowane swe kapitały, niefortunne przedsiębiorstwa, w które się wmieszał niepotrzebnie, doprowadziły bardzo znaczny swego czasu majątek Liwskich do zupełnej ruiny.

Z jakąś chrześcijańską pokorą i abnegacyą dźwigał jednak wszystkie te niepowodzenia i przystosowywał się bez szemrania do coraz uciążliwszych warunków bytu, w których jego książęca mitra utraciła cały blask i świetność.

Pomimo licznej rodziny i bardzo rozgałęzionych stosunków powinowactwa, nie szukał ani pomocy, ani popar-



Rys. E. M. Andriolli.

BOHDAN ZALESKI,
na łożu śmierci.

cia u nikogo ze swoich krewnych; poprzestał na tem, co mu pozostało i zapomniawszy, że kiedyś trzymał kilka par koni cugowych, jadał bażanty własnego chowu, słynął jako wytworniś, stanowiący wzór elegancyi i komfortu w wielkim świecie, umiał jeździć teraz bryczką, końmi w chomontach, nosić jeden garnitur, dobrze już podszarzany, jadać skromne potrawy wiejskie i obywać się bez służby w liberyi z herbowemi znakami.

Pozwalał sobie z konieczności tylko na ten jeden zbytek, że woził z sobą pachołka, który go musiał codziennie rozbierać i ubierać, bo z powodu wielkiej tuszy, nie mógł sam sobie butów ściągać i szelek zapinać i potrzebował często obsługi, bez której nie byłby sobie poradził w najpospolitszych czynnościach.

Całe życie pozostał kawalerem a do tego celibatu zmuszały go moralne i fizyczne względy; nie chciał lada komu oddawać tytułu książęcego, gdy posiadał jeszcze fortunę wielkopańską a później czuł się za dumnym, aby szukać posagu do odzłocenia mitry rodowej; zacząwszy zaś nadmiernie przytywać w młodym jeszcze wieku, tuszę swą rzeczywiście uważał za kalectwo i mawiał z uśmiechem dyskretnej ironii z samego siebie:

— Nie dowierzałbym dobremu smakowi kobiety, któreјby moja objętość nie odstraszała od zostania księżną Liwską!... W małżeństwie estetyka ma swoje prawa, zarówno jak moralność.

Wiedziano o nim jednak, że był czas, kiedy kochał się na zabój w nieboszczce Wielkoszowej, zanim wyszła za mąż, ale miłość ta była idealna, złożona z uwielbienia i szacunku, graniczącego z czcią, istnego kultu dla moralnych zalet kobiety. Dla księcia stanowiła ona jakąś nieziemską istotę, godną podziwu i hołdów, należnych bóstwu w ludzkiej postaci.

Przez długie dziesiątki lat pozostał wiernym tej jedynej miłości i zachowywał w niej prawdziwie rycerską galanteryę; kochał i milczał, nie żądając niczego w zamian, prócz tego, aby mu wolno było od czasu do czasu przyjeżdżać do Zastawów, popatrzeć na swój ideał, ucałować jej ręce, uszczknąć kwiatek z pod jej okna i nosić go całemi miesiącami na sercu.

Przez całe życie nie ośmielił się wyznać jej swego uczucia otwarcie, nawet wtedy gdy owdowiała; obawiał się być śmiesznym w jej oczach i narazić się na odprawę. Po odprawie byłby stracił możność widywania jej i korzystania z tych jedynych chwil, jakie opromieniały mu najpogodniejszym blaskiem biedną, samotną, sentymentalną trochę duszę, zatopioną za życia w tej bryle sadła, nadającego mu pozory najpospolitszej prozaiczności.

Nieboszczka matka Romualda świadomą była wrażenia, jakie wywierała na księciu, a chociaż uczuć jego nigdy nie podzielała, z wielką delikatnością, właściwą prawdziwie szlachetnym i wyższym naturom kobiecym, szano-

wała tę cichą, wytrwałą, wierną a bezinteresowną miłość, która nie śmiała nigdy zdradzić się przed nią czemś więcej, jak spojrzeniem pełnem uwielbienia i niemal pietyzmu.

Śmierć pani Wielkoszowej odbiła się na księciu fatalnem wrażeniem; kiedy powrócił z pogrzebu do swoich Liwiszek, oddalonych o półtorej mili od Zastawów, dostał apoplektycznego ataku w nocy.

Odratowano go po kilku godzinach nieprzytomności; otworzywszy jedno oko, ujrzał przy swojem łóżku księdza i doktora z poblizkiego miasteczka.

Pierwsze jego słowa były:

— Więc to jeszcze nie koniec?... a ja myślałem...

Westchnął ciężko i chciał o coś jeszcze zapytać, ale z trudnością mógł poruszać językiem i jedna powieka mu opadała bezwładnie.

— A nie koniec, dziękować Bogu!—mówił do niego stary proboszcz, z zaczerwienonemi oczyma od łez, ale i z wyrzutem w głosie—kłopotu nam tu i strachu książę narobił!... fe!... kto to widział?... Zjadło się pewnie swoim zwyczajem za dużo na stypie, piło się pewnie trochę więcej, nie statkowało i ot!... buchnęło do głowy i tyle. Żeby nie łaska Boska i konsyliarz, toby było źle.

Książę oczy znowu zamknął i posmutniał; podejrzenie proboszcza go uraziło.

Pomyślał, że gdyby był umarł, posądzonoby go, iż się przejadł, jak żarłok, i dostał porażenia z przeładowania żołądka, nie z ucisku serca po stracie jedynej duszy, która mu droższą była od życia i od całego świata.

Ktoby uwierzył, że taki grubas, taka nieociosana kłoda w ludzkich kształtach, mogła kochać i tak głęboko odczuć poniesioną stratę.

Z tą miłością żył tyle lat, z nią się zestarzał, w niej doznał tyle szczęścia a teraz pod koniec los mu zabrał tę, o której marzył, że w nagrodę kiedyś za tyle uczucia, zamknie mu oczy do snu śmiertelnego i pożegna ostatniem ręki uściśnieniem; zawsze to sobie obiecywał, że nikt inny, tylko pani Henryetta będzie przy jego zgonie i przy niej wyda ostatnie tchnienie, z ostatnią myślą o niej.

Stary romantyk nie doczekał się tej jedynej nagrody i pozostał samotny ze swojem sercem marzycielskiem i wspomnieniami młodzika.

Przechorowawszy kilka miesięcy, podniósł się z łóżka jeszcze bardziej posmutniały, małomówny i melancholijny, aby się toczyć dalej po świecie bez potrzeby i bez celu.

Jedyną jego przyjemnością były wyjazdy do Zastaw i odwiedziny u Romualda, na którego przeniósł część uczuć, żywionych niegdyś dla jego matki; przyjeżdżał raz albo dwa razy na tydzień, posiedział kilka godzin, niekiedy nawet przenocował i powracał potem do swoich Liwiszek, w których dwór oddał dzierżawcy a sam zajmował pawilonik w zapuszczonym, starym ogrodzie, będący za bardzo dawnych czasów zameczkiem myśliwskim, gdy jeszcze w Liwiszkach istniał zwierzyniec książęcy.

W Zastawach nie zaniedbywał nigdy odwiedzić cmentarza i przy kaplicy z familijnemi grobami Wielkoszów siadał na ławce, zdejmował kapelusz, ręce splatał na brzuchu, oczy zamykał i zapadał w kontemplacyę, którą ludzie brali za drzemkę w cieniu rozłożystych lip i szumiących wiązów, otaczających murowane mauzoleum.

Dzisiaj także godzinę przeszło spędził swoim zwyczajem u grobu nieboszczki pani Henryetty, zanim zaszedł do Trojdanowicza, narzucając mu z konieczności swoje towarzystwo.

Artysta nie miał dla księcia wiele sympatyi; najpierw jego zmysł estetyczny raziła ta bryłowatość tłuściocha i ten głos wysoki, dychawiczny, sapiący, który drażnił mu nerwy, a nadto nie umiał prowadzić z księciem rozmowy, wysilając się na wyszukiwanie tematów, któreby ich obu zająć mogły.

— Książę pewnie już po śniadaniu?—spytał Liwskiego, aby cokolwiek powiedzieć i przerwać milczenie.

— Nie jeszcze, a pan?

— Także nie; łeb mnie boli, bom się w nocy urżnął, jak Bela.

— Winem?

— A winem; tam stoi ta zbrodniarka, co mnie zmogła! Chodziliśmy na rewizyę piwnicy i szelma Antoni wybrał mi najmniejszą pocieszycielkę w strapieniu... Ale!... książę nie wie, co Zastawom grozi, prawda!...

Liwski, nie poruszając głową na opasłym karku, który karbował się wałkami ciała, zwrócił tylko oczy ku niemu z zapytaniem.

— Dziedzicowi przyszła rozpaczliwa myśl sprzedania swojej piwnicy. No, słyszał książę co podobnego o porządnym szlachcicu, żeby węgrzyny, miody i starki swoje spuszczał gdzieindziej, jak do gardła?... Ja nie słyszałem.

Książę się zastanowił i milczał długą chwilę, jakby potrzebował pewnego czasu na to, by słowa Trojdanowicza przecisnęły się do jego otłuszczonego mózgu.

— A dlaczego sprzedaje, wolno wiedzieć?—spytał.

Malarz z lekceważącą miną spojrzał na księcia.

— Dlaczego?... książę nie wie, dlaczego się w ogóle sprzedaje?... Dlatego, żeby mieć pieniądze.

— Znaczy się, że potrzebuje?...—spytał Liwski znowu po przestanku.

— Ba!... i jak!... kupuj książę, zamawiam sobie porękawiczne; mogę faktorować, choć z bolem serca, ale pod warunkiem, że zostanę honorowym piwniczym w Liwiszkach.

Liwski nic nie odpowiedział, tylko oczy przymrużył i, na pozór obojętny, zdawał się w drzemkę zapadać.

Rozmowa się urwała na długo.

Trojdanowicz spojrzał na zegarek i syknął; było około pierwszej.

— Cóż u licha!... godziny sobie wyścigi robią?... Ledwie oczy otworzyłem, już pierwsza!... Trzeba wstawać. Książę nie panna, to się nie zawstydzi, że będę się przy księciu ubierał, prawda?... *(D. c. n.)*

SŁOWIK UKRAIŃSKI

W setną rocznicę urodzin Józefa Bohdana Zaleskiego 2)

Rozhukanemu na stepach chłopcu trudno było nawyknąć do więzów, jakie po skończeniu kuracyi u Znuja, nakładać musiał pobyt u drugiej ciotki w Jerczykach nad Rosią. Że jednak była ta ciotka, Anna Jasieńska, jak mówi sam poeta, „staropolską niewiastę w całem znaczeniu tego wyrazu“, więc opieka jej jaknalepsze wydać musiała owoce. „Z nią modliłem się sam na sam, z nią śpiewałem godzinki o świcie dnia, jej zawdzięczam wszczepienie we mnie żywej wiary i miłości ziemi ojczystej“.

Ogniskiem oświaty w tych stronach był wówczas Humań, tam też do wzorowo prowadzonych szkół księży Bazylianów oddano Bohdana, który do nauki brał się nadspodziewanie chętnie. Na ławie szkolnej w Humaniu spotkał się i zawarł przyjaźń z Sewerynem Goszczyńskim, Michałem Grabowskim i Sewerynem Gałęzowskim. „Prąd poezyi wiał nad krajem“, a Zaleski wkrótce wybił się na czoło uprawiających tę niwę. Nawet odważył się jeden z utworów swoich „Do Pirry“ przesłać redakcyi „Dziennika wileńskiego“. W Humaniu powstała też „Duma o Wacławie“, pierwszy utwór, w którym zaznaczył poeta swoją dbałość o melodyjność wiersza. W r. 1820-ym przybył poeta do Warszawy, ażeby na uniwersytecie uzupełnić wykształcenie swoje. Dwuletni pobyt nad Wisłą, zawiązanie stosunków przyjaźni z Maurycym Mochnackim, Stę-

JUBILEUSZ PAPIESKI

D. 20-go b. m. Ojciec Święty, Leon XIII-ty rozpoczął rok 25-ty swego pontyfikatu. Przed 24-ma laty, 20-go lutego 1878 r., kardynałowie na „conclave“ po zgonie Piusa IX-go wybrali Papieżem kardynała Joachima Pecci, dotychczas szczęśliwie zasiadającego na Stolicy apostolskiej.

Uroczystości jubileuszowe będą trwały rok cały; do Watykanu wybierają się liczne misye od dworów zagranicznych, oraz pielgrzymki ze wszystkich krajów katolickich.

Wbrew pogłoskom, Ojciec Święty ma się dobrze i w pamiętną rocznicę z okien swych komnat przypatrywał się tłumom, wychodzącym, po uroczystym nabożeństwie z bazyliki św. Piotra. Na widok Jego pełne zapału okrzyki wydarły się z 20,000 piersi. Trzysta stowarzyszeń katolickich z Włoch i Rzymu uczestniczyło w tem powitaniu.

W dzień rozpoczęcia jubileuszu tysiące depesz napłynęły ze wszystkich stron świata.

Wielkie uroczystości jubileuszowe, z osobistym udziałem Papieża, odbędą się w d. 3-cim marca r. b., jako w rocznicę koronacyi.

Święto papieskie obchodzili uroczyście katolicy warszawscy nabożeństwem w kościele archikatedralnym i metropolitalnym św. Jana. Solenną Mszę św., dla uproszenia Najwyższego o przedłużenie życia i zdrowie Jego Świętobliwości, odprawił ks. kanonik Leopold Łyszkowski. Wysłuchali jej, wraz z licznem duchowieństwem i tłumami pobożnych, J. E. Arcybiskup Popiel i J. E. Biskup Ruszkiewicz.

Hymn dziękczynny „Te Deum laudamus“, odśpiewany przez kapłanów i wiernych, zakończył nabożeństwo.

* * *

Kiedy przed czterema laty obchodził Ojciec Św. 60-tą rocznicę święceń kapłańskich, a przed dwoma laty 90-tą rocznicę urodzin swoich, wtedy wszystko co żyło, a katolickie miało serce, z obudwóch półkul, prześcigało się w składaniu hołdów Najdostojniejszemu Starcowi, którego Pan Bóg tak długiem darzy życiem; myślano, że to pewnie ostatni raz przy tak niezwykłej sposobności daje się Ojcu Św. dowody miłości i przywiązania. Leon XIII, wysokim wiekiem obarczony, ale młody na duchu, żyje i mężnie kieruje sterem Kościoła. Kardynałowie jeden po drugim kładą się do grobu, za rządów Leona XIII zmarło już 130 kardynałów, dwakroć już za tychże rządów zmieniło się ich grono, a śmierć jakby nie miała przystępu do Sędziwego Papieża. Trudno w tem nie widzieć ręki Opatrzności!

Ojciec Święty Leon XIII skończy niebawem 92 lata, urodził się bowiem Wincenty Joachim Pecci d. 2-go marca 1810, w małem miasteczku, położonem między Rzymem a Neapolem, Carpineto. Dnia 31 grudnia 1837 odebrał święcenia kapłańskie z rąk kardynała Odescalchiego, a nazajutrz, dnia 1 stycznia 1838, po raz pierwszy odprawił Mszę św. w kaplicy św. Stanisława Kostki, naszego Patrona.

Może sprawiły to modlitwy św. Stanisława Kostki, że Leon XIII, wstąpiwszy przed 24 laty na tron papieski po niezapomnianej pamięci papieżu Piusie IX, zachował w sercu tyle życzliwości dla naszego narodu, tak wiernego Kościołowi.

Gdybyś widział Ojca Świętego, gdybyś patrzał na to wychudzone ciało, na tę głowę, pokrytą białym jak śnieg włosem, nie przypuszczałbyś w Nim tej dzielności ducha, jaką posiada. Kiedy na wielkie uroczystości niosą Go w lektyce, wtedy zdawaćby się mogło, że to posąg wykuty z białego marmuru,—tak biała twarz, białe włosy i biała sutanna tworzą jakby jedną całość,—gdyby nie poruszanie ręki, podnoszącej się co chwilę do błogosławienia wiernych. A jednak w tem słabem i kruchem ciele taki potężny kryje się duch! Jego uwagi nie ujdzie nic prawdziwie uwagi godnego w świecie katolickim, najbardziej zawikłane sprawy umie On rozmotać wymową, przypominającą wielkich Chryzostomów, Legonów, Augustynów; we wspaniałych listach pasterskich roztrząsa najtrudniejsze sprawy i w świetle przeniknionego wiarą rozumu ludzkiego jeszcze wspanialej przedstawia niezgłębione tajniki Opatrzności Bożej.

Cały świat katolicki, który widomej Głowie Kościoła świętego zawdzięcza opiekę troskliwą, wiele doniosłych i pokrzepiających nauk, mających na celu dobro ludzkości i zbawienie dusz, bierze serdeczny udział w uroczystościach jubileuszowych, przenosi się myślą do grodu Piotrowego, korzy w prochu przed Namiestnikiem Chrystusowym, zasyłając do Stwórcy gorące modły o zachowanie licznej dziatwie, po długie dni, jej duchowego Ojca.

---

fanem Witwickim, Kazimierzem Brodzińskim i Fryderykiem Chopinem odbiły się nader dodatnio na całem życiu Bohdana Zaleskiego. Niemniej dodatnio wpłynęło obcowanie w salonach Katarzyny Lewockiej z Ludwikiem Nabielakiem, Dominikiem Magnuszewskim, Franciszkiem Grzymałą, Antonim Edwardem Odyńcem, Joachimem Lelewelem i w. in.

Sny i rojenia młodzieńcze przerywała jedynie troska o jutro. Po dwóch latach pobytu w Warszawie musiał też Bohdan porzucić ją i chwycić się niewdzięcznego chleba, jako guwerner w domach obywatelskich w Leszczynku pod Kutnem, w Płocku, Rawie i Sochaczewie. Jako guwerner w domu jenerała Piotra Szembeka, stał się „powiernikiem swego chlebodawcy; później wyjechał do Lwowa,gdzie, pobratawszy się z niezwykłym prawdziwie człowiekiem, a imiennikiem swoim, Józefem Zaleskim, w świat odtąd szeroki ruszyć miał, wsparty gorącą miłością najczulszego, najwierniejszego przyjaciela. Józef Zaleski stał się Bohdanowi „tarczą i puklerzem, zachętą, natchnieniem“. Obaj nierozłączni z sobą przyjaciele udali się ze Lwowa do Paryża, gdzie jak mówi biograf „całe piekło swarów, zawiści, posądzeń, rozterek emigranckich musiało budzić w szlachetnych sercach gorycz, lecz równocześnie zwracało uwagę na potrzebę pracy nad odrodzeniem moralnem“. Bohdan Zaleski poczuwał się do obowiązku pierwszy dać przykład tej pracy i wskazać kierunek. W tym celu zbliżył się i szczerze odtąd zaprzyjaźnił z Adamem Mickiewiczem.

O tem, jakie stosunki zażyłej, wytrawnej przyjaźni łączyły największego mistrza słowa z tym, który siebie uważał tylko za drobnego pionka na szachownicy, nie tu miejsce rozwodzić się szerzej. Rzecz to osobnych studyów, w znacznej części już przedsiębranych przez biografów obu mężów niezwykłych. Obfite zbiory korespondencyi, pozostawionej przez Bohdana, i gruntowne studya Władysława Mickiewicza, ułatwiły zadanie piszącym. Wiadomo nam przeto dzisiaj, że przyjaźń poetów, oparta przedewszystkiem na zobopólnym a głębokim szacunku, pomimo licznych swarów, kwasów i rozterek emigranckich, mogła tylko chwilowym ulegać uzięb ieniom, pozostała jednakże trwałą i sięgała po za grób nawet. Zaleski uwielbiał Mickiewicza, a ostatni wyraz tego uczucia znajdujemy w pożegnaniu, wygłoszonem nad trumną przyjaciela. I wtedy jeszcze pokorny autor „Świętej Rodziny“

zapewniał: „Nie śmiem się już poufalić z tobą! Adamie Mickiewiczu, ogromniejesz nam do oczu w obrzasku nieśmiertelności twej, z królewską złoto-struną hartą na ramieniu! Olśniony łzą, drżący od wzruszenia, azaliż zdołam wyjąknąć ostatnie takie pożegnanie?“

Cokolwiekbądź powiedzą badacze życia poetów, choćby nawet istotnie stwierdzili, że Bohdan rozgoryczył się około r. 1849 do Mickiewicza z powodu Towiańszczyzny, dla nas pozostanie zawsze fakt, że ta przyjaźń wydała trzy prawdziwe klejnociki poetyckie, t. j. owe znane wezwanie ze strony Mickiewicza: „Słowiczku mój! a leć, a piej!“, odpowiedź Zaleskiego: „Kto? z jakich stron w przeczysty ton, jak zwierciadlany zdrój, niewoli słuch?“ i wreszcie nowe wezwanie, tym razem pochodzące od Bohdana, a pisane w chwilach owego domniemanego „rozgoryczenia“:

„Aniele pieśni, gdzieżeś? ach, powiedz;
Żaden druh dziś tu nie gwarzy;
Jam się przyzostał sam—narodowiec—
Z tego zacięgu polskich pieśniarzy.”

Wtedy to Zaleskiemu „arcysmętno było“, gdy Mickiewicz „w sektarskiej zaciętości zapomniał na przyjaźń wieloletnią.“ Bohdan nie dał się ani na chwilę otumanić, a stojąc zdala od „nowinek“, sądził je krytycznie—nie dopatrywał się w nich tego, co go zawsze najwięcej przyciągało ku sobie, „szczerości.“

Z górą pół wieku przebył Józef Bohdan Zaleski na obczyźnie. Słabła mu ręka, zamierał polot wieszczy, poeta „słowik ukraiński“, wcześnie doszedł do kresu swej działalności poetycznej i zbyt wcześnie się przesilił. Naprożno wzywał Nieba o natchnienie, napróżno skarżył się: „Panie, omdlewa mi serce, wiek na popiele już klęczę!“ On, któremu wieszczył Mickiewicz, że „gdy podstarzeje, bujny liryzm przetworzy na epopeję“, nie ziścił tych przepowiedni. Bohdan Zaleski nie stworzył ani epopei, ani też nie stworzył arcydzieła na większą miarę, potężnego. Rodzaj talentu „słowika“ nie nadawał się do takiego zadania. Czyż to jednakże umniejsza zasługi Zaleskiego, położone dla poezyi naszej, że „Duch od stepu“, największy i uznany za najlepszy utwór poety, nie jest pod względem przewodniej myśli filozoficznej ani nowy, ani głęboki“, że „Przenajświętsza rodzina“ „bardzo mało zamyka w sobie rysów galilejskich i nadjordańskich?“

Gdybyśmy nawet odtrącili zupełnie te większe poematy Bohdana Zaleskiego, to jeszcze pozostanie tyle arcydzieł właśnie w tych drobnych „szumkach“, „dumkach“ i „pyłkach“, że obdzielićby niemi można wielu z późniejszych piewców. Jeżeli też jaki żal mieć możemy do poety, to chyba ten, że, doszedłszy w pierwszej połowie ubiegłego wieku do zenitu swej twórczości, opuścił skrzydła i ku boleści narodu, co przyznaje nawet prof. Chmielowski, dość surowy sędzia Zaleskiego, zamilkł prawie zupełnie, rzadko tylko nadsyłając z swego zacisza domowego drobnostki, przypominające najświetniejsze chwile bujności talentu.

Kraj jego rodzinny trzech wydał wieszczów, których imiona, otoczone blaskiem sławy nieśmiertelnej, przeszły do potomności i jaśnieć będą wieki. Antoni Malczewski odtworzył melancholię krainy stepowej, Seweryn Goszczyński jej grozę, Bohdan Zaleski śpiewał krasę, piękność, życie świetlane. Uczynił to zaś w formie tak dźwięcznej, w wierszu tak rytmicznie cudnym, że nie mylił się Mickiewicz, gdy rzekł: „Zaleski będzie zawsze w rozpacz wprowadzał tych, coby jeszcze chcieli miłować sztukę dla sztuki samej; wyczerpał bowiem wszystkie sposoby, wszystkie rytmy, wszystko, co jest najświetniejszego w kolorycie, najdelikatniejszego w odcieniach.“

Minęły lata od śmierci poety, różne od tego czasu „powiały prądy“, ale poezya Zaleskiego, tak brutalnie strąconego z piedestału, na nowo zaczyna krzepić przepojonych sztucznością młodych i najmłodszych. Muzyka jego wiersza upaja nas znowu, jak upajała naszych dziadów i ojców. Czar prawdziwej poezyi nie rozpryskuje za pierwszym lepszym podmuchem groźnego wiatru. Więc znów, jak dawniej, chętnie bierzemy owe przepiękne „Rusałki“, znów nas kołysze i upaja „Duma o Kosińskim“, znów dźwięczy siłą.

Bohdan Zaleski nie jest zapomniany i nie będzie. Byli więksi od niego, głębsi, misterniejsi, ale nie wypływa stąd jeszcze, ażeby dla mistrza formy, dla autora prześlicznych „Rusałek“, „Potrzeby zbaraskiej“, „Wieszczego oratoryum“ nie miało się znaleźć jedno z najpoczestniejszych miejsc w panteonie.

Zachwycając się zaś poetą, z czcią też wspominać będą musieli potomni człowieka, który ani na chwilę nie zboczył z drogi obranej, który gorzał idealną miłością ziemi i ludzi, który Boga „kochał więcej, niż siebie.“

„Poeta piękną i młodą też miał starość“—mówi biograf.—„Zaprawdę—pisał do Żegoty Domejki—nigdy my nie będziemy starzy,

„dopóki pijem z onej żywej wody,
Odmładzającej ludzie i narody.“

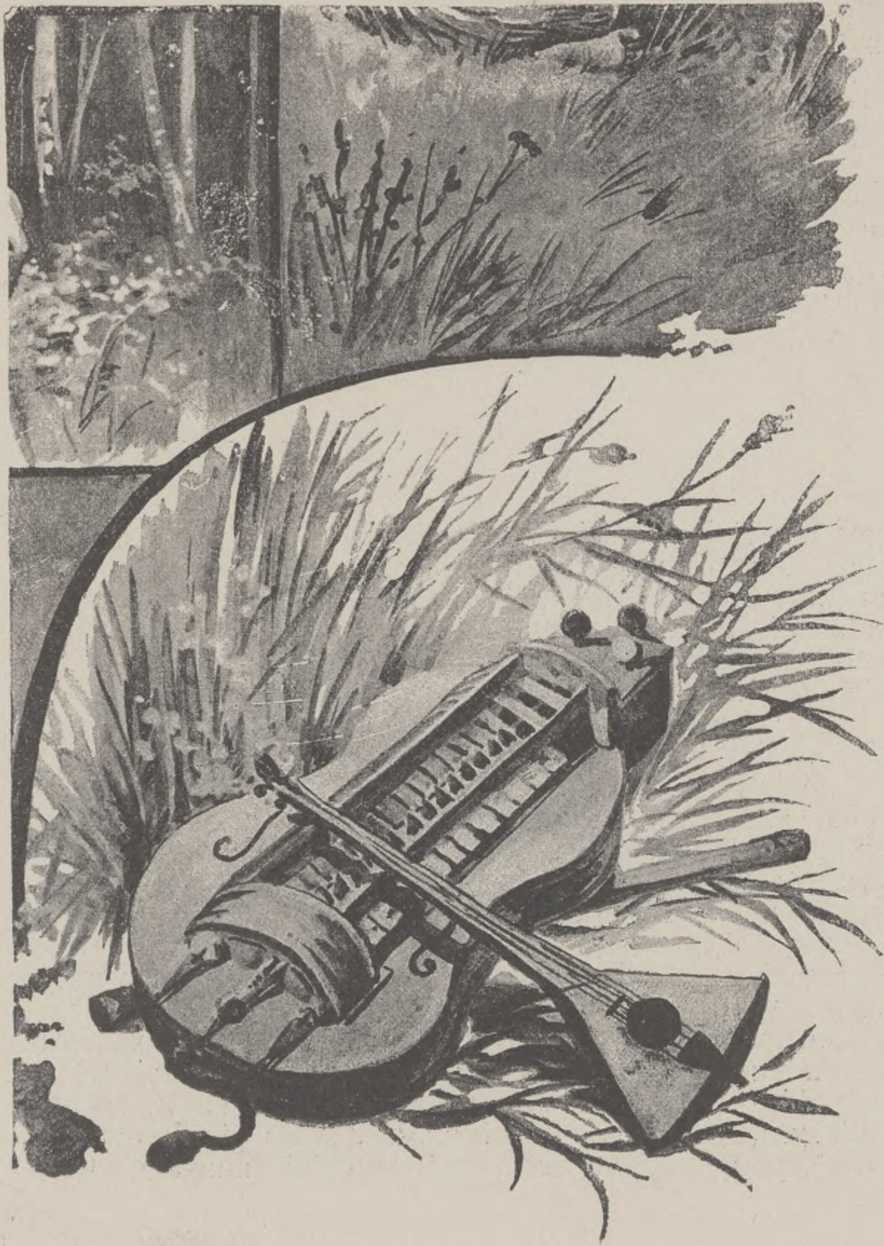
„Pamięć zachował żywą—czytamy w opisie Seweryny Duchińskiej—ruchy zawsze zwinne, wyobraźnię jak na lata tak sędziwe, niezwykłą, miał sposób mówienia płynny, łatwy i prawie młodzieńczy.“ Wielkaż to była radość w każdym domu, ilekroć ten przezacny patryarcha z białą po pas brodą ukazał się, wsparty na ramieniu syna; każdy z nas przyjmował go z głęboką czcią i przekonaniem, że błogosławieństwo Boże wchodzi razem z nim w nasze progi.“

Dożył Zaleski ukazania się nowej gwiazdy na niebie literatury, Henryka Sienkiewicza, i to wielką sprawiało mu radość, a rozkosz tworzyło wsłuchiwanie się w odczytywaną mu na głos przez d-ra Okińczyca powieść „Ogniem i mieczem“.

Umarł d. 31 marca 1886 w Villepreux z gromnicą, przywiezioną z Ziemi św., w ręku. Do trumny włożono poecie garść ziemi „z nad Rosi-Rasawy“, nad mogiłą łzy ronili rodacy, zachęcani zawsze przez poetę do miłości, zgody.

Nie pisaliśmy wyczerpującego życiorysu, raczej przypomnieć chcieliśmy tylko piękną postać „słowika ukraińskiego“.

Topór.



(*) W r. b. umieścimy w Biesiadzie studyum Stanisława Zdziarskiego, zapowiedziane w prospekcie, p. t. „Bohdan Zaleski na czumactwie“. *Red.*

ORLA PERĆ

W TATRACH

2)

Po cóż jednak schodzić aż do schroniska Zajsznera? gotów mię kto zapytać. Czyż nie możnaby przenocować w schronisku na Krzyżnem? Istotnie można—w teoryi, ale nie radziłbym czynić tego w praktyce, bo z własnego doświadczenia wiem, co taki nocleg znaczy w schronisku źle zaopatrzonem, na wysokości przeszło 2,200 metrów. Nocowaliśmy tam w połowie lipca 1900 r. samoczwart, mając z sobą Jędrusia Parę, górala z nowej stacyi klimatycznej, Bukowiny, który przyniósł koce; trafiliśmy na warunki pomyślne, bo na pogodę i ciszę, a jednak po północy nie mogliśmy spać z powodu zimna. Gorzej jeszcze było Jędrusiowi, który jako elegant-urlopnik mimo nalegań nie wziął z sobą serdaka, jeno lekką ułankę i położył się w schronisku na ławce.

„Jędruś! jakże ci tam?“—pyta jeden z uczestników wycieczki, a Jędruś dzwoni zębami i słowa wyrzec nie może.

„Trzeba się było położyć na ziemi a przykryć się ławką“—śmieją się jedni, ale inni zniewalają go, by poszedł po wodę na herbatę.

I cóż się okazało? Oto w pobliżkiem źródle woda zamarzła (!) i Jędruś musiał lód rąbać, by się do wody dobrać.

Nie radzę więc w dzisiejszych warunkach nocować na Krzyżnem, chociaż nie taję, że we wspomnieniach nad niewygodami przeważa urok przepysznego zachodu i wschodu słońca, widok mgły ścielącej się chwilowo jak morze u stóp naszych, z którego jedynie sterczała wyspa Czerwonych Wierchów, czar nocy gwiaździstej i cichej z echami dalekich nawoływań pasterzy... Kiedyż stanie na Krzyżnem wygodny hotel, który pozwoli każdemu chłonąć w siebie owe cuda i ożywiać w duszy polot wyższy, zabijany codzienną, nieubłaganą walką o byt?!



ORLE GNIAZDO.

Drugiego dnia wypadałoby ze schroniska Zajsznera wrócić napowrót do Buczynowej doliny, drogą wczorajszą wznieść się ku grani (lecz po północnej stronie wspomnianego żlebu przepaścistego) i stamtąd ku Granatom dobić się do perci, wiodącej na szczyt Koziego Wierchu, i zejść na nocleg znów do schroniska Zajsznera. Szlak to możliwy do przebycia, lecz niełatwy, zatem wymaga dobrych przewodników. Przechodziłem go w odwrotnym kierunku, rozpoczynając od perci, wiodącej ku Kozim Wierchom. Bez trudu posuwaliśmy się szczytami Granatów ku północnemu wschodowi, aż przybyliśmy na szczyt przedostatni. Przed nami widniała przełęcz dość głęboka a za nią ostatni najwyższy czub Granatów ze znakiem mierniczym, łatwo dostępny wprost od Czarnego stawu pod Kościelcem. Śmiały towarzysz, prof. P. z Cieszyna, zauważył tu perć kozią, dobrze wydeptaną i prowadzącą w kierunku przełęczy. Jędruś Para aż się uśmiechnął z zadowolenia.

„Raz przecież użyjemy drogi porządnej — zawołał— chodźmy tą percią.“

„Poczekaj, bracie — odparłem, — przypatrzmy się pierwej, czem ona się kończy!“

Posunąłem się jak najdalej w bok góry, by dojrzeć, co leży po za ową percią, ale bez skutku. „Nie pójdziemy nią, bo nie wiem, czem się kończy, a jest w żlebie tak głębokim, szerokim, stromym i ślizkim, iż w górę tą samą drogą niepodobna byłoby powrócić.“ Jędruś mruknął coś o grymasach niepotrzebnych, lecz posłuchał i zeszliśmy granią ku przełęczy.

Wdrapując się na przeciwległy główny czub Granatu, przystanęliśmy i obróciwszy się, spojrzeliśmy na rozkoszną perć kozią. „Bogu dzięki, żeśmy nią nie poszli!“ zawołaliśmy z westchnieniem dziwnej ulgi, bo perć... kończyła się przepaścią! Kilka metrów niżej jest wprawdzie próg, na który kozice zeskakują i stąd podążają dalej, ale my nie moglibyśmy ruszyć ani naprzód, ani w tył...

Od głównego szczytu Granatu rozchodzi się grań w dwie strony: na północ ku Żółtej Turni i na wschód ku Buczynowym Turniom a bezpośrednio ku Orlej Baszcie. Ponieważ między Granatem a Orlą Basztą jest przełęcz zbyt głęboka i zejście do niej zbyt strome, zwróciliśmy się ku przełęczy północnej, aby z niej dopiero skierować się ku Orlej Baszcie. Zejście wymagało nieco ostrożności, ale za to, znalazłszy się na przełęczy, mogliśmy się przekonać, że Orlą Basztę da się obejść od północy, poczem nie trudno już będzie dostać się na grań Buczynowych Turni. Niestety, zegarki pouczyły nas, że brak czasu na przeby-

cie za dnia owej partyi i na zejście drogą już opisaną do schroniska Zajsznera. Radzi nie radzi musieliśmy pomyśleć o powrocie do Bukowiny i wykonaliśmy go przez dolinę Pańszczycy, bo okazało się, że z przełęczy, na której staliśmy, można spuścić się do tej doliny, korzystając z upłazków po prawej stronie żlebu.

Ponieważ droga przez Orlą Basztę i Granaty jest może najtrudniejsza śród całej orlej perci, przeto nie śmiałbym jej zalecać ogółowi turystów, dopóki Towarzystwo tatrzańskie w miejscach niebezpiecznych (wcale nie licznych) nie porobi sztucznych ułatwień. Obecnie można ów drugi dzień podróży śmiało opuścić i ze schroniska Zajsznera po noclegu ruszyć wprost do Pustej Dolinki w Kozich Wierchach. Stąd wypadnie piargami na lewo wznieść się ku grani, by granią dojść do Zawratu. Sztuczne ułatwienia i tu byłyby pożądane. Widoki ma się zachwycające, a zmęczenie niebardzo odczuć się daje, bo wiadomo, że dokucza ono tylko na wzgórzach niższych; na wysokości 2,000 metrów i wyżej rozrzedzone powietrze wpływa tak orzeźwiająco na nerwy i muskuły, iż wystarcza „duchnąć“ (wytchnąć) na chwilę, by uczuć się całkiem świeżym i zdolnym do dalszej drogi.

Z Zawratu jest perć na szczyt Świnnicy i dalej ku Pośredniej Turni, stąd zaś dawnym szlakiem zboczem Pośredniej i Skrajniej Turni dojdzie się na przełęcz Liliową, a z niej w trzech kwadransach można być w schronisku na hali Gąsienicowej. Drugi ten dzień może jedynie dokuczyć brakiem wody, więc wypadnie odpoczywać na Zawracie i posłać górala po wodę, niedaleko stamtąd płynącą.

Jeśli orla perć dojdzie kiedy w całości do skutku i doczeka się hotelu na Krzyżnem, okaże się potrzeba przeniesienia schroniska Zajsznera w okolicę Pustej Dolinki, by turysta nie potrzebował zawracać ku Małemu Stawowi, lecz mógł zejść na nocleg wprost ze szczytu Koziego Wierchu i nazajutrz wyruszyć w dalszą drogę.

Nad Małym Stawem schronisko było potrzebne, dopóki nie zbudowano altany u stóp Soklawy, jest też potrzebne, dopóki niema hotelu na Krzyżnem. Ulepszenie go i przeniesienie zapobiegnie nawet nierzadkim wypadkom z błąkania się turystów śród złomów skalnych, rozsypanych na wylocie Pustej Doliny.

W ostatnim dniu skieruje się pochód na przełęcz między szczytem Beskidu a Kasprowego i po drodze zaopatrzy się w wodę w żlebie. Dzikie turnie dni poprzednich ustępują w ten dzień miejsca rozległym choć nieraz stromym halom Tatr zachodnich. Pod względem rozmiarów została najdłuższa droga do odbycia, ale szlak to najłatwiejszy i najmniej męczący. Wędrowiec pomyka raźno to granią, to jej południowem zboczem, napawając oko widokiem rozległym, nie doznając upału wskutek przewiewu, jaki zawsze na grani czuć się; daje. Przez czuby Goryczkowe dotrze się do perci, wiodącej na Czerwone Wierchy, i, przechodząc przez Małołączniak, Krzesanicę, Ciemniak i Upłacz, spuści się do źródła Lodowego przy hotelu w dolinie Kościeliskiej.

Bez narażania się zatem na niebezpieczeństwa lub noclegi pod gołem niebem, można szlak orli przebyć już obecnie w trzech dniach, opuszczając tylko Orlą Basztę, Granaty i wschodnią część Kozich Wierchów.

Gdyby Towarzystwo tatrzańskie zechciało uprzystępnić te zakątki i Zamarłe Turnie w Kozich Wierchach, oznaczyć farbą całą drogę i wznieść wygodne schronisko na Krzyżnem, to cały szlak orli — nawet bez urządzania wygodnej perci — stałby się dostępny dla ogółu taterników.

To wszystko da się wykonać niewielkim stosunkowo kosztem.

Z czasem możnaby częściami zakładać perć wygodną dla pań i przenieść schronisko Zajsznera ku Pustej Dolince.

Może się przecież tego doczekamy!

X. W. Gadowski.

KARTKI ILLUSTROWANE

W CYRKU RZYMSKIM

Sekutor, w wielkim hełmie na głowie i pancerzu, osłaniającym z przodu i z tyłu jego pierś potężną, doszedłszy do środka areny, zaczął się cofać z nastawionym mieczem i, zniżając głowę, przypatrywał się uważnie przez otwory w przyłbicy retiariusowi; ten zaś lekki, o prześlicznych, posągowych kształtach, całkiem nagi, prócz przepaski w biodrach, okrążał go szybko i zwinnie, niby natrętna mucha, machając z wdziękiem siecią, manewrując trójzębem i śpiewając zwykłą pieśń sieciarzy:

„Ryby szukam, a nie ciebie, dlaczego pomykasz, Gallu?“

Sekutor jednak nie cofał się: stanąwszy w miejscu, zaczął się zwracać nieznacznym ruchem tak, aby zawsze mieć z przodu nieprzyjaciela. Było coś strasznego w jego postaci, a zwłaszcza w potwornie wielkiej głowie; widzowie przeczuwali, że się przygotowuje do nagłego rzutu, który może walkę odrazu rozstrzygnąć. Tymczasem sieciarz, to przyskakiwał do niego, to odskakiwał, zakreślając wciąż widłami ruchy tak szybkie, że wzrok z trudnością mógł je chwytać. Kilkakrotnie już trójząb uderzył tarczę sekutora, wydobywając z niej dźwięk krótki, urywany, lecz sekutor nie zachwiał się nawet.

Sekutor dwukrotnie jeszcze sieć odrzucił, następnie zaczął się cofać. Naraz ramię sieciarza krew zbroczyła, zwisło z siecią razem. Na to czekał sekutor: skurczył się i skoczył, pragnąc zadać cios śmiertelny, ale w tej chwili sieciarz, który umyślnie udał niemoc, nachylił się, uniknął pchnięcia i, wepchnąwszy trójząb między kolana przeciwnika, zwalił go na ziemię. Chciał powstać sekutor, lecz w oka mgnieniu spadły na niego fatalne sznury i spowiły go, a im się więcej miotał, tem silniej go oplątywały. Sieciarz tymczasem trójzębem przygważdżał go do ziemi. Raz jeszcze wysilił się sekutor—na ręku wsparł i wyprężył, by powstać, ale daremnie. Sieciarz postawił mu zęby wideł na gardzieli i zwrócił się ku loży cezarowej, gdyż od cezara zależało, czy ma dobić zwyciężonego, czy też go odstąpić. Cezar wysunął rękę z podium i zwrócił wielki palec ku ziemi, westalki powtórzyły za nim znak, będący wyrokiem śmierci. Sieciarz miał wbić widły w gardło nieszczęśliwego; aż tu stało się coś dziwnego: na arenę wdarł się starzec sędziwy, z twarzą o przezroczystej cerze, z mlecznym włosem na brodzie i głowie, młodzieńczym niemal krokiem przybiegł do sieciarza, za rękę go uchwycił i, wskazując niebo, zawołał:

Przez Boga wszechmocnego wstrzymaj się, morderstwo popełniasz!

Cofnął się zdumiony sieciarz, sekutor oczy szeroko rozwarł, widzowie również na arenę z podziwem patrzyli. Wkrótce dowiedziano się, że ów starzec jest kapłanem chrześcijan, że pierwszy raz odważył się wejść do amfiteatru, widząc zaś skutek walki, snać obłędem został tknięty, skoro sobie na taki wybryk pozwolił. Cezar skrzywił mięsiste wargi, nozdrza spłaszczonego nosa rozdął i na sieciarza skinął.

— Spróbuj na tym starym szaleńcu trójzęba—rzekł.— Jeżeli cudotwórcą jest, za jakiego się opowiada, niech się ocali.

Sieciarz ze śmiechem ugodził starca, który upadł, krwią zbroczony, i z imieniem Jezusa—ducha wyzionął.

— Teraz dokończ swego—zawołał cezar rozbawiony.

Sieciarz nie dał sobie drugi raz powtarzać.

WESTALKA

Zgrzeszyła miłością. Westalka Julia wtedy dopiero zrozumiała doniosłość i brzemię ofiary, kiedy świat zaczął do niej przemawiać urokami swemi. Od tej chwili uczuła, jak gdyby ciężar wielki spadł na jej barki i pierś młodą przytłaczał, i myśli swobodę dławił. Przez trzydzieści lat czeka ją z dnia na dzień to samo: przygotowywanie ofiar, obmywanie naczyń glinianych i starunek, aby ogień święty nie zgasł w świątyni, bo gdyby się to stało, uległaby karze śmierci głodowej w podziemiach, Gdy w długich, śnie-

żnej białości, purpurą bramowanych, szatach, z przepaską na czole i z długim welonem, wychodziła na ulicę, przed nią, jak przed najwyższymi dygnitarzami państwowymi, postępowali liktorowie; jeśli spotkała złoczyńcę, prowadzonego na stracenie, mogła się za nim wstawić, a wtedy musiano mu przebaczyć; w teatrach i na widowiskach publicznych zajmowała najprzedniejsze miejsce. Przywileje nadzwyczajne, ale Julia czuła, że owa cześć zewnętrzna nie dorównywa wielkości jej ofiary.

Odkąd jej oczy modre spotkały promienny wzrok Licyniusza, bohaterskiego wodza legionów, straciła spokój. Sen ją odbiegł, myśli wciąż, niby gołębie przy siedlisku swojem, krążyły tam, kędy się znajdował Licyniusz. Święty ogień zgasł na ołtarzu i jednocześnie do świątyni weszła przełożona.

Julia sama się na śmierć skazała—miała umrzeć dlatego, że przemówiło w niej serce.

W kilka dni potem, przez bramę Kolińską, nad którą widniał napis: *Sceleratus ager*, ku okopom Rzymu, postępował orszak żałobny, na którego widok tłumy rozstępowały się trwożnie i szeptały ze spółczuciem:

— Nieszczęśliwa!

Przodem kroczyli liktorowie, z pękami rózg i zatkniętemi w nich toporami, dalej niesiono ołtarz bez ognia, dalej postępowały towarzyszki skazanej, niosące jej oznaki kapłańskie, wreszcie lektyka, a w niej sama skazana, z czarnym welonem na głowie. Orszak minął cyrk Flory, świątynię Wenery Erycyńskiej, wzorze Kwirynału, uwieńczone przybytkiem Fortuny, i znalazł się w miejscowości, gdzie widniały piramidalne grobowce, zamknięte płytami czarnego marmuru, na których były wyrażone imiona Westalek pod niemi zagrzebanych. Jeden grobowiec był otwarty—ten czekał na Julię.

Julia wyszła z lektyki—na jej widok tłum w płacz uderzył. Był też Licyniusz. Rycerski ten młodzian, który nie drżał w obliczu śmierci, którego nie wzruszała krew przelewana w boju, czuł się zgnębionym, oczy miał łzami zroszone. Przybył z wiernymi legionistami, zamierzał bowiem przemocą zwolnić Julię, ale kapłani, przewidując to, silniejszy zastęp ku obronie woli mściwej bogini sprowadzili.

Ustawiono ołtarz przy grobowcu, zawieszono na nim welon Julii i oczekiwano cudu. Jeżeli ogień niebieski spadnie, zapali i strawi welon, skazana będzie wolną.

Czas oznaczony przeszedł—niebo milczało.

Arcykapłan dał znak. Do grobowca wniesiono łoże, stolik, dzban wody, dzban mleka, chleb, a Julii dano w rękę lampę płonącą. Spojrzała smętnym wzrokiem na ukochanego, potem śmiało zaczęła schodzić w głąb grobowca.

Już miano mogiłę nakryć płytą marmurową, gdy naraz z jasnego nieba grom uderza w ołtarz.

Licyniusz rzucił się ku grobowcowi, odwalił marmur, wyniósł w objęciach Julię, aby ją ukryć w katakumbach, jako chrześcijankę.

Taką legendę opowiadają kroniki rzymskie; żyje ona dziś jeszcze między mieszkańcami wiecznego miasta.

POGADANKA

2,809) Gdzie jest zwyczaj, że dzieci rzucają w morze kwiaty na pamiątkę utopionych?

2,810) Kiedy po raz pierwszy wielbłądy pojawiły się w Polsce?

2,811) Jaka jest temperatura ciała ludzkiego?

2,812) Jak dawno wyrabiają cukier z buraków?

PIEŚŃ

Stanął bard młody nad brzegiem wzburzonego morza, uderzył po dźwięcznych strunach lutni, a z ust jego wypłynęła pieśń o matce barda, o złotowłosej bohdance, o radościach i cierpieniach, o własnej duszy.

Pieśń płynęła długo, wzlatywała ponad wierzchołki gór, nad chmury, aż tam, gdzie drżącem światłem gwiazdy płoną.

Pieśń płynęła długo—płynęła cudnym akordem młodości, tęsknoty i wierzeń w dal odległą, po falach wzburzonego morza. I stał się cud! Gwiazdy słały swoje promienne spojrzenia ku natchnionemu wieszczowi, a rozhukane w gniewie morze, uspokoiwszy spiętrzone fale, pieszczotliwie szemrało u stóp poety...

O! wielka potęgo pieśni, jarzmiąca gniewne żywioły—ty możesz zmiękczyć, rozgrzać i wzruszyć, twardsze od opoki granitowej—serce człowieka!

Żyj, pieśni!

. . . .

I

Maro raz i drugi wytężył całą siłę tytanicznych muskułów, a odłam skały marmurowej ani drgnął w obsadzie rodzimej.

„Mocniej"!—krzyknął rozwścieczony wyzwoleniec, dozorujący niewolników.

I znów koniec żelaznego drąga wpił się w ramię niewolnika, gruby drąg się wygiął, a kroplisty pot zrosił czoło olbrzyma, ścięgna i żyły jak naprężone postronki zarysowały się na spalonej od południowego żaru powierzchni ciała.

Zdawało się, że tym razem przepyszny kawał marmuru, tak potrzebny do ogrodów cezara, oderwać się musi od ściany.

Daremnie!

Okrzyk wściekłości zaharczał w gardle wyzwoleńca, jak wąż zwinął się i syknął w powietrzu bat, spleciony ze skóry rekina, a po chwili straszna krwawa pręga wystąpiła na plecach niewolnika Mara.

Jego?... Jego, co bez szemrania, posłuszny woli fatum bezlitosnego, już cztery lata w niewoli pracował za dziesięciu?

Jego? Co, krom pełnego pogardy spojrzenia, rzucanego dumnie na dozorcę ukradkiem, nigdy słowem jednem nie sarknął na niedolę swoją?

Jego, któremu niedawno tysiące bitnych Cymbrów, jak władcy i panu, hołd niosły w pokorze. Jemu—taka zniewaga, taki srom?...

Zdawało mu się, że ziemia drgnęła w posadach, że tam, nad szarą rzeką, tam, w ojczystym kraju, haniebny ten raz powtórzy się rozgłośnem echem po lasach i błoniach i wypłoszy z serc jego ludu cześć niepokalaną, jaką śród nich zostawił.

Nie! Maro przebaczyć tego nie może.

I zwrócił się szybki jak błyskawica, a groźnie wzniesiona pięść potężna, jakby cios piorunowy, spadła na głowę wyzwoleńca.

Legł ów zwierz dziki u nóg niewolnika z rozmiażdżoną głową, a Maro stanął nad nim wspaniały i groźny, jak bóg jego narodu — Thor gromowładny—i plunął z królewską pogardą w straszliwie rozbitą twarz wyzwoleńca.

Jutro śmierć! Jutro wyzwolenie!! Lecz Maro nie umrze pod chłostą, jak zwykły niewolnik. Jutro igrzyska. Potężna siła dała mu zaszczyt zginąć na arenie w potyczce z królem pustyni, lwem wygłodzonym.

Król z królem, potęga z potęgą, burza z burzą i choć śmierć pewna, ale po królewsku dostojna.

Siedział więc Maro i myślał o jutrze, o śmierci, o nich, o kraju i o niej, jasnowłosej córce arcykapłana, a myśl jego bezwiednie przybrała formę pieśni.

Śpiewał, jak śpiewać umie tęskny syn północy, zgnieciony troską, niedolą, zrezygnowany i beznadziejny. Śpiewał, jak szum wichru po nieprzebytych puszczach leśnych, śpiewał, jak surma bojowa, śpiewał, jak płaczka przy stosie pogrzebowym, jak matka nad kołyską dziecięcia.

Neron, błądzący po ogrodach śród nocy, usłyszał tony dziwnej pieśni Mara.

Neron, wystygły, okrutny w znudzeniu swojem, słuchał jej długo.

Rankiem przywiedli Mara cezarowi.

— Ktoś ty?

— Niewolnik.

— Z jakiej jesteś strony?

— Z nad szarej rzeki, z nad szarego morza, co żółty bursztyn tobie, panie, daje.

— Tyś w nocy śpiewał?

— Jam śpiewał, cezarze.

— Na śmierć skazanyś.

— Taka wola twoja.

— Chcesz mojej łaski?

— Nie wiem, co to znaczy?

— Winę daruję, w mych śpiewaków gronie umieszczę ciebie, a kiedy przyjdzie mej woli ochota, tę pieśń, coś wczoraj śpiewał, w nocy cieniu śpiewać mi będziesz.

— O! nie, potężny. Tego nie uczynię! Ta pieśń nie moja, to własność narodu; sagę praojce wnukom swoim dają w świętej spuściznie! Ta pieśń, co siłę mężnym Cymbrom daje, ta pieśń nie może być nigdy w niewoli. Ja, przez wyroki Thora niezbadane, jestem twym rabem, ale jam śmiertelny, więc kornie czynię, co twój rozkaz każe. A pieśń mych ojców—ona nieśmiertelna!! Przez wieki całe, do skończenia świata, tu, w cyprysowych gajach, by mówiono, że syn północy, łaski życia chciwy, pieśń ojców swoich sprzedał cezarowi jak niewolnicę na rozkosz tyrana.

Drgnął Neron groźnie... niepewne jak jutro, wspaniałe atrium zaległo milczenie i zabrzmiał wyrok:

— Równyś mi duchem, Normandyi rycerzu. Wolnyś! Daj dłoń mi swoją i idź swobodny, wracaj w rodzinne strony...

Jeno już wolny, nie na rozkazanie, a na mą prośbę, śpiewaj cezarowi.

I Maro śpiewał.

Żyj, pieśni!...

. . . .

Aż na drugim końcu wsi rozlegały się tony skrzypiec i bębenka, rytmicznie wtórującego skocznej muzyce weselnej. Musi być hucznie, musi być gwarno, musi być wesoło, bo stary Michał swoją najmłodszą córkę, ulubienicę, zamąż wydaje.

Tańczą, jedzą, piją i weselą się wszyscy, wieś cała, bo Michała stać na to.

Rozlegają się dźwięki skrzypicy weselnej po błoniach mazowieckich, aż giną wreszcie w sinym i szumiącym lesie, rozwiewają się na onem weselisku Małgosi troski i kłopoty wielu dziewcząt, a nawet ojców i matek statecznych.

Gdy Małgoś „kobitą ostanie“, kiedy umilkną ostatnie tony muzyki weselnej, może we wsi spokój zapanuje: „Ni ochoty do roboty—ni do myśli głowy“. Jak te trzmiele w żar lipcowy, podrażnione wonią kwietnych łąk, ze wsi całej parobczaki ku Małgosi „się miały“. „Uroczne“ oczy dziewczyny, już od piętnastego roku jej życia, czyniły burze we wsi: nie było niedzieli i święta bez bójki, sińców, a nawet gorszych skutków. Wszystko przez „oną Małgosię“. W bójce każdej, każdej zwadzie, Franek Hułan prym trzyma. Gospodarski przecie syn, mąż dla Małgosi jak przystało, a w spojrzeniu i w uśmiechu, i uścisku ręki dziewczyny czuł się pierwszym przed innymi.

Tak się jakoś dziwnie stało, że Stach Grzelak z Kobyliny, z trzeciej wioski o dwie mile, przysłał swatów do Michała, a Małgosia, zapłoniona, przepiła słodką wódką do swatów na zrękowiny, no, i teraz po żniwach wesele.

Pod wieczór się miało. Leżał Franek Hułan w zaroślach niedaleko od wioski, pod lasem. Czerwona, nabrzmiała twarz jego, dziwnym blaskiem gorejące oczy, oraz leżąca obok butelka, świadczyły, że był pijany.

Wszystkie przekleństwa, nad Wisłą używane, wyrzucał w stronę siedziby michałowej... Był straszny... a kiedy mrok zaległ pola, kiedy gwiazdy poczęły gdzieniegdzie pokazywać się na pochmurnem niebie wrześniowem, Franek zerwał się i krokiem szybkim, w którym odczuć można było jakiś cel stanowczy, podążył w stronę wsi.

Minąwszy pierwsze zabudowania chodem przyśpieszonym, począł się skradać nachylony koło płotów, przypłaszczony prawie do ścian zabudowań, aż przyszedł wreszcie na plac obszerny, gdzie, murem okolony, rysował się na tle nieba ciemną sylwetą kościół...

Franek stanął... Z oświeconych podwoi świątyni wypływała świetlana smuga, przecinająca ciemność wieczoru, rozszerzająca się coraz więcej i więcej, niknąca wreszcie w przestrzeni.

Kościół był oświetlony—odbywały się nieszpory...

Franek stał, przez jakąś tajemniczą siłę wstrzymany, zda się przykuty do miejsca. Wzrok jego mimowoli zwrócił się na jarzące światełka świec, zapalonych w głębi kościoła, przed Wielkim ołtarzem, a uszów jego dobiegła potężna, przejmująca duszę, melodya hymnu:

Swięty Boże, Swięty mocny,
Święty a nieśmiertelny...

Franek stał nieporuszony, na rozognionej złą myślą twarzy chłopaka rysować się począł jakiś inny wyraz—nie zaciętości i szalonego bez opamiętania gniewu, lecz wyraz serdecznego, głębokiego bolu—i zapłakał....

Zapłakał i ukląkł a z ręki jego wysunęły się na ziemię z cichym szelestem zapałki i zwój przesyconych naftą pakuł.

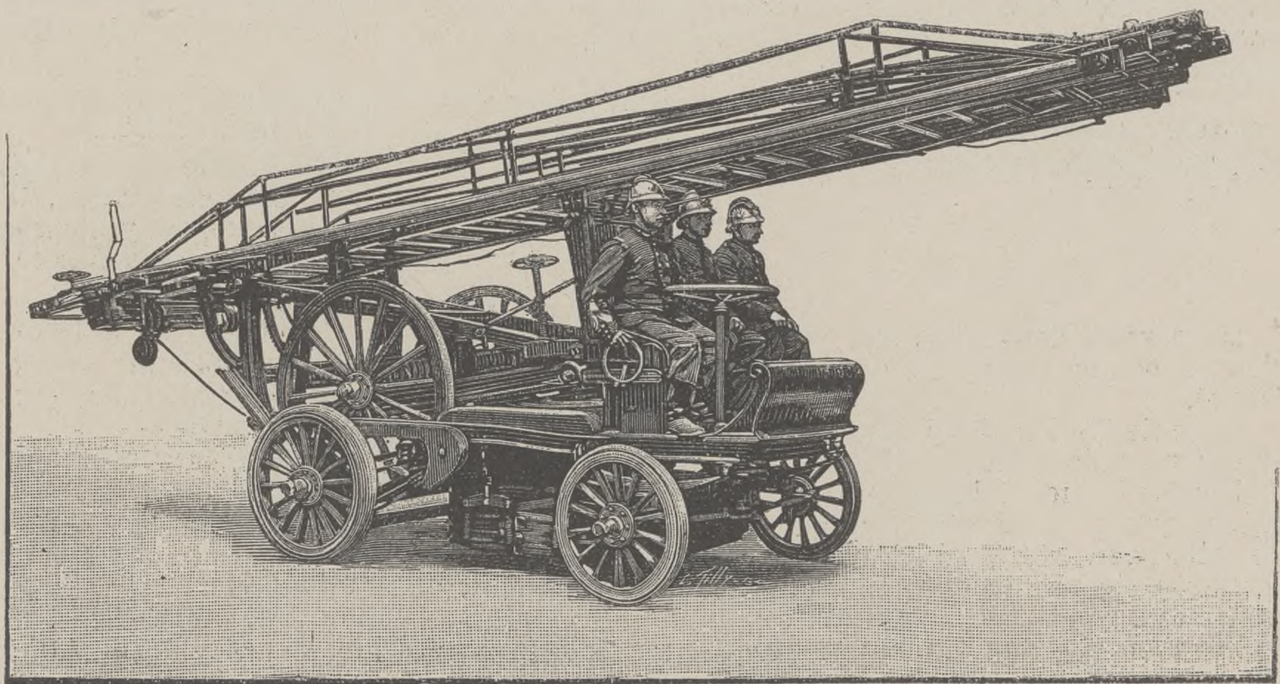
„Od powietrza, głodu, ognia i wojny...“

Brzmiały słowa tryumfującej nad złem pieśni....

Franek wciąż płakał....

Arko tradycyi, pociecho serc zbolałych, skarbie narodów! Żyj pieśni!...

Szymon Czarnocki.

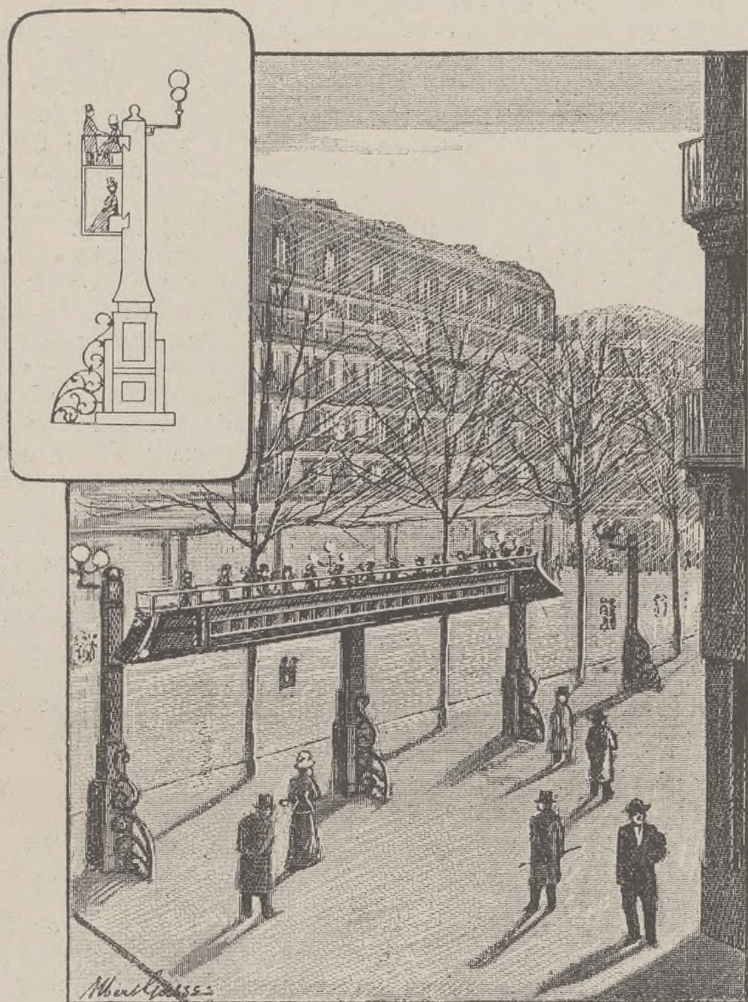


Samochód-drabina.

ENCYKLOPEDYA ILLUSTROWANA

Kolej żelazna bez szyn, mostów i tunelów

Posiadamy koleje żelazne najrozmaitszych typów: parowe i elektryczne, linowe i zębate, ciągnione przez balon i zawieszone w powietrzu, idące po jednej szynie i po trzech, podziemne i górskie, na lodzie i na wodzie. Na wyspie Maldon wielki żagiel popycha wagony, naładowane guanem. Na wyspie Caynga, koło wodospadu Niagary, istnieje od dwóch lat *snail railway*, kolej ślimakowata, która wjeżdża na wieżę 125 metrów wysoką. Wszystkie jednak pod względem oryginalności muszą ustąpić miejsca pomysłowi Edwarda Mazeta, który chce zbudować w Paryżu kolej bez szyn, mostów i tunelów, nie tamującą w niczem



ruchu miejskiego, gdyż krążyłaby—po słupach od latarni gazowych. W odległości 15 m. od siebie staną mocne słupy żelazne 5 m. wysokie, służące jednocześnie za latarnie i opatrzone ramkami, w które wsuwać się będą podstawy od wagonu. Będzie to raczej statek żelazny, tak długi, że mógłby wspierać się na dwóch słupach. Można do niego zastosować wszelki motor, ale najpraktyczniejszy będzie elektryczny. Wkrótce może się urzeczywistnić ten pomysł fantastyczny.

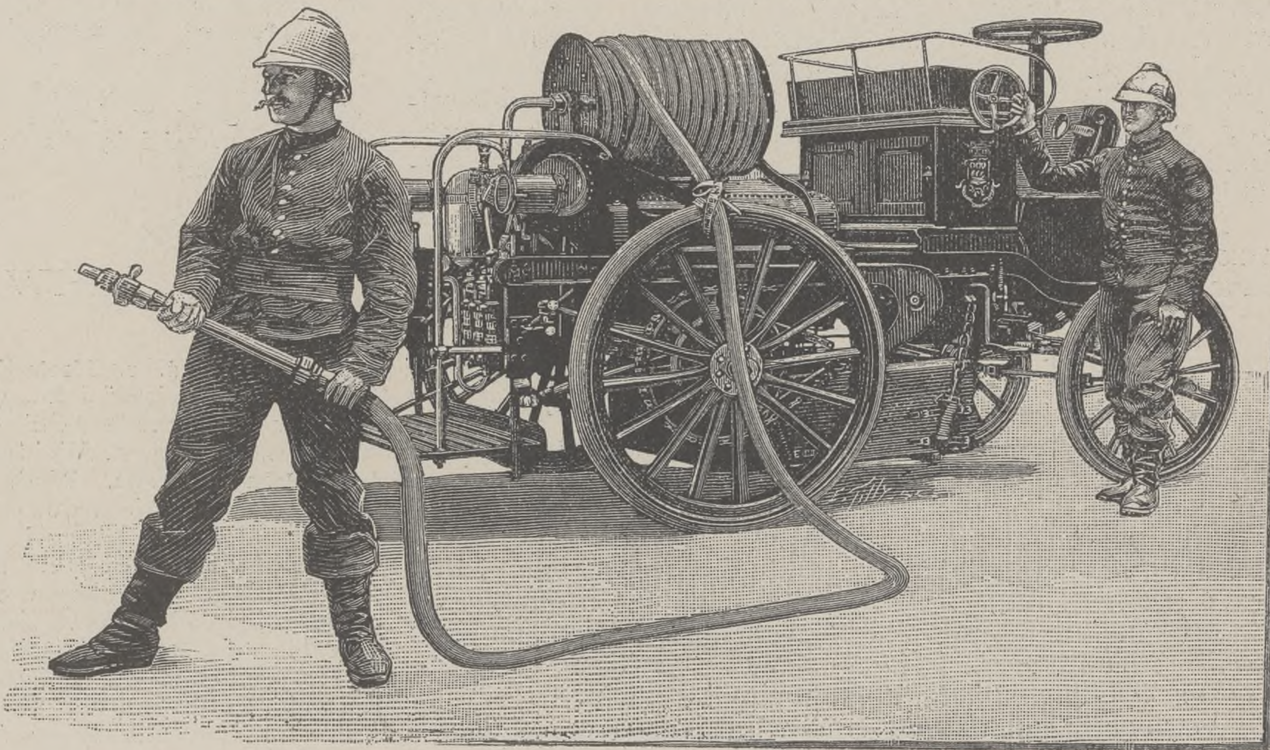
Samochody w straży ogniowej

Wiadomo, jak ważną i pożądaną rzeczą w razie wybuchu ognia jest pośpiech, który pozwala stłumić złe w samym zarodku. Minuty stanowią nieraz o rozmiarach nieszczęścia. Postęp na tem polu można było urzeczywistnić tylko za pomocą elektryczności.

Na popisie straży ogniowej w Vincennes działały trzy nowe typy samochodów elektrycznych: furgon, pompa i drabina. Na furgonie samochodzie jest miejsce dla sześciu ludzi, oraz dla narzędzi do gaszenia ognia. Pompa składa się ze skrzyni żelaznej, zawierającej 400 kwart wody; umieszczona jest na wózku samochodzie wraz z wężem kauczukowym. W razie alarmu, pompa udaje się natychmiast na miejsce wypadku, albowiem wąż, lubo zwinięty, zawsze jest pełen wody. Za nią pędzi w tej chwili furgon, a dopiero jeżeli pożar większe przybiera rozmiary, wzywa się do pomocy zwykłe narzędzia i pompy parowe. Pompa elektryczna może wyrzucać 80 kwart wody na minutę, waży zaś wraz z ludźmi 2,900 kilogramów. Jest tak urządzona, że część energii akumulatorów może być użyta do zapalenia lamp łukowych lub żarowych.

Drabina żelazna wraz z wózkiem i ludźmi waży 4,160 kilogr., jest zatem najcięższym z nowych przyrządów. Akumulatory z elektrycznością, mieszczące się w skrzyni każdego wozu, pozwalają pędzić z szybkością 20 kilometrów na godzinę.

Warszawa posiada dzielną straż ogniową, ale elektrycznością jeszcze się nie posługuje.



Samochód-sikawka.

POGADANKA

2,809) W wielu miastach nadmorskich Stanów Zjednoczonych istnieje poetyczny zwyczaj, że w pierwszych dniach wiosny dzieci idą gromadnie nad brzeg oceanu i rzucają w wodę kwiaty na pamiątkę tych, którzy w głębiach znaleźli śmierć. Jest to pomysł admirałowej Sampson. W Bostonie tysiące dzieci zbierają się na tamach i zasypują morze kwiatami, a potem śpiewają hymn narodowy. Pancerniki, stojące wtedy w porcie, dają ognia i spuszczają flagi do połowy masztu. Ten sam zwyczaj zachowuje się także w San Francisco i w Kalifornii południowej.

2,810) Pierwsza wzmianka o wielbłądach w Polsce mieści się w kronice Dytmara, który pisze, że Mieczysław (Miseco), książę polski, nawiedzając w Kwedlimburgu cesarza niemieckiego Ottona I w r. 985, przywiódł mu w darze osobliwe zwierzę: wielbląda. Drugi raz pojawia się wielbłąd w Krakowie w XIII-ym wieku, przysłany Bolesławowi Wstydliwemu przez księcia Daniela Halickiego; ranionego zostawili na polu bitwy Tatarzy.

2,811) Temperatura zdrowego ciała ludzkiego waha się pomiędzy 87³/₄, a 98²/₃ Fahrenheita. Jest najniższą zrana, pomiędzy 2-ą a 4-tą, najwyższa zaś wieczorem. Bez względu na to, czy człowiekowi jest zimno, czy gorąco, czy przebywa pod biegunem, albo pod zwrotnikami, czy jest w ruchu, albo w stanie spoczynku, temperatura jego ciała ulega bardzo małym zmianom, wynoszącym jeden stopień najwyżej.

2,809) Buraki rosną dziko w gruntach piaszczystych, na wyspach Kanaryjskich, nad morzem Śródziemnem i w Persyi. Wzięto się do ich uprawy już na 500 lat przed Chrystusem ale dopiero w zeszłym wieku przekonano się, jak wielkie można z nich osiągnąć korzyści. W roku 1747 chemik niemiecki Markgraff zauważył, że białe buraki zawierają znaczną ilość cukru. Pierwszą cukrownię założył w r. 1787 przemysłowiec berliński, Achard nad Odrą, ale wkrótce musiał ją zamknąć. Lepiej powiodło dwom chemikom francuskim: Delessert i Thiery, którzy, znalazłszy sposób wydobywania cukru z buraków tanim kosztem, w r. 1801 założyli cukrownię w Passy. Ponieważ, wskutek blokady kontynentalnej, Europa została pozbawiona cukru z trzciny cukrowej, Napoleon popierał rozwijającą się nową gałąź przemysłu. Dziś, po latach stu, burak zwyciężył trzcinę i dostarcza światu rocznie 4,822,000 ton cukru, kiedy trzcina cukrowa daje go tylko 2,432,000 ton.

MIECZ I DYPLOMACYA

Jubileusz Ojca Świętego

Dnia 20 b. m. upłynęło 24 lata od chwili, gdy kardynał Joachim Pecci Papieżem obrany został. Jakkolwiek atoli z dniem tym rozpoczyna się dopiero rok srebrnego wesela Leona XIII ze Stolicą Apostolską, ze względu na podeszły wiek Dostojnego Jubilata postanowiono już teraz rozpocząć uroczystości jubileuszowe.

Ojciec Święty za dni kilka, 2 marca, obchodzi uroczystość swoich urodzin i wstępuje w 92-gi rok życia. Jest to wiek usprawiedliwiający wszelkie obawy, ale zdrowie Najdostojniejszego Starca znajduje się w stanie stosunkowo jaknajpomyślniejszym, a siły duchowe dotrzymują kroku siłom fizycznym.

Kiedy na Boże Narodzenie r. 1900 Leon XIII zamykał drzwi święte w kościele św. Piotra, a symbolicznie rok jubileuszowy, zgromadzone tłumy pobożnych z podziwieniem patrzały, jak przezroczysta niemal postać Papieża pewną ręką uderzała młotkiem w drzwi kościelne, a usta donośnym głosem odmawiały modlitwy.

Rok upłynął od tego czasu. Leon XIII na Boże Narodzenie 1901 r. przyjmował życzenia świętego Kollegium i miał doń długą przemowę, w której zawarł przegląd wszystkich kościelno-politycznych wypadków.

W Nowy Rok 1902 r. przyjmował Ojciec Ś-ty biskupa Sechénarda i miał z nim długą rozmowę o położeniu Kościoła we Francyi, a w końcu żalił się, że i francuska prasa rozszerza wiadomości o złym stanie jego zdrowia, gdy On czuje się zdrowym zupełnie.

Przed kilku tygodniami był u Papieża arcybiskup Mignot. Według „Semaine réligieuse“ rozmowa toczyła się o „ruchach gallikańskich“ we Francyi, w której Leon XIII okazał się doskonale obznajomionym z tą sprawą.

Niedawno temu „Szkoła francuska“ zarządziła poszukiwania w szczątkach starego pałacu lateraneńskiego. Odkryto na jednej ścianie fresk z VI-go wieku a pod nim kilka lichych wierszy łacińskich, w których jest mowa o wielkim Doktorze Kościoła. Gdy dyrektor szkoły, ksiądz Duchesne, zdawał Papieżowi sprawę o tem odkryciu i zapuścił się w różne domysły co do znaczenia fresku, zawołał Leon XIII: „Ależ to jest Augustyn!“ I uczone badania stwierdziły trafność orzeczenia papieskiego.

W lecie przeszłego roku pojawił się wiersz łaciński Leona XIII: „Jezus Chrystus, Opiekun nowego stulecia“, napisany na początku r. 1901. Jest to piękna oda, z 14 strof złożona, na wzór horacyuszowskiego *Carmen saeculare*, napisana wyborną klasyczną łaciną, którą Ojciec S-ty włada tak znakomicie, i świadcząca o zdumiewającej świeżości umysłu Dostojnego Poety.

Leon XIII zajmuje się troskliwie postępem wszystkich umiejętności a między innemi medycyny nowoczesnej. Niedawno temu, jak donosi „Gazetta degli Ospedali“, dr. Lapponi, przyboczny lekarz papieski, na żądanie Papieża przybył do Niego z mikroskopem i musiał Mu pokazać mikroby wszystkich bardziej znanych chorób zakaźnych, objaśnić sposób ich rozmnażania, ich dostawania się w ciało ludzkie i najnowsze metody leczenia.

Dnia 7 lutego r. b., jako w rocznicę śmierci swego poprzednika, był Ojciec S-ty na Mszy żałobnej i donośnym głosem udzielił obecnym absolucyi.

W Rzymie utworzył się komitet jubileuszowy, który postanowił ofiarować Jubilatowi szczerozłotą tyarę. Wprawdzie Papież już posiada taką tyarę, dar Napoleona I dla Piusa VII; ale ta jest tak ciężka (waży 8,700 gramów), że nawet młody i silny człowiek nie mógłby jej długo na głowie udźwignąć. Jest też tyara dyamentowa, ofiarowana Piusowi IX przez królowę hiszpańską Izabellę. Nowa tyara będzie cała złota, ale nadzwyczaj lekkiej roboty.

Cały świat katolicki gotuje się do uroczystego obchodu roku jubileuszowego. Na pierwszym planie jubileuszowego programu stoją gorące modły za pomyślność Leona XIII: *Oremus pro Pontifice nostro Leone!* We wszystkich kościołach odbywać się będą nabożeństwa na tę intencyę.

Wszyscy monarchowie i naczelnicy państw chrześcijańskich a nawet nie chrześcijańskich pośpieszyli już ze złożeniem życzeń Jubilatowi.

Przyszłość Austryi. Dep. Loecker, podczas rozprawy generalnej nad budżetem, ze względu na usposobienie następcy tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, rokował Austryi przyszłość klerykalną i słowiańską.

Nowy superarbiter. Na superarbitra w sprawie o Morskie Oko powołano prezesa trybunału związkowego w Lozannie, w Szwajcaryi, Winklera. Może nareszcie ta nieszczęsna sprawa zbliży się ku jakiemuś rozwiązaniu.

Sposób na sposób. Polacy osiedli w Berlinie, po rozwiązaniu szkół polskich postanowili zakładać biblioteki i czytelnie dla dzieci, zaopatrzone wyłącznie w książki ułatwiające naukę języka polskiego.

Nieprzychylne objawy. Mnożą się objawy nieprzychylności dla gościa niemieckiego w Stanach Zjednoczonych. Oprócz admirała Deveya także i Cleveland, b. prezydent Unii, odpowiedział odmownie na zaproszenie Roosevelta na ucztę, która ma być urządzona na cześć księcia Henryka pruskiego.

O kreskę na *l*. Urzędnik stanu cywilnego i wójt w Starym Grabowie (w Prusach Zachodnich) p. Lepschinsky uparł się i nie chciał zapisać jak się patrzy imienia „Bronisława“ w akcie urodzin córki p. Bonowskiego. P. Bonowski uparł się także i nie chciał aktu podpisać, dopóki p. Lepschinsky litery *l* nie przekreśli u góry. Sprawa poszła na drogę sądową. W pierwszych dwóch instancyach p. Bonowski przegrał; wygrał nareszcie w trzeciej, w sądzie ziemiańskim. P. Lepschinsky musiał położyć kreskę nad *l*.

List otwarty. Dr. Adam Woliński, jeden z obrońców oskarżonych w osławionej sprawie wrzesińskiej, ogłosił list otwarty do prof. Schiemanna. Ten Schieman aż w Nowym Yorku, w gazecie „New Yorker Staats-Zeitung” wydrukował oszczerczy artykuł, w którym sprawę wrzesińską nazywa komedyą, odegraną w celach agitacyi, kierowanej przez Polaków galicyjskich, za pieniądze Jezuitów francuskich. P. Woliński zbija te śmieszne zarzuty i powiada Schiemannowi, że jako dwukrotnie obowiązany do wypowiadania prawdy, bo i jako profesor, i jako historyk, dwukrotnie sprzeniewierza się swemu zadaniu.

O cło od nafty. Wskutek wiadomości, jakoby na żądanie Węgier cło od nafty surowej miało być zniżone, co równałoby się ruinie przemysłu naftowego galicyjskiego, Koło polskie oświadczy rządowi, iż poparcie swoje czyni zależnem od zachowania się rządu w sprawie cła naftowego.

Znów malum omen. Książę Henryk pruski przybył do Nowego Jorku 24 b. m. z 24-o godzinnem opóźnieniem, z powodu burzy na morzu. Na samym wstępie powóz, którym jechał książę z amerykańskim ministrem spraw wewnętrznych Hayem, zetknął się na zakręcie ulicy z ekwipażem prywatnym, którego oś wtłoczyła się w powóz książęcy, raniąc ciężko Haya.

Zaprzeczenie. Lwowska „Gazeta narodowa” zaprzecza stanowczo wszelkim pogłoskom o ustąpieniu hr. Pinińskiego z namiestnictwa galicyjskiego.

Wstydliwa sympatya. W Przemyskiem (w Galicyi) agenci angielscy zakupili kilkaset koni do Transwaalu. Sympatya dla Boerów schowała się w kąt wobec okazyi sprzedania szkapy za kilkadziesiąt guldenów.

Słuszna obawa. W sejmie pruskim poseł Czarliński wykazywał nierówność kar, wymierzanych za przestępstwa prasowe na redaktorów polskich i niemieckich. Sędziowie skazują zwykle pierwszych na więzienie, a drugich na grzywny. „Mógłbym—zakończył mówca—wskazać takich sędziów z nazwiska, ale obawiam się, żebym im przez to nie pomógł do awansu”.

Dlaczego? Korespondent z nad Mozeli do katolickiej „Germanii” wydziwić się nie może, dlaczego rząd pruski zmusza dzieci polskie do uczenia się religii i mówienia pacierza po niemiecku, kiedy w Alzacyi dzieci w szkołach obok niemieckiego mogą się uczyć i języka francuskiego, religia zaś wykłada się po francusku.

CHWILA BIEŻĄCA

Ku czci ś. p. Józefa Karpińskiego, mecenasa, wydawcy dzieła „Słowa Zbawiciela” i in., wmurowana będzie w kościele po-pijarskim w Warszawie tablica marmurowa z popiersiem zmarłego, dłuta rzeźbiarza, J. Wojdygi.

Izba wywozowa. Wydawca „Gońca handlowego”, p. A. Morozewicz, projektuje założenie w Warszawie izby wywozowej, do której należeliby kupcy i przemysłowcy, zajmujący się wywozem produktów miejscowych. Izba taka udzielałaby członkom swoim bezpłatnie, a postronnym osobom za pewną opłatą, wszelkich informacyj handlowych. Zaradziłaby ona potrzebie pilnej, gdyż obecnie wszystkie konsuluty, Towarzystwo popierania rosyjskiego przemysłu i handlu a nawet redakcye pism zasypywane są zapytaniami, dotyczącemi naszego wywozu. Nową instytucyę projektodawca pragnie stworzyć na wzór spółki wywozowej w Pradze czeskiej. Bliższych szczegółów udzieli redakcya „Gońca handlowego” (Jasna, 6).

82

Biuro informacyjne dla prasy francuskiej zamierza otworzyć w Warszawie paryżanin, p. Maurycy Tessier. W erze prądu anti-germańskiego u nas, prasa francuska pragnie mieć wiarogodne wiadomości o stosunkach tutejszych.

Teatr. „Święto ognia." Oryginalność „Święta ognia", fantazyi choreograficznej, polega na połączeniu popisów baletowych ze śpiewami, uroku zaś temu pomysłowi dodaje ścisłe zespolenie z akcyą naszych obrzędów ludowych—sobótek i wianków. Pomysł jest zasługą twórcy libretta, p. Prażmowskiego, spółrzędną jednak z nim rolę gra muzyka Noskowskiego; ona to nawet przeważnie upaja dźwiękami rodzinnemi. Polonez, pieśń o „Janie zielonym", krakowiak i mazur—to perełki w dorobku kompozytorskim. Muzyka do „Święta ognia" mogłaby sama wypełnić zajmujący wieczór. Oprawa sceniczna sztuki nie pozostawiała nic do życzenia: i balet, i chóry, i soliści operowi pracowali pomyślnie ku wywołaniu wrażenia dodatniego; dopełniały go piękne dekoracye i bogata wystawa. Tylko tytuł brzmi nam jakoś z cudzoziemska: zam. dwóch wyrazów „Święto ognia" mamy jeden, oddający w zupełności to pojęcie: „Sobótki".

Wieczory deklamacyjne M. Kisielnickiego zyskały trwały grunt w Warszawie. Deklamator nasz wyrobił sobie publiczność specyalną, której nie wystarcza teatr, ani koncert z przygodnymi deklamatorami. Z nowości usłyszeliśmy „Podjazd" Sienkiewicza, przeznaczony przez autora p. Kisielnickiemu do deklamacyi; w utworze tym Zagłoba przemawia do słuchaczów, jakby „redivivus"; a dalej barwny opis bitwy pod Somosierra W. Gąsiorowskiego, dowcipny „Dziwny sen" Bałuckiego i klejnot „Odę do młodości" Mickiewicza. Pragnęlibyśmy usłyszeć kilka szumek Bohdana Zaleskiego, urywki z poematów Kasprowicza i Wyspiańskiego. Cech aktualności nabrałby także obecnie śliczny wiersz Włodzimierza Wolskiego „Chopin", z akompaniamentem na fortepianie.

Ś. p. Rozalia ze Stępowskich Skrzetuska, żona zasłużonego nauczyciela szkół rządowych i prywatnych, redaktora „Przeglądu pedagogicznego", zmarła w Warszawie w miesiąc po święcie złotych godów weselnych. Czcigodną matronę, pełną cnót chrześcijańskich, kochali bliżsi, błogosławili ci, którym po cichu świadczyła dobrodziejstwa.

Z Suwałk dochodzą wciąż skargi na opieszałość obywateli w sprawie żywo odczuwanej potrzeby budowy drugiego kościoła katolickiego. Liczba parafian nieustannie się zwiększa; kościół zaś nie może pomieścić nawet części tych, co się doń garną w niedziele i święta. Głęboko odczuwająca potrzeby swego miasta, ś. p. Truskolawska zapisała na kupno placu pod nowy kościół 1.000 rbl.; upłynęło lat kilka, a sprawa nic się nie posunęła naprzód. Trudności nie powinny zrażać; byle załatwiono przedwstępne formalności, lud wierny nie zawiedzie: odda on grosz wdowi na budowę domu Bożego. Rozszerzenia domaga się cmentarz, tak zaludniony, że nowi przybysze rugują starych z ich siedzib, naruszając spokój. Cierpią na tem: i hygiena, i uczucia chrześcijańskie. Z tematów weselszych zaznaczyć wypada powodzenie kilku odbytych, ostatniemi czasy, przedstawień amatorskich na cele publiczne: na rzecz Towarzystwa dobroczynności, przytułków starców i kalek, na kupno mundurów dla strażaków-ochotników. Niestrudzonym reżyserem tych przedstawień jest inżynier L. Bogucki, któremu Suwałki wiele zawdzięczają nietylko na tem polu. Obudzona do życia, do długim letargu, orkiestra amatorska, pod kierownictwem nowego dyrektora, przyczyni się do szerzenia kultury artystycznej.

Muzeum katedralne w Sandomierzu zakłada tameczna władza dyecezyalna. Tą drogą pragnie zapobiedz niszczeniu starych pamiątek, a zwłaszcza kościelnych. Przykład do naśladowania.

Ś. p. ks. Tomasz Józef Włodek, długoletni proboszcz par. Szczekocin, oddał Bogu zacnego ducha, w 81 roku życia.

Ś. p. dr. medycyny Maurycy Koellner, nestor lekarzy gub. kaliskiej a może i całego Królestwa, zmarł, w 92-gim roku życia, w Kole, gdzie praktykował 66 lat, będąc żywą kroniką miasta. Przed kilkunastu laty obchodził jubileusz 50-letniej pracy lekarskiej. Tłumy mieszkańców miasta i okolic oddały ostatnią posługę sędziwemu pracownikowi.

Kursa dla lekarzy-sanitaryuszów wkrótce będą otwarte w Petersburgu. Zastosowanie wymagań hygieny do mieszkań, wodociągów, odpadków domowych i t. p. będzie głównym przedmiotem wykładów.

Zjazd osób zajmujących się sprawą więzień karnych rozpocznie się, w Petersburgu, d. 11-go p. m. i potrwa dni 4. Na pierwszym planie obrad stoi sprawa pracy w więzieniach.

Koncerty Barcewicza w Petersburgu miały wielkie powodzenie Publiczność przyjmowała naszego skrzypka owacyjnie, krytyka przyznaje mu palmę pierwszeństwa między spółzawodnikami.

„Dług sumienia". Taką nazwę otrzymało stypendyum, w postaci procentów od złożonej, przez bezimiennego ofiarodawcę, uniwersytetowi w Moskwie sumy 10.000 rbl. Z tego źródła opłacane mają być wpisy za niezamożnych studentów, bez różnicy narodowości i wydziałów. Z „długów sumienia" w Warszawie możnaby utworzyć kilka stypendyów.

Muzeum pedagogiczne z centralną biblioteką dzieł naukowych otwarto w Kijowie. Tą drogą nauczyciele szkół średnich i wyższych mają możność zaznajamiania się z najnowszemi systemami wykładów i rozwojem wykształcenia w Cesarstwie i za granicą.

Pogotowie ratunkowe w Kijowie utworzono zupełnie na wzór i podług wskazówek warszawskiego. Głównym inicyatorem był p. K. Modzelewski, jego też powołano na skarbnika instytucyi. Do zarządu weszli z wyborów p.p.: dr. Procenko, prof. Morozow, dr. Garnicz-Garnicki, prof. Tritschel, prof. J. Sikorski, Ł. Brodzki, dr. Sachnowski, Petr, prof. Wagner, Abrahamson, prof. Wysokowicz, prof. Obołoński. Do komisyi rewizyjnej wybrano d-rów Songajłę i Sochackiego, oraz p. Grygorowicza-Barskiego, na lekarza naczelnego powołano warszawianina, p. E. Gnusa.

Obchód jubileuszu papieskiego w Krakowie, z polecenia J. E. kardynała Puzyny, odbył się z wielką okazałością. W przeddzień, w godzinach popołudniowych, odezwały się wszystkie dzwony świątyń krakowskich; nazajutrz w katedrze na Wawelu odbyło się uroczyste nabożeństwo, celebrowane przez J. E. biskupa Nowaka. Prałat Chotkowski wygłosił kazanie o wiekopomnej działalności Leona XIII-go. Równocześnie odprawiono takież samo nabożeństwo we wszystkich kościołach parafialnych. Sklepy w mieście podczas nabożeństwa pozamykano. Młodzież szkolną zwolniono od nauki. W niektórych szkołach odbyły się poranki muzykalno-deklamacyjne ku upamiętnieniu tego święta. Stanisław hr. Tarnowski stał na czele komitetu, urządzającego obchód publiczny ku uczczeniu jubileuszu papieskiego.

Ku czci poetki, Maryi Konopnickiej, krakowska „Czytelnia dla kobiet" projektuje zakupić, drogą składek, kawałek ziemi na Szlązku u ujścia Wisły.

Wykłady publiczne filozofii w auli „Collegii novi", w Krakowie, z udziałem prof. d-ra Henryka Struvego z Warszawy, odbędą się w pierwszej połowie p. m., staraniem studentów uniwersytetu Jagiellońskiego.

Towarzystwo „Miłośników historyi i zabytków Krakowa" odbyło doroczne zgromadzenie pod przewodnictwem prezesa, prof. d-ra S. Krzyżanowskiego. Sprawozdanie zaznacza, że liczba członków wciąż wzrasta. Towarzystwo wydało 6 tomów „Rocznika krakowskiego" i 20 tomików „Biblioteki krakowskiej", zawierające monografie poszczególnych pamiątek i kościołów Krakowa. Na r. b. Towarzystwo wyda, zamiast „Rocznika", illustrowaną monografię Krakowa. Po obradach dr. S. Kutrzeba odczytał ciekawą pracę „Stosunki handlowe Krakowa z Flandryą".

W krakowskiem „Kole artystek polskich" odbyło się posiedzenie doroczne. Stowarzyszenie liczy 40 uczestniczek. Na przewodniczącą obrano artystkę-rzeźbiarkę Tolę Certowiczównę. Koło zamierza wziąć udział w wystawie sztuki w Paryżu.
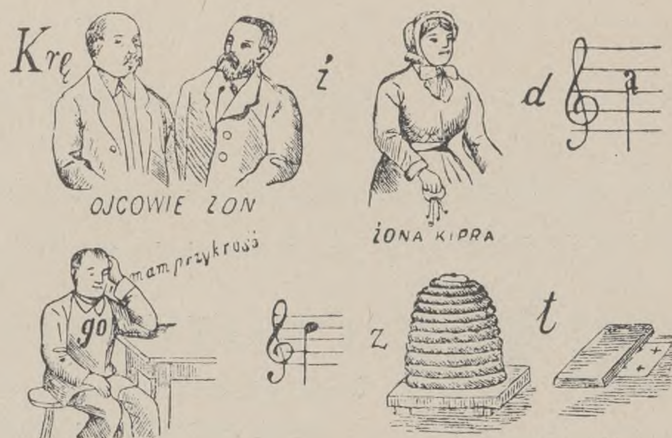
Ś. p. Wiktor Strzelecki, radca apelacyjny, znany i szanowany powszechnie, nagle zmarł we Lwowie.

Poznańskie Towarzystwo ku zwalczaniu gry hazardowej ogłosi niebawem konkurs na dzieło sceniczne dla teatrów amatorskich w sprawie karciarstwa.

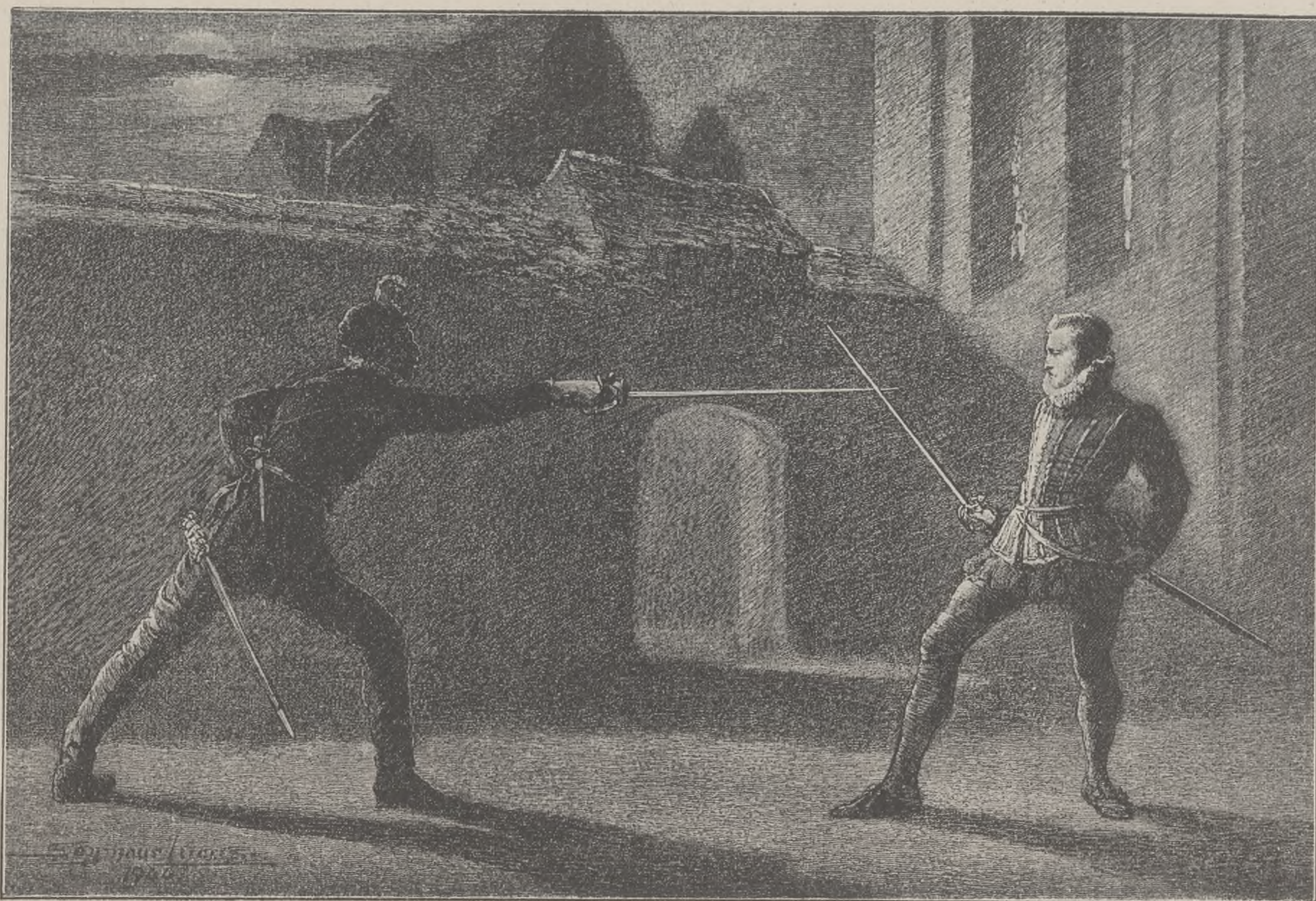
Nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. Bohdana Zaleskiego odbyło się staraniem kolonii polskiej, w kościele O.O. Zmartwychwstańców w Rzymie. W podwórzu tej świątyni znajduje się popiersie poety.

Agencyę francusko-polską, dla handlu i przemysłu otworzyli w Paryżu (Rue de Rome, 123) p.p. W. Gizbert-Studnicki i M. Kozakiewicz. Celem działalności agencyi jest podniesienie ekonomiczne handlu przez zwalczanie monopolu handlowego Niemców. Agencya pomaga w zawiązywaniu stosunków handlowych z Francyą, największem zaś jej staraniem będzie, aby zdobyć na Zachodzie rynek dla produktów polskich.

REBUS



Rebus w n-rze 8: Brak odwagi często niepokój w życiu człowieka wlewa.



WIECZORY POWIEŚCIOWE Nr. 10.
„Bez czci i wiary."

„Ostrza szczęknęły o siebie, aż posypały się z nich iskry."

PLON LITERACKI

— Ostatni z r. z. tom kwartalnika **Ekonomista** zawiera ważniejsze prace: „Wpływ dotychczasowego traktatu handlowego między Rosyą a Niemcami na stosunki ekonomiczne" przez H. Radziszewskiego; „Współczesne kasy emerytalne urzędników i oficyalistów kolejowych" przez Z. Czubalskiego; „Opieka państwowa nad pracą w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej" przez Jana Steckiego; „Filozofia przemysłu" przez Karola Zaleskiego; bogatą kronikę ekonomiczną. Redakcya „Ekonomisty", tłumacząc się z opóźnienia zeszytu 4-go, wywołanego pracą organizacyjną w pierwszym roku istnienia, donosi, że zachody jej nie były daremne, gdyż liczba abonentów stale wzrasta. Pragnąc uprzystępnić kwartalnik, zniżono jego cenę: w Warszawie do 5-ciu rbl., na prowincyi zaś do 6-ciu rbl. rocznie. Z powodzenia „Ekonomisty" szczerze się cieszymy.

— Styczniowy zeszyt czasopisma, poświęconego sprawom ochotniczych straży ogniowych, p. t. **Strażak**, ma treść obfitą i urozmaiconą. W sprawie „Zabezpieczenia strażaków" wyraża swe poglądy zarząd straży ochotniczej w Kielcach, a odpowiada mu redakcya. Za poruszenie tej ważnej sprawy należy się jej uznanie. Zwracają uwagę czytelnika pierwsze ciągi artykułów: „Ratownictwo wodne" i „Wskazówki zawodowe", oraz dalszy ciąg „Ochrony zdrowia"—napoje. Miesięcznik kosztuje tylko rbl. 1 kop. 25 rocznie.

— Tygodnik sportowy „Wioślarz, kolarz i łyżwiarz" wychodzi od Nowego roku pod zmienionym tytułem „Warszawska gazeta sportowa".

„Poradnik językowy."

Zeszyt lutowy tego cennego wydawnictwa rozpoczyna rozprawka Jana Rozwadowskiego p. t. „Język literacki i mowa żywa". Autor uzasadnia potrzebę „Poradnika" dwiema okolicznościami: 1) że do wzbogacenia języka biorą się często ludzie niepowołani, i to jak do jakiejś terminowej roboty; 2) że język polski znajduje się przeszło od lat stu pod wpływem wyjątkowym obcych języków. „Stąd wyrasta, na prawdę, potrzeba mocna i konieczna. Jak wszystkiemi siłami bronimy swej narodowości, tak też brońmy swej mowy, która jest naszą spójnią". Do liczby niepowołanych ludzi, „wzbogacających" nasz język, p. R. zalicza galicyjskich urzędników najrozmaitszych wydziałów. Oni to w przekładach dosłownych z niemieckiego szpecą nasz język najszpetniejszemi dziwolągami. Stąd przedostają się one do ogółu za pośrednictwem gazet. Autor uważa, że „obrona polszczyzny musi się zwrócić, przedewszystkiem, przeciw niedbalstwu pism codziennych".

W artykule rzeczonym razi rozpoczęcie zdania po kropce od „zaś"; wyraz ten nie może stać na początku zdania; powinno być: „Wszyscy zaś Polacy", nie: „Zaś wszyscy Polacy". Z działu „zapytań i odpowiedzi" notujemy niektóre:

Forma „wziąść" o tyle nie jest poprawna, że przez upodobnienie się brzmienia do siąść zatraca się jej pochodzenie: *wz—jąć*. Rozpowszechniona jest w mowie, autorowie w druku przekładają nad nią właściwszą formę: *wziąć*.

Redakcya „Poradnika" nie rozumie, o co chodzi zapytującemu: „czy „naciągać, nabierać" jest to samo, co „aufziehen?" Rzecz prosta, że redaktor-krakowianin nie rozumie gwary humorystów warszawskich. Warszawskie naciągać, nabierać znaczy wyłudzić, wykpić.

Po polsku mówi się zawsze: *zupełne* prawo, *zupełna* pewność, nie zaś „pełne" prawo, „pełna" pewność.

„Co z tobą?" jest zwrotem obcym. My mówimy: *Co tobie?*

Dział „Roztrząsań" zajmują uwagi znakomitego uczonego naszego, A. Brücknera, szczególniej obszerne w sprawie nieprawidłowej odmiany imion osobowych męskich. „Pokłosie" zawiera wykaz prowincyonalizmów w dziele C. Jankowskiego „Powiat oszmiański". W dziale „Nowych książek" redakcya gorąco poleca poparciu czytelników wydawnictwo warszawskie „Słownika języka polskiego".

Redaktor i Wydawca WŁADYSŁAW MALESZEWSKI.

Дозволено Цензурою Варшава, 14 Февраля 1902 Fotografie, klisze i druk „Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego"

EDMUND CHOJECKI

EXCELSIOR

6)

CZĘŚĆ DRUGA

I

Ogromny ruch panował tego dnia w klubie studenckim w Kopenhadze, *Studenter Fereningen*, z którym związane są najmilsze wspomnienia całych pokoleń młodzieży duńskiej, kształcącej się w tutejszej wszechnicy. Mieścił się w wielkiej, dość pospolitej, kamienicy z białej cegły; na wszystkich oknach stały doniczki z kwiatami, które, po siedmiomiesięcznem więzieniu zimowem, z rozkoszą kąpały się w słońcu i powietrzu letniem.

Zamiłowanie narodów północnych do roślin kwitnących wzrasta w stosunku do surowości klimatu.

Ganek bez balustrady prowadzi do ogromnej sali, gdzie większa część studentów z czterech wydziałów może swobodnie zasiąść przy stolikach. Na lewo są czytelnie, sala bilardowa i tam znajduje się ognisko życia studenckiego.

Pierwsze piętro przeznaczone jest wyłącznie na koncerty, bale i przedstawienia sceniczne. Ściany zazwyczaj są pozbawione wszelkich ozdób, ale dziś właśnie pracowali nad przystrojeniem sali marynarze pod kierunkiem porucznika okrętowego. Wiadomo, że marynarze są mistrzami w tej sztuce. Wystarcza im kilka wozów zieleni, kilka koszów kwiecia, trochę broni i sztandarów z arsenału, żeby zamienić najpospolitszą izbę w prześliczną salę balową, stanowiącą godne tło dla najcenniejszych skarbów życia: młodości, uciechy, wesela, a niekiedy miłości w pączku.

Marynarka królewska udzielała studentom pomocy na wstawienie się admirała Bannera, którego wnuk, od czterech lat pobierający nauki w tutejszej wszechnicy, był jednym z gospodarzy balu.

Przed gmachem stało kilku stypendystów. Spodziewali się kiedyś być krezusami, ale tymczasem mogli spółzawodniczyć z Hiobem. Rozprawiali właśnie o rozwielmożnieniu się zbytku w narodach spółczesnych; zbytek doprowadził do zguby Rzym, Bizancyum i rzeczpospolite włoskie; Sparta jedynie swoją surową prostotą dawała niepożyty przykład cnoty i miłości ojczyzny. Mogli mówić o Sparcie, gdyż znali dobrze czarną polewkę. Kopenhaga ze swoim świetnym dworem, z ulicami oświetlonemi gazem i wspaniałemi magazynami, była z góry skazana na upadek.

Tak utrzymywali przybysze z prowincyi, z Fionii, Jutlandyi i Vendsyssel. Między nimi było dwóch bliźniaków z Islandyi, synów rektora z Reykjawiku. Spędzili pierwsze lato w Danii, która po nagiej, wulkanicznej wyspie rodzinnej, wydała im się krajem podzwrotnikowym. Zachwycali się każdą krzewiną, drzewa zaś znali tylko z obrazków.

Studenter-Fereningen nic nie traci na bliższem poznaniu. Pomimo skromnych pozorów, życie tu wre i kipi, a składają się na nie złudzenia i rzeczywistość, praca i marzenia, zapały młodzieńcze i wielkie pomysły w zarodku. Studenci z Kopenhagi spędzają w tym gmachu najpiękniejsze chwile istnienia i nigdzie, nawet w kole rodzinnem, nie czują się tak swobodni. O te mury wciąż odbija się śmiech ochoczy i odgłos rozpraw, prowadzonych z przejęciem o wszystkich przedmiotach, do których zapala się młodzież. Roznamiętnia ich nauka, bo przecież Dania wydała wielu uczonych, począwszy od Tycho-Brahego. Porywa poezya, gdyż nie darmo Kopenhaga jest ojczyzną Oehlenschlagera; zachwyca sztuka, co jest zupełnie naturalne u ziomków Thorwaldsena. Wbrew usiłowaniom Niemców, Dania nigdy nie będzie małym krajem; za wielu rodzi się w niej wielkich ludzi.

Niekiedy rozmowa ustaje, milkną turnieje naukowe lub literackie; dla wypełnienia tej luki, istnieje szkoła śpiewu i muzyki. Studenci, znużeni rozprawami, słuchają z upodobaniem melodyj narodowych i pieśni patryotycznych. Jasnowłosej młodzieży skandynawskiej, rozmiłowanej w kraju rodzinnym, uśmiecha się nadzieja odwetu, snująca się nakształt złotej nitki śród chórów ognistych.

Potem, według tradycyi gościnności północnej, przychodzi kolej na twórców cudzoziemskich, zwłaszcza tych, których geniusz, wydostawszy się z granicy własnej ojczyzny, wkracza na pole cywilizacyi powszechnej.

Takie rozrywki stanowią chleb powszedni młodzieży i zależą od ochoty chwilowej. Tylko raz na tydzień w sobotę odbywa się prawdziwy koncert, zawczasu obmyślony i wypracowany pod kierunkiem jednego z najznakomitszych artystów. Tego dnia członkowie klubu przyjmują w swoim gmachu zaproszonych gości, między którymi można widzieć najpowabniejsze typy dziewcząt duńskich.

Młodzieńcze towarzystwo z przykładną uwagą słucha przez dwie godziny symfonii pasterskiej Beethowena lub innego utworu w tym rodzaju. Godzi się przecież wynagrodzić ją za to; ktoś poddaje orkiestrze myśl zagrania *Invitation à la valse* Webera, tytułem niespodzianki dla słuchaczy. Łatwo przewidzieć skutki tego manewru: młodsza część publiczności nie może usiedzieć na miejscu i po arcydziele Webera następuje cały szereg polek, walców i kontredansów. Tańce idą w najlepsze, dopóki mamy nie dadzą hasła do wyjazdu.

— Dosyć już, moje panienki! Trochę rozsądku, jeżeli łaska. Przecież to nie bal, nie można zbyt długo przeciągać zabawy.

Młodzież poddaje się temu wyrokowi, muzyka milknie i wszyscy się rozchodzą. Do zobaczenia na przyszłym wieczorze, na którym klub studencki uraczy swoich gości jaką sztuką nowoczesną lub komedyą Holberga, nie przestarzałą, pomimo dwóch wieków istnienia. Wesołość nie lęka się zmarszczek.

Bal, do którego czyniono przygotowania, miał stanowić zakończenie roku szkolnego i odbyć się kosztem laureatów. Nie zważano na wydatki, gdyż między młodzieżą, opuszczającą progi wszechnicy, byli synowie najbogatszych rodzin duńskich, jak naprzykład Harald Banner, Aksel Gyldenlöw i inni, oraz sam kwiat mieszczaństwa zamożnego. Stosownie do zwyczaju, który świadczy chlubnie o delikatności uczuć tego narodu, nikt nie wiedział, w jakiej mierze każdy student przyczynił się do ogólnych kosztów. Komitet wydawał bony wartości rixdalera. Można było nabywać je dla siebie lub dla kogo innego, kupić jeden, sto lub dwieście; nazwisk nie zapisywano. Tym sposobem skromne oszczędności ubogich łączyły się z sutemi datkami bogaczy, zasługa zaś przyjęcia spadała na wszystkich.

* *

*

Magus bronił się, jak mógł, gromadce studentów, którzy czynili mu gorzkie wymówki.

— Nie oskarżajcie go,—oświadczył młody prawnik— to nasza wina, żeśmy powierzyli rzecz tak ważną lekarzowi. Człowiek, który zajmuje się krajaniem ciała ludzkiego, miałby myśleć o bukietach dla naszych ślicznych tancerek! Eskulap w roli Flory! Nie, tego sobie nawet wyobrazić nie można. Głowa do góry, Magusie, ja cię uniewinniam.

— Mógł odmówić, jeżeli nie czuł się na siłach— zauważył filozof.

— Gdyby nas był uprzedził, ale teraz już za późno!— westchnął jakiś Jutlandczyk.



J. STALLAERI. W CYRKU RZYMSKIM.



J. STENBOH.

WESTALKA
w drodze do katakumb.

— Zapomnieć i uprzedzić—te dwa pojęcia wyłączają się wzajemnie,—odciął się Magus—weźcie moją głowę, jeżeli chcecie.

— Wczoraj byłbym skwapliwie przyjął tę ofiarę,—podchwycił lekarz ze świeżym dyplomem — odniósłbym tryumf zamiast ciebie.

— Dosyć tych komplementów!—przerwał kolega ze Svendborgu—schowaj się z tem do wieczerzy. Ja wniosę toast na cześć Magusa i wspaniałej jego rozprawy o alkoholizmie.

— Przyjmuję z wdzięcznością, ale pod warunkiem, że spełnicie moje zdrowie czystą wodą—odparł Magus.—Wychylać puhary wina w chwili, kiedy po raz pierwszy rzucam rękawicę pijaństwu, to byłby dla mnie szczyt upokorzenia!

Studenci wybuchnęli śmiechem, a jeden z nich, istny olbrzym, rzekł do młodego lekarza:

— A więc to prawda, co mówią? Wypowiadasz wojnę temu, co stanowi podstawę naszej gościnności? Dosyć trącić się po przyjacielsku kieliszkiem, żeby ściągnąć na siebie pioruny twego gniewu? Ależ to będzie nowa krucyata, tylko w tym razie Piotr Pustelnik sam stanie za armię.

Magus oparł się o ścianę, zmierzył towarzyszów natchnionym wzrokiem i, wyciągając ręce, mówił:

— Kto nowe toruje drogi, zwykle bywa samotny; potem dopiero tłumy idą za nim. Każdy ma prawo wybierać sobie zawód. Co do mnie, bogacze mało mię obchodzą, mojem marzeniem—zostać lekarzem ludu, ale i w tym kierunku obieram sobie jedno głównie zadanie. Straszna, zadawniona rana od niepamiętnych czasów toczy nasz kraj nieszczęsny. Mam na myśli pijaństwo, które pociąga za sobą spodlenie moralne, upadek umysłu, zwyrodnienie rasy, zagraża naszej przyszłości. Ojczyzna potrzebuje silnych ciał i dzielnych dusz, żeby się bronić przeciw drapieżnemu sąsiadowi, który czyha, żeby nam znowu wyrwać kawał ciała.

— Jedno nic nie przeszkadza drugiemu; zresztą, czy sądzisz, że zdołasz urzeczywistnić w Danii swoje mrzonki?

— Trzeba założyć towarzystwo wstrzemięźliwości, któreby objęło kraj cały.

— Towarzystwo wstrzemięźliwości u nas?

— Dlaczego nie? W Anglii taki związek liczy pół miliona uczestników, w Stanach Zjednoczonych kobiety prowadzą wojnę z pijaństwem, własnemi rękami burzą szynki i zaślubiają tylko mężczyzn pijących jedynie wodę. Czyżby Duńczycy byli niżsi od Anglików i Amerykan? Ach! panowie, nie ubliżajcie swoim rodakom! Po czterech latach spólnej pracy, zanim się rozproszymy w różne strony świata, dziś, po raz ostatni, zbieramy się na ucztę koleżeńską. Skorzystam z tego, żeby rzucić podwaliny naszego stowarzyszenia. Moi przyjaciele usłuchają mego wezwania, inni pójdą sobie, gdzie im się podoba. Szczęśliwej podróży! Oby życie było im lekkie!

— Sprawa, w ten sposób postawiona, musi się zakończyć twojem zwycięstwem—zauważył filozof.

— Każdy twój kolega musi zarazem stać się przyjacielem!—zawołał jeden z bliźniaków islandzkich.

Wszyscy z zapałem ściskali ręce Magusa. Był on istotnie pięknym typem plebejusza skandynawskiego: szeroki w ramionach, krzepko zbudowany, z głową krótko ostrzyżoną, włosami najeżonemi jak szczotka, z wypukłem czołem myśliciela, pociągał szczerą wesołością, ogromem wiedzy bez zarozumiałości, skwapliwością w oddawaniu przysług.

Tylko Goliat ze Svendborgu był nieco urażony, gdyż chciał mieć ostatnie słowo.

— Odwołując się do naszej przyjaźni, Magus wywiera na nas rodzaj przymusu, wie bowiem, że nikt mu się nie oprze. Nie mamy nawet urazy do niego za bukiety, chociaż wprawił nas w kłopot nielada.

Magus skrzywił się, zły na siebie i na kolegę, że znowu wyciągnął na stół historyę z bukietami. Czuł jakiś figiel w powietrzu.

— Uspokójcie się!—zawołało dwóch studentów, wchodząc—cześć Magusowi! Taki chwat jak on nie zapomniałby o rzeczy równie ważnej. Biegał ciągle za pijakami w Kopenhadze, badał ich, leczył i przez to wyszło mu z pamięci, że zamówił kwiaty. Oto są!

Podnieśli w górę dwa pęki siana, przywiązane do lasek.

Żart przyjęto wybuchem śmiechu, tylko Magus był zadąsany i miał ochotę się wymknąć. Jakież było zdziwienie studentów, kiedy ujrzeli czterech ogrodniczków, niosących kosze pełne najpiękniejszych kwiatów, z wielkim smakiem powiązanych w bukiety. Rozległ się okrzyk zachwytu. Zasypano chłopaków pytaniami; jeden z nich, skąpy w słowa, wskazał na zbliżającego się młodzieńca.

— Harald Banner! A któżby inny to zrobił!—zawołano chórem.

Magus rzucił się do swego zbawcy.

— Jakiemuż przeczuciu, czy cudowi, zawdzięczam tę niespodziewaną pomoc? Wytłumacz mi to, Haraldzie.

— Ależ to jasne, jak słońce. Przed kilku dniami zastałem cię zatopionego w twojej rozprawie; zwierzyłeś mi się z kłopotu, który cię czeka, a ja wówczas oświadczyłem, że biorę tę rzecz na siebie. Byłeś tak pochłonięty pracą, że nawet mi nie odpowiedziałeś, a ponieważ kto milczy—zezwala, zastąpiłem cię i zamówiłem bukiety.

Harald już cztery lata spędził na tutejszej wszechnicy i nie zmarnował ani chwili. Zamiłowany w nauce, nie oddał się jednak wyłącznie jednej gałęzi wiedzy.

Katastrofa z wilkami, niby uderzenie gromu, wstrząsnęła nim do głębi. Odtąd żyły w nim jakby dwie istoty: jedna, wytwór wyobraźni, była uosobieniem oschłości serca i bezbrzeżnego samolubstwa, które cechowały pierwsze lat kilkanaście jego życia. Nowy Harald, nieubłagany sędzia dawnego, dręczony okropnemi wspomnieniami, chciwy pokuty, pozbawiony pokoju duszy i umysłu, stanowił przeciwieństwo tamtego. Ten sam nieuleczony smutek, który przygniatał niegdyś legendowego Hamleta, rzucił posępny cień na czoło Haralda. Widmo prześladowcy Nielsa nękało wciąż pokutnika, odrodzonego przez poświęcenie cichego bohatera; przeszłość nigdy nie schodziła mu z myśli i jak w zwierciedle oglądał w niej ciągle swoją dawną istotę. Było to zaprawdę dziwne zjawisko psychologiczne.

Walka okazała się daremną, pozostawała więc tylko ucieczka w dziedziny abstrakcyi, równie rozpaczliwa, choć odmienna od szalonego biegu Absalonów w lasach Bannersborga.

Harald szukał ratunku w nauce, wybierając przedmioty najeżone trudnościami, wymagające mozolnych badań. Wobec nieskończonych widnokręgów, które wówczas otwierały się przed nim, zapominał o sobie. Już od czterech lat prowadził życie pełne udręczeń, zazdrośnie kryjąc tajemnicę swojej duszy przed oczyma świata. Duma jego nie chciała poniżyć się do zwierzeń; nawet przyjacielowi nię byłby pozwolił zajrzeć w głąb swego sumienia. Na pozór nie wyróżniał się niczem od swoich kolegów: uprzejmy, pełen prostoty w stosunkach towarzyskich, dopiero zdala od ludzi stawał się sobą.

Magus pociągnął Haralda na ganek, a za nim podążyli inni studenci. Przed oficynę zajechał właśnie wóz, kierowany przez Ulfa i zapełniony koszami, gdzie z każdej przegrody wyzierała srebrna szyjka butelki. Był to ogromny, a jednak niedostateczny, zapas szampana, bez którego nie może się odbyć żadna uroczystość na północy.

— Komitet balowy wiedział, komu powierzyć dostawę trunków;—rzekł smutnie Magus—z prawa należało się to Axelowi, który potrafi dać przykład innym.

— Towarzystwo wstrzemięźliwości jeszcze nie zostało założone,—odparł Harald z uśmiechem—pozwól jego członkom uraczyć się po raz ostatni.

Przyszli członkowie na to właśnie liczyli. Skupiwszy się na ganku, powitali Ulfa pieśnią tryumfalną.

— Bachus we własnej osobie! Brakuje mu tylko tyrsu. Evohe, Dyonizosie! Bądź błogosławiony, o synu Semele!

Swieże wspomnienia nauk klasycznych łączyły się z wybuchami dobrego humoru.

Ulf z zadowoleniem przyjmował pochlebne przezwiska, chociaż z większą słusznością możnaby porównać go do Tantala. Pilnując znoszenia koszów, mruczał do siebie:

— I oni to nazywają winem! Próbowałem: szumiąca woda z cukrem, która łechce tylko, zamiast drapać jak należy. Dobre to dla niemowląt, ale nie dla ludzi dorosłych.

(D. c. n.)

Na te ciężkie czasy podajemy kilka nieznanych sposobów zarobku. Według przysłowia „mowa jest *srebrem*, a milczenie *złotem*“, należy tylko milczeć, ażeby zyskać sporo cennego kruszcu. Dla zwiększenia dochodów należałoby także udzielać dobrych rad bliźnim, gdyż jak mówi francuskie przysłowie: dobra rada warta tyle *złota*, ile sama waży. Złote serca należy zastawić w lombardzie, a *złote* włosy sprzedać na wagę.

Papiery państwowe:	Rs. k.
Listy Likw. Kr. Pol. duże	100 —
„ małe	99 50
Pożyczka prem. z r. 1864	469 —
„ 1866	376 —
Obl. Banku szlacheckiego	297 50
Pożyczka wewn. z r. 1893	— —
Listy zastawne:	
Tow. Kr. Ziemskie duże	99 65
„ A.	89 30
Miasta Warszawy ser. VI	— —
„ VII	100 —
Obligi M. Warszawy duże	— —
„ małe	— —

22 lutego	Warszawa.		Praga
Ceny zboża:	*Korzec*	rs. k.	*Pud*
Pszenica wyborowa	240 f.	6 30	1 (6
Żyto „	230 f.	4 65	— 81
Owies „	160 f.	3 80	1 10
Jęczmień 2 rzęd.	200 f.	4 50	— 90
Gryka	200 f.	— —	— 90
Rzepak letni	210 f.	— —	—
„ zimowy	210 f.	— —	— —
Groch polny	260 f.	— —	1 25
„ cukrowy	200 f.	— —	1 6)
Koniczyna czerw.	250 f.	— —	— —
„ biała	250 f.	— —	— —
Kartofle	250 f.	1 40	— —

Monety i banknoty:

Marka niem. k. $46^1/_2$; austr. kor. k. $89^5/_8$; frank k. $37^3/_4$; funt. st. 9 rs. 50 k.

Biedna, chora wdowa po urzędniku z dwojgiem małoletnich dzieci, z których jedno ułomne, a drugie chore na nerki, tą drogą ośmiela się prosić o wsparcie. Łaskawe datki przyjmować będzie kantor administracyi „Biesiady Literackiej" dla B. G.

Stare przysłowie polskie:
„Jak się luty ulituje,
To człek niby wiosnę czuje,
Ale jak się luty zżyma,
To człek prawie nie wytrzyma."

№ 9-ty zawiera:

Cena ogłoszeń:

NADESŁANE, na ostatniej stronie pisma po kop. 75 za wiersz garmontowy.
Ogłoszenia zwyczajne za wiersz petitu jednoszpaltowy, lub jego miejsce, na 1-ej stronie okładki po 20 kop. i po 12 kop. na pozostałych stronach.

Ogłoszenia przyjmuje Kantor Administracyi „Biesiady Literackiej" Hoża 41.

„Biesiada Literacka" z „Wieczorami Powieściowemi"
w Warszawie: rocznie rs. 6 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 63.
Z przesyłką pocztową: rocznie rs. 8; kwartalnie rs. 2.

„Biesiada Literacka" bez „Wieczorów Powieściowych"
w Warszawie: rocznie rs. 5; kwartalnie rs. 1 kop. 25.
Z przesyłką pocztową: rocznie rs. 6; kwartalnie rs. 1 kop. 50.

W Galicyi i Poznańskiem: dla życzących sobie odbierać wprost z redakcyi jak również prenumerata w innych Państwach Związku pocztowego wynosi kwartalnie „Biesiada" z „Wieczorami" rb. 2 40; bez „Wieczorów" rb. 2.

Agencye główne na Galicyę: Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie; Księgarnia Gubrynowicza i Schmita we Lwowie.
Agencya główna na W. K. Poznańskie: Księgarnia Św. Wojciecha w Poznaniu.

Cena numeru pojedyńczego Biesiady kop. 20. Wieczorów Powieściowych kop. 5 Zmiana drukowanego adresu kop. 20.

Redakcya i administracya główna Hoża 41; **Kantor** róg Zgoda i Złotej, dom Kassy Przemysłowców Warszawskich.
Prenumeratę i ogłoszenia przyjmują: administracya główna i kantor.

Na listach i przesyłkach trzeba wypisywać dokładnie cały adres **„Biesiada Literacka".** Za rękopisy nadesłane redakcya nie odpowiada.

Redaktor „Biesiady Literackiej" przyjmuje interesantów w poniedziałki, środy i soboty od godziny 6 – 7 po poł. w redakcyi przy ul. Hożej Nr 41.

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Февраля 1902 г. Redaktor-Wydawca Władysław Maleszewski. Druk Warsz. Towarzys. Akcyjn. Artystyczno-Wydawniczego.

cydziełem. M....

Mickiewicz i Słowacki

jako członkowie Towarzystwa litewskiego i ziem ruskich.

Wśród rękopisów w bibliotece Muzeum narodowego w Rapperswylu przechowuje się archiwum Towarzystwa litewskiego, założonego w Paryżu 1831 roku. Archiwum to składa się: z książki adresowéj, dwóch tomów księgi protokułów Towarzystwa i pewnéj ilości dokumentów. Na jednéj z pierwszych kart książki adresowéj członkowie w miarę przybywania zapisywali swoje nazwiska i adresy. Założycieli było dziesięciu i ci na pierwszem miejscu się zapisali [1]); na jedenastem miejscu widzimy adres J. Lelewela, na dwunastem Juliusza Słowackiego (rue Neuve de St. Eustache nr. 5). Reszta książki adresowéj, podzielona na alfabet, mieści adresy członków porządnie spisane.

Księga pierwsza protokułów posiedzeń zaczyna się od „Aktu przystąpienia do Towarzystwa litewskiego" z dnia 10 grudnia 1831 r. Potem następuje „Organizacya Towarzystwa". Członkowie przybywający kładli podpisy zarówno pod aktem przystąpienia, jak i pod statutem. Słowackiego podpis widzimy i tu na dwunastem miejscu. Z protokułów jednak widzimy, że przyjęty został do Towarzystwa dopiero na piątéj sesyi w dniu 8 stycznia 1832 roku wraz z Józefem Straszewiczem przez głosowanie; na posiedzeniu zaś Towarzystwa znalazł się po raz pierwszy dnia 7 lutego; była to sesya ósma.

Prezesem był Cezary Plater, sekretarzem — Władysław Plater. Na posiedzeniu tem toczyła się dyskusya w przedmiocie obchodu, projektowanego na 25 marca, w rocznicę powstania litewskiego; wybrano komisyą, która się tym obchodem zająć miała.

„W momencie solwowania sesyi — czytamy w protokule — p. Juliusz Słowacki skreślił poetyczny obraz męztwa i nieszczęść Polaków, o którego powtórzenie Towarzystwo prosiło na dzień 25 marca".

Obecność Słowackiego na posiedzeniu zanotwały protokuły sesyi jedenastéj (19 lutego) i trzynastéj (4 marca). Rozprawy, lakonicznie w protokułach zapisywane, toczyły się najczęściéj na gruncie formalnym i Słowacki żadnego nie przyjmował w nich udziału. Protokuły obszerniéj zaczęły być redagowane, odkąd sekretarzem został Leonard Chodźko; 22 marca Chodźko już wpisał do księgi poprawiony statut.

W dniu 25 marca odbyło się uroczyste posiedzenie Towarzystwa z okazyi zapowiedzianego obchodu. Wygłosili mowy Lafayette, Cezary i Władysław Platerowie, Lelewel, Leonard Chodźko, Wodziński i M. A. Jullien. Zaś „Ludwik Lemaître i Juliusz Słowacki odczytali piękne poezye, pierwszy — po francuzku, drugi — po polsku". Tyle tylko daje protokuł, ale my znamy już tę chwilę z korespondencyi Juliusza z matką, w której pod dniem 25 marca zapisał: „Niedziela. Był to dzień, przeznaczony na obchód uroczysty urodzin naszéj wileńskiéj kuzynki (Litwy). Z rana odebrałem list z wielu podpisami, między któremi znajdował się podpis Julliena starego, list zaklinający mnie, abym na posiedzeniu literackiem czytał. Siadłem więc do roboty i w kilka godzin napisałem odę, w której umieściłem kilka myśli z różnych poematów. Przyszedł wieczór, ogromne zgromadzenie, mnóstwo dam polskich i francuzkich, młodych ładnych. Lafayette prezydował; wszyscy czytali po francuzku, także Lelewel, czytano wiersze francuzkie (Lemaître), potem na końcu wiceprezes (Plater Cezary), obracając się do zgromadzenia, rzekł, że Towarzystwo uprosiło największego z poetów polskich aby po polsku deklamował, a ztąd wzywa pana S. aby zasiadł na miejscu. Pan S. nie zasiadł, lecz stojąc mówił.... co — trudno opisać; rzucałem całem zgromadzeniem, potem rozłamałem wiersz ody i powiedziałem jednę śliczną historyczną powieść w 30 wierszach, znów wróciłem do ody i zakończyłem myślą z „Lambra" wyjętą.... Po skończeniu, prezes ściskał mnie za rękę i gadałem z nim przez chwilę; starzec interesujący. Francuzi mówili, że z taką duszą deklamowałem, że wszystko zrozumieli prawie.... Potem w kilka dni byłem na wieczorze u Platerów, gdzie znów nowe obojéj płci zbierałem pochwały, gdzie p. Jullien znów się do mnie przysiadł i upewniał, że odę zrozumiał." [2])

Tutaj przypomnieć sobie należy notatkę E. Januszkiewicza, dla objaśnienia powyższego ustępu przytoczoną przez Małeckiego,[3]) a pełną niechęci dla poety. Eustachy Januszkiewicz należał również do Towarzystwa i niechęć ta do Słowackiego już wówczas w protokułach posiedzeń się odbiła, jak to zobaczymy poniżéj.

Nie na każdem posiedzeniu Towarzystwa bywał obecny Słowacki. Widzimy go na następnéj sesyi (21) 29 marca, później na 24 (15 kwietnia), 26 (7 maja) i 28 (24 maja). Na tem ostatniem posiedzeniu prezes zawiadomił zebranych, że członek Wołodkowicz złożył manuskrypt i materyały, dotyczące dziejów powstania litewskiego, żądając, aby Towarzystwo zajęło się ich redakcyą.

Jednem z pierwszorzędnych zadań Towarzystwa było zbieranie materyałów i opracowywanie dziejów powstania litewskiego i na posiedzeniach niejednokrotnie potrzeba pracy w tym kierunku była dyskutowaną. Lelewel zastrzegł, aby osoba, mająca się zająć redagowaniem materyałów Wołodkowicza, porozumiała się z nim, albowiem rzeczą jest nie małéj wagi, w jakim stosunku pozostawała Korona do powstania, a do wyświetlenia tego stosunku chciałby dopomódz. „Słowacki — czytamy w protokule — wymawia się od przyjęcia téj pracy raz dla tego, że nigdy w podobnym nie pisał przedmiocie i nawet gdyby pisać miał, to wtenczas, jeśliby mu złożono wszystkich powiatów opisanie ich powstania. Plater Władysław żąda wyznaczenie komisyi do przejrzenia i podania planu, którego wykonanie dopiero poruczy się panu Słowackiemu. Lisiecki powiada, że kiedy każdy zwalniać się będzie od przyjęcia, to takim sposobem „nic się nie zrobi" i proponuje na redaktora Wrotnowskiego. Lelewel i Hłuszniewicz myśl poparli i wniosek Lisieckiego przeszedł.

Protokuły notują daléj obecność Słowackiego na posiedzeniach 31 (11 czerwca), 33 (16 lipca) i 34 (30 lipca); nie przyjmował jednak wcale udziału w rozprawach.

Na posiedzeniu 30 lipca Eustachy Januszkiewicz wniósł kandydaturę na członków Towarzystwa Ignacego Domejki i Adama Mickiewicza, przybyłych świeżo do Paryża. Głosowanie odbyło się na następnem posiedzeniu (6 sierpnia); kandydaci przyjęci zostali jednogłośnie, jednocześnie z Bohdanem Zaleskim i Stanisławem Worcellem.

Na najbliższem posiedzeniu (36), 13 sierpnia, widzimy już Mickiewicza między zebranymi. Słowacki był nieobecny. Wtedy to zapewne Mickiewicz położył swój

[1]) Założycielami byli: Cezary i Władysław Platerowie, Antoni Przeciszewski, Adam Kołysko, Józef Zienkowicz, Ludwik Zambrzycki, Waleryan Pietkiewicz, Jan Grodkowski, Antoni Hłuszniewicz i Karol Wodziński.

[2]) „Listy do Matki". Lwów 1875, str. 41—42.

[3]) „Juliusz Słowacki". Lwów 1871, I, str. 81.

podpis pod statutem i zapisał swój adres w książce adresowéj na 72 miejscu kolejnem: Hôtel de Metz, rue Richelieu. Wewnątrz tejże książki pod literą M. wpisano adres Mickiewicza późniejszy: rue Louis de Grand, nr. 24.

Data 30 lipca, pod którą istniała sprotokułowana kandydatura Mickiewicza, Domejki i Zaleskiego świadczy przeciwko Domejce, który przyjazd swój i Mickiewicza do Paryża oznaczył 1 sierpnia.[4]) Trudno bowiem przypuścić, żeby Januszkiewicz podawał kandydatów nieobecnych, bez porozumienia się z nimi. Zresztą Słowacki donosi matce o przyjeździe Mickiewicza w liście z 31 lipca.

Na następnem posiedzeniu (37), 20 sierpnia, obecni byli obaj poeci i brali udział w dyskusyi z powodu projektowanéj odezwy Towarzystwa do ziomków, zastających w kraju, treści jednak ich przemówień protokuł nie przytacza.

Odezwa ta na dwóch stronniczkach małego formatu wyszła z drukarni A. Pinard'a z datą 23 sierpnia 1832 roku, podpisana przez prezesa i sekretarza. Warto zauważyć, że u dołu tejże odezwy wymieniono kilkanaście nazwisk wybitniejszych członków; między nimi na poczesnem miejscu figuruje Mickiewicz, Słowackiego zaś nie wymieniono. Czytamy w téj odezwie: „Towarzystwo Litewskie i Ziem Ruskich ma na celu zajmować się losem nieszczęśliwych tułaczów, ułatwiać młodzieży naszéj nieodzowne ćwiczenie się w naukach i sztukach, wyjaśniać dzieje ostatniego powstania; wykazywać Europie prawo narodu do niepodległości; upominać się wszelkiemi drogami o wolność, całość i niepodległość Polski; dawać istotne wyobrażenie o naturze naszego kraju; przygotować się do korzystania z wszelkich odmian, któreby w świecie politycznym nastąpić mogły, a mianowicie wszystkie usiłowania nasze z waszemi połączyć".

Przytoczyliśmy ten ustęp, żeby wskazać, iżs zerzéj formułowano sobie wtedy cel działalności, niż w pierwotnym statucie z 10 grudnia 1831 r. Artykuł wstępny brzmiał tam jak następuje: „Celem Towarzystwa jest najprzód zbieranie materyałów, potrzebnych do opisania powstania litewskiego i również jego opisanie; nadto [u]powszechnienie (?) narodowości litewskiéj, tudzież ogła[sz]anie drukiem dzieł, opisujących zwyczaje Litwy, stopień jéj cywilizacyi, charakter narodowy, usposobienie moralne mieszkańców, pamiątki historyczne itp. przedmioty. Powtóre: czuwanie, aby pisma o Litwie wychodzące nie narażały braci naszych, w kraju pozostających, na prześladowania rządu rosyjskiego."

Jak widzimy, dążności, wyrażone w odezwie z 23 sierpnia, znacznie odbiegły od założenia pierwotnego w sferę aspiracyi politycznych. Niedługo jednak po téj odezwie, bo pod dniem 24 września (na 43 posiedzeniu) sprotokułowano przyjęty przez Towarzystwo statut dodatkowy, którego główne punkta były następujące: „Towarzystwo — głosi artykuł 2 — uznaje dla siebie naukową czynność za najprzyzwoitszą i najwięcéj korzyści przynieść mogącą dla Ojczyzny."

Aby pracę naukową uczynić skuteczniejszą, członkowie czynni Towarzystwa dzielą się na dwa oddziały, czyli sekcye. Oddział pierwszy obejmuje pracę w dziedzinie prawa, administracyi, polityki, historyi, handlu, poezyi i sztuk pięknych. Dla dwóch ostatnich gałęzi może się wytworzyć w przyszłości nowy wydział, gdy ilość członków dostatecznie się powiększy. Do oddziału drugiego należą: nauki wojenne, matematyka, nauki przyrodnicze, mechanika, agronomia, technologia, architektura itp. Przewodniczącym wydziału jest naczelnik, któremu z wyborów także dodaje Towarzystwo do pomocy sekretarza, zwanego radzcą. Prezes Towarzystwa wespół z sekretarzem, naczelnikami i radzcami wydziałów tworzą radę Towarzystwa. Posiedzenia odtąd będą trojakie: a) oddziałowe co dwa tygodnie, b) ogólne co miesiąc i c) półroczne dla wyboru urzędników.

Na posiedzeniu 24 września sporządzono listy członków wedle nowych wydziałów i odtąd praca zasadnicza stowarzyszonych rozbiegła się dwoma łożyskami. Wybory urzędników odbyły się już na posiedzeniach wydziałowych. Naczelnikiem oddziału historyczno-literackiego obrano Adama Mickiewicza, którego nazywano późniéj urzędownie prezesem wydziału; naczelnikiem oddziału technicznego został Władysław Skibicki, radzcą zaś jego Ignacy Domejko. Że rada tak się ukonstytuowała, dowiedzieliśmy się dopiero późniéj z protokułu z 10 grudnia, jesteśmy bowiem w posiadaniu tylko dokumentów, które zostały w rękach sekretarza Towarzystwa, więc tylko protokułów posiedzeń ogólnych, miesięcznych; o zajęciach wydziałów możemy mieć tylko dorywcze pojęcie i to więcéj ze źródeł postronnych.

Wracając do naszych poetów, których udział w sesyach ogólnych śledziliśmy do 37 posiedzenia, notujemy, że 38 posiedzenie odbyło się 23 sierpnia i był na niem obecny tylko Słowacki. Na następnem, 27 sierpnia, widzimy go również, Mickiewicz zaś nie był obecny; na 40 posiedzeniu (30 września) stało się odwrotnie; 10 września obaj się stawili; 17 września znowu tylko Słowackiego widzimy, jak również i na owem 43 posiedzeniu (24 września), kiedy odbył się rozdział na dwie sekcye. Odtąd na dwóch następnych sesyach (1 października i 1 listopada) zapisani są obaj w protokule. Żaden z nich w całym szeregu posiedzeń przytoczonych powyżéj nie brał udziału w rozprawach; dopiero na ostatniem z nich (1 listopada) zabierał głos Mickiewicz.

„Mickiewicz — są słowa protokułu — uwiadamia, iż na pierwszéj sesyi wydziału uchwalono rozesłanie cyrkularza po zakładach dla zachęcenia do pisania pamiętników o powstaniu Litwy i Rusi; odczytuje projekt cyrkularza, który Towarzystwo przyjmuje i uprasza autora jego, aby, podpisawszy się, porozsyłał na różne strony. Oprócz tego Mickiewicz ofiaruje wydrukować lub wylitografować tę odezwę swoim kosztem, co Towarzystwo z wdzięcznością przyjmuje."

Nie mamy, niestety, publikacyi téj w ręku, a znamy ją z „Pielgrzyma Polskiego", wydawanego przez Eustachego Januszkiewicza, gdzie została wydrukowaną w zeszytach z dnia 2 i 7 grudnia t. r. pod nagłówkiem „Wezwanie do ziomków od Towarzystwa literackiego i Ziem ruskich w przedmiocie spisywania pamiętników z czasów ostatniéj rewolucyi."

Wszystko składa się na pewnik, że autorem téj odezwy był sam Mickiewicz. Gdyby nie istniał wyżéj cytowany protokuł, w którym zresztą ustęp odnośny („autora jego") brzmi dwuznacznie, gdyby nie trzeba było rachować się z okolicznością, że odbijał odezwę Mickiewicz własnym kosztem, że wreszcie przedrukował ją „Pielgrzym" Januszkiewicza, gdzie niedawno umieścił Mickiewicz sprawozdanie z pamiętnika Karola Różyckiego[5]) i gdzie inne artykuły polityczne późniéj umieszczał, to upewnia nas o tem porównanie treści owéj odezwy ze wzmiankowanym artykułem o „Powstaniu na Wołyniu" Różyckiego. Główna myśl obu artykułów jest wspólna. To właśnie, co podnosił z uznaniem w pracy Różyckiego, realizm obrazu i jasne przedstawienie „duszy rewolucyi", uczuć, które do ruchu pobudzały, to samo zaleca pamiętnikarzom, których wzywa do składania prac w Towarzystwie. Pamiętniki Różyckiego zaleca przytem odezwa wprost jako wzór prac podobnych.

Artykułu o książce Różyckiego i odezwy o pamiętnikach nie pisał dziennikarz, mający na zawołanie wyrazy egzaltacyi, gdy chodzi o zniewolenie opinii: pisał to człowiek, który, cokolwiek wypowiadał, to czuł do głębi, i jeżeli występował jako dziennikarz, to tylko wtedy, gdy, przepełniony ideą, musiał ją wypowiedzieć; pisał człowiek jednolity, który dla przeprowadzenia idei publikował utwory natchnione, jak „Księgi Pielgrzymstwa" i dla torowania im drogi artykuły w „Pielgrzymie." Natury takie jednoczą się z pewnem otoczeniem tylko wtedy, gdy się z niem szczerze solidaryzują, gdy jego uczucia swojemi mogą mierzyć. Koł[o] ludzi, którzy postawili sobie za zadanie odtworzyć i uwiecznić w pamiętnikach Litwę i jéj dążenie do wo[lności] [...] Mickiewicza tę myślą przewodnią swéj organizacyi uczucia, jakie w tym stopniu nie były dostępne dla nich samych. Byli to ludzie niewątpliwie pojmujący pożytek pamiętników, lecz w większéj części w tem rozpamiętywaniu czynów, dokonanych na Litwie, poddający się pewnéj próżności, bądź osobistéj, bądź też płynącéj z partykularyzmu politycznego, który nie bez racyi Towarzystwu emigracya wymawiała.

Członkowie Towarzystwa mieli obowiązek w miarę możności składać do akt swoje pamiętniki o udziale swoim w powstaniu litewskiem. Już 19 grudnia 1831 r. jak widzimy ze spisu w aktach umieszczonego, zobozobowiązało się podpisami 19 członków dostarczyć pamiętników swych; w 1832 r. jeszcze trzech deklarowało zrobić to samo. Zapanowała w kole tych ludzi atmosfera pamiętnikarska; kto mógł, w miarę sił pisał pamiętniki. Ci sami prawie ludzie, którzy ongi w nowych szkołach na Litwie i Rusi powołani i niepowołani oddawali się twórczości poetyckiéj i stwarzali atmosferę, w któréj powstawały dzieła talentu, teraz zawiśli duchem nad utraconym krajem, żeby odtworzyć obraz jego walk o niepodległość. Była w tem smutna poezya, tragizm duchów, rwących się do czynu i w tem literacko-pamiętnikarskiem zajęciu wyładowujących swoją energią. Owocem bezpośrednim tego ruchu pamiętnikarskiego w literaturze historycznéj były pamiętniki, redagowane przez Feliksa Wrotnowskiego[6]), a pośrednio atmosfera, którą ruch ten wytworzył, pomogła do zjawienia się największego arcydzieła w poezyi polskiéj — „Pana Tadeusza."

Zygmunt Wasilewski.

(Dokończenie nastąpi,)

---

4) [Kore]spondencya IV, str. 6.

5) W zeszycie z 4 listopada [...]

Nr 56ty NUMER 15 CENTIMÓW 26go Lutego 1887

TYGODNIK

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ

WARUNKI PRENUMERATY
ROCZNIE . . . . 8 FR.
PÓŁROCZNIE . . . . 4 FR.
ZA GRANICAMI FRANCJI . . . . . 10 FR.

Manuskrypta nie zwracają się. Udzielane będą odpowiedzi za dołączeniem marki pocztowej.

WSZYSTKIE LISTY DO REDAKCJI NALEŻY ADRESOWAĆ :
M. l'abbé Romain WILCZYNSKI
8, AVENUE PORTALIS — PARIS
Który jest odpowiedzialnym w obec Kościoła i opinji Polskiej za kierunek «TYGODNIKA».

Ogłoszenia dla Polaków poszukujących zatrudnienia, jako też dla dających takowe, ogłaszane będą bezpłatnie.

WSZELKIE INNE OGŁOSZENIA : WIERS 50 CENT.

Nasze hasło : TYLKO PRAWDĘ A POKÓJ MIŁUJCIE (*Zacharjasz Pror.*, *r.* 8, *w.* 19).

BOHDAN ZALESKI

WPOŚRÓD DZIECI FRANCUZKICH

Można przyznać, że naród Francuzki i jego duchowieństwo, jest znane w Polsce tylko ze strony ujemnej. Wina w tem jest naszych publicystów, którzy czerpią wiadomości od osób zapatrujących się na życie narodu jednostronnie, zewnętrznie. Polacy rozmiłowani w swych zwyczajach, nie chcą zrozumieć, ze są inne w obcych krajach. Nieraz zdarza nam się słyszeć narzekania naszych pobożnisiów płci obojga, gorszących się z tego, że w kościołach francuzkich, potrzeba dawać bardzo skromne datki za krzesła lub na dobre uczynki. Mówią oni, że się nawet pomodlić nie można, że trzeba ustawicznie trzymać rękę w kieszeni. Nazywają nabożeństwa francuzkie komedją, kupczeniem, kuglarstwem. Powołują się nawet na Ewangelję, mówiąc: że Pan Jezus powypędzał kupczących ze świątynji, słowem, widzą tylko wielkie zgorszenie. Powiadają, że u nas w Polsce nie ma tego i zaraz występują z całym szeregiem oskarżeń, że naród Francuzki jest bezbożnym.

Sądy w ten sposób wydawane, jeśli nie są lekkomyślne, to noszą na sobie cechę braku ducha chrześcijańskiego i dowodzą grubej niewiadomości obowiązków Chrześcijanina, a nie powiem faryzejstwa i obłudy, o co bym mógł posądzić naszych rodaków, opierając się na tem: że kościół Polski, gdzie się nie płaci, niezawsze bywa przepełniony pobożnymi? Nie chcę wyprowadzać dalszych wniosków, bo musiałbym odstąpić od mego przedmiotu i skreślić obraz pobożności Polskiej niezbyt budujący, dodam tylko, że sądy o których wspomniałem, dowodzą nieznajomości stosunków społecznych i religijnych we Francji, dowodzą nieznajomości dziejów Chrześcijaństwa. Kto się bliżej i bezstronniej przypatrzy, ten musi podziwiać wytrwałość, poświęcenie i niezmordowaną gorliwość duchowieństwa Francuzkiego, które w najtrudniejszych chwilach nie przestaje gorliwie pracować. Niechaj ci, co się tak gorszą zbieraniem składek w kościołach, zwiedzą ochronki, przytułki dla sierot, niech zobaczą wiele ubogich przyodziewają, nakarmią, ogrzeją i przytulą, wiele szkół chrześcijańskich zbudowanych, utrzymywanych i kierowanych przez duchowieństwo Francuzkie, a to wszystko dzieje się ofiarnością pobożnych, owemi składkami po kościołach, które tak gorszą naszych rodaków.

Słysząc tego rodzaju zarzuty, mimowolnie zdaje mi się, że widzę naszego rodaka w katakumbach, gdzie pierwsi Chrześcijanie już nie grosze, ale całe majątki składali u stóp biskupów, że gdyby tam nasz rodak wszedł zgorszyłby się takiem kupczeniem, a dlatego by się zgorszył, że nie rozumie pobudek tak wielkiej ofiarności, że aby pójść na męczeństwo potrzeba oderwać serce od rzeczy tego świata. Tak, zgorszyłby się, powiadam, widząc ludzi wyzuwających się z majątku dla wyższych celów. Ci co mówią, że zbierane kwesty w kościołach przeszkadzają im się modlić, zapominają, że dobre uczynki są modlitwą.

O drugiej kategorji, która z ulicy, bulwarów, teatrów, balów i balików sądzi o społeczeństwie, nie mam co mówić, bo to wyglądałoby tak samo, jakby cudzoziemiec z karczmy lub pijaków walających się po drogach, chciał sądzić o ludzie Polskim.

Zbytecznie się rozpisałem o szkodliwości sądu opartego na pozorach zewnętrznych, a uczyniłem to w imię sprawiedliwości jaka się należy duchowieństwu Francuzkiemu, które tak gorliwie zajmuje się wychowaniem młodych pokoleń.

Wykłady katechizmu zasługują na szczególną uwagę i doszły do tej doskonałości, że młody świat dziecinny posiada swój organ p. t. «*Les échos de la première Communion*». Pisemko to miesięczne redagowane przez *księdza Delmasa*, znanego ze swej nauki teologicznej, rozchodzi się w tysiącach egzemplarzy po całej Francji, między małych czytelników. Z przyjemnością donosimy, że w tem piśmie rozpoczął się druk poematu ś. p. Bohdana Zalewskiego «*Przenajświętsza Rodzina*», którą Juljan Bartoszewicz nazywa «prawdziwą perłą poezji». Opisuje w tej perle swoim sposobem ten ustęp Ewangelji św. Łukasza, który mówi o Jezusie w dwunastym roku życia, wśród kościoła Jeruzalemskiego. Poemat religijny Bohdana Zaleskiego drukuje się w tem piśmie w przekładzie francuzkim, a tym sposobem pamięć świętobliwego poety przejdzie do odległych pokoleń we Francji.

Znawcy francuzcy oddają wielkie pochwały tłómaczowi, który tak umiejętnie włada piękną mową Francuzką, że gdyby nie było napisane na czele, że to jest przekład, nikt by się tego nie domyślił. Ściślejsza krytyka zarzuca trochę światowe wyrażenia, rozmowę Najśw. Panny z św. Józefem uważa za zbyt prostaczą, widocznie, powiadają, autor poematu nie czytał: Życia wewnętrznego Najśw. Panny, skreślonego przez Marję d'Agreda, która w cudownem natchnieniu opisała pożycie Przenajświętszej Rodziny. W tem objawieniu znajdują się najdrobniejsze szczegóły, nawet przemawiania do siebie tych prawdziwie niebiańskich małżonków, którym poeta wkłada w usta na sposób ukraiński zbyt poufałe rozmowy. Uwagi te nie odnoszą się do tłómaczenia, które nosi na sobie cechę sumiennej dokładności, tem trudniejszej, że mowie Francuzkiej daleko łatwiej płyną wyrażenia najwyższego poszanowania, jak prostoty ludu Ukraińskiego. Wyznajemy, że jest wielką zaletą tłómacza, iż umiał zmusić mowę Francuzką do zachowania myśli, miary i nadobnej prostoty mowy Ukraińskiego wieszcza.

Teraz możemy powiedzieć, że lud Francuzki będzie znał poemat jednego z pierwszorzędnych naszych poetów. Radzibyśmy, aby tłómacz nie szczędził swych zdolności i pracy do obznajmiania cudzoziemców z arcydziełami naszych wieszczów. Wtedy nie będą się nas pytali, jak się to nieraz zdarza: Czy Polska literatura istnieje?

W dopełnieniu naszych artykułów « *O katolicyzmie w Polsce i powołaniu zakonu Zmartwychwstańców* », następnych kilkanaście wierszy dodać uważamy za stosowne:

Autor tego artykułu przewidział, że Polska przy niechęci liberalizmu zachodniego, zejdzie prędzej czy później do polityki katolickiej, czyli swojskiej — i tak się stało. Spodziewał się także, że Zgromadzenie Ojców Zmartwychwstańców będzie mogło oddać krajowi usługi — i na tem także się nie omylił. Hr. St. Tarnowski wyliczył w naszem piśmie jego zasługi. My wyliczymy je trochę inaczej, — według nas Zgromadzenie Ojców Zmartwychwstańców tem się zasłużyło:

1° Że zyskało wpływ w Rzymie, a przez niego w całem duchowieństwie katolickiem. W orgii liberalizmu i pozytywizmu, jaki w Europie panuje, jedno tylko duchowieństwo katolickie, pomimo dzisiejszej słabości Papiestwa, nie uznało względem nas zasady siły przed prawem;

2° Że zabito w Poznańskiem Heglizm, niegdyś tak modny i tak nieprzyjazny dla naszej religji i narodowości;

3° Że podjęło się w Galicji nowego zasilenia katolicyzmem naszej Unii, którą schyzma do siebie garnęła.

Trzy te zasługi są wielkie i nasi liberaliści i pozytywiści, nie mogąsię poszczycić niczem podobnem. Zmartwychwstańcy oddali usługi dodatnie, nie mając na sumieniu żadnej krajowej ruiny.

Przepowiadają niektórzy bliską śmierć Zgromadzeniu Zmartwychwstańców. My tego wcale się nie lękamy; szeregi Zmartwychwstańców straciły wprawdzie niektórych członków, ale pozostają im w rezerwie inni.

KORESPONDENCJE
«TYGODNIKA».

Warszawa, 19 *Lutego* 1887.

Karnawał w tym roku zupełnie się nie powiódł, już w samym jego końcu jesteśmy, a jakoś nam nie raźno z nim; odbywają się wprawdzie bale i baliki, ale bez tej naszej dawnej wesołości i to szlachta nasza czując się pod jarzmem nie bawi się, ale zmuszoną jest rozkazami udawać się na bale i takowe urządzać. Zabawy jakie u nas mają miejsce, głównie odbywają się u zbogaconych Żydów lub u podupadłych panów, którzy znowu podnoszą się w skutek małżeństw i geszeftów z Żydami.

Bal wydany u pani Hurkowej opisany został jako świetny, gdyż przyniósł kilkanaście tysięcy rubli, aleź to bardzo naturalne, gdyż pani Hurkowa tak chytrze się urządziła, że wysłała imienne zaproszenia, i u jednych groźbą, u drugich przez ich próżność wyłudziła naddatki od 3 do 100 rubli za bilet. Za to też p. Hurko w Petersburgu, gdzie za dni kilka udaje się z najpoddanniejszem sprawozdaniem, opowiadając o świetnościach balu z Polakami, wymoże znowu kilka ukazów dążących do naszego zgnębienia, ciągle prawdą a Bogiem tak jesteśmy zduszeni, iż więcej nas dusić nie mogą.

Rossja zajęta obecnie przypuszczalną wojną, ale także nie zapomina o wewnętrznem urządzeniu. Nie mogąc już więcej gnębić Polaków, wzięła się do Żydów; wkrótce zatwierdzonem ma być postanowienie o niedopuszczaniu Żydów do urzędów, a nawet do adwokatury i notarjatu, to też Żydzi na gwałt przyjmują kalwinizm i protestantyzm, jest to jeszcze dość dobry objaw z ich strony, gdyż rzadko przyjmują schyzmę. Wprawdzie opowiadali o jakimś notarjuszu w Łomży, który w widokach zysku i na schyzmę się zgodził, ale następnie wiadomość ta odwołaną została.

P. Apuchtin wynalazł świeży sposób wpajania niemoralności w biedne dzieci nasze. Mało tego, że pod surową karą zabroniono im mówić po polsku, że nauczyciele są obowiązani chodzić do domu uczniów, by jakaś polska książka się nie zakradła, ale jeszcze ostatniemi czasy rozporządził, by nauczyciele szpiegowali uczniów na ulicach miasta, więc rozstawione są szyldwachy profesorskie, które jak stójkowi w pewnych godzinach się zmieniają. I czegóż chce p. Apuchtin? Wpoić w serca niewinne dzieci naszych naukę wykrętów i kłamstw, fałszu i obłudy. Oto co za szlachetny cel podjął p. Apuchtin.

Wszędzie jednem słowem panuje praca by wzbudzić nienawiść; smutnym jednak jest objawem, że niejednokrotnie w tej systematycznej pracy, Moskalom dopomagają i ludzie noszący polskie nazwiska. Pomimo wszystkich ucisków i niesprawiedliwości których codziennie doznajemy, trzymamy się jednak dość ostro i ruch jest w naszem piśmiennictwie nie mały. Naprzekór rusyfikowaniu nowe gazety polskie powstają i są, co nam bardzo miło zaznaczyć, dosyć poczytne. Trudno idzie, gdyż na nikogo liczyć nie możemy; chłop nasz zostając pod kierownictwem i wpływem komisarzy włościańskich i pisarzy (Moskali), daje im się powodować. Lecz bieda Moskalom, gdy u naszego chłopa obudzi się duch patrjotyczny, a to kiedyś nastąpić musi, gdyż czego Moskalom z chłopów wyrugować się nie uda, to ziemi, religji i języka, a te są jedyne podstawy naszej narodowości.

Wspomnienia historyczne

Dnia 27go Lutego. — 1290 r. Zwycięztwo Władysława Łokietka nad Konradem. — 1369 r. Traktat zaczepny i odporny w Budzie. — 1380 r. Zawarty traktat z mistrzem inflanckim. — 1670 r. Ślub Michała Wiśniowieckiego z Eleonorą Austryjaczką w Częstochowie. — 1837 r. Zamordowany w Wilnie Szymon Konarski, — 1846 r. Pobożna procesja przez Austryjaków na Podgórzu wymordowana.

Dnia 28 Lutego. — 1258 r. Trzęsienie ziemi w Polsce. — 1572 r. Śmierć Katarzyny, żony Zygmunta-Augusta. — 1812 r. Śmierć Hugona Kołłątaja.

Dnia 1go Marca. — 1456 r. Urodzenie Władysława Jagiellończyka, króla czeskiego i węgierskiego. — 1634 r. Moskale składają broń pod Smoleńskiem. — 1824 r. Zamknięcie szkół w Kiejdanach.

Dnia 2 Marca. — 1258 r. Bolesław Wstydliwy ustanawia sądy w Korczynie. — 1333 r. Śmierć Władysława Łokietka. — 1410 r. Ugoda z Krzyżakami zawarta w Budzie. — 1427 r. Śmierć królewicza Kazimierza Jagiellończyka.

Dnia 3 Marca. — 1384 r. Sejm elekcyjny w Radomiu. — 1578 r. Sejm w Warszawie stanowi główny Trybunał koronny. — 1703 r. Śmierć hetmana Kazimierza Sapiehy. — 1831 r. Pobicie Moskwy pod Kurowem. — 1846 r. Austryjacy wchodzą do Krakowa.

Dnia 4 Marca. — 1482 r. Śmierć św. Kazimierza Jagiellończyka. — 1572 r. Stefan Batory rozkazuje pustoszyć prowincje Moskiewskie. — 1649 r. Ślub Jana Kazimierza z Ludwiką. — 1670 r. Zerwanie sejmu przez Zabokrzyckiego. — 1831 r. Wycieczka z Zamościa do Uściługa.

Dnia 5 Marca. — 865 r. Chrzest Mieczysława Igo. — 1002 r. Śmierć Władysława Hermana. — 1424 r. Koronacja Zofji przy zjeździe wielu monarchów. — 1494 r. Pożar Gdańska. — 1569 r. Podlasie do korony wcielone.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Nakładem OO. Pijarów w Krakowie wyszło dziełko ś. p. Stanisława Konarskiego, pod tyt.: « *O Religji poczciwych ludzi* ». Wdzięczni jesteśmy WW. OO. że podnieśli szlachetną myśl wystawienia pomnika jednemu ze swych poprzedników, który oprócz cnót iście Chrześcijańskich, ogromne położył zasługi krzątając się około wychowania dzieci.

Praca obecnie wydana nasuwa nam życzenie OO. Pijarom, by w ślady tego zacnego autora wchodzili i jak on wychowując młode pokolenie, dostarczyli Ojczyźnie naszej zdolnych i zasłużonych obywateli.

— *Bulletin'u Literackiego* staraniem dawnych Uczniów Szkoły w Paryżu, wyszedł zeszyt 32gi i zawiera: Stefan Batory — Abraham Kitaj, powieść Kaczkowskiego, — Polacy i kapitulacja Soisson w 1814 r. — Nowości literackie, naukowe i artystyczne. — Rozmaitości. — Nekrologi. — Memento.

— W Poznaniu wychodzi pismo pod tytułem: « *Między Bogiem a prawdą* ». Pismo to jako tendencji czysto katolickiej zalecamy naszym czytelnikom. — Do dzisiejszego numeru *Tygodnika* dołączamy prospekt księgarni katolickiej w Poznaniu; znajduje się tam dobór rozmaitej treści książek katolickich i czytelnikom naszym takowy z przyjemnością polecamy.

WIADOMOŚCI z ZIEM POLSKICH

Z ZABORU MOSKIEWSKIEGO

Straszny upadek waluty rosyjskiej na giełdach zagranicznych w sferach rządzących tutejszych sprawił sensacyą. Istotnie tak nisko ruble rosyjskie nigdy jeszcze nie stały; przynajmniej nawet podczas ostatniej wojny wschodniej, w chwili niepowodzeń pod Plewną rubel stał znacznie wyżej.

Finansiści rosyjscy, którym zostało powierzone kłopotanie się o stan kasy państwowej w obec ostatniej zniżki, zostali mocno zaniepokojeni. Obawa ta zwłaszcza dziś, w chwili groźnego nastroju politycznego, jest zupełnie uzasadnioną. Troskliwi i przezorni politycy zapytują już teraz, co będzie z rublem, gdy wojna zostanie ogłoszoną? Niewątpliwie rubel straci wszelki popyt za granicą. Jakże w takich warunkach prowadzić wojnę, zwłaszcza zaczepną? Wszelka wojna wymaga wielkich kapitałów w gotowiźnie złotem, któreby w każdej chwili można użyć na cele wojenne. Skarb rosyjski jest pusty tak dalece, że się dziś już wypada troszczyć nie o kapitały na prowadzenie wojny, lecz na koszta opłacenia procentów od pożyczek zagranicznych. Rosya płaci rocznie 272 miliony rubli samych procentów! Toć to suma tak poważna, że pochłania jednę trzecią budżetu państwowego. Znowuż budżet zeszłoroczny wykazał faktycznie niedobór, mimo że bilans został ułożony bardzo sztucznie. Dochody państwowe, lubo podatki pośrednie i bezpośrednie stale są podnoszone, zmniejszają się. Główny dochód skarbu rosyjskiego stanowi dodatek od trunków. W roku ubiegłym dochody państwa rosyjskiego wynosiły ogółem 762 milionów rubli, a w tej sumie podatek trunków stanowił 271 milionów. Stosunek ten do innych dochodów stale utrwalił się w rosyjskim ministeryum. Łatwo pojąć, że podatek od trunków ma znaczenie największej doniosłości, gdyż ani jeden dochód z wszystkich gałęzi przemysłu i handlu nie daje nawet w przybliżeniu podobnej sumy. Podatki gruntowe i leśne przynoszą około 100 milionów rubli, cło od towarów 95 milionów, patenty na prawo przemysłu około 25 milionów, podatek od tytuniu 19 milionów i t. d.

Użycie spirytualii w Rosyi jest niepomierne. Jedna tylko Anglia przewyższa Rosyą względzie. Lud rosyjski pokrzepia się gorzałką, bez względu na wysoką jej cenę wskutek podatku. Jednakże oczekiwany w zeszłym roku dochód znacznie się zmniejszył. Biegli wątpią również, ażali niedobór ten nie powtórzy się i w roku bieżącym. W takim razie finanse rosyjskie stratę ztąd wynikłą odczułyby bardzo.

— Z Warszawy piszą do *Dziennika Poznańskiego:*

Nasz «rząd w spódnicy», *alias* Marya Andrejewna Hurkowa, nieustaje w inicjatywie na prawo i na lewo. Starania jej, aby polskość wszędzie możliwie była usuwana, sprowadzają częstokroć anegdotyczne po prostu postępowanie. Na anegdotkę np. zakrawa rzecz następująca, choć zupełnie jest prawdziwa.

Prokuratorya Królestwa Polskiego, instytucya, reprezentująca rząd w tych razach, gdzie chodzi o jego pretensye do osób prywatnych drogą procesu, lub gdzie rząd został pozwany przez osoby prywatne — używa pieczęci, zatwierdzonej ongi przez cara Aleksandra I^{go}, na której jest herb carstwa orzeł dwugłowy, a w środku nasz orzeł.

W tych dniach jakiś dokument prokuratoryi wpadł w ręce «rządu w spódnicy.» Widok orła polskiego zachmurzył czoło Maryi Andrejewny. Jak może istnieć ta «*ptica*» (ptak) w pieczęci urzędowej — nie mogło się to pomieścić w głowie wielkorządczyni. I oto wnosi instancyą do męża, a ten do odnośnych władz, aby zażądać od proknratoryi wyjaśnienia, a raczej usunięcia z obiegu pieczęci, zastąpienie jej zaś inną, na której w środku orła dwugłowego ma być święty Jerzy.

Wynikła długa korespondencya między różnemi władzami, użyto wiele inkaustu — a wszystko o tego nieszczęsnego «ptaka». Nie wiadomo, jak odpowie na to prokuratorya, choć ma za sobą prawo stwierdzone carskim podpisem.

— «*Kraj*» podaje wiadomość, że doniesienie niektórych pism rosyjskich, powtórzone przez pisma polskie, jakoby zamierzonem było uwolnić od służby nieprawosławnych urzędników celnych na komorach granicznych, nie jest prawdziwem, a przynajmniej nie ma tak ogólnego znaczenia, jakie jej nadawano; zamierzona reorganizacya ograniczy się tylko do czterech komór, położonych w guberniach: lubelskiej i suwalskiej, zamieszkałych przez ludność prawosławną i dokonaną być ma stopniowo w ciągu dwóch lat przez translokacyę personału do innych okręgów celnych.'

Reorganizacya więc ta, jak widoczna, ma na celu usunięcie żywiołu polskiego z pośród nieszczęśliwych braci naszych Unitów.

— Przed niedawnym czasem odbyły się w warszawskim uniwersytecie wybory na dwóch dziekanów: dla wydziału filologiczno-historycznego i dla prawniczego, na miejsce zmarłego Rosyanina prof. Nikitskiego i czcigodnego prof. Kasznicy, który przeszedł na katedrę do Lwowa. Obrano dla wydziału filologicznego osławionego i znanego z obmierzłej polityki rządowej Budiłowicza, a dla wydziału prawniczego prof. Wł. Holewińskiego. Profesor Holewiński odmówił przyjęcia godności dziekańskiej, motywując odmowę tem, że nad miarę już jest zajęty. Istotnie, czcigodny nasz uczony ma pracy nawał. Piastuje on godność prezesa departamentu izby sądowej, wykłada na uniwersytecie prawo cywilne, a nadto jest członkiem komisyi kodyfikacyjnej w Petersburgu i układał z polecenia rządu projekt ustawy hypotecznej dla carstwa. Zajęcia to poważne, ani słowa. Lecz pozostaje pomimo tego kwestya, czy należało odmawiać przyjęcia dziekaństwa. W obec coraz większej rusyfikacyi personalu profesorskiego na uniwersytecie bardzo być może, że przy powtórnych wyborach wyjdzie z urny wyborczej dziekan Rosyanin. A wtedy byłaby to niepowetowana dla nas strata jednego stanowiska. Bodajby to tylko nie nastąpiło!

Na stanowisko naczelnego prokuratora izby sądowej warszawskiej po Butowskim mianowany został p. Turau, dotychczasowy towarzysz prokuratora tejże izby. Człowiek to jeszcze młody, zdolny, a jak dotąd nie zaakcentował swej działalności wybitnie w żadnym kierunku. Nie można więc nic pewnego o nim powiedzieć. Wiadomo tylko, że posiada zaufanie rządu i że w sprawach socyalistów miał powierzony kierunek i nadzór śledztwa żandarmskiego.

— Na mocy rozporządzenia generał-gubernatora warszawskiego zamknięto kościół parafialny we wsi Bończy, w powiecie Krasnostawskim, parafię zaś przyłączono do Suchowa. Parafia w Bończy liczyła 342 dusz, księdza w obecnym czasie nie posiadała.

— Ilustracya do pomnika. — Z Warszawy do «*Nowej Reformy*» piszą pomiędzy innemi co następuje:

«Ciekawy a autentyczny fakcik mam właśnie do zanotowania z Częstochowy, gdzie poczciwi kmiotkowie przez wdzięczność dla cara oswobodziciela, *z dobrowolnych* składek wystawić mieli mu pomnik. Jak tę dobrowolność pojmują ciż kmiotkowie, za dowód posłużyć może, iż przyjechawszy do Częstochowy uznali za właściwe zaopatrzyć swoje wózki w ładnie ociosane drzewo, które okalało pomnik jako rusztowanie. Rwetes się ztąd zrobił olbrzymi, gdy spostrzeżono brak desek i belek, a robotę początkową przy pomniku odkryto; spostrzeżono jednak dosyć szybko ten rabunek i wdzięcznych kmiotków zaprowadzono do kozy. Przy indagacyi i wyrzutach, jakie czynił rabusiom naczelnik powiatu, oświadczyli, iż drzewo to jako z ich składek pochodzące, do nich należy, że gdyby car Aleksander II żył, toby im niezawodnie tego nie żałował. Tłómaczenie nic nie pomogło, kmiotkowie musieli pewną liczbę dni za pojęcie o serwitutach na pomniku carskim odsiedzieć w kozie, gdyby ich sądził jaki komisarz włościański, to według utartej praktyki, na wszystkich polach używanej, serwitut drzewa z pomnika przysądzićby powinien.»

PAŃSTWO AUSTRYJACKIE

Dzienniki wiedeńskie donoszą o zamiarze rządu mianowania *hr. Gołuchowskiego*, dotychczasowego radzcę poselstwa austryackiego w Paryżu, ożenionego z księżniczką Murat, posłem austryackim w Bukareszcie. Rząd rumuński, przyjętym powszechnie zwyczajem o to zapytany, podobno już odpowiedział, iż nie ma nic przeciwko osobie nowego posła. Pozycya to w tej chwili niewątpliwie bardzo ważna, a nominacya dla ziomka

naszego zaszczytna. Hr. Gołuchowski ma reputacyą dobrego dyplomaty.

— Z balu Polskiego odbytego niedawno w Wiedniu, dajemy kilka szczegółów, zaczerpniętych z wiedeńskiej « *Presse* »:

Krótko po 10-tej godzinie ukazał się w sali balowej arcyksiążę Rudolf, następca tronu, z hrabiną Potocką pod rękę. Powitano go hucznemi polskiemi: « Niech żyje! » Z ministrów obecnymi byli na balu pp. Dunajewski i Ziemiałkowski, marszałek sejmu galicyjskiego Jan hr. Tarnowski, hr. Artur Potocki, posłowie: Hausner, Starzeński, Lewicki i inni. Poloneza prowadził hr. Roman Potocki z księżną Windischgrætz. « *Presse* » wymienia między dalszemi parami także d-ra Witolda Korytowskiego z hr. Krasicką i p. Morawskiego z hr. Mniszkówną.

— Z Wiednia donoszą:

Konferencye ministrów rządu węgierskiego i tutejszego, które się odbywały w sobotę i niedzielę były poświęcone wyłącznie sprawom wojskowym i zmianom osobistym w gabinecie węgierskim; zdaje się iż na traktowanie kwestyi ugodowej czasu nie pozostało. Zanosi się coraz bardziej na przedłużenie tymczasowe ugody na rok jeden.

Węgierski minister skarbu hr. Szapary otrzymał nareszcie dymisyą, a miejsce jego zastąpi tymczasem, jak już o tem wspomniałem, prezes gabinetu, p. Tisza.

W komisyi językowej na dzisiejszem posiedzeniu przeciwko tendencyom germanizacyjnym projektu Scharschmida wystąpił poseł Ochrymowicz, Rusin, zapewniając, iż Rusini w tej sprawie, jak i w innych, pójdą wspólnie z reprezentantami wszystkich innych ludów słowiańskich, bo mają zaufanie do rządu dzisiejszego, iż i ich życzenia spełni.

Na odbytym balu polskim, oprócz kilku innych arcyksiążąt był także następca tronu Rudolf, a w rozmowie z posłami galicyjskiemi podnosił, iż bardzo się cieszy z zaprojektowanej podróży swojej do Galicyi.



NEKROLOGJA

W dniu 19 b. m. pożegnał ziemską pielgrzymkę w Kopyczyńcach, nieodżałowanej pamięci *książe Roman Czartoryski*. Eksportacja zwłok odbyła się w Jabłonowie, pogrzeb w Sieniawie. Urodzony dnia 23 Listopada 1839 r., był synem Konstantego i wnukiem Adama, skoligacony nawet w pewnym stopniu z cesarzem niemieckim, młodociany wiek swój spędził na głębokich studjach, chcąc tym sposobem przysłużyć się w niedoli jęczącej swej Ojczyźnie, którą nad życie pokochał.

Potomek najznakomitszego u nas rodu, pracował z prawdziwem zaparciem się, niejednokrotnie z przynależnych mu dostatków ograniczając się najskromniejszem życiem, a fundusze zaoszczędzone przeznaczając dla biednych kolegów i znaczną ich część wysyłając do poznańskiego Towarzystwa św. Wincentego à Paulo. To też był on duszą ówczesnej młodzieży akademickiej w Poznaniu.

Urodzony w Wielkiem Księztwie Poznańskiem, tam przedewszystkiem poświęcił się pracy dla dobra swej Ojczyzny. Nastąpione wkrótce wypadki 1863 r., otworzyły mu drogę da pokazania całej potęgi jego duszy; czynny też w wypadkach wziął udział, a nagrodą jego było trzyletnie więzienie. Uzyskawszy wolność wziął się ś. p. Roman bardzo ochoczo i gorliwie do wszelkich prac obywatelskich i nieraz przewodniczył z wielkim taktem i znajomością praktyk parlamentarnych walnym zebraniom Centralnego Towarzystwa rolniczego w W. Ks. Poznańskiem. Obdarzony publicznem zaufaniem posłował przez czas dłuższy do niemieckiego parlamentu, najpierw z Prus Zachodnich, a następnie z powiatu Krobskiego. Przez lat kilka był także Prezesem Koła polskiego w Berlinie.

Ożeniony z hr. Dieduszycką, przeniósł się do Galicji i natychmiast wziął się do czynnego udziału w sprawach publicznych. Nadwątlone zdrowie już z młodych lat, a nadomiar nieszczęścia choroba gardła, zmusiła ś. p. księcia Romana do wycofania się z życia czynnego już przed dwoma laty i ostatni czas życia poświęcał wyłącznie na polepszenie bytu włościan, których był dobroczyńcą i ojcem. Zmarł jak żył, po Bożemu, to jest w bojaźni Bożej i miłości ludzi. Przedwczesna śmierć tego zacnego obywatela zadaje niekłamaną boleść każdemu prawdziwemu patrjocie, lecz walczyć z wyrokiem Bożym nie leży w prawie ludzi. My z naszej strony wzniesiemy modły ku Stwórcy, by zmarłemu ziemia była lekką.

Cześć zacnemu obywatelowi, cześć szlachetnej duszy!

— Ś. p. *Józef Pastelski*, uczeń Szkoły Podchorążych, następnie kapitan 1go pułku strzelców pieszych wojsk polskich z 1831 r., ozdobiony złotym krzyżem *Virtuti militari*, wiceprezes krakowskiego Tow. Dobroczynności, zmarł dnia 16 b. m. w Krakowie, w 82gim roku życia.

Ś. p. Pastelski pobierał początkowe nauki w Liceum św. Anny w Krakowie, a w 16tym roku życia wstąpił jako ochotnik do 1go pułku strzelców wojska polskiego, konsystującego podówczas w Warszawie. W r. 1826 jako starszy sierżant przydzielony do szkoły podchorążych, pozostał w niej aż do 29go Listopada 1830 r., — i wówczas to zdobył sobie szlify oficerskie, — a w cztery lata potem, na pamiątkę owej nocy, otrzymał zaoczny wyrok śmierci przez powieszenie.

Kompanie w r. 1831 odbył w 1ym pułku strzelców pieszych, początkowo jako podporucznik, następnie od bitwy ostrołęckiej, za którą otrzymał złoty krzyż *Virtuti militari*, jako porucznik, a w końcu w dwudniowej obronie Warszawy, jako dowódzca kampanii i kapitan.

Po upadku powstania powrócił do rodziny w okręgu wolnego miasta Krakowa zamieszkałej i pracował przez lat wiele na roli i jako przedsiębiorca rozmaitych rządowych budowli lądowych i wodnych za czasów Rzplitej. Czynny we wszystkich ówczesnych stowarzyszeniach, mających za cel odrodzenie Ojczyzny, siłą własnej dłoni w którą jedynie wierzył, zorganizował w r. 1846 we swej wsi Kwaczale oddział powstańczy, na którego czele wykonał w nocy 20 Lutego atak na miasto Chrzanów, obsadzone oddziałem wojska austryjackiego, który jakkolwiek się powiódł, zmusił go wkrótce do szukania schronienia we Francji. Z Francji powrócił w 1848 r. wraz z emigracją polską do Krakowa, a po wypadkach podówczas w dniu 26 Kwietnia zaszłych, wziął się na nowo do pługa, od którego odstąpił dopiero wtedy, gdy wiek i niepowodzenia stargały siły fizyczne.

Osiadłszy w Krakowie, pracował wiele i z dobrym skutkiem dla Towarzystwa Dobroczynności, w którem przez dłuższy szereg lat był honorowym gospodarzem, a następnie prezesem.

Doczekawszy się obrzędu złotego wesela z ś. p. Łucyą z Czyżowskich, ciężko zapracowany mająteczek rozdzielił za życia pomiędzy krakowskie instytucje dobroczynne i w dniu 14 b. m. po długich cierpieniach, oddał Bogu ducha.

— I znów nam ubył jeden z tej małej już garstki weteranów, walczących za nasze oswobodzenie w 1831 r.

W dniu 15 b. m. pożegnał się z tym światem zasłużony patrjota *Wojciech Biergiel*; służył on i odznaczał się w 7ym pułku liniowym. Urodził się w Nowosadach, w Grodzieńskiej gubernii. Ostatnie lata spędził w Zakładzie Śgo Kazimierza w Paryżu!

Cześć jego pamięci!

CO SŁYCHAĆ W PARYŻU

W dniu 17 b. m. odbył się koncert w Sali Towarzystwa Geograficznego, w którym przyjęła udział *Panna Klara Janiszewska*. Ramy naszego pisma nie pozwalają nam rozebrać techniczną wartość gry młodej pianistki, lecz nie możemy się wstrzymać od serdecznego przyklaśnięcia artystce, życząc jej wytrwania na tej trudnej drodze, po której niejednokrotnie i o kolce zawadzić wypada. Panna Janiszewska od pierwszej chwili grą swoją zyskała sympatję publiczności, która też ją wynagrodziła hucznemi oklaskami.

Le Gérant : A. Pastisson.

Paryż. — Drukarnia polska S. Niećiuńskiego, 18, rue de la Parcheminerie.

JÓZEF BOHDAN ZALESKI.

—o—

(Dalszy ciąg).

Przed paroma laty profesor Stanisław Tarnowski opublikował obszerne studyum pt. „Kolendy ludowe”. Otóż wszystko, co ten głęboki i pełen estetycznego smaku postrzegacz powiada tam o nieoszacowanej wartości tych kolend prostaczych, uznając je za przechowane, acz w skażeniu już pewnem, zabytki misteryów religijnych i za skarbnicę religijnej poezyi ludu naszego, wszystko to, powtarzamy, łączy się i potęguje w opisie podróży „Przenajświętszej rodziny” Zaleskiego.

Wśród tych obrazów wiośnianej natury, jakby rozradowanej widokiem takich, nimbem świętości otoczonych wędrowców, wśród spokoju i cichej jakiejś melodyi słodkiej, którą poeta utrzymuje w piórze podczas całego tego opisu, nie spodoba się on może umysłom hardym, duchom wojowniczym, które w ciągłej, rozpaczliwej walce pomiędzy zwątpieniem a nadzieją, przywykły żyć w niepokoju...

Tym, którzy utracili wiarę, szukając wiedzy i tym co przez wiedzę chcą się dobić wiary... i tym zbuntowanym aniołom ziemskim, którzy w dumie swojej, a może nawet i w szlachetniejszem dla ludzkości uczuciu czerpiąc podnietę, szukają dla niej i dla siebie dróg nowych... w nieskończonej przestrzeni... tym wszystkim zapewne nie spodoba się taki święty, cichy i prostaczy poemat, lecz jakże za to słodko odpoczywają w nim umysły proste lub duchy już umęczone walką, które po badaniach bezowocnych spokoju trwałego dla siebie i dla swoich... pragną!

I w polu było wiośniano i pięknie,
Figa liść puszcza i smokwami brzęknie,
Indziej się w kwieciach rozmajają drzewa,
Migdał, to daktyl a słodki powiewa,
Rozmarynową kadzi wietrzyk wonią...
Ptaszęta zewsząd w niebogłosy dzwonią
I człowiek ma się inaczej ku wiośnie
W sercu pobożnie jakoś i miłośnie...

Taka atmosfera panuje w tym prześlicznym, jedynym w swoim rodzaju poemacie Zaleskiego.

Taka bezwątpienia panowała już także w umyśle poety do ostatniego jego tchnienia. A jest ona najlepszą i najszczęśliwszą odpowiedzią na jego młodzieńczą niegdyś skargę, objawioną w tem smutnem lutni jego pytaniu:

Słów, urojeń bez liku,
Jak opadłych tu liści...
Pieśni! Boży senniku!
Cóż mi z nich się uiści?
Będzież w mojej jesieni
Niźli w lecie zieleniej?

Niestety, owa jesień i zima jego żywota wcale „zieleniej” mu nie upływały. Ciężka i długoletnia choroba oczu zasłoniła poecie ten świat boży, którego cudów i uroków nikt świetniej nadeń opiewać nie umiał, a świadomość, że ukochanej ziemi nigdy już mu nie będzie danem oglądać, zatruwała do reszty ten wzniosły umysł.

Znosił jednakże ten cierpki los swój bez skargi i z poddaniem, jakie cały jego żywot cechowało, a mógł chyba jedynie pocieszać się tem, że sam sobie koniec taki przepowiadał, śpiewając:

„Jednak cały życia wątek
Składa jakaś cudów chwilka,
Jakiś uśmiech, wspomnień kilka,
Kilka z młodszych lat pamiątek...“

Temi pamiątkami żył, skromny, jak wówczas, gdy z pierwszemi występował piosnkami, nie żądający hołdów, nie dobijający się uznania, ani przypominający się pamięci rodaków. Pod tym względem, jakże różnił się np. od takiego Wiktora Hugo i wielu, wielu innych, mniej zasłużone odbierających hołdy!...

Garstka rodaków przypominała sobie zwykle o poecie w dzień jego imienin, 19-go marca i na tem zawsze pamięć się kończyła.

Kiedy też przed paroma laty zamierzono obchodzić ośmdziesięcio-letnią rocznicę jego urodzin, nawet i wówczas, częścią przez zbieg okoliczności nieprzyjaznych, częścią przez wrodzoną wielkiemu pieśniarzowi powściągliwość, hołd ten, składany tak słusznie temu „sztandarowi zatkniętemu na wyżynach ducha”—jak się ktoś słusznie wyraził — nie miał takiego, jakby należało rozmiaru i rozgłosu.

Pani Duchińska w liście z Paryża do redakcyi „Kroniki Rodzinnej”, tak opowiada tę chwilę:

„Dzień (19 marca) był prześliczny, prawdziwie wiosenny. Wyjechaliśmy z Paryża w samo południe, w liczbie kilkunastu osób. Zabrałam garstkę dzieci i dorastającej młodzieży, aby dać poznać Zaleskiemu, że pamięć jego przejdzie w następne pokolenia, co on też wybornie zrozumiał i żywo odczuł. Po godzinie pierwszej przybyliśmy do Villepreux, położonego w pięknej i wesołej okolicy. Z wielką radością ujrzałam Zaleskiego w jak najlepszem zdrowiu. Cera jego biała, świeża i lekki rumieniec ślicznie odbijają obok śnieżnych włosów i białej, długiej do pasa brody. Barki wcale nie pochylone; dosyć szczupły, chodzi żwawo i lekko; skarży się tylko na przytępienie słuchu, a bardziej jeszcze na zachodzące mgłą oczy. Gdyby nie to, nikt by nie odgadł ciążących na nim lat ośmdziesięciu. Pamięć zachował wyborną, wielką świeżość wyobraźni i sposób mówienia płynny, łatwy i prawie młodzieńczy. Otoczyliśmy jubilata. Wtedy podałam album w rękę młodego Ludwika Góreckiego. „Niechaj wnuk Mickiewicza—rzekłam—złoży u stóp Bohdana Zaleskiego hołdy ze wszystkich części kraju”. To połączenie dwóch drogich narodowi imion, głęboko poruszyło obecnych i wycisnęło łzy z oczów solenizanta. Karta pod okładką, wykonana akwarelą, pędzlem panny Rakowskiej, przedstawia wieniec upleciony z kłosów, paproci, macierzanki, bławatków i stepowych burzanów; adresy ułożone były w osobne koperty, ze stosownym napisem. Dało mi to pobudkę do napisania pieśni dożynkowej. Zaleski głęboko był poruszony; przy wspomnieniu Ukrainy rozpłakał się jak dziecko. Uradzono z góry, iż aby zbytecznie nie rozrzewniać jubilata, adresy, ani wiersze czytane w tym dniu nie będą. Wyjątkowym tylko sposobem odczytałam wiersz A. E. Odyńca, przedstawiający solenizantowi grono podpisów 126 panienek, formą i pomysłem godny „Rusałek” nadwiślańskich. Zaleski uszczęśliwiony był z niego. „Edward zawsze ten sam—rzekł—zawsze przyjaciel panienek. Dzięki Bogu, że zachował młodość i myśl swobodną”. Z tego powodu opowiadał mi dawne niegdyś zebrania w kółku przyjaciół. Wspominał każdego z druhów, tak miłych jego sercu: Brodzińskiego, Mochnackiego, Witwickiego, których groby rozrzucone dziś pod obcem niebem, nad Elbą, Tybrem i Sekwaną, a z których jedyny przyjaciel pozostał mu jeszcze na własnej ziemi. Zapragnął widzieć własne pismo jego. Wtedy pokazałam mu wiersz drugi (*), a przeczuwając, jaką to sprawi mu radość, odczytałam go na głos. Zaleski zapłakał rzewnie. Prosił, aby złożyć w jego imieniu podziękowanie wszystkim, którzy go tak serdecznie uczcili. Autora wiersza wymienił nasamprzód. Z zakazu lekarzy pisać dziś nie może; nie traci jednak nadziei, że troskliwe starania doktora Gałęzowskiego poprawią mu wzrok o tyle, iż nakreśli sam kilka dziękczynnych słówek do osób, które dały mu tyle dowodów uznania i współczucia. Imię Adama Pługa wymienił z najwyższą wdzięcznością. „Ja nie zasłużyłem na to — rzekł do mnie—bo cóż ja uczyniłem? Nie moja w tem zasługa, że Bóg pozwolił mi urodzić się w czasach, kiedy prąd poezyi powiał nad krajem naszym i potrącił też o mnie”. „A dlaczegoż nie potrącił o wszystkich, którzy w tych czasach żyli? — zapytałam.—Małaż to rzecz należeć do garstki wybrańców Bożych? Ten chór głosów nadbiegłych z kraju, niech da miarę waszej zasługi, ojcze, a wdzięczności serc ziomków”. Kilka godzin—kończy pani Duchińska—zbiegło nam w okamgnieniu. O zachodzie słońca pożegnaliśmy drogiego jubilata, obdarzeni jego błogosławieństwem”.

(*Dokończenie nastąpi*).

(*) Wiersz ten śliczny, pełen uczucia, wydrukowany był w „Kronice Rodzinnej“ z dnia 1-go kwietnia 1882 r. Ciekawy czytelnik tam go znajdzie w całości. My ograniczamy się tylko na przytoczeniu zeń dwóch strofek: pierwszej i ostatniej.

Drogi Bohdanie mój! Osiemdziesiątkę
Lat wieku twego, gdy dziś naród cały,
Z czcią i miłością, święci jak pamiątkę
Obywatelskiej i wieszczej twej chwały:
Ja też pozdrawiam ciebie, ja—ostatni
Z mnogiej tak niegdyś drużyny twej bratniej.

Los od pół wieku rozłączył nas obu,
Lecz serce moje, ufam, że ci znane,
Przyjaźń młodzieńczą chowam ci do grobu,
I śmielej przez nią na sąd pański stanę.
A nim się może spotkamy przed Sędzią,
Jako brat bratu, szlę ci pieśń łabędzią.

Potop.

Przez

Henryka Sienkiewicza.

(Dalszy ciąg).

Więc cięto bez miłosierdzia, aby nikt z wieścią o klęsce nie wrócił. Pan Wołodyjowski gonił w przodku z laudańską chorągwią. On to był owym jeźdzcem, który pierwszy ukazał się Szwedom na wabia, on pierwszy uderzył, a teraz, siedząc na koniu jako wicher ścigłym, używał z całej duszy, pragnąc się krwią nasycić i gołąbską klęskę pomścić. Coraz to doganiał rajtara, a dognawszy, gasił go tak prędko, jak świecę; czasem zaś jechał na karku dwóch, trzech lub czterech, lecz krótko, bo po chwili już tylko konie bez jeźdzców biegły przed nim. Próżno niejeden Szwedzisko chwycił własny rapier za ostrze i zwracając go na znak pardonu rękojeścią ku rycerzowi, głosem i oczyma żebrał litości, pan Wołodyjowski nawet nie zatrzymywał się nad nim, jeno wsunąwszy mu sztych szabli tam, gdzie szyja piersi dotyka, zadawał cios lekki, nieznaczny, a ów ręce rozkładał, zbladłemi usty jedno i drugie słowo rzucił, poczem pogrążał się w mroku śmierci.

Pan Wołodyjowski zaś, nie oglądając się więcej, biegł dalej i nowe ofiary na ziemię strącał.

Zauważył strasznego żniwiarza dzielny Sweno i skrzyknąwszy kilkunastu co najdzielniejszych rajtarów, postanowił ofiarą własnego życia wstrzymać choć na chwilę pogoń, aby innych ocalić. Zwrócili tedy konie i nastawiwszy rapiery, czekali z ostrzami na goniących. Pan Wołodyjowski, widząc to, ani chwili się nie zawahał, wspiął konia i wpadł między nich w środek.

I nimby ktoś okiem zdołał mrugnąć, już dwa chełmy zapadły w dół konia. Przeszło dziesięć rapierów zmierzyło się teraz w jedną pierś Wołodyjowskiego, lecz w tej chwili wpadli za nim Skrzetuscy, Józwa Butrym Beznogi, pan Zagłoba i Roch Kowalski, o którym Zagłoba powiadał, że z tak wielką furyą nacierał, iż gdyby przed nim mur stał, przebiłby go na wylot. Tymczasem

Pan Wołodyjowski zwinął się pod kulbakę tak szybko, że rapiery puste powietrze przeszyły. Miał on ten sposób od białogrodzkich Tatarów, lecz małym a zarazem nad ludzką wiarę zręcznym będąc, do takiej doskonałości go doprowadził, iż niknął kiedy chciał z oczu, bądź za karkiem, bądź pod brzuchem końskim. Tak zniknął i teraz a nim zdumieni rajtarzy zdołali zrozumieć co się z nim stało, znów niespodzianie na kulbakę wychynął, straszny jak żbik, gdy między trwożne ogary z wysokich gałęzi skoczy.

Tymczasem i towarzysze mu pomogli, roznosząc śmierć i zamięszanie. Jeden z rajtarów przyłożył panu Zagłobie do samych piersi pistolet, lecz Roch Kowalski, mając go po lewej stronie, zatem nie mogąc ciąć szablą, złożył pięść i w głowę go mimochodem dojechał, a ten nurknął w tej chwili pod konia, tak właśnie jakby weń piorun uderzył. Pan Zagłoba zaś, wydawszy okrzyk radosny, ciął w skroń samego Swena, któren ręce opuścił i czołem wsparł się na karku końskim. Na ten widok, pierzchnęli inni rajtarzy. Wołodyjowski, Józwa Beznogi i dwaj Skrzetuscy puścili się za nimi i wycięli, zanim ubiegli sto kroków.

I pogoń dalej trwała. Szwedzkie konie coraz mniej miały tchu w piersiach i rozpierały się coraz częściej. Nakoniec z tysiąca najświetniejszych rajtarów, którzy pod Kannebergiem wyszli, zostało zaledwie stu kilkudziesięciu jezdzców, reszta leżała długim pasem na leśnej drodze. Lecz i ta ostatnia kupa zmniejszała się z każdą chwilą, gdyż ręce polskie nie przestały nad nią pracować.

Nakoniec wypadli z lasu. Wieże Jarosławia zarysowały się wyraźnie na błękicie. Już już nadzieja wstąpiła w serca uciekających, wiedzieli bowiem, że w Jarosławiu stoi sam król i cała potęga i że w każdej chwili może im przyjść w pomoc.

Zapomnieli o tem, iż zaraz po ich przejściu uprzątnięto pomost na ostatniem przęśle mostu, aby silniejsze podłożyć dla armat belkowanie.

Pan Czarniecki zaś, czy wiedział o tem przez swoich z szembekową chorągwią naprzód skoczył, sam siekł, sam własną ręką ścinał — pędząc się za kupą tak, jak gdyby tym samym pędem chciał na Jarosław uderzyć.

Nakoniec dobiegli o staję do mostu. Krzyki z pola doleciały do obozu szwedzkiego. Mnóstwo żołnierzy i oficerów wybiegło z miasta patrzeć co się za rzeką dzieje. Ledwie spojrzeli — dostrzegli i poznali rajtarów, którzy rano wyszli z obozu.

— Oddział Kanneberga! oddział Kanneberga!—poczęło krzyczeć tysiące głosów.

— W pień niemal wycięci! Ledwie sto ludzi bieży!

W tej chwili przygalopował sam król, z nim Wittemberg, Forgell, Miller i inni generałowie.

Król pobladł.

— Kanneberg!—rzekł.

— Na Chrystusa i jego rany! Most nie wykończony! — zawołał Wittemberg — wytną ich do nogi!

Król spojrzał na rzekę wezbraną wiosennemi wody; szumiała żółtą falą, o przeprawieniu pomocy wpław nie było co i myśleć.

Tamci zbliżali się coraz więcej.

Wtem znów poczęto krzyczeć:

— Wozy królewskie i gwardya nadciąga! zginą i ci!

Jakoż zdarzyło się, że część królewskiego kredensu, ze stoma ludźmi pieszej gwardyi, wynurzyła się w tej chwili inną drogą z przyległych lasów. Spostrzegłszy co się dzieje, ludzie z eskorty w przekonaniu, że most gotowy, poczęli zdążać co sił ku miastu.

Lecz dostrzeżono ich z pola — zaczem natychmiast ze trzysta koni ruszyło ku nim całem pędem, a na czele wszystkich leciał z szablą wzniesioną nad głową i ogniem w źrenicach pan dzierżawca z Wąsoszy, Rzędzian. Niewielkie dał on dotąd męztwa dowody, lecz na widok wozów, w których mógł znajdować się łup obfity, odwaga tak wezbrała w jego sercu, że wysforował się na kilkadziesiąt kroków przed innymi. Piechurowie przy wozach, widząc, że nie ujdą, zwarli się w czworobok — i sto muszkietów naraz skierowało się w piersi Rzędziana. Huk wstrząsnął powietrzem, dym zakrył czworobok, który zaraz potem wisły przez chwilę nad głowami rajtarów — i wpadł na-kształt gromu w środek.

Lawina jezdzców runęła za nim.

I jako gdy wilcy zmogą konia, on żyje jeszcze i leżąc na grzbiecie broni się rozpaczliwie kopytami, a one pokryją go całkiem i drą zeń żywe kawały mięsa — tak owe wozy i piechurowie pokryci zostali zupełnie kłębiącą się masą koni i jezdzców. Jeno krzyki straszne podnosiły się z tego wiru i dolatywały uszu Szwedów stojących na drugim brzegu.

A tymczasem jeszcze bliżej brzegu docinano reszty kannebergowych rajtarów. Cała armia szwedzka wyległa jak jeden mąż na wysoki brzeg Sanu. Piechota, jazda, artyleryja, pomieszały się ze sobą—i patrzyli wszyscy, jakoby w dawnym cyrku rzymskim na widowisko, jeno patrzyli ze ściśniętemi ustami, z rozpaczą w piersi, w przerażeniu, w poczuciu bezsilności. Chwilami z piersi tych mimowolnych widzów wyrywał się krzyk straszny. Chwilami rozlegał się płacz powszechny, to znów zapadała cisza i słychać było tylko sapanie rozwścieczonych żołnierzy. Bo przecie ten tysiąc ludzi, który wyprowadził Kaneberg, stanowił czoło i dumę całej armii szwedzkiej; sami to byli weterani, okryci sławą w Bóg wie ilu ziemiach i w Bóg wie ilu bitwach. A teraz oto biegali, jak błędne stado owiec po obszernem przeciwległem błoniu, ginąc jak owce pod nożem rzeźniczym. Więc nie była to już bitwa, ale łowy. Straszni jezdzcy polscy kręcili się jak zawieruchą po bojowisku, krzycząc różnemi głosami i przebiegając rajtarom. Czasem za jednym pędziło kilku lub kilkunastu, czasem pojedynczy za pojedynczym. Niekiedy, dognany Szwed pochylał się jeno na kulbace, by cios nieprzyjacielowi ułatwić, niekiedy przyjmował bitwę, lecz ginął najczęściej, bo na białą broń szwedzcy żołnierze nie mogli się mierzyć z wyćwiczoną we wszelakich fechtach szlachtą polską.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Słowo
8 Kwietnia
1886.

Bohdan Zaleski.

Studyum literackie.

Przy końcu sierpnia 1820 wyjeżdżał ze wsi ukraińskiej, Jerczyki, młody człowiek, liczący zaledwie ośmnaście lat. Wiózł ze sobą mało pieniędzy, ale wiele zapału i wiele chęci do pracy. Zmierzał zaś ku miastu, które jak rubin mistyczny świeciło wówczas nad Polską, swą żywotnością i swem życiem cywilizacyjnem, ku Warszawie.

W okolicy, zkąd ruszał, dokonano już sprzętu i młody wędrowiec co chwila spotykał szerokie ukraińskie maże, wyładowane zbożem lub płodami polnymi i ciągnione przez siwe, długorogie woły. Przy niejednym z rozdrożnych krzyżów we wsiach, przez które przejeżdżał, śpiewał lirnik smutną piosnkę o sierotce, albo kobzarz wydzwaniał męski śpiew o trzech braciach rusinach, co uciekali z Azowa, z tureckiej niewoli. Wieczorem, gdy stanęli na popas w zaprzyjaźnionym jakimś dworze, dobiegały go, ledwie błysnęły pierwsze gwiazdy, rozgłośne pieśni dziewcząt ukraińskich, bo wieś Ukrainy śpiewa, gdy tylko szary zmrok spadnie i od wszystkich chat, ze wszystkich ulic płyną piosnki tęskne lub wesołe, skoczne lub melancholijne, torując drogę uczuciom, jakie wrą w młodych piersiach córek i synów stepu.

Niekiedy w odstępach między wsiami młody podróżny brnął przez puste stepy, gdyż Ukraina, wówczas znacznie słabiej zaludniona niż dziś, zachowała była jeszcze wiele dawnych swych cech kresowych. Dziki a gwarny wiatr stepowy szumiał tam, miejscami wysoka mogiła rzucała długi cień na przestrzeń, czasem orzeł zerwał się z jej szczytu i zaszumiał w przestworze.

W górze zaś, na tle nieba, uwijały się tłumnie jaskółki, radząc nad bliskim odlotem. Rzucił snać nieraz ku nim okiem młody Bohdan, ale może nie pomyślał, że podobnie im pomyka obecnie w kierunku bardzo, bardzo odległych krain, i że jak niejedna z tych małych ptaszyn nigdy już nie ujrzy swej Ukrainy.

Bo był to niestety ostatni jego przejazd przez rodzimą ziemię. Nigdy już wzrok jego nie miał kąpać się w stepowej zieleni, nigdy nie miała go już owiewać wiosna ukraińska, pełna słodyczy, ciepła, konwalii kwitnących i pień słowiczych.

Chwila, w której się znajdował, stanowiła przełom w jego życiu. Nabierzmowała go na piewcę Ukrainy. Bez tej rozłąki i bez tego wyjazdu może Bohdan byłby zlał się w jeden chór z resztą pieśniarzy polskich. Być może, że struny jego byłyby dźwięczały i bez tego częściowo dumką o ziemi, zkąd wyszedł, ale niewątpliwie tęsknota ku jego świętej, jak mawiał o ukraińskiej ziemicy, nadała niezwykłego napięcia jego myślom o niej, przekształciła go w piewcę o zabarwieniu wybitnie miejscowem.

Ztąd też od tej chwili zacząłem. W niej zawarty jest klucz całej lub niemal całej poezyi Bohdanowej. W niej tkwi płonka tego różanego krzewu, co wytrysł potem rozłożyście na niwie polskiego piśmiennictwa: twórczości Bohdana Zaleskiego.

Inne epizody życia grupują się około tej chwili, niby lasek brzóz około wysmukłej topoli. Wszystkie ustępują jej pod względem znaczenia.

Krótko przeto streszczę inne momenty biograficzne poety. Urodzony 14 lutego 1802 we wsi Bohaterce, odebrał Bohdan wychowanie u dwóch swoich ciotek, u pani Kundziczowej w Medwedowie, potem u pani Jasieńskiej w Jerczykach nad Rosią. Stracił bowiem matkę licząc parę miesięcy, ojciec zaś nie czując pociągu do wychowywania sierót, rozepchnął je po siostrach i krewnych.

Jerczyce i pobyt kilkunastomiesięczny u znachora Zuja, u którego Bohdan leczył się na chorobę skórną, jakiej nabawił się od swoich ukochanych piesków, zapisały się najżywiej w jego wyobraźni. Spędzał większość czasu na swobodzie przy sinej wstędze Dniepru, na wyniosłej, malowniczej górze Iwanhora, nasłuchał się wśród włościan pieśni i podań ludowych i odtąd dźwięki twórczości ludu grały w jego duszy niezmąconą melodyą.

Szkoły gimnazyalne ukończył w Humaniu. Już na ławie szkolnej począł pisać i drukować (w Tygodniku Wileńskim) wiersze, zaprzyjaźnił się z kolegą szkolnym Sewerynem Goszczyńskim i w 1820 wyjechał na uniwersytet do Warszawy. Tu pod okiem Brodzińskiego wniknął w ducha literatur europejskich, studyując zarazem pilnie historyę. Obcował wiele zwłaszcza z Maurycym Mochnackim i Antonim Malczewskim. W „Pyłkach“ zostawił bardzo żywe wspomnienie o twórcy „Maryi“, zatytułowane: „Malczewski w Warszawie“.

Malczewski coraz to częściej mi śni się
Kilka chwil przy nim tak mi są przytomne,
Że twarzy jego niemal rys po rysie
Piękne, szlachetne, po dziś dzień je pomnę.
Zwiędły, bo już go dogryzały smutki.
Spółukraiński śpiewak, ja młodziutki
Skaczę bywało rad, a radziej płaczę,
On pomrukuje do mnie w głos przygany:
„Ej tyś tu tabun przypędził kozacze
I tęsknisz nazad w step zasumowany.
(Kozakiem bowiem u niego się zwałem,
Czasem, po dumce, takoż: „hop, hop, cwałem.“)

Po ukończeniu studyów widział się zmuszonym jąć się guwernerki i w tym charakterze pracował właśnie u pułkownika Szembeka, gdy wybuchło powstanie listopadowe. Wziął w niem udział, a po upadku ruszył z innymi do Francyi.

Jakie zaczął tam życie?

Nie wesołe było życie na emigracyi. „Kochany Ludwiku — pisał Bohdan 4 grudnia 1832 z Paryża do Ludwika Nabielaka — czas wielki, abyś nadbiegł do Paryża nie na uciechy, ale abyś spełnił tułacki kielich goryczy. Wojna i wzajemna między nami tu nienawiść wzmaga się coraz żywiej i żywiej.“

W rok potem donosi Hieronimowi Kajsiewiczowi:

„Żyjemy w nieznośnej próżni serca, to jest w smutku i nudach. Dziś, jak wczoraj, jutro, jak dzisiaj, słowem każda chwila stworzona jest na obraz i podobieństwo minionej.“

Owe swary, owa czczość raniły go srodze. Łagodne jego usposobienie wykluczało waśń; wszak nawet w czasie walki klasyków z romantykami trzymał się na uboczu. Nareszcie umknął z Paryża, żył jakiś czas w Molsheim w Alzacyi, gdzie połyskał błękitną taśmą Ren, a na stokach gór źrzały winogrady; potem bawił w Beaune wśród szerokich łanów pszenicznych, pełnych przepiórek; wreszcie w Endouves w Prowancyi, w pięknej wili, owianej zapachem macierzanek i rozmarynów, panującej nad morzem nieogarnionem, błękitnem, „pląsającem ku brzegom z rozgłosem“. Tu odżył jego talent, w Molsheim napisał „Ducha od stepu“, część „Złotej dumy“ i „Potrzebę zbarazką“, w innych miejscach wiele drobnych wierszy.

Odbył następnie podróż na wschód, zaczem wrócił w okolice Paryża i na długo zamieszkał w Fontainebleau. W roku 1846 poślubił pannę Zofią Rozengardt, a w dziesięć lat później przeniósł się do Paryża ze względu na wychowanie dzieci. Wrócił w gwary emigranckie, o których jeszcze w w r. 1840 pisał do Siemieńskiego:

„Co mi piszesz o sobie z powodu wrażeń, jakich doświadczasz wśród waśni emigracyjnych, współczuję całą duszą. To samo przebolałem przed niewielu laty. Ówczesne swary powszednie o drobne bardzo rzeczy i o drobniejszych jeszcze ludzi, ten różnojęzyczny gwar wydawał mi się jak psia muzyka, jak francuskie *charivari*, że choć zatknij uszy, zmykaj co tchu w nogi. Uciekałem też istotnie za dziesiątą górę.“

Lecz w szóstym dziesiątku lat okoliczności odmieniły się trochę, a powtóre Zalewski już stanowczo wytrwał w swem staniu za obozami. Nie przeszkodziło mu to pozostać gorącym demokratą do skonu, jak świadczą wielokrotnie jego listy i pisma.

Pod starość poczęły nawiedzać go ciosy. Śmierć przyjaciół, jednego po drugim, śmierć żony, śmierć córki. Następnie, niby stado drapieżnego ptactwa, runęły nań dolegliwości. Lecz mimo wszystko, czcigodny starzec zachował pogodę duszy do ostatniej chwili i zgon jego podobny był raczej do wieczoru letniego, kiedy to niebo haftują złociste, różowe i błękitne obłoki, a zmrok spada cicho, lekko, niepostrzeżenie.

(Dokończenie nastąpi).

cyjna miłość pokoju. Car gotów jest poczynić wszelkie możliwe ustępstwa, oczywiście nie w interesie obcych potęg, lecz w interesie pokoju. Jeżeli w Chinach wybuchną nowe burze, to odpowiedzialność za nie spadnie na te mocarstwa, z których winy zaburzenia powstaną. — „Nowosti“ kładą nacisk na „samodzielność mandżurskiego traktatu. Reszta mocarstw nie ma żadnego powodu w sprawy mandżurskie się mieszać, sojusz anglo-japoński z 30 stycznia r. b. nie stoi z traktatem mandżurskim w najmniejszym związku, po odwrocie wojsk rosyjskich z Mandżuryi sfera rosyjskiego wpływu w Azyi wschodniej będzie większą, niż przed wypadkami z roku 1900. — Według „Birzewyja Wiedomosti“ Mandżurya pozostanie trwale w sferze wpływów wyłącznie rosyjskich; traktat mandżurski jest dowodem, że Rosya ma niezłomną wolę bronić całości Chin nie tylko słowem, ale i uczynkiem.

„Journal de St. Pet.“, odpowiadając tym pismom paryskim, które zarzucają Rosyi, że wyzyskuje Francyą zwłaszcza pod względem politycznym, że ustawicznemi pożyczkami łupi kieszenie nie tylko wielkich kapitalistów, ale i drobnych obywateli francuskich, — pisze w konkluzyi: Omawiając wzajemny stósunek obu sprzymierzonych z sobą państw, pamiętajmy, że polityka a pieniądz to dwie rzeczy całkiem odrębne; jednego z drugiem nie należy mieszać. Także i zaciągniętej co dopiero w Berlinie pożyczki rosyjskiej nie godzi się wiązać z dwuprzymierzem w tendencyi ujemnej. Wypadek ten powinni raczej powitać z przyjemnością tak przyjaciele dwuprzymierza, jak miłośnicy powszechnego pokoju. Wynika bowiem z niego, że, pozostając w serdecznych stósunkach z Francyą, możemy niezależnie od tego żyć na dobrej stopie z całą Europą. Kredyt Rosyi świadczy, że Europa ma do pokojowych tendencyi Rosyi zaufanie. Wreszcie poucza on, że finanse Rosyi oparte są na fundamencie niewzruszonym itd.

Na wczorajszem posiedzeniu austryackiego parlamentu poseł katolicki Gessmann odpierał zarzuty, według których stronnictwo katolickie chce szkołę sklerykalizować i wrogiem jest

wiece aż do chwili, w której rząd publicznie określi swe stanowisko w sprawie projektu wyborczego. Gdy w sejmie rozpoczną się obrady nad nowem głosowaniem, wtenczas socyaliści wydadzą hasło, że robotnicy mają wszędzie zawiesić pracę.

Duma petersburska uchwaliła dnia 11 kwietnia na przyjęcie prezydenta Loubeta 80,000 rubli, lecz odrzuciła wniosek ambasadora francuskiego markiza de Montebello o odstąpienie gruntu pod budowę francuskiego kościoła poselskiego, ponieważ stoją temu na przeszkodzie zasady prawosławnych dogmatów.

---

* **Wiec** w sprawie Towarzystwa „Samopomocy“ odbędzie się w Głównie jutro wieczorem w lokalu p. Wyszomirskiego.

Komitet wiecowy:

Szczepan Sekretarczyk. Tomasz Płończak. Mieczysław Czechak. Józef Pflaum. F. Szukała. Jan Maciejeszczak. Andrzej Grabiak. Franciszek Małecki. Stanisław Szukał. Franciszek Tylewski. Ignacy Konieczny. Andrzej Nowak. Piotr Waligóra. Winc. Woźniakowski. Ludw. Wyszomirski. Jan Sekretarczyk.

---

* **Przeciw wychodźtwu z Królestwa.** „Germania“ donosi, że rząd pruski wydał rozporządzenie, zabraniające przepuszczać przez granicę pruską takich wychodźców z Królestwa, udających się za morze, którzy nie są w posiadaniu paszportu, 400 marek w gotówce lub biletu na przejazd parowcem niemieckim. Dzieci niżej lat 10, chorych i ludzi okaleczałych wogóle nie wolno wpuszczać na terytoryum pruskie. Rozporządzenie to spowodowane zostało według „Germanii“ tem, że wielka część polskich wychodźców potajemnie przebywała granicę i to z pomocą austryackich ajentów emigracyjnych, którzy potem wychodźców bez wszelkich środków do życia i przejazdu przez Niemcy pozostawiali ich losowi.

Wyjątkowe to rozporządzenie rządu pruskiego, na które nie potrzebujemy się skarżyć.

---

10) 28-letni mistrz rzeźnicki *Władysław Dzieciuchowicz* z Sokolnik pod Wrześnią na *2 lata więzienia;*

11) 36-letni szewc i kamieniarz *Antoni Chojnacki* (karany) na *2 lata więzienia;*

12) 41-letni krawiec *Jan Żołnierkiewicz* (niekarany) na *9 miesięcy więzienia;*

13) jego żona *Katarzyna Żołnierkiewiczowa* (niekarana) na *9 miesięcy więzienia* (Żołnierkiewicze mają 9 dzieci);

14) 17-letni uczeń szewski *Franciszek Musielak* (niekarany) na *9 miesięcy więzienia;*

15) 31-letni krawiec *Józef Haehnel* (karany) na *1 rok więzienia;*

16) 55-letnia żona tokarza *Jadwiga Jezierska* (niekarana) *4 tygodnie aresztu;*

17) *Augustyn Stachowski* (niekarany) *6 miesięcy więzienia;*

18) 41-letnia żona mularza *Nepomucena Piasecka* (niekarana, matka pięciorga dzieci) na **2½ roku więzienia.**

Tylko u 15-letniego Aleksandra Wiśniewskiego, skazanego na 4 tygodnie aresztu, uznał sąd rzeszy w swej dokładności, że trybunał gnieźnieński wymierzył mu karę o 1 tydzień za wysoką.

Sytuacya teraz jest więc taka, że przeciw Aleksandrowi Wiśniewskiemu toczyć się będzie na nowo sprawa przed tym samym trybunałem gnieźnieńskim, tak samo podjętą zostanie sprawa Elżbiety Kantorczykowej, odroczona z powodu jej słabości podczas listopadowego procesu w sprawie zajść wrzesińskich.

Ponieważ skład obecny trybunału gnieźnieńskiego inny jest niż w listopadzie r. z. (dwóch członków jego przesiedlono), więc według ordynacyi procesowej karnej proces musi być od samego początku prowadzony i obrona może wystąpić z całym dotychczasowym aparatem dowodowym, a nawet, jeżeli zechce i warunki będą po temu, może ramy procesu jeszcze rozszerzyć. Byliśmy w możności już wczoraj ogłosić na mocy autentycznych informacyi, że obrońcy biednych wrześniaków zamierzają nie tylko rozszerzyć ramy procesu przeciw Wiśniewskiemu i Kantorczykowej, ale na podstawie nowego mate-

...ńskiego. Wybrano niemców Klahra i Schmidta. Z powiatów inowrocławskiego i strzelińskiego stawili się niemal wszyscy uprawnieni do głosowania, natomiast z bydgoskiego i wyrzyskiego brakła większa połowa. Szczególniej mało przybyło gospodarzy mniejszych. Kandydatami polskimi byli p. wicepatron Dembiński z Węgierc i p. Ponikiewski z Chraplewa.

W Ostrowie odbywał się wybór dwóch deputowanych z powiatów koźmińskiego, krotoszyńskiego, pleszewskiego, ostrowskiego, odolanowskiego, ostrzeszowskiego i kępińskiego. Przewodniczył wyborom p. Lipski z Lewkowa. Polacy i niemcy rozporządzali równą liczbą 33 głosów. W drugiem głosowaniu rozstrzygał los. Wybrani p. *Czarnecki* i landrat v. Scheele. Niemcy chcą założyć protest rzekomo dla tego, że przy pierwszem głosowaniu jeden z niemców przez pomyłkę oddał niewłaściwą kartkę i w ten sposób umożliwił wybór p. *Czarneckiego*.

Tak sprawę przedstawia „Tageblatt“. Żaden z polaków nie uważał za stosowne powiadomić pisma polskie o wyniku wyborów. Dziwna to obojętność dla sprawy publicznej.

— Z powiatów **średzkiego, śremskiego i wrzesińskiego** wybrani zostali pp. *Hulewicz* z Młodziejewic i *Skrzydlewski* z Mechlina.

Ogólny rezultat wyborów dla nas niepomyślny, bo niemcy uzyskali większość w wydziale.

Wybór p. hr. Czarneckiego został unieważnionym. Będzie więc powtórny wybór, na który, jak się spodziewać należy, zjadą się wszyscy członkowie, a wtedy kandydat nasz zwycięży.

Powtarzamy raz jeszcze, że mylnem było twierdzenie, jakoby spisy wyborcze dla nas były nieprzystępnemi. Na tydzień przed wyborem zaglądać można do nich u odnośnego przewodniczącego wyborów, a dyrekcya *członkom* wydaje odpisy za opłatą kopialiów. Prosimy to spamiętać na przyszłość.

Choć małą pociechę mamy z wyborów tych w okoliczności, że w okręgu poznańskim nie mógł nadal ze skutkiem kandydować p. Tiede-

rozproszyć demonstrantów, zaczepiono kijami

szyny i zginąć pod pociągiem. Niepowstrzymana

z wody. Wlazłbym w pułapkę. Żandarmery

Bohdan Zaleski.

Studyum literackie.

(Dokończenie. — Zobacz numer 87.)

II.

Siemieński powiada, że gdy zjawi się w jakiejś literaturze zbyt szczegółowe rozbieranie danego pisarza, przetrząsanie wszystkich jego skrytek duchowych, nicowanie jego poglądów i sondowanie myśli, znak to, że pisarz przestał należeć do szerokiego ogółu i że przechodzi na własność erudytów.

Nie chcę przeto stosować tej metody do Zaleskiego. Pieśń jego zawsze żywa, zawsze jeszcze porusza ona serca i umysły powszechności. Nie znaczy to atoli, aby z tego powodu należało unikać pewnego oświetlenia i kiełznać myśli, jakie obudzą się po przemknięciu przez dzieła lirnika ukraińskiego.

Wypowiem więc tu kilka uwag, które nasunęły mi się w chwilach obcowania z muzą Bohdana.

Talent Bohdana nie wytrysnął, jak świetlany słup od razu z nienacka, z czeluści twórczych. Przeciwnie, rozwijał się on powoli. Rósł, mocniał, nabierał gibkości przez kilka, a nawet kilkanaście lat. Wystarczy porównać krańcowe takie twory, jak „Lubor“ lub „Śpiew Tarły“, płody młodości już dość nawet posuniętej (Śpiew Tarły pochodzi z roku 1827, poeta liczył więc wówczas dwadzieścia pięć lat) z „Duchem od stepu“ (1834), przedstawiającym fazę jego najwyższego rozwoju poetyckiego. Widzi się tu jak forma przebiega w ciągu owego okresu cały krąg doskonalenia się. Podobnie ma się rzecz z treścią.

Pierwsze kroki poetyckie stawia Zaleski pod egidą mistrzów: dostrzeżesz tam wpływy Niemcewicza, Brodzińskiego, a nawet Karpińskiego. Lecz powoli poeta uniezależnia się, odnajduje w głębi swej duszy kryształ własnej jaźni, czara jego pieśni napełnia się samorodnem winem i od tej pory młody piewca zasiada na własnem drążkowem krześle w sejmie naszych pieśniarzy.

Już w samych początkach twórczości Bohdana daje się spostrzedz rys znamionujący jego utwory przez cały żywot. To, że tak powiem słowiańskość jego poezyi. Nie określam tem mianem napół tajemniczej jakiejś cechy, wkraczającej w zakres psychologii etnicznej. Chcę tylko powiedzieć przez to, że żaden z naszych poetów, ani nawet literatów nie śledził równie gorliwie jak Bohdan, życia ludów sławiańskich, nie nasłuchiwał tętna ich piśmiennictw i nie zdążał do odkrycia rodakom tego, co wyczuł. Wyjątek stanowi w tym względzie Adam Mickiewicz, a jednak i tu nawet, około najwalniejszego dzieła Mickiewicza z tego zakresu, około „Historyi literatur sławiańskich“ bardzo dużo zasług położył Bohdan ...

przez p. Dyonizego Zaleskiego pozwala wykazać w jak znacznej mierze przysłużył się Bohdan Adamowi i swą rozległą znajomością literatur sławiańskich i swą biblioteką.

Już ten jeden wzgląd zasługiwałby na wyróżnienie. Ale zarówno Zaleski przyczynił się wielce do obudzenia znajomości pobratymczych literatur wśród polaków. Nie wiele dał nam przekładów z czeskiego, chociaż czeskie piśmiennictwo znał wybornie i choć nawet „Lubor“, jeden z pierwszych jego wierszy powstał po części pod wpływem (o ile mi się zdaje zupełnie dotąd nie skonstatowanym) czeskiego poety Czelakowskiego. Lecz za to rozwiesił przed nami cudowną tęczę śpiewów ludowych serbskich. Epiczne śpiewy serbskie, które jak bluszcz owinęły się około serbskich walk z muzułmanami, urocze piosenki liryczne, powiewne jak puch kwiatów, a barwne i złociste na podobieństwo szat wschodnich ujął w przeczystą formę języka polskiego, pochwycił w całej prawdziwości treści i kształtu i gdyby nie stworzył był tylu innych dzieł, wzniósłby sobie istny pomnik już li tylko jednym owym tomem, niestety nie dość znanym u nas i czytanym „Pieśni serbskich“, tłomaczonych to w Alzacyi, to w ustroniach francuskich.

Lecz ktoś powie, a piosnki rusińskie? Owe szumki, dumki, rusałki, wiośnianki? Czyż nie należałoby wyznaczyć i im miejsca w szeregu pieśni, wtajemniczających nas w ducha poezyi ludów sąsiednich, liczących się do sławiań-

Otóż w tej sprawie należy dać szczegółow[e] objaśnienie.

Wierzono u nas długo i wierzy się jeszcz[e] w szerszych kołach, że pieśń Bohdana, to pieś[ń] ukraińska, że śpiew jego to jakby śpiew wyjęt[y] z ust wieśniaczki rusińskiej, to jakby nuta fletni rozlegającej się w rozległym stepie Ukrainy i n[a] płaskowzgórzu podolskiem.

Tak nie jest!

Między poezyą ludową rusińską a poezyą Zaleskiego istnieją pewne punkty styczne, czasami nawet jak dwie obrączki wplatają się one jedna w drugą. Ale najczęściej zachodzi między ostatnią a pierwszą tylko związek pochodny. Pieśń rusińska wywołała jakieś echa w duszy Bohdana, obudziła jakąś symfonią. Poeta pobudzony poczyna wówczas śpiewać, lecz co on daje, to nie naśladownictwo pieśni ukraińskiej, to przędza jego własnego ducha. To jedwab utkany z surowych roślinnych materyałów twórczości ludowej.

Tak należy zmodyfikować pojęcia nasze o Szumkach, Dumkach i Wiośniankach, z których ledwie jedna (Dwojaki koniec) może być uważaną za przekład, a kilka za dowolną przeróbkę zwłaszcza („Wyjazd bez powrotu“ i „Archory“). Na poparcie swego zdania mógłbym przytoczyć ogłoszoną przed mniej więcej dziesięciu laty skrzętną pracę w tej kwestyi, uczonego rusińskiego dra Aleksandra Kolessy. Nie powinniśmy

literackiej, bo równocześnie wyznacza ona ukraińskiemu działowi poezyi Zaleskiego zaszczytne miejsce w szeregu wytworów jego własnej jaźni. Ukraina, jaką maluje Bohdanowa pieśń, to nie Ukraina rusińskiej poezyi ludowej, lecz na pół urojona ziemia, tak jak wyśniła się w wyobraźni i duchowości wielkiego poety.

Owa wyobraźnia snuła na swem ukochanem tle ukraińskiem złotolite, kwieciste wzory. Pieszczotliwa miękka dłoń poety dzierżgała na niem nici najpiękniejszego liryzmu, arabeski śpiewności, sylwetki kapryśnych dusz dziewczęcych, jedyne w literaturze polskiej i mające nie wiele równoległych w piśmiennictwie powszechnem.

Obok liryki na tle rusińskiem istnieje epika, zamknięta w tak zwanych dumach. I te nie wiele mają wspólnego z dumą Ukrainy, taką, jaką nam dały zbiory Zoryana Dołęgi Chodakowskiego (figurują one pod nazwą Maksymowicza). Maksymowicz bowiem, zagarnąwszy je po śmierci niestrudzonego polskiego ludoznawcy, podał je za zebrane przez siebie *), Certalewa i późniejsze.

I tu Ukraina nie jest ani historyczną, ani rzeczywistą, tylko oświetloną przez pochodnią osobowości Bohdana. Dzisiejszy stan badań historycznych w zakresie kozaczyzny nie pozwala nam na pojmowanie Siczy, jako społeczeństwa rycerskiego, żyjącego dla ideału, natchnionego myślami federacyjnemi, poczuwającego się do wspólności z Polską. Może i sam poeta inaczej mówiłby dziś o klęskach, zadanych Polsce, niż mówi w swoich dumach.

*) Porównaj F. Rawita-Gawroński: Zoryan Dołęga Chodakowski. Lwów, 1899.

Ale nie tu miejsce na twarde rozprawy. Zaznaczę tylko, że gdy po 1848 roku Bohdan spostrzegł, że zapatrywania rusinów galicyjskich są odmienne od zapatrywań jego, dał upust swemu bólowi i swej goryczy w listach i w kilku poezyach.

Przy tej sposobności wyróżnię pewną cechę bardzo charakterystyczną dla Bohdana. Czytając dumy, spostrzega się, jak talent jego w istocie jest obcym epice. Kozackie dusze, tak jak on je kreśli, są nawskroś liryczne. Przy męstwie sączy się tam potok słów i wylewów.

Podobnie ma się rzecz z malowidłami. Zestawmy tylko bitwę kozacką, malowaną przez Sienkiewicza, z bitwą u Zaleskiego (np. w „Potrzebie zbarazkiej“), a zauważymy całą różnicę między epikiem a lirykiem.

Ten sam liryzm napoił poezyę jego religijną. Zaleski był zbyt czuły na prądy Zachodu, aby w czasie Saint-Simonizmu nie uledz mu. Klęski narodowe potęgowały w nas wówczas uczucie pobożności. Na tem podwójnem tle (do czego należy dodać wrodzoną pobożność Bohdana) powstały Bohdanowe wiersze religijne, które można zaliczyć do najpiękniejszych w naszem piśmiennictwie. Zajaśniały one w dwóch utworach większych: „Duch od stepu“ i „Przenajświętsza rodzina“ i w całej plejadzie małych. „Przenajświętsza rodzina“ zwłaszcza zachowa na zawsze swój wdzięk i urok. Mówię tu ściśle o stronie poetyckiej. Utwór ów mimo swej formy opowiadającej jest właściwie przeniknięty, jak listki ranne rosą, żywiołem lirycznym: uczuciem kochającej matki i właśnie ono nadało mu ten wdzięk rafaelowski, ową miękkość mistrzów odrodzenia, która, ilekroć spojrzymy na twory ich pędzla przepaja nasze dusze cichą radością, wzruszeniem i jakby tęsknotą za wszystkiem najlepszem, co od nas odleciało.

Filozofia, odziana w szatę religijną, zapukała do okna poety, gdy opuścił się nań szary tuman smutku i gdy „starość — nie radość“, jak mawia przysłowie, pochyliła się ku jego widnokręgowi.

Wtedy powstały „Pyłki“, krótkie filozoficzne strofy, w których niema już tego połysku złocistego, co bije z „Dum“ lub „Szumek“, w których wiersz jest stężały, jędrny, jak odłam bronzu korynckiego.

Ale mile spędzi czas, kto zajrzy na te karty, kreślone ręką poczynającą drgać ze znużenia życiowego i wieku. Znajdziemy tam niejedną piękną myśl, pogodną, jak była pogodną starość Bohdana.

Powiem wreszcie parę słów o listach Zaleskiego. Za granicą, listy wlicza się zwykle w dorobek mistrzów, czyta się je — jak korespondencyą Schillera i Goethego w Niemczech — w szkołach. U nas, nawet tak świetne, tęczowe arcydzieła, jak listy Juliusza Słowackiego do matki są znane prawie wyłącznie ściślejszym badaczom literatury. Korespondencya Bohdana Zaleskiego nie obfituje w równie rozkoszne barwy, co korespondencya Słowackiego, ale jest piękną i ze wszech miar zajmującą. Można pokochać tego poetę dopiero, gdy widzi się jego w całej szczerości pożycia przyjacielskiego, w jego utęsknieniach prostych i rzewnych, w jego smutkach serdecznych i prawych. Nie masz w nim przesady, napuszystości, próżni. Kto znał Bohdana tylko jako poetę, zamyka uradowany jego korespondencyą, bo przekonał się z niej, że i jako człowiek stał on na wyżynach.

Ztąd też godzi się, aby korespondencya owa znalazła jak najliczniejszych czytelników, ztąd też należy się i od całego ogółu polskiego podziękowanie synowi poety panu Dyonizemu Zaleskiemu za skrzętne oddanie do wiadomości publicznej tych bogactw duchowych, które dotąd kryły się w skarbcu rodzinnym.

Kończę na tem niniejszą sylwetkę. Kto chce bardziej zgłębić Bohdana, ten niech sięgnie do własnych jego pism. Zawsze bije z nich zdrowie, zawsze wytryska z nich wzniosłość i poezya jak dwa perłowe zdroje. Spragnieni i znużeni niech piją z tych źródeł, a znajdą w nich świeżość i ulgę.

Dr. W. Bugiel.

Dodatek.